

GEORGE ELIOT

MIASTECZKO
MIDDLEMARCH

KLASYKA POWIEŚCI

Przełożyła Anna Przedpełska-Trzeciakowska

TOM I

OD TŁUMACZKI

Nie do wiary, jak bardzo aktualna może się wydać ta powieść czytelnikowi, żyjącemu w kraju, który wznosi właśnie – lepiej czy gorzej – gmach demokracji, oparty na szeroko pojętych prawach obywatelskich. Książka ta bowiem, napisana przed stu dwudziestoma ósmioma laty, a traktująca o wydarzeniach sprzed przeszło stu siedemdziesięciu lat o tym właśnie opowiada, tyle że była to demokracja angielska.

Aktualności pojawiają się tu nieustannie, jeśli potrafimy się wsłuchać w głos dochodzący z drugiego planu tej powieści, planu wydarzeń politycznych i społecznych, działań obywatelskich i zawodowych, dotykanych piórem lekko, jakby od niechcienia, a jednak w istotny sposób splecionych z dziejami bohaterów. Dzieją się w kraju rzeczy ważne, a miasteczko Middlemarch, tak jak każde prowincjonalne miasteczko w Anglii, jest tych wielkich przemian minisceną, toteż historia toczy się wraz z wątkiem romantycznym i kryminalnym. Losy miasteczka Middlemarch są historycznie i ekonomicznie splecione z losami okolicznej społeczności, a więc również mieszkańców sąsiednich dworów i należących do nich farm.

Akcja powieści, którą autorka nazwała w podtytule: *Studium życia na prowincji*, zaczyna się w końcu września roku 1829, a kończy w maju 1832, tuż przed uchwaleniem ustawy o reformie wyborczej, rozgrywa się więc w okresie wielkiej społecznej batalii o zmianę oblicza prowincjonalnej Anglii – powiedzielibyśmy dzisiaj: o podstawy demokracji obywatelskiej. Ta pierwsza reforma wyborcza, która zresztą w niewielkim stopniu zmieniła sposób wybierania członków parlamentu, zapoczątkowała zmiany na wszystkich niemal płaszczyznach życia społecznego – łącznie ze zmianami w dotychczasowym skostniałym układzie towarzyskim.

„Człowiek sam stanowi o tym, czy jest dżentelmenem” – powiada jeden z bohaterów książki, a jest to w 1831 roku oświadczenie niemal rewolucyjne. Zaczynają się chwiać historycznie utrwalone podziały – w 1829 roku książę Wellington jako premier oraz sir Robert Peel jako minister spraw wewnętrznych przeprowadzają w Parlamencie ustawę o swobodach dla katolików, która po wiekach nietolerancji przywraca wyznawcom tej religii prawa obywatelskie w tym samym zakresie, w jakim je dotychczas mieli dysydenci protestanccy. Ten akt polityczny jest tak dalece sprzeczny z poglądami kupców i oberżystów miasteczka Middlemarch, że nie wahają się nazywać niedawnego bohatera wojen napoleońskich – sługą papistów. Lecz Kościół anglikański przestaje być monopolistą, pewnym swoich przywilejów. I choć wciąż jeszcze ewangeliccy dysydenci uważani są za ludzi należących do niższej sfery, a metodyzm – za religię prostaków, między poszczególnymi wyznaniem rozpoczyna się ruch. Ale wszystko to dzieje się powoli, krok po kroku.

Na tak szeroko zarysowanym tle maluje George Eliot losy głównych bohaterów: młodej, bogatej i szlachetnej Dorotei Brooke, która szuka godnego celu, by nadać sens swojemu życiu, oraz Tertiusa Lydgate, lekarza, który cel znalazł w pracy badawczej i praktyce medycznej, ale przeszkodą w jego realizacji staje się piękna kobieta. Oba te główne wątki mają liczne odgałęzienia, odnogi i boczne pędy, tyleż interesujące, co barwne i nasycone ciepłym humorem. Oglądamy cały złożony świat prowincjonalnej Anglii – mieszczan, kupców, lekarzy, prawników, a także farmerów, ba, nawet najemnych robotników rolnych, których zakończony około 1815 roku proces groduzenia otwartych pastwisk, uprzednio dostępnych każdemu, pozbawił możliwości pracy na własnej ziemi. Nie brak również przedstawicieli Kościoła i typowego dla ówczesnych zmian w hierarchii społecznej procesu przeobrażania się żarliwego kalwińskiego dysydenta – w szacownego członka Kościoła anglikańskiego. Obraz

uzupełnia piękna sceneria okolic Coventry, pełne nostalgicznej tęsknoty opisy krajobrazu środkowej Anglii, owego rajy utraconego szczęśliwego dzieciństwa pisarki.

Los prowadzi bohaterów *Miasteczka Middlemarch* po rozmaitych, krzyżujących się ścieżkach. Ta, która interesuje nas szczególnie, to ścieżka polska. Jeden z bohaterów powieści, i to wyraźnie faworyt autorki, nazywa się Ladislaw i jest wnukiem polskiego powstańca. Jak to się stało, że George Eliot przyjęła imię za nazwisko (niewątpliwie bowiem chodzi o Władysława), skąd jej zainteresowanie tematyką polską – na to pytanie nie znam odpowiedzi, choć od dawna jej szukam. Mamy bowiem w twórczości tej pisarki jeszcze jedną „polską” zagadkę, jaką jest zbieżność wątku powieści *Silas Marner*, wydanej w 1861 roku, i *Jermioły* Kraszewskiego, wydanej w 1857 roku, a więc wcześniejszej o cztery lata i wówczas nietłumaczonej. Różne można snuć na ten temat przypuszczenia. Jedyne udokumentowane źródło zainteresowania George Eliot sprawami polskimi, jakie znalazłam, to fakt, że jej pasierb, Thomie Lewes, pragnął jechać do Polski, by walczyć z Rosjanami, rodzina jednak odwiodła go od tego pomysłu i w zamian wysłała do Afryki na polowania na grubą zwierzynę. Polskie pochodzenie Willa Ladislawa nie było mu pomocą w skomplikowanym romansie w *Middlemarch* – na niemal wszystkich szczeblach angielskiej drabiny społecznej wytykano mu pogardliwie domieszkę obcej krwi „wszystko jedno czy polskiej, czy żydowskiej” – co pozwalam sobie pozostawić bez komentarza naszym rodzimym szowinistom.

Miasteczko Middlemarch to jedna z ważniejszych pozycji w kanonie klasycznej literatury angielskiej i wstyd doprawdy, że ukazuje się w Polsce dopiero u progu XXI wieku. George Eliot, jedna z najbardziej

nowoczesnych postaci epoki wiktoriańskiej, erudytką, okrzykniętą z powodu wyzwań, jakie rzucała opinii publicznej, angielską George Sand, podniosła powieść do rangi dyskursu filozoficznego, a pasjonujący romans umiejscowiła w sferze społeczno-moralnej, nadając mu odpowiedni ciężar gatunkowy. Twórczość George Eliot stanowi ogniwo pomiędzy dotychczasową beletrystyką, będącą opisem wydarzeń, a powieścią z określonym założeniem filozoficznym, bliżej jej więc do Henry Jamesa niż do Dickensa.

Prawdziwe nazwisko George Eliot brzmiało: Mary Ann Evans. Urodziła się na Arbury Farm koło Nuneaton w hrabstwie Warwick w 1819 roku jako piąte dziecko Roberta Evansa. Fakty te są istotne, gdyż krajobraz Warwickshire stanowi tło każdej jej powieści rozgrywającej się w prowincjonalnej Anglii, a postać ojca jest prawzorem postaci Kaleba Gartha w *Miasteczku Middlemarch*. Pan Evans był rządcą majątku Arbury Hall, leżącego nieopodal Coventry, zdolnym budowniczym i geometrą, znanym z uczciwości i prawości charakteru. Z rodzeństwa najbliższy był pisarce jej brat Izaak – największa miłość lat dziecinnych, przeniesiona na karty *Młyna nad Flossą*. Miasto Coventry uważane jest za prototyp Middlemarch.

Posłano ją do szkoły już w piątym roku życia, a w dziewiątym przeniesiono najpierw na pensję panny Lewis, żarliwej ewangeliczki, następnie zaś do szkoły w Coventry, prowadzonej przez siostry Franklin, kalwinki. Żarliwość religijna przyszłej pisarki i uleganie skrajnościom były ogromne; wraz z wiadomościami z geografii i rachunków przejęła kalwinizm swoich nauczycieli. Będzie to dla nas istotne, gdy zaczniemy śledzić wewnętrzne walki pana Bulstrode ze światem i sobą samym.

W szkole – cóż to musiała być za szkoła – Mary Ann nauczyła się francuskiego i niemieckiego, później opanowała również włoski, grekę i łacinę. Była więc osobą bardzo wykształconą, co nie przeszkodziło jej

z kalwińską pryncypialnością uważać wszelkich rozrywek za występki.

W 1841 roku przeniosła się z ojcem i rodziną na stałe do Coventry, gdzie zaczęła pogłębiać studia, zwłaszcza filozoficzne i teologiczne, i zawierać nowe znajomości w liberalnych kręgach miasteczka. Doprowadziło to do całkowitej odmiany jej religijnych zapatrywań – utraciła wiarę i pozostała do śmierci jawną agnostyczką. Po śmierci ojca osiadła w Londynie i zaczęła pracować w liberalnym czasopiśmie *Westminster Review* wydawanym przez Johna Chapmana.

W Londynie znalazła się w najwyższych intelektualnych kręgach – poznała Dickensa, Thackeraya, Tennysona, Carlyle’a, Darwina i Herberta Spencera. Poznała tam również krytyka i pisarza, George’a Lewesa, w którym się zakochała. Lewes był żonaty i choć żona go opuściła, nie mógł uzyskać rozwodu. Mary Ann Evans podjęła wówczas niebywale odważną decyzję – postanowiła związać się z Lewesem bez formalnego aktu małżeństwa.

Reakcja świata była z początku niesłychanie przykra – parę spotkał ostracyzm towarzyski, a również rodzinny. Ukochany brat Izaak zerwał z Mary Ann wszelkie kontakty.

George Lewes okazał się przez blisko ćwierć wieku, aż do śmierci, nie tylko wiernym i oddanym mężem, ale i nieocenionym doradcą literackim. Mary Ann, która uważała się dotychczas za tłumaczkę i krytyka, pod jego wpływem zaczęła pisać opowiadania. Od początku pisała pod pseudonimem. „George” – ze względu na George’a Lewesa, a poza tym Eliot „to takie ładne, krągłe słowo”.

Talent jej został uznany bardzo szybko i znakomite recenzje wynagrodziły wcześniejsze upokorzenia. Jej dorobek literacki jest pokaźny, najważniejsze powieści to: *Adam Bede*, *Daniel Deronda*, *Felix Holt*, *The Radical*, *Młyn nad Flossą*, *Middlemarch* *Romola* i wspomniany już wyżej *Silas Marner*. *Miasteczko Middlemarch* wszyscy ówcześni

krytycy okrzyknęli zgodnie arcydziełem. Oprócz satysfakcji pisarskiej przysłała również satysfakcja finansowa – George Eliot uzyskiwała od swego wydawcy, Williama Blackwooda, bardzo wysokie honoraria. Za *Middlemarch* autorka otrzymała dziewięć tysięcy funtów. Była to na owe czasy ogromna suma. Charlotte Brontë za każdą kolejną powieść dostawała od swego wydawcy pięćset funtów.

Po pewnym czasie towarzystwo londyńskie, a przynajmniej jego część, zaczęło zabiegać o względy wziętej autorki, dając jej satysfakcję za uprzednie upokorzenia. Nawet królowa Wiktoria, rówieśnica George Eliot, ów, zdawałoby się, symbol pruderii i pryncypialności, uznała wielkość jej pisarstwa, czytała głośno jej powieści księciu małżonkowi, a w liście do córki stwierdziła, że związek, który z Bóg wie jakich przyczyn nie mógł być zawarty formalnie, jest w jej głębokim przekonaniu święty i prawy. Nie potępiła więc George Eliot. Potępiło ją jednak duchowieństwo anglikańskie – po śmierci pisarki w 1880 roku odmówiono zgody na pochowanie jej w Opactwie Westminster wśród największych twórców angielskich.

A niewątpliwie należało się jej to miejsce. Erudycja i inteligencja, połączone ze znakomitym zmysłem obserwacji i ciepłym poczuciem humoru przyniosły literaturze angielskiej kilka świetnych, niezapomnianych pozycji o wyjątkowo szlachetnej tonacji moralnej.

Po pierwszym okresie ogromnego powodzenia zainteresowanie pisarstwem George Eliot w wieku XX zaczęło przygasać, może również dlatego, że te powieści stanowiły obowiązkową lekturę szkolną, a któż lubi czytać pod przymusem. Ostatnio jednak nastąpił renesans jej twórczości, czego efektem jest znakomity angielski serial telewizyjny *Middlemarch*, ze świetną obsadą, oglądany już niemal przez cały świat. Fabuła powieści okazała się doskonałym materiałem filmowym, dialogi przenoszono niemal dosłownie, a recenzje były równie entuzjastyczne jak

w chwili pierwszego wydania książki. Po *Middlemarch* sięgnęła znowu cała Anglia. Sądzę, że warto, by sięgnął po tę książkę i polski czytelnik.

Anna Przedpełska-Trzeciakowska

PRELUDIUM

Któż spośród tych, co pragną poznać dzieje człowieka i dowiedzieć się, jak owa tajemnicza mieszanka reaguje na różnorakie eksperymenty dokonywane przez Czas, nie zadumał się choćby przez chwilę nad życiem świętej Teresy i nie uśmiechnął dobrotliwie na myśl o małej dziewczynce, która pewnego ranka wyruszyła w świat z młodszym braciszkiem, by szukać męczeństwa w krainie Maurów? Trzymając się za ręce, z oczyma szeroko otwartymi, wymaszerowali z surowej Avila, bezradni niby para sarniąt, choć ich ludzkie serca były już narodowym rytmem, kiedy stanęła na ich drodze codzienna rzeczywistość w postaci wujów i kazała zrezygnować z wielkiego zamierzenia. Ta dziecięca pielgrzymka była właściwym początkiem. Namiętna, idealistyczna natura Teresy pragnęła życia wypełnionego dziełem: cóż mogły dla niej znaczyć opasłe romanse rycerskie czy towarzyskie podboje pięknej panny? Trawiący ją ogień szybko spopielał to liche paliwo, a podsycany od wewnątrz szukał jakiejś nieogarnionej satysfakcji, jakiegoś celu, który by nigdy nie usprawiedliwił znużenia, który by w miejsce desperacji wniósł porywającą świadomość życia poza nią samą. Znalazła takie dzieło w reformie zakonu.

Owa Hiszpanka, żyjąca przed trzystu laty, nie była z pewnością ostatnią tego rodzaju kobietą. Niejedna narodziła się od tego czasu Teresa, której życie nie zostało wypełnione żadną treścią, umożliwiającą dokonanie w przyszłości jakiegoś wiekopomnego dzieła; egzystencja tych kobiet była albo pełna nieporozumień wynikających z fatalnego połączenia wielkości ducha i niedostatku możliwości, albo też kończyła się tragiczną klęską nieuświęconą przez poetę, nieopłakaną, zapomnianą. Mimo lichego światła i skomplikowanych warunków, w jakich żyły, starały się kształtować swoje myśli i czyny w szlachetnej zgodzie,

a mimo to przeciętnym oczom ich wysiłki wydawały się niespójne i niejasne. Te późniejsze Teresy nie znajdowały wsparcia w żadnych konsekwentnych koncepcjach społecznych ani systemach, które takim płomiennym duszom mogłyby zastąpić wiedzę. Ich żarliwość oscylowała pomiędzy nieokreślonym idealizmem a zwykłymi kobiecymi tęsknotami, z czego pierwsze potępiane było jako ekstrawagancja, a drugie – jako niewłaściwość.

Niektórzy sądzą, że takie zagubione istnienia są skutkiem kłopotliwej nijakości, jaką Najwyższa Potęga nadała naturze kobiecej; gdyby przyjąć jeden wyznacznik kobiecego ograniczenia, tak określony jak na przykład możliwość zliczenia do trzech i nie więcej, można by mówić o społecznym losie kobiety z naukową pewnością. Tymczasem pozostaje nam owa nijakość, kryjąca jednak w sobie o wiele więcej różnorodności, niżby o tym świadczyły tak bardzo do siebie podobne modne fryzury czy wzięte romanse, wierszem i prozą. Tu i tam, na ciemnym stawie, wzrasta wśród kacząt jakieś niespokojne łabędziejątko, któremu nie udało się odnaleźć bystrego nurtu rzeki, gdzie mogłoby pływać wraz ze swymi wiosłonogimi braćmi. Co jakiś czas rodzi się jakaś święta Teresa, która ostatecznie nie zakłada niczego, a żar jej serca i tęsknota za nieosiągniętym dobrem ulatują drżące, zaznawszy utrudzeń, miast skupić się na jakimś dawno już uznanym dziele.

KSIĘGA PIERWSZA
PANNA DOROTEA BROOKE

ROZDZIAŁ I

Niewiele czynię dobra, bom kobieta,
Wszelako dążę wciąż w jego pobliże.

Beaumont i Fletcher, *The Maid's Tragedy*[1]

Starsza panna Brooke odznaczała się tym rodzajem urody, którą skromność ubioru jeszcze bardziej uwydatnia. Miała tak kształtne dłonie i przeguby, że mogła nosić rękawy równie pozbawione stylu jak te, w jakich ukazywali Madonnę włoscy malarze, a jej profil, sylwetka i sposób bycia nabierały dodatkowej godności dzięki prostocie stroju, który w zestawieniu z prowincjonalną modą robił podobne wrażenie jak piękny cytat z Biblii – czy naszych dawnych poetów – na szpalcie dzisiejszej gazety. Mówiono o niej, że jest bardzo mądra, ale zaraz dodawano, że jej siostra Celia ma więcej zdrowego rozsądku. A przecież Celia nosiła niewiele więcej ozdób i tylko bystry obserwator mógł dostrzec, że jej suknia nieco się różni od sukni siostry, a w jej kroju pojawia się cień kokieterii; akceptowała bowiem w dużej mierze racje, dla których starsza panna Brooke ubierała się z taką prostotą. Nie bez znaczenia była tu świadomość przynależności do określonej sfery: ród Brooke'ów, choć niearystokratyczny w ścisłym tego słowa znaczeniu, był niewątpliwie świetnie skoligacony; w kilku ostatnich pokoleniach nie znalazłoby się wśród jego przodków nikogo, kto by się parał kupiectwem czy sklepikarstwem – nikogo poniżej admirała czy pastora, a był tam nawet pewien purytański dżentelmen, który służył Cromwellowi, a następnie

[1] Jeżeli nie zaznaczono inaczej, motta w przekładzie Barbary Kopeć-Umiastowskiej.

wrócił na łono Kościoła i z wszystkich politycznych perturbacji wyszedł z pokaźnym majątkiem rodzowym. Młode damy z takim nazwiskiem, mieszkające w cichym dworze, uczęszczające do wiejskiego kościółka, niewiele większego niż ich salon, musiały, rzecz jasna, uznawać fatalaszki za rzecz godną ambicji kramarskiej córki. Do tego dodać należy związany z urodzeniem nawyk oszczędności, który w owych czasach sprawiał, że zbytek w ubiorze stanowił pierwszą pozycję do skreślenia, jeśli potrzebne były fundusze na coś, co dobitniej by świadczyło o przynależności do ich sfery. Takie przyczyny dostatecznie tłumaczyłyby ową prostotę ubioru, niezależnie od uczuć religijnych, jednak w przypadku starszej panny Brooke właśnie religia była czynnikiem decydującym. Celia akceptowała potulnie poglądy siostry, nasycając je tylko owym zdrowym rozsądkiem, który potrafi przyjmować najwznioślejsze nawet idee bez przesadnej egzaltacji. Dorotea umiała na pamięć wiele wyjątków z *Mysli* Pascala oraz z pism Jeremy'ego Taylora; uważała, że człowiek, który patrzy na losy ludzkości przez pryzmat chrześcijaństwa, musi dojść do wniosku, że troska o modny strój to zajęcie godne pomyśleńca. Nie potrafiła pogodzić niepokojów życia wewnętrznego, z którego wynikają przecież wieczyste konsekwencje, z żywym zainteresowaniem modną narzutką czy sztuczną wypukłością przymarszczonej materii. Miała filozoficzny umysł, który ze swej istoty tęsknił za jakąś wzniosłą koncepcją świata, obejmującą również parafię Tipton oraz jej, Dorotei Brooke, reguły postępowania w tej parafii; uwielbiała wielkość i intensywność i natychmiast akceptowała wszystko, co w jej oczach nosiło ich znamiona; mogłaby szukać męczeństwa, potem z niego rezygnować, by jednak wreszcie doznać męczeństwa, ale wcale nie tam, gdzie go szukała. Niewątpliwie takie cechy charakteru u panny na wydaniu stanowiły pewną zawadę i sprawiały, że o jej losach nie decydowała, jak to bywa w zwyczaju, uroda, próżność, czy też choćby psie przywiązanie. Z tym wszystkim ona, starsza z sióstr, nie miała jeszcze

dwudziestu lat, i tak jak jej młodsza siostra od śmierci rodziców przed kilku laty otrzymywała wykształcenie wedle przypadkowego, wąskiego programu, najpierw w pewnej rodzinie angielskiej, a potem w rodzinie szwajcarskiej w Lozannie, gdzie umieścił je ich niezona stryj i opiekun, pragnąc w ten sposób powetować im, niedolę sieroctwa.

Nie minął jeszcze rok, odkąd zamieszkały w Tipton Grange razem z owym stryjem, mężczyzną dochodzącym sześćdziesiątki, o ustępliwym usposobieniu, zmiennych poglądach i chwiejnych sympatiach politycznych. W młodości podróżował i jak uważano w tej części hrabstwa, nabrał nieco chaotycznego sposobu myślenia. Wnioski pana Brooke równie trudno było przewidzieć jak pogodę: można było tylko bezpiecznie założyć, że będzie działał w najlepszych intencjach, a do realizacji swych celów użyje jak najmniej pieniędzy. Najbardziej bowiem niezborne i niezdiscyplinowane umysły mają w sobie jakieś określone ziarna przyzwyczajień; bywa, że ktoś nie troszczy się o żadne swoje sprawy i pamięta jedynie o własnej tabakierze, jeśli jednak o nią idzie, jest czujny, podejrzliwy i zaborczy.

Dziedziczna skłonność do purytanizmu nie ujawniła się w panu Brooke, natomiast wyraźnie dawała o sobie znać u Dorotei, zarówno w jej wadach, jak zaletach, na przykład w irytacji na stryjowskie gadanie lub na jego sposób prowadzenia majątku, tak „by wszystko pozostawało, jak jest”. Z tym większym utęsknieniem młoda panna wyglądała chwili, kiedy dojdzie pełnoletności i będzie miała pewną swobodę w dysponowaniu pieniędzmi na jakieś szlachetne cele. Uważano ją za bardzo bogatą: obie siostry otrzymywały po rodzicach siedemset funtów rocznie każda, a gdyby Dorotea wyszła za mąż i miała syna, ten dziedziczyłby majątek pana Brooke przynoszący około trzech tysięcy rocznie – dochód, który wydawał się oszałamiający wielu prowincjonalnym rodzinom, omawiającym dotąd jeszcze ostatnie pociągnięcie pana Peela w Kwestii

Katolickiej, rodzinach, które nawet nie umiałyby sobie wyobrazić przyszłych metod zbijania majątku ani tej olśniewającej plutokracji, co tak szlachetnie podniosła do rangi godności konieczność życia w wielkim stylu.

Jakżeby Dorotea miała nie wyjść za mąż? Panna tak urodziwa i z takimi widokami na przyszłość? Nic nie mogło stanąć temu na przeszkodzie prócz jej zamiłowania do skrajności i upartej chęci dostosowywania życia do własnych wyobrażeń, co przewidującemu mężczyźnie kazałoby się zaważyć przed złożeniem jej propozycji małżeńskiej, ją zaś mogło nawet skłonić do odrzucenia każdych oświadczeń. Młoda panna, dobrze urodzona, bogata, która klęka nagle przy łożu chorego wyrobnika i modli się żarliwie, jakby myślała, że żyje w czasach apostołów, której przychodzą dziwne pomysły, by pościć jak papistka lub ślęczeć nocą nad starymi księgami teologicznymi! Taka żona mogłaby pewnego pięknego ranka obudzić człowieka zaskakującą propozycją, na co ma pójść jej posag, propozycją niemającą nic wspólnego ani z ekonomią polityczną, ani koniecznością utrzymywania koni wierzchowych; doprawdy, człowiek powinien dwa razy pomyśleć, nim zaryzykuje podobny związek. Od kobiet nie oczekuje się zdecydowanych poglądów; ponadto fakt, że ich poglądy nie mają żadnego wpływu na postępowanie, jest największą poręką zarówno dla społeczeństwa, jak życia rodzinnego. Normalni ludzie robią to samo, co ich bliźni, toteż jeśli pojawiają się gdzieś jacyś szaleńcy, łatwo ich rozpoznać i unikać.

Na wsi opinia o dwóch nowo przybyłych pannach, nawet wśród farmerów, skłaniała się na ogół na korzyść Celi, która była taka miła i wyglądała tak niewinnie, podczas gdy ogromne oczy starszej siostry, podobnie jak jej pobożność, wydawały się zbyt niezwykle i osobliwe. Biedna Dorotea! W porównaniu z nią niewinnie wyglądająca Celia była osobą bywałą i doświadczoną; o ileż subtelniejszy jest umysł ludzki od

tkanki, która osłania go z zewnątrz niby tarcza zegarowa czy herbowa.

Jednakże każdy, kto się zetknął z Doroteą, choćby był nawet, wskutek owych niepokojących pogłosek, uprzedzony do niej, stwierdzał, że jest obdarzona urokiem, który w niepojęty sposób daje się z tym wszystkim pogodzić. Większość mężczyzn uważała, że wygląda czarująco na koniu. Dorotea uwielbiała świeże powietrze, wieś i wszystko, co się z nią łączyło, a kiedy jej oczy i policzki błyszcząły radością, wcale nie przypominała dewotki. Jazda konna była słabostką, na którą pozwalała sobie mimo wyrzutów sumienia i wciąż czekała dnia, kiedy się jej wyrzeknie.

Była otwarta, żarliwa, bez cienia zarozumiałstwa; doprawdy, miło było patrzeć, jak jej wyobraźnia przyozdabia Celię we wdzięki o wiele większe niż jej własne, a jeśli się zdarzyło, że jakiś pan pojawiał się we dworze nie po to, żeby się zobaczyć ze stryjaszkiem, wyciągała z tego natychmiast wniosek, że na pewno kocha się w Celi. Na przykład sir James Chettam, na którego starała się patrzeć oczyma Celi, rozważając w duchu, czy siostra powinna go przyjąć, czy odrzucić. Gdyby jej ktoś powiedział, że przecież baronet zabiega o nią samą, uznałaby to za niestosowny żart. Przy wszystkich wysiłkach, by poznać rzeczywistość, Dorotea zachowała bardzo dziecinne wyobrażenia o małżeństwie. Była pewna, że przyjęłaby oświadczyny mądrego Hookera^[2], gdyby się była urodziła na czas i zdążyła go ustrzec od straszliwego błędu, jaki popełnił, wybierając taką, a nie inną kobietę na żonę; albo Johna Milтона, gdy dotknęła go ślepotą, albo jakiegoś innego wielkiego człowieka, którego dziwactwa znosiłaby ze wzniosłą pobożnością. Ale sympatyczny, przystojny baronet, który odpowiadał „oczywista” na każdą jej uwagę, nawet kiedy wyrażała wątpliwości – czymże by mógł ją zainteresować jako konkurent? Prawdziwie cudowne małżeństwo to takie, gdzie mąż

[2] Richard Hooker (1554-1600) – teolog, rzekomo nieszczęśliwy w małżeństwie. W czasach Elżbiety I pisał prace w obronie Kościoła Anglii.

jest jakby ojcem, zdolnym nauczyć żonę nawet hebrajskiego, gdyby tego chciała.

Te osobliwości jej charakteru sprawiały, że okoliczne towarzystwo miało za złe panu Brooke, iż nie zapewnił bratanicom jakiejś damy w średnim wieku w roli towarzyszk i opiekunki. Ale on sam tak bardzo się bał apodyktycznych kobiet – a taką zapewne okazałaby się owa osoba – że pozwolił, aby Dorotea wyperswadowała mu ten pomysł, i znalazł dość odwagi, by stawić w tej sprawie czoło całemu światu, to znaczy pani Cadwallader, żonie miejscowego plebana, oraz nielicznej grupie ziemian, z którymi utrzymywał stosunki w tym północno-wschodnim zakątku hrabstwa Loam. Tak więc starsza z siostr prezydowała w domu stryjaszka, a nowa godność i związana z nią estyma wcale nie wydawały się jej przykre.

Sir James Chettam miał być tego wieczoru na kolacji w Grange wraz z pewnym panem, którego dziewczęta nigdy jeszcze nie widziały, a co do którego Dorotea żywiła jakieś wzniosłe nadzieje. Na kolacji spodziewano się bowiem wielbego Edwarda Casaubona, uważanego w hrabstwie za człowieka ogromnej wiedzy, który podobno od wielu lat pracował nad wiekopomnym dziełem na temat historii religii i który ponadto miał majątek odpowiednio duży, by dodać blasku swej pobożności; posiadał również własne poglądy, ale te miały się jaśniej uwidocznić dopiero w księdze, kiedy zostanie wydana. Samo jego nazwisko robiło wrażenie trudne do oszacowania bez użycia ścisłych miar naukowych.

Tego dnia Dorotea wróciła wcześniej z przedszkola, które założyła we wsi, i zasiadła na swoim ulubionym miejscu w ładnym saloniku dzielącym sypialnię obu siostr z mocnym postanowieniem, że wykończy projekty jakichś budynków (ogromnie lubiła to zajęcie), kiedy Celia, która spoglądała na nią z wahaniem i prosząco, powiedziała wreszcie:

– Doroteo, kochanie, jeśli pozwolisz... jeśli nie jesteś zbyt zajęta...

może mogłybyśmy dzisiaj przejrzeć zostawioną nam przez mamę biżuterię i podzielić się nią? Mija dokładnie sześć miesięcy, od kiedy stryjaszek ci ją wręczył, a ty dotąd nawet na nią nie spojrzałaś.

Na buzi Celi ukazał się cień nadąsania, na prawdziwe dąsy nie pozwalał zbożny lęk przed Doroteą oraz zasady, dwie siły sprawcze, które, poruszone nieopatrnie, mogły wywołać sekretne napięcie. Spojrzawszy niepewnie na siostrę, Celia zobaczyła z ulgą, że zwracające się ku niej oczy Dorotei pełne są rozbawienia.

– Cóż z ciebie za cudowny kalendarzyk, Celio! Czy to sześć miesięcy księżycowych czy kalendarzowych?

– Mamy dzisiaj ostatni dzień września, a stryjaszek dał ci biżuterię pierwszego kwietnia. Pamiętasz przecież, powiedział, że ze szczętem o niej zapomniał. A i ty pewno o niej nawet nie pomyślałaś, odkąd ją zamknęłaś tutaj, w sekretarzyku.

– Wiesz przecież, kochanie, że nie powinnyśmy nosić tej biżuterii. – W ciepłym tonie Dorotei brzmiała i serdeczność, i chęć usprawiedliwienia. Trzymała w ręku ołówek i kreśliła na marginesie projektu jakieś małe, dodatkowe szkice.

Celia oblała się pąsem i zrobiła poważną minę.

– Sądzę, że gdybyśmy ją gdzieś schowały i przestały o niej myśleć, okazałybyśmy brak szacunku dla pamięci mamy... A poza tym – dodała po chwili wahania, a w gardle jej wzbierał szloch upokorzenia – naszyjniki często się teraz nosi, nawet Madame Poinçon, która pod pewnymi względami była bardziej surowa niż ty, nie wyrzekła się biżuterii. A jeśli idzie o chrześcijan... na pewno są w niebie kobiety, które za życia nosiły klejnoty... – Kiedy Celi bardzo zależało na tym, by kogoś przekonać, dawała świadectwo swoich sił umysłowych.

– Chciałabyś je nosić? – zawołała Dorotea, a zdumienie nad dokonany odkryciem ożywiło całą jej postać i nadało ruchom

dramatyczności zapożyczonej od tej właśnie pani Poinçon, która nosiła biżuterię. – W takim razie wyjmijmy ją zaraz. Czemuś mi o tym wcześniej nie powiedziała? Ale klucze, klucze! – ścisnęła dłońmi skronie, zdesperowana brakiem pamięci.

– Klucze są tutaj. – Tę wiadomość Celia miała już od dawna gotową i przemyślaną.

– Otwórz, proszę, dużą szufladę w sekretarzyku i wyjmij szkatułkę z biżuterią.

Po chwili szkatułka stała otwarta, a rozłożone na stole klejnoty utworzyły przed oczyma sióstr wspaniały kwietnik. Nie była to wielka kolekcja, ale kilka sztuk odznaczało się ogromną urodą; na pierwszy rzut oka największe wrażenie robił naszyjnik z ametystów w pięknej złotej oprawie, a również krzyżyk z pereł, w którym tkwiło pięć brylantów. Dorotea natychmiast zapięła siostrze naszyjnik na szyi, do której przyległ ściśle jak bransoletka, a krąg, jaki w ten sposób powstał, znakomicie podkreślał linię głowy i szyi Celi, w stylu Henrietty Marii^[3], co mogła wyraźnie stwierdzić w stojącym naprzeciwko zwierciadle.

– No, proszę, Celio! Możesz go włożyć do tej sukni z indyjskiego musłinu. Ale krzyżyk będzie bardziej odpowiedni do ciemnej sukni.

Celia starała się powściągnąć uśmiech zadowolenia.

– Och, Dodo, ten krzyż musisz zatrzymać dla siebie.

– Nie, moja droga, nie, nie. – Dorotea odrzuciła propozycję niedbałym gestem dłoni.

– Musisz, musisz naprawdę; bardzo do ciebie pasuje, zwłaszcza do twojej czarnej sukni – nalegała Celia. – Ten krzyżyk *mogłabyś* nosić.

– Za żadne skarby świata, za żadne skarby świata. Krzyż to ostatnia rzecz, jakiej mogłabym użyć jako ozdobę. – Dorotea zadrżała lekko.

[3] Henrietta Maria – żona Karola I, przedstawiana zawsze z naszyjnikiem z pereł.

– Wobec tego będziesz mnie uważała za grzesznicę, jeśli go zacznę nosić. – W głosie Celi brzmiał niepokój.

– Nie, droga moja. – Dorotea pogładziła siostrę po policzku. – Ludzkie dusze też mają rozmaite rodzaje cery; to, co pasuje do jednej, nie pasuje do drugiej.

– Ale mogłabyś go zachować przez pamięć dla mamy.

– Nie, mam inne po niej pamiątki: pudełko z drzewa sandałowego, które tak bardzo lubię – masę rzeczy. Naprawdę, to wszystko jest twoje, kochanie. Nie będziemy więcej mówić na ten temat. Masz, zabieraj swoją własność!

Celia czuła się troszkę urażona. W tej purytańskiej tolerancji kryło się silne poczucie własnej wyższości, niemal równie drażniące dla zrównoważonej jasnowłosej panny, co purytańskie prześladowania.

– Jakże ja mogę nosić ozdoby, jeśli ty, moja starsza siostra, nie chcesz ich nosić?

– Doprawdy, Celio, prosisz o zbyt wiele: żebym ja miała obwieszać się błyskotkami dla twojego dobrego samopoczucia! Gdybym włożyła taki naszyjnik, zakręciłoby mi się w głowie. Świat zawirowałaby razem ze mną i nie ustałabym na własnych nogach.

Celia rozpięła naszyjnik i zdjęła go.

– Dla ciebie byłyby trochę za krótki, lepsze byłoby coś dłuższego, płaskiego – powiedziała z pewnym zadowoleniem.

Fakt, że naszyjnik z każdego punktu widzenia był nieodpowiedni dla Dorotei, sprawiał, że Celia przyjęła go z lżejszym sercem. Otworzyła teraz pudełeczko z pierścionkami: oczom sióstr ukazał się piękny szmaragd z brylantami i właśnie w tym momencie słońce wychyliło się zza chmury i rzuciło jasny promień na stół.

– Jakie te kamienie piękne – szepnęła Dorotea w nowym przybliżeniu uczuć równie niespodzianych, jak ten promień. – Zdumiewające, jak

barwy potrafią głęboko przenikać człowieka, podobnie jak zapach. Pewno dlatego w Objawieniu świętego Jana szlachetne kamienie służą za duchowe emblematy. Wyglądają jak odpryski nieba. Ten szmaragd jest najpiękniejszy z tych wszystkich kamieni.

– Popatrz, jest do niego bransoletka, to komplet – ucieszyła się Celia.
– Wcale jej nie zauważyłyśmy.

– Śliczne – Dorotea wsunęła pierścionek i bransoletę na pięknie wymodelowany palec i przegub dłoni, a potem, zwróciwszy rękę ku oknu, podniosła ją na wysokość oczu. Przez cały czas starała się w myślach usprawiedliwić swój zachwyt nad tymi barwami, włączając je w mistyczną radość religijnego przeżycia.

– Wzięłabyś je, Doroteo? – spytała Celia niepewnym głosem, bo w głowie jej powstała zdumiewająca myśl, że siostra okazuje pewną słabość, jak również taka, że szmaragdy bardziej niż amarantowe ametysty pasowałyby do jej własnej cery. – Musisz wziąć ten cały komplet, jeśli nie chcesz niczego więcej. Ale popatrz, te agaty też są bardzo ładne i takie spokojne.

– Tak, zatrzymam pierścionek i bransoletkę – powiedziała Dorotea. Potem, spuszczać bezwładnie rękę na stół, dodała innym już tonem: – Pomyśl o tych nieszczęśnikach, którzy szukają takich kamieni, szlifują je i potem sprzedają! – Znowu umilkła i Celia pomyślała, że siostra ma zamiar wyrzec się tych klejnotów, co zresztą powinna zrobić, jeśli jest konsekwentna. – Tak, kochana moja, zatrzymam je – powtórzyła ze zdecydowaniem Dorotea. – Ale zabierz resztę, i szkatułkę też.

Ujęła znów ołówek, nie zdejmując klejnotów i wciąż na nie patrząc. Postanowiła często je nosić na rękę, by cieszyć oczy tymi malutkimi fontannami czystej barwy.

– Będziesz je nosiła w towarzystwie? – Celia wpatrywała się w siostrę, naprawdę ciekawa jej odpowiedzi.

Dorotea rzuciła na nią szybkie spojrzenie. Mimo upiększania w wyobraźni tych, których kochała, zdobywała się od czasu do czasu na ostry sąd o nich, zaprawiony nawet odrobiną zjadliwości. Jeśli starsza panna Brooke stałaby się kiedykolwiek całkowicie łagodna, to z pewnością nie na skutek braku wewnętrznego ognia.

– Może – odparła wyniośle. – Nie wiem, do jakiego poziomu mogę się jeszcze zniżyć.

Celia poczerwieniała i zrobiło się jej przykro; pojęła, że uraziła siostrę, i nie śmiała nawet skwitować miłymi słowami podarunku z biżuterii, którą włożyła z powrotem do szkatułki i schowała do sekretarzyka. Dorotei też było przykro i szkicując dalej, zapytywała samą siebie, czyjej uczucia i słowa podczas tej rozmowy zakończonej drobnym wybuchem były naprawdę szczere.

Celia nie miała najmniejszego poczucia winy: pytanie, jakie postawiła, było naturalne i usprawiedliwione, powtarzała więc sobie w duchu, że Dorotea jest niekonsekwentna; powinna była albo wziąć taką część biżuterii, jaka jej się należy, albo po tym, co powiedziała, zrzec się jej całkowicie.

„Jestem pewna, a przynajmniej mam nadzieję – myślała Celia – że noszenie naszyjnika nie przeszkodzi mi w pacierzach. I wcale nie uważam, żeby poglądy Dorotei musiały mnie obowiązywać, teraz kiedy już zaczynamy być w towarzystwie, chociaż dla niej, rzecz jasna, powinny być zobowiązujące. Ale Dorotea nie zawsze jest konsekwentna”.

Tak rozmyślała Celia pochylona nad swym haftem, gdy usłyszała, że siostra ją woła.

– Chodź no tu, Kitty, popatrz na mój projekt; mogłabym pomyśleć, że ze mnie wielki architekt, gdybym jeszcze potrafiła sobie poradzić ze schodami i kominkiem.

Gdy Celia pochyliła się nad projektem, Dorotea przytuliła

pieszczotliwie policzek do jej ramienia. Celia zrozumiała, co ten gest znaczy. Dorotea uznała, że nie miała racji, a Celia jej wybaczyła. Odkąd sięgały pamięcią, krytycyzm Celi wobec starszej siostry mieszał się ze zbożnym lękiem. Zawsze czuła ciężar swojego jarzma – ale przecież jarzmo nie wyklucza posiadania własnych poglądów.

ROZDZIAŁ II

„Dime; no ves aquel caballero que hácia nosotros viene sobre un caballo rucio rodado que trae puesto en la cabeza un yelmo de oro?” „Lo que veo y columbro – respondiò Sancho – no es sino un hombre sobre un asno pardo como el mio, que trae sobre la cabeza una cosa que relumbra”. „Pues ese es el yelmo de Mambrino”, dijo Don Quijote.

– Powiedz mi, czy nie widzisz rycerza, co się ku nam zbliża na siwojabłkowitym koniu, a na głowie ma hełm złoty?

– To, co widzę i rozróżniam – odpowiedział Sancho – jest tylko człek na osle szarym jak mój, który na głowie ma coś świecącego.

– To właśnie jest hełm Mambryna – rzekł Don Kichote[4].

Manuel de Cervantes, *Don Kichote*

– Sir Humphry Davy – dywagował nad zupą pan Brooke, nawiązując ze swą jowialną swobodą do uwagi sir Jamesa, że studiuje *Chemię rolną* Davy’ego. – No proszę, sir Humphry Davy, jadłem z nim przed laty kolację u Cartwrighta, a był wtedy z nami Wordsworth, ten poeta, ma się rozumieć, Wordsworth. Osobliwa sprawa. Studiowałem w Cambridge w

[4] Przeł. Anna Ludwika Czerny, Zygmunt Czerny.

czasie, kiedy i Wordsworth tam był, i nigdy się z nim nie zetknąłem, a w dwadzieścia lat później spotkałem go na kolacji u Cartwrighta. Jak to się wszystko dziwnie plecie! Ale był na tej kolacji i Davy, też poeta. Trzeba właściwie powiedzieć, że Wordsworth był poetą numer jeden, a Davy – numer dwa. Tak to w istocie, ma się rozumieć, było.

Dorotea czuła większe niż zwykle zakłopotanie. Zebrane przy kolacji grono było nieliczne, jadalnia cicha, tym wyraźniej więc było słychać padanie owych strzępków z kłębowiska myśli zacnego sędziego pokoju. Zastanawiała się, jak też człowiek pokroju pana Casaubona wytrzymałe podobne popolitości. Obejście miał, uważała, bardzo godne; zarówno sposób uczesania stalowosiwych włosów, jak głęboko osadzone oczy upodabniały go do portretu Locke’a. Był kościsty, o woskowej cerze, jak przystało uczonemu – krańcowo odmienny od typu rumianego Anglika o rudych faworytach, jaki przedstawiał sir James.

– Czytam *Chemię rolną* – powiedział ów znamienity baronet – ponieważ zamierzam wziąć we własne ręce jedną z farm i zobaczyć, czy nie uda mi się dać moim dzierżawcom przykładu dobrego gospodarowania. Czy pochwała pani ten projekt, panno Doroteo?

– Wielki błąd, sąsiedzie – wtrącił się pan Brooke. – Wielki błąd brać się do elektryzowania^[5] swoich gruntów i takich tam dziwactw i oborę przerabiać na salon. Żadnego pożytku z tego nie będzie. Sam w swoim czasie wiele studiowałem, ale doszedłem do wniosku, że nic to dobrego nie przyniesie. Może prowadzić nie wiadomo do czego; potem nic nie zostaje, jak było. Nie, nie, sąsiedzie, pilnuj, żeby dzierżawcy nie sprzedawali swojej słomy, i daj im, ma się rozumieć, rury drenarskie. Ale z tych twoich nowomodnych pomysłów nic dobrego w gospodarce nie przyjdzie, to najkosztowniejsza zabawka, jaką możesz sobie zafundować,

[5] Wpływ elektryzowania wody na tempo wzrostu roślin odkrył sir Humphry Davy (1778-1829) – poeta, naukowiec w zakresie chemii rolnej.

już lepiej trzymaj sforę.

– Sądzę – odezwała się Dorotea – że słuszniej jest wydawać pieniądze na poszukiwania, jak z największym pożytkiem wykorzystywać ziemię, która nas wszystkich żywi, niż trzymać psy i konie tylko po to, by po niej galopować. To nie grzech zbiednieć na eksperymentach dokonywanych dla powszechnego dobra.

Mówiła to z większą werwą, niż się tego można było spodziewać po pannie tak młodej, ale przecież sir James zwrócił się do niej o zdanie. Miał to w zwyczaju, a ona często myślała, że kiedy już zostanie jej szwagrem, na pewno uda się jej nakłonić go do wielu szlachetnych przedsięwzięć.

Gdy Dorotea wypowiadała te słowa, pan Casaubon bacznie przeniósł na nią wzrok i patrzył, jakby ją zobaczył po raz pierwszy.

– Młode damy nie znają się na ekonomii politycznej, ma się rozumieć. – Pan Brooke uśmiechnął się do pana Casaubona. – Pamiętam, jak wszyscy zaczytywaliśmy się w książkach Adama Smitha. To dopiero była lektura! Akceptowałem wszystkie nowe koncepcje naraz – zdolność człowieka do doskonałości, rzecz jasna. Ale jak niektórzy powiadają, historia kołem się toczy, co można wcale dobrze udowodnić; sam to kiedyś udowadniałem. Rzecz w tym, że rozum może człowieka zaprowadzić trochę za daleko – niemal na manowce. W swoim czasie zaprowadził mnie bardzo daleko, ale zrozumiałem, że nic z tego dobrego nie przyjdzie, i dałem pokój. Dałem pokój w sam czas. Nie ze wszystkim. Zawsze byłem zdania, że odrobina teorii to rzecz, która się przydaje; bez Myśli wylądujemy z powrotem w średniowieczu. Ale, ale jak mowa o książkach, rad bym wspomnieć o *Wojnie hiszpańskiej* Southeya. Czytałem ją dziś rano. Znasz pan Southeya?

– Nie. – Pan Casaubon nie dotrzymywał kroku rwącym myślom gospodarza i odpowiedział tylko na pytanie o książkę. – Mało mam obecnie wolnego czasu na podobne lektury. Ostatnio niszcę sobie wzrok na piśmie

starożytnym i prawdę mówiąc, potrzebuję lektora wieczorami, jestem jednak bardzo wybredny, jeśli idzie o głos, i trudno mi znieść czytanie, które nie byłoby doskonałe. Pod wieloma względami to nieszczęście; zbyt wiele czerpię pokarmu ze źródeł wewnętrznych, zbyt wiele przebywam wśród zmarłych. Umysł mój, niby duch człowieka starożytnego, wędruje po świecie i próbuje go w myślach zrekonstruować, uczynić takim, jaki był, nie bacząc na ruiny i myśląc zmiany. Ale jak stwierdziłem, konieczne jest, bym szczególnie oszczędzał wzrok.

Była to pierwsza dłuższa wypowiedź pana Casaubona. Dobierał starannie słowa, jakby został wezwany do złożenia oświadczenia publicznego, a wyważona, monotonna poprawność tej wypowiedzi, wspomaganej od czasu do czasu poruszeniami głowy, uderzała, przez kontrast, z bezładem fragmentarycznych uwag zacnego pana Brooke. Dorotea powiedziała sobie w duchu, że pan Casaubon jest najciekawszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkała, nie wyłączając nawet monsieur Lireta, duchownego z kantonu Vaud, który organizował konferencje na temat historii waldensów. Rekonstrukcja świata przeszłości, mająca niewątpliwie na celu wzniosłą służbę prawdzie. Jakże cudownie byłoby asystować przy takim dziele, wspomagać je, choćby tylko trzymając lampę! Ta podniosła myśl pozwoliła jej wznieść się ponad docinkiem, że się nie zna na ekonomii politycznej, tej niewyjaśnionej wiedzy, której używano do wygaszania wszystkich jej, Dorotei, światła.

– Znajduje pani tyle upodobania w konnej jeździe! – Sir James skorzystał ze sposobności, by się wtrącić. – Tuszę, iż będzie pani zażywać niekiedy przyjemności myśliwskiego sportu. Pragnąłbym, aby mi było wolno przyprowadzić pani mojego kasztana do wypróbowania. Był układany pod damskie siodło. Widziałem panią w sobotę galopującą na wzgórzu, dosiadała pani niegodnego jej podjezdka. Mój stajenny będzie codziennie przyprowadzał pani Korydona, jeśli tylko zechce pani

łaskawie wyznaczyć godzinę.

– Dziękuję, bardzo to uprzejme z pana strony, ale zamierzam zaniechać jeździectwa. Nie będę już więcej jeździła konno. – Na tę nagłą decyzję Dorotei złożyła się w niemałym stopniu irytacja z powodu tego, że sir James absorbował jej uwagę, którą ona pragnęła w całości poświęcić panu Casaubonowi.

– Och, to nazbyt okrutne – zaprotestował sir James tonem wyrzutu, świadczącym o jego osobistym zainteresowaniu sprawą. – Pani siostra ma skłonność do samoumartwiania, prawda? – Zwrócił się do Celi, która siedziała po jego prawej ręce.

– Sądzę, że tak – Celia przytaknęła z obawą, by czasem nie powiedzieć czegoś, co się nie spodoba Dorotei, i zalała się wdzięcznym rumieńcem aż po naszyjnik. – Ona lubi się wyrzekać różnych rzeczy.

– Gdyby to była prawda, Celio, nie byłoby to umartwienie, ale folgowanie sobie. Ale przecież istnieją powody, dla których warto się wyrzec czegoś, co człowiekowi miłe.

Pan Brooke w tym czasie coś mówił, ale jasne było, że pan Casaubon obserwuje Dorotę, a ona jest tego świadoma.

– Oczywiście – przytaknął sir James. – Wyrzeka się pani z jakichś szlachetnych, wzniosłych pobudek.

– Nie, to nie jest oczywiste. Nie odnosiłam tego do własnej osoby – odparła Dorotea z rumieńcem. W odróżnieniu od Celii rzadko się czerwieniła, i tylko z radości albo gniewu. W tym momencie była zła na tego upartego sir Jamesa. Czemu nie zajmie się Celią i nie pozwoli, aby ona mogła słuchać pana Casaubona? Gdyby tylko ten uczony mąż zechciał sam mówić zamiast pozwalać, by mówił do niego pan Brooke, który go właśnie informował, że Reformacja albo coś oznaczała, albo nie oznaczała nic zgoła, że on sam jest protestantem do szpiku kości, ale że katolicyzm to fakt, a jeśli idzie o odmawianie akra ziemi na rzymskokatolicką kaplicę,

to doprawdy każdy potrzebuje cugli, jakie stanowi religia, która mówiąć ściśle, jest obawą przed tym, co nastąpi po śmierci.

– Prowadziłem głębokie studia teologiczne w swoim czasie – ciągnął pan Brooke, jakby chciał wyjaśnić, skąd ta wnikliwa wiedza. – Wiem coś niecoś o wszystkich szkołach. Znałem Wilberforce’a^[6] w jego najlepszym okresie. Czy zna pan Wilberforce’a?

Pan Casaubon odpowiedział, że nie zna.

– No cóż, z Wilberforce’a nie był może największy myśliciel, ale gdybym ja wszedł do Parlamentu, jak mnie o to proszono, to siedziałbym na ławie niezależnych, tak jak Wilberforce, i działałbym na rzecz filantropii.

Pan Casaubon skłonił głowę i zauważył, że to szeroka dziedzina.

– Owszem – przyznał pan Brooke z beztróskim uśmiechem. – Tyle że ja posiadam dokumenty. Zacząłem je gromadzić bardzo dawno. Trzeba je tylko uporządkować, ale jeśli zainteresował mnie jakiś problem, pisałem do odpowiedniej osoby i otrzymywałem odpowiedź. Mam wsparcie w dokumentach. Powiedz mi pan, jak segregujesz swoje dokumenty?

– W przegródkach po części – odparł z pewnym wysiłkiem zaskoczony pan Casaubon.

– Och, przegródki są na nic. Próbowałem przegródek, ale wszystko mi się w nich miesza. Nigdy nie wiem, czy jakiś dokument jest pod A, czy pod Z.

– Bardzo bym chciała, żeby mi stryjaszek pozwolił uporządkować swoje dokumenty – włączyła się do rozmowy Dorotea. – Oznaczyłabym je wszystkie literami, a każdą literę opatrzyłabym spisem zawartych pod

[6] William Wilberforce (1759-1833) – filantrop walczący o wprowadzenie zakazu handlu niewolnikami, członek Parlamentu do 1825 r., kiedy zrezygnował z powodu złego stanu zdrowia, stąd mowa o nim w czasie przeszłym.

nią tematów.

Pan Casaubon poważnym uśmiechem wyraził swoją aprobatę, a potem zwrócił się do pana domu:

– Widzę, że ma pan tuż pod ręką wyborczego sekretarza.

– Co to, to nie – potrząsnął głową pan Brooke. – Nie pozwolę, żeby młode panny grzebały w papierach. Dziewczęta to wietrznice.

Dorocea poczuła się urażona. Jeszcze pan Casaubon wyobraził sobie, że stryjaszek miał jakąś określoną przyczynę, by wypowiedzieć swoje zdanie, a przecież owa myśl bujała mu w głowie, niby ułamane skrzydło owada pośród innych fruujących tam szczątków, i tylko przypadkowy powiew dmuchnął ją ku bratanicy.

Kiedy obie panny znalazły się same w salonie, Celia powiedziała:

– Jakież ten pan Casaubon jest ohydny!

– Celio! To jeden z najbardziej dystyngowanych mężczyzn, jakich w życiu widziałam! Jest niezmiernie podobny do portretu Locke’a. Ma tak samo głęboko osadzone oczy.

– Czy Locke miał na twarzy dwie białe myszki porośnięte włosami?

– Och, może zauważali je ludzie określonego rodzaju – odparła Dorocea, odchodząc parę kroków.

– Pan Casaubon jest taki ziemisty.

– Tym lepiej. A ty byłabyś gotowa uwielbiać mężczyznę z cerą jak *cochon de lait*!

– Dodo! – zakrzyknęła Celia, spoglądając ze zdumieniem na siostrę. – Nigdy nie słyszałam, żebyś robiła podobne porównania!

– Nie robiłam, bo nie miałam powodu. To dobre porównanie: bardzo odpowiednie.

Starsza panna Brooke zapominała się, doprawdy, i Celia była tego świadoma.

– Obawiam się, Doroceo, że pokazujesz humory.

– Przykro mi, Celio, że patrzysz na ludzkie istoty jak na zwierzęta w przyodziewku i nie jesteś zdolna dojrzeć wielkiej duszy w twarzy mężczyzny.

– Czy pan Casaubon ma wielką duszę? – W głosie Celii zabrzmiała odrobina niewinnej złośliwości.

– Tak, sądzę, że ma – odpowiedziała Dorotea z pełnym przekonaniem. – Wszystko, co w nim widzę, jest zgodne z jego pracą na temat kosmologii biblijnej.

– Niewiele mówił – zauważyła Celia.

– Nie miał tu żadnego partnera do rozmowy.

Celia myślała po cichu: „Dorotea po prostu gardzi sir Jamesem Chettamem; sądzę, że ona go nie przyjmie”. Uważała, że to wielka szkoda. Nigdy nie miała złudzeń co do tego, kto jest prawdziwym przedmiotem zainteresowania baroneta. Niekiedy pozwalała sobie na przypuszczenie, że chyba Dodo nie da szczęścia mężowi, który nie będzie widział wszystkiego w ten sam sposób, co ona, i tłumiała na samym dnie serca przekonanie, że jej siostra jest zbyt pobożna na rodzinne szczęście. Dziwactwa i skrupuły to jakby ktoś rozsypywał szpilki, każdy boi się wtedy chodzić, siadać, a nawet jeść.

Kiedy starsza panna Brooke zasiadła przy zastawie do herbaty, sir James przysunął się do niej, wcale nie zniechęcony sposobem, w jaki go potraktowała. Czemu miałyby się czuć dotknięty? Uważał za prawdopodobne, iż panna Brooke go lubi, a doprawdy tylko bardzo jednoznaczne jej zachowanie mogłoby zmienić jego dotychczasowy sąd. Dorotea wydawała mu się wręcz czarująca, ale, oczywiście, teoretyzował nieco, jeśli idzie o własne do niej uczucia. Ulepiony był z doskonałej ludzkiej gliny i posiadał rzadką umiejętność rozumienia, że nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach jego talenty nie pozwolą mu odkryć choćby ziarnka prochu, miło mu więc było myśleć

o takiej przyszłej żonie, którą mógłby spytać: „Co zrobimy?”, mając taki czy inny problem, i która potrafiłaby wesprzeć męża argumentami, w tym również argumentem natury majątkowej. W kwestii przesadnej pobożności, jaką przypisywano pannie Dorotei, nie bardzo rozumiał, w czym rzecz, i przypuszczał, że jej to minie po ślubie. Krótko mówiąc, sądził, że właściwie ulokował swe uczucia, i gotów był ścierpieć również i to, że będzie nad nim zdecydowanie dominowała, czemu, rzecz jasna, mężczyzna może w każdej chwili położyć kres, jeśli mu przyjdzie ochota. Nie wydawało mu się jednak, by mógł kiedykolwiek mieć ochotę na położenie kresu dominacji tej ładnej panny, której mądrość go zachwycała. Umysł męski – jakikolwiek by był – posiada zawsze tę wyższość, że jest męski, podobnie jak najmniejsza brzoza jest drzewem wyższego gatunku niż strzelista palma, a więc nawet jego niewiedza odznacza się lepszą jakością. Sir James nie wymyślił zapewne tej klasyfikacji, ale dobrotliwa Opatrzność nasycy najślabszą nawet osobowość odrobiną jakiegoś kleju czy krochmalu w postaci tradycji.

– Niechże mi pani pozwoli wierzyć, że zmieni swoje postanowienie co do konia – nalegał uparty wielbiciel. – Zapewniam panią, że jeździectwo to najzdrowszy ze sportów.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparła Dorotea chłodno. – Sądzę, że jazda konna doskonale by zrobiła Celii, gdyby zdołała w niej zasmakować.

– Ale pani jest tak wyśmienitą amazonką.

– Proszę wybaczyć. Brak mi doświadczenia i koń łatwo mógłby mnie rzucić.

– To tylko powód, aby częściej jeździć. Każda dama powinna dobrze jeździć, aby móc towarzyszyć swojemu mężowi.

– Sam pan widzi, jak bardzo się różnimy. Postanowiłam, że nie będę świetną amazonką, wobec czego nigdy nie będę odpowiadała pańskiemu pojęciu damy.

Dorotea patrzyła wprost przed siebie i mówiła chłodno i obcesowo, niby urodziwy chłopak, co stanowiło zabawny kontrast z wyszukaną uprzejmością jej wielbiciela.

– Chciałbym znać przyczyny tej okrutnej decyzji. Przecież to niemożliwe, by uznała pani jeździectwo za coś niewłaściwego.

– Jest zupełnie możliwe, iż uznałam je za coś niewłaściwego dla mnie.

– Ale dlaczego? – W głosie sir Jamesa brzmiał czuły wyrzut.

Pan Casaubon, z filiżanką w ręku, podszedł do stolika z zastawą i przysłuchiwał się rozmowie.

– Nie powinniśmy zbyt natarczywie dopytywać się o motywy – wtrącił miarowym głosem. – Panna Brooke zdaje sobie sprawę, że ubrane w słowa mogą się wydać słabe: piękny zapach miesza się z pospolitą wonią. Trzeba osłaniać kielkujące ziarno przed światłem.

Dorotea zaczerwieniła się z radości i spojrzała z wdzięcznością na mówiącego. Oto człowiek zdolny zrozumieć wyższe życie wewnętrzne, człowiek, z którym można mieć jakąś więź duchową, więcej, który potrafi oświecić zasady swoją najgłębszą wiedzą: człowiek, którego uczoność jest niemal równoznaczna z dowodem prawdziwości tego, w co wierzy.

Wnioski Dorotei mogą się wydać przesadne, ale doprawdy, życie nie mogłoby postępować naprzód, gdyby nie powszechność takich wniosków, ułatwiających zawieranie małżeństw, mimo stwarzanych przez cywilizację trudności. Czy ktokolwiek ukazał kiedykolwiek we właściwym świetle nikłość filigranowej pajęczyny przedmałżeńskiej znajomości?

– Oczywiście – powiedział zacny sir James. – Nikt nie będzie nakłaniał panny Brooke do wyjawienia przyczyn, które chciałyby zachować dla siebie. Jestem przekonany, że przynoszą jej zaszczyt.

Nie był ani trochę zazdrosny o względy, jakie Dorotea okazywała panu Casaubonowi: nie przyszło mu nawet do głowy, że panna, której kandydaturę na żonę właśnie rozważa, mogłaby się zainteresować

suchym molem książkowym pod pięćdziesiątkę – chyba że z powodów religijnych, gdyby uważała, że to wybitny duszpasterz.

Ponieważ starsza panna Brooke zagłębiła się w rozmowie z panem Casaubonem na temat duchowieństwa w kantonie Vaud, sir James przysiadł się do Celi i rozmawiał z nią o jej siostrze: opowiadał o swoim domu w Londynie i pytał, czy panna Dorotea lubi stolicę. Celia, gdy znajdowała się trochę dalej od Dorotei, mówiła bardzo swobodnie i sir James powiedział sobie w duchu, że doprawdy, młodsza panna Brooke jest bardzo miła, a także bardzo ładna, choć wcale nie mądrzejsza ani rozsądniejsza od starszej, jak twierdzą niektórzy. Uważał, że wybrał lepszą pod każdym względem – mężczyzna lubi oczywiście myśleć, iż będzie miał w przyszłości to, co najlepsze. Ten, kto udaje, że na to nie liczy, jest największym hipokrytą pośród kawalerów.

ROZDZIAŁ III

Powiedz, Bogini, o tym, co się działo,
Gdy ów Rafael, archanioł uprzejmy
...
Z Ewą, małżonką swą, słuchał on tego
Pilnie, a podziw go wielki przepełnił
I zamyślenie głębokie, gdy słuchał
O rzeczach dziwnych tak, i tak wysokich[7].

John Milton, *Raj utracony*, ks. VII

Jeśli panu Casaubonowi istotnie powstało w głowie, że starsza panna Brooke mogłaby być dla niego odpowiednią żoną, to argumenty za tym, by go ewentualnie przyjąć, już zakiełkowały w jej umyśle, a do wieczora następnego dnia wypuściły pączki i rozkwitły. Odbyli bowiem długą rozmowę przed południem, podczas gdy Celia, której nie odpowiadała ziemistość i myszki pana Casaubona, schowała się na plebanii i bawiła z wesołymi, choć skromnie odzianymi dziećmi plebana.

Tymczasem zaś Dorotea zaglądała w niezmierzone otchłanie umysłu pana Casaubona i znajdowała odbite w nich mgliste, pokrętne przedłużenie wszystkiego, co tam sama wniosła; zwierzyła mu się też z wielu własnych doświadczeń i usłyszawszy wyjaśnienia gościa, pojęła wielkość jego znakomitego dzieła, interesującego również dzięki swojej pokrętności. Pan Casaubon tłumaczył jej wszystko niby miltonowski „uprzejmy archanioł”; sposobem zachowania przypominając nieco owego archanioła, opowiadał, jak to postanowił dowieść (wcześniej próbowali [7] Przeł. Maciej Słomczyński.

to uczynić inni, zabrakło im jednak dokładności oraz umiejętności dokonywania rzetelnych porównań i należytej systematyczności, które on sam starał się wprowadzić), że wszystkie systemy mitów lub też przypadkowe ich fragmenty na całym świecie są deformacjami pewnej objawionej pierwotnie tradycji. Kiedy się przyjmie właściwą pozycję wyjściową i mocno na niej utwierdzi, ogromne pole konstrukcji mitologicznych staje się czytelne, więcej, jaśniej odbitym blaskiem wzajemnych odpowiedników. Nie jest jednak rzeczą ani łatwą, ani rychłą doprowadzenie do wielkich żniw prawdy. Same notatki, jakie pan Casaubon spisał, to potężny stos tomów, a zadaniem wieńczącym dzieło będzie skompromowanie tych obfitych i wciąż rosnących osiągnięć, tak by podobnie jak dokonany niegdyś zbiór Hipokratesowych ksiąg mógł się zmieścić na małej półce. Pan Casaubon tłumaczył to wszystko Dorotei niemal jak uczonemu koledze, nie miał bowiem do dyspozycji dwóch rodzajów stylu; co prawda trzeba przyznać, że jeśli cytował jakieś łacińskie czy greckie zdanie, zawsze skrupulatnie tłumaczył je na angielski, zapewne jednak czyniłby to w każdym przypadku. Uczony duszpasterz z prowincji zwykł myśleć o swoim otoczeniu jako o „panach, rycerzach i innych ludziach cnych i szlachetnych, co niewiele wǳali łaciny”^[8].

Doroteę urzekła rozległość jego zamierzenia. Oto coś, co wykracza poza płycizny lektur czytanych w szkołach dla młodych dam: oto żywy Bossuet, łączący w swej pracy głęboką wiedzę z gorliwą pobożnością, oto współczesny Augustyn, jednoczący w swojej osobie wielkość doktora nauk i świętego.

Świętość pana Casaubona wydawała się równie oczywista jak jego uczoność, kiedy bowiem Dorotea, pchnięta impulsem, wyjawiała swe

[8] *Podróże sir Johna Mandeville* – przewodnik dla pielgrzymów do Ziemi Świętej, spisany przez nieznanego autora w połowie XIV wieku.

poglądy na pewne sprawy, których nie mogła dotychczas poruszać z nikim w Tipton – zwłaszcza zaś kiedy powiedziała, że, jej zdaniem, formy kościelne i artykuły wiary mają drugorzędne znaczenie w porównaniu z tą wiarą ducha, z tym zapamiętaniem się człowieka w zjednoczeniu z bożą doskonałością, które, jak sądzi, znaleźć można w najdoskonalszych chrześcijańskich księgach z bardzo wczesnych wieków – pan Casaubon natychmiast je zrozumiał, zapewnił, że godzi się z tym poglądem, jeśli tylko zostanie złagodzony mądrym konformizmem, i umiał na potwierdzenie przytoczyć przykłady historyczne, dotychczas jej nieznanne.

„On myśli tak jak ja – powiedziała sobie w duchu Dorotea – a raczej o niebo lepiej; w porównaniu z nim moje myśli to miernota. A jeszcze jego uczucia, jego doświadczenie – to całe jezioro w porównaniu z moją małą kałużą”.

Panna Brooke wyciągała wnioski ze słów i upodobań rozmówcy równie pochopnie jak inne młode damy w jej wieku. Znaki to rzeczy drobne i wymierne, ale interpretacje znaków nie znają granic, a dziewczynom o słodkim, żarliwym usposobieniu łatwo jest wyczarować z każdego znaku zachwyty, nadzieję i wiarę bezkresną jak niebo, a zabarwioną naparstkiem rozcieńczonej substancji zwanej wiedzą. Nie zawsze się ze szczętem oszukują; przecież i Sindbad zdołał dzięki szczęśliwemu przypadkowi wpaść na właściwe objaśnienie. Niekiedy mylne rozumowanie prowadzi nas, biednych śmiertelników, do właściwych wniosków: wyruszywszy do odległego celu, idąc zygzakami i okrężną drogą, dochodzimy niekiedy tam, dokąd dojść powinniśmy. Pochopna ufność starszej panny Brooke bynajmniej nie oznacza, że pan Casaubon nie zasługiwał na nią.

Pozostał nieco dłużej, niż był uprzednio zamierzał, ulegając rzuconej lekko prośbie gospodarza, który za całą przynętę ofiarował mu swoje dokumenty, związane z niszczeniem maszyn i paleniem stogów. Zaprosił pana Casaubona do biblioteki, aby mu pokazać owe leżące w stosie

papiery, podniósł pierwszy z wierzchu, potem drugi i zaczął czytać przypadkowe fragmenty, chaotycznie, bez związku, przeskakując od jednego do drugiego z pośpiesznym: „zaraz, zaraz, to będzie tutaj...”, by wreszcie odsunąć wszystkie i otworzyć dziennik swojej młodzieńczej podróży po Kontynencie.

– Popatrz pan tutaj. Tu jest wszystko o Grecji, o, tu Ramnus, ruiny Ramnus, ma się rozumieć, z pana przecież hellenista, i to nie byle jaki. Czy interesowałeś się pan topografią? Ja mogłem nad tym przesiadywać bez końca. O, Helikon, proszę, no, właśnie: *Następnego ranka ruszyliśmy na Parnas, górę o dwóch szczytach*. Cały ten tom jest o Grecji, ma się rozumieć – zakończył pan Brooke, pocierając wielkim palcem wskrosz brzegów zamkniętego pamiętnika, który trzymał przed sobą.

Pan Casaubon okazał się słuchaczem dystyngowanym, choć nieco melancholijny: skłaniał głowę w odpowiednich momentach i jak mógł, tak unikał oglądania jakichkolwiek dokumentów, nie okazując jednak lekceważenia czy niecierpliwości, świadom, że ten bezład ma związek z instytucjami państwa i że człowiek, który zabrał go na tę uciążliwą gonitwę myśli, jest nie tylko jego miłym gospodarzem, ale również właścicielem ziemskim i archiwariuszem okręgowym^[9]. Czy świadomość, że pan Brooke jest stryjem Dorotei, również zbroiła go w cierpliwość?

Wyraźnie okazywał coraz większą chęć wciągania jej do rozmowy, prowokował ją do tego, jak zauważyła w duchu Celia; kiedy zaś spoglądał na Dorotę, twarz rozjaśniała mu się niekiedy uśmiechem bladym jak zimowy promień słońca. Nim wyjechał następnego dnia przed południem, napomknął jej, podczas pogodnej przechadzki wzdłuż zwirowanego tarasu, że dostrzega dezawantażę samotności, odczuwa brak pogodnego towarzystwa, obecności kogoś młodego, która to obecność mogłaby

[9] Sędzia pokoju, w którego pieczy pozostają dokumenty sesji sądowych danego okręgu.

sprawić, że ciężkie trudy dojrzałego życia stałyby się lżejsze lub nieco bardziej urozmaicone. Składał to oświadczenie z tak pedantyczną dokładnością, jakby wypełniał misję dyplomatyczną, i wiedział, że jego słowa przyniosą skutek. W istocie pan Casaubon nigdy nie przypuszczał, że wypadnie mu powtarzać lub korygować swoje wypowiedzi czy to praktyczne, czy też osobiste. Jeśli drugiego dnia października dał rozmyślnie wyraz jakimś swoim sentymentom, będzie mógł się do nich odnieść, wspomniawszy tylko datę: opierał to przekonanie na jakości swojej pamięci, która nie była zwyczajnym, prowadzonym od lat notatnikiem, zbiorem zapoznanych zapisków, lecz księgą, gdzie dzięki *vide supra* unikało się powtórzeń. W tym wypadku nic nie zagrażało pewności siebie pana Casaubona, Dorotea bowiem słuchała jego słów i notowała je w pamięci z żywym zaciekawieniem młodej, świeżej natury, dla której każda odmiana doświadczeń stanowi epokę.

O godzinie trzeciej pięknego, rześkiego jesiennego dnia pan Casaubon pojechał do swojej plebanii w Lowick, leżącej zaledwie pięć mil od Tipton, a Dorotea, już w narzutce i kapeluszu, pośpieszyła poprzez krzewinę i park na spacer do sąsiadującego z parkiem lasu, mając za jedyne materialnego towarzysza Mnicha, wielkiego psa, bernardyna, który zawsze pilnował panienek na spacerach. Stała przed nią dziewczęca wizja ewentualnej własnej przyszłości, ku której spoglądała z nieśmiałą nadzieją, pragnąc tak kroczyć przed siebie, nieprzerwanie, w owe urojone jutro. Szła żwawo na świeżym powietrzu, na jej policzki wystąpiły rumieńce, a słomiana budka (na którą nasi współcześni patrzyliby zapewne z zainteresowaniem, widząc w niej staroświecki model koszyka) zsunęła się nieco na tył głowy. Opis byłby niepełny, gdybyśmy nie dodali, że splatała swoje ciemne włosy w ciasne warkocze i upinała z tyłu, ukazując śmiało kształt głowy, w czasach gdy powszechna moda nakazywała, by skrywać braki natury pod wysokimi barykadami fryzowanych loczków i kokard, których

bogactwo zdołała przewyższyć tylko rasa zamieszkująca wyspy Fidżi. Był to rys ascetyzmu starszej panny Brooke. Ale w jej lśniących, szeroko rozwartych oczach nie było cienia ascetyzmu, gdy patrzyła przed siebie, nie tyle widząc świadomie, ile chłonąc intensywność własnego nastroju i dostojną wspaniałość popołudnia – długich pokosów światła między dalekimi szeregami lip o stykających się cieniach.

Wszyscy – młodzi czy starzy (to znaczy wszyscy w owych czasach przed reformą) – uznaliby ją za przedmiot godny uwagi, gdyby przypisywali ten dar jej oczu i policzków świeżo zrodzonym wyobrażeniom młodej miłości. Poezja uświęciła złudzenia Chloe co do Strephona, tak jak należy uświęcić każdą wzruszającą, spontaniczną ufność. Naszych ojców i matek nigdy nie znudził dramat panny Pippin we wszystkich kolejnych kostiumach, wielbiącej młodego Pumpkina i pielęgnującej swoje marzenia na wszystkich pokrętnych drogach ich niekończącego się koleżeństwa. Jeśli tylko Pumpkin będzie miał figurę, która wytrzyma dezawantażę fraka, wszyscy będą uważali nie tylko za naturalne, ale i niezbędne dla doskonałości kobiecej natury, by słodkie dziewczątka natychmiast uwierzyło w jego cnotę, jego szczególne talenty, a przede wszystkim – jego całkowitą szczerość. Zapewne jednak nikt z żyjących w owych czasach – a już z pewnością nikt z żyjących w okolicach Tipton – nie okazałby życzliwego zrozumienia dla marzeń panny, której pojęcie o małżeństwie brało swój koloryt tylko z egzaltowanego zachwyty nad celami życia, zachwyty karmionego wyłącznie własnym żarem, takiego, w którym nie ma miejsca na rozważanie szczegółów ślubnej wyprawy, wzoru stołowego srebra ani nawet myślenie o zaszczytach czy miłych radościach, będących udziałem matrony w kwiecie wieku.

Przyszło właśnie Dorotei do głowy, że pan Casaubon, być może, pragnie się z nią ożenić, a ta możliwość wzbudziła w niej coś w rodzaju unижonej wdzięczności. Jakaż by to była dobroć z jego strony!

Jakby skrzydlaty posłaniec stanął niespodziewanie na jej drodze i wyciągnął ku niej dłoń! Na dłuższą chwilę ogarnęło ją poczucie czegoś nieokreślonego, co niby gęsta, letnia mgła wsączyło się w jej myśli, przesłaniając pragnienie, by jej życie przyniosło wspaniałe owoce. Cóż mogłaby robić, coż powinna czynić – ona, kobieta u progu życia dopiero, a przecie posiadająca żywą świadomość i ogromne potrzeby umysłu, jakich nie mogła zaspokoić edukacja dla młodych panien, edukacja na miarę pisków i poglądów gadającej myszy. Gdyby miała w sobie odrobinę zarozumiałstwa i głupoty, mogłaby dojść do wniosku, że młoda, majątna chrześcijanka winna znaleźć cel życia w wiejskiej dobroczynności, patronowaniu uboższemu duchowieństwu, czytaniu *Postaci niewiast biblijnych*, ukazujących osobiste przeżycia Sary pod Starym Prawem oraz Dorkas – pod Nowym – mając w perspektywie małżeństwo z mężczyzną, za którego, jeśli się okaże mniej od niej bogobojny, jako że zajmuje się sprawami nie wyjaśnianymi przez religię, będzie się mogła modlić, i którego będzie mogła niekiedy napominać. Takie satysfakcje życiowe nie mogłyby zadowolić biednej Dorotei. Intensywność jej uczuć religijnych, wpływ, jaki wywierały na jej życie – to tylko jedna strona natury z przyrodzenia żarliwej, abstrakcyjnej i intelektualnie konsekwentnej: taka natura borykająca się ze swoim losem na wąskiej ścieżce wytyczonej przez powierzchną wiedzę, obwarowana powinnościami towarzyskimi, które wydawały się jej labiryntem dróg bez znaczenia, płataniną ścieżek okolonych murem i wiodących donikąd – taka natura musiała sprawić, że stanie się coś, co będzie zaskakujące dla wszystkich, jako świadectwo zarówno egzaltacji, jak i braku logiki. Dorotea pragnęła podbudować gruntowną wiedzą to, co wedle jej wyobrażeń było najlepsze; nie chciała żyć w pozornej akceptacji zasad, którymi nikt się nie kierował. Cała jej młodzieńcza pasja podsyciała dotąd ten głód duszy; związek, który wydawał się jej tak pociągający, mógłby ją uwolnić od dziewczęcego

uzależnienia od niewiedzy i umożliwić dobrowolne podporządkowanie się przewodnikowi, który powiódłby ją po najwspanialszym gościńcu.

„Uczyłabym się wtedy wszystkiego – mówiła do siebie, idąc żwawo wąską, konną ścieżką przez las. – Obowiązkiem moim byłoby kształcenie się, tak aby mu pomagać w jego wielkim dziele. W naszym życiu nie byłoby nic pospolitego. Codziennosc równałaby się u nas wielkości. To tak, jakbym wyszła za Pascala. Nauczyłabym się widzieć prawdę w tym samym świetle, w jakim ją widzą wielcy ludzie. Wiedziałabym już, co mam robić, kiedy będę starsza; stwierdziłabym dowodnie, że można prowadzić niezwykle życie – teraz – tu, w Anglii. Dziś wcale nie jestem pewna, w jaki sposób powinno się czynić dobro: wydaje się, jakbym szła z misją do ludzi, których języka nie znam. Chyba żeby chodziło o budowanie porządných chat dla farmerów, co do tego nie może być wątpliwości. Och, może będę w stanie sprawić, żeby ludzie w Lowick dobrze mieszkali. Zrobię masę projektów, jeśli tylko czas mi na to pozwoli”.

Tu powstrzymała się nagle, wyrzucając sobie, że zarozumiałstwo każe jej liczyć na niepewne wydarzenia, ale wysiłek, by skierować myśli w innym kierunku, został jej oszczędzony dzięki pojawieniu się galopującego jeźdźca, który wypadł zza zakrętu drogi. Lśniący sierść kasztana i dwa piękne setery nie pozostawiały wątpliwości, że jeźdźcem jest sir James Chettam. Kiedy zobaczył Dorotę, zeskoczył natychmiast z konia i przekazawszy go groomowi, zbliżył się do niej, trzymając w ramionach coś białego, co oba setery obwąchiwały w ogromnym podnieceniu.

– Cóż to za przemiłe spotkanie – zaczęła, zdejmując kapelusz i ukazując faliste, lśniące blond włosy. – Przyspieszyło przyjemność, której wyglądałem.

Dorotea poczuła irytację. Doprawdy, ten miły baronet, istotnie, odpowiedni mąż dla Celii, przesadza w staraniach, by zdobyć sympatię również jej starszej siostry. Nawet ewentualny przyszły szwagier może

człowiekowi zająć za skórę, jeśli jest przesadnie wyrozumiały, widzi w rozmówczynie zbyt wiele dobrego i przytakuje, choć ona mu się przeciwstawia. W głowie jej się nie mieściło, by baronet mógł aż tak się pomylić, by uderzać do niej w konkury; wszystkie wysiłki umysłu skupiła na przekonywaniu się o czymś wręcz przeciwnym. W tej chwili wydał się jej natrętem, a jego dłonie z dołeczkami wywoływały zdecydowaną niechęć. Na jej policzkach pojawił się rumieniec wzburzenia i na powitanie przybyłego odpowiedziała z pewną wyniosłością.

Sir James wytłumaczył sobie te rumieńce w sposób najbardziej dla niego korzystny i pomyślał, że panna Brooke nigdy jeszcze nie wyglądała tak ładnie.

– Przywiozłem tu małego petenta – zaczął – a raczej przywiozłem go, by sprawdzić, czy zostanie zaaprobowany, nim jeszcze złoży swą prośbę. – Wyjął biały kłębek spod pachy. Był to malutki szczeniak, maltańczyk, jedna z najbardziej prostodusznych zabawek natury.

– Z przykrością patrzę na takie stworzenie, hodowane wyłącznie po to, by stać się salonowym pieszczochem – powiedziała Dorotea, której opinia powstawała w tym właśnie momencie (jak to bywa z opiniami) pod wpływem gorączki poirytowania.

– Czemu to? – zdziwił się sir James, idąc obok niej.

– Sądzę, że wszystkie pieszczoty, jakimi się je obsypuje, nie dają tym stworzeniom szczęścia. Są zbyt bezradne; ich istnienie jest zbyt kruche. Łasica czy mysz, która musi sobie sama zdobywać pożywienie, jest bardziej interesująca. Lubię sobie wyobrażać, że otaczające nas zwierzęta mają duszę, która trochę przypomina naszą, i albo dbają o swoje własne sprawy, albo są naszymi towarzyszami, jak ten tutaj Mnich. Tamte stworzenia to pasożyty.

– Rad jestem, że wiem, iż pani ich nie lubi – powiedział poczcziwy sir James. – Sam nigdy bym takiego nie trzymał, ale damy na ogół lubią takie

maltańskie pieski. Hej, John, zabierz tego psa.

W ten sposób pozbyto się owego niechcianego szczeniaka, którego nos i oczka były smoliste i pełne wyrazu, a który, zdaniem panny Brooke, lepiej by się był nie narodził. Doszła jednak do wniosku, że musi sprawę wyjaśnić.

– Nie powinien pan sądzić upodobań Celi wiodle moich. Ona chyba lubi takie małe, pokojowe pieski. Trzymała kiedyś malutkiego teriera, do którego była ogromnie przywiązana. Ja miałam z nim wielkie utrapienie, bo się ciągle bałam, że na niego nadepnę. Jestem trochę krótkowzroczna.

– Pani ma zdanie na każdy temat i to jest zawsze zdanie właściwe.

Cóż można odpowiedzieć na taki głupi komplement?

– Czy wie pani, że bardzo jej tego zazdrozczę? – mówił sir James, maszerując w żwawym tempie, narzuconym przez Dorotę.

– Nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć?

– Pani umiejętność wyrabiania sobie zdania. Ja umiem wyrabiać sobie zdanie o ludziach. Wiem, kiedy kogoś lubię. Ale w innych sprawach mam często trudności z podjęciem decyzji. Takie rozsądne argumenty padają po przeciwnych stronach!

– Albo tylko pozornie rozsądne. Może nie zawsze potrafimy odróżnić rozsądne od nierozsądnego.

Dorotea zdawała sobie sprawę, że jest wręcz niegrzeczna.

– Oczywiście – przytaknął sir James. – Ale pani potrafi to odróżnić.

– Wręcz przeciwnie, bardzo często nie mogę się zdecydować. Ale to skutek ignorancji. Słuszny wniosek gdzieś tam istnieje, tylko ja nie potrafię go dojrzeć.

– Myślę, że niewielu ludzi potrafi go dojrzeć równie łatwo jak pani. Lovegood powiadał mi wczoraj, że nikt na świecie nie ma tak dobrego pojęcia o projektowaniu budynków jak pani. Uważa, że jak na młodą damę to wprost niebywałe. Jest pani prawdziwy *genus*, cytując jego słowa.

Powiadał, że chciała pani nakłonić pana Brooke do wybudowania nowych chat dla farmerów, sądzi jednak, że jest mało prawdopodobne, by stryj pani przystał na to. A wie pani, że ja pragnę robić takie właśnie rzeczy – to znaczy, robić je w moim majątku. Byłbym ogromnie rad, gdybym mógł zrealizować ten pani projekt, jeśli pozwoli mi go pani obejrzeć. To są, rzecz jasna, wyrzucone pieniądze i dlatego ludzie są takim pomysłem przeciwni. Podobne wydatki nigdy się nie zwrócą z czynszów, jakie płacą nasi dzierżawcy. Ale, mimo wszystko, warto takie wydatki ponosić.

– O tak, warto – przytaknęła gorąco Dorotea, zapominając o niedawnych drobnych irytacjach. – Myślę, że zasłużyliśmy na to, by nas wypędzono dziesięciopalczą dyscypliną z naszych pięknych domów, nas wszystkich, którzy pozwalamy, by nasi dzierżawcy żyli w takich chlewach, jakie widać naokoło. Życie w chacie mogłoby być szczęśliwsze niż nasze, gdyby to był przyzwoity budynek, godny istot ludzkich, od których oczekujemy przywiązania i obowiązkowości.

– Czy zechce pani pokazać mi swój projekt?

– Oczywiście. Przypuszczam, że ma wiele braków. Ale oglądałam w podręczniku Loudona wszystkie projekty wiejskich chat i wybrałam to, co mi się wydawało najlepsze. Och, jakie by to było szczęście dać wszystkim przykład tutaj, u nas. Myślę, że zamiast Łazarza pod bramą powinniśmy postawić pod bramą naszego parku taką chatę przypominającą chlew.

Dorotea była teraz w wyśmienitym humorze. Sir James, jako jej szwagier, zacznie budować na swoich ziemiach wzorowe farmerskie chaty, potem może następne będą wznoszone w Lowick i dalej ich wzorem powstanie ich więcej i więcej, tak jakby duch Oberlina^[10] przesuwał się od parafii do parafii, obdarzając pięknem życie ubogich.

Sir James obejrzał wszystkie projekty i zabrał jeden, by go omówić z Lovegoodem. Zabrał ze sobą również błogie przeświadczenie, że panna

[10] G.F. Oberlin – pastor protestancki z Alzacji, reformator i filantrop.

Brooke w szybkim tempie nabiera o nim coraz lepszego zdania. Celia nie dostała maltańskiego szczeniaka, z czego Dorotea zdała sobie z zaskoczeniem sprawę dopiero później, ale winę przypisała sobie. Zbyttno zaabsorbowała uwagę sir Jamesa. Mimo wszystko, jaka to ulga, że nie ma szczeniaka, na którego można by nadepnąć.

Celia była obecna podczas przeglądania projektów i zauważyła, że sir James ulega złudzeniom. „On myśli, że Dodo jest nim zajęta, a tymczasem ona jest zajęta wyłącznie swoimi projektami. Ale nie jestem pewna, czy mu odmówi, jeśli uzna, że pozwoli jej rządzić i zechce realizować wszystkie jej mrzonki. Jakie to będzie przykre dla sir Jamesa! Nie znoszę mrzonek!”.

Na ten upust niechęci Celia pozwoliła sobie po cichu. Nie ośmieliłaby się jawnie przyznać do tego siostrze, naraziłaby się bowiem na zarzut, że sprzeciwia się czynieniu dobra. Gdy jednak nadarzała się bezpieczna okazja, okazywała Dorotei swój krytycyzm w sposób pośredni: wrywała ją z podniosłego nastroju uwagą, że ludzie zamiast słuchać, wytrzeszczają na nią oczy. Celia nie była impulsywna: to, co miała do powiedzenia, mogło zaczekać, a padało zawsze z jej ust równym, spokojnym staccato. Kiedy ktoś mówił żywo i z emfazą, ona przyglądała się tylko jego twarzy i rysom. Nie mogła nigdy pojąć, jak osoby dobrze wychowane mogą przystać na to, by śpiewać i otwierać usta w ten śmieszny sposób, jakiego wymaga ta czynność.

Pan Casaubon złożył po niedługim czasie przedpołudniową wizytę, po której został ponownie zaproszony na kolację i nocleg w następnym tygodniu. Dzięki temu Dorotea odbyła z nim jeszcze trzy rozmowy i upewniła się w przekonaniu, że jej pierwsze wrażenia były słuszne. Uosabiał to, co mu od początku przypisywała: niemal wszystko, co mówił, było niby próbka z kopalni lub też inskrypcja na drzwiach muzeum, które mogą się lada chwila rozewrzeć, ukazując skarby minionych wieków; jej

wiara w bogactwo umysłu pana Casaubona była teraz głębsza i bardziej, jeśli idzie o jej skłonności, owocna, gdyż stało się jasne, iż uczonego przyjeżdża tu dla niej. Człowiek tak wykształcony, który zechciał myśleć o młodej dziewczynie, podejmował trud rozmowy z nią nie po to, by jej prawić jakieś nedorzeczne komplementy, ale by odwoływać się do jej rozumu, a niekiedy skorygować coś w sposób pouczający. Co za cudowne towarzystwo! Wydawało się, iż pan Casaubon nie jest nawet świadom tego, że istnieją banały; nigdy też nie próbował częstować nikogo frazesami typowymi dla różnych zażywnych panów, które smakują jak nieświeży tort weselny, ciągnący za sobą stęchły zapach kredensu. Mówił o tym, co go interesowało, albo milczał i skłaniał głowę smutno i uprzejmie. Dorotea widziała w tym godną podziwu szczerość, ascetyczne wyrzeczenie się wszelkiej sztuczności, która zżera duszę, usiłując zachować pozory. Z równą czcią bowiem chyliła głowę przed religijną wyższością pana Casaubona co jego intelektem i wiedzą. Wysłuchiwał, jak zwierza mu się z żarliwości przejmujących ją religijnych uczuć, i opatrywał jej wypowiedzi odpowiednimi cytatami; pozwolił sobie nawet na wyznanie, że w młodości przechodził pewien kryzys religijny. Krótko mówiąc, Dorotea wiedziała, że może liczyć na jego wyrozumiałą życzliwość i wskazówki. W jednej, tylko jednej kwestii spotkało ją rozczarowanie. Pan Casaubon w najmniejszej mierze nie interesował się budowaniem farmerskich chat, zaczął bowiem od razu mówić o niezwykle wąskich pomieszczeniach, jakie musiały w starożytności wystarczyć Egipcjanom, jakby chciał w ten sposób oponować przeciwko stawianym przez nią nadmiernie wysokim wymaganiom. Po jego wyjeździe Dorotea, poruszona, rozmyślała nad tą jego obojętnością, a w głowie roilo jej się od argumentów, takich na przykład, jak różnica warunków klimatycznych, która sprawia, że ludzie mają inne potrzeby, jak również powszechnie przecież znana niegodziwość pogańskich despotów. Czy nie powinna wytoczyć tych argumentów

przeciwko panu Casaubonowi za jego następną wizytą? Po dłuższym namyśle doszła jednak do wniosku, że byłoby zuchwalstwem żądać, by poświęcał uwagę takim sprawom: na pewno nie zabroni jej zajmować się tym w wolnych chwilach, przecież inne kobiety przyjmują z góry za pewnik, że będą się mogły zajmować strojami i haftem – więc i on nie będzie jej wzbraniał, kiedy... Tu Dorotea zawstydzila się, zrozumiawszy, jak daleko posunęła się w tych rozważaniach. Ale stryjasek otrzymał zaproszenie na kilka dni do Lowick; czy można sądzić, że pan Casaubon upodobał sobie towarzystwo stryjaska wyłącznie ze względu na jego osobę, z dokumentami czy bez?

Po tym drobnym rozczarowaniu tym bardziej się ucieszyła, gdy sir James Chettam okazał chęć realizacji jej upragnionych projektów. Przyjeżdżał o wiele częściej niż pan Casaubon, a Dorotea przestała go uważać za niemilego człowieka, odkąd tak poważnie zajął się problemem budowy farmerskich chat, podszedł w sposób bardzo praktyczny do kosztorysu Lovegooda i okazał się uroczo pojętny. Zaproponowała, żeby zbudować dwie chaty i przenieść do nich dwie rodziny ze starych zabudowań, które się wtedy rozbierze, a na ich miejscu postawi dwie nowe. Sir James odpowiedział: „Oczywista”, a ona zniosła tę odpowiedź wyjątkowo dobrze.

Niewątpliwie mężczyźni, którym brak własnych pomysłów, mogliby pod dobrym, kobiecym kierunkiem stać się bardzo pożytecznymi członkami społeczeństwa, gdyby im się poszczęściło z wyborem szwagierek. Trudno powiedzieć, czy świadomie zamykała oczy na to, iż, co do jej osoby, w grę wchodził inny wybór. Ale życie miała teraz bardzo czynne i pełne nadziei: nie tylko myślała o swoich projektach budowlanych, ale wyciągała z biblioteki różne uczone książki i czytała wiele i pospiesznie (chcąc okazać się w rozmowach z panem Casaubonem nieco mniejszą ignorantką), nękana ustawicznie skrupułami, czy nie

przecenia czasem tych niepokąźnych osiągnięć i nie myśli o nich z owym zadufaniem, które jest zgubą szaleńców i nieuków.

ROZDZIAŁ IV

Dżentelmen pierwszy: Kajdany z własnych kujemy postępków.

Dżentelmen drugi: Tak, prawdę mówisz; lecz żelaza Świat nam dostarcza[11].

– Wygląda na to, że sir James postanowił spełniać każde twoje życzenie – zauważyła Celia, gdy wracały do domu po obejrzeniu nowego placu budowy.

– To zacny człowiek i ma więcej rozsądku, niżby go można o to podejrzewać – odparła Dorotea nierozważnie.

– Chcesz powiedzieć, że robi wrażenie głupca?

– Nie, nie. – Dorotea oprzytomniała i szybko dotknęła ręki siostry. – Ale nie potrafi równie dobrze mówić na wszystkie tematy.

– Ja myślę, że tylko niemili ludzie to potrafią – powiedziała Celia zwykłym swoim tonem ukontentowanej kotki. – Jakie to okropne żyć z kimś takim! Wyobraź sobie tylko! Przy śniadaniu i ciągle...

– Och, Kitty – roześmiała się Dorotea. – Naprawdę jesteś cudowna! – uszczypnęła siostrę w policzek. W obecnym nastroju widziała w niej tylko ujmujący wdzięk, osobę godną zostać wieczystym cherubinem w przyszłym życiu, i gdyby takie stwierdzenie nie było niewłaściwe z doktrynalnego punktu widzenia, tyle potrzebującą zbawienia co wiewiórka. – Oczywiście, ludzie nie muszą zawsze dobrze mówić. Tyle że jakość ich umysłów można poznać dopiero, kiedy starają się mówić dobrze.

[11] Jeżeli nie zostało podane źródło, przyjmuje się, iż autorką motta jest sama George Eliot.

– Chcesz powiedzieć, że sir James się stara, ale mu nie wychodzi?

– Mówiłam w ogólności. Czemu mnie wypytyujesz o sir Jamesa? Zaspokojenie moich wymagań nie jest celem jego życia.

– Słuchaj, Dodo, czy ty wierzysz w to, co mówisz?

– Oczywiście. Widzi we mnie przyszlą szwagierkę, i tyle.

Dorotea nigdy jeszcze nie wspomniała o tym ani słowem, czekała, wiedziona pewną, wspólną zresztą obu, nieśmiałością w tych sprawach, na jakieś decydujące wydarzenie. Celia oblała się rumieńcem.

– Proszę cię, Dodo, nie zostawaj dłużej w błędzie. Kiedy Tantripp szczotkowała mi kilka dni temu włosy, powiedziała, że służący sir Jamesa słyszał od pokojówki pani Cadwallader, że sir James chce się żenić ze starszą panną Brooke.

– Jak ty możesz wysłuchiwać plotek od Tantripp, Celio! – zawołała z oburzeniem Dorotea, tym bardziej gniewna, że przyszły jej teraz na pamięć pewne szczegóły, potwierdzające prawdziwość niemiłej nowiny. – Musiałś ją wypytywać. To poniżające.

– Nie widzę nic złego w tym, że Tantripp ze mną rozmawia. Lepiej wiedzieć, co ludzie mówią. Myliłaś się co do niego, bo masz w głowie tylko te swoje mrzonki! Jestem pewna, że sir James ma zamiar ci się oświadczyć i wierzy, że ty go przyjmiesz, zwłaszcza odkąd taka mu jesteś życzliwa przy tych projektach. I stryjasek również. Wiem, że on się tego spodziewa. Przecież każdy widzi, że sir James jest w tobie zakochany po uszy.

Zwrot, jaki się dokonał w świadomości Dorotei, był tak gwałtowny i przykry, że łzy wezbrały w jej oczach i popłynęły obficie. Wszystkie drogie jej sercu projekty nagle zaprawiła gorycz; z odrazą myślała o sir Jamesie, który sobie wyobraża, że ona widzi w nim starającego się ojej rękę. Była też zła na Celię.

– Jak on się może tego spodziewać! – wybuchnęła gwałtownie. – Nigdy

w życiu nie zgadzałam się z nim w żadnej sprawie z wyjątkiem budowy chat dla farmerów; przedtem byłam dla niego niemal nieuprzejma.

– Ale później taka byłaś mu rada! Zaczął przypuszczać, że czujesz ku niemu skłonność.

– Skłonność! Jak możesz, Celio, używać takich okropnych wyrażań – protestowała Dorotea z pasją.

– Coś podobnego! Przecież powinnaś czuć skłonność do człowieka, którego oświadczyły chcesz przyjąć.

– Powiedzenie, że sir James mógł sądzić, iż mam ku niemu skłonność, jest dla mnie obraźliwe. Poza tym to nie jest właściwe słowo na określenie uczuć, jakie musiałabym żywić w stosunku do mężczyzny, którego oświadczyły zamierzałabym przyjąć.

– No, cóż, żal mi sir Jamesa. Uważałam za właściwe, żeby ci o tym powiedzieć, bo szłaś przed siebie, jak zwykle, na oślep, po manowcach. Zawsze widzisz to, czego nikt inny nie dostrzega; nic nie może cię zadowolić, a przecież nie zauważasz tego, co oczywiste. Taka już jesteś, Dodo.

Co też spowodowało ten przyływ odwagi Celi, jeśli ośmieliła się tak ostro mówić do siostry, która przecież budziła czasem jej lęk? Któż może wiedzieć, ile słusznych zarzutów wysuwa kot Murr pod adresem nas, istot o tyle rozumniejszych?

– To strasznie przykre – mówiła znękana Dorotea. – Nie mogę się teraz zajmować budową chat. Muszę być dla niego niegrzeczna. Powiem mu wprost, że nie chcę mieć z tą budową nic wspólnego. To strasznie przykre. – Oczy jej napełniły się łzami.

– Zaczekaj chwilę. Zastanów się. Wiesz, że wyjeżdża teraz na dzień lub dwa w odwiedziny do siostry. Nie będzie nikogo oprócz Lovegooda. – Celia, mimo wszystko, poddała się wzruszeniu. – Biedna ty – głos jej wybijał życzliwe staccato. – To okropne. Projektowanie to twój ulubiony

bzik.

– Projektowanie to bzik?! Uważasz moją troskę o dach nad głową bliźniego za dziecinadę? Doprawdy, łatwo mi przychodzi błędzić! Jak można podejmować szlachetne, chrześcijańskie dzieła, żyjąc wśród tak małoskorych ludzi!

Nic już więcej nie mówiły; Dorotea była tak roztrzęsiona, że nie mogła się opanować i dać zachowaniem do zrozumienia, że bodaj część winy bierze na siebie. Skłonna była raczej oskarżać nieznośną zaściankowość i ślepe małoduszność otaczającego ją świata i Celia przestała już być wieczystym cherubinem, była teraz cierniem w jej duszy, biało-różowym niedowiarkiem, gorszym od wszystkich odrażających postaci z *Wędrówek pielgrzyma*. Projektowanie to bzik! Cóż może być warte życie, czy możliwa jest głęboka wiara, jeśli wszystkie poczynania człowieka można sprowadzić do takiej bredni! Kiedy wysiadała z pojazdu, policzki miała blade, oczy zaczerwienione. Wyglądała niczym uosobienie rozpacz i stryjaszek, który wyszedł do hallu, by je powitać, pewno by się przeraził, gdyby nie idąca obok niej Celia, taka ładna, taka spokojna, z czego od razu wysnuł wniosek, że łyzy Dorotei mają źródło w jej przesadnej pobożności. Pod nieobecność bratanic wrócił był właśnie z podróży do siedziby administracji hrabstwa, w sprawie uzyskania łaski dla jakiegoś przestępcy.

– No, moje kochane – mówił dobrotliwie, kiedy podeszły, by go ucałować – mam nadzieję, że nic tu złego nie zaszło pod moją nieobecność.

– Nie, stryjaszku – odpowiedziała Celia. – Byłyśmy we Freshitt, żeby obejrzeć chaty. Spodziewałyśmy się stryjaszka na obiedzie.

– Wracałem przez Lowick i tam obiadałem. Nie wiedziałyście, że będę wracał przez Lowick. Przywiozłem ci kilka broszur, Doroteo, są w bibliotece, leżą tam na stole.

Jakby prąd elektryczny przeszył Doroteę, przynosząc nadzieję w

miejsce rozpaczy. Były to prace o wczesnym Kościele. Otrząsnęła się z przygnębienia wywołanego zachowaniem Celi, Tantripp, sir Jamesa i natychmiast ruszyła do biblioteki. Celia poszła na górę. Pana Brooke zatrzymała jeszcze jakaś sprawa, a kiedy wszedł do biblioteki, znalazł Dorotę zagłębianą w czytaniu jednej z broszur, opatrzonych notatkami pana Casaubona na marginesie, i wchłaniającą lekturę tak namiętnie, jakby to był zapach świeżego bukietu kwiatów po posępnej przechadzce w upale.

Uciekała od Tipton i Freshitt, i swojej przykrej odpowiedzialności, by wejść na błędne ścieżki w drodze do Nowej Jerozolimy.

Pan Brooke usadowił się w fotelu, nogi wyciągnął w kierunku paleniska, na którym płonące szczapy rozpadły się w cudowną masę rozżarzonych kostek do gry i delikatnie pocierał dłonie, rzucając łagodne spojrzenia na Dorotę, ale z miną spokojną, jakby mu nie było spieszno i jakby jej nie miał nic szczególnego do powiedzenia. Dorotea, zdając sobie sprawę z obecności stryja, zamknęła broszurę i podniosła się do wyjścia. Dawniej okazałaby zainteresowanie rezultatami stryjaskowej misji miłosierdzia w sprawie owego przestępcy, ale teraz, po niedawnym wzburzeniu, była jak odurzona.

– Wracałem, ma się rozumieć, przez Lowick – oznajmił pan Brooke jakby nie po to, by ją zatrzymywać, lecz powodowany zwyczajem powtarzania tego, co już raz powiedział. Bardzo często używał tego fundamentalnego sposobu przekazywania myśli.

– Jadłem tam obiad, oglądałem bibliotekę Casaubona i tak dalej. Skądś tu wieje. Może byś usiadła? Wyglądasz na zziębniętą.

Dorotea chętnie przyjęła zaproszenie. Jeśli zdarzyło się, że beztrouski stosunek stryja do wszystkiego nie budził irytacji, potrafił przynieść ukojenie. Zrzuciła płaszcz i kapelusze i usiadła naprzeciwko, rada z żaru w kominku, osłaniając jednak twarz pięknymi dłońmi. Nie były to dłonie

drobne czy szczupłe, ale silne, kobiece, macierzyńskie ręce. Mogłoby się здаwać, że wznosi je błagalnie w namiętym pragnieniu wiedzy i myśli, które to pragnienie w nieprzyjaznym środowisku Tipton i Freshitt prowadziło tylko do łez i czerwonych powiek.

Przypomniała sobie o skazanym przestępcy.

– Jakie stryjaszek przywiózł wiadomości w sprawie tego złodzieja owiec?

– Tego biednego Buncha? No cóż, wygląda na to, że go nie wyciągniemy, będzie musiał wisieć.

Na twarzy Dorotei odmalował się wyraz potępienia i współczucia.

– Wisieć, że tak powiem – ciągnął pan Brooke, kiwając głową.

– Biedny Romilly^[12], on by nam pomógł. Znałem Romilly'ego. Casaubon go nie znał. Trochę się zakopał w tych księgach, że tak powiem, trochę się zakopał.

– Jeśli mężczyzna ma za sobą ogromne studia i pisze wielkie dzieło, to musi, rzecz jasna, wyrzec się wielu kontaktów ze światem. Jakże on może mieć czas na zawieranie znajomości?

– To prawda. Ale człowiek, że tak powiem, ulega melancholii. Przecież ja też jestem kawalerem, ale takie mam usposobienie, że nigdy nie ulegam melancholii; zwykłem wszędzie bywać i wszystko chłonąć. Nigdy nie ulegałem melancholii, ale widzę, że Casaubon ulega. Potrzebne mu towarzystwo, towarzystwo, że tak powiem.

– Towarzystwo mu byłoby dla każdego zaszczytem – oświadczyła Dorotea z przekonaniem.

– Lubisz go, co? – Pan Brooke nie okazywał ani zaskoczenia, ani innych uczuć. – No cóż, znam Casaubona od dziesięciu lat, odkąd osiadł w Lowick. Nigdy nic z niego nie wydobyłem, żadnych, że tak powiem,

[12] Sir Samuel Romilly (1757-1818) – reformator prawa karnego. Zmarł śmiercią samobójczą.

koncepcji. Ale to jegomość pierwsza klasa i może zostać biskupem czy kimś w tym rodzaju, rozumiesz, jeśli Peel pozostanie na urzędzie. No i ma o tobie ogromnie wysokie mniemanie, moja kochana.

Dorotea nie mogła wymówić słowa.

– To fakt, ma o tobie ogromnie wysokie mniemanie. I wyjątkowo dobrze mówi, trzeba przyznać, wyjątkowo. Zwrócił się do mnie, jako że ty jesteś jeszcze nieletnia. Krótko mówiąc, obiecałem, że z tobą porozmawiam, chociaż przestrzegłem go, że, moim zdaniem, szanse są niewielkie. Miałem obowiązek mu to powiedzieć. Podkreśliłem, że moja bratanica jest bardzo młoda i tak dalej. Ale nie uważałem za konieczne wchodzić w szczegóły. No więc, krótko mówiąc, poprosił mnie o pozwolenie złożenia ci propozycji małżeństwa, propozycji, że tak powiem, małżeństwa – zakończył pan Brooke, jak zwykle kiwając dla wyjaśnienia głową. – Uważałem, że lepiej będzie, jak ci to powiem.

– Dziękuję, stryjasku. – Głos Dorotei był czysty i spokojny. – Jestem bardzo wdzięczna panu Casaubonowi. Jeśli mi się oświadczy, przyjmę go. Jest mężczyzną, którego najbardziej na świecie podziwiam i czczę.

Pan Brooke milczał przez chwilę, potem zaczął mówić powoli, ściszym głosem:

– No cóż, pod pewnymi względami to dobra partia. Ale, widzisz, Chettam to też dobra partia. I nasze ziemie sąsiadują ze sobą. Nigdy, moja kochana, nie będę ci się sprzeciwiał. Ludzie powinni zawierać małżeństwa wedle własnej woli i tak dalej... do pewnych granic, ma się rozumieć... Zawsze to powtarzałem: do pewnych granic. Chciałbym, żebyś dobrze wyszła za mąż, i mam powody przypuszczać, że Chettam chce się z tobą ożenić. Przedkładał ci to.

– To niemożliwe, żebym kiedykolwiek poślubiła sir Jamesa Chettama – oświadczyła Dorotea. – Jeśli on myśli o małżeństwie ze mną, popełnia wielki błąd.

– To tak sprawa wygląda?! Jak to nigdy nie wiadomo. A ja bym myślał, że Chettam to taki mężczyzna, który by się kobiecie mógł spodobać.

– Proszę, niechże stryjaszek więcej go nie wspomina w tym aspekcie.
– Dorotea czuła, że odżywa w niej niedawna irytacja.

Pan Brooke zdumiewał się. Kobiety, myślał, to doprawdy niewyczerpany temat studiów, jeśli nawet on, w swoim wieku, nie potrafi naukowo przewidzieć ich reakcji. Ot, proszę, mężczyzna taki jak Chettam, bez najmniejszych szans.

– No więc pomówmy o Casaubonie. Nie ma pośpiechu, ma się rozumieć, to znaczy, jeśli idzie o ciebie. Bo jeśli idzie o niego, to teraz już każdy rok będzie na nim znać. Ma przeszło czterdzieści pięć lat, wiesz o tym. Powiedziałbym: dobre dwadzieścia siedem lat starszy od ciebie. Co prawda, jeśli cenisz uczyłość, poważanie i tak dalej, no cóż, nie można mieć wszystkiego naraz. Dochód ma dobry. Ale młody nie jest i nie wolno mi przed tobą ukrywać, moja droga, że, w moim przekonaniu, nie cieszy się najlepszym zdrowiem. Nic więcej przeciwko niemu powiedzieć nie mogę.

– Nie chciałabym mieć męża bliskiego wiekiem – oświadczyła z głębokim przekonaniem Dorotea. – Pragnęłabym mieć męża, który przewyższałby mnie rozumem i wiedzą we wszystkim.

Pan Brooke powtórzył swoje przyciszone „co?”.

– Sądziłem, że masz własne poglądy na większość spraw, nie tak jak inne dziewczęta. Myślałem, że lubisz mieć własne poglądy, lubisz, że tak powiem.

– Nie mogę sobie wyobrazić, bym mogła żyć bez jakichś poglądów, ale powinnam pragnąć, by wspierały się na rzetelnych podstawach; mądry mężczyzna mógłby mi wskazać te, które są najwłaściwsze, i pomógł żyć wedle nich.

– Bardzo słusznie, nie można tego lepiej ująć, nie można tego lepiej, że

tak powiem, ująć. Ale życie nie jest takie proste. – Sumienie nakazywało panu Brooke zrobić w tym wypadku dla bratanicy wszystko, co możliwe. – Życie nie jest odlewane z formy: nie toczy się wedle z góry przyjętych reguł i przepisów. Nigdy się nie ożeniłem, co wyszło na korzyść tobie i twojej rodzinie. Ale rzecz w tym, że nigdy nie kochałem nikogo na tyle, żeby dla niego zakładać sobie stryczek. Bo to jest stryczek. Na przykład usposobienie. Jest coś takiego – usposobienie. I mąż lubi być panem.

– Wiem, że nie ominą mnie trudności, stryjaszku. Małżeństwo to stan wyższych obowiązków. Nigdy nie myślałam o nim jak o osobistej przyjemności jedynie – mówiła biedna Dorotea.

– No cóż, nie gustujesz w wystawności, wytwornym domu, przyjęciach i tak dalej. Widzę, że bardziej może ci odpowiadać sposób życia Casaubona niż Chettama. I postąpisz, moja droga, jak będziesz chciała. Nie będę się sprzeciwiał Casaubonowi; powiedziałem to od razu, bo nigdy nie wiadomo, jak się sprawy potoczą. Gusta masz inne, moja droga, niż wszystkie młode damy, więc duchowny, uczony, który może zostać biskupem, i tak dalej... może się okazać bardziej dla ciebie odpowiednią partią niż Chettam. Chettam to porządny człowiek, porządny, dobry człowiek, ale nie pociągają go szczególnie żadne idee. Mnie w jego wieku pociągają. Ale, ale, te oczy Casaubona. Myślę, że je nadwerżył, czytając zbyt wiele.

– Będę, stryjaszku, tym szczęśliwsza, im bardziej mu się okaże pomocna – oświadczyła żarliwie Dorotea.

– Widzę, że już podjęłaś decyzję, moja kochana. No cóż, prawdę mówiąc, mam tutaj w kieszeni list dla ciebie. – Pan Brooke wręczył list Dorotei, lecz gdy ona podniosła się z fotela do odejścia, dodał jeszcze: – Nie ma pośpiechu, moja kochana. Dobrze się jeszcze, że tak powiem, zastanów.

Po wyjściu Dorotei powiedział sobie, że przedstawił jej był sprawę w

sposób bardzo zdecydowany; uwypuklił całe związane z małżeństwem ryzyko nadzwyczaj ostro. Było to jego obowiązkiem. Ale jeśli idzie o udawanie mądrego wobec młodych, żaden stryjasek, bez względu na to, ile wchłonął nowych idei, ile zjadł kolacji z wybitnymi osobistościami, dziś już nieżyjącymi, nie może udawać, że wie, w jakim małżeństwie znajdzie szczęście młoda dziewczyna, która woli Casaubona od Chettama. Krótko mówiąc – kobieta to problem, a że umysł pana Brooke nie mógł mu sprostać, musiał to być problem nie mniej skomplikowany niż obroty nieforemnej bryły.

ROZDZIAŁ V

Uczeni, bez reszty poświęcający się pracy, cierpią na ogół na podagrę, nieżyty, reumatyzm, charłactwo, bradypepsję, słabość wzroku, kamicę i kolkę, niestrawność, zatwardzenie, zawroty głowy, wzdęcia, suchoty i wszelkie inne choroby, które się biorą z nadmiernie długiego przesiadywania; są na ogół chudzi, wysuszeni, woskowi... a wszystko to ma źródło w niezwykajnym wysiłku i oddawaniu się studiom bez umiaru. Jeśli nie wierzycie, że to prawda, spójrzcie na wielkie dzieła Tostatusa i Tomasza z Akwinu i powiedzcie mi, czy ci ludzie nie pracowali nad miarę[13].

Robert Burton, *Anatomy of Melancholy*

Oto list pana Casaubona:

Wielce Szanowna Panno Doroteo, Otrzymałem od Twego, Pani, opiekuna pozwolenie zwrócenia się do Niej w sprawie, nad którą nie ma w moim sercu ważniejszej. Tuszę, iż nie jestem w błędzie, upatrując głębszego niż w dacie tylko zbiegu okoliczności, jakim jest fakt, że wraz z uświadomieniem sobie zachodzącej w moim życiu potrzeby przysła sposobność poznania Ciebie. Już bowiem w pierwszej godzinie naszej znajomości odniosłem wrażenie, że jesteś, Pani, osobą

[13] Przeł. Anna Przedpeńska-Trzeciakowska.

szczególnie, a nawet jedynie właściwą, aby zaspokoić ową potrzebę (z którym to wrażeniem łączył się, jeśli wolno wspomnieć, taki przyływ uczuć, że nawet pochłaniająca praca, zbyt ważna, by ją odsunąć, nie zdołała ich przestłonić); każda też kolejna możliwość poczynienia obserwacji pogłębiała owe wrażenie, przekonując mnie jeszcze silniej o słuszności mego powziętego z góry przekonania, iż jesteś, Pani, właściwą osobą, co z kolei pobudzało owe wyżej wspomniane afekty. Mam nadzieję, że nasze rozmowy pozwoliły Ci w sposób dostateczny zrozumieć naturę mojego życia oraz moich zadań, nieodpowiadającą, jak wiem, umysłom pospolitym. Dojrzałem jednak w Tobie, Pani, wzniosłość myśli oraz zdolność do poświęcenia, które, jak sądziłem uprzednio, nigdy nie idą w parze z urokiem wczesnej młodości czy też z tymi wdziękami Twojej płci, które, można powiedzieć, są zarówno urzekające, jak chwalebne, jeśli łączą się, jak to ma miejsce w Twoim przypadku, z wyżej wymienionymi właściwościami umysłu. Wyznaję, że nie miałem nadziei, bym mógł kiedykolwiek spotkać tak rzadkie połączenie cech, zarówno budujących, jak pociągających, zdolnych stać się wsparciem w znojnych chwilach i kraść urokiem godziny wypoczynku; gdybym też nie został Ci, Pani, przedstawiony (co, niech mi będzie wolno powtórzyć, nie było, w moim mniemaniu, przypadkowo zbieżne z jawiącymi mi się potrzebami, lecz stało w opatrnościowym związku z nimi, jako etapami drogi prowadzącej do wypełniania życiowych zadań), zapewne do końca swoich dni nie próbowałbym ulżyć mej samotności związkiem małżeńskim. Taki, droga Panno Doroteo, jest obecny stan moich uczuć; zdaję

się teraz na Twoją łaskawość, ośmielając się zapytać, jak dalece Twoje uczucia potwierdzają moje radosne przypuszczenia. Jeślibyś mnie przyjęła jako męża i ziemskiego strażnika Twej pomyślności, uważałbym to za najwspanialszy dar Niebios. W zamian za to mogę Ci, Pani, ofiarować uczucie, dotąd nietknięte, i wiernie poświęcić życie, które, choćby się okazało krótkie, nie ma w przeszłości kart, gdzie mogłabyś znaleźć rejestry czynów zdolnych napęłnić Cię słusznym wstydem czy goryczą. Oczekuję deklaracji Twoich uczuć, czemu towarzyszy niepokój, który zapewne rozsądniej byłoby uciszyć (gdyby to było możliwe) bardziej niż zwykle wytężoną pracą. Jednak w zakresie takich doświadczeń jestem jeszcze młody, a wyobrażając sobie niepomysłną odpowiedź, czuję, że pogodzenie się z samotnością będzie o wiele trudniejsze po chwilowym błysku nadziei. W każdym jednak wypadku pozostanę szczerze Ci, Pani, oddany

Edward Casaubon

Czytając ten list, Dorotea drżała na całym ciele, potem padła na kolana, zakryła twarz rękami i zaszlochała. Nie była zdolna do modlitwy, przejęta dostojnym wzruszeniem, w którym myśli straciły ostrość, a obrazy rozplywały się mgliście; mogła się tylko jak dziecko zdać całkowicie na boże zamysły, w poczuciu, że składa w nich swoją ufność, a jej własne intencje stamtąd czerpią siłę. Pozostawała w tej pozycji do chwili, kiedy pora było przebierać się na kolację.

Skąd mogło jej przyjść do głowy, że należy się przyjrzeć temu listowi, spojrzeć nań krytycznie jako na miłosne wyznanie? Duszę jej omamiła myśl, że oto otwiera się przed nią pełniejsze życie; była neofitką, która ma dostąpić wyższego stopnia wtajemniczenia. Miała znaleźć przestrzeń

dla tych sił, które poruszały się ociężałe w mroku, przygniatane jej własną niewiedzą i małostkową apodyktycznością obyczajów świata.

Teraz będzie mogła poświęcić się obowiązkom wielkim, lecz określonym; wolno jej będzie żyć w świetle umysłu, który zasługuje na jej cześć. Do tej nadziei dołączała się przemieszana z zachwytem duma – radosne, dziewczęce zadziwienie, że oto została wybrana przez człowieka, na którego padł jej własny, pełen uwielbienia, wybór. Wszelka namiętność Dorotei przesączała się przez jej duchowość, przez dążenie ku idealnemu życiu; promień jej dziewczęcej dojrzałości padł na pierwszy przedmiot, jaki znalazł się w jego zasięgu. Drobnе wydarzenia tego dnia, które obudziły jej niechęć do obecnych warunków życia, sprawiły, że jej sympatia przerodziła się w postanowienie.

Po kolacji, podczas gdy Celia grała „temat z wariacjami”, melodyjną błahostkę, świadczącą o poziomie estetycznej edukacji młodych panienek, Dorotea poszła na górę do swego pokoju, by odpisać panu Casaubonowi. Czemu miałyby zwlekać z odpowiedzią? Przepisywała ją trzy razy, nie dlatego, by chciała zmienić jakieś sformułowanie, lecz dlatego, że rękę miała wyjątkowo niepewną, a nie mogła znieść myśli, iż pan Casaubon uzna jej pismo za brzydkie i niewyraźne. Chępiła się swoim pismem, w którym każdą literę można było rozróżnić bez dłuższego zgadywania, i zamierzała jak najczęściej wykorzystywać tę umiejętność, aby oszczędzić wzroku panu Casaubonowi. Przepisywała więc trzykrotnie:

Szanowny Panie, Jestem ogromnie wdzięczna za to, że mnie Pan kocha i uważa za godną, bym została Jego żoną. Nie wyobrażam sobie większego szczęścia nad to, które mogłabym dzielić z Panem. Gdybym powiedziała więcej, byłoby to powtarzanie tego samego, tylko dłużej, nie potrafię bowiem skupić myśli na niczym prócz pragnienia, bym mogła pozostać

do końca życia tak jak teraz oddaną Panu

Dorotea Brooke

Późnym wieczorem poszła za stryjem do biblioteki i oddała mu list, aby mógł go wysłać następnego dnia rano. Był zaskoczony, lecz okazało to tylko milczeniem; przez krótką chwilę przesuwał różne przedmioty na biurku, wreszcie stanął plecami do kominka, z okularami na nosie, utkwivszy wzrok w adresie podanego przez Doroteę listu.

– Czy należycie się zastanowiłaś, moja droga? – zapytał wreszcie.

– Nie było trzeba zastanawiać się długo, stryjaszku. Nie mam żadnych powodów do wahań. Zmieniłabym zdanie tylko wtedy, gdybym usłyszała coś ważnego, coś, o czym dotąd nie wiedziałam.

– Aha, więc go przyjęłaś? To znaczy, że Chettam nie ma szans. Czy on cię czymś uraził, czymś, że tak powiem, uraził? Co ci się w nim nie podoba?

– Nic mi się w nim nie podoba – odparła dość impulsywnie Dorotea.

Pan Brooke odrzucił do tyłu głowę i ramiona, jakby go coś lekko ugodziło. Dorotea zreflektowała się natychmiast.

– To znaczy, nie podoba jako ewentualny mąż. To zacy człowiek, myślę, naprawdę bardzo dobry, jeśli idzie o budowanie farmerskich chat. Majak najlepsze chęci.

– Ale tobie potrzebny jest uczoney, i tego tam, co...? Może to masz we krwi. Ja też to miałem: pociąg do wiedzy... zainteresowanie każdą rzeczą. Może i za bardzo, może aż nadto, chociaż znowu takie skłonności nie są dziedziczne po kądzieli, chyba że się przenoszą podskórnice, jak rzeki w Grecji, wiesz, jak płyną rzeki w Grecji, potem to wychodzi w synach. Mądrzy synowie, mądre matki. Sam bardzo się tym interesowałem w swoim czasie. Ale, moja kochana, zawsze powiadałem, że w tych

sprawach ludzie powinni postępować wedle woli, do pewnych granic. Nie mógłbym, jako twój opiekun, dać zgody na zły mariaż. Ale Casaubon to dobra partia, ma dobrą pozycję. Obawiam się, że Chettam będzie urażony, a pani Cadwallader powie, że to moja wina.

Tego wieczoru Celia nie wiedziała jeszcze, co się stało. Roztargnienie Dorotei i to, że płakała po powrocie do domu, przypisała sprawie sir Jamesa i chat, pilnie więc się strzegła, by znowu nie urazić czymś siostry. Kiedy Celia raz powiedziała to, co chciała powiedzieć, niechętnie wracała do niemiłych spraw. W dzieciństwie nigdy nie lubiła się z nikim kłócić – patrzyła tylko ze zdumieniem na tych, co się z nią kłócili, myśląc, że wyglądają jak indyki, podczas gdy ona gotowa jest bawić się z nimi zaraz, jak im gniew przejdzie. A Dorotea miała zwyczaj zawsze doszukiwać się w słowach młodszej siostry czegoś złego, choć ta protestowała w duszy, boć przecież mówiła tylko to, co oczywiste, i nic więcej; sama z siebie nigdy by nie potrafiła nic wymyślić. Ale najlepsze w Dodo było to, że nie umiała się długo gniewać. Choć przez cały wieczór prawie nie odzywały się do siebie, teraz, gdy Celia odłożyła robótkę, by iść spać, co robiła zawsze o wiele wcześniej niż Dorotea, ta, siedząc na niskim stołeczku, niezdolna zając się niczym prócz rozmyślań, powiedziała do siostry z melodyjną intonacją, która w chwilach spokojnego, lecz głębokiego wzruszenia przekształcała się w piękne recitativo.

– Celio, kochanie, chodź mnie pocałować – i wyciągnęła ku siostrze rozwarte ramiona.

Celia przyklękła, by znaleźć się na jej poziomie, musnęła siostrę lekkim, motylim pocałunkiem, lecz Dorotea otoczyła ją łagodnie ramionami i z powagą przycisnęła wargi do jej policzków.

– Nie siedź długo, Dodo, taka jesteś dziś blada; idź szybko do łóżka – powiedziała swobodnie Celia bez śladu patosu.

– Nie, kochana moja, jestem bardzo, ale to bardzo szczęśliwa – odparła

gorąco Dorotea.

„Tym lepiej – pomyślała Celia – ale jak Dodo dziwnie przechodzi z jednej krańcowości w drugą”.

Następnego dnia podczas obiadu służący podał coś panu Brooke, mówiąc:

– Wrócił Jonas, jaśnie panie, i przywiózł ten list.

Pan Brooke przeczytał list i skinął ku Dorotei:

– Casaubon, moja kochana, przyjeżdża na kolację, nie chciał marnować czasu na dłuższe pisanie, nie chciał, powiadam, marnować czasu.

Nie mogło się wydać Celi niczym szczególnym to, że stryj uprzedza bratanicę o przyjeździe gościa na kolację, ale podążając oczami za wzrokiem pana Brooke, zdumiała się, widząc, jakie wrażenie zrobiła ta wiadomość na Dorotei. Wydało się, jakby po jej twarzy przeleciało odbicie białego, opromienionego słońcem skrzydła, po czym na policzkach wykwitł rzadki na nich rumieniec. Po raz pierwszy przyszło Celi do głowy, że między jej siostrą a panem Casaubonem może być coś więcej niż tylko jego upodobanie do książkowego gadania i jej upodobanie do wysłuchiwania tego gadania. Dotychczas uważała, że podziw, okazywany przez Dorotę „szkaradnemu” i uczonemu panu, jest tego samego rodzaju, co ten, jakim darzyła monsieur Lireta w Lozannie, równie szkaradnego i uczonego. Dorotea nigdy nie miała dość słuchania starego pana Lireta, podczas gdy Celia trzęsła się ze strachu jak zając, doprawdy bowiem, strasznie było patrzeć na skórę poruszającą mu się na łysej czaszce. Czemu by więc Dodo nie miała się entuzjazmować panem Casaubonem podobnie jak panem Liretem? Możliwe też, że wszyscy ludzie nauki patrzą na młodych trochę jak na uczniów.

W tym momencie jednak Celia była naprawdę wystraszona podejrzeniem, jakie zrodziło się w jej głowie. Rzadko ją cokolwiek w podobny sposób zaskakiwało – niezwykła bystrość pozwalała jej

zazwyczaj dostrzegać kolejne oznaki, które zapowiadały nadchodzące ciekawe wydarzenie. Nie przyszło jej do głowy, by pan Casaubon mógł już zostać przyjęty przez Doroteę, poczuła tylko niesmak na myśl, że siostra może żywić najmniejszą na to ochotę. Doprawdy, teraz jest o co się gniewać na Dodo; niech sobie nie przyjmuje sir Jamesa Chettama, bardzo proszę, ale żeby myśleć o wyjściu za pana Casaubona?! Celia czuła coś w rodzaju wstydu przemieszanego z poczuciem niedorzeczności. Jeśli jednak Dodo naprawdę bliska jest podobnego szaleństwa, trzeba ją od tego odwieść; wiedziała z doświadczenia, że może liczyć na wrażliwość siostry. Dzień był dżdżysty, spacer niemożliwy, poszły więc na górę do swego saloniku, a tam Celia zauważyła, że siostra, zamiast zająć się pilnie, jak zwykle, jakąś robotką, wsparła łokcie na kartach otwartej książki i wyglądała przez okno na wielki cedr osrebrzony wilgocią. Celia zabrała się do robienia jakiejś zabawki dla dzieci plebana; nie zamierzała zbyt pochopnie zaczynać rozmowy na jakikolwiek temat.

A Dorotea myślała właśnie, że należałoby powiadomić Celię, jak ważna dokonała się zmiana w pozycji pana Casaubona od jego ostatniej wizyty; nieładnie, by siostra nie wiedziała o czymś, co musi wpłynąć na jej stosunek do niego – coś jednak sprawiało, że Dorotea nie miała ochoty na to wyznanie. W swojej niechęci dopatrywała się nawet pewnej małoduszności – zawsze brzydziła się kręactwem i tchórzliwością w postępowaniu, w tym jednak momencie szukała rozpaczliwie jakiegoś silnego wsparcia, by się nie bać trucizny zawartej we wdzięcznej, przyziemnej prozie Celi. Wyrwał ją jednak z zamyślenia, oddalając konieczność podjęcia decyzji, cichy, nieco gardłowy głos siostry, która rzuciła spokojnie, jakby od niechcenia:

- Czy oprócz pana Casaubona będzie jeszcze ktoś na kolacji?
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Mam nadzieję, że ktoś jeszcze będzie. Mogłabym wówczas nie

słyszeć, jak on je zupe.

– A cóż jest szczególnego w tym, jak on je zupe?

– Naprawdę, Dodo, nie słyszysz, jak skrobie łyżką po talerzu?

I zawsze, nim zacznie mówić, to tak łypie. Nie wiem, czy Locke łypał, ale jeśli tak, to żal mi tych, co siadywali naprzeciwko niego.

– Celio! – zawołała Dorotea z ogromną powagą – proszę, abyś więcej nie robiła tego rodzaju uwag.

– Czemu nie? Przecież to prawda – odparta Celia, która miała swoje powody, by się upierać, chociaż obleciał ją lekki niepokój.

– Wiele jest rzeczy prawdziwych, które dostrzegają jedynie pospolite umysły.

– Wobec tego sędzę, że pospolite umysły są całkiem pożyteczne. Wielka szkoda, że matka pana Casaubona nie była pospolitym umysłem. Nauczyłaby syna lepszych manier przy stole. – Po tym rzucie oszczepem Celia, w ogromnym strachu, gotowa była już zrejterować.

W tym momencie uczucia Dorotei zapanowały nad nią całkowicie, nie było już mowy o żadnych wstępach.

– Powinnaś wiedzieć, Celio, że jestem zaręczona z panem Casaubonem.

Nigdy jeszcze jej siostra tak nie zbadała. Noga papierowego człowieka, którego robiła, zostałaby pewno złamana, gdyby Celia nie zwykła pilnować tego, co trzyma w rękach. Odłożyła delikatną figurkę i przez kilka chwil siedziała nieruchomo. Kiedy zaczęła mówić, głos miała nabrzmiały łzami.

– Och, Dodo, mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa! – Siostrzane uczucie przeważało w tej chwili, a jej obawy były obawami serca.

Dorotea w dalszym ciągu była urażona i zdenerwowana.

– Więc to już zdecydowane? I stryjaszek o tym wie? – W głosie Celii brzmiało osłupienie.

– Przyjęłam oświadczenia pana Casaubona. Były w liście, który

przywiózł stryjaszek. Wiedział o tym.

– Przepraszam, jeśli powiedziałam coś, co cię mogło urazić, Dodo – mówiła Celia z lekkim szlochem. Nigdy w życiu nie wyobrażała sobie, że przyjdzie jej odczuwać to, co teraz. W tym wszystkim było coś z pogrzebu, a pan Casaubon wydawał się odprawiającym egzekwie kapłanem, o którym brzydko jest robić uwagi.

– Nic nie szkodzi, Kitty, nie martw się. Nigdy ci sami ludzie nie będą w nas budzić podziwu. Ja często popełniam ten sam grzech, skłonna jestem wyrażać się zbyt ostro o tych, którzy mi się nie podobają.

Mimo tej wielkoduszności Dorotea czuła wciąż ukłucie w sercu. Stłumione zdumienie siostry bolało ją tak samo, jak jej poprzednie uszczypliwe uwagi. Jasne, że cały świat wokół Tipton będzie niechętnym okiem patrzył na ten mariaż. Nie było tu nikogo, kto myślałby podobnie jak ona o życiu i jego najwznioślejszych celach.

Przez cały wieczór była bardzo szczęśliwa. Podczas godzinnego *tête-à-tête* z panem Casaubonem rozmawiała z nim swobodniej niż kiedykolwiek i nawet powiedziała mu, jak bardzo się cieszy na myśl, że będzie mogła poświęcić się dla niego, i postara się wspierać go w jego wielkich dziełach. Pan Casaubon zachwyił się tak, jak jeszcze nigdy w życiu (jakiż mężczyzna by się nie zachwyił?) tą dziecinną, niepohamowaną żarliwością i wcale się nie zdziwił (jakiż kochanek by się dziwił?), że to on jest tej żarliwości przedmiotem.

– Droga pani, droga Doroteo, mówił – ściskając jej dłoń w swoich dłoniach – nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażałem sobie, by mogło mnie spotkać takie szczęście. Doprawdy, nie przypuszczałem nawet, iż los pozwoli mi kiedykolwiek poznać osobę o takim umyśle, wyposażoną w tak różnorakie wdzięki, bym zapragnął się z nią ożenić. Posiadasz, niemal w nadmiarze, droga moja, wszystkie przymioty, które zawsze uważałem za świadectwa doskonałości kobiecej.

Ogromnym urokiem twojej płci jest zdolność do żarliwego, pełnego poświęcenia uczucia, w czym upatrujemy jej stosowność do uzupełniania i umilania naszej egzystencji. Niewielu zaznałem dotychczas radości, oprócz takich, które są surowszej natury; moje satysfakcje były satysfakcjami samotnego badacza. Nie żywiłem ochoty na zbieranie kwiatów, które by więdły w mojej dłoni, teraz jednak będę je chętnie zrywał i składał na twoim łonie.

Żadne przemówienie nie mogło być uczciwsze, jeśli idzie o intencje; zimna retoryka zakończenia była równie szczerą, jak szczeknięcie psa czy kraknięcie zakochanego gawrona. Czy nie byłoby jednak nierozważą twierdzić, że za tymi sonetami dla Delii^[14], które brzmią nam w uchu jak blaszane dźwięki mandoliny, nie kryje się prawdziwa namiętność?

Wiara Dorotei uzupełniła wszystko, czego zabrakło w słowach pana Casaubona; jakież wyznawca umie zauważyć niepokojący brak czy apostazję? Tekst proroka czy poety rozrasta się o wszystko, co sami mu w myślach dopiszemy, i nawet jego błędy gramatyczne wydają się wznieść.

– Taka ze mnie ignorantka; będzie się pan dziwił mojej niewiedzy – mówiła Dorotea. – Tyle moich myśli może być zupełnie fałszywych; teraz będę je mogła zwierzyć panu i zapytać o zdanie. Ale – wyobraziła sobie nagle, jak pan Casaubon może przyjąć jej słowa – nie będę się zbytnio narzucała, spytam tylko wtedy, kiedy zechce pan słuchać. Zapewne jest pan często zmęczony, podążając myślą, swoim torem, za różnymi problemami, a ja i tak dość zyskam, jeśli będzie mnie pan zabierał ze sobą.

– Jakże ja mógłbym teraz iść jakimkolwiek torem, nie mając ciebie przy boku – powiedział pan Casaubon, całując jej czyste czoło i czując, że niebiosa zechciały łaskawie zesłać mu dar odpowiadający pod każdym względem jego szczególnym zapotrzebowaniom. Znalazł się nieświadomie pod ogromnym urokiem tego stworzenia, które nie prowadziło żadnych

[14] Zbiór sonetów Samuela Daniela, wydanych w 1592 r.

skrytych rachub ani dzisiaj, ani na przyszłość. To właśnie sprawiało, że Dorotea była taka dziecinna i taka, według niektórych osób, niemądra, mimo całej rzekomej inteligencji; poświadczał to i obecny przypadek, kiedy to, mówiąc w przerośni, rzuciła się do stóp pana Casaubona i całowała staromodne sznurówki jego butów, jakby był jakimś protestanckim papieżem. Ani jej było w głowie doprowadzać do tego, by pan Casaubon zadał sobie pytanie, czy jest jej godny – nie, ona tylko sobie zadawała niespokojne pytanie, czy jest godna jego. Nim wyjechał następnego dnia, ustalono, że ślub odbędzie się za sześć tygodni. Czemu nie? Dom pana Casaubona był gotów. Nie była to plebania przy kościele, ale obszerna rezydencja leżąca na terenie dużego majątku. Na plebanii zamieszkiwał wikary, który pełnił wszystkie obowiązki duszpasterskie, nie wygłaszał tylko porannego kazania.

ROZDZIAŁ VI

Język mej pani jak ostre źdźbło trawy –
Tnie, kiedy głaszczesz je leniwą dłonią.
To jej zadanie; dokładnie oddziela
Plewy od ziarna brzytwą swego ducha,
Nienamacalne robiąc oszczędności...

Powóz pana Casaubona, wytaczając się z bramy wjazdowej, zatarasował wjazd małemu faetonikowi, powożonemu przez jakąś damę, ze służącą na tylnej ławeczce. Wątpliwe, by poznanie było wzajemne, gdyż pan Casaubon spoglądał przed siebie roztargnionym wzrokiem, dama jednak była spostrzegawcza i rzuciła mu „dzień dobry”, opatrzone skinieniem głowy. Jasne było, że mimo jej zniszczonego kapelusza i starego indyjskiego szala dozorczyńni uważa przyjezdną za osobę znaczną, gdyż skłoniła się nisko przed wjeżdżającym faetonikiem.

– Dzień dobry, moja Fitchett, jak się wam kury niosą? – spytała żywa, ciemnooka dama czystym, cyzelowanym głosem.

– Niosą się całkiem dobrze, proszę pani, ale zaczęły zjadać własne jajka; tak mi już za skórę zalazły, ciągiem je trzeba pilnować.

– Kanibale! Lepiej niech je Fitchett od razu tanio sprzeda. Ile chcecie za parę? Nie można żądać zbyt dużo za kury ze złym charakterem.

– Pół korony, proszę pani; taniej nie mogę.

– Pół korony! W dzisiejszych czasach! Opamiętajcie się, kobieto. Na niedzielny rosół dla plebana. Zjadł już wszystko, co miałam w kurniku. Połowę spłaca wam kazaniem, nie zapominajcie o tym, moja Fitchett. Weźcie za nie parę gołębi skoczków, to – prawdziwe śliczności. Przyjdźcie je obejrzeć, koniecznie. Nie macie takich w swoim gołębniku, co?

– Dobrze, proszę pani, mój syn pójdzie je zobaczyć po pracy. On się pali do każdej nowości. Pójdzie, żeby pani zrobić grzeczność.

– Grzeczność! To będzie najlepszy interes, jaki zrobi w życiu! Para kościelnych gołębi za dwie paskudne hiszpańskie kury, co zjadają własne jajka! Tylko żebyście się tym za bardzo nie chwalili przed ludźmi!

Faetonik ruszył, gdy mówiła te słowa, pozostawiając panią Fitchett, która potrzasała z wolna głową i śmiała się, wykrzykując od czasu do czasu: „Patrzajcie tylko! Patrzajcie!”, z czego można wnioskować, że uważałyby wieś za o wiele nudniejszą, gdyby żona plebana nie była taka bezpośrednia i taka skąpa. Istotnie, zarówno farmerzy, jak najmici, żyjący w parafiach Freshitt i Tipton, odczuwaliby żalosne braki tematów do rozmów, gdyby nie opowieści o tym, co powiedziała i co zrobiła pani Cadwallader, dama niezwykle wielkiego rodu wywodzącego się ponoć od jakichś tam nieznanых hrabiów, nieokreślonych, jak tłumy cieni bohaterów – dama, która powoływała się na swoją biedę, targowała o ceny, stroiła po przyjacielsku żarty, ale używała przy tym takich zwrotów, że człowiek dobrze wiedział, z kim rozmawia. Taka dama pozwala patrzeć na wyższe sfery oraz Kościół jak na sąsiadów i umniejsza gorycz niezmnieszaną dziesięciny. Osoba bardziej wzorowa, zaprawiona skwaśniałą godnością, na pewno nie pomogłaby im zrozumieć trzydziestu dziewięciu artykułów wiary i o wiele słabiej konsolidowałaby miejscową społeczność.

Pan Brooke, który na zalety pani Cadwallader patrzył z nieco innej strony, skrzywił się lekko, gdy zaanonsowano ją w bibliotece, gdzie siedział samotnie.

– Widzę, że był tutaj nasz Cycero z Lowick – zaczęła, sadowiąc się wygodnie, odrzucając pelerynki i ukazując szczupłą, ale kształtną figurę. – Podejrzewam, że prowadzicie tu wspólnie jakieś nieczyste gry polityczne, bo inaczej nie widywałyby się pan tak często z tym wesołym

jegomościem. Złożę na was doniesienie: proszę pamiętać, że jesteście obaj podejrzani, odkąd stanęliście po stronie Peela w Kwestii Katolickiej. Będę rozpowiadała na prawo i lewo, że ma pan zamiar kandydować na posła z ramienia wigów, kiedy stary Pinkerton złoży rezygnację, i że Casaubon zamierza skrycie pana wspierać; będzie przekupywał wyborców, rozdając im broszury, i w tym celu zamierza zapraszać ludzi na swój koszt do zajazdów. Przyznaj się pan, proszę.

– Nic podobnego. – Pan Brooke z uśmiechem przecierał okulary, ale w istocie poczerwieniał lekko, usłyszawszy oskarżenie. – Nie rozmawiam wiele z Casaubonem o polityce. Niewiele go obchodzi charytatywna strona zagadnienia... wyroki sądowe i tak dalej. Jego interesują tylko problemy kościelne. Jak pani wiadomo, ja na tej niwie nie działam.

– Aż nadto pan działa! Słyszałam, co pan wyprawia! Któż to taki sprzedał papistom swój kawałek ziemi w Middlemarch? Moim zdaniem kupił go pan specjalnie z tym zamiarem. Wypisz wymaluj Guy Faux. Żeby czasem nie spalili pańskiej podobizny piętego listopada! Humphrey nie chciał tu przyjeżdżać i kłócić się o to z panem, więc przyjechałam ja.

– Bardzo pięknie. Byłem przygotowany na prześladowania za to, że nie prześladuję innych..., że ich, że tak powiem, nie prześladuję.

– No, proszę! I takie ple-ple przygotowuje pan na kampanię wyborczą? Kochany panie Brooke, niech się pan nie da namówić na kandydowanie. Mężczyzna przemawiający na trybunie musi zrobić z siebie idiotę; jedynym dla niego wytłumaczeniem jest opowiedzenie się po właściwej stronie, żeby mógł dostać błogosławieństwo dla swoich bełkotów i chrząkań. Przepowiadam panu: zapomnisz języka w gębie. Zrobisz pan bigos z poglądów wszystkich partii i zostaniesz pan wygwizdany przez wszystkich.

– Tego się, że tak powiem, spodziewam – powiedział pan Brooke, nie chcąc okazywać, jak mało go bawi ta wizja przyszłości. – Tego

się spodziewam jako człowiek niezależny. Jeśli zaś idzie o wigów, to wątpliwe, by ktoś, kto się związał z intelektualistami, dał się złapać na haczyk jakiegokolwiek partii. Może z nią iść, do pewnego punktu, że tak powiem, do pewnego punktu. Ale tego wy, panie, nie możecie zrozumieć.

– A gdzie się znajduje ten pański punkt? To znaczy, chciałabym usłyszeć, jak może mówić o „pewnym punkcie” ktoś, kto nie należy do żadnej partii, kto nie mówi swoim przyjaciółom, pod jakim szyldem go szukać. „Nie wiadomo, gdzie się Brooke znajdzie”. „Na Brooke’a nie można liczyć”. Tak ludzie powiadają o panu, jeśli mam być całkiem szczerą. Stań się pan wreszcie człowiekiem godnym szacunku. Jak będziesz się pan czuł na sesjach sądowych, kiedy zostaniesz z nieczystym sumieniem, pustką w kieszeni i niechęcią sąsiadów?

– Nie zamierzam dyskutować z damą o polityce – odparł pan Brooke z uśmiechem obojętności, w duszy jednak niemile świadom, że atak pani Cadwallader zmusza go do wszczęcia kampanii obronnej, a wszystko to z jego winy, gdyż zbyt pochopnie poczynił pewne kroki. – Płeć piękna to nie są, że tak powiem, intelektualistki, *varium et mutabile semper*^[15], że tak powiem. Pani nie zna Wergiliusza. Ja znałem. – Tu pan Brooke zreflektował się w sam czas, uświadomiwszy sobie, że nie zawarł był osobistej znajomości z poetą złotego wieku. – Chciałem powiedzieć: biednego Stoddarta^[16], ma się rozumieć. To on to powiedział. Wy, damy, zawsze jesteście przeciwne niezależnemu stanowisku, przeciwne męskiemu dążeniu do prawdy, i tylko prawdy, że tak powiem. Nigdzie, w całym hrabstwie ludzie nie mają tak ciasnych poglądów jak tu u nas, to znaczy, nie chcę w nikogo rzucać kamieniem, ale ktoś musi zająć niezależne stanowisko, a jeśli ja go nie zajmę, to kto?

[15] „Niestałą i zmienną jest” (kobieta), cytat z *Eneidy* Wergiliusza.

[16] Zapewne chodzi o sir Johna Stoddarta – wydawcę ultrakonserwatywnego pisma *The New Times*.

– Kto? Ależ każdy parweniusz, bez pochodzenia i pozycji. Ludzie należący do pewnej sfery powinni się bawić tymi niezależnymi poglądami w domu, a nie rozpowiadać o tym naokoło. I to w dodatku pan, który chce wydać bratanicę, córkę niemal, za jednego z najznaczących ludzi w sąsiedztwie. Sir James będzie się czuł bardzo dotknięty; doprawdy, sprawi mu pan ogromną przykrość, robiąc teraz zwrot i wywieszając wigowski szyld.

Pan Brooke ponownie skrzywił się w duchu, gdyż natychmiast po decyzji o zaręczynach Dorotei pomyślał sobie, jak mu za to pani Cadwallader naurąga. Łatwo by niewtajemniczonym obserwatorom mówić: „A kłóć się pan z panią Cadwallader”, gdzie jednak miałby się podziąć ziemianin, który się kłóci ze swoimi najstarszymi sąsiadami? Któż by się delectował wspaniałym smakiem nazwiska Brooke, gdyby było serwowane na co dzień, jak niepieczętowane wino? Niewątpliwie człowiek może być kosmopolitą tylko do pewnego stopnia.

– Mam nadzieję, że Chettam i ja będziemy zawsze dobrymi przyjaciółmi, ale z przykrością stwierdzam, że nie ma widoków na to, by poślubił moją bratanicę – powiedział pan Brooke, szczęśliwy, że widzi przez okno nadchodzącą Celię.

– A to czemu? – spytała pani Cadwallader ostrym tonem zdumienia. – Przecież mówiliśmy o tym nie dalej niż dwa tygodnie temu.

– Moja bratanica wybrała innego konkurenta... wybrała, że tak powiem, innego. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Wolałbym Chettama; i powiedziałbym, że każda panna wybrałaby Chettama. Ale w tych sprawach nigdy nic nie wiadomo. Płęć, że tak powiem, bywa kapryśna.

– A kogo też pozwala jej pan poślubić? – Pani Cadwallader gwałtownie robiła w myślach przegląd wszystkich możliwości, jakie stały przed Dorotą.

W tym momencie weszła Celia, zaróżowiona po przechadzce w

ogrodzie, a powitanie z nią uwolniło pana Brooke od konieczności udzielenia natychmiastowej odpowiedzi. Wstał śpiesznie i ze słowami: „Byłbym zapomniiał, muszę dać Wrightowi dyspozycje co do koni”, wysunął się szybko z pokoju.

– Moje dziecko, co to wszystko znaczy... podobno twoja siostra się zaręczyła? – dopytywała się pani Cadwallader.

– Zaręczyła się z panem Casaubonem – Celia, jak zwykle, uciekła się do najprostszego stwierdzenia faktu, rada, że ma sposobność pogadania z pastorem sam na sam.

– To straszne! Od jak dawna o tym wiadomo?

– Ja wiem od wczoraj. Mają się pobrać za sześć tygodni.

– No cóż, moja droga, życzę ci radości ze szwagra.

– Tak mi żal Dorotei!

– Żal! Przypuszczam, że to jej sprawka.

– Tak. Powiada, że pan Casaubon ma wielką duszę.

– Zapewne ma.

– Och, proszę pani, nie myślę, żeby to było miłe wychodzić za człowieka z wielką duszą.

– No cóż, moja droga, niech ci to będzie przestroga. Wiesz już, jak jeden z nich wygląda, więc jak pojawi się drugi i będzie się chciał z tobą żenić, to go nie przyjmuj.

– Nigdy bym go nie przyjęła.

– No, tak, jeden w rodzinie wystarczy. Więc twoja siostra nigdy nie interesowała się sir Jamesem? A co ty byś powiedziała na niego jako na szwagra?

– Bardzo bym sobie tego życzyła. Jestem pewna, że byłby dobrym mężem. Tylko – dodała Celia z lekkim rumieńcem (czasem wydawało się, że rumieniec przychodzi jej wraz z oddechem) – nie sądzę, żeby on był odpowiedni dla Dodo.

– Nie dość wysoko lata w obłokach, co?

– Dodo jest bardzo wymagająca. Na tyle rzeczy zwraca uwagę i takie znaczenie przywiązuje do tego, co ktoś mówi. Sir James nigdy jej nie zadowalał.

– Jestem pewna, że robiła mu awanse. Nie przynosi to jej zaszczytu.

– Proszę, niech się pani nie gniewa na Dodo, ona różnych rzeczy nie widzi. Miała głowę zaprzątniętą tymi chatami! I naprawdę bywała czasami niegrzeczna dla sir Jamesa, ale on jest taki miły, że nigdy tego nie zauważał.

– No cóż – pani Cadwallader narzuciła szal i wstała, jakby się spieszyła. – Muszę zaraz jechać do sir Jamesa i przekazać mu wiadomość. Pewno już przywiózł matkę, więc złożę im wizytę. Twój stryjasek nigdy sam mu tego nie powie. To dla nas wszystkich wielki zawód, moja kochana. Młodzi ludzie, żeniąc się, powinni myśleć o swojej rodzinie. Ja sama dałam zły przykład: wysłałam za ubogiego pastora i zrobiłam z siebie przedmiot litości De Bracych, muszę podstępem zdobywać węgle i modlić się o oliwę do sałat. Casaubon jednak jest bogaty, pod tym względem trzeba mu oddać sprawiedliwość. Jeśli idzie o krew, to pewno jego ród ma trzy mątwy i komentatora w polu herbowym. Ale, ale, moja kochana, nim pójdę, muszę jeszcze porozmawiać z waszą panią Carter. Chcę do niej przysłać moją młodą kucharkę na naukę. Tacy biedacy jak my, z czwórką dzieci, nie mogą sobie pozwolić na dobrą kucharkę. Jestem pewna, że pani Carter wyświadczy mi tę przysługę. Kucharka sir Jamesa to potwór.

W niecałą godzinę później pani Cadwallader, uzyskawszy zgodę pani Carter, ruszyła do Freshitt Hall, dworu leżącego opodal plebanii, jako że pastor Cadwallader był plebanem parafii Freshitt, a wikarego miał w Tipton.

Sir James Chettam wrócił właśnie z krótkiej podróży, która trzymała

go przez kilka dni poza domem, przebrał się i miał zamiar ruszyć do Tipton Grange. Kiedy pani Cadwallader nadjechała, koń stał przed drzwiami, a po chwili ukazał się w progu sam jeździec z pejcem w rękę. Lady Chettam jeszcze nie wróciła, pastorkowa nie mogła jednak przekazać swoich wiadomości sir Jamesowi w obecności chłopców stajennych, poprosiła więc, by ją zaprowadził do stojącej opodal ciepłarni, gdyż chce obejrzeć nowe sadzonki; tam, zatrzymując się w zamyśleniu, powiedziała:

– To, co powiem, będzie dla pana wielkim wstrząsem. Mam nadzieję, że nie jest pan aż tak zakochany, jak udaje.

Nie miało sensu protestować przeciwko sposobowi przedstawiania spraw przez panią Cadwallader. Wyraz twarzy sir Jamesa zmienił się jednak nieco. Baronet był zaniepokojony.

– Obawiam się, że Brooke chce się jednak wystawić jako kandydat. Oskarżyłam go o to, że zamierza kandydować na posła z Middlemarch z ramienia liberałów, na co on zrobił głupią minę, ale nie zaprzeczył, plótł coś o niezależnej pozycji, ot, zwykłe bzdury.

– I to wszystko? – spytał sir James z wyraźną ulgą.

– Przecież – w głosie pani Cadwallader zabrzmiała ostrzejsza nuta – nie powie pan, że chciałby widzieć, jak Brooke robi z siebie w ten sposób osobę publiczną, jak jakiś polityczny domokrażca.

– Sądzę, że można mu to będzie wyperswadować. Nie w smak mu pójdą koszty.

– Wspomniałam mu o nich. W tym punkcie dociera do niego głos rozumu, w każdej uncji skąpstwa zawsze tkwi kilka ziaren zdrowego rozsądku. Skąpstwo to kapitalna cecha dziedziczna; lepiej zwariować, będąc skąpcem niż rozrzutnikiem. A musi tam być trochę nie w porządku w tej jego rodzinie, inaczej nie zanosiliby się na to, na co się zanoszą.

– Na co? Na to, że Brooke będzie kandydował na posła z Middlemarch?

– Na coś gorszego. Doprawdy, czuję się za to w pewnej mierze

odpowiedzialna. Zawsze panu mówiłam, że starsza panna Brooke to świetna partia. Wiedziałam, że roją się jej w głowie różne nonsensy, jakieś metodystyczne banialuki. Ale u dziewcząt takie rzeczy mijają. Tym razem jednak jestem doprawdy zaskoczona.

– O czym pani mówi? – spytał sir James. Jego obawy, czy panna Brooke nie uciekła czasem, by się przyłączyć do braci morawskich albo innej zwariowanej sekty nieznannej w dobrym towarzystwie, tłumiała nieco świadomość, że pastorowa zawsze widzi wszystko w najczarniejszych barwach. – Co się przydarzyło pannie Brooke? Niechże pani mówi!

– Proszę bardzo. Zareczyła się i wychodzi za męża. – Pani Cadwallader przerwała na chwilę, widząc wyraz głębokiej przykrości malujący się na twarzy rozmówcy, który próbował pokryć to nerwowym uśmiechem, smagając buty pejcem; po chwili dodała: – Zareczyła się z Casaubonem.

Pejcz wypadł sir Jamesowi z ręki, więc schylił się, by go podnieść. Nigdy jeszcze twarz jego nie wyrażała tak skondensowanego obrzydzenia. Obrócił się do pastorowej, powtarzając: „Z Casaubonem?”

– No właśnie. Widzi pan teraz, z czym przyjechałam.

– Wielki Boże! To straszne! Przecież on jest jak mumia!

(Można wybaczyć taki punkt widzenia zawiedzionemu rywalowi w kwiecie wieku).

– Ona powiada, że to wielka dusza! Akurat! Wielki pęcherz z suszonym grochem do grzechotania!

– Po co takiemu staremu kawalerowi małżeństwo? – pytał sir James.

– Przecież on już jedną nogą tkwi w grobie.

– Zamierzają stamtąd wyciągnąć, jak sądzą.

– Brooke nie powinien dawać na to zgody. Powinien żądać odłożenia ślubu do jej pełnoletności. Opamiętałyby się do tego czasu. Przecież opiekun jest właśnie po to.

– Mówi pan tak, jakby Brooke’a można było zmusić do jakiegokolwiek

decyzji.

– Pastor mógłby z nim porozmawiać.

– Nie on. Humphrey każdego będzie uważał za miłego człowieka. Nigdy go nie namówię, żeby powiedział złe słowo o Casaubonie. On się dobrze wyraża nawet o biskupie, chociaż mu powiadam, że to jest sprzeczne z naturą pastora, który ma beneficjum: co można robić, jak się ma męża, który nie dba o dobre obyczaje? Ukrywam to, jak mogę, obrażając sama wszystkich naokoło. Niechże się pan nie martwi, proszę, głowa do góry, pozbył się pan starszej panny Brooke, dziewczyny, która żądałaby, żeby pan oglądał gwiazdy w biały dzień. Między nami mówiąc, mała Celia warta jest dwóch takich jak ona i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa okaże się lepszą partią. Przecież małżeństwo z Casaubonem to tak jak pójście do klasztoru.

– Och, nie idzie o mnie... ale o starszą pannę Brooke. Myślę, że przyjaciele powinni spróbować na nią wpłynąć.

– No cóż, Humphrey jeszcze nic nie wie, ale kiedy się dowie, zobaczy pan, powie tylko: „Czemu nie? Casaubon to przyzwoity człowiek – i młody – dostatecznie młody”. Ci miłosierni ludzie nie potrafią odróżnić octu od wina, póki się nie napiją i nie dostaną kolki. Ale gdybym była mężczyzną, wolałabym Celię, zwłaszcza kiedy Dorotea odpadła. A prawdę mówiąc, starał się pan zdobyć jedną, a podbił serce drugiej. Przecie widzę, że admiruje pana tak, jak tego oczekuje każdy mężczyzna. Gdyby to mówił ktoś inny, a nie ja, mógłby pan to uznać za przesadę. Do widzenia.

Sir James pomógł pani Cadwallader wsiąść do faetoniku, a sam wskoczył na konia. Nie miał zamiaru wyrzekać się przejażdżki z powodu przykrych wiadomości – jechał tylko szybciej i w innym kierunku niż Tipton Grange.

Ale czemu to pani Cadwallader zajmowała się sprawą małżeństwa starszej panny Brooke i dlaczego, kiedy się okazało, że spalił na

panewce mariaż, który, pochlebiała sobie, był tuż, tuż, natychmiast zaczęła przemyśliwać, jak doprowadzić do następnego? Czy można by, prowadząc czujne obserwacje za pomocą teleskopu, wypatrzeć jakąś zręczną intrygę, zobaczyć pokrętną ścieżkę jej działań? Nie. Można by zlustrować przez teleskop parafie Tipton i Freshitt, cały teren, przez który przejechała pastorowa w swoim faetoniku, nie notując żadnego spotkania, które mogłoby wzbudzić podejrzenie, żadnej sytuacji, z której nie wyszłaby z tym samym niezmaczenie bystrym spojrzeniem i naturalnym ciemnym rumieńcem na policzkach. Gdyby ten zręczny pojazd istniał w czasach Siedmiu Mędrców, jeden z nich stwierdziłby niewątpliwie, że niewiele można się dowiedzieć o kobietach, podążając za ich faetonikami. Oglądając kroplę wody pod mikroskopem, dokonujemy spostrzeżeń, które okazują się dość prymitywne; gdy patrzymy przez słabe soczewki, wydaje nam się, że widzimy stworzenia wykazujące się aktywną żarłocznością, którą mniejsze istoty aktywnie zaspokajają niby niezliczone namagnesowane monety; gdy jednak spojrzymy przez silniejsze soczewki, dojrzymy cieniutkie włoski, tworzące wiry, które popychają pożeranych ku pożerającym, ci ostatni zaś tylko czekają biernie na wypłatę daniny. Jeśli w ten właśnie metaforyczny sposób spojrzymy przez silniejsze soczewki na swaty pani Cadwallader, zobaczymy, że gra małych spraw tworzy coś, co można by nazwać wirami słów i myśli, które dostarczają potrzebny jej pokarm.

Życie jej było, jak to na wsi, proste, wolne od sekretów czy to brzydkich, czy niebezpiecznych, czy też istotnych pod jakimkolwiek innym względem, i nie miały na nie wpływu wielkie sprawy świata. Tym bardziej interesowały ją sprawy wielkiego świata, przekazywane w listach wysoko urodzonych krewnych: jak to uroczy młodsi synowie schodzą na psy, żeniąc się ze swoimi kochankami; jaki piękny okaz młodego wariata starej krwi przedstawia lord Tapir i w jak gwałtowne podagryczne

humory wpada stary lord Megatherium; jak to dzięki odpowiedniej krzyżówce genealogicznej tytuł baroneta przeszedł na świeżą gałąź, zwiększając niestosowne powiązania rodzinne – to były sprawy, których szczególnie przechowywała pieczołowicie w pamięci, by je przekazywać dalej we wspianiałej marynacie epigramów, co sprawiało jej tym większą przyjemność, że równie niewzruszenie wierzyła w podział na wysoko i nisko urodzonych, jak w podział na zwierzynę łowną i szkodniki. Nigdy nie wydziedziczyłaby nikogo z powodu jego biedy; De Bracy, zubożały do tego stopnia, by jadać kolację z miski, byłby w jej oczach postacią wzruszającą do przesady, obawiam się też, że jego arystokratyczne wady nie budziłyby jej przerażenia. Natomiast wobec wulgarnych bogaczy żywiła coś w rodzaju religijnej nienawiści; zapewne dorobili się majątku na wysokich cenach detalicznych, a pani Cadwallader nienawidziła wysokich cen na wszystko, czego nie otrzymywała na plebanii w naturze; tacy ludzie nie mogli się mieścić w boskich planach podczas stworzenia świata, a ich sposób wymowy stanowił obrazę dla uszu. Miasto, gdzie mnożyły się takie potwory, to nic więcej jak bulwarowa komedyjka, która nie mogła być brana pod uwagę w eleganckim układzie wszechświata. Niechże każda dama, skłonna krytykować pastorową, wymierzy szerokość własnych szlacheckich poglądów i upewni się, czy znajdzie się tam miejsce dla wszystkich żyjących, którzy mają honor z nią koegzystować.

Obdarzona takim umysłem, żywym jak fosfor, trawiącym wszystko, co się nawinęło w odpowiadającej mu formie, jakże mogła uważać, że panny Brooke i ich perspektywy małżeńskie to nie jej sprawa? Zwłaszcza że od lat miała zwyczaj łącać pana Brooke’a bardzo przyjaźnie i szczerze, a także dawać mu poufnie do zrozumienia, że go uważa za niezgułę. Po przyjeździe obu dziewcząt do Tipton umyśliła sobie natychmiast, że Dorotea wyjdzie za sir Jamesa, i gdyby ten mariaż doszedł do skutku, uważałyby go za swoje dzieło; ponieważ nie doszedł do skutku, mimo

iz tego chciała, czuła zrozumiałe dla każdego myślącego człowieka poirytowanie. Była dyplomatą Freshitt i Tipton, toteż wszystko, co się tu wydarzyło wbrew jej woli, uważała za obrazę dobrych obyczajów. Jeśli zaś idzie o mrzonki, takie jak starszej panny Brooke, pani Cadwallader nie była w stanie ich ścierpieć i w chwili obecnej zrozumiała, iż pozwoliła, by anemiczna dobrodusznosc pastora Cadwalladera wpłynęła na jej opinie o tej pannie; te metodystyczne fanaberie, to pozowanie na pobożność większą niż pastora i wikarego razem wziętych – to wszystko wynikało z jakiegoś organicznego schorzenia, cięższego, niż dotychczas sądziła.

– Tak czy inaczej – mówiła pani Cadwallader najpierw do siebie, a potem do swojego męża – przestałam się nią interesować. Gdyby wyszła za sir Jamesa, miałyby szansę stać się normalną, rozsądną kobietą. Nigdy by się jej nie sprzeciwiał, a kobieta, która nie napotyka sprzeciwu, nie ma powodu upierać się przy swoich niedorzecznych pomysłach. Teraz życzę jej wiele radości z Włosienicy.

Było więc oczywiste, że pastorowa musi wybrać następną kandydatkę dla sir Jamesa, a gdy uznała, że będzie nią młodsza panna Brooke, wykonała najzręczniejsze pociągnięcie, aby osiągnąć cel – wspomniała baronetowi, że zrobił wrażenie na Celi. Nie należał on bowiem do mężczyzn, którzy będą usychać z tęsknoty za opisywanym przez Safonę niedostępnym jabłkiem, co to uśmiecha się czarująco z najwyższej gałęzi:

Uśmiecha się jak pęk pierwiosnków hen, na skale, Których nie może zerwać chętna ręka^[17].

Nie umiał pisać sonetów, a fakt, że nie został wybrany przez kobietę, którą sam wybrał, nie mógł mu sprawiać przyjemności. Ale wiadomość, że Dorotea przyjęła oświadczenia Casaubona, dokonała wyłomu w jego uczuciach i osłabiła je. Chociaż sir James był myśliwym, miał inny stosunek do kobiet niż do kuropatw czy lisów i nie patrzył na swoją

[17] Poemat Roberta Blaire'a (1699-1746) *The Grave*.

przyszłą żonę jak na trofeum, cenne przede wszystkim ze względu na emocje polowania. Nie znał się też na tyle dobrze na obyczajach prymitywnych ras, by sądzić, że należyta walka o nią z tomahawkiem w rękę byłaby, że tak powiem, konieczna dla historycznej ciągłości instytucji małżeństwa. Przeciwnie, odznaczał się tą miłą próżnością, która łączy nas z tymi, co nas lubią, a zniechęca do tych, co są obojętni, miał też naturę zacną i skłonną do wdzięczności, toteż już sama myśl, że kobieta jest mu życzliwa, wysnuła z jego serca delikatną nić czułości ku niej.

I tak się złożyło, że sir James, po półgodzinnej szybkiej jeździe w kierunku przeciwnym niż Tipton Grange, ściągnął konia, a po chwili skierował go na drogę, wiodącą z powrotem, na skrót. Różne uczucia złożyły się na decyzję, by jednak pojechać do Grange, jak gdyby nigdy nic. Winał sobie, że się nie był oświadczył i nie dostał kosza. Zwykła grzeczność wymagała, by złożył Dorotei wizytę w związku z budową chat, a jeśli to się okaże konieczne, by jej również złożył gratulacje, co zrobi bez szczególnego zmieszania teraz, gdy został na szczęście uprzedzony przez pastora. Nie było mu to w smak; bardzo żałował, że musi się wyrzec Dorotei, ale w jego postanowieniu, by zaraz złożyć wizytę i skryć wszystkie oznaki własnych uczuć, było coś, co przypominało leczniczy środek drażniący i łagodzący jednocześnie. I choć nie całkiem zdawał sobie z tego sprawę, niewątpliwie kryła się w tym również świadomość, że w Grange znajdzie Celię, której powinien okazać o wiele większe zainteresowanie niż dotychczas.

My, śmiertelni, kobiety i mężczyźni, przeżykamy wiele zawodów między śniadaniem a kolacją, powstrzymujemy łzy, usta nam bieleją, a zapytani odpowiadamy: „Och, nic takiego!”. Wspomaga nas duma, a duma wcale nie jest zła, jeśli tylko skłania nas do ukrywania własnych ran, nie zaś do zadawania ich innym.

ROZDZIAŁ VII

Piacer e popone

Vuol la sua stagione[18].

Jak można było przewidzieć, pan Casaubon spędzał teraz w Grange dużo czasu, a fakt, że jego zaloty opóźniały postęp wielkiego dzieła – *Klucza do wszystkich mitologii* – kazały mu, oczywista, jeszcze bardziej niecierpliwie wyglądać szczęśliwego ich końca. Lecz było to przecież opóźnianie własnowolne, sam bowiem dopiero teraz doszedł do wniosku, że pora ozdobić życie urokiem kobiecego towarzystwa, opromienić grą kobiecej fantazji posępek, jaki w przerwach między wytężoną pracą rozwieszało niekiedy zmęczenie, i w szczytowym okresie życia zapewnić sobie osłodę kobiecej troskliwości na stare lata. Dlatego właśnie postanowił poddać się całkowicie strumieniowi uczuć i z pewnym chyba zaskoczeniem stwierdził, jak niezwykle płytki jest to strumyk. Tak jak w rejonach suchych chrzest przez zanurzenie dokonywany bywa już tylko symbolicznie, tak i tu okazało się, że panu Casaubonowi zamiast kąpieli musi wystarczyć kilka kropeł wody z tego strumyczka; wyciągnął z tego wniosek, że poeci ogromnie przesadzali, opisując siłę męskich namiętności. Mimo to z przyjemnością stwierdzał, że Dorotea okazuje mu żywe, uległe uczucie, co zapowiadało, że spełnią się jego miłe przewidywania co do małżeństwa. Kilka razy zaświtało mu w głowie, że Dorotei czegoś nie dostaje, i dlatego właśnie jego namiętności są tak umiarkowanej natury, nie był jednak zdolny rozpoznać tych niedostatków ani wyobrazić sobie kobiety, która by mu bardziej odpowiadała; nie było więc innego wytłumaczenia prócz tego, że w tradycji tkwi jednak dużo

[18] Przyjemność i melony wymagają takiej samej pogody (wł.).

przesady.

– Czy nie powinnam się teraz przygotowywać do tego, aby być bardziej użyteczna? – zwróciła się do niego pewnego dnia Dorotea w początkowym okresie narzeczeństwa. – Nie powinnam się nauczyć czytać ci po łacinie i greku, jak to robiły dla ojca córki Milтона, chociaż nie rozumiały, co czytają?

– Obawiam się, że to byłoby dla ciebie bardzo męczące – uśmiechnął się pan Casaubon – a nadto, o ile dobrze pamiętam, wspomniane przez ciebie młode damy uznały czytanie w nieznanym im językach za powód do podniesienia rebelii przeciwko poecie.

– Tak, ale po pierwsze, to były bardzo nieposłuszne dziewczęta. Powinny być dumne, że mogą pomagać takiemu ojcu, a po drugie, mogły się uczyć na osobności, aby rozumieć to, co czytają; wówczas lektura by jej ciekawiła. Nie przypuszczasz chyba, że ja się okażę krnąbrna i głupia?

– Przypuszczam, że jesteś uosobieniem wszystkiego, czym może być niezwykle młoda dama w każdej dziedzinie życia. Niewątpliwie byłoby z wielkim pożytkiem, gdybyś mogła przepisywać greckie teksty, i w tym celu dobrze by było zacząć od czytania.

Dorotea pochwyciła te słowa jako bezcenne przyzwolenie. Nie chciała natychmiast prosić pana Casaubona, żeby ją uczył języków, bojąc się nade wszystko, by nie okazać mu się ciężarem miast pomocą; jednak chęć przyswojenia sobie łaciny i greki nie była podyktowana wyłącznie uczuciem do przyszłego męża. Te dziedziny męskiej wiedzy wydawały jej się platformą, z której łatwiej widzi się wszelką prawdę. Uważając się obecnie za ignorantkę, podawała wszystkie swoje wnioski w wątpliwość. Skądże mogła mieć pewność, że jednoizbowe chaty są zaprzeczeniem chwały bożej, jeśli znający języki klasyczne mężczyźni godzą własną obojętność na takie chaty z gorliwością o tę chwałę? Może nawet hebrajski okaże się konieczny – przynajmniej alfabet i kilka podstawowych

zasad – by wniknąć w sedno sprawy i wyrobić sobie właściwy pogląd o społecznych obowiązkach chrześcijanina. Nie doszła jeszcze do takiego stanu rezygnacji, w którym zadowoliliby ją samo posiadanie mądrego męża; ona, biedactwo, chciała jeszcze sama być mądra. Dorotea Brooke, mimo rzekomej inteligencji, była bardzo naiwna. Celia, której nie uważano za szczególnie mądrą, szybciej potrafiła dostrzec pretensje bez pokrycia. Niewielka, ogólnie biorąc, emocjonalność wydaje się jedynym zabezpieczeniem przeciwko zbytnej emocjonalności w jakiejś szczególnej sprawie.

Pan Casaubon zgodził się jednak słuchać i nauczać przez całą godzinę, niby nauczyciel małych chłopców albo raczej niby zakochany, któremu ignorancja i kłopoty ukochanej wydają się wzruszająco oczywiste. Niewielu uczonych odmówiłoby nauczania alfabetu w takich okolicznościach. Dorotea jednak była nieco speszona i zniechęcona swoją tępotą, a odpowiedzi, jakie otrzymywała na swoje nieśmiałe pytania o znaczenie akcentów greckich, wzbudziły w niej przykre podejrzenie, że tu istotnie mogą się kryć tajemnice, jakich rozum kobiety nie jest w stanie przeniknąć.

Pan Brooke nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, co wyraził ze zwykłą sobie stanowczością, kiedy pewnego dnia wszedł do biblioteki, w której Dorotea właśnie czytała.

– Zlitujże się, Casaubon, przecież takie poważne studia, klasyka, matematyka, takie rzeczy, to za duży, że tak powiem, wysiłek dla kobiety... za duży...

– Dorotea uczy się tylko odczytywać pismo. – Pan Casaubon uchylił się od zarzutu. – Miała chwalebny projekt oszczędzania mojego wzroku.

– Aha, tylko czytać, bez rozumienia... no tak, to może nie takie trudne. Ale umysł kobiety, że tak powiem, nastawiony jest na rzeczy lekkie, muśnięcia, na muzykę, sztukę, takie sprawy; kobiety powinny się

tego uczyć... do pewnych granic, powinny, ale w sposób lekki, że tak powiem. Kobieta powinna potrafić usiąść i zagrać albo zaśpiewać ładną, starą angielską piosenkę. To właśnie lubię, angielskie piosenki, chociaż słuchałem wszystkiego, byłem w Wiedniu w operze: Gluck, Mozart, wszystkie te rzeczy. Ale jestem w muzyce konserwatystą. Muzyka, że tak powiem, to nie to samo, co idee. Trzymam się starych, dobrych piosenek.

– Pan Casaubon nie lubi pianina, z czego jestem bardzo rada – oświadczyła Dorotea, której należy wybaczyć ten brak szacunku dla domowego muzykowania i kobiecego malarstwa, zważywszy, że w owych mrocznych czasach ograniczały się one na ogół do brzdąkania i pacykowania. Uśmiechnęła się i spojrzała wdzięcznym wzrokiem na narzeczonego. Gdyby ją był zawsze prosił, aby mu grała *Ostatnią różę lata*, wymagałoby to od niej wielkiego samozaparcia. – Powiada, że w Lowick jest tylko jeden stary klawikord, cały założony książkami.

– W tej materii, widzisz, nie możesz się równać z Celią. Ona bardzo ładnie gra i zawsze jest gotowa coś zagrać. No, ale jeśli Casaubon tego nie lubi, to wszystko w porządku. Szkoda jednak, że nie gustuje pan w takich drobnych przyjemnościach: cięciwa cały czas napięta, że tak powiem, nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Nigdy nie potrafiłem uważać za przyjemność tego, że drażni mi się uszy miarowymi dźwiękami – powiedział pan Casaubon. – Melodia wielokrotnie powtarzana wywołuje w moim umyśle śmieszny efekt, sprawia, że słowa wykonują w jej rytm coś w rodzaju menueta. Efekt trudny do zniesienia, gdy się wyrośnie z lat chłopięcych. Nie powiem nic w kwestii wspanialszych form muzycznych, godnych towarzyszyć uroczystym okazjom, a nawet, według pojęć starożytnych, zdolnych wywierać kształcący wpływ na słuchaczy, gdyż nie o takie formy tu idzie.

– Nie. Ale rada słuchałabym takiej muzyki – powiedziała Dorotea.
– Kiedy wracaliśmy z Lozanny do Anglii, stryjasek zabrał nas do

Fryburga, żebyśmy mogły posłuchać tam wielkich organów, i ja, słuchając, płakałam.

– Bardzo niezdrowa reakcja, moja kochana – stwierdził pan Brooke. – Teraz, Casaubon, kiedy moja bratanica będzie w twoich rękach, musisz ją nauczyć bardziej powściągliwych reakcji, prawda, Doroteo?

Zakończył z uśmiechem, nie chcąc sprawiać przykrości bratanicy, w duszy jednak myśląc, że może to dla niej i lepiej, iż wyjdzie wcześniej za tak rzeczowego człowieka jak Casaubon, jeśli już nie chce słyszeć o Chettamie.

„To jednak niebywałe – mówił do siebie, człapiąc z biblioteki. Niebywałe, że on mógł się jej spodobać. Tak czy inaczej, mariaż jest dobry. Niech sobie pani Cadwallader mówi, co chce, przekroczyłbym moje kompetencje, gdybym próbował odwlekać ślub. Niemal pewne, że zostanie biskupem. Bardzo był w porę ten jego esej o Kwestii Katolickiej. Przynajmniej dziekanem. Tak, zasłużył sobie na dziekana”.

Muszę w tym miejscu skorzystać z prawa do filozoficznej refleksji i zauważyć, że pan Brooke nie myślał w tej chwili wcale o radykalnym przemówieniu na temat dochodów biskupich, przemówieniu, do którego wygłoszenia został w późniejszym czasie nakłoniony. Jaki elegancki historyk nie skorzystałby z tak doskonałej okazji do podkreślenia, że jego bohaterowie nie przewidywali, jak się potoczy historia świata ani nawet ich własna? Na przykład Henryk z Nawarry nie myślał przecie, jako protestanckie niemowlę, że zostanie katolickim monarchą, albo Alfred Wielki, kiedy odmierzał pracowite noce kolejnymi dopalanymi świecami, nie wyobrażał sobie, że przyszły dżentelmen będzie mierzył swoje próżniacze dni za pomocą zegarka. Oto kopalnia prawdy, która nawet intensywnie eksploatowana, zapewne przetrwa nasz węgiel.

O panu Brooke zrobię jeszcze jedną uwagę, może mniej udokumentowaną przykładami – mianowicie, że gdyby nawet przewidział

swoją przyszłą mowę, mogłoby to nie mieć większego znaczenia. Myśleć z satysfakcją o tym, że mąż bratanicy będzie miał wysokie dochody kościelne – to jedno, a wygłosić mowę liberalną – to drugie. Ciasny to człowiek, który nie może patrzeć na problem z różnych punktów widzenia.

ROZDZIAŁ VIII

Och, ratuj ją. Jam teraz jej bratem,
A ty jej ojcem. Każda zacna panna
W mężczyźnie winna znaleźć opiekuna.

Sir James ze zdumieniem stwierdził, że po pierwszym trudnym spotkaniu z Dorotą jako narzeczoną innego mężczyzny, wizyty w Grange sprawiają mu nadal ogromną przyjemność.

Oczywista, podczas tego pierwszego spotkania wydawało mu się, że przeszła go widlasta błyskawica, i w ciągu całej rozmowy ukrywał zakłopotanie, lecz choć był zacnym człowiekiem, trzeba tu powiedzieć, że byłby bardziej zakłopotany, gdyby uważał swojego rywala za dobrą, błyskotliwą partię. Nie miał wrażenia, że pan Casaubon go zaćmił, był tylko wstrząśnięty, że Dorotea mogła ulec żalosnemu złudzeniu, tak więc jego ból stracił nieco na ostrości, gdy dołączyła do niego litość.

Choć jednak sir James powiedział sobie, że przestaje o niej myśleć, jako że okazała przekorę Desdemony, nie znajdując upodobania w małżeństwie, zgodnym z naturą i odpowiednim dla niej w sposób oczywisty, nie mógł pozostać całkiem bierny wobec perspektywy jej małżeństwa z Casaubonem. W dniu, kiedy ich zobaczył po raz pierwszy razem, wiedząc już o wszystkim, doszedł do wniosku, że nie potraktował był sprawy z należytą powagą. Doprawdy, Brooke ciężko zawinił; powinien był temu zapobiec. Kto mógłby z nim porozmawiać? Można by coś zrobić, nawet jeszcze teraz, przynajmniej odwlec datę ślubu. W drodze powrotnej skręcił na plebanię i spytał, czy pastor jest w domu. Na szczęście był i sir James został wprowadzony do gabinetu, obwieszzonego wędkarskim sprzętem. Ale sam gospodarz siedział w sąsiednim pokoiku,

majstrując przy swoim rybackim kołowrotku, i tam poprosił gościa. Nie było w całym hrabstwie tak zażyłej przyjaźni między właścicielem ziemskim i plebanem, jak między tymi dwoma – o czym świadczył wyraz serdeczności malujący się teraz na obu twarzach.

Pastor Cadwallader był postawnym mężczyzną o pełnych ustach i uroczym uśmiechu; z wyglądu bardzo brzydki i grubo ciosany, miał w sobie niewzruszony spokój i pogodę, które bywają zaraźliwe i podobnie jak wielkie, trawiaste wzgórza w słońcu potrafią ukoić urażony egoizm, a czasem nawet każą mu się zawstydić.

– Jakże się pan ma – pokazał gościowi dłoń, nie całkiem nadającą się do uścisku. – Przykro mi, że mnie pan uprzednio nie zastał. Czy coś się wydarzyło? Widzę, że jest pan poirytowany.

Sir James miał na czole drobną zmarszczkę, lekkie wgłębienie nad brwiami, które teraz z rozmysłem pogłębił, odpowiadając:

– Idzie mi o zachowanie Brooke'a. Naprawdę, uważam, że ktoś powinien z nim porozmawiać.

– Co takiego? Zamierza kandydować? – Pastor znów zaczął majstrować przy szpulach, które obracał przed chwilą. – Nie sędzę, żeby on o tym myślał na serio, ale co w tym złego, jeśli ma ochotę? Każdy, kto nie lubi wigów, powinien być rad, że nie wystawiają najsilniejszego kandydata. Używając głowy naszego przyjaciela jako tarana, nie obalą konstytucji.

– Och, nie o to chodzi. – Sir James położył kapelusz, rzucił się na krzesło i zaczął głaskać kolano, spoglądając z goryczą na podeszwę buta. – Idzie mi o ten mariaż. O to, że pozwala tej uroczej dziewczynie wyjść za Casaubona.

– No i co z tego? Ja tam nie widzę nic złego w Casaubonie; jeśli pannie się podoba.

– Za młoda jest, żeby wiedzieć, co się jej podoba. Jej opiekun ma

obowiązek nie dopuścić do tego małżeństwa. Nie powinien pozwolić, żeby tak, na oślep, wychodziła za mąż. Dziwię się, że taki człowiek jak pan, pastorze, ojciec córkom, może patrzeć na to obojętnie. I to człowiek o takim sercu! Niech pan pomyśli o tym poważnie.

– Ja bynajmniej nie żartuję, mówię najpoważniej w świecie – odparł pastor z cichym, prowokującym, skrytym śmiechem. – Jest pan zupełnie jak Eleonora. Chciała, żebym poszedł i przemówił Brooke’owi do rozumu, a ja przypomniałem, że jej rodzina uważała mnie za fatalną partię, kiedyśmy się pobierali.

– Ale niechże pan spojrzy na Casaubona – ciągnął sir James z oburzeniem. – Musi dochodzić pięćdziesiątki, a myślę, że całe życie był ledwie cieniem mężczyzny. Widział pan jego łydki?

– A niechże was, przystojnych mężczyzn, kule biją. Chcielibyście, żeby wszystko na tym świecie układało się wedle waszych gustów. Nie rozumiecie kobiet. One nie uwielbiają was nawet w części tak jak wy samych siebie. Eleonora tłumaczyła swoim siostram, że wyszła za mnie dla mojej brzydoty, która była taka śmieszna, inna niż wszystko, że przeważała nad jej roztropnością.

– Pan!!! Łatwo było kobiecie pana pokochać! Ale tu nie idzie o urodę. Mnie się Casaubon *nie podobał* – Był to najmocniejszy argument, jakiego sir James używał, by dać do zrozumienia, że ma o kimsz złe mniemanie.

– Dlaczego? Czy wie pan coś, co mogłoby o nim źle świadczyć? – zapytał pleban, odkładając szpule i wsuwając, z miną skupienia, kciuki w pachy swojej kamizeli.

Sir James milczał. Na ogół niełatwo mu przychodziło wykładanie swoich racji; zdumiewał się, że ludzie nie rozumieją go bez gadania, bo przecież on czuje tylko to, co jest słuszne. Wreszcie powiedział:

– No więc, pastorze, czy Casaubon ma serce?

– Cóż, ma. Nie powiedziałbym, że takie, co to łatwo mięknie, ale

zdrowy rdzeń. Tak, tego może pan być pewny. Jest bardzo dobry dla swoich ubogich krewnych; łoży na utrzymanie kilku krewniaczek i kształci, nie szczędząc kosztów, pewnego młodego człowieka. Casaubon postępuje zgodnie ze swoim poczuciem sprawiedliwości. Siostra jego matki popełniła mezalians, wychodząc za mąż za Polaka, zdaje się. Zmarnowała sobie życie, w każdym razie rodzina ją wydziedziczyła. Gdyby nie to, majątek Casaubona byłby o połowę mniejszy. O ile wiem, sam z własnej woli czynił starania, by odszukać krewnych i sprawdzić, jak może im pomóc. Nie każdy okazałby się taki, gdyby go poddano próbie. Pan tak, ale nie każdy.

– Nie wiem. – Sir James się zaczerwienił. – Co do mnie, nie jestem pewny. – Przerwał na chwilę, potem dodał: – To przyzwoicie ze strony Casaubona. Ale człowiek może postępować przyzwoicie i pozostawać jednocześnie czymś w rodzaju suchego kodeksu praw spisanych na pergaminie. Może nie dać szczęścia kobiecie. I myślę, że w przypadku takiej młodziutkiej dziewczyny jak panna Brooke jej przyjaciele powinni się jednak w to wdać, powstrzymać ją od popełnienia szaleństwa. Pan się śmieje, bo przypuszcza, że za tym się kryją moje osobiste uczucia. Na honor, tak nie jest. Gdybym był bratem czy stryjem panny Brooke, czułbym to samo.

– No i cóż by pan zrobił?

– Powiedziałbym, że decyzja o małżeństwie może zostać podjęta, dopiero gdy panna będzie pełnoletnia. I niech mi pan wierzy, pastorze, nigdy by do tego związku nie doszło. Chciałbym, żeby pan to widział w tym samym świetle co ja. Chciałbym, żeby pan pogadał z panem Brookiem.

Kończąc to zdanie, sir James wstał, gdyż zobaczył, że do gabinetu wchodzi pani Cadwallader. Prowadziła za rękę najmłodszą, pięcioletnią córeczkę, która natychmiast podbiegła do ojca i usadowiła mu się

wygodnie na kolanach.

– Słyszałam, o czym mówiliście. Nie wpłynie pan w żaden sposób na Humphreya. Póki ryba mu bierze, wszystko jest tak, jak być powinno. Przecież, drogi panie, Casaubon ma rzeczkę pełną pstrągów, a sam nie łowi; mógłby pan znaleźć miłszego człowieka?

– Coś jest w tym, co mówisz. – Pastor roześmiał się swoim skrytym, cichym śmiechem. – Rybna rzeczka doskonale świadczy o mężczyźnie.

– Ale mówiąc poważnie – upierał się sir James, któremu jeszcze nie minęła irytacja – nie sądzi pani, że pastor mógłby coś wskórać, gdyby porozmawiał z Brookiem?

– Och, już panu mówiłam, co on powie. – Pastorowa uniosła brwi. – Zrobiłam, co mogłam, umyłam ręce od tej sprawy.

– Po pierwsze – powiedział pastor z pewną powagą – byłoby naiwnością przypuszczać, że mógłbym przekonać Brooke’a i skłonić go, by zrobił to, co mu radzę. Brooke to zacny człowiek, ale jak guma; pozwoli nadać sobie każdy kształt, ale na bardzo krótko.

– Może zachowałby ten kształt dostatecznie długo, by zdążyć odwiec to małżeństwo – zauważył sir James.

– Ależ drogi panie, musiałbym być o wiele głębiej przekonany, niż jestem, że wykorzystując mój autorytet przeciwko Casaubonowi, działam na korzyść starszej panny Brooke. Nie wiadomo mi nic złego o Casaubonie. Nic mnie nie obchodzi jego Ksyzutrus czy Jaś na Fasoli^[19] i co tam jeszcze, ale znowu jego nic nie obchodzi mój sprzęt rybacki. Jeśli idzie o stanowisko, jakie zajął w Kwestii Katolickiej, to było zaskakujące, ale zawsze okazywał mi grzeczność i nie widzę powodu, dlaczego miałbym mu psuć przyjemność. Z tego, co mi wiadomo, starsza panna Brooke może być z nim szczęśliwsza niż z kimkolwiek innym.

– Humphrey! Doprawdy, brak mi do ciebie cierpliwości! Wiesz dobrze,
.....
[19] Ksyzutrus – bohater mitologiczny; Jaś na Fasoli – bohater bajek.

że wolałbyś obiadować pod płótem niż sam na sam z Casaubonem, nie macie sobie nawzajem nic do powiedzenia.

– A co to ma wspólnego z tym, że panna Brooke za niego wychodzi? Przecież ona tego nie robi dla mojej przyjemności.

– On nie ma w żyłach jednej prawdziwej, czerwonej kropli krwi – stwierdził sir James.

– To prawda. Ktoś oglądał kroplę jego krwi pod szkłem powiększającym i znalazł tam tylko przecinki i nawiasy – przytaknęła pastorowa.

– Czemu on nie wydaje swojej książki zamiast się żenić – zapytał sir James z odrazą, którą uważał za zupełnie oczywistą u zdrowo myślącego świeckiego Anglika.

– Och, do niego przychodzą komentarze we śnie, a potem uciekają mu wraz z rozumem. Powiadają, że jak był małym chłopcem, to robił streszczenie z Tomcia Palucha i od tego czasu już tylko wszystko streszczał. Fu! I to jest człowiek, który, zdaniem Humphreya, mógłby uszczęśliwić kobietę!

– No cóż, panie Brooke się podoba – odparł pastor. – Nie twierdzą, że pojmuję gusta wszystkich młodych dam.

– Ale gdyby była pańską córką? – upierał się sir James.

– Wówczas byłoby co innego. Ona nie jest moją córką i nie uważam, abym był powołany do wtrącania się w jej sprawy. Casaubon nie jest gorszy niż większość z nas. To uczonego, przynoszący chlubę stanowi duchownemu. Jakiś radykał perorował w Middlemarch, że Casaubon to uczonego beneficjant, który żyje w oderwaniu od ziemi, Freke to beneficjant, który chodzi po ziemi, a ja jestem beneficjantem, który najchętniej żyłby w wodzie. I doprawdy nie wiem, który jest lepszy czy gorszy – zakończył pastor ze swoim cichym śmiechem. Zawsze śmiał się szczerze z każdego dowcipu o sobie samym. Miał wielkie, spokojne sumienie, które, podobnie jak on sam, nie lubiło wysiłków.

Jasne więc było, że pastor Cadwallader nie zamierza się wtrącać w sprawę małżeństwa starszej panny Brooke, i sir James pomyślał ze smutkiem, że oto dają jej pełną swobodę popełnienia błędu. O jego zacności świadczy fakt, że nie osłabł w zamiarze budowania projektowanych przez nią chat. Ta stałość dobrze służyła przede wszystkim jego poczuciu godności własnej; lecz duma tylko wspomaga naszą wielkoduszność, nigdy nie czyni nas wielkodusznymi, podobnie jak próżność nie obdarza nas dowcipem. Dorotea na tyle już zdawała sobie sprawę, w jakiej sytuacji znalazł się sir James, by docenić prawość, która kazała mu trwać przy ziemiańskim zobowiązaniu, podjętym pierwotnie z chęci przypodobania się pannie. Nawet w obecnym szczęściu była to dla niej wielka radość. W budowie sir Jamesa wkładała całe zainteresowanie, jakie jej pozostawało po panu Casaubonie, a raczej po tej symfonii snów pełnych nadziei, ufności, uwielbienia i żarliwej chęci ponoszenia poświęceń, jakie ów uczony dżentelmen wzniecił w jej duszy. I tale się jakoś stało, że kiedy zacny baronet zaczął podczas następnych wizyt okazywać Celi pewne zainteresowanie, stwierdził również, że z coraz większą przyjemnością rozmawia z Doroteą. Była z nim teraz, gdy przestał ją irytować, zupełnie swobodna, a on stopniowo odkrywał, ile zadowolenia może przynieść szczerza życzliwość i koleżeństwo łączące kobietę i mężczyznę, którzy nie mają żadnych gorących uczuć do ukrycia czy wyjawienia.

ROZDZIAŁ IX

Dżentelmen pierwszy:

Kraj ten pradawny wyrocznie pradawne

Zwą „głodnym prawa”; jedyna tam walka

O ład i dobrą władzę się toczyła.

Gdzie są teraz te kraje?...

Dżentelmen drugi:

Jakże, tam gdzie i przedtem – w ludzkich duszach.

Zdaniem pana Brooke stanowisko, jakie pan Casaubon zajął w sprawie kontraktu małżeńskiego, było wysoce zadowolające, czynności przygotowawcze toczyły się więc gładko, skracając tygodnie konkurów. Narzeczona musi obejrzeć swój przysły dom i podyktować zmiany, jakie chciałaby w nim widzieć. Kobieta dyktuje przed ślubem po to, by nabrać ochoty na późniejszą uległość. Doprawdy, można się dziwić, że robienie tego, na co mamy ochotę, sprawia nam, śmiertelnym płci obojga, taką przyjemność, zważywszy, ile pomyłek przy tym popełniamy.

Pewnego szarego, lecz bezdeszczowego ranka w listopadzie Dorotea pojechała do Lowick wraz ze stryjem i Celią. Dom pana Casaubona był ziemiańskim dworem. Tuż obok, widoczny z niektórych miejsc w ogrodzie, stał mały kościółek, a naprzeciwko niego – stara plebania. Na początku swojej kościelnej kariery pan Casaubon był tu tylko beneficjentem, lecz po śmierci brata stał się również właścicielem dworu, otoczonego niewielkim parkiem z kilkoma starymi, pięknymi dębami i aleją lipową wiodącą od południowo-zachodniego skrzydła; zapadnięte ogrodzenie^[20] oddzielało

[20] Zapadnięte ogrodzenie – tzw. „ha-ha” – ogrodzenie prowadzone wzdłuż rowu tak, by najmniej zasłaniać widok na dalej leżącą część majątności.

park od naturalnie ukształtowanej przestrzeni, a z okien salonu rozciągał się rozległy widok na porośniętą murawą zbocze aż do miejsca, gdzie lipy łączyły się z łąkami zbóż i pastwisk, które niekiedy, w promieniach zachodzącego słońca, przetapiały się w jezioro. Tak się przedstawiała bardziej udana strona domu, który od południa i wschodu sprawiał ponure wrażenie nawet w pogodny ranek. Było tu jakoś ciasniej, rabaty kwietne nie świadczyły o trosce ogrodnika, a w niewielkiej odległości od domu wznosiły się duże kępy wysokich drzew, w większości posępnych cisów. Sam budynek z zielonkawego kamienia w starym, angielskim stylu nie był brzydki, tyle że o małych oknach i melancholijnym wyglądzie. Taki dom może sprawiać radosne wrażenie tylko, gdy są w nim dzieci, dużo kwiatów, otwarte okna i jakieś barwne perspektywy. Teraz, pod koniec jesieni, gdy w ciszy bez słońca niedobitki pożółkłych liści opadały powoli w skos ciemniejących kształtów drzew iglastych, również i dom miał w sobie coś z jesiennego schyłku, a panu Casaubonowi, który się właśnie ukazał, brakowało młodzieńczej świeżości, toteż nie mógł kontrastować z owym tłem.

„Ojejku! – powiedziała sobie w duchu Celia. – Naprawdę, Freshitt Hall byłby od tego przyjemniejszy”. Zobaczyła w wyobraźni biały piaskowiec, ganek z kolumnami i taras pełen kwiatów, a wśród nich sir Jamesa uśmiechniętego niby księżę, co się wyłonił z różanego krzewu, w którym był zaklęty, z chusteczką, w jaką przeistoczyły się błyskawicznie najwonniesze płatki kwiecia. Sir Jamesa, który mówi tak mile, i to o rzeczach rozsądnych, a nie o żadnych tam naukach. Celia miała dziewczęce, niefrasobliwe upodobania, jakie mężczyźni poważni i doświadczeni niekiedy cenią w żonach; szczęśliwie jednak gusta pana Casaubona były inne – toteż nie miałyby najmniejszych szans u Celii.

Dorotei, przeciwnie, dom i jego otoczenie wydały się spełnieniem pragnień: ciemne półki z książkami w długiej bibliotece, dywany i kotary

o barwach zgaszonych przez czas, przedziwne stare mapy i widoki z lotu ptaka na ścianach korytarzy, tu i ówdzie pod nimi jakaś stara waza – to wszystko wcale jej nie przygnębiało, wydawało się nawet pogodniejsze niż gipsowe odlewy i obrazy znajdujące się w Grange, a przywiezione tam dawno temu przez stryjaską z jego podróży, zapewne razem z ideami, jakie był wówczas powziął. Owe surowe, klasyczne nagości i uśmiechające się renesansowe „Corregiości” wydawały się biednej Dorotei żałośnie niezrozumiałe, gdy wbijały wzrok w sam środek jej purytańskich pojęć. Nikt jej nigdy nie uczył, jakie znaczenie mogłaby im nadać w swoim życiu. Lecz właściciele Lowick nie byli najwidoczniej podróżnikami, a pan Casaubon prowadził studia nad przeszłością bez takich pomocy.

Dorotea przechadzała się po domu z cudownym uczuciem. Wszystko tu miało w jej oczach uświęcony charakter: ten dom będzie jej domem małżeńskim, podnosiła więc pełen ufności wzrok na pana Casaubona, kiedy zwracał jej uwagę na jakiś szczegół obecnego umeblowania i pytał, czy nie chciałaby czego zmienić. Na wszelkie odwoływania się do jej upodobań odpowiadała wdzięcznie, że nie widzi nic, co by należało zmieniać. Nic jej nie raziło w jego poprawnej grzeczności i formalnej czułości. Wszystkie puste miejsca wypełniała przeświadczeniem o jego ukrytych doskonałościach, rozumiejąc pana Casaubona tak, jak rozumiała Opatrzność, a pozorne dysonanse tłumaczyła własną głuchotą na wyższe harmonie. Tygodnie konkurów pozostawiają wiele pustych miejsc, które kochająca ufność wypełnia z radosną pewnością siebie.

– A teraz, droga Doroteo, pragnąłbym, abyś była łaskawa wskazać, który pokój zechcesz wybrać na swój buduar – zwrócił się do narzeczonej pan Casaubon, dowodząc tym samym, iż jego poglądy na naturę kobiety są dostatecznie szerokie, by podobne wymaganie mogło się w nich zmieścić.

– Bardzo miło, żeś o tym pomyślał – odparła – ale zapewniam cię, że

wolałabym sama o tych sprawach nie decydować. Byłabym szczęśliwsza, przyjmując wszystko, do czego przywykłeś lub o czym sam zdecydujesz.

– Och, Dodo! – zawołała Celia. – Nie chciałybyś tego pokoju z wykuszem, na górze?

Pan Casaubon ruszył przodem. Okno wykuszu wyglądało na aleję lipową, obicia mebli były w kolorze spłowiałego błękitu, a na ścianie wisiała kolekcja miniaturek, przedstawiająca damy i dżentelmenów z pudrowanymi włosami. Gobelin nad drzwiami przedstawiał również błękitnozielony świat, w którym stał spłowiały jeleni. Stoły i krzesła na cienkich nóżkach wydawały się dość wywrotne. Można by sobie wyobrazić w tym pokoju ducha damy, w ciasnym gorsecie, która odwiedza miejsce, gdzie niegdyś przesiadywała nad haftem. Umeblowania dopełniała lekka biblioteczka, zapełniona tomikami beletrystyki w formie duodecimo oprawnymi w cielisty półskórek.

– Tak – przyznał pan Brooke. – To mógłby być całkiem ładny pokój, gdyby dać nowe zasłony, różne kanapki i takie rzeczy. Trochę tu goło.

– Nie, stryjaszku – zaproponowała gorąco Dorotea. – Nie mów, proszę, o żadnych zmianach. Tyle jest innych rzeczy na świecie, które wymagają zmiany. Ty chcę wszystko przyjąć takie, jakie jest. I ty również lubisz ten pokój, jaki jest, prawda? – zwróciła się do pana Casaubona. – Może to był pokój twojej matki w czasach jej młodości?

– Tak – powiedział, pochylając po swojemu, wolno, głowę.

– Czy to jest twoja matka? – spytała Dorotea, podchodząc do kolekcji miniaturek. – Podobna jest do tej malutkiej podobizny, którą mi przyniosłeś, ale powiedziałabym, że to lepszy portret. A ta dama, po drugiej stronie, to kto?

– Jej starsza siostra. Były, podobnie jak wy dwie, jedynymi dziećmi swoich rodziców, którzy wiszą tu nad nimi, widzisz?

– Ta siostra jest ładna – stwierdziła Celia, z czego wynikało, że o

matce pana Casaubona ma mniej pochlebne zdanie. Przed wyobraźnią Celi otwierało się nowe pole: Casaubon pochodzi z rodziny, która niegdyś składała się z ludzi młodych, bo przecież te damy noszą naszyjniki...

– To niezwykła twarz – Dorotea przyjrzała się miniaturze z bliska.
– Te głębokie, szare oczy, dość blisko osadzone, i ten delikatny, charakterystyczny nos z taką jakby fałdką, i te upudrowane, zaczesane do tyłu loki. Wszystko razem wzięwszy, wydaje mi się bardziej szczególna niż ładna. Między nią i twoją matką nie ma żadnego rodzinnego podobieństwa.

– Tak. I ich losy były zupełnie inne.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– Moja ciotka zawarła godne pożałowania małżeństwo. Nigdy jej nie widziałem.

Dorotea zdziwiła się nieco, ale czuła, że byłoby niedelikatnie dopytywać się o przyczynę, a ponieważ pan Casaubon z własnej woli nie podjął tego tematu, obróciła się do okna, by podziwiać roztaczający się widok. Słońce przebiło się właśnie przez szare chmury i aleja lipowa rzucała cienie.

– Może przeszlubiśmy się po ogrodzie – zaproponowała Dorotea.

– Na pewno chciałabyś zobaczyć, że tak powiem, kościół. To taki zabawny mały kościółek – mówił pan Brooke. – I wioskę. Wszystko razem zmieściłoby się w łupinie orzecha. Nawiasem mówiąc, spodoba ci się, Doroteo. Chaty stoją pod sznurek, jak szereg przytułków – malutkie ogródki, lewkonie, i takie tam rzeczy...

– Tak, bardzo proszę – zwróciła się Dorotea do pana Casaubona. – Chciałabym to wszystko obejrzeć. – Plastyczny opis chat w Lowick, jaki otrzymała od narzeczonego, sprowadzał się do stwierdzenia, że były „niezłe”.

Po chwili znaleźli się na zwirowanej ścieżce, biegnącej wśród traw i

kęp drzew, którą jak powiedział pan Casaubon, najbliżej było do kościoła. Zatrzymali się chwilę przy furtce, prowadzącej na cmentarz, gdyż gospodarz poszedł na plebanię po klucz do kościoła. Celia, która zwlekała z tyłu, przyłączyła się do nich, zobaczywszy, że pan Casaubon odszedł, i oświadczyła swoim spokojnym staccato, które zawsze zaprzeczało podejrzeniom o złośliwe intencje:

– Wiesz, Doroteo, że widziałam kogoś zupełnie młodego, kto szedł ścieżką.

– Czy to takie dziwne, Celio?

– Mogą tu mieć jakiego młodego ogrodnika, że tak powiem – stwierdził pan Brooke. – Mówiłem Casaubonowi, że powinien zmienić ogrodnika.

– To nie był ogrodnik – potrząsnęła głową Celia. – To dżentelmen, ze szkicownikiem. Jasny szatyn o falistych włosach. Widziałam go z tyłu. Całkiem młody.

– Może syn wikarego – podsunął pan Brooke. – O, jest Casaubon i Tucker z nim idzie. Chce ci przedstawić Tuckera. Jeszcze go nie znasz.

Tucker, mężczyzna w średnim wieku, był wikarym pochodzącym z „niższego kleru”, a w tych rodzinach na ogół nie brak synów. Po dokonaniu prezentacji nie padły jednak pytania o rodzinę, toteż o zdumiewającej młodszej zjawie zapomnieli wszyscy z wyjątkiem Celii. Nie chciała jej się wierzyć, by te jasne włosy i smukła postać mogły mieć cokolwiek wspólnego z panem Tuckerem, który był stary i zgrzybiały, jak na wikarego pana Casaubona przystało; och, to na pewno bardzo szlachetny człowiek i pójdzie do nieba (Celia nie chciała być niedobra), ale ma takie paskudne kąciki ust! Z melancholią myślała, ile to czasu będzie musiała spędzić jako druhna, w Lowick, gdzie wikary z pewnością nie ma malutkich, miłuśkich dzieci, które polubiłaby dla nich samych, a nie dlatego, że tak wypada.

Podczas spaceru pan Tucker okazał się nieoceniony, widocznie pan

Casaubon przewidywał, że wikary potrafi odpowiedzieć na wszystkie pytania Dorotei dotyczące farmerów i innych parafian. Zapewnił ją, że wszyscy w Lowick żyją w dostatku; nie ma w tych dwurodzinnych chatach, za niską dzierżawę, nikogo, kto by nie hodował świni, a małe warzywniki w obejściach są porządnie utrzymane. Chłopcy noszą doskonałe, sztruksowe ubranka, dziewczęta idą do służby jako schludne pokojowe albo zostają w domu i dorabiają sobie plecionkami ze słomy. Nie ma tu ani warsztatów tkackich, ani dysydentów i choć skłonności tutejszych mieszkańców kierują się bardziej ku ciułactwu niż życiu duchowemu, występku jest niewiele. Kur biegają tyle, że nawet pan Brooke je zauważył:

– Widzę, że wasi farmerzy zostawiają kobietom na polu trochę jęczmienia na pokłosie. Tu, u was, biedak może mieć kurę w garnku, jak zacny król francuski życzył niegdyś swojemu ludowi. Francuzi jedzą dużo drobiu, chudego drobiu, ma się rozumieć.

– To bardzo brzydkie życzenie – oburzyła się Dorotea. – Czy królowie to naprawdę aż takie potwory, by podobne życzenie trzeba im było poczytywać za cnotę?

– Gdyby im życzył chudej kury – zastanawiała się Celia – to byłoby brzydko. Ale może życzył im tłustej kury w garnku.

– Tak, tyle że słowo wypadło z tekstu albo może było *subauditum*, to znaczy, obecne w myślach króla, lecz niewypowiedziane. – Pan Casaubon pochylił się z uśmiechem ku Celi, a ona cofnęła się natychmiast, bo nie mogła znieść mrugania przyszłego szwagra.

W drodze powrotnej Dorotea pogrążyła się w milczeniu. Czują pewne wstydlive rozczarowanie faktem, że nie będzie miała w Lowick nic do roboty, i przez kilka następnych minut myślała, że byłoby lepiej, gdyby jej dom leżał w parafii, mającej większy udział w niedolach tego świata, dzięki czemu ona mogłaby znaleźć sobie konkretne obowiązki.

Potem, uprzytomniwszy sobie, że czeka ją inna przyszłość, pomyślała, że przecież będzie mogła więcej czasu poświęcić dziełu męża i nowym powinnościom. Może się okazać, że będzie ich bardzo wiele, jeśli dzięki jego pomocy zdobędzie odpowiednią wiedzę.

Pastor Tucker opuścił ich po chwili, gdyż miał jakieś duszpasterskie obowiązki, które nie pozwoliły mu obiadować we dworze. Gdy wracali do ogrodu przez małą furtkę, pan Casaubon zwrócił się do narzeczonej:

– Wydajesz się jakaś smutna, Doroteo. Mam nadzieję, że jesteś zadowolona z tego, coś zobaczyła.

– Mam takie uczucie, zapewne niemądre i niewłaściwe – odpowiedziała szczerze, jak zwykle – że byłoby dla mnie lepiej, gdyby ci ludzie potrzebowali czegoś więcej. Zupełnie nie wiem, jak mogłabym sprawić, by moje życie czemuś służyło. Na pewno moje wyobrażenia o użyteczności są ograniczone. Muszę się dowiedzieć, jak można w inny sposób pomagać ludziom.

– Oczywiście – przytaknął pan Casaubon. – Z każdą pozycją łączą się odpowiednie obowiązki. Mam nadzieję, że pozycja pani na Lowick zaspokoi wszystkie twoje pragnienia.

– Jestem o tym przekonana – odpowiedziała Dorotea z powagą. – I nie myśl, że mi smutno.

– To dobrze, ale jeśli nie jesteś zmęczona, wrócimy do domu inną drogą, niż przyszliśmy.

Dorotea wcale nie była zmęczona, zatoczyli więc łuk w stronę pięknego cisa, największej rodowej dumy w parku po tej stronie domu. Gdy zbliżali się do drzewa, zobaczyli postać wyraźnie rysującą się na ciemnym tle iglastych krzewów; ktoś siedział na ławce i rysował stare drzewo. Pan Brooke, który szedł przodem z Celią, odwrócił głowę i spytał:

– Któż to jest ten młodzian?

Byli już bardzo blisko, kiedy pan Casaubon odpowiedział:

– To mój młody krewniak. W istocie – dodał, spoglądając na Dorotę – wnuk owej damy, na której podobiznę zwróciłaś uwagę, ciotki Julii.

Młody człowiek odłożył szkicownik i wstał. Gęste, kasztanowate kędziory i młody wiek pozwoliły rozpoznać w nim od razu zjawę dostrzeżoną przez Celię.

– Pozwól, Doroteo, że ci przedstawię mojego kuzyna, pana Ladislawa. Will, to jest panna Brooke.

Kuzyn był teraz o krok; kiedy zdjął kapelusz, Dorotea zobaczyła dwoje szarych oczu osadzonych nieco zbyt blisko, charakterystyczny nos z małą fałdką i włosy zaczesane do tyłu; podbródek jednak i usta robiły wyraźniejsze, mocniejsze wrażenie niż babcina miniatura. Młody Ladisław nie uważał za stosowne uśmiechnąć się, by dać do zrozumienia, że jest zachwycony z poznania przyszłej kuzynki i jej rodziny; minę miał odętą i raczej niezadowoloną.

– Widzę, żeś pan malarz. – Pan Brooke wziął szkicownik do ręki i zaczął bezceremonialnie przeglądać karty.

– Nie, szkicuję tylko, ot, tak – młody Ladisław poczerwieniał, być może bardziej z gniewu niż skromności.

– Och, nie powiadaj pan, bardzo to ładne, to, tutaj! Sam kiedyś, że tak powiem, szkicowałem. O, proszę, to mi się podoba! Wykonane, jak to nazywaliśmy, *con brio*. – Pan Brooke wyciągnął ku dziewczętom duży, kolorowy szkic przedstawiający kamienisty teren z drzewami i stawem.

– Nie jestem sędzią w tej materii – powiedziała Dorotea nie tyle chłodno, ile nierada, że się do niej w tej sprawie zwrócono. – Wiesz, stryjaszku, że nie potrafię się dopatrzeć piękna w obrazach, które jak powiadasz, są tak wysoko cenione. Przemawiają do mnie językiem, którego nie rozumiem. Zapewne między obrazami i naturą istnieje jakiś związek, którego nie jestem w stanie odczuć, gdyż mam niedostateczną wiedzę. Podobnie jak ty rozumiesz treść greckiego zdania, które mnie nic

nie mówi. – Tu podniosła wzrok na pana Casaubona, a ten skłonił ku niej głowę, podczas gdy pan Brooke mówił z uśmiechem politowania:

– Jacy też ludzie są różni! Musiano cię, że tak powiem, nieodpowiednio kształcić, bo przecież to są właśnie zajęcia dla panien: szkicowanie, sztuki piękne i tak dalej. Ale ty zabrałaś się do projektowania farmerskich chat. Wcale nie pojmujesz, co to *morbidezza* i takie rzeczy. Mam nadzieję, że zechce pan przyjechać do mnie, a ja pokażę panu, czego sam w tej materii dokonałem – ciągnął, zwracając się do młodego Ladislawa i odrywając go od dotychczasowego zajęcia, jakim było przyglądanie się Dorotei. Młody człowiek powziął już był przekonanie, że panna musi być niesympatyczna, ponieważ chce wyjść za Casaubona, a to, co powiedziała o swojej niewiedzy w sprawach malarstwa, tylko ugruntowałoby to przekonanie, gdyby jej Will uwierzył. On jednak przyjął jej słowa jako zamaskowany osąd o jego szkicu, druzgocący osąd. Zbyt mądre było to jej tłumaczenie: wyśmiewała się zarówno z niego, jak ze stryja. Ale cóż to za głos! Jak głos duszy, która żyła kiedyś w harfie eolskiej. Zapewne to jedna ze sprzeczności Natury. Dziewczyna, która chce wyjść za Casaubona, musi być wyzbyta wszelkich namiętności. Odwrócił się od niej i skłonił panu Brooke, dziękując za zaproszenie.

– Przejrzemy razem moje włoskie sztychy – ciągnął zacny pan Brooke.
– Mam ich bez liku, gromadziłem je latami. Człowiek śniedzieje tu, w naszych stronach. Nie, Casaubon, nie pan, pan ciągnie swoje badania, ale moje najlepsze koncepcje już się przeżyły, są przestarzałe. Wy, młodzi i utalentowani, musicie się wystrzegać gnuśności. Ja byłem zbyt gnuśny, że tak powiem; inaczej mógłbym w swoim czasie daleko zajść.

– Ostrzeżenie bardzo w porę – powiedział pan Casaubon – ale pójdziemy już do domu, bo panie zmęczą się, stojąc tutaj.

Kiedy odwrócili się od niego, młody Ladislaw zasiadł znów do rysowania, ale po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz rozbawienia,

które rosło w miarę ruchów ołówka. Wreszcie odrzucił w tył głowę i roześmiał się w głos. Rozśmieszyła go i reakcja na jego malarskie dzieło, i myśl o poważnym kuzynie, zalecającym się do tej panny, i stwierdzenie pana Brooke, dokąd też mógłby zajść, gdyby mu nie przeszkodziła własna gnuśność. Upodobanie do niedorzeczności sprawiło, że twarz Willa Ladislawa rozjaśniła się bardzo sympatycznie; nie kryło się za tym szyderstwo czy megalomania, tylko poczucie humoru.

– Jakie plany na przyszłość ma pański siostrzeniec? – zapytał gospodarza pan Brooke, gdy wracali do dworu.

– Mój kuzyn, nie siostrzeniec.

– Tak, tak, kuzyn. Co zamierza robić w życiu, o to pytam.

– Odpowiedź na to pytanie jest pełna przykrych wątpliwości. Po skończeniu Rugby odmówił zapisania się na angielski uniwersytet, dokąd chętnie bym go posłał, i wybrał drogę w moim pojęciu nieprawidłową: podjął studia w Heidelbergu. Teraz chce znowu jechać za granicę, bez jakiegoś określonego celu, pragnie tylko, jak powiada, zdobyć coś, co nazywa ogólnie kulturą, przygotowaniem, nie wiadomo do czego. Nie chce obrać wolnego zawodu.

– Nie ma pewno własnych środków prócz apanaży od pana?

– Zawsze dawałem do zrozumienia jemu i jego bliskim, że zaspokoje, w sposób umiarkowany, wszystkie potrzeby, jakie się będą wiązały ze zdobyciem przez niego akademickiego wykształcenia i rozpoczęciem godnej szacunku kariery. Jestem więc zobowiązany do urzeczywistnienia obudzonych przeze mnie nadziei. – Pan Casaubon w swojej odpowiedzi położył nacisk na prostą uczciwość, a Dorotea odnotowała z uwielbieniem ten dowód delikatności.

– Ciągnie go do podróży, może będzie z niego jakiś Bruce czy Mungo

Park^[21] – zastanawiał się pan Brooke. – Kiedyś i mnie coś podobnego przychodziło do głowy.

– Nie, on nie ma żadnych inklinacji czy to do podróży badawczych, czy do poszerzania naszego zasobu wiadomości geograficznych, to byłby konkretny cel, który mógłbym nawet aprobować, choć nie życzyłbym mu kariery, tak często kończącej się gwałtowną i przedwczesną śmiercią. Ale jak dotąd nie okazuje najmniejszej chęci zdobywania wiedzy o skorupie ziemskiej, do tego stopnia, że jak mi powiedział, wolałby nie wiedzieć, gdzie leżą źródła Nilu, i że pewne nieznanne krainy powinny pozostać niezbadane, jako tereny łowieckie dla poetyckiej wyobraźni.

– A wiesz pan, że coś w tym jest – zastanowił się pan Brooke, który niewątpliwie myślał bezstronnie.

– Obawiam się, że nic więcej prócz świadectwa, że jest, ogólnie biorąc, nieodpowiedzialny i niezdolny do rzetelności w czymkolwiek; źle by mu to wróżyło w każdym zawodzie, świeckim czy duchownym, gdyby się do tego stopnia podporządkował powszechnie przyjętym zasadom, by sobie zawód obrać.

– Może ma skrupuły, znając własne niedostatki – podsunęła Dorotea, która szukała pozytywnego wyjaśnienia. – Prawo czy medycyna to przecież bardzo poważne zawody, nieprawdaż? Zależy od nich ludzkie życie i ludzki majątek.

– Niewątpliwie, obawiam się jednak, że zdecydowana niechęć mojego młodego krewniaka do tych zawodów bierze się stąd, iż czuje wstręt do mozolnego wysiłku i nie pociąga go wiedza, która, choć instrumentalnie niezbędna, nie wydaje się w oczach lekkoducha ani wdzięczna, ani porywająca. Przedkładałem mu to, co Arystoteles powiadał z zachwycającą zwięzłością, że jeśli się chce dokonać dzieła, które człowiek wyznaczył

[21] James Bruce (1730-1794) i Mungo Park (1771-1806) – słynni badacze Afryki.

sobie za cel, trzeba wpieryć ćwiczyć wrodzone zdolności czy też nabyte umiejętności pośledniejszego rodzaju, co wymaga cierpliwości. Wskazywałem na tomy moich rękopisów, świadczące o wieloletnich wysiłkach, jakie poprzedzały dzieło dotąd nieukończone. Wszystko na próżno. Na tego rodzaju rozsądne argumenty odpowiada, nazywając samego siebie Pegazem, a każdą formę zalecanej mu pracy – jarzmem.

Celia wybuchnęła śmiechem. Była zaskoczona, że pan Casaubon potrafi powiedzieć coś tak zabawnego.

– No, cóż, może jeszcze będzie z niego jaki Byron czy Chatterton, czy Churchill, że tak powiem. Nigdy nie wiadomo – powiedział pan Brooke.
– Poślesz go pan do Włoch czy gdzie tam chce jechać?

– Tak, zgodziłem się dać mu umiarkowane środki na rok czy około tego; nie prosi o więcej. Niechże się sprawdzi w próbie wolności.

– Jakie to zacne z twojej strony. – Dorotea patrzyła z zachwytem na pana Casaubona. – Jakie szlachetne! Przecież, mimo wszystko, człowiek może kryć w sobie jakieś powołanie, nie całkiem jeszcze dla niego oczywiste, prawda? Może się wydawać gnuśny i słaby, ponieważ jeszcze dorasta. Sądzę, że powinniśmy okazywać sobie nawzajem więcej cierpliwości.

– Zapewne to stan narzeczęński nauczył cię doceniać cierpliwość – zwróciła się Celia do siostry, gdy zostały same i zdejmowały narzutki.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem bardzo niecierpliwa?

Tak. Wtedy, kiedy ludzie nie mówią i nie robią tego, czego ty sobie życzysz. – Od zaręczyn siostry Celia mniej się bała mówić jej „różne rzeczy”; mądrość wydawała się jej teraz jeszcze bardziej pożąłowania godna niż dawniej.

ROZDZIAŁ X

Bardzo by się przeziębził, gdyby nie miał innego przyrodziewku niżli skóra na niedźwiedziu, co wciąż żywy biega.

Thomas Fuller, *The History of the Worthies of England*

Młody Ladislaw nie skorzystał z zaproszenia pana Brooke i nie złożył mu wizyty; zaledwie tydzień później pan Casaubon wspomniał mimochodem, że jego młody krewniak wyjechał na Kontynent, a chłód i ogólnikowość tej wypowiedzi zniechęcały do zadawania pytań. W istocie Will odmówił określenia, dokąd się wybiera, w sposób bardziej precyzyjny niż „na teren całej Europy”. Geniusz, powiadała, z natury rzeczy nie może być skrępowany: z jednej strony musi mieć całkowitą swobodę, umożliwiającą spontaniczność, z drugiej zaś musi czekać ufnie na owe przesłania z wszechświata, które nakażą mu dokonanie jakiegoś dzieła, czekać w stanie uwrażliwienia na otwierające się wzniosłe możliwości. Stany uwrażliwienia bywają rozmaite i Will rzetelnie wypróbowywał niejedną. Nie miał specjalnego pociągu do wina, ale kilka razy wypił za wiele, po prostu sprawdzając tę formę uniesienia; pościł tak długo, aż zasnął, a następnie raczył się homarami; doprowadził się też do mdłości dawkami opium. Z tych wszystkich prób nie wynikło nic szczególnie oryginalnego, a skutki zażycia opium upewniły go, że jego organizm bardzo się różni od organizmu De Quinceya. Nie pojawiły się żadne dodatkowe okoliczności, które pobudziłyby jego geniusz;

wszecławiat wciąż nie dawał mu znaku. Nawet los Cezara był kiedyś tylko wspaniałym przecuciem. Wiadomo, jaką maskaradą jest wszelki rozwój i jakie przysze kształty może kryć w sobie bezradny embrion. W istocie świat pełen jest kuszących analogii i okazałych, choć podejrzanych, możliwości. Will doskonale znał smutne przypadki długiej inkubacji, która niczego nie przyniosła w rezultacie, i gdyby nie wdzięczność, jaką żywił dla Casaubona, śmiałyby się z niego, gdyż z ciężkich trudów pastora, stosu notatników i nikłego płomyka uczonej teorii oświeclającej rozsypane ruiny świata wynikał morał, który utwierdzał młodego człowieka w wielkodusznej ufności co do intencji, jakie wszecławiat ma wobec niego. Tę ufność uważał za znamię geniuszu, a niewątpliwie nie jest ona świadectwem głupoty, jako że geniusz nie zasada się ani na zarozumialstwie, ani na pokorze, ale na umiejętności zrobienia czegoś, nie czegoś w ogóle, ale czegoś określonego. Niechże więc Will rusza na Kontynent, a my nie próbujmy przepowiadać jego przyszłości. Spośród wszystkich form pomyłek przepowiednia jest najbardziej nieuzasadniona.

Moim zdaniem bardziej należy się teraz strzec pochopnych sądów o panu Casaubonie niż o jego młodym kuzynie. Jeśli pan Casaubon był błąhą przyczyną pożaru, jaki ogarnął wspaniałą, łatwopalną materię młodzieńczych złudzeń Dorotei, to czy z tego wynika, że mniej emocjonalne osoby, które dotychczas wydawały o nim sądy, przedstawiały go sprawiedliwie? Protestuję przeciw wszelkim arbitralnym wnioskom, wszelkim uprzedzeniom, jakie się wzięły z pogardy pastorowej Cadwallader dla domniemanej wielkości duszy pastora czy z krytycznego zdania sir Jamesa Chettama o łydkach rywala, czy też tego, że pan Brooke nie doszukał się u niego żadnych idei, a Celii nie podobała się jego aparycja. Nie przypuszczam, aby największy człowiek swojej epoki – gdyby ktoś taki istniał – nie oglądał równie niepoehlebnych wizerunków swojej osoby w najróżniejszych małych zwierciadełkach, i nawet Milton,

widząc swoje odbicie w łyżce, musiał przyznać, że ma wygląd gamonia. A poza tym, jeśli nawet retoryka pana Casaubona, gdy przemawiał we własnej sprawie, wiała chłodem, to wcale z tego nie wynika, że pozbawiony był szlachetnych uczuć czy znacznych skłonności. Czyż nieśmiertelny fizyk i znawca hieroglifów nie układał okropnych wierszy? Czy teoria systemu słonecznego rozwijała się dzięki dobrym manierom i zręczności konwersacji? Dajmy więc może spokój tym zewnętrznym ocenom i zastanówmy się raczej nad tym, jak sam pan Casaubon widzi swoje poczynania i umiejętności; co mu przeszkadza w wypełnianiu codziennych zajęć; czy upływające lata przygaszają w nim nadzieje, czy też utwierdzają go jeszcze w złudzeniach. Z jakim duchem stawia opór ciśnieniu świata, które pewnego dnia okaże się zbyt silne i sprawi, że jego serce zatrzyma się ostatecznie. Niewątpliwie własny los wydaje mu się ważny, a główną przyczyną, dla której sądzimy, iż pan Casaubon wymaga od nas zbyt wiele, jest to, że nie mamy ochoty poświęcać mu naszej uwagi i z całkowitą ufnością oddajemy go Panu Bogu w opiekę. Ba, uważamy, iż nasz bliźni powinien okazać swoją duchową wzniosłość, oczekując największych dobrodziejów właśnie z tamtych rejonów, bez względu na to, jak niewiele daliśmy mu sami. Pan Casaubon również był ośrodkiem własnego świata; jeśli skłonny był mniemać, że inni ludzie zostali opatrnościowo stworzeni dla niego, a zwłaszcza jeśli zwykł patrzeć na nich z punktu widzenia ich przydatności dla autora *Klucza do wszystkich mitologii* – to taka skłonność nie jest nam całkowicie obca i, podobnie jak inne żałosne wyobrażenia śmiertelników, domaga się odrobiny naszego współczucia.

Niewątpliwie sprawa małżeństwa z panną Brooke bardziej dotyczyła jego samego niż którejkolwiek z osób, wyrażających się dotąd krytycznie o tym związku, toteż w obecnym stanie rzeczy bardziej się niepokoję tym, jak pan Casaubon przeżywa swój sukces, niż tym, jak sympatyczny

sir James przeżywa swój zawód. W istocie bowiem, w miarę jak zbliżał się dzień ślubu, pan Casaubon wcale nie odczuwał wzbierającego w nim uniesienia, a kontemplowanie ogrodu małżeństwa, w którym, wedle wszystkich świadectw, ścieżka wysadzana jest kwieciami, nie wydawało mu się bardziej zachwycające niż przechadzanie się wśród swojskich krypt, z kagankiem w rękę. Nie przyznawał się przed samym sobą, a tym bardziej nie szepnęłyby o tym nikomu, że chociaż zdobył uroczą i szlachetną pannę – nie zyskał radości, do której również, jego zdaniem, dochodzi się drogą poszukiwań. Prawda, że znał wszystkie zaprzeczające temu klasyczne cytaty, okazuje się jednak, że odnajdywanie ich w pamięci jest pracochłonnym zajęciem, co tłumaczy, dlaczego pozostaje człowiekowi tak niewiele siły do stosowania ich we własnym przypadku.

Biedny pan Casaubon wyobrażał sobie, że długie i pracowite kawalerstwo zapewniło mu odsetki radości i że jego weksle na uczucia będą z pewnością honorowane, wszyscy bowiem, poważni i lekkoduchy, pozwalamy, by nasze myśli obrastały w metafory, i działamy w ten sposób na swoją zgubę. I oto teraz groził mu smutek zrodzony z przekonania, że przytrafiło mu się niezwykle szczęście; żadne zewnętrzne okoliczności nie mogły tłumaczyć tego zaniku uwrażliwienia, który go dotknął akurat w momencie, gdy radość wyczekiwania powinna w nim być najżywsza, właśnie wtedy, gdy zamienił nieprzytulną bibliotekę w Lowick na wizyty w Grange. Oto żalosne doświadczenie, w którym był skazany na zupełną samotność, tak jak w rozpacz, która groziła mu nieraz, gdy brnąc przez grzęzawisko słów, widział, że nie zbliża się do celu. A była to najgorsza samotność, taka, co wzdraga się przed współczuciem. Pan Casaubon mógł tylko pragnąć, by Dorotea uważała go za nie mniej szczęśliwego, niż powinien się wydawać w oczach świata wielbiciel, którego przyjęła; jeśli zaś idzie o dzieło, jakie pisał, opierał się na jej młodzieńczej ufności i uwielbieniu, lubił budzić w niej, jako słuchaczce, coraz to

nowe zainteresowanie, gdyż stanowiło dlań zachętę; w rozmowie z nią przedstawiał swoje dokonania i zamiary z wewnętrznym przekonaniem pedagoga, pozbywając się na chwilę owego lodowatego, nierealnego audytorium, jakie zapełniało jego pracowite i bezpłodne godziny mglistymi, natrętnymi cieniami z Tartaru.

Przed Doroteą, której edukacja składała się głównie z naiwnej historii świata spisanej dla młodych panien, słowa pana Casaubona o jego wielkim dziele otwierały nowe perspektywy. Te olśniewające odkrycia, to zdumienie przy bliższym poznaniu stoików i aleksandryczyków, których myśli okazały się wcale nieodległe od jej własnych, to wszystko odsunęło na jakiś czas żarliwą chęć Dorotei znalezienia jakiejś całościowej teorii wiążącej jej własne życie i zasady z ową zachwycającą przeszłością tak, aby te odległe źródła wiedzy miały jakiś wpływ na jej postępowanie. Przyjdzie czas na dokładniejszą naukę – pan Casaubon wszystko jej wyjaśni; wyglądała owego wyższego wtajemniczenia w idee tak, jak wyglądała swego małżeństwa, i łączyła swoje mgliste wyobrażenia o jednym i drugim. Byłoby wielkim błędem sądzić, że Dorotea pragnęła udziału w wiedzy pana Casaubona dla samej wiedzy; chociaż bowiem w sąsiedztwie Tipton i Freshitt uznawano ją za osobę inteligentną, zapewne nie byłaby za taką uznana w kręgach, gdzie bardziej precyzyjny słownik konkretyzuje znaczenie inteligencji jedynie jako zdolności do poznawania i działania, niezależnie od charakteru. To żarliwe pragnienie wiedzy płynęło w niej tym samym bystrym nurtem dobrych chęci, w jakim mieściły się zazwyczaj wszystkie jej myśli i pobudki. Wcale nie pragnęła stroić się w wiedzę – nosić ją niezależnie od tego żywego spłotu nerwów i krwi, który stanowił ojej czynach. Gdyby napisała książkę, musiałyby to zrobić tak, jak święta Teresa, na rozkaz władzy panującej nad jej sumieniem. Tęskniła do czegoś, co pozwoliłoby jej wypełnić życie działaniem racjonalnym i zarazem żarliwym, ponieważ zaś minęły

czasy duchowych przewodników i objawień wskazujących drogę, ponieważ modlitwa wzmagała pragnienie, lecz nie dawała instrukcji – jakie pozostawało światło poza nauką? Niewątpliwie jedyne kaganki są w rękach uczonych, a któż jest bardziej uczony od pana Casaubona?

Tak więc w czasie tych krótkich tygodni nic nie było w stanie rzucić cienia na wdzięczne, radosne nadzieje młodej panny i choć jej wielbiciel przeżywał niekiedy upadki ducha, nie mógł tego przypisać osłabieniu czułego zainteresowania ze strony narzeczonej.

Pora była jeszcze na tyle odpowiednia, by zaplanować dłuższą podróż poślubną – aż do Rzymu; pan Casaubon miał na to wielką ochotę, gdyż pragnął przejrzeć jakieś manuskrypty w Watykanie.

– Wciąż żałuję, że twoja siostra nie będzie nam towarzyszyła – powiedział pewnego dnia w jakiś czas po tym, kiedy się okazało, że Celia nie chce z nimi jechać, a Dorotea wcale nie pragnie jej towarzystwa. – Wiele czasu spędzisz samotnie, Doroteo, gdyż będę zmuszony wykorzystać, jak to tylko będzie możliwe, okres pobytu w Rzymie; czułbym się swobodniej, gdybyś miała towarzyszkę.

Słowa „czułbym się swobodniej” zgrzytnęły w uszach Dorotei. Po raz pierwszy zwróciła się do pana Casaubona z twarzą zaczerwioną gniewem.

– Widać nie rozumiesz mnie zupełnie, jeśli sądzisz, że mogłabym nie zdawać sobie sprawy z wartości twojego czasu... Jeśli myślisz, że nie zrezygnowałabym własnowolnie z wszystkiego, co przeszkadzałoby ci wykorzystać ten czas z największym pożytkiem.

– To bardzo miłe z twojej strony, Doroteo. – Pan Casaubon nie zauważył nawet, że ją dotknął. – Ale gdybyś miała jakąś damę do towarzystwa, mógłbym was obie oddać pod opiekę cicerone i w ten sposób osiągnęlibyśmy jednocześnie dwa cele.

– Proszę, byś więcej nie poruszał tego tematu – powiedziała Dorotea

niewielko wyniosłe. Natychmiast jednak uznała, że nie ma racji, i obróciwszy się ku narzeczonemu, położyła mu rękę na dłoni, dodając innym już tonem: – Nie martw się o mnie, proszę. O tylu rzeczach będę mogła rozmyślać w chwilach samotności. A Tantripp wystarczy mi za towarzyszkę, jeśli idzie o opiekę. Celia nie powinna jechać ze mną; czułaby się źle.

Była już pora przebierać się do kolacji. Tego dnia miało się odbyć przyjęcie, ostatnia z wielu kolacji wydawanych w Grange w ramach uroczystości przedweselnych i Dorotea rada była z pretekstu, by odejść zaraz, gdy rozległ się dzwonek, jakby chciała przygotowywać się dłużej niż zwykle. Wstydziła się swego poirytowania, którego przyczyny sama nie potrafiła wyjaśnić; choć bowiem nie chciała mijać się z prawdą, nie powiedziała, co ją naprawdę uraziło. Słowa pana Casaubona były całkiem rozsądne, ale wywołały chwilowe wrażenie pewnej rezerwy z jego strony.

– Doprawdy, jestem w żałości samolubnym nastroju – napominała się Dorotea. – Jakże ja mogę mieć męża o tyle mądrzejszego od siebie, jeśli nie będę pamiętać, że on mniej mnie potrzebuje niż ja jego.

Wytłumaczywszy sobie, że pan Casaubon miał całkowitą rację, opanowała się i kiedy weszła do salonu w srebrnoszarej sukni, sprawiała ujmujące wrażenie spokojnej godności – ciemnokasztanowate włosy rozdzielone równo nad czołem i zaczesane z tyłu głowy w ciężki węzeł harmonizowały z wyrazem jej twarzy i zachowaniem, w którym nie znać było najmniejszych starań o efekt. Niekiedy w towarzystwie wytwarzała się tak doskonała aura spokoju wokół Dorotei, jakby była obrazem świętej Barbary, patrzącej w czystą przestrzeń ze swojej wieży; lecz te okresy ciszy uwydatniały tylko, siłą kontrastu, żarliwą emocjonalność jej reakcji, kiedy poruszyły ją czyjeś słowa.

Stanowiła, rzecz jasna, temat wielu uwag tego wieczoru, gdyż towarzystwo było liczne, a jeśli idzie o męską jego część, bardziej różnorodną niż kiedykolwiek w Grange, odkąd u pana Brooke zamieszkały

jego bratanice. Rozmowy toczyły się więc w kilkuosobowych grupkach, mniej lub bardziej niedobrych. Wśród gości znalazł się nowy burmistrz miasteczka Middlemarch, który był również fabrykantem; był też jego szwagier, filantrop i bankier, tak dalece wybijający się z miejskiej społeczności, że jedni nazywali go metodystą, a inni hipokrytą, zależnie od zasobów swojego słownictwa; byli też przedstawiciele wolnych zawodów. Pani Cadwallader powiedziała, że Brooke zaczyna podejmować mieszczan, by ich sobie pozyskać, i że ona osobiście woli farmerów, którzy podczas poczęstunków przy spłacie dziesięcin piją swobodnie za jej zdrowie i nie wstydzą się mebli swoich dziadków. W tej bowiem części kraju, nim jeszcze reforma dokonała doniosłego dzieła rozwijania świadomości politycznej, istniały bardzo wyraźne różnice między stanami i mgliste różnice między partiami; można by więc sądzić, że różnorodność gości wzięła się z bałaganiarstwa gospodarza, które z kolei było skutkiem nieumiarkowanego podróžowania i przyswajania sobie zbyt wielu idei.

Gdy panna Dorotea Brooke wyszła z jadalni, panowie mieli sposobność do uwag na boku.

– Wspaniała kobieta, na Boga, wspaniała kobieta – zachwycił się pan Standish, stary prawnik, który od tak dawna obsługiwał okolicznych ziemian, że sam stał się ziemiański, i teraz rzucał z głębi gardła owe „na Boga” niby zawołanie herbowe, pieczętujące wypowiedź człowieka, który zajmuje wysoką pozycję.

Słowa jego były skierowane do pana Bulstrode, ten jednak nie lubił ani obcesowych wypowiedzi, ani wzywania imienia Pana Boga, więc tylko potaknął głową. Uwagę podjął pan Chichely, kawaler w średnim wieku, znakomitość w dziedzinie polowań na zające; miał cerę przypominającą wielkanocną pisanekę, rzadkie, starannie zaczesane włosy i sposób bycia, świadczący o tym, że jest pewny elegancji swego wyglądu.

– Tak, ale nie w moim stylu; ja tam lubię kobiety, które zadają sobie

trochę trudu, żeby się nam przypodobać. W kobiecie powinno być coś z filigranu... odrobina kokieterii. Mężczyzna potrzebuje trochę prowokacji. Im bardziej kobieta zagina na niego parol, tym lepiej.

– Jest coś w tym, co pan mówisz – przyznał jowialnie pan Standish. – I klnę się na Boga, że tak to zwykle z kobietami bywa. Zapewne kryje się w tym jakiś mądry zamysł, bo tak je stworzyła Opatrzność, co, Bulstrode?

– Skłonny jestem sądzić, że kokieteria ma źródło w czym innym – odparł pan Bulstrode. – Ja bym ją raczej przypisał diabłu.

– Nie przeczę, że kobieta powinna mieć w sobie diablika – stwierdził pan Chichely, którego myśl teologiczna uległa fatalnemu skrzywieniu pod wpływem rozważań nad płcią piękną. – I lubię blondynki, z wdzięcznym chodem i łabędzią szyją. Między nami mówiąc, bardziej w moim guście jest córka burmistrza niż starsza czy młodsza panna Brooke. Gdyby mi w głowie był ożenek, na pierwszym miejscu przed obiema stawiałbym pannę Vincy.

– No to śpiesz się pan i nadrabiaj stracony czas – żartował pan Standish. – Nie widzisz pan, że mężczyźni w średnim wieku mają dziś powodzenie?

Pan Chichely potrząsnął znacząco głową; nie miał zamiaru narażać się na niewątpliwą zgodę wybranej przez siebie panny.

Panna Vincy, która miała zaszczyt stanowić ideał pana Chichely, nie była, rzecz jasna, obecna na przyjęciu; pan Brooke nigdy nie lubił posuwać się za daleko i nie życzyłby sobie, by jego bratanice zawierały znajomość z córką fabrykanta, chyba że przy jakiejś publicznej okazji. Ani lady Chettam, ani pastorowa Cadwallader nie mogłyby mieć obiekcji co do żadnej z zaproszonych pań, gdyż pani Renfrew, wdowa po pułkowniku, była nie tylko bez zarzutu pod względem urodzenia, ale również ogromnie interesująca z powodu swoich dolegliwości; stanowiły one zagadkę dla lekarzy i oczywisty przypadek, kiedy to najlepsza

wiedza medyczna wymaga uzupełnienia znachora. Lady Chettam, która swoje znakomite zdrowie przypisywała domowym gorzkim kroplom w połączeniu z częstymi konsultacjami lekarskimi, wsłuchiwała się z ogromnym wysiłkiem wyobraźni w opisywane przez panią Renfrew symptomy, dowiadując się ze zdumieniem, że wszelkie leki wzmacniające były w jej przypadku bezskuteczne.

– Gdzie też się podziała wzmacniająca siła tych leków, moja droga? – pytała z namysłem łagodna i dostojna lady Chettam, zwracając się do pani Cadwallader, kiedy pani Renfrew skierowała uwagę gdzie indziej.

– Wzmocniła chorobę – odparła pastorowa, która była osobą zbyt dobrze urodzoną, by nie zajmować się amatorsko medycyną.

Wszystko zależy od konstytucji: jedni ludzie wytwarzają tłuszcz, inni krew, a jeszcze inni żółć, tak ja to widzę, a wszystko, co zjedzą, to tylko surowiec do przeróbki.

– Wobec tego ona powinna brać lek, który by osłabiał... osłabiał chorobę, jeśli to, co pani mówi, jest słuszne. A wydaje mi się bardzo rozsądne.

– Oczywiście, że jest rozsądne. Na tej samej ziemi mogą wyrastać dwa rodzaje kartofli. Jedne robią się coraz bardziej wodniste...

– Och, zupełnie jak ta biedna pani Renfrew. Puchlina wodna. Ona jeszcze nie puchnie, ma to w środku. Powinna, moim zdaniem, brać leki wysuszające. Albo gorące kąpiele słoneczne. Można próbować wielu środków wysuszającej natury.

– Niechże wypróbuje pamflety pewnego dżentelmena – szepnęła kąśliwie pastorowa, widząc wchodzących panów. – Ten nie potrzebuje suszenia.

– A o kogóż to chodzi, moja droga? – Lady Chettam była przemiłą kobietą, nie na tyle bystrą, by trzeba było rezygnować z przyjemności tłumaczenia jej wszystkiego.

– O narzeczonego, Casaubona. Niewątpliwie wysycha coraz szybciej, odkąd się zaręczył. Pewno namiętność go suszy.

– Powiedziabym, że jego konstytucja przedstawia wiele do życzenia – przytaknęła lady Chettam jeszcze słabszym szeptem. – I w dodatku te jego studia, takie ogromnie suche, jak sama pani powiedziała.

– Przy boku sir Jamesa wygląda doprawdy jak czaszka kostuchy obleczona w skórę na dzisiejszą uroczystość. Proszę zapamiętać moje słowa: za rok ta dziewczyna nie będzie mogła na niego patrzeć. Teraz wpatruje się w niego jak w wyrocznię, a po jakimś czasie będzie odwrotnie. Kapryśnica!

– Jakież to okropne! Musi być uparta. Ale proszę mi powiedzieć, pani wie o nim wszystko, czy coś z nim jest nie w porządku? Jak jest naprawdę?

– Naprawdę? Jest równie paskudny jak paskudny medykament. Nie do zniesienia w smaku i na pewno szkodliwy.

– Nie może być nic gorszego – powiedziała lady Chettam, wyobrażając sobie owo lekarstwo, które pozwoliło jej poznać wszystkie dezawantaże pana Casaubona. – Ale James nie chce słyszeć złego słowa o starszej panie Brooke. Powiada, że ona wciąż jest dla niego wzorem kobiety.

– To wielkoduszny pozór. Niech mi pani wierzy, on woli Celię, a Celia go bardzo poważa. Mam nadzieję, że pani darzy sympatią moją małą Celię?

– Oczywiście; bardziej lubi pelargonie i wydaje się uległej sza, chociaż figurę ma gorszą. Ale mówiłyśmy o lekarstwach. Niechże mi pani coś powie o tym młodym chirurgu, doktorze Lydgate. Powiadają, że jest niebywale zdolny, zresztą, na takiego wygląda. Cóż za piękne czoło!

– To dżentelmen. Słyszałam, jak rozmawiał z Humphreym. Wymowa bez zarzutu.

– Tak, pan Brooke powiada, że on jest z tych Lydgate'ów z Northumberland, istotnie, doskonale skoligacony. Człowiek nie spodziewa

się czegoś podobnego po praktykującym lekarzu. Jeśli o mnie idzie, wolę, żeby doktor był raczej na poziomie służby; taki często okazuje się lepszy. Zapewniam panią, że nigdy się nie zawiodłam na diagnozie tego biedaka, Hicksa. Był prostacki i wyglądał jak rzeźnik, ale znał moją konstytucję. Jego nagła śmierć to dla mnie wielka strata. Proszę, proszę, jaką żywą rozmowę prowadzi starsza panna Brooke z doktorem Lydgate!

– Rozmawia z nim o farmerskich chatach i o szpitalach – odparła pastorowa, która miała dobry słuch i umiała wyciągać właściwe wnioski. – On jest, zdaje się, po trosze filantropem, więc Brooke na pewno będzie go protegował.

– James – zwróciła się lady Chettam do syna, gdy ten znalazł się koło niej. – Przyprowadź tu i przedstaw mi doktora Lydgate. Chciałabym zobaczyć, kto to taki.

Dama oznajmiła łaskawie, że jest zachwycona ze sposobności poznania doktora Lydgate, słyszała bowiem o jego sukcesach w leczeniu chorób zakaźnych nową metodą. Lydgate miał lekarską umiejętność przybierania bardzo poważnej miny bez względu na to, jakich musiał słuchać bzdur, a ciemne, spokojne oczy przydawały mu podczas tego słuchania powagi. Różnił się bardzo od nieodżałowanej pamięci Hicksa, zwłaszcza niewymuszoną elegancją ubioru i sposobem mówienia. Mimo to wzbudził zaufanie lady Chettam. Potwierdził, że ma ona szczególną konstytucję, dodając, że każdą konstytucję można uznać za szczególną, i nie oponował, gdy wysunęła przypuszczenie, że jej konstytucja jest szczególniejsza niż inne. Nie pochwalał zbyt osłabiających metod leczenia, łącznie z lekkomyślnym puszczaniem krwi, ani też, z drugiej strony, bezustannego zażywania chininy i portwajnu. Odpowiadał „tak sędzę” z takim szacunkiem towarzyszącym wnikliwemu uznaniu jej racji, że powzięła wielce pochlebną opinię o jego zdolnościach.

– Bardzo mi się podoba pański *protégé* – oświadczyła panu Brooke

przy pożegnaniu.

– Mój *protégé*? Wielkie nieba! A kto to taki? – zdumiał się gospodarz.

– Ten młody Lydgate, nowy doktor. Myślę, że znakomicie rozumie się na medycynie.

– Och, Lydgate! To nie jest mój *protégé*. Znam tylko jego stryja, który mi o nim pisał. Ale istotnie, sądzę, że może się okazać bardzo zdolny. Studiował w Paryżu, znał Broussais’go, ma różne pomysły, chce podnieść poziom zawodu.

– Lydgate ma wiele koncepcji, całkiem nowych, w sprawie wentylacji i diety, i tak dalej – kontynuował pan Brooke, gdy, odprowadziwszy lady Chettam do powozu, wrócił, by zabawić miasteczkowych gości.

– Tam, do licha, uważasz pan, że to rozsądne? Odrzucać stare metody leczenia, które sprawiły, że Anglicy są, jacy są? – wątpił pan Standish.

– Wiedza medyczna jest u nas na niskim poziomie – pan Bulstrode, który mówił przyciszonym głosem, sprawiał nieco chorowite wrażenie. – Jeśli o mnie idzie, witam z radością przybycie doktora Lydgate. Sądzę, że znajdę przekonujące argumenty za tym, by oddać nowy szpital w jego ręce.

– Bardzo to piękne – powiedział pan Standish, który nie lubił pana Bulstrode. – Jeśli pan chcesz, żeby robił eksperymenty na pacjentach pańskiego szpitala i zabił kilku dla dobra ludzkości, to ja nie mam nic przeciwko temu. Ale nie mam zamiaru dawać pieniędzy z własnej kieszeni na to, by robiono eksperymenty na mojej osobie. Wolę się leczyć w wypróbowany sposób.

– No cóż – pan Brooke kiwał głową, zwracając się do prawnika. – Każda dawka lekarstwa, jaką pan bierzesz, jest już, że tak powiem, eksperymentem, jest eksperymentem.

– No, jeśli pan to tak rozumie. – W głosie pana Standisha brzmiało tyle odrazy do takich pozaprawnych kręctw, ile można bezpiecznie

okazać cenionemu klientowi.

– Cieszyłbym się z każdego sposobu leczenia, które dałoby mi zdrowie, nie robiąc ze mnie kościotrupa, jak to się stało z biednym Graingerem – powiedział pan Vincy, burmistrz miasteczka, rumiany jegomość, który mógłby służyć za wzór zdrowia i stanowił rażący kontrast z franciszkańskim kolorytem pana Bulstrode.

Doktor Lydgate, rzecz jasna, nie słyszał tego. Opuścił wcześniej towarzystwo, które uznałby za nudne, gdyby nie pewne nowe znajomości, zwłaszcza znajomość z panną Brooke; jej wiośniany urok, zbliżające się małżeństwo z tym zwiędłym uczonym oraz zainteresowanie sprawami użytecznymi społecznie – co za niezwykła, pikantna kombinacja.

„To dobra istota, piękna panna, ale trochę zbyt poważna – myślał. – Trudno rozmawiać z takimi kobietami. Zawsze chcą wiedzieć, dlaczego coś się robi, a mają zbyt małą wiedzę, by zrozumieć istotę problemu, zwykle więc opierają się na swoim wyczuciu moralnym i zgodnie z nim rozwiązują sprawę”.

Najwidoczniej Dorotea Brooke nie była w guście doktora Lydgate, podobnie jak nie była w guście pana Chichely. Z punktu widzenia tego drugiego, człowieka o dojrzałym umyśle, była jakąś pomyłką obliczoną na zachwianie jego wiary w racje ostateczne, takie na przykład, że piękne, młode damy winny odpowiadać rumianym kawalerom. Ale Lydgate nie był tak dojrzały i, być może, czekało go jeszcze doświadczenie, które zmieni jego pogląd o najwspanialszych cechach kobiety.

Żaden z tych dżentelmenów nie zobaczył ponownie panny Brooke pod panięmskim nazwiskiem. Wkrótce po owym przyjęciu została panią Casaubon i wyjechała do Rzymu.

ROZDZIAŁ XI

Czyny i język, jakim lud rozprawia,
Postacie, które komedia przedstawia,
By obraz czasów nakreślić pogodnie
I ludzkie głupstwa wykpić, a nie zbrodnie.

Ben Johnson, *Every Man in his Humour*

Prawdę mówiąc, Lydgate zdawał już sobie sprawę, że jest pod urokiem kobiety krańcowo odmiennej od panny Brooke; nawet mu w głowie nie powstało, że postradał rozum i że się zakochał, ale tylko o tej pannie mówił: „To uosobienie wdzięku! Co za urok! Co za ogłada! Kobieta powinna być właśnie taka: działać na mężczyznę niby najwspanialsza muzyka”. Kobiety brzydkie traktował tak jak inne pozbawione wdzięku objawy życia, które należy filozoficznie akceptować i naukowo badać. Ale Rozamunda Vincy miała prawdziwie muzyczny czar, kiedy zaś mężczyzna spotyka kobietę, którą zapewne by wybrał, gdyby zamierzał się w najbliższym czasie żenić, decyzja co do tego, czy pozostanie kawalerem, czy nie, zależy na ogół bardziej od niej niż od niego. Lydgate uważał, że musi jeszcze kilka lat czekać z zakładaniem rodziny, dopóki nie wydepcze sobie wygodnej, gładkiej ścieżki z dala od szerokiego, bitego gościńca. Panna Vincy widniała na jego horyzoncie niemal tyle samo już czasu, ile zabrało Casaubonowi, by się zaręczyć i ożenić, lecz ten uczony mąż był człowiekiem majątnym, autorem wielotomowych zapisków, dzięki którym zdobył ową szczególną reputację, jaka poprzedza dokonanie i stanowi na ogół główny powód do sławy. Wziął sobie, jak widzieliśmy,

żonę, która miała być ozdobą pozostałej mu ćwierci życia i stać mu się małym księżycem, niezakłócającym w żadnym niemal stopniu dotychczas obowiązującego porządku. Lydgate zaś był młody, biedny i ambitny. Miał półwiecze przed sobą, nie za sobą, a do miasteczka Middlemarch przyjechał z postanowieniem, że dokona wielu rzeczy, z których żadna nie miała przynieść mu rychłej fortuny ani nawet przyzwoitych dochodów. Dla mężczyzny w takiej sytuacji żona musi być czymś więcej niż ozdobą, choćby najwyżej cenioną – a Lydgate skłonny był przypisywać żonie przede wszystkim funkcję ozdoby. Sądził – a wyrobił sobie zdanie na podstawie jednej rozmowy – że panna Brooke nie dorasta pod tym względem do ideału, mimo iż jest niezaprzeczalnie piękna. Nie umie patrzeć na świat z prawdziwie kobiecego punktu widzenia. Odpoczywać w towarzystwie takiej kobiety to jakby zaczynać następną pracę po powrocie z pierwszej, zamiast szukać ochłody w raju, gdzie słodki śmiech zastępuje świergot ptaków, a para błękitnych oczu niebo.

Z pewnością w obecnej chwili nic nie mogło mieć dla doktora Lydgate mniejszej wagi niż to, z jakiego punktu widzenia panna Brooke patrzy na świat, dla niej zaś – jaki jest charakter kobiety, która wydała się młodemu chirurgowi tak pociągająca. Każdy jednak, kto uważnie śledzi zbiegającą się niepostrzeżenie linie ludzkich losów, musi dostrzec szykującą się powoli ich przyszłą wzajemną zależność, co każe ze zrozumiałą ironią kwitować obojętność czy lodowaty wzrok, jakim obrzucamy nieznanym bliźnich. Przeznaczenie, trzymając w dłoni osoby naszego dramatu, stoi tuż obok i uśmiecha się sarkastycznie.

W starej prowincjonalnej społeczności dokonywały się również takie subtelne przesunięcia: nie tylko spektakularne upadki, kiedy to młody i świetnie się zapowiadający przedstawiciel wolnego zawodu kończył życie w jakiejś dziurze z kocmołuchem i sześciorgiem dzieci, ale też owe mniej widowiskowe odmiany losu powodujące nieustanne przesilenia

w układzie stosunków towarzyskich i rodzące nowe współzależności. A to ktoś odrobineczkę zsunął się w dół społecznej drabiny, to znowu ktoś wdrapał się nieco w górę, ktoś wyzbył się prowincjonalizmów, zbił majątek i nagle wykwintny dżentelmen zgłaszał swą kandydaturę na przedstawiciela okręgu wyborczego; jedni dawali się porwać prądom politycznym, inni – religijnym, i nagle stwierdzali z zaskoczeniem, że znaleźli się w osobliwym towarzystwie; jednocześnie zaś nieliczne osobistości czy rodziny, które tkwiły nieporuszenie pośród tych fluktuacji, zaczynały powolutku, pomimo swej niewzruszoności, pokazywać nową twarz i zmieniać się w dwójnasób: zarówno w oczach własnych, jak i cudzych. Między samorządnym miastem a wiejską parafią tworzyły się nowe nici powiązań – równie stopniowo, jak stopniowo stara pończocha ustępowała miejsca kasie oszczędności i jak zanikał kult słonecznej gwinej^[22], podczas gdy właściciele ziemscy, baroneci, ba, nawet lordowie, którzy niegdyś zachowywali nienaganny dystans wobec miejskich spraw – zaczęli teraz grzeszyć bliższą ich znajomością. A do tego wszystkiego przybysze z odległych hrabstw – jedni z niepokojąco nowatorskimi umiejętnościami, inni z przykrą przewagą pomysłowości. Właściwie tyle samo było w starej Anglii ruchów i przemieszczeń, ile ich znajdujemy u starszego Herodota, który również, opowiadając o czasach minionych, uznał za stosowne wziąć za punkt wyjścia dzieje pewnej kobiety, chociaż Io, dziewczyna, ulegająca w sposób oczywisty urokowi atrakcyjnych towarów, była przeciwieństwem panny Brooke. Pod tym względem przypominała chyba bardziej pannę Rozamundę Vincy, która okazywała znakomity gust w kwestii stroju, a przy tym miała figurę nimfy i złociste włosy, co stwarzało przeogromne możliwości doboru barw i sposobów drapowania materii. To jednak stanowiło tylko część jej uroku. Uważana była za ozdobę pensji pani Lemon, najpierwszej szkoły w hrabstwie, gdzie

[22] Moneta, którą zaprzestano wybijać w 1813 roku.

uczono wszystkiego, czego się wymaga od ukształconej panny – łącznie z przedmiotami dodatkowymi, takimi jak nauka wsiadania i wysiadania z powozu. Sama pani Lemon podawała zawsze pannę Vincy za wzór; żadna, powiadała, uczennica nie prześcignęła tej młodej damy pod względem zdobyczy umysłowych, jak też poprawności wymowy, a już muzyka w jej wykonaniu była nad podziw. Nie mamy wpływu na to, jak ludzie o nas mówią i zapewne gdyby pani Lemon postanowiła opisać Julię czy Imogenę, obie te bohaterki nie wydałyby się nam poetyczne. Jedno spojrzenie na Rozamundę wystarczyłoby jednak większości sędziów, by rozproszyć uprzedzenia, wzbudzone pochwałami pani Lemon.

Lydgate nie mógł długo przebywać w Middlemarch, nie spotkawszy tej uroczej zjawy, a nawet nie zawarłszy znajomości z rodziną państwa Vincy; doktor Peacock, od którego przejął był praktykę za pewną sumę, nie był co prawda ich lekarzem (pani Vincy nie odpowiadał przyjęty przez niego system redukujący) – miał jednak wielu pacjentów wśród ich krewnych i znajomych. Któż bowiem z osób o jakimkolwiek znaczeniu w Middlemarch nie był krewnym czy choćby znajomym państwa Vincy? Starej, fabrykanckiej rodziny, która od trzech pokoleń prowadziła dom na dobrym poziomie, rodziny, której członkowie łączyli się naturalnym rzeczą biegiem przez związki małżeńskie z innymi miejscowymi rodzinami należącymi – po części lub w całości – do lepszej sfery. Siostra pana Vincy wyszła bogato za mąż za niejakiego pana Bulstrode, który, choć nieurodzony w Middlemarch i niejasnego pochodzenia, uczynił jednak, zdaniem wszystkich, właściwy krok, wiążąc się z zasiedziałą tutejszą rodziną; z drugiej strony, pan Vincy odrobinę się spospolitował, biorąc za żonę córkę oberżysty. Ale i ta sprawa miała pocieszający aspekt finansowy, mianowicie siostra pani Vincy była drugą żoną bogatego starego pana Featherstone i zmarła bezdzietnie przed laty, istniała więc możliwość, że dzieci jej siostry znajdą przychylność w sercu wdowca.

Tak się złożyło, że i pan Bulstrode, i pan Featherstone, dwaj najważniejsi pacjenci doktora Peacocka, powitali bardzo życzliwie, choć każdy z innego powodu, jego następcę, doktora Lydgate, mimo iż osoba przybysza wywołała w mieście różnice zdań i wznieciła wiele dyskusji. Doktor Wrench, lekarz domowy rodziny Vincych, bardzo wczesnie znalazł powody do lekceważenia zawodowych umiejętności Lydgate'a, nie było zaś plotki na jego temat, która by nie dotarła do domu państwa Vincych, gdzie gości przyjmowano często. Pan Vincy, który wolał utrzymywać dobre stosunki ze wszystkimi niż opowiadać się po czyjejkolwiek stronie, nie widział potrzeby śpiesznego nawiązywania znajomości z nowo przybyłym. Rozamunda pragnęła w duszy, by ojciec zaprosił doktora Lydgate. Miała już dość tych znanych od dzieciństwa twarzy i postaci – tych bulwiastych profilów, ociężałych ruchów czy zwrotów typowych dla młodych ludzi z Middlemarch. W szkole obracała się wśród dziewcząt z lepszej sfery i zapewne pręcej zainteresowałyby się ich braćmi niż miejscowymi kawalerami, jacy ją tutaj otaczali. Nie odważyłyby się jednak wspomnieć o swoim pragnieniu ojcu, a on sam się w tej sprawie nie spieszył. Radny miejski, który zostaje burmistrzem, musi, rzecz jasna, rozszerzać od czasu do czasu listę zapraszanych gości, ale i tak dość ich jest teraz przy jego suto zastawionym stole.

Na owym stole często stały resztki śniadania domowników długo po wyjściu pana Vincych z drugim synem do magazynów i po rozpoczęciu przez pannę Morgan porannej lekcji z młodszymi pannami Vincych w pokoju szkolnym. Owe resztki czekały na rodzinnego śpiocha, według którego wszelkie (cudze) niewygody były mniej dolegliwe niż wstawanie z łóżka na wezwanie. Tak się właśnie rzecz miała pewnego ranka tego samego października, w którym to pan Casaubon, jak widzieliśmy, składał był wizyty w Grange. Choć pokój był nieco przegrzany i biedny spaniel, dysząc z gorąca, uciekł w kąt najdalszy od kominka, Rozamunda

z jakiejś przyczyny siedziała nad haftem dłużej niż zwykle i od czasu do czasu z miną niepewnego znudzenia otrząsała się lekko i kontemplanowała odsuniętą na długość ramienia robótkę. Mama, która wróciła właśnie z wyprawy do kuchni, usiadła po przeciwnej stronie stoliczka do robótek i siedziała z pogodną twarzą, dopóki zegar nie dał do zrozumienia, że zaraz wybije godzinę. Wówczas podniosła oczy znad koronki, którą reperowała pulchnymi palcami, i zadzwoniła.

– Niech no Pritchard zastuka jeszcze raz do drzwi panicza Freda i powie mu, że wybiło w pół do jedenastej.

Słowom tym nie towarzyszyła najmniejsza zmiana na jaśniejszej pogodą twarzy, na której czterdzieści pięć lat nie wyryło ani bruzdy, ani zmarszczek. Pani Vincy odrzuciła różowe wstążki czepeczka i odłożywszy na kolana robótkę wpatrywała się z zachwytem w swoją córkę.

– Mamo – odezwała się Rozamunda. – Bardzo bym prosiła, żeby mama, jak Fred zejdzie, nie pozwalała mu jeść wędzonych śledzi. Nie znoszę, jak w całym domu pachnie od rana śledziami.

– Och, moja mała, tyle wymagasz od swoich braci. To jedyna wada, jaką w tobie widzę. Masz najśłodsze usposobienie pod słońcem, ale ciągle ich się czepiasz.

– Nie czepiam się. Słyszała mama, żebym się kiedykolwiek wyrażała w sposób tak nieelegancki?

– No dobrze, ale ciągle chcesz im czegoś zabraniać.

– Bracia są tacy nieznośni!

– Moja droga, na młodych ludzi trzeba patrzeć pobłaźliwie. Jeśli mają dobre serce, to już bardzo dużo. Kobieta musi umieć przemykać oczy na drobiazgi. Kiedyś sama wyjdiesz za mąż.

– Ale nie za kogoś takiego jak Fred.

– Nie narzekaj na własnego brata! Mało komu można tak niewiele zarzucić jak jemu, tyle że nie dał rady skończyć studiów. Nie mogę

zrozumieć dlaczego, on mi się wydaje taki mądry! I sama dobrze wiesz, że w najlepszym towarzystwie na uniwersytecie mieli go za równego. Taka jesteś wymagająca, moja droga, a wcale się nie cieszysz, że masz naprawdę eleganckiego brata. Ciągłe wynajdujesz w Bobie jakieś wady, bo nie jest Fredem.

– Och nie, mamo. Bo jest Bobem!

– No cóż, moja droga, w całym Middlemarch nie znajdziesz młodego człowieka, któremu nie można by czegoś zarzucić.

– Ale – tu twarz Rozamundy rozjaśnił uśmiech, powodując, że na policzkach ukazały się dwa dołeczki. Miała do tych dołeczków stosunek krytyczny i rzadko się śmiała w towarzystwie. – Ale ja nie wyjdę za żadnego młodego człowieka z Middlemarch.

– Na to wygląda, moja duszko, bo już co lepszym odmówiła, a gdyby się trafił jakiś odpowiedniejszy, to żadna by na niego nie zasługiwała bardziej niż ty.

– Przepraszam, ale wolałabym, żeby mamusia nie mówiła „co lepszy”.

– Dlaczego? A nie byli co lepsi?

– Chodzi mi o to, że to nieeleganckie wyrażenie.

– Bardzo możliwe. Nigdy się nie znałam na eleganckich wyrażeniach. A jak powinnam powiedzieć?

– Najlepszym.

– To mi się wydaje zwyczajne i pospolite. Gdybym miała czas pomyśleć, to bym pewno powiedziała „najbardziej wyśmienitym młodym ludziom”. Ale ty z twoim wykształceniem powinnaś najlepiej wiedzieć.

– Co Roza powinna najlepiej wiedzieć, mamo? – zapytał Fred, który wsunął się niepostrzeżenie przez niedomknięte drzwi, gdy panie chyliły się nad swymi robótkami, a teraz podszedł do kominka i stanął plecami do ognia, grzejąc podeszwy rannych pantofli.

– Czy poprawnie jest mówić „najbardziej wyśmienici młodzi ludzie”

– odparła pani Vincy, dzwoniąc na służbę.

– O, tyle jest teraz wyśmienitych herbat i cukrów. „Wyśmienity” to słowo, które wchodzi do sklepiarskiego żargonu.

– Czyżby żargon zaczynał cię drażnić? – zapytała Rozamunda z łagodną powagą.

– Tylko taki, który nie jest odpowiedni. Każdy dobór słów to żargon. Świadczy o klasie człowieka.

– Istnieje poprawna angielszczyzna; to nie żargon.

– Bardzo cię przepraszam: poprawna angielszczyzna to żargon rozmaitych nudziarzy, którzy piszą eseje i dzieła historyczne. A najgorszy żargon to żargon poetów.

– Gotów jesteś mówić każde głupstwo, byle tylko postawić na swoim.

– No to powiedz, czy to żargon, czy poezja, kiedy ktoś nazywa wołu skrętonogim.

– Oczywiście możesz to nazwać poezją, jeśli chcesz.

– No proszę, panno Rozo, nie rozróżniasz żargonu od Homera. Mam pomysł, będę ci pisał na kartkach kawałki poezji i żargonu, a ty będziesz mówiła, co jest co.

– Ojej, jak to przyjemnie słuchać rozmowy młodych. – W głosie pani Vincy brzmiało pogodne uwielbienie.

– Nie ma dla mnie nic innego na śniadanie? – zapytał Fred służącą, która wniosła kawę i grzanki z masłem. Chodził koło stołu, przyglądając się szynce, marynowanej wołowinie i innym zimnym resztkom z wyrazem niemego sprzeciwu i uprzejmie skrywanej odrazy.

– Czy chciałby panicz jajka?

– Jajka? Nie! Przynies mi kotlet schabowy z rusztu.

– Doprawdy, Fred – zwróciła się do brata Rozamunda, gdy służąca wyszła z pokoju – jeśli już musisz jadać gorące śniadania, to prosiłabym, żebyś schodził na dół wcześniej. Potrafisz wstawać o szóstej, kiedy się

wybieirasz na polowanie; nie mogę pojąć, dlaczego tak ci trudno wstawać w pozostałe dni.

– To świadczy o braku umiejętności rozumowania. Potrafię wstać na polowanie, ponieważ sprawia mi przyjemność.

– Co byś o mnie pomyślał, gdybym wstała o dwie godziny później niż inni i zażądała kotleta z rusztu na śniadanie?

– Uważałbym, że z ciebie niefrasobliwa dziewczyna – oświadczył Fred, żując z całkowitym spokojem grzanekę.

– Nie rozumiem, dlaczego bracia muszą się zachowywać niesympatycznie, inaczej niż siostry.

– Ja się nie zachowuję niesympatycznie, to tylko ty tak twierdzisz. Słowo „niesympatyczny” określa twoje wrażenia, a nie moje czyny.

– Myślę, że określa zapach kotleta z rusztu.

– Nic podobnego. Określa wrażenia, jakie zachodzą w twoim nosku, wynikające z pewnych koślawych pojęć, które u pani Lemon uchodzą za normę. Spójrz na mamę: widzisz chyba, że nie ma pretensji do nikogo z wyjątkiem siebie. Takie jest moje pojęcie o miłej kobiecie.

– Niech was Pan Bóg kocha, moje dzieci, już się nie kłóćcie – prosiła pani Vincy z matczyną serdecznością. – Fred, powiedz nam coś o tym nowym doktorze. Co tam wujaszek o nim myśli?

– Chyba dobrze. Zadaje mu najróżniejsze pytania, a potem wykrzywia twarz, słuchając odpowiedzi, jakby go łechtaly w podeszwy. Taki już jest. O, proszę, już widzę mój kotlet.

– Ale jak to się stało, żeś tak późno wrócił do domu? Mówiłeś przecie, że tylko jedziesz do wuja.

– Och, zjadłem kolację u Plymdale’a. Graliśmy w wista. Lydgate też tam był.

– Co o nim sądzisz? Pewno bardzo dystyngowany. Powiadają, że pochodzi ze świetnej rodziny, z ziemiaństwa.

– Owszem – potwierdził Fred. – Był jeden Lydgate w college’u Johna^[23], rzucał forsa na prawo i lewo. Okazuje się, że to jego stryjeczny brat. Ale bogacze mogą mieć bardzo biednych stryjecznych braci.

– To jednak coś znaczy, jak się pochodzi z dobrej rodziny – powiedziała Rozamunda zdecydowanym tonem, świadczącym, że przemyślała sprawę. Uważała, że byłaby szczęśliwsza, nie będąc córką fabrykanta z Middlemarch. Nie znosiła wszystkiego, co przypominało, że ojciec matki był oberżystą. Niewątpliwie każdy, kto o tym pamiętał, mógł uważać, że pani Vincy ma w sobie coś z pięknej, pogodnej oberżystki, przywykłej do najosobliwszych zamówień gości.

– Myślałam sobie, jakie to dziwne, że on ma na imię Tertius – ciągnęła rumiana matrona – ale to, oczywista, imię rodzinne. Powiedz nam coś więcej, jaki to człowiek.

– Och... wysoki... rozgarnięty... dobrze mówi... chyba głęda.

– Nigdy nie mogę pojąć, co ty rozumiesz pod tym słowem – zastanawiała się Rozamunda.

– Człowieka, który chce pokazać, że ma wyrobione zdanie.

– Ale mój drogi, doktorzy muszą mieć wyrobione zdanie, po to są – oponowała pani Vincy.

– Tak, mamu, za ich zdanie się płaci. Ale głęda oferuje ci swoje zdanie za darmo.

– Pewno Mary Garth jest zachwycona doktorem Lydgate – podsunęła Rozamunda nie bez chęci zrobienia intrygi.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł ponuro Fred, wstając od stołu i biorąc książkę, którą przyniósł z góry. – Jeśli jesteś o nią zazdrosna, to częściej składaj wizyty w Stone Court, żeby ją zaćmić – dodał, opadając na fotel.

– Chciałabym, żebyś nie był taki wulgarny, Fred. Jeśli skończyłeś

[23] Chodzi zapewne o St. John's College w Cambridge.

jeść, to zadzwoń, proszę.

– Ale jest coś w tym, co powiedział twój brat – zaczęła pani Vincy, kiedy służąca sprzątnęła za stołu. – To wielka szkoda, że nie masz cierpliwości i nie odwiedzasz częściej wujaszka, taki jest przecież z ciebie dumny, chciał, żebyś u niego zamieszkała. Nie wiadomo, ile by zrobił dla ciebie, a pewno i dla Freda. Bóg jeden wie, żem rada mieć was przy sobie, ale potrafię się rozstać z moimi dziećmi dla ich dobra. A teraz to przecie zrozumiałe, że wujaszek zrobi coś dla Mary Garth.

– Mary Garth wytrzymuje przebywanie w Stone Court, bo woli to niż pracę guwernantki – stwierdziła Rozamunda, zwijając robótkę. – Wolałabym nic nie dostać w spadku niż zarabiać na zapis, słysząc ciągle kaszel wujaszka i znosząc wizyty tych jego okropnych krewnych.

– Niedługo mu już wśród nas, moja kochana; nie życzę mu szybkiego końca, ale zważywszy na jego astmę i inne dolegliwości, trzeba wierzyć, że lepiej mu będzie na tamtym świecie. Nie życzę źle Mary Garth, ale tu idzie o sprawiedliwość. Pierwsza żona pana Featherstone nie wniosła mu w posagu pieniędzy tak jak moja siostra. Siostrzeńcy i siostrzenice tamtej nie mogą mieć takich samych praw jak rodzina mojej siostry. I muszę powiedzieć, że uważam Mary Garth za dziewczynę bez urody. Już bardziej pasuje na guwernantkę.

– Nie każdy by się tu z mamą zgodził – odezwał się Fred, który, jak widać, umiał czytać i słuchać jednocześnie.

– No cóż, mój kochany – uchyliła się zręcznie pani Vincy – gdyby tak dostała w spadku jakiś majątek... ale przecież człowiek żeni się i z rodziną żony, a Garthowie są tacy biedni i żyją tak skromnie. Zostawię cię teraz twojej nauce, synku, sama muszę iść na zakupy.

– Niezbyt to poważna nauka – zauważyła Rozamunda, wstając razem z matką. – On tylko czyta powieść.

– Po trochu, po trochu weźmie się i do łaciny, i czego tam jeszcze. –

Pani Vincy pogładziła syna po głowie. – Po to kazałam napalić w palarni w kominku. Taka jest wola ojca... wiesz o tym, synku kochany... zawsze mu powiadam, że będziesz dobry, wrócisz na uniwersytet i skończysz studia.

Fred przyciągnął rękę matki do ust, ale nie odpowiedział.

– Pewno nie jedziesz dziś konno? – Rozamunda zwlekała nieco po wyjściu matki.

– Nie, a bo co?

– Tata powiada, że mogę teraz brać kasztana pod siodło.

– Możesz jechać ze mną jutro, jak chcesz. Tylko pamiętaj, że ja jadę do Stone Court.

– Taką mam ochotę na spacer, że wszystko mi jedno, dokąd pojedziemy.

– W gruncie rzeczy Rozamunda chciała jechać właśnie do Stone Court.

– Słuchaj, Rozo – zawołał Fred, gdy wychodziła z pokoju – jeśli idziesz grać na pianinie, to pozwól, żebym zagrał z tobą kilka melodyjek.

– Nie prosź mnie o to dzisiaj.

– Czemu nie dzisiaj?

– Naprawdę, Fred, chciałabym, żebyś skończył z tą grą na flecie. Mężczyzna grający na flecie wygląda jak idiota. I strasznie fałszujesz.

– Następnym razem, kiedy ktoś będzie się do ciebie zalecał, moja panno, powiem mu, jakaś ty uprzejma.

– Czemu się spodziewasz, że okażę ci uprzejmość, słuchając twojego grania, jeśli ja nie mogę się spodziewać, że okażesz mi uprzejmość i zaniechasz grania?

– A czemu miałybyś się spodziewać, że cię zabiorę na spacer konno?

To pytanie doprowadziło do zgody, ponieważ Rozamundzie na tym właśnie spacerze zależało.

Tak więc Fred został nagrodzony niemal godzinnym ćwiczeniem różnych ulubionych melodii z „Nauki gry na flecie!”, takich jak „Przez

nockę całą”, i w ten chrypliwy występ włożył wiele ambicji i nieodpartą pogodę ducha.

ROZDZIAŁ XII

Na trefne żarty nie odciął się słowem,
Czym innym bowiem miał zajętą głowę,
Lecz czym, kowal nie wiedział[24].

Geoffrey Chaucer, *Opowieści*

kanterberyjskie: Opowieść młynarza

Droga do Stone Court, którą Fred i Rozamunda jechali następnego ranka, prowadziła przez rozległą równinę, typową dla środkowej Anglii – niemal same łąki i pastwiska dzielone żywopłotami, którym pozwalano tu jeszcze rosnąć w całej krzaczastej krasie i sypać ptakom korale owoców. Drobne szczegóły sprawiały, że każde z tych pól wyróżniało się czymś specyficznym, szczególnie drogim dla oczu, które oglądały je od dzieciństwa: takim na przykład jak staw w zakątku wśród podmokłych traw, okolony chylącymi się, szemrzącymi drzewami, albo wielki dąb ocieniający nagi spłachetek ziemi pośrodku pastwiska; wysokie wzniesienie, porośnięte jesionami; gwałtowna pochyłość wyrobiska starej kopalni marglu, ścieląca się czerwonym tłem pod liśćmi łopianów; zbite w gromadę stogi i szczyty zabudowań farmerskich, do których, zdawałoby się, nie wiedzie żadna droga; szare żerdzie ogrodzeń i wrót na tle ciemni lasu ciągnącego się skrajem; gdzieś na uboczu samotna szopa ze zgrzybiałą strzechą pełną omszałych wgłębień i wypukłości, na których cudownie grają światła i cienie, taka, jaką w wiele lat później jeździmy ojeżdżać gdzieś daleko i stwierdzamy, że istotnie, jest okazalsza, ale nie piękniejsza. Te szczegóły wytyczają mapę radości, jaką przynosi [24] Przeł. Helena Pręczkowska.

ten krajobraz ludziom wychowanym w środkowej Anglii – miejsca, gdzie uczyli się chodzić albo które zapamiętywali, stojąc między ojcowskimi kolanami podczas niespiesznej jazdy bryczką.

Ale gościniec, a nawet dochodzące do niego boczne drogi, były doskonale utrzymane, gdyż, jak już stwierdziliśmy, parafia Lowick nie miała ani grząskich dróg, ani ubogich dzierżawców, a Fred i Rozamunda wjechali po przebyciu kilku mil właśnie na ten teren. Jeszcze mila dzieliła podróżnych od Stone Court, a już w jej połowie ukazał się dom; mogłoby się zdawać, że jego aspiracje do godności kamiennego dworu ziemiańskiego zahamowała niespodziana przeszkoda w postaci wychylających się z lewego boku zabudowań gospodarczych, pozwalając mu jedynie zachować status zasobnej siedziby farmerskiej. Z oddali dodawał mu uroku rząd brogów ze zbożem, które równoważył szereg pięknych orzechów po prawej stronie.

Wkrótce można już było dojrzeć coś, co wyglądało jak gig stojący na kolistym podejździe przed frontowymi drzwiami.

– Ojej! – jęknęła Rozamunda. – Mam nadzieję, że to nikt z tej strasznej rodziny wujaszka.

– Owszem, to gig pani Waule, pewno ostatni żółty gig, jaki się ostał na tym świecie. Kiedy widzę w nim panią Waule, zaczynam rozumieć, dlaczego żółty kolor może się nadawać na żałobę. Ten gig ma bardziej pogrzebowy wygląd niż karawan. Ale też pani Waule ciągle nosi żałobę. Jak ona to robi, Rozo? Przecież jej krewni nie mogą tak bez przestanku umierać.

– Nie mam pojęcia. I nie ma w sobie nic z metodystki – zauważyła z namysłem Rozamunda, jakby ten religijny punkt widzenia całkowicie wyjaśniał problem nieustannej żałoby. – Ale ma pieniądze – dodała po chwili.

– I to jakie! Ci wszyscy Waule'owie i Featherstone'owie są bogaci jak

Żydzi; to znaczy, bogaci jak na takich, jak oni; śpią tylko na pieniądzach i wcale ich nie wydają. A mimo to obsiedli wujaszka niczym hieny i boją się, żeby im żaden pens nie przepadł. Ale wydaje mi się, że on ich wszystkich nie znosi.

Tak się złożyło, że tego dnia przed południem owa pani Waule, która w oczach swych dalekich powinowatych budziła tak mało uznania, oświadczyła głosem, w którym nie było ani śladu agresji – niskim słumionym i nijakim, jakby mówiła przez watę – że nie zależy jej „na zażywaniu ich pochlebnej opinii”. Siadywała była – co przypomniła bratu – przy jego kominku i nosiła nazwisko Featherstone przez dwadzieścia pięć lat, zanim została Jane Waule, co upoważnia ją teraz do zabierania głosu, gdy nazwiskiem jej brata posługują się ludzie, niemający do tego żadnego prawa.

– Do czego zmierzasz – zapytał pan Featherstone, trzymając laskę między kolanami i poprawiając perukę; obrzucił siostrę krótkim, bystrym spojrzeniem, które, niby zimny przeciąg, wywołało u niego atak kaszlu.

Pani Waule musiała poczekać z odpowiedzią, póki nie doszedł do siebie, a Mary Garth nie przyniosła mu świeżego syropu. Pan Featherstone siedział, pocierając złotą gałkę laski i zawzięcie wpatrywał się w ogień. Ogień płonął jasno, a mimo to twarz pani Waule pozostawała chłodna, sinawa i równie nijaka jak jej głos; oczy miała jak szparki, a usta, nawet gdy mówiła, pozostawały nieruchome.

– Doktorzy nie poradzą sobie z twoim kaszlem, mój bracie. Kubek w kubek taki sam, jak mój, to przecie oczywiste, jestem twoją siostrą, mamy taką samą konstytucję i w ogóle. Ale, jak powiadałam, to wielka szkoda, że dzieci pani Vincy nie mogą się lepiej prowadzić.

– Co też! Nic takiego nie mówiłaś. Powiedziałaś, że ktoś sobie pozwala posługiwać się moim nazwiskiem.

– Powiedziałałam to, co można udowodnić, jeśli prawdą jest, co gadają

wszyscy naokoło. Salomon, mój brat, powiada, że w całym mieście mówi się tylko o tym, jaki z tego młodego Vincy lekkoduch i że odkąd wrócił do domu, cały czas nic tylko się hazarduje. Gra w bilard.

– Głupoty! A cóż to złego grać w bilard? To przyzwoita gra, dobra dla dżentelmena, a młody Vincy to nie prostak. Gdyby tak twój syn, John, zabrał się do gry w bilard, zrobiłby z siebie idiotę.

– Twój siostrzeniec, John, nigdy się nie brał do bilardu ani do żadnej innej gry i nigdy nie tracił setek funtów, których jeśli prawdą jest to, co ludzie mówią, trzeba będzie szukać gdzie indziej niż w kieszeni starego pana Vincy. Bo powiadają, że on już od lat ma same straty, chociaż nikt by tak nie pomyślał, patrząc na te jego polowania i ciągłe przyjęcia. I słyszałam, że pan Bulstrode ma bardzo za złe pani Vincy jej płochość i to, że tak psuje swoje dzieci.

– A co mnie obchodzi Bulstrode? To nie mój bankier.

– Ale pani Bulstrode to rodzona siostra pani Vincy i powiadają, że Vincy cały swój handel załatwia przez bank, i wiesz sam dobrze, że jeśli kobieta po czterdziestce nosi różowe wstążki przy czepeczku, zawsze rozwiane, i ciągle się śmieje z byle czego, to nie zachowuje się, jak trzeba. Ale pobłażać swoim dzieciom to jedno, a znaleźć pieniądze na spłacenie ich długów, to drugie. I głośno się mówi, że młody Vincy pożyczka pieniądze, dając za porękę swoje widoki na coś. Nie mówię, na co. Panna Garth słyszy moje słowa i może je powtórzyć, bardzo proszę. Wiem, że ci młodzi trzymają się razem.

– Bardzo pani dziękuję – powiedziała Mary. – Zbyt wstrętne mi są plotki, bym je miała jeszcze powtarzać.

Pan Featherstone potarł gałkę swojej laski i wydał krótki, konwulsyjny śmiech, który miał w sobie tyle naturalności, co chichot szczerwanego gracza w wista, kiedy dostał złe karty. Wpatrując się dalej w ogień, powiedział:

– A kto mówi, że Fred Vincy nie ma widoków? Taki udany chłopak z

fantazją, to całkiem możliwe.

Nastąpiła krótka chwila przerwy, nim dama odpowiedziała, a choć twarz jej pozostawała sucha, głos był jakby zwilżony łzami.

– Tak czy inaczej, to chyba oczywista, że i mnie, i Salomonowi, mojemu bratu, musi być przykro, kiedy słyszymy, jak się ktoś rozporządza twoim nazwiskiem, i przecie masz taką dolegliwość, co cię w każdej chwili może zabrać z tego świata, a tu ludzie, co tyle mają w sobie z Featherstone'ów co jaki błazen na jarmarku, otwarcie gadają, że twój majątek na nich przejdzie! I tu jestem ja, twoja rodzona siostra, i Salomon, twój rodzony brat! A jeśli tak się ma stać, to na co spodobało się Wszchemocnemu stwarzać rodzinę? – Tu łzy popłynęły po twarzy pani Waule, ale umiarkowanie.

– No, kawę na ławę, Jane – obrzucił ją wzrokiem pan Featherstone. – Chcesz powiedzieć, że Fred Vincy próbował od kogoś pożyczyć pieniądze pod zastaw tego, co jak twierdzi, zapisałem mu w testamencie?

– Nic podobnego nie powiedziałam, bracie. – Głos pani Waule był znowu suchy i nieporuszony. – Powiedział mi to mój brat Salomon, kiedy do mnie zajechał, wracając z targu, żeby mi doradzić w sprawie zeszłorocznej pszenicy, boć przeciem wdowa, a John, mój najmłodszy, ma ledwo dwadzieścia trzy lata, chociaż z niego chłopak usatkwony jak mało który. A brat usłyszał to od kogoś, komu można ufać, i to nie od jednej osoby, ale wielu.

– Czyste brednie! Nie wierzę ani jednemu słowu. To wszystko wymyśli. Podejdz no, panna, do okna, bo chyba słyszę konia. Zobacz, czy doktor nie nadjeżdża.

– Nie moje wymyśli ani nie Salomona, który, cokolwiek o nim powiedzieć, a nie przeczę, że ma swoje dziwactwa, spisał testament i podzielił majątek równo pomiędzy wszystkich krewnych, z którymi jest w zgodzie, chociaż jeśli o mnie idzie, to uważam, że czasem jednym

powinno się okazać więcej względów niż innym. Ale Salomon nie trzyma w tajemnicy tego, co chce zrobić.

– Bo głupi. – Pan Featherstone powiedział to z pewną trudnością i natychmiast zaczął ostro kaszleć, wobec czego Mary musiała stać przy nim i nie mogła stwierdzić, czyje to konie zatrzymały się na zwirowanym podejździe przed wejściem.

Jeszcze atak kaszlu nie minął, kiedy do pokoju weszła Rozamunda odziana w amazonkę, którą nosiła z ogromnym wdziękiem. Skłoniła się ceremonialnie pani Waule, na co ta odpowiedziała sztywnym „dzień dobry”, uśmiechnęła się, skinęła głową Mary i stała tak, aż kaszel ucichł, a wujaszek zdołał ją zauważyć.

– Witaj, moja panno – odezwał się wreszcie. – Piękne masz kolorki. Gdzie Fred?

– Odprowadza konie. Zaraz tu będzie.

– Siadaj, siadaj. A ty, siostrze, lepiej już sobie idź.

Nawet ci sąsiedzi, którzy nazywali Piotra Featherstone starym lisem, nie oskarżali go nigdy o fałszywą grzeczność, a jego siostra przywykła była do tej szczególnej bezceremonialności, jaką poświadczało ich pokrewieństwo. W gruncie rzeczy sama zwykła była myśleć, że w intencjach Wszchemocnego, tyczących rodzin, mieściło się i to, by nikt nie był przymuszany do zachowywania się mile. Podniosła się powoli, bez śladu urazy i oświadczyła zwykłym sobie, głuchym, monotonnym tonem:

– Mam nadzieję, że ten nowy doktor potrafi ci pomóc. Salomon powiada, że wszystkim się wydaje bardzo uczony. Pragnieniem moim jest, bracie, aby cię Wszchemocny zachował. I nikt nie ma większej chęci na to, żeby cię pielęgnować niż twoja rodzona siostra i twoje rodzone siostrzenice, wystarczy, żebyś powiedział słowo. Wiesz dobrze, że jest Rebeka, Joanna i Elżbieta.

– Tak, tak, pamiętam. Przekonasz się, że pamiętałem o każdej z nich, wszystkie ciemne i szpetne. Przyda im się trochę gotówki, co? W naszej rodzinie kobiety nigdy nie miały urody, ale Featherstone’owie zawsze mieli pieniądze, a Waule’owie też. Twój mąż też je miał. To był udany chłop. Tak, tak, pieniądze to dobra rzecz; jeśli ma się zostawić po sobie pieniądze, to powinno się je zostawić w jakimś ciepłym gniazdku. Do widzenia, moja pani siostró.

Tu pan Featherstone naciągnął perukę obydwoma rękami, jakby chciał zatkać sobie uszy, siostra zaś wyszła, rozważając w myślach jego wróżebne słowa. Mimo całej zazdrości o rodzinę Vincych i o Mary Garth, chowała przecie w najniższej warstwie swojej umysłowej płycizny przeświadczenie, że jej brat, Piotr Featherstone, nie byłby zdolny pozbawić krewnych głównej części swojego majątku, boć przecież, jaki by miał cel Wszchemocny, powołując kolejno do siebie obie jego żony, jedną i drugą bezdzietną, chociaż ich mąż zarobił takie pieniądze na manganie i innych rzeczach, które odkrył tam, gdzie ich nikt inny nie szukał? I po co by istniał parafialny kościół w Lowick, gdzie Waule’owie i Powderellowie siedzą od pokoleń w tej samej ławce tuż obok ławki Featherstone’ów, jeśliby w pierwszą niedzielę po śmierci Piotra Featherstone świat miał się dowiedzieć, że majątek nieboszczyka nie pozostał w rodzinie? Umysł ludzki nigdy, w żadnych czasach, nie akceptował moralnego chaosu, toteż coś podobnie absurdalnego było nie do pomyślenia. Boimy się jednak wielu rzeczy, które są nie całkiem do pomyślenia.

Kiedy Fred wszedł do pokoju, stary spojrział na niego ze szczególnym błyskiem w oku, który młody człowiek nieraz już – i nie bez powodu – uważał za przejaw dumy z eleganckich szczegółów ubioru siostrzeńca.

– Wy, obie panny, idźcie sobie. Chcę sam porozmawiać z Fredem – powiedział chory.

– Chodź, Rozamundo, do mojego pokoju, może nie zdązysz zmarznąć

– zaproponowała Mary. Obie panny nie tylko znały się od dzieciństwa, ale uczyły się w tej samej prowincjonalnej szkole (Mary otrzymywała nauki w zamian za wykonywane obowiązki) – miały więc wiele wspólnych wspomnień i bardzo lubiły rozmawiać na osobności. W gruncie rzeczy jednym z celów przyjazdu Rozamundy do Stone Court było takie właśnie *tête-à-tête*.

Stary Featherstone nie zaczynał rozmowy, póki drzwi nie zostały zamknięte. Wciąż wpatrywał się we Freda z tym samym błyskiem w oku, wykonując jeden ze swoich stałych grymasów, który polegał na rozciąganiu i ściągananiu ust, a kiedy już zaczął mówić, robił to głosem przyciszonym, bardziej jak donosiciel wyglądający zapłaty niż jak obrażony senior rodu. Nie był to człowiek, który by odczuwał gwałtowne oburzenie moralne, dowiadując się, że ktoś popełnił przeciwko niemu jakiś występki. To oczywiste, że ludzie mają ochotę go wykorzystać, ale z kolei on się nie da.

– A więc, młody człowieku, płacisz dziesięć procent od pożyczki, którą przyrzekasz zwrócić, kiedy weźmiesz hipotekę na ziemię po mojej śmierci, co? Dajesz mi jeszcze dwanaście miesięcy życia. Ale przecież mogę zmienić testament.

Fred poczerwieniał. Z oczywistych przyczyn nie zaciągał podobnych długów. Zdawał sobie jednak sprawę, że wypowiadał się był z niejaką pewnością siebie (może nawet większą niż w tej chwili pamiętał) o swoich widokach na ziemię po wuju, co umożliwiłoby mu w przyszłości spłatę obecnych zobowiązań.

– Nie wiem, o czym wuj mówi. Z pewnością nigdy nie pożyczałem pieniędzy pod tak niepewny zastaw. Proszę, niech wuj to wyjaśni.

– O, nie, mój drogi, to ty musisz to wyjaśnić. Ja mogę jeszcze zmienić testament, wierzaj mi. Jestem zdrow na umyśle. Potrafię w pamięci obliczyć składany procent i pamiętam nazwisko każdego durnia równie

dobrze dziś, jak dwadzieścia lat temu. Co u licha!

Jeszcze nie doszedł osiemdziesiątki. Powiadam ci, że musisz tej wiadomości zaprzeczyć.

– Już zaprzeczyłem – powiedział Fred odrobinę niecierpliwie, niepomny tego, że dla wuja nie ma różnicy słownej pomiędzy stwierdzeniem nieprawdy a udowodnieniem nieprawdy, choć jest najdalszy od mieszania tych dwóch pojęć, gdyż często się dziwi, że tylu głupców bierze jego zapewnienia za dowody. – Ale zaprzeczam raz jeszcze. Ta historia to wierutne kłamstwo.

– Bzdura! Musisz mi przynieść dokument. Dowiedziałem się o sprawie z dobrego źródła.

– Niech wujek powie, z jakiego, i niech to źródło poda nazwisko człowieka, od którego pożyczyłem pieniądze, wówczas będę mógł dowieść nieprawdziwości zarzutów.

– To bardzo dobre źródło: ktoś, kto najwięcej wie o tym, co się dzieje w Middlemarch. Twój dostojny, pobożny, miłosierny wujaszek. No, widzisz. – Tu pana Featherstone przeszedł ten szczególny, wewnętrzny dygot, który oznaczał rozbawienie.

– Pan Bulstrode?

– A któż by inny?

– Wobec tego ta kłamliwa opowieść musiała się zrodzić z jakichś jego moralizatorskich uwag na temat mojej osoby. Czy oni sugerują, że pan Bulstrode wymienił nazwisko człowieka, który mi pożyczył owe pieniądze?

– Jeśli taki człowiek istnieje, to już pewne, że Bulstrode go zna. Ale gdybyś nawet tylko próbował pożyczyć pieniądze i nic nie dostał, Bulstrode też by o tym wiedział. Przynieś mi od niego na piśmie zapewnienie, że nie wierzy, abyś kiedykolwiek obiecywał spłacać swoje długi moją ziemią.

Twarz pana Featherstone przeszła wszystkie fazy skurczów, aby

wyrazić mięśniami jego niemą satysfakcję z wykazanej sprawności umysłowej.

Fred zrozumiał, że stoi przed paskudnym dylematem.

– Chyba wujaszek żartuje. Pan Bulstrode, podobnie jak inni, wierzy w różne rzeczy, które nie są prawdziwe, i jest do mnie uprzedzony. Mogę go łatwo poprosić, by napisał, że nieznanne mu są fakty, potwierdzające pogłoski, które dotarły do wuja, chociaż wiązałyby się to zapewne z przykrościami. Trudno jednak, bym miał go prosić o pisanie, w co na mój temat wierzy, a w co nie wierzy. – Tu Fred przerwał na chwilę, a następnie dodał, odwołując się dyplomatycznie do wujowskiej próżności: – Trudno, żeby dżentelmen występował z podobną prośbą.

Doznał tu jednak zawodu.

– Tak, tak, wiem, o co ci chodzi. Łatwiej by ci przyszło obrazić mnie niż Bulstrode’a. A któż on zacz? Nie słyszałem nigdy, żeby miał tu w okolicy ziemię. Spekulant. Może zbankrutować choćby jutro, niech go tylko diabeł przestanie wspierać. A cała ta jego religia tyle znaczy, że on chce nadejścia Pana Wszzechmogącego. Co za bzdury! Jedno zrozumiałem jasno, kiedy jeszcze chodził do kościoła: Pan Wszzechmogący trzyma się ziemi. Obiecuje ziemię, daje ziemię, sprawia, że ludzie bogacą się bydłem i zbożem. Ale ty jesteś po ich stronie. Ty wolisz Bulstrode’a i spekulacje niż Featherstone’a i ziemię.

– Bardzo wujaszka przepraszam. – Fred podniósł się i stanąwszy plecami do kominka, trzepnął but pejczem. – Nie lubię ani pana Bulstrode, ani spekulacji – mówił chmurnie, czując, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

– No cóż, dasz sobie radę bez mnie, to jasne – ciągnął stary Featherstone, w głębi duszy niechętny temu, by Fred okazał się człowiekiem niezależnym. – Nie potrzeba ci ani ziemi, która by z ciebie zrobiła ziemianina zamiast przymierającego głodem pastorzyny, ani stu

funtów na wsparcie po drodze. Mnie tam wszystko jedno. Mogę zrobić jeszcze pięć kodycyli, a gotówkę trzymać, niech się mnoży.

Fred poczerwieniał znowu. Rzadko dostawał od wuja pieniądze w prezencie, ale w tej właśnie chwili trudniej mu było rozstać się z nadzieją na rychłą gotówkę niż z bardziej odległymi widokami na ziemię.

– Nie jestem niewdzięcznikiem, wujaszku. Nigdy nie było moim zamiarem lekceważyć łaskawe intencje, jakie wujaszek mógł wobec mnie żywić. Wręcz przeciwnie.

– Doskonale. Więc mi tego dowiedz. Przywieź mi list od Bulstrode’a, niech napisze czarno na białym, że nie wierzy, byś gadał i obiecywał ludziom spłatę długów moją ziemią, a wtedy, jeśliś się wpakował w jakieś kłopoty, zobaczymy, może będę ci mógł coś niecoś pomóc. No, proszę, umowa stoi. Chodź tu, podaj mi ramię. Spróbuję przejść się trochę po pokoju.

Fred miał zbyt dobre serce, by, mimo irytacji, nie odczuć przyływu współczucia dla tego niekochanego, nieszanowanego starca, który poruszając się na swoich opuchniętych nogach, wydawał się jeszcze bardziej godny politowania niż zwykle. Podając wujaszкови ramię, pomyślał, że nie chciałby zostać takim starym człowiekiem, i stał cierpliwie najpierw przy oknie, wysłuchując przyziemnych uwag na temat perliczek, a potem kurka na pogodę, następnie zaś przed nielicznymi półkami bibliotecznymi, gdzie jako najznakomitsze pozycje stały w ciemnej, ciepłej oprawie: Józef, Culpepper i *Mesjasz Klopstocka*^[25] oraz kilka woluminów *Magazynu Pana*.

– Przeczytaj mi tytuły tych książek. Dalej, przecie z ciebie człowiek wykształcony.

[25] Józef Flawiusz – historyk żydowski I wieku; Culpepper – siedemnastowieczny autor książki o lichwie; *Mesjasz* – poemat osiemnastowiecznego poety niemieckiego F.G. Klopstocka.

Fred przeczytał tytuły.

– Po co pannie więcej książek? Po co ty jej masz przywozić jeszcze więcej książek?

– Sprawiają jej przyjemność, wujaszku. Ona bardzo lubi czytać.

– Aż za bardzo – zauważył zrzędnie pan Featherstone. – Chciała sobie czytać, siedząc tu ze mną. Ale jej zakazałem. Dostaje gazetę do głośnego czytania i to, uważam, dosyć na cały dzień. Nie znoszę patrzyć, jak sobie czyta. Pamiętaj, żebyś jej więcej nie przywoził książek, zrozumiałeś?

– Tak, wujaszku. – Fred już uprzednio słyszał takie rozkazy i skrycie nie był im posłuszny. I tym razem nie zamierzał być posłuszny.

– Zadzwoń – rozkazał pan Featherstone. – Chcę, żeby panna zeszła na dół.

Rozamunda i Mary rozmawiały szybciej niż ich krewni na dole. Panny nie pomyślały nawet o siadaniu – stały obok toaletki przy oknie, a Rozamunda zdejmowała kapelusz, poprawiała woalkę i lekkimi dotknięciami palców wygładzała włosy dziecięco jasne, ani nie płowe, ani nie żółte. Mary Garth wydawała się jeszcze mniej urodziwa, gdy tak stała bokiem między dwiema nimfami – jedną w lustrze, a drugą przed lustrem – patrzącymi na siebie niebiańsko błękitnymi oczyma tak głębokimi, że mogłyby pomieścić najcudowniejsze treści, jakie by im przypisał obdarzony wyobraźnią obserwator, i tak głębokimi, że zdolne byłyby ukryć treści prawdziwe, jeśliby się przypadkiem okazały mniej cudowne. Tylko kilkoro dzieci w Middlemarch sprawiało wrażenie jasnowłosych przy Rozamundzie, ubranej teraz w amazonkę, która obciskając szczupłą figurkę, podkreślała delikatne wypukłości. Prawdę mówiąc większość mężczyzn w miasteczku, z wyjątkiem jej braci, uważała pannę Vincy za najładniejszą na świecie, a niektórzy nazywali ją aniołem. Mary Garth, przeciwnie, sprawiała wrażenie zwykłej grzesznicy; była szatynką o twardych wijących się, krnąbrnych włosach, niskiej postaci, gdybyśmy

zaś, chcąc to jakoś zrównoważyć, powiedzieli, że stanowiła skarbnicę wszelkich cnót – powiedzielibyśmy nieprawdę. Nieładna dziewczyna, podobnie jak piękność, ma swoje przywary i ulega swoim pokusom; albo się maskuje, przybierając uprzejmy wyraz twarzy, albo nic nie udając, pokazuje całą szpetotę swojej goryczy. Tak czy inaczej, fakt, że ją nazwano brzydulą w porównaniu z piękną towarzyszką, wywołuje w niej coś więcej niż tylko przeświadczenie, że to, co powiedziano, jest słuszne i zgodne z prawdą. Mary w wieku dwudziestu dwóch lat nie posiadała jeszcze tej dawki zdrowego rozsądku i mocnych zasad, jaką się na ogół zaleca dziewczętom skąpiej obdarzonym przez naturę, jakby te wartości można było otrzymywać w porcjach mieszanki zaprawionej odpowiednią szczyptą rezygnacji. W jej bystrych sądach brzmiała nuta gorzkiej ironii, powracająca nieustannie i nigdy nieniknąca ze szczerem, chyba że ją zagłuszył silny strumień wdzięczności wobec tych, co zamiast jej tłumaczyć, że powinna być zadowolona, robili coś, by się czuła zadowolona. Zbliżająca się kobieca dojrzałość rozmyśla nieco jej brzydotę, która była brzydotą dobrego gatunku ludzkiego, taką, jaką dość powszechnie pokazywały matki ludzkiej rasy w każdej szerokości geograficznej, pod każdym mniej czy bardziej twarzowym czepeczkiem. Rembrandt malowałby ją chętnie; z jego płótna twarz Mary o grubych rysach wychylałaby się z wyrazem uczciwości i inteligencji. Uczciwość bowiem, prawdomówność i bezstronność były głównymi cnotami tej dziewczyny: nie próbowała stwarzać sobie złudzeń ani im nie ulegała, by sobie sprawić przyjemność. Kiedy była w dobrym nastroju, miała dość poczucia humoru, by śmiać się z samej siebie. Ujrzawszy się przypadkiem w lustrze obok Rozamundy, stwierdziła ze śmiechem:

– Jakaż ze mnie ciemna łąta przy tobie, Rozo! Jesteś wyjątkowo nietwarzowym towarzystwem.

– Ależ, co też ty mówisz! Nikt nie zwraca uwagi na twoją

powierzchność, jesteś taka rozsądna i pożyteczna. W gruncie rzeczy uroda niewiele znaczy – Rozamunda zwróciła główkę ku Mary, ale bokiem zerknęła ku odbiciu w lustrze, które ukazywało jej szyję w innym ustawieniu.

– Masz na myśli moją urodę? – spytała sarkastycznie Mary.

„Biedna Mary, fatalnie przyjmuje nawet najzyczliwsze słowa”

– pomyślała Rozamunda, a głośno powiedziała:

– Co robiłaś ostatnio?

– Ja? Och... doglądałam domu, nalewałam syrop, udawałam, że jestem miła i zadowolona, uczyłam się, jak mieć o każdym złe zdanie.

– To straszne życie.

– Nie – ucięła krótko Mary z lekkim podrzutem głowy. – Myślę, że mam przyjemniejsze życie niż wasza panna Morgan.

– No tak, ale panna Morgan nie jest interesująca ani młoda.

– Jest interesująca dla samej siebie, a nie przypuszczam, by z wiekiem wszystko stawało się łatwiejsze.

– To racja – zamyśliła się Rozamunda. – Ciekawe, co robią ludzie, którzy nie mają żadnych widoków. Jest, co prawda, religia jako wsparcie. Ale – tu uśmiechnęła się rozkosznie – z tobą jest całkiem inaczej. Ktoś może ci się oświadczyć.

– Czy ktoś ci mówił, że ma taki zamiar?

– Oczywiście, że nie. Miałam na myśli to, że pewien dżentelmen może się w tobie zakochać, widując cię codziennie.

Zmiana, jaka zaszła na twarzy Mary, była rezultatem postanowienia, by nie okazać żadnej zmiany.

– Czy to zawsze prowadzi do tego, by się ludzie zakochali? – zapytała beztrąsko. – Mnie się zdaje, że to jest równie częsty powód do wzajemnej odrazy.

– Ale nie wtedy, kiedy oboje są mili i interesujący. A słyszałam, że taki

jest pan Lydgate.

– Och, pan Lydgate – z głosu Mary natychmiast zniknęła nuta zainteresowania. – Chcesz się czegoś o nim dowiedzieć? – dodała nieskora do owijania sprawy w bawełnę, jak to robiła Rozamunda.

– Tylko, jak ci się podoba?

– Jak dotąd nie ma jeszcze mowy o podobaniu. Do tego, by mi się ktoś spodobał, potrzebuję okazania mi odrobiny życzliwości. Nie jestem na tyle wielkoduszna, by lubić ludzi, którzy zwracają się do mnie tak, jakby mnie nie widzieli.

– Taki jest wyniosły? – Zadowolenie Rozamundy wzrosło. – Wiesz, że on pochodzi z dobrej rodziny?

– Nie podawał tego za przyczynę.

– Mary, jakie z ciebie dziwadło! Ale jaką ma powierzchowność jako mężczyzna. Opisz mi go.

– Jak można opisywać mężczyznę? Mogę ci podać inwentarz; gęste brwi, ciemne oczy, prosty nos, gęste ciemne włosy, duże, masywne, białe dłonie i, co tam jeszcze, och, przepiękna batystowa chustka do nosa. Ale sama go obejrzysz, przecież wiesz, że to właśnie pora jego wizyt.

Rozamunda zaczerwieniła się lekko, potem powiedziała z namysłem.

– Właściwie to ja lubię wyniosłe obejście. Nie znoszę gadatliwych młodych ludzi.

– Nie powiedziałam ci, że pan Lydgate jest wyniosły, ale *il y en a pour tous les goûts*, jak zwykła nam mówić nasza malutka Mamselle, a jeśli jakaś dziewczyna potrafi znaleźć rodzaj zarozumialstwa, które mogłoby jej odpowiadać, to chyba tylko ty, Rozo.

– Wyniosłość to nie zarozumialstwo; uważam Freda za zarozumialca.

– Chciałabym, żeby to był najcięższy zarzut, jaki mu się stawia. Powinien bardziej uważać. Pani Waule powiadała właśnie wujowi, że Fred jest taki niesolidny.

Mary mówiła pod wpływem dziewczęcego impulsu, który przeważał nad rozsądkiem. Słowo „niesolidny” wypowiedziała niepewnie, mając nadzieję, że Rozamunda znajdzie przeciwko temu jakieś argumenty. Rozmyślnie powstrzymała się od przekazania szczegółowych insynuacji pani Waule.

– Och, Fred jest straszny. – Rozamunda nie pozwoliłaby sobie na tak niestosowne słowo przy kimkolwiek innym.

– Co to znaczy: straszny?

– Jest tak gnuśny i tak denerwuje tatusia, i powiada, że nie przyjmie święceń.

– Myślę, że ma zupełną słuszność.

– Jakże ty możesz mówić, że ma słuszność, Mary? Myślałam, że jesteś bardziej religijna.

– On się nie nadaje na duchownego.

– Ale powinien się nadawać.

– Wobec tego nie jest tym, kim powinien być. Znam inne podobne przypadki.

– Jednakże tacy ludzie nie znajdują niczyjego uznania. Ja sama nie chciałabym wyjść za duchownego, ale przecież duchowni muszą istnieć.

– Z tego nie wynika, że Fred musi być jednym z nich.

– Ale kiedy tatuś poniósł takie koszty na jego edukację! Pomyśl tylko: jeśliby nie dostał żadnego majątku w spadku?

– To potrafię sobie bez trudu wyobrazić – stwierdziła sucho Mary.

– Więc dziwię ci się, że bronisz Freda. – Rozamunda skłonna była obstawać akurat przy tej sprawie.

– Ja go nie bronię – roześmiała się Mary. – Ja bym broniła każdej parafii przed nim jako duszpasterzem.

– Ale przecież gdyby został duchownym, musiałby się zmienić.

– Owszem, stałby się wielkim hipokrytą, a hipokryzji jeszcze mu brak.

– Nie ma sensu rozmawiać z tobą, Mary. Zawsze bierzesz stronę Freda.

– A czemu bym miała nie brać jego strony? – zaperzyła się Mary. – On by również stanął po mojej stronie. Jest jedynym człowiekiem, który zadaje sobie trud, by mi zrobić przyjemność.

– Stawiasz mnie w bardzo niezręcznej sytuacji – stwierdziła łagodnie i z największą powagą Rozamunda. – Nie powiedziałabym tego mamie za żadne skarby.

– Czego nie powiedziałabyś mamie? – W głosie Mary zabrzmiał gniew.

– Proszę cię, nie złość się, Mary. – Głos Rozamundy brzmiał jak zwykle łagodnie.

– Jeśli twoja mama boi się, że Fred mi się oświadczy, powiedz jej, że nie wyszłabym za mąż za niego, nawet gdyby mnie o to poprosił. Ale on, o ile mi wiadomo, nie ma takiego zamiaru. Nigdy mi się nie oświadczał, to pewne.

– Mary, zawsze jesteś taka gwałtowna!

– A ty taka denerwująca!

– Ja? Co mi możesz zarzucić?

– Och, ludzie, którym nic nie można zarzucić, są zawsze najbardziej irytujący. O, proszę, dzwonek. Chyba musimy zejść na dół.

– Nie chciałam się kłócić – oświadczyła Rozamunda, wkładając kapelusz.

– Kłócić? Nonsens. Myśmy się nie kłóciły. Co za pożytek z przyjaciół, jeśli człowiek nie może się przy nich czasem położyć.

– Czy mam powtórzyć to, co powiedziała?

– Jak chcesz. Nigdy nie mówię rzeczy, których obawiałabym się powtórzyć. Ale chodźmy już na dół.

Tego dnia doktor Lydgate przyjechał nieco później, goście jednak

pozostali dostatecznie długo, by go poznać, jako że pan Featherstone poprosił Rozamundę, by mu zaśpiewała, ona zaś była tak uprzejma, że zaproponowała mu jeszcze jedną z jego ulubionych piosenek: *Płyn, ach, płyn, srebrzysta rzeko*, po odśpiewaniu *Domu, kochany domu* (którego nie znosiła). Stary, twardy Overreach^[26] pochwalił sentymentalną śpiewkę zarówno dlatego że, jego zdaniem, odpowiednia jest dla panienki, jak i jako rzecz samą w sobie, gdyż sentyment jest dla piosenki w sam raz.

Nim pan Featherstone zdążył oklaskać *Srebrzystą rzekę*, zapewniając pannę, że głosik ma czysty jak kos, za oknem przesunął się koń doktora Lydgate. Przybyły dawno już zwątpił, by Middlemarch kryło dla niego jakieś uroki, i spodziewał się, jak zwykle, niemiłej rutynowej wizyty u starego pacjenta, przekonanego, że lekarstwa postawiłyby go na nogi, gdyby tylko lekarz okazał się dostatecznie mądry; dzięki temu tło dla pojawiającej się postaci Rozamundy było podwójnie korzystne. Stary Featherstone śpiesznie przedstawił ją jako swoją siostrzenicę, chociaż nigdy nie uważał za stosowne mówić tak o Mary Garth. Ani jeden szczególnie wdzięcznego zachowania Rozamundy nie uszedł uwagi doktora; przyjęła postawę cichej powagi, delikatnie odsuwając od swojej osoby zainteresowanie, narzucone nietaktownym zachowaniem starca; nie ukazała dołeczków w niewłaściwym momencie, natomiast ukazała je po chwili, zwracając się do Mary, i to z tak życzliwym zainteresowaniem, że Lydgate, obrzuciwszy szybko Mary bystrzejszym niż kiedykolwiek spojrzeniem, uznał, iż w oczach Rozamundy kryje się godna podziwu dobroć. Mary jednak wydała się z jakiegoś powodu zagniewana.

– Panna Roza śpiewała mi piosenkę. Chyba pan nie ma nic przeciwko temu, co, doktorze? – mówił pan Featherstone. – Bardziej mi to w smak niż pańskie mikstury.

– I przez to zapomniałam, że czas ucieka. – Rozamunda wstała i

[26] Postać ze sztuki Massingera, *A New Way to Pay Old Debts*.

sięgnęła po kapelusz, który odłożyła, nim zaczęła śpiewać; można było teraz zobaczyć w całej doskonałości jej głowę ponad amazonką, niby kwiat na białej lodydze. – Fred, doprawdy, musimy jechać.

– Bardzo proszę – zgodził się Fred, który miał swoje powody do przygnębienia i śpieszno mu było wyjeżdżać.

– Panna Vincy jest śpiewaczką? – zapytał Lydgate, wodząc za nią wzrokiem. (Każdy nerw i mięsień Rozamundy reagował zgodnie ze świadomością, że jest obserwowana. Była urodzoną aktorką w rolach, w których brało udział jej ciało; grała nawet samą siebie, i to tak doskonale, że nie zdawała sobie sprawy, iż to partia przez nią wymyślona).

– Najlepszą w Middlemarch, bez kwestii – oznajmił pan Featherstone – a po niej każda następna jest bez znaczenia. Co, Fred? Pochwalże własną siostrę.

– Obawiam się, że nie jestem bezstronnym sędzią. Moje świadectwo na nic się nie zda.

– Middlemarch nie ma zbyt wysokich wymagań, wujku – powiedziała Rozamunda z wdzięczną swobodą, idąc po szpicrutę, która leżała nieco dalej. Lydgate jednak ją uprzedził. Sięgnął po szpicrutę i obrócił się, by ją podać właścicielce. Skłoniła się i podniosła na niego oczy: on patrzył na nią, rzecz jasna, i wzrok ich się zetknął tym szczególnym zetknięciem, do którego nigdy nie można doprowadzić własnym staraniem, lecz które jest niby nagłe, boskie rozstąpienie się mgły. Lydgate chyba zbladł lekko, a Rozamunda zaczerwieniła się silnie i poczuła niejakiemu zdziwienie. Potem naprawdę chciała zaraz wychodzić i nie bardzo docierały do niej głupstwa, jakie plótł wujaszek, kiedy ścisła mu rękę.

A jednak ta reakcja, którą uznała za obopólne zauroczenie zwane miłością od pierwszego wejrzenia, była już dawniej przez nią zamysłona. Od chwili, kiedy do Middlemarch przyjechał ten nowy, ważny przybysz, snuła mglistą wizję przyszłości, która musiałaby się zacząć czymś w

rodzaju takiej właśnie sceny. Obcy przybysze – czy to rozbitkowie uczepleni szczątków tratwy, czy też przyjezdni podróżni ze służbą i kuframi – zawsze fascynowali panięskie umysły, na których miejscowe solidne cnoty nie robiły, mimo starań, wrażenia. Obcy przybysz zaś był Rozamundzie konieczny ze względu na towarzyski aspekt jej romansu, gdyż bohaterem tego romansu, jej ukochanym i oblubieńcem, musiał być ktoś spoza Middlemarch, o koneksjach całkiem innych niż jej, ostatnio zaś stało się w gruncie rzeczy konieczne, by był to ktoś mający w rodzinie baroneta. Teraz, kiedy spotkanie z przybyszem już nastąpiło, rzeczywistość okazała się o wiele bardziej podniecająca niż przewidywania i Rozamunda nie miała wątpliwości, że zaczęła się wielka epoka w jej życiu. Własne symptomy przyjęła za objaw rodzącej się miłości, a to, że doktor Lydgate zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, uznała za oczywiste. To się tak często zdarza na balach, więc dlaczego nie mogłoby się zdarzyć w świetle poranka, który uwydatnia tylko doskonałość cery. Rozamunda, choć nie była starsza od Mary, przywykła już do tego, że mężczyźni się w niej kochają, sama jednak pozostawała obojętna i wybrednie krytyczna zarówno wobec młodzików, jak starych kawalerów. I oto nagle zjawia się doktor Lydgate, bliski jej ideałowi, zupełnie obcy w Middlemarch, obdarzony dystynkcją cechującą ludzi dobrze urodzonych i posiadający koneksje otwierające wrota do rajy mieszczanina – do wyższych sfer. Nadto człowiek utalentowany, zdobycie go będzie czystą rozkoszą, jednym słowem, mężczyzna, który wywołał w niej nieznaną dotąd uczucia i obudził autentyczne zainteresowanie, o wiele przyjemniejsze od dotychczasowych rojeń, jakimi zwykła bronić się przed rzeczywistością.

Tak więc w drodze powrotnej każde z rodzeństwa pochłonięte było własnymi myślami i nieskore do rozmowy. Chociaż podstawy fantastycznego gmachu, jaki wznosiła Rozamunda, były jak zawsze słabe i nieokreślone, jednak wyobraźnia jej budowała na tych fundamentach

obrazy niezwykle szczegółowe i realistyczne, toteż nim ujechali miłą, już się czuła swobodnie w nowej towarzyskiej roli osoby zamężnej, zdecydowała się bowiem na dom w Middlemarch i zaczęła planować wizyty, jakie złoży dobrze urodzonym, a mieszkającym daleko krewnym swojego męża, od których będzie nabywać poloru w sposób równie doskonały, jak przejmowała umiejętność „kunsztów” w szkole. W ten sposób zacznie się przygotowywać do jakichś bardziej nieokreślonych godności, jakie ewentualnie mogą ją czekać. W tych jej rojeniach żadnej roli nie odgrywały pieniądze ani też jakiegokolwiek wyrachowanie – lubiła to, co nazywała wykwintem, a nie pieniądze, które go miały opłacać.

Freda zaś nurtował niepokój, którego nawet jego łatwy optymizm nie potrafił szybko zagłuszyć. Nie miał pojęcia, jakby się mógł uchylić od spełnienia głupiego żądania wujaszka, nie ponosząc jeszcze przykrzejszych konsekwencji. Ojciec ostatnio tracił do niego cierpliwość, a straci ją całkowicie, jeśli z winy Freda zalegnie dodatkowy chłód między rodziną Vincy'ch a Bulstrode'ami. Sam zaś Fred myślał ze wstrętem o konieczności pójścia do wuja Bulstrode na rozmowę; może zresztą rzeczywiście plótł był po winie jakieś głupstwa o majątku Featherstone'a, wyolbrzymione potem przez ludzkie gadanie. Miał poczucie, że zrobił z siebie głupca – chełpił się widokami na spadek po takim starym, zdziwaczałym skąpcu jak Featherstone, żeby potem, na jego żądanie, chodzić i prosić o jakieś zaświadczenia! Ale znowu – te nadzieje! Żywił je, naprawdę, a nie istniało żadne przyjemne rozwiązanie, które by mogło zrównoważyć rezygnację z nich. Poza tym zaciągnął był ostatnio pewien dług, który mu bardzo doskwierał, a stary Featherstone właściwie obiecał go spłacić. Cała sprawa była tak żenująco drobna: jego długi to naprawdę drobnostka, a jego nadzieje nie są przecież zbyt wygórowane. Fred miał znajomych, którym wstydziliby się przyznać do tak drobnych kłopotów. Te rozważania wywołały, rzecz jasna, falę goryczy i rozżalenia. Żeby się urodzić synem

fabrykanta z Middlemarch i, w oczywistej konsekwencji, dziedzicem czegoś, co się w ogóle nie liczy, podczas gdy taki Mainwaring i Vyan... doprawdy, życie to kiepski interes, jeśli młody człowiek, pełen fantazji, lubiący wszystko w najlepszym gatunku ma tak nędzne widoki!

Nie przyszło mu do głowy, że wprowadzenie do sprawy osoby Bulstrode'a było pomysłem samego Featherstone'a; nie zmieniłoby to zresztą w niczym istniejącej sytuacji. Widział przecież jasno, że starzec chciał skorzystać ze swojej przewagi, by trochę go podręczyć, a również zapewne i po to, by mieć satysfakcję z pogorszenia stosunków między Fredem i bankierem. Wydawało się Fredowi, że przejrzał do cna duszę wuja Featherstone'a, choć w rzeczywistości połowa tego, co widział, była tylko odbiciem jego własnych chęci. Trudne zadanie poznania duszy drugiego człowieka przekracza możliwości młodych ludzi, których świadomość składa się w głównej mierze z ich własnych pragnień.

Podstawowym pytaniem, wokół którego obracały się rozważania Freda, było, czy powiedzieć ojcu o wszystkim, czy też załatwić sprawę bez jego wiedzy. Pani Waule musiała coś na niego nagadać, a jeśli Mary Garth powtórzyła Rozamundzie jej słowa, to z pewnością dojdą one do uszu ojca, który z kolei zwróci się do niego. Zapytał więc siostrę, gdy konie przeszły w stępa.

– Rozo, czy Mary ci mówiła, że pani Waule coś o mnie gadała?

– Owszem, mówiła.

– Co?

– Że jesteś bardzo niesolidny.

– To wszystko?

– Myślę, że to wystarczy.

– Pewna jesteś, że nie mówiła nic więcej?

– Mary o niczym więcej nie wspominała. Ale naprawdę, Fred, powinieneś się wstydzić.

– Bzdury! Przestań prawić kazania. I co Mary na to?

– Nie muszę ci powtarzać. Tak bardzo cię obchodzi, co Mary mówiła, a wobec mnie jesteś niegrzeczny i nie dajesz mi dojść do słowa.

– Jasne, że mnie obchodzi, co Mary mówiła. To najlepsza dziewczyna, jaką znam.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że to jest dziewczyna, w której się można zakochać.

– A skąd ty możesz wiedzieć, w kim się mężczyźni kochają? Dziewczyny nie mają o tym pojęcia.

– W każdym razie pozwól się przestrzec, żebyś się w niej czasem nie zakochał, bo ona powiada, że gdybyś się jej oświadczył, to by cię nie przyjęła.

– Mogłaby z tym poczekać do tych oświadczeń.

– Wiedziała, że cię to ubodzie.

– A figę. Ona by tego nigdy nie powiedziała, gdyby nie została sprowokowana przez ciebie.

Nim dojechali do domu, Fred podjął decyzję, że powie ojcu o wszystkim w sposób najbardziej zwięzły – może wówczas ojciec weźmie na siebie przykre zadanie przeprowadzenia rozmowy z Bulstrode'em.

KSIĘGA DRUGA
STARZY I MŁODZI

ROZDZIAŁ XIII

Dżentelmen pierwszy: Jak sądzisz człeka? Od innych
on lepszy

Czy właśnie gorszy pod cnoty płaszczykiem?

Łotr to czy święty, pielgrzym czy obłudnik?

Dżentelmen drugi: Nie, ty mi powiedz, jak
klasyfikujesz

Relikty czasu, swoich ksiąg obfitość.

Można wszak zrazu nadać im porządek, Kierując się
rozmiarem i oprawą;

Pergamin, duże tomy, zwykła skóra

Obejmą przecież całą różnorodność,

Z jaką twe chytrze wymyślone fiszki

Nieprzeczytanych sortują autorów.

Pan Vinci, dowiedziawszy się o wszystkim od syna, postanowił odbyć rozmowę z panem Bulstrode w jego prywatnym gabinecie w banku o godzinie wpół do drugiej, kiedy to bankier nie miał na ogół żadnych spotkań. Tym razem jednak przyszedł ktoś o godzinie pierwszej, a pan Bulstrode miał mu tyle do powiedzenia, że mało było prawdopodobne, by wizyta skończyła się w pół godziny. Bankier mówił gładko, ale i dużo, nadto poświęcał sporo czasu na krótkie przerwy medytacyjnej zadumy. Nie należy sądzić, że chorobliwe wrażenie, jakie sprawiał, brało się z woskowej cery i ciemnego zarostu – nie, skórę miał bardzo jasną, rzadkie, przyprószone siwizną kasztanowate włosy, jasnoszare oczy i wysokie czoło. Ludzie o tubalnym głosie nazywali jego przyciszone słowa szeptem i powiadali, że tego nie da się pogodzić ze szczerością; dlaczego jednak

człowiek, mówiący donośnie, nie miałby skrywać wszystkiego oprócz własnego głosu? Trzeba by w takim razie znaleźć w Piśmie Świętym stwierdzenie, iż siedlisko szczerości mieści się w płucach. Pan Bulstrode, słuchając, pochylał się ku rozmówcy w pozycji pełnej szacunku, dzięki czemu każdy, kto miał swoje słowa w cenie, sądził, iż bankier chce z nich jak najwięcej skorzystać. Tym, którzy mieli o sobie skromniejsze mniemanie, nie odpowiadała taka pozycja pod moralną latarnią. Człowiek, który nie jest dumny ze swojej piwniczki, nie czuje dreszczyku satysfakcji, gdy jego gość z miną znawcy unosi kieliszek wina pod światło. Tego rodzaju przyjemności są zastrzeżone dla ludzi znających swoją wartość. Dlatego właśnie skupiona uwaga pana Bulstrode nie była w smak oberżystom i grzesznikom w Middlemarch; jedni dopatrywali się w niej obłudy, inni – przejawów ewangelicyzmu. Dyskutanci mniej wyrafinowani chcieliby wiedzieć, kim był jego ojciec i dziad, jako że od ćwierćwiecza nikt tu nie słyszał o żadnych Bulstrode'ach. Badawczy wzrok bankiera nie przeszkadzał jednak jego obecnemu rozmówcy, doktorowi Lydgate, który doszedł tylko do wniosku, że stan zdrowia pana Bulstrode jest nie najlepszy i że zapewne żyje on bardzo intensywnym życiem wewnętrznym, natomiast niewiele zna ziemskich radości.

– Byłbym niezmiernie zobowiązany, panie doktorze, gdyby zechciał pan do mnie wpadać od czasu do czasu – powiedział bankier po krótkiej przerwie. – Jeśli, jak pozwałam sobie przypuszczać, znajdę w panu cennego współpracownika w interesującej nas kwestii zarządzania szpitalem, będziemy mieli wiele spraw do omówienia na osobności. Jeśli zaś idzie o nowy szpital, będący już na ukończeniu, wezmę pod uwagę to, co mi pan powiedział o korzyściach, jakie mogłyby płynąć z przeznaczenia go specjalnie na choroby zakaźne. Decyzja spoczywać będzie w moich rękach, choć bowiem lord Medlicote podarował teren i budulec, nie jest skłonny czuwać osobiście nad tym przedsięwzięciem.

– Niewiele można by znaleźć godniejszych celów w takim prowincjonalnym mieście jak Middlemarch – powiedział doktor. – Piękny szpital zakaźny w połączeniu ze starą infirmerią mógłby się stać podwaliną tutejszej szkoły medycznej, kiedy się wreszcie weźmiemy do naszej lekarskiej reformy, a czyż można sobie wyobrazić coś, co mogłoby skuteczniej wspomóc edukację lekarzy niż tworzenie takich szkół po całym kraju? Człowiek, urodzony na prowincji i posiadający nieco ducha obywatelskiego i parę pomysłów, powinien robić, co się tylko da, by zahamować ucieczkę do Londynu wszystkiego, co wyrasta nieco ponad przeciętną. Dla ważnych celów zawodowych można często znaleźć na prowincji szersze, jeśli nie bardziej urodzajne pole działania.

Dużym awantażem Lydgate'a był głos, z natury głęboki i donośny, lecz zdolny łagodnie przycichnąć we właściwym momencie. W objęciu doktora wyczuwało się jakiś dynamizm, nieulekłą wiarę w sukces, ufność we własne siły i własną prawość, podbudowane pogardą dla marnych przeszkód czy pokus, jakich sam nie doświadczył. Malująca się na jego twarzy wrodzona dobroć łagodziła jednak tę dumną szczerość. Zapewne spodobał się panu Bulstrode dlatego właśnie, że ich sposób bycia i dążenia były tak różne, a jeszcze bardziej – podobnie jak Rozamundzie – dlatego że nie pochodził z Middlemarch. Tak wiele rzeczy można zacząć z kimś nowym – można nawet zacząć być lepszym człowiekiem.

– Rad będę, mogąc sprawić, że pański zapał zostanie odpowiednio spożytkowany – odpowiedział pan Bulstrode. – Mam na myśli zawierzenie panu nadzoru nad moim nowym szpitalem, jeśli by dojrzała znajomość potwierdziła słuszność podobnego rozwiązania, uważam bowiem, że tak wielki projekt nie może się opierać wyłącznie na naszych dwóch lekarzach. W istocie skłonny jestem sądzić, że pańskie tu przybycie jest widowym znakiem, iż moje starania, które dotychczas napotykały przeszkody, otrzymają teraz jawne błogosławieństwo. Jeśli idzie o starą

infirmierię, odnieśliśmy już wstępne zwycięstwo, mam na myśli pański wybór. Liczę, że nie zniechęci pana odrobina zazdrości i zawiści ze strony pańskich braci w zawodzie.

– Nie będę się chwalił odwagą – odparł Lydgate z uśmiechem – ale przyznam, że walka sprawia mi pewną przyjemność; musiałbym zaś nie dbać o moją profesję, gdybym nie sądził, że podobnie jak w innych zawodach, tak i w medycynie można wiele zmienić na lepsze.

– Zawód ten jest w Middlemarch na bardzo niskim poziomie, drogi panie – oświadczył bankier. – Mam tu na myśli wiedzę i umiejętności, nie status społeczny, gdyż nasi lekarze są na ogół skoligaceni z szacownymi tutejszymi rodzinami. Kruche zdrowie skłoniło mnie do poświęcenia nieco więcej uwagi owym środkom zaradczym, jakie zostały nam, z łaski boskiej, dane na użytek. Zasięgałem rady wybitnych lekarzy w stolicy i uświadomiłem sobie z przykrością, jak wielkie zacofanie cechuje lecznictwo w naszych prowincjonalnych stronach.

– Tak, przy obowiązujących dzisiaj w medycynie zasadach i na obecnym poziomie edukacji człowiek może być rad, jeśli uda mu się spotkać od czasu do czasu lekarza z prawdziwego zdarzenia. Jeśli zaś idzie o problematykę wyższą, która decyduje o podstawie diagnostyki – jeśli idzie o filozofię dowodu medycznego – to najslabsze, najbardziej mgliste o tym pojęcie może dać jedynie kultura naukowa, o której prowincjonalny lekarz ma na ogół nie większe wyobrażenie niż człowiek z księżycą.

Pan Bulstrode, wsłuchując się, pochylony, w te słowa, stwierdził, że forma, w jaką doktor ubrał swoją zgodę ze zdaniem rozmówcy, nie pozwala mu do końca zrozumieć, o co chodzi. W takiej sytuacji człowiek rozsądny zmienia temat i wchodzi na grunt, na którym własne umiejętności mogą się okazać bardziej przydatne.

– Świadom jestem – zaczął – że sztuka medyczna w sposób szczególnie skłania się ku materialnym sposobom działania. Mam jednak nadzieję,

panie doktorze, że nie zaistnieją między nami różnice w kwestii, która nie będzie pana żywo dotyczyć, lecz w której pańskie życzliwe współdziałanie może mi się okazać pomocne. Dostrzega pan, mam nadzieję, problem dobra duchowego swoich pacjentów?

– Oczywiście. Ale te słowa u różnych ludzi mają często różne znaczenie.

– Otóż to. I w tym przedmiocie niewłaściwe nauczanie jest równie szkodliwe jak brak nauczania. A teraz – sprawą, która mi bardzo leży na sercu, jest wprowadzenie nowych przepisów dotyczących opieki duszpasterskiej w starej infirmerii. Budynek znajduje się w parafii pastora Farebrothera. Czy pan zna pastora?

– Widziałem go. Głosował na mnie. Muszę mu złożyć wizytę i podziękować. Sprawia wrażenie miłego, bystrego jegomościa. Rozumiem też, że jest naturalistą.

– Pastor Farebrother, doktorze, to człowiek, o którym doprawdy przykro myśleć. Sądzę, że nie ma w naszym kraju duchownego obdarzonego większymi talentami. – Pan Bulstrode przerwał i popadł w zadumanie.

– Nie spotkała mnie dotąd przykrość zobaczenia nadmiaru talentów w Middlemarch – stwierdził szczerze Lydgate.

– Pragnę – podjął pan Bulstrode z jeszcze większą powagą – zastąpić posługę pastora Farebrothera, powołując kapelana szpitalnego, pastora Tyke, mówiąc konkretnie, i nie chcę, żeby jakiegokolwiek innego duchownego proszono o pomoc.

– Jako lekarz nie mógłbym powziąć zdania w tej sprawie, póki nie poznałbym pastora Tyke i wówczas musiałbym zaznajomić się z przypadkami, w których go zastosowano. – Lydgate roześmiał się, ale postanowił być ostrożny.

– Nie może pan, rzecz jasna, w pełni ocenić jeszcze zalet tego

rozwiązania. Ale – tu nacisk w słowach pana Bulstrode stał się mocniejszy – sprawa ta zostanie zapewne przedstawiona Zarządowi Lekarskiemu Infirmerii, sądzę więc, że mogę pana prosić, z tytułu przyszej współpracy, na jaką liczę, by nie pozwolił pan moim oponentom wpłynąć na swoje zdanie w tej sprawie.

– Mam nadzieję, że nie będę musiał się wtrącać do pastorskich dysput – oświadczył Lydgate. – Pragnę rzetelnie pracować we własnym zawodzie.

– A ja, panie doktorze, poczuwam się do o wiele większej odpowiedzialności. Ta sprawa, w moim przekonaniu, tyczy moich najświętszych obowiązków, podczas gdy dla moich oponentów jest, a mam powody tak sądzić, okazją do zaspokojenia ducha świeckiej opozycji. Ale nie odstąpię ani na jotę od moich przekonań ani nie przestanę się identyfikować z tą prawdą, której nienawidzi plemię zła. Poświęciłem się sprawie naprawy szpitala, jednak wyznam panu śmiało, panie doktorze, że nie interesowałem się w żadnej mierze szpitalami, gdybym wierzył, że chodzi w nich jedynie o leczenie chorób ciała. Inny jest motyw moich działań i nie będę go skrywał, choćbym miał za to doznać prześladowań.

Kiedy pan Bulstrode wymawiał ostatnie słowa, głos jego przeszedł w głośny, podniecony szept.

– Tu się niewątpliwie różnimy – zaczął Lydgate. Nie zmartwił się jednak, gdy otworzyły się drzwi i zaanonsowano pana Vincy. Ten rumiany, towarzyski jegomość wydał się Lydgate’owi, odkąd poznał był Rozamundę, bardziej interesujący. Nie znaczy to, by tak jak ona snuł myśli o wspólnej przyszłości, ale mężczyzna mile wspomina ładną pannę i chętnie da się zaprosić na kolację, na której będzie mógł ją zobaczyć. Nim się pożegnał, pan Vincy zaprosił go na kolację, do czego poprzednio „wcale mu nie było spieszo”, gdy Rozamunda wspomniała podczas śniadania, że jej zdaniem wujaszek Featherstone okazuje nowemu

doktorowi poważne względy.

Pan Bulstrode, zostawszy sam na sam ze szwagrem, nalał sobie szklanek wody i otworzył pudełko, w którym leżała kanapka.

– Nie namówię cię, szwagrze, na mój system odżywiania?

– Nie, nie, nie mam o nim dobrej opinii. W życiu trzeba mieć warstwę ochronną – odparł pan Vincy, niezdolny powstrzymać się od cytowania swojej wygodnej teorii. – Jednakowoż – ciągnął, kładąc nacisk na to słowo, jakby odcinał się teraz od spraw niepoważnych – przyjechałem tu po to, by omówić pewną sprawkę tycząca mojego młodego szalapyty – Freda.

– Jest to przedmiot, co do którego będziemy zapewne mieli poglądy równie odmienne jak w kwestii systemu odżywiania.

– Mam nadzieję, że tym razem nie (pan Vincy postanowił zachować dobroduszną minę). Idzie o fanaberię starego Featherstone’a. Ktoś wymyślił przez zazdrość jakąś historię i opowiedział ją Featherstone’owi, chcąc go zrazić do Freda. On bardzo Freda lubi i pewno okaże mu swoją szczodrość; prawdę mówiąc, niemal powiedział, że zamierza mu zostawić ziemię w spadku, a to budzi zazdrość poniektórych.

– Muszę raz jeszcze powtórzyć, szwagrze, że nigdy nie przyznam ci racji, jeśli idzie o to, jak pokierowałeś swoim najstarszym synem. Tylko świecka próżność kazała ci przeznaczyć go na duchownego; niczym nie można usprawiedliwić tego, żeby mając trzech synów i trzy córki, wydawać pieniądze na kosztowną edukację, która nie przyniosła mu nic poza ekstrawaganckimi nawykami. Zbierasz teraz żniwo.

Pan Bulstrode nigdy nie cofał się przed obowiązkiem wytykania ludziom ich błędów, lecz pan Vincy również nie należał do cierpliwych. Jak człowiek ma oczywiste widoki na fotel burmistrza, a nadto postanowił dla dobra handlu przyjąć zdecydowane stanowisko w sprawach politycznych, to chyba jasne, że musi mieć poczucie wartości swojej

osoby w ogólnym układzie rzeczy, a to z kolei odsuwa niejako na dalszy plan problemy postępowania w sprawach prywatnych. Ten zaś konkretny zarzut zirytował go bardziej niż jakikolwiek inny. Doprawdy, po uszy już miał słuchania, że zbiera żniwo. Czuł jednak na karku jarzmo Bulstrode'a i choć na ogół lubił wierzgnąć, tym razem odmówił sobie podobnej satysfakcji.

– Jeśli o to idzie, szwagrze, nie ma co wracać do przeszłości. Ja się tam nie uważam za jednego z tych, których stawiasz za wzór, i nigdy takiego nie udawałem. Nie mogłem przewidzieć wszystkiego, co się wydarzy w branży, a trudno było o lepszy interes w Middlemarch niż nasz, i chłopak miał głowę na karku. Mój brat nieboszczyk był duchownym i na pewno dobrze by mu się ułożyło w życiu, już szedł w górę, tyle że go zmiotła gorączka żołądkowa. Dzisiaj byłby pewno dziekanem. Myślę, że miałem rację, starając się pokierować Fredem, jak to zrobiłem. Jeśli idzie o religię, to mnie się wydaje, że człowiek nie powinien tak wszystkiego skrupulatnie przeliczać, że powinien trochę zaufać Opatrzności i umieć dawać. Każdy Brytyjczyk cieszy się, gdy mu się uda dźwignąć swoją rodzinę, a moim zdaniem ojciec ma obowiązek stworzyć jak najlepsze możliwości swoim synom.

– Pragnę postępować wyłącznie jako twój najzyczliwszy przyjaciel, szwagrze, i dlatego muszę stwierdzić, że wszystko to, coś przed chwilą powiedział, to świadectwa przywiązania do spraw ziemskich, przemieszane z jakimiś bezrozumnymi fantazjami.

– Świetnie – powiedział pan Vincy, wierzgając mimo poprzednich postanowień. – Nigdy nie twierdziłem, że nie jestem ziemski, a co więcej, nie znam człowieka, który by nie był ziemski. Nie myślę, szwagrze, żebyś prowadził interesy na jakichś nieziemskich zasadach. Jedyna różnica, jaką widzę, to ta, że jedna ziemskość jest trochę bardziej uczciwa niż druga.

– Tego rodzaju dyskusja do niczego nie prowadzi – oświadczył pan

Bulstrode, który skończywszy kanapkę, oparł się głęboko w fotelu i osłonił ręką oczy, jakby był zmęczony. – Miał szwagier do mnie jakąś konkretną sprawę?

– Tak, tak. Krótko mówiąc, ktoś powiedział staremu Featherstone’owi, podając szwagra za źródło, że Fred pożyczał, czy też próbował pożyczyć, pieniądze na poczet swoich widoków na jego ziemię. Oczywiście, nigdy szwagier takich bzdur nie mówił. Ale stary żąda, żeby szwagier zaprzeczył tej plotce na piśmie i żeby Fred mu to przywiózł. Chodzi po prostu o notatkę, że szwagier nie wierzy, aby Fred pożyczał czy próbował pożyczyć pieniądze w taki głupi sposób. Myślę, że szwagier nie ma nic przeciwko temu.

– Wybaczysz szwagier. Mam coś przeciwko temu. Absolutnie nie jestem pewny, czy Fred, powodowany lekkomyślnością oraz ignorancją, żeby nie użyć ostrzejszych słów, nie próbował zdobyć pieniędzy, utrzymując, że ma nadzieje na przyszły spadek, ani też nie mogę wykluczyć, że ktoś był na tyle nierozumny, by mu pożyczyć na podstawie tak iluzorycznych supozycji, równie bowiem dużo dziś na świecie lekkomyślnych pożyczek, jak rozmaitych innych szaleństw.

– Ależ Fred daje mi słowo honoru, że nigdy nie pożyczał pieniędzy pod gwarancję swoich nadziei na wujowską ziemię. A on nie jest łgarz. Nie będę udawał, że jest lepszy, niż jest. Zmyłem mu porządnie głowę. Nikt nie powie, że przymykam oczy na wszystko, co robi. Ale to nie jest łgarz. I sądziłbym, ale może się mylę, że żadna religia nie może zabronić człowiekowi dobrze myśleć o chłopaku, o którym nie wiadomo nic złego. Wydaje mi się, że marna byłaby to religia, która nakazywałaby rzucać mu kłody pod nogi i odmawiać stwierdzenia, że się nie wierzy w coś złego o nim, jeśli nie ma powodu w to wierzyć.

– Nie jestem bynajmniej przekonany, że przysłużyłbym się twemu synowi, ułatwiając mu drogę do przyszłego wejścia w posiadanie

majątności Featherstone'a. Nie uważam bogactwa za błogosławieństwo dla ludzi, którzy robią z niego jedynie ziemski użytek. Szwagier nie lubi słuchać takich słów, ale w tym wypadku uważam za swój obowiązek oświadczyć, że nie widzę żadnych racji, by sprzyjać takiemu sposobowi zadysponowania majątkiem, o jakim szwagier wspomina. Nie lękam się oświadczyć, że nie przyczyniłoby się to do wiekuistego dobra Freda ani do chwały bożej. Czemu więc miałyby szwagier oczekiwać ode mnie oświadczenia, którego jedynym celem byłoby wsparcie czyjejs nierozumnej słabości i zapewnienia nierozumnego zapisu testamentowego?

– Jeśli szwagier chce, żeby nikt nie miał pieniędzy oprócz świętych i apostołów, to musi się szwagier wyrzec kilku rentownych wspólników, i basta – rąbnął pan Vincy prosto z mostu. – Może firma Plymdale'a używa kupowanych w Brassing niebieskich i zielonych barwników dla chwały pana Boga, ale na pewno nie dla chwały kupiectwa w Middlemarch, boć przecie te barwniki przeżerają jedwab na wskroś! Może gdyby ludzie wiedzieli, ile z tego zysku idzie na chwałę bożą, to by im się to bardziej podobało. Ale dla mnie to nie ma znaczenia i gdybym chciał, mógłbym podnieść wokół tej sprawy dużo krzyku.

Pan Bulstrode milczał chwilę, nim odpowiedział.

– Sprawiasz mi, szwagrze, wielką przykrość, wypowiadając się w ten sposób. Nie spodziewam się, byś rozumiał, na czym opieram moje działania. Nielatwa to rzecz wydeptać choćby wąską ścieżkę zasad pośród zawiłości tego świata, a jeszcze trudniejsza ukazać ją oczom obojętnych i szydrców. Powinieneś jednak pamiętać, jeśli łaska, że okazuję ci wyrozumiałość jako bratu mojej żony i że nie przystoi ci wyrzekać na mnie jako na tego, który odmawia materialnej pomocy wówczas, kiedy idzie o zachowanie ziemskiej pozycji twojej rodziny. Muszę przypomnieć, szwagrze, że to nie twoja roztropność czy rozsądek pozwoliły ci utrzymać

pozycję w handlu.

– Bardzo możliwe, ale jeszcze szwagier na tym moim handlu nie stracił – odciął się pan Vincy, bardzo już poirytowany (uprzednie dobre postanowienia rzadko opóźniały ostateczny wybuch). – Nie rozumiem, jak szwagier mógł się spodziewać, żeniąc się z Harriet, że nasze rodziny nie będą jechały na tym samym wózku. Jeśli szwagier zmienił zdanie i chce, żeby moja rodzina zeszła na psy, proszę to jasno powiedzieć. Ja jestem dzisiaj takim samym zwyczajnym członkiem Kościoła jak wtedy, kiedy jeszcze nie było tego całego gadania o doktrynach. Biorę świat tak, jak go widzę w moim zawodzie i we wszystkim innym. Wystarczy mi, że nie jestem gorszy od moich bliźnich. Ale jeśli szwagier chce, żeby nasza rodzina podupadła, to niech szwagier mówi jasno. Wtedy będę lepiej wiedział, co mam robić.

– To są nierozumne słowa. Czy wasza rodzina zejdzie na psy, jeśli nie napiszę tego listu w sprawie Freda?

– Zejdzie, nie zejdzie, uważam odmowę w tej sprawie za rzecz paskudną. Można ją ubierać w religijny płaszczyk, ale i tak będzie szpetnie wyglądać. Ot, pies, co sam nie zje i drugiemu nie da. Równie dobrze może szwagier rzucić na Freda potwarz; prawie na to samo wychodzi, jeśli szwagier nie chce przyznać, że tej potwarzy nie rzucił. To właśnie przez to, przez taką zawziętość, żeby w każdej sprawie odgrywać i biskupa, i bankiera, to właśnie przez to czyjeś nazwisko zaczyna ludziom śmierdzieć.

– Jeśli koniecznie chcesz, szwagrze, kłócić się ze mną, zrobisz ogromną przykrość zarówno Harriet, jak i mnie – powiedział pan Bulstrode odrobinę bardziej ożywiony i bladejszy niż zwykle.

– Nie chcę się kłócić. W moim interesie, i chyba w interesie szwagra, jest, żebyśmy byli przyjaciółmi. Ja tam nie żywię urazy do szwagra, nie myślę o szwagrze gorzej niż o innych. Człowiek, który się niemal

na śmierć głodzi, który bez przerwy odmawia w domu pacierze, musi wierzyć w swoją religię, jaka by tam ona była; mógłby szwagier równie dobrze obracać swoim kapitałem wśród przekleństw i wymysłów, tak jak to robi wielu ludzi. Lubi szwagier być panem, nie da się temu zaprzeczyć; w niebie też pewno chciałby siedzieć w pierwszym rzędzie, inaczej nie byłoby mu w smak. Ale jest szwagier mężem mojej siostry i powinniśmy trzymać się razem; a jak znam Harriet, ona uzna, że to szwagier jest winien tej kłótni, bo robi z igły widły i odmawia Fredowi przysługi. I nie mam zamiaru obiecywać, że będę z tym cicho siedział. Uważam, że szwagier postępuje bardzo nieładnie.

Pan Vincy wstał i zaczął zapinać płaszcz, spoglądając na szwagra twardym wzrokiem, w którym kryło się żądanie jednoznacznej odpowiedzi.

Nie pierwszy to raz pan Bulstrode zaczynał od napominania szwagra, a kończył, oglądając swoje wysoce niezadowolające odbicie w pospolitym, niepochlebnym zwierciadle, jakim dla ludzi subtelniej rozróżniających blaski i cienie był umysł fabrykanta; może minione doświadczenia winny go były przestrzec, czym się ta scena skończy. Ale obfita fontanna wyrzuca strugi wody również i w deszcz, kiedy to jest zbędne, a nawet przynosi szkody. Bogate źródło napomnień jest na ogół tak samo niepoohamowane.

Nie było zwyczajem pana Bulstrode ustępować natychmiast wskutek namów, które mu były nie w smak. Przed zmianą zdania potrzebował czasu, aby ustalić swoje pobudki i dostosować je do wyznawanych kryteriów. Odezwał się wreszcie:

– Pomyślę, szwagrze. Wspomnę o całej sprawie Harriet. Jest wysoce prawdopodobne, że przyślę ci list.

– Doskonale. Jeśli można, jak najszybciej. Mam nadzieję, że wszystko zostanie załatwione przed naszym jutrzejszym spotkaniem.

ROZDZIAŁ XIV

Poniżej znajdziesz przepis ścisły
Na sos, co słabe wabi zmysły,
Próżniactwem zwany – chociaż skisły,
Urzeka liczne on umysły.
Jak pies na smaczne poluj kęsy,
Dolej pochlebstwa olej gęsty,
Wobec słabszego bądź złośliwy,
Pieprzem przechwałek syp kłamliwych,
Podawaj ciepły, wonny, gładki
W naczyniu zdobnym w cudze szatki.

Narada pana Bulstrode z żoną przyniosła rezultat, jakiego życzył sobie pan Vincy, gdyż rankiem następnego dnia dostał w on list, który Fred mógł zanieść panu Featherstone'owi jako i żądane świadectwo. Starzec, ze względu na panujący chłód, leżał w łóżku, toteż Fred, nie znalazłszy Mary w bawialni, poszedł prosto na górę i wręczył list wujowi, który wsparty wygodnie na zagłówku, gotów był tak jak zawsze cieszyć się świadomością, że jako człowiek mądry, nie ufa ludziom i krzyżuje ich plany. Nałożył okulary, by przeczytać list, i wydał wargi, obciągając w dół kąciki ust.

– *W tych okolicznościach nie mogę się uchylić od wyrażenia mego przekonania* – proszę, proszę, jakich pięknych słów używa ten jegomość! Całkiem jak licytator – *że twój syn, Fryderyk, nie otrzymał żadnych pieniędzy na poczet zapisu obiecanego przez pana Featherstone'a. Obiecanego?! Kto mówi, że ja cokolwiek obiecywałem? Ja nic nie obiecuję, będę spisywał kodycyle do końca moich dni. Zważywszy zaś*

na naturę podobnego czynu, byłoby rzeczą nierozumną przypuszczać, że mógłby go dokonać młody człowiek obdarzony rozsądkiem i charakterem. Ach, ale zauważ, ten pan nie powiada, że to ty jesteś tym młodym człowiekiem obdarzonym rozsądkiem i charakterem; co się zaś tyczy mojej osoby w związku z pogłoskami tego rodzaju, oświadczam stanowczo, że nigdy nie twierdziłem, iż twój syn pożyczał pieniądze pod zastaw jakichkolwiek majątności, jakie mogą mu przyspaść w udziale po śmiertelnym zejściu pana Featherstone. Śmiertelnym zejściu, a niech mnie: majątności, śmiertelne zejście, mecenas Standish to przy nim fraszka. Nie mógłby piękniej mówić, gdyby chciał pożyczyć pieniądze. No, dobrze. – Tu pan Featherstone spojrzął znad okularów na Freda, oddając mu list wzgardliwym ruchem dłoni. – Nie myślisz chyba, że ja w coś uwierzę dlatego, że Bulstrode tak pięknie o tym napisał, co?

Fred poczerwieniał.

– Wuj chciał mieć ten list. Moim zdaniem zaprzeczenie pana Bulstrode’a jest tyle samo warte, co źródło podające wiadomość, której on zaprzecza.

– Święte słowa. Nigdy nie mówiłem, że wierzę jednemu czy drugiemu. A teraz czego się spodziewasz? – spytał szorstko, zostawiając okulary na nosie, ale dłonie chowając pod koc.

– Niczego się nie spodziewam, wuju. – Fred z trudem powstrzymywał wybuch irytacji. – Przyjechałem przekazać list. Jeśli wuj chce, to mogę wuja pożegnać.

– Nie tak szybko, nie tak szybko. Chcę, żeby panna tu przyszła.

Na dźwięk dzwonka pojawiła się służąca.

– Powiedz pannie, żeby przyszła – rozkazał niecierpliwie starzec. – Po co ona wychodziła? – zrzędził wciąż, gdy ukazała się Mary.

– Dlaczego tu panna nie siedzi, póki nie powiem, żeby poszła? Gdzie mój kaftan? Mówiłem, żeby go zawsze kłaść na łóżku.

Mary miała zaczerwienione oczy, jakby płakała. Było oczywiste, że tego przedpołudnia pan Featherstone jest w szczególnie zgryźliwym nastroju i chociaż Fred mógł teraz liczyć na upragniony prezent w formie gotówki, wolałby mieć swobodę przygadania staremu despicie, że nie zasługuje na to, by mieć Mary Garth na swoje skinienie. Wstał, gdy Mary weszła, lecz ona ledwo zauważyła jego obecność, napięta, jakby się spodziewała, że ktoś w nią czymś rzuci. Dotąd jednak mogła lękać się tylko słów. Kiedy podeszła, by zdjąć kaftan z kołka, Fred zbliżył się do niej, mówiąc:

– Pozwól, proszę...

– Zostaw to! Panna ma przynieść kaftan i położyć tutaj! – rozkazał Featherstone. – A teraz niech panna idzie i czeka, aż ją zawołam – dodał, gdy kaftan leżał już na łóżku. Okazując komuś względy, miał zwyczaj robić sobie dodatkową przyjemność, dając się boleśnie we znaki komuś innemu, a ponieważ Mary była zawsze pod ręką, mógł swoim upodobaniom folgować. Podczas wizyt członków swojej rodziny traktował Mary lepiej. Teraz wyciągnął powoli pęk kluczy z kieszeni kaftana i równie powoli wyjął trzymane pod pościelą cynowe pudło.

– Spodziewasz się ode mnie jakiejś fortunki, co? – Tu spojrzął na Freda sponad okularów, ociągając się z otwarciem szkatułki.

– Nic podobnego, wuju. Był wuj przed kilku dniami tak dobry i wspominał o prezencie, inaczej, rzecz jasna, nie przyszedłoby mi to do głowy.

Fred jednak był optymistą z natury, a przed oczyma rysowała mu się wizja sumy na tyle dużej, by go uwolnić od pewnego kłopotu. Kiedy Fred zaciągał dług, zawsze wydawało mu się wysoce prawdopodobne, że pojawi się coś czy ktoś – nie było całkiem jasne kto – i umożliwi mu spłatę w terminie. A że teraz właśnie szykowało się takie opatrnościowe zdarzenie, byłoby czystym nonsensem sądzić, że podaż okaże się mniejsza

od popytu; takim samym nonsensem jak wiara w cuda niepełne, zbyt wątpliwa, by ufać w cuda całkowite.

Palce żyłastych dłoni przebierały banknoty jeden po drugim i odkładały z powrotem na płasko, a Fred odchylił się na krześle, gardząc okazywaniem chciwości. Uważał się w głębi serca za dżentelmena i nie miał zamiaru schlebiać staremu za pieniądze. Wreszcie pan Featherstone podniósł nań z powrotem wzrok znad okularów i wręczył mu cienki plik banknotów; Fred widział wyraźnie, że jest ich tylko pięć, ponieważ rozchylały się ku niemu mniej znaczącym brzegiem. Ale przecież każdy mógł mieć wartość pięćdziesięciu funtów. Wziął je, mówiąc:

– Bardzo jestem wujowi zobowiązany – i już miał zamiar zwinąć je i schować, jakby nie był ciekaw, jaka to jest suma. To jednak nie było w smak panu Featherstone, który przyglądał mu się bacznie.

– Czy nie uważasz, że warto byłoby je policzyć? Przyjmujesz pieniądze jak lord i pewno puszczasz jak lord.

– Myślałem, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Ale będę szczęśliwy, mogąc je przeliczyć.

Fred nie był jednak szczęśliwy, kiedy je przeliczył. Oto bowiem objawił mu się czysty nonsensem w postaci sumy mniejszej, niż to przewidywał w swoim optymizmie. Jakże coś może być stosowne, jeśli nie jest stosowne do jego oczekiwań? Po takim zawodzie czyha na człowieka tylko frustracja i ateizm. Wielki był zawód Freda, kiedy stwierdził, że trzyma w ręku zaledwie pięć dwudziestek, a fakt, że był kształcony na uniwersytecie, w niczym mu nie pomógł. Powiedział jednak, mieniąc się gwałtownie na twarzy:

– To bardzo hojny prezent, wuju.

– Pewno, że hojny – przytaknęła pan Featherstone, zamykając i chowając szkatułkę, po czym zdjął powoli okulary i dodał, jakby dłuższy namysł jeszcze go w tym utwierdził:

– Pewno, że hojny.

– Zapewniam wuja, że jestem ogromnie wdzięczny – dodał Fred, który zdążył już odzyskać zwykłą pogodę ducha.

– Powinieneś być wdzięczny. Chcesz uchodzić za światowego młodzieńca, a tak mi się zdaje, że Piotr Featherstone to jedyny człowiek, na którego możesz liczyć. – Tu oczy starego zamigotały dziwnie, jakby się podwójnie cieszył – zarówno z tego, że ten elegancki młody człowiek na niego liczy, jak i z tego, że ten elegancki młody człowiek jest na tyle głupi, by na niego liczyć.

– Tak, to prawda. Nie urodziłem się z wielkimi widokami na przyszłość. Niewielu ludzi musiało się jak ja ograniczać. – Fred był wręcz zaskoczony własną szlachetnością, zważywszy, jak ciężko dotknął go los. – Doprawdy, wydaje się, że tego za wiele, kiedy człowiek musi jeździć na dychawicznej szkapie i widzi ludzi, którzy nie wiedzą o koniach ani połowy tego co on sam, a mogą wydać każdą sumę na byle chabetę.

– No cóż, teraz możesz sobie kupić dobrego wierzchowca. Osiemdziesiąt funtów będzie aż nadto i zostanie ci jeszcze dwadzieścia, żeby się wydobyć z drobnych tarapatów. – Tu pan Featherstone zachichotał cicho.

– Wuj jest bardzo dobry – powiedział Fred, doskonale zdając sobie sprawę z kontrastu między tym, co mówi, i tym, co czuje.

– Pewno lepszy niż ten twój wspaniały wujaszek Bulstrode. Niewiele ci przyjdzie z jego spekulacji. Słyszę teraz, że trzyma twojego ojca mocno w garści.

– Ojciec nigdy nie mówi ze mną o swoich interesach.

– To nawet świadczy o jego rozsądku. Ale ludzie wiedzą i bez tego, żeby im mówił. On sam nigdy nie będzie mógł wiele ci zostawić. Najpewniej umrze bez testamentu, na takiego wygląda, niech go tam robią burmistrzem Middlemarch, jak chcą. Niewiele ci przyjdzie z tego,

że umrze bez testamentu, chociaż jesteś pierworodny.

Fred pomyślał, że pan Featherstone nigdy jeszcze nie był tak niesympatyczny. Co prawda, nigdy jeszcze nie dał mu za jednym razem tyle pieniędzy.

– Czy mam zniszczyć list wuja Bulstrode? – spytał, unosząc się z krzesła, jakby chciał wrzucić list do ognia.

– Tak, tak, ja go nie potrzebuję. Nie wart dla mnie ani pensa.

Fred wrzucił list do kominka i z ogromną satysfakcją przebił papier poprzeczkiem. Marzył, żeby wyjść z tego pokoju, ale trochę było mu wstyd przed samym sobą, a trochę przed wujem – żeby tak zaraz zmykać, kiedy się schowało pieniądze do kieszeni. Po chwili przyszedł rządcą ze sprawozdaniem i Fred, ku nieopisanej uldze, został wyproszony z pokoju, otrzymawszy polecenie, by niebawem znów przyjechał.

Marzył nie tylko o tym, by się uwolnić od wuja, ale aby znaleźć Mary Garth. Siedziała tam gdzie zwykle, przy kominku, z jakimś szyciem w rękę i książką otwartą obok, na stoliczku. Zaczerwienienie zeszło już z jej powiek, była teraz jak zwykle opanowana.

– Potrzebna jestem na górze? – podniosła się na widok Freda.

– Nie. Ja zostałem wyproszony, ponieważ przyszedł Simmons.

Mary usiadła i podjęła robótkę. Wyraźnie traktowała go z większą niż zwykle obojętnością; nie wiedziała, jak silnie się obruszył z jej powodu tam, na górze.

– Czy mogę zostać chwileczkę, Mary, czy też będę cię nudził?

– Usiądź, proszę. Nie znudzisz mnie aż tak, jak pan John Waule, który był tu wczoraj i usiadł, nie pytając o pozwolenie.

– Biedaczysko! Pewno się w tobie kocha.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Moim zdaniem, to naprawdę straszne dla dziewczyny, że wszyscy się zaraz dopatrują miłości pomiędzy nią a każdym mężczyzną, który jej okazuje życzliwość, a któremu ona

okazuje wdzięczność. Myślałabym, że mnie przynajmniej coś podobnego nie powinno grozić. Nie mam podstaw do głupiego zarozumiałstwa i wyobrażania sobie, że każdy, kto się do mnie zbliży, musi się we mnie zakochać.

Nie chciała zdradzić się ze swoim przejęciem, zakończyła jednak głosem drżącym z rozdrażnienia.

– A niech dunder świeśnie Johna Waule. Nie chciałem ci sprawić przykrości, Mary. Nie wiedziałem, że jesteś mu za coś wdzięczna. Zapomniałem, że jeśli ktoś zdmuchnie za ciebie świecę, ty to uważasz od razu za wielką przysługę. – Fred również miał swoją dumę i nie miał zamiaru okazywać, że wie, co było powodem wybuchu Mary.

– Ja się nie gniewam, irytują mnie tylko takie obyczaje. Lubię, żeby ze mną rozmawiano jak z osobą rozsądną. Doprawdy, czasem mi się zdaje, że mogłabym zrozumieć nawet nieco więcej niż to, co słyszę od młodych ludzi, którzy studiowali na uniwersytecie. – Mary już się opanowała i mówiła miłym dla ucha tonem, w którym perlił się stłumiony śmiech.

– Możesz się dzisiaj śmiać ze mnie, ile tylko zechcesz – oświadczył Fred. – Taka mi się wydałaś smutna, kiedy przyszłaś na górę. To wstyd, żebyś musiała tu być i żeby cię tak okropnie traktowano.

– Och, ja mam łatwe życie w porównaniu z innymi. Próbowałam być nauczycielką, ale się do tego nie nadaję: moje myśli nazbyt lubią chodzić własnymi drogami. Uważam, że lepsza jest każda ciężka praca niż udawanie, że robię coś, za co mi płacą, choć w gruncie rzeczy tego nie robię. Tutaj mogę wykonywać swoje obowiązki jak każda inna, może nawet lepiej niż niektóre inne, na przykład Roza. Chociaż ona jest jak piękność z bajki uwięziona przez olbrzymów.

– Roza! – zakrzyknął Fred ze szczerym braterskim sceptycyzmem.

– Fred – powiedziała Mary z naciskiem. – Ty nie masz prawa być tak krytyczny.

– Masz w tej chwili coś konkretnego na myśli?

– Nie, mam jak zwykle coś ogólnego na myśli.

– Och, że jestem próżniak i utracjusz. No, dobrze. Ja się nie nadaję na biedaka. Nie byłby ze mnie zły człowiek, gdybym był bogaty.

– Czyli że robiłbyś, co trzeba, gdybyś należał do sfery, do jakiej nie spodobało się Panu Bogu cię powołać – roześmiała się Mary.

– Nie mógłbym wypełniać swoich obowiązków jako duchowny, tak samo jak ty nie mogłaś jako guwernantka. Trzeba mieć trochę zrozumienia dla innych, Mary.

– Nigdy nie mówiłam, że powinieneś zostać duchownym. Są inne zajęcia. Człowiek, który nie wybiera sobie jakiejś drogi i nie zaczyna nią iść, wydaje mi się żałosny.

– Może bym mógł tak zrobić, gdyby... – Fred przerwał, i podniósłszy się, wsparł o parapet kominka.

– Gdybyś miał pewność, że nie dostaniesz majątku?

– Tego nie powiedziałem. Chcesz się ze mną kłócić. To przykre, że mnie sądzisz wedle tego, co inni o mnie mówią.

– Po cóż ja bym miała kłócić się z tobą? Kłóciłabym się z wszystkimi moimi nowymi książkami. – Mary podniosła leżący na stoliku tomik. – Bez względu na to, jak nieznośny jesteś dla innych, dla mnie jesteś dobry.

– Jestem dobry, ponieważ wolę cię od wszystkich innych. Ale wiem, że ty mną gardzisz.

– Tak, troszeczkę – przyznała z uśmiechem.

– Byłabyś zachwycona jakimś niezwykłym mężczyzną, który umiałby mądrze mówić na każdy temat.

– Tak, byłabym zachwycona.

Mary poruszała szybko igłą; w prowokacyjny sposób stawała się panią sytuacji. Kiedy rozmowa przybiera dla nas zły obrót, brniemy coraz głębiej w grzęzawisko zakłopotania. Tak właśnie czuł się teraz Fred Vincy.

– Wydaje mi się, że kobieta nigdy nie może pokochać kogoś, kogo zna od dziecka, od maleńkości, a z kolei mężczyznom zdarza się to bardzo często. Na dziewczynie zawsze robi wrażenie ktoś nowy.

– Pomyślmy. – Kąciki ust Mary wygięły się łobuzersko. – Muszę sięgnąć do swoich doświadczeń. Weźmy Julię. To chyba potwierdzenie tego, co powiedziałaś. Ale znowu Ofelia знаła pewno Hamleta od dawna, a znowu Brenda Troił znała Mordaunta Mertona od dzieciństwa, no, ale on był godnym szacunku młodzieńcem, z kolei Minna ogromnie kochała się w Clevelandzie, który był obcy. Waverley był obcym dla Flory MacIvor, ale ona się w nim przecież nie zakochała. Jest jeszcze Olivia i Zofia Primrose^[27] i Korynna^[28]. Tak, o nich można powiedzieć, że się zakochały w obcych. Wszystko razem wzięwszy – moje doświadczenia są różne.

Mary podniosła łobuzersko wzrok na Freda; drogie mu było to spojrzenie, choć jej oczy przypominały tylko dwa czyste okna, w których usadowiła się roześmiana spostrzegawczość. Fred był niewątpliwie uczuciowym chłopcem, a wyrastając na mężczyznę, rósł razem ze swoją miłością do dawnej towarzyszkii zabaw, mimo że należał do warstwy ludzi z wyższym wykształceniem, co nakazywało mu wysoko cenić pozycję i majątek.

– Kiedy człowiek nie jest kochany, nic mu nie przyjdzie z tego, jak słyszy, że mógłby być lepszy, że mógłby coś zrobić... to znaczy, gdyby wiedział, że w zamian będzie kochany...

– Na pewno nic mu nie przyjdzie z mówienia, że mógłby być lepszy! Mógłby, potrafiłby, zrobiłby. Ten tryb warunkowy jest godny wzgardy.

– Nie rozumiem, dlaczego mężczyzna miałby być dobry, jeśli by bardzo nie kochała jakaś kobieta.

[27] Olivia i Zofia Primrose – postacie z *Plebana z Wakefieldu* Olivera Goldsmitha.

[28] Korynna – bohaterka powieści *Madame de Staël*.

– Myślę, że powinien być dobry, zanim zaczniesz oczekiwać czyjegóż uczucia.

– Ty wiesz, jak jest naprawdę, Mary. Kobiety nie kochają mężczyzn za ich dobroć.

– Być może. Ale jeśli już kochają, to nie mogą ich uważać za złych.

– Chyba nie byłoby sprawiedliwe nazwać mnie złym człowiekiem.

– Ja w ogóle nie mówiłam o tobie.

– Nigdy nie będę się do niczego nadawał, jeśli mi nie powiesz, że mnie kochasz, jeśli nie obiecasz, że za mnie wyjdiesz, to znaczy wtedy, kiedy będę się mógł ożenić.

– Nawet gdybym cię kochała, nie wyszłabym za ciebie i z pewnością nie obiecywałabym, że kiedykolwiek za ciebie wyjdę.

– Mary, to naprawdę niegodziwe! Jeśli mnie kochasz, powinnaś obiecać, że za mnie wyjdiesz.

– Wprost przeciwnie, myślę, że byłoby naprawdę niegodziwe, gdybym za ciebie wyszła, nawet gdybym cię kochała.

– To znaczy za takiego, jaki dzisiaj jestem, bez środków na utrzymanie żony. Ale ja mam dopiero dwadzieścia trzy lata.

– Pod tym ostatnim względem na pewno się zmienisz. Pod innymi – nie jestem pewna. Tatuś powiada, że wątkonie nie powinni istnieć na tym świecie, a tym bardziej się żenić.

– Więc mam sobie strzelić w łeb?

– Nie. Wszystko razem wzięwszy, sądzę, że najlepiej zrobisz, zdając ten egzamin. Słyszałam, jak pastor Farebrother powiadał, że jest łatwy aż wstyd.

– Bardzo pięknie. Dla niego wszystko jest łatwe. Nie chcę powiedzieć, że inteligencja ma z tym egzaminem cokolwiek wspólnego. Jestem dziesięć razy inteligentniejszy od wielu ludzi, którzy go zdali.

– Nie do wiary! – zakrzyknęła Mary, nie mogąc ukryć sarkazmu. –

To tłumaczy istnienie takich wikarych jak pastor Crowse. Podziel swoją inteligencję przez dziesięć, a iloraz, no proszę, iloraz zdolny jest zdać końcowy egzamin na uniwersytecie. Ale to tylko świadczy, że jesteś dziesięć razy leniwszy od innych.

– No, dobrze, ale gdybym zdał, czy chciałabyś, żebym został pastorem?

– Sprawa nie w tym, co ja bym chciała, jeśli o ciebie chodzi. Masz, jak sądzę, własne sumienie. O, przyjechał doktor Lydgate, muszę iść na górę i powiedzieć wujowi.

– Mary! – Fred złapał ją za rękę, gdy wstawała. – Jeśli nie dasz mi choć odrobiny nadziei, stanę się gorszy, a nie lepszy.

– Nie dam ci nadziei. – Mary poczerwieniała. – Nie spodobałoby się to twojej rodzinie ani mojej. Tatuś uważałby za hańbę, gdybym przyjęła człowieka, który zaciąga długi i nie chce pracować.

Fred, dotknięty do żywego, puścił jej rękę. Podeszła do drzwi, ale obróciła się w progu.

– Fred, zawsze byłeś dla mnie taki dobry, taki uczynny. Nie jestem niewdzięczna. Ale nigdy więcej nie odzywaj się do mnie w ten sposób.

– Dobrze – zgodził się posępnie Fred, biorąc kapelusz i pejcz. Na twarzy wystąpiły mu plamy różowe i śmiertelnie blade. Jak wielu młodych leni, którzy oblali końcowy egzamin, był zakochany po uszy, i to w brzydkiej pannie bez posagu.

Mając jednak w perspektywie farmę wuja Featherstone i przekonanie, że niech Mary mówi, co chce, i tak go w gruncie rzeczy kocha – nie poddawał się krańcowej rozpacz.

Po powrocie do domu oddał cztery dwudziestki matce, prosząc, by je dla niego schowała.

– Nie chcę wydawać tych pieniędzy, mam. Chcę nimi spłacić dług. Więc je chowaj przede mną.

– Niech cię Bóg błogosławi, synku. – Pani Vincy uwielbiała

swojego najstarszego syna i najmłodszą, sześćioletnią córeczkę, dwójkę, którą ludzie uważali za jej najnieznośniejsze dzieci. Lecz oczy matki, faworyzującej jedno ze swoich pociech, nie zawsze są zaślepione: w każdym razie matka może trafnie osądzić, kto jest czułym i oddanym synem. A Fred z pewnością bardzo kochał matkę. Może też jego uczucie do innej osoby sprawiło, że szczególnie mocno pragnął się zabezpieczyć przed swoją skłonnością do wydania tych stu funtów. Wierzyciel bowiem, któremu był winien sto sześćdziesiąt funtów, miał jeszcze silniejszą gwarancję w postaci poręczenia podpisanego przez ojca Mary.

ROZDZIAŁ XV

– Rzuciłeś, powiadasz, niebieskie oczęta,
Do czarnych ci zmysły nie płoną,
Lecz dzisiaj, jak nigdy, odkąd cię pamiętam,
W zadumę popadłeś natchnioną.

– Och, dzisiaj znów tropię z pięknych najpiękniejsze,
Ku nowym rozkoszom wędruje,
Tu ślad lekkiej stopy, tam echo dawniejsze
Skarb bliski mym oczom zwiastuje.

Popatrzcie! Ku światu twarz ludzką obraca
Młodości niezmiennej figura,
Jak gwiazda, co niebo od wieków wyłącza,
O wielu obliczach – Natura!

Wielki historyk – jak sam się kazał nazywać – który miał szczęście umrzeć sto dwadzieścia lat temu i w ten sposób zająć miejsce wśród Kolosów, między których olbrzymimi nogami mrowimy się my – żywa małość^[29] – otóż ten wielki historyk szczyti się przede wszystkim pomieszczonymi w jego dziele niezliczonymi dygresjami i uwagami, mając je za najoryginalniejsze tego dzieła części, zwłaszcza w początkowych rozdziałach kolejnych ksiąg, kiedy to niejako wystawia fotel na proscenium i z wielką swadą prowadzi z nami rozmowę w pięknej angielszczyźnie. Fielding jednak żył w czasach, kiedy dni były dłuższe

[29] Nawiązanie do *Juliusza Cezara* Szekspira (akt I, sc. II).

(czas bowiem, podobnie jak pieniądze, liczymy według naszych potrzeb), letnie popołudnia – pojemniejsze, a zegar tykał powoli w zimowe wieczory. Nam, późniejszym historykom, nie wolno tak się ociążać; a gdybyśmy nawet spróbowali, nasza gawęda byłaby śpieszna i bełkotliwa, jakby ktoś gadał, siedząc na składanym stołku w ptaszarni z papugami. Ja w każdym razie mam dostatecznie dużo roboty z rozsypywaniem nici pewnych ludzkich losów i śledzeniem, jak się ze sobą splatają i przeplatają, dlatego też całe światło, jakie mam do dyspozycji, musi być skoncentrowane na tym jednym wątku i nie może się rozpraszać po jakże interesującym terenie wzajemnych odniesień, nazywanym wszechświatem.

Przede wszystkim muszę osobom, które się interesują nowo przybyłym doktorem Lydgate, powiedzieć o nim nieco więcej, niż to wiadome nawet tym mieszkańcom Middlemarch, którzy go najczęściej od przyjazdu widywali. Każdy bowiem przyzna, że można kogoś przechwalić i wyidealizować, uczynić godnym zazdrości, wyśmiać, uznać za czyjeś narzędzie, można się w nim zakochać, a przynajmniej wybrać na przyszłego męża – i w gruncie rzeczy nie znać go wcale, chyba że jako zbiór znaków, z których ludzie mogą wyciągać fałszywe wnioski. W Middlemarch powszechnie uważano, że Lydgate nie jest zwyczajnym prowincjonalnym lekarzem, a takie mniemanie w owych czasach oznaczało, że oczekuje się od niego wielkich rzeczy. W każdym domu bowiem lekarz rodzinny uważany był za człowieka szczególnie mądrego, który posiada w nieograniczonym stopniu zdolność ujarzmiania i podporządkowania sobie najbardziej narowistych i złośliwych chorób. Dowód jego mądrości pochodził z wyższych rejonów intuicji: z niewzruszonych przekonań jego pacjentek, a podważyć go mogły jedynie równie silne intuicyjne przekonania przeciwne. Każda dama, dla której ostateczną wyrocznią lekarską był doktor Wrench i jego „system wzmacniający”, uważała doktora Trollera i jego „system redukujący”

za katastrofę w medycynie. Nie odeszły bowiem jeszcze w przeszłość heroiczne czasy obfitego upuszczania krwi i stosowania wezykatorii ani tym bardziej niezwykle śmiałej teorii, która nakazywała chorobę jako taką określać jakimś przewiskiem i bez najmniejszych ceregieli, stosownie do tego przewiska leczyć – jeśli na przykład nazwana została insurekcją, to przecież nie walczy się z insurekcją ślepymi nabojami, ale trzeba jej natychmiast upuścić krwi. Zarówno ten, co stosował system „wzmacniający”, jak i ten, który był za systemem „redukującym” – każdy z osobna – uchodził za szczególnie mądrego w czyjejś opinii, a doprawdy trudno więcej powiedzieć o talentach żyjącego człowieka. Nikogo wyobraźnia nie ponosiła tak daleko, by przypuścić, że Lydgate wie aż tyle, co doktor Sprague czy doktor Minchin, jedyni lekarze zdolni dać odrobinę nadziei w obliczu najwyższego niebezpieczeństwa, kiedy to najniklejszy przebłysk tej nadziei wart był gwineę. Mimo to, powtarzam, w powszechnym mniemaniu doktor Lydgate był kimś bardziej niezwykłym niż jakikolwiek inny lekarz ogólny praktykujący w Middlemarch. I tak było naprawdę. Miał zaledwie dwadzieścia siedem lat, wiek, w którym niejeden mężczyzna nie jest całkiem zwyczajny, w którym wierzy w swoje przysze osiągnięcia, wie, czego będzie unikał, ufa, że Mamon nigdy go nie okiełzna i nie skoczy mu na grzbiet, wręcz przeciwnie, że Mamon – jeśli będzie miał z nim cokolwiek wspólnego – pociągnie jego rydwan.

Został sierotą wkrótce po ukończeniu prywatnej szkoły. Ojciec, który służył w armii, zostawił trójce swoich dzieci skromne zabezpieczenie, toteż kiedy młody Tertius oświadczył, że chce otrzymać wykształcenie medyczne, opiekunom łatwiej było przystać na jego prośbę i pozwolić na terminowanie u prowincjonalnego lekarza niż stawiać obiekcje motywowane rodzinną dumą. Należał do tych rzadko spotykanych chłopców, w których wcześniej budzi się określone zainteresowanie i którzy odkrywają, że jest w życiu coś szczególnego, co chcieliby robić

ze względu na rzecz samą w sobie, a nie dlatego, że robili to ich ojcowie. Niemal każdy z nas wspominając to, czemu oddał serce, przypomina sobie jakąś ranną czy wieczorną godzinę, kiedy to wlaźł na wysoki stołek i sięgnął po nieznaną książkę albo kiedy siedząc z rozchyłonymi ustami, słuchał nowego rozmówcy, albo też kiedy właśnie z braku książek zaczął się wsłuchiwać w wewnętrzne głosy. Każdy z nas pamięta pierwsze, najwcześniejsze ślady swojego zauroczenia. Coś takiego właśnie przytrafiło się Lydgate'owi. Był inteligentnym chłopcem; kiedy wracał zgrzany z zabawy, rzucał się w jakiś kąt i w pięć minut później siedział zagłębiany po uszy w pierwszej lepszej książce, jaką udało mu się znaleźć – jeśli to był *Guliwer* czy *Rasselas*, to dobrze, ale w równym stopniu odpowiadał mu *Dykcjonarz* Baileya albo Biblia wraz z apokryfami. Jeśli nie jeździł konno, nie biegał, nie polował ani nie słuchał męskich rozmów – musiał coś czytać. Taki był, kiedy miał dziesięć lat: przeczytał już był wówczas od deski do deski *Chrysal albo przygody gwinei*, opowieść, która nie była ani mleczkiem dla niemowląt, ani nawet papką udającą mleko, i właśnie wtedy doszedł do wniosku, że książki to zawracanie głowy, a życie jest głupie. Edukacja szkolna nie przyczyniła się do zmiany tego poglądu, chociaż bowiem „przerobił” klasykę i matematykę, nie wykazał się ani w jednym, ani w drugim. Powiadano, że jest zdolny zrobić wszystko, na co tylko miałby ochotę, ale jak dotąd nie miał ochoty na zrobienie czegokolwiek. Był pełnym energii zwierzątkiem obdarzonym lotnym umysłem, brakowało jednak iskry, która roznieciłaby w nim pasję intelektualną: wiedza wydawała mu się czymś bardzo sztucznym i łatwym do opanowania. Z rozmów starszych wnosił, że otrzymał był jej już więcej, niż to potrzebne do dojrzałego życia. Zapewne taki wynik kosztownej edukacji nie stanowił niczego wyjątkowego w owych czasach, kiedy to mężczyźni obowiązywały surduty o wysokiej talii i inne szczegóły mody, która jeszcze nie zdążyła powrócić. Lecz kiedyś, podczas wakacji, deszcz

zapędził go do domowej biblioteczki w poszukiwaniu jakiejś książki, w której znalazłby coś nowego: bez skutku – chyba żeby zdjął z półki szereg zakurzonych tomów o szarych grzbietach i wyblakłych tytułach, tomów starej Encyklopedii, której spokoju nigdy nie zakłócił. Przynajmniej nowością będzie to, że je otworzy. Stały na najwyższej półce i musiały wejść na krzesło, by po nie sięgnąć. Otworzył pierwszy wyjęty z szeregu tom; czasami lubi się czytać w przypadkowej pozycji, chociaż wydaje się niewygodna. Otworzył na stronicy z nagłówkiem *Anatomia*, a pierwszy fragment, na który padł jego wzrok, mówił o zastawkach serca. Niewiele wiedział o jakichkolwiek zastawkach, pamiętał jednak, że *valvae* to składane drzwi i właśnie przez tę szczelinę wpadło nagle światło, wywołując wstrząs, jakim było pierwsze żywe wyobrażenie precyzyjnie spasowanego mechanizmu w ludzkim ciele. Liberalna edukacja pozwoliła mu, rzecz jasna, zapoznać się z nieprzyzwoitymi ustępami w szkolnych lekturach klasycznych, co, oprócz ogólnego poczucia sekretności i wstydlivosti w stosunku do własnego ciała i jego budowy, nie pobudziło szczególnie jego wyobraźni, tak więc w dalszym ciągu sądził, że ma mózg w małych woreczkach pod obydwoma skroniami, i ani mu było w głowie zastanawiać się, jak krąży w nim krew, podobnie jak nie stawiał sobie pytania, jak można zastępować złoto papierem. A teraz przyszedł moment powołania i nim zlaźł z krzesła, świat wydał mu się czymś nowym. Zaczął przeczuwać, że ogromne przestrzenie, zasłaniane dotąd przed nim wielosłownym nieuctwem, które brał za wiedzę, wypełnione są nieskończoną ilością procesów. Od tej chwili czuł, jak rośnie w nim pasja intelektualna.

Nie boimy się opowiadać w kółko i bez końca o tym, jak mężczyzna zakochuje się w kobiecie, jak się z nią żeni albo jak się z nią dramatycznie rozstaje. Wskutek nadmiaru albo poezji, albo głupoty nigdy nam się nie nudzi opis tego, co król Jakub nazwał „tołubem i nadobnością podwiki”,

nigdy nam nie dość brzdąkania starego trubadura w struny; nie wykazujemy jednak najmniejszego zainteresowania „tołubem i nadobnością” innego rodzaju, takim, o który trzeba zabiegać wysiłkiem myśli i cierpliwą rezygnacją z drobnych pragnień. Dzieje takiej namiętności również bywają rozmaite; czasem kończą się wspaniałym mariażem, czasem zawodem i ostatecznym rozstaniem. Nierzadko też klęska wiąże się z inną, opisywaną przez trubadurów pasją. Wśród bowiem ogromnej liczby mężczyzn w średnim wieku, którzy wykonują codziennie swój zawód w sposób ustalony, tak jak ustalony jest sposób zawiązywania krawata, znajduje się zawsze spora garść takich, co niegdyś chcieli sami nadawać kształt temu, co robią, i nieco odmienić świat. Przebieg procesu przykrawania ich do przeciętności i przerabiania na towar hurtowy rzadko bywa utrwalony, nawet w ich własnej świadomości – być może ich zapał do wielkodusznego, nieopłaconego trudu chłódł równie niepostrzeżenie, jak żar ich młodzieńczej miłości, i pewnego dnia dawna osobowość zaczęła krążyć jak duch po własnym domostwie, patrząc na nowe umeblowanie jak na upiora. Nie ma na świecie niczego bardziej subtel nego niż proces stopniowej odmiany takich ludzi. Z początku odbywa się to podczas bezwiednego wdychania – twój i mój oddech mógł ich zainfekować, kiedy wypowiedaliśmy nasze konformistyczne kłamstwa czy wyciągaliśmy nasze głupie wnioski; a może początkiem był dreszcz wywołany spojzeniem kobiety?

Lydgate nie zamierzał wstępować w poczet ludzi, którzy ponieśli podobną klęskę, a jego szanse po temu były o tyle większe, że zainteresowanie naukowe wkrótce przybrało formę zawodowej pasji: miał młodzieńczą wiarę w swoją profesję, czego nie zdołała zniszczyć początkowa namiastka pracy, zwana okresem terminator skim. Rozpoczął studia w Londynie i kontynuował w Edynburgu i Paryżu z niezachwianym przekonaniem, że zawód lekarza to najpiękniejszy zawód

na świecie, w najdoskonalszy sposób bowiem łączy wiedzę ze sztuką i umożliwia bezpośrednie powiązanie zdobyczy intelektualnych z dobrem społecznym. Natura Lydgate'a wymagała takiego powiązania; był istotą emocjonalną z bardzo konkretnym poczuciem ludzkiej wspólnoty, które oparło się całej abstrakcyjności specjalistycznych studiów. Obchodziły go nie tylko „przypadki”, ale John czy Elżbieta, zwłaszcza zaś Elżbieta.

Wybrany przez niego zawód miał jeszcze jedną zaletę: wymagał reformy, co umożliwiało podjęcie radykalnej decyzji, by odrzucić szarlatanerię i skompromitowaną ornamentykę tej profesji i stać się posiadaczem autentycznych kwalifikacji, na które nie ma popytu. Pojechał na studia do Paryża z mocnym postanowieniem, że po powrocie osiadzie w jakimś prowincjonalnym mieście jako lekarz ogólny i stawi czoło nierozumnemu podziałowi wiedzy na medyczną i chirurgiczną, zarówno dla dobra własnej pracy naukowej, jak postępu. Będzie się trzymał z dala od londyńskich intryg, zazdrości i pochlebstw, zdobywając sławę powoli, tak jak ją zdobywał Jenner, wyłącznie dzięki własnej pracy. Należy bowiem pamiętać, że był to ciemny czas: mimo czcigodnych uniwersytetów, które usilnie starały się zachować czystość wiedzy, czyniąc z niej rzadkość, oraz próbowały wykluczyć możliwość błędów – zachowując elitarność drogą wysokiego czesnego i trudnej dostępności – okazywało się, że wielu młodych dyletantów cieszy się uznaniem w Londynie, a jeszcze większa ich liczba ma prawo praktyki na rozległych terenach wiejskich. Wysoki poziom zaś, o jakim zapewniało opinię publiczną kolegium lekarzy, sankcjonujące swoim autorytetem kosztowne i bardzo mierne wykształcenie medyczne, jakie otrzymywali absolwenci Oksfordu i Cambridge, nie chronił przed bujnym pleniением się znachorstwa; praktyka zawodowa polegała głównie na aplikowaniu mnóstwa leków, ludzie sądzili więc, że byłiby jeszcze zdrowsi, gdyby otrzymywali więcej leków, tylko tańszych, i w rezultacie połykali zawrotne

ilości medykamentów zalecanych im przez ignorantów bez czci i wiary i bez żadnego wykształcenia. Zważywszy na to, że w owych czasach żadne statystyki nie podawały liczby takich lekarzy ignorantów ani też szarlatanów, którzy na pewno, mimo dokonujących się przemian, wciąż jeszcze praktykowali, Lydgate mógł sądzić, że zmiana poszczególnych jednostek jest najprostszym sposobem doprowadzenia do zmiany całości. Zamierzał być jednostką, biorącą określony udział w nadchodzącej przemianie, która przyniesie kiedyś korzyść wszystkim, a jednocześnie cieszyć się świadomością, że jego praca przynosi już teraz korzyść jego własnym pacjentom. Nie ograniczał się jednak do rzetelniejszego wykonywania zawodu, niż to było powszechną praktyką. Jego ambicje szły dalej. Zapalił się do myśli, żeby udowodnić pewną koncepcję anatomiczną i dołączyć ogniwo do łańcucha odkryć.

Czy wydaje się wam niedorzeczne, by chirurg z miasteczka Middlemarch marzył, że zostanie odkrywcą? W gruncie rzeczy większość z nas niewiele wie o tym, jak żyli wielcy odkrywcy, zanim zostali uniesieni ku gwiazdnym konstelacjom, skąd kierują naszymi losami. Ale weźmy na przykład Hershela^[30], który „przełamał bariery niebios” – czyż nie grywał kiedyś na organach w prowincjonalnym kościółku i nie dawał lekcji niewydarzonym pianistom? Każdy z tych Wielkich musiał chodzić po ziemi, wśród swoich sąsiadów, którzy zapewne więcej zwracali uwagi na jego krok i ubiór niż to, co miało mu dać tytuł do wiecznej sławy; każdy z nich miał swoją osobistą, miejscową historię, oproszoną drobinami pokus i trosk, które hamowały jego marsz ku ostatecznej wspólnocie z nieśmiertelnymi. Lydgate nie był ślepy, wiedział, że istnieje niebezpieczeństwo takich przeszkód, postanowił jednak – i ufał swemu postanowieniu – że będzie ich unikał, jak tylko się da; miał dwadzieścia siedem lat i uważał się za człowieka doświadczonego. I

[30] Sir William Hershel (1738-1822) – astronom, odkrywca planety Uran.

nie miał zamiaru pozwolić, by zetknięcie z efektywnymi, materialnymi sukcesami stolicy rozbudziło w nim próżność – będzie żył wśród ludzi niezdolnych go prześcignąć w dążeniu do wielkiego celu, któremu jednocześnie towarzyszyć będzie rzetelne wykonywanie lekarskiego zawodu. Fascynowała go nadzieja, że te dwa cele będą sobie wzajemnie przyświecać: uważna obserwacja i wyciąganie z niej wniosków, czyli codzienna praca, używanie soczewki, by w niektórych przypadkach wesprzeć własny osąd – wspomogą jego myśl zaprzęgniętą do badań na wielką skalę. Przecież to właśnie stanowi, że jego zawód nie ma sobie równych. Będzie dobrym lekarzem w miasteczku Middlemarch i dzięki temu nie zejdzie z drogi doniosłych poszukiwań. Pod jednym względem mógł słusznie oczekiwać uznania już na obecnym etapie kariery; nie zamierzał naśladować tych dobroczyńców ludzkości, co to utrzymują się z handlu trującymi marynatami, a głośno potępiają cudzołóstwo albo mają udziały w jaskiniach gry, a występują ustawicznie w sprawach moralności publicznej. Zamierzał sam zacząć od pewnych reform, które miał w zasięgu ręki, a które nie wymagały tyle, co przeprowadzenie dowodu jakiejś koncepcji anatomicznej. Jedna z tych reform sprowadzała się do tego, by odważnie korzystać z ostatnich orzeczeń prawnych i wyłącznie ordynować leki, natomiast nie sporządzać ich samemu i nie brać procentu od aptekarza^[31]. Jak na kogoś, kto postanowił przyjąć stanowisko lekarza ogólnego w prowincjonalnym miasteczku, była to nowość, którą niewątpliwie jego koledzy po fachu odczytają jako obraźliwe napomnienie. Lydgate jednak zamierzał wprowadzać nowości również w terapii, a był na tyle mądry, by wiedzieć, że najlepszą gwarancją, iż będzie praktykował rzetelnie i zgodnie z sumieniem, jest wyzbycie się nieustannej pokusy, by postępować odwrotnie.

[31] Chodzi tu o jedno z orzeczeń wynikających z ustawy aptekarskiej z 1815

Zapewne postronnym obserwatorom i teoretykom tamte czasy wydają się pogodniejsze niż obecne; skłonni jesteśmy sądzić, że najwspanialszym okresem w dziejach świata były czasy odkrywania Ameryki, kiedy śmiały żeglarz, nawet jako rozbitek, mógł się znaleźć na brzegu nowego królestwa. Około roku 1829 dla młodego, odważnego podróżnika taką wspaniałą Ameryką były ciemne obszary patologii. Główną ambicją Lydgate'a było poszerzanie naukowych, racjonalnych fundamentów zawodu lekarza. Im głębiej wnikał w szczegółową problematykę choroby – taką jak natura malarii i chorób zakaźnych – tym mocniej odczuwał potrzebę zdobycia podstawowej wiedzy o całej budowli; na początku wieku wniosła światło w tę problematykę krótka i wspaniała kariera Bichata^[32], człowieka, który zmarł, mając zaledwie trzydzieści jeden lat, ale niby drugi Aleksander pozostawił królestwo dostatecznie rozległe, by wystarczyło dla licznych spadkobierców. Ten wielki Francuz pierwszy lansował teorię, że w podstawowym ujęciu ciała istot żywych nie są zespołem organów, które można poznać, badając je najpierw z osobna, a potem jako coś w rodzaju związku, lecz należy je postrzegać jako zbiór pierwotnych włókien czy tkanek, z których zbudowane są różne narządy – mózg, płuca, serce i tak dalej – podobnie jak poszczególne pomieszczenia w domu zbudowane są w rozmaitych proporcjach z drzewa, żelaza, kamienia, cegły, tynku i innych, a każdy z tych materiałów cechuje się własnym składem w określonych proporcjach. Nikt, jak z tego wynika, nie może zrozumieć i ocenić całej budowli ani tej części – stwierdzić, gdzie się kryją jej słabości i gdzie potrzeba reperacji – nie znając natury owych materiałów. Koncepcja wypracowana przez Bichata, oparta na szczegółowych badaniach różnych tkanek, przyniosła w medycynie takie same rezultaty co światło gazowych latarni zapalające się na mrocznej, oświetlonej naftowymi lampami ulicy; ukazała nowe powiązania i ukryte dotąd

[32] Marie-François-Xavier Bichat (1771-1802) – anatom i fizjolog francuski.

prawidłowości budowy ciała, które należy brać pod uwagę, rozważając symptomy chorób oraz działanie leków. Lecz rezultaty takich koncepcji, zależne od ludzkiej świadomości i inteligencji, przychodzą powoli i pod koniec roku 1829 praktyka medyczna, w większości wypadków, wciąż posuwała się, albo raczej wlokła, po dawnych ścieżkach, a pracy naukowej, która mogłaby się okazać bezpośrednią kontynuacją dzieła Bichata, nadal nikt nie podjął. Ten wielki jasnowidz nie wyszedł poza ustalenie, że w żywym organizmie ostatecznym elementem są tkanki i na nich kończy się analiza anatomiczna. Innemu już umysłowi zostawało zadać pytanie, czy te elementy nie powstały z jakiegoś wspólnego surowca, tak jak tafta, gaza, siatka, satyna czy atlas wszystkie biorą początek z kokonu? Byłoby to nowe światło jakby z tlenowodoru, ukazujące istotę rzeczy i poddające rewizji wszystkie dotychczasowe wyjaśnienia. Taka właśnie kontynuacja dzieła Bichata, której załączek już się rysował w wielu nurtach myśli europejskiej, fascynowała Lydgate'a. Marzył o tym, by ukazać ściślejże związki zachodzące w budowie ciała i wspomóc ludzką myśl, aby przybliżyła się do prawdy. Takie dzieło nie zostało jeszcze dokonane, zostało natomiast zapoczątkowane i przygotowane dla poszukiwaczy, którzy będą potrafili z tych przygotowań skorzystać. Czym była owa podstawowa tkanka? Lydgate stawiał pytanie w ten sposób – nie całkiem tak, jakby tego wymagała przyszła odpowiedź, często się jednak zdarza, że badaczom umyka właściwe słowo. Liczył na chwile spokoju, które będzie skwapliwie wykorzystywał na pracę naukową, liczył też na wskazówki, jakich mu nie poskąpi intensywna praktyka, w której będzie się posługiwał nie tylko skalpelem, ale i mikroskopem, od niedawna ponownie i z entuzjastycznym przekonaniem używanym w nauce. Takie plany na przyszłość miał Lydgate: przysłużyć się Middlemarch drobnymi uczynkami, a światu – wielkim dziełem.

Był niewątpliwie człowiekiem szczęśliwym: dwadzieścia siedem

lat, żadnych nałogów, w duszy szlachetne postanowienie, że jego praca będzie służyć innym, a w głowie pełno pomysłów, które sprawiały, że życie było interesujące, mimo iż wyzbyte kultu konia i innych kosztownych rytów, na które szybko by poszło osiemset funtów, jakie mu zostały po zakupieniu praktyki. Znajdował się w punkcie wyjścia, kiedy to o karierę niejednego mężczyzny można by stawiać zakłady, gdyby znaleźli się dżentelmeni gustujący w podobnych rozrywkach, zdolni obliczyć skomplikowane szanse osiągnięcia niełatwego celu, przewidzieć zarówno możliwe przeszkody, jak i ułatwienia, niesione przez okoliczności oraz stabilność albo chwiejność wewnętrznej równowagi, dzięki której człowiek dopływa do celu lub pozwala, by zniósł go prąd. Nawet przy dobrej znajomości charakteru Lydgate'a ryzyko nie przestaje istnieć, charakter bowiem jest w nieustannym rozwoju. Ten człowiek wciąż był w procesie stawania się zarówno jako lekarz w miasteczku Middlemarch, jak i nieśmiertelny odkrywca, a miał i zalety, i wady zdolne do zanikania i do wzrostu. Wady, mam nadzieję, nie sprawią, że odmówicie mu swego zainteresowania. Czyż ten lub ów spośród naszych cenionych przyjaciół nie jest nieco zbyt pewny siebie i arogancki, czyjego wyborny umysł nie jest zaprawiony szczyptą pospolitości, czy nie daje od czasu do czasu świadectwa rodzimym uprzedzeniom; czy pod wpływem chwilowego impulsu nie potrafi skierować swej energii na niewłaściwy tor? Wszystko to można by zarzucić Lydgate'owi, ale przecież są to peryfrazy, jakich używa taktowny kaznodzieja, który mówi o Adamie, aby nie urazić dzierżawców ławek kościelnych. Konkretnie przywary, z których wydestylowane zostały te łagodne ogólniki, mają indywidualne fizjonomie, dykcję, akcent i grymasy; występują w wielu rozmaitych dramatach. Nasze próżności są tak różne jak nasze nosy; nie każde zarozumialstwo jest jednakie, ale różni się zależnie od struktury umysłowej, u każdego innej. Zarozumialstwo Lydgate'a należało do

gatunku aroganckich – ani śladu wdzięczenia się, ani śladu zuchwalstwa, ogromne wymagania i dobroduszna wzgarda. Uczyniłby wiele dla ludzi prostych, gdyż im współczuł i był pewny, że nigdy nie będą mogli zdobyć nad nim władzy; podczas pobytu w Paryżu myślał o przyłączeniu się do saintsimonistów, aby ich obrócić przeciwko niektórym ich własnym doktrynom. Wszystkie jego wady miały pewne cechy pokrewieństwa, były to wady człowieka, który miał piękny baryton, człowieka, na którym doskonale leżało ubranie i którego gesty, nawet najpospolitsze, świadczyły o wrodzonej dystynkcji. Gdzież więc owa pospolitość?, pyta młoda dama, zachwycona jego niedbałym wdziękiem. Jak można się dopatrzeć pospolitości w człowieku tak dobrze wychowanym, tak ambitnie pragnącym wyróżnić się społecznie, tak wielkodusznie i w sposób tak niezwykle pojmującym obowiązki publiczne? Równie łatwo jak głupoty w człowieku genialnym, jeśli zaskoczyć go pytaniem na niewłaściwy temat, równie często jak w człowieku, który najszczerzej pragnie zapewnić ludzkości najwyższe szczęście, a nie wie, jakiego rodzaju przyjemności przyniosłyby tej ludzkości zadowolenie, nie jest zdolny wyjść poza muzykę Offenbacha czy błyskotliwe kalambury z najnowszej burleski. Ślad pospolitości widoczny był w rodzaju uprzedzeń Lydgate’a, które mimo jego szlachetnych intencji i sympatii, były przynajmniej w połowie takie same jak u ludzi przeciętnych: owa niepospolitość umysłu, połączona z żarliwością intelektualną, nie znajdowała odbicia w jego sądach i opiniach na temat mebli czy kobiet ani w przekonaniu, że ludzie powinni wiedzieć (ale nie od niego), iż ma pochodzenie lepsze od innych prowincjonalnych lekarzy. Nie zamierzał się teraz zastanawiać nad umeblowaniem, ale gdyby miał taki zamiar, trzeba by się obawiać, iż ani biologia, ani projekty reformatorskie nie wzniosłyby go ponad wulgarne przekonanie, że jeśli idzie o jego osobę, w grę mogą wchodzić tylko meble najlepszego gatunku.

Co się tyczy kobiet, stracił był już raz głowę w porywie szaleństwa, ostatniego w życiu, jak sobie przyrzekał, gdyż jeśli się ożeni kiedyś tam, w odległej przyszłości, nie będzie to miało, rzecz jasna, nic wspólnego z szaleństwem. Ci, co chcą poznać Lydgate'a, powinni się dowiedzieć, jak wyglądał ów poryw szaleństwa, gdyż świadczył o tym, że młody lekarz zdolny był do nagłych przyływów namiętności, a jednocześnie do okazywania rycerskiej dobroci, która czyniła go tak pociągającym moralnie. Historia jest krótka. Zdarzyła się podczas jego studiów w Paryżu, kiedy to bardziej niż wszelka inna praca pochłaniały go pewne eksperymenty galwaniczne. Pewnego wieczoru, kiedy był już bardzo zmęczony doświadczeniami, a nie udawało mu się uzyskać potrzebnych wyników, zostawił swoje żaby i króliki, by odpoczęły nieco od tajemniczych, przykrych i niezrozumiałych wstrząsów, jakim je poddawał, i poszedł spędzić resztę wieczoru w teatrze Porte Saint-Martin, gdzie wystawiano melodramat, który oglądał już był wielokrotnie, przyciągany nie tyle pomysłowością autorskiego dzieła, ile osobą pewnej aktorki. Musiała ona – tak nakazywała jej rola – zadać śmiertelny cios swojemu kochankowi, biorąc go przez pomyłkę za księcia, który był czarnym charakterem w tej sztuce. Lydgate kochał się w aktorce tak, jak się kocha mężczyzna w kobiecie, z którą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy nie zamieni nawet słowa. Prowansalka o ciemnych oczach, greckim profilem i pełnych, królewskich kształtach była piękna tą urodą, którą nawet w młodości cechuje jakaś słodka stateczność; w głosie jej brzmiało ciche gruchanie. Przyjechała do Paryża niedawno, miała opinię cnotliwej i grała w sztuce ze swoim mężem, któremu przypadła rola niefortunnego kochanka. Aktorstwo jej było „ot, takie sobie”, ale zadowalało publiczność. Jedynym wytchnieniem młodego lekarza były teraz momenty, kiedy szedł patrzeć na tę kobietę, tak jakby chciał spocząć przez chwilę na rabacie fiołków pod rozkosznym tchnieniem południowego wiatru, bez uszczerbku dla swych

galwanicznych eksperymentów, do których zaraz znów się zabierze. Ale tego wieczoru w starym dramacie rozegrała się nowa tragedia. W chwili kiedy heroina miała przebić kochanka, a on miał paść wdzięcznie na ziemię, żona naprawdę przebiła nożem męża, a on padł na ziemię naprawdę martwy. Teatrem wstrząsnął dziki krzyk i aktorka padła zemdlona; akcja sztuki wymagała i krzyku, i omdlenia, tym razem jednak omdlenie było prawdziwe. Lydgate, sam nie wiedząc jak, skoczył, wdarł się na scenę i rzucił do udzielania pomocy; zawarł znajomość ze swoją heroiną, stwierdzając u niej uraz głowy, a potem niosąc ostrożnie na rękach. Cały Paryż trząsnął się od gadania o tym wydarzeniu: czy było to morderstwo? Niektórzy spośród najgorętszych wielbicieli aktorki skłonni byli wierzyć w jej winę i adorowali ją za to jeszcze goręcej (takie bowiem były gusta w owych czasach), Lydgate jednak nie należał do tego grona. Gwałtownie obstawał przy jej niewinności, a nieokreślone, bezosobowe uwielbienie jej urody przemieniło się teraz w bardzo określone, osobiste oddanie, najczulszą troskę o jej los. Podejrzenie o morderstwo było absurdalne, brakowało motywu, powszechnie było wiadome, że młoda para nie widzi świata poza sobą, prawdopodobnie nieszczęście wydarzyło się wskutek przypadku, poślizgnięcia. Śledztwo zakończyło się zwolnieniem Madame Laure. W tym okresie Lydgate widywał ją wielokrotnie – wydawała mu się coraz bardziej godna uwielbienia. Mówiła mało, to jednak stanowiło tylko jej dodatkowy urok. Była smutna i sprawiała wrażenie wdzięcznej; wystarczała mu sama jej obecność, jak obecność wieczornego światła. Lydgate szaleńczo pragnął jej uczucia, z zazdrością myślał, że to nie on, ale jakiś inny mężczyzna może ją zdobyć i poprosić o rękę. Pani Laure jednak, zamiast podjąć na nowo *engagement* w teatrze Porte Saint-Martin, gdzie stałaby się jeszcze bardziej popularna po tragicznym wypadku, wyjechała bez uprzedzenia z Paryża, zostawiając w stolicy swój mały orszak wielbicieli. Zapewne nikt nie próbował jej szukać prócz Lydgate'a,

któremu wydawało się, że cała nauka zamarła w bezruchu, gdy widział w wyobraźni nieszczęsną Laure przejętą obłądnym cierpieniem, i nikogo, kto by ją pocieszył. Lecz skrywające się aktorki łatwiej odszukać niż skrywające się prawidłowości, toteż młody lekarz dowiedział się wkrótce, że Laure wyjechała w kierunku Lyonu. Odnalazł ją wreszcie grającą z wielkim powodzeniem w Awinionie, pod tym samym nazwiskiem; sprawiała jeszcze bardziej majestatyczne wrażenie w roli porzuconej żony z dzieckiem w ramionach. Rozmawiał z nią po spektaklu; przyjęła go ze zwykłym spokojem, który wydał mu się tak cudowny jak czysta głębia wody, i pozwoliła przyjść następnego dnia. Zamierzał jej wyjawic swoje uwielbienie i poprosić, aby została jego żoną. Był świadom, że działa w odruchu szaleństwa, którego niepodobna porównać z dotychczasowymi słabostkami. Co tam! Był całkowicie zdecydowany. Ma widać dwie osobowości, które muszą się ze sobą dogadać i wspólnie znosić kłopoty. Zaskakujące, że niektórzy z nas, obdarzeni zdolnością szybkiej zmiany widzenia, potrafią sięgnąć wzrokiem poza własne zaślepienie i nawet bujając w obłokach – dojrzeć szeroką dolinę w dole, gdzie ich własna uparta osobowość zatrzymała się i czeka.

Składanie jakichkolwiek propozycji, nie zawierających czołobitnego szacunku i miłości, przeczyłoby wszystkiemu, co do niej czuł.

– Przyjechał pan aż z Paryża, by mnie odnaleźć? – zapytała następnego dnia, siedząc z założonymi rękami i spoglądając na niego wzrokiem wyrażającym zdumienie, podobne zdumieniu przezuwającego, nieoswojonego zwierzęcia. – Czy wszyscy Anglicy są tacy?

– Przyjechałem, ponieważ nie mogłem żyć, nie próbując się z panią spotkać. Jest pani samotna. Kocham panią. Chcę, żeby się pani zgodziła zostać moją żoną. Będę czekał, ale proszę mi obiecać, że wyjdzie pani za mnie – za nikogo innego.

Laure patrzyła na niego w milczeniu, a spod jej wspaniałych powiek

padał smutny blask; młody lekarz, przejęty porywającą pewnością, klęknął u jej kolan.

– Powiem panu coś – odezwała się wreszcie gruchającym głosem, wciąż trzymając ręce złożone na kolanach. – Ja się naprawdę pośliznęłam *umyślnie*.

– Wiem, wiem – powiedział Lydgate śpiesznie, jakby chciał odsunąć ten temat. – To był fatalny wypadek, straszliwe nieszczęście, które tym mocniej związało mnie z panią.

Laure, znów milczała chwilę, wreszcie powiedziała z wolna:

– Ja się pośliznęłam *umyślnie*.

Lydgate, choć był silnym mężczyzną, zbladł i zadrżał; upłynęła chwila, nim podniósł się i stanął w pewnej odległości.

– A więc istniała jakaś tajemnica – powiedział wreszcie, nawet gwałtownie. – Był wobec pani brutalny; nienawidziła go pani.

– Nie! On mnie nudził; był nazbyt czuły. Chciał, żebyśmy mieszkali w Paryżu, a nie w moich stronach; bardzo mi to nie odpowiadało.

– Wielki Boże! – jęknął ze zgrozą Lydgate. – I pani zaplanowała morderstwo?

– Nic nie planowałam; przyszło mi to do głowy podczas spektaklu. Zrobiłam to *umyślnie*.

Lydgate stał bez słowa i spoglądał na nią, nieświadomie wciskając kapelusz. Zobaczył tę kobietę – pierwszą, jakiej oddał całe swe młodzieńcze uwielbienie – w tłumie prymitywnych złoczyńców.

– Jest pan zacnym młodym człowiekiem – powiedziała – ale ja nie lubię mężów. Nigdy nie wezmę sobie następnego.

W trzy dni później Lydgate był znowu w swoich paryskich pokojach, pochłonięty galwanizmem, przekonany, że osiągnął kres wszelkich złudzeń. Od zatwardziałości serca uchroniła go wrodzona dobroć i wiara, że można życie ludzkie uczynić lepszym. Po tym doświadczeniu miał

jednak więcej niż dawniej powodów, by ufać rozsądkowi; teraz jego sąd o kobietach będzie ściśle naukowy, żadnych wyobrażeń, tylko to, co zostało uprzednio dowiedzione.

Zapewne nikomu w Middlemarch nie przyszłoby do głowy wyobrazić sobie przeszłości doktora tak, jak tu naszkicowano. W gruncie rzeczy szacowni mieszczanie, podobnie jak inni śmiertelnicy, nie potrafili wyobrazić sobie tego, czego sami nie doświadczyli. Nie tylko młode panny z miasta, ale i siwobrodzi mężczyźni przypuszczali pochopnie, że uda im się wykorzystać nowo przybyłego dla swoich celów, mimo iż posiadali nikłą wiedzę o tym, jak życie przygotowało go do roli ich instrumentu. Jednym słowem, Middlemarch liczyło na to, że Lydgate łatwo da się połączyć zasymilować.

ROZDZIAŁ XVI

Wszystko, co kocha świat w niewieście,
Znajduję w twojej osobie –
Dobroć i piękno w sobie mieścisz
Ku swojej płci ozdobie.

Sir Charles Sedley, *Not Celia, that I juster am*

Problem, czy pastor Tyke powinien zostać powołany na stanowisko kapelana szpitalnego ze stałą pensją, był pasjonującym tematem rozmów w całym miasteczku, a sposób, w jaki go omawiano, pozwolił przysłuchującemu się Lydgate'owi nieźle się zorientować, jakie wpływy miał w Middlemarch pan Bulstrode. Bankier niewątpliwie dzierżył tutaj władzę, ale miał i opozycję, a wśród stronników również takich, którzy dawali do zrozumienia, że ich poparcie jest tylko ustępstwem, i otwarcie wyznawali pogląd, że układ spraw na tym świecie w ogólności, a sprawy związane z handlem w szczególności wymagają palenia diabłu ogarka.

Władza Bulstrode'a nie brała się jedynie z tego, że był miejscowym bankierem, znał tajemnice finansowe większości kupców w mieście i mógł dotknąć sprężyn ich kredytowania; umacniała ją jego działalność dobroczynna, skora i zarazem surowa – skora do świadczenia zobowiązań i surowa w egzekwowaniu rezultatów. Jako człowiek pracowity i będący zawsze na miejscu, przejął główną rolę w zarządzaniu instytucjami dobroczynnymi miasta; jego działalność prywatna w tej dziedzinie, choć drobna, była liczebnie pokaźna. Zadał sobie wiele trudu, by Tegg, syn szewca, dostał się do terminu, i pilnował, by chłopiec chodził do kościoła;

bronił praczki, pani Strype, przed bezpodstawnymi roszczeniami Stubba w sprawie miejsca do suszenia bielizny i osobiście zbadał rzucone na panią Strype oszczerstwo. Udzielał licznych drobnych pożyczek z własnych funduszy, ale sprawdzał dokładnie wszelkie okoliczności zarówno przed udzieleniem pożyczki, jak i potem. Człowiek zdobywa w ten sposób określony udział w nadziejach i obawach swoich bliźnich, jak również w ich wdzięczności; władza zaś, wkroczywszy na ten delikatny obszar, zaczyna się samoistnie rozrastać i osiąga rozmiary nieproporcjonalnie duże w stosunku do środków, jakimi zewnętrznie dysponuje. Zasadą pana Bulstrode było zagarniać tyle władzy, ile się tylko da, aby jej używać na chwałę bożą. Przeprowadził ze sobą wiele wewnętrznych polemik i odbył wiele duchowych zmagani, aby swoim pobudkom nadać właściwy kształt i jasno określić, czego chwała Boga wymaga. Ale, jak już widzieliśmy, owe pobudki nie zawsze spotykały się z właściwą oceną. Wielu było w Middlemarch ludzi o ciasnych umysłach, którzy na intelektualnej szali wazyli wszystko tylko hurtem. Ludzie ci żywili silne podejrzenia, że jeśli pan Bulstrode nie potrafi cieszyć się życiem na ich sposób, jeśli tak mało je i pije, i wszystkim tak się martwi, to musi się żywić poczuciem władzy, podczas czegoś w rodzaju uczt wampira.

Problem kapelana podjęto również przy stole pana Vincy przy kolacji, na którą zaproszony został doktor Lydgate. Młody lekarz zauważył, że powiązania rodzinne nie krępują swobody niczyjej wypowiedzi, nawet samego gospodarza, choć ten sprzeciwiał się powołaniu pastora Tyke wyłącznie dlatego, że nie lubił jego kazań, gdzie w kółko tylko doktryna i doktryna, i wołał pastora Farebrothera, którego kazania wolne były od podobnej skazy. Panu Vincy bardzo się podobał pomysł stałej gaży dla kapelana pod warunkiem, że otrzyma ją pastor Farebrother, który jest największym pocziwcem na świecie, najlepszym kaznodzieją i w dodatku człowiekiem towarzyskim.

– Jaką więc linię zamierzasz pan przyjąć? – zapytał pan Chichely, koroner i częsty towarzysz pana Vincy w pieszych polowaniach na zające.

– Cóż, cieszę się, że nie jestem już członkiem Zarządu. Będę głosował za przekazaniem sprawy Zarządowi i Radzie Lekarskiej łącznie. Przerzucę trochę odpowiedzialności na pańskie barki, doktorze – mówił pan Vincy, spoglądając najpierw na doktora Sprague, seniora wśród miejscowych lekarzy, a potem na Lydgate’a siedzącego naprzeciw. – Wy, panowie medycy, musicie zrobić konsylium i zdecydować, jaką to czarną miksturę przepiszecie, co, doktorze Lydgate?

– Obu kandydatów znam bardzo słabo – powiedział Lydgate – ale sądzę, że ogólnie biorąc, jesteśmy zbyt skłonni do obsadzania stanowisk według osobistych sympatii. Nie zawsze najlepszy kompan czy najbardziej lubiany człowiek jest najwłaściwszą osobą na jakieś stanowisko. Myślę, że kiedy się pragnie reformy, trzeba wysłać na emeryturę wszystkich poczciciwców, których się lubi, i wyłączyć ich z grona kandydatów.

Gdy to mówił, doktor Sprague, uważany za lekarza o największym „ciężarze gatunkowym” – choć powiadano, że doktor Minchin obdarzony jest większą „wnikliwością” – obrał swą dużą, ciężką twarz z jakiegokolwiek wyrazu i spoglądał na swój kieliszek z winem. Wszystko, co w tym młodym człowieku budziło wątpliwości czy podejrzenia – na przykład obnoszenie się z jakimiś cudzoziemskimi pomysłami lub skłonność do kwestionowania tego, co starsi od niego ustalili już dawno i zdążyli puścić w niepamięć – wywoływało zdecydowaną niechęć lekarza, którego pozycję ugruntowała rozprawa o zapaleniu opon mózgowych, napisana trzydzieści lat temu (jeden jej egzemplarz z napisem „autorski” oprawiony został nawet w półskórek). Jeśli o mnie idzie – mam nieco zrozumienia dla doktora Sprague: samozadowolenie nie jest majątkiem podlegającym opodatkowaniu, dlatego bardzo nam przykro, gdy ktoś je nisko ocenia.

Uwaga Lydgate'a nie była jednak w smak zgromadzonym. Pan Vincy powiedział, że gdyby to zależało od niego, nie dopuszczałby niesympatycznych ludzi na żadne stanowisko.

– Do licha z pańskimi reformami – powiedział pan Chichely. – Nie ma większego oszustwa na świecie. Za każdym razem, kiedy powiada się o reformie, okazuje się, że to sztuczka robiona po to, by wprowadzić nowych ludzi. Mam nadzieję, doktorze Lydgate, że nie należy pan do tych stronników *Lancetu*, co to chcą odebrać prawnikom stanowisko koronera; pańskie słowa mogłyby na to wskazywać.

– Jestem przeciwny Wakleyowi^[33], zdecydowanie przeciwny – przerwał doktor Sprague. – To człowiek o złych intencjach, gotów poświęcić godność naszego zawodu, którą, jak wiadomo, reprezentują obie Izby w Londynie – Lekarska i Chirurgiczna – tylko po to, by sięgnąć na siebie chociaż trochę uwagi. Są ludzie, którzy chętnie się zgodzą na kopniaka, byle tylko o nich gadano. Ale Wakley ma czasem rację – dodał sprawiedliwie. – Mógłbym przytoczyć kilka punktów, w których ma rację.

– Wszystko to bardzo pięknie – stwierdził pan Chichely – i nikomu nie mam za złe, że dba o swoje interesy, ale wracając do poruszonej kwestii, chciałbym wiedzieć, w jaki sposób koroner mógłby wydawać sądy o materiale dowodowym, nie mając prawniczego wykształcenia.

– Moim zdaniem – powiedział Lydgate – wykształcenie prawnicze czyni go tylko bardziej niekompetentnym w przypadkach, w których potrzebna jest wiedza z innych dziedzin. Ludzie mówią o materiale dowodowym, jakby ślepa Sprawiedliwość mogła wyważyć taki materiał na szalach. Nikt, kto nie posiada rzetelnej wiedzy w danej specjalności,

[33] Thomas Wakley – lekarz i założyciel w 1823 r. postępowego pisma medycznego *Lancet*. Żądał, by stanowisko koronera, czyli urzędnika dokonującego m.in. oględzin zwłok osób zmarłych śmiercią nienaturalną, obsadzane było przez lekarza, a nie prawnika.

nie może stwierdzić, czy dowód jest dobry. Przy sekcji zwłok prawnik tyle samo jest wart co stara baba. Skąd miałyby się znać na działaniu trucizny? Równie dobrze można powiedzieć, że klepiąc wiersze, człowiek się nauczy klepania kosy.

– Zapewne wiadomo panu, że koroner nie przeprowadza sekcji zwłok, tylko przyjmuje za dowód świadectwo lekarza. – W głosie pana Chichely brzmiała nuta ironii.

– Który często jest niemal takim samym ignorantem jak koroner – odparł Lydgate. – Medyczne problemy prawne nie powinny zależeć od tego, czy lekarz dający świadectwo nie jest przypadkiem dyletantem, a koroner nie powinien być człowiekiem zdolnym uwierzyć, że strychnina niszczy powłoki żołądka, jeśli mu to powie jakiś niedouczony praktyk.

Lydgate zapomniał ze szczętem, że pan Chichely to koroner Jego Królewskiej Mości, i zakończył niewinnie pytaniem:

– Czy zgadza się pan ze mną, doktorze Sprague?

– Do pewnego stopnia, jeśli idzie o gęsto zamieszkane okręgi oraz o metropolię – odparł doktor. – Mam jednak nadzieję, że wiele czasu upłynie, nim nasza okolica przestanie korzystać z usług mego przyjaciela, pana Chichely, choćby miał go zastąpić najlepszy przedstawiciel mojej profesji. Jestem pewny, że nasz gospodarz zgodzi się ze mną.

– Tak, oczywiście, koronerem może być tylko ktoś, kto dobrze poluje na zające – oświadczył jowialnie pan Vincy. – Moim zdaniem człowiek jest zawsze najbezpieczniejszy przy prawniku. Nie można znać się na wszystkim. Większość spraw to „zrządzenie Opatrzności”. A jeśli idzie o otrucie, cóż, właśnie wtedy prawo jest człowiekowi najbardziej potrzebne. A teraz może przejdziemy do pań?

Lydgate sądził w duchu, że pan Chichely to pewno taki właśnie koroner, w którym nie obudziłyby się wątpliwości w przedmiocie powłok żołądka, nie chciał jednak pozwolić sobie na jakiegokolwiek osobiste uwagi.

Na tym polegała jedna z trudności poruszania się w dobrym towarzystwie miasteczka: niebezpiecznie było żądać, by wiedza stanowiła kwalifikację na jakiegokolwiek płatne stanowisko. Fred Vincy nazwał Lydgate'a głądą, teraz z kolei pan Chichely skłonny był nazwać go pałą^[34], zwłaszcza kiedy w salonie młody lekarz zaczął nadskakiwać Rozamundzie, której uwagę łatwo przyszło mu zmonopolizować, gdyż pani domu sama zajęła się rozlewaniem herbaty. Nie zrezygnowała z żadnych funkcji domowych na rzecz córki, a promienna, dobrodusznna twarz matrony, okolona nazbyt swawolnie fruującymi wstążkami różowej barwy, które spływały wzdłuż jej pięknej szyi, wesoły stosunek do męża i dzieci – wszystko to stanowiło jeden z większych uroków domu państwa Vincych, uroków, dzięki którym o tyle łatwiej było zakochać się w córce. Odrobina bezpretensjonalnej, nieszkodliwej wulgarności, jaka cechowała matkę, podkreślała tylko dystygnowane zachowanie Rozamundy, jakiego młody lekarz nie oczekiwał.

Niewątpliwie drobna nóżka i doskonale zaokrąglone ramię potęgują wrażenie dystynkcji, a właściwe słowa wydają się zdumiewająco właściwe, gdy towarzyszy im przepiękny łuk ust i powiek. A Rozamunda umiała mówić rzeczy właściwe, była bowiem obdarzona tym rodzajem inteligencji, która potrafi pochwycić każdą tonację z wyjątkiem dowcipnej. Na szczęście nigdy nie próbowała być dowcipna, co było zapewne najbardziej przekonującym świadectwem jej inteligencji.

Łatwo im przyszła wspólna rozmowa. Lydgate wyraził żal, że nie słyszał był jej śpiewu w Stone Court przed kilkoma dniami. Jedyna przyjemność, na jaką sobie pozwalał w ostatnim okresie pobytu w Paryżu, to słuchanie muzyki.

– Zapewne pan uczył się muzyki? – podsunęła Rozamunda.

– Nie. Znam śpiew wielu ptaków i wiele melodii, ale zachwyca mnie,

[34] Jedno z szyderczych określeń purytanów z powodu ich golonych głów.

przejmuje ta muzyka, której w ogóle nie znam, o której nie mam pojęcia. Jak głupi jest świat, który nie korzysta częściej z tych radości, jakie ma wokół siebie.

– Tak, ale zobaczy pan, że Middlemarch jest bardzo niemuzyczne. Trudno tu znaleźć ludzi obdarzonych słuchem i muzykujących. Znam tylko dwóch panów, którzy nie najgorzej śpiewają.

– Pewno jest moda na śpiewanie wesołych piosenek bardzo miarowo, pozostawiając melodię wyobraźni. Tak jakby się wybijało rytm na bębenku.

– Ach, musiał pan słyszeć pana Bowyera. – Twarz Rozamundy rozjaśnił rzadki u niej uśmiech. – Ale nie obmawiamy naszych bliźnich.

Lydgate omal nie zapomniał, że powinien podtrzymywać konwersację, tak się zapamiętał w zachwycie nad tą uroczą istotą w sukni barwy najjaśniejszego błękitu nieba; była tak nieskalanie jasna, jakby wyłoniła się z rozwartych przed chwilą płatków jakiegoś olbrzymiego kwiatu; mimo swoich dziecięco blond włosów miała w sobie tyle dojrzałego, spokojnego wdzięku. Odkąd Laure zapadła mu w pamięci, stracił upodobanie do milczących wielkookich i przestały go pociągać boskie krowy, Rozamunda zaś była ich przeciwieństwem. Przywołał się do porządku.

– Pozwoli mi pani dzisiaj posłuchać, muzyki, prawda?

– Pozwolę panu posłuchać, jak próbuję śpiewać, jeśli ma pan na to ochotę. Tatuś z pewnością poprosi, bym śpiewała. Ale będę drżała ze strachu przed panem, który w Paryżu słuchał najlepszych głosów. Ja jestem tak mało osłuchana: tylko raz byłam w Londynie. Ale nasz organista u Świętego Piotra to bardzo zdolny muzyk, a ja dalej uczę się u niego.

– Niech pani powie, co widziała w Londynie.

– Niewiele. – (Bardziej naiwna dziewczyna powiedziałaaby: och,

wszystko! Ale Rozamunda była na to za mądra). – Kilka zwykłych widowisk, takich, jakie się zazwyczaj pokazuje niewyrobionej wiejskiej dziewczynie.

– Pani nazywa siebie niewyrobioną wiejską dziewczyną? – zapytał Lydgate, spoglądając na nią z bezwiednym wyrazem uwielbienia, co sprawiło, że Rozamunda zaczerwieniła się z radości. Zachowywała jednak w dalszym ciągu powagę i prostotę, obróciła tylko lekko szyję i podniosła rękę, by dotknąć wspaniałych warkoczy zwykłym swoim gestem, tak wdzięcznym jak ruch kociej łapki. Ale Rozamunda nie miała w sobie nic z kota. Była sylfidą schwytaną za młodu i wykształconą na pensji pani Lemon.

– Zapewniam pana, że umysł mam niewyrobiony – odparła szybko. – Ujdę w Middlemarch. Nie boję się rozmawiać z naszymi starymi znajomymi. Ale pana obawiam się naprawdę.

– Kobieta posiadająca ogładę niemal zawsze wie więcej niż my, mężczyźni, chociaż to wiedza innego rodzaju. Jestem pewny, że mogłaby mnie pani nauczyć wielu rzeczy, tak jak wspaniały ptak mógłby uczyć niedźwiedzia, gdyby ich łączył wspólny język. Na szczęście kobieta i mężczyzna mają wspólny język, więc niedźwiedzia można wiele nauczyć.

– Och, już Fred zaczyna brzdąkać. Muszę iść i nie dopuścić, by grał wszystkim na nerwach. – Rozamunda ruszyła do innej części pokoju, gdzie Fred, słysząc prośbę ojca, by Rozamunda trochę im pośpiewała, otworzył pianino i zaczął wystukiwać jedną ręką *Do wiśni, do wiśni*. Nawet ludzie zdolni, mający za sobą zdany egzamin na uniwersytecie, pozwalają sobie czasem na coś podobnego, a cóż dopiero Fred, który egzamin oblał.

– Fred, proszę, zaczekaj z wprawkami do jutra, bo pan Lydgate dostanie migreny! On ma słuch!

Fred roześmiał się i grał dalej do końca.

Rozamunda zwróciła się do młodego lekarza z łagodnym uśmiechem:

– Jak pan widzi, niedźwiedzia nie zawsze można czegoś nauczyć.

– Proszę, Rozo. – Fred zerwał się ze stołka i podkreślił go wyżej, ciesząc się z góry na czekającą go przyjemność. – Najpierw coś wesołego na rozgrzewkę.

Rozamunda grała zachwycająco. Jej nauczyciel u pani Lemon (szkoła leżała pod wielkim, historycznym miastem, które miało zabytkowy kościół i ruiny zamku) był jednym z tych znakomitych muzyków, jakich spotyka się od czasu do czasu na naszej prowincji, godnym porównania z wieloma znanymi Kapellmeisternami z kraju, który stwarza o wiele lepsze możliwości zdobycia sławy muzycznej. Rozamunda, obdarzona instynktem odtwórczym, podchwyciła jego sposób gry i z dokładnością echa oddawała jego swobodną interpretację wspaniałego utworu. Mogłoby się zdawać, że spod jej palców wypływa ukryta dusza, i tak było w istocie, gdyż dusze żyją dalej w niekończących się echach, a wszelki wyraz artystyczny, choćby to była tylko interpretacja, ma w sobie pierwiastek twórczy. Lydgate siedział jak urzeczony; zaczynał wierzyć, że to naprawdę osoba zupełnie wyjątkowa. „Czemu – myślał – miałbym się dziwić, że w tak niekorzystnych, z pozoru, warunkach znalazł się tak rzadki cud natury; przecież podobne zjawiska, gdziekolwiek je spotkać, zawsze zależą od okoliczności nie całkiem widocznych dla oka”. Siedział, wpatrzony w nią i nawet się nie podniósł, by jej pogratulować; zostawiał to innym teraz, gdy jego uwielbienie nabrało głębi.

Jej śpiew był mniej wybitny, lecz głos miała dobrze wyszkolony, słodki niby czysty kurancik. To prawda, że śpiewała *Wydź ku mnie w księżycu blasku* oraz *Wędrowca*, śmiertelni bowiem muszą ulegać modzie swoich czasów i tylko starożytni byli zawsze klasyczni. Rozamunda miała jednak w repertuarze również i *Czarnooką Susan* i kanconetki Haydna, czy też *Voi che sapete* albo *Batti, batti*, chciała tylko wiedzieć, czego jej słuchacze zechcą posłuchać.

Ojciec wodził wzrokiem po zebranych, rozkoszując się ich podziwem. Matka siedziała jak Niobe, nim jeszcze zaczęły się jej kłopoty, trzymając najmłodszą córeczkę na kolanach i delikatnie kiwając jej rączką w takt muzyki. A Fred, mimo swoich zastrzeżeń wobec Rozamundy, słuchał z pokorą jej gry, marząc, by coś podobnego udało mu się na flecie. Było to najprzyjemniejsze domowe przyjęcie, w jakim uczestniczył Lydgate od przyjazdu do Middlemarch. Rodzina Vincych umiała się cieszyć, odrzucała wszelkie troski i uważała życie za rzecz radosną – a w większości miasteczek taka rodzina stanowiła rzadki wyjątek w czasach, kiedy to ewangelicyzm nakazywał traktować nieliczne rozrywki, jakie się jeszcze na prowincji ostały, równie podejrzliwie, jak groźbę zarazy. W domu Vincych zawsze grywało się w wista, stoliki do kart stały przygotowane, co sprawiało, że część towarzystwa pragnęła w duchu, by muzyka się skończyła. Nim ucichła, przyszedł pastor Farebrother – przystojny, barczysty, lecz niewysoki mężczyzna około czterdziestki, w wieczorowym stroju mocno już podniszczonym; cały urok jego osoby skupiał się w szarych, bystrych oczach. Wszedł niby miła odmiana światła; zatrzymał na chwilę małą Luizę, by się z nią po ojcowsku podroczyć, nim panna Morgan wyprowadziła małą z pokoju; każdego powitał jakimś specjalnie do niego skierowanym słowem i w ciągu dziesięciu minut powiedział więcej niż inni przez cały wieczór. Doktorowi Lydgate przypomniał, że ten obiecał być złożyć mu wizytę.

– Nie mogę pana z tego zwolnić, bo chcę panu pokazać pewne chrząszcze. My, kolekcjonerzy, nie dajemy spokoju żadnemu nowo przybyłemu, póki nie obejrzy wszystkiego, co mamy mu do pokazania. – Wkrótce jednak obrócił się do karcianego stolika i zatarł ręce: – A teraz do rzeczy. Doktorze? Nie gra pan? Ach, zbyt pan młody i beztroski, by to było panu potrzebne.

Lydgate pomyślał, że ten duszpasterz, którego umiejętności tak

były niemiłe panu Bulstrode, znalazł sobie sympatyczną przystań w tym zdecydowanie mało intelektualnym domostwie. Mógł to po części rozumieć; pogoda i uroda starszych i młodszych oraz możliwość spędzenia czasu bez szczególnego wysiłku umysłowego mogły być ogromnie nęcące dla człowieka, który nie miał co robić w wolnych godzinach.

Wszystko sprawiało miłe i radosne wrażenie z wyjątkiem panny Morgan, która była ciemna, ponura i zrezygnowana, jednym słowem, jak często powiadała pani Vincycy, taka, jak guwernantka być powinna. Lydgate nie zamierzał bywać tu często. To straszne marnotrawstwo wieczorów. Porozmawiał jeszcze chwilę z Rozamundą i chciał pożegnać się i wyjść.

– Na pewno my, z Middlemarch, nie będziemy się panu podobać – powiedziała, gdy gracze zasiedli już do wista. – Jesteśmy bardzo ograniczeni, a pan przywykł do innych ludzi.

– Myślę, że wszystkie miasteczka na prowincji są do siebie bardzo podobne – odparł. – Zauważyłem jednak, że zawsze się uważa własne miasto za bardziej ograniczone niż inne. Postanowiłem przyjąć Middlemarch takim, jakim jest, i będę bardzo wdzięczny, jeśli miasto odplaci mi tym samym. Znalazłem tu, doprawdy, uroki o wiele większe, niż się spodziewałem.

– Myśli pan o spacerach w kierunku Tipton i Lowick? Każdemu się podobają – powiedziała z prostotą.

– Nie, mam na myśli coś, co się znajduje o wiele bliżej.

Rozamunda wstała, sięgnęła po swoją robótkę, a po chwili spytała:

– Czy lubi pan tańczyć? Nie jestem pewna, czy mądrzy ludzie w ogóle tańczą.

– Chętnie zatańczyłbym z panią, gdyby pani pozwoliła się zaprosić.

– Och! – W śmiechu Rozamundy zabrzmiała karcąca nuta. – Chciałam tylko powiedzieć, że my tutaj urządzamy czasem tańce i pragnęłabym wiedzieć, czy się pan nie obrazi za zaproszenie.

– Nie, ale pod warunkiem, jaki postawiłem.

Po tej rozmowie sądził, że już wychodzi, ale gdy podszedł do karcianego stolika, uwagę jego przyciągnęła gra pastora Farebrothera, wręcz mistrzowska, a również wyraz jego twarzy – osobliwe połączenie łagodności i przebiegłości. O dziesiątej podano kolację (takie były obyczaje w Middlemarch), a potem poncz, pastor Farebrother wypił jednak tylko szklankę wody. Wygrywał, ale że nie widać było kresu kolejnych robrów, Lydgate pożegnał się wreszcie i wyszedł.

Nie wybiła jeszcze jedenasta, zdecydował się więc na szybki spacer w kierunku wieży kościoła Świętego Botolpha, który majaczył ciemny, kanciasty, zwalisty na tle wygwieżdzonego nieba. Był to właśnie kościół pastora Farebrothera; lecz choć najstarszy w mieście, całe związane z nim beneficjum stanowił wikariat przynoszący ledwie czterysta funtów rocznie. Lydgate słyszał był o tym i teraz zaczął się zastanawiać, czy pastorowi nie zależy na wygrywanych w karty pieniądzach. „Wygląda na bardzo miłego człowieka – myślał – ale Bulstrode może mieć swoje racje”. Wiele spraw okazałoby się dla doktora Lydgate łatwiejsze, gdyby rzeczywistość dowiodła, że Bulstrode, ogólnie biorąc, ma słuszość. „Cóż mnie obchodzi jego doktryna religijna, jeśli on z nią łączy różne dobre zamiary? Trzeba umieć korzystać z takich głów, jakie się nadarzą”.

Takie to rozważania snuł doktor Lydgate zaraz po wyjściu z domu państwa Vincych i obawiam się, że z tej przyczyny wiele młodych dam uzna go za nieszczęśliwie godnego ich uwagi. O Rozamundzie, jej grze i śpiewie myślał dopiero w drugiej kolejności, a przywołany obraz młodej panny, który towarzyszył mu już do końca spaceru, nie budził w nim ani podniecenia, ani poczucia, że w jego życiu nastąpiła jakaś odmiana. Nie mógł obecnie zakładać rodziny, pragnął pozostawać kawalerem przez kilka następnych lat i dlatego ani mu w głowie powstało wyobrazić sobie, że się zakochał w dziewczynie, która mu się akurat spodobała. Rozamunda

bardzo mu się spodobała, ale to szaleństwo, jakie go kiedyś ogarnęło, gdy poznał Laure, nie mogło się, jego zdaniem, powtórzyć w związku z żadną inną kobietą. Gdyby istotnie ewentualność zakochania się wchodziła w rachubę, to nie byłoby ryzyka w obdarzeniu uczuciem istoty podobnej do panny Vincy, która posiada taką inteligencję, jakiej się szuka w kobiecie – wytworną, elegancką, giętką, umożliwiającą zdobycie wszelkich kunsztów stanowiących o rozkoszy życia – a w dodatku obleczona jest w ciało, które poświadcza te zalety tak przekonująco, że inne dowody są zbędne. Lydgate był pewny, że jeśli się kiedykolwiek ożeni, jego żonę będzie cechowała taka właśnie niewieścia promiennosc, szczególna kobiecość wspólna muzyce i kwiatom, ten rodzaj urody cnotliwej z samej swojej natury, gdyż stworzona została tylko do czystych i delikatnych radości.

Ponieważ jednak nie miał zamiaru się żenić przez następne pięć lat, rzeczą o wiele bardziej naglącą była nowa książka Luisa o chorobach zakaźnych, do której trzeba było zajrzeć, a która go szczególnie ciekawiła, gdyż poznał był Luisa w Paryżu i uczestniczył w wielu pokazach anatomicznych, wykazujących specyficzne różnice między tyfusem plamistym i dudem brzuszny. Wrócił do domu i czytał do wczesnych godzin rannych, wyprowadzając z tej patologicznej pracy o wiele bardziej wymierne wyobrażenie różnych szczegółów i powiązań, niż mu to było kiedykolwiek potrzebne w związku z zawiłosciami miłości i małżeństwa, te bowiem należały do dziedziny, w której, we własnym mniemaniu, zdobył już dostateczną wiedzę dzięki literaturze oraz wiadomościom przekazywanym tradycyjnie podczas jowialnych, męskich rozmów. Choroby zakaźne zaś miały niejasny charakter, co pozwalało na cudowną pracę wyobraźni, pracę, która nie polega na arbitralnym rozstrzygnięciu, lecz jest ćwiczeniem zdyscyplinowanego umysłu – wiązaniem i budowaniem, przy czym trzeba pilnie szukać prawdopodobieństw, a jednocześnie

przestrzegać zasad nauki, a wszystko to w najściślejszym przymierzu z neutralną Naturą, która stoi z boku i wymyśla doświadczenia, jakim następnie podda własne dzieło.

Wielu ludziom przypisuje się posiadanie żywej wyobraźni, ponieważ są autorami licznych miernych rysunków lub miernych opowieści: relacji z pustej gadaniny prowadzonej na odległych ciałach niebieskich albo portretów Lucyfera wracającego ze swych niecznych wypraw – wielkie, ohydne, bluzgające ogniem chłopisko ze skrzydłami nietoperza – albo karykaturalnych obrazów rozpusty, które wydają się wyobrażeniem życia w chorym śnie. Tego rodzaju inspiracje uważał Lydgate za pospolite i sztuczne w porównaniu z wyobraźnią ukazującą subtelne działania, niedostępne jakiegokolwiek soczewce, tropione w zewnętrznych ciemnościach po długich ścieżkach nieuniknionej kolejności rzeczy, dzięki wewnętrznemu światłu, które jest najsubtelniejszym rodzajem Energii, zdolnym pokazać w swojej idealnie oświetlonej przestrzeni nawet lotne atomy. Ze swej strony odrzucał tanie sztuczki, pozwalające ignorantom mieć poczucie łatwych osiągnięć: lubował się w rozwiązaniach trudnych, stanowiących istotę badania naukowego, jego źrenicę, która wyodrębnia na jakiś czas badany wycinek, by precyzyjnie ustalić właściwą z nim relację; chciał przeniknąć otulinę tych najdrobniejszych procesów, gotujących człowiekowi radość lub rozpacz, tych niewidocznych gościńców, gdzie rodzą się pierwsze oznaki udreki, szaleństwa i zbrodni, rozpoznać tę delikatną równowagę i nierównowagę, od których zależy świadomość szczęścia lub nieszczęścia.

Odrzucił książkę, wyciągnął nogi ku żarzącym się na kominku węglom i założywszy ręce z tyłu głowy w miłym zmierzchu podniecającego przeżycia, kiedy to myśl przeskakuje od skupienia nad jednym określonym tematem do świadomości jego związku z resztą naszej egzystencji – niby pływak, który po długim wysiłku przewraca się na wznak i pozwala się

znosić wodzie, odpoczywając w poczuciu, że sił mu nie zbrakło – młody doktor odczuwał triumfalną radość ze swoich studiów i coś w rodzaju współczucia dla ludzi mniej szczęśliwych, którzy nie byli lekarzami.

„Gdybym nie zasmakował w tym jako chłopak – myślał – pewno wykonywałbym jakąś taką czy inną głupią pracę i całe życie chodziłbym w końskich okularach. Nie mógłbym nigdy zaznać szczęścia w zawodzie, który nie wymagałby najwyższego wysiłku umysłu i nie zapewniał jednocześnie dobrych, ciepłych kontaktów z bliźnimi. Pod tym względem nie ma jak zawód lekarza: można prowadzić własne, prywatne życie naukowe wybiegające w przyszłość, a jednocześnie przychodzić z pomocą starszkom z parafii. Dla pastora to o wiele trudniejsze – Farebrother wygląda mi na nietypowego”.

Ta ostatnia refleksja przywołała wspomnienie domu państwa Vincych i sceny minionego wieczora zaczęły się przyjemnie przesuwają w jego pamięci, jedna za drugą; kiedy brał do ręki świecę, idąc do łóżka, wargi miał rozchylone tym załęczkiem uśmiechu, który zwykle towarzyszy miłym wspomnieniom. Lydgate miał żarliwe usposobienie, lecz obecnie cała jego żarliwość skupiała się na zapamiętaniu w pracy i na ambicji, aby jego udział w poprawie życia ludzkiej społeczności znalazł kiedyś podobne uznanie co udział innych bohaterów nauki, którzy za cały początek mieli skromną praktykę w prowincjonalnym mieście.

Biedny doktor Lydgate! A raczej należałoby powiedzieć: biedna Rozamunda! Każde z nich żyło w świecie, o którym to drugie nie miało pojęcia. Nie przyszło Lydgate'owi do głowy, że był przedmiotem intensywnych rozmyślań Rozamundy, która ani nie widziała najmniejszego powodu, by odkładać swe zamążpójście w nieskończoność, ani nie prowadziła studiów nad patologią, zdolnych odwrócić jej myśli od przeżywania minionych wypadków i rozpamiętywania w nieskończoność spojrzeń, słów i zdań, co wielu dziewczętom zajmuje większość

czasu. Lydgate nie zamierzał przecież okazywać jej, czy to wzrokiem, czy słowem, większego zachwytu i podziwu, niż to przyjęte, gdy się człowiek znajdzie w towarzystwie pięknej dziewczyny, a nawet uważał, że zaniedbał okazania przyjemności, jaką wyniósł z jej gry i śpiewu, gdyż nie chciał być niegrzeczny, okazując zaskoczenie jej muzyczną oglądą. Rozamunda jednak odnotowała każde spojrzenie i słowo, i uznała je za wstępne kroki do przewidywanego romansu – kroki, które nabierają znaczenia dzięki przypuszczalnemu rozwojowi wypadków i ich zakończeniu. Romans w pojęciu Rozamundy nie wymagał zastanawiania się nad duchową egzystencją bohatera ani nad tym, czego on chce w życiu dokonać. Miał zawód, to oczywiste, był inteligentny oraz wystarczająco przystojny, lecz jeśli idzie o jego osobę, sprawą najbardziej pikantną było dobre urodzenie, które wyróżniało go spośród wszystkich miejscowych wielbicieli: małżeństwo z nim otwierało możliwość awansu społecznego i zbliżało ją o krok do tego nieba na ziemi, gdzie nie miałyby nic wspólnego z ludźmi wulgarnymi i zostałyby może kiedyś przyjęta do towarzystwa jego krewnych, równych tutejszemu ziemiaństwu, patrzącemu z góry na mieszkańców Middlemarch. Inteligencja Rozamundy pozwalała jej wywęszyć z daleka najsłabszy nawet zapach wyższych sfer; kiedyś zobaczyła siedzące wśród arystokracji obie panny Brooke, które towarzyszyły wujowi na sesji sądowej, i poczuła zawiść, choć były ubrane tak skromnie.

Jeśli trudno wam uwierzyć, że wyobrazenie doktora Lydgate, jako jej męża, mogło wywołać w Rozamundzie radosne dreszcze, które nie miały nic wspólnego z poczuciem, że się w nim zakochała, proszę, byćście skuteczniej korzystali ze swoich zdolności porównawczych i zastanowili się, czy czerwone sukno i epolety nie wywoływały podobnej reakcji. Nasze namiętności nie żyją osobno w zamkniętych na klucz pomieszczeniach, lecz odziane w skromną garderobę pojęć, znoszą prowianty do wspólnego

stołu, by się pożywiać ze zgromadzonych wspólnie zapasów, zależnie od apetytu.

Rozamunda była w istocie pochłonięta nie tyle Tertiussem Lydgate jako takim, ile jego stosunkiem do niej; można by zresztą wybaczyć dziewczynie, która wciąż słyszała, że wszyscy młodzi ludzie naokoło mogliby, chcieliby, będą lub właśnie są w niej zakochani – można by jej wybaczyć przekonanie, iż młody lekarz nie okaże się wyjątkiem. Jego spojrzenia i słowa więcej dla niej znaczyły niż spojrzenia i słowa innych, ponieważ bardziej ich pragnęła: pilnie o nich myślała i pilnie dbała o doskonałość swego wyglądu zewnętrznego, zachowania, wypowiedzanych opinii i innych świadectw elegancji, które sprawiają, że jego uwielbienie będzie jeszcze pełniejsze, niż to się jej obecnie wydawało.

Rozamunda bowiem, chociaż nigdy nie zrobiłaby czegoś, co sprawiałoby jej przykrość, była bardzo pilna i pracowita, a teraz zaczęła jeszcze pilniej rysować krajobrazy i wozy jadące na targ oraz portrety znajomych, ćwiczyła na pianinie – jednym słowem – od rana do wieczora zachowywała się, wedle własnych pojęć, jak dama, mając za audytorium własną świadomość, a niekiedy jeszcze coś miłego na dodatek, w postaci licznych gości w domu. Znajdowała również czas na czytanie najlepszych powieści, a niekiedy może i trochę gorszych, i nauczyła się wielu wierszy na pamięć. Jej ulubionym poematem była *Lalla Rookh*.

„Najwspanialsza dziewczyna na świecie! Szczęściarz, komu się ona dostanie” – taka była opinia starszych panów, którzy odwiedzali dom państwa Vincych, a młodzi odpaleni konkurenci myśleli o ponowieniu starań, jak to bywa w prowincjonalnych miastach, gdzie nie grozi pojawienie się tłumu rywali. Pani Plymdale jednak uważała, że z tym wykształceniem Rozamundy to już doprawdy śmieszna wprost przesada – co jej przyjdzie z tych wszystkich kunsztów, które i tak pójdą w ką, kiedy tylko wyjdzie za mąż. Ciotka Rozamundy zaś, pani Bulstrode, która

rodzinę brata darzyła siostrzanym, wiernym uczuciem, życzyła poważnie bratanicy dwóch rzeczy: żeby nabrała nieco więcej powagi oraz żeby znalazła męża, którego stać będzie na sprostanie jej przyzwyczajeniom.

ROZDZIAŁ XVII

Osoba urzędowa oznajmiła,
Że Obietnica ładną panną była –
Cóż, będąc biedną, panienką skończyła.

Następnego wieczoru Lydgate poszedł odwiedzić pastora Camdena Farebrothera. Mieszkał on w starej kamiennej plebanii, której czcigodny wygląd pozwalał trwać w harmonii ze stojącym naprzeciw kościołem. Meble w domu również były stare, lecz pochodziły z innego przedziału wieków – z czasów ojca i dziadka pastora. A więc białe, malowane krzesła ze złoceniami i girlandami i zetłałe czerwone adamaszki, mocno już splekane. A więc na ścianach sztychy portretów lordów kanclerzy i innych prawniczych znakomitości z minionego stulecia, naprzeciwno zaś stare trena, w których się owi kanclerze odbijali, małe stoliczki z ałasuowego drewna oraz szezlongi niby niewygodne fotele o przedłużonych siedzeniach, rysujące się wyraźnie na tle ciemnej boazerii. Tak wyglądał salon, do którego wprowadzono doktora Lydgate i w którym przywitały go trzy damy, równie staroświeckie i równie spłowiałe, lecz autentyczne w swojej szacowności: pani Farebrother, siwowłosa matka pastora, w koroneczkach i chusteczkach, elegancko schludna, wyprostowana, o bystrym spojrzeniu, jeszcze przed siedemdziesiątką; panna Noble, jej siostra, drobniotka dama o bardziej potulnej minie, w koroneczkach i chusteczkach, wyraźnie bardziej znoszonych i pocerowanych, oraz panna Winifreda Farebrother, starsza siostra pastora, przystojna, podobnie jak on, lecz zwarzona i przygaszona, jak to bywa z samotnymi kobietami, które przez całe życie bezustannie podlegają starszym. Doktora zaskoczyło tak osobliwe zgromadzenie; wiedział, że pastor jest kawalerem, i spodziewał

się, że zostanie wprowadzony do jakichś przytulnych czterech kątów, gdzie umeblowanie składać się będzie głównie z książek i kolekcji przyrodniczych. Sam pastor wydawał się jakiś inny – często odnosi się takie wrażenie, odwiedzając po raz pierwszy w domowych pieleszach mężczyznę poznanego na innym terenie; przypomina aktora, który choć znakomity w rolach jowialnych, tu został niefortunnie obsadzony w roli śledziennika. Tak jednak rzecz się nie miała w wypadku pastora Farebrothera: wydawał się tylko nieco łagodniejszy i bardziej małowówny, gdyż prym w rozmowie wiodła jego matka, a on tylko, od czasu do czasu, rzucał jakąś dobroduszną, pojednawczą uwagę. Starsza dama miała najwidoczniej zwyczaj pouczania wszystkich wokół, co mają myśleć, i każdy temat wydawał jej się niebezpieczny, jeśli sama nie nadała kierunku rozmowie. Mogła sobie na to pozwolić, gdyż panna Winifreda wyręczała ją we wszystkim. Tymczasem malutka panna Noble zdążyła już wrzucić do przewieszzonego przez ramię koszyczka kawałek cukru, upuściwszy go wpierw, niby to przypadkiem, na spodeczek, potem zaczęła się ukradkiem rozglądać wokół i wróciła do swojej filiżanki herbaty, wydając cichy, niewinny pisk, niby jakiś malutki, lęklivy czworonóg. Nie pomyślcie czasem, proszę, czegoś złego o panie Noble! Koszyczek zawierał drobne, zaoszczędzone przez nią przysmaczki dla dzieci różnych znajomych biedaków, wśród których krążyła w pogodne przedpołudnia. Karmienie i dogadzanie wszystkim potrzebującym sprawiało jej tak naturalną przyjemność, że skłonna je była uważać za folgowanie miłej słabostce. Być może zdawała sobie sprawę, że nachodzi ją pokusa, by kraść bogatym i rozdawać ubogim i owe tłumione pragnienie rodziło w niej poczucie winy. Trzeba być biednym, aby wiedzieć, jakim luksusem jest dawanie.

Pani Farebrother powitała gościa żywo, lecz formalnie. Poinformowała go na wstępie, że w jej domu rzadko potrzebowano pomocy medyka, a to

dlatego, że przyuczyła dzieci do noszenia flaneli, jak również do tego, by nigdy nie jadły nad miarę, co, jej zdaniem, jest najczęstszym powodem, dla którego ludzie wzywają lekarza. Lydgate ujął się za tymi, których rodzice się przejadali, pani Farebrother uznała jednak ten punkt widzenia za niebezpieczny. Natura jest o wiele bardziej sprawiedliwa; przecież gdyby przyjął ten sposób rozumowania, każdy przestępca mógłby żądać, by wieszano nie jego, lecz jego przodków. Dzieci złych rodziców, które same zeszyły na złą drogę, kończą na szubienicy. Nie ma sensu odwoływać się do jakichś zaszczości, których się nie było świadkiem.

– Moja matka – wyjaśnił pastor – jest jak Jerzy Trzeci. Odrzuca metafizykę.

– Odrzucam to, co złe, Camden. Powiadam: trzymaj się kilku prostych prawd i do nich dopasowuj całą resztę. Za mojej młodości, panie doktorze, nikt nigdy nie wątpił, co jest dobre, a co złe. Uczyliśmy się katechizmu i to nam wystarczało: nauczyliśmy się naszej wiary i naszych obowiązków. Każdy szanujący się członek Kościoła miał takie same poglądy. Ale dzisiaj, nawet jeśli człowiek recytuje z modlitewnika, i tak może się dowiedzieć, że nie ma racji.

– Dzięki temu osoby, które lubią obstawać przy swoim, mają szerokie pole do popisu – roześmiał się Lydgate.

– Moja matka zawsze jednak w końcu ustępuje – zauważył pastor prowokująco.

– Nic podobnego, Camden, proszę, byś nie wprowadzał pana doktora w błąd co do mojej osoby. Nigdy w życiu nie okazałabym braku szacunku dla pamięci moich rodziców i nie odstąpiłabym od tego, czego mnie uczyli. Każdy wie, co przychodzi ze zmiany poglądów. Człowiek, który raz je zmienił, może to później zrobić i dwadzieścia razy.

– Można mieć przecież dobre argumenty za tym, by raz się zmienić, a potem nie mieć już powodów do następnej zmiany – zauważył Lydgate,

którego ta arbitralna starsza pani bardzo rozbawiła.

– Niech pan wybaczy. Jeśli idzie o argumenty, to człowiek niestały zawsze ich znajdzie pod dostatkiem. Mój ojciec nigdy się nie zmienił, głosił zwykłe, umoralniające kazania, bez żadnych tam argumentów, i był dobrym człowiekiem – niewielu jest takich na świecie. Jeśli mi pan pokaże dobrego człowieka stworzonego z argumentów, to ja panu ugotuję dobry obiad z książki kucharskiej. Takie jest moje zdanie, a myślę, że każdy żołądek je potwierdzi.

– Co się tyczy obiadu, z pewnością, proszę mamy – zgodził się doktor.

– Nie ma różnicy: obiad czy człowiek. Dochodzę siedemdziesiątki, panie doktorze, i kieruję się w życiu doświadczeniem. Nie leży w mojej naturze uleganie nowym pomysłom, chociaż ich bez liku, u nas i gdzie indziej. Najczęściej to jakieś zlepki, cudactwa do niczego niepodobne. Nie tak bywało za moich młodych lat: anglikanin to był anglikanin, a pastor to był z pewnością co najmniej dżentelmen. A teraz to może być ktoś nie lepszy od dysydenta, kto pod pretekstem doktryny próbuje zaszkodzić mojemu synowi. Ale jeśli nawet ktoś by próbował mu szkodzić, to powiem panu z dumą, panie doktorze, że i tak nikt w całym królestwie nie może się równać z moim synem jako kaznodzieją – a już co tu mówić o mieście, które ma bardzo niskie standardy – przynajmniej w moim przekonaniu, bo ja się wodziłam i wychowałam w hrabstwie Exeter.

– Matki nigdy nie są stronnicze – uśmiechnął się pastor. – Co też może mówić matka pastora Tyke o swoim synu?

– Och, biedaczka! Co też ona może mówić! – zafrasowała się pani Farebrother, gdyż wiara w słuszność matczynych osądów stępiła na chwilę ostrość jej oburzenia. – Przed samą sobą nie ukrywa prawdy, możesz być pewny.

– A jaka jest prawda? – zainteresował się Lydgate. – Bardzo jestem ciekaw.

– Och, nie taka znowu straszna – odparł pastor. – To człowiek żarliwy: niezbyt uczony i niezbyt mądry, jak myślę, ponieważ się z nim nie zgadzam.

– Ależ Camden – odezwała się panna Winifreda – właśnie dzisiaj Griffin i jego żona powtarzali mi słowa pastora Tyke; mówił, że jeśli będą słuchać twoich kazań, to nie dostaną więcej węgla.

Pani Farebrother odłożyła robótkę, do której się była zabrała po kilku łyżkach herbaty i malutkiej grzance, i spojrzała na syna, jakby chciała powiedzieć: czy ty słyszysz? Panna Noble powiedziała: „Biedacy, biedacy”, mając zapewne na myśli podwójną stratę: kazania i węgla. Pastor jednak odparł spokojnie:

– To dlatego, że nie są moimi parafianami. I nie sądzę, żeby moje kazania warte były dla nich ładunku węgla.

– Panie doktorze – pani Farebrother nie mogła tego puścić bez komentarza. – Pan nie zna mojego syna. On się nigdy nie doceniał. Powiadam mu, że nie docenia Pana Boga, który go stworzył i który go uczynił znakomitymi kaznodzieją.

– Widzę, że najwyższy czas zabrać doktora Lydgate do pracowni – roześmiał się pastor. – Obiecałem pokazać panu swoje zbiory, doktorze. Pójdziemy?

Trzy panie zaprotestowały. Nie wolno tak popędzać pana doktora, żeby wychodził z salonu bez wypicia jeszcze jednej filiżanki herbaty: panna Winifreda ma jej tyle w czajniczku! Czemu Camdenowi tak spieszą zabierać gościa do pracowni? Tam nie ma nic ciekawego, same marynowane robaki i szuflady pełne butelek z niebieskiego szkła i różnych ciem, a poza tym goła podłoga. Niechże pan doktor wybaczy. Partyjka *cribbage* sprawi mu o wiele większą przyjemność. Krótko mówiąc, jasne było, że panie stawiają pastora na piedestale jako mężczyznę i kaznodzieję, a jednocześnie uważają, że wymaga on ich nieustannych

pouczeń. Lydgate z typowym dla młodego kawalera płytkim podejściem do takiej sprawy dziwił się, że pastor na to pozwala.

– Matka nie przywykła, by odwiedzał mnie ktoś, kogo interesuje mój konik – tłumaczył pastor, otwierając drzwi do swej pracowni, gdzie istotnie nie było żadnych luksusów dla ciała, jak to zapowiadały panie, chyba żeby za taki przedmiot przyjąć krótką porcelanową fajeczkę i pudełko z tytoniem.

– Ludzie pańskiej profesji na ogół nie palą – ciągnął pastor. Lydgate potrząsnął głową z uśmiechem. – Mojej również, zapewne słusznie. Usłyszysz pan jeszcze o tej fajce od Bulstrode’a i Spółki, będzie to argument przeciwko mnie. Nie wiedzą, jak ucieszyłyby się diabeł, gdybym przestał palić.

– Rozumiem. Ma pan wybuchowy temperament i potrzeba panu czegoś uspokajającego. Ja jestem bardziej oziębiały i gdybym palił, stałbym się gnuśny. Wpędziłbym się w lenistwo i trwałbym w nim z całym upodobaniem.

– A zamierza pan wszystkie siły poświęcić pracy. Jestem o jakieś dziesięć czy dwanaście lat starszy od pana i poszedłem na kompromis. Folguję kilku słabostkom na tyle, by nie zaczęły się domagać ode mnie czegoś więcej. Proszę spojrzeć – ciągnął, otwierając jakieś szufladki – wydaje mi się, że zrobiłem bardzo dokładne badania entomologii tego okręgu. Pracuję nad jednym i drugim, nad fauną i florą, w każdym razie owady mam bardzo przyzwoicie opracowane. Jest tu szczególnie dużo prostoskrzydłych: nie wiem, czy... Ach, złapał pan ten słów i zagląda do niego, a nie do moich szuflad. Czy one pana nie interesują?

– Nie są w stanie w zestawieniu z tym wspaniałym bezmózgim potworem. Nigdy nie miałem czasu przyłożyć się porządnie do nauk przyrodniczych, bardzo wcześnie i ze szczerem pochłonął mnie problem anatomii i on właśnie leży bezpośrednio w kręgu moich zawodowych

zainteresowań. Poza tym nie mam żadnych koników. Moja dziedzina to istne morze. Jest w czym pływać.

– Szczęśliwiec – westchnął pastor i obróciwszy się na pięcie, zabrał się do nabijania fajki. – Nie wie pan, jakie skutki wywołuje brak takiej duchowej używki: kiepskie komentarze do starych tekstów, liche artykułiki o odmianie *Aphis brassicae*, opatrzone znanym podpisem *Philomicrona* dla jakiegoś pośledniego miesięcznika czy też uczony traktat o entomologii Pięcioksięgu, zawierający wykaz wszystkich owadów, co prawda niewymienionych tam, lecz być może napotkanych przez Izraelitów, gdy przechodzili przez pustynię, albo monografia na temat mrówki w ujęciu Salomona, co winno dowodzić, że Księga Przysłów jest w zgodzie z wynikami najnowszych badań. Czy panu nie przeszkadza, że go okadzam?

Lydgate bardziej był zaskoczony otwartością tej wypowiedzi niż zawartą w niej sugestią, jakoby pastor miał poczucie, iż minął się ze swoim prawdziwym powołaniem. Porządne, przystosowane do potrzeb kolekcjonerskich szuflady i półki oraz biblioteczka, pełna kosztownych ilustrowanych książek przyrodoznawczych, przywołały mu na myśl wygrane w karty i przeznaczenie tych wygranych. Zaczynał jednak pragnąć, aby najlepsza wykładnia wszystkiego, co pastor Farebrother czyni, okazała się prawdziwa. Szczerość gospodarza nie była z gatunku odpychających, takich, co się biorą z niespokojnego sumienia, pragnącego uprzedzić cudzy osąd, wynikała tylko z chęci, by jak najmniej udawać. Pastor zrozumiał widać, że jego swobodna wypowiedź mogła się wydać przedwczesna, gdyż rzekł:

– Nie powiedziałem panu, doktorze, że mam nad panem przewagę i znam pana lepiej niż pan mnie. Czy pamięta pan Trawleya, z którym przez pewien czas dzielił pan pokoje w Paryżu? Prowadziłem z nim korespondencję, a on często pisał mi o panu. Z początku, zaraz po

pańskim przyjeździe, nie byłem pewny, czy jest pan tą samą osobą, i bardzo się ucieszyłem, stwierdzając, że tak rzecz się ma w istocie. Nie zapominam jednak, że pan nie miał podobnego przygotowania, jeśli idzie o moją osobę.

Lydgate wyczuł w tym jakąś delikatność uczuć, ale nie bardzo rozumiał, o co chodzi.

– A jeśli mówimy o Trawleyu, co się z nim stało? – spytał. – Straciłem go z oczu. Bardzo się zapalił do francuskich systemów społecznych i mówił o wyjeździe na jakieś odludzie, żeby założyć coś w rodzaju pitagorejskiej komuny. Czy pojechał?

– Nic podobnego. Podjął praktykę w niemieckim kurorcie i ożenił się z bogatą pacjentką.

– Wobec tego, jak dotąd, moje fantazjowanie lepiej zniosło próbę życia – Lydgate zaśmiał się krótkim, szyderczym śmiechem. – On uważał, że zawód lekarski musi nieuchronnie prowadzić do oszustwa. Ja twierdziłem, że wina tkwi w ludziach, którzy schlebiają kłamstwu i cudzym fanaberiom. Zamiast wygłaszać kazania o oszustwie poza domem, lepiej zdezynfekować go od wewnątrz. Krótko mówiąc – przywołuję tu naszą ówczesną rozmowę – zapewniam pana, że cały zdrowy rozsądek był po mojej stronie.

– Ale pańskie projekty są o wiele trudniejsze do zrealizowania niż założenie pitagorejskiej komuny. Nie tylko ma pan w samym sobie pierwotnego Adama za przeciwnika, ale też ma pan wokół siebie potomków tego Adama. Składa się z nich całe społeczeństwo. Widzi pan, zapłaciłem dwanaście czy trzynaście lat więcej za moją wiedzę o tych trudnościach. Ale – pastor przerwał na chwilę, a potem podjął – znowu patrzy pan na ten słój. Czy chce mi pan coś zaproponować na wymianę? Uprzedzam, że nie oddam go za byle co.

– Mam kilka złotorunek, świetne okazy, w spirytusie. Dorzucę

jeszcze nową pracę Roberta Browna *Obserwacje mikroskopowe pyłków kwiatowych*, jeśli pan jej przypadkiem jeszcze nie ma.

– No cóż, widząc, jak wielką ma pan ochotę na potwora, mógłbym zażądać wyższej ceny. A może poproszę, żeby przejrzał pan ze mną szuflady i przyznał mi rację co do sposobu, w jaki sklasyfikowałem nowe gatunki. – Pastor, mówiąc to, albo przechadzał się z fajką w ustach, albo obrzucał czułym wzrokiem swoje szuflady. – Dyscyplinujące ćwiczenie, bardzo przydatne dla młodego lekarza, który będzie się musiał przypodobać pacjentom w Middlemarch. Musi się pan nauczyć nudzić, proszę o tym pamiętać. Ale potwora może pan zabrać na swoich warunkach.

– Czy nie sądzi pan, pastorze, że to przesada ulegać wszelkiej głupocie, by w zamian zyskiwać tylko wzgardę głupców, którym się ulega? – powiedział doktor, stając u boku pastora i spoglądając z pewnym roztargnieniem na pięknie uszeregowane okazy owadów i ich nazwy wykaligrafowane na etykietach. – Najprościej jest pozwolić ludziom poznać swoją wartość, tak żeby musieli człowieka akceptować, czy im schlebia, czy nie.

– Zgadzam się całym sercem. Ale musi pan być pewny własnej wartości i musi pan umieć zachować swoją niezależność. Niewielu to potrafi. Albo człowiek porzuci obowiązki i nie będzie nic wart, albo wsadzi głowę w jarzmo i zacznie ciągnąć w gruncie rzeczy tam, gdzie ciągną jego współtowarzysze. Ale niech pan spojrzy, proszę, na ten delikatny okaz prostoskrzydłego...

Gość musiał wreszcie spojrzeć na każdą szufladę, a pastor, śmiejąc się z siebie, pilnował jednak, by przegląd odbywał się jak należy.

– À propos tego, co pan powiedział o jarzmie i zaprzęgu – podjął Lydgate, gdy usiedli. – Postanowiłem jakiś czas temu, że będę z tym miał jak najmniej wspólnego. Dlatego zdecydowałem się nie podejmować praktyki w Londynie, przynajmniej jeszcze przez kilka dobrych lat. Nie

spodobało mi się to, co tam widziałem w czasie studiów: tyle próżnego zarozumiałstwa, tyle szkodliwej szarlatanerii. Na prowincji ludzie mają mniej pretensji do uczoności, nie całkiem należą do naszego towarzystwa i dzięki temu rzadziej urażają naszą miłość własną; w człowieku mniej się rodzi złej krwi i może ze spokojem robić to, co sobie zaplanował.

– Tak... no cóż, ma pan dobry start: uprawia pan właściwy zawód, robi pan to, do czego czuje się najbardziej powołany. Wielu ludzi nie dokonało takiego wyboru i żałują poniewczasie. Ale niech pan nie będzie zbyt pewny, że uda mu się zachować niezależność.

– Ma pan na myśli obowiązki rodzinne – zapytał doktor, świadom, że te muszą się nieźle dawać pastorowi we znaki.

– Nie tylko. Oczywiście, takie więzy mogą być w wielu sprawach utrudnieniem, ale dobra żona, dobra, prosta kobieta, może w istocie bardzo pomóc mężczyźnie i uczynić go bardziej niezależnym. Mam pewnego parafianina, dzielny człowiek, ale nie wiem, czy dawałby sobie radę, tak jak daje, gdyby nie miał żony. Zna pan Garthów? Wydaje mi się, że nie byli pacjentami doktora Peacocka.

– Nie znam, ale u starego Featherstone’a, w Lowick, mieszka panna Garth.

– To ich córka, świetna dziewczyna.

– Bardzo cicha, niemal jej nie zauważyłem.

– Za to ona pana zauważyła, może pan być pewny.

– Nie rozumiem.

Trudno byłoby doktorowi powiedzieć: „to oczywiście”.

– Och, po prostu wyrabia sobie sąd o napotkanych ludziach. Przygotowywałem ją do bierzmowania, to moja ulubiona uczennica.

Pastor przez chwilę pykał w milczeniu fajeczkę, jako że Lydgate nie wykazywał zainteresowania Garthami. Wreszcie gospodarz odłożył fajkę, wyciągnął nogi i z uśmiechem zwrócił na gościa bystre oczy, mówiąc:

– My tu, w Middlemarch, nie jesteśmy jednak tak nieszkodliwi, jak pan sądzi. Mamy swoje obozy i swoje intrygi. Ja na przykład jestem w jednym obozie, a Bulstrode w drugim. Jeśli będzie pan na mnie głosował, zrazi pan sobie Bulstrode’a.

– A jakie zarzuty stawia się Bulstrode’owi? – zapytał z zainteresowaniem Lydgate.

– Nie powiedziałem, że stawia mu się jakieś zarzuty, z wyjątkiem tego właśnie, że jeśli będzie pan głosował przeciwko niemu, stanie się pan jego wrogiem.

– Nie sądzę, żebym się musiał z tym liczyć – powiedział Lydgate nieco wyniośle. – Wydaje mi się jednak, że ma dobre pomysły, jeśli idzie o szpitalnictwo, i wydaje duże sumy na cele społecznie pożyteczne. Może mi w istotny sposób pomóc w realizacji moich zamysłów. A jeśli idzie o jego religijne zapatrywania... no, cóż, Wolter powiedział, że stado owiec można zabić czarami, jeśli się je przyprawi szczyptą arszeniku. Szukam człowieka, który dostarczy arszeniku, a jego magiczne sztuczki nic mnie nie obchodzą.

– Bardzo pięknie. Ale wobec tego nie może pan urazić dostawcy arszeniku. Mnie pan nie urazi – dodał z wielką prostotą. – Nie uważam, że moja wygoda to cudzy obowiązek. Jestem przeciwny Bulstrode’owi z wielu względów. Nie lubię osób, którymi się otacza: są to ludzie ograniczeni, bez wykształcenia, którzy więcej energii poświęcają na to, by zająć bliźniemu za skórę, niż żeby z nich zrobić lepszych ludzi. Działają metodą ziemsko-duchowej koterii: doprawdy, patrzą na pozostałe istoty jak na padlinę, co do której zapadł już wyrok, a która będzie ich żywiła w drodze do nieba. Ale – dodał z uśmiechem – nie powiem, że nowy szpital Bulstrode’a to zły pomysł, a jeśli idzie o to, że chce się mnie pozbyć ze starego... cóż, jeśli uważa mnie za szkodnika, to tylko odpłaca mi pięknym za nadobne. Ja nie jestem wzorowym duszpasterzem, tylko

przyzwoitą imitacją.

Lydgate wcale nie był pewny, że pastor ocenia się niesprawiedliwie. Wzorowy duszpasterz, podobnie jak wzorowy lekarz, powinien uważać, że jego zawód jest najwspanialszy na świecie, a wiedzę traktować jako lek na schorzenia moralne. Zapytał tylko:

– Jakie argumenty podaje Bulstrode, chcąc się pana pozbyć?

– Ze nie głoszę jego poglądów, które on nazywa duchową religią, oraz że ciągle brakuje mi czasu. Oba twierdzenia są prawdziwe. Ale też mógłbym znaleźć więcej czasu i bardzo by mi się przydało czterdzieści funtów. Tak wyglądają podstawowe fakty.

Ale dajmy pokój tej sprawie. Chciałem panu tylko powiedzieć, że jeśli będzie pan głosował zgodnie z wolą dostawcy arszeniku, nie powinien pan w konsekwencji ze mną zrywać. Jest mi pan potrzebny. Jest pan kimś w rodzaju żeglarsza, który opłynął kulę ziemską i przyjechał, by osiąść wśród nas; dzięki panu zachowam wiarę w antypody. A teraz proszę mi opowiedzieć, co tam słychać w Paryżu.

ROZDZIAŁ XVIII

Panie, intencja najwznieślejsza w świecie
Idzie o lepsze z nadzieją nikczemną,
Piersi walecznej w morowym powietrzu
Zaraza grozi; kiedy na równiku
Cytryn zabraknie, wszyscy mrą na szkorbut.

Minęło kilka tygodni od tej rozmowy, nim przed doktorem stanął w sposób praktyczny problem kapelana; dotychczas Lydgate, nie wchodząc w przyczyny, powstrzymywał się od decyzji, na kogo odda swój głos. Cała sprawa byłaby mu zupełnie obojętna, to znaczy, obrałby wygodniejsze dla siebie rozwiązanie i bez wahania głosował na pastora Tyke, gdyby nie to, że polubił pastora Farebrothera.

Ta sympatia dla duszpasterza kościoła Świętego Botolpha rosła wraz z pogłębiającą się znajomością. Fakt, że pastor, rozumiejąc sytuację doktora jako nowo przybyłego, który musi tu zabezpieczyć swoje interesy zawodowe, bardziej starał się go zniechęcić niż pozyskać dla swojej sprawy, dowodził szczególnej delikatności i wielkoduszności, na co Lydgate był z natury bardzo wrażliwy. Dochodziły do tego inne fakty, świadczące o wyjątkowo szlachetnej postawie pastora, które sprawiały, że charakter jego przypominał owe krajobrazy południa, gdzie wspaniałość natury połączona jest z bałaganiarstwem mieszkańców. Niewielu znalazłbyś mężczyzn, tak jak on rycerskich i synowsko oddanych matce, ciotce i siostrze, które przecież były dlań ciężarem i pod wieloma względami komplikowały mu życie; niewielu znalazłbyś mężczyzn, którzy nękanymi drobnymi, dokuczliwymi brakami umieliby z taką godnością odrzucić pokusę ubierania swoich oczywistych potrzeb

w szaty wyższych konieczności. Pastor dobrze wiedział, że pod tym względem najściślejsza kontrola nie wykaże skazy na jego życiu, i może ta właśnie świadomość pozwalała mu ustosunkowywać się w sposób nieco wyzywający do krytycznej i surowej postawy ludzi, na których postępowaniu nie znać było jakoś śladów ich niebiańskich koneksji, a którym wzniosłe ideały zbędne były przy rozliczaniu się z czynów. Poza tym – kazania jego były rozumne i lapidarne, jak kazania anglikańskie w najlepszym okresie Kościoła, a wygłaszał je bez notatek. Przychodzili słuchać go ludzie z innych parafii, a ponieważ najtrudniejszym zadaniem duszpasterza było zapełnienie kościoła, miał jeszcze jeden powód do beztroskiego poczucia wyższości. W sumie był to sympatyczny człowiek o łagodnym usposobieniu, z poczuciem humoru, szczery, nieprzyjmujący postawy skrywanego cierpienia czy innych fałszywych póz w kontakcie z rozmówcą, co sprawia, że połowa z nas jest nieszczęściem dla przyjaciół. Lydgate polubił go serdecznie i chciał mieć w nim przyjaciela.

Ponieważ uczucie to górowało nad innymi, odsuwał wciąż problem wyboru kapelana, tłumacząc sobie, że to nie tylko nie jego sprawa, ale że zapewne nigdy nie będzie miał przykrej konieczności głosowania. Na prośbę pana Bulstrode kreślił plany wewnętrznej organizacji nowego szpitala i często odbywał z bankierem narady. Ten niezmiennie dawał do zrozumienia, że ogólnie biorąc, liczy na Lydgate'a jako na współpracownika, nie robił jednak żadnych dodatkowych uwag na temat zbliżających się wyborów. Kiedy jednak odbyło się zebranie Zarządu Infirmerii, Lydgate dowiedział się, że problem kapelana zostanie postawiony na wspólnej naradzie członków Zarządu oraz lekarzy, którą wyznaczono na najbliższy piątek, i stwierdził z irytacją, że musi podjąć decyzję w tej jakże pospolitej, miasteczkowej sprawie. Nie mógł uciszyć wewnętrznego głosu, który mówił wyraźnie, że Bulstrode to premier, a sprawa pastora Tyke to dostać urząd albo go nie dostać, nie mógł też

stłumić równie wyraźnej niechęci do zrezygnowania z widoków na ten urząd. Dotychczasowe doświadczenia bowiem potwierdzały nieustannie słowa pastora Farebrothera, że bankier nie będzie tolerował opozycji. „Niech лихо weźmie ich prowincjonalne rozgrywki” – ta myśl powracała przez trzy kolejne poranki podczas rozważań przy goleniu, kiedy już zrozumiał, że musi sprawę rozstrzygnąć we własnym sumieniu. Przeciwko wyborowi pastora Farebrothera można było niewątpliwie wytoczyć kilka ważkich argumentów: miał już i tak aż nadto roboty, zważywszy na to, jak wiele czasu poświęcał na sprawy pozakościelne. Poza tym – ileż to już razy przeżywał Lydgate szok, podważający jego szacunek dla pastora, gdy stwierdzał, że ten gra najwyraźniej dla zysku; lubi grać, to prawda, ale przede wszystkim lubi cel, któremu gra służy. Pastor lansował teorię, że wszelkie gry są pożyteczne, i twierdził, że Anglikom dowcip rdzewieje, bo stracili żyłkę do hazardu. Doktor jednak był pewny, że pastor grałby rzadziej, gdyby nie pieniądze. W gospodzie Pod Zielonym Smokiem znajdowała się sala bilardowa, którą troskliwe matki i żony uważały za główne siedlisko pokus w Middlemarch. Pastor doskonale grał w bilard i choć nie bywał w gospodzie regularnie, to jednak wieść niosła, że zagląda tam czasem za dnia i wygrywa pieniądze. Jeśli idzie o stanowisko kapelana, nie udawał, że zależy mu na nim, lecz na czterdziestu funtach. Lydgate nie był purytaninem, ale odnosił się do gier lekceważąco, a już wygrywanie pieniędzy wydawało mu się czymś niegodnym; nadto tego rodzaju sposób zdobywania drobnych sum musiał – w zestawieniu z jego ideałami życiowymi – budzić w nim niechęć. Dotychczas bez większych kłopotów zaspokajał swoje potrzeby, zawsze odruchowo szafował półkoronówkami, uważając, że nie mogą stanowić problemu dla dżentelmena, i nigdy nie przyszłoby mu do głowy zastanawiać się, jak też zdobywać te półkoronówki. Zawsze wiedział, w ogólnikowy sposób, że nie jest bogaty, ale też nie uważał się za biednego i nie był w stanie

wyobrazić sobie sytuacji, w której brak pieniędzy determinuje czyjeś działania. Pieniądz nie był nigdy motywem jego postępowania. Dlatego właśnie nie starał się szukać wytłumaczenia tej rozmyślnej pogoni za drobnymi zyskami. Wydawało mu się to odrażające, a nigdy nie zaświtało mu w głowie pytanie, jaki zachodzi stosunek między dochodami pastora a jego mniej czy bardziej niezbędnymi wydatkami. Zapewne we własnym przypadku również nie dokonywałby takich obliczeń.

I teraz, kiedy już nie można było odsunąć problemu głosowania, ten odrażający fakt zaczął przemawiać przeciwko pastorowi Farebrotherowi o wiele silniej niż dotychczas. O ileż łatwiej byłoby nam podejmować decyzje, gdyby ludzie mieli bardziej jednoznaczne charaktery, a zwłaszcza gdyby nasi przyjaciele naprawdę nadawali się do objęcia posad, na które mają ochotę. Lydgate był przekonany, że gdyby nie istniały ważne argumenty przeciwko pastorowi Farebrotherowi, głosowałby na niego bez względu na to, co by pomyślał Bulstrode: nie miał zamiaru być jego wasalem. A znowu pastor Tyke całym sercem i duszą oddawał się swym pasterskim obowiązkom, był tylko wikarym na kapelanii podległej parafii Świętego Piotra i miał wolny czas na dodatkowe obowiązki. Nikt nie miał nic do zarzucenia pastorowi Tyke oprócz tego, że wszyscy go nie znosili i podejrzewali o obłudę. Doprawdy, Bulstrode miał ze swojego punktu widzenia rację.

Ale w którąkolwiek stronę zaczynał się Lydgate przychyłać, natykał się na coś, co go bodło, a że był człowiekiem dumnym, bardzo mu nie odpowiadała ta sytuacja. Nie miał ochoty rezygnować ze swoich najlepszych projektów, zadzierając z Bulstrode'em, nie miał ochoty głosować przeciwko pastorowi Farebrotherowi i przykładąć ręki do pozbawiania go funkcji i zarobków; przyszło mu też wreszcie do głowy pytanie, czy czasem te czterdzieści dodatkowych funtów nie uwolniłoby pastora od upokarzających starań o wygrane w karty. Nie w smak też

była doktorowi świadomość, że głosując na pastora Tyke, opowiada się po stronie jawnie dla siebie korzystniejszej. Ale czy w ostatecznym rezultacie naprawdę wynik byłby dla niego korzystniejszy? Ludzie by tak sądzili, mówiliby, że wkupią się w łaski Bulstrode'a, chcąc przydać sobie wagi i robić karierę. No więc co z tego? Przecież on sam wie dobrze, że gdyby chodziło o jego osobistą karierę, nie liczyłby się w ogóle z życzliwością czy nieżyczliwością bankiera. Ale to, na czym mu zależy, to warsztat pracy, środek realizacji jego idei; a poza tym, czy nie jest jego obowiązkiem przedkładać zdobycie dobrego szpitala, w którym mógłby demonstrować szczególne przypadki chorób zakaźnych i testować wyniki terapeutyczne, ponad wszystko inne, co miało związek ze sprawą kapelana? Po raz pierwszy poczuł hamującą mu ruchy cienką nitkę drobnych towarzyskich uwarunkowań i ich obezwładniającą zawilgość. Kończąc te wewnętrzne rozważania i ruszając do szpitala, miał tylko nadzieję, że dyskusja wydobędzie jakieś nowe aspekty sprawy, które tak zdecydowanie przechylą jedną szalę, że nie trzeba będzie głosować. Sądzę, iż wierzył również, że okoliczności mogą wyzwolić pewną energię – jakąś nagłą, gwałtowną emocję, która sprawi, że decyzja stanie się łatwa, podczas gdy chłodna debata utrudnia tylko jej podjęcie. Jakkolwiek było, nie powiedział sobie jasno, na kogo będzie głosował, i przez całą drogę zżywał się w duchu na przymus, jakiemu został poddany. Do niedawna wydawałoby się śmieszne i nielogiczne, by on, który postanowił zachować całkowitą niezależność i dążyć wprost do wybranego celu, musiał już na samym początku dokonywać żalostnego wyboru między ewentualnościami, z których jedna i druga budziła w nim niechęć. Inaczej wyobrażał sobie w studenckich czasach swoją przyszłą społeczną działalność.

Lydgate wyruszył późno, ale doktor Sprague, dwaj inni chirurdzy i kilku członków Zarządu nadeszło wcześniej. Pana Bulstrode, skarbnika i

prezesa jeszcze nie było. Z rozmowy wynikało, że wynik głosowania jest problematyczny i nie ma takiej, jak sądzono, pewności, że większość odda głosy na pastora Tyke. Obaj medycy okazali zaskakującą jednomyślność, a raczej, choć mieli różne poglądy, zjednoczyli się w działaniu. Doktor Sprague, szorstki, zażywny mężczyzna, był, jak wszyscy wiedzieli, stronnikiem pastora Farebrothera. Podejrzewano, a nawet przyjmowano za pewnik, że doktor jest człowiekiem niewierzącym, lecz społeczność Middlemarch tolerowała jakoś tę ułomność, jakby był lordem kanclerzem; w istocie, nie jest wykluczone, że wzmacniała ona zaufanie do profesjonalnych możliwości doktora, gdyż przekonanie o starych jak świat związkach między mądrością i złem wciąż żyło w wielu umysłach, nawet w umysłach pacjentek o najsurowszych poglądach na temat sentymentów i falbanek. Być może wskutek tej negatywnej odmienności doktora bliźni nazywali go człowiekiem suchym i chłodnym, a takie właściwości tworzą doskonałe warunki do przechowywania informacji o lekach. Tak czy inaczej, pewne jest, że gdyby do Middlemarch przyjechał jakiś lekarz, mający reputację bardzo religijnego, nawykły do ustawicznych modlitw i innych form okazywania pobożności, całe miasto uznałoby z góry, że jego umiejętności jako medyka są wysoce problematyczne.

Pod tym względem szczęśliwie się składało (z zawodowego punktu widzenia), że sympatie religijne doktora Minchina należały do gatunku mało konkretnych, takich, co to dają ogólną sankcję medyczną wszystkim poważnym przekonaniom, czy to anglikańskim, czy dysydenckim, nie ograniczając poparcia do jednej tylko doktryny. Jeśli pan Bulstrode obstawał, jak zwykł był czynić, przy luterańskiej doktrynie usprawiedliwienia jako tej, która jest jedynym fundamentem Kościoła, to doktor Minchin twierdził z kolei, że człowiek nie jest wyłącznie maszyną ani też przypadkowym zlepkiem atomów; jeśli pani Wimple uważała, że Opatrzność okazała się szczególnie łaskawa dla jej dolegliwości

żołądkowych, doktor Minchin ze swej strony preferował umysł otwarty i sprzeciwiał się wszelkim jego ograniczeniom; jeśli unitariański piwowar wyśmiewał się z wiary Atanazjusza, doktor Minchin cytował *Esej o człowieku* Pope'a. Nie lubił niewybrednych anegdotek, na jakie pozwalał sobie doktor Sprague, i wolał akceptowane w towarzystwie cytaty; cenił elegancję we wszystkich formach. Powszechnie było wiadomo, że ma w rodzinie biskupa i spędza niekiedy święta w „pałacu”.

Doktor Minchin był bladawy, pulchny, o miękkich dłoniach i z wyglądu przypominał dobrodusznego pastora, natomiast doktor Sprague był nieprzeciętnie wysoki: spodnie marszczyły mu się na kolanach, ukazując zbyt duży kawałek cholewki w czasach, gdy strzemiączka były nieodzownym atrybutem godnego wyglądu. Słyszało się go, gdy wchodził czy wychodził, szedł na górę, jakby chciał sprawdzić, co jest na dachu, czy schodził na dół. Krótko mówiąc – miał swój ciężar i można było oczekiwać, że chwyci chorobę za gardło i zdusi, podczas gdy doktor Minchin bardziej nadawał się do tego, by ją wyszukać, podejść i ocyganić. Posiadali niemal w równym stopniu zagadkowy przywilej dobrej sławy lekarskiej i bardzo dyplomatycznie skrywali wzajemną wzgardę dla swych medycznych umiejętności. Uważając się wzajemnie za miejscowe instytucje, gotowi byli łączyć siły przeciwko wszelkim innowatorom i ludziom spoza zawodu, skłonnyim mieszać się w cudze sprawy. Z tej przyczyny obaj byli w duchu przeciwni panu Bulstrode, choć doktor Minchin nigdy nie okazywał mu jawnej wrogości i zawsze tłumaczył pani Bulstrode, która uważała, że tylko doktor Minchin rozumie jej organizm, na czym polega różnica zdań między nim a bankierem. Laik, który wtykał nos w zawodowe sprawy lekarzy i nieustannie naprzykrzał im się ze swoimi reformami – choć osobiście mniej kłopotliwy dla obu

doktorów niż dla chirurgów aptekarzy^[35], leczących ubogich na podstawie kontraktu – musiał już jako taki drażnić profesjonalistów, doktor Minchin zaś żywił, podobnie jak inni, dodatkową urazę do Bulstrode’a za jawne patronowanie Lydgate’owi. Starzy, miejscowi lekarze ogólni^[36], panowie Wrench i Toller, stali nieco z boku i prowadzili przyjazną rozmowę, podczas której utrzymywali zgodnie, że Lydgate to zarozumialec, ale jakby stworzony na potrzeby Bulstrode’a. Wobec znajomych, niebędących lekarzami, zwykli byli chwalić nowego kolegę, który osiadł w Middlemarch po odejściu doktora Peacocka na emeryturę i który miał za jedyną rekomendację własne zasługi, a za gwarancję solidnej, zawodowej wiedzy fakt, że najwyraźniej nie marnował był czasu na inne studia. Jasne było, że Lydgate, który nie sporządzał leków, pragnął w ten sposób rzucić cień na swoich kolegów, jak też zatrzeć granice pomiędzy własną pozycją lekarza ogólnego a pozycją doktorów, którzy w interesie całego zawodu muszą strzec określonych w nim gradacji. A już zwłaszcza bronić się przed człowiekiem, który nie studiował na żadnym angielskim uniwersytecie i nie wyniósł korzyści z braku studiów anatomicznych i praktycznych tamże, za to przyjechał, chępiąc się praktyką zdobytą w Edynburgu i Paryżu, gdzie obserwacji mógł mieć w bród, to prawda, ale czy aby właściwych?

Tak się więc składało, że Bulstrode identyfikowany był w tym przypadku z Lydgate ‘em, a Lydgate z pastorem Tyke: dzięki tej mnogości wymiennych nazwisk w sprawie wyboru kapelana ludzie myślący odmiennie mogli podjąć identyczną decyzję.

Doktor Sprague zaraz przy wejściu oznajmił zebrany wprost:

.....
[35] *Surgeon-apothecary* – chirurg, który zdał egzaminy upoważniające do praktyki jako chirurg i farmaceuta.

[36] *General practitioner* – lekarz ogólny, w owym czasie jednocześnie internista i chirurg.

– Ja jestem za Farebrotherem. Pensja, proszę bardzo, ale czemu ją zabierać miejscowemu pastorowi? Nie ma za wiele, a musi zabezpieczyć sobie życie, utrzymać dom i pamiętać o dobroczynności na wikariacie. Nie będzie niczyjej szkody, jak mu się wsunie czterdzieści funtów do kieszeni. To zacny chłop i niewiele w nim z pastora, akurat tyle, żeby starczyło na święcenia.

– Hola, hola, doktorze. – Okrzyk pana Powderella, emerytowanego kupca towarów żelaznych, mającego pozycję nie do lekceważenia, zabrzmiał trochę jak śmiech, a trochę jak wyraz dezaprobaty w Parlamencie. – Niech pan mówi, co chce. Tu jednak mamy rozważyć nie sprawę czyichś dochodów, ale sprawę dusz nieszczęśliwych, chorych ludzi. – Z głosu i twarzy pana Powderella bił szczerzy patos. – Tyke to prawdziwy apostoł Ewangelii. Postąpiłbym wbrew sumieniu, gdybym głosował przeciwko pastorowi Tyke.

– O ile mi wiadomo, przeciwnicy pastora Tyke nie prosili nikogo, żeby głosował wbrew własnemu sumieniu – powiedział pan Hackbutt, bogaty garbarz o miodopłynnej mowie, zwróciwszy surowo ku niewinnemu panu Powderellowi błyszczące okulary i zjeżone włosy. – W moim przekonaniu, jednakowoż, przystoi nam, członkom Zarządu, zastanowić się, czy uważamy, że naszą jest sprawą realizowanie propozycji pochodzących z określonego źródła? Czy ktokolwiek z tu obecnych może wyrazić przekonanie, że przyszedłoby mu do głowy zmieniać pastora, który zawsze pełnił tu funkcję kapelana, gdyby rzecz nie została zasugerowana przez pewne osoby, skłonne widzieć w każdej instytucji naszego miasta instrument do realizowania swoich dążeń. Nie osądzam niczych motywów, niechaj pozostaną pomiędzy nim i Najwyższym, ale powiadam, że uruchomiono tutaj wpływy, które są nie do pogodzenia z prawdziwą niezależnością i że stwarzając określone warunki, zmusza się do unizonego serwilizmu ludzi, których nie stać ani moralnie, ani

finansowo, żeby się do tego przyznać. Ja osobiście jestem człowiekiem świeckim, ale z wielką uwagą obserwuję podziały w Kościele i...

– A niech лихо weźmie podziały – zakrzyknął pan Frank Hawley, prawnik i sekretarz magistratu, który rzadko przychodził na zebrania Zarządu, ale teraz wszedł śpiesznie, trzymając pejcz w ręku. – Nic nam tu do nich. Farebrother pracował tutaj, robił całą robotę bez żadnej płacy i jeśli ma się płacić, to powinno się płacić jemu. Byłoby hultajstwem zabierać mu tę posadę.

– Myślę, że dobrze by było, gdyby panowie nie nadawali swoim wypowiedziom osobistego charakteru – powiedział pan Plymdale. – Będę głosował za pastorem Tyke, ale nigdy bym nie wiedział, że jestem „unizonym serwilistą”, gdyby o tym nie wzmiankował pan Hackbutt.

– Oświadczam, że moje uwagi nie nosiły osobistego charakteru. Powiedziałem wyraźnie, jeśli mi wolno powtórzyć, a również zakończyć to, co jeszcze chciałem powiedzieć...

– O, jest Minchin – zawołał pan Frank Hawley, na co wszyscy odwrócili się od pana Hackbutta, pozwalając mu odczuć całą bezużyteczność posiadania jakichkolwiek talentów w tym mieście. – Witamy, doktorze, chyba będę miał pana po właściwej stronie, co?

– Tak sądzę – doktor Minchin kiwnął głową, ściskając dłonie na prawo i lewo. – Bez względu na moje uczucia.

– Jeśli wchodzi tu w grę jakieś uczucia, to chyba tylko współczucie dla człowieka, któremu chcą zabrać pracę – stwierdził pan Frank Hawley.

– Przyznam, że i dla drugiej strony mam pewne zrozumienie. Moje uznanie jest podzielone – tłumaczył doktor Minchin, pocierając dłonie. – Uważam pastora Tyke za człowieka wzorowego, nieporównywalnego, i wierzę, że został tu zgłoszony z najszlachetniejszych pobudek. Jeśli idzie o mnie, pragnąłbym móc na niego głosować. Zmuszony jednak jestem do przyjęcia innego punktu widzenia, który daje pierwszeństwo pastorowi

Farebrotherowi. To człowiek miły, zdolny, kaznodzieja i jest wśród nas dłużej.

Stary pan Powderell patrzył przed siebie smutny i milczący. Pan Plymdale poprawił niespokojnie krawat.

– Chyba nie stawiasz pan Farebrothera za wzór duchownego – powiedział, wchodząc, pan Larcher, znakomitość w dziedzinie spedycji. – Nie życzę mu źle, ale sądzę, że na tym stanowisku wchodzi w grę obowiązek społeczny, nie mówiąc już o obowiązku wobec wyższej instancji. Moim zdaniem, pastor Farebrother zachowuje się zbyt swobodnie jak na duchownego. Nie chcę tutaj wytaczać przeciwko niemu żadnych szczegółowych zarzutów, ale on nie poświęci temu zajęciu dostatecznie dużo czasu.

– Diabła tam! Lepiej za mało niż za dużo! – zakrzyknął pan Hawley, powszechnie znany z grubiaństwa. – Chorzy nie mogą znieść tylu pacierzy i kazań. A taka metodystyczna religia jest szkodliwa dla ducha. Szkodliwa i dla brzucha, co? – Tu obrócił się ku czterem zgromadzonym medykom.

Ale nie musieli mu odpowiadać, gdyż w tej właśnie chwili weszło trzech panów, z którymi nastąpiły mniej lub bardziej kordialne powitania. Byli to: pastor Edward Thesiger, pleban kościoła Świętego Piotra, pan Bulstrode oraz nasz przyjaciel pan Brooke z Tipton, który niedawno pozwolił się wpisać na listę członków Zarządu, lecz jeszcze nie brał udziału w zebraniach, dzisiaj zaś przybył dzięki staraniom pana Bulstrode. Czekano już tylko na Lydgate'a. Wszyscy usiedli. Pan Bulstrode prezydował, blady i opanowany jak zwykle. Pastor Thesiger, umiarkowany ewangelik, wyraził pragnienie wyboru swego przyjaciela, pastora Tyke, człowieka zdolnego, gorliwego, który posługuje tylko na kapelanii, nie ma więc zbyt wielu obowiązków duszpasterskich i może swobodnie podjąć się dodatkowych. Jest rzeczą pożądaną, aby na tego rodzaju stanowiska przychodzili ludzie żarliwi: otwiera się tu wielka

możliwość wywarcia duchowego wpływu i choć jest rzeczą dobrą, iż wyznaczono kapelanowi pensję, należy czuwać, by sprawa stanowiska nie stała się wyłącznie sprawą płacy. Pastor Thesiger mówił z takim spokojem i taktem, że jego przeciwnicy mogli tylko milczeć i kipieć ze złości w duchu.

Pan Brooke tuszył, że wszyscy tu mają dobrą wolę. Nie zajmował się dotychczas sprawami Infirmarii, choć interesuje się ogromnie wszystkim, co może przynieść pożytek miastu, i szczęśliwy jest, mogąc się spotkać z tu obecnymi panami w każdej sprawie publicznej, w każdej, ma się rozumieć, sprawie publicznej, powtórzył pan Brooke, kiwając, jak zwykle, głową z ogromnym przekonaniem.

– Jestem bardzo zajęty jako sędzia oraz archiwariusz, ale uważam, że mój czas jest własnością społeczną i krótko mówiąc, przyjaciele przekonali mnie, że kapelan na pensji, na pensji, ma się rozumieć, to dobre rozwiązanie, i szczęśliwy jestem, że mogę tu być i głosować na pastora Tyke, który jak słyszałem, jest człowiekiem bez zarzutu, apostołskim, dobrym kaznodzieją i w ogóle, byłbym ostatnim, który wstrzymywałby się od oddania za nim głosu w tej, ma się rozumieć, sytuacji...– Coś mi się wydaje, że ładowali panu w głowę tylko połowę prawdy – oznajmił pan Frank Hawley, który się nie bał nikogo i był torysem wężącym wszędzie agitację wyborczą. – Wygląda na to, że nie wie pan, iż jeden z najzacniejszych ludzi w naszym mieście od lat wykonuje tu obowiązki kapelana za darmo i że chce się go zastąpić pastorem Tyke.

– Proszę wybaczyć, panie Hawley – zwrócił się do niego pan Bulstrode. – Pan Brooke został szczegółowo poinformowany o charakterze i pozycji pastora Farebrothera.

– Przez jego wrogów – wybuchnął pan Hawley.

– Ufam, że nie ma w tej sprawie żadnych osobistych niechęci – odezwał się pastor Thesiger.

– Przysięgłbym, że są – odparł pan Hawley.

– Panowie – pan Bulstrode mówił przyciszonym głosem – meritum sprawy można przedstawić bardzo krótko; jeśli ktokolwiek powątpiewa, czy wszyscy mający brać udział w głosowaniu otrzymali rzetelne informacje, mogą obecnie zrekapitulować względy, które winny zaważyć po każdej ze stron.

– Nie widzę, co by z tego mogło przyjść – zaprotestował pan Hawley.
– Myślę, że każdy z nas wie, na kogo będzie głosował. Każdy, kto chce postępować uczciwie, nie czeka ostatniej chwili, żeby wysłuchiwać argumentów obu stron. Nie mam czasu do stracenia i proponuję, aby sprawa została poddana natychmiast pod głosowanie.

Nastąpiła krótka, lecz wciąż gorąca dyskusja, nim każdy z zebranych napisał na kawałku papieru *Tyke* lub *Farebrother* i wsunął do szklanego kubka: w tej właśnie chwili pan Bulstrode zobaczył wchodzącego Lydgate’a.

– Widzę, że obecnie głosy są równo podzielone – powiedział Bulstrode wyraźnie i ostro. Potem podniósł wzrok na Lydgate’a.

– Pozostał jeszcze jeden głos. Pański, doktorze Lydgate. Czy będzie pan łaskaw napisać, kogo wybiera?

– Wobec tego sprawa jest przesądzona – oświadczył pan Wrench, wstając. – Wszyscy wiemy, jak będzie głosował pan Lydgate.

– Wydaje się, że ma pan coś szczególnego na myśli – zauważył nieco wyzywająco Lydgate, trzymając ołówek w powietrzu.

– To tylko mam na myśli, że będzie pan głosował jak pan Bulstrode. Czy uważa pan to za obraźliwe?

– Dla innych może być obraźliwe. Mnie jednak nie powstrzyma od głosowania w tej sprawie tak jak on.

Lydgate napisał szybko: *Tyke*.

Tak więc wielbny Walter Tyke został kapelanem Infirmierii, a Lydgate

kontynuował współpracę z panem Bulstrode. W gruncie rzeczy nie był pewny, czy Tyke nie jest właściwszym z dwóch kandydatów, a mimo to sumienie mówiło mu, że gdyby był wolny od pośrednich nacisków, głosowałby za pastorem Farebrotherem. Sprawa kapelana tkwiła mu w pamięci jak zadra, pamiętny przypadek, kiedy to prowincjonalne środowisko okazało się silniejsze od niego. Jakże człowiek może być zadowolony ze swojej decyzji, jeśli ma przed sobą taki wybór i musi go dokonywać w takich okolicznościach? Równie dobrze może być zadowolony ze swojego kapelusza, który wybrał spośród fasonów, jakie mu oferowały aktualne magazyny mody, a który nosi w najlepszym wypadku z rezygnacją, mającą za całe wsparcie możliwość porównania z innymi.

Pastor Farebrother jednak powitał go z taką samą jak przedtem życzliwością. Postać celnika i grzesznika okazuje się niekiedy w praktyce podobna do postaci współczesnego faryzeusza, gdyż większość z nas równie rzadko widzi niewłaściwość swojego postępowania jak niewłaściwość swoich argumentów czy nudę swoich dowcipów. Ale duszpasterz od Świętego Botolpha był niewątpliwie wolny od najmniejszego cienia faryzejstwa, a przyjmując do wiadomości, że jest aż nazbyt podobny do innych ludzi, stał się szczególnie do nich niepodobny pod jednym zwłaszcza względem: potrafił usprawiedliwić swoich bliźnich za to, że zlekceważyli jego osobę i osądzić bezstronnie ich postęпки, nawet jeśli godziły w jego interesy.

– Wobec mnie świat okazał się silniejszy – powiedział pewnego dnia Lydgate’owi. – Ale znowu ja nie jestem mocarzem i nigdy nie będę człowiekiem sławnym. Wybór Heraklesa to piękna legenda, ale Prodikos^[37] przedstawia ją jako rzecz dla bohatera łatwą, jakby

[37] Prodikos z Keos, współczesny Sokratesowi filozof, autor mitu *Wybór Heraklesa*.

wystarczały pierwsze postanowienia. Inna legenda powiada, iż doszedł do tego, że trzymał kądziel, a na koniec nosił szatę Nessosa. Myślę, że pierwsze dobre postanowienie mogłoby człowieka utrzymać na właściwej drodze, gdyby go wspierały dobre postanowienia innych.

Słowa pastora nie zawsze były krzepiące; nie stał się faryzeuszem, ale stał się człowiekiem niedoceniającym własnych możliwości; takie wnioski wyciągamy pochopnie ze swoich niepowodzeń. Lydgate dopatrywał się u pastora Farebrothera godnej pożałowania słabości woli.

ROZDZIAŁ XIX

L'altra vedete ch'ha facto alia guancia Delia sua
palma, sospirando, letto[38].

Tamten westchnieniom ustać nie pozwoli,
Wezłowie licu uczyniwszy z dłoni

Dante Alighieri, *Boska Komedia*. Czyściec,
pieśń VII

Gdy Jerzy Czwarty królował jeszcze w zaciszu Windsoru, kiedy książę Wellington był premierem, a pan Vincy – burmistrzem w miasteczku Middlemarch, pani Casaubon, z domu Dorotea Brooke, spędzała miodowy miesiąc w Rzymie. W owym czasie świat był o prawie czterdzieści lat mniej świadom tego, co złe, a co dobre. Podróżni rzadko mieli rzetelne informacje o sztuce chrześcijańskiej, czy to w głowie, czy w kieszeni, i nawet najznakomitszy ówczesny angielski krytyk^[39] wziął przez pomyłkę – zmylony fantazją malarza – ukwiecony grobowiec wniebowziętej Dziewicy za ornamentalną wazę. Romantyzm, któremu udało się wypełnić niektóre jałowe przestrzenie miłością i wiedzą, nie był jeszcze zaczynem czasów i pokarmem codzienności: fermentował dopiero jako rozpoznawalna, żywa emocjonalność rozmaitych długowłosych niemieckich malarzy w Rzymie, a młodzież innych narodowości,

[38] Przeł. Edward Porębowicz.

[39] Mowa o Williamie Hazlittcie i jego *Notatkach z podróży przez Francję i Włochy*.

pracująca lub próżnująca w ich kręgu, dawała się niekiedy wciągnąć do rosnącego ruchu.

Pewnego pięknego ranka młody człowiek o czuprynie nie nazbyt długiej, za to gęstej i kędzierzawej, który poza tym nosił się z angielska, właśnie odszedł od posągu Apolla Belwederskiego w Muzeum Watykańskim i z przyległego kolistego westybulu zaczął się przyglądać wspaniałej panoramie wzgórz. Tak był pochłonięty tym widokiem, że nie zauważył ciemnookiego, podnieconego Niemca, który podszedł do niego i kładąc mu rękę na ramieniu, szepnął z silnym, cudzoziemskim akcentem:

– Chodź! Szybko! Inaczej zmieni pozycję!

Nie potrzebował długo nalegać i dwie postacie przesunęły się szybko koło Meleagera do sali, gdzie odpoczywająca Ariadna, zwana wówczas Kleopatą, leżała w marmurowej zmysłowości swej urody, a fałdy materii otulały ją z lekkością i czułością kwiatnych płatków. Zdążyli jeszcze zobaczyć inną postać, stojącą przy podeście obok spoczywającego marmuru; była to żywa młoda dziewczyna o kształtach wcale nie przyćmionych przez Ariadnę, odziana w szarą, kwakerską draperię: długa peleryna, spięta przy szyi, odrzucona była z ramion, jedna piękna dłoń bez rękawiczki wspierała policzek, spychając nieco do tyłu biały bobrowy kapturek, który tworzył coś w rodzaju aureoli wokół jej twarzy i równo splecionych ciemnych włosów. Nie patrzyła na rzeźbę, zapewne nawet o niej nie myślała: wielkie jej oczy utkwione były sennie w smugę światła padającą na podłogę. Ale nagle zdała sobie sprawę z obecności dwóch obcych, którzy zatrzymali się, jakby chcieli kontemplować Kleopatę; nie spojrzawszy na nich, odwróciła się szybko i przyłączyła do panny służącej i przewodnika, którzy czekali w pewnej odległości.

– Jak ci się to podoba jako wspaniały przykład antytezy? – spytał Niemiec, szukając w twarzy towarzysza wyrazu zachwyty, i nie

czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Tu oto leży antyczna piękność, nieprzypominająca umarłej nawet w śmierci, tylko znieruchomiła, w pełni ukontentowana swoją zmysłową doskonałością, a tu piękność tchnąca życiem, ze świadomością wieków chrześcijaństwa w sercu. Powinna jednak być w stroju zakonnicy: wydaje mi się, że wygląda niemal, jak wy to nazywacie, na kwakierkę, ale na moim obrazie odziałbym ją w habit. Niestety to mężatka. Zauważyłem obrączkę na tej cudownej lewej dłoni, inaczej sądziłbym, że ten ziemisty *Geistlicher* to jej ojciec. Widziałem, jak się z nią żegnał dobrą chwilę temu, a teraz zobaczyłem ją tutaj w tej wspaniałej pozie. Pomyśl tylko! Może jest bogaty i chciałby mieć jej portret? Och, niedostatek! Wychodzi! Chodź, pójdziemy za nią do jej domu!

– Nie, nie – zaproponował jego towarzysz, marszcząc czoło.

– Dziwny z ciebie człowiek, Ladislaw. Wyglądasz, jakby w ciebie piorun strzelił. Znasz ją?

– Wiem, że wyszła za mąż za mojego kuzyna – odparł Will Ladislaw, krocąc przez salę ze skupioną miną, podczas gdy jego niemiecki przyjaciel szedł obok, przyglądając mu się bacznie.

– Co? Ten *Geistlicher*! Bardziej mi wygląda na twojego wuja. To o wiele pożyteczniejszy stopień pokrewieństwa.

– Ale nie jest moim wujem. Powiadam ci, że to mój kuzyn. – W głosie Ladisława brzmiała irytacja.

– *Schön, schön*, nie bądź taki drażliwy. Chyba się nie gniewasz, że uważam twoją panią kuzynową za najdoskonalszą Madonnę, jaką oglądałem w życiu?

– Gniewać się? Skądże znowu. Widziałem ją dotychczas tylko raz, kiedy zostaliśmy sobie przedstawieni przez jej obecnego męża tuż przed moim wyjazdem z Anglii. Nie byli jeszcze wtedy małżeństwem. Nie wiedziałem, że się wybierają do Rzymu.

– Ale teraz pójdziesz ich odwiedzić. Dowiesz się, gdzie mieszkają,

przecież znasz nazwisko. Może pójdziemy zaraz na pocztę? Mógłbyś porozmawiać o portrecie.

– A niech cię licho, Naumann! Zastanowię się. Nie jestem taki bezczelny jak ty.

– Ba, to dlatego, że z ciebie dyletant i amator. Gdybyś był malarzem, myślałbyś o pani kuzynowej jako o antycznej formie ożywionej chrześcijańskimi uczuciami, o czymś w rodzaju chrześcijańskiej Antygony: zmysłowa siła, którą utrzymuje na wodzy duchowa pasja.

– Tak, i fakt, że ją namalujesz, ma być najwyższym osiągnięciem jej życia. Boskość przeistaczająca się w wyższą doskonałość, przy tym do cna wyczerpana przelewaniem jej na twój kawałek płótna. Niech ci będzie, jestem amatorem; nie uważam, by cały świat miał czynić wysiłki na rzecz mętnych przesłań twoich obrazów.

– Ależ on je czyni, mój drogi, czyni. Jak dotąd czyni je za moim, Adolfa Naumanna, pośrednictwem, to oczywiste – powiedział dobroduszny malarz, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela, wcale nie zrażony niezrozumiałym tonem irytacji w jego głosie. – Pomyśl tylko! Moje istnienie implikuje istnienie całego świata, prawda? A moim zadaniem jest malować. Jako malarz zaś mam koncepcję, która jest absolutnie *genialisch*, by twoja cioteczna babka czy prababka została tematem obrazu: a więc cały wszechświat czyni starania na rzecz tego obrazu za pomocą owego szczególnego haczyka czy pazura, który został wysunięty w mojej postaci. Prawda?

– Ale co się stanie, jeśli inny pazur w mojej postaci będzie czynił starania, by to udaremnić? Wówczas sprawa przestaje być taka prosta.

– Nic podobnego. Wynik walki jest taki sam: obraz czy nie obraz, to logiczne.

Will nie mógł się oprzeć tej niewzruszonej pogodzie ducha i chmura na jego twarzy przemieniła się w słoneczny uśmiech.

– No, pomożesz mi? – spytał Naumann z nadzieją w głosie.

– Nie, to bzdura, Naumann. Angielska dama nie może być modelką na zawołanie. A ty starasz się zbyt dużo wyrazić w swoim malarstwie. Namalowałbyś tylko lepszy czy gorszy portret z tłem, który każdy koneser będzie rozszyfrowywał inaczej, czy to ganiąc go, czy chwając. A czymże jest portret kobiety? Twoje malarstwo i *Plastik* są funta kłaków warte. Gmatwają tylko i stępują pojęcia, zamiast je uwydatniać. Język jest subtelniejszym sposobem wyrazu.

– Owszem, dla tych, którzy nie umieją malować – przyznał Naumann.
– Tu masz słuszość. Nie radziłem ci zabierać się do malarstwa.

Sympatyczny malarz potrafił dopiec przyjacielowi, ten jednak nie zareagował. Ciągnął, jakby nic nie słyszał:

– Język tworzy pełniejszy obraz, tym lepszy, że bardziej nieokreślony. Mimo wszystko prawdziwe postrzeganie jest z wnętrza, malowidło zaś wytrzeszcza na człowieka oczy w sposób natarczywie niedoskonały. Odczuwam to zwłaszcza w zetknięciu z podobiznami kobiet. Tak jakby kobieta była jedynie kolorową powierzchnią. Trzeba czekać na poruszenie, na ton. Przecież zmienia się nawet ich oddech: zmieniają się z chwili na chwilę.

Na przykład ta kobieta, którą spotkałeś niedawno. Powiedz, jak namalowałbyś jej głos. A przecież ma głos cudowniejszy niż wszystko, coś w niej zobaczył.

– Rozumiem, rozumiem, jesteś zazdrosny. Nikomu nie wolno wyobrazić sobie, że potrafiłby namalować twój ideał. To poważne, przyjacielu! Cioteczna babka! *Der Neffe als Onkel*^[40] w wydaniu tragicznym, *Ungeheuer*!

– Będziemy się kłócić, Naumann, jeśli jeszcze raz nazwiesz tę damę moją ciotką.

[40] *Siostrzeniec jako wuj* – komedia Schillera.

– Więc jak mam ją nazywać?

– Panią Casaubon.

– W porządku. Powiedzmy, że poznam ją, bez twojej pomocy, i okaże się, że bardzo pragnie być namalowana.

– Powiedzmy. – W głosie młodego Anglika zabrzmiał ton nieco pogardliwy, jakby pragnął zamknąć temat. Will zdawał sobie sprawę, że irytują go śmieszne drobiazgi, po części przez niego samego wymyślone. Czemu robi tyle zamieszania wokół pani Casaubon? A jednak miał wrażenie, że stało się coś, co miało związek z nią. Istnieją osobowości nieustannie wywołujące kolizje i zwarenia w dramatach, których nikt nie chce z nimi odgrywać. Ich wrażliwość zderza się z przedmiotami trwającymi w niewinnym spokoju.

ROZDZIAŁ XX

Budząc się z nagłą, dziecko porzucone
Lękliwie wzrokiem dookoła toczy
I widzi jedno – znikły upragnione,
Dobrze znajome, kochające oczy.

Dwie godziny później Dorotea siedziała w pokoju, czy też buduarze, pięknego apartamentu przy Via Sistina.

Muszę dodać z przykrością, że szlochała gorzko i dawała upust i serdecznej rozpaczy tak niepohamowanie, jak to niekiedy bywa, gdy kobieta, która jest zawsze dumnie opanowana ze względu na innych i na samą siebie, poczuje, że nikt nie zakłóci jej samotności. A pan Casaubon miał pozostawać jeszcze jakiś czas w Watykanie.

Lecz Dorotea nie miała żadnej określonej troski, którą potrafiłaby nazwać, i spośród jej splątanych myśli i gwałtownych uczuć wyłaniało się i nabierało kształtu samooskarżenie, że dolegające jej poczucie opuszczenia jest skutkiem jej duchowego ubóstwa. Poślubiła przecież człowieka, którego sama wybrała, i miała tę przewagę nad większością dziewcząt, że widziała w swoim małżeństwie przede wszystkim początek nowych obowiązków; od pierwszej chwili zdawała sobie sprawę, iż pan Casaubon tak dalece przewyższa ją umysłowo, że będzie musiał często zostawiać ją samą, aby kontynuować badania, w jakich ona nie potrafi brać w pełni udziału; ponadto zwiedza Rzym, co prawda zabawiła tu niegdyś krótko jako młodzianka dziewczyna – ale teraz naprawdę poznaje to miasto widzialnej historii, w którym przeszłość całej półkuli przesuwa się niczym w orszaku pogrzebowym z dziwnymi portretami przodków i trofeami zwiezionymi z dalekich stron.

Lecz ta fragmentaryczność wszystkiego naokoło zwiększała tylko poczucie, że jej małżeńskie życie to jakiś dziwny sen. Dorotea była w Rzymie już od pięciu tygodni; z początku spędzała z mężem łagodne przedpołudnia w porze, kiedy to jesień zimą idą ręką w rękę niby szczęśliwa, postarzała para, z której jedno przeżyje wkrótce drugie i pozostanie w chłodniejszej samotności – ostatnio jednak przebywała głównie z pokojówką Tantripp i doświadczonym przewodnikiem. Oprawdano ją po najlepszych galeriach, zawożono w miejsca, skąd rozciągały się najpiękniejsze widoki, pokazywano najwspanialsze ruiny i najokazalsze świątynie, a kończyło się najczęściej tym, że kazała się wieść za miasto, na *campagna*, gdzie mogła przebywać sam na sam z ziemią i niebem, z dala od przytłaczającej maskarady wieków, w której jej własne życie również zaczęło się wydawać czymś w rodzaju amatorskiego przedstawienia kostiumowego.

Dla ludzi zwiedzających Rzym, wspieranych siłą wiedzy, która we wszystkie kształty historii umie tchnąć żywego ducha i wytropić zatarte ślady przemian, jakie się tu dokonały i łączą istniejące kontrasty, Rzym może pozostawać wciąż duchowym centrum i wykładnią świata. Lecz niechże sobie wyobrażą jeszcze jeden historyczny kontrast: wobec gigantycznych, fragmentarycznych cudowności tego cesarskiego i papieskiego miasta staje nagle dziewczyna wychowana w angielskim i szwajcarskim purytanizmie, karmiona skąpą, protestancką wiedzą historyczną oraz sztuką ograniczającą się na ogół do haftów na ręcznych ekranikach; w dodatku dziewczyna, która dzięki żarliwej naturze przekuła swoją bardzo nikłą wiedzę w zasady i wedle nich kształtuje swoje postępowanie; dziewczyna, której uczuciowość powoduje, że najbardziej abstrakcyjne sprawy wywołują w niej radość czy ból; dziewczyna, która niedawno została żoną i po entuzjastycznym przyjęciu nieznanego obowiązku uprzytomniła sobie nagle, że jest ze szczętem pochłonięta

burzliwym rozpamiętywaniem własnego losu. Ciężar niepojętego Rzymu może okazać się całkiem do wytrzymania dla wiotkich angielskich nimf, dla których jest tylko tłem podniecającego pikniku z cudzoziemcami, lecz Dorotei nie chronił żaden pancerz przed ostrością wrażeń. Ruiny i bazyliki, pałace i posągi osadzone w plugawej rzeczywistości, w której wszystko co żywe i gorącokrwiste uległo głębokiemu zwyrodnieniu, w jakie popada przesąd wyzuty z szacowności; zblakłe, lecz wciąż jeszcze łączyste życie Tytanów, spoglądających, prężących się ze ścian i sufitów; długie perspektywy pełne białych kształtów o marmurowych oczach, w których zawarło się monotonne światło obcego świata; cała ta przeogromna ruina ambitnych ideałów, ziemskich i duchowych, zmieszana bezładnie ze świadectwami współczesnego lekceważenia i poniżenia – to wszystko najpierw wywołało w niej wstrząs, a potem ból, gdyż nadmiar splecionych wrażeń zatamował przyływ emocji. Kształty, blade i zarazem płomienne, opanowały jej młodą wyobraźnię i wbijały się w pamięć, nawet gdy o nich nie myślała, aby później, po wielu latach, budzić dziwne skojarzenia. Nasze nastroje potrafią wywoływać obrazy następujące po sobie jak w latarni magicznej; przez całe życie w pewnych sytuacjach, gdy była samotna i przygnębiona, widziała niezmierną przestrzeń Bazyliki św. Piotra, olbrzymi baldachim z brązu, zapamiętanie w postawach i szatach proroków i ewangelistów, przedstawionych na mozaikach u góry, oraz czerwone draperie rozwieszane na Boże Narodzenie i pieniające się wszędzie, jakby patrzących dotknęła choroba siatkówki.

Nie można powiedzieć, by ta reakcja Dorotei była czymś wyjątkowym. Ile to młodych, nieopierzonych istot zostaje postawionych nagle, znieacka, wobec rozmaitych sprzeczności i musi dać sobie z nimi radę, podczas gdy starsi zajmują się swoimi sprawami. Nie sądzę również, by po stwierdzeniu, że pani Casaubon szłocha rozpaczliwie w sześć tygodni po ślubie, należało uznać jej sytuację za tragiczną. Trochę zniechęcenia,

odrobina niepokoju, gdy prawdziwa wizja przyszłości zaczyna zastępować poprzednie wyobrażenia, nie jest niczym niezwykłym, a nie spodziewamy się, by ludzie mieli się głęboko przejmować czymś, co nie jest niezwykle. Element tragiczności, który kryje się właśnie w tym, że coś się często powtarza, nie znalazł jeszcze odbicia w prymitywnych ludzkich emocjach, być może zresztą nasza konstytucja nie mogłaby tego wytrzymać. Gdybyśmy ostro widzieli i odczuwali wszystko, co się składa na zwyczajne, ludzkie życie, musielibyśmy niemal słyszeć, jak trawa rośnie i jak bije serce wiewiórki, i zabiłby nas ten ryk, który jest po tamtej stronie ciszy. Tymczasem nawet najbystrzejsi z nas poruszają się po świecie w ochronnej otoczce głupoty.

Tak czy inaczej, Dorotea płakała, a gdyby ją zapytano o powód, mogłaby odpowiedzieć równie ogólnikowo jak ja przed chwilą; gdyby miała udzielić bardziej szczegółowych wyjaśnień, musiałaby spróbować opisać historię światła i cieni, gdyż ta nowa, prawdziwa przyszłość, przychodząca obecnie w miejsce wyimaginowanej, powstawała z materii utkanej z nieskończonej ilości drobiazgów, które sprawiały, że jej zdanie o panu Casaubonie i jej stosunek do niego jako małżonki stawał się wraz z niedostrzegalnym ruchem wskazówek zegara coraz bardziej odmienny od wszystkiego, co się dotychczas składało na jej dziewczęce sny. Jeszcze było za wcześnie, by mogła sobie w pełni uświadomić, a choćby przyznać przed samą sobą, że dokonała się zmiana, zbyt wcześnie również, by mogła dostosować do nowej sytuacji swoją pasję do poświęcenia, tak niezbędną dla jej duchowego życia, że była niemal pewna, iż ją wcześniej czy później odzyska. Nieustanny bunt, życie bez ładu, bez czcigodnego celu, któremu oddałyby serce, było dla niej niemożliwe, a w dodatku sama siła jej natury zwiększała jeszcze wewnętrzny zamęt. Tak właśnie w pierwszych miesiącach małżeństwa powstaje często krytyczne zawirowanie czy to na płytkich wodach stawu, czy na głębszych wodach

jeziora, które potem ucisza się i przechodzi w pogodny spokój.

Lecz czy pan Casaubon nie był równie uczony, jak dawniej? Czy zmienił się jego sposób wyrażania lub też jego sentymenty okazały się mniej chwalebne? O niestałości kobieca! Czyżby popełnił jakiś błąd w chronologii? A może zawiodła go dotychczasowa zdolność prezentowania nie tylko teorii, ale i listy jej zwolenników? A może utracił owe zasoby umysłu, które pozwalały mu na zawołanie wyliczać poszczególne punkty, z jakich składał się temat? I czyż Rzym nie był najlepszym na świecie miejscem, gdzie takie talenty mogły się pokazać w całej okazałości? A ponadto, czyż Dorotea w swoim zapale nie miała na względzie tego właśnie, by ująć nieco ciężaru, a może i smutku człowiekowi, który ma do wypełnienia tak wielkie zadanie? A że podobny ciężar przytłaczał pana Casaubona – było teraz jeszcze bardziej oczywiste niż dawniej.

To są pytania druzgoczące; choćby jednak wszystko pozostawało takie samo – zmianie uległo światło; nie można zobaczyć w południe perlistego brzasku. Pozostaje niewzruszony fakt, że śmiertelnik, którego naturę poznawało się jedynie podczas krótkich wejść i wyjść, w okresie kilku rozfantazjowanych tygodni, zwanych narzeczeństwem, może się okazać jako stały małżeński towarzysz czymś lepszym lub gorszym od wyobrażeń, ale na pewno nie tym samym. Można by się dziwić, że ta zmiana tak szybko wyszła na jaw – gdyby nie podobne, porównywalne metamorfozy. Zamieszkanie pod jednym dachem z błyskotliwym salonowcem albo oglądanie ulubionego polityka w ministerialnym fotelu mogą spowodować podobną zmianę widzenia; w tych przypadkach również zaczyna się od małej wiedzy i dużej wiary, a często kończy na odwrotnych wielkościach.

A jednak te porównania mogą nas zwieść na manowce, trudno bowiem o człowieka mniej zdolnego do błyskotliwej mistyfikacji niż pan Casaubon: był sobą tak uczciwie, jak jest sobą każde przeżywające

zwierzę, i nigdy nie brał czynnego udziału w tworzeniu jakichkolwiek złudzeń co do swojej osoby. Jak więc to się stało, że w czasie tych kilku tygodni po ślubie Dorotea nie tyle zauważyła, ile odczuła, z dławiacą rozpaczą, że te szerokie gościńce pełne świeżego powietrza, jakie marzyło jej się znaleźć w umyśle męża, okazały się antykamerami i krętymi korytarzykami, które, zdałoby się, prowadzą donikąd. Może dlatego, że w narzeczeństwie wszystko przyjmuje się jako tymczasowe i wstępne i najmniejszy ślad zalet czy uzdolnień przyjmowany jest jako zapowiedź wspaniałych zasobów, które ujawnią się niespiesznie w jakiś czas po ślubie. Po przekroczeniu progu małżeństwa oczekiwania koncentrują się na chwili obecnej. Wstąpiwszy raz w małżeńską łódź, nie sposób nie zdać sobie sprawy, że nie posuwa się ona naprzód, że morza nie widać, że – krótko mówiąc – człowiek zajmuje się badaniem stojącego stawu.

Podczas rozmów przed ślubem pan Casaubon nieraz długo coś wyjaśniał czy też rozwodził się nad jakimś wątpliwym szczegółem, którego znaczenia Dorotea nie potrafiła pojąć; wydawało się jej jednak, że ta ułomna logika wynika z przypadkowości ich spotkań, i młoda narieczona, silna wiarą w przyszłość, wysłuchiwała z gorączkową cierpliwością listy możliwych argumentów, jakie mogą zostać wytoczone przeciwko całkiem nowemu pogładowi pana Casaubona na filistyńskiego boga Dagona i inne rybie bóstwa, i sądziła, że w przyszłości będzie spoglądała na tak istotny dla niego problem niemal z tą samą co on powagą. A znowu fakt, że to, co najbardziej zaprzętało jej myśli, uznawała za samo przez się zrozumiałe i mówił o tym pobłażliwie, można było łatwo tłumaczyć atmosferą pośpiechu i zamieszania, której i ona uległa w okresie narzeczeństwa. Lecz teraz, odkąd przyjechali do Rzymu, a jej żywe emocje zostały poruszone do głębi, odkąd nowe przyczyny zaczęły rodzić nowe życiowe problemy, przyszło jej stwierdzić z przerażeniem, że w duchu pozwala sobie coraz częściej na odruchy gniewu czy odrazy

albo poddaje się poczuciu beznadziejności i znużenia. Nie mogła przecież wiedzieć, w jakiej mierze mądry Hooker czy jakikolwiek inny wspaniały erudyta byli podobni do pana Casaubona, będąc w jego wieku, obce jej więc były korzyści wynikające z porównań, ale sposób, w jaki jej mąż komentował otaczające ich przedmioty, wywołujące tak dziwne wrażenia, budził w niej dreszcze; pan Casaubon pragnął zapewne jak najlepiej wywiązać się z zadania, ale tylko się wywiązać. Co dla jej umysłu było świeże, dla niego było już zblakłe, i wszystkie zasoby myśli i uczuć, jakie życie ludzkiej wspólnoty zdołało w nim kiedykolwiek poruszyć, stały się już dawno wyschlłym preparatem, zabalsamowanym truchłem wiedzy.

Kiedy pytał: „Czy to cię interesuje, Doroteo? Chcesz, żebyśmy tu zostali dłużej? Gotów jestem zostać, jeśli sobie tego życzysz”, obie ewentualności – pozostanie i odejście – wydawały jej się równie przynębiające. Albo: „Czy chciałabyś zobaczyć *Farnesinę*, Doroteo? Są tam słynne freski projektowane czy malowane przez Rafaela, większość ludzi sądzi, że warto je obejrzeć”.

– Ale czy tobie się podobają? – brzmiało za każdym razem pytanie Dorotei.

– O ile wiem, są wysoko cenione. Niektóre z nich przedstawiają baśń o Kupidynie i Psyche, która jest zapewne romantyczną inwencją okresu literackiego i nie może być, jak sądzę, zaliczona do utworów mitycznych. Jeśli jednak podobają ci się te ścienne malowidła, możemy tam bez trudu dotrzeć, a wtedy, tuszę, znałabyś już wszystkie najważniejsze dzieła Rafaela; szkoda by je pominąć, będąc w Rzymie. To malarz, który, jak się uważa, łączy w swoich dziełach najdoskonalszy wdzięk formy z sublimacją wyrazu. Taka jest, o ile mi wiadomo, opinia znawców.

Tego rodzaju odpowiedzi, wyrecytowane oficjalnym, miarowym tonem, jakim wygłasza pastor tekst liturgiczny, nie mogły pomóc w zrozumieniu wspaniałości Wiecznego Miasta, nie pozwalały jej również

żyć nadziei, że gdyby więcej wiedziała, świat stałby się dla niej radośnie jasny. Dla osoby młodej i żarliwej trudno o kontakt bardziej przygnębiający niż towarzystwo człowieka, który poświęcił lata nauce, nie darząc nikogo i niczego odrobiną zainteresowania czy życzliwości.

Na innych polach pan Casaubon okazywał wytrwałą pracowitość i pilność, które uważa się na ogół za dowód zapału, i Dorotea starała się kroczyć tą naturalną drogą jego myśli, unikać natomiast poczucia, że go z tej drogi odciąga. Ale powoli przestała oczekiwać z dawną cudowną ufnością, że podążając za nim, ujrzy otwierające się przed nią szerokie przestrzenie. Nieszczęsny pan Casaubon całkiem się już pogubił w różnych zakamarkach i na kręconych schodach, i czy to pośród intrygujących ciemności otaczających Kabirów^[41], czy też udowadniając niesłuszność paralel dokonanych przez innych znawców mitologii, stracił z oczu cel, dla którego podejmował był wysiłki. Pracując przy świetle ogarka, zapomniał o braku okien i opatrując cierpkimi uwagami cudze poglądy na temat bóstw słońca, stał się obojętny na jego promienie.

Tych cech, równie trwałych i niezmiennych jak kości w panu Casaubonie, mogłaby Dorotea długo nie dostrzec, gdyby ją zachęcał do uzewnętrzniania dziewczęcych i kobiecych uczuć, gdyby brał jej ręce w swoje dłonie i słuchał z czułym i wyrozumiałym zachwytem tych krótkich opowieści, składających się na całe jej doświadczenie życiowe i gdyby odwzajemnił się jej najgłębszym zaufaniem, sprawiając, iż przeszłość każdego z nich stałaby się serdeczną wspólną własnością – albo też gdyby mogła karmić swoją miłość tymi dziecięcymi pieszczotami, do jakich skłonna jest każda ciepła, uroczą kobieta, która już w najwcześniejszych latach gotowa była obsypywać gradem pocałunków twardą łepetynę łysej lalki, by mocą swego uczucia napęłnić kawałek drzewa poczuciem szczęścia. Dorotea miała taką właśnie naturę. Mimo iż bardzo pragnęła

[41] Samotrackie bóstwa płodności.

wiedzieć, co jest przed nią, hen, daleko, i zachowywać spokojną godność, miała w sobie dość żaru w stosunku do tego, co bliskie, by całować rękaw pana Casaubona lub pieścić rzemyk u jego trzewika, gdyby tylko zdobył się wobec niej na jakikolwiek inny dowód uznania niż stwierdzenie z niewzruszoną, sztywną poprawnością, że widzi w niej istotę czułą i prawdziwie kobiecą, dając jednocześnie do zrozumienia, gdy uprzejmie podsuwał jej krzesło, iż tego rodzaju objawy uważa za niewłaściwe i zaskakujące. Ukończywszy z należyтым staraniem pastorską toaletę poranną, przygotowany był na tylko takie rozkosze życiowe, jakie pasują do sztywno zawiązanego halsztuka oraz umysłu, któremu cięży nieopublikowana wiedza.

Żalonym tego przeciwieństwem były myśli i postanowienia Dorotei, niby kruszyny lodu, co płynąc, roztapiają się w ciepłym strumieniu, którego są tylko inną formą. Czowała się upokorzona, stwierdziwszy, że jest ofiarą uczucia, jakby to był jedyny dostępny jej środek poznania rzeczywistości: trwonila wszystkie siły na opanowywanie zdenerwowania, na wewnętrzna szamotaninę, na przygnębienie, a potem, na jeszcze większe wyrzeczenia, które sprawiały, że ze spotykających ją przykrych konieczności czyniła obowiązek. Biedna Dorotea! Niewątpliwie przysparzała kłopotów – przede wszystkim samej sobie; tego jednak ranka po raz pierwszy przysporzyła kłopotów panu Casaubonowi.

Zaczęła, gdy pili poranną kawę, od mocnego postanowienia, że otrząśnie się z tego, co w duchu nazywała samolubstwem, i zwróciła do męża pogodną twarz, gdy mówił:

– Moja droga Doroteo, musimy pomyśleć o wszystkim, co pozostało jeszcze do zrobienia przed wyjazdem. Rad byłbym, gdybyśmy mogli wrócić wcześniej do domu i spędzić Boże Narodzenie w Lowick, lecz moje badania przedłużyły się ponad przewidywaną miarę. Tuszę jednak, że czas tu spędzony nie okazał się dla ciebie przykry. Pośród

wszystkich widoków w Europie widok Rzymu uważany jest za jeden z najwspanialszych i, pod pewnymi względami, najbardziej budujących. Pamiętam doskonale, że gdy przyjechałem tu po raz pierwszy, uważałem to za epokowe wydarzenie w moim życiu; było to po upadku Napoleona, fakcie, który otworzył kontynent dla podróżników. W rzeczy samej, sądzę, że jest to jedno z tych niewielu miast, do których stosować można najwyższą hiperbolę: „Zobaczyć Rzym i umrzeć”, ale w twoim wypadku zaproponowałbym poprawkę i powiedział: „Zobaczyć Rzym jako oblubienica i odtąd żyć jako szczęśliwa małżonka”.

Pan Casaubon wyrecytował tę mówkę w poczuciu spełnionego obowiązku, mrugając przy tym oczami i kołysząc głową, zakończył zaś uśmiechem. Małżeństwo nie wprowadziło go w stan uniesienia, lecz uważał się za wzorowego małżonka, który czyni młodą, czarującą kobietę na tyle szczęśliwą, na ile ona na to zasługuje.

– Mam nadzieję, że jesteś w pełni zadowolony z tego pobytu, to znaczy z rezultatów swoich badań – powiedziała Dorotea, starając się skoncentrować myśli na tym, co najbardziej obchodzi jej męża.

– Tak. – Z tonacji głosu pana Casaubona wynikało, że można mieć co do tego duże wątpliwości. – Zawiodły mnie one dalej, niż przewidywałem, wyłoniły się też różne, wymagające komentarzy, zagadnienia, które choć nie wchodzą bezpośrednio w zakres mojej problematyki, nie mogą zostać pominięte. Zadanie to, mimo pomocy mego koncypienta, było ogromnie wyczerpujące, na szczęście jednak twoje towarzystwo nie pozwoliło mi na nieprzerwaną pracę umysłu, poza godzinami na to przeznaczonymi, a to właśnie dawniej, w okresie samotnego życia, stanowiło dla mnie pułapkę.

– Rada jestem, że moje towarzystwo przyniosło ci jakąś odmianę – odparła Dorotea, mając w oczach żywe wspomnienie wieczorów, kiedy to sądziła, że praca umysłu w ciągu dnia zaprowadziła jej męża tak daleko,

iz nigdy już nie zdoła powrócić. Obawiam się też, że w jej odpowiedzi brzmiała odrobina zniecierpliwienia. – Mam nadzieje, że po naszym powrocie do Lowick okażą się bardziej dla ciebie użyteczna i będę mogła choć trochę uczestniczyć w tym, co cię absorbuje.

– Oczywiście, moja droga – odparł jej małżonek z lekkim ukłonem. – Trzeba będzie przejrzeć notatki, które tutaj zrobiłem; jeśli zechcesz, będziesz mogła je zrekapitulować pod moim kierunkiem.

– A te wszystkie twoje notatki – zawołała Dorotea, nie mogąc powstrzymać słów wyrażających to, co w tej sprawie rozpie-rało jej serce. – Te szeregi tomów... czy nie zrobisz teraz tego, o czym mówiłaś dawniej? Czy nie zdecydujesz, jakie ich części wykorzystasz i nie zaczniesz pisać książki, dzięki której twoja olbrzymia wiedza stanie się użyteczna dla świata? Będę pisała pod twoje dyktando albo przepisywała i robiła wyciągi z tego, co mi wskażesz. Nie nadaję się do niczego innego. – Dorotea zakończyła po kobiecemu nieprzewidzianie i niekonsekwentnie cichym szlochem i łzami w oczach.

Już sam objaw nieumiarkowanego wzruszenia wystarczyłby panu Casaubonowi, by się zdenerwować, była jednak i inna przyczyna, dla której ze wszystkich słów, jakie mogły się wyrwać z ust Dorotei, te były najbardziej dla niego przykre i irytujące. Była również ślepa na jego wewnętrzne rozterki, jak on na jej; nie umiała jeszcze dostrzec tych ukrytych dylematów męża, które proszą o współczucie. Nie wsłuchiwała się cierpliwie w uderzenia jego serca, czuła tylko, że jej własne łomocze jak szalone. Głos Dorotei donośnie i dobitnie wypowiedział to, co niejasno podpowiadało mu sumienie, a co można było dotąd brać za twój wyobraźni, złudzenie wywołane przesadną wrażliwością: gdy jednak człowiek usłyszy tę samą sugestię jako głos dochodzący z zewnątrz – odrzuca go, uważając za niesprawiedliwy i okrutny. Gniewa nas nawet całkowita akceptacja naszej upokarzającej spowiedzi – a cóż dopiero,

kiedy dojdą nas w twardych, wyraźnych sylabach padających z ust bliskiego obserwatora te same niejasne podszepty, które staraliśmy się uznać za nasze chorobliwe złudzenia i przed którymi broniliśmy się jak przed obezwładniającym odrętwieniem. A ten okrutny oskarżyciel z zewnątrz to nie kto inny tylko żona – gorzej, młoda oblubienica, która zamiast przyglądać się niekończącym pociągnięciom męzowskiego pióra i obfitości papieru z bezkrytycznym zachwytem i elegancją umysłowością kanarka, okazuje się najwyraźniej bystrym szpiegiem, obdarzonym złośliwą umiejętnością wyciągania wniosków. Tu, wokół tego szczególnego punktu na kompasie, pan Casaubon okazywał wrażliwość równą wrażliwości Dorotei i podobną skłonność do wyobrażania sobie czegoś więcej niż to, o czym świadczyły fakty. Dawniej z satysfakcją notował był jej umiejętność wielbienia tego, co wielbić należy. Teraz z nagłym przerażeniem zobaczył, że w to miejsce z łatwością mogą przyjść domniemywania, w miejsce uwielbienia – jątrzący krytycyzm, zdolność niejasnego widzenia wielu pięknych celów bez znajomości ceny, jaką trzeba zapłacić za ich osiągnięcie.

Po raz pierwszy od chwili, gdy go Dorotea poznała, pan Casaubon zalał się gwałtownym rumieńcem gniewu.

– Moja droga – powiedział z irytacją mitygowaną dobrymi manierami – wierzaj mi, że będę wiedział, kiedy przyjdzie odpowiedni moment i czas na kolejne etapy pracy, których nie mogą wyznaczać nieudolne domysły patrzących z boku dyletantów. Przyszło mi bez trudu osiągnąć chwilowy efekt na podstawie złudzenia wyrosłego na nieugruntowanej opinii; smutną dolą każdego skrupulatnego badacza jest to, że spotykają go niecierpliwie szyderstwa przemądrzalców, zdolnych tylko do krótkotrwałych osiągnięć, gdyż do wielkich nie mają kwalifikacji. Byłoby dobrze, gdyby dostrzegli różnicę między sądem o sprawie, której istota wykracza poza ich możliwości poznania, a takiej, której elementy można

objąć wąskim, powierzchownym spojrzeniem.

Mowa ta została wygłoszona z niezwykłą, jak na pana Casaubona, energią i swadą. W gruncie rzeczy nie była to wyłącznie improwizacja, lecz rezultat wewnętrznych polemik – i słowa popłynęły jak krągłe ziarna owoców, które pękły w gwałtownym upale. Dorotea była nie tylko jego żoną; była uosobieniem tego powierzchownego świata, który otacza niedocenianego lub zniechęconego twórcę.

Lecz teraz z kolei Dorotea była oburzona. Czyż nie tłumila w sobie wszystkich pragnień z wyjątkiem jednego – by choć w małej części brać udział w tym, co stanowi główne zainteresowanie męża?

– Mój sąd był niewątpliwie bardzo powierzchowny, taki, na jaki mnie stać – odparła bez namysłu z gniewną urazą. – Pokazałeś mi stopy notatników, mówiłeś o nich często, powtarzałeś wielokrotnie, że wymagają opracowania. Nigdy jednak nie słyszałam, żebyś mówił o tekście, który ma zostać wydany. Tak wyglądają zwykłe fakty i mój sąd nie szedł dalej. Prosiłam cię tylko, żebyś pozwolił okazać ci pomoc.

Dorotea wstała od stołu, a pan Casaubon nie odpowiedział, wziął tylko leżący obok list, jakby zapragnął go jeszcze raz przeczytać. Byli oboje wstrząśnięci – tym, że okazali sobie nawzajem gniew. Gdyby znajdowali się w domu, w Lowick, na co dzień, wśród sąsiedztwa, starcie byłoby mniej zenujące, ale w podróży poślubnej, której jedynym celem jest oderwanie dwojga ludzi od wszystkiego, by mogli być dla siebie całym światem, świadomość niezgody wywołuje, mówiąc oględnie, zażenowanie i poczucie śmieszności. Zmienić tak dalece swoje położenie geograficzne i zająć pozycję w moralnym osamotnieniu po to tylko, by uczestniczyć w drobnych scysjach, mieć trudności w rozmowie, a podając szklankę wody, odwracać wzrok – tego nawet najtwardszy człowiek nie może uznać za spełnienie marzeń. Przy niedoświadczeniu i wrażliwości Dorotei wydawało się to jej katastrofą, zmieniającą perspektywy na

przyszłość, dla pana Casaubona zaś była to świeża przykreść; nigdy przecież dotąd nie był w podróży poślubnej ani nie pozostawał w takim ścisłym związku, który bardziej przypominał jarzmo, niż to umiał sobie uprzednio wyobrazić, gdyż ta jego czarująca młoda małżonka nie tylko wymagała od niego wielu względów (co sumiennie wypełniał), ale okazała się zdolna do okrutnego zdenerwowania go właśnie w chwili, gdy najbardziej potrzebował pokrzepienia. Zamiast zdobyć sobie miękką osłonę przed chłodnym, nieprzychylnym audytorium życia, nadał mu tylko bardziej konkretną postać.

Oboje nie byli w tej chwili zdolni do dalszej rozmowy. Zmiana uprzednio ułożonych planów i odmowa wyjścia na miasto byłyby świadectwem zawziętości i gniewu, przed czym wzdragało się sumienie Dorotei, której zaczynało już dolegać poczucie winy. Bez względu na słuszność swego oburzenia pragnęła nie tyle szukać sprawiedliwości, ile okazywać serce. Kiedy więc powóz zajechał, ruszyła z panem Casaubonem do Watykanu, przeszła wraz z nim kamienną drogę napisów i po rozstaniu z mężem u wejścia do Biblioteki skierowała się do Muzeum, w poczuciu całkowitej obojętności na wszystko. Nie miała sił, by zawrócić i kazać się dokąś wieźć. Właśnie w momencie, gdy pan Casaubon rozstawał się z Dorotką, zobaczył ją Naumann przy wejściu do długiej galerii rzeźb, gdzie miał czekać na Willa, by rozstrzygnąć zakład o butelkę szampana, tyczący pewnej znajdującej się tu dość zagadkowej rzeźby średniowiecznej. Po obejrzeniu jej szli dalej pograżeni w rozmowie, aż wreszcie się rozstali – Will zwlekał jeszcze w tyle, a Naumann poszedł dalej do sali posągów, gdzie ponownie zobaczył Dorotkę, i to w owej tak szczególnej pozie zadumy i oderwania od rzeczywistości. Nie widziała ani promienia słońca padającego na podłogę, ani posągów; widziała oczyma duszy światło lat czekających ją w jej własnym domu i na angielskich polach, padające na wiązy i gościńce wysadzone żywopłotami, i czuła, że

już nie jest dla niej tak oczywiste jak dotąd, w jaki sposób będzie je mogła wypełnić radosnym oddaniem. Lecz w duszy Dorotei był nurt, w którym wcześniej czy później zbiegały się wszystkie myśli i uczucia – pęd całej jej świadomości ku pełnej prawdzie, ku dobru najmniej stronniczemu. Na pewno istnieje coś lepszego niż gniew i przygnębienie.

ROZDZIAŁ XXI

Jej mowa prosta i kobieca była,
Na górnolotny ton się nie silila,
By się mądrzejszą zdawać.

Geoffrey Chaucer, *Opowieść medyka*

To właśnie sprawiło, że Dorotea zaczęła szlochać, gdy znalazła się bezpiecznie sama. Wkrótce jednak przywołało ją do przytomności pukanie do drzwi; szybko otarła oczy i powiedziała „proszę”. Weszła pokojówka Tantripp, niosąc bilet wizytowy jakiegoś pana, który czeka w hallu. Przewodnik tłumaczył mu, że w domu jest tylko pani Casaubon, ale on powiada, że jest kuzynem jaśnie pana. Czy jaśnie pani go przyjmie?

– Tak – odparła Dorotea bez chwili namysłu. – Wprowadź go do salonu. – Z wrażeń, jakie jej pozostały po młodymi Ladislawie, najważniejsze było to, że podczas ich spotkania w Lowick dowiedziała się o hojności pana Casaubona wobec kuzyna. Poza tym niezdecydowanie młodego człowieka co do przyszłej drogi życiowej budziło ciekawość. Zawsze reagowała żywo na każdą sposobność czynnego okazania swojej życzliwości, toteż i teraz wydawało się, jakby ta wizyta przyszła po to, by ją otrząsnąć z samolubnego niezadowolenia – przywieść na pamięć męzowską dobroć i obudzić świadomość, że ma teraz prawo wspierać go we wszystkich szlachetnych działaniach. Zwlekała jeszcze kilka minut, kiedy jednak przeszła do sąsiedniego pokoju, ślady niedawnych łez były na tyle widoczne, by jej szczerą twarz wydawała się bardziej młodzieńcza i pociągająca niż zwykle. Powitała Ladislawa tym cudownym uśmiechem

życzliwości, w którym nie ma miejsca na próżność, i wyciągnęła do niego rękę. Był od niej o kilka lat starszy, ale w tym momencie wydał się o wiele młodszy, gdyż jego jasną twarz oblał nagle rumieniec, mówił zaś nieśmiało tonem, w którym nie było nawet śladu owej nonszalancji, jaką okazywał w rozmowie z kolegą, Dorotea zaś, starając się go uwolnić od skępowania, sama uspokajała się z wolna.

– Nie wiedziałem, że są państwo w Rzymie, dowiedziałem się o tym dopiero dzisiaj, kiedy zobaczyłem panią w Muzeum Watykańskim – mówił. – Poznałem panią natychmiast, ale... to znaczy, doszedłem do wniosku, że znajdę adres pana Casaubona na poste restante, a pragnąłem jak najszybciej złożyć państwu moje uszanowanie.

– Proszę, niech pan siada... Męża nie ma, ale z pewnością rad będzie słyseć, co się z panem dzieje – odparła Dorotea, siadając bez zastanowienia pomiędzy ogniem na kominku a światłem padającym z wysokiego okna i wskazując gościowi gestem dobrotliwej matrony krzesło naprzeciwko. Ślady dziewczęcego smutku były teraz jeszcze bardziej widoczne.

– Mój małżonek jest obecnie bardzo zajęty, ale pan przecież zostawi swój adres, prawda? I mąż do pana napisze.

– Jest pani bardzo łaskawa – nieśmiałość Ladislawa zaczęła ustępować miejsca zaciekawieniu, z jakim przyglądał się śladom łez na jej zmienionej buzi. – Adres jest tu, na bilecie. Ale jeśli pani pozwoli, przyjdę jutro w porze, kiedy pana Casaubona będzie można zastać w domu.

– Chodzi codziennie do Biblioteki Watykańskiej i można się z nim zobaczyć jedynie, umówiwszy uprzednio spotkanie. Zwłaszcza teraz. Wkrótce wyjeżdżamy z Rzymu i jest bardzo zapracowany, zazwyczaj nie ma go od śniadania niemal do wieczora. Ale pewna jestem, że będzie chciał, aby pan przyszedł do nas na kolację.

Ladislaw zaniemówił na chwilę. Nigdy nie lubił pana Casaubona i gdyby nie poczucie zaciągniętych zobowiązań, kpiłby sobie z niego jako

książkowego mola. Ale myśl, że ten zasuszony pedant, produkujący drobne komentarze, tyle samo warte, co skład fałszywych antyków w magazynie za sklepem handlarza starzyzną, że ten człowiek, zdobywszy najpierw za żonę tę uroczą istotę, spędza miesiąc miodowy z dala od niej, szperając wśród swoich zatęchłych, bezużytecznych staroci (Will gustował w hiperbolach) – ta myśl, ten niespodziewany obraz napełnił go czymś w rodzaju rozbawionego niesmaku: brała go jednocześnie chętką do głośnego śmiechu i równie niestosowna chętką do rzucenia garści wzgardliwych obelg. Przez chwilę czuł, że ta wewnętrzna walka ściąga jego ruchliwą twarz dziwacznym grymasem, i zmusił się do przekształcenia go w coś tak niewinnego jak wesoły uśmiech.

Dorotea dziwiła się chwilę, lecz uśmiech był nie do odparcia, odbił się więc i na jej twarzy. Uśmiech Ladislawa budził zachwyt, chyba że się ktoś na niego gniewał: był to gwałtowny przypływ wewnętrznego światła, które rozjaśniało i oczy, i przezroczystą skórę, i igrało na wszystkich jej załamaniach i w zagłębieniach, jakby jakiś Ariel dotknął ją czarodziejską różdżką, przepędzając na cztery wiatry ślady złego humoru. W odbiciu tego uśmiechu też musiała się znaleźć odrobina rozbawienia, choć ciemne rzęsy wciąż jeszcze były mokre, gdy Dorotea spytała:

– Coś pana bawi?

– Tak – odparł Will, szybko znajdując wyjście. – Myślałem sobie, jaką to ja musiałem zrobić głupią minę wtedy, podczas naszego pierwszego spotkania, kiedy to pani unicestwiła swoją krytyką mój biedny rysunek.

– Moją krytyką? – Dorotea była jeszcze bardziej zdziwiona. – Ależ to niemożliwe. Uważałam się zawsze za szczególnie ignorantkę, jeśli idzie o malarstwo.

– A ja uważałem, że jest pani znawczynią, gdy powiedziała pani to, co mogło mi najbardziej dopieć. Powiedziała pani, zapewne nie pamięta pani tego tak dobrze jak ja, że całkowicie umyka pani związek pomiędzy moim

szkicem a naturą. A przynajmniej tak można było pani słowa zrozumieć. – Will teraz nie tylko się uśmiechał, ale śmiał serdecznie.

– To doprawdy rezultat mojej ignorancji. – Dorotę cieszył dobry humor gościa. – Powiedziałam to tylko dlatego, że nigdy nie mogłam się dopatrzeć jakiegoś piękna w obrazach, które jak twierdził stryj, znawcy uważają za znakomite. I z taką samą ignorancją zwiedzam Rzym. Niewiele jest stosunkowo obrazów, których oglądanie sprawia mi przyjemność. Kiedy wchodzę do sali o ścianach pokrytych freskami lub zawieszonych rzadkiej jakości obrazami, z początku jestem oniemiała, jak dziecko, biorące udział w jakiejś uroczystej ceremonii, które widzi wspaniałe szaty i korowody; czuję, że znalazłam się wobec czegoś, co mnie przerasta. Kiedy jednak zaczynam się przypatrywać tym obrazom po kolei, życie z nich uchodzi albo też coś w nich wydaje mi się obce i gwałtowne. Pewno jestem taka niepojętna. Tak wiele widzę naraz, a połowy nie rozumiem. W takiej sytuacji człowiekowi się wydaje, że jest głupi. Przykro jest słyszeć, że coś jest bardzo piękne, i nie umieć tego piękna odczuć. To trochę tak, jakby się było niewidomą osobą, a tu ludzie mówią o niebie.

– Och, jeśli idzie o wrażliwość na sztukę, to można jej w dużym stopniu nabyć – powiedział Will. (Nie można było wątpić w uczciwość wyznania Dorotei). – Sztuka to stary język, posiadający wiele nienaturalnych, afektowanych stylów i czasem największa przyjemność z wiedzy o nich to po prostu świadomość tej wiedzy. Odczuwam ogromną radość, obcując tu ze sztuką najrozmaitszych rodzajów, ale gdybym mógł rozdzielić tę radość na części, okazałoby się, że składa się na nią wiele różnych wątków. Taki przychodzi mi pożytek z tego, że sam trochę pacykuję i mam niejakie pojęcie, jak to się robi.

– Zamierza pan może zostać malarzem? – W Dorotei obudziło się nowe zainteresowanie. – Zamierza pan uczynić z malarstwa swój zawód? Mój mąż będzie bardzo rad, słysząc, że obrał pan jakiś zawód.

– Och, nie! – W głosie Willa zabrzmiał lekki chłód. – Powziąłem ostateczną decyzję, że nie będę malarzem. To zbyt jednostronne życie. Poznałem tu wielu niemieckich malarzy; podróżowałem z Frankfurtu z jednym z nich. Niektórzy są świetni, nawet znakomici, ale nie chciałbym przejść ich sposobu patrzenia na świat, wyłącznie przez pryzmat pracowni malarskiej.

– Mogę to zrozumieć – powiedziała serdecznym tonem Dorotea. – I tu, w Rzymie, wydaje się, że tyle jest rzeczy na świecie bardziej potrzebnych niż obrazy. Ale jeśli ma pan talent malarski, czy nie byłoby właściwe pójść tym tropem? Może mógłby pan malować rzeczy lepsze niż te albo inne, żeby w jednym miejscu nie było tylu obrazów tak bardzo do siebie podobnych.

Tej prostoty nie sposób było fałszywie zrozumieć i Will, zupełnie podbity, mówił bardzo szczerze.

– Trzeba by niezwykłego talentu, by stworzyć coś nowego. Obawiam się, że mój nie pozwoliłby nawet na dobre wykonywanie tego, co już osiągnięto, w każdym razie na tyle dobre, by warto było się trudzić. A ja nigdy do niczego nie dojdę ciężką pracą. Jeśli coś nie przychodzi mi łatwo, to nie przyjdzie wcale.

– Słyszałam, jak mój małżonek wyrażał żal z powodu pańskiego braku cierpliwości – zauważyła łagodnie Dorotea. Była niemile zaskoczona tym sposobem traktowania życia jak wakacji.

– Tak, znam zdanie pana Casaubona. Różnimy się.

Niemal niedosłyszalny ton wzgardy, brzmący w tej odpowiedzi, uraził Doroteę. Poranne przejścia sprawiły, że stała się jeszcze bardziej wrażliwa na to, co tyczyło pana Casaubona.

– Niewątpliwie różnią się panowie – odparła nieco wyniośle. – Nie myślałam panów porównywać; nieczęsto się spotyka podobną wytrwałość i poświęcenie, z jaką pan Casaubon oddaje się pracy.

Will widział, że jest urażona, ale to pobudziło tylko jego skrywaną niechęć do pana Casaubona. To nie do zniesienia, by Dorotea uwielbiała takiego męża; podobna słabość u kobiety nie może sprawiać przyjemności nikomu z wyjątkiem rzezonego męża. Śmiertelni łatwo ulegają pokusie zadania śmiertelnego ciosu chwale swego bliźniego i wcale nie uważają tego za zbrodnię.

– Tak, to prawda – powiedział szybko. – Tym większa szkoda, że nie przyniesie pożytku, podobnie jak wiele innych angielskich poszukiwań naukowych, które są dokonywane z braku wiedzy o tym, co już zrobiono w innych krajach. Gdyby pan Casaubon czytał po niemiecku, oszczędziłby sobie wiele zachodu.

– Nie rozumiem. – Dorotea była zaskoczona i zatroskana.

– Mam tylko to na myśli – ciągnął szybko Will – że Niemcy przodują obecnie w badaniach historycznych i wyśmiewają się z odkryć dokonywanych po omacku w lesie za pomocą kompasu, podczas gdy oni ubili już tam gładkie gościńce. Kiedy przebywałem u pana Casaubona, widziałem, że nie dopuszcza tej świadomości do siebie: niemal wbrew woli przeczytał traktat łaciński napisany przez Niemca. Było mi bardzo przykro.

Will pragnął tylko zadać miazdzący cios owej wychwalanej pracowitości i nie był w stanie wyobrazić sobie, w jaki też sposób mogłoby to dotknąć Doroteę. Młody pan Ladislaw bynajmniej nie był czytany w niemieckiej literaturze, nie trzeba jednak wiele czytać, by litować się nad cudzą niewiedzą.

Nieszczęsna Dorotea poczuła tak bolesne ukłucie w sercu na myśl, że praca życia jej męża może się okazać bezużyteczna, że zabrakło jej już sił na zastanowienie się, czy ten jego młody krewniak, który mu tyle zawdzięcza, nie powinien był jednak powstrzymać się od wygłoszenia ostatniej uwagi. Nie mówiła nic, siedziała tylko ze wzrokiem spuszczoneym

na ręce, przejęta okropnością takiej ewentualności.

Will jednak, po zadaniu tego morderczego ciosu, poczuł wstyd, a z milczenia Dorotei wysnuł wniosek, że znowu ją obraził, w dodatku uprzytomnił sobie wreszcie, że kopie dołki pod swoim dobroczyńcą.

– Przykro mi było tym bardziej – podjął, przechodząc, jak to bywa, od obmowy do nieszczerych pochwał – że wobec mego kuzyna żywiej wdzięczność i szacunek. Nie miałyby to takiego znaczenia, gdyby dotyczyło człowieka mniej wybitnego pod względem charakteru i talentów.

Dorotea podniosła lśniące przejęciem oczy i powiedziała smutnym głosem, rozbitym w śpiewne frazy:

– Jakże żałuję, że się nie uczyłam niemieckiego w Lozannie! Tytu tam było nauczycieli niemieckiego! A teraz nie mogę nic pomóc.

Te słowa rzucały nowe, lecz wciąż tajemnicze światło. Na pytanie, jak to się stało, że przyjęła oświadczyzny pana Casaubona, pytanie, które odsunął przy pierwszym spotkaniu, mówiąc sobie, że wbrew pozorom na pewno jest antypatyczna, na to pytanie nie było już ani prostej, ani jednoznacznej odpowiedzi. Cokolwiek by powiedzieć o tej kobiecie – na pewno nie była antypatyczna. Nie była też zimna i sprytna ani przewrotnie szydercza, lecz zachwycająco prosta i uczuciowa. To anioł, który został zwiedziony. Cóż by to była za rozkosz czekać i nasłuchiwać tych dźwięcznych fraz, w jakich tak bezpośrednio i niewinnie wyraża się jej serce i dusza. Znowu przyszła mu na myśl harfa eolska.

Musiała wymyślić sobie jakąś osobliwą, romantyczną rolę w tym małżeństwie. Gdyby pan Casaubon był smokiem, który zniecka porwał ją w swoich szponach do jaskini, ot tak, nie zachowując formalności, należałoby nieuniknionym aktem bohaterstwa uwolnić ją, po czym paść jej do stóp. Lecz pan Casaubon był stworem trudniejszym do poskromienia niż smok: był dobroczyńcą, za którym stała wspólnota towarzyska i

który w tej właśnie chwili wchodził do pokoju, nieskazitelnie poprawny w obejściu, podczas gdy Dorotea wyglądała na przejętą obudzonym niedawno lękiem i żalem, Will zaś wyglądał na przejętego pełnymi zachwyty rozważaniami jej uczuć.

Pan Casaubon odczuł zdumienie bez najmniejszej domieszki zadowolenia, przywitał się jednak uprzejmie, jak to zwykł był czynić; Will wstał i wyjaśnił, skąd się tu wziął. Pan Casaubon był w gorszym niż zwykle humorze, czym zapewne należało tłumaczyć jego jeszcze bardziej bezbarwny i zetłały wygląd, który w innym wypadku miałyby pewno źródło w kontraście z wyglądem młodego kuzyna. Pierwszym wrażeniem, jakie wywoływał Will, była słoneczna jasność potęgująca niestałość wyrazu jego twarzy. Doprawdy, nawet jego rysy się zmieniały: dolna szczęka to wydawała się duża, to drobna, a pojawiająca się na nosie zmarszczka zapowiadała metamorfozę. Kiedy Will szybko odwracał głowę, wydawało się, że z włosów wytrząsa światło, a niektórzy uważali, że w tych świetlnych iskrzeniach wyraźnie objawia się geniusz. Pan Casaubon, przeciwnie, stał bezpromienny.

Ten kontrast nie uszedł zapewne niespokojnym oczom Dorotei, ale że miała dodatkowe powody do zmartwienia, tym mocniej odczuła obawę o męża, ów pierwszy w życiu przyływ czułej litości, zrodzony z wiedzy o jego losie, a nie z jej własnych marzeń. A jednak dzięki obecności Willa czuła się o wiele bardziej swobodnie: miła jej była młoda równość wiekiem, jak też może i to, że tak łatwo dawał się przekonać. Ogromnie potrzebowała kogoś, z kim mogłaby rozmawiać, a nigdy jeszcze nie spotkała rozmówcy tak inteligentnego i zgodnego, który by wszystko rozumiał.

Pan Casaubon wyraził z powagą nadzieję, że Will spędza w Rzymie czas zarówno pożytecznie, jak mile – sądził był uprzednio, że krewniak zamierza przebywać w południowych Niemczech. Poprosił, by przyszedł

jutro na kolację, a wtedy będą mogli dłużej porozmawiać – teraz czuje się nieco zmęczony. Ladislaw zrozumiał i przyjąwszy zaproszenie, natychmiast się pożegnał.

Dorotea podążyła niespokojnym wzrokiem za mężem, gdy ten usiadł ciężko w rogu kanapki, podparł się łokciem, złożył głowę na ręce i wbił wzrok w podłogę. Usiadła przy nim, zaróżowiona nieco, z błyszczącymi oczami, i powiedziała:

– Wybacz, że odezwałam się do ciebie tak porywczo dziś rano. Postąpiłam niewłaściwie. Obawiam się, że cię uraziłam, i przez to miałeś cięższy dzień.

– Rad jestem, że takie są twoje sentymta, moja droga – odparł pan Casaubon, lekko skłaniając głowę. Mówił cicho, lecz w oczach, gdy na nią spojrział, miał wciąż niepewny wyraz.

– Ale czy mi wybaczasz? – spytała Dorotea z nagłym szlochem. Potrzeba otrzymania jakiegoś dowodu uczuć sprawiła, że młoda mężatka gotowa była wyolbrzymiać swoją winę. Czy miłość nie zobaczy z daleka powracającej skruchy, nie obejmie jej za szyję, nie ucałuje?

– Droga moja Doroteo, „kto nie przebacza skruszonym, nie jest z nieba ni z ziemi”^[42]. Chyba nie skażesz mnie tą surową sentencją na wygnanie. – Pan Casaubon wysilił się na stanowcze oświadczenie, a również na słaby uśmiech.

Dorotea milczała, lecz ła, która wezbrała wraz ze szlochem, uparła się, by spłynąć po policzku.

– Jesteś wzburzona, moja droga. A ja również odczuwam pewne niemiłe skutki nadmiernego niepokoju umysłu – oświadczył pan Casaubon.

W gruncie rzeczy zamierzał właśnie powiedzieć jej, że nie powinna była przyjmować pod jego nieobecność młodego Ladisława, powstrzymał

[42] Szekspir, *Dwaj panowie z Werony*, akt V, sc. 4 (przeł. S. Koźmian).

się jednak, powodowany po trosze myślą, że byłoby niegrzecznie występować z nowym oskarżeniem po jej akcie skruchy, po trosze obawą, że te słowa wprawia go w jeszcze większe rozdrażnienie, a po trosze dumą, która nie pozwalała mu zdradzać się z zazdrością – nie wszystką bowiem zazdrość skupiał na swoich uczonych kolegach, zostawił jej trochę i na inne sprawy. Istnieje taka zazdrość, której nie potrzeba wielkiego płomienia, która nie jest nawet namiętnością, lecz śniecią wyhodowaną na chmurnym, wilgotnym ponuractwie egoizmu trawiącego człowieka.

– Sądzę, że czas się przebrać – dodał, spoglądając na zegarek.

Wstali oboje i nigdy już nie padła między nimi najmniejsza wzmianka o tym, co zaszło tego dnia.

Ale Dorotea pamiętała to do końca tak żywo, jak pamiętamy wszyscy epoki naszych doświadczeń, kiedy umiera jakaś droga sercu nadzieja lub rodzi się jakiś nowy cel. Od tego dnia zaczęła rozumieć, że żywiła szalone złudzenia, oczekując od męża odwzajemnienia uczuć, zaczęło jej też świtać podejrzenie, że towarzyszy mu w życiu jakiś wielki smutek, który stawia zarówno przed nim, jak przed nią wielkie wymagania.

Wszyscy rodzimy się w stanie głupoty moralnej i traktujemy świat jak dojną krowę, która ma wykarmić naszą wyjątkową osobowość; Dorotea zaczęła się wcześniej otrząsać z tej głupoty, lecz łatwiej jej było wyobrażać sobie, że się poświęci dla pana Casaubona i stanie się mądra i silna jego mądrością i siłą, niż pojąć z jasnością, która nie jest już myślą, lecz uczuciem – ideą sprowadzoną z powrotem do bezpośredniego wrażenia zmysłowego, takiego jak poczucie stałości przedmiotu – że on tak samo jak ona ma centrum swojego „ja”, gdzie światła i cienie zawsze padają troszeczkę inaczej.

ROZDZIAŁ XXII

Nous causâmes longtemps; elle était simple et bonne.
Ne sachant pas le mal, elle faisait bien;
Des richesses du coeur elle me fit l'aumône,
Et tout en écoutant comme le coeur se donnait,
Sans oser y penser, je lui donnai le mien;
Elle emporta ma vie, et n'en sut jamais rien.

Rozmawialiśmy długo; była dobra i prosta.
Nie znając zła, czyniła tylko dobro.
Z bogactwa swego serca dała mi jałmużnę,
A ja, słuchając pilnie, jak otwiera serce,
Nie ośmielając się myśleć, oddałem jej swoje;
I tak zabrała mi życie, nic o tym nie wiedząc.

Alfred de Musset, *Une Bonne Fortune*, XXXIX

Podczas kolacji następnego dnia Will Ladislaw był ujmujący i miły i nie dał panu Casaubonowi najmniejszej okazji do wyrażenia dezaprobaty. Wręcz przeciwnie – Dorotea miała wrażenie, że Will lepiej niż ktokolwiek inny ze znanych jej osób potrafi wciągnąć jej męża w rozmowę i słuchać go z szacunkiem. Co prawda słuchacze z okolic Tipton nie byli ludźmi wielkich talentów. Will często zabierał głos, ale rzucał słowa szybko i lekko, jakby *en passant*, a jego wypowiedzi brzmiały niby wesołe kuranty po uderzeniach wielkiego dzwonu. Jeśli nie był zawsze doskonały, to musiał mieć akurat dobry dzień. Opisywał różne przypadki z życia

rzymskiej biedoty, jakie zaobserwować mógł tylko ktoś, kto się swobodnie porusza po mieście: całkowicie zgodził się z panem Casaubonem w przedmiocie błędnych opinii Middletona^[43], tyjących związku między judaizmem a katolicyzmem, i przeszedł lekko do opowiadania, z pewnym entuzjazmem, a również nutą żartobliwości, ile zadowolenia daje mu fakt, że Rzym jest mozaiką, która zmusza umysł do gimnastyki, każąc nieustannie czynić porównania, i nie pozwala patrzeć na poszczególne wieki tego świata jak na podziały w segregatorze, nie widząc istniejących między nimi zależności. Pan Casaubon, zauważył Will, prowadzi badania na zbyt rozległym polu, by mógł w sposób nagły odnieść podobne wrażenia, jeśli jednak idzie o niego, musi wyznać, że Rzym dał mu nowe poczucie historii jako całości: fragmenty pobudziły jego wyobraźnię i zmusiły do twórczego myślenia. Od czasu do czasu, niezbyt często jednak, odwoływał się do Dorotei, po czym zastanawiał się nad jej słowami, jakby warto było brać jej opinię pod uwagę w ostatecznym osądzie *Madonny di Foligno* czy *Grupy Laokoona*. Poczucie, że człowiek bierze udział w tworzeniu światowej opinii, wpływa ożywczo na rozmowę, poza tym pan Casaubon był dumny ze swojej młodej żony, która wypowiadała się lepiej niż większość kobiet, co, rzecz jasna, zauważył, wybierając ją sobie małżonką.

Zachęcony tą miłą atmosferą oraz stwierdzeniem gospodarza, że przez kilka dni powstrzyma się od pracy w Bibliotece, następnie podejmie ją na krótko, potem zaś nie widzi celu pozostawania w Rzymie, Will oświadczył, że pani Casaubon nie powinna stąd wyjeżdżać, nie obejrzawszy wprzód kilku pracowni malarskich. Czy pan Casaubon nie zechciałby jej tam zaprowadzić? Nie powinno się tracić podobnej okazji, to coś wyjątkowego: pewna forma życia, która wyrasta jak drobna młoda roślinność wraz z populacją owadów na wielkich skamielinach. Będzie

[43] Conyers Middleton (1683-1750) – teolog z uniwersytetu Cambridge.

szczęśliwy, mogąc być im przewodnikiem – nic męczącego, jedynie kilka pracowni, parę przykładów.

Pan Casaubon, widząc, że Dorotea spogląda ku niemu z powagą, nie miał wyjścia i zapytał, czy miałyby ochotę na podobne odwiedziny: będzie przez cały dzień na jej usługi. Podjęto decyzję, że Will przyjedzie po nich następnego ranka i wybiorą się wspólnie.

Will nie mógł pominąć Thorvaldsena, żyjącej sławy, o którego nawet pan Casaubon zapytał, lecz już po niedługim czasie wprowadzał ich do studia swego przyjaciela, Adolfa Naumanna, którego im przedstawił jako należącego do grona najwybitniejszych malarzy, odnowicieli sztuki chrześcijańskiej, jednego z tych, co to nie tylko ożywili, ale i rozwinęli wspaniałą ideę przedstawiania Największych Wydarzeń w formie misteriów, których widzami są kolejne wieki i wobec których wielkie duchy wszystkich epok stają się niejako rówieśne. Dodał, że postanowił przez jakiś czas studiować pod okiem Naumanna.

– Robię pod jego kierunkiem kilka szkiców olejnych – tłumaczył. – Nie znoszę kopiowania. Zawsze muszę robić coś własnego. Naumann maluje świętych ciągnących Wóz Kościoła, a ja robię szkic Tamerlana, jak go przedstawił Marlowe, powożącego rydwanem, do którego zaprzęgnięci zostali Pokonani Królowie. Daleko mi do klerykalizmu Naumanna i wyrzucam mu często nadmiar znaczeń. Ale w tym wypadku zamierzam go prześcignąć rozmachem mojego zamysłu. Wyprawiam mego Tamerlana z rydwanem w ogromną drogę fizycznej historii świata, okładającego batem dynastie w zaprzęgu. Wydaje mi się, że to dobra interpretacja mityczna. – Tu Will spojrzał ku panu Casaubonowi, którego ta bezceremonialność w posługiwaniu się symboliką wprawiła w pewne zakłopotanie, wobec czego skinął nieobowiązująco głową.

– To musi być wielki szkic, jeśli ma pomieścić tak wiele – zauważyła Dorotea. – Potrzebowałabym pewnych wyjaśnień nawet do tego

znaczenia, jakie pan mu nadaje. Czy chce pan, żeby pański Tamerlan przedstawiał trzęsienia ziemi i wulkany?

– O, tak – roześmiał się Will. – A również migracje ras i karczowanie lasów, i Amerykę, i statki parowe. Wszystko, co tylko może sobie pani wyobrazić.

– Cóż to za skomplikowany rodzaj stenografii. – Dorotea uśmiechnęła się do swego męża. – Potrzeba by całej twojej wiedzy, żeby to rozszyfrować.

Pan Casaubon zerknął ukradkiem na Willa. Podejrzewał, że jest wyśmiewany. Nie sposób jednak było objąć tym podejrzaniem Dorotei.

Zastali Naumanna pochłoniętego pracą, lecz bez modelu. Obrazy rozmieszczone były starannie, a sam malarz, brzydki, tryskający życiem, pracował odziany w gołębiego koloru kaftan i rudawy aksamitny beret, wszystko więc znakomicie się składało, zupełnie jakby gospodarz oczekiwał przyjścia młodej, pięknej angielskiej damy o tej właśnie godzinie.

Mówił śmiało po angielsku, wygłaszał krótkie dysertacje na temat swoich ukończonych i nieukończonych prac, a przy tym obserwował pana Casaubona, zdawałoby się równie bacznie, jak Doroteę. Will co pewien czas rzucał słowa gorących pochwał pod adresem tego czy owego obrazu, podkreślając jego szczególne walory, Dorotea zaś miała wrażenie, że wyrabia sobie całkiem nowe pojęcie o tym, jaki sens wyrażają Madonny siedzące na tronach pod zaskakującymi baldachimami na tle zwykłego, wiejskiego pejzażu albo też święci z modelami architektonicznymi w rękach, czy też nożem, ni stąd, ni zowąd wbitym w czaszkę. Pewne rzeczy, które wydawały jej się dotąd potworne, stawały się bardziej zrozumiałe, nabierały nawet naturalnego znaczenia; to wszystko jednak stanowiło gałąź wiedzy, która nie budziła zainteresowania pana Casaubona.

– Wydaje mi się, że wolałabym chyba czuć, że obraz jest piękny, a nie rozszyfrowywać go jak zagadkę, prędzej jednak nauczyłabym się

rozumieć te obrazy niż pańskie, o tak bardzo wielorakim znaczeniu – zwróciła się Dorotea do Willa.

– Niech pani nie wspomina o moich obrazach przy Naumannie – poprosił. – Zaraz pani powie, że to *pfuscherei*, a to jest wysoce obraźliwe słowo.

– Czy to prawda?

Dorotea zwróciła szczere spojrzenie na malarza, który odparł, krzywiąc się lekko:

– Och, on nie traktuje malarstwa serio. Jego droga to literatura piękna. Ona dopiero jest szero-o-oka.

Przeciągnął sylabę, jakby ironizował. Nie bardzo się to spodobało Willowi, udało mu się jednak rozeźmiać, pan Casaubon zaś, choć niemiecki akcent malarza napełniał go odrazą, zaczął odczuwać pewien respekt dla jego rozumnej surowości.

Respekt ten bynajmniej się nie zmniejszył, gdy Naumann, który odciągnął na chwilę Willa, a potem popatrzał najpierw na płótno, a potem na pana Casaubona, podszedł w końcu do niego, mówiąc:

– Mój przyjaciel, Ladislaw, sądzi, że wybaczy mi pan, jeśli powiem, że szkic pańskiej głowy byłby dla mnie bez ceny dla wyobrażenia świętego Tomasza z Akwinu na tym tu obrazie. Proszę o nazbyt wiele, ale tak rzadko zdarza mi się zobaczyć to, czego akurat potrzebuję: ucieleśniony ideał.

– Zdumiewa mnie pan, wielce zdumiewa. – Rumieniec zadowolenia korzystnie wpłynął na wygląd pana Casaubona. – Jeśli jednak moja skromna fizjonomia, którą zwykłem uważać za najpospolitszą, może się przydać panu do nadania rysów anielskiemu doktorowi, będę się czuł zaszczycony. To znaczy, jeśli ten zabieg nie będzie zbyt długi i jeśli moja małżonka nie będzie oponowała przeciw zwole.

Jeśli idzie o Doroteę, nic nie mogło jej sprawić większej przyjemności,

chyba jakiś głos z nieba ogłaszający pana Casaubona najmądrzejszym i najszlachetniejszym spośród synów tej ziemi. Jej nadwątlona wiara nabrałaby znowu siły.

Okazało się, że Naumann jakimś cudem ma wszystkie przybory pod ręką; natychmiast rozpoczęła się praca nad szkicem, a równolegle potoczyła się rozmowa. Dorotea usiadła i pogрузzyła się w spokojnym milczeniu, szczęśliwa, jak dawno nie była. Wydawało jej się, że wszyscy wokół są dobrzy, i mówiła sobie, że gdyby tylko miała większą wiedzę, Rzym okazałby się pełen piękna: nadzieja uskrzydliłaby jego smutek. Trudno o naturę mniej podejrzliwą niż natura Dorotei: jako dziecko wierzyła we wdzięczność os i szlachetną wrażliwość wróbli, toteż była odpowiednio oburzona, gdy ujawniła się cała ich niegodziwość.

Pomysłowy malarz zadawał panu Casaubonowi pytania o politykę w Anglii i otrzymywał długie odpowiedzi, a tymczasem Will usiadł na schodkach z tyłu i przyglądał się całej scenie.

W pewnej chwili Naumann powiedział:

– No, gdybym mógł to teraz odłożyć na pół godzinki i potem podjąć znowu. Chodź no tu, przyjacielu, i popatrz, szkic, jak dotąd, jest chyba doskonały.

Will wydał kilka okrzyków, z których wynikało, że zachwyty przewyższa możliwości składni, Naumann zaś zauważył z żalem:

– Cóż... gdybym mógł jeszcze trochę... ale mają państwo inne zobowiązania... nie śmiałybym prosić... albo o przyjęcie jutro...

– Och, zostanmy – zwróciła się do męża Dorotea. – Nie mamy na dzisiaj żadnych projektów, ot, tylko przespacerować się trochę po mieście, prawda? – Tu spojrzała na niego prosząco. – Szkoda by było, gdyby głowa nie wypadła dobrze.

– Jestem na pańskie usługi – powiedział pan Casaubon z łaskawą uprzejmością. – Ponieważ pozwalam próżnować wnętrzu mojej głowy,

dobrze się składa, że jej część zewnętrzna może w ten sposób pracować.

– Jest pan niesłychanie dobry, doprawdy, czuję się uszczęśliwiony – ucieszył się Naumann, po czym zwrócił się po niemiecku do Willa, wskazując coś na płótnie i zastanawiając się nad czymś. Odłożył robotę na chwilę i rozejrzał się niepewnie, jakby szukał jakiegoś zajęcia dla swych gości, wreszcie zwrócił się do pana Casaubona:

– A może łaskawa pani, piękna małżonka, nie odmówiłaby mojej prośbie i przez ten czas zechciała mi pozować do drobnego szkicu jej postaci. Oczywiście nie do tego obrazu, to jasne, lecz jako osobne studium.

Pan Casaubon skłonił się, nie wątpił, że jego małżonka przychyli się do tej prośby, Dorotea zaś spytała od razu:

– Gdzie mam panu pozować?

Naumann nie wiedział, jak ją przeproszać za to, że chciałby, aby mu pozowała na stojąco, następnie za to, że pozwoli sobie ustawić ją w odpowiedniej pozie, czemu poddała się bez cienia afektacji, bez żadnych śmiechów, często uważanych za niezbędne w podobnej sytuacji. Wreszcie powiedział:

– Chciałbym, aby mi pani pozowała do postaci świętej Klary. O tak, pochyłona, wspierając policzek na dłoni... ze wzrokiem skierowanym tam, na ten stołek, o tak!

Willa rozdzierały rozmaite uczucia – to chciał paść do stóp świętej i ucałować jej szatę, to znowu dać w zęby Naumannowi, który ośmielał się układać jej rękę w odpowiednim geście. Bezcelność i profanacja. Żałował, że ją był tu sprowadził.

Malarz pracował pilnie, a Will, oprzytomniawszy, podszedł do pana Casaubona i wysilał dowcip jak mógł, byle go czymś zająć, nie był jednak w stanie niczego zrobić, aby czas nie zaczął się wreszcie dłużyć rozmówcy, o czym jasno świadczył jego głośno wypowiedziany niepokój, że małżonka zapewne jest już zmęczona. Naumann w lot pojął przyczynę

i natychmiast zaproponował:

– Gdyby teraz zechciał pan jeszcze raz wyświadczyć mi uprzejmość, wówczas zwolniłbym łaskawą panią.

Dzięki temu cierpliwość pana Casaubona wzrosła, a kiedy się wreszcie okazało, że głowa świętego Tomasza z Akwinu zyskałaby na doskonałości, gdyby można było odbyć jeszcze jeden seans, pan Casaubon zgodził się przyjść następnego dnia. Nazajutrz malarz kilkakrotnie retuszował szkic świętej Klary. Wszystko to razem wzięte wprawiło pana Casaubona w takie zadowolenie, że postanowił zakupić obraz przedstawiający świętego Tomasza z Akwinu siedzącego pośród doktorów Kościoła i pogrążonego w dyspacie zbyt abstrakcyjnej, by ją można było przedstawić, ale wysłuchiwaną z mniejszą czy większą uwagą przez audytorium w górze. Jeśli idzie o świętą Klarę, o której mówiono w drugiej kolejności, malarz nie był zadowolony ze szkicu – nie mógłby z czystym sumieniem zagwarantować, że uda mu się zrobić z tego dobry obraz. Tak więc co do świętej Klary zawarto umowę warunkową.

Nie będę tu przytaczał żartów, jakie robił Naumann z pana Casaubona, ani peanów, jakie śpiewał na cześć urody Dorotei, w którym to punkcie wtórował mu Will, ale w nieco innym tonie. Gdy tylko malarz wymienił jakiś szczegół jej urody, natychmiast w Willu budziło się oburzenie na arogancję przyjaciela: cóż to za grubiaństwo używać wobec niej tak przyziemnych słów, a poza tym jakie on ma prawo mówić o jej wargach? To nie jest kobieta, o której można gadać tak jak o innych. Will nie potrafił dokładnie wyartykułować swoich myśli, ale był poirytowany. A przecież, kiedy po pewnych oporach zgodził się sprowadzić Casaubonów do studia Naumanna, zrobił to dla zaspokojenia swojej ambicji i pokazania się jako ten, który da malarzowi sposobność popatrzenia na jej urodę – a raczej jej boskość, gdyż pospolite zwroty odnoszące się do fizycznej piękności były w jej wypadku niewłaściwe. (Niewątpliwie mieszkańcy Tipton i okolicy,

jak też i sama Dorotea byliby zdumieni tymi zachwytnymi. Tam uważano ją tylko za „dorodną pannę”).

– Bądź łaskaw zmienić temat. O pani Casaubon nie można mówić jak o modelce – powiedział Will. Naumann otworzył szeroko oczy.

– *Schön!* Będę mówił o moim Tomaszu. Głowa, wszystko razem wzięwszy, niezła. Myślę, że sam wielki scholastyk uznałby za pochlebstwo, gdyby go poproszono o pozowanie do portretu. Nie ma, jak ci sztywni doktorzy, jeśli idzie o próżność! Stało się, jak myślałem: o wiele mniej go interesował jej portret niż własny.

– To przekłeta, zimna, zarozumiała piła – stwierdził Will porywczco i gniewnie. Malarz nie znał jego zobowiązań wobec pana Casaubona, Will jednak sam o nich teraz pomyślał, marząc, by mógł je spłacić jednym czekiem.

Naumann wzruszył ramionami.

– Dobrze, że wyjeżdżają niedługo. Mają fatalny wpływ na twój humor.

Cała nadzieja i pomysłowość Willa skupiły się teraz na tym, żeby zobaczyć się z Doroteą, gdy będzie sama. Chciał tylko, żeby go wyraźniej dostrzegła, żeby w jej wspomnieniach pozostał kimś bardziej szczególnym, niż – jak sądził – może się jej wydawać obecnie. Trochę mu przeszkadzała jej otwarta, gorąca życzliwość dla wszystkich, która, jak widział, była zwykłym wyrazem jej uczuć. Uwielbienie żywione z oddali dla niedosiężnej królowej odgrywa wielką rolę w życiu mężczyzny, na ogół jednak wielbiciel marzy o jakimś świadectwie uznania, jakimś geście aprobaty, którym władczyni jego serca może mu dodać ducha, nie zniżając się ze swoich wysokości. Właśnie tego pragnął Will. W tych jego fantastycznych żądaniach było jednak wiele sprzeczności. Cudownie było patrzeć, jak Dorotea zwraca oczy ku małżonkowi, błagalnie i z troską, na pewno nimb jej zblaknąłby, gdyby nie wykazywała tej przypisanej żonie dbałości, lecz już w następnej chwili nie do zniesienia był widok jej

małżonka wchłaniającego ten nektar tak, jak suchy piasek wchłania wodę. Pragnienie, by źle wyrażać się o tym człowieku, tym bardziej dolegało Willowi, że miał poważne powody, by z tym pragnieniem walczyć.

Nie zaproszono go na kolację następnego dnia, wobec czego wytłumaczył sobie, że ma obowiązek złożyć krewnym wizytę i że najważniejszą po temu porą będzie południe, kiedy to pana Casaubona nie będzie w domu.

Dorotea, nieświadoma niezadowolenia męża, gdy poprzednio przyjęła była Willa, bez wahania kazała go wprowadzić, sądząc, że przyszedł z pożegnalną wizytą. Oglądała właśnie kamee, które zakupiła dla Celi. Przywitała Willa, jakby jego przyjście było czymś oczywistym, i zwróciła się zaraz do niego, trzymając w ręku bransoletkę z kamei.

– Takam rada, że pan przyszedł. Może zna się pan na kameach i może mi powiedzieć, czy te są naprawdę dobre. Bardzo chciałam prosić pana o towarzyszenie nam przy tym zakupie, ale mąż się sprzeciwił, uważał, że już nie ma czasu. Jutro kończy swoją pracę i za trzy dni wyjeżdżamy. Nie jestem co do tych kamei przekonana. Proszę, niech pan usiądzie i popatrzy na nie.

– Nie jestem znawcą, ale jeśli idzie o te homeryckie drobiazgi, trudno o wielką pomyłkę. Te są pięknie wyczelowane. I mają wspaniały kolor, będzie w nich pani do twarzy.

– Och, są przeznaczone dla mojej siostry, która ma zupełnie inną cerę. Widział ją pan, gdyśmy się poznali w Lowick: jest jasna i bardzo ładna, przynajmniej ja tak uważam. Nigdy jeszcze dotąd nie byliśmy tak długo z dala od siebie. Jest lubiana przez wszystkich i nigdy w życiu nie zachowała się niegrzecznie. Dowiedziałam się przed wyjazdem z domu, że chciałyby, abym jej kupiła komplet kamei i byłoby mi przykro, gdyby się okazały nieudane – jako kamee – ostatnie słowa dodała z uśmiechem.

– Mam wrażenie, że nie przywiązuje pani zbytnej wagi do kamei.

– Will usiadł w pewnej odległości i patrzył na Dorotę, która zamykała puzdro.

– Nie, szczerze mówiąc, nie uważam, by wiele w życiu znaczyły – odparła.

– Obawiam się, że jest pani heretyczką w sprawach sztuki w ogólności. Jak to się mogło stać? Oczekiwałbym od pani wrażliwości na piękno, wszędzie, gdzie je pani spotka.

– Sądzę, że jestem ograniczona pod wieloma względami – odpowiedziała prosto. – Chciałabym sprawić, by życie było piękne, to znaczy, życie każdego człowieka. A ten przeogromny obszar sztuki, który jakby leży poza życiem i nie czyni go lepszym, sprawia mi ból. Moja radość przeżywania zostaje zatruta, kiedy pomyślę, że dla większości ludzi jest niedostępna.

– To jest fanatyczny rodzaj współczucia – powiedział popędliwie Will. – Mogłaby pani powiedzieć to samo o krajobrazie, poezji, o wszystkim, co kunsztowne i wytworne. Ciągając to konsekwentnie, musiałyby pani zamartwiać się własną dobrocią i stać się osobą złą, aby nie być lepsza od innych. Najlepszy wyraz pobożności to cieszyć się życiem, kiedy tylko się da. Wówczas najbardziej się pani przyczynia do zachowania charakteru tej ziemi jako przyjaznej ludziom planety. A ponadto radość promieniuje. Nic nie przyjdzie z pani starań, by troszczyć się o cały świat, troszczy się pani o niego wówczas, gdy się pani zachwyca sztuką czy czymkolwiek innym. Czy chciałaby pani przemienić wszystkich młodych tego świata w tragiczny chór, płaczący i moralizujący na temat ubóstwa? Podejrzewam, że wyznaje pani fałszywą wiarę w cnoty biedy i chce pani zmienić swoje życie w męczeństwo. – Will zagalopował się nieco, więc zamilkł, lecz myśli Dorotei biegły innym niż jego torem. Odpowiedziała więc bez szczególnego poruszenia:

– Pan, doprawdy, myli się co do mnie. Nie jestem istotą smutną ani

melancholijną. Nigdy nie czuję się długo nieszczęśliwa. Bywam zła i nieznośna, nie tak jak Celia: wybucham gwałtownie, a potem wszystko znowu staje się cudowne. Nic nie poradzę na to, że wierzę na swój sposób w różne wspaniałe rzeczy. Bardzo bym chciała cieszyć się w Rzymie sztuką, ale tyle tu dzieł, których nie rozumiem, tyle rzeczy, które wydają mi się bardziej uświęceniem brzydoty niż piękna. Obraz czy rzeźba mogą być wspaniałe, ale uczucia są często niskie i prymitywne, a nawet śmieszne. Czasem dostrzegam coś, co od pierwszego spojrzenia wydaje mi się szlachetne. Coś, co mogę porównać z widokiem Góry Albańskiej czy zachodem oglądanym ze wzgórza Pincius; tym bardziej jednak żał, że w tej olbrzymiej masie rzeczy, nad których powstaniem tak bardzo trudzili się ludzie, tak niewiele jest doskonałości.

– Oczywiście, zawsze jest dużo tandety. Wybitne dzieła wymagają odpowiedniej gleby, żeby mogły z niej wyrosnąć.

– Och – westchnęła Dorotea, dołączając tę myśl do głównego nurtu swoich niepokoi – widzę, jak trudno jest zrobić coś dobrego.

Od przyjazdu do Rzymu często myślałam, że gdyby nasze życie można było powiesić na ścianie, wyglądałoby o wiele brzydziej i marniej niż te obrazy.

Rozchyliła wargi, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale rozmyśliła się i zamilkła.

– Jest pani zbyt młoda. To anachronizm, takie myśli. – Will potrząsnął głową szybkim, charakterystycznym dla niego ruchem. – Mówi pani, jakby nigdy nie znała młodości. To straszne. Jakby pani w dzieciństwie miała wizję Hadesu, jak ten chłopiec w legendzie. Wpajano pani te okropne wyobrażenia, które niby Minotaur wybierają najbardziej urocze kobiety na pożarcie. A teraz pojedzie pani i zamknie się w tym kamiennym więzieniu w Lowick: zostanie pani żywcem pogrzebana. Myśl o tym doprowadza mnie do szału! Lepiej by mi było nigdy pani nie poznać niż

widzieć ją z taką przyszłością.

Will znowu się przestraszył, że posunął się za daleko, lecz znaczenie, jakie przypisujemy słowom, zależy od naszych uczuć, a w jego tonie, pełnym gniewnego współczucia, tyle było życzliwości, że serce Dorotei, zawsze skore do wybiegania ku innym, a rzadko doznające tego samego wzajem, wezbrało nieznaną dotychczas wdzięcznością. Odpowiedziała z łagodnym uśmiechem:

– Bardzo to zacnie z pana strony, że się pan o mnie niepokoi. To pewno dlatego, że sam nie lubi pan Lowick: postanowił pan prowadzić życie innego rodzaju. Ale Lowick to mój dom z wyboru.

Ostatnie słowa wymówiła niemal w uroczystych kadencjach, a Will nie wiedział, co odpowiedzieć, jako że nie przyniosłoby mu pożytku, gdyby padł jej do stóp i oświadczył, że gotów jest dla niej umrzeć; przecież jej to do niczego niepotrzebne. Przez chwilę milczeli więc oboje, wreszcie Dorotea odezwała się, jakby postanowiła powiedzieć to, o czym myślała od dawna.

– Chciałam jeszcze raz pana zapytać o coś, co pan powiedział przed paru dniami. Może to wynikało tylko z pańskiego żywego sposobu mówienia. Zauważyłam, że pan lubi wyrażać się skrajnie; ja sama czasem przesadzam, gdy wpadam w zbytnią zapalczliwość.

– Cóż to było? – zapytał Will, widząc, że Dorotea mówi niepewnie i z nieznanym dotąd u niej zaleźnieniem. – Mam język skłonny do przesady, rozgrzewa się w miarę mówienia. Pewno będę się musiał z czego wycofać.

– Chodzi mi o to, co pan powiedział o koniecznej znajomości języka niemieckiego... w tej dziedzinie, którą zajmuje się mój mąż. Zastanawiałam się nad tym; sądzę, że człowiek takiej wiedzy jak mój małżonek musiał czerpać z tych samych źródeł, z jakich czerpali uczeni niemieccy, prawda? – Zaleźnienie Dorotei brało się z niejasnego przeświadczenia, że stawia się w niezręcznej sytuacji, konsultując kwalifikacje pana Casaubona z

osobą trzecią.

– Nie całkiem z tych samych źródeł. – Will postanowił być należycie powściągliwy. – Jak pani wie, pan Casaubon nie jest orientalistą. Sam powiada, że w tej dziedzinie ma tylko wiadomości z drugiej ręki.

– Ale przecież istnieją bardzo cenne książki o starożytnościach, napisane dawno, dawno temu przez uczonych, którzy nic nie wiedzieli o tych nowoczesnych odkryciach, a które są do dziś aktualne. Czemu by książka pana Casaubona nie miała być równie wartościowa? – spytała tonem energicznego protestu. Musiała wyrzucić z siebie przeprowadzane dotąd w myślach rozumowanie.

– To zależy od kierunku podjętych badań. – Will również przyjął ton dyskusji. – Przedmiot, jaki wybrał pan Casaubon, podlega zmianom jak chemia: coraz to nowe odkrycia otwierają coraz to nowe perspektywy. Komu potrzebny jest system oparty na teorii czterech elementów czy książka, która obala poglądy Paracelsusa? Nie widzi pani, jakie to bezpożyteczne czołgać się tuż-tuż za ludźmi minionego wieku, takimi jak Bryant^[44], i poprawiać ich błędy? Być w rupieciarni i sklejać koślawe teorie o Kuzsu i Misraimie?

– Jak pan może tak lekko o tym mówić? – Twarz Dorotei mieniła się żalem i gniewem. – Jeśliby było tak, jak pan powiada, to czyż można sobie wyobrazić coś smutniejszego niż tyle wytrwałej pracy daremnie? Dziwię się, że nie czuje pan większej przykrości, jeśli uważa naprawdę, że człowiek taki jak pan Casaubon, uosobienie dobroci, siły i wiedzy, mógłby w jakiś sposób doznać porażki w sprawie, której oddał najlepsze lata swojego życia? – Zaczynała ją opanowywać zgroza na myśl, że doszła w swoich rozważaniach do aż takich przypuszczeń, i oburzona była na Willa, że ją do tego przywiódł.

[44] Jacob Bryant – autor *Analizy mitologii starożytnej* prześledził wstecz wszystkie mity aż do Kusza i Misraima, synów Chama (Ks. Rodz. 10, 6).

– Pani pytanie tyczyło faktów, a nie uczuć – odparł. – Jeśli jednak chce mnie pani ukarać za fakty, to się poddaję. Nie jestem w pozycji, w której mógłbym wyrażać moje uczucia wobec pana Casaubona; w najlepszym wypadku byłyby to pochwała dobroczyńcy.

– Proszę mi wybaczyć. – Dorotea poczerwieniała mocno. – Zdaję sobie sprawę, że postąpiłam niewłaściwie, poruszając ten temat. Doprawdy, wcale nie mam racji. O wiele wspanialej jest ponieść klęskę niż nie podejmować wysiłków tak wielkich, by usprawiedliwiać słowo „klęska”.

– Zgadzam się z panią całkowicie. – Will postanowił odwrócić sytuację. – Do tego stopnia, że postanowiłem nie dopuścić do ryzyka, bym nigdy nie mógł ponieść klęski. Być może hojność pana Casaubona stanowi dla mnie zagrożenie, chcę więc wyrzec się swobody, jaką mi dawała... Mam zamiar wrócić wkrótce do Anglii i spróbować własnych sił: polegać wyłącznie na sobie, na nikim innym.

– To pięknie, szanuję taką postawę. – W głosie Dorotei znów zabrzmiała życzliwość. – Jestem pewna, że w tej sprawie mąż miał na celu jedynie pańskie dobro.

„Ma w sobie dość uporządkowania i dumy, by mu służyć zamiast go kochać, teraz kiedy już została jego żoną” – pomyślał Will. Głośno odezwał się, wstając:

– Nie zobaczę już pani.

– Och, proszę zaczekać na powrót mojego męża – poprosiła poważnie Dorotea. – Takam rada, żeśmy się spotkali w Rzymie. Chciałam pana poznać.

– A ja panią rozgniewałem. Sprawilem, że będzie pani źle o mnie myślała.

– Och, nic podobnego. Moja siostra powiada, że ja się zawsze gniewam na ludzi, którzy nie mówią dokładnie tego, co chciałabym usłyszeć. Ale pragnę wierzyć, że nie jestem skłonna źle o nich myśleć. Na ogół myślę

na koniec źle o samej sobie, za tę moją niecierpliwość.

– Ale jednak nie lubi mnie pani; nie będzie mnie pani mile wspominać.

– Nic podobnego – zaprzeczyła Dorotea z otwartą życzliwością. – Ja pana bardzo lubię.

Will nie był całkiem zadowolony, przyszło mu bowiem do głowy, że pewno jego osoba mocniej zapisała się w jej pamięci, gdyby był nielubiany. Nie odpowiedział, miał jednak minę chmurną, żeby nie powiedzieć: posępną.

– I pragnęłabym wiedzieć, co też pan będzie robił – ciągnęła pogodnie. – Wierzę święcie, że ludzie z natury mają różne powołania. Gdyby nie to przekonanie, musiałabym się uznać za bardzo ograniczoną. Tyle jest dziedzin, nie tylko malarstwo, o których nic nie wiem. Nie uwierzyłyby pan, jak mało zdobyłam wiedzy o muzyce i literaturze, na których pan tak się zna. Ciekawam, jakie też się okaże pańskie powołanie: może zostanie pan poetą?

– To zależy. Być poetą to mieć duszę postrzegającą tak szybko, że nie umknie jej żaden znaczący cień, i odczuwającą tak szybko, że owo postrzeżenie to tylko ręka potracająca struny uczuć w sposób pięknie zróżnicowany, duszę, w której wiedza przekształca się zaraz w czucie, ono zaś z kolei staje się natychmiast nowym instrumentem poznania. Taki stan ogarnia człowieka chwilami tylko.

– Ale nie wspomniał pan o poematach – upomniała go Dorotea. – Sądzę, że brak ich do pełnego obrazu poety. Rozumiem, co pan powiedział o wiedzy przekształcającej się w czucie, bo wydaje mi się, że to jest właśnie to, czego doświadczam. Ale jestem pewna, że nigdy nie byłabym zdolna stworzyć poematu.

– Pani sama jest poematem, tym, co powinno stanowić najlepszą część poety, tworzącą jego świadomość w chwilach najwyższych wzlotów – powiedział Will, wykazując taką oryginalność, jaka rodzi

się w nas wszystkich wraz z porankiem, wiosną i innymi niezliczonymi przebudzeniami.

– Bardzo jestem rada to słyszeć. – Słowa Dorotei, modulowane jak ptasi świergot, nabrzmiałe były śmiechem. – Jakież to miłe rzeczy pan mi mówi – spojrzała na Willa z żartobliwą wdzięcznością.

– Pragnąłbym móc kiedykolwiek uczynić coś, co byłoby, jak to pani mówi, miłe, czym mógłbym się pani w choćby najmniejszej mierze przysłużyć. Obawiam się, że nigdy nie będę miał sposobności po temu – mówił Will gorąco.

– Och, na pewno – odparła serdecznie – na pewno będzie pan miał. A ja będę pamiętać, jak dobrze mi pan życzył. Kiedy pana zobaczyłam pierwszy raz, właściwie liczyłam, że zostaniemy przyjaciółmi ze względu na pokrewieństwo pana z moim mężem. – Jej oczy załśniły mokro, a Will poczuł, że i jego oczy, posłuszne prawom natury, również wypełniają się wilgocią. Wzmianka o panu Casaubonie mogłaby popsuć nastrój, gdyby cokolwiek w tym momencie mogło popsuć ową podporządkowującą sobie wszystko siłę, ową słodką godność jej szlachetnego, wolnego od podejrzliwości niedoświadczenia.

– Jest coś, co może pan zrobić nawet teraz, zaraz – powiedziała, wstając i postępując parę kroków, ponownie pchnięta impulsem. – Niechże mi pan obieca, że nigdy z nikim nie będzie mówił na ten temat. To znaczy, na temat pracy mojego męża, to znaczy, w taki sposób. To ja do tego doprowadziłam. To moja wina. Ale niech mi pan obieca.

Przestała się przechadzać i stanęła przed Willem, spoglądając na niego z powagą.

– Oczywiście, że pani obiecuję – odparł Will, rumieniąc się jednak lekko. Jeśli już nigdy w życiu nie powie nic złośliwego o panu Casaubonie i skończy z przyjmowaniem od niego pomocy, to, dzięki temu, rzecz jasna, będzie miał prawo tym bardziej go nienawidzić. Poeta musi umieć

nienawidzić, mówił Goethe, a przynajmniej tę umiejętność Will posiadał. Oświadczył, że musi teraz iść, nie czekając na pana Casaubona, z którym przyjdzie się pożegnać w ostatniej chwili. Dorotea podała mu rękę i powiedzieli sobie po prostu: do widzenia.

Ale wychodząc z bramy wjazdowej, spotkał pana Casaubona, ten zaś, życząc kuzynowi wszystkiego najlepszego, zrezygnował uprzejmie z przyjemności żegnania się z nim następnego dnia, który będzie aż nadto wypełniony przygotowaniami do wyjazdu.

– Mam ci coś do powiedzenia o twoim kuzynie, panu Ladislawie, coś, co, jak sądzę, podniesie go w twoich oczach – zwróciła się wieczorem Dorotea do męża.

Zaraz gdy przyszedł, powiedziała mu o wizycie Willa, który pożegnał się był przed chwilą i ma jutro wrócić, pan Casaubon jednak wyjaśnił:

– Spotkaliśmy się przy wyjściu i sądzę, że pożegnaliśmy się ostatecznie – mówiąc to, przybrał minę i ton, które na ogół mają znaczyć, że poruszony temat, osobisty czy publiczny, nie interesuje nas na tyle, byśmy chcieli wysłuchiwać w związku z nim jakichkolwiek dodatkowych uwag. Dorotea więc czekała.

– Cóż to takiego, droga moja – zapytał pan Casaubon. (Zawsze używał zwrotu: „droga moja”, kiedy przybierał szczególnie chłodny ton).

– Podjął decyzję, że skończy z wędrówkami po świecie oraz przestanie korzystać z twojej szczodroblewości. Zamierza wkrótce wrócić do Anglii i tam się usamodzielnić. Sądziłam, że uznasz to za dobry znak. – Dorotea spojrzała prosząco w obojętną twarz męża.

– Czy powiedział dokładnie, jakiego rodzaju zajęcie zamierza podjąć?

– Nie. Powiedział jednak, że zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie kryje się dlań w twojej hojności. Napisze o tym do ciebie, to jasne. Czy nie myślisz o nim lepiej teraz, kiedy podjął taką decyzję?

– Poczekam, aż przyśle mi odpowiednie powiadomienie – odparł pan

Casaubon.

– Powiedziałałam mu, że pewna jestem, iż wszystko, coś dla niego uczynił, powodowała troska o jego dobro. Pamiętam, ile zacności było w tym, coś mi o nim powiedział, kiedy go pierwszy raz zobaczyłam w Lowick. – Dorotea położyła rękę na dłoni męża.

– Miałem wobec niego zobowiązania. – Pan Casaubon położył rękę na dłoni Dorotei, przyjmując ustępliwie jej pieszczotę, nie potrafił jednak ukryć niepokoju w oczach. – Muszę wyznać, że ten młody człowiek nie budzi pod żadnym innym względem mojego zainteresowania, nie potrzebujemy też, jak sądzę, dyskutować nad jego przyszłą drogą życiową, o której, poza granicami jasno przeze mnie określonymi, nie my będziemy decydować.

Dorotea nie wspomniała już więcej o Willu.

KSIĘGA TRZECIA
CZEKANIE NA ŚMIERĆ

ROZDZIAŁ XXIII

– Niechaj słoneczny rydwan mknie,
Apollo biczem trzaska,
Lecz – rzecze – głowę daję, że
Prześcignę go, do diaska!

Jak już wiemy, Fredowi Vincy zakłócał spokój pewien dług, a choć tak błahy ciężar nie mógł temu niefrasobliwemu młodzieńcowi na długo odbierać humoru, istniały związane ze sprawą okoliczności, które sprawiały, że myśl o niej narzucała mu się szczególnie natrętnie. Wierzycielem był pan Bambridge, miejscowy handlarz końmi, którego towarzystwo było w wysokiej cenie u młodych ludzi w Middlemarch, określanych mianem „letkiewiczów”. Podczas wakacji Fred potrzebował, rzecz jasna, więcej rozrywek, niż mu na to pozwalała kieszeń, pan Bambridge zaś był na tyle usłużny, że nie tylko wynajmował mu konie na kredyt i nawet skredytował nieprzewidziane koszty związane z zajeżdżeniem doskonałego wierzchowca, ale pożyczył drobną sumę na spłacenie przegranej w bilard. Cały dług wynosił sto sześćdziesiąt funtów. Bambridge nie bał się o swoje pieniądze, bo wiedział, że młody Vincy nie jest bez oparcia, chciał jednak mieć jakieś zabezpieczenie i Fred z początku wystawił weksel z własnym podpisem. W trzy miesiące później odnowił weksel z podpisem Kaleba Gartha jako poręczyciela. W obu wypadkach Fred był całkiem pewny, że sam spłaci zobowiązanie, mając, w swym optymizmie, pokaźne fundusze do dyspozycji. Trudno byłoby żądać, by ta pewność miała za podstawę jakieś czynniki zewnętrzne; podobne przekonanie jest, jak wiemy, dalekie od pospolitości i materializmu, wynika z wygodnej skłonności, która każe nam oczekiwać,

że mądrość Opatrzności lub szaleństwo naszych przyjaciół, tajemniczość lub jeszcze większa tajemnica naszej wybitnej indywidualnej wartości we wszechświecie przyniosą jakieś miłe rozwiązania, zgodne z naszym dobrym gustem w zakresie ubioru i naszym ogólnym upodobaniem do rzeczy w najlepszym gatunku. Fred był przekonany, że powinien dostać prezent od wuja, że powinno mu się poszczęścić, że powinien dzięki kolejnym wymianom przemienić konia wartości czterdziestu funtów w konia, za którego każdy w każdej chwili da sto – „oko znawcy” równało się zawsze nieokreślonej sumie w gotówce. W każdym zaś wypadku, nawet założywszy niekorzystny rozwój zdarzeń, do czego trzeba by chorobliwego sceptycyzmu, pozostawała jeszcze Fredowi (w owym czasie) kieszeń ojca jako ostatnia deska ratunku, tak więc aktywa jego ufności cechował pewien nadmiar. Jakaż może być pojemność ojcowskiej kieszeni? Co do tego Fred miał mgliste pojęcie – przecież handel to rzecz rozciągliwa. Czyż strat poniesionych w jednym roku nie mogą zrównoważyć zyski w roku następnym? Rodzina Vincych żyła beztrosko i dostatnio, bez nowoczesnej ostentacji, lecz zgodnie z rodzinną tradycją i obyczajami, tak że dzieciom nieznanym było pojęcie oszczędzania, a starsze zachowały coś z dziecięcej pewności, że ojciec, jeśli zechce, zapłaci za wszystko. Sam pan Vincy miał kosztowne tutejsze przyzwyczajenia: wydawał pieniądze na polowania na zające, na swoją piwniczkę, na przyjmowanie gości, a mama miała u kucpów otwarte rachunki, które dają człowiekowi pogodną świadomość, że dostaje wszystko, czego chce, bez pytania o zapłatę. Fred dobrze wiedział, że ojcowie ze swej natury muszą łącać synów za szastanie pieniędzmi; zawsze, gdy się przyznawał do długów, rozpętywała się burza, a Fred nie cierpiał złej atmosfery w domu. Zbyt silne były jego synowskie uczucia, by mógł nie okazać ojcu szacunku, lecz znosił burzę, wiedząc, że przeminie; przykro mu było tylko patrzeć na płacz matki i robić z konieczności smutną minę, zamiast się cieszyć, miał bowiem tak

pogodne usposobienie, że jeśli wydawał się przygnębiony łajaniem, to tylko przez przyzwoitość. Jasne, że łatwiejszym wyjściem było odnowić wksel, nie widział powodu, dlaczego by nie mógł zwiększyć cudze go zadłużenia, tyle że ludzie o odpowiednich po temu nazwiskach byli na ogół pesymistami i nie chcieli dawać wiary, iż zgodnie z powszechnym porządkiem rzeczy, szczęście musi się w ostateczności uśmiechnąć do tak miłego młodego człowieka.

Gdy potrzebujemy czyjejś pomocy, przeglądamy listę naszych przyjaciół, oddajemy sprawiedliwość ich zaletom, wybaczymy im drobne przewinienia i rozpatrując wszystkich po kolei, usiłujemy dojść do wniosku, iż każdy chętnie odda nam przysługę, gdyż nasza ochota na tę przysługę daje się wyczuć tak wyraźnie jak ciepło. Mimo to pozostaje zawsze pewna liczba tych, do których się nie zwracamy, gdyż są tylko umiarkowanie chętni – dopóki nie odmówią pozostali. Tak więc się stało, że Fred odfajkował wszystkich przyjaciół z wyjątkiem jednego, kierując się przeświadczeniem, że proszenie ich sprawiłoby mu przykrość, on zaś miał całkowitą pewność, iż przysługuje mu prawo do wolności od rzeczy przykrych (bez względu na to, co przysługuje reszcie świata). Przepuszczenie, iż mógłby się kiedyś znaleźć w sytuacji wyraźnie przykrej – nosić spodnie skurczone po praniu, jeść zimną baraninę, chodzić piechotą, nie mając wierzchowca, czy też „podupaść” w jakiś inny sposób – takie przypuszczenie było nie do pogodzenia z owymi pogodnymi przewidywaniami, jakie mu towarzyszyły od dziecka. Skóra cierpła mu na myśl, że mógłby zostać potraktowany lekceważąco jako człowiek, który nie ma pieniędzy na spłatę drobnych długów. I tak oto się stało, że przyjaciel, do którego postanowił się zwrócić, był jednocześnie najbiedniejszy i najżyczliwszy – czyli Kaleb Garth.

Rodzina Garthów bardzo lubiła Freda, a i on był do nich bardzo przywiązany. W czasach dzieciństwa jego i Rozamundy, kiedy to

Garthom lepiej się powodziło, nitka powinowactwa łącząca obie rodziny wskutek dwukrotnego małżeństwa pana Featherstone (pierwsze – z siostrą pana Gartha, a drugie z siostrą pani Vincy) ogromnie się zacieśniła, i to bardziej pomiędzy dziećmi niż rodzicami; dzieci piły razem herbatę z miniaturowych filiżaneczek i spędzały całe dnie na wspólnej zabawie. Mary była wówczas małym łobuziakiem, a Fred, mając sześć lat, uważał ją za najmilszą dziewczynkę pod słońcem i pojął za żonę, nakładając jej na palec mosiężne kółko odcięte od parasolki. Ten serdeczny stosunek do Garthów nie zmienił się w okresie, gdy Fred przechodził kolejne szczeble edukacji: nie zarzucił zwyczaju odwiedzania ich, jakby to był jego drugi dom, chociaż stosunki między starszym pokoleniem dawno przestały istnieć. Nawet gdy Kaleb Garth żył dostatnio, państwo Vincy traktowali jego i jego żonę z góry, w Middlemarch bowiem różnice społeczne były bardzo subtelne i starzy fabrykanci, podobnie jak książęta, utrzymywali związki wyłącznie z równymi sobie, świadomi swojej przyrodzonej wyższości społecznej, która znajdowała bardzo zdecydowany wyraz w praktyce, choć nie sposób było określić jej w teorii. Od tamtych czasów pan Garth zbankrutował jako budowniczy – gdyż na nieszczęście włączył budownictwo do uprawianych przez siebie zawodów mierniczego, taksatora i pośrednika – prowadził jeszcze przez pewien czas przedsiębiorstwo, zarabiając tylko na likwidatorów, i żył nadzwyczaj skromnie, pracując w pocie czoła, by spłacić wszystkie długi do ostatniego pensa, czego dokonał wreszcie, zdobywając u wszystkich, którzy nie uważali tego za zły precedens, należyty szacunek: w żadnej jednak części świata nie utrzymuje się z kimś stosunków towarzyskich z powodu żywniego dlań szacunku, jeśli nie towarzyszą temu piękne meble i odpowiednia zastawa stołowa. Pani Vincy nigdy nie czuła się swobodnie z panią Garth i często mówiła o niej jako o kobiecie, która musiała pracować na swój chleb – mając na myśli to, że pani Garth była przed

zamażpójściem nauczycielką, a bliska znajomość z Lindleyem Murray^[45] i *Pytaniami* pani Mangnall przypominała znajomość znaków fabrycznych na perkalu, jaką musi posiadać kupiec bławatny, lub znajomość obcych krajów, jaką musi posiadać przewodnik turystyczny; żadna kobieta żyjąca w dostatku nie potrzebuje takich umiejętności. Odkąd zaś Mary zaczęła prowadzić dom panu Featherstone brak sympatii do Garthów przemienił się u pani Vincy w uczucie bardziej określone, z obawy, by Fred nie zaręczył się z tą nieładną dziewczyną, której rodzice „muszą sobie we wszystkim skąpić”. Fred wiedział o tym i nigdy nie wspominał w domu o swoich wizytach u pani Garth, które ostatnio zdarzały się częściej, gdyż coraz gorętsze uczucie do Mary popychało go jeszcze mocniej ku jej bliskim.

Pan Garth miał w mieście mały kantorek i tam właśnie udał się Fred ze swoją prośbą. Zacny człowiek przychylił się do niej chętnie, gdyż liczne i bardzo przykre doświadczenia nie nauczyły go ostrożności we własnych sprawach ani też podejrzliwości wobec bliźniego, który nie dowiódł jeszcze, że mu ufać nie można. Pan Garth miał jak najlepsze zdanie o Fredzie, uważał, że „wyrośnie z niego porządny człowiek – otwarty, szczerzy, serdeczny, dobry z kośćcami – i można mu ze wszystkim zaufać”. Tak wyglądała psychologiczna argumentacja Kaleba. Należał do tych rzadko spotykanych ludzi, którzy są surowi dla siebie, a pobłażliwi dla innych. Wady bliźnich wprawiały go w zakłopotanie i nigdy o nich chętnie nie mówił; nie był więc skory do odrywania się od rozważań nad najlepszą metodą utwardzania drewna czy innym pomysłowym wynalazkiem po to, aby sobie te wady u kogoś wyobrazić. Jeśli już musiał komuś coś wytknąć, najpierw przeglądał wszystkie papiery, jakie miał pod ręką, lub też rysował kijkiem jakieś figury albo też obliczał drobne w kieszeni – nim zaczął; wolał też wykonać za kogoś robotę niż krytykować

[45] Lindley Murray – autor *Gramatyki angielskiej*.

cudzą. Obawiam się, że brak mu było posłuchu u podwładnych.

Kiedy Fred powiedział, jak powstał dług, i że nie chce denerwować ojca, a poza tym, że jest pewny, iż pieniądze wkrótce się znajdą, tak że nikt nie będzie miał żadnych kłopotów, Kaleb odsunął okulary na czoło, słuchał, patrzył w jasne, młode oczy swego ulubieńca i wierzył mu, nie odróżniając ufności w przyszłość od prawdy o przeszłości; czuł jednak, że to jest moment, kiedy należy chłopca życzliwie za jego błędy napomnieć, musi więc dać mu ostrą reprimendę, nim złoży podpis. Wziął dokument, spuścił okulary, wymierzył przestrzeń, jaką mu zostawiono, sięgnął po pióro, obejrzał je starannie, umaczał w atramencie i powtórnie obejrzał, potem odsunął nieco papier, podniósł znowu okulary na czoło, a nad łukiem jego krzaczastych brwi ukazało się większe wgłębienie, nadając twarzy niezwykle łagodny wyraz (wybaczcie te szczegóły – gdybyście znali Kaleba Gartha, musielibyście go pokochać), i powiedział spokojnie:

– To był pech, co? Z tym koniem, co złamał nogę. No i te wymiany wierzchowców, człowiek nie najlepiej na nich wychodzi, kiedy ma do czynienia ze szczwanymi handlarzami. Następnym razem będziesz mądrzejszy, mój chłopcze.

Po czym spuścił na nos okulary i zaczął wypisywać swoje nazwisko, starannie, jak zawsze, gdy się podpisywał: cokolwiek bowiem czynił w swoim zawodzie, czynił dobrze. Przez chwilę kontemplował z głową przechyloną nieco na bok wielkie, pięknie wykaligrafowane litery i wieńczący dzieło zakrętas, potem wręczył dokument Fredowi, powiedział „do widzenia” i zagłębił się ponownie w projekcie nowych budynków farmerskich dla sir Jamesa Chettama.

Może pochłaniająca praca wymazała z jego pamięci incydent z podpisem, może była jakaś inna, podświadoma tego przyczyna – tak czy inaczej pani Garth nie została powiadomiona o całej sprawie.

Od owego wydarzenia na horyzoncie Freda zarysowała się chmura,

która zmieniała jego poczucie dystansu; dlatego właśnie dar pieniężny wuja Featherstone okazał się na tyle ważny, by młody człowiek to bladł, to czerwieniał, najpierw wskutek zbyt wielkich oczekiwań, potem – zbyt wielkiego zawodu. Nagromadzone na uczelni długi okazały się w oczach ojca tym bardziej godne potępienia, że Fred oblał końcowy egzamin; burza, jaka rozpełtała się w domu, nie miała dotąd równej. Pan Vincy zaklinał się, że jeśli jeszcze raz zdarzy się coś podobnego, Fred będzie musiał opuścić dom i sam na siebie zarabiać; dotąd nie wrócił mu jeszcze dobroduszny ton, gdy zwracał się do syna, który najbardziej zirytował go oświadczeniem, że w tym stanie rzeczy nie chce zostać pastorem i wołałby „dać tej sprawie spokój”. Fred dobrze wiedział, że postąpiono by z nim o wiele surowiej, gdyby cała rodzina, łącznie z nim samym, nie uważała go w duchu za przyszłego dziedzica majątku pana Featherstone: fakt, że ten stary człowiek był z niego wyraźnie dumny i okazywał mu życzliwość, równoważył niedostatki jego postępowania – podobnie się dzieje, gdy młody arystokrata ukradnie biżuterię – nazywamy to kleptomanią, mówimy o tym z filozoficznym uśmiechem i nawet nam w głowie nie postoi posyłać go do domu poprawczego niby jakiegoś łachmaniarza, co skradł rzepę. W gruncie rzeczy milczące oczekiwanie, co też wuj Featherstone zrobi dla Freda, wyznaczało punkt widzenia większości ludzi w Middlemarch, w świadomości zaś Freda to, co wujaszek Featherstone zrobi dla niego w sytuacji krytycznej albo co uczyni po prostu jako szafarz szczęścia, wytyczało bezkresną dal jakiejś nierzeczywistej perspektywy. Lecz prezent w formie banknotów był rzeczywisty, a w zestawieniu z wysokością zadłużenia wykazywał deficyt, który musi teraz zostać wyrównany czy to przez „oko znawcy”, czy też następnym szczęśliwym trafem. Epizod z rzekomą pożyczką bowiem, kiedy to Fred prosił ojca o zaświadczenie od Bulstrode’a, był dodatkowym powodem, dla którego nie można było zwrócić się do pana Vincy o pieniądze na spłatę

aktualnego długu. Fred był dostatecznie bystry, by przewidywać, że gniew mógłby zamącić jasność widzenia ojca, który pewno uznałby niedawne zapewnienie syna, że nigdy nie pożyczal pieniędzy na poczet przyszłego spadku – za kłamstwo. Poszedł przecież do ojca, opowiedział mu o jednej przykrej sprawie, ale drugą zataił: w takich wypadkach wyjawienie całej prawdy zawsze budzi podejrzenie o uprzednią dwulicowość. A przecież Fred szczylił się tym, że nigdy nie kłamie ani nawet nie kręci. Nieraz wzruszał ramionami i robił znaczące miny, gdy Rozamunda, jak powiadał, kręciła (tylko brat może użyć podobnego określenia w stosunku do uroczej panny). Wolał się narazić na pewne kłopoty, wolał się ograniczyć niż ściągnąć na siebie zarzut nieprawdomówności. Pod takim właśnie silnym naciskiem Fred uczynił rozsądny krok, deponując osiemdziesiąt funtów u matki. Szkoda, że nie oddał ich od razu panu Garthowi, chciał jednak uzupełnić je dodatkową sześćdziesiątką, i mając to właśnie na względzie, zachował w kieszeni dwadzieścia funtów jako ziarno siewne, które zasadzone rozumnie i roszone szczęściem, może potroić plon – bardzo niski mnożnik, zważywszy na to, że polem była bezkresna dusza młodego dżentelmena, mającego do rozporządzenia wszystkie cyfry.

Fred nie był hazardzistą: nie uległ tej szczególnej chorobie, w której uzależnienie całej energii życiowej od ryzyka czy przypadku staje się równie niezbędne, jak kieliszek wina dla alkoholika: miał tylko skłonność do tej rozwodnionej formy hazardu, która nie posiada intensywności alkoholizmu, która płynie w najzdrowszej krwi odżywianej sokiem żółdkowym i podtrzymuje ową radosną aktywność wyobraźni kształtującą wydarzenia stosownie do pragnień; nie zna obaw i widzi tylko korzyści, jakie odniosą ci, co dadzą się jej ponieść. Człowiek, ufny w swoją szczęśliwą gwiazdę, znajduje przyjemność w grze każdego rodzaju, gdyż widoki na wygraną są oczywiste, przyjemność zaś jest tym szlachetniejsza, im więcej osób zaprosi się do udziału w walce o stawkę.

Fred lubił grę, zwłaszcza bilard, podobnie jak lubił konną jazdę i łowiectwo czy bieg na przełaj z przeszkodami, a tylko dlatego bardziej lubił bilard, że potrzebował pieniędzy i liczył na wygraną. Lecz owo ziarno siewne wartości dwudziestu funtów nie zakiełkowało w zwodniczym zielonym polu – to znaczy, to ziarno, które jeszcze nie zostało rozsypane po drodze – i Fred tuż przed terminem zapłaty weksla znalazł się z pustymi kieszeniami, jeśli nie liczyć tych osiemdziesięciu funtów zdeponowanych u matki. Dychawicznego konia, na którym jeździł, otrzymał był jakiś czas temu w darze od wuja Featherstone: ojciec zawsze pozwalał Fredowi trzymać konia, bo ze względu na własne przyzwyczajenia uważał, iż jest to wymaganie w granicach rozsądku, nawet gdy stawia je syn, który mu gra na nerwach. Koń stanowił więc osobistą własność Freda, który, powodowany niepokojem o zbliżający się termin spłaty weksla, postanowił poświęcić to, bez czego życie będzie z pewnością niewiele warte. Decyzję tę uważał za bohaterstwo – bohaterstwo wymuszone obawą, by nie złamać słowa danego panu Garthowi, miłością do Mary i lękiem przed jej opinią. Pojedzie na targ koński w Houndsley, który odbywa się jutro rano – i po prostu sprzeda konia, po czym wróci karetką pocztową. No cóż, za konia nie dadzą więcej jak trzydzieści funtów, nie wiadomo, co się może wydarzyć; byłoby szaleństwem przekreślić z góry ewentualność jakiegoś szczęśliwego zbiegu okoliczności. Sto do jednego, że nadarzy się jakaś dobra okazja: im dłużej o tym myślał, tym bardziej wydawało się nieprawdopodobne, by się taka okazja nie przytrafiła, i tym bardziej nierozsądne, by nie przygotować się na nią. Pojedzie do Houndsley z Bambridge'em i Horrockiem, zwanym „weterynarzem”, a nie prosząc ich wprost o zdanie, skorzysta z niego, praktycznie biorąc. Przed wyjazdem Fred odebrał od matki osiemdziesiąt funtów.

Większość osób, które widziały Freda wyjeżdżającego z Middlemarch w towarzystwie Bambridge'a i Horrocka na targ koński do Houndsley,

uważała, rzecz jasna, że jedzie jak zwykle dla rozrywki, i gdyby nie rzadka u niego świadomość poważnych problemów, on sam uważałby, że się bawi i że robi to, czego można oczekiwać po wesołym młodym człowieku. Zważywszy, iż Fred nie był grubianinem, że w gruncie rzeczy miał w pogardzie sposób zachowania i wyrażania się młodzieńców, którzy nie studiowali na uniwersytecie, i że układał zwrotki równie sielskie i obyczajne, jak jego gra na flecie – zważywszy to wszystko, można uznać jego pociąg do panów Bambridge’a i Horrocka za rzecz interesującą, której nie mogłoby usprawiedliwić nawet zamiłowanie do koni – gdyby nie tajemnicza sugestywność terminologii, decydująca o tyłu wyborach, dokonywanych na tym świecie. Pod każdą nazwą inną niż „rozrywka” towarzystwo panów Bambridge’a i Horrocka musiałyby niechybnie uchodzić za nudne; wspólna z nimi jazda do Houndsley, dokąd dotarli w deszczowe popołudnie, postój Pod Czerwonym Lwem przy ulicy pokrytej pyłem węglowym, obiad w izbie ozdobionej grubą od brudu mapą hrabstwa, nieudany portret anonimowego konia w stajni, Jego Królewską Mością Jerzym Czwartym w całej okazałości i w halsztuku oraz licznymi ołowianymi spluwaczkami – wszystko to mogłoby się wydawać ciężkim dopustem, gdyby nie krzepiąca siła określenia, z którego wynikało, że wszystko to jest kapitalna zabawa.

W panu Horrocku było niewątpliwie coś niezgłębionego, co otwierało pole wyobraźni. Ubiór, na pierwszy rzut oka, kojarzył się podniecająco z końmi (wystarczy wymienić rondo kapelusza, które wyginało się ku górze na tyle tylko, by uniknąć podejrzeń, że wygina się ku dołowi), natura zaś obdarzyła go twarzą, na której mongolskie oczy, a także nos, usta i broda poszły w ślad ronda kapelusza z lekką skłonnością do faworyzowania góry, i na której gościł niezmiennie łagodny, sceptyczny uśmiech, dając w sumie wyraz, jaki z wszystkich wyrazów twarzy najskuteczniej obezwładnia wrażliwe umysły, jeśli zaś towarzyszy mu milczenie, zdolny

jest wywołać poczucie, że oto mamy przed sobą uosobienie niedościgłej wiedzy i niewyczerpanego dowcipu – zbyt ostrego, by go często używać, dlatego zapewne zastał się i zardzewiał – oraz wyrocznie, która jeśli się miało szczęście posłyszeć jej głos, wydawała sąd najwłaściwszy i jedyny. W każdym zawodzie spotyka się podobną fizjonomię, ale w żadnym nie ma ona tak potężnej władzy nad młodzieżą Anglii, jak w handlu końmi.

Na pytanie Freda o pęciny konia, na którym jechał, pan Horrock obrócił się w siodle, przez trzy minuty obserwował ruchy Fredowego wierzchowca, potem znów usiadł prosto, ściągnął wodze i milczał, wciąż ukazując profil ani mniej, ani bardziej sceptyczny niż przedtem.

W tym dialogu rola, odegrana przez pana Horrocka, wywołała straszliwe wrażenie. W duszy Freda powstało kłębowisko uczuć – szaleńcze pragnienie, by wytrząsnąć z Horrocka jego opinię, powściągane lękiem, by nie narazić na szwank tej jakże użytecznej przyjaźni. Zawsze przecież Horrock mógł we właściwym momencie rzucić jakieś bezcenne słowo.

Pan Bambridge miał bardziej otwarte obejście i wypowiadał swoje opinie bez skąpstwa. Był głośny, rubaszny i podobno „pozwał sobie” – na przekleństwa, picie i bicie żony. Ludzie, którzy stracili przez niego pieniądze, powiadali, że jest nieuczciwy, on jednak uważał handel końmi za najwspanialszą sztukę i mógłby całkiem przekonywająco argumentować, że nie ma ona nic wspólnego z moralnością. Był to niewątpliwie człowiek o zasobnej sakiewce, znosił picie lepiej niż niektórzy znoszą abstynencję i wszystko razem wzięwszy – kwitnął jak wiosenna łąka. Zakres tematów, jakie podejmował, był jednak ograniczony i podobnie jak w starej, pięknej piosence *Krople brandy*, słuchacz odnosił po chwili wrażenie, że już to był słyssał, co w słabszych głowach mogło wywołać pewien zamęt. Uważano jednak w niektórych kręgach Middlemarch, że niewielka dolewka pana Bambridge dodaje

towarzystwu tonu i charakteru, w barze zaś i pokoju bilardowym gospody Pod Zielonym Smokiem uważany był za wybitną osobistość. Opowiadał przeróżne anegdoty o bohaterach torów wyścigowych, znał rozmaite sprytnie sztuczki różnych markiz i wicehrabiów, które dowodziły niejako, że dobra krew świadczy o wyższości nawet wśród szulerów, ale jego najbardziej szczegółowa pamięć obejmowała przede wszystkim konie, które osobiście kupił czy sprzedał; ilość mil, jakie mogły przejść kłusem w niebywale krótkim czasie i bez śladu zmęczenia, była w dalszym ciągu, po wielu latach, przedmiotem jego żarliwych zapewnień, przy czym pan Bambridge wspomagał wyobraźnię słuchaczy uroczystą przysięgą, że nie mogli nigdy widzieć czegoś podobnego. Krótko mówiąc, pan Bambridge był hultajem i wesołym kompanem.

Fred był delikatny i nie powiedział towarzyszom, że wybiera się do Houndsley z zamiarem sprzedania konia; chciał w sposób okrężny zdobyć ich prawdziwe zdanie o jego wartości, nieświadom, że prawdziwe zdanie to ostatnia rzecz, jaką można otrzymać od tak wybitnych znawców. Prawienie bezpłatnych pochlebstw nie należało do słabostek pana Bambridge. Nigdy nie było dla niego równie oczywiste, jak teraz, że nieszczęsny gniadosz jest dychawiczny w tak zaawansowanym stopniu, iż trzeba przyzywać wszystkie moce piekielne, aby to choć w przybliżeniu wyrazić.

– Źleś pan wyszedł na tej ostatniej wymianie, kiedy poszedłeś nie do mnie, tylko do kogo innego. Nie miałeś pan lepszej szkapy od tego poprzedniego kasztana, a wymieniłeś go na tę chabetę. Rzezi jak dwadzieścia pił tartacznych, kiedy przechodzi w galop. Tylko raz w życiu widziałem gorszego dychacza, to był deresz, trzymał go Pegwell, handlarz zbożem, zaprzęgał go do gigu, pewno ze siedem lat temu, chciał, żebym go wziął, ale ja mu na to: „Dziękuję, Peg, ale ja nie handluję dętymi instrumentami”. Tak mu powiedziałem. No i ten żart poszedł na

całą okolicę. Ale też tamten koń to w porównaniu z pańskim cicha trąbka.

– Przecież mówił pan przed chwilą, że był gorszy od mojego – zaprotestował Fred bardziej niż zwykle skory do irytacji.

– Wobec tego kłamałem – stwierdził z całą stanowczością pan Bambridge. – Jeden wart drugiego.

Fred dał koniowi ostrogę i ruszyli kawałek kłusem. Gdy przeszli w stępa, pan Bambridge oświadczył:

– Nie żeby tamten deresz miał lepszego kłusa od tego gniadosza.

– Tak, jestem całkiem zadowolony z jego chodów – odparł Fred, który musiał wciąż przypominać sobie, że jedzie w wesołej kompanii. – Ma niesamowicie równego kłusa, prawda, panie Horrock?

Pan Horrock patrzył przed siebie z wyrazem tak całkowitej obojętności, jakby był portretem pędzla jakiegoś wielkiego mistrza.

Fred porzucił złudną nadzieję zdobycia prawdziwej opinii o swoim wierzchowcu, po namyśle jednak doszedł do wniosku, że zarówno wzgardliwe zdanie Bambridge'a, jak milczenie Horrocka są w gruncie rzeczy zachęcające i świadczą, że obaj lepiej myślą o koniu, niż mówią.

Tego wieczoru, jeszcze przed rozpoczęciem targu, wydało się Fredowi, że oto nadarza się wspaniała okazja na korzystną sprzedaż wierzchowca; musiał, w związku z tym, pogratulować sobie umiejętności przewidywania, dzięki której wziął z domu osiemdziesiąt funtów. Pewien młody farmer, znajomy pana Bambridge, przyjechał do gospody Pod Czerwonym Lwem i zaczął opowiadać, że chce się rozstać ze swoim koniem myśliwskim, którego nazywał po prostu Diamentem, z czego wynikało, że koń jest postacią znaną. Dla siebie chciał mieć tylko jakąś użyteczną szkapinę, która mogłaby czasem pójść w zaprzęg; żenił się i zamierzał rzucić myślistwo. Ów koń stał w stajni przyjaciela, niedaleko, panowie zdążą go obejrzyć przed zmrokiem. Do owej stajni przyjaciela trzeba było dojść boczną uliczką, na której człowiek mógł się równie

łatwo zatruć, nie kupując trucizny, jak na każdej bocznej uliczce w owej niehigienicznej epoce. Fred nie był, tak jak jego towarzysze, uodporniony na mdłości dawką brandy, lecz nadzieja, iż zobaczy wreszcie konia, na którym mógłby zarobić, ożywiła go do tego stopnia, że następnego dnia wczesnym rankiem przemierzył tę drogę po raz wtóry. Był pewny, że jeśli on nie dobieje targu z farmerem, zrobi to Bambridge; czuł, że pod naciskiem okoliczności wyostrza mu się inteligencja i rodzi twórcza podejrzliwość. Bambridge na pewno chce kupić Diamenta – inaczej nigdy by go nie skrytykował w tak druzgocący sposób (przecież to koń przyjaciela); każdy, kto się przyjrzał szpakowi – nawet Horrock – był wyraźnie pod wrażeniem jego zalet. Aby wykorzystać towarzystwo ludzi tego pokroju, trzeba umieć wyciągać wnioski i nie być głupcem, biorącym wszystko dosłownie. Koń był szpakowaty, a tak się składało, że Fred wiedział, iż koniuszy lorda Medlicote rozgląda się za koniem takiej maści. Po tej miążdżącej ocenie krytycznej wymknęło się Bambridge'owi wieczorem, kiedy farmera nie było, że widział, jak gorsze konie idą za osiemdziesiąt funtów. Później zaprzeczył sobie ze dwadzieścia razy, ale jeśli człowiek wie, jak może wyglądać prawda, potrafi właściwie podejść do cudzej wypowiedzi. A przecież Fred musiał się też opierać na własnej znajomości koni. Farmer zatrzymał się przed niezłym, choć dychawicznym wierzchowcem Freda dostatecznie długo, by dać do zrozumienia, że koń wart jest namysłu; całkiem prawdopodobne, że wzięłyby go za Diamenta z dopłatą dwudziestu pięciu funtów. Jeśliby Fred sprzedał nowego wierzchowca za co najmniej osiemdziesiąt funtów, wówczas zarobiłby na tej transakcji pięćdziesiąt pięć i miałby sto trzydzieści pięć funtów na spłatę weksła, dzięki czemu deficyt, który chwilowo pokryje pan Garth, wyniesie najwyżej dwadzieścia pięć funtów. W chwili, gdy się rano ubierał, konieczność wykorzystania tej niebywałej okazji była dla Freda tak oczywista, że gdyby Bambridge i Horrock, razem wzięci, próbowali odwieść go od decyzji, nie dałby

im się oszukać i nie uwierzyłyby ich słowom – wiedziałby, że te chiwe ręce nie wyciągają się po to, by mu pomóc. W sprawach dotyczących koni nieufność jest jedynym drogowskazem. Wiadomo jednak, że człowiek nie może być sceptyczny wobec wszystkiego – świat stanąłby wówczas w miejscu; musimy w coś wierzyć i coś robić i jakkolwiek nazwalibyśmy to „coś”, będzie ono w istocie naszym własnym wyborem, choćby się mogło zdawać, że opiera się w ogromnej mierze na cudzym. Fred wierzył w doskonałość tej transakcji i jeszcze nim jarmark rozpoczął się na dobre, wszedł w posiadanie szpaka za cenę swego starego konia oraz dodatkowo trzydziestu funtów – tylko o pięć funtów więcej, niż przewidywał.

Był jednak nieco stroskany i zmęczony, pewno swoimi wewnętrznymi rozważaniami, toteż nie czekając na rozrywki, jakich dostarcza koński targ, wyruszył samotnie w czternastomilową drogę powrotną, postanawiając jechać bardzo spokojnie i przyprowadzić konia w dobrej formie.

ROZDZIAŁ XXIV

To, że krzywdziciel winą swą zgęębiony stoi,
Niewielką jest pociechą dla jego ofiary[46].

William Shakespeare, *Sonet XXXIV*

Z przykrością muszę powiedzieć, że już trzeciego dnia po owych pomyślnych wydarzeniach w Houndsley Fred Vincy popadł w takie przygnębienie, jakiego jeszcze nigdy nie przeżywał. Nie dlatego, że zawiódł się co do ewentualnej możliwości sprzedaży konia, lecz dlatego, że nim dobił targu z koniuszym lorda Medlicote, ów Diament, w którym spoczywała nadzieja na osiemdziesiąt funtów, okazał w stajni – bez najmniejszego ostrzeżenia – ogromną złośliwość: zaczął wierzgać, omal nie zabił chłopca stajennego, aż wreszcie okaleczył się poważnie, zaplątawszy nogę w powróż, wiszący nad przepierzeniem. Reklamacje były w tym wypadku równie możliwe, jak w wypadku stwierdzenia po ślubie złego charakteru małżonka, który to charakter, rzecz jasna, był starym kompanom znany jeszcze przed weselem. Fred z jakiejś przyczyny nie okazał pod tym ciosem swojej zwykłej elastyczności; zrozumiał po prostu, że ma tylko pięćdziesiąt funtów i żadnej możliwości zdobycia gotówki i że za pięć dni weksel na sto sześćdziesiąt funtów zostanie przedstawiony panu Garthowi do zapłaty. Nawet gdyby się zwrócił do ojca z prośbą, by do tego nie dopuścił, wiedział – a gorzka to była świadomość – że ojciec z gniewem odmówiłby ratowania pana Gartha przed skutkami tego, co nazwałby zachętą do ekstrawagancji i oszustwa. Fred był do tego stopnia przybity, że nie potrafił wymyślić nic [46] Przeł. Stanisław Barańczak.

innego, jak pójść wprost do pana Gartha, powiedzieć mu przykrą prawdę, zanieść te pięćdziesiąt funtów i przynajmniej pozbyć się ich z rąk. Ojciec nie wiedział jeszcze o wypadku, gdyż był w magazynie; kiedy wróci, wybuchnie straszna awantura o wprowadzenie narowistego zwierzęcia do stajni. Fred pragnął całą odwagę zachować na stawienie czoła większemu zmartwieniu, nim stanie przed mniejszym. Wziął ojcowskiego konia, postanowił bowiem, że po rozmowie z panem Garthem pojedzie do Stone Court i wyzna wszystko Mary. W gruncie rzeczy jest bardzo prawdopodobne, że gdyby nie Mary i miłość do niej, sumienie dręczyłoby Freda o wiele mniej, zarówno wtedy, gdy przypominało mu o długu, jak i teraz, gdy nakazywało mu nie oszczędzać się, jak to miał w zwyczaju, i nie odkładać przykrego obowiązku na później, lecz działać wprost i szybko. Nawet o wiele silniejsi śmiertelnicy niż Fred Vincy połowę swej uczciwości zawdzięczają charakterowi najukochańszego na świecie człowieka. „Zapadł się teatr wszystkich moich działań”^[47], powiedział bohater antyczny, kiedy umarł jego najbliższy przyjaciel; szczęśliwi ci, co mają teatr, w którym audytorium żąda od nich tego, co w nich najlepsze. Niewątpliwie Fred byłby w zupełnie innej sytuacji, gdyby Mary Garth miała mniej zdecydowane poglądy na to, co jest w człowieku godne podziwu.

Pana Gartha nie było w kantorku, wobec czego Fred pojechał do jego domu położonego tuż za miastem. Była to miła i skromna siedziba: od frontu sad, w głębi staroświecki dom o nieregularnych kształtach, częściowo drewniany, który nim miasto się rozrosło, był farmą, a teraz stał w otoczeniu prywatnych ogrodów należących do mieszkańców miasta. Do naszych domów przywiązujemy się bardziej, jeśli, podobnie jak nasi przyjaciele, posiadają własną fizjonomię. Rodzina Garthów – liczna

[47] Wypowiedź Antygonusa Drugiego po śmierci Zena z Cyntium (wg Plutarcha).

rodzina, gdyż Mary miała czterech braci i jedną siostrę – była ogromnie przywiązana do swojego starego domu, z którego już dawno wyprzedano wszystkie najlepsze meble. Fred lubił go również i znał na wylot, aż do poddasza, gdzie pachniało cudownie jabłkami i pigwami, i zawsze zbliżał się do niego pełen miłych przeczuć; tym razem jednak serce biło mu niespokojnie, gdyż czuł, że będzie musiał odbyć spowiedź w obecności pani Garth, której się na jakiś sposób bardziej lękał niż jej męża. Nie dlatego, by podobnie jak Mary lubiła ostre, sarkastyczne docinki – pani Garth, przynajmniej teraz, w dojrzałym wieku, nie pozwalała sobie na nierozważne słowa; w młodości, jak tłumaczyła, musiała schylić kark pod jarzmo i nauczyła się samokontroli. Miała ów rzadki dar rozumienia, że coś jest nieodwracalne, i poddawania się temu bez buntu. Uwielbiała męża za jego cnoty, a stwierdziwszy bardzo wcześnie, że pan Garth nie umie zabiegać o swoje interesy, przyjęła skutki tego z pogodą. Zrezygnowała wielkodusznie ze szczycenia się dziecięcymi żabocikami czy ocieplaczami na imbryczki i nigdy nie zawierzała uszom swoich sąsiadek patetycznych opowieści o nieroztropności swego męża i o sumach, jakie mógłby posiadać, gdyby był taki, jak inni mężczyźni. Owe sąsiadki uważały ją więc za osobę dumną lub ekscentryczną, a rozmawiając o niej ze swoimi małżonkami, mówiły: „ta twoja niezwykła pani Garth”. Ona z kolei nie była wobec nich bezkrytyczna, jako że otrzymała staranniejsze wykształcenie niż większość matron w mieście, a nadto – czyż istnieje kobieta bez skazy – skłonna była okazywać swojej płci pewną surowość, gdyż jej zdaniem, owa płeć stworzona została do absolutnego posłuszeństwa. Z drugiej zaś strony okazywała nieproporcjonalną pobłażliwość dla ułomności mężczyzn i jak słyszano, często powiadała, że są one naturalne. Trzeba tu jeszcze dodać, że pani Garth była zbyt przesadna w swoim oporze przeciwko temu, co uznawała za fanaberie; przeobrażenie się z guwernantki w żonę i matkę odbiło się zbyt mocno na jej sposobie myślenia i rzadko

zapominała o tym, że choć wymową i znajomością gramatyki przewyższa standardy miejskie, to jednocześnie nosi prosty czepeczek, gotuje obiady dla rodziny i ceruje wszystkim pończochy. Czasami prowadziła naukę w sposób perypatetyczny, gdyż uczennice musiały chodzić za nią po kuchni z książką czy tabliczką. Uważała, że dobrze im zrobi, gdy zobaczą, że potrafi przyszykować znakomite mydlinki, poprawiając jednocześnie błędy córek „bez patrzenia”; że kobieta, która ma rękawy zawinięte do łokcia, może wiedzieć wszystko o trybie oznajmianym albo strefie gorącej, że po prostu może posiadać naukowe kwalifikacje i różne inne „acje”, godne szczególnego podkreślenia, gdy się o nich mówi, a jednocześnie nie być próżną lalką. Kiedy wypowiadała takie budujące uwagi, na jej czole pojawiała się mała, głęboka zmarszczka, lecz wyraz twarzy pozostawał dobroduszny jak zawsze, a słowa, padające równym szeregiem, wypowiedane były ciepłym, miłym kontraltem. Przykładna pani Garth miała niewątpliwie swoje śmieszności, lecz była to osobowość, która wytrzymywała dziwactwa tak samo, jak bardzo dobre wino wytrzymuje zapach skóry.

Wobec Freda Vincy żywiła uczucia macierzyńskie i skłonna była wybaczać mu jego słabostki, chociaż nie wybaczyłyby Mary, gdyby się z nim zaręczyła; córka podlegała ostrzejszym rygorom jako przedstawicielka płci żeńskiej. Ta właśnie wyjątkowa pobłażliwość, jaką okazywała Fredowi, ciążyła mu teraz dodatkowo, zdawał sobie bowiem sprawę, że nieuchronnie pogrąży się w jej oczach. Nadto okoliczności jego wizyty okazały się jeszcze przykrzejsze, niż przewidywał, gdyż Kaleb Garth wyjechał wczesnym rankiem, by dopilnować jakiejś roboty w okolicy. Pani Garth w pewnych porach przebywała w kuchni, a tego ranka wykonywała tam kilka zajęć naraz: robiła ciastka na wyszorowanym do białości sosnowym stole, stojącym w jednym kącie tej przestronnej izby, obserwowała przez otwarte drzwi poruszenia Sally przy piecu i misie do

wyrabiania chleba oraz dawała lekcję najmłodszym dzieciom, synowi i córce, którzy stali naprzeciw niej, przy stole, trzymając przed sobą książki i tabliczki. Balia i koziół do suszenia bielizny znajdujące się w drugim końcu kuchni świadczyły, że przez cały czas trwa również pranie drobnych rzeczy.

Miły i zabawny widok przedstawiała pani Garth, z rękawami zawiniętymi powyżej łokci, zręcznie zlepiająca jabłkowe ptysie, które zdobiła drobnymi wgnieceniami dokonywanymi wałkiem, wykładając jednocześnie z gramatycznym ferworem właściwe poglądy na zgodność czasowników i zaimków z „rzeczownikami mnogimi lub oznaczającymi wielość”. Miała ten sam co Mary rodzaj urody – wijące włosy i kanciastą twarz; była jednak ładniejsza, o delikatniejszych rysach, jasnej cerze, pełnej figurze matrony i uderzająco silnym spojrzeniu. Przypominała w tym śnieżnobiałym plisowanym czepeczku ową rozkoszną Francuzkę, którą każdy z nas oglądał, dokonując zakupów na targu, z koszyczkiem przewieszonym przez ramię. Patrząc na matkę, można było mieć nadzieję, że córka będzie w przyszłości do niej podobna, co jest dobrą perspektywą, równą posagowi – zbyt często matka stoi za córką jak zła wróżba: „Ona wkrótce będzie taka jak ja”.

– Powtórzmy to jeszcze raz – powiedziała pani Garth, odsuwając ptysie, które odwracały najwyraźniej od lekcji uwagę Bena, młodego energicznego chłopca o szerokim czole. – „Ze względu na to, czy znaczenie słowa zawiera pojęcie jedności czy mnogości”, powtórz raz jeszcze, co to znaczy Ben?

(Pani Garth, podobnie jak wybitniejsi pedagodzy, miała swoje ulubione, staroświeckie ścieżki, a gdyby nastąpił potop, starałaby się utrzymać nad powierzchnią wód *Gramatykę Lindleya*).

– Och... to znaczy... że trzeba myśleć, co się chce powiedzieć – odparł Ben nieco zrzędliwie. – Nienawidzę gramatyki. Co komu z niej

przyjdzie?

– Uczy cię mówić i pisać poprawnie, tak aby cię inni rozumieli – odparła pani Garth dobitnie i surowo. – Czy chciałbyś mówić tak jak stary Job?

– Owszem – padła zdecydowana odpowiedź. – To dużo śmieszniejsze. On mówi „pódzies” zamiast „pójdziesz”.

– Ale on też mówi: „łowca beczy” – wtrąciła Letty tonem wyższości.
– Ktoś mógłby pomyśleć, że chodzi o myśliwego, który beczy.

– Tylko jakiś głuptas mógłby tak pomyśleć – zaoponował Ben.

– Jakżeby myśliwy miał beczeć?

– To, co mówicie, dotyczy jedynie wymowy, która jest najmniej ważną częścią gramatyki – oświadczyła pani Garth. – Te skórki jabłek są przeznaczone dla świń, Ben, jeśli je zjesz, będę im musiała dać twój kawałek ciasta. Job wypowiada jedynie bardzo proste myśli. Jak sądzisz, czy mógłbyś pisać albo mówić o czymś trudniejszym, gdybyś tak znał gramatykę jak on? Używałbyś niewłaściwych słów, stawiałbyś słowa w niewłaściwym miejscu, a ludzie, zamiast cię rozumieć, odwróciliby się od ciebie jak od kogoś bardzo kłopotliwego. I co byś wówczas zrobił?

– Wcale bym się nie martwił. Poszedłbym sobie – oświadczył Ben, przekonany, że to całkiem przyjemne rozwiązanie, jeśli w grę wchodzi gramatyka.

– Widzę, Ben, że jesteś zmęczony i otepiały. – Pani Garth przyzwyczajona była do takich buntowniczych wypowiedzi swojej męskiej latorośli. Skończywszy robić ptysie, przeszła do kozła na bieliznę. – Chodźcie tutaj i opowiedzcie mi historię, którą usłyszeliście ode mnie we środę, o Cyncynacie.

– Ja wiem! To był farmer! – zawołał Ben.

– Ale też, Ben, to był Rzymianin. Pozwól, niech ja powiem. – Letty bez przerwy szturchała go łokciem.

– Głuptas jesteś, to był rzymski farmer i orał.

– Tak, ale to się tak nie zaczyna. Przedtem ludzie go chcieli... – upierała się Letty.

– Najpierw musisz powiedzieć, jaki to był człowiek – obstawał przy swoim Ben. – To był mądry człowiek, tak jak ojciec, i dlatego ludzie chcieli jego rady. I był odważny, i umiał walczyć. Mój ojciec też by umiał, prawda, mamó?

– Daj mi powiedzieć wszystko po kolei, tak jak nam mama opowiadała. – Letty zmarszczyła czoło. – Proszę, mamó, powiedz Benowi, żeby nie gadał.

– Wstyd mi za ciebie, Letty – zgromiła ją matka, wyzymając czepeczki wyjęte z balii. – Powinnaś była, kiedy twój brat zaczął, poczekać i sprawdzić, czy on to umie opowiedzieć. Jakaś ty niegrzeczna; jakże tak można się krzywić i szturchać brata, czyżbyś chciała odnosić zwycięstwo łokciami? Jestem pewna, że Cyncynatowi byłoby przykro, gdyby widział, że jego córka tak się zachowuje. (To ostatnie okropne zdanie pani Garth wypowiedziała z ogromnym dostojeństwem i Letty zrozumiała, że życie pomiędzy koniecznością milczenia a dezaprobatą wszystkich, łącznie z Rzymianami, to doprawdy ciężki dopust). No, teraz Ben.

– Więc... to znaczy... no więc bili się tam okropnie i wszyscy byli głupi, i... nie potrafię tego opowiedzieć dokładnie, tak jak mama... ale chcieli mieć kogoś, kto byłby wodzem i królem, i w ogóle...

– Dyktatorem przecież – wtrąciła Letty z urażoną miną, pragnąc, by matka teraz pożałowała.

– No, dobrze, dyktatorem – wzruszył ramionami Ben. – Ale to nie jest dobre słowo, przecież on im nie dyktował, żeby pisali na tabliczkach.

– Proszę, proszę, Ben, przecież nie jesteś aż takim nieukiem – pani Garth umyślnie mówiła z powagą. – O, ktoś stuka do drzwi! Pobiegnij, Letty, i otwórz.

Pukał Fred, a kiedy dowiedział się od Letty, że ojca jeszcze nie ma, ale mamusia jest w kuchni, nie miał wyboru. Nie mógł odstąpić od utartego zwyczaju odwiedzania pani Garth w kuchni, jeśli się tam akurat krzątała przy robocie. W milczeniu otoczył ramieniem szyję Letty i poprowadził ją do kuchni, bez zwykłych żartów i serdeczności.

Pani Garth była zdumiona, widząc Freda o tej porze, ale zdumienie nie należało do uczuć, które zwykła była okazywać, powiedziała więc tylko spokojnie, nie przerywając pracy:

– To ty, Fred, tak wcześnie? Wyglądasz blade. Czy coś się stało?

– Chciałem porozmawiać z panem Garthem – odparł Fred, niegotów jeszcze do powiedzenia czegoś więcej. – I z panią również – dodał po chwili, nie miał bowiem wątpliwości, że pani Garth wie o wekslu, będzie więc musiał w końcu mówić o wszystkim przy niej, jeśli nie wyłącznie do niej.

– Kaleb wróci za kilka minut. – Pani Garth wyobraziła sobie, że Fred musiał mieć jakieś przejście z ojcem. – Z pewnością będzie niebawem, bo ma na biurku pracę, którą musi skończyć jeszcze dziś przed południem. Może zechciałbyś posiedzieć tu ze mną, póki nie skończę tego, co mam do skończenia?

– Ale już nie potrzebujemy wracać do Cyncynata, prawda? – pytał Ben, który wyciągnął Fredowi szpicrutę z ręki i wypróbował ją na kocie.

– Nie, możecie wyjść na dwór. Ale odłóż ten bat. Jakież to brzydkie z twojej strony bić starego, biednego Buraska! Proszę cię, Fred, zabierz mu bat!

“ – Chodź no tu, chłopie, oddaj szpicrutę. – Fred wyciągnął rękę.

– A pozwolisz mi dzisiaj pojeździć na twoim koniu? – Ben oddał szpicrutę łaskawym gestem.

– Nie dzisiaj... kiedy indziej. Nie przyjechałem na własnym koniu.

– Zobaczysz się dzisiaj z Mary?

– Tak sądzę – odparł Fred z niemiłym dreszczem.

– Powiedz, żeby szybko przyjechała i grała z nami w fanty, i bawiła się.

– Dosyć tego, Ben, biegnij na dwór – powiedziała pani Garth, widząc, że Fred jest rozdrażniony.

– Czy Letty i Ben to teraz jedyni pani uczniowie? – zapytał Fred po wyjściu dzieci, kiedy trzeba było czymś wypełnić czas. Nie mógł się zdecydować, czy czekać na gospodarza, czy wykorzystać pierwszą sposobność w rozmowie, by wyznać wszystko pani Garth, dać jej pieniądze i odjechać.

– Jest jeszcze jedna: Fanny Hackbutt, przychodzi o wpół do dwunastej. Nie mam teraz dużych zarobków – dodała z uśmiechem. – Nastąpił odpływ uczniów. Ale zrobiłam drobne oszczędności na naukę Alfreda: mam dziewięćdziesiąt dwa funty. Może teraz pójść do szkoły pana Hanmera. Jest akurat w odpowiednim wieku.

Nie był to dobry wstęp do zakomunikowania, że pan Garth straci dziewięćdziesiąt dwa funty, i nie tylko to. Fred milczał.

– Młodzi ludzie, którzy studiują, muszą wydawać o wiele więcej – ciągnęła niewinnie pani Garth, rozprostowując lamówkę obrzeżającą czepek. – A Kaleb sądzi, że z Alfreda będzie znakomity inżynier, chce mu dać wszystkie szanse. O, już jest, słyszę, jak wchodzi. Pójdziemy do niego, do bawialni, dobrze?

Kiedy weszli, Kaleb zdążył już zdjąć kapelusz i zasiąść przy biurku.

– Cóż to, Fred, mój chłopcze! – przywitał gościa tonem łagodnego zdumienia, zatrzymując w powietrzu pióro, którego nie zdążył zanurzyć w atramencie. – Wcześniej przyszedł. – Nie widząc jednak na twarzy Freda zwykłej przy powitaniu pogody, dodał śpiesznie: – Czy coś się stało w domu? Jakaś przykrość?

– Tak, proszę pana. Przyszedłem powiedzieć coś, co, obawiam się, każe państwu źle o mnie myśleć. Przyszedłem powiedzieć państwu, że nie jestem w stanie dotrzymać słowa. Nie mogę zdobyć pieniędzy na zapłacenie weksla. Miałem ogromne niepowodzenie... Mam tylko te pięćdziesiąt funtów, a winien jestem sto sześćdziesiąt.

Mówiąc to, Fred wyjął banknoty i położył na biurku przed panem Garthem. Powiedział wszystko, całą prawdę, z punktu, bez osłonek, i stał, nieszczęśliwy jak mały chłopiec, nie umiejąc znaleźć słów. Pani Garth, w niemyim zdziwieniu, spoglądała na męża, czekając na wyjaśnienia. Kaleb zarumienił się i po krótkiej chwili powiedział:

– Och, nie mówiłem ci, Susan: poręczyłem weksel Freda na sto sześćdziesiąt funtów. Fred był pewny, że będzie mógł go spłacić.

Na twarzy pani Garth zaszła widoczna zmiana, ale taka, jaka zachodzi pod wodą, której powierzchnia pozostaje gładka. Utkwiła spojrzenie w przybyszu.

– Zapewne zwróciłeś się do ojca o brakujące pieniądze, a on odmówił?

– Nie. – Fred przygryzł wargi; słowa przychodziły mu teraz z trudem.

– Wiedziałem jednak, że nic nie przyjdzie z proszenia go o to, a nie chciałem wymieniać nazwiska pana Gartha, wiedząc, że to i tak na nic by się nie zdało.

– Przyszło akurat w zły czas – mówił niepewnym głosem Kaleb, patrząc na notatki i nerwowo przesuując palcami po papierze. – Boże Narodzenie za pasem, źle stoję teraz z gotówką. Muszę, widzisz, oszczędzać, na czym się tylko da, jak krawiec z przykrótką miarą. Co my zrobimy, Susan? Potrzebny mi każdy pens z tego, co mamy w banku. A chodzi o sto dziesięć funtów, niech to lichy!

– Muszę ci dać te dziewięćdziesiąt dwa funty, które odłożyłam na szkołę Alfreda – powiedziała pani Garth z powagą i zdecydowaniem, choć wrażliwe ucho mogłoby dosłyszeć lekkie drżenie w jej słowach. – I

nie wątpię, że Mary ma już dwadzieścia funtów oszczędzonych z pensji. Da nam te pieniądze.

Pani Garth nie utkwiała wzroku we Fredzie i nie dobierała słów, które mogłyby go najbardziej zaboлеć. Jako kobieta ekscentryczna zaczęła się natychmiast zastanawiać, co trzeba robić, i nie sądziła, że najlepszym po temu sposobem będą gorzkie uwagi lub wybuchy gniewu. Ale wskutek tego właśnie Fred po raz pierwszy poczuł coś, co przypominało bolesny wyrzut sumienia. Dziwne, ale dotychczas gryzł się tą sprawą niemal tylko dlatego, że dyskwalifikowała go w oczach państwa Garthów jako człowieka bez honoru: nie zastanawiał się nad konsekwencjami, jakie poniosą, krzywdą, jaka ich dotknie wskutek jego wiarołomstwa, rzadko bowiem wyobrażnia ufnych w swoją gwiazdę młodzieńców wybiega w kierunku cudzych potrzeb. W gruncie rzeczy większość z nas wyrasta w przekonaniu, że główny powód, dla którego nie czynimy zła, nie ma nic wspólnego z istotami, które mogłyby z powodu tego zła ucierpieć. W tym jednak momencie zobaczył samego siebie jako nieszczęsnego szubrawca, który okrada dwie kobiety z ich oszczędności.

– Ja to na pewno zwrócę, proszę pani, na ostatek zwrócę – wymamrotał.

– Tak, na ostatek. – Pani Garth, która nie znosiła pięknych słów w brzydkich sytuacjach, teraz nie mogła się powstrzymać od odpowiedzi epigramatem. – Ale chłopców nie można kształcić na ostatek, ich trzeba kształcić w piętnastym roku życia. – Nigdy jeszcze nie była tak mało skłonna do szukania usprawiedliwień dla Freda.

– Ja tu najbardziej zawiniłem, Susan – odezwał się Kaleb. – Fred zapewniał, że znajdzie pieniądze. Ale nie powinienem był tykać cudzych wexli. Przypuszczam, że rozejrzałeś się naokoło i próbowałeś wszelkich uczciwych sposobów? – zwrócił na Freda swoje litościwe, szare oczy. Był zbyt delikatny, by wymieniać nazwisko pana Featherstone.

– Tak, próbowałem wszystkiego, naprawdę. Miałbym w gotówce

sto trzydzieści funtów, gdyby nie pech z koniem, którego myślałem właśnie sprzedać. Wuj dał mi osiemdziesiąt funtów, a ja dałem trzydzieści i mojego starego wierzchowca za innego, którego miałem sprzedać za osiemdziesiąt albo i więcej, ale się okazało, że jest narowisty, i okulał się. Żeby też i mnie, i te konie diabli wzięli, zanim na was to wszystko ściągnąłem! Do nikogo na świecie nie jestem tak przywiązany jak do was, zawsze byliście dla mnie tacy dobrzy. Ale co przyjdzie ze słów! Teraz już zawsze będziecie mnie uważali za łajdaka.

Obrócił się na pięcie i szybko wyszedł z domu, świadom, że robi z siebie babę, i czując niejasno, że jego żal nie na wiele zda się państwu Garthom. Widzieli, jak szybko dosiada konia i wyjeżdża za bramę.

– Zawiodłam się na Fredzie Vincy – oświadczyła pani Garth. – Nigdy bym nie była zdolna uwierzyć, że potrafi cię wplątać w swoje długi. Wiedziałam, że jest lekkomyślny, ale nie przypuszczałam, że upadł tak nisko, by własne ryzyko przerzucić na barki najstarszego przyjaciela, który w dodatku najmniej może sobie pozwolić na stratę pieniędzy.

– Byłem głupi, Susan.

– Niewątpliwie – przytaknęła z uśmiechem jego żona. – Nie rozgłaszałam tego jednak publicznie. Jak mogłeś to ukrywać przede mną? To tak jak z tymi guzikami: obrywają ci się, a ty mi nic nie mówisz i chodzisz tak, z wiszącymi mankietami. Gdybym o tym wiedziała, mogłabym przygotować zawczasu jakieś lepsze rozwiązanie.

– Napytałem ci biedy, wiem, Susan. – Kaleb patrzył na żonę czule. – Trudno mi ścierpieć, że tracisz pieniądze uciulane na Alfreda.

– Dobrze się stało, że je uciulałam, a cierpieć ty będziesz musiał, bo sam zajmiesz się teraz nauką chłopca. Musisz się wyrzec złych przyzwyczajęń. Jedni mężczyźni biorą się do picia, a ty wzięłeś się do pracy bez zapłaty. Musisz sobie trochę mniej w tym folgować.

I musisz pojechać do Mary i zapytać małą, ile ma pieniędzy.

Kaleb odsunął krzesło i pochylił się, potrząsając wolno głową i zestawiając bardzo precyzyjnie koniuszki palców obu rąk.

– Biedna Mary – powiedział. – Susan – ciągnął nieco cichszym głosem. – Boję się, że ona może coś czuć do Freda.

– Och, skądże znowu! Zawsze się z niego wyśmiewa, a wątpię, żeby on myślał o niej inaczej jak o siostrze.

Kaleb nie odpowiedział. Po chwili zsunął okulary, przyciągnął krzesło do biurka i mruknął:

– Niech diabli wezmą ten weksel, żeby go zaniosło na koniec świata. Takie historie to straszna zawada w pracy!

Pierwsza część tej wypowiedzi wyczerpywała cały jego zasób złorzeczeń, a opatrzona była burknięciem, które łatwo sobie wyobrazić. Tym jednak, którzy nigdy nie słyszeli, jak Kaleb wypowiada słowo „praca”, trudno opisać szczególnie ton namiętnego uwielbienia, religijnej czci, jakim spowijał to słowo, niby uświęcony symbol spowijany w złotogłów.

Kaleb Garth nieraz medytował nad wartością i nieodłączną od niej potęgą wysiłku niezliczonych głów i rąk, dzięki któremu ogół społeczeństwa zostaje wykarmiony, odziany i ma dach nad głową. Już w młodych latach ta sprawa wzięła w posiadanie jego wyobraźnię. Echa uderzeń ogromnego młota podczas stawiania dachu czy mocowania stępki, porozumiewawcze okrzyki robotników, ryk pieca, huk i bulgot maszyny – wszystko to było jak niebiańska muzyka dla jego ucha; powalanie i ładowanie drzew, ogromna dłużyca drgająca w dali, na gościńcu, niby gwiazda, żurawie pracujące na nadbrzeżu, stopy towarów składowane w magazynach, precyzja i różnorodność fizycznych wysiłków tam, gdzie trzeba było wykonać rzecz bardzo dokładnie – wszystkie te obrazy z młodości działały na niego jak poezja bez pośrednictwa poetów, składały się na jego filozofię bez pośrednictwa filozofów i religię bez pośrednictwa

teologów. Od wczesnych lat ambicją jego był owocny udział w tym wzniosłym trudzie, który w szczególny sposób uszlachetniał, nazywając go „pracą”. Mimo iż bardzo krótko przysposabiał się do tej pracy pod kierunkiem majstra i w gruncie rzeczy był samoukiem, lepiej znał się na ziemi, budownictwie i górnictwie niż najwybitniejsi specjaliści w hrabstwie.

Przyjęta przez niego klasyfikacja ludzkich zawodów nie była zbyt skomplikowana i podobnie jak kategoryzacja ludzi znanych, nie zostałaby akceptowana w naszych cywilizowanych czasach. Dzielił je na: „pracę, politykę, kaznodziejstwo, naukę i rozrywkę”. Nie występował przeciw czterem ostatnim, ale miał do nich stosunek taki jak poganin-bałwochwalca do cudzych bogów. Był życzliwie nastawiony do ludzi wszystkich stanów, ale nie chciałby należeć do takiego stanu, w którym nie miałby styczności z „pracą”, i to tak dosłownie rozumianą, by nie mógł nosić po niej ozdobnych śladów w postaci kurzu i zaprawy, maszynowego smaru czy słodkiej gleby z pól i lasów. Choć nigdy nie uważał się za nikogo innego jak ortodoksyjny chrześcijanin i obstawałby przy teorii łaski przyrodzonej, gdyby ktoś chciał z nim na ten temat dyskutować, jego prawdziwym bożyszczem były, jak sądzę, dobre, praktyczne projekty, rzetelna praca i sumienne wykonawstwo; księciem ciemności był dla niego niedbały pracownik. Nie miał jednak w sobie ducha sprzeciwu, a świat wydawał mu się tak cudowny, że gotów był przyjąć każdą ilość systemów, podobnie jak każdą ilość firmamentów, jeśli nie kolidowały w sposób zbyt oczywisty z najlepszą metodą drenowania ziemi, rzetelnym budownictwem, właściwymi pomiarami i rozumnym wierceniem (pokładów węgla). Miał, w gruncie rzeczy, duszę skłoną do uwielbienia oraz wielką praktyczną inteligencję. Nie potrafił jednak dawać sobie rady z pieniędzmi: dobrze wiedział, co ile warte, nie miał jednak ostrości wyobraźni co do skutków finansowych, objawiających się w zysku czy

stracie, a stwierdziwszy tę ułomność na własnej skórze, postanowił odrzucić takie formy ukochanej swojej „pracy”, które by podobnych zdolności wymagały. Poświęcił się całkowicie wielorakim zajęciom, do których nie trzeba było kapitału, i pozostawał w okolicy jednym z tych nieocenionych ludzi, których każdy chce u siebie zatrudnić, gdyż pracują dobrze, żądają za to niewiele, a czasem nic zgoła. Nie dziw więc, że Garthowie byli ubodzy i „tak sobie musieli we wszystkim skąpić”. Lecz wcale się tym nie przejmowali.

ROZDZIAŁ XXV

„Miłość nie szuka nigdy siebie Ani o siebie ma
staranie; Miłowanemu tworzy niebo I tam, gdzie
piekiel są otchłanie”.

„Jedynie siebie miłość szuka; Dla swego szczęścia i
rozkoszy Miłowanego spętać pragnie; Wbrew niebu
piekiel mury wznosi”[48].

William Blake, *Pieśni niewinności: Gruda i
kamyk*

Fred Vincy chciał przyjechać do Stone Court w czasie, gdy Mary nie będzie się go spodziewać i zanim wuj zejdzie na dół; może znajdzie ją samą w bawialni wyłożonej boazerią. Zostawił konia na podwórzu, by stukot kopyt nie rozszedł się na zwirowanym podjeździe przed domem, i wszedł do bawialni, anonsując swoje przybycie tylko dźwiękiem obracanej gałki przy drzwiach. Mary siedziała w swoim ulubionym kąciku, śmiejąc się nad wspomnieniami pani Piozzi o Johnsonie, i podniosła na wchodzącego wzrok wciąż jeszcze z rozbawioną twarzą. Ale rozbawienie zaczęło powoli ustępować, gdy Fred, zbliżywszy się w milczeniu, stanął wreszcie przed nią i oparł się łokciem o gzyms kominka; wyglądał źle. Mary milczała również, podniosła tylko na niego pytające spojrzenie.

– Mary – zaczął. – Jestem podły łajdak.

– Myślę, że jeden z tych epitetów wystarczy na początek. – Mary

[48] Przeł. Zygmunt Kubiak.

próbowała się uśmiechnąć, ale obleciał ją strach.

– Wiem, że już nigdy nie będziesz dobrze o mnie myślała. Będziesz mnie uważała za kłamcę. Będziesz mnie uważała za nieuczciwego. Będziesz myślała, że nie liczyłem się z tobą ani twoimi rodzicami. Wiem, że zawsze myślisz o mnie jak najgorzej.

– Nie przeczę, że będę tak o tobie myślała, Fred, jeśli dasz mi po temu powody. Proszę, powiedz mi zaraz, coś zrobił. Wolałabym znać przykrą prawdę niż zachodzić w głowę, co się stało.

– Byłem winien pieniądze: sto sześćdziesiąt funtów. Poprosiłem twojego ojca, żeby podżyrował mój weksel. Sądziłem, że to nie będzie miało dla niego znaczenia. Byłem pewny, że spłacę dług osobiście, i starałem się jak mogłem. A teraz... miałem takiego pecha... koń okazał się narowisty... mogę wyłożyć tylko pięćdziesiąt funtów. I nie mogę prosić o pieniądze mojego ojca, bo nie da mi ani pensa. A od wujaszka dostałem niedawno sto funtów. Więc co mam robić? Twój ojciec nie ma leżącej gotówki na zbyciu i twoja matka będzie musiała dać te dziewięćdziesiąt dwa funty, które zaoszczędziła, i powiada, że twoje oszczędności też muszą pójść na spłatę. Więc widzisz, jaki ze mnie...

– Och, biedna moja mama! Biedny tata! – Oczy Mary wypełniły się łzami, a w piersi wezbrało łkanie, które usiłowała stłumić. Patrzała wprost przed siebie, jakby nie widząc Freda – widziała tylko konsekwencje, jakie ponosić będzie jej rodzina. On również milczał; nigdy w życiu nie czuł się taki nieszczęśliwy.

– Nie skrzywdziłbym cię za wszystkie skarby świata, Mary – powiedział wreszcie. – Nigdy mi nie przebacysz.

– A co by z tego przyszło! – zawołała porywczo. – Czy pomogłoby mojej matce, która musi stracić pieniądze, jakie przez cztery lata zarabiała lekcjami, żeby tylko posłać Alfreda do pana Hanmera? Czy to przyniosłoby ci ulgę, gdybym ci przebaczyła?

– Mów, co chcesz, Mary. Zasługuję na wszystko.

– Nie chcę nic mówić – powiedziała Mary spokojnie. – Na nic się nie zda mój gniew. – Osuszyła oczy, odłożyła książkę, wstała i przyniosła robótkę.

Fred podążał za nią wzrokiem w nadziei, że ich oczy się spotkają i że Mary dojrzy w ten sposób jego błagalną skruchę. Ale nic z tego! Mary bez trudu unikała podnoszenia wzroku.

– Przecież mnie boli, że twoja matka traci pieniądze – zaczęła, kiedy usiadła i zaczęła spieszenie poruszać igłą. – Chciałem zapytać cię, Mary... czy nie sądzisz, że wuj Featherstone... gdybyś mu powiedziała... powiedziała, rozumiesz, o nauce Alfreda... czy on by nie pożyczył...

– Moja rodzina nie ma zwyczaju żebrać. Zwykliśmy pracować, żeby zdobyć pieniądze. Poza tym, jak mówisz, dostałeś niedawno od pana Featherstone sto funtów. A on rzadko daje prezenty: nigdy nie zrobił prezentu nikomu z nas. Jestem przekonana, że mój ojciec o nic go nie będzie prosił, a gdybym nawet ja się na to zdecydowała, nic by z tego nie przyszło.

– Taki jestem nieszczęśliwy, Mary... gdybyś wiedziała, jaki jestem nieszczęśliwy, zlitowałabyś się nade mną.

– Komu innemu należy się moje współczucie. Ale ludzie samolubni zawsze sądzą, że ich kłopoty są ważniejsze niż wszystko inne w świecie: dosyc się mogą tego napatrzeć codziennie.

– To niesprawiedliwe nazywać mnie samolubem. Gdybyś wiedziała, co wyrabiają inni młodzi ludzie, uważałabyś, że daleko mi do najgorszych.

– Wiem, że ludzie, którzy wydają na siebie bardzo dużo pieniędzy, nie wiedząc, jak je spłacać, muszą być samolubni. Myślą przede wszystkim o tym, co mogą zyskać, a nie o tym, co inni mogą stracić.

– Człowiek może mieć pecha, Mary, i znaleźć się w sytuacji, w której nie może spłacić długu, chociażby chciał. Nie ma na świecie lepszego

człowieka niż twój ojciec, a przecież też się znalazł w kłopotach.

– Jak śmiesz porównywać siebie z moim ojcem. – W głosie Mary zabrzmiało głębokie oburzenie. – Nie znalazł się w kłopotach dlatego, że myślał o swoich próżniackich przyjemnościach, ale dlatego, że zawsze myślał o pracy, jaką wykonuje dla innych. I odmawiał sobie wszystkiego, i pracował z całych sił, żeby wyrównać ludziom straty.

– A ty sądzisz, Mary, że ja nigdy nie postaram się ich wyrównać! To nieszlachetne widzieć w człowieku tylko to, co najgorsze. Myślę, że jak się ma nad kimś władzę, to powinno się starać tak ją wykorzystać, żeby stał się lepszy, ale ty tego nigdy nie robisz. Tak czy inaczej, wychodzę – oświadczył Fred słabym głosem. – Nigdy już w życiu nie zwrócę się z niczym do ciebie. Bardzo mi przykro, że sprowadziłem na was te kłopoty.

Mary opuściła robótkę i podniosła głowę. Jest czasem coś macierzyńskiego nawet w dziewczęcej miłości, a trudne doświadczenia życiowe nadały naturze Mary wrażliwość zupełnie różną od tego czegoś – twardego i nijakiego – co nazywamy dziewczęcością. Ostatnie słowa Freda sprawiły jej ból, jaki odczuwa matka, wyobrażając sobie szloch i krzyki swego niegrzecznego, leniwego dziecka, które może się zgubić i zrobić sobie krzywdę. A kiedy podniósłszy wzrok, napotkała pośpne, zrozpaczone spojrzenie, jej współczucie dla Freda przeważyło gniew i wszystkie inne zmartwienia.

– Och, jak ty źle wyglądasz. Usiądź na chwilkę. Nie odchodź jeszcze, niechże powiem wujowi, że tu jesteś. Bardzo się dziwił, że nie widział cię przez cały tydzień – mówiła śpiesznie, rzucając słowa, które nasunęły się jej na wargi, nie bardzo świadoma ich znaczenia, ale wymawiała je uspokajającym, a i trochę proszącym tonem; wstała przy tym, jakby chciała iść do pana Featherstone.

Fredowi, rzecz jasna, wydało się, że chmury rozsunęły mu się nad głową i z góry padł promień; zagroził jej drogę.

– Powiedz jedno słowo, Mary, a zrobię wszystko. Powiedz, że nie będziesz myślała o mnie najgorzej, że całkiem ze mnie nie zrezygnujesz.

– Jakby mi takie myślenie mogło sprawiać przyjemność! – odparła Mary żałośnie. – Jakby mnie nie bolało, że z ciebie lekkomyślny próżniak. Jak możesz być tak niegodziwy, kiedy inni pracują i do czegoś dążą, i tyle jest do zrobienia, jak możesz znieść to, że nie potrafisz zrobić nic pożytecznego! I to mając tyle możliwości, Fred, przecież mógłbyś być naprawdę wiele wart!

– Będę się starał być tym, czym ty byś chciała, żebym był, jeśli tylko powiesz, że mnie kochasz.

– Wstydziłabym się mówić, że kocham człowieka, który wciąż musi być zależny od innych i liczy tylko na to, co oni dla niego zrobią. Jaki będziesz, kiedy dojdiesz czterdziestki? Pewnie taki jak pan Bowyer, równie gnuśny, będziesz mieszkał u pani Beck w bawialni od frontu, taki gruby w wyświeconym ubraniu, będziesz marzył, żeby cię ktoś zaprosił na kolację, przez całe ranki będziesz się uczył śmiesznych piosenek. Och, nie, będziesz się uczył jakiejś melodii na flecie!

Gdy Mary zadawała pytania o przyszłość Freda, wargi jej zaczęły się wyginać w uśmiechu (młodość jest zmienna), a nim skończyła, twarz jej była cała rozświetlona śmiechem. Dla Freda to, że Mary zaczęła z niego drwić, było jak ustąpienie bólu; z nieśmiałym uśmiechem próbował ją ująć za rękę, ale wysliznęła się szybko ku drzwiom, mówiąc:

– Powiem wujowi. Musisz do niego zajść, choćby na chwilę.

Fred w głębi duszy uważał, że wbrew sarkastycznym przepowiedniom Mary może mieć pewność co do swojej przyszłości, z wyjątkiem, rzecz jasna, tego „wszystkiego”, które gotów był zrobić, jeśli tylko się od niej dowie, co to konkretnie ma być. Nigdy nie ośmielił się w obecności Mary napomykać o nadziejach, jakie wiązał z osobą wuja Featherstone, ona zaś nie brała ich w ogóle pod uwagę, jakby wszystko zależało tylko od niego,

Freda. Jeśli jednak majątek wuja kiedykolwiek mu przypadnie, będzie musiała uznać zmianę w jego, Fredowej, sytuacji. Wszystko to przesunęło mu się nieco sennie przez głowę, nim poszedł na górę odwiedzić wujaszka. Zabawił u niego krótko, tłumacząc się zaziębieniem, Mary zaś nie ukazała się więcej przed jego wyjściem. W drodze powrotnej do domu bardziej był świadom tego, że jest chory, niż że jest przygnębiony.

Kiedy tuż po zmierzchu Kaleb Garth przyjechał do Stone Court, Mary nie okazała zdziwienia, choć ojciec rzadko miał czas na składanie jej wizyt i wcale nie gustował w rozmowach z panem Featherstone. Ten zaś czuł się nieswojo w towarzystwie szwagra, którego nie mógł drażnić, któremu nie przeszkadzało, że go uważają za biedaka, który nie chciał go o nic prosić, a znał się na wszystkim, co ma związek z gospodarstwem i górnictwem lepiej niż on sam. Mary była pewna, że rodzice będą chcieli się z nią zobaczyć, i gdyby ojciec nie przyjechał, prosiłaby następnego dnia o zwolnienie na kilka godzin. Po rozmowie przy herbacie z panem Featherstone na temat cen Kaleb pożegnał się z gospodarzem i zwrócił się do córki:

– Chciałem porozmawiać z tobą, Mary.

Wzięła świecę i przeprowadziła go do drugiej obszernej bawialni, w której nie było ognia na kominku, postawiła nikielne światło na ciemnym mahoniowym stole, obróciła się do ojca i zarzuciwszy mu ramiona na szyję, zasypała go dziecięcymi całusami, co zawsze sprawiało mu ogromną przyjemność – szerokie czoło rozpogadzało się jak u wielkiego, pięknego psa, który poddaje się pieszczocie. Mary była jego ulubionym dzieckiem i bez względu na to, co mówiła Susan – która w innych sprawach zawsze miała rację – Kaleb uważał za oczywiste, że Fred czy inni mają jego najstarszą córkę za najbardziej uroczą z dziewcząt.

– Chcę ci coś powiedzieć, córeczko – zaczął, jak to on, niepewnie. – Nie są to bardzo dobre wiadomości, ale też mogłyby być gorsze.

– W sprawie pieniędzy, tatku? Chyba wiem, o co chodzi.

– Jakże to możliwe? Widzisz, postąpiłem znowu trochę jak głupiec i podżyrowałem weksel, a teraz przyszło go spłacić. Matka będzie się musiała rozstać ze swoimi oszczędnościami, w tym najgorsza bieda, a nawet i one nie wystarczą. Potrzeba nam stu dziesięciu funtów, matka ma dziewięćdziesiąt dwa, a ja nie mogę dać ani jednego funta z banku. Matka myślała, że może masz jakieś oszczędności.

– Och, tak, mam ponad dwadzieścia cztery funty! Przypuszczałam, że tatko przyjedzie, więc włożyłam je do woreczka. Proszę, śliczne białe banknoty i złoto.

Mary wyjęła złożone banknoty z torebki i wsunęła ojcu w rękę.

– Ale skąd ty... potrzeba nam tylko osiemnastu funtów... masz, schowaj resztę, dziecko... ale skąd o tym wiedziałaś? – pytał Kaleb, który przy swojej niewzruszonej obojętności dla pieniędzy zaczął się przede wszystkim martwić o to, jak cała sprawa odbije się na uczuciach Mary.

– Fred powiedział mi dziś przed południem.

– Aha! Po to specjalnie przyjechał?

– Tak, tak sądzę. Był ogromnie przybity.

– Obawiam się, Mary, że Fredowi nie można ufać. – W głosie ojca brzmiała nieśmiała czułość. – Być może, lepsze są jego intencje niż czyny. Wielka by jednak była szkoda, gdyby ktoś uzależniał od niego swoje szczęście, tak myślę i tak samo myśli matka.

– I ja tak sądzę, tatku – odparła Mary, nie podnosząc na ojca wzroku, lecz przytulając do policzka wierzch jego dłoni.

– Nie chcę się wtrącać w nie swoje sprawy, córeczko, ale się lękałem, że może coś jest między tobą i Fredem, i chciałem cię przestrzec. Widzisz, Mary... – W głosie Kaleba zabrzmiała jeszcze większa czułość; przesuwając leżący na stole kapelusz, w którym utkwiał wzrok, wreszcie jednak obrócił oczy na córkę. – Widzisz, kobieta, choćby nie wiem jak dobra, musi się

pogodzić z takim życiem, jakie jej mąż stworzy. Twoja matka musiała się przeze mnie pogodzić z mnóstwem rzeczy.

Mary podniosła do ust wierzch dłoni ojca i uśmiechnęła się do niego.

– No cóż, nikt nie jest doskonały, ale... – Tu pan Garth potrząsnął głową, jakby chciał w ten sposób uzupełnić niedostatek słów. – Mam, widzisz, na myśli to, że ciężko musi być kobiecie, która nigdy nie może być pewna swojego męża, jeśli on nie ma takich zasad, jakie każą mu bardziej się bać cudzej krzywdy niż tego, że musi sobie poskapać. W tym cała rzecz, Mary. Młodzi zakochują się, nie wiedząc, co to jest życie, i wyobrażają sobie, że jeśli tylko się pobiorą, to wciąż będą wakacje, a tu okazuje się, kochana, że zaraz przychodzą zwykłe, powszednie dni. Ale ty masz więcej rozumu niż inne i nie chowaliśmy cię w wacie: może wcale nie potrzeba, żebym to wszystko mówił, ale każdy ojciec drży o córkę, a taka tu jesteś samotna.

– Niech się, tatko, o mnie nie boi – powiedziała z powagą Mary, patrząc ojcu w oczy. – Fred był zawsze bardzo dobry dla mnie; ma wrażliwe serce, jest serdeczny, i, jak sądzę, nie ma w nim fałszu, mimo iż tak bardzo sobie pobłaża. Ale nigdy nie zaręczę się z kimś, kto nie jest po męsku niezależny i kto mitręży czas, licząc, że inni zapewnią mu byt. I tatko, i mama wpoili we mnie zbyt wiele dumy, bym mogła na to przystać.

– To dobrze... tak właśnie trzeba. Jestem teraz spokojny – powiedział pan Garth, biorąc kapelusz. – Ale przykro zabierać ci twoje oszczędności!

– Tatu! – zawołała z ogromnym wyrzutem w głosie. – Zabierz jeszcze całą górę uścisków dla wszystkich w domu – zawołała, nim zamknęła za sobą drzwi wejściowe.

– Pewno ojciec przyjechał po twoje pieniądze – zauważył stary pan Featherstone ze zwykłą sobie umiejętnością snucia przykrych domysłów, kiedy Mary doń wróciła. – Ledwo wiąże koniec z końcem, o ile wiem. Jesteś już pełnoletnia: powinnaś chować swoje zarobki dla siebie.

– Uważam moich rodziców za najlepszą cząstkę samej siebie – odparła Mary chłodno.

Pan Featherstone chrząknął: trudno zaprzeczyć, że z takiej pospolitej dziewczyny powinno się mieć jakiś pożytek. Wymyślił więc inną uwagę, dostatecznie przykrą, by się nadawała w każdej sytuacji:

Jeśli Fred Vincy przyjedzie jutro, nie gadaj z nim na dole: niech przychodzi prosto na górę, do mnie.

ROZDZIAŁ XXVI

On mnie bije, a ja z niego szydę; co za wspańiale zadoścuczynienie! Wolałbym jednak, żeby się to działo odwrotnie; żebym ja go grzmocił, a on ze mnie szydził[49].

William Shakespeare, *Troilus i Kresyda*, akt

II, sc. 3

Fred Vincy nie pojechał jednak nazajutrz do Stone Court, i to z przyczyn niepodlegających dyskusji. Owe spacerunki po brudnych ulicach Houndsley w poszukiwaniu Diamentu przyniosły w efekcie nie tylko nieudany zakup konia, ale i inne kłopoty, mianowicie jakąś chorobę, która przez kilka pierwszych dni wyglądała na depresję i migrenę, ale która zaczęła się tak szybko rozwijać, że po powrocie ze Stone Court Fred, wszedłszy do jadalni, rzucił się na sofę, a na niespokojne pytania matki odpowiedział:

– Czuję się bardzo źle. Myślę, że trzeba posłać po Wrencha.

Pan Wrench przyszedł, ale nie znalazł nic niepokojącego, mówił o „lekkim rozstroju” i nie zapowiedział, że przyjdzie następnego dnia. Wiedział, ile jest warta rodzina Vincych, ale rutyna stępiła niekiedy czujność najbardziej przezornych ludzi, którzy w pracowite przedpołudnie wykonują swoje obowiązki z zapalem dzwoniącego codziennie dzwonnika. Pan Wrench był drobnym, schludnym, cholerycznym człowieczkiem; nosił dobrze ułożoną perukę, miał praktykę wymagającą ciężkiej pracy, wybuchowy temperament, limfatyczną żonę i siedmioro dzieci i [49] Przeł. Leon Ulrich.

już opóźnił wyjazd na spotkanie z doktorem Minchinem o cztery mile dalej, po drugiej stronie Tipton, gdyż zgon Hicksa, lekarza wiejskiego, rozszerzył w tym kierunku obszar miejskiej praktyki lekarskiej. Wielcy politycy popełniają błędy, czemu nie mieliby ich popełniać mali lekarze? Pan Wrench nie zaniedbał wysłać zwykłych drobnych białych pigułek, które tym razem miały zawartość czarną, a skutek drastyczny. Nie przyniosły jednak ulgi biednemu Fredowi, który nie wierząc, jak mówił, że się „wpakował w chorobę”, wstał następnego ranka i zszedł na dół z myślą o śniadaniu. Nie był jednak zdolny przełknąć ani kęsa, siedział więc tylko i trząsł się przy ogniu. Posłano ponownie po pana Wrencha, ale on wyruszył już był w swój obchód, pani Vincy zaś, widząc zmieniony wygląd i nieszczęśliwą minę swojego pieścioszka, zaczęła płakać i oświadczyła, że pośle po doktora Sprague.

– Och, daj spokój, mamo! Nic mi nie jest. – Fred wyciągnął do niej suchą, gorącą dłoń. – Zaraz będę zdrow. Musiałem się przeziębic podczas tej paskudnej jazdy w deszczu.

– Mamo! – zawołała Rozamunda, która siedziała przy oknie (okna jadalni wychodziły na niezwykle szacowną ulicę zwaną Lowick Gate). – Pan Lydgate akurat się tu zatrzymał i z kimś rozmawia. Poprosiłabym go na twoim miejscu. Wyleczył Ellen Bulstrode. Powiadają, że każdego wyleczy.

Pani Vincy podskoczyła do okna i otworzyła je błyskawicznie, myśląc tylko o Fredzie, a nie o lekarskiej etykietce. Lydgate stał zaledwie o dwa jardy dalej, po przeciwnej stronie żelaznych sztachet ogrodzenia, i obrócił się, słysząc niespodziewany odgłos podnoszonej ramy okiennej, nim jeszcze zacna matrona zdążyła go zawołać. Za chwilę był w pokoju, a Rozamunda wyszła, nie omieszkawszy wpierv okazać wdzięcznego niepokoju walczącego o lepsze z myślą o tym, co przystoi.

Lydgate musiał wysłuchać opowieści pani Vincy, której myśli

skłonne były biec ku wszystkiemu, co nie miało znaczenia, zwłaszcza ku temu, co pan Wrench powiedział i czego nie powiedział na temat swojego ponownego przyjścia. Młody lekarz pojął natychmiast, że może się znaleźć w trudnej sytuacji wobec kolegi, ale choroba była na tyle poważna, by usunąć na bok wszelkie inne względy: przekonany był, że ma przed sobą różowoskóre stadium tyfusu i że lekarstwa, jakie chory dostawał, są niewłaściwe. Trzeba natychmiast położyć go do łóżka i dać mu stałą pielęgniarę, trzeba też podjąć szczególne środki zapobiegawcze i profilaktyczne – co do tego Lydgate był bardzo stanowczy. Wobec takich oznak niebezpieczeństwa przerażenie pani Vincy znalazło ujście w słowach, które przychodziły jej najłatwiej. Stwierdziła, iż „została bardzo źle potraktowana przez pana Wrencha, który tyle lat zajmował się ich rodziną, a wybrali go z pominięciem pana Peacocka, chociaż pan Peacock też był ich przyjacielem. Nie może w żaden sposób zrozumieć, dlaczego pan Wrench zaniedbuje jej dzieci bardziej niż inne... przecież nie zaniedbał dzieci pani Larcher, kiedy miały odrę, oczywiście ona, pani Vincy, nigdy by nie chciała, żeby je zaniedbał, broń Boże. Ale gdyby się miało coś stać”...

Tu serce w niej zamarło i pogodną twarz i szyję Niobe zaczęły wstrząsać żalose spazmy. Działo się to w hallu, więc nie mogło dojść uszu Freda, lecz Rozamunda otworzyła drzwi od salonu i weszła, zaniepokojona. Lydgate przeproszał za pana Wrencha, mówił, że wczorajsze symptomy mogły być mylące i że tego rodzaju choroba zakaźna nie ma z początku jednoznacznych objawów. Pójdzie zaraz do aptekarza i każe wykonać receptę, by nie tracić czasu, ale napisze do pana Wrencha i powie mu, jakie przedsięwziął środki.

– Ale pan musi znowu przyjść... pan musi dalej leczyć Freda. Nie mogę pozwolić, żeby mojego synka leczył ktoś, kto przyjdzie albo nie przyjdzie. Do nikogo, dzięki Bogu, nie żywię urazy, a pan Wrench

uratował mnie z zapalenia opłucnej, ale wolałabym, żeby mi pozwolił umrzeć, niż... żeby...

– Wobec tego spotkam się z panem Wrenchem tutaj, dobrze? – zaproponował Lydgate, w gruncie rzeczy przekonany, że Wrench nie ma dostatecznego przygotowania, by poradzić sobie z takim przypadkiem.

– Proszę, niech pan to załatwi w ten sposób. – Rozamunda ujęła matkę pod rękę, by wyprowadzić ją z pokoju.

Pan Vincy, po powrocie do domu, ogromnie się rozsierdził na pana Wrencha i za nic mu było, czy ten pokaże się jeszcze kiedykolwiek w jego domu, czy nie. Teraz chłopaka musi leczyć Lydgate, choćby się to Wrenchowi nie podobało. Tyfus w domu to nie żarty. Trzeba zaraz posłać do wszystkich znajomych, żeby nie przychodzili we czwartek na kolację. A Pritchard niech nie chodzi do piwnicy po wino: brandy to najlepsza asekuracja przed infekcją.

– Będę pił brandy – oznajmił patetycznie pan Vincy, jakby chciał powiedzieć, że to nie jest chwila, w której można strzelać ślepymi nabojami. – Ma pecha ten nasz Fred, jak mało kto. Powinno mu od czasu do czasu szczęście dopisać, dla wyrównania, inaczej, kto by chciał mieć pierwородnego syna!

– Nie mów takich rzeczy. – Wargi pani Vincy drżały. – Nie mów tak, jeśli nie chcesz, żebym go straciła.

– Zamartwiłabyś się na śmierć, Lucy, dobrze wiem – powiedział nieco łagodniej. – Ale Wrench się dowie, co ja o tym myślę. – (Pan Vincy myślał niejasno, że gdyby Wrench okazał należytą troskę o jego, burmistrza, rodzinę, to można by było zapobiec tyfusowi). – Jestem ostatnim człowiekiem, który podnosiłby krzyk o jakiegoś nowego lekarza albo nowego pastora, czy byłby to człowiek Bulstrode’a, czy nie. Ale Wrench usłyszysz, co ja myślę, i musi to przełknąć.

Wrench przełknął to nie najlepiej. Lydgate zachował się wobec niego

bardzo uprzejmie, na swój swobodny sposób, ale uprzejmość człowieka, który cię postawił w przykrej sytuacji, to tylko dodatkowy powód do irytacji, zwłaszcza jeśli tak się składa, że ten człowiek był już dawniej przedmiotem twojej niechęci. Lekarze prowincjonalni to drażliwy gatunek, ogromnie czuły na punkcie swojego honoru, a pan Wrench należał do szczególnie drażliwych. Nie odmówił wieczornego spotkania z Lydgate'em, ale jego nerwy zostały poddane ciężkiej próbie. Musiał słuchać, jak pani Vincy powiada:

– Och, panie Wrench, co ja takiego zrobiłam, żeby mnie pan tak traktował?... żeby sobie tak pójść i więcej nie wrócić! A mój synek mógłby już być zimnym trupem!

Pan Vincy zaś, który walczył ostrymi nabojami z nieprzyjacielską infekcją, wskutek czego był w stanie pewnej ekscytacji, wstał, usłyszawszy, że przyszedł pan Wrench, i ruszył do hallu, by powiedzieć doktorowi, co myśli.

– Powiadam panu, doktorze, że to nie żart – oznajmił burmistrz, którego obowiązkiem ostatnio było karcenie przestępców w majestacie prawa i który rozparł się i wsadził kciuki w pachy swojej kamizelki – żeby nie rozpoznać tyfusu w takim domu jak ten! Niektóre rzeczy powinny podlegać zaskarżeniu, ale nie podlegają.

Łatwiej jednak było znieść nierozumne wyrzuty niż poczucie, że się jest pouczanym, a raczej, że młodszy kolega, taki jak Lydgate, uważa w duchu, że go należy pouczać; przecież „w rzeczy samej”, jak mówił później pan Wrench, Lydgate głosi wątpliwe, cudzoziemskie poglądy, które się nie mogą utrzymać. Przełknął chwilowo gniew, ale później napisał list, w którym zrzekał się dalszego leczenia tego przypadku. Dom może być dobry, owszem, ale pan Wrench nie będzie się przed nikim płaszczył w sprawach zawodowych. Sądził, z dużą dozą prawdopodobieństwa, że z czasem i Lydgate'a przyłapią na jakimś potknięciu i że jego niegodne

wysiłki, by zdyskredytować kolegów lekarzy, sprzedających leki, obrócić się z czasem przeciwko niemu. Rzucił uszczypliwe uwagi o godnych szarlatana sztuczkach Lydgate'a, które robi po to, by zdobyć u łatwowiernych ludzi nienależną mu reputację. Te bajdy o wyleczeniach nie zostały nigdy potwierdzone przez rozumnych praktyków.

Owe bajdy zachodziły Lydgate'owi za skórę tak mocno, jak Wrench mógł sobie życzyć. Chwalby ignorantów były nie tylko upokarzające, ale i niebezpieczne, i równie godne zazdrości jak reputacja wróżbity przepowiadającego pogodę. Niecierpliwiły go niemądre oczekiwania, towarzyszące jego pracy, i niemal tak sobie szkodził nieprofesjonalną szczerością, jak tylko pan Wrench mógł zamarzyć.

Tak czy inaczej – Lydgate został lekarzem rodziny Vincych, co stało się głównym tematem rozmów w Middlemarch. Jedni powiadali, że rodzina burmistrza zachowała się skandalicznie, że pan Vincy groził panu Wrenchowi, a pani Vincy zarzuciła mu, że otruł jej syna. Inni uważali, że fakt, iż Lydgate właśnie przechodził ulicą, był opatrnościowy, że ten lekarz jest znakomitością, jeśli idzie o choroby zakaźne, i że Bulstrode, protegując go, miał rację. Wiele osób sądziło, że w rzeczywistości Lydgate osiedlił się w Middlemarch za sprawą Bulstrode'a, a pani Taft, która zawsze liczyła oczka i gromadziła mylące strzępy informacji, jakie udało się jej zebrać między kolejnymi rządками robótki, wbiła sobie do głowy, że Lydgate jest naturalnym synem pana Bulstrode'a, który to fakt niejako usprawiedliwiał jej podejrzliwość wobec świeckich, skłaniających się ku ewangelicyzmowi.

Pewnego dnia zakomunikowała tę wiadomość pani Farebrother, która nie omieszkała powtórzyć jej synowi, dodając:

– Nie dziwiłabym się niczemu, jeśli idzie o Bulstrode'a, ale przykro by mi było tak myśleć o panu Lydgate.

– Ależ mam – tłumaczył pastor Farebrother, opanowawszy wybuch

gromkiego śmiechu – przecież mama wie doskonale, że Lydgate pochodzi z dobrej rodziny z Północy. Nim tu przyjechał, nie słyszał nawet o panu Bulstrode.

– To wyjaśnia sprawę w tej mierze, w jakiej dotyczy pana Lydgate – odparła stara dama z miną osoby akuranej. – Jeśli jednak idzie o Bulstrode’a, wiadomość może być prawdziwa w odniesieniu do jakiegoś innego syna.

ROZDZIAŁ XXVII

Niechaj wysoka Muza śpiewa o Olimpie:
Nam, śmiertelnym, pieśń ludzką dziś wznosić
potrzeba.

Pewien wybitny filozof z grona moich przyjaciół, który potrafi uszlachetnić nawet wasz szpetny mebel, ukazując go w pogodnym świetle wiedzy, zwrócił mi uwagę na taki oto drobny, a brzemienisty fakt. Wasze zwierciadło lub duża powierzchnia polerowanej stali, sumiennie odkurzona przez waszą pokojówkę, są pokryte niezliczonymi drobnymi rysami, biegnącymi we wszystkich kierunkach; postawcie jednak przed nimi zapaloną świecę jako centrum światła i... proszę! Wydawać się będzie, że wszystkie rysy układają się same w piękne zwoje koncentrycznych kręgów wokół tego małego słońca. Jest oczywistym faktem, że rysy rozrzucone są bezładnie, i tylko wasza świeca tworzy te przypochlebne złudzenie układu koncentrycznego, gdyż światło jej pada w sposób dla oka wybiórczy. To jest parabola. Rysy to wydarzenia, a świeca – egoizm jakiejś osoby w tej chwili nieobecnej, na przykład panny Vincy. Nad Rozamundą czuwała jej osobista Opatrzność, która zechciała uczynić ją bardziej od innych dziewcząt czarującą i która zaaranżowała chorobę Freda oraz błąd pana Wrencha, aby ustawić młodą pannę i Lydgate'a w obiecującej bliskości. Gdyby Rozamunda zgodziła się jechać do Stone Court czy gdziekolwiek indziej, tak jak sobie tego życzyli rodzice, oparłaby się tym zamiarom Opatrzności, zwłaszcza że pan Lydgate uważał takie środki ostrożności za zbyt liczne. Na farmę pojechała więc panna Morgan z małymi dziećmi następnego dnia po rozpoznaniu choroby Freda, a Rozamunda odmówiła opuszczenia taty i mamy.

Nieszczęsna mama doprawdy przedstawiała widok, który wzruszyłyby każdą ludzką istotę, pan Vincy zaś, który uwielbiał żonę, bardziej był zaniepokojony stanem jej niż Freda. Gdyby nie mężowskie nalegania, nie spoczęłaby ani przez chwilę; straciła cały swój blask, przestała zwracać uwagę na ubiór, zawsze wesoły i świeży, była jak chory ptaszek o nastroszonych piórkach i tęsknym spojrzeniu, zmysły jej straciły wrażliwość na widoki i dźwięki najbardziej ją dotąd zajmujące. Rozdzierały jej serce majaczenia Freda, podczas których jakby odchodził od niej gdzieś hen, daleko. Po pierwszym wybuchu oburzenia na pana Wrencha zachowywała się spokojnie: jedyne ciche wołanie kierowała do Lydgate'a. Wychodziła za nim z pokoju, kładła mu dłoń na ramieniu, jęcząc: „Niech pan ratuje mojego chłopca!”. Kiedyś zaczęła jakby usprawiedliwiać syna: „On był zawsze taki dobry dla mnie, nigdy nie powiedział matce złego słowa”, jakby cierpienia nieszczęsnego Freda można było postawić mu jako zarzut. Poruszone zostały najgłębsze złoża matczynej pamięci i ten młody człowiek, którego głos łagodniał, gdy zwracał się do niej, stał się teraz z powrotem owym niemowlęciem, które pokochała miłością całkiem dla niej nową, jeszcze nim się urodził.

– Jestem dobrej myśli, łaskawa pani – mówił Lydgate. – Proszę, niechże pani zejdzie ze mną na dół, porozmawiamy o jedzeniu.

Sprowadzał ją do saloniku, gdzie czekała Rozamunda, i odrywał na chwilę jej myśli od Freda, zaskakując ją prośbą, by wypić trochę herbaty czy rosółu, które już stały przygotowane. W tych sprawach istniało pomiędzy nim i Rozamundą stałe porozumienie. Niemal zawsze widział się z nią przed wejściem do pokoju chorego, ona zaś prosiła go, by powiedział, co należy przygotować dla mamusi. Godna podziwu, doprawdy, była jej przytomność umysłu i zręczność, z jaką wprowadzała w życie wszystkie jego zalecenia. Nic więc dziwnego, że myśl o spotkaniu z Rozamundą zaczęła mu się mieszać z zainteresowaniem

przypadkiem, zwłaszcza kiedy minął stan krytyczny i młody lekarz był już pewny, że Fred wróci do zdrowia. Z początku, kiedy miał większe wątpliwości, radził wezwać doktora Sprague (który ze względu na pana Wrencha wolałby, gdyby to było możliwe, zachować neutralność), lecz po dwóch konsultacjach pozostawiono Lydgate'owi prowadzenie leczenia, miał więc wszelkie powody, by dokładać starań. Przychodził do chorego i przed południem, i wieczorem, a kiedy Fred był już jedynie słaby i nie tylko potrzebował najczulszych pieczyt, ale również zdawał sobie z nich sprawę, wizyty doktora z wolna stały się pogodne, a pani Vincy miała wrażenie, że choroba przemieniła się w wielki festiwal czułości.

Obydwoje rodzice mieli jeszcze jeden powód do zadowolenia: stary pan Featherstone przysyłał Fredowi przez pana Lydgate życzenia szybkiego powrotu do zdrowia, ponieważ on, Piotr Featherstone, nie może się bez niego obejść i ogromnie mu brak Fredowych wizyt. Pan Featherstone był teraz niemal całkowicie przykuty do łóżka. Pani Vincy przekazywała jego życzenia Fredowi, kiedy mógł słuchać, a on zwracał ku niej swą delikatną, wynędzniałą twarz, wyzbytą dawnej gęstwy jasnych włosów, ściętych w chorobie, a wielkie oczy wydawały się jeszcze większe, przepełnione błaganiem o jakieś wieści o Mary – co czuła, dowiedziawszy się o jego chorobie. Ani słowo nie wyszło z jego ust, ale „słuchać oczyma to mądrość miłości”^[50], i matka, sercem przepełnionym uczuciem, nie tylko wyczuwała pragnienie syna, ale gotowa była do wszystkich poświęceń, by owo pragnienie zaspokoić.

– Żebym tylko mogła zobaczyć mojego synka silnego jak dawniej – mówiła z czułą naiwnością. – Wówczas kto wie? Może zostanie panem Stone Court? Wtedy będzie mógł ożenić się, z kim tylko będzie chciał.

– Nie będę mógł, jeśli mnie nie zechcą – odparł Fred.

W chorobie był jak dziecko i gdy to mówił, łzy pojawiły mu się w
.....
[50] Szekspir, *Sonet XXIII*, przeł. Maciej Słomczyński.

oczach.

– Och, zjedz troszkę galaretki, syneczku – proponowała pani Vincy, nie wierząc w duchu w możliwość takiej odmowy.

Jak długo męża nie było w domu, nie odchodziła od łóżka Freda i w ten sposób Rozamunda znalazła się w nowej sytuacji – często bywała sama. Rzecz jasna, Lydgate nigdy nie zamierzał dłużej z nią przesiadywać, ale te krótkie, ogólnikowe rozmowy, jakie prowadzili, wytwarzały ów szczególny rodzaj stosunku, którego główną cechą jest nieśmiałość. Musieli patrzeć na siebie, gdy rozmawiali, ale trudno im było to patrzenie traktować jak rzecz zwyczajną, jaką w istocie było. Lydgate’owi zaczęło to dolegać i pewnego dnia spuścił wzrok, czy też zwrócił oczy gdzieś indziej, jak źle poprowadzona kukielka. Miało to jednak zły skutek: następnego dnia Rozamunda spuściła wzrok, a w konsekwencji, kiedy ich oczy znowu się spotkały, byli tego obydwójce bardziej niż przedtem świadomi. Nauka nie mogła tu nic poradzić, a że Lydgate nie chciał flirtować, nie mogła również na to poradzić pustota. Z ulgą więc przyjęła, że sąsiedzi uznali kwarantannę za zakończoną, w związku z czym okazało się, że spotkania z Rozamundą sam na sam stały się o wiele rzadsze.

Ale kiedy już raz się zrodzi takie intymne obopólne zaambarasowanie, kiedy każde czuje, że to drugie coś czuje – powstają skutki, których pozbyć się nie sposób. Próżnym rozwiązaniem okazuje się rozmowa o pogodzie czy na inne tematy, przyjęte w dobrym towarzystwie, i trudno o swobodne zachowanie, dopóki nie zostanie w nim jasno zaakceptowany fakt wzajemnego zauroczenia, które, rzecz jasna, nie musi być ani czymś głębokim, ani poważnym. Przyjąwszy takie rozwiązanie, Lydgate i Rozamunda nabrali z wdziękiem swobody w rozmowach, a ich znajomość ponownie się ożywiła. Goście, jak dawniej, przychodzili i wychodzili, znowu w salonie rozbrzmiewała muzyka, a nieumiarkowana gościnność, wynikająca z burmistrzowania, wróciła pod dach pana Vincy. Lydgate,

kiedy tylko mógł, zajmował miejsce przy pannie domu, zostawał dłużej, by posłuchać jej gry, i mówił, że jest nią oczarowany, rozumiejąc przez to jednocześnie, że oczarowany nie jest. Niedorzeczność pomysłu, by mógł się teraz ożenić i założyć dom na odpowiednim poziomie, była wystarczającą asekuracją przed jakimkolwiek niebezpieczeństwem. Ta zabawa w amory sprawiała mu przyjemność i nie kolidowała z poważniejszymi zamierzeniami. Człowiek niekoniecznie musi opalić sobie piórka, flirtując. Jeśli idzie o Rozamundę, nigdy jeszcze nie cieszyła się tak bardzo każdym przeżywanym dniem: była pewna uwielbienia kogoś, kogo warto oczarować, i nie odróżniała flirtu od miłości ani u siebie, ani u innych. Wydawało się jej, że płynie hen, z wiatrem, gdzie ją poniesie, myśli zaś miała zaprzątnięte pewnym ładnym domem na Lowick Gate, który jak sądziła, będzie niedługo do wynajęcia. Była zdecydowana po wyjściu za mąż pozbyć się wszystkich niekochanych przez nią znajomych ojca i wyobrażała sobie salon w swoim wymarzonym domu, umeblowany w takim lub innym stylu.

Niewątpliwie myślała wiele i o samym panu Lydgate: wydawał się jej niemal ideałem; gdyby tylko znał nuty na tyle, by jego zachwyty nad jej muzyką nie przypominały zachwytyłów uczuciowego słonia i gdyby bardziej umiał docenić jej wyrafinowany gust w ubiorze – nie widziałyby, doprawdy, żadnej w nim wady. Jakież był inny od młodego pana Plymdale czy Caiusa Larchera. Ci młodzi ludzie nawet nie liźnęli francuskiego, o niczym nie potrafili mówić w sposób frapujący i ze znawstwem – chyba że o farbiarstwie i prowadzeniu interesów, ale o tym, rzecz jasna, wstydziłiby się nawet wspomnieć. Stanowili arystokrację Middlemarch, pysznili się czy to pejczem ze srebrną gałką, czy atlasowym halsztukiem, ale w zachowaniu okazywali skąpowanie, a ich wesołość była nieśmiała; nawet Fred ich przewyższał, gdyż przynajmniej zachowywał się i wyrażał jak człowiek z wyższym wykształceniem. Tymczasem Lydgate

zawsze budził zaciekawienie tym, co mówił, zachowywał się z niedbałą grzecznością człowieka świadomego swojej wyższości i zawsze był odpowiednio ubrany, jakby wskutek jakiegoś naturalnego przyciągania, bez konieczności myślenia o garderobie. Kiedy wchodził do pokoju, Rozamunda była dumna z niego, a gdy zbliżał się do niej z dystygowanym uśmiechem, miała rozkoszne uczucie, że jest przedmiotem hołdu godnego zazdrości. Gdyby Lydgate był świadom rozmiarów dumy, jaką wznieca w tym delikatnym łonie, mógłby się czuć usatysfakcjonowany, podobnie jak każdy inny mężczyzna, nawet najbardziej tępy ignorant w zakresie patologii humoralnej czy tkanki włóknistej: uważał, że jedna z najładniejszych postaw umysłowych kobiety wyraża się w uznawaniu wyższości mężczyzny bez zbyt dokładnego precyzowania, na czym ta wyższość polega.

Rozamunda jednak nie była bezradną panienką, która zdradza się niechcący i która postępuje niezręcznie pod wpływem impulsów, zamiast kierować się pełnym rozważliwym wdziękiem i dobrym wychowaniem. Czy wyobrażacie sobie, że jej śpiesznie podjęte rachuby na przyszłość oraz deliberacje nad umeblowaniem domu i doborem towarzystwa zostały kiedykolwiek ujawnione w rozmowie, choćby z mamusią? Wręcz przeciwnie, wyraziłaby wdzięczne zdumienie i dezaprobatę, gdyby usłyszała, że przyłapano jakąś młodą pannę na takich bezwstydnym przedwczesnych projektach – a nawet pewno nie uwierzyłyby, że coś podobnego jest możliwe. Rozamunda bowiem nigdy nie okazywała niestosownej wiedzy i zawsze była połączeniem poprawnych sentymentów, muzyki, tańca, rysunku, eleganckich bilecików, sztambuchów oraz uroku wspaniałej blondynki, co razem wzięte czyniło z niej porywającą kobietę dla z góry przegranej mężczyzny tej daty. Proszę, nie krzywdźcie jej, myśląc o niej źle: nie robiła żadnych niegodziwych intryg, nie była nikczemna ani wyrachowana. Właściwie nigdy nie myślała o pieniądzach,

chyba jako o rzeczy niezbędnej, którą zawsze dostarczy ktoś inny. Nie miała zwyczaju wymyślać kłamstw, a jeśli jakieś jej stwierdzenia rozmięły się z rzeczywistością, no to cóż, nie o to jej chodziło – należały one do jej eleganckich kunsztów, których celem było sprawianie innym przyjemności. Natura uskrzydliła wiele swoich umiejętności, nadając ostatnie szlify ulubionej uczennicy pani Lemon, a panna ta, zdaniem wszystkich (z wyjątkiem Freda), była rzadkim połączeniem urody i wdzięku.

Przebywanie w jej towarzystwie sprawiało doktorowi Lydgate coraz większą przyjemność: wszelkie skrępowanie minęło, wzrok ich spotykał się i cudownie przenikał wzajemnie, a wszystko, co mówili, miało dla nich owo dodatkowe znaczenie, które w osobie trzeciej nie budzi szczególnego zainteresowania; nie prowadzili jednak żadnych rozmów czy spotkań na stronie, w których nie mógłby uczestniczyć ktoś trzeci. W gruncie rzeczy – prowadzili flirt, a Lydgate był głęboko przekonany, że to tylko flirt. Jeśli mężczyzna nie może zachować rozsądku w miłości, to przecież może go zachować flirtując. Doprawdy, mężczyźni w Middlemarch, z wyjątkiem pastora Farebrothera, to straszni nudziarze. Lydgate'a zaś nie interesowała polityka gospodarcza ani karty: cóż więc miał robić, żeby się trochę rozerwać? Często bywał zapraszany do państwa Bulstrode, ale panny tego domu to jeszcze kwaśne jabłka, naiwność zaś, z jaką pani Bulstrode chciała godzić pobożność ze światowością, marność tego świata z upodobaniem do rżniętego szkła, brudne łachmany z najlepszym adamaszkiem – nie mogły równoważyć niezmiennej powagi jej męża. Dom państwa Vincych, mimo wszystkich jego wad, siłą kontrastu wydawał się o wiele przyjemniejszy, nadto była w nim Rozamunda, śliczna niby rozchylający się kwiat róży i posiadająca kunszty – źródło subtelnej radości mężczyzny.

Jednak sukces u panny Vincy przysporzył mu nieprzyjaciół spoza

zawodowych kręgów. Pewnego dnia wszedł dość późno do salonu, gdzie znajdowało się już wielu innych gości. Starsi siedzieli przy kartach, pan Ned Plymdale zaś (jedna z dobrych partii w Middlemarch, choć niekoniecznie jeden z najwybitniejszych umysłów) miał *tête-à-tête* z Rozamundą. Przyniósł ostatni *Upominek*, wspaniałe wydanie w jedwabnej oprawie, tomik, który w owym czasie symbolizował nowoczesność i postęp; młody człowiek uważał się za wielkiego szczęściarza, mogąc, jako pierwszy, przeglądać tę książeczkę razem z Rozamundą, zatrzymując się dłużej nad wizerunkami panów i pań o lśniących miedziorytowych policzkach i miedziorytowych uśmiechach, zwracając jej uwagę na komiczne wiersze, które określał jako kapitalne, oraz na sentymentalne opowiadania, które określał jako interesujące. Rozamunda była łaskawa, a młody człowiek zadowolony, że ma oto najlepszy towar w zakresie literatury i malarstwa, który może mu posłużyć do emablowania panny; akurat to, co się może miłej dziewczynie spodobać. Miał również powody, ukryte raczej niż jawnie okazywane, do zadowolenia z własnego wyglądu. Powierzchnowemu obserwatorowi mogłoby się zdawać, że jego podbródek ma tendencje do zanikania, jakby się stopniowo resorbował. W istocie rzeczy młody człowiek miał pewne trudności przy zawiązywaniu atłasowego halsztuka, do którego podbródek był w owych czasach niezbędny.

– Wydaje mi się, że jej wysokość pani S. nosi pewne podobieństwo do pani – oświadczył pan Ned, trzymając książkę otwartą na urzekającym portrecie, w który wpatrywał się tęsknym wzrokiem.

– Ma ogromnie szerokie plecy; musiała do tego pozować – powiedziała Rozamunda, bynajmniej nie pragnąc ironizować, myślała tylko, jakie czerwone ręce ma młody Plymdale, i zastanawiała się, czemu nie przyszedł pan Lydgate. Przez cały czas nie przestawała robić frywolitki.

– Wcale nie mówiłem, że jest równie piękna jak pani – oświadczył

młody człowiek, ośmielając się przenieść wzrok z portretu damy na jej rywalkę.

– Podejrzewam, że z pana zręczny pochlebca. – Rozamunda czuła, że będzie musiała odpalić tego młodego człowieka po raz wtóry.

W tej chwili pojawił się Lydgate; nim jeszcze doszedł do kącika, gdzie siedziała Rozamunda, książka została zamknięta, a gdy ze swobodną pewnością siebie zajął miejsce u drugiego boku młodej panny, szczęka młodego Plymdale opadła niby barometr na niepogodę. Rozamunda cieszyła się nie tylko z przyjscia Lydgate'a, ale i ze skutków, jakie ono wywołało: lubiła wzniecać zazdrość.

– Jakże późno pan przychodzi – przywitała go, podając mu rękę. – Mama już całkiem straciła nadzieję. Jak pan znalazł Freda?

– Jak zwykle; idzie ku lepszemu, ale powoli. Chciałbym, żeby wyjechał, do Stone Court, na przykład. Ale matka pani ma, zdaje się, jakieś zastrzeżenia.

– Biedaczek! – powiedziała Rozamunda z uroczą minką. – Fred bardzo jest zmieniony, zobaczy pan – zwróciła się do drugiego wielbiciela. – Podczas jego choroby pan doktor był dla nas jak anioł opiekuńczy.

Pan Ned uśmiechnął się nerwowo, podczas gdy Lydgate przysunąwszy do siebie *Upominek*, otworzył książkę, zaśmiał się krótko i wzgardliwie i podrzucił głowę, jakby się nie mógł nadziwić ludzkiej głupocie.

– Z czego się pan tak bluźnierczo śmieje? – zapytała ze słodką bezstronnością.

– Zastanawiam się, co tu będzie głupsze: sztychy czy teksty – odparł Lydgate tonem, w którym brzmiała pewność, błyskawicznie kartkując książkę, jakby ją chciał szybko przejrzeć, i pokazując swoje białe duże dłonie, z których mógł być dumny. – Proszę popatrzeć tylko na tego pana młodego, który wychodzi z kościoła: widziała pani kiedykolwiek taką „inwencyją cukiernika”, jak to mówili elżbietanie? Czy jakikolwiek

subiekt sklepowy mógłby się tak głupio uśmiechać? Ale dam głowę, że w tej opowieści występuje jako jeden z najpierwszych dżentelmenów w kraju.

– Pan jest taki wymagający, boję się pana. – Rozamunda należycie miarkowała swoje rozbawienie. Biedny młody Plymdale z uwielbieniem wpatrywał się przed chwilą w ten właśnie sztych, toteż duch się w nim wzburzył.

– W każdym razie pisze tu wiele znakomitości – powiedział tonem jednocześnie urażonym i niepewnym. – Po raz pierwszy w życiu słyszę, że ktoś uważa *Upominek* za rzecz głupią.

– Sądzę, że powinnam odpowiedzieć atakiem na atak i nazwać pana barbarzyńcą. – Rozamunda zwróciła się z uśmiechem do Lydgate’a. – Zapewne nic pan nie wie o lady Blessington czy o L.E.L.^[51] – Sama z upodobaniem czytywała te autorki, nie zdradzała się z tym jednak i nie wyrażała zachwyty, lecz pilnie baczyła na każdą uwagę Lydgate’a, z której mogłoby wynikać, iż coś nie jest w najlepszym guście.

– Ale sir Walter Scott... przypuszczam, że pan Lydgate go zna – ciągnął młody Plymdale w poczuciu siły przedstawianego argumentu.

– Och, nie czytam teraz literatury pięknej. – Lydgate zamknął książkę i odłożył. – Tyle się naczytałem w latach chłopięcych, że jak sądzę, wystarczy mi na całe życie. Umiałem wiersze Scotta na pamięć.

– Chciałabym wiedzieć, kiedy pan przestał czytać – uśmiechnęła się Rozamunda. – Wówczas mogłabym być pewna, że znam coś, czego pan nie zna.

– Pan Lydgate powiedziałby, że tego nie warto znać. – Pan Ned był rozmyślnie zjadliwy.

– Wręcz przeciwnie – odparł Lydgate, wcale tym niedotknięty,

[51] Marguerite Power, hrabina Blessington i Letitia Elizabeth London – popularne w owych czasach powieściopisarki.

uśmiechając się z irytującą pewnością siebie do Rozamundy. – Warto byłoby znać, gdyż powiedziałyby mi to panna Vincy.

Po niedługiej chwili młody Plymdale poszedł do grających w wista, by się przyjrzeć grze. Uważał Lydgate'a za jednego z najbardziej zarozumiałych, niesympatycznych ludzi, jakich miał nieszczęście poznać.

– Jakież pan gwałtowny – napominała doktora Rozamunda, w głębi duszy zachwycona. – Czy nie widzi pan, że go obraził?

– Co? Czyżby to była książka pana Plymdale'a? Bardzo mi przykro. Nie pomyślałem o tym.

– Niedługo przyznam rację temu, co pan powiedział o sobie za pierwszą wizytą: że z pana niedźwiedź i że powinien brać naukę od ptaszków.

– No cóż, jest jeden ptaszek, który może mnie nauczyć, czego chce. Czyżbym niechętnie go słuchał?

Rozamundzie wydawało się, że ona i Lydgate są właściwie jak zaręczeni. W głowie jej od dawna już żyła myśl, że kiedyś to nastąpi, a myśli, jak wiemy, zmierzają ku bardziej materialnemu rodzajowi egzystencji, jeśli odpowiednie budulce są pod ręką. Co prawda, Lydgate żywił wyobrażenie wprost przeciwne, to mianowicie, że zaręczony nie będzie; było ono jednak czystą negacją, cieniem innych postanowień, zdolnych do zaniku. Okoliczności niemal na pewno były po stronie Rozamundy, gdyż jej wyobrażenie miało siłę twórczą i wyzierało z czujnych błękitnych ocząt, podczas gdy wyobrażenie Lydgate'a leżało ślepe i obojętne niby meduza, która się rozplywa, sama o tym nie wiedząc.

Tego wieczoru po powrocie do domu zajrzał z takim samym jak zwykle zainteresowaniem do swoich próbek, by sprawdzić, jak postępuje proces maceracji, i sporządził codzienne notatki, równie dokładnie jak zawsze. Rozmyślenia, z których trudno było mu się wyrwać, stanowiły idealne konstrukcje złożone z czegoś innego niż cnoty Rozamundy;

jego piękną nieznajomą wciąż pozostawała tkanka pierwotna. Nadto zaczęła go coraz bardziej pochłaniać rozgrywka między nim a innymi lekarzami, ostrzejsza ostatnio, choć kamuflowana, która teraz, gdy Bulstrode publicznie wyjawi swoje plany co do zarządzania nowym szpitalem – stanie się całkiem jawna. Były też różne miłe oznaki, że fakt, iż niektórzy pacjenci doktora Peacocka nie chcieli jego, Lydgate'a, usług, zrównoważony zostaje uznaniem innych. W zaledwie kilka dni później, kiedy przypadkiem spotkał Rozamundę na drodze do Lowick i zsiadłszy z konia, szedł przy jej boku, by ją osłonić przed mijającym stadem, zatrzymał go konny służący z wezwaniem do domu o dużym znaczeniu, do którego Peacock nigdy nie był wzywany. Służącym był człowiek sir Jamesa Chettama, a domem – Lowick Manor.

ROZDZIAŁ XXVIII

Dżentelmen pierwszy:

Zawsze jest pora na małżeński związek

I obopólną rozkosz.

Dżentelmen drugi: Prawdę mówisz.

Próżno dnia złego szukać w kalendarzu,

Dla dwóch dusz ludzkich w miłości złączonych;

Ba, nawet śmierć jest słodka, co porywa

Jak fala morska i męża, i żonę,

Którzy bez siebie więcej żyć nie mogą.

Państwo Casaubonowie wrócili z podróży poślubnej do Lowick Manor w połowie stycznia. Gdy wysiadali przed dworem, padał drobny śnieg, a rano, gdy Dorotea przechodziła z garderoby do niebieskozielonego, znanego nam buduaru, zobaczyła długą aleję lip dźwigających pnie z białej ziemi i rozpościerających białe gałęzie na tle mrocznego nieruchomego nieba. Daleka płaszczyzna kurczyła się w jednolitej bieli i jednolitości niskich chmur. Nawet meble w pokoju wydały się skurczone od czasu, gdy je ostatnio widziała; jeleń na gobelinie bardziej przypominał ducha w niesamowitym zielononiebieskim świetle: tomy beletrystyki w bibliotece sprawiały wrażenie martwej imitacji książek. Jasny płomień suchych bierwion dębowych wspartych na kozłach – powrót życia i żaru – wydawał się tu nie na miejscu, podobnie jak postać Dorotei, która weszła, niosąc czerwone skórzane puzdra z kameami dla Celi.

Po porannej toalecie była cała rozświetlona, promieniejąca zdrowiem i młodością: na upiętych włosach i w orzechowych oczach lśnił blask niby połysk drogocennych kamieni, w wargach pulsowało czerwone gorące

życie, gardło tchnęło bielą ponad inną bielą – bielą futra, które spowijało jej szyję i opadało w dół, przywierając do szaroniebieskiej pelisy z czułością, jaka emanowała z niej samej; uosobienie wrażliwości, niewinności i urody na tle krystalicznej czystości śniegu za oknem. Położyła pudra z kameami na stole we wnęce okiennej i nieświadomie oparła na nich rękę, pochłonięta natychmiast widokiem nieruchomej białej przestrzeni, która zamykała jej widzialny świat.

Pan Casaubon wstał wcześniej, narzekając na palpacje, a teraz siedział w bibliotece, dając posłuchanie swemu wikaremu, panu Tuckerowi. Niedługo przyjedzie Celia, druhna i siostra przecież, a najbliższe tygodnie wypełniać będą wizyty i rewizyty, pierwsze po ślubie – kontynuacja owego przejściowego trybu życia, odpowiadająca rzekomo emocjom towarzyszącym miodowemu szczęściu, pozwalająca podtrzymywać poczucie gorączkowej beczynności niby we śnie, co do którego śniący zaczyna mieć wątpliwości. Obowiązki wynikające z małżeństwa, które dawniej wydawały się jej tak wielkie, teraz jakby się skurczyły, razem z umeblowaniem i białym, przesłoniętym mgłą krajobrazem. Nawet w wyobraźni trudno jej było zobaczyć te jasne wysokości, po których spodziewała się kroczyć w pełnej łączności duchowej ze swym mężem; rozkosz wewnętrznego polegania na kimś, kto ją pod każdym względem przewyższa, zamieniła się dramatycznie w niełatwy wysiłek i niepokój mglistych przeczuć. Kiedyż przyjdą dni owego czynnego małżeńskiego poświęcenia, które miało wlać nowe siły w życie jej męża i uwznioślić jej własne? Zapewne nigdy, nigdy tak, jak to sobie uprzednio wyobrażała, ale jakoś... przecież jednak jakoś... W tym związku, uroczyście zawartym na całe życie, obowiązek przyjmie inną natchnioną formę i nada nowe znaczenie jej małżeńskiej miłości.

A tymczasem był śnieg i niskie, mroczne sklepienie mgły, i dławiący ciężar rzeczywistości, w jakiej żyje pani ziemiańskiego dworu,

rzeczywistości, w której wszystko wykonywane jest za nią i nikt nie prosi jej o pomoc w niczym, w której związek z bogatym, bujnym życiem trzeba podtrzymywać siłą, gdyż jest dziełem wyobraźni, a nie skutkiem wymagań świata zewnętrznego, zdolnych nadać jej energii właściwy kształt. „Co mam robić?”, „Co tylko chcesz, kochanie”: tak się pokrótce toczyło jej życie, odkąd skończyły się poranne lekcje i głupie wprawki na znienawidzonym pianinie. Małżeństwo, które miało być jej drogą ku zajęciom godnym i przydatnym, nie uwolniło jej od przygniatającej swobody pani ziemiańskiego dworu; nie wypełniło nawet jej wolnego czasu rozpamiętywaniem radości, jaką niesie niepohamowana czułość. Kwitnąca, pulsująca młodość zamknięta została w duchowym uwięzieniu, stanowiąca jedno z zimnym, bezbarwnym, zawężonym krajobrazem, nieczytanymi książkami i upiornym jeleniem w bladym fantastycznym świecie, który zdawał się nikać w świetle dnia.

Kiedy patrzyła przez okno, nie czuła przez kilka pierwszych minut nic prócz mrocznego przygnębienia; potem przyszło ostre przypomnienie; odwróciła się od okna i obesła bawialnię dookoła. Owe myśli i nadzieje, które żywiła w duszy, gdy po raz pierwszy zobaczyła ten pokój przed blisko trzema miesiącami, dziś były tylko wspomnieniem: przykładała do nich teraz taką miarę, jaką się stosuje do rzeczy ulotnych i minionych. Zdawać by się mogło, że tętno wszelakiego istnienia bije w rytmie powolniejszym niż jej krew, a jej religijna wiara pozostaje samotnym krzykiem, próbą wydobycia się z koszmaru, w którym wszystko, na co spogląda, kurczy się i maleje. Wszystkie zapamiętane w tym pokoju przedmioty utraciły swój czar, jak obraz malowany na szkle, za którym zgaszono światło; w pewnej chwili wzrok Dorotei, omiatający pokój, napotkał grupę miniatur i tam wśród nich zobaczyła wreszcie coś, co nabrało nowej wartości i znaczenia: była to miniatura ciotki jej męża, Julii, babki Willa Ladislawa, która tak niefortunnie wyszła za mąż. Dorotea mogła sobie niemal

wyobrazić, że ta twarz żyje – delikatna twarz kobiety, w której był jakiś upór, jakaś szczególna cecha, trudna do określenia. Czy tylko jej bliscy uważali to małżeństwo za niefortunne? Czy też ona sama stwierdziła, że było pomyłką, i smakowała słoną gorycz łez w dobrotliwej ciszy nocy? Jakież to otchłanne doświadczenia przypadły w udziale Dorotei, odkąd po raz pierwszy zobaczyła tę miniaturę! Wydawało jej się teraz, jakby je łączyła jakaś wspólnota, jakby ta miniatura widziała, że ona na nią patrzy i mogła słyszeć jej słowa. Oto kobieta, która zakosztowała trudności w małżeństwie. Ale cóż to, barwy przybrały ciemniejszy odcień, wargi i broda poszerzyły się, włosy i oczy zaczęły ślać światło, twarz była teraz twarzą mężczyzny, spoglądającą na nią owym otwartym spojrzeniem, mówiącym tej, na którą pada, że jest zbyt interesująca, aby najmniejsze drgnienie jej powieki mogło przejść niezauważone i niezrozumiane. To żywe wyobrażenie pojawiło się jak miła fala ciepła; Dorotea poczuła, że się uśmiecha, i odwróciwszy się od miniatury, usiadła i podniosła głowę, jakby ponownie mówiła do stojącej przed nią postaci. Uśmiech jednak zgasł podczas tych rozmyślań i po chwili odezwała się głośno:

– Och, okrutnie było tak mówić. Jakie to smutne, jakie okropne!

Podniosła się szybko i wyszła z pokoju, gnana – gdy tak szła przez korytarz – nieodpartym impulsem, by zobaczyć męża i dowiedzieć się, czy nie mogłaby mu w czymś pomóc. Może pastor Tucker już poszedł i pan Casaubon siedzi sam w bibliotece. Czują, że cały posępek tego ranka pierzchnąłby, gdyby mąż ucieszył się z jej obecności.

Kiedy jednak doszła do szczytu ciemnych dębowych schodów, zobaczyła śpieszącą na górę Celię, a na dole stał pan Brooke, wymieniając z panem domu powitania i gratulacje.

– Dodo – powiedziała Celia swoim spokojnym staccato, potem ucałowała siostrę, a ta otoczyła ją ramionami i nie mówiły już więcej. Myślę, że obie zapłakały skrycie, potem Dorotea pobiegła na dół

przywitać stryjaska.

– Nie potrzebuję pytać, jak się czujesz, kochana – mówił pan Brooke, ucałowawszy jej czoło. – Rzym ci służył, jak widzę, no cóż, szczęście, freski, antyk i takie rzeczy. Miło jest jednak mieć cię tu z powrotem. Teraz już wiesz wszystko o sztuce, prawda? Ale twój mąż trochę jest bladawy, właśnie mu to powiedziałem. Trochę, ma się rozumieć, bladawy. Ciężkie studia podczas odpoczynku to trochę za wiele. Ja sam tak kiedyś przeciągnąłem strunę. – Pan Brooke wciąż trzymał dłoń Dorotei, ale twarzą zwrócony był do pana Casaubona. – Studiując topografię, ruiny, świątynie, jużem myślał, że mam rozwiązanie, ale się spostrzegłem, że może mnie to zaprowadzić za daleko i nic z tego nie wyjdzie. W takich sprawach człowiek może zejść bardzo daleko, a mimo to nic z tego nie wyjdzie.

Oczy Dorotei również zwróciły się ku twarzy męża. Ogarnął ją niepokój, że ci, którzy go zobaczyli po nieobecności, mogli dostrzec ślady, które umknęły jej uwagi.

– Nic takiego, co by cię mogło zaniepokoić. – Pan Brooke zauważył jej wyraz. – Wszystko zaraz się zmieni, wystarczy trochę angielskiej wołowiny i baraniny. Dobra była ta bladość do pozowania do portretu Tomasza z Akwinu, ma się rozumieć. Dostaliśmy twój list akurat w sam czas. Ale Tomasz z Akwinu, proszę ja ciebie, był chyba trochę za subtelny. Czy ktokolwiek go dzisiaj czyta?

– Nie jest to w istocie autor odpowiedni dla umysłów powierzchownych. – Pan Casaubon reagował na te aktualne pytania z dostojną cierpliwością. – Czy stryjasek napije się kawy w swoim pokoju? – Dorotea przyszła mężowi na ratunek.

– Tak, ty idź do Celii, ona ma ci niezwykle wiadomości do przekazania; wszystko jej pozostawiam.

Zielononiebieski buduar wydawał się o wiele pogodniejszy, gdy

siedziała w nim Celia, w pelisie takiej jak siostra, i oglądała ze spokojną satysfakcją kamee, podczas gdy rozmowa toczyła się na inne tematy.

– Czy uważasz, że miło jest jechać w podróż poślubną do Rzymu? – zapytała z tym swoim szybkim, delikatnym rumieńcem, który Dorotea oglądała przy każdej okazji.

– Nie dla każdego byłoby to odpowiednie. Na przykład nie dla ciebie – odparła spokojnie Dorotea. Nikt nie będzie nigdy wiedział, co ona sądzi o podróży poślubnej do Rzymu.

– Pastorowa Cadwallader powiada, że to bez sensu, żeby ludzie, kiedy się pobiorą, ruszali w daleką podróż. Powiada, że śmiertelnie się sobą męczą i nie mogą się swobodnie kłócić, tak jak w domu. A lady Chettam powiada, że ona pojechała do Bath. – Buzia Celii mieniła się, rumieniec to zjawiał się, to nikał „niosąc wieści serca niby chyży posłaniec...”^[52].

Musi to znaczyć coś więcej, niż znaczą zwykłe rumieńce Celii.

– Celio! Czy coś się stało? – spytała Dorotea tonem pełnym siostrzanego uczucia. – Czy masz dla mnie naprawdę jakieś ważne wiadomości?

– To wszystko dlatego, że wyjechałaś, Dodo. Sir James nie miał do rozmów nikogo prócz mnie. – W oczach Celii zamigotała figlarna iskierka.

– Rozumiem. Stało się tak, jak przypuszczałam i wierzyłam. – Dorotea ujęła w dłoń twarz siostry i patrzyła na nią z pewnym niepokojem. Małżeństwo Celii wydawało się jej teraz poważniejszą sprawą niż dawniej.

– To dopiero trzy dni temu – powiedziała Celia. – A lady Chettam okazuje mi wielką życzliwość.

– A ty jesteś bardzo szczęśliwa?

– Tak. Nie mamy zamiaru pobierać się już zaraz. Wszystko przecież trzeba przygotować. I ja wcale nie chcę tak szybko wychodzić za mąż, bo sądzę, że przyjemniej jest być zaręczoną. A małżeństwem będziemy już

[52] Cytat z poematu *The Faerie Queene* Edmunda Spensera.

do końca życia.

– Doprawdy, Kitty, nie mogłabyś lepiej wyjść za mąż. Sir James to zacy, szlachetny człowiek – powiedziała gorąco Dorotea.

– On dalej buduje te chaty dla farmerów, Dodo. Wszystko ci o tym opowie, jak przyjedzie. Czy rada byłabyś go zobaczyć?

– Oczywiście! Jak możesz mnie pytać!

Ja się tylko bałam, że zrobisz się taka uczone – powiedziała Celia, dla której uczoneść pana Casaubona była czymś w rodzaju wilgoci, zdolnej, po odpowiednim czasie, przeniknąć znajdujące się obok ciało.

ROZDZIAŁ XXIX

Odkryłem, że nie ma cudzego geniuszu, który mógłby sprawić mi przyjemność. I to źródło pociechy wyszło za sprawą mych nieszczęsnych paradoksów.

Oliver Goldsmith, *Wikary z Wakefieldu*

Pewnego ranka, w kilka tygodni po powrocie do Lowick, Dorotea – ale czemu zawsze Dorotea? Czy w sprawach małżeństwa jej punkt widzenia jest jedyny z możliwych? Oponuję przeciwko skupianiu całego naszego zainteresowania, wszelkiego wysiłku rozumienia na młódkach, które mimo kłopotów wyglądają kwitnąco; one bowiem też kiedyś zwiędną i zazną tych późniejszych, bardziej dolegliwych trosk, które my obecnie lekceważymy. Pan Casaubon, mimo swojego mrugania i białych myszek, które tak bardzo miała mu za złe Celia, oraz braku muskulatury, co tak bolało sir Jamesa, miał silną samoświadomość i, tak samo jak my wszyscy, miał potrzeby duchowe. Żeniąc się, nie uczynił nic niezwykłego – zrobił to, co towarzystwo pochwała i uważa za godne wysyłania wiązanek i bukietów. Doszedł do wniosku, że nie należy dłużej zwlekać z małżeństwem, i uznał, że człowiek, zajmujący wysoką pozycję społeczną, a zdecydowany na ożenek, winien starannie wybrać młodą pannę w kwiecie wieku – im młodsza, tym lepsza, gdyż bardziej uległa i łatwiejsza do wychowania – równą mu urodzeniem, religijną, cnotliwą i rozumną. Na rzecz owej damy zrobi hojny zapis w kontrakcie ślubnym i nie zaniedba starań, by znalazła wszystko, co potrzebne do szczęścia. W zamian za to otrzyma rozkosze rodzinne oraz kopię samego siebie,

kóra po nim zostanie, czego tak stanowczo domagali się od mężczyzny szesnastowieczni sonetyzujący poeci. Czasy się jednak zmieniły i obecnie żaden sonetyzujący poeta nie należał, aby pan Casaubon zostawił kopię samego siebie; nadto nie udało mu się jeszcze wydać ani jednej kopii swojego mitologicznego klucza; zawsze jednak zamierzał zrobić, co do niego należało, i ożenić się, a że czuł, iż lata płyną coraz szybciej, świat staje się coraz mniej jasny, a on – coraz bardziej samotny, postanowił nie tracić czasu i zapewnić sobie owe rozkosze domowego pożycia, nim wiek sprawi, że i one staną się dla niego niedostępne.

Kiedy poznał Dorotę, wydawało mu się, że znalazł coś jeszcze lepszego, niż szukał: doprawdy, może się okazać taką dla niego pomocą, że obejdzie się bez sekretarza, którego zresztą nigdy dotąd nie zatrudnił, gdyż osoba ewentualnego asystenta budziła w nim podejrzliwość i obawę. (Pan Casaubon był nerwowo świadom, że oczekuje się od niego dowodów wielkości umysłu). Opatrzność w swojej łaskawości zesłała mu żonę, jakiej potrzebował. Żona, skromna młoda dama z typową dla jej płci skłonnością do okazywania respektu, nieambitna, niewątpliwie uzna wielkość męzowskiego umysłu. Nie przyszło mu do głowy zastanawiać się nad tym, czy Opatrzność okazała równą troskę o pannę Brooke, prezentując jej pana Casaubona. Towarzystwo nigdy nie stawiało nedorzecznych wymagań, by mężczyzna tyle samo się zastanawiał, czy może dać szczęście uroczej dziewczynie, co nad tym, czy ona może dać szczęście jemu... To tak, jakby mężczyzna mógł wybierać nie tylko żonę, ale i męża żony! Albo jakby był zobowiązany dostarczyć w swojej osobie uroków dla potomnych. Kiedy Dorotea przyjęła go entuzjastycznie, uznał to za reakcję naturalną. Pan Casaubon uwierzył, że oto zaczyna się okres szczęśliwości.

Niewiele jej dotąd zaznał w życiu. Aby zaznać intensywnej radości, nie mając silnego ciała, trzeba mieć żarliwą duszę. Pan Casaubon nigdy

nie miał silnego ciała, dusza jego zaś była wrażliwa, lecz nie znała żaru – zbyt ociężała, by mogła szybować od egotyzmu ku namiętnemu zachwytowi, trzepotała się na grząskim gruncie, gdzie się wylęła, i rozmyślała o skrzydłach, lecz nigdy się na nich nie wzbiła w górę. W mizernym inwentarzu jego doświadczeń krył się lęk przed cudzą litością, a najbardziej przed tym, by ktoś tego lęku nie zauważył; ciasna, pycha podszyta wrażliwość, zbyt mała, by jej wystarczyło na przekształcenie się we współczucie, płynąca, niby drżąca nitka, małymi strumykami własnych spraw lub w najlepszym wypadku egoistycznego rygoryzmu. A pan Casaubon był wielkim rygorystą, zdolnym narzucić sobie surową powściągliwość; skrupulatnie przestrzegał kodeksu honorowego i przez każdą szacowną zbiorowość zostałyby uznany za człowieka bez skazy. W swoim postępowaniu przestrzegał wszystkich przyjętych zasad, lecz trudność, jaką miał ze zdobyciem wiarygodności *Klucza do wszystkich mitologii*, ciążyła mu na duszy jak ołów. Nie została dostrzeżona wielkość pisanych przez niego broszur czy też, jak je nazywał, *Parerga*, próbek, które miały być sprawdzianem reakcji czytelników, małymi pomnikami, wytyczającymi szlak jego marszu. Podejrzewał, że archidiakon w ogóle ich nie czytał: dręczyły go bolesne wątpliwości, co na ich temat naprawdę sądzą najpierwsze umysły z Brasenose^[53], i był boleśnie przekonany, że to jego stary znajomy, Carp, jest autorem niepoehlebnej recenzji, którą on, pan Casaubon, trzymał w zamkniętej na klucz szufladce biurka, a również w ciemnym zakątku pamięci słów. Takim właśnie ciężkim dopustom musiał stawić czoło i one rodziły ową melancholijną gorycz, która jest konsekwencją wszelkich wygórowanych pretensji: nawet jego wiara religijna chwiała się wraz z zachwianą ufnością we własne pisarstwo, a pociecha chrześcijańskiej nadziei na nieśmiertelność opierała się niejako na nieśmiertelności wciąż jeszcze nienapisanego *Klucza do wszystkich*

[53] Brasenose – kolegium w Oksfordzie.

mitologii. Jeśli o mnie idzie – bardzo mi go żal. Ciężki to los – mówiąc oględnie – być człowiekiem wysoce wykształconym, a nie umieć się cieszyć: być obecnym na tym wielkim spektaklu życia, a nie móc uwolnić się od małego, wygłodniałego, roztrzęsionego „ja”; nigdy nie ulec oczarowaniu otaczającą nas wspaniałością, nigdy nie doznać uniesienia, gdy nasza świadomość przekształca się w jasną myśl, nie zaznać żaru namiętności, energii czynu, ale pozostawać wciąż człowiekiem uczonym i banalnym, ambitnym i lęklwym, skrupulatnym i krótkowzrocznym. Obawiam się, że gdyby pan Casaubon został dziekanem czy nawet biskupem, nie zmniejszyłoby to jego niepewności. Jakiś starożytny Grek zauważył kiedyś, że za wielką maską i tubą do wzmacniania głosu zawsze muszą się kryć nasze biedne, małe, wytrzeszczone oczka i nasze lękliwe usta pod mniej czy bardziej baczną kontrolą.

Do takich właśnie umysłowych osiągnięć sprzed ćwierci wieku i ograniczonej nimi emocjonalności postanowił pan Casaubon dodać szczęście przeżywane z młodą, piękną oblubienicą; jednak jak widzieliśmy jeszcze przed ślubem, naszło go zwątpienie, gdy uświadomił sobie, że to nowe szczęście wcale nie wydaje mu się takie szczęśliwe. Skłonności ciągnęły go ku dawnym, swojskim zwyczajom. Im dalej wstępował w życie małżeńskie, tym częściej nad wszystkimi innymi doznaniem brało górę poczucie, że nienagannie spełnia swoje powinności i postępuje jak należy. Małżeństwo, podobnie jak religia i erudycja, a nawet pisarstwo, skazane było na to, by stać się zewnętrznym obowiązkiem, a Edward Casaubon był zdecydowany wzorowo spełniać obowiązki. Nawet korzystanie z pomocy Dorotei w pracy, czego przecież pragnął przed ślubem, nawet to okazało się trudnością, którą miał ochotę odsunąć, i gdyby nie jej uporczywe błagania, nigdy by do tego nie doszło. Dorotei udało się jednak wprowadzić w codzienny obyczaj to, że siadała rano na swoim miejscu w bibliotece i zabierała się do pracy, która polegała albo na

głośnym czytaniu, albo na kopiowaniu przygotowanych dla niej tekstów. Łatwiej było teraz wyznaczyć jej zadanie, ponieważ pan Casaubon podjął konkretny zamiar: miał powstać nowy *Parergon*, niewielka monografia na temat odkrytych niedawno tropów tyjących tajemnic egipskich, w której będzie można skorygować pewne twierdzenia Warburtona^[54]. Nawet tutaj odnośników było co niemiara, choć nie w nieskończoność, a zdania należało układać w taki kształt, by je mogli skandować oksfordczycy oraz stanowiący mniejsze zagrożenie potomni. Te drobniejsze pomnikowe dzieła zawsze wprawiały pana Casaubona w podniecenie: miewał trudności z trawieniem wskutek kolizji cytatów albo rywalizacji dialektycznych zwrotów zderzających mu się hałaśliwie w głowie. Przede wszystkim konieczna była łacińska dedykacja, co do której wszystko pozostawało niepewne, z wyjątkiem tego, że nie będzie to dedykacja dla Carpa: do dziś pan Casaubon wyrzucał sobie boleśnie dedykację, jaką ułożył niegdyś dla Carpa, w której zaliczył tego przedstawiciela królestwa zwierzęcego do *viros nullo oevo perituros*^[55]; błąd ten niewątpliwie wystawiał dedykującego na pośmiewisko w wieku przyszłym, a obecnie mogliby się z niego wyśmiewać na przykład Pike i Tench^[56].

Znajdował się więc pan Casaubon w jednym z najbardziej pracowitych okresów swego życia, a Dorotea, jak zacząłem przed chwilą opowiadać, przyszła rano do niego, do biblioteki, gdzie był samotnie śniadał. Celia przebywała właśnie z drugą wizytą w Lowick, zapewne ostatnią przed ślubem, i oczekiwała sir Jamesa w salonie.

Dorotea nauczyła się już poznawać, w jakim nastroju jest mąż, i od razu zauważyła, że w ciągu ostatniej godziny rano stał się bardziej

[54] William Warburton (1698-1779) – biskup, autor rozprawy o hieroglifach egipskich.

[55] Ludzi, którzy nigdy nie odejdą (z tego świata).

[56] Pike i Tench (ang.) – szczupak i lin.

pochmurny. Skierowała się cicho do swego biurka, kiedy pan Casaubon odezwał się do niej tonem świadczącym, iż spełnia przykry obowiązek.

– Doroteo, jest tutaj list do ciebie, który przyszedł z innym, adresowanym do mnie.

Były to dwie zapisane kartki, a Dorotea natychmiast spojrzała na podpis.

– Pan Ladislaw! Cóż on może mieć mi do powiedzenia! – zawołała tonem miłego zaskoczenia. – Ale – dodała, spoglądając na męża – łatwo mi sobie wyobrazić, o czym pisał do ciebie.

– Możesz go, jeśli chcesz, przeczytać. – Pan Casaubon wskazał list surowym ruchem pióra, nie patrząc na żonę. – Chcę jednak z góry oświadczyć, że zmuszony jestem odpowiedzieć odmownie na zawartą w nim propozycję złożenia tu wizyty. Tuszę, iż jestem usprawiedliwiony, pragnąc być przez pewien czas wolnym od dystrakcji, dotychczas nieuniknionych, zwłaszcza zaś od gości, których bezładna żywiołowość jest bardzo męcząca.

Pomiędzy Doroteą i jej mężem nie było żadnych nieporozumień od owego drobnego wybuchu w Rzymie, które zostawiło w jej pamięci ślady tak mocne, że odtąd łatwiej jej przychodziło zdusić emocje niż ponosić skutki ich wybuchu. Ale te zgryźliwe przypuszczenie, że mogłaby pragnąć wizyt, które nie są w smak jej mężowi, ta niepotrzebna obrona przeciwko jej rzekomym egoistycznym zakusom – to wszystko zbyt mocno ją dotknęło, by zdążyła pomyśleć, nim zareagowała oburzeniem. Wyobrażała sobie niegdyś, że mogłaby okazywać cierpliwość Johnowi Miltonowi, ale w głowie by jej nie powstało, że on mógłby się tak zachować wobec niej. Przez chwilę pan Casaubon wydał jej się głupio tępy i odpychająco niesprawiedliwy. Litość, ów „noworodek”, który od pewnego czasu uciszał wiele jej wewnętrznych burz, w tym wypadku

„nie zrównoważył uderzenia”^[57]. Pierwsze słowa wypowiedziane tonem, który wstrząsnął jej męża, kazały mu z przerażeniem podnieść wzrok i zobaczyć błysk w jej oczach.

– Czemu przypisujesz mi pragnienie czegoś, co mogłoby sprawić ci przykrość? Mówisz do mnie tak, jakbym była twoim przeciwnikiem. Zaczekaj, póki nie sprawię wrażenia, że bardziej zabiegam o własną przyjemność niż twoją.

– Doroteo, to są pochopne sowa – odpowiedział nerwowo pan Casaubon.

Doprawdy, ta kobieta była zbyt młoda na tak wielką rolę jak rola małżonki – powinna być blada, bez wyrazu i przyjmować wszystko za oczywistość.

– Myślę, że to ty byłeś pochopny, fałszywie oceniając moje uczucia – odparła Dorotea tym samym tonem. Ogień nie wygasł jeszcze, uważała za niegodziwość to, że jej nie przeprosił.

– Nie będziemy, jeśli pozwolisz, mówić więcej na ten temat. Nie mam na tego rodzaju dyskusje ani czasu, ani energii.

Z tymi słowy pan Casaubon zanurzył pióro w atramencie i chciał się znowu zabrać do pisania, lecz ręka drżała mu tak mocno, że słowa sprawiały wrażenie, jakby je pisał ktoś inny. Istnieją takie odpowiedzi, które odpierając gniew, odsyłają go tylko w inny kąt pokoju; chłodne uchylenie się od dyskusji, kiedy czujesz, że słuszność jest po twojej stronie, to coś bardziej irytującego w małżeństwie niż w filozofii.

Dorotea pozostawiła oba nieprzeczytane listy Ladysława na biurku męża i poszła na swoje miejsce. Oburzenie i wzdarga kazały jej odrzucić ich lekturę, tak jak odrzucamy śmiecie, w związku z którymi oskarżano nas o podłą zachłanność. Nie domyślała się, jakie to subtelne przyczyny złego humoru męża kryły się w tych listach, wiedziała tylko, że przez

[57] *Makbet* Szekspira (akt I, sc. 7).

nie ją obraził. Zabrała się natychmiast do pracy, a ręka jej nie drżała. Przeciwnie, gdy przepisywała przygotowane dla niej poprzedniego dnia cytaty, miała wrażenie, że wyjątkowo pięknie formuje litery i że dostrzega konstrukcję przepisywanej łaciny, którą zaczęła teraz lepiej rozumieć. W jej oburzeniu było poczucie wyższości, wyrażające się w tej chwili w śmiałych pociągnięciach pióra, a nie przeistoczyło się jeszcze w wewnętrzny głos, stwierdzający, że ten niegdysiejszy „uprzejmy archanioł” to niemiły jegomość.

Ten pozorny spokój panował przez pół godziny i Dorotea nie podnosiła głowy znad biurka; wtem usłyszała głośny stukot książki o podłogę, a obejrawszy się szybko, ujrzała, że pan Casaubon, który stał na bibliotecznych schodkach, pochyła się do przodu, jakby mu coś dolegało. Poderwała się i rzuciła ku niemu; najwyraźniej nie mógł złapać oddechu. Wskoczyła na stołeczek i znalazłszy się tuż przy łokciu męża, zwróciła się do niego z czułym niepokojem, w którym była cała jej dusza.

– Czy możesz się wesprzeć na mnie, kochany?

Stał bez ruchu przez kilka minut, które jej wydawały się wiecznością, niezdolny wymówić słowa, chwytając ciężko powietrze. Kiedy wreszcie zszedł po trzech stopniach i osunął się na wielki fotel, który Dorotea przyciągnęła do stóp schodków, nie dyszał już głośno, wydawał się tylko bezradny i bliski omdlenia. Dorotea gwałtownie pociągnęła dzwonek i po chwili położono pana Casaubona na kanapce; nie zemdlał i stopniowo przychodził do siebie, kiedy wszedł sir James, którego w hallu powitano wiadomością, że pan Casaubon „miał atak w bibliotece”.

„Wielki Boże, tego właśnie można się było spodziewać” – pomyślał natychmiast. Gdyby jego proroczą duszę nakłoniono do jasnych sformułowań, zapewne „ataki” byłyby wybranym przez nią określeniem. Zapytał kamerdynera, który poinformował go o wypadku, czy wezwano lekarza. Kamerdyner nie słyszał, żeby jego pan kiedykolwiek wzywał

doktora, ale czy nie byłoby dobrze po niego posłać?

Lecz kiedy sir James wszedł do biblioteki, pan Casaubon zdolny już był zrobić uprzejmy gest powitania, Dorotea zaś, która w reakcji na pierwszy szok strachu uklękła przy chorym i szlochała, wstała teraz i sama zaproponowała, by ktoś pojechał po lekarza.

– Doradzam pani posłać po Lydgate’a – powiedział sir James. – Moja matka go wzywała i uważa, że to człowiek wybitnie zdolny. Od śmierci ojca miała bardzo złe zdanie o lekarzach.

Dorotea zwróciła się do męża, a ten w milczeniu dał znak przyzwolenia. Posłano więc po Lydgate’a, który zjawił się nadspodziewanie szybko, gdyż posłaniec – chłopak stajenny sir Jamesa – spotkał doktora, którego znał, gdy ten prowadził konia na drodze do Lowick, służąc ramieniem pannie Vincy.

Siedząca w salonie Celia nic nie wiedziała o całym zajściu, póki jej nie powiedział o tym sir James. Po tym, co usłyszał od Dorotei, nie uważał już choroby za „atak”, ale za „coś w tym rodzaju”.

– Biedna Dodo, jakie to okropne! – zawołała Celia na tyle zmartwiona, na ile pozwalała jej na to własna pełnia szczęścia. Sir James trzymał w swoich dłoniach jej złożone ręczki, jak pączek w dużym kielichu. – To naprawdę okropne, że pan Casaubon jest chory, ale ja go nigdy nie lubiłam. I nie sądzę, że choć w połowie kocha Doroteę, tak jak należy, a powinien ją kochać, bo pewna jestem, że żadna inna by go nie chciała. Sądzisz, że by chciała?

– Zawsze uważałem, że to ogromne poświęcenie ze strony twojej siostry – odparł sir James.

– Tak. Ale biedna Dodo nigdy nie robiła tego co inni i sądzę, że nigdy nie będzie robiła.

– To szlachetna istota – powiedział rycerski sir James. Był właśnie pod świeżym tego wrażeniem, widząc, jak Dorotea wsuwa czule ramię pod

szyję męża i patrzy na niego z niewymownym smutkiem. Nie wiedział, ile skruchy jest w tym smutku.

– Tak – przyznała Celia, ale w duchu pomyślała, że ładnie sir Jamesowi tak mówić, ale *jemu* nie byłoby z Dodo dobrze. – Czy mam pójść do niej? Mogę być jej pomocna, jak myślisz?

– Myślę, że byłoby dobrze, gdybyś do niej zajrzała i zobaczyła się z nią, nim przyjdzie Lydgate – powiedział wielkodusznie sir James. – Tylko nie siedź zbyt długo.

Po wyjściu Celi chodził tam i z powrotem, wspominając swoją reakcję na zaręczyny Dorotei i czując znowu przyływ oburzenia na obojętność pana Brooke. Gdyby Cadwallader – gdyby wszyscy inni mieli na tę sprawę taki sam pogląd jak on, sir James, można by było nie dopuścić do tego małżeństwa. To niegodziwość pozwolić młodej dziewczynie decydować na ślepo o swoim losie, nie próbując jej ratować. Ze względu na siebie sir James dawno już nie czuł żalu: zaręczyny z Celią w pełni zaspokoili jego serce. Miał jednak rycerską naturę (czyż dawni rycerze nie chlubili się bezinteresowną służbą kobiecie?); odrzucona miłość nie obróciła się w gorycz; jej śmierć przyniosła słodkie wonie – lotne wspomnienia, które otaczały Dorotę, miały właściwość uświęcającą. Zdolny jest pozostać jej bratem i przyjacielem, który z wielkoduszną ufnością odczytuje jej czyny.

ROZDZIAŁ XXX

Qui veut délasser hors de propos, lasse[58].

Kto go [umysł] rozrywa nie w porę, nuży go.

Blaise Pascal, *Mysli*, 46

Pan Casaubon nie miał następnego równie ostrego ataku i po kilku dniach zaczął wracać do stanu sprzed całego incydentu. Lydgate jednak uważał, że chory wymaga starannej uwagi. Nie tylko osłuchiwał go za pomocą stetoskopu (który w owych czasach nie był instrumentem często używanym przez lekarzy), ale siedział spokojnie przy panu Casaubonie i obserwował chorego. Na jego pytania odpowiadał, że przyczyną choroby jest pospolity błąd popełniany przez intelektualistów – zbyt gorliwe i uporczywe trwanie przy pracy. Trzeba zadowolić się bardziej umiarkowanym wysiłkiem i szukać rozmaitych sposobów odprężenia – to jedyne lekarstwo. Pan Brooke, który był przy jednej z takich rozmów, wysunął propozycję, by pan Casaubon zaczął chodzić na ryby, jak pastor Cadwallader, oraz żeby sobie urządził warsztat stolarski, w którym mógłby robić różne zabawki, toczyć nogi stołowe i tak dalej.

– Krótko mówiąc, radzi mi pan, bym oczekiwał nadejścia drugiego dzieciństwa – zauważył biedny pan Casaubon z pewną goryczą. – To wszystko – zwrócił się do Lydgate’a – byłoby dla mnie takim samym odprężeniem, jak szarpanie pakuł dla więźniów w domu poprawczym.

– Przyznaję – uśmiechnął się Lydgate – że rozrywka to niewłaściwa

[58] Przeł. Tadeusz Żeleński (Boy).

recepta. To tak, jak się radzi ludziom, by nie tracili otuchy. Może powinienem był powiedzieć, że musi się pan raczej zgodzić na umiarkowaną nudę niż dalsze przepracowanie.

– Tak, tak – przyłączył się do niego pan Brooke. – Namów pan Dorotę i grajcie razem w tryk-traka wieczorami. I w wolanta, na przykład. Nie znam lepszej gry za dnia niż wolant. Pamiętam, że był bardzo w modzie. Co prawda, pańskie oczy mogą tego nie wytrzymać. Ale musi się pan rozprężyć, Casaubon, koniecznie. No cóż, mógłby się pan zabrać do jakiejś lekkiej nauki, na przykład konchologia, zawsze mi się wydawało, że to musi być lekka nauka. Albo niech Dorotea czyta panu lekkie rzeczy; *Roderick Random* i *Humphry Clinker* Smolletta trochę to nieobyczajne, ale teraz, kiedy wyszła za mąż, może już wszystko czytać. Pamiętam, śmiałem się nad nimi jak szalony – taki tam jest śmieszny kawałek o bryczesach forysia. Teraz już nikt nie pisze takich zabawnych rzeczy. Ja to wszystko czytałem, ale dla pana to może być nowość.

„Podobnie jak jądanie ostów” – tego rodzaju odpowiedź wyrażałaby dokładnie uczucia pana Casaubona, który jednak skłonił się tylko z rezygnacją, okazując należyty szacunek stryjowi żony, i stwierdził, że niewątpliwie wspomniane przez niego książki „były ucieczką dla umysłów pewnego pokroju”.

– Widzi pan – zwrócił się nasz zmyślny sędzia do Lydgate’a, kiedy się znaleźli za drzwiami – Casaubon prowadził życie trochę jednostronne: nie będzie wiedział, co ze sobą począć, jak mu pan zabronisz robić to, co robił, a myślę, że robił coś bardzo głębokiego, z gatunku badań naukowych, rozumiesz pan. Ja bym się do tego nigdy nie zabierał; zawsze byłem wszechstronny. Ale duchowny jest przykrojony trochę ciasno. Gdyby tak zrobili go biskupem – no! napisał bardzo dobrą broszurę o Peelu. Miałby wtedy więcej ruchu, mógłby się bardziej pokazywać, może by trochę przytył. Ale radzę panu pogadać z panią Casaubon. To mądra kobieta ta

moja bratanica, mądra jak rzadko. Powiedz jej pan, że mąż potrzebuje ożywienia, odmiany: podsuń jej pan, doktorze, taktykę rozrywki.

Doktor Lydgate i bez rady pana Brooke zamierzał rozmawiać z Doroteą. Nie była obecna, gdy stryjasek snuł swoje wesołe propozycje co do sposobu, w jaki można ożywić dni w Lowick, ale zwykle znajdowała się przy boku męża, a głęboki i nieudawany niepokój, jaki przebijał z jej twarzy i głosu, niepokój o wszystko, co tyczyło jego samopoczucia i zdrowia, tworzył nastrój dramatu, który ciekawił Lydgate'a. Tłumaczył sobie, że postępuje właściwie, mówiąc jej prawdę o tym, co zapewne czeka jej męża w przyszłości, ale temu tłumaczeniu towarzyszyła myśl, że rozmowa z panią Casaubon w cztery oczy będzie interesująca. Lekarze lubią robić obserwacje psychologiczne i czasem w pogoni za nimi ulegają pokusie wygłaszania doniosłych prorocत्व, którym zaprzecza potem życie lub śmierć. Lydgate często wyśmiewał się z takich darmowych przepowiedni i teraz również postanowił uważać.

Zapytał o panią Casaubon, a usłyszawszy, że wyszła, chciał już odjeżdżać, kiedy ukazała się Dorotea i Celia, obie zaróżowione od walki z marcowym wiatrem. Kiedy Lydgate poprosił o rozmowę na osobności, Dorotea otworzyła znajdujące się najbliżej drzwi do biblioteki, myśląc tylko o tym, co on ma jej do powiedzenia o mężu. Wchodziła do tego pokoju po raz pierwszy, odkąd pan Casaubon zachorował, i zobaczyła, że okiennice nie zostały otwarte. Można tu jednak było nawet czytać przy świetle padającym przez wąskie, górne kwatery okien.

– Nie przeszkadza panu to ponure oświetlenie? – zwróciła się do doktora, stając pośrodku pokoju. – Odkąd zabronił pan mężowi czytać, nie korzysta z biblioteki. Ale przecież wkrótce tu wróci. Przychodzi do zdrowia, prawda?

– Tak, o wiele szybciej, niż się tego z początku spodziewałem. Właściwie wrócił już niemal całkowicie do swego poprzedniego stanu.

– Czy pan się obawia nawrotu choroby, panie doktorze? – spytała Dorotea, której wyczułone ucho dosłyszało szczególny ton jego słów.

– Bardzo trudno wypowiadać się w tego rodzaju przypadkach – powiedział Lydgate. – Co do jednego tylko mam zupełną pewność, mianowicie, że należy pilnie strzec, aby pan Casaubon pod żadnym względem nie nadwężał swojego systemu nerwowego.

– Proszę, niech pan mówi zupełnie jasno – powiedziała błagalnie Dorotea. – Nie mogę znieść myśli, że mogłoby być coś, o czym nie wiedziałam, a co, gdybym wiedziała, kazałoby mi postępować inaczej. – Słowa padły jak krzyk: było oczywiste, że to pogłos jakichś wewnętrznych, niezbyt odległych przeżyć.

– Niechże pan siada – dodała, siadając na najbliższym krześle i odrzucając kapturek i rękawiczki, jakby instynktownie odrzucała wszelkie formalności w sytuacji, kiedy w grę wchodzi wielkie sprawy życia i śmierci.

– To, co pani powiedziała, jest zgodne z moim poglądem. Uważam, iż zadaniem lekarza jest nie dopuścić, jeśli to możliwe, do tego rodzaju wyrzutów. Ale proszę zważyć, że przypadek małżonka pani jest z rodzaju tych, w których najtrudniej o przewidywanie. To zupełnie prawdopodobne, że będzie żył jeszcze piętnaście lat i dłużej bez poważniejszego pogorszenia zdrowia.

Dorotea pobladła mocno, kiedy zaś Lydgate przerwał, powiedziała cicho:

– To znaczy, jeśli będziemy bardzo uważać.

– Tak, strzec go od wszelkiego rodzaju zdenerwowań oraz od nadmiernej pracy.

– Byłby niepokieszony, gdyby musiał z niej zrezygnować. – Dorotea natychmiast wyobraziła sobie to nieszczęście.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Jedyne to starać się wszelkimi

sposobami, pośrednio i bezpośrednio, ograniczać i urozmaicać jego zajęcia. Nie widzę, jeśli szczęście będzie nam sprzyjać, bezpośredniego zagrożenia życia w wyniku tego schorzenia serca, które, moim zdaniem, było przyczyną ostatniego ataku. Z drugiej strony nie jest wykluczone, że choroba rozwinie się gwałtowniej: jest to jeden z tych przypadków, w których śmierć bywa nagła. Nie powinno się w związku z tym zaniedbać niczego.

Przez chwilę trwało milczenie. Dorotea siedziała jak skamieniała, ale przepełniające ją życie było tak intensywne, że nigdy jeszcze nie ogarnęła myślami w tak krótkim czasie tylu możliwych sytuacji i ewentualności.

– Proszę, niech mi pan pomoże – powiedziała wreszcie cicho jak przedtem. – Niech mi pan powie, co mogę zrobić.

– A co pani myśli o podróży za granicę? Byli państwo, zdaje się, ostatnio w Rzymie?

Wspomnienia, świadczące o zupełnej daremności takiego rozwiązania, były nowym bodźcem, który wyrwał Doroteę z poblądnętego zniecieruchomienia.

– Och, to na nic. To byłoby najgorsze ze wszystkiego – powiedziała przygnębiona jak dziecko, a łzy spływały jej po policzkach. – Nie będzie pożytku z czegoś, co mu nie sprawia przyjemności.

– Pragnąłbym móc oszczędzić pani bólu.

Lydgate był głęboko poruszony. Zdziwiło go to małżeństwo. Nieznane mu były takie kobiety jak Dorotea.

– Postąpił pan słusznie, mówiąc mi wszystko. Dziękuję panu za powiedzenie mi prawdy.

– Chciałbym, by pani wiedziała, że nie będę wyjaśniał sytuacji panu Casaubonowi. Uważam za rzecz właściwą, aby nie wiedział nic więcej ponad to, że nie wolno mu się przepracowywać i że musi się poddać pewnym rygorom. Wszelki niepokój byłby dla niego bardzo niewskazany.

Lydgate wstał, a Dorotea również podniosła się mechanicznie i rozpiąwszy spinkę płaszcza odrzuciła go, jakby ją dusił. Doktor skłonił się i właśnie miał wyjść, kiedy impuls, który zamieniłby się w modlitwę, gdyby była sama, kazał jej zwrócić się ze szlochem do odchodzącego:

– Och, pan jest przecież taki mądry! Pan wie wszystko o życiu i śmierci. Niech mi pan poradzi. Niech się pan zastanowi, co mogę zrobić. On całe życie pracował, licząc na to, co jeszcze przed nim. Nic innego nie ma dla niego znaczenia. I dla mnie też...

Przez długie lata pamiętał Lydgate wrażenie, jakie zrobiło na nim to bezwiedne błaganie – ten krzyk z duszy do duszy bez żadnej innej świadomości niż ta, że oni oboje, pokrewne natury, poruszają się w tym samym powikłanym świecie, w tym samym niespokojnym, to mrocznym, to jasnym życiu. Cóż jednak mógł powiedzieć prócz tego, że przyjdzie jutro do pana Casaubona?

Gdy wyszedł, łzy popłynęły strumieniem z oczu Dorotei, pozwalając ulżyć tłumionej rozpacz. Potem otarła oczy, zdając sobie sprawę, że przecież nie może zdradzić smutku przed mężem, a rozejrzawszy się, pomyślała, że trzeba, aby służba przygotowała ten pokój do użytku, gdyż pan domu może w każdej chwili zapragnąć tu przyjść. Na biurku leżały listy nietknięte od owego ranka, gdy się rozchorował, a między nimi – dobrze to pamiętała – znajdowały się listy od młodego Ladislawa, ten adresowany do niej wciąż nieotwarty. Przykre miała skojarzenia z tymi listami, bo przecież nagły atak choroby mógł być się wziąć ze zdenerwowania spowodowanego jej wybuchem gniewu: będzie czas na ich lekturę, gdy je pan Casaubon ponownie jej podsunie; niech sobie leżą w bibliotece. Po chwili jednak pomyślała, że powinna usunąć je sprzed oczu męża: cokolwiek go w tych listach zdenerwowało, nie powinno zdenerwować powtórnie. Przebiegła więc wzrokiem najpierw pierwszy list, zaadresowany do pana Casaubona, chcąc się upewnić, czy nie trzeba

odpisać, by zapobiec owej niemiłe widzianej wizycie.

Will pisał z Rzymu; zaczynał od stwierdzenia, iż jego zobowiązania wobec pana Casaubona są tak ogromne, że mógłby się wydać zuchwalcem, próbując za nie podziękować. Oczywiście, gdyby nie był wdzięczny, musiałyby się okazać najnędniejszym z łotrów, któremu los dał hojnego przyjaciela. Wylewne podziękowania byłyby jednak równoznaczne z deklaracją: jestem uczciwy. Will doszedł do przekonania, że aby się pozbyć swoich wad – które sam pan Casaubon niejednokrotnie mu wytykał – musi się znaleźć w sytuacji wymagającej od niego o wiele więcej wysiłku, gdyż dotychczas, dzięki hojności kuzyna, nie był do tego zmuszony. Ufał, że najlepiej mu się odwdzieczy – jeśli to w ogóle możliwe – dając świadectwo pożytków, płynących z edukacji, jaką mu zawdzięcza, i umiając się obejść w przyszłości bez owych przekazywanych mu funduszy, do których inni słuszniej mogą pretendować. Przyjeżdża do Anglii, by wypróbować swoje siły, podobnie jak to musi czynić wielu młodych ludzi, których jedynym kapitałem jest własny rozum. Przyjaciel jego, Naumann, prosił, aby zaopiekować się *Dysputą* – obrazem malowanym dla pana Casaubona, który to obraz, za pozwoleniem państwa Casaubon, przywiezie do Lowick osobiście. List adresowany na poste restante w Paryżu w ciągu najbliższych dwóch tygodni powstrzyma go, jeśli to się okaże konieczne, od przyjazdu w nieodpowiednim momencie. Załączał list do pani Casaubon, w którym kontynuuje dyskusję o sztuce, jaką zaczęli prowadzić w Rzymie.

Otworzywszy swój list, Dorotea znalazła żywiołowy ciąg dalszy poprzednich zarzutów, tyjących jej fanatycznego współczucia dla wszystkich i wszystkiego i braku umiejętności zwykłego, bezinteresownego cieszenia się rzeczywistością taką, jaka jest – lawina młodzieńczej witalności, nie do czytania w obecnej chwili. Musiała natychmiast podjąć decyzję, co zrobić w związku z tym pierwszym listem: może się jeszcze

zdąży zapobiec przyjazdowi Willa do Lowick. Skończyło się na tym, że wręczyła list stryjaszkowi, który jeszcze pozostawał w Lowick w odwiedzinach, prosząc, by zawiadomił Willa, iż pan Casaubon jest chory, a stan jego zdrowia nie pozwala na przyjmowanie wizyt.

Nikt nie był bardziej od pana Brooke chętny do napisania listu: jedyną trudnością było dlań napisanie listu krótkiego i w tym wypadku myśli jego rozciągnęły się na trzy bite strony oraz wewnętrzne marginesy. Powiedział tylko bratanicy:

– Oczywiście, napiszę, moja kochana. Bardzo zdolny młody człowiek, ten Ladislaw. Doskonale się zapowiada. To dobry list, świadczy, że zna się, można powiedzieć, na rzeczy. Dobrze, zawiadomię go o stanie zdrowia twojego męża.

Ale czubek pióra pana Brooke był instrumentem myślącym, układającym zdania, zwłaszcza życzliwe, nim reszta umysłu zdołała je dogonić. Wyrażał żal i podsuwał remedia, które, gdy pan Brooke przeczytał tekst, wydały się bardzo szczęśliwie sformułowane – zaskakująco trafne, prowadzące do dalszego ciągu, o którym uprzednio nie był w ogóle myślał. W obecnym przypadku pióro jego tak bardzo się zmartwiło, że młody Ladislaw nie może teraz przyjechać w te strony i zawrzeć bliższej znajomości z panem Brooke, dzięki czemu obaj panowie mogliby wspólnie przejrzeć owe długo zaniedbywane rysunki włoskie – a również poczuło tak wielkie zainteresowanie losami młodego człowieka, który rozpoczyna karierę życiową z kapitałem pomysłów, że pod koniec drugiej stronicy nakłoniło pana Brooke do zaproszenia młodego Ladisława do Tipton Grange, jako że do Lowick przyjechać nie może. Czemu by nie? Może się okazać, że mają wspólnie wiele rzeczy do zrobienia, teraz, w czasach tak niezwykłego rozwoju – poszerzania się horyzontu politycznego, krótko mówiąc, pióro pana Brooke zapędziło się w małą mówkę, którą napisało niedawno do źle redagowanego miejscowego periodyku *Pionier*. Pan

Brooke, pieczętując list, czuł porywający go przypływ nieokreślonych pomysłów – młody człowiek, zdolny przekuć idee w czyn... kupno *Pioniera*, by otworzyć drogę nowemu kandydatowi... wykorzystanie dokumentów... kto wie, co z tego może wyniknąć? Celia wkrótce wychodzi za mąż – miło będzie mieć przy stole młodego człowieka, przynajmniej przez jakiś czas.

Wyjechał jednak, nie mówiąc Dorotei, co napisał w liście, gdyż krzątała się przy mężu i prawdę mówiąc, wszystko inne nie miało dla niej znaczenia.

ROZDZIAŁ XXXI

Jakże więc poznasz dźwięk wielkiego dzwonu,
Skoro zbyt ciężki jest, byś go poruszył?
Zagraj na flecie przy szlachetnym stopie
I czekaj na srebrzystą rezonansu nutę;
Wówczas dzwon zadrzy – wówczas jego masa
Miriadą tonów zabrzmie w odpowiedzi,
Niczym głos chóru, miękki i głęboki.

Tego wieczoru Lydgate opowiadał panie Vincy o pani Casaubon, podkreślając siłę jej uczucia do tego sztywnego, pochłoniętego pracą naukową człowieka, starszego od niej o trzydzieści lat. – To przecież oczywiste, że jest oddana mężowi – Rozamunda uważała to najwidoczniej za nieunikniony skutek małżeństwa, co młodemu uczonemu wydało się niezwykle wdzięcznym poglądem kobiecym. Ona jednak myślała jednocześnie, że to nie takie smutne być panią dworu Lowick i mieć męża, który zapewne wkrótce umrze. – Czy ona jest bardzo ładna, pańskim zdaniem?

– Jest niewątpliwie ładna, ale nie myślałem o tym – odparł Lydgate.

– Zapewne nie byłoby to sprzeczne z etyką zawodową. – W policzku Rozamundy pojawił się dołeczek. – Ale jakże się rozszerza pańska praktyka! Niedawno był pan wzywany do Chettamów, o ile wiem, a teraz do Casaubonów!

– Owszem – przytaknął Lydgate, jakby z przymusem. – Ale w gruncie rzeczy wolę zajmować się biedakami niż tymi ludźmi. Ich przypadki są na ogół podobne, więcej się robi wokół nich zamieszania i człowiek musi z większym respektem wysłuchiwać bzdur.

– Nie większym niż w naszym miasteczku. A przynajmniej chodzi pan szerokimi korytarzami i wdycha woń płatków róż.

– To prawda, Mademoiselle de Montmorenci – przyznał Lydgate, pochylając lekko głowę ku stolikowi i podnosząc czwartym palcem cieniutką chusteczkę, wychylającą się z woreczka, jakby chciał wdychać jej woń; spoglądał przy tym z uśmiechem na młodą damę.

Lecz ta miła wakacyjna swoboda, z jaką Lydgate polatywał nad kwiatem Middlemarch, nie mogła trwać wiecznie. Tak jak wszędzie, tak i w tym miasteczku nie można się było odizolować od reszty świata i dwoje ludzi, niezmiennie flirtujących, nie mogło w żaden sposób uniknąć rozmaitych „połączeń, ciężkości, zderzeń, razów, poruszeń, przez które spełniają się wszystkie rzeczy”^[59].

Nic, co robiła panna Vincy, nie mogło pozostawać niezauważone, a była teraz jeszcze bardziej na oczach zarówno wielbicieli, jak i krytyków, gdyż jej matka, po krótkich rozterkach, zdecydowała się wyjechać na jakiś czas z Fredem do Stone Court. Nie było bowiem innego sposobu, by i zadowolić starego Featherstone’a, i upilnować chłopca przed Mary Garth, która, w miarę jak choroba Freda ustępowała, wydawała się pani Vincy coraz mniej do przyjęcia jako synowa.

Ciotka Bulstrode, na przykład, przychodziła teraz nieco częściej na Lowick Gate, by odwiedzić Rozamundę, która została sama. Pani Bulstrode żywiła prawdziwie siostrzane uczucie do swego brata; zawsze co prawda uważała, że mógł się być lepiej ożenić, ale dzieciom jego życzyła jak najlepiej. Pani Bulstrode zaś była od dawna w zażyłych stosunkach z panią Plymdale. Miały niemal te same gusta w przedmiocie jedwabi, rodzaju bielizny osobistej, porcelany oraz w sprawach duchowych; zwierzały się sobie nawzajem ze swoich drobnych kłopotów zdrowotnych i domowych, a niewielkie punkty na korzyść pani Bulstrode, takie jak

[59] Lukrecjusz, *O naturze rzeczy*, ks. I., w. 633-634 (przeł. Grzegorz Żurek).

zdecydowanie większa powaga, większe uznanie dla rozumu oraz dom poza miastem nadawały rumieńców ich rozmowom, nie wprowadzając rozdziwku: dwie dobroduszne panie, obie nieznające dobrze własnych intencji.

Pewnego dnia pani Bulstrode, która składała przedpołudniową wizytę pani Plymdale, powiedziała mimochodem, że nie może pozostać dłużej, gdyż idzie odwiedzić „biedną Rozamundę”.

– Czemu ją nazywasz „biedną”? – spytała pani Plymdale, krągłooka drobna kobietka o ostrych rysach, przypominająca oswojonego sokoła.

– Taka jest ładna, a wychowana została tak nierozumnie. Matkę, jak wiesz, zawsze cechowała płochy; doprawdy, lękam się o te dzieci.

– No cóż, Harriet, jeśli mam być szczerą – powiedziała z naciskiem pani Plymdale – to muszę powiedzieć, że i ty, i twój mąż powinniście się cieszyć z tego, co się dzieje, boć przecież forytowaliście pana Lydgate bez miary.

– O czymże ty mówisz, Selino! – Pani Bulstrode była prawdziwie zdumiona.

– Nie żebym nie była szczerze wdzięczna Opatrzności przez wzgląd na Neda. Jego na pewno bardziej byłoby stać na utrzymanie takiej żony niż kogoś innego; chciałabym, żeby już zaczął się rozglądać gdzie indziej. Każda matka żywi w takiej sytuacji obawy, boć przecież niektórzy młodzi potrafią wskutek tego zejść na złą drogę. Poza tym, gdybym już musiała mówić, to powiedziałabym, że nie lubię obcych, co przyjeżdżają do miasta.

– Nie rozumiem, Selino. – Teraz z kolei pani Bulstrode mówiła dobitnie, – Mój mąż był tu niegdyś obcym. Abraham i Mojżesz również byli obcymi w Ziemi, a powiedziane jest, abyśmy przyjmowali obcych w gościnę. Zwłaszcza zaś – dodała po krótkiej przerwie – jeśli nic im nie można zarzucić.

– Nie mówiłam w sensie religijnym, Harriet, mówiłam jak matka.

– Pewna jestem, Selino, że nigdy nie słyszałaś, abym powiedziała jedno słowo przeciwko małżeństwu twojego syna z moją bratanicą.

– Och, panna Vincy to dumna osoba. Nie mam wątpliwości, że to wszystko z dumy. – Pani Plymdale nigdy jeszcze nie zwierzała się swojej przyjaciółce na ten temat. – Żaden młody człowiek z Middlemarch nie jest dla niej wystarczająco dobry: słyszałam, jak to mówiła jej własna matka. To nie jest, moim zdaniem, powiedziane w duchu chrześcijańskim. Ale z tego, co słyszę, znalazła wreszcie mężczyznę równie dumnego jak ona.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że coś jest między Rozamundą a panem Lydgate – zawołała pani Bulstrode, upokorzona trochę własną niewiedzą.

– Czy to możliwe, żebyś o tym nie wiedziała?

– Och, ja tak mało bywam; nie lubię też plotek; właściwie nigdy ich nie słucham. Ty widzisz tylu ludzi, których ja nie widuję. Obracasz się w nieco innym kręgu niż my.

– No tak, ale to przecież twoja bratanica i wielki faworyt twojego męża i twój też, jestem pewna, Harriet! Kiedyś myślałam, że go szykujesz dla Kate, jak trochę podrośnie.

– Nie wierzę, żeby już teraz mogło być między nimi coś poważnego – powiedziała pani Bulstrode. – Brat przecież by mi powiedział.

– No cóż, różni ludzie mają różne zwyczaje, ale o ile wiem, każdy, kto widzi pannę Vincy i pana Lydgate razem, bierze ich za narzeczonych. Zresztą, to nie moja sprawa. Czy mam schować ten wzór na mitenki?

Po tej rozmowie pani Bulstrode pojechała do bratanicy z nowym ciężarem w duszy. Sama ubrana bardzo ładnie, zauważyła z większą niż zazwyczaj przykrością, że Rozamunda, która właśnie wróciła do domu i powitała ją w stroju spacerowym, miała na sobie suknię niemal równie kosztowną. Pani Bulstrode była kobiecym i nieco drobniejszym

wydaniem własnego brata i nie miała nic z niezdrowej bladej swego męża. Odnaczała się jasnym, szczerym spojrzeniem i nie owijała sprawy w bawelnę.

– Widzę, że jesteś sama, kochanie – zaczęła, wchodząc z bratanicą do salonu i rozglądając się wokół poważnym wzrokiem. Rozamunda była pewna, że ciotka ma jej coś szczególnego do powiedzenia, usiadły więc obok siebie. Ale wewnętrzne rurkowanie kapelusza Rozamundy wyglądało tak ślicznie, że trudno było nie zapragnąć czegoś podobnego dla Kate, i oczy pani Bulstrode, bardzo piękne oczy, nie mogły się oderwać od tego suto rurkowanego owalu, gdy mówiła:

– Usłyszałam właśnie na twój temat coś, co mnie ogromnie zdumiało, Rozamundo.

– Co takiego, cioteczko? – Wzrok Rozamundy również wędrował po szerokim, haftowanym kołnierzyku ciotki.

– Trudno mi w to uwierzyć, żebyś zaręczyła się i nie powiedziała mi o tym. Żeby mi twój ojciec nie powiedział!

W tym momencie wzrok pani Bulstrode spoczął wreszcie na Rozamundzie, która zaczerwieniła się mocno i powiedziała:

– Nie jestem zaręczona, cioteczko.

– Jak to możliwe, jeśli wszyscy tak mówią... jeśli tak się mówi na mieście.

– Sądzę, że to, co się mówi na mieście, nie ma żadnego znaczenia – odparła Rozamunda, w głębi serca rada.

– Och, moja kochana, mówże rozsądniej, nie lekceważ swoich bliźnich. Pamiętaj, że skończyłaś dwadzieścia dwa lata i nie dostaniesz żadnego majątku. Jestem przekonana, że ojciec nie będzie w stanie nic ci dać. Pan Lydgate to człowiek mądry i uczony, wiem, że to ogromnie pociągające. Sama lubię rozmawiać z takimi ludźmi, a twój wuj ma z niego duży pożytek. Ale ten zawód niewiele u nas przynosi. Co prawda,

doczesne życie to nie wszystko, ale medyk rzadko ma głęboko religijne poglądy, za bardzo jest dumny ze swego intelektu. A ty nie nadajesz się na małżeństwo z człowiekiem biednym.

– Pan Lydgate nie jest człowiekiem biednym. Ma bardzo wysokie koneksje.

– Sam mi powiedział, że jest biedny.

– To dlatego, że przywykł do ludzi, którzy mają wysoki standard życia.

– Moja droga Rozamundo, ty nie możesz marzyć o wysokim standardzie życia.

Rozamunda spuściła wzrok i bawiła się woreczkiem. Nie była popędliwą młodą osobą i nie zwykła odpowiadać ostro, ale zamierzała żyć tak, jak jej przyjdzie ochota.

– Więc to prawda? – Pani Bulstrode patrzyła na bratanicę z wielką powagą. – Myślisz o panu Lydgate: istnieje między wami porozumienie, chociaż twój ojciec o tym nie wie. Odpowiedz szczerze, moja droga: czy pan Lydgate uczynił ci propozycję?

To, co przeżywała biedna Rozamunda, było doprawdy bardzo przykre. Nie miała wątpliwości co do uczuć i intencji Lydgate'a, ale usłyszawszy ciotczyne pytanie, bardzo żałowała, że nie może odpowiedzieć: „tak”. Urażonej dumie z pomocą przyszła zwykła umiejętność panowania nad sytuacją.

– Proszę, niech cioteczka wybaczy, ale wolałabym nie mówić na ten temat.

– Nie oddałabyś chyba serca człowiekowi, który nie ma przed sobą określonych widoków. I pomyśl o dwóch doskonałych propozycjach, które jak wiem, odrzuciłaś, i o jednej, którą masz wciąż w zasięgu ręki, o ile jej nie zmarnujesz. Znałam kiedyś wielką piękność, która postępowała podobnie jak ty, i w końcu bardzo źle wyszła za mąż. Pan Ned Plymdale to bardzo miły młody człowiek, niektórzy sądzą, że i przystojny, a do

tego jednak: duże przedsiębiorstwo to rzecz o wiele lepsza niż zawód. Nie twierdzą, że małżeństwo to wszystko. Pragnęłabym, abyś przede wszystkim szukała królestwa Bożego. Ale panna powinna trzymać serce na wodzy.

– Nigdy nie oddam go panu Nedowi Plymdale. Już mu odmówiłam. Gdybym pokochała, pokochałabym od razu i na zawsze – odparła Rozamunda z poczuciem, że jest romantyczną heroiną i że ładnie odgrywa swoją rolę.

– Rozumiem, jak się rzecz ma w istocie. – Głos pani Bulstrode zabrzmiał melancholijnie, gdy podnosiła się do wyjścia. – Pozwoliłaś sobie obdarzyć kogoś uczuciem bez wzajemności.

– Nie, cioteczko, tak nie jest – zaprzeczyła dobitnie Rozamunda.

– Więc jesteś zupełnie pewna, że pan Lydgate żywi dla ciebie poważny afekt?

Policzki Rozamundy płonęły; była doprawdy upokorzona. Wołała teraz milczeć, a ciotka poszła do domu całkiem już upewniona w swych przypuszczeniach.

W sprawach mało istotnych i doczesnych pan Bulstrode skłonny był robić to, o co prosiła go żona, ona zaś zapragnęła, nie mówiąc dla czego, by przy następnej okazji dowiedział się, rozmawiając z panem Lydgate, czy młody człowiek zamierza wkrótce się żenić. Odpowiedź była zdecydowanie negatywna. Pan Bulstrode przepytany szczegółowo powiedział wyraźnie, że pan Lydgate mówił tak, jak nigdy nie mówiłby człowiek, który jest zakochany i chciałby się żenić. Pani Bulstrode poczuła teraz, że ma do spełnienia poważny obowiązek i po niedługim czasie zaaranżowała odpowiednią sytuację, by porozmawiać w cztery oczy z panem Lydgate. Od pytań o zdrowie Freda Vincy i wyrazów szczerego niepokoju o liczną rodzinę swego brata przeszła do ogólnych uwag na temat niebezpieczeństw, jakie czyhają na młodych, którzy muszą

ustabilizować swoje życie. Młodzi ludzie często bywają ekstrawagancy i sprawiają rodzicom przykry zawód, gdyż nie potrafią się odwdziczyć za wyłożone na nich pieniądze, a z kolei pannie grożą różne okoliczności, które mogą zniweczyć jej szanse.

– Zwłaszcza jeśli jest bardzo ładna, a jej rodzice wiele u siebie przyjmują – wyjaśniła pani Bulstrode. – Panowie emablują ją i monopolizują dla siebie, myśląc o chwilowej przyjemności jedynie, i odstraszą ją w ten sposób innych. Sądzę, proszę pana, że to wielka odpowiedzialność niszczyć szanse jakiejś dziewczyny. – Tu pani Bulstrode utkwiała w nim wzrok, w którym nieomylnie malowało się ostrzeżenie, jeśli nie nagana.

– Niewątpliwie – odparł Lydgate, spoglądając na nią, a może nawet wpatrując się ze zdumieniem. – Z drugiej jednak strony, mężczyzna musiałby być nie byle jakim zarozumiałcem, by wyobrazić sobie, że nie może emablować młodej damy bez tego, by się ona w nim nie zakochała lub też żeby inni tak nie pomyśleli.

– Och, panie doktorze, pan dobrze wie, jakie są pańskie atuty. Wie pan, że tutejsi młodzieńcy nie mogą się z panem równać. Jeśli pan często bywa w jakimś domu, może pan zniweczyć widoki panny tego domu na dobry mariaż, może pan nawet uniemożliwić przyjęcie oświadczeń, jeśli jej ktoś taką propozycję złoży.

Doktor był nie tyle ukontentowany stwierdzeniem jego wyższości nad Orlandami z Middlemarch, ile zirytowany znaczeniem słów pani Bulstrode. Dama uznała, że wypowiedziała się dostatecznie jasno, i że używając eleganckiego słowa „zniweczyć”, zarzuciła wytworną zasłonę na masę szczegółów, które i tak są zupełnie oczywiste.

Lydgate najeżył się nieco, jedną ręką odrzucił włosy z czoła, drugą ręką zaczął czegoś szukać w kieszonce kamizelki, a potem schylił się i przywołał malutkiego, czarnego spaniela, któremu intuicja nakazała wykręcić się od tych nieszczerych pieszczot. Byłoby niegrzecznie

odejść, obiadował bowiem z innymi gośćmi i właśnie pił herbatę. Pani Bulstrode jednak, nie mając wątpliwości, że została zrozumiana, zajęła się konwersacją.

Myślę, że w Przysłowiach Salomona zabrakło powiedzenia, że jako podniebienie obolałe wciąż piasek czuje, tak i sumienie nieczyste wciąż aluzje słyszy. Następnego dnia pastor Farebrother, rozstając się z doktorem na ulicy, zauważył, że na pewno się spotkają wieczorem u państwa Vincych. Lydgate odparł krótko, że go tam nie będzie – ma dużo roboty – musi dać sobie spokój z wieczornymi wizytami.

– Cóż to, masz pan zamiar przywiązać się do masztu i zalepić sobie uszy? – zaśmiał się pastor. – No, jeśli nie chcesz, żeby cię syreny wzięły w niewolę, to słusznie robisz, zabezpieczając się w porę.

Kilka dni wcześniej Lydgate nie zwróciłby uwagi na te słowa, uznając, że pastor zwykł tak mówić. Teraz jednak dostrzegł w nich aluzję, potwierdzającą przypuszczenia, że robi z siebie idiotę i zachowuje się w sposób, który może być opacznie tłumaczony, nie przez Rozamundę, rzecz jasna, w to nie wierzył, ona z pewnością przyjmowała wszystko równie lekko, jak lekko było przez niego podawane. Miała niezwykle takt oraz wycucie, pozwalające w lot zrozumieć, o co komu chodzi, lecz ludzie, wśród których żyje, to głupcy i intryganci. Trzeba jednak położyć kres tym nieporozumieniom. Postanowił – i dotrzymywał postanowienia – że nie będzie odwiedzał państwa Vincych, chyba że w roli lekarza.

Rozamunda była bardzo nieszczęśliwa. Niepokój, jaki wzbudziły w niej ciotczyne pytania, narastał coraz silniej, aż wreszcie, gdy minęło dziesięć dni, a Lydgate się nie pokazał – przerodził się w strach przed pustką, która może przyjść, w lęk przed tą nieszczęsną, gotową już gąbką, tak chętnie wymazującą ludzkie nadzieje. Świat stanie się znów posepny niby głusza, którą słowo czarnoksiężnika zamieniło na chwilę w ogród. Czują, że zaczyna poznawać ból nieodwzajemnionej miłości i że już

żaden inny mężczyzna nie stworzy jej możliwości budowania cudownych zamków na lodzie, jakimi się cieszyła przez ostatnie pół roku. Biedna Rozamunda straciła apetyt i czuła się równie zagubiona jak Ariadna – na tym wdzięcznym etapie Ariadny porzuconej, z kuframi pełnymi strojów i bez żadnej nadziei na powóz.

Wiele mamy na tym świecie wspaniałych mieszanek, jednakowo nazywanych miłością, roszczących sobie prawo do wzniosłego szaleństwa, które usprawiedliwia wszystko (w literaturze i dramacie). Na szczęście Rozamunda nie myślała o żadnych desperackich aktach: splatała włosy równie pięknie jak zwykle i zachowywała dumny spokój. Za najbardziej optymistyczne wyjaśnienie przyjmowała, że ciotka Bulstrode podjęła jakieś kroki, które uniemożliwiają wizyty doktora: wszystko jest lepsze od jego obojętności. Każdy, kto sobie wyobraża, że dziesięć dni to okres zbyt krótki nie na to, by schudnąć, zmizernieć czy też ponieść inne, wymierzalne skutki namiętności, ale na cały ten wewnętrzny cykl pełnych przerażenia domysłów i rozczarowań – nie wie, co może się dzieć w umyśle młodej damy podczas wykwintnych, wolnych chwil.

Lecz jedenastego dnia pani Vincy zwróciła się do doktora Lydgate, kiedy ten wyjeżdżał ze Stone Court, prosząc, by zawiadomił jej męża, iż w zdrowiu pana Featherstone zaszła wyraźna zmiana, w związku z czym pan Vincy powinien jeszcze tego samego dnia przyjechać na farmę. Lydgate mógł zajechać do magazynów, mógł też napisać na karteczce wiadomość i zostawić ją w drzwiach. Te dosyć proste rozwiązania nie przysłyły mu jednak do głowy, z czego możemy wnioskować, że nie miał wielkich zastrzeżeń przeciwko odwiedzeniu domu pana Vincy pod nieobecność gospodarza i zostawieniu wiadomości jego córce. Mężczyzna może z różnych przyczyn odmawiać przychodzenia z wizytą, ale zapewne nawet mędrzec nie byłby rad, gdyby nikt się nie zmartwił jego nieobecnością. Nadarza się miła, swobodna okazja przejścia od starych do nowych

obyczajów – zamieni z Rozamundą kilka żartobliwych uwag i powie jej, że postanowił zakończyć hulaszczcze życie i zacząć długi post, z dala od słodkich dźwięków. Trzeba tu również wyznać, że krótkie rozważania nad ewentualną zasadnością uwag pani Bulstrode wplątały się niby drobne, czepliwe nitki w bardziej konkretną kanwę jego myśli.

Panna Vincy była sama i zarumieniła się tak mocno na widok doktora, że młody człowiek odczuł równie silne zakłopotanie i zamiast zacząć od żartów, wyłożył od razu, z czym przychodzi, prosząc ją, niemal sztywno, by przekazała wiadomość ojcu. Rozamunda, która w pierwszej chwili miała wrażenie, że oto szczęście powraca, była boleśnie zraniona zachowaniem gościa; rumieniec zniknął i panna chłodno przyjęła prośbę doktora, nie dodając jednego zbędnego słowa. Prosty łańcuszek – robótka, którą trzymała w rękach – nie pozwalał jej patrzeć wyżej niż na brodę przybyłego. Początek każdego niepowodzenia to co najmniej jego połowa. Lydgate, po dwóch długich chwilach, podczas których bawił się szpicrutą, nie wiedząc, co powiedzieć, wstał, by wyjść, a Rozamunda zdenerwowana walką pomiędzy upokorzeniem i pragnieniem, by tego nie okazać, upuściła, spłoszona, łańcuszek i mechanicznie podniosła się również. Lydgate natychmiast schylił się, by łańcuszek podnieść. Gdy się wyprostował, znalazł się tuż przy ślicznej buzi osadzonej na pięknej długiej szyi, którą widywał tylekroć, gdy obracała się, kierowana w sposób doskonały ukontentowanym wdziękiem. Kiedy jednak podniósł wzrok, dostrzegł teraz jakieś bezradne drżenie, które poruszyło go zupełnie inaczej i kazało spojrzeć pytająco na Rozamundę. W tym momencie zachowała się równie naturalnie jak wówczas, gdy była pięcioletnim dzieckiem: czuła, że łyzy jej wzbierają i że nie powinna robić nic innego, tylko tak je zostawić niby wodę na błękitnych kwiatach albo pozwolić im spłynąć gładko w dół po policzkach.

Ten moment naturalności był krystalizującym tknięciem; flirt pod

tym wstrząsem stał się miłością. Pamiętajcie, że ten ambitny mężczyzna, spoglądający na zalane wodą niezapominajki, był człowiekiem porywczym i gorącego serca. Nie wiedział, gdzie upadł łańcuszek; przez zakamarki jego umysłu przeniknęła myśl, która miała cudowną zdolność obudzenia mocy namiętnego kochania, pochowanej nie w zapieczętowanym grobowcu, lecz pod lekką, łatwą do przeniknięcia okrywą. Słowa jego były niezręczne i urywane, lecz ich tonacja sprawiła, że zabrzmiały jak żarliwe, wzruszające wyznanie.

– Co się stało? Pani jest nieszczęśliwa. Niechże pani powie, proszę.

Nikt jeszcze nigdy nie przemówił do Rozamundy takim tonem. Nie jestem pewny, czy rozumiała znaczenie poszczególnych słów, ale podniosła na młodego człowieka wzrok i łzy spłynęły po jej policzkach. Nie mogło być odpowiedzi bardziej oczywistej niż to milczenie i doktor, zapominając o wszystkim, w gwałtownym przypiływie ogromnej czułości zrodzonej z nagłego przekonania, iż ta słodka, młoda istota od niego uzależnia swoją radość, po prostu objął ją ramionami, przyciskając delikatnie i opiekuńczo – a umiał być delikatny, miał bowiem do czynienia ze słabymi i cierpiącymi – i scałował obie wielkie łzy. Był to dziwny sposób dojścia do porozumienia, ale szybki. Rozamunda nie rozgniewała się, lecz cofnęła nieco w spłoszonym uszczęśliwieniu, a Lydgate usiadł przy niej i zaczął mówić w sposób bardziej określony. Rozamunda musiała złożyć swoje skromne wyznanie, na które on odpowiedział impulsywnie potokiem słów wdzięczności i czułości. W pół godziny później wyszedł z domu jako człowiek zaręczony, którego dusza należy już nie do niego, lecz do kobiety, z którą się związał.

Przyszedł raz jeszcze wieczorem, by porozmawiać z panem Vincy, który powrócił właśnie ze Stone Court, przekonany, że niewiele czasu upłynie, nim usłyszą o zejściu pana Featherstone. Trafne słowo „zejście” przyszło mu w porę do głowy, podniosło go na duchu ponad codzienny

pułap wieczornych wzlotów. Właściwe słowo to potęga – przydaje precyzji naszym działaniom. Śmierć pana Featherstone postrzegana jako zejście przybierała wyłącznie aspekt prawny, tak że pan Vincy mógł nad nią stukać w tabakierkę i zachowywać się jowialnie, nie udając ani przez chwilę uroczystej powagi. Pan Vincy bowiem nie znosił zarówno udawania, jak i uroczystej powagi. Czy kto się kiedykolwiek bał testatora albo czy śpiewał hymn na cześć prawnego tytułu do nieruchomości? Tego wieczora pan Vincy skłonny był patrzeć na wszystko z humorem, powiedział nawet Lydgate'owi, że bądź co bądź Fred ma przecież konstytucję Vincych i ani się wszyscy obejrzą, kiedy znów będzie zdrów jak rydz. Gdy został poproszony o zgodę na zaręczyny Rozamundy, dał ją zaskakująco łatwo i od razu przeszedł do uogólnień na temat pożytków, jakie przynosi młodym ludziom małżeństwo, a z tego wszystkiego wyciągnął oczywisty wniosek, że jeszcze odrobina ponczu będzie akurat.

ROZDZIAŁ XXXII

...podszepty ...przyjmą chętnie,
Jak kot łakomy chętnie mleko chłepce[60]

William Shakespeare, *Burza*, akt II, sc. 1

Triumfalna pewność burmistrza, której fundamentem był fakt, że pan Featherstone uporczywie żądał, by Fred i jego matka nie opuszczali Stone Court – była niczym w porównaniu z uczuciami przepęlniającymi piersi krewnych chorego, którzy teraz, gdy złożony chorobą nie opuszczał łóżka, okazywali, rzecz jasna, o wiele silniej swoje rodzinne przywiązanie i pojawiali się o wiele liczniej. Rzecz jasna; kiedy bowiem „biedny Piotr” zasiadał w swoim fotelu w bawialni wyłożonej boazerią, żadne mrowiące się robactwo, na które kucharz szykuje ukrop, nie byłoby mniej chętnie witane przy kominku, jaki sobie nie bez przyczyny upodobało, niż ci Featherstone’owie, w których żyłach płynęła krew niedokarmiona nie wskutek skąpstwa, lecz ubóstwa. Brat Salomon i siostra Jane byli zamożni i nie sądzili, by rodzinna szczerłość i całkowity brak fałszywej uprzejmości, z jakimi zawsze ich tu witano, przesądzały o tym, że brat ich, dokonując uroczystego aktu spisania ostatniej woli, nie wziął był pod uwagę najwyższych praw przysługujących bogactwu. W każdym razie nie był tak wyrodney, by ich przepędzać ze swego domu, nie uważali też za dziwactwo, iż trzyma na dystans brata Jonasza, siostrę Martę i pozostałych, którzy nie mają cienia takich jak oni praw. Znali maksymę Piotra – że pieniądź to jajo, które trzeba składać w ciepłym gnieździe.

..... Brat Jonasz jednak oraz siostra Marta i inni ubodzy banici mieli
[60] Przeł. Leon Ulrich.

całkiem odmienny punkt widzenia. Możliwości są tak różnorodne jak twarze, które się widuje w sztukateriach i na tapetach: można się tam dopatrzeć każdej postaci od Jupitera do Judyty, jeśli się tylko ma twórczą wyobraźnię. Biedniejszym i najmniej uprzywilejowanym wydawało się prawdopodobne, że Piotr, który za życia nigdy nic dla nich nie zrobił, będzie o nich u kresu życia pamiętał. Jonasz argumentował, że ludzie lubią sprawiać swoimi testamentami niespodzianki, Marta zaś twierdziła, iż nie powinno nikogo zdziwić, jeśli zostawi większą część majątku tym, co się tego najmniej spodziewają. Nie do pomyslenia było, by ten rodzony brat, „co tam leży” z opuchniętymi nogami, nie zrozumiał wreszcie, że co rodzina to rodzina; jeśli zaś nawet nie zmieni testamentu – to przecież może mieć gotówkę w domu. Tak czy inaczej, kilku krewnych powinno siedzieć na miejscu i pilnować tych, co żadnymi krewnymi nie są. Wiadomo przecież, że bywają takie rzeczy, jak sfałszowane testamenty i sporne testamenty, spowite złotą mgiełką nadziei na korzyści dla pominiętych w ostatniej woli. A znowu ci, co nie są rodziną z krwi i kości, mogą mieć za długie ręce – i ten biedak, Piotr, „co tam leży”, bezradny! Ktoś powinien czuwać. Ten wniosek podzielali wszyscy, łącznie z Salomonem i Jane; byli też różni siostrzeńcy, siostrzenice i kuzyni, dyskutujący z większą jeszcze subtelnością nad tym, co może zrobić człowiek zdolny do „zapisania majątku komuś spoza rodziny” i smakowania swego dziwactwa; mieli wielkoduszne przekonanie, że należy pilnować interesu rodzinnego i że Stone Court jest właściwym miejscem do składania wizyt. Siostra Marta, czyli inaczej pani Cranch, która żyła nieco dychawicznie w Chalky Flats, nie była w stanie ruszać w taką podróż, mógł ją jednak z korzyścią reprezentować syn, czyli siostrzeniec biednego Piotra, i pilnować, by jego wujaszek Jonasz nie skorzystał w sposób nieuczciwy z różnych nieprawdopodobnych możliwości, które są bardzo prawdopodobne. Prawdę mówiąc, Featherstoneowie mieli we krwi przeświadczenie, że

wszyscy muszą pilnować wszystkich i że dobrze by było, gdyby każdy sobie uświadamiał, iż jest pilnowany przez Wszechmocnego.

Tak więc Stone Court oglądało co chwila tego czy innego krewnego, który czy to przyjeżdżał, czy wyjeżdżał, a Mary Garth miała przykry obowiązek przekazywania wiadomości od nich panu Featherstone, który nie chciał nikogo widzieć i posyłał ją na dół z jeszcze bardziej przykrym zadaniem zakomunikowania im jego woli. Jako osoba zarządzająca domem, uważała za swój obowiązek zapraszać ich, zgodnie z dobrym, prowincjonalnym obyczajem, by usiedli i posilili się, wolała jednak zasięgnąć rady pani Vincy w sprawie tej dodatkowej konsumpcji na dole, podczas gdy pan Featherstone leży na górze.

– Cóż, moja droga, w domu, gdzie jest ciężka choroba i majątek, trzeba okazać hojną rękę. Bóg jeden wie, że ja im nie żałuję tej domowej szynki, tylko zostaw najlepszą na pogrzeb. Miej zawsze na podorzędziu sztufadę cielęcą i dobry krajany ser. No cóż, to oczywiste, że w takiej chorobie trzeba prowadzić dom otwarty. – Pani Vincy, której powróciły i pogodny głos, i kolorowe wstążki, miała teraz gest.

Niektórzy goście jednak przyjeżdżali i nie odjeżdżali po sutym poczęstunku szynką i cielęciną. Na przykład brat Jonasz (w większości rodzin są takie niemiłe postacie – może nawet i w najznakomitszej arystokracji zdarzają się podobne okazy Brobdingnagów, o olbrzymich długach i jeszcze większej tuszy), brat Jonasz więc, odkąd całkiem zbiedniał, utrzymywał się głównie z fachu, którym się w swojej skromności nie chwalił, choć był o wiele lepszy niż oszustwa czy to na giełdzie, czy na wyścigach; praca ta nie wymagała jego obecności w Brassing, dopóki miał jakiś kąt do siedzenia oraz zapewnione jadlo. Wybrał sobie miejsce w kuchni, po części dlatego, że najbardziej mu się tu podobało, a trochę dlatego, że nie chciał siedzieć z Salomonem, o którym miał określone braterskie zdanie. Usadowiony w wygodnym fotelu, wbity w najlepszy

garnitur, mając nieustannie przed oczyma pogodny widok, odczuwał błogą pewność, że znajduje się tam, gdzie powinien, przemieszana z nachodzącymi go co pewien czas myślami o niedzieli oraz barze Pod Zielonym Chłosem; oświadczył Mary Garth, że nie ruszy się od swego brata Piotra, jak długo biedak będzie jeszcze na tej ziemi. Najbardziej kłopotliwi w rodzinie są zwykle albo dowcipnicy, albo idioci. Jonasz był dowcipnikiem wśród Featherstone'ów, żartował ze służącymi, które przychodziły dorzucić do ognia, pannę Garth chyba jednak uważał za osobę podejrzaną i wodził za nią zimnym wzrokiem.

Mary wytrzymała by jakoś tę jedną parę oczu, niestety był również młody Cranch; ten zaś, po przebyciu tak długiej drogi z Chalky Flats, by reprezentować matkę i mieć oko na wuja Jonasa, również uznał za swój obowiązek zostać i przesiadywał przeważnie w kuchni, by dotrzymywać wujowi Jonaszowi towarzystwa. Młody Cranch nie był dokładnie w środku drogi pomiędzy dowcipnikiem a idiotą – skłaniał się raczej ku temu ostatniemu i tak zezował, że nie można było nigdy mieć pewności co do jego sentymentów prócz tego, że nie są zdecydowane. Kiedy Mary Garth wchodziła do kuchni, a pan Jonasz Featherstone zaczynał wodzić za nią zimnym wzrokiem, młody Cranch, obracając w tym samym kierunku głowę, sprawiał wrażenie człowieka, który chce, by wchodząca zauważyła jego zezą, jakby zezował umyślnie, podobnie jak Cyganie, gdy Borrow^[61] czytał im Nowy Testament. Tego było już trochę za wiele dla biedaczki; czasem zaczynała zrzędzić, czasem odchodziła ją powaga. Pewnego dnia, przy nadarzającej się sposobności, nie powstrzymała się od opisanie sceny kuchennej Fredowi, który z kolei nie chciał sobie odmówić obejrzenia tego na własne oczy i udał, że musi przejść przez kuchnię. Kiedy jednak napotkał owe dwie pary oczu, czmychnął przez najbliższe drzwi, które jak się okazało, prowadziły do mleczarni, i tam, pod wysokim sklepieniem,

[61] George Borrow, *The Zincali, or an Account of the Gypsies of Spain* (1841).

wśród misek i niecek dał upust wesołości, a śmiech rozległ się głuchym echem i doszedł aż do kuchni. Fred wymknął się innymi drzwiami, lecz pan Jonasz, który nigdy dotąd nie oglądał jego jasnej cery, długich nóg i delikatnej, wychudzonej twarzy, zaczął wygłaszać różne sarkastyczne uwagi, łącząc dowcipnie dostrzeżone cechy wyglądu Freda z najniższymi kwalifikacjami moralnymi.

– Widzisz, Tom, ty nie nosisz takich wytwornych spodni i nie masz takich pięknych, długich nóg – mówił do siostrzeńca, mrugając doń porozumiewawczo, co miało oznaczać, że w tych stwierdzeniach jest coś więcej niż tylko ich bezsporność. Tom spojrzął na swoje nogi, ale nie mógł się zdecydować, czy woli swą moralną wyższość od skandalicznej długości nóg i karygodnej wytworności spodni.

W dużej bawialni również nieustannie czuwały pary oczu – krewni, którzy pragnęli tu „posiedzieć” dłużej. Wielu przyjeżdżało, obiadowało i odjeżdżało, lecz brat Salomon oraz dama, która przez dwadzieścia pięć lat nazywała się Jane Featherstone, nim została panią Waule, uznali za właściwe przesiadywać tu codziennie godzinami, bez żadnego określonego zajęcia prócz obserwowania chytrej Mary Garth (która była taka sprytna, że na niczym nie można jej było przyłapać) i okazywania od czasu do czasu suchych, wymiętych pozorów płaczu, ponieważ odmówiono im wejścia do pokoju pana Featherstone, przy czym dawali do zrozumienia, że byliby zdolni do potoków łez w wilgotniejszym okresie. Wydawała się bowiem, że niechęć starego człowieka do własnej rodziny rośnie, w miarę jak słabnie jego możliwość bawienia się rzucanymi pod ich adresem złośliwościami. Zbyt ociężyły, by żądlic, o tyle więcej miał jadu zalegającego we krwi.

Nie mogąc uwierzyć w wiadomość przekazaną im przez Mary Garth, stanęli w drzwiach sypialni, oboje na czarno – pani Waule z białą, rozchyloną chusteczką w rękę – jedno i drugie z twarzą żałośnie

sinawą, podczas gdy różowolica pani Vincy z różowymi wstążkami, powiewającymi przy czepeczku, właśnie podawała do ust ich rodzonemu bratu jakiś kordiał, a Fred, ze swoją jasną cerą i krótkimi włosami, kędzierzawymi, jak się można spodziewać u karciarza, rozpierał się w wielkim fotelu.

Gdy stary Featherstone zobaczył te pogrzebowe postacie, które ukazały się wbrew jego rozporządzeniom, wściekłość dodała mu o wiele więcej sił niż kordiał. Leżał wsparty na wezglówiu i jak zawsze miał pod ręką swą laskę ze złotą gałką. Chwycił ją teraz i wymachiwał w przód i w tył, najdalej jak mógł sięgnąć, chcąc przepędzić te okropne widma; skrzeczał przy tym chrypliwie:

– Wynocha, wynocha, pani Waule! Wynocha, Salomon!

– Och, bracie! – zaczęła pani Waule, lecz Salomon powstrzymał ją ruchem ręki. Był to mężczyzna bliski siedemdziesiątki, o szerokich policzkach i małych, skrytych oczkach; miał nie tylko o wiele łagodniejszy charakter od brata, ale też uważał się za o wiele bardziej przebiegłego; doprawdy niełatwo byłoby go zwieść, gdyż nikt nie mógł się okazać bardziej chciwy i podstępny, niż on się tego w swoim rozmówcy dopatrywał. Sądził, że nawet niewidzialne moce można ułagodzić jakąś wtrąconą tu i ówdzie uwagą, jeśli pochodzi ona od człowieka majątnego, choćby i bezbożnika.

– Bracie – zaczął tonem pochlebnym, lecz z urzędową powagą – jest rzeczą słuszną, abym porozmawiał z tobą w sprawie udziałów w Trzech Zagrodach i w Manganie. Bóg Wszechmogący wie, co mam na myśli...

– Wobec tego wie więcej, niż ja chcę wiedzieć – odparł Piotr, odkładając laskę na świadectwo rozejmu, nie wyrzekając się jednak i groźby, gdyż położył laskę tak, by złota gałka mogła posłużyć jako pałka na wypadek walki wręcz, i twardym wzrokiem spoglądał na Salomona.

– Możesz jeszcze, bracie, pokutować za to, żeś nie chciał ze mną

gadać – podjął Salomon, nie próbując jednak się zbliżyć. – Mógłbym tu z tobą posiedzieć wieczorem i Jane też, z miłą chęcią, a ty mógłbyś wybrać sobie odpowiedni czas, żeby pogadać albo pozwolić mnie gadać...

– Na gadanie sam sobie wybieram czas, a twojego nie potrzebuję.

– Ale nie możesz sobie wybrać czasu na ostatnie tchnienie – włączyła się pani Waule swoim matowym głosem. – A jak ci już mowę odbierze i będziesz tak leżał, niemy, to może dość będziesz miał tych obcych naokoło i pomyślisz o mnie i moich dzieciach. – Tu załkała, przejęta ową wzruszającą myślą, jaka się zrodzi w głowie niemego brata; wzmianka o nas samych zawsze nas rozrzewnia.

– Nie, nie pomyślę – zaprzeczył stanowczo stary Featherstone.

– Nie będę myślał o nikim z was. Napisałem testament, powiadam. Napisałem testament. – Odwrócił głowę ku pani Vincy i przełknął łyk jej kordiału.

– Niektórzy wstydziłiby się zajmować miejsce przynależne innym z prawa – zauważyła pani Waule, zwracając w tym samym kierunku swe wąskie oczy.

– Siostró – w głosie Salomona brzmiała ironiczna łagodność – ani ty, ani ja nie jesteśmy na to dość wytworni, mądrzy i urodziwi; my musimy być pokorni i pozwolić ludziom wytwornym wpychać się przed nami.

Za dużo tego było jak na temperament Freda: wstał i spoglądając na pana Featherstone, zapytał:

– Czy chciałby wuj, abym wraz z matką opuścił ten pokój, by wuj mógł zostać sam ze swoimi bliskimi?

– Siadaj, powiadam – warknął stary Featherstone. – Masz zostać tam, gdzie jesteś. Do widzenia, Salomonie – dodał, próbując znowu złapać swoją łaskę, bezskutecznie jednak, gdyż odwrócił ją był uprzednio gałką do dołu. – Zegnam, siostró Waule. Proszę tu więcej nie przychodzić.

– Będę na dole, bracie, tak czy inaczej – oznajmił Salomon. – Ja

spełnić swój obowiązek, a reszta w rękę Wszechmocnego.

– Zwłaszcza jeśli dotyczy wypuszczenia majątku z rodzinnych rąk – dodała pani Waule – kiedy w rodzinie są przyzwoici młodzi ludzie, którzy mogliby wszystko prowadzić dalej. Współczuję tym, co się od nich różni, i współczuję ich matkom. Do widzenia, mój bracie.

– Pamiętaj, że jestem w kolejności następny po tobie i że od małego zacząłem robić pieniądze, tak jak i ty, i że mam już ziemię na nazwisko Featherstone. – Salomon wiązał duże nadzieje z tą uwagą, która może się nadać do rozpamiętywania podczas bezsennej nocy. – Tymczasem powiadam ci dobranoc.

Przyspieszyli wyjście, widząc, że pan Featherstone naciąga perukę na uszy i zamyka oczy z szerokim grymasem ust, jakby postanawiał być głuchy i ślepy.

Mimo to jednak przyjeżdżali codziennie do Stone Court i zajmowali posterunek na dole, prowadząc niekiedy półgłosem powolny dialog, w którym rzuconą uwagą i odpowiedź dzieliła przerwa tak długa, iż ktoś słuchający, mógłby sobie wyobrazić, że słyszy jakiś gadający automat, i zastanawiać się, czy ten pomysłowy mechanizm będzie jeszcze działał, czy też zbiera już od dawna resztki sił, by w końcu zatrzymać się i zamilknąć. Salomon i Jane mieliby sobie za złe pośpiech: jego skutki mógłby zauważyć siedzący po drugiej stronie ściany ich brat Jonasz.

Ale to ich czuwanie w bawialni urozmaicali niekiedy inni goście przybywający z daleka i bliska. Teraz, kiedy Piotr Featherstone leżał na górze, można było omawiać jego majątek, otrzymując od razu wszystkie miejscowe informacje: różni wiejscy czy miejscy sąsiedzi wyrażali pełną solidarność z rodziną i opowiadali się na jej rzecz przeciwko rodzinie Vincych, odwiedzające zaś farmę damy skłonne były w rozmowie z panią Waule ronić łzy na wspomnienie własnych niegdysiejszych zawodów, związanych z różnymi kodycyłami czy małżeństwami zawartymi na

złość im przez niewdzięcznych, starszych panów, którzy, jak by można było przypuszczać, nie w tym przecież celu pozostawali przy życiu. Te rozmowy urywały się gwałtownie, jak muzyka organów urywa się, gdy ktoś przestaje deptać miechy, w momencie gdy do pokoju wchodziła Mary Garth: oczy wszystkich wbijały się w nią jako ewentualną legatariuszkę albo też tą, która ma dostęp do żelaznych skrzyń.

Młodszy mężczyźni jednak, krewni czy powinowaci rodziny, skłonni byli ją admiirować, ze względu na wątpliwość tych przypuszczeń, jako dziewczynę, która umie się zachować i która spośród tych wszystkich ulotnych możliwości może się okazać nie najgorszą zdobyczą. Otrzymywała więc swój udział komplementów oraz grzecznych atencji.

Zwłaszcza zaś od pana Borthropa Trumbulla, wybitnego miejscowego licytatora i kawalera, zajmującego się przede wszystkim sprzedażą ziemi i bydła. Była to osobistość powszechnie znana, której nazwisko widniało na wszystkich ogłoszeniach w okolicy, człowiek, który mógłby słusznie współczuć tym, co o nim nie słyszeli. Był kuzynem Piotra Featherstone, który go traktował uprzejmiej niż jakiegokolwiek innego członka rodziny, jako że był użyteczny w interesach; w programie zaś pogrzebu, ułożonym osobiście przez chorego, pan Trumbull ustanowiony został mistrzem ceremonii. Nie było w panu Borthropie Trumbullu odpychającej zachłanności – nie było nie ponad rzetelne poczucie wartości własnej osoby, które, a był tego świadom, mogło w wypadku konkurencji zdecydować o jego przewadze. Gdyby więc Piotr Featherstone, który w stosunkach z licytатorem zachowywał się jak człowiek zacny i przyzwoity, gdyby więc Piotr Featherstone okazał mu hojność, to pan Trumbull mógłby tylko stwierdzić, że nigdy się przed nim nie płaszczyl ani mu nie schlebiał, ale doradzał mu zgodnie z całym swym przeszło dwudziestoletnim doświadczeniem – bo zaczynał jako piętnastoletni terminator – i że byłoby nie do pomyślenia, by mu udzielał informacji

pochodzących z podejrzanych jakichś źródeł. Przedmiotem admiracji pana Trumbulla była nie tylko własna osoba; zarówno w życiu zawodowym, jak prywatnym znajdował radość w wysokiej wycenie rzeczy. Smakował w górnych określeniach i jeśli kiedykolwiek użył języka prostaczków, natychmiast to poprawiał – i dobrze czynił, gdyż miał głos donośny i górował nad innymi; stojąc czy przechadzając się tam i z powrotem, obciążał kamizelkę z miną człowieka, który ma własne, określone zdanie, strzepywał ubranie energicznym ruchem wskazującego palca, a każdą nową serię ruchów zaczynał od szybkiego przebiegania palcami po swoich dużych pieczęciach. Niekiedy potrafił okazać w zachowaniu pewną gwałtowność, skierowaną na ogół przeciwko fałszywym opiniom, które tak często trzeba prostować! Doprawdy, cierpliwość człowieka z doświadczeniem i odczytaniem wystawiana bywa na ciężką próbę. Rodzinę Featherstone uważał, ogólnie biorąc, za ograniczoną, ale jako człowiek światowy i osoba publiczna przyjmował wszystko za rzecz naturalną i nawet poszedł do kuchni porozmawiać z panem Jonaszem oraz młodym panem Cranchem: nie miał wątpliwości, że na tym ostatnim zrobił duże wrażenie, zaczynając rozmowę od pytań o Chalky Flats. Gdyby ktoś stwierdził, że pan Borthrop Trumbull, jako licytator, musi znać naturę każdej rzeczy, uśmiechnąłby się tylko i strzepnął w milczeniu kamizelkę, przekonany, że stwierdzenie jest bliskie prawdy. Wszystko razem wzięwszy, na swój licytatorski sposób był człowiekiem uczciwym, nie wstydził się swego zajęcia i uważał, że gdyby „ten sławny Peel, obecnie sir Robert” został mu przedstawiony, z pewnością wiedziałby, z kim ma do czynienia.

– Nie miałbym nic przeciwko kawałkowi tej szynki i kufelkowi piwa, jeśli pani pozwoli, panno Garth – powiedział, wchodząc o wpół do dwunastej do saloniku i stając plecami do ognia między panią Waule i Salomonem, po skorzystaniu z niezwykłego przywileju, jakim było

odwiedzenie starego Featherstone'a. – Niechże pani nie wychodzi, proszę pozwolić, zadzwonię po służącą.

– Dziękuję – odparła Mary – ale mam coś do załatwienia.

– No cóż, szanowny panie, otrzymuje pan wielkie względy – zaczęła pani Waule.

– To, że się widziałem z naszym gospodarzem? – Licytator bawił się obojętnie pieczętkami. – Widzi pani, on mi bardzo ufa. – Tu zacisnął wargi i zmarszczył w zamyśleniu czoło.

– Czy człowiek mógłby zapytać, co jego brat mówił? – W głosie Salomona brzmiała cicha uniżoność, którą uważał za dowód chytryści, był bowiem bogaty i nie potrzebował okazywać uniżenia.

– O tak, każdy może pytać. – W donośnym głosie pana Trumbulla brzmiał dobroduszny, choć też i cięty sarkazm. – Każdy może zapytywać. Każdy może też nadać swojej uwadze pytające znaczenie – ciągnął, a ton jego głosu wznosił się wraz ze stylem. – Tak zawsze czyni każdy dobry mówca, nawet jeśli się nie spodziewa odpowiedzi. Nazywamy to metaforyką, mową, można by rzec, wysoce przenośną. – Eloquentny licytator uśmiechnął się rad ze swej zręczności.

– Nie szkodowałbym wcale, gdybym się dowiedział, że on o panu pamiętał – oświadczył Salomon. – Nigdy nie byłem przeciwko tym, którym się należy. Tylko wobec takich, którym się nie należy, jestem przeciwny.

– Ano właśnie, ano właśnie, w tym sęk – powiedział znacząco pan Trumbull. – Nie można zaprzeczyć, że legatariuszami, a nawet zapisobiorcami reszty spadkowej bywają ludzie, którzy na to nie zasłużyli. Tak to bywa z dyspozycjami testamentowymi.

– Czy pan poważnie mówi, panie Trumbull, że mój brat zapisał tę ziemię komuś spoza rodziny? – Te długie słowa działały nieco depresyjnie na panią Waule, osobę patrzącą z natury ponuro na świat.

– Można by od razu zapisać swoją ziemię na dobroczynność, równie dobrze jak zostawiać ją jakimś tam ludziom – zauważył Salomon, gdy na pytanie siostry nie padła żadna odpowiedź.

– Co? Zapisać ziemię na przytułek? – zapytała ponownie pani Waule.
– Och, panie Trumbull, chyba pan o tym nie myśli! To byłaby straszna obraza Wszchemocnego, który go wzbogacił!

Gdy pani Waule to mówiła, pan Borthrop Trumbull przeszedł od kominka ku oknu, przesuając badawczo wskazującym palcem po wewnętrznej stronie kołnierzyka, potem wzdłuż bokobrodów, potem wzdłuż linii włosów. Zbliżył się wreszcie do stoliczka z robotkami panny Garth, otworzył leżącą na nim książkę i odczytał tytuł głośno, dobitnie i z emfazą, jakby wystawiał dzieło na sprzedaż.

– „*Anne of Geierstein* (wymawiając: Dżirstin) *albo Dziewczę z mgły* pióra autora *Waverley*”. – Potem, odwróciwszy stronicę, zaczął donośnie: – „Minęły niemalże cztery stulecia od czasów, kiedy opisane w następnych rozdziałach wypadki wydarzyły się na Kontynencie”. – Wymówił to ostatnie zachwycające słowo, kładąc akcent na pierwszej sylabie, nie tyle nieświadom prostactwa takiej wymowy, ile sądząc, że ten nowy sposób akcentacji wzmaga donośność i piękno, jakie jego głos nadaje tekstowi.

W tym momencie weszła służąca z tacą, wobec czego chwila, w której należało udzielić odpowiedzi pani Waule, szczęśliwie minęła, Salomon i jego siostra zaś, patrząc na poruszenia licytatora, odnosili wrażenie, że edukacja jest żalną przeszkodą w sprawach poważnych. W rzeczywistości pan Borthrop Trumbull nic nie wiedział o testamencie starego Featherstone’a, nie byłby jednak nigdy zdolny przyznać się do niewiedzy w jakiegokolwiek sprawie, chyba żeby go aresztowano pod zarzutem zatajenia zbrodni.

– Zjem tylko kęsek szynki i wypiję kufelek piwa – oświadczył uspokajająco. – Jako człowiek wykonujący obowiązki publiczne,

przekąszam, kiedy tylko mogę. Stawiam tę szynkę – dodał po przełknięciu kilku kawałków z zatrważającym pośpiechem – ponad wszystkie szynki w trzech królestwach. Moim zdaniem, jest to szynka lepsza niż we dworze Freshitt, a myślę, że niezgorszy ze mnie sędzia.

– Niektórzy nie lubią tyle cukru w szynce – stwierdziła pani Waule. – Ale ten biedak, mój brat, zawsze chciał, żeby dawać cukier.

– Jeśli ktoś by chciał lepszej, to wolna wola, ale Boże wielki, cóż za aromat! Rad bym przelicytować taką szynkę! Doprawdy – tu w głosie pana Trumbulla zagrały emocje – doprawdy, wielka to satysfakcja dla dżentelmena mieć taką szynkę na stole.

Odsunął talerz, nalał kufelek piwa i przesunął krzesło nieco do przodu, lustrując przy okazji wewnętrzną linię swoich nóg, które pogłaskał z aprobatą – odznaczał się bowiem ową powściągliwością gestów, która wyróżnia przodujące rasy północne.

– Ma pani tutaj wielce interesujące dzieło, panno Garth – zauważył, gdy Mary wróciła do pokoju. – Napisane przez autora *Waverley*, to znaczy sir Waltera Scotta. Sam kupiłem jedno z jego dzieł. Rzecz bardzo przyjemna, doprawdy, publikacja, można powiedzieć, wybitna, pod tytułem *Ivanhoe*. Sądzę, że nieprędko znajdzie się autor, który mógłby go przelicytować. Nie przypuszczam, by łatwo komuś przyszło wznieść się ponad niego. Właśnie czytałem ustęp rozpoczynający *Anne Dżirstin*. Rozpoczyna się dobrze (nic nigdy nie zaczynało się u pana Trumbulla, tylko się rozpoczynało, zarówno w jego życiu prywatnym, jak na jego ogłoszeniach). Widzę, że gustuje pani w lekturze. Czy jest pani subskrybentką naszej wypożyczalni w Middlemarch?

– Nie – odparła Mary. – Tę książkę przyniósł mi pan Fred Vincy.

– Ja sam osobiście ogromnie gustuję w książkach – ciągnął pan Trumbull. – Mam nie mniej niż dwieście tomów w cielęcej skórze i pochlebiam sobie, że są dobrze wybrane. Mam również obrazy Murilla,

Rubensa, Teniersa, Tycjana, van Dycka i innych. Byłbym szczęśliwy, mogąc pożyczyć pani każde dzieło, które zechciałaby pani wskazać.

– Jestem wielce zobowiązana – odparła Mary śpiesznie, idąc do wyjścia – ale niewiele mam czasu na czytanie.

– Chyba mój brat coś jej zapisał w testamencie – mruknął cicho Salomon, kiedy Mary zamknęła za sobą drzwi, i wskazał ruchem głowy nieobecna.

– Ta jego pierwsza żona to była żadna partia – stwierdziła pani Waule. – Nic mu nie wniosła: a ta młoda panna to tylko jej siostrzenica. I bardzo dumna. A nasz brat zawsze płacił jej pensję.

– Moim zdaniem, jest to rozsądna osoba – pan Trumbull dopił piwo i wstał, energicznie poprawiając kamizelkę. – Obserwowałem ją, kiedy odmierzała krople do mikstury. Ona pilnuje tego, co robi. A to jest u kobiety wielka zaleta, bardzo cenna dla naszego przyjaciela tam, na górze, starego kochanego biedaka. Mężczyzna, który ceni swoje życie, powinien myśleć o żonie jak o pielęgniarce: tak ja bym myślał, gdybym się żenił; a sądzę, że dostatecznie długo żyłem w kawalerskim stanie, by w tej dziedzinie nie popełnić błędu. Są mężczyźni, którzy muszą się ożenić, aby sobie dodać znaczenia, ale jeśli ja będę tego potrzebował, to liczę, że ktoś mi o tym powie. Tuszę, iż jakaś osoba poinformuje mnie o tym fakcie. Do widzenia, pani Waule. Do widzenia, panie Salomonie. Mam nadzieję, że spotkamy się pod mniej melancholijnymi auspicjami.

Kiedy pan Trumbull, złożony piękny ukłon, wyszedł, Salomon, pochylając się nieco, zwrócił się do siostry:

– Możesz mi wierzyć, Jane, że nasz brat zostawił tej dziewczynie okazałą sumkę.

– Każdy by tak sądził po tym, co pan Trumbull gada – przytaknęła Jane. A po chwili: – Mówi tak, jakby mojej córce nie można było ufać z podawaniem kropli.

Licytatorzy gadają, co im ślina na język przyniesie – mruknął Salomon. – Ale nikt nie zaprzeczy, że Trumbull się dorobił.

ROZDZIAŁ XXXIII

Zamknij mu oczy; zasuń te firanki.

Rozpamiętywać idźmy teraz wspólnie[62].

William Shakespeare, *Król Henryk VI* cz. 2,

akt III, sc. 3

Tego samego dnia po północy Mary Garth zwolniła osobę dyżurującą przy łóżku pana Featherstone i usiadła, by czuwać podczas wczesnych godzin i świtania. Często wybierała tę porę i znajdowała w tym pewną przyjemność, pomimo irytacji, jaką okazywał chory, gdy żądał jej usług. Były jednak przerwy, podczas których mogła siedzieć w całkowitym spokoju i cieszyć się spokojem na zewnątrz i przyćmionym światłem. Czerwony płomień, poruszający się ledwo słyszalnie, sprawiał wrażenie poważnej jakiejś istoty, dostojnej, wolnej od małostkowych namiętności, nedorzecznych pragnień i starań o rzeczy niepewne i marne, które codziennie budziły jej pogardę. Mary lubiła swoje rozmyślenia i potrafiła doskonale się bawić, siedząc tak o pierwszym brzasku, z rękami na kolanach; wcześniej zrozumiała, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nic nie ułoży się tak, by ją akurat zadowolić, nie marnowała więc czasu na zdumiewanie się i denerwowanie tym faktem. A nauczyła się już też patrzeć na życie jak na komedię, w której – jak to dumnie, a nawet szlachetnie postanowiła – nigdy nie odegra roli podłej czy zdradzieckiej. Mogłaby stać się cyniczna, gdyby nie miała rodziców, których czciła, i gdyby nie miała w sobie głębokich źródeł serdecznej wdzięczności, tym obfitszych, że nauczyła się nie stawiać nierozumnych żądań.

[62] Przeł. Leon Ulrich.

Siedziała więc teraz, przypominając sobie, jak to zwykła była czynić, sceny minionego dnia i wargi jej wyginały się w rozbawieniu, gdy wspominała dziwactwa, które jej wyobraźnia wzbogacała jeszcze dodatkowymi śmiesznościami; tacy zabawni są ludzie ze swoimi złudzeniami, nieświadomi, że paradują w błazeńskiej czapce na głowie, przeświadczeni, że ich kłamstwa okrywa mgła, podczas gdy kłamstwa innych widoczne są jak na dłoni; mają się za wyjątki i choćby wszyscy inni wyglądali żółto w świetle lampy, oni jedni są na pewno różowi. Zdawała sobie jednak sprawę z pewnych złudzeń, które wcale nie prowokowały jej do śmiechu. W głębi duszy była przekonaną – choć jedyną tego podstawą była bliska obserwacja natury starego Featherstone'a – że mimo iż tak bardzo lubi mieć Vincych przy sobie, może ich zawieść w tym samym stopniu, co wszystkich pozostałych krewnych, których trzyma na odległość. Gardziła jawnymi obawami pani Vincy, aby czasem nie zostawić jej z Fredem sam na sam, ale to nie przeszkadzało jej myśleć z niepokojem, jakim by to było ciosem dla Freda, gdyby się okazało, iż wuj pozostawił go tak samo biednym jak dotąd. Mogła kpić z Freda w jego obecności, nie umiała się jednak śmiać z jego urojeń, gdy go nie było.

Lecz lubiła swoje rozmyślania; żywy, młody umysł niewytrącony z równowagi emocjami znajduje pożytek w poznawaniu życia i z zainteresowaniem sprawdza własne siły. Mary miała w sobie bardzo wiele radości.

Do jej myśli nie dołączało się poczucie powagi czy patosu z powodu leżącego na łóżku starca: takie uczucie łatwiej udawać niż naprawdę żywić wobec wiekowego człowieka, którego życie wydaje się jedynie remanentem wad. Pan Featherstone pokazywał się jej zawsze od najgorszej strony: nie była przedmiotem jego dumy, była dlań tylko osobą użyteczną. Świętym niebieskim pozostawić trzeba troskę o duszę człowieka, który zawsze na ciebie warczy – a Mary nie była święta.

Nigdy nie odpowiedziała mu ostrym słowem i służyła mu rzetelnie: było to maksimum tego, na co ją było stać. Stary Featherstone zaś nie dbał ani trochę o swoją duszę i odmówił przyjęcia w tej sprawie pastora Tuckera.

Tej nocy nie warknął na nią ani razu i przez pierwszych kilka godzin leżał wyjątkowo spokojnie, aż wreszcie Mary usłyszała, jak chrobocze pęknięciem kluczy po cynowej skrzynce, którą zawsze trzymał przy sobie na łóżku. Około trzeciej rano powiedział niezwykle wyraźnie:

– Niech panna tu przyjdzie!

Mary usłuchała i stwierdziła, że wyciągnął już cynową skrzynkę spod prześcieradeł, choć zwykle komuś to zlecał, oraz że dobrał klucz. Otworzył skrzynkę, a wyjąwszy z niej drugi klucz spojrzął wprost na Mary oczyma, które jakby odzyskały poprzednią przenikliwość i spytał:

– Ilu ich jest w domu?

– Pan pyta o swoich krewnych? – zapytała Mary, od dawna przywykła do jego sposobu mówienia. Skinął lekko, wobec czego ciągnęła: – Śpią w domu pan Jonasz Featherstone i młody Cranch.

– Ach tak, ci łatwo nie popuszczą. A reszta? Założyłbym się, że są tu co dzień, Salomon i Jane, i ci młodzi. Przychodzą, co? Patrzą, liczą i sumują?

– Nie wszyscy przychodzą codziennie. Pan Salomon i pani Waule są dzień w dzień, a inni bywają często.

Stary słuchał jej słów z grymasem, a wreszcie odezwał się, rozluźniając mięśnie twarzy:

– Tym więksi z nich głupcy. Niech panna słucha. Jest trzecia rano, a ja jestem przy zdrowych zmysłach, tak samo, jak przez całe życie. Dobrze wiem, jaki mam majątek, w co zainwestowałem pieniądze i wszystko. Przygotowałem sobie sprawy tak, żebym mógł w ostatniej chwili zmienić zdanie i zrobić, na co mi przyjdzie ochota. Czy panna słyszy? Jestem przy zdrowych zmysłach.

– Słucham – odparta spokojnie Mary.

Zniżył teraz głos do przebiegłego szeptu.

– Spisałem dwa testamenty i zamiaruję jeden spalić. A teraz niech panna robi to, co mówię. To jest klucz od mojego żelaznego kufra, stoi tam, w schowku. Pchnie panna mocno z boku mosiężną płytę na wieku, aż się odsunie jak zasuw, wtedy włoży panna klucz w zamek i przekręci. Niech panna idzie i robi, co mówię. I niech wyjmie papier, który leży na samym wierzchu OSTATNIA WOLA I TESTAMENT, wielkimi drukowanymi literami.

– Nie, proszę pana. – Głos Mary był bardzo stanowczy. – Ja tego zrobić nie mogę.

– Nie może panna zrobić? Przecież ja każę. – Głos starego zaczął drżeć wskutek jej oporu.

– Nie mogę tknąć ani żelaznego kufra, ani testamentu. Muszę odmówić uczynienia czegokolwiek, co mogłoby rzucić na mnie cień podejrzeń.

– Powiadam pannie, że jestem przy zdrowych zmysłach. Miałbym na koniec nie zrobić tego, co chcę? Spisałem umyślnie dwa testamenty. Bierz panna ten klucz, powiadam.

– Nie, proszę pana, ja tego nie zrobię – odparła Mary jeszcze bardziej stanowczo. Wzbierała w niej coraz większa odraza.

– Powiadam pannie, nie ma czasu do stracenia.

– Nic na to nie mogę poradzić. Nie dopuszczę do tego, aby schyłek pańskiego życia zbrukał początek mojego. Nie dotknę ani pańskiego żelaznego kufra, ani pańskiego testamentu – mówiąc to, odsunęła się nieco od łóżka.

Starzec znieruchomiał na chwilę, patrząc przed siebie pustym wzrokiem i trzymając uniesiony klucz na kółku; potem gwałtownymi, ostrymi ruchami zaczął wypróżniać cynową skrzynkę chudą lewą ręką.

– Niech no panna tu spojrzysz – mówił spieszenie. – Niech panna weźmie

te pieniądze, banknoty i złoto. Patrz, panna, bierz to wszystko, bierz wszystko i rób, co powiadam.

Z trudem usiłował podać jej klucz, sięgając jak najdalej, lecz Mary cofnęła się znowu.

– Nie tknę ani pańskiego klucza, ani pieniędzy. Niech pan mnie więcej o to nie prosi. Jeśli będzie pan nalegał, będę musiała zejść na dół i zawołać pańskiego brata.

Opuścił bezwładnie rękę i Mary po raz pierwszy w życiu zobaczyła, jak stary Piotr Featherstone zaczyna rzewnie płakać. Powiedziała najłagodniej jak mogła: „Proszę, niechże pan zostawi te pieniądze”, po czym przeszła na swoje miejsce przy kominku w nadziei, że starzec zrozumie, iż nie ma sensu nalegać dłużej. Po chwili uspokoił się i poprosił żywo:

– No dobrze. Zawołaj panna tego młodego. Zawołaj Freda Vincy.

Serce Mary zaczęło uderzać szybciej. W głowie jej powstawały najróżniejsze przypuszczenia co do konsekwencji, jakie może przynieść spalenie drugiego testamentu. Musiała spieszenie podjąć bardzo trudną decyzję.

– Zawolałam go, jeśli pozwoli mi pan zawołać również pana Jonasza i innych.

– Nikogo innego, powiadam. Chcę tylko młodego. Ma być podług mojej woli.

– Niechże pan zaczeka, aż się rozwidni, kiedy wszyscy zaczną wstawać. Albo niech mi pan pozwoli zawołać Simmonsa i posłać go po pańskiego adwokata. Może się tu zjawić za niecałe dwie godziny.

– Adwokat? A po co mi adwokat! Nikt nie będzie nic wiedział. Powiadam, nikt nie będzie nic wiedział. Zrobię to, co zechcę.

– Niechże mi pan pozwoli zawołać jeszcze kogoś – perswadowała Mary. Bardzo jej się nie podobała ta sytuacja: sam na sam ze starcem, w którym nagle zapalił się dziwny, nerwowy płomień energii, pozwalającej

mówić i mówić bez zwykłych ataków kaszlu; nie chciała jednak opierać się niepotrzebnie, gdyż widziała, że go to rozdrażnia. – Proszę, niechże pan pozwoli, żebyśmy wezwała kogoś jeszcze.

– Niech mi panna da spokój, powiadam. O, proszę. Tu są pieniądze, niech je panna bierze. Nigdy nie będzie miała drugiej takiej okazji. To prawie dwieście funtów – a w skrzynce jest jeszcze więcej i nikt nie wie, ile tam było. Bierz, panna, i rób, co mówię.

Stojąc przy kominku, Mary widziała blask czerwonego płomienia, padający na starca, który, wsparty na poduszkach i wezglówiu, trzymał klucz w kościstej dłoni, i na leżące przed nim na kołdrze pieniądze. Do końca życia pamiętała ten obraz człowieka, który jeszcze w ostatniej chwili chciał robić to, co mu się podoba. Ale jego piętista oferta wywołała reakcję jeszcze bardziej niż poprzednio zdecydowaną:

– Nic z tego nie przyjdzie, proszę pana. Proszę te pieniądze schować. Ja ich nie tknę. Zrobię wszystko, by pana zadowolić, ale nie tknę ani tych kluczy, ani pieniędzy.

– Wszystko inne, wszystko inne – powtórzył stary z ochryplą wściekłością, która niby w sennym koszmarze miała być głośna, a była ledwo słyszalna. – Nie chcę nic innego. Niech tu panna przyjdzie, niech panna przyjdzie.

Mary podeszła ostrożnie, bo zbyt dobrze go znała. Zobaczyła, że wypuszcza z ręki klucze i próbuje chwycić laskę, wpatrując się w nią niby stara hiena, bo twarz nabrzmiała mu od wysiłku ręki. Mary stanęła w bezpiecznej odległości.

– Niech pan pozwoli, że mu dam trochę kordiału – powiedziała cicho. – Proszę się uspokoić. Może pan zaśnie. A jutro, za dnia, zrobi pan, co zechce.

Podniósł laskę, mimo iż Mary była poza zasięgiem uderzenia, i cisnął w nią zapamiętale, ale daremnie. Laska zsunęła się po pościeli na

ziemię. Mary nie podniosła jej i wróciła na swoje miejsce przy kominku. Po pewnym czasie podejdzie do niego z kordialem. Zmęczenie uczyni go biernym. Nadszedł najchłodniejszy moment ranka, ogień gasł, a w szczelinach grubych okiennych kotar ukazało się światło wybielone przez zazdrostki. Dorzuciła drew do ognia i otuliwszy się szalem, usiadła w nadziei, że pan Featherstone może teraz zaśnie. Nie będzie do niego podchodziła, bo irytacja nie pozwoli mu spać. Po ciśnięciu laską nie mówił już nic, widziała tylko, że znowu wziął klucze do ręki, a prawą położył na pieniądzach. Nie schował ich jednak i jak jej się zdawało, zaczynał drzemać.

Ale teraz Mary bardziej była przejęta tym, co się przed chwilą stało, niż tym, co się dzieje: przebiegała myślą swoje niedawne reakcje, które przyszły jako wewnętrzny nakaz i w krytycznym momencie wykluczyły wszelkie wątpliwości.

W pewnej chwili suche drewno strzeliło płomieniem, który rozjaśnił wszystkie kąty, i Mary ujrzała, że starzec leży spokojnie z głową sklonioną nieco na bok. Podeszła do niego na palcach. Wydawało jej się, że twarz jest dziwnie nieruchoma, w następnej jednak chwili ruch płomienia udzielający się wszystkiemu wokół zachwiał jej pewność. Serce jej biło tak gwałtownie, że każde świadectwo zmysłów wydawało się teraz wątpliwe, i nawet kiedy dotknęła starca, nasłuchując jego oddechu, nie była pewna swych wniosków. Podeszła do okna i delikatnie rozsunała zasłony i zazdrostki, by spokojne światło dnia mogło paść na łóżko.

W następnej chwili pociągnęła za dzwonek, i to mocno. Wkrótce nie było już wątpliwości, że Piotr Featherstone leży martwy, trzymając w prawej ręce klucze, a lewą złożywszy na stosie banknotów i złotych monet.

KSIEGA CZWARTA
TRZY PROBLEMY MIŁOSNE

ROZDZIAŁ XXXIV

Dżentelmen pierwszy:

Spójrz, taki człowiek jest jak liść na wietrze

Bez siły i bez wagi.

Dżentelmen drugi: Lekkość wszakże

Też składa się na skutek, sumę znaczeń;

Moc odnajduje miejsce w braku mocy;

Ustępliwość to ruch; wiatrem pędzony

Statek niechybnie siądzie na mieliźnie,

Gdy myśl sternika nie ma w sobie siły,

By zrównoważyć przeciwieństw żywioły.

Było majowe przedpołudnie, gdy chowano Piotra Featherstone. W prozaicznym sąsiedztwie miasteczka Middlemarch maj nie zawsze bywał ciepły i słoneczny, a tego konkretnego dnia wiatr zdmuchiwał kwiaty z pobliskich sadów na zielone kopczyki cmentarza Lowick. Chmury, płynące chyżo po niebie, z rzadka pozwalały, by promień światła padł na jakiś przedmiot, czy to brzydki, czy piękny, który znalazł się przypadkiem w jego złocistej strudze. Przedmioty na cmentarzu były bardzo różnorodne, gdyż gromadka wieśniaków czekała, by obejrzeć orszak pogrzebowy. Rozeszły się wieści, że szykuje się „wielki pochówek”: zmarły zostawił ponoć na piśmie szczegółowe dyspozycje co do wszystkiego i zaplanował sobie pogrzeb „ponad stan”. Była to prawda, gdyż stary Featherstone nie był Harpagonem, którego wszystkie namiętności zostały pożarte przez jedną nienasyconą namiętność oszczędzania i który by przed śmiercią targował się z przedsiębiorcą pogrzebowym. Kochał pieniądze, ale też uwielbiał je wydawać na zaspokojenie swoich osobliwych upodobań,

a chyba najbardziej lubił je jako instrument, dzięki któremu inni mogli odczuć jego władzę w sposób mniej czy bardziej niemiły.

Gdyby ktoś chciał temu zaprzeczyć, twierdząc, że stary Featherstone musiał przecież mieć jakieś dobre cechy, nie ośmielę się oponować, pozwolę sobie tylko zauważyć, że dobroć jest z natury skromna i łatwo się zniechęca, a jeśli w młodości bywa poszturchiwana przez bezczelne, zadufane wady, potrafi się usunąć w najdalszy kącik, tak że łatwiej w nią uwierzyć osobom, które w teorii budują postać samolubnego starca, niż tym, którzy wydają prymitywne sądy na podstawie osobistej znajomości. Tak czy inaczej postanowił urządzić sobie okazały pogrzeb i „zapropnował” udział w nim ludziom, którzy chętniej zostaliby w domu. Zażądał nawet, żeby kobiety z jego rodziny również odprowadziły go do grobu, a biedna siostra Marta musiała w tym celu odbyć uciążliwą podróż z Chalky Flats. Zapewne pociechę (choć łzawą) dla niej i dla siostry Jane stanowiłby dowód, iż brat, który za życia nie znosił ich widoku, zakładał w perspektywie, że miła mu będzie ich obecność, kiedy on stanie się spadkodawcą – gdyby nie pewna dwuznaczność owego dowodu, który obejmował również panią Vincy, a poważne wydatki, jakie musiała ponieść na piękną krepę, sugerowały określone nadzieje, tym bardziej irytujące, że towarzyszyła im kwitnąca cera, świadcząca dobitnie, iż dama nie jest żadną krewną, lecz osobą z niechętnie widzianego grona zwanego rodziną żony.

Wszyscy robimy taki czy inny użytek z wyobraźni, gdyż jej owoce rodzą się z naszych pragnień; biedny, stary Featherstone, drwiący tak często z ludzi, którzy mieli o sobie nadmierne wyobrażenie, nie ustrzegł się swojej porcji złudzeń. Układając program własnego pogrzebu, z pewnością nie powiedział sobie jasno, że jego satysfakcja z tego spektaklu ogranicza się do przewidywań. Chichocząc nad utrapieniami, jakie zada sztywnym zaciskiem martwej ręki, musiał nieuchronnie mylić swoją

świadomość z tą siną, nieruchomą obecnością, a planując niejako swoje przyszłe życie – redukować je do satysfakcji wewnątrz własnej trumny. Tak więc stary Featherstone również robił użytek z wyobraźni – na swój sposób.

Trzy karety jechały więc wypełnione żałobnikami, zgodnie z pozostawionymi na piśmie dyspozycjami zmarłego. Na koniach towarzyszyli im żałobni ceremoniarze, przepasani kosztownymi szarfami, z żałobnymi wstążkami przy kapeluszach, a i podceremoniarze odziani byli w żałobne stroje w dobrym gatunku i wysokiej cenie. Kiedy czarny kondukt ruszył już na własnych nogach, wydawał się na tle tego małego cmentarza jeszcze większy; grubo ciosane twarze i czarne draperie turkoczące na wietrze ukazywały świat dziwnie kontrastujący z opadającymi łagodnie kwiatami drzew i słońcem błyskającym na stokrotkach. Duszpasterzem, który wyszedł na spotkanie konduktu, był pastor Cadwallader, zgodnie z życzeniem Piotra Featherstone, kierującego się i w tej sprawie swoimi względami. Zawsze gardził wikariuszami, nazywał ich miernotą, i postanowił, że chować go będzie pleban beneficjent. Pan Casaubon nie wchodził w rachubę, nie tylko dlatego, że odmawiał tego rodzaju posług, lecz i dlatego, że stary Featherstone szczególnie go nie znosił jako plebana, będącego właścicielem swojej parafii, posiadającego ziemię, z której należały mu się dziesięciny, a również wygłaszającego poranne kazania, których starzec musiał wysłuchiwać w swojej ławce, całkiem rozbudzony i w duszy wściekły. Nie lubił pastora, który ma się za kogoś lepszego i jeszcze mu prawi kazanie. Stosunki starego Featherstone'a z pastorem Cadwalladerem były jednak całkiem innego rodzaju: rzeczka obfita w pstrągi, która przepływała przez ziemię pana Casaubona, płynęła również przez tereny należące do starego Featherstone'a, tak więc pastor Cadwallader był duchownym, który nie wygłaszał kazań, tylko prosił o grzeczność. Pochodził z dobrej, ziemiańskiej rodziny i mieszkał cztery

mile poza Lowick, a to stawiało go na tym samym poziomie, co szeryf okręgu i inni dygnitarze uważani na ogół za osobistości niezbędne w ogólnym układzie rzeczy. Byłoby dla człowieka satysfakcją, gdyby go chował pastor Cadwallader, którego nazwisko daje piękną sposobność do wymówienia go niewłaściwie, jeśli komu przyjdzie ochota.

Właśnie owo wyróżnienie plebana Tipton i Freshitt było powodem, dla którego pastorkowa Cadwallader znalazła się w grupce osób oglądających pogrzeb starego Featherstone'a z górnego okna dworu. Nie bardzo lubiła przyjeżdżać do tego domu, lubiła jednak – jak oświadczyła – oglądać kolekcje dziwnych zwierząt, takich, jakie zapewne będzie można zobaczyć na tym pogrzebie, namówiła więc sir Jamesa i młodą lady Chettam, by zawieźli ją i pastora do Lowick, uprzyjemniając w ten sposób wizytę.

– Jestem gotowa wszędzie z panią jechać – powiedziała Celia – ale tak nie lubię pogrzebów.

– Och, moja droga, jak się ma pastora w rodzime, to trzeba dopasować do tego swoje upodobania: ja to zrobiłam bardzo wcześniej. Kiedy wysłam za Humphreya, postanowiłam polubić kazania. Zaczęłam od polubienia zakończeń, co wkrótce się rozciągnęło na środki no i na początki, bo bez nich nie miałabym końców.

– Z całą pewnością nie miałyby ich pani – przyznała z wyniosłą godnością wdowa lady Chettam.

Pokój na piętrze, skąd zebrane towarzystwo dobrze widziało pogrzeb starego Featherstone'a, był miejscem, w którym przesiadywał pan Casaubon, odkąd zabroniono mu pracować, ostatnio jednak, wbrew wszelkim ostrzeżeniom i zaleceniom, powrócił niemal całkiem do dawnego trybu życia i teraz, grzecznie przywitawszy się z pastorkową, wysłiznął się do biblioteki, by przeżuwać tam papkę erudycyjnej pomyłki na temat Kusza i Misraima.

Gdyby nie goście, Dorotea również siedziałaby zamknięta w bibliotece

i nie oglądałaby owego pogrzebu, którego obraz, choć nie miał nic wspólnego z biegiem jej życia, zawsze stawał jej później przed oczyma, gdy dotknięte zostały pewne wrażliwe punkty jej pamięci, podobnie jak wspomnienie Bazyliki świętego Piotra w Rzymie nachodziło ją zawsze w momentach przygnębienia. Sceny z życia bliźnich o decydującym dla nich znaczeniu stanowią jedynie tło naszego własnego życia, a jednak wiążą się z jego konkretnymi okresami, tak jak określone widoki drzew i pól, tworząc część całości złożonej z wycinków, dokonywanych przez naszą wyostrzoną świadomość.

Nierealny związek jej najtajniejszych przeżyć z tym czymś, obcym i niezrozumiałym, mówił o rozmiarach osamotnienia Dorotei, którego źródłem była żarliwość jej natury. Pod względem towarzyskim społeczność ziemiańska żyła w owych latach w dużym rozproszeniu: z wyniosłych punktów swoich górnych pozycji spoglądała w dół, z trudem rozróżniając poszczególne jednostki w kręgach życia stłoczonego w dole. A Dorotea źle się czuła w chłodzie takich wysokości.

– Nie będę na to dłużej patrzyła – oznajmiła Celia, kiedy kondukt wszedł do kościoła i wsunęła się za łokieć męża, by móc skrycie dotknąć policzkiem jego rękawa. – Dodo, tobie się to na pewno podoba, ty lubisz melancholijne sceny i brzydkich ludzi.

– Lubię coś wiedzieć o ludziach, wśród których żyję – odparła jej siostra, która przyglądała się pogrzebowi z zainteresowaniem, jakie okazuje zakonnik na wakacyjnej wycieczce. – Wydaje mi się, że nic nie wiemy o bliźnich, chyba że to są nasi farmerzy. Człowiek nieustannie zadaje sobie pytania, jak też żyją inni i jak reagują na różne rzeczy. Bardzo jestem wdzięczna pani pastorowej za to, że przyjechała i wyciągnęła mnie z biblioteki.

– Na wdzięczność zasłużyłam, co prawda, to prawda – zgodziła się pani pastorowa. – Ci wasi bogaci farmerzy z Lowick są równie

interesujący, jak bizony i bawoły, a przypuszczam, że często ich widujecie w kościele. Całkiem różni od dzierżawców twego stryjaszka czy sir Jamesa. Prawdziwe potwory, farmerzy bez pana! Nie wiadomo, jak ich sklasyfikować.

– Większość osób w tym kondukcie to nie są ludzie z Lowick – stwierdził sir James. – Przypuszczam, że to legatariusze, którzy przyjechali z daleka albo z Middlemarch. Lovegood powiedział mi, że ten staruszek zostawił sporo pieniędzy, a również ziemi.

– Pomyśleć tylko! – zawołała pani Cadwallader. – Kiedy tylu młodszych synów nie ma za co zjeść kolacji! Aaaa – tu obróciła się na odgłos otwieranych drzwi – przyjechał pan Brooke. Czułam, że nie jesteśmy w komplecie i oto wyjaśnienie! Przyjechał pan, rzecz jasna, obejrzeć ten cudaczny pogrzeb!

– Nie, przyjechałem dowiedzieć się o zdrowie Casaubona, sprawdzić, ma się rozumieć, jak on się miewa. I przywieźć pewną małą nowinkę. Małą nowinkę, kochanie. – Tu pan Brooke pokiwał znacząco głową Dorotei, która do niego podchodziła. – Zajrzałem do biblioteki i znalazłem Casaubona nad książkami. Powiedziałem mu, że tak nie wolno. Powiedziałem: „Doprawdy, tak nie wolno postępować. Pomyślże pan o swojej żonie”. Obiecał, że przyjdzie na górę. Nie zdradziłem mu się z moją nowinką, powiedziałem tylko, że musi przyjść na górę.

– O, proszę, już wychodzą z kościoła! – zawołała pastorowa. – Wielki Boże, cóż to za niebываły melanz! Pan Lydgate, zapewne jako lekarz. Ale jest i całkiem ładna kobieta, a ten przystojny młody człowiek to pewno jej syn. Cóż to za jedni, sir James? Czy pan ich zna?

– Widzę tam niejakiego Vincy, burmistrza Middlemarch: to pewno jego żona i syn. – Sir James spojrzał pytająco na pana Brooke, który przytaknął.

– Tak, bardzo przyzwoita rodzina – Vincy to bardzo porządny

jegomość, chluba fabrykanckich sfer. Widzieliście go państwo u mnie w domu.

– Ach tak, to jeden z pańskiego sekretnego komitetu – podsunęła prowokacyjnie pastorowa.

– Poluje pieszo na zające. – W głosie sir Jamesa brzmiała pogarda, jak przystało na polującego konno na lisa.

– To również jeden z krwiopijców, żerujących na tych nieszczęsnych tkaczach z Freshitt i Tipton. Dlatego jego rodzina taka jest jasna i gładka – dodała pastorowa. – Ci ciemni ludzie o zsiniałych twarzach to wspaniałe tło. Doprawdy, wyglądają jak szereg dzbanów. Popatrzcie tylko na Humphreya: w tej białej komży można by go wziąć za jakiegoś górującego nad nimi szpetnego archanioła.

– Ale pogrzeb to sprawa poważna, ma się rozumieć, jeśli na nią spojrzeć w tym świetle – zauważył pan Brooke.

– Ale ja nie patrzę w tym świetle. Nie mogę zbyt często odziewać się w powagę, boby mi się za szybko zdarła. Przyszedł czas, żeby ten starzec umarł, i nikt z tych ludzi nie czuje po nim żalu.

– Jakież to smutne! – szepnęła Dorotea. – Ten pogrzeb wydaje mi się najposępniejszym widokiem, jaki kiedykolwiek oglądałam. To ciemna plama na dzisiejszym poranku. Nie mogę znieść myśli, że ktoś mógłby umrzeć, nie pozostawiając po sobie miłości.

Chciała powiedzieć coś więcej, ale zobaczyła, że jej mąż wchodzi do pokoju i siada nieco w tyle. Nie zawsze jego obecność poprawiała jej samopoczucie. Czowała, że pan Casaubon nieraz ma w głębi duszy zastrzeżenia co do jej słów.

– Niesłychane! – zawołała pani Cadwallader. – Pojawiła się nowa twarz, tam, za tym barczystym mężczyzną, osobliwsza niż wszystkie inne: dyniowata główka z wylupiastymi oczyma. Taka jakaś żabia fizjonomia, popatrzcie! Musi być chyba innej krwi.

– Niech spojrzę – zainteresowała się Celia i stanąwszy za pastorową, wychyliła się ponad jej głową. – Och, cóż za niesamowita twarz! – po czym, przybierając odmienny wyraz zdumienia, dodała: – Dodo, nie powiedziałaś mi, że pan Ladislaw przyjechał!

Dorotę przeszedł dreszcz przerażenia. Wszyscy zauważyli jej nagłą bladość, gdy szybko podniosła wzrok na stryja. Pan Casaubon podniósł wzrok wraz z nią.

- Przyjechał ze mną, ma się rozumieć, jest moim gościem. Mieszka u mnie, w Grange – wyjaśnił najswobodniejszym tonem pan Brooke, zwracając się do Dorotei, jakby jego słowa były tym właśnie, czego się mogła spodziewać. – Przywieźliśmy obraz na dachu powozu. Wiedziałem, Casaubon, że ta niespodzianka sprawi panu przyjemność. Jest pan namalowany jak żywy. Jako Tomasz z Akwinu, ma się rozumieć. Bardzo udana podobizna. Posłuchacie, jak o tym będzie mówił ten młody Ladislaw. Niepospolicie dobrze mówi, umie podkreślić to, tamto i owo, zna się na sztuce i różnych takich rzeczach. Towarzyski, w lot chwytą wszystkie twoje myśli, tego właśnie od dawna mi brakowało.

Pan Casaubon skłonił się z chłodną uprzejmością, opanowując irytację na tyle tylko, by milczeć. Pamiętał równie dobrze jak Dorotea list Willa, stwierdził, że nie było go pośród listów, jakie zostały odłożone w okresie jego rekonwalescencji, i w głębi duszy sądził, że Dorotea napisała do Ladisława, by nie przyjeżdżał do Lowick, a wrażliwa duma nie pozwalała mu wracać do tego tematu. Obecnie zaś doszedł do wniosku, że Dorotea musiała prosić stryja, by zaproponował Willowi przyjazd do Grange – ona zaś czuła, że próba jakichkolwiek tłumaczeń jest w tej chwili niemożliwa.

Oczy pani Cadwallader, które oderwały się od cmentarza i objęły zebrane towarzystwo, dostrzegły część tej pantomimy, a że nie była dostatecznie dla niej zrozumiąca, padło nieuchronne pytanie:

– Kto to jest pan Ladislaw?

– Młody krewniak pana Casaubona – szybko wyjaśnił sir James. Wrodzona dobroć przydawała mu nieraz jasności widzenia i bystrości w sprawach osobistych, a teraz, ze spojrzenia, jakie Dorotea rzuciła na męża, wnosił, że w duszy jej podniósł się niepokój.

– Bardzo miły młody człowiek, zawdzięcza wszystko Casaubonowi – wyjaśniał pan Brooke. – Ale wart był pańskich wysiłków, pastarze – ciągnął, kiwając zachęcająco głową. – Mam nadzieję, że zabawi u mnie dłużej i zrobimy trochę porządku w moich papierach. Masa w nich pomysłów i, ma się rozumieć, faktów, a widzę, że to właściwy człowiek, który potrafi coś z tym zrobić. Pamięta odpowiednie cytaty, takie różne *omne tulit punctum...*^[63], czasem dzięki temu temat ukazuje się w innym świetle. Zaprosiłem go przed jakimś czasem, kiedy był pan chory; Dorotea powiedziała mi, że nie życzy pan sobie żadnych gości w domu, i prosiła, żebym napisał list.

Biedna Dorotea czuła, że każde słowo stryjaska jest jej mężowi równie miłe jak ziarno piasku w oku. Gdyby zaczęła teraz wyjaśniać, że nie prosiła stryja o zaproszenie Willa Ladislawa do Grange – zabrzmiałoby to bardzo niezręcznie. Nie potrafiła sobie w żaden sposób wytłumaczyć, skąd się bierze niechęć jej męża do kuzyna, niechęć, która tak przykro zapisała się w jej pamięci sceną w bibliotece, ale uważała, że lepiej nie mówić nic, co pozwoliłoby pozostałym nabrać jakichś podejrzeń w tej sprawie. Prawdę mówiąc, nawet pan Casaubon nie sprecyzował przed samym sobą tych różnorodnych powodów niechęci; i tak jak wszyscy nie próbował zrozumieć przyczyn swego rozdrażnienia, tylko je usprawiedliwiał. Pragnął jednak nie dać tego poznać po sobie, toteż tylko Dorotea zauważyła, że zmienił się na twarzy, zanim oświadczył z bardziej niż zwykle ceremonialnym pochyleniem głowy i głosem jak zawsze

[63] *...qui miscuit utile dulci* – ten zdobył uznanie wszystkich, kto połączył przyjemne z pożytecznym (Horacy, *Sztuka poetycka*, przeł. T. Sinko).

monotonnym:

– Bardzo jest pan gościnnie, drogi panie, i winien jestem wdzięczność za okazanie tej gościnności mojemu krewniakowi.

Pogrzeb już się skończył i na cmentarzu ludzie zaczęli się rozchodzić.

– Teraz może go pani zobaczyć, pastorowo – zwróciła się Celia do pani Cadwallader. – Jest wierną podobizną miniatury ciotki pana Casaubona, która wisi w buduarze Dorotei. Całkiem przystojny.

– Bardzo ładny chłopiec – stwierdziła sucho pastorowa. – Czym chce pański siostrzeniec zostać?

– Przepraszam, pastorowo, to nie jest mój siostrzeniec, lecz mój kuzyn.

– Widzi pani, pastorowo – wmieszał się pan Brooke – to człowiek, który próbuje swoich skrzydeł. Młody człowiek, z tych, co mogą pójść w górę. Rad będę, dając mu po temu sposobność. Byłby z niego doskonały sekretarz, proszę ja was, jak Hobbes, Milton i Swift.

– Rozumiem – stwierdziła pani Cadwallader. – Ktoś, kto potrafi pisać mowy.

– Przyprawdzą go tutaj teraz, dobrze, Casaubon? Nie chciał przyjść, ma się rozumieć, dopóki go nie zapowiem. Zejdziemy na dół obejrzyć obraz. Jesteś pan tam jak żywy: głęboki myśliciel subtelnego rodzaju, ze wskazującym palcem na stronicy, podczas gdy święty Bonawentura, czy tam kto inny, grubawy i rumiany, podnosi oczy ku Świętej Trójcy. Wszystko tam jest symboliczne, ma się rozumieć. To jest sztuka wyższego rzędu: lubię to do pewnego stopnia, ale nie za bardzo, trzeba, ma się rozumieć, wysiłku, żeby za tym nadążyć. Ale dla pana, Casaubon, to wszystko jest przecież jasne. Jeśli chodzi o ciało, to ten pański malarz utrafił bardzo akuracie: masywność, przezroczystość, wszystko, co trzeba. Kiedyś zgłębiałem te rzeczy bardzo gruntownie. A teraz pójdę i przyprawdzą Ladisława.

ROZDZIAŁ XXXV

Non, je ne comprends pas plus charmant plaisir
Que de voir d'héritiers une troupe affligée,
Le maintien interdit, et la mine allongée,
Lire un long testament ou pâles, étonnés,
On leur laisse un bonsoir avec un pied de nez.
Pour voir au naturel leur tristesse profonde,
Je reviendrais, je crois, expres de l'autre monde.

Nie, nie wyobrażam sobie nic przyjemniejszego
Niż widok tłumu spadkobierców w żałobie,
Zdumionych, wstrząśniętych i biednych,
Z markotnymi minami słuchających długiego
testamentu,
Który pokazuje im figę i odprawia z niczym.
Aby ujrzeć tak wyraźnie ich głęboki żal,
Chętnie powróciłbym nawet z tamtego świata.

Jean-François Regnard, *Le légataire
universel*

Można sobie wyobrazić, że kiedy zwierzęta wchodziły parami do Arki, sprzymierzone gatunki, rozmawiając ze sobą po cichu, skłonne były sądzić, iż tak wielka ilość form pożywiających się z jednego i tego samego źródła to niewątpliwie przesada, jako że prowadzi do zmniejszenia racji. (Obawiam się, że rola, jaką odegrały w tej sprawie sępy, nie znalazłaby

wyrazu w malarstwie, gdyż ptaki te mają wyjątkowo odrażające, nagie gardziele, nadto obce im są wszelkie ceremonie i rytuały).

Podobna skłonność cechowała Chrześcijańskie Zwierzęta Mięsożerne, które tworzyły kondukt pogrzebowy Piotra Featherstone: uwaga większości z nich skupiona była na tych określonych zasobach, z których każdy pragnął dostać jak najwięcej. Krewni, przyjmowani od dawna w tym domu, oraz osoby spowinowacane przez małżeństwo już sami w sobie stanowili pokaźną gromadkę, która, pomnożona przez możliwości, dawała pole do wielu zazdrosnych przypuszczeń i wzruszających nadziei. Zazdrość o Vincych zjednoczyła wrogością wszystkich, w których żyłach płynęła krew Featherstone'ów, toteż nie wiedząc z całą pewnością, że jedno z nich otrzyma więcej niż pozostali, skupili swoje obawy na tym, by długonogi Fred Vincy nie dostał przypadkiem ziemi, choć wystarczało im czucia i czasu na pośledniejsze zawiści, na przykład w stosunku do Mary Garth. Salomon znalazł okazję, by stwierdzić, że Jonasz na nic nie zasłużył, a Jonasz ubliżył Salomonowi, nazywając go chciwcem. Jane, najstarsza siostra, uważała, że dzieci Marty nie powinny oczekiwać tego samego co młodzi Waule'owie, Marta zaś, mniej pryncypialna w sprawie pierworództwa, ubolewała, że Jane taka jest „pazyrna”. Najbliższa rodzina zmarłego dziwiła się niedorzecznym oczekiwaniom dalszych kuzynów, pożytkując jednocześnie swoje umiejętności liczenia na rachowaniu kroci, do jakich zsumować się mogą drobne zapisy, jeśli ich będzie zbyt wiele. Obecni też byli, by wysłuchać ostatniej woli zmarłego, jego dwaj kuzyni oraz, oprócz pana Trumbulla, jeszcze jeden cioteczny brat. Ów cioteczny brat był bławatnikiem w Middlemarch, układnym i o wymowie obfitej w przydechy, dwaj kuzyni zaś, starsi już mężczyźni, przyjechali z Brassing – jeden świadom należnych mu praw z tytułu niepomiernych wydatków poniesionych na ostrzygi i inne wiktuały, jakie ofiarowywał bogatemu kuzynowi Piotrowi, drugi siedział uporczywie milczący,

wsparłszy dłonie i podbródek na lasce, świadom praw wynikających nie tyle z marnych gestów, ile z cnoty jako takiej. Obaj wzorowi obywatele Brassing woleliby, aby Jonasz Featherstone mieszkał gdzie indziej. Na ogół rodzinnego wesołka najżyczliwiej przyjmują obcy.

– Sam Trumbull spodziewa się pięćsetki, możesz mi wierzyć. Wcale bym się nie dziwił, gdyby mu brat tyle obiecał – rozmyślał na głos Salomon, siedząc z siostrami w wieczór przed pogrzebem.

– Mocny Boże – westchnęła biedna siostra Marta, której wyobrażenie o krocjach kurczyło się zazwyczaj do sumy dzierzawnego, z jaką zalegała.

Rano jednak wszystkie te pospolite domysły uległy zachwianiu, pojawił się bowiem niespodziewanie pewien obcy żałobnik, który jakby spadł z księżycy. Był to ów nieznamy, którego fizjonomię pani Cadwallader nazwała żabią: mężczyzna trzdziestodwu- lub trzyletni o wyłupiastych oczach, cienkich wargach i opadających w dół kącikach ust; włosy miał gładko szesane z czoła, które nad linią brwi cofało się nagle, nadając jego twarzy nieruchomy wyraz płaza. Oto, niewątpliwie, nowy legatariusz, boć przecież czy inaczej byłby proszony do udziału w pogrzebie? Oto nowe możliwości, budzące nową niepewność, która sprawiła, że rozmowy w żałobnych powozach niemal ucichły. Wszystkich nas upokarza niespodziewane odkrycie czegoś, co istniało spokojnie i może nawet przyglądało się nam z ukrycia, podczas gdy my budowaliśmy nasz świat całkiem osobno. Nikt dotąd nie oglądał tego podejrzanego nieznanego, z wyjątkiem Mary Garth, ta zaś wiedziała tylko, że dwukrotnie był w Stone Court, kiedy pan Featherstone schodził jeszcze na dół, i że siedział z nim sam na sam przez kilka godzin. Znalazła okazję, by wspomnieć o tym ojcu, i zapewne tylko oczy Kaleb – i może jeszcze prawnika – spoglądały na obcego badawczo, a nie podejrzliwie czy z niesmakiem. Kaleb Garth, który nie miał wielkich oczekiwań i jeszcze mniej chciwości, ciekaw był, czy sprawdzą się jego

przypuszczenia, a spokój, z jakim uśmiechając się, pocierał podbródek, i rozumne spojrzenia, rzucane tak, jakby taksował drewno, kontrastowały znakomicie z przerażeniem czy abominacją malującą się na twarzach pozostałych, gdy nieznamy żałobnik, którego nazwisko, jak usłyszano, brzmiało Rigg, wszedł do bawialni i zasiadł przy drzwiach, stając się częścią audytorium oczekującego na odczytanie testamentu. Właśnie pan Salomon i pan Jonasz poszli na górę z prawnikiem, aby odszukać testament, a pani Waule, zobaczywszy, że między nią a panem Borthropem Trumbullem są dwa wolne miejsca, odważyła się posunąć i siąść obok tego wysokiego autorytetu. Pan Trumbull bawił się pieczęciami i muskał ubranie, zdecydowany nie okazywać uczucia tak kompromitującego dla wtajemniczonego człowieka, jak zdumienie czy zaskoczenie.

– Pan pewno wie, co mój nieboszczyk brat zrobił. – Pani Waule zniżyła do szeptu swój matowy głos, zwracając jednocześnie do ucha pana Trumbulla spowity krepą czepek.

– Szanowna pani, wszystko, co zostało mi powiedziane, było powiedziane w zaufaniu. – Licytator podniósł dłoń, jakby chciał osłonić ów sekret.

– Ci, co są tacy pewni, że się do nich los uśmiechnie, mogą się jeszcze zawieść – ciągnęła pani Waule, znajdując w tym stwierdzeniu pewną ulgę.

– Nadzieje często zawodzą – przytaknął pan Trumbull, wciąż w zaufaniu.

– Ach – pani Waule spojrzała przez pokój ku państwu Vincy, a potem wróciła na miejsce obok swej siostry Marty.

– Nie do uwierzenia, jaki ten świętej pamięci Piotr był skryty – zwróciła się do niej tym samym szeptem. – Nikt z nas nie wie, co zamyślał. Mam tylko wiarę i nadzieję, że nie był gorszy, niż się nam wydaje.

Biedna pani Cranch była otyła i oddychała astmatycznie, miała też dodatkowy powód, by formułować swoje uwagi poprawnie i ogólnikowo,

gdyż nawet jej szepty były głośne i potrafiły przechodzić zniecka w głośny skrzyp, niby zepsuta katarynka.

– Ja tam nigdy nie byłam chciwa – stwierdziła – ale mam sześcioro dzieci, a troje pochowałam i nie wyszłam za bogatego. Najstarszy, ten, co tam siedzi, ma ledwie dziewiętnaście lat, więc sama możesz zgadnąć, jak jest. Inwentarza zawsze za mało, a ziemia ciężka. Ale jeśli kiedy wyciągała ręce w błaganu i modlitwie, to tylko do Pana Boga na niebie, chociaż jak się ma jednego brata starym kawalerem, a drugiego bezdzietnym po dwóch małżeństwach, to można różnie myśleć!

Pan Vincy tymczasem rzucił spojrzenie na nieruchomą twarz pana Rigga, wyciągnął tabakierkę i stuknął w nią, ale schował zaraz, nie otwierając, uznawszy, że podobna przyjemność może i rozjaśniłaby umysł, ale byłaby w tych okolicznościach nie na miejscu.

– Nie dziwiłbym się, gdyby się okazało, że Featherstone miał lepsze serce, niż sądziliśmy – szepnął do ucha żony. – Ten pogrzeb dowodzi, że o każdym pomyślał. Dobrze świadczy o człowieku, jeśli chce, żeby go odprowadzili jego bliscy, i nie wstydi się rodziny, nawet ubogiej. Cieszyłbym się jeszcze bardziej, gdyby zostawił wiele drobnych zapisów. Mogą się szczególnie przydać ludziom, co żyją na niskiej stopie.

– Wszystko, doprawdy, bardzo przyzwoite, krepa, jedwabie, i co tylko trzeba – przytaknęła z uznaniem pani Vincy.

Z przykrością jednak muszę stwierdzić, że Fred z dużym trudem powstrzymywał śmiech, który były jeszcze bardziej niestosowny niż tabakierka jego ojca. Posłyszał domysły pana Jonasza, który mówił coś o „dziecku miłości”, a ten pomysł w zestawieniu z twarzą nieznanego, siedzącego naprzeciwko, wydawał się doprawdy komiczny. Mary Garth dostrzegła, że Fred jest w kłopotcie, bo drżą mu usta i próbuje pokryć rozbawienie kaszlem, przyszła mu więc zrećźnie z pomocą, proponując zamianę miejsc, dzięki czemu znalazł się w mrocznym kątku. Fred czuł

wielką życzliwość do wszystkich zgromadzonych, łącznie z Riggim, i za nic w świecie nie chciałby się zachować niewłaściwie, zwłaszcza że żal mu było tych ludzi, do których los nie uśmiechał się tak, jak do niego... tylko że śmiech przychodził mu tak łatwo!

Wejście adwokata i dwóch braci przyciągnęło uwagę wszystkich.

Adwokatem był pan Standish. Przyjechał tego ranka do Stone Court pewny, że dobrze mu wiadomo, kto będzie rad, a kto nierad, zanim dzień minie. Testament, jaki spodziewał się odczytać, był ostatnim z trzech, jakie spisał był panu Featherstone. Pan Standish był człowiekiem, który każdego traktował jednakowo i zwracał się do wszystkich swoim basowym głosem z taką samą bezpośrednią uprzejmością, ponieważ nie widział różnic między nimi; mówił głównie o nadchodzących sianokosach, które powinny być „Bóg da, znakomite”, oraz o ostatnich biuletynach o zdrowiu króla^[64], a także o tym, że książę Clarence to żeglarz całą gębą i najodpowiedniejszy człowiek do władania taką wyspą jak Brytania.

Stary Featherstone często powiadał sobie, patrząc w ogień na kominku, że pewnego dnia Standish bardzo się zdziwi. Co prawda, gdyby ostatecznie postąpił wedle swojej woli i spalił testament spisany przez innego adwokata, nie osiągnąłby tego dodatkowego celu, znajdował jednak przyjemność w rozmyślaniu o nim. Istotnie, pan Standish zdziwił się, ale nie zmartwił: wprost przeciwnie, ciekawość wzbudzona odkryciem drugiego testamentu, jak też wyobrażenie o zdumieniu, jakie za chwilę ogarnie rodzinę Featherstone'ów, dodawały sprawie przyjemnej pikanterii.

Jeśli idzie o uczucia Salomona i Jonasza – znajdowały się w stanie całkowitego zawieszenia: braciom się wydawało, że stary testament musi zachować jeszcze jakąś ważność i że wcześniejsze i późniejsze intencje biednego Piotra mogą się jakoś przepleść, tworząc podstawę do żmudnych

[64] Król Jerzy IV zmarł 26 czerwca 1830 roku.

„prawowań”, nim ktokolwiek dojdzie swego – kłopot, który będzie miał tę przynajmniej zaletę, że wszyscy zostaną weń wciągnięci. Dlatego też bracia, wchodząc z panem Standishem do pokoju, okazywali w pełni neutralną powagę, Salomon wyjął tylko swoją białą chustkę do nosa w przekonaniu, że tak czy inaczej, odczytane zostaną jakieś wzruszające ustępy, a do płaczu na pogrzebach, nawet bez łez, służy zwyczajowo batyst.

Być może osobą, której serce biło w tej chwili najmocniej, była Mary Garth, świadoma, że to ona, w gruncie rzeczy, zadecydowała o istnieniu tego drugiego testamentu, który może mieć znaczący wpływ na losy niektórych osób obecnych w pokoju. Nikt oprócz niej nie wiedział, co się wydarzyło owej ostatniej nocy.

– Testament, który trzymam w ręku – pan Standish zasiadł za ustawionym na środku pokoju stołem i czynił wszystko niespiesznie, przeciągając nawet kaszlnięcia, które oznaczać miały chęć przeczyszczenia gardła – został sporządzony przeze mnie, a nasz świętej pamięci przyjaciel nadał mu ważność dziewiątego sierpnia 1825 roku. Stwierdzam jednak, że istnieje następny dokument, dotychczas mi nieznan, noszący datę dwudziestego lipca 1826 roku, niemal o rok późniejszą od poprzedniego. Następnie zaś mamy tutaj – pan Standish uważnie wędrował okularami ponad dokumentem – kodycył do owego drugiego testamentu, noszący datę pierwszego marca 1828 roku.

– Mój Boże, mój Boże – odezwała się siostra Marta, nie pragnąc bynajmniej, by ją usłyszano, ale przymuszona presją tych dat do jakiejś artykulacji uczuć.

– Zacznę od odczytania wcześniejszego testamentu – ciągnął pan Standish – takie bowiem, sądząc z faktu, iż dokument ten nie został zniszczony, było życzenie zmarłego.

Preambuła wydawała się obecnym długawa i nie tylko Salomon, ale i

kilka innych osób patetycznie potrząsało głową, spoglądając w podłogę; wszystkie oczy unikały spotkania innych oczu i na ogół wpatrywały się albo w kropki na obrusie, albo w łysą głowę pana Standisha – wszystkie, z wyjątkiem oczu Mary Garth. Podczas gdy zebrani starali się nie patrzeć w żadnym konkretnym kierunku, ona przyglądała się im spokojnie. I na dźwięk pierwszego: „daję i zapisuję”, zobaczyła, że na wszystkich twarzach następuje pewna zmiana, jakby przebiegało przez nie delikatne drżenie – wszystkich, z wyjątkiem pana Rigga. Ten siedział kamiennie spokojny; prawdę mówiąc, całe towarzystwo, zajęte ważniejszymi problemami i dodatkową komplikacją, jaką było słuchanie zapisów, które mogą być lub nie być odwołane, zapomniało o nim ze szczętem. Fred poczerwieniał, a pan Vincy stwierdził, że nie może się obejść bez tabakierki w ręku, mimo iż pozostawała zamknięta.

Najpierw wymienione były drobne zapisy, nawet jednak świadomość, że istnieje drugi testament i świętej pamięci Piotr mógł zmienić zdanie na lepsze, nie mogła stłumić podnoszącego się rozgoryczenia i oburzenia. Człowiek lubi być przyzwoicie traktowany, w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. A oto okazuje się, że Piotr zdolny był pięć lat temu zapisać swoim rodzonym braciom i siostram zaledwie po dwieście funtów, a tylko po sto swoim siostrzeńcom i siostrzenicom: o Garthach nie było wzmianki, ale pani Vincy i Rozamunda miały dostać po setce. Pan Trumbull otrzymywał łaskę ze złotą gałką i pięćdziesiąt funtów, cioteczni bracia oraz obaj przyjezdni kuzyni otrzymywali każdy taką samą okrągłą sumkę, która, jak to zauważył małowówny kuzyn, prowadziła donikąd. Było jeszcze wiele takiej obraźliwej kapaniny na rzecz osób nieobecnych – koneksji dość problematycznych i, jak można się obawiać – niskich. Na to wszystko razem, sumując pobieżnie, poszło około trzech tysięcy. Komu więc Piotr zamierzał zostawić pieniądze... i komu ziemię? I co odwołał, a czego nie odwołał? I czy to odwołanie wyjdzie na lepsze

czy na gorsze? Wszystkie emocje były warunkowe, mogły się okazać niewłaściwe. Mężczyznom wystarczyło sił, by się trzymać i zachowywać spokój w tej skomplikowanej niepewności; jednemu opadła szczęka, drugiemu wygięła się warga, zależnie od przyzwyczajień ich mięśni. Jane i Marta ugięły się jednak pod natłokiem wątpliwości i uderzyły w płacz, biedna pani Cranch była odrobinę wzruszona myślą, że ma na pocieszenie dostać jakiegokolwiek setki, na które nie zapracowała, a odrobinę zgnębiona świadomością, że dostaje ich za mało, podczas gdy myśli pani Waule pochłaniała wyłącznie świadomość, iż jest rodzoną siostrą i dostaje mało, podczas gdy ktoś inny ma dostać dużo. Według powszechnych przewidywań owo „dużo” miało przypaść w udziale Fredowi Vincy, ale oto cała trójka Vincych zdumiała się, słysząc, że ów młody człowiek otrzymuje zapisem dziesięć tysięcy funtów w określonych lokatach: czy i ziemię też?... Fred zagryzł wargi, trudno mu było powstrzymać uśmiech, a pani Vincy czuła się najszcześliwszą kobietą na świecie – możliwość odwołania zapisu zniknęła z zasięgu wzroku wobec tej olśniewającej perspektywy.

Pozostawał jeszcze majątek osobisty oraz ziemia i to wszystko zapisane zostało jednej osobie, a osobą tą... O, widoki! O, nadzieje fundowane na życzliwości skrytego, starego człowieka! O niezliczone wołacze, wciąż bezradne, wciąż niezdolne do wyrażenia ogromu ludzkiej głupoty! Owym legatariuszem reszty spadkowej był Joshua Rigg, ustanowiony również jedynym wykonawcą testamentu; miał odtąd nosić nazwisko Featherstone.

Rozległ się szmer, który niby dreszcz przebiegł po pokoju. Wszyscy ponownie wbili wzrok w pana Rigga, który najwidoczniej nie był zaskoczony.

– Doprawdy, niezwykle zapis testamentowy – zawołał pan Trumbull, który teraz wołałby, żeby go uprzednio uważano za ignorantę. – Ale istnieje

przecież drugi testament, jest następny dokument. Nie usłyszeliśmy jeszcze ostatecznych życzeń zmarłego.

Mary Garth zdawała sobie sprawę, że to, co teraz usłyszą, to wcale nie są ostateczne życzenia zmarłego. Drugi testament odwoływał wszystko z wyjątkiem zapisów dla wzmiankowanych już osób niskiej kondycji (niektóre poczynione w tej sprawie zmiany stanowiły treść kodycyłu) i spadkobiercą całej ziemi leżącej w parafii Lowick, wraz z inwentarzem i umeblowaniem domu, czynił Joshuę Rigga. Reszta majątku miała zostać przeznaczona na pobudowanie i wyposażenie przytułków dla starców, które mają się nazywać przytułkami Featherstone'a i powstać na kawałku ziemi pod Middlemarch, zakupionym już w tym celu przez testatora, pragnącego – jak powiadał testament – przypodobać się Bogu Najwyższemu. Nikt z obecnych nie dostawał ani pensa, lecz pan Trumbull otrzymywał laskę ze złotą gałką. Musiała upłynąć dobra chwila, nim towarzystwo odzyskało głos. Mary nie śmiała spojrzeć na Freda.

Pierwszy odezwał się pan Vincy – zażywszy wprzódę tęgi niuch tabaki – a mówił z głośnym oburzeniem.

– Nie słyszałem jeszcze o tak dziwnym testamencie! Pisał go chyba nie przy zdrowych zmysłach. Ten ostatni testament jest chyba nieważny – dodał, czując, że to określenie stawia sprawę we właściwym świetle. – Co pan na to, panie Standish?

– Sądzę, że nasz zmarły przyjaciel zawsze wiedział, o co mu idzie – odparł prawnik. – Wszystko jest tu w całkowitym porządku. Do testamentu dołączony jest list od Clemmensa z Brassing. On sporządził testament. Bardzo przyzwoity adwokat.

– Nigdy nie zauważyłem u świętej pamięci pana Featherstone jakichkolwiek znamion choroby umysłowej, jakiegokolwiek aberracji intelektu – oświadczył Borthrop Trumbull – lecz muszę uznać ten testament za ekscentryczny. Zawsze chętnie oddawałem przysługi

starszemu panu, on zaś wzmiankował w sposób zupełnie otwarty, że ma wobec mnie zobowiązania, którym da wyraz w swoim testamencie. Laska ze złotą gałką, jako uznanie moich zasług, to czysta groteska, na szczęście jednak jestem wyższy ponad merkantylne względy.

– Ja tam nie widzę w tym wszystkim nic zaskakującego – oświadczył Kaleb Garth. – Bardziej można by się dziwić, gdyby to był testament, jakiego się zwykle spodziewa po otwartym, prostolinijnym człowieku. Jeśli o mnie idzie, chciałbym, żeby w ogóle nie było testamentów.

– Na Boga, dziwne to życzenie z ust chrześcijanina – zdumiał się prawnik. – Chciałbym wiedzieć, czym pan to uzasadni, panie Garth.

– Och... – Kaleb pochylił się w przód, składając bardzo dokładnie palce obu rąk i spoglądając w zamyśleniu w ziemię. Zawsze mu się wydawało, że słowa są najtrudniejszą częścią „roboty”.

W tym momencie rozległ się głos pana Jonasza Featherstone.

– No cóż, mój brat, Piotr, zawsze był hipokrytą, jakich mało. Ale ten testament przechodzi wszelkie pojęcie! Gdybym o tym wiedział, nie wyciągnęliby mnie z Brassing wozem w sześć koni! Od jutra wkładam biały kapelusz i tabaczkowy surdut.

– Panie wielki! – szlochała pani Cranch – tyleśmy wydali na podróż, a ten chłopiec tak długo tu beczynnie siedzi. Pierwszy raz w życiu słyszę, żeby mój brat Piotr chciał się przypodobać Panu Bogu Najwyższemu! Choćbym miała tu na miejscu trupem paść, muszę powiedzieć, że niemiłosiernie postąpił, nie inaczej.

– Wedle mego zdania, nic mu to nie pomoże tam, gdzie teraz jest – oświadczył pan Salomon z goryczą zaskakująco autentyczną, choć nie potrafił pozbawić swego głosu nuty chytryści. – Piotr żył jak szelma i teraz, kiedy wreszcie miał czelność to pokazać, żadne przytułki jego bezeceństwa nie zmażą.

– A przez cały czas miał swoją własną prawowitą rodzinę, braci i

siostry, siostrzeńców i siostrzenice, i siadywał przy nich w kościele, kiedy tylko przysłała mu chętką tam iść – zawodziła pani Waule. – I mógł jak kto uczciwy zostawić majątek tym, co nigdy sobie nie pozwalali na żadną ekstrawagancję czy niestałość, a przy tym niebiedni, każdego pensa by oszczędzili i jeszcze zrobili z niego dwa. A ja, ile to się namęczyłam, żeby tu ciągle przyjeżdżać i być mu siostrą, a on przez cały czas zamierował to, na co człowiekowi rozumu nie staje. Ale jeśli Bóg Wszechmogący na to zezwolił, to go też i ukarze. Salomon, wyjeżdżam stąd zaraz, jeśli mnie zabierzesz.

– Nie zamierzam nigdy więcej postawić tu nogi – oznajmił Salomon. – Mam własną ziemię i własny majątek do zapisania w testamencie.

– Nieprawda, co ludzie gadają, że śmiałym szczęście sprzyja – powiedział Jonasz. – Nie opłaca się mieć w sobie śmiałości. Lepiej być jak ten pies ogrodnika. Ale ci, co jeszcze żyją, mogą z tego wszystkiego wyciągnąć nauczki. Jeden testament głupiego wystarczy na rodzinę.

– Można być głupim na różne sposoby – stwierdził Salomon. – Ja tam nie zostawię pieniędzy, żeby je wylewali z pomyjami, nie zostawię ich na żadne tam afrekańskie podrzutki. Lubię Featherstone'ów, co się Featherstone'ami urodzili, a nie takich robionych, którym się nazwisko nasadziło.

Sceniczny szept, jakim Salomon zwracał się do siostry, z którą wychodził – był bardzo donośny. Brat Jonasz czuł, że mógłby się zdobyć na ostrzejsze dowcipy, po cóż jednak miałby obrażać nowego właściciela Stone Court, nie mając pewności, czy nie okaże się gościnnie w stosunku do ludzi dowcipnych, których nazwisko będzie nosił.

Pan Joshua Rigg zaś nie sprawiał wrażenia człowieka, który by sobie zaprzętał głowę jakimiś aluzjami, w zachowaniu jego zaszła jednak widoczna zmiana. Zbliżył się spokojnie do pana Standisha i zaczął mu chłodno zadawać rzeczowe pytania. Miał wysoki, terkotliwy głos i

paskudny akcent. Fred, który już stracił ochotę do śmiechu, pomyślał, że nigdy w życiu nie widział wulgarniejszego monstrum. Ale Fredowi było trochę niedobrze. Bławatnik z Middlemarch czekał na sposobność rozpoczęcia rozmowy z panem Riggim: nie wiadomo, na ile par nóg będzie potrzebował pończoch nowy właściciel, a na zyskach ze sprzedaży bardziej można polegać niż na spadkach. Nadto bławatnik, jako cioteczny brat, nie był na tyle zaangażowany, by odczuwać ciekawość.

Pan Vincy po pierwszym wybuchu zachowywał dumne milczenie, ale tak go pochłaniały niewesołe myśli, że zapomniał o wyjeździe; wreszcie zauważył, że jego żona podchodzi do swego pieszczołka i ująwszy go za rękę, płacze cicho. Wstał natychmiast i obracając się plecami do zebranych, szepnął do niej:

– Nie pokazuj, co czujesz, Lucy, nie ośmieszaj się, moja droga, przy tych wszystkich ludziach – po czym dodał głośno: – Idź, Fred, i kaź zajeżdzać. Nie mam czasu do tracenia.

Mary Garth już uprzednio szykowała się do powrotu wraz z ojcem. Spotkała w hallu Freda i teraz po raz pierwszy odważyła się na niego spojrzeć. Na policzki wystąpiła mu szarawa bladeść, jaka się czasem pokazuje na młodych twarzach, a ręka, którą uściśnęła, była zimna. Mary była również przejęta – zdawała sobie sprawę, że niestety, mimo woli, zadecydowała zapewne o wielkiej zmianie w losach Freda.

– Do widzenia – powiedziała z serdecznym smutkiem. – Bądź dzielny, Fred. Wierzę, że lepiej ci będzie bez tych pieniędzy. Co dobrego przyniosły panu Featherstone?

– Bardzo pięknie – odparł z irytacją – ale co mam robić? Teraz już muszę zostać pastorem. – (Wiedział, że to zdenerwuje Mary; no więc dobrze, niech mu powie, co innego mógłby robić). – I’ myślałem, że będę mógł zaraz spłacić twojego ojca i wszystko wyrównać. A tobie nie zapisał nawet stu funtów! Co ty teraz poczniesz, Mary?

– Wezmę, oczywiście, następną posadę, jak tylko ją znajdę. Ojciec i beze mnie ma dość roboty, z utrzymaniem rodziny. Do widzenia!

W bardzo szybkim czasie Stone Court opustoszał z Featherstone'ów, którzy się Featherstone'ami urodzili, i z innych, często tu widywanych gości. Jeszcze jeden obcy miał się osiedlić w okolicach Middlemarch, lecz w przypadku pana Rigga Featherstone przykrzejsze były konkretne, bezpośrednie tego skutki niż domysły, co też jego obecność może przynieść w przyszłości. Nikt nie był na tyle dalekowzroczny, by przeczuwać, co może przyjść w ślad za Joshua Riggem.

Itu dochodzę do punktu, w którym muszę się zastanowić, jak uwznioślić przyziemny temat. Szczególnie przydatne są w takim celu paralele historyczne, mają jednak ten wielki minus, że pracowitemu narratorowi może zabraknąć na nie miejsca albo też (co na to samo wychodzi), że ów narrator nie potrafi przywołać ich na pamięć z odpowiednimi szczegółami, choć z filozoficznego punktu widzenia ma pewność, że stanowiłyby właściwą ilustrację, gdyby je tylko pamiętał. Wydaje się, że dla zachowania pisarskiej godności krócej i łatwiej będzie stwierdzić, iż – jako że każdą prawdziwą historię można przedstawić w parabolach, w których mała zastępuje margrabiego lub *vice versa* – wszystko, co opowiedziałem czy opowiem o ludziach niskiego stanu, można uszlachetnić, przyjmując to za parabolę. Tak więc, jeśli przedstawione zostaną czy to złe obyczaje, czy ich szpetne konsekwencje, czytelnik może pocieszyć się myślą, że owa niestosowność to tylko przenośnia, a on, w gruncie rzeczy, znajduje się w wytwornym towarzystwie. Tak więc, kiedy mówię prawdę o prostakach, postaciach lordów nie powinny być usuwane z wyobraźni czytelnika, a mizerne sumki, z jakich nie chciałby żyć bankrut z wysokich sfer, można podwyższyć do wysokości wielkich transakcji handlowych, dopisując za darmo odpowiednie cyfry.

Jeśliby zaś chodziło o prowincjonalną historię, której wszyscy

bohaterowie to ludzie o wysokim standardzie moralnym – trzeba by ją osadzić w czasach o wiele późniejszych niż pierwsza reforma wyborcza, a, widzicie, Piotr Featherstone zmarł i został pochowany na kilka miesięcy przed objęciem urzędu premiera przez Lorda Greya^[65].

[65] Lord Grey został premierem w listopadzie 1830 roku.

ROZDZIAŁ XXXVI

Dziwne to, widzieć humory tych ludzi,
Duchów wyniosłych, co mądre być muszą;

...

Przecie z tych istot wynika natury,
Żeby zajmować miejsca jak najwyższe,
I baczny okiem patrzeć na nas z góry,
Imagując, że my, duchy niższe,
W podziwie mamy ich czyny i słowa,
Co im znów wyżej wynosić się każe,
I zachwycenie wzbudzać wciąż od nowa;
Lecz także zmusza, by odkryły twarze,
I myśli swoje szczytne ujawniły.

Samuel Daniel, *The Tragedy of Philotas*

Po wysłuchaniu testamentu w Stone Court pan Vincy wrócił do domu z gruntownie odmienionymi poglądami na wiele spraw. Był to człowiek otwarty, ale miał skłonność do wyrażania swoich emocji w sposób okólny: kiedy rynek na jedwabne wstążki przyniósł mu zawód, klął na chłopca stajennego; kiedy zirytował go szwagier, pan Bulstrode, rzucał zgryźliwe uwagi o metodyzmie; obecnie jasne było, że nieróbstwo syna pobudziło w nim nagle surowość, gdyż cisnął swą haftowaną czapeczką z palami aż na podłogę w hallu.

– Słuchaj no, mój panie – zwrócił się do Freda, gdy ten zbierał się do sypialni. – Liczę, że postanowiłeś już jechać i zdawać egzamin w

przyszłym semestrze. Ja podjąłem moją decyzję i radzę ci, żebyś nie zwlekał ze swoją.

Fred nie odpowiedział: był zbyt przybity. Przed dwudziestu czterema godzinami sądził, że zamiast wiedzieć, co ma robić, będzie wiedział, że nie musi nic robić; że w czerwonej myśliwskiej kurtce, na świetnym hunterze, będzie polował na lisa, będzie objeżdżał ostoje zwierzyny na pierwszorzędnej szkapie, a za to wszystko zostanie obdarzony powszechnym szacunkiem; ponadto że będzie mógł natychmiast spłacić pana Gartha i że Mary nie znajdzie już ani jednego argumentu, by nie wyjść za niego za mąż. I to wszystko miało przyjść bez żadnej nauki czy innych kłopotów, wyłącznie dzięki łasce losu w postaci kaprysu pewnego starszego pana. Teraz jednak, pod koniec tych dwudziestu czterech godzin, wszystkie wspaniałe nadzieje legły w gruzach. I doprawdy, jeszcze ta bieda, że podczas gdy cierpi nad doznanym zawodem, traktowany jest tak, jakby mógł być temu zapobiec. Ruszył jednak do sypialni w milczeniu, a matka ujęła się za nim.

– Nie bądź taki surowy dla tego biedaka, mój drogi. Jeszcze będzie z niego pociecha, chociaż go ten wstrętny człowiek oszukał. Jak tu siedzę, pewna jestem, że będzie z Freda pociecha, inaczej po cóż by wracał do życia znad grobu? I powiadam, że to był rozbój na prostej drodze: przecież obiecywał mu tę ziemię, a obiecywanie to jak dawanie. Czy to nie jest obiecywanie, jak się wszystkim kazało w to wierzyć? I sam widziałeś przecież, że mu zostawił dziesięć tysięcy funtów, a potem zabrał.

– Zabrał – powtórzył z irytacją pan Vincy. – Powiadam ci, że ten chłopak nie ma szczęścia, Lucy. A tyś go zawsze psuła!

– Przecież, mój kochany, to był nasz pierwszy i tyle narobiłeś szumu i hałasu, kiedy się urodził! Taki byłeś dumny, taki dumny! – Pogodny uśmiech bez trudu wrócił na oblicze pani Vincy.

– A kto może przewidzieć, co wyrośnie z takiego niemowlaka. Byłem

głupi, to prawda – powiedział małżonek, ale już łagodniej.

– A kto ma ładniejsze, lepsze dzieci od naszych? Czyj syn mógłby się porównać z naszym Fredem? Kiedy się słyszy, jak on mówi, to od razu można poznać, że był na uniwersytecie. A Rozamunda? Znajdź taką drugą dziewczynę! Może stanąć obok każdej damy w tym kraju i tylko się wyda ładniejsza. Widzisz sam, pan Lydgate obracał się w najwytworniejszym towarzystwie i wszędzie bywał, a w niej się zakochał od pierwszego wejrzenia. Co prawda wołałabym, żeby się Rozamunda nie zaręczała. Mogłaby pojechać gdzieś w odwiedziny, gdzie trafiłaby się jej lepsza partia; myślę o jej szkolnej koleżance, pannie Willoughby. Jej rodzina ma koneksje równie dobre, jak pan Lydgate.

– Niech diabli porwą koneksje! Mam tego wyżej uszu! Nie chcę zięcia, który nie może się rekomendować niczym innym jak koneksjami.

– Cóż to? – zdziwiła się pani Vincy – przecież wydawałeś się taki rad, że trudno bardziej. Co prawda, nie było mnie w domu, ale Rozamunda mówiła, że nie powiedziałeś słowa przeciwko ich zaręczynom. I zaczęła już kupować najlepsze płótno i batyst na swoją bieliznę.

– Nie kupowała z mojej woli – zrzędził pan Vincy. – Będę miał w tym roku bez tego dość kłopotów z tym leniwym hultajem, naszym synem, żeby jeszcze płacić za wyprawę. Czasy są ciężkie, jak dawno nie były: wszyscy naokoło w ruinie, a nie wierzę, żeby Lydgate miał choć pensa. Nie dam zgody na to małżeństwo. Niech zaczekają, tak jak przed nimi czekali starsi.

– Rozamunda źle to przyjmie, a wiesz, że nie potrafisz się jej sprzeciwić.

– Owszem, potrafię. Im szybciej zerwie zaręczyny, tym lepiej. Z tego, jak on sobie poczyna, nie sądzę, żeby umiał przyzwoicie zarobić. Jak słyszę, umie tylko robić sobie wrogów.

– Ale pan Bulstrode ma o nim wysokie mniemanie. Jemu się to

małżeństwo spodoba.

– Diabła tam, spodoba! – zakrzyknął pan Vincy. – Bulstrode nie będzie łożył na ich utrzymanie. A jeśli Lydgate sobie wyobraża, że ja im dam na urządzenie domu, to się myli. Przypuszczam, że niedługo będę się musiał wyzbyć koni. Powtórz lepiej Rozie, co mówiłem.

Pan Vincy nierzadko postępował w ten sposób – najpierw wyrażał jowialnie na coś zgodę, a potem, zrozumiałwszy, że postąpił pochopnie, przekazywał innym przykre zadanie odwołania swojej decyzji. Pani Vincy, która nigdy nie była skłonna przeciwstawiać się woli męża, powtórzyła następnego ranka Rozamundzie, co ojciec powiedział. Słuchała w milczeniu, oglądając jakąś robótkę z muślinu, a gdy matka skończyła, zrobiła wdzięczną szyjką znamieny ruch, który – a mógł to pojąć tylko ktoś z długim doświadczeniem – był wyrazem uporu doskonałego.

– Co ty na to, kochanie? – spytała matka z czułym respektem.

– Tatko wcale tego wszystkiego nie mówi poważnie – oznajmiła spokojnie Rozamunda. – Zawsze powiadał, że pragnie, abym wyszła za człowieka, którego pokocham. I wyjdę za pana Lydgate. Minęło siedem tygodni, odkąd tatko dał swoją zgodę. Mam nadzieję, że uda się nam wynająć dom pani Bretton.

– No cóż, kochanie, sama daj sobie radę z twoim tatkiem. Ty sobie z każdym dasz radę. Ale jeśli mamy kupować adamaszek, to trzeba jechać do Sadlera, będzie w lepszym gatunku niż u Hopkinsa. Zważ tylko, że dom pani Bretton jest wielki, byłabym szczęśliwa, gdybyś mieszkała w takim domu, ale tam potrzeba będzie dużo mebli, dywanów i sprzętów, oprócz stołowizny i szkła. A jak słyszysz, tatuś powiada, że nie da żadnych pieniędzy. Czy myślisz, że pan Lydgate spodziewa się tego?

– Chyba mama nie wyobraża sobie, abym mogła go spytać. Oczywiście, że musi się rozumieć na swoich sprawach.

– Ale on może patrzeć za pieniędzmi, a myśmy się spodziewali, że

dostaniesz spory spadek, i Fred tak samo, a teraz wszystko się zrobiło takie okropne. Trudno się na coś cieszyć, kiedy ten biedaczek taki ma zawód.

– To nie ma nic wspólnego z moim małżeństwem, proszę mamy. Fred musi skończyć z lenistwem. Idę na górę i zabiorę to szycie do panny Morgan, bardzo dobrze robi krzyżykowy obrąbek. I tak sobie myślę, że Mary Garth mogłaby teraz trochę dla mnie popracować. Ona bardzo pięknie szyje – trudno powiedzieć o niej coś lepszego. Chciałabym, żeby wszystkie moje batystowe falbany miały podwójny obrąbek, a na to trzeba tyle czasu.

Wiara pani Vincy, że Rozamunda da sobie radę z tatkiem, była uzasadniona. Poza swoimi przyjęciami i polowaniem na zające, pan Vincy, choć taki buńczuczny, na tyle samo mógł sobie pozwolić, co gdyby był premierem: okoliczności łatwo okazywały się silniejsze od niego, jak to bywa z większością rumianych, jowialnych mężczyzn, okoliczność zaś zwana Rozamundą była szczególnie silna, a to wskutek swej łagodnej uporczywości, która, jak wiemy, pozwala białej, miękkiej, żywej substancji drażyć skałę mimo jej oporu. Tatko nie był skałą: nie miał w sobie żadnej stałości prócz stałych humorzastych impulsów, zwanych czasem przyzwyczajeniami, a to nie sprzyjało przyjęciu przez niego jednej, stanowczej linii postępowania wobec zaręczyn córki, a mianowicie dokładnego sprawdzenia sytuacji finansowej Lydgate’a, powiedzenia młodemu, że nie jest w stanie dać im pieniędzy, i zabronienia im zarówno spieszego ślubu, jak zaręczyn, które będą się musiały przedłużać w nieskończoność. Te słowa brzmiały prosto i łatwo, lecz niemiała decyzja podjęta w chłodnych godzinach poranka spotyka się z równie licznymi przeciwnościami jak poranna szren – jedno i drugie rzadko się ostaje w ciepłych godzinach dnia. Pośrednie, lecz zdecydowane wyrażenie swego zdania, do czego pan Vincy był skłonny, nie wydawało się w tym

wypadku takie łatwe: Lydgate był dumnym człowiekiem, wobec którego żadne aluzje nie wchodziły w grę, a okazywanie gniewu było wykluczone. Pan Vincy czuł wobec niego pewien respekt, trochę mu pochlebiało, że Lydgate chce się żenić z Rozamundą, nieskoro mu było wszczynać rozmowę o pieniądzach, w której jego osobista pozycja musiałaby się okazać nie najlepsza, trochę się obawiał, że poniesie porażkę, mówiąc z człowiekiem lepiej od niego wykształconym i lepiej wychowanym, a trochę bał się zrobić coś, co nie pójdzie w smak jego córce. Pan Vincy najbardziej lubił grać rolę gościnnego gospodarza, którego nikt nie krytykuje. W pierwszej połowie dnia praca nie pozwoliła mu przekazać formalnie swojej negatywnej decyzji; później była kolacja, wino, wist i przyjemny ogólny nastrój. A przez cały ten czas każda godzina zostawiała swój malutki depozyt, składając się stopniowo na ostateczny powód do zaniechania działań, ten mianowicie, że wszelkie działanie było już spóźnione.

Przyjęty wielbiciel spędzał większość wieczorów w domu przy Lowick Gate, a romans, niezależnie od pieniędzy teścia czy spodziewanych dochodów z praktyki lekarskiej, kwitł tuż pod okiem pana Vincy. Och, ta młodzieńcza miłość, pajęcza nić! Wszystko, do czego przyłgnie – miejsca, w które się subtelnie wplecie, jest ledwie dostrzegalne... muśnięcie czubków palców, zetknięcie promieni padających z błękitnych i z ciemnych oczu, niedokończone zdania, najdrobniejsze zmiany linii policzka czy ust, najłżejsze drżenie. Ta nić uprzedzona jest z samorzutnej wiary i nieokreślonych radości, tęsknoty jednego życia ku drugiemu, z wizji doskonałości, z bezkresnego zaufania. I Lydgate zabrał się zaskakująco szybko do przedzenia tej nici snutej skądś, z własnej jaźni, pomimo iż dramat z Laurą miał tego rodzaju doświadczeniom położyć kres, i pomimo medycyny i biologii; stwierdzono już bowiem, że badanie zmacerowanego mięśnia lub oczu podanych na półmisku (jak oczu

świętej Łucji), albo też innego rodzaju dociekania naukowe łatwiej się godzą z poetycką miłością niż wrodzona tępota lub żywe upodobanie do lichej prozy. Jeśli zaś idzie o Rozamundę, była niby otwierająca się biała lilia wodna, zadziwiona swoim coraz to pełniejszym życiem – i równie pilnie przędła wspólną nić. Wszystko to działo się w kąciку salonu, koło pianina, i choć było tak delikatne, tworzyło wokół nich coś w rodzaju tęczy, widzialnej dla wielu, nie tylko pastora Farebrothera. Pewność, że panna Vincy i pan Lydgate są zaręczeni, była w Middlemarch powszechna i zbędne były formalne ogłoszenia.

Ciotka Bulstrode ponownie poczuła przypływ niepokoju, tym razem jednak zwróciła się do brata; poszła do magazynów, unikając w ten sposób lekkomyślnej bratowej. Odpowiedzi pana Vincy nie były jednak zadowolające.

– Przecież nie powiesz mi, bracie, że pozwoliłeś na to wszystko, nie sprawdzisz uprzednio, jakie widoki ma pan Lydgate? – mówiła, otwierając z jeszcze większą powagą oczy na brata, który był w sztywnym, roboczym humorze. – Pomyśl o tej dziewczynie, wychowanej w luksusie, w sposób aż nazbyt światowy, co mówię z przykrością. Jak ona da sobie radę bez pieniędzy?

– Och, niech to licho, Harriet, a co ja poradzę na to, że ludzie przyjeżdżają do tego miasta, nie pytając mnie o pozwolenie. Czy ty zamknęłaś dom przed Lydgate'em? Bulstrode bardziej go forytował niż ktokolwiek inny. Ja tam nigdy nie robiłem koło niego szumu. Powinnaś iść i porozmawiać z własnym mężem, nie ze mną.

– Ależ mój drogi, dlaczego miałabym winić mojego męża? Jestem pewna, że on nie życzyłby sobie tych zaręczyn.

– Och, gdyby twój mąż go nie protegował, nigdy bym go do siebie nie zapraszała.

– Przecież go poprosiłeś, żeby leczył Freda, i pewna jestem, że to była

łaska Opatrzności. – Pani Bulstrode osłabiła nieco swój wywód wskutek zawiłości problemu.

– Nic mi nie wiadomo o łasce Opatrzności – odparł pan Vincy zgrzybliwie. – Wiem tylko, że mam za dużo zmartwień z moją rodziną. Byłem ci dobrym bratem, Harriet, nim wyszłaś za mąż za Bulstrode’a, i muszę powiedzieć, że on nie zawsze okazuje twojej rodzinie taką życzliwość, jakiej można by po nim oczekiwać.

Pan Vincy w niczym nie przypominał jezuitę, ale żaden wykształcony jezuita nie odwróciłby zręcznie pytania. Harriet musiała teraz bronić swego męża, zamiast oskarżać brata, i rozmowa skończyła się równie daleko od punktu, w którym się zaczęła, jak podczas niedawnych docinków obu szwagrów na zebraniu komitetu parafialnego.

Pani Bulstrode nie powtórzyła mężowi wymówek, jakie usłyszała od brata, lecz wieczorem zaczęła rozmowę o Rozamundzie i doktorze. Pan Bulstrode nie okazał tak gorącego zainteresowania jak ona i mówił tylko z rezygnacją o ryzyku, jakie towarzyszy początkom praktyki lekarskiej, oraz o potrzebie roztropności.

– Niewątpliwie powinniśmy się modlić za tę bezmyślną dziewczynę, którą tak niewłaściwie wychowano. – Pani Bulstrode pragnęła rozbudzić w mężu jakieś uczucia.

– Istotnie, moja droga – przytaknął pan Bulstrode. – Ci, co za nic mają doczesność, niewiele mogą uczynić, aby powstrzymać od błędu tych, którzy uparcie obstają przy ziemskich wartościach. Do tej myśli musimy przywyknąć w odniesieniu do rodziny twego brata. Mógłbym być życzliwy sobie, by pan Lydgate nie wchodził w ten związek, moje stosunki z nim jednak ograniczone są do takiego wykorzystywania jego umiejętności dla chwały bożej, jak nas tego naucza Opatrzność poprzez każde swoje zrządzenie.

Pani Bulstrode zamilkła, a pewien niedosyt, jaki odczuła, przypisała

brakowi wewnętrznego uduchowienia. Uważała, że jej małżonek należy do tych mężczyzn, których pamiętniki należałoby spisywać po śmierci.

Jeśli zaś idzie o samego doktora Lydgate, to gotów był, gdy już został przyjęty, do przyjęcia z kolei wszelkich konsekwencji, które jak uważał, rysowały się przed nim bardzo jasno. Musi, oczywista, wziąć ślub w ciągu roku – może nawet za pół roku. Nie było to dotychczas jego zamiarem, ale przecież małżeństwo nie stanie na przeszkodzie dawnym planom – trzeba je będzie tylko dostosować. Ślub muszą poprzedzić, rzecz jasna, zwykłe przygotowania. Należy wynająć dom zamiast pokoi, które dotychczas zajmował; usłyszawszy, jak Rozamunda mówi z zachwytem o domu starej pani Bretton (położonym przy Lowick Gate), przypilnował sprawy, gdy po śmierci staruszki dom wystawiono do wynajęcia, i niezwłocznie przystąpił do pertraktacji.

Robił to wszystko jakby od niechcenia, podobnie jak dawał krawcowi dyspozycje co do każdego szczegółu, niezbędnego w dobrze skrojonym ubraniu, nie mając poczucia rozrzutności. Wprost przeciwnie, ostentacyjna ekstrawagancja budziłaby jego awersję. Wykonywany zawód pozwolił mu z bliska poznać wszystkie stopnie biedy i doktor Lydgate bardzo się troskał o tych, którzy cierpieli niedostatek. Zachowywałby się bez zarzutu przy stole, na którym sos podany byłby w sosjerce ze stłuczoną rączką, i nie pamiętałby z wytwornego obiadu nic ponad to, że był tam ktoś, kto ciekawie mówił. Ale nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że mógłby żyć na innym poziomie niż ten, który uważał za oczywisty, to znaczy z zielonymi kieliszkami do reńskiego wina oraz dobrą usługą przy stole. Francuskie teorie społeczne, do których się tak zapalił, nie zostawiły na nim blizn po oparzeniach. Człowiek może bezkarnie wygłaszać najbardziej radykalne opinie, jeśli umeblowanie jego domu, przyjęcia, jakie wydaje, oraz przywileje herbowe wiążą go nierozzerwalnie z istniejącym porządkiem. A Lydgate nie skłaniał się ku opiniom radykalnym; nie mógłby smakować

w jakichś bosych doktrynach, gdyż był bardzo wymagający, jeśli idzie o obuwie: nie był radykałem w żadnych sprawach z wyjątkiem reformy medycznej oraz konieczności dokonywania odkryć. W pozostałych dziedzinach praktycznego życia postępował zgodnie z odziedziczonymi przyzwyczajeniami – po części wiedziony dumą osobistą i bezmyślnym egoizmem, który określiłem już mianem pospolitości, a po części ową naiwnością, typową u ludzi całkowicie pochłoniętych wybraną problematyką.

Jedyne rozterki wewnętrzne, jakie miewał Lydgate wskutek tych zawartych z nagłą zaręczyn, związane były bardziej z brakiem czasu niż pieniędzy. Niewątpliwie fakt, że się jest zakochanym i wciąż wyczekiwany przez kogoś, kto zawsze okazuje się ładniejszy, niż to przedstawiała pamięć, bardzo przeszkadza w pilnym wykorzystywaniu wolnego czasu, który „jakiemuś pracowitemu jak mrówka Niemcowi” mógłby posłużyć do dokonania ogromnego, wiekopomnego odkrycia. Był to w istocie argument za tym, by nie zwlekać ze ślubem, jak to wyjaśnił pewnego dnia pastorowi Farebrotherowi, który przyszedł do niego z jakimiś stworami ze stawu, chciał je bowiem obejrzyć pod lepszym niż własny mikroskopem, a znalazłszy przyrządy badawcze i okazy przyjaciela w nieładzie, zauważył zgryźliwie:

– Eros wyrodniej: zaczął od wprowadzania ładu i harmonii, a teraz sprowadza znów chaos.

– Tak, na pewnych etapach – przyznał Lydgate, podnosząc z uśmiechem brwi i ustawiając mikroskop. – Ale później wszystko uporządkuje.

– Już niedługo? – zapytał pastor.

– Naprawdę, mam nadzieję, że niedługo. Taki nieokreślony stan rzeczy pochłania masę czasu, a dla człowieka, który ma pociąg do nauki, każda chwila jest okazją. Jestem przekonany, że dla kogoś, kto chce systematycznie pracować, małżeństwo to najlepsze rozwiązanie. Ma

wówczas wszystko w domu, i koniec z docinkami na jego osobiste tematy. Może mieć spokój i swobodę.

– Doprawdy, godnyś pan zazdrości – zauważył pastor – mając takie widoki: Rozamunda, spokój i swoboda, wszystko do usług. A tu tylko jaz moją fajką i żyjątkami ze stawu. No, jak tam z tym mikroskopem?

Lydgate nie wspomniał pastorowi o jeszcze jednej przyczynie, dla której pragnął skrócenia okresu zaręczyn. Irytowało go, mimo iż głowę miał pełną uczucia, że musi tak wiele przebywać z resztą rodziny Vincych, wysłuchiwać niezliczonych miasteczkowych plotek, brać udział w przedłużających się kolacjach, grze w wista i ogólnej czezej gadaninie. Musiał okazywać grzeczność, gdy pan Vincy zadawał pytania, świadczące jawnie o ignorancji, zwłaszcza dotyczące napitków, które najlepiej konserwują od środka i chronią przed skutkami złego powietrza. W otwartości i prostocie pani Vincy nie krył się najmniejszy cień podejrzliwości, że może nieco razić gust swego przyszłego zięcia. Wszystko razem wzięwszy, doktor musiał przyznać, iż wchodząc do rodziny Rozamundy, nieco się zniził. Ta niezwykła istota jednak cierpiała z tych samych powodów, toteż jedno było przynajmniej cudowne – mianowicie, iż poślubiając ją, dokonał przeszczepu, którego ona tak bardzo pragnie.

– Kochanie – odezwał się łagodnie pewnego wieczora, siadając przy niej i spoglądając z bliska w jej oczy.

Muszę jednak powiedzieć wprzód, że zastał ją samą w salonie, gdzie wielkie staroświeckie okno, zajmujące niemal całą ścianę, otwarte było na letnie wonie, dochodzące z ogrodu za domem. Rodzice wyszli na przyjęcie, reszta rodziny była w ogrodzie, wśród motyli.

– Kochanie, masz czerwone powieki!

– Naprawdę? Skądże by? – Nie leżało w naturze Rozamundy występować samej z żalami czy życzeniami. Wypowiadała je z wdziękiem

dopiero na prośbę.

– Jakbyś mogła cokolwiek przede mną ukryć – Lydgate czule położył dłoń na jej rękach. – Przecież widzę malutką kropelkę na rzesach. Coś cię martwi i nie chcesz mi powiedzieć co. Tak nie robi ktoś, kto kocha.

– Po cóż miałabym ci mówić o czymś, czego nie możesz odmienić? To są rzeczy codzienne, może ostatnio było trochę gorzej.

– Rodzinne kłopoty? Nie obawiaj się o nich mówić. Zgaduję, co to takiego.

– Tato ostatnio jeszcze bardziej jest skory do gniewu. Fred go martwi, a dziś rano była znowu kłótnia, bo Fred grozi, że zrezygnuje ze swego wykształcenia i będzie robił coś, co jest poniżej jego godności. A poza tym...

Rozamunda zawahała się, a na jej policzkach zaczął wzbierać delikatny rumieniec. Od dnia ich zaręczyn Lydgate nie widział jej tak zakłopotanej i nie kochał jej tak gorąco jak w tej chwili. Leciutko pocałował niepewne wargi, jakby zachęcając ją do wypowiedzi.

– Wydaje mi się, że tato nie bardzo jest rad z naszych zaręczyn – ciągnęła niemal szeptem – i mówił wczoraj wieczorem, że będzie musiał koniecznie z tobą porozmawiać i powiedzieć, że musimy ich zaniechać.

– Czy ty ich zaniechasz? – W głosie Lydgate'a zabrzmiała porywczosć, niemal gniew.

– Nigdy nie rezygnuję z czegoś, co sobie postanowiłam. – Po dotknięciu tej struny Rozamundzie wrócił spokój.

– Bóg ci zapłaci – zawołał Lydgate, znowu ją całując. Ta stałość intencji, właściwych intencji, była wprost cudowna! Mówił więc dalej: – Za późno już, by twój ojciec kazał nam zrezygnować z zaręczyn. Jesteś pełnoletnia, a ja uważam, że już jesteś moja. Jeśli dzieje się coś, co ci sprawia przykrość, to tylko powód, by przyspieszyć ślub.

Szczerzy zachwyty załśnił w niebieskich oczach, które napotkały jego

wzrok, a ta promienistość zdawała się rozświetlać całą jego przyszłość łagodnym słonecznym światłem. Idealne szczęście (takie, jakie się zna z *Księgi tysiąca i jednej nocy*, kiedy to z ulicznego trudu i zgiełku przechodzi się do raju, gdzie wszystko człowiekowi jest dane, a o nic się nie prosi) wydawało się sprawą, na którą trzeba czekać jeszcze tylko kilka tygodni.

– Czemu mielibyśmy zwlekać – nalegał gorąco. – Wynająłem już dom; wszystko inne można szybko przygotować, prawda? Przecież nie będziesz się kłopotać o nowe suknie. Można je kupić później.

– Jakie to oryginalne pomysły mają mądrzy panowie. – Dołączki w buzi Rozamundy pogłębiły się, gdy serdeczniej niż zwykle śmiała się z tego zabawnego nonsensu. – Pierwszy raz w życiu słyszę, by wyprawę ślubną kupować po ślubie.

– Chyba nie będziesz chciała, bym czekał miesiącami z powodu sukien? – Myślał, jak ładnie ona go dręczy, i jednocześnie trochę się lękał, że może naprawdę się obawia śpiesznego małżeństwa. – Pamiętaj, że spodziewamy się większego szczęścia niż to, które mamy dzisiaj. Chcemy być razem, bez żadnej zależności od innych, i układać życie wedle własnej woli. No, kochanie, powiedz mi, ile czasu trzeba, żebyś mogła zostać moją bez reszty?

W głosie młodego człowieka zabrzmiała poważna prośba, jakby uważał, że ta niepojęta zwłoka będzie jego krzywdą.

Rozamunda również spoważniała i zamyśliła się nieco: w gruncie rzeczy przebiegała myślą zawile kwestie koronkowych wykończeń, trykotażu i plisowanych halek, pragnąc dać odpowiedź choćby w przybliżeniu.

– Sześć tygodni to aż nadto. Powiedz: tak, Rozamundo – nalegał Lydgate, uwalniając jej dłonie, by objąć ją delikatnie ramieniem.

Jedna drobna rączka uniosła się natychmiast, by przyglądzić włosy, a szyja wygięła się w zamyśleniu, gdy Rozamunda mówiła poważnie:

– Trzeba będzie jeszcze przygotować bieliznę pościelową i stołową, no i meble. Ale mama mogłaby tego dopatrzeć po naszym wyjeździe.

– Tak, oczywiście, musimy wyjechać na jakiś tydzień.

– Och, na dłużej – powiedziała z przekonaniem.

Myślała właśnie o sukniach wieczorowych na wizytę u sir Godwina Lydgate, o której sekretnie marzyła, sądząc, że wypełni im w cudowny sposób co najmniej ćwierć miodowego miesiąca, nawet jeśli to miało opóźnić przedstawienie jej wujowi, który był doktorem teologii (równie satysfakcjonująca, choć bardziej stateczna pozycja społeczna, jeśli wspiera ją urodzenie). Mówiąc to, spojrzała na ukochanego z pełnym zdumienia wyrzutem, a on chętnie zrozumiał, że pragnęłaby pewno przedłużyć okres słodkiej samotności we dwoje.

– Jak sobie życzysz, kochanie, tylko ustalmy datę ślubu. Przyjmijmy zdecydowaną postawę, żeby położyć kres przykrej sytuacji, jaka ci na pewno doskwiera. Sześć tygodni. Pewien jestem, że to czasu aż nadto.

– Mogłabym niewątpliwie przyspieszyć przygotowania. Wobec tego, czy powiesz o tym tacie? Myślę, że najlepiej byłoby napisać do niego. – Zarumieniła się i patrzała na narzeczonego tak, jak patrzą na nas kwiaty w ogrodzie, kiedy przechadzamy się wśród nich beztróska w zmiennym świetle zmierzchu: czyż w tych delikatnych płatkach, co pałają i roztaczają wonie z głębi najintensywniejszych barw, nie kryje się dusza – ni to nimfa, ni dziecko?

Dotknął wargami jej ucha i skrawka szyi pod uchem i siedzieli tak w ciszy przez długie minuty, które płynęły mimo nich, jak mały szemrzący strumyczek, całowany przez słońce. Rozamunda myślała, że nikt nie może być bardziej zakochany niż ona, Lydgate zaś, że po wszystkich szalonych pomyłkach i bezsensownej niedorzecznej łatwowierności znalazł wreszcie kobiecą doskonałość – miał takie wrażenie, jakby już był obdarzony tym cudownym małżeńskim uczuciem, jakiego doznaje się

od istoty wielce ogładzonej, która uwielbia wzniosłe marzenia i doniosłą pracę męża i nigdy nie będzie się do nich wtrącała, która zaprowadzi w domu ład, a rachunki robić będzie ze spokojnym wdziękiem, jednocześnie zaś palce będzie miała gotowe do lutni, zdolna w każdym momencie przemienić życie w romans; która została wykształcona do granic, na jakie zezwala kobiecość, i ani o włos więcej – jest więc uległa i gotowa wykonywać polecenia dawane spoza tych granic. Wydawało się teraz bardziej niż kiedykolwiek oczywiste, że jego pomysł, by pozostawać dłużej kawalerem, to błąd; małżeństwo nie stanie się przeszkodą, lecz pomocą. I kiedy następnego dnia całkiem przypadkowo towarzyszył swemu pacjentowi do Brassing i zobaczył tam zastawę stołową, która wydała mu się najodpowiedniejsza w świecie – kupił ją natychmiast. Robienie takich zakupów zaraz, gdy to przyjdzie człowiekowi do głowy, to wielka oszczędność czasu, a Lydgate nie znosił brzydkiej porcelany. Zastawa, o której mowa, była droga, ale taka zapewne jest natura zastaw stołowych. Urządzenie domu jest z konieczności dużym wydatkiem, no, ale robi się to przecież tylko raz.

– Musi być śliczna – stwierdziła pani Vincy, gdy Lydgate wspomniał o swoim zakupie, rzuciwszy kilka słów o wyglądzie zastawy. – Akurat taka, jaką Roza powinna mieć. Mam w Opatrzności nadzieję, że się nie potłucze.

– Trzeba nająć taką służbę, która niczego nie tłucze – odparł młody człowiek. (Było to w istocie rozumowanie zakładające niewłaściwą kolejność następstw. W tym jednak okresie wszelkie sposoby rozumowania były mniej lub bardziej aprobowane przez ludzi nauki).

Nie było, rzecz jasna, potrzeby skrywać czegokolwiek przed mamą, która zawsze lubiła pogodnie patrzeć na świat, a że sama była szczęśliwą żoną, widziała w małżeństwie córki jedynie powód do dumy. Rozamunda miała jednak słuszość, podsuwając narzeczonemu myśl, by zwrócił się

do tatka listownie. Przygotowała pana Vincy na ten list, odprowadzając go następnego dnia do magazynów i mówiąc po drodze, że pan Lydgate pragnie, by ślub odbył się niedługo.

– Nedorzecznosc, moja droga – obruszył się ojciec. – A co on ma, żeby się żenić? Lepiej dałabyś pokój tym zaręczynom. Mówiłem ci to już jasno nieraz. A po co by ci było takie wykształcenie? Żeby wychodzić za mąż za biedaka? Przykro byłoby ojcu patrzeć na coś podobnego!

– Pan Lydgate nie jest biedakiem, tatku. Kupił praktykę doktora Peacocka, która jak powiadają, warta jest osiemset albo dziewięćset funtów rocznie.

– Bzdura, zupełna bzdura. A co to takiego: kupowanie praktyki? Równie dobrze może kupić przyszłoroczny śnieg. Przeleci mu to między palcami.

– Wprost przeciwnie, tatku, on tę praktykę powiększy. Widział już tatko, że go wzywali do Chettamów i Casaubonów.

– Ufam, że wie, że ja nie dam ani pensa... po tym zawodzie z Fredem... i jeszcze Parlament ma się rozwiązać, i wszędzie naokoło rozbijają maszyny, i idą wybory...

– Tatku, a cóż to ma wspólnego z moim małżeństwem?

– Bardzo dużo! Z tego, co wiem, może nas wszystkich czekać ruina. W takim stanie jest kraj! Powiadają niektórzy, że wygląda na koniec świata i niech mnie powiesz, jeśli ja sam nie myślę, że do tego zmierza. Tak czy inaczej, to nie jest czas, żebym mógł wyciągnąć jakieś pieniądze z przedsiębiorstwa, i chciałbym, żeby Lydgate o tym wiedział.

– Pewna jestem, że on niczego nie oczekuje, tatku. I ma takie wysokie koneksje: z pewnością się wybije w ten czy inny sposób. Pracuje nad odkryciami naukowymi.

Pan Vincy milczał.

– Nie mogę zrezygnować z jedynej nadziei na szczęście, jaką mam,

tatku. Pan Lydgate jest dżentelmenem. Nie mogłabym nigdy pokochać kogoś, kto nie byłby dżentelmenem w każdym calu. Nie chciałby tatko, żebym dostała suchot, jak Arabella Hawley. I tatko wie, że ja nigdy nie zmieniam zdania.

Ojciec nadal milczał.

– Niech tatko obieca, że przystanie na naszą prośbę. My się nigdy nie wyrzekniemy siebie nawzajem; i tatko wie, że sam zawsze był przeciwny długim zaręczynom i późnym małżeństwom.

Jeszcze trochę takich nalegań, aż wreszcie ojciec powiedział:

– No dobrze, córeczko, najpierw on musi do mnie napisać, nim mu odpowiem – i Rozamunda była już pewna, że postawiła na swoim.

Odpowiedź pana Vincy sprowadzała się do tego, by Lydgate ubezpieczył się na życie, które to życzenie zostało natychmiast spełnione. Byłoby to krzepiące rozwiązanie w wypadku, gdyby Lydgate zmarł, do tego czasu jednak nie rozwiązywało niczego. Lecz zdawałoby się, że zlikwidowało problemy wyrosłe wokół ślubu Rozamundy; dokonywano niezbędnych zakupów z dużym zapalem. Ale i nie bez rozwagi. Panna młoda (która ma złożyć wizytę baronetowi) musi mieć kilka chusteczek najlepszej jakości. Rozamunda jednak zadowoliliła się – poza absolutnie niezbędnym pół tuzinem – resztą zdobioną niezbyt wyszukany haftem i walansjenkami w nie najlepszym gatunku. A również Lydgate, który stwierdził, że osiemset funtów dobrze już od przyjazdu do Middlemarch stopniało, pohamował chęć wybrania srebra stołowego bardzo starego wzoru, które pokazano mu w firmie Kibble w Brassing, gdzie pojechał kupić sztukę. Zbyt dumny, by postępować tak, jakby przypuszczał, że pan Vincy wyłoży pieniądze na meble, i chociaż pozostawiał trochę rachunków niezapłaconych, jako że nie musiał płacić z góry za wszystko, nie tracił czasu na domysły, ile przyszły teść da w posagu, by ułatwić owych rachunków spłatę. Nie miał zamiaru pozwalać sobie na żadne

ekstrawagancje, ale konieczne rzeczy kupić trzeba, a kupowanie ich w złym gatunku to marnotrawstwo. Wszystko to robił jakby mimochodem. Uważał, że winien się gorliwie poświęcać dwom tylko celom: nauce i swemu zawodowi, nie mógł sobie jednak wyobrazić, by mógł się im poświęcać w takim domu, jaki miał doktor Wrench – wszystkie drzwi stojące otworem, wytarte ceraty, dzieci w brudnych fartuszkach, spóźniony obiad – same kości – noże z czarną rączką i tania porcelana w chiński wzorek. Ale doktor Wrench miał nieszczęsną, flegmatyczną żonę, która w domu wyglądała jak mumia, okutana w wielki szal: zaczynał zapewne od niewłaściwie dobranego wyposażenia domu.

Rozamunda zaś była pochłonięta snuciem różnych przypuszczeń, choć bystra, naśladowcza inteligencja przestrzegała ją przed ujawnieniem ich bez obsłonek.

– Tak bardzo chciałabym poznać twoją rodzinę – powiedziała pewnego dnia, gdy omawiali podróż poślubną. – Może moglibyśmy obrać kierunek, który pozwoliłby nam ich odwiedzić w drodze powrotnej? Którego ze swych stryjów najbardziej lubisz?

– Ooo... Chyba stryja Godwina. To zacny staruszek.

– Mieszkałeś stale w jego domu, w Quillingham, kiedy byłeś chłopcem, prawda? Tak bym chciała zobaczyć te dawne miejsca i wszystko, do czego przywykłeś. Czy on wie, że się żenisz?

– Nie – odparł beztrzesko Lydgate i obracając się na krześle, przejechał palcami czuprynę pod włos.

– Napiszże do niego, ty wstrętny, wyrodny bratanku. Może cię poprosi, żebyś mnie przywiózł do Quillingham: mógłbyś mi wtedy pokazać okolice, a ja mogłabym sobie wyobrazić ciebie, kiedy byłeś chłopcem. Pamiętaj, że ty oglądasz mnie w moim domu, w którym się wychowałam od dziecka. To byłoby niesprawiedliwe, gdybym nie poznała twojego. Ale może trochę byś się mnie wstydził. Zapomniałam!

Lydgate uśmiechnął się do niej czule i przyznał w duszy, że duma i przyjemność, płynąca z możliwości przedstawienia tak uroczej oblubienicy, warta jest pewnego zachodu. A kiedy już raz zaczął o tym myśleć, doszedł do wniosku, że miło by było obejrzeć z Rozamundą stare kąty.

– Napiszę do niego. Ale moi stryjeczni bracia to straszni nudziarze.

Rozamundzie wydawało się cudowne, że można tak lekceważąco mówić o rodzinie baroneta; a otwierająca się przed nią perspektywa wydania podobnie wzgardliwej oceny na własny rachunek sprawiała jej szczególną satysfakcję.

Kilka dni później mama omal nie zepsuła wszystkiego, mówiąc:

– Mam nadzieję, że pański stryjczek, sir Godwin, nie będzie spoglądał na Rozę z góry. I liczę, że okaże się szczodry. Cóż to jest dla baroneta tysiąc czy dwa tysiące funtów.

– Mamo! – zawołała Rozamunda, oblewając się pąsem. Lydgate zaś poczuł dla niej tyle współczucia, że nie odpowiedział, i udając roztargnienie, odszedł w przeciwległy kąt pokoju, by obejrzeć z zainteresowaniem jakiś sztych. Później mama dostała od córki reprimendę, którą przyjęła potulnie jak zwykle. Rozamunda jednak doszła do wniosku, że gdyby którykolwiek z tych stryjecznych braci, co są tacy nudni, został nakłoniony do odwiedzenia Middlemarch, dopatrzyłby się w jej rodzinie wielu szokujących cech. Byłoby więc pożądane, by z czasem Lydgate dostał jakieś znakomite stanowisko gdzieś poza Middlemarch, co nie powinno być trudne dla człowieka, który ma utytułowanego stryjaszka i dokonuje odkryć. Lydgate bowiem, widzicie, opowiadał był z żarem Rozamundzie o nadziejach, jakie wiąże z najwznioślejszymi celami swego życia – myśląc jednocześnie, jakie to cudowne, gdy słucha człowieka istota, która da mu pełne i słodkie wsparcie swego uczucia – urody – spokoju – taką pomoc, jaką uzyskują nasze myśli z letniego nieba i ukwieconych łąk.

Lydgate polegał bardzo na psychologicznej różnicy pomiędzy tym, co dla odmiany nazwę gęsią i gąsiorem; zwłaszcza na przyrodzonej uległości gęsi, stanowiącej piękny odpowiednik siły gąsiora.

ROZDZIAŁ XXXVII

Po trzykroć jest szczęśliwa ta, co w sercu swoim
Ma taką ciszę błogą, taką stałość w duszy,
Że ani ją pokusa przejmie niepokojem,
Ani przed gorszym losem obawa ją wzruszy,
Lecz niby statek krzepki pośród wodnej głuszy
Równo tnie morskie fale i z kursu nie zboczy,
Chociaż straszliwa burza świat cały rozkruszy,
Albo pogoda cudna wdzięki swe roztoczy,
Nie budzą w niej przestachu zawistników oczy,
Faworów u przyjaciół się nie dopomina;
Ufnością swoją silna, własną drogą kroczy
I uczuć ni ku jednym, ni drugim nie zgina.
O, jakże jest szczęśliwa, tak spokojna w wierze,
Lecz ten szczęśliwszy jeszcze, kogo kocha szczerze.

Edmund Spenser, z cyklu *Amoretti*, sonet

LIX

Wspomniana przez pana Vincy niepewność co do tego, czy nadchodzą tylko wybory powszechne, czy też koniec świata – teraz, kiedy Jerzy Czwarty zmarł, Parlament został rozwiązany, Wellington i Peel stracili w oczach społeczeństwa^[66], a nowy król przepraszał, że żyje – stanowi słaby przykład, jak zdeorientowana była prowincjonalna opinia publiczna w tych czasach. Jakże mógł człowiek na wsi, przy świetle robaczków świętojańskich, odnaleźć własne myśli w panującym zamięcie, [66] Obaj wypowiedzieli się przeciwko reformie wyborczej 1830 r.

kiedy to torysowski gabinet podejmował liberalne kroki, torysowscy karmazyni i elektorzy bardziej starali się uchodzić za liberałów niż sojuszników ministrów zaprzańców i kiedy rozlegały się wołania o naprawę, mające, zdawałoby się, jakiś daleki, tajemni czy wpływ na sprawy prywatne, a nabierające podejrzanych cech, gdy zaczęli za nimi orędownać niesympatyczni sąsiedzi. Czytelnicy miejscowych gazet w Middlemarch znaleźli się w absurdalnej sytuacji: w czasach agitacji w Kwestii Katolickiej wielu zarzuciło czytanie *Pioniera* – który nosił motto z Charlesa Jamesa Foxa^[67] i był w awangardzie postępu – ponieważ wziął był stronę Peela w sprawie papistów, kalając w ten sposób swój liberalizm tolerancją wobec jezuitów i Baala; nie bardzo im jednak odpowiadała i *Trąbka*, która, po podniesieniu larum przeciw Rzymowi, teraz, w sytuacji całkowitego uwiadu opinii publicznej (jako że nikt nie wiedział, kto kogo będzie popierał), trąbiła coraz słabiej.

Był to moment – jak głosił pewien zwracający uwagę artykuł w *Pionierze* – kiedy bijące w oczy potrzeby kraju mogą przeważyc niechęć do działalności publicznej ludzi, których umysły cechuje, wskutek nabytego doświadczenia, zarówno szerokość horyzontu, jak umiejętność koncentracji, szybkość sądu, jak i tolerancja, powściągliwość, jak i energia – w istocie te wszystkie cechy, które – o czym świadczy smutne doświadczenie ludzkości – mają najmniejsze upodobanie do wspólnego zamieszkiwania.

Pan Hackbutt, którego potoczysta mowa płynęła szerszym niż dotychczas strumieniem, pozostawiając duże wątpliwości co do kierunku, jaki ostatecznie obierze, powiedział podobno w kancelarii pana Hawleya, że ów artykuł „wywodzi się” od Brooke’a z Tipton i że Brooke przed kilkoma miesiącami kupił po cichu *Pioniera*.

– A to znaczy bieda – stwierdził pan Hawley. – Najpierw się tu włóczył

[67] Charles James Fox (1749-1806) – liberalny polityk i reformator.

jak zbląkany żółw, a teraz przyszła mu ochota zdobywać popularność. Żle na tym wyjdzie. Mam go na oku od jakiegoś czasu. Jeszcze mu zaleją sadła za skórę. To zły dziedzic. Jaki ma interes stary ziemianin w tym, żeby nadskakiwać pospolitym granatowym^[68] wyborcom? A jeśli idzie o tę gazetę, to tylko liczę, że sam będzie do niej pisał. Warta będzie naszych pieniędzy.

– Słyszałem, że ma na redaktora jakiegoś bardzo inteligentnego młodego człowieka, który potrafi pisać wstępne artykuły w najlepszym stylu, nie gorsze niż te w londyńskich gazetach. I chce bardzo obstawać za reformą.

– Niech najpierw zreformuje swoją listę czynszową. To przekłety stary sknera, wszystkie budynki na jego ziemiach walą się w ruinę. A ten młody człowiek to pewno jakiś hultaj z Londynu.

– Nazywa się Ladislaw. Powiadają, że cudzoziemskiego pochodzenia.

– Znam ja takich – oznajmił pan Hawley. – Pewno czyjś agent. Zacznie od wzniosłych słów na temat praw człowieka, a skończy na morderstwie jakiejś dziewczyny. Tacy już oni są.

– Jednakowoż musi pan przyznać, że dzieją się rzeczy niewłaściwe.

– Pan Hackbutt przewidywał różnice zapatrywań politycznych między sobą a swoim adwokatem. – Osobiście nigdy nie popierałbym nieumiarkowanych poglądów, w gruncie rzeczy zajmuję takie samo stanowisko jak Huskisson^[69], ale nie mogę być ślepy na wzgląd, jakim jest brak reprezentacji dużych miast...

– A niech diabli wezmą duże miasta! – zakrzyknął pan Hawley, nieciekaw wyводу. – Za dużo wiem o wyborach w Middlemarch. Niech

[68] Granatowy był kolorem liberałów walczących w wyborach z niebieskimi torysami.

[69] William Huskisson – polityk torysowski, umiarkowany reformator.

jutro unieważnią wszystkie kieszonkowe okręgi^[70] i wciągną na listę wszystkie te miasta, co wyrosły jak grzyby po deszczu, a tylko podniosą koszty wejścia do Parlamentu. Ja tam opieram się na faktach.

Oburzenie pana Hawleya na wiadomość, że *Pioniera* wydawać będzie cudzoziemski agent i że Brooke bierze się czynnie do polityki – jakby żółw o amorficznych dotąd zainteresowaniach wysunął ambitnie małą główkę i przyjął pozycję zaczepną – było niczym w porównaniu z irytacją niektórych członków rodziny właściciela Tipton Grange. Wiadomości zaczęły się powoli rozchodzić, niby odkrycie, że sąsiad założył tuż obok nas jakąś paskudną fabrykę i nic nie można na to poradzić z prawnego punktu widzenia. *Pionier* został zakupiony sekretnie jeszcze przed przyjazdem Willa Ladislawa, gdy nadarzyła się oczekiwana sposobność, a mianowicie właściciel postanowił się wyzbyć tej cennej nieruchomości, ponieważ nie przynosiła dochodu. W okresie poprzedzającym wysłanie zaproszenia do Willa, w głowie pana Brooke zaczęły kiełkować skrycie zarodki pomysłu, by wreszcie pokazać światu, co potrafi, pomysłu, który hodował w duszy od młodych lat, a który dotychczas spoczywał pod korcem.

Dodatkowego impulsu nadał sprawie fakt, że pan Brooke zachwycił się swoim gościem, i to ponad spodziewanie. Wydawało się bowiem, że Will nie tylko porusza się swobodnie wśród tych wszystkich problemów malarstwa i literatury, którymi pan Brooke zajmował się w swoim czasie, lecz jest również zaskakująco dojrzały do tego, by wnikać w istotne problemy sytuacji politycznej i podjąć je w owym swobodnym, szlachetnym duchu, który, wsparty odpowiednio dobrą pamięcią, wypowiada się w cytatach i proponuje skuteczne remedia.

– On mi się wydaje kimś w rodzaju Shelleya. – Pan Brooke wykorzystał

[70] Kieszonkowe okręgi wyborcze – okręgi w dyspozycji jednego człowieka lub jednej rodziny.

okazję, by zrobić przyjemność panu Casaubonowi. – Nie mam, oczywiście, na myśli czegoś niestosownego: swobody obyczajów czy ateizmu, czy takich rzeczy, jestem pewny, że jego przekonania są właściwe pod każdym względem. Doprawdy, wiele rozmawialiśmy wczoraj wieczorem. Ale ma w sobie ten sam rodzaj entuzjazmu dla wolności, swobody, emancypacji, bardzo to wszystko piękne, jeśli trzymane w ryzach... jeśli, rozumie się, trzymane w ryzach. Sądzę, że będę mógł go pchnąć na właściwą drogę, a tym bardziej jestem z tego rad, że to pański kuzyn, Casaubon.

Jeśli „właściwa droga” oznaczała coś bardziej konkretnego niż reszta wypowiedzi pana Brooke, pan Casaubon miał w duchu nadzieję, że prowadzi ona do jakiejś posady, gdzieś daleko od Lowick. Nie lubił Willa wówczas, gdy mu pomagał, ale niechęć ta wzrosła, odkąd Will odmówił przyjmowania pomocy. Tak to zwykle bywa, gdy mamy w charakterze skłonność do jątrzącej zazdrości: jeśli nasze talenty polegają głównie na szperactwie, może nam się wydawać, że nasz kuzyn lekkoduch (co do którego mamy poważne zastrzeżenia) gardzi nami skrycie i, na odwrót, że każdy, komu ów lekkoduch przypadł do gustu, wydaje automatycznie krytyczny sąd o nas. Powodowani jednak względami uczciwości, nie pozwolimy sobie na nikczemność i nie skrzywdzimy go; wolimy skwitować jego pretensje wobec nas czynnym dobrodziejstwem; wystawianie mu czeków, będące świadectwem wyższości, ogromnie łagodzi naszą gorycz. Pan Casaubon został pozbawiony tego poczucia wyższości (pozostało mu tylko jej wspomnienie) w sposób nagły i kapryśny. Antypatia do Willa nie zrodziła się ze zwykłej zazdrości postarzałego małżonka: była czymś głębszym, wyrosłym z pretensji i zawodów całego życia, Dorotea zaś, która teraz dzieliła jego życie – Dorotea, młoda żona, która sama wykazywała obraźliwą zdolność krytykowania, sprawiała, że nieokreślony dotychczas niepokój zaczął gęstnieć.

Will Ladislaw natomiast czuł, że jego niechęć rośnie kosztem poczucia

wdzięczności, i prowadził ze sobą długie wewnętrzne dysputy, by znaleźć usprawiedliwienie dla owej niechęci. Casaubon go nie znosił – to wiedział doskonale; od pierwszej chwili, niemal od progu, czuł gorycz w mowie i jad w spojrzeniu, a już to wystarczyło do wypowiedzenia wojny, mimo dawniejszych dobrodziejstw. Miał w przeszłości wiele zobowiązań wobec Casaubona, ale doprawdy, fakt jego małżeństwa przekreślał wszelkie zobowiązania. Czy wdzięczność za coś, co zostało komuś uczynione, nie powinna ustąpić miejsca oburzeniu na coś, co zostało wyrządzone komuś innemu? Oto pytanie. A przecież Casaubon, poślubiając Doroteę, wyrządził jej krzywdę. Ten człowiek powinien mieć więcej rozumu w głowie i jeśli postanowił dożyć siwizny, grzechocząc kośćmi w jaskini, to nie miał prawa zwabiać do towarzystwa młodej dziewczyny. „To najstraszliwsze ze wszelkich dziewczęcych poświęceń” – mówił Will, wyobrażając sobie w myśli wszystkie duchowe cierpienia Dorotei, jakby pisał lament na chór. Ale on jej nigdy nie straci z oczu: będzie nad nią czuwał, a ona powinna wiedzieć, że ma na świecie jednego niewolnika. Cechowała Willa – by użyć określenia sir Tomasza Browne – „porywczą rozrzutność deklaracji składanych sobie i innym”. Prawda jest jednak taka, że nic nie zachęcało go do tego bardziej niż obecność Dorotei.

Ale zachętę w formie oficjalnych zaproszeń nie było, nie poproszono bowiem Willa ani razu do Lowick. Pan Brooke, co prawda, pewny, że spełnia miłą powinność, o której ten biedak, Casaubon, tak bardzo zaabsorbowany, jakoś nie pomyślał, przywoził Ladislawa kilkakrotnie do Lowick (nie omieszkał również wprowadzać go przy każdej okazji do innych okolicznych dworów jako „młodego kuzyna pana Casaubona”). I choć Will nie spotkał się z Doroteą sam na sam, jego wizyty wystarczyły, by mogła znowu zaznać poczucia młodego koleżeństwa z kimś, kto, choć od niej mądrzejszy, gotów jest jej ustępować. Biedna Dorotea nie znalazła przed swoim zamążpójściem wielu chętnych do słuchania tego,

co wydawało się jej najważniejsze i, jak wiemy, nie zasmakowała tak, jak na to liczyła, w świątłych pouczeniach męża. Jeśli mówiła mu coś żywo i z zainteresowaniem, on słuchał jej z cierpliwą miną, jakby mu cytowała wyjątki z *Delectusa*, które zna na pamięć od dzieciństwa, i niekiedy wyliczał suchym głosem sekty czy osoby, które w starożytności miały podobne poglądy, jakby było ich aż nadto na składzie; w innych znowu wypadkach mówił jej, że nie ma racji, i potwierdzał słuszność tego, co ona kwestionowała.

Lecz Will Ladislaw zawsze dopatrywał się w jej słowach czegoś więcej, niż chciała w nich przekazać. Dorotea nie była próżna, miała natomiast żarliwą, kobiecą potrzebę łaskawego władania poprzez radość, sprawianą drugiemu człowiekowi. Dlatego też nawet szansa na spotkanie z Willem była niby luneta w jej więziennym murze, pozwalająca spojrzeć na słoneczne niebo – przyjemność, która zaczęła przesłaniać początkowy strach przed tym, co mąż może pomyśleć o wprowadzaniu Willa jako gościa stryjaszka. Pan Casaubon nie poruszył ani razu tego tematu.

Ale Will chciał rozmawiać z Doroteą sam na sam i nie mógł ścierpieć, że okoliczności temu nie sprzyjają. Choć ziemskie kontakty Dantego i Beatrycze czy Petrarki z Laurą były niemal żadne, czas zmienia proporcje i ostatnio bardziej są pożądane rozmowy niż sonety. Konieczność usprawiedliwiała stosowanie podstępu, trzeba się jednak było strzec, by nie obrazić Dorotei. Will doszedł wreszcie do wniosku, że pragnie zrobić jakiś szczególny szkic w Lowick; pewnego dnia, gdy pan Brooke jechał do miasteczka tamtejszą drogą, młody człowiek poprosił, by go wysadzono ze szkicownikiem i składanym stołkiem w Lowick i nie meldując się we dworze, zasiadł do rysowania w pozycji, w której musiałby zobaczyć Doroteę, gdyby wychodziła na spacer – a wiedział, że zwykle spaceruje godzinę przed południem.

Lecz pogoda uniemożliwiła podstęp. Ze zdradziecką szybkością

nadciągnęły chmury, lunął deszcz i Will musiał szukać schronienia w domu. Ze względu na łączące go z gospodarzem rodzinne stosunki, chciał pójść do salonu i zaczekać tam, nie prosząc, by go zaanonsowano, toteż zobaczywszy w hallu starego znajomego, kamerdynera, powiedział:

– Nie mówcie, Pratt, że tu jestem; zaczekam do lunchu. Wiem, że pan Casaubon nie lubi, by mu przeszkadzano, gdy jest w bibliotece.

– Jaśnie pan wyjechał, proszę pana, jest tylko jaśnie pani w bibliotece. Powiem jej, że pan przyszedł. – Rumiany Pratt często prowadził żywe rozmowy z pokojówką Tantripp i zgadzał się z nią, że pani musi być nudno.

– Och, dobrze. Ten paskudny deszcz przeszkodził mi rysować. – Will był taki szczęśliwy, że z cudowną łatwością udawał obojętność.

W chwilę potem był w bibliotece, a Dorotea witała go swym słodkim, swobodnym uśmiechem.

– Mój mąż pojechał do archidiakona – zaczęła. – Nie wiem, o której wróci do domu przed kolacją. Nie powiedział, jak długo zabawi. Czy pan chciał mu coś przekazać?

– Nie. Przyjechałem, żeby porysować, ale deszcz zapędził mnie do domu. Inaczej nie byłbym pani deranzował. Sądziłem, że w bibliotece jest pan Casaubon, a wiem, że nie lubi, by mu przeszkadzano o tej porze.

– Wobec tego jestem zobowiązana deszczowi. Takam rada, że pana widzę. – Dorotea wymawiała te pospolite słowa z prostą szczerością nieszczęśliwego dziecka, które ktoś odwiedza w szkole.

– Tak naprawdę to szukałem sposobności zobaczenia pani samej. – Will poczuł tajemniczą konieczność zachowywania się z podobną prostotą. Nie miał czasu na zadawanie sobie pytania dlaczego. – Chciałem porozmawiać z panią o wielu sprawach tak, jak rozmawialiśmy w Rzymie. W obecności innych to nie to samo.

– To prawda – przyznała Dorotea jasnym, pełnym głosem. – Niech

pan spocznie. – Usiadła na ciemnej otomanie, mając za sobą brunatne książki, i w swojej prostej sukni z cienkiej wełnianej materii bez żadnej biżuterii, z wyjątkiem obrączki na palcu, sprawiała wrażenie osoby, która ślubowała, że będzie inna niż wszystkie kobiety na świecie. Will zaś siedział naprzeciwko niej o dwa jardy, a światło padało na jego jasne kędziory i delikatny, choć nieco wyzywający profil z zaczepnymi liniami ust i podbródka. Spoglądali na siebie jak dwa kwiaty, które się właśnie tu, w tej chwili, otwały. Dorotea zapomniała na chwilę o tajemniczym zagniewaniu męża na Willa: rozmowa bez lęku z jedynym człowiekiem, który okazał wrażliwość na jej słowa, była dla niej jak świeża woda dla spragnionych warg; spoglądając bowiem wstecz, poprzez smutek, wyolbrzymiała pociechę, jaką otrzymała w przeszłości.

– Często sobie myślałam, że chciałabym z panem znowu porozmawiać – dodała zaraz. – Dziwne mi się wydaje, że tak wiele panu mówiłam.

– Pamiętam wszystko – zapewnił ją Will, którego duszę przepełniało niewyobrażalne uczucie, że oto znajduje się w obecności istoty godnej najdoskonalszej miłości. Sądzę, że w tym momencie i jego uczucia były doskonałe, my bowiem, śmiertelni, mamy swoje boskie chwile, kiedy miłość znajduje zaspokojenie w doskonałości przedmiotu uczucia.

– Staralam się wiele uczyć, odkąd byliśmy w Rzymie – tłumaczyła. – Umiem już trochę czytać po łacinie i zaczynam nieco rozumieć grekę. Mogę teraz skuteczniej pomagać mojemu mężowi. Potrafię mu wyszukiwać przypisy i oszczędzać jego wzrok w wielu wypadkach. Ale bardzo trudno jest być uczoną: sądzę, że ludzie się wyczerpują, dążąc do wielkich myśli i potem nie mogą się już nimi cieszyć, bo są zbyt zmęczeni.

– Jeśli ktoś jest zdolny do wielkich myśli, potrafi do nich dojść, nim zniechęci się – zauważył Will z niepohamowaną lotnością umysłu. Wskutek szczególnej wrażliwości Dorotea okazała się równie lotna,

toż Will, widząc, że twarz jej się zmienia, dodał natychmiast: – Ale to prawda, że najlepsze intelektu przeciążone są niekiedy nadmierną pracą umysłową.

– Pan mnie poprawia. Źle się wyraziłam. Powinam była powiedzieć, że ludzie, którzy żywią wzniosłe myśli, wyniszczają się ponad miarę pracą nad dojściem do nich. Bardzo się tym przejmowałam, jeszcze jako mała dziewczynka, i zawsze mi się wydawało, że powinnam spożytkować moje życie, pomagając komuś, kto tworzy wielkie dzieła, tak by ująć mu nieco ciężaru.

Dorothea przedstawiła ten drobny wycinek biografii, nie mając świadomości, że wypowiada rewelację, nigdy jednak dotychczas nie powiedziała Willowi nic, co rzuciłoby równie silne światło na sprawę jej małżeństwa. Nie wzruszył ramionami, nie mogąc jednak znaleźć ulgi w takim fizycznym odruchu, myślał z tym większą złością o pięknych wargach całujących świątobliwe czaszki i inne próżnie w klerykalnej oprawie. Musiał się bardzo pilnować, by nie zdradzić własnych myśli.

– Ale łatwo może pani przesadzić z tą pomocą i sama się przepracować. Czy pani nie za dużo przebywa w zamknięciu? Jest pani teraz bledsza niż dawniej. Byłoby lepiej, gdyby pan Casaubon miał sekretarza: mógłby bez trudu znaleźć człowieka, który wykonywałby za niego połowę roboty. Oszczędziłoby mu to sił, a pani mogłaby wziąć na siebie tylko lżejsze zadania.

– Jakże pan może tak myśleć! – W głosie Dorotei zabrzmiał poważny wyrzut. – Nie zaznałabym szczęścia, gdybym mu nie pomagała w pracy. Cóż mogłabym wówczas robić? Nie ma dla mnie tu, w Lowick, żadnych pożytecznych zadań. Jedyną rzeczą, jakiej pragnę, to bardziej mu pomagać. Poza tym on nie chce sekretarza. Proszę, niech pan więcej o tym nie wspomina.

– Z pewnością nie wspomnę, znając pani poglądy. Słyszałem jednak,

że zarówno pan Brooke, jak sir James wyrażali te same pragnienia.

– Tak – przyznała Dorotea – ale oni nie rozumieją... chcą, żebym dużo jeździła konno, żebym zajęła się projektowaniem zmian w ogrodzie i założyła nowe cieplarnie i tym wypełniała moje dni. Sądziłam, iż pan zrozumie, że człowiek ma inne potrzeby – dodała z pewnym zniecierpliwieniem. – Poza tym pan Casaubon nie chce słyszeć o sekretarzu.

– Moja pomyłka jest wybaczalna – powiedział Will. – Słyszałem nieraz, dawnymi czasy, jak pan Casaubon mówił, że chce mieć sekretarza. W istocie zaproponował tę pracę mnie. Okazało się jednak, że ja się do tego... nie nadaję.

Dorotea starała się wydobyć z jego słów wytłumaczenie niechęci męża do posiadania sekretarza, spytała więc z żartobliwym uśmiechem:

– Okazał się pan nie dość sumienny?

– Właśnie! – Will odrzucił głowę do tyłu ruchem przypominającym ognistego konia. Po chwili jednak stary, popędliwy demon kazał mu jeszcze raz szarpnąć wystrzępione skrzydło chwały pana Casaubona. – Zauważyłem też później, że pan Casaubon nie lubi, by ktokolwiek miał wgląd w jego prace i dokładnie wiedział, co robi. Ma zbyt dużo wątpliwości, nie jest zbyt pewny siebie. Być może, nie na wiele mogę się zdać, ale on mnie nie lubi, ponieważ się różnimy.

Will nie miał najmniejszych intencji, by postępować małodusznie, nasze języki jednak są jak cyngle, za które pociągamy, nim zdążymy przypomnieć sobie o naszych intencjach. Poza tym należało wyjaśnić uczciwie Dorotei, jakie są powody niechęci pana Casaubona do niego. Kiedy jednak te słowa padły, zaniepokoił się trochę, jak ona je przyjmie.

Ona jednak była dziwnie cicha – nie zareagowała odruchem gniewu, jak to się stało przy podobnej okazji w Rzymie. Przyczyna leżała głęboko. Dorotea nie starała się już odmawiać dostrzegania faktów, ale próbowała

dostrzegać je jasno; teraz, gdy już spokojnie patrzyła na niepowodzenia swego męża, a nawet na możliwość, że on jest ich świadom, usiłowała podchodzić do tego w jeden tylko sposób – taki, który z obowiązku czyni czułość. Zareagowałyaby surowiej na zuchwalstwo Willa, gdyby nie współczucie, jakie budziła w niej antypatia okazywana mu przez pana Casaubona; będzie ją uważała za zbyt surową, póki nie dowie się czegoś na jej usprawiedliwienie.

Nie odpowiedziała od razu, zastanawiała się chwilę, spuściwszy oczy, wreszcie odezwała się z powagą:

– Mój mąż, robiąc to, co robił, musiał przezwyciężyć niechęć do pana; to godne podziwu.

– Tak, okazał poczucie sprawiedliwości w sprawach rodzinnych. To, że moja babka została wydziedziczona za coś, co nazwano mezaliansem, było niegodziwością, bo przecież nie można było nic zarzucić jej mężowi prócz tego, że był uchodźcą z Polski, który zarabiał na chleb, dając lekcje.

– Chciałabym wszystko o niej wiedzieć – zawołała Dorotea. – Ciekawa jestem, jak zniosła zmianę bogactwa na biedę! Ciekawa jestem, czy była z mężem szczęśliwa. Czy dużo pan o nich wie?

– Nie. Tyle tylko, że mój dziad był patriotą, człowiekiem bardzo inteligentnym, władał kilkoma językami; muzykalnym, zarabiał nauczaniem najrozmaitszych przedmiotów. Obydwoje umarli dość wcześnie. Nie wiedziałem wiele o moim ojcu, poza tym, co mi matka mówiła; odziedziczył po swoim ojcu zdolności muzyczne. Pamiętam jego powolny krok i długie szczupłe dłonie; i pamiętam też pewien dzień, kiedy on leżał chory, a ja byłem bardzo głodny i dostałem tylko kawałeczek chleba.

– Och, jak różne życie od mojego. – Dorotea z żywym zaciekawieniem zacisnęła dłoń. – Ja zawsze miałam wszystkiego w bród. Ale niech pan opowie, jak to było. Mój mąż nie mógł jeszcze wtedy nic o was wiedzieć.

– Nie, ale ojciec dał mu o sobie znać i to był mój ostatni dzień głodu. Ojciec rychło umarł, a ja i matka znaleźliśmy się pod dobrą opieką. Pan Casaubon zawsze podkreślał, iż uważa opiekowanie się nami za swój obowiązek, a to z powodu niesprawiedliwości wyrządzonej siostrze jego matki. Ale mówię pani teraz to, o czym pani wie.

W głębi duszy Will zdawał sobie sprawę, że pragnie powiedzieć Dorotei coś, co było całkiem nowe nawet w jego własnej rekonstrukcji wydarzeń, a mianowicie, że pan Casaubon spłacił tylko swój dług wobec niego – i nic ponadto. Will był człowiekiem zbyt dobrym, by nie trafiła go świadomość własnej niewdzięczności. Kiedy jednak wdzięczność staje się przedmiotem myślowych spekulacji, można znaleźć wiele sposobów, by się uchylić od wynikających z niej zobowiązań.

– Nie – zaprzeczyła Dorotea – mój mąż nigdy nie mówi wiele o swoich szlachetnych uczynkach. – Nie odniosła wrażenia, że postępowanie jej męża jest niedocenione; zaabsorbowało ją natomiast pytanie, czego wymagała sprawiedliwość w stosunkach między jej mężem a Willem. Dodała po chwili: – Nigdy nie mówił mi o tym, że utrzymywał pańską matkę. Czy ona żyje?

– Nie. Wydarzyło się nieszczęście... upadek. Cztery lata temu. To ciekawe, że i moja matka uciekła ze swojego domu, ale nie z powodu męża. Nigdy nie chciała mi nic mówić o swojej rodzinie prócz tego, że porzuciła ją, by sama zarabiać na życie. Poszła na scenę, w rzeczy samej. Była to ciemnooka istota o kędzierzawych włosach i wydawało się, że w ogóle się nie starzeje. Widzi więc pani, że odziedziczyłem buntowniczą krew i po mieczu, i po kądzieli – zakończył Will, uśmiechając się szeroko do Dorotei, która wciąż patrzyła przed siebie z poważnym napięciem, jak dziecko, które po raz pierwszy stało się świadkiem dramatu.

Lecz i jej twarz rozjaśnił uśmiech, gdy powiedziała:

– Przypuszczam, że pan w ten sposób usprawiedliwia własną

buntowniczość; chodzi mi o buntowniczość wobec życzeń pana Casaubona. Proszę pamiętać, że nie uczynił pan tego, co on uważał za właściwe dla pana. A jeśli pana nie lubi, użył pan tego zwrotu przed chwilą, choć powiedziałabym raczej: jeśli był wobec pana niemiły, proszę pomyśleć, jak bardzo stał się wrażliwy wskutek wyczerpującej pracy naukowej. Być może – tu jej głos nabrał błagalnego tonu – stryjaszek nie powiedział panu, jak poważna jest choroba mojego męża. Byłoby doprawdy małostkowe, gdybyśmy my, zdrowi i odporni, narzekali na drobne przykrości doznane od ludzi, których dotknęło nieszczęście.

– Słusznie mnie pani napomina. Już nigdy nie będę się na to uskarżał. – W głosie Willa brzmiała łagodność płynąca z niewymownego zadowolenia, gdyż zauważył to, czego Dorotea chyba nie była świadoma – że ona wkracza w abstrakcyjną przestrzeń czystego współczucia i lojalności wobec męża. Will gotów był wielbić jej współczucie i lojalność, jeśliby zechciała pozwolić, by je manifestował wspólnie z nią. – Bywałem niekiedy dość przekorny, to prawda – ciągnął – ale jeśli tylko zdołam, nigdy już nie powiem ani nie zrobię czegoś, czego by pani nie pochwalała.

– To bardzo ładnie z pana strony. – Dorotea znów uśmiechnęła się szczerze. – Będę więc miała małe, własne królestwo, w którym będę stanowiła prawa. Ale przypuszczam, że pan wkrótce wyjdzie z zasięgu mojego władania. Niedługo znudzi pana pobyt w Grange.

– To jest właśnie sprawa, o której chciałem z panią pomówić, jeden z powodów, dla których pragnąłem rozmawiać z panią sam na sam. Pan Brooke zaproponował mi, żebym został w tych okolicach. Kupił jedną z gazet Middlemarch i chce, żebym ją prowadził oraz wspomagał go w innych sprawach.

– Czy nie przekreśli pan przez to ambitniejszych możliwości?

– Być może, ale zawsze mi zarzucano, że myślę o możliwościach, a nie zabieram się do konkretnych działań. A tu otrzymuję konkretną

propozycję. Jeśli będzie pani przeciwna temu, bym ją przyjmował, to nie przyjmę. Ale wolałbym zostać tu, w tej części kraju, niż wyjeżdżać. Nigdzie nie mam nikogo bliskiego.

– Bardzo bym chciała, żeby pan został – powiedziała natychmiast Dorotea, równie prosto i bezpośrednio jak w Rzymie. Nie widziała też w tej chwili najmniejszego powodu, dlaczego miałyby tego nie powiedzieć.

– Wobec tego zostaję. – Will odrzucił w tył głowę, po czym wstał i podszedł do okna, jakby chciał sprawdzić, czy deszcz przestał padać.

Lecz w następnej chwili nawyk, który coraz częściej dawał o sobie znać, przypomniał Dorotei, że przecież jej mąż zapatruje się na sprawy inaczej niż ona; zaczerwieniła się, podwójnie zaambarasowana tym, że powiedziała coś, co może być sprzeczne z wolą męża, oraz tym, że będzie musiała o tej sprzeczności wspomnieć Willowi. Twarz miał odwróconą od niej, co ułatwiało zadanie.

– Ale moja opinia w tej sprawie nie ma wielkiego znaczenia. Sądzę, że powinien się pan kierować zdaniem mojego męża. Mówiłam, nie myśląc o niczym poza własnym odczuciem, które nie ma nic wspólnego z istotą problemu. A teraz przychodzi mi na myśl, że może pan Casaubon uzna, iż ta propozycja nie jest rozsądna. Czy nie może pan poczekać i powiedzieć mu o tym?

– Nie mogę dzisiaj zostać dłużej. – Will przeraził się w duchu ewentualnością wejścia pana Casaubona. – Deszcz już całkiem ustał. Powiedziałem panu Brooke, by po mnie nie zajeżdżał, wolę się przejść te pięć mil. Pójdę przez Halsell Common i popatrzę na refleksy światła na mokrej trawie. Bardzo to lubię.

Podszedł do niej śpiesznie, by uścisnąć jej dłoń, i pragnął – ale nie ośmielił się – powiedzieć: „Niech pani nie wspomina swemu mężowi o tej sprawie”. Nie, nie ośmieliłby się, nie mógłby tego powiedzieć. Prosić, by była mniej prosta i bezpośrednia, to jak tchnąć na kryształ, poprzez który

chciałoby się oglądać światło. A poza tym było jeszcze jedno straszne niebezpieczeństwo – że on sam zgaśnie w jej oczach, zostanie na zawsze pozbawiony świetlistości.

– Szkoda, że nie może pan zaczekać. – W głosie Dorotei było trochę smutku, gdy wstawała, by go pożegnać. Ona też nie chciała wypowiedzieć pewnej swojej myśli: Will powinien bezzwłocznie zwrócić się do jej męża z pytaniem, jakie są jego życzenia w tej sprawie, lecz ona nie może tego żądać – byłby to niestosowny nacisk.

Powiedzieli więc sobie tylko „do widzenia”, po czym Will opuścił dom i ruszył przez pola, aby nie ryzykować spotkania z powozem pana Casaubona, który jednak zajechał przed bramę dopiero o czwartej. Była to nieporęczna godzina na powrót do domu: zbyt wczesna, by zdobyć moralne pokrzepienie przy *ennui* przebierania się do kolacji, a zbyt późna, by można było wyrzucić z myśli błahą etykietę i problemy dnia i móc zagłębić się w sprawy poważne, czyli badania naukowe. W takich wypadkach rozsiadał się zwykle w fotelu w bibliotece i zamknąwszy oczy, pozwalał, by Dorotea czytała mu na głos gazety londyńskie. Dzisiaj jednak odmówił tego rodzaju odpoczynku, stwierdzając, że nasłuchiwał się już aż nadto różnych wiadomości ze świata, kiedy jednak Dorotea zapytała, czy się nie zmęczył, odpowiedział pogodniej niż zwykle i dodał owym formalnym wymuszonym tonem, którego używał niezmiennie, nawet gdy był bez kamizelki i halsztuka:

– Miałem przyjemność spotkać dzisiaj mojego dawnego znajomego, doktora Spanninga, i usłyszeć pochwały z ust człowieka, który sam gozdzien jest podziwu. Mówił z wielkim uznaniem o moim ostatnim traktacie *Tajemnice egipskie*, używając, w rzeczy samej, określeń, których nie godzi mi się nawet powtarzać. – Wymawiając te ostatnie słowa, pan Casaubon pochylił się nad poręczą swego fotela i kiwał głową, jakby chciał w ten mechaniczny sposób zastąpić podsumowanie, którego nie

godziło mu się powtórzyć.

– Bardzo się cieszę, że spotkała cię taka przyjemność. – Dorotea była zachwycona, widząc męża mniej zmęczonego niż zwykle o tej porze. – Nim przyjechałeś, żałowałam, że nie było cię dzisiaj w domu.

– Czemu to, moja droga? – pan Casaubon znowu wsparł się na oparciu fotela.

– Ponieważ odwiedził nas pan Ladislaw i wspomniał o propozycji, jaką zrobił mu stryjaszek, a co do której chciałabym znać twoje zdanie. – Uważała, że ta sprawa istotnie dotyczy jej męża. Przy całej nieznamości świata miała niejasne wrażenie, że pozycja, jaką proponowano Willowi, nie licuje z jego rodzinnymi koneksjami, i pan Casaubon ma prawo wymagać, by go zapytano o zdanie. Nie odezwał się, skłonił tylko głowę.

– Jak wiesz, kochany stryjaszek ma wiele pomysłów. Okazuje się, że zakupił jedną z gazet w Middlemarch i zaproponował panu Ladislawowi, by pozostał w naszej okolicy, wydawał dla niego gazetę, a poza tym pomagał mu w różnych innych sprawach.

Mówiąc to, Dorotea patrzyła na męża, on jednak z początku mrugał powiekami, potem zamknął oczy, jakby ich chciał oszczędzić, i zacisnął mocniej usta.

– Jakie jest twoje zdanie? – zapytała nieco bojaźliwie po chwili przerwy.

– Czy pan Ladislaw przyszedł tu po to, aby poznać moje zdanie? – spytał pan Casaubon, uchylając nieco powiek i rzucając na Doroteę spojrzenie ostre jak nóż. Prawdę mówiąc, nie miała w tej sprawie pewności, ale spoważniała troszeczkę i nie odwróciła wzroku.

– Nie – odparła natychmiast – nie mówił, że przychodzi po to, by zapytać o twoje zdanie. Kiedy jednak opowiadał o tej propozycji, spodziewał się, rzecz jasna, że ci o niej powiem.

Pan Casaubon milczał.

– Obawiałam się, że możesz mieć jakieś zastrzeżenia. Niewątpliwie jednak tak uzdolniony młody człowiek mógłby być dla stryjka bardzo użyteczny. Pomagałby mu w dobrych przedsięwzięciach. Pan Ladislaw pragnie mieć stałe zajęcie. Powiada, że zarzucano mu, iż dotąd się za nim nie rozglądał, a chciałby zostać w tych okolicach, nigdzie indziej bowiem nie ma nikogo bliskiego.

Dorothea sądziła, że ten ostatni wzgląd wzruszy jej męża. On jednak milczał, powróciła więc po chwili do doktora Spanninga i śniadania u archidiakona. Lecz słońce przestało już świecić nad niedawnymi pochwałami.

Następnego dnia pan Casaubon wysłał, bez wiedzy Dorotei, następujący list zaczynający się od słów *Szanowny panie*, choć uprzednio zawsze zwracał się do Willa po imieniu.

Małżonka moja poinformowała mnie, że uczyniono Panu propozycję, która (jak to wynika z nie przesadzonych, niewątpliwie, wniosków) spotkała się ze strony Pana z pewną przychylnością, a która wymaga obecności pańskiej w naszych okolicach i występowania w charakterze, jaki, mam prawo stwierdzić, waży na mojej osobistej pozycji; dlatego też uważam nie tylko za oczywiste i usprawiedliwione z mojej strony – rozważając sprawę w świetle zrozumiałych uczuć – ale też za obowiązujące mnie, rozważając ją w świetle moich odpowiedzialności – oświadczyć z punktu, iż przyjęcie przez Pana wyżej wspomnianej propozycji uznałbym za wysoce obraźliwe dla mnie. Fakt, że mam prawo postawić tu weto, nie zostałyby zapewne kwestionowany przez nikogo rozumnego, a świadomego łączących nas związków, które choć zostały wskutek ostatnich pańskich poczynań ograniczone do przeszłości,

nie uległy jednak anulowaniu w zakresie determinujących je antecedencji. Nie będę tu czynił uwag o niczych sądach. Dość, gdy podkreślę, iż istnieją w towarzystwie dobre obyczaje i nakazy przyzwoitości, które powinny powstrzymać człowieka, będącego w pewnym sensie moim bliskim krewnym, od ściągania na siebie okolicznej uwagi poprzez przyjęcie pozycji o wiele niższej od mojej, a kojarzącej się w najlepszym wypadku z dyletanctwem literackich i politycznych awanturników. Odmienne rozwiązanie uniemożliwiłoby w przyszłości przyjmowanie Pana w moim domu.

Z szacunkiem Edward Casaubon

Tymczasem Dorotea w naiwności ducha szykowała mężowi następne gorycze, rozmyślając ze współczuciem, które przerodziło się w przejęcie, nad wszystkim, co Will opowiedział jej o swych rodzicach i dziadkach. Spędzała zwykle czas, jaki miała dla siebie, w błękitnozielonym buduarze i zdążyła już polubić jego bladą niezwykłość. Nic się tu zewnętrznie nie zmieniło, gdy jednak lato sunęło powoli nad polami na zachodzie, za aleją wiązów, do pustego pokoju zaczynały napływać wspomnienia wewnętrznych przeżyć, które wypełniają powietrze niby obłoki dobrych lub złych aniołów, niewidzialnych, lecz czynnych form naszych duchowych zwycięstw czy duchowych upadków. Tak przywykła do tego, by się tu ze sobą pasować i szukać rozwiązań, spoglądając wzdłuż alei ku łukowi zachodniego światła, że zdawało się, jakby ten widok nabrał własności przekazywania myśli i nawet błądy jeleni rzucał spojrzenia pełne wspomnień i mówił bezgłośnie: tak, tak, wiemy! Grupa delikatnych miniatur również tworzyła audytorium złożone z istot, które przestały się już troszczyć o własny, ziemski los, lecz wciąż jeszcze miały ludzkie

zainteresowania. A zwłaszcza tajemnicza „ciotka Julia”, o którą tak trudno było Dorotei wypytywać męża.

Teraz zaś, po ostatniej rozmowie z Willem, wokół tej ciotki Julii, która była babką Willa, zaczęły się gromadzić nowe wyobrażenia: obecność tej delikatnej miniatury, tak podobnej do znajomej, żywej twarzy, pomagała Dorotei skupić uczucia. Jakaż to krzywda pozbawić dziewczynę opieki i dziedzictwa rodowego tylko dlatego, że wybrała mężczyznę, który był ubogi. Dorotea, która wcześniej zaczęła kłopotać starszych pytaniami dotyczącymi dostrzeganych przez nią faktów, doszła w sposób niezależny do zrozumienia politycznych i historycznych przyczyn, dla których najstarszy syn ma największe prawa i dla których ziemię winien dziedziczyć pierworodny; przyczyny te wzbudzały w niej pewien respekt, a może nawet były ważniejsze, niż myślała, lecz stający przed nią problem dotyczył związków, które w niczym nie naruszały przyjętych zasad. Oto córka, której dziecko powinno mieć prawo pierwszeństwa, nawet według ludzi małpujących arystokratyczne obyczaje i tyle mających z arystokracją wspólnego, co emerytowany sklepikarz, który za całą ziemię, jaką „trzeba zachować w jednych rękach”, ma trawnik przed domem i koński padok. Czy dziedziczenie to sprawa sympatii, czy odpowiedzialności? Całą swą istotą Dorotea opowiadała się po stronie odpowiedzialności – wypełniania zobowiązań, jakie mamy z tytułu własnowolnych aktów, takich jak małżeństwo czy rodzicielstwo.

Prawdą jest, mówiła sobie, że pan Casaubon ma dług wobec Ladislawów – że powinien spłacić to, czego Ladislawowie zostali niesłusznie pozbawieni. I zaczęła rozmyślać nad mężowskim testamentem, spisany przy jej zamążpójściu, który zostawiał jej ogromną większość majątku z klauzulą na wypadek, gdyby miała dzieci. Trzeba to zmienić – i nie wolno zwlekać. Problem, jaki powstał wokół pracy zarobkowej Willa, stanie się okazją uregulowania wszystkiego na nowo i sprawiedliwie.

Była przekonana, sądząc z dotychczasowego postępowania męża, że on na pewno przyjmie słuszny punkt widzenia, jeśli propozycja wyjdzie od niej, boć przecież to w jej interesie podjęto decyzję niesprawiedliwej komasacji majątku. Jego poczucie sprawiedliwości przewyciężało dotąd i będzie przewyciężać w przyszłości wszystko, co można by nazwać antypatią. Podejrzała, że projekt stryjaszka nie zyskał aprobaty jej męża, tym bardziej więc byłoby, jej zdaniem, korzystne, gdyby udało się doprowadzić do nowego porozumienia i gdyby Will, zamiast rozpoczynać życie bez pensa przy duszy i przyjmować pierwszą posadę, jaką mu zaproponowano, znalazł się w posiadaniu prawowitego dochodu wypłacanego mu przez jej męża za życia, a wskutek zmiany dokonanej zaraz w testamencie, mógłby po śmierci pana Casaubona otrzymać materialne zabezpieczenie. Wizja tego wszystkiego, co powinno zostać zrobione, była dla Dorotei niby słoneczne światło wpuszczone nagle do pokoju i budzące ją z dotychczasowego odrętwienia i egoistycznej obojętności na związki łączące jej męża z innymi ludźmi. Will Ladisław zrezygnował z przyjmowania w przyszłości pomocy od pana Casaubona z przyczyn, które teraz nie wydawały się jej słuszne, pan Casaubon zaś nigdy nie zdawał sobie w pełni sprawy z ciężących na nim zobowiązań. Ale zda sobie sprawę – powiedziała Dorotea. – Na tym polega ogromna siła jego charakteru. Cóż my robimy z naszymi pieniędzmi? Nie wydajemy przecież nawet połowy dochodu. Moje własne pieniądze nie przynoszą mi nic prócz niepokoju sumienia.

Dorotea była ogromnie zafascynowana myślą o podziale przeznaczonych dla niej majątku, który zawsze uważała za zbyt wielki. Była, widzicie, ślepa na wiele spraw oczywistych dla innych i łatwo mogła postawić fałszywy krok, przed czym przestrzegala ją Celia; lecz ta ślepotą na wszystko, co nie mieściło się w granicach jej własnych, czystych zamysłów, pozwalała jej przejść bezpiecznie nad krawędzią

przepaści, podczas gdy dobry wzrok mógłby obudzić strach i spowodować nieszczęście.

W dniu, w którym pan Casaubon wysłał swój list do Willa, Dorotę pochłaniały cały czas myśli, powołane do życia w samotności buduaru. Wszystko, co odsuwało chwilę otworzenia serca przed mężem, wydawało się jej zawadą. Ze względu na nadmierne obciążenie umysłu pana Casaubona należało każdą kwestię podejmować spokojnie – nigdy jeszcze, od chwili choroby, nie opuścił Dorotei lęk przed wprowadzeniem męża w podniecenie. Kiedy jednak młodzieńcza żarliwość szuka sposobności szybkiego działania, sam uczynek nabiera jakby własnego, niezależnego życia i pokonuje teoretyczne przeszkody. Dzień minął posępnie, co nie było niczym szczególnym, choć może pan Casaubon wydawał się bardziej milczący; istniały jednak godziny nocne, które można by wykorzystać do rozmowy. Dorotea bowiem, gdy stwierdziła, że mąż cierpi na bezsenność, przyjęła zwyczaj wstawania, zapalania świecy i czytania mu, póki nie zasnął. Tej nocy zaś sama nie mogła zasnąć, podniecona swymi postanowieniami. Pan Casaubon spał jak zwykle przez kilka godzin, ona zaś wstała po cichu i siedziała blisko godzinę w ciemności, póki nie odezwał się wreszcie:

– Doroteo, jeśli już nie śpisz, czy mogłabyś zapalić świecę?

– Źle się czujesz, kochany – zapytała natychmiast, wstając, by wykonać jego prośbę.

– Nie, wcale nie, ale jak już wstałaś, byłbym ci wdzięczny za przeczytanie mi kilku stron Lowtha^[71].

– A czy mogłabym zamiast tego porozmawiać z tobą chwileczkę?

– Oczywiście.

– Rozmyślałam dzisiaj przez cały dzień o pieniądzach, że zawsze ich miałam zbyt wiele, a przede wszystkim perspektywę na zbyt wiele.

[71] Robert Lowth – biskup anglikański, hebraista, profesor w Oksfordzie.

– To, droga Doroteo, jest zrządzenie Opatrzności.

– Ale jeśli człowiek ma zbyt wiele wskutek tego, że innym wyrządzono krzywdę, należy, wydaje mi się, posłuchać bożego głosu, który nakazuje naprawić tę krzywdę.

– Do czegoż, moja droga, odnoszą się te uwagi?

– Do tego, że okazałeś mi zbyt dużą szczodrość w umowie małżeńskiej. Idzie mi o majątek, i to mi nie daje spokoju.

– Czemuż to? Nie mam nikogo poza stosunkowo daleką rodziną.

– Przyszła mi do głowy myśl o twojej ciotce Julii, o tym, jak zostawiono ją w biedzie tylko dlatego, że poślubiła ubogiego człowieka, a przecież nie zrobiła nic haniebnego, bo to nie był niegodny człowiek. Wiem, że z tej właśnie przyczyny kształciłeś pana Ladislawa i łożyłeś na utrzymanie jego matki.

Czekała chwilę na odpowiedź, która ułatwiłaby jej dalszy ciąg. Nie usłyszała nic, toteż własne słowa, znowu padające w ciemną ciszę, wydawały się jej tym silniejsze.

– Niewątpliwie powinniśmy uznać jego prawo do czegoś więcej, nawet do połowy tego majątku, który jak wiem, przeznaczyłeś dla mnie. I sądzę, że powinien od razu otrzymać na tej podstawie odpowiednie zabezpieczenie bytu. To nie jest sprawiedliwe, żeby on był w biedzie, podczas gdy my jesteśmy bogaci. I jeśli istnieją jakieś obiekcje co do propozycji, o której wspominał, to ofiarowanie mu należnej pozycji i należnego udziału w majątku musiałyby odsunąć na bok te względy, które go do przyjęcia tej propozycji skłaniają.

– Zapewne pan Ladislaw rozmawiał o tym z tobą – podsunął pan Casaubon niezwykle, jak na niego, szybko i cierpko.

– Ależ nic podobnego! – zaprzeczyła poważnie. – Jakże możesz sobie coś takiego wyobrażać! Przecież tak niedawno odmówił przyjmowania od ciebie czegokolwiek. Obawiam się, że myślisz o nim zbyt surowo,

kochany. Mówił mi tylko trochę o swoich rodzicach i dziadkach, i to niemal wyłącznie w odpowiedzi na moje pytania. Taki jesteś dobry, taki sprawiedliwy. Uczyniłeś wszystko, co uważałeś za słuszne. Ale wydaje mi się oczywiste, że to, co słuszne, powinno oznaczać o wiele więcej, i muszę o tym mówić, gdyż to ja jestem osobą, która odniesie korzyści, jeśli owo „więcej” nie zostanie uczynione.

Nastąpiła wyraźna chwila przerwy, nim pan Casaubon odpowiedział, już nie tak szybko, jak poprzednio, ale jeszcze bardziej zjadliwie i dobitnie:

– Doroteo, droga moja, nie jest to pierwszy wypadek, dobrze byłoby jednak, gdyby się okazał ostatnim, kiedy wydajesz sąd w sprawach, które nie leżą w twoich kompetencjach. Nie będę teraz rozpatrywał zagadnienia, w jakiej mierze czyjeś postępowanie, zwłaszcza jeśli mowa o wchodzeniu w koligacje, jest podstawą do utraty praw rodzinnych. Dość powiedzieć, że nie jesteś osobą o odpowiednich kwalifikacjach, by to rozstrzygać. A teraz chciałbym, abyś zrozumiała, iż nie będę przyjmował niczych sugestii, a tym bardziej nacisków w zakresie rozważanych przeze mnie spraw, które wyraźnie i słusznie uważam za własne. Nie powinnaś wtrącać się do moich stosunków z panem Ladisławem, a tym bardziej uzyskiwać od niego wiadomości, na których budowana jest krytyka mego postępowania.

Biedna Dorotea, otulona ciemnością, szarpana była teraz sprzecznymi uczuciami. Strach przed skutkiem, jaki przynieść może choremu gwałtownie okazany gniew, zdławiły jej odruch oburzenia nawet wówczas, gdyby nie czuła pewnych skrupułów i wątpliwości, czy czasem w ostatniej mężowskiej wypowiedzi nie kryje się trochę racji. Słyszała jego szybki oddech, gdy przestał mówić, więc siedziała – słuchając – przerażona, nieszczęśliwa, wołając bezgłośnie w duchu o pomoc, by móc znieść ten koszmar życia, w którym wszelką energię paraliżuje strach. Nic się już jednak nie stało, tyle że obydwójce czuwali długo, bez słowa, nie

mogąc zasnąć.

Następnego dnia pan Casaubon otrzymał od Willa Ladislawa list takiej oto treści:

Szanowny Panie, Rozważyłem z należytą dokładnością pański wczorajszy list, nie mogę jednak podzielić bez zastrzeżeń pańskiego punktu widzenia w przedmiocie naszych wzajemnych stosunków. Potwierdzając z wdzięcznością okazaną mi przez Pana w przeszłości szczodrobliwosć, muszę obstawać przy tym, iż tego rodzaju zobowiązanie nie może mnie ze wszystkim krępować, choć Pan, zdaje się, sądzi, iż powinno. Przyjąwszy, że dobroczyńca ma prawo stawiania żądań, należy przyjąć zastrzeżenie co do jakości owych żądań. Mogą się one okazać sprzeczne z istotniejszymi względami. Weto dobroczyńcy może też być równoznaczne z tak całkowitym przekreśleniem czyjegoś życia, że powstająca wskutek tego próżnia bardziej będzie okrutna, niż dobrodziejstwo było szczodre. Daję tylko skrajne przykłady. W obecnym przypadku nie jestem w stanie podzielić pańskiego punktu widzenia na wpływ, jaki będzie miało przyjęcie przeze mnie pracy – nieprzynoszącej bogactwa, to prawda, ale też przecież nie poniżającej – na pozycję Pana, która wydaje mi się zbyt poważna, by mogła doznać uszczerbku z tak błahego powodu. I choć nie wierzę, by w naszych wzajemnych stosunkach mogła nastąpić zmiana (dotąd bowiem nie nastąpiła) zdolna przekreślić zobowiązania, jakie nakłada na mnie przeszłość, proszę wybaczyć, że nie widzę powodu, dlaczego by te zobowiązania miały mi uniemożliwić swobodny wybór życia tam, gdzie mi się spodoba, i utrzymania się z legalnej pracy, jaką mi się spodoba podjąć. Żałuję, że zaistniała

*ta różnica opinii co do łączącego nas stosunku, w którym
świadczanie dobrodziejstw było wyłącznie po Pana stronie, i
pozostają pański, zawsze zobowiązany*

Will Ladislaw

Biedny pan Casaubon czuł (a czy my, będąc obiektywni, nie powinniśmy przyznać mu odrobiny racji?), że nikt jeszcze na świecie nie miał słusznych powodów do podejrzeń i abominacji. Nie wątpił, że młody Ladislaw chce mu dokuczyć i postawić się okoniem, chce zdobyć zaufanie Dorotei i zasiał w jej umyśle lekceważenie, a może nawet niechęć do własnego męża. Musi być jakiś głębszy powód, dla którego Will tak gwałtownie zmienił postępowanie, odrzucił pomoc pana Casaubona i położył kres swym podróżom; jego arogancka decyzja pozostania w okolicy na stałe i przyjęcia propozycji tak obcej jego dawnym upodobaniom jak miasteczkowe projekty pana Brooke – pozwalała rozumieć w sposób oczywisty, że ów niewyjawiony powód ma związek z Doroteą. Pan Casaubon ani przez chwilę nie posądzał żony o dwulicowość: nie miał wobec niej żadnych podejrzeń, miał jednak (co było mniej przykre) absolutną pewność, że jej skłonnościom do wydawania sądów o postępkach męża towarzyszy tendencja do okazywania Willowi życzliwości i ulegania jego słowom. Własna dumna powściągliwość nie pozwoliła mu usłyszeć wyjaśnienia, że się mylił, przypuszczając, iż pierwotnie Dorotea poprosiła stryja, by wysłał Willowi zaproszenie.

Teraz zaś, po otrzymaniu listu Willa, pan Casaubon musiał zważyć, co jest jego obowiązkiem. Do tej pory niełatwo było nazwać jego działania czymś innym jak obowiązkiem. W tym jednak wypadku przeciwstawne racje wzajemnie się znosiły.

Czy miałby zwrócić się bezpośrednio do pana Brooke i zażądać, by

ten nieznośny jegomość wycofał swoją propozycję? Czy też miałby się zwrócić do sir Jamesa Chettama i nakłonić go do współudziału w proteście przeciwko zamierzeniom dotyczącym całej rodziny? Pan Casaubon był świadom, że w jednym i drugim wypadku równie możliwy jest sukces jak niepowodzenie. Nie do pomyślenia, by wymienił imię Dorotei w związku z tą sprawą, a wiedział, że bez jakiejś poważnej przyczyny pan Brooke, pozornie zgodziwszy się najpierw z wysuniętymi racjami, skończy na zapewnieniu: „Niechże się pan nie obawia, Casaubon! Wierząc mi pan, młody Ladislaw przyniesie panu chlubę. Wierząc mi pan, znalazłem właściwego człowieka!”. Pan Casaubon wzdragał się również przed poruszeniem tego tematu z sir Jamesem Chettamem, z którym nie łączyły go serdeczne stosunki i któremu natychmiast przyjdzie na myśl Dorotea, choć jej imienia nie wspomni.

Biedny pan Casaubon nie ufał temu, co o nim myślą inni, zwłaszcza jako o mężu. Gdyby pozwolił im sądzić, że jest zazdrosny, potwierdziłby tylko ich (prawdopodobną) opinię o jego przywarach; gdyby dał im poznać, że małżeństwo nie przynosi mu szczególnego szczęścia, oznaczałoby to, że zmienił zdanie i przychyła się do ich pierwotnego, krytycznego zapewne, poglądu na ten związek. Byłoby to równie fatalne, jak pozwolenie, by Carp i, ogólnie biorąc, całe Brasenose dowiedzieli się, jak bardzo zapóźnione są prace nad przygotowaniem *Klucza do wszystkich mitologii*. Przez całe życie pan Casaubon starał się nie przyznawać nawet przed sobą, jak bardzo mu w duszy doskwiera zazdrość i zwątpienie w samego siebie. Ten zwyczaj dumnej, podejrzliwej skrytości obowiązywał z podwójną siłą w najdelikatniejszych ze spraw osobistych.

Tak więc pan Casaubon trwał w dumnym, gorzkim milczeniu. Zabronił jednak Willowi wstępu do dworu Lowick, a w duchu szykował inne sposoby udaremnienia jego zamiarów.

ROZDZIAŁ XXXVIII

C'est beaucoup que le jugement des hommes sur les actions humaines; tôt ou tard il devient efficace.

To bardzo przypomina ludzki osąd ludzkich uczynków; prędzej czy później zaczyna być skuteczny.

Guizot, *Histoire de la civilisation en France*

Sir James Chettam nie mógł odczuwać najmniejszej satysfakcji z nowych pomysłów pana Brooke'a, łatwiej było jednak mieć do nich zastrzeżenia, niż im zapobiec. Pewnego dnia sir James tłumaczył Cadwalladerom, dlaczego przyszedł do nich na lunch sam.

– Nie mogę rozmawiać z wami tak, jakbym chciał, przy Celi. Mogłoby to jej sprawić przykrość. W rzeczy samej, nie byłoby w porządku.

– Wiem, co pan ma na myśli: *Pionier* we dworze Grange – strzeliła pastorowa, nim jeszcze słowa zamarzyły na wargach gościa. – To okropne! Przyszła mu nagle ochota kupić sobie bębenek i bębnić każdemu w ucho. Byłoby bardziej do przyjęcia i mniej rzucało się w oczy, gdyby wylegiwał się całymi dniami na łożku i grał w domino, jak ten biedak lord Plessy.

– Widzę, że *Trąbka* zaczyna atakować naszego przyjaciela, pana Brooke – powiedział pastor, rozsiadając się głęboko w fotelu i uśmiechając pogodnie, tak jakby się uśmiechał, gdyby sam był atakowany. – Pełno tam ogromnie zjadliwych wypowiedzi przeciwko właścicielom ziemskim, niemieszkańcym bynajmniej daleko od Middlemarch, którzy biorą tenetę dzierżawną i nie dają nic w zamian.

– – Bardzo bym pragnął, żeby Brooke dał temu spokój. – Sir James mówił to ze swoją malutką zmarszczką irytacji na czole.

– Ale czy on naprawdę ma kandydować do nominacji? – spytał pastor. – Widziałem się wczoraj z Farebrotherem, on sam ma wigowskie ciągoty, wynosi pod niebo Broughama^[72] i Wiedzę Użyteczną, to najgorsze, co mi o nim wiadomo. Otóż on powiada, że Brooke zbiera całkiem silną partię. Bulstrode, ten bankier, to jego główny filar. Ale Farebrother uważa, że Brooke przegra z kretešem.

– No właśnie – przytaknęła poważnie sir James. – Próbowałem się trochę zorientować, w czym rzecz, bo dotychczas nie miałem pojęcia o polityce w Middlemarch. Moja sprawa to hrabstwo. Otóż Brooke pokłada nadzieję w tym, że oni zrezygnują z Olivera, ponieważ jest zwolennikiem Peela. Hawley mi jednak powiada, że jeśli wystawią wiga, to na pewno będzie nim Bagster, jeden z tych kandydatów, co to nie wiadomo, skąd się wziął, ale śmiertelny przeciwnik Gabinetu i doświadczony parlamentarzysta. Hawley za dużo sobie pozwalał, zapomniał, do kogo mówi. Powiadał, że jeśli Brooke chce powąchać zgniłych jaj, to może je dostać taniej, nie potrzebuje się pchać na trybunę wyborczą.

– Wszystkich was ostrzegałam – pani Cadwallader podniosła do góry otwarte dłonie. – Powiedziałam Humphreyowi już dawno: jeszcze nam pan Brooke puści fimfę! I teraz, proszę!

– No cóż, mogło mu przyjść do głowy, żeby się ożenić – zauważył pastor. – Większe byłyby z tego kłopoty niż z niewinnego flirtu z polityką.

– To może zrobić później – stwierdziła pastorkowa – kiedy już się w tej polityce ubaźnie.

– Mnie idzie przede wszystkim o jego godność – tłumaczył sir James. – Oczywiście, zależy mi na tym jeszcze bardziej z rodzinnych względów.

[72] Lord Brougham (1778-1868), polityk liberalny, reformator prawa i założyciel Towarzystwa Krzewienia Wiedzy Użytecznej.

Ale on posuwa się w latach i z przykrością myślę, że naraża się na nieprzyjemności. Będą wygrzebywać przeciwko niemu, co się tylko da.

– Sądzę, że nic nie przyjdzie z perswazji – powiedział pastor. – Jest w nim dziwna mieszanina uporu i zmienności. Czy pan próbował rozmawiać z nim na ten temat?

– Nie – odparł sir James. – Czułbym się niezręcznie, gdyby pomyślał, że mu coś narzucam. Ale rozmawiałem z tym młodym Ladisławem, z którego Brooke robi swoje faktotum. Ladisław wydaje się wszechstronnie zdolny. Myślałem, że dobrze będzie wysłuchać, co ma do powiedzenia: jego zdaniem Brooke nie powinien tym razem kandydować. Przypuszczam, że go od tego odmówi: sądzą, że uda się zapobiec ubieganiu się o nominację.

– Jasne – kiwała głową pani Cadwallader. – Niezależny poseł nie wykuł się jeszcze swoich przemówień na pamięć.

– Ale ten Ladisław to jeszcze jedna niemiła sprawa – ciągnął sir James. – Mieliśmy go we dworze kilka razy na kolacji (poznaliście go przecież) jako gościa Brooke’a i krewnego Casaubona, sądząc, że przyjechał tu tylko z przelotną wizytą. A teraz widzę, że jest na ustach wszystkich w Middlemarch jako wydawca *Pioniera*. Krążą o nim historie, że to cudzoziemski gryzipiórek, obcy agent i co tam jeszcze.

– Casaubonowi to się nie spodoba – powiedział pastor.

– Ale Ladisław *naprawdę* ma w sobie obcą krew – stwierdził sir James. – Mam nadzieję, że nie przyjmie radykalnych poglądów i nie pociągnie za sobą Brooke’a.

– Ten Ladisław to niebezpieczna latorośl – zauważyła pastorowa – z tym giętkim językiem i ariami operowymi. Coś w rodzaju bohatera byronicznego: kochliwy konspirator, takim go widzę. A Tomasz z Akwinu nie darzy go sympatią. Zauważyłam to w dniu, kiedy przywieźli obraz.

– Nie chcę podejmować tego tematu z Casaubonem – powiedział sir James. – Ma większe prawa, by się w to wtrącić, niż ja. Ale to wszystko jest

bardzo nieprzyjemne, z każdego punktu widzenia. Cóż to za profesja dla kogoś z przyzwoitymi koligacjami: dziennikarz! Wystarczy popatrzeć na Kecka, który wydaje *Trąbkę*. Spotkałem go parę dni temu u Hawleya. To, co pisze, jest, jak sądzę, całkiem rozsądne, ale to człowiek tak pospolity, że chciałoby się go widzieć po niewłaściwej stronie.

– A czegoż może się pan spodziewać po trzeciorzędnych gazetach z Middlemarch? – spytał pastor. – Nie sądzę, żeby można było gdziekolwiek zdobyć człowieka wielkiego formatu, aby pisał o sprawach, które go w gruncie rzeczy mało obchodzą, za pieniądze, za które ledwie się zdoła utrzymać.

– Właśnie: dlatego takie jest denerwujące, że Brooke stawia na podobnym stanowisku człowieka, który jest w pewien sposób związany z naszą rodziną. Jeśli o mnie idzie, uważam, że Ladislaw, godząc się na to, postąpił jak głupiec.

– To wina Tomasza z Akwinu – oświadczyła pastorowa. – Czemu nie użył swych wpływów, żeby Ladislawa zrobili jakimś *attaché* albo żeby wyjechał do Indii? W ten sposób wiele rodzin pozbywa się swoich kłopotliwych latorośli.

– Nie wiadomo, ile zła może jeszcze z tego wszystkiego wyniknąć. – W głosie sir Jamesa brzmiał niepokój. – Ale jeśli Casaubon milczy, to cóż ja mogę zrobić?

– Mój drogi panie – uspokajał go pastor. – Nie przesadzajmy z tym wszystkim. Bardzo jest możliwe, że wszystko skończy się na niczym. Za miesiąc czy dwa Brooke i ten pan Ladislaw znudzą się sobą nawzajem. Ladislaw pofrunie, Brooke sprzeda *Pioniera* i wszystko wróci do poprzedniego stanu.

– Jest tylko jedna możliwość: że nie pójdzie mu w smak, kiedy poczuje, jak mu wyciekają pieniądze z kieszeni – zauważyła pani Cadwallader. – Mogłabym go tym straszyć, gdybym znała koszty różnych wyborczych

akcji. Nie miałyby sensu zasypywać go wielkimi słowami, takimi jak STRATY: nie mówiłabym o puszczaniu krwi, wylałabym na niego słoik pijawek. My, zacni, skąpi ludzie bardzo nie lubimy, gdy się nam wyciąga drobne.

– Nie spodoba mu się również, kiedy zaczną przeciw niemu wygrzebywać różne rzeczy – mówił sir James. – Na przykład jego sposób zarządzania majątkiem. Już zaczęli się do tego dobierać. A to jest sprawa naprawdę dla mnie bolesna. Muszę na to z przykrością ciągle patrzeć, mam to pod nosem. Uważam, że człowiek ma obowiązek robić, co tylko może, dla swej ziemi i dzierżawców, zwłaszcza w tych ciężkich czasach.

– Może *Trqbka* pobudzi go do tych zmian i jeszcze z całej sprawy wyniknie coś dobrego – podsunął pastor. – Bardzo byłbym z tego rad. Mniej słyszałbym narzekań przy wypłacaniu mojej dziesięciny. Nie wiem, co bym począł, gdyby w Tipton nie obowiązywał *modus*^[73].

– Chciałbym, żeby wziął właściwego człowieka, który zadbałby o wszystko, chciałbym, żeby przyjął z powrotem Gartha – tłumaczył sir James. – Rozstał się z Garthem dwanaście lat temu i od tego czasu wszystko idzie jak z kamienia. Sam myślę wziąć Gartha do mnie na zarządcę. Zrobił mi kapitalny projekt zabudowań; Lovegood nie dorasta mu do pięt. Ale Garth nie weźmie ponownie Tipton, jeśli Brooke nie da mu całkowicie wolnej ręki.

– I ma rację – przyznał pastor. – Garth to człowiek niezależny, nietuzinkowy prosty człowiek. Pewnego dnia, kiedy robił u mnie jakieś pomiary, powiedział mi prosto w nos, że duchowni rzadko się rozumieją na robotcie i jak się wtrącają, to tylko szkodzą, ale powiedział to tak spokojnie i z szacunkiem, jakby mówił na przykład o żeglarzach. Gdyby Brooke oddał mu Tipton w zarząd, zrobiliby z tego całkiem inną parafię. Byłbym rad, gdyby pan, przy wsparciu *Trqbki*, zdołał do tego doprowadzić.

[73] *modus decimandi* – wypłata pieniężna zamiast dziesięciny w naturze.

– Jeśliby Dorotea trzymała się bliżej stryja, byłyby na to pewne szanse – stwierdził sir James. – Mogłaby na niego wpłynąć, póki jeszcze czas; zawsze się troskała o majątek. Miała zaskakująco dobre pojęcie o tych sprawach. Ale teraz Casaubon zajmuje każdą jej chwilę. Celia ogromnie narzeka. Od czasu, kiedy miał ten atak, niemal nie można jej zaprosić na kolację. – Sir James mówił z litością przemieszaną z niesmakiem, pani Cadwallader zaś wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że w tej materii nie spodziewa się niczego nowego.

– Biedny Casaubon – powiedział pastor. – To był paskudny atak. Spotkaliśmy się kilka dni temu u archidiakona, wyglądał bardzo źle.

– W istocie rzeczy – sir James nie miał ochoty rozmawiać o „atakach” – Brooke nie ma złych intencji ani wobec swoich dzierżawców, ani kogokolwiek innego, on tylko ma zwyczaj ciąć i ograniczać wydatki.

– Doskonałe przyzwyczajenie – zawołała pani Cadwallader. – To mu pozwala zadbać o siebie co rano. Może nie wiedzieć, co myśli, ale wie, ile ma w kieszeni.

– Nie wierzę, żeby człowiek mógł się znaleźć przy gotówce, jeśli skąpi własnej ziemi – oświadczył sir James.

– Och, ze skąpstwa można zrobić niewłaściwy użytek, tak jak z innych cnót. Nie należy hodować chudych świń – powiedziała pani Cadwallader, wstając, by wyjrzeć przez okno. – Ale wystarczy mówić o niezależnym polityku, a zaraz się zjawi.

– Kto? Brooke? – spytał jej mąż.

– Tak, ty, Humphrey, okładaj go teraz *Trąbką*, a ja wypuszczę na niego pijawki. A co pan robi, sir James?

– Prawdę mówiąc, ze względu na naszą wzajemną pozycję nie chciałbym wszczynać o tym rozmowy z panem Brooke; to wszystko jest takie przykre. Pragnąłbym, żeby ludzie postępowali jak dżentelmeni – zakończył zacny baronet, przekonany, że zgłasza prosty i wyczerpujący

program powszechnej pomyślności.

– Aaaa, tu jesteście! – Pan Brooke, szurając nogami, obchodził wszystkich i ścisnął im ręce. – Jechałem właśnie do Freshitt Hall, Chettam. Ale, ma się rozumieć, miło jest znaleźć wszystkich razem. No, co myślicie? Jak sprawy stoją waszym zdaniem? Szybko się wszystko toczy. To prawda, co Lafitte^[74] powiedział: „Od wczoraj minął wiek”; oni są już w następnym stuleciu, ma się rozumieć, ci, po tamtej stronie Kanału. Idą szybciej niż my.

– A to prawda – powiedział pastor, biorąc gazetę w rękę. – Tu mamy *Trąbkę*, która oskarża pana o pozostawanie w tyle. Czytał pan?

– Eeem... nie – pan Brooke wrzucił rękawiczki do kapelusza i śpiesznie poprawił monokl. Pastor trzymał jednak gazetę w rękę i ciągnął z roześmianym wzrokiem:

– Patrz pan. To wszystko piszą o pewnym właścicielu ziemskim, który bynajmniej nie mieszka o sto mil od Middlemarch i który dostaje swoje tenuty dzierżawne. Powiadają, że to najbardziej retrogresywny człowiek w hrabstwie. Przypuszczam, że zaznajomił ich pan z tym słowem w *Pionierze*.

– Och, to pisał Keck, zupełny, ma się rozumieć, analfabeta. Retrogresywny, patrzcie państwo! Kapitalne! On myśli, że to znaczy: destrukcyjny, chce ze mnie zrobić rzecznika destrukcji. – W głosie pana Brooke brzmiała pogarda, jaką budzi zazwyczaj nieuctwo przeciwnika.

– Sądzę, że jednak wie, co to znaczy. Proszę, oto kilka mocnych ciosów: „Gdybyśmy mieli opisać człowieka retrogresywnego w najgorszym znaczeniu tego słowa, musielibyśmy powiedzieć, że jest to ktoś, kto nazywa siebie reformatorem naszego ustroju, podczas gdy każda dziedzina, za którą jest bezpośrednio odpowiedzialny, przedstawia obraz

[74] Jacques Lafitte (1767-1830), francuski mąż stanu, jeden z przywódców rewolucji 1830 roku.

upadku. Filantrop, który nie może znieść, by powieszono jednego łotra, natomiast wcale się nie przejmuje, że pięciu uczciwych dzierżawców niemal głoduje; człowiek, który podnosi głos przeciw korupcji, a wydzierżawia swoje farmy za zdzierczy czynsz, który gardłuje, czerwony na gębie, przeciwko zgniłym okręgom wyborczym, a za nic ma to, że na każde pastwisko jego farm prowadzi spróchniała brama: człowiek ogromnie przychylny dla Leeds i Manchesteru – dałby zgodę na każdą ilość przedstawicieli, jeśliby zapłacili za wejście do Parlamentu z własnej kieszeni – natomiast odmawia swoim dzierżawcom drobnej ulgi w czynszach, która pozwalałaby im na zakup inwentarza albo na remonty, tak aby wiatr nie hulał po ich stodołach, albo ich domy mniej przypominały chaty irlandzkich dzierżawców; wszyscy jednak znamy dowcipną definicję filantropa: «człowiek, którego miłosierdzie rośnie proporcjonalnie do odległości podniesionej do kwadratu». I tak dalej. Reszta to snucie domysłów, jakim to zapewne legislatorem zostanie filantrop – zakończył pastor, odrzucając gazetę i splatając ręce z tyłu głowy; spoglądał przy tym na pana Brooke, z bezstronnym rozbawieniem.

– Proszę, to wcale zręczne. – Pan Brooke podjął gazetę i starał się przyjąć atak równie lekko, jak to zrobił jego sąsiad, choć zaczerwienił się i nerwowo uśmiechnął. – To o czerwonym na gębie, który gardłuje przeciw zgniłym okręgom wyborczym... Nigdy w życiu nie wypowiadałem się przeciwko zgniłym okręgom. A jeśli idzie o gardłowanie i o czerwonego na gębie, ci ludzie nigdy nie rozumieją, na czym polega dobra satyra. Satyra, wystawcie sobie, powinna zawierać prawdę... do pewnego stopnia. Pamiętam, że to czytałem w *The Edinburgh*^[75], gdzieś tam, „zawierać prawdę, do pewnego stopnia”.

– Jeśli idzie o te bramy, trafili w dziesiątkę. – Sir James starał się być

[75] *The Edinburgh Review* – kwartalnik założony w 1802 r., prezentujący dobry poziom intelektualny i niezależne poglądy polityczne.

bardzo ostrożny. – Kilka dni temu Dagley mi się skarżył, że na jego farmie nie ma ani jednego przyzwoitego zamknięcia. Garth wynalazł nowy model wrót. Chciałbym, żeby go pan wypróbował. Należy wykorzystywać własne drewno.

– Pan się trudni ekstrawagancką farmerką – pan Brooke udawał, że przegląda kolumny *Trąbki*. – To jest pańskie hobby, a koszta pana nie obchodzą.

– Sądziłam, że najkosztowniejsze hobby to kandydowanie do Parlamentu – wtrąciła pani Cadwallader. – Powiadają, że ostatni niefortunny kandydat z Middlemarch, jak on się nazywał: Giles, prawda?, wydał dziesięć tysięcy funtów i przegrał, bo nie dał dość łapówek. Cóż to za przykry wniosek, co?

– Ktoś powiadał – mówił ze śmiechem pastor – że jeśli idzie o przekupstwo, East Retford^[76] to zgoła nic w porównaniu z Middlemarch.

– To nieprawda – zaoponował pan Brooke – torysi, ma się rozumieć, dają łapówki: Hawley i jego grupa kaptują ludzi poczęstunkami, dają pieczone jabłka i różne takie, i przyprowadzają pijanych wyborców do urn. Ale nie będzie im to uchodziło płazem w przyszłości. To już, ma się rozumieć, będzie nie do pomyślenia. Middlemarch jest nieco zacofane, przynajmniej, jego obywatele trochę ciemni. Ale my ich wykształcimy, my ich unowocześnimy. Najlepsi z nich są po naszej stronie.

– Hawley powiada, że ma pan po swojej stronie ludzi, którzy panu zaszkodzą – zauważył sir James. – Powiada, że Bulstrode, ten bankier, może bardzo zaszkodzić.

– A jeśli pana obrzucą zgniłymi jajami – wtrąciła pastorowa – to połowę z nich cisną z nienawiści do przewodniczącego pańskiego komitetu. Wielkie nieba! Pomyśleć tylko, jakie to musi być straszne, kiedy

[76] East Retford – okręg wyborczy znany z licznych dokonanych w nim przekupstw.

obrzucają człowieka śmierdzącymi jajkami za niewłaściwe przekonania. I przypominam sobie teraz historię o tym człowieku, którego jakoby chcieli obnosić na rękach, a tymczasem upuścili go umyślnie na śmietniku.

– Śmierdzące jaja to jeszcze nic wobec czepiania się o byle co – powiedział pastor. – Muszę przyznać, że tego właśnie obawiałbym się najbardziej, gdybyśmy my, duchowni, musieli wchodzić na trybunę jako kandydaci na stanowiska kościelne. Bałbym się, że mi porachują wszystkie dni łowienia ryb. Słowo daję, sądzę, że prawda to najgorszy pocisk, jakim można ugodzić człowieka.

– Trudno – powiedział sir James. – Człowiek, który się decyduje na działalność publiczną, musi być przygotowany na konsekwencje. Musi być odporny na kalumnie.

– Bardzo to pięknie, drogi panie – odparł pan Brooke – ale jak się pan uodporni na kalumnie? Powinien pan czytywać historię, zobaczyć, ile tam było ostracyzmów, prześladowań, męczeństwa i takich rzeczy. Zawsze one dotyczyły najlepszych ludzi. Ale jak to jest u Horacego?... *fiat justitia, ruat...* coś takiego.

– Właśnie – powiedział sir James nieco bardziej zapalczywie niż zwykle. – Przez uodpornienie się na kalumnie rozumiem możliwość zadania jej kłamu.

– I nie jest bynajmniej męczeństwem płacenie za to, w co się człowiek z własnej woli wpakował – oświadczyła pastorowa.

Pana Brooke jednak bardziej poruszyła widoczna irytacja sir Jamesa.

– No cóż – wstał, wziął kapelusz i oparł się na lasce – stosujemy odmienne systemy, pan i ja. Pan jest za nakładami w swoich farmach. Ja nie twierdzę, że mój system jest dobry pod każdym względem, pod każdym względem, powiadam...

– Powinno się robić od czasu do czasu nowe szacunki – stwierdził sir James. – Dawanie ulg to niekiedy dobra rzecz, aleja lubię rzetelny

szacunek. Co pan na to, pastorze?

– Zgadzam się z panem. Na miejscu Brooke’a zatkałbym natychmiast *Trąbkę*, najmując Gartha do wykonania nowych oszacowań farm i dając mu *carte blanche* do reperacji wrót i innych remontów: taki jest mój pogląd na sytuację polityczną. – Pastor przydawał sobie wagi, wtykając duże palce w pachy kamizelki, i uśmiechał się szeroko do pana Brooke.

– To bardzo efektowny sposób załatwienia sprawy – zauważył pan Brooke. – Chciałbym jednak, żebyście mi pokazali drugiego właściciela ziemskiego, który mniej natarczywie domaga się od swoich farmerów zaległości. Nie wymawiam dzierżawy starym dzierżawcom. Jestem bardzo wyrozumiały, pozwólcie, że wam to powiem: wyrozumiały jak mało kto. Mam własne przekonania i na nich się opieram. Człowiek, który tak postępuje, jest zawsze oskarżany o ekscentryczność, niekonsekwencję i takie tam. Jak zmienię linię postępowania, to zgodnie z własnymi przekonaniem.

Po tym oświadczeniu pan Brooke przypomniał sobie, że ma pewną przesyłkę, którą zapomniał wysłać z Grange, i pożegnał się śpiesznie ze wszystkimi.

– Nie chciałem sobie zbyt wiele pozwalać w stosunku do Brooke’a – powiedział sir James. – Widzę, że go ubodło. Ale jeśli idzie o to, co mówili o starych dzierżawcach, to przecież żaden nowy dzierżawca nie wzięłyby jego farmy na obecnych warunkach.

– Mam przecucie, że da się go jeszcze w czas powstrzymać – powiedział pastor. – Ale ty, Elinor, ciągnęłaś w jedną stronę, a my w drugą. Ty chciałaś go odstraszyć widmem wydatków, a my chcieliśmy go strachem napędzić do wydatków. Lepiej niech już się stara o popularność i niech sam stwierdzi, że przeszkadza mu w tym jego pozycja właściciela ziemskiego. Nie sądzę, żeby *Pionier* czy Ladislaw, czy perory Brooke’a do mieszkańców Middlemarch miały jakiegokolwiek znaczenie. Ale

przyzwoite warunki życia parafian Tipton mają znaczenie.

– Wybaczcie, ale to wy dwaj poszliście w złym kierunku – odparła jego żona. – Powinniście mu byli dowieść, że traci pieniądze przez złą gospodarkę, a potem wszyscy pociągnęlibyśmy w jedną stronę. Jeśli pozwolicie mu wleźć na konia polityki, przestrzegam was przed skutkami. Łatwo było galopować po domu na patykach i nazywać je przekonaniami.

ROZDZIAŁ XXXIX

Jeśli więc, tak jak ja, dostrzegasz
Cnotę odzianą w kształt niewieści
I kochasz ją, i nie podlegasz
Słów „on” i „ona” zwykłej treści, I jeśli miłość ową
świeżą
Skrywasz przed ludźmi – niech nie widzą,
Bo jeśli ujrzą – nie uwierzą,
Jeśli uwierzą, to wyszydzą –

O, wtedy czynu dokonałeś
Więszszego niżli Wojownicy,
I jeszcze tę zasługę miałeś,
Żeś go utrzymał w tajemnicy[77].

John Donne, *Czyn*

Umysł sir Jamesa Chettama nie był bogaty w fortele, kiedy jednak rosnące pragnienie, by „przywieść Brooke’a do rozumu”, połączyło się z jego niezachwianą wiarą w możliwości Dorotei w tym względzie – nabrało cech twórczych i doprowadziło do powstania pewnego planu; posłużono się mianowicie argumentem, iż Celia jest niedysponowana, by ściągnąć Dorotę samą do dworu Freshitt i zostawić ją po drodze, wraz z powozem, w Grange, poinformowawszy ją uprzednio dokładnie o sytuacji związanej z zarządzaniem majątkością.

[77] Przeł. Stanisław Barańczak.

Tak więc się stało, że pewnego dnia, gdy dochodziła czwarta, a pan Brooke i pan Ladislaw siedzieli razem w bibliotece, drzwi się otwały i zaanonsowano panią Casaubon.

Jeszcze chwilę temu Will pogrążony był ze szczętem w nudzie. Zobowiązawszy się, że pomoże panu Brooke uporządkować „dokumenty”, tyczące wieszania złodziei owiec, demonstrował zdolność ludzkiego umysłu do podążania kilkoma nurtami jednocześnie: zastanawiał się nad krokami, jakie musi poczynić, by znaleźć sobie mieszkanie w Middlemarch i położyć kres ciągłemu przebywaniu w Grange, a zarazem pozwalał pomykać wskroś tych statecznych myśli – pomysłowi o uciśnym eposie na temat kradzenia owiec, spisany z homerycką szczegółowością. Kiedy zaanonsowano panią Casaubon, Will drgnął, jakby doznał elektrycznego wstrząsu, i poczuł mrowienie w czubkach palców. Każdy, kto by na niego patrzył, musiałby zauważyć zmianę barwy jego policzków, napięcie mięśni twarzy, ożywienie wzroku i mógłby pomyśleć, że każda cząsteczka jego ciała przesłała dalej informację o magicznym dotknięciu. Przesłała, istotnie. Skuteczna magia bowiem jest nadmysłowej natury; jak można wymierzyć delikatność owych tknięć, które znamionują jakość duszy, a również ciała, i sprawiają, że namiętność mężczyzny do jakiejś kobiety różni się od jego namiętności do innej, tak jak radość w świetle poranka nad doliną i rzeką, i białym szczytem górskim różni się od radości wśród lampionów i taflí szklanych. A Will stworzony był z bardzo wrażliwej materii. Umiejętne pociągnięcie smyczka po strunie skrzypiec mogło w jednej chwili przeistoczyć jego obraz świata, a sposób widzenia zmieniał mu się równie często, jak nastrój. Wejście Dorotei wносиło świeżość poranka.

– Proszę, proszę, moja droga, co za przyjemność! – Pan Brooke wyszedł ku bratanicy, by ją pocałować. – Zostawiłaś zapewne Casaubona z jego księgami. Bardzo słusznie. Nie możemy dopuścić, żebyś się stała

zbyt uczona, jak na kobietę, ma się rozumieć.

– Nie ma obawy, stryjaszku – odpowiedziała Dorotea, odwracając się do Willa i ściskając mu rękę z widoczną przyjemnością, lecz bez słów powitania. – Jestem bardzo leniwa – ciągnęła, mówiąc wciąż do stryja. – Często, zamiast zagłębić się w książki, jak zamierzałam, uciekam w moje własne myśli. Okazuje się, że łatwiej jest projektować chaty niż być uczoną.

Usiadła koło stryja, naprzeciwko Willa, najwidoczniej pochłonięta czymś, co sprawiało, że niemal nie zwracała na niego uwagi. Był śmiesznie zawiedziony, jakby sobie wyobrażał, że jej przyjazd mógł mieć z nim cokolwiek wspólnego.

– Tak, tak, moja droga, projektowanie to był twój konik. Ale dobrze się stało, żeś z tym trochę zerwała. Takie koniki potrafią nas czasem ponosić. Musimy je trzymać w cuglach. Ja nigdy nie pozwoliłam, żeby mnie cokolwiek poniosło, zawsze się w czas zatrzymałam. Powiadam do Ladisława. Jesteśmy z nim, wystaw sobie, podobni: on też lubi wszystko zgłębiać. Pracujemy teraz nad karą śmierci. Wiele jeszcze wspólnie dokonamy.

– Wiem – skinęła Dorotea z charakterystyczną dla niej prostotą. – Sir James powiadał mi, że ma nadzieję zobaczyć wkrótce ogromne zmiany w sposobie zarządzania majątkiem przez stryjaszka, że stryjaszek myśli o nowym oszacowaniu farm, przeprowadzeniu napraw, remoncie chat, tak że Tipton może się wydać całkiem odmienione. Jakie to szczęście! – złożyła dłonie z dawną, nieco dziecinną impulsywnością, którą musiała powściągać po zamążpójściu. – Gdybym dziś jeszcze mieszkała tu, w domu, zaczęłabym znowu jeździć konno, żeby móc oglądać to wszystko ze stryjaszkiem. I że stryjek ma zaangażować pana Gartha, który chwali moje chaty. Tak powiada sir James.

– Sir James jest pochopny, zbyt pochopny, moja droga – pan Brooke

zaczzerwienił się lekko. – Nigdy nie mówiłem, że zrobię coś podobnego. Nie mówiłem też, że *nie* zrobię, ma się rozumieć.

– On tylko ufa, że stryjaszek to zrobi – mówiła Dorotea głosem tak czystym i pewnym, jak młody chórzysta wyśpiewujący *Credo* – ponieważ stryjaszek chce wejść do Parlamentu jako poseł, któremu zależy na polepszeniu losu ludzi, a jedna z najpierwszych rzeczy, jakie wymagają polepszenia, to sytuacja wsi i tych, co na niej pracują. Niechże stryjaszek pomyśli o rodzinie Kita Downes, który z żoną i siedmiorgiem dzieci tłoczy się w chacie o dwóch izbach, a ta, gdzie sypiają, nie jest większa od naszego stołu. I ci biedni Dagleyowie w rozpadającej się farmie mieszkają w kuchni od podwórza, a pozostałe izby zostawiają szczurom. To właśnie przyczyna, dla której nie lubiłam obrazów tu, we dworze, stryjaszku kochany, tych, na których się, zdaniem stryjaszka, nie znam. Wraciałam tutaj z wioski i cały jej brud i ordynarna szpetota tkwiły we mnie jak ból, a patrzanie na te obrazy, strojące do mnie miny w salonie, wydawało mi się nikczemną próbą znajdowania uciechy w czymś, co fałszywe, podczas gdy trudna prawda o naszych sąsiadach, żyjących obok, w ogóle nas nie obchodzi. Myślę, że nie mamy prawa występować o wielkie zmiany na lepsze, dopóki nie spróbujemy zaradzić złu, które leży tuż, na wyciągnięcie ręki.

Dorotea mówiła z coraz większym przejęciem, zapominając o wszystkim prócz ulgi, jaką jej dawała możliwość swobodnego wypowiedzenia tego, co czuje; niegdyś często sobie na to pozwalała, lecz od zamążpójścia tłumiła swoje emocje, które toczyły nieustanną walkę ze strachem. Na chwilę w uwielbienie Willa wkradło się chłodne poczucie oddalenia. Mężczyzna rzadko się wstydzi świadomości, że nie potrafi kochać kobiety równie mocno, kiedy dostrzeże w niej znamię wielkości, natura bowiem przeznaczyła wielkość dla mężczyzn. Natura jednak realizując swoje zamiary, potrafi niekiedy fatalnie coś przeoczyć,

jak to się stało w wypadku zacnego pana Brooke, którego poczucie męskości znalazło się w defensywie w zetknięciu z elokwencją bratanicy. Nie potrafił z początku zareagować inaczej, jak tylko wstać, poprawić monokl i przesunąć palcami po leżących przed nim papierach. Wreszcie się odezwał:

– Jest coś w tym, co mówisz, moja kochana, jest w tym coś... ale nie wszystko... co, panie Ladislaw? I pan, i ja nie lubimy, kiedy się ma za nic nasze obrazy i posągi. Młode damy są, ma się rozumieć, trochę popędliwe, trochę jednostronne, moja kochana. Sztuki piękne, poezja, takie rzeczy uwznioślają naród... *emolit mores*... znasz teraz trochę łaciny, prawda? Ale... eee... co tam?

Pytanie skierowane było do kamerdynera, który wszedł, by zawiadomić, że leśniczy przyłapał jednego z małych Dagleyów z młodym, świeżo zabitym zającem w ręku.

– Przyjdę, przyjdę. Daruję mu, ma się rozumieć – zapewnił na boku Doroteę i poszurał pogodnie z biblioteki. – Mam nadzieję, że pan rozumie, jak słuszne są te zmiany, których ja... których sir James pragnie – zwróciła się Dorotea do Willa, gdy stryj wyszedł z pokoju.

– Teraz, gdy usłyszałem, jak pani o nich mówi, rozumiem. Nie zapomnę tego, co pani powiedziała. Ale czy nie zamierza pani powiedzieć czegoś jeszcze? Mogę nie mieć drugiej sposobności porozmawiania z panią o tym, co zaszło. – Will poderwał się niecierpliwie i chwycił obydwoma rękami za oparcie krzesła.

– Proszę powiedzieć, co pan ma na myśli – spytała niespokojnie, wstając również i podchodząc do otwartego okna, przez które Monk usiłował zajrzeć do środka, dysząc i machając ogonem. Oparła się plecami o framugę okienną i położyła dłoń na psim łbie: chociaż jak wiemy, nie lubiła domowych pieszczołów, które trzeba nosić na rękach, czy na które można nadepnąć, zawsze bardzo szanowała przywiązanie psów i

okazywała im grzeczność, jeśli już musiała odmawiać ich awansom.

Will śledził ją wzrokiem.

– Zapewne wie pani – powiedział – że pan Casaubon zabronił mi wstępu do swego domu.

– Nie, nie wiedziałam – odparła po chwili milczenia. Widać było, że jest bardzo poruszona. – Jest mi bardzo, bardzo przykro – dodała żałośnie. Myślała o tym, o czym Will nie wiedział – o swojej rozmowie z mężem w ciemnościach; i znowu przejęło ją poczucie beznadziejności, świadomość, że nie jest w stanie wpłynąć na mężowskie poczynania. Lecz te wyraźne oznaki smutku były dla Willa świadectwem, że nie o niego tu przede wszystkim chodzi i że Dorotei nie przyszło do głowy, by niechęć i zazdrość męża miały z nią jakiś związek. Odczuł dziwną mieszaninę zachwytu i złości: zachwytu, że może zamieszkiwać i żyć w jej myślach, jak w czystym domu, bez podejrzeń i ograniczeń, złości zaś, ponieważ tak mało dla niej znaczył, nie był dostatecznie groźny, traktowała go z niezmienną życzliwością, która mu nie pochlebiała. Lecz strach, by w Dorotei nie dokonała się jakaś zmiana, przewyższał rozżalenie i Will zaczął mówić dalej tonem zwykłych wyjaśnień.

– Pan Casaubon podaje za powód swoje niezadowolenie z faktu objęcia przeze mnie stanowiska, które uważa za nieodpowiednie dla człowieka, będącego jego kuzynem. Powiedziałem mu, że w tej sprawie nie mogę ustąpić. To zbyt duże wymaganie, bym miał dostosować bieg mojego życia do uprzedzeń, które uważam za śmieszne. Można tak dalece rozciągać zobowiązania, że będą wreszcie nie czym innym jak piętnem niewolnictwa, wypalonym, kiedy człowiek był zbyt młody, by wiedzieć, co ono znaczy. Nie przyjąłbym tego stanowiska, gdybym nie pragnął uczynić go użytecznym i prawym. Nie mam obowiązku widzieć godności rodzinnej w żadnym innym świetle.

Dorotea czuła się okropnie. Uważała, że jej mąż nie ma w najmniejszej

mierze racji, z innych jeszcze przyczyn, prócz tych, które wymienił Will.

– Lepiej, abyśmy nie rozmawiali na ten temat – powiedziała z drżeniem nieczęstym w jej głosie – jeśli panowie się nie zgadzają. Czy pan zamierza zostać? – Spoglądała na trawnik, smutnie zamyślona.

– Tak, ale teraz pewno nie będę pani widywał – odparł, skarżąc się niemal jak chłopiec.

– Tak, pewno tak – spojrzała prosto na niego. – Ale ja będę słyszała o panu. Dowiem się od stryjka, co pan porabia.

– A ja nic nie będę wiedział o pani. Nikt mi nic nie powie.

– Och, moje życie jest takie proste. – Wargi Dorotei wygięły się w cudownym uśmiechu, opromieniającym jej smutek. – Zawsze jestem w Lowick.

– To straszne uwięzienie! – wybuchnął Will.

– Niech pan tak nie myśli. Nie mam żadnych pragnień.

Milczał, lecz ona odpowiedziała, widząc pewną zmianę w wyrazie jego twarzy:

– To znaczy: osobistych. Może tylko to, żebym nie posiadała tak wiele, ponad miarę, nie czyniąc nic dla innych. Ale mam pewne przekonanie, które jest mi pociechą.

– Jakież ono jest? – spytał Will, zazdrosny o to przekonanie.

– Ze pragnąc tego, co jest doskonale dobre, nawet jeśli nie całkiem wiemy, co to takiego, i nie możemy robić tego, co chcemy, jesteśmy częstką boskiej mocy wymierzonej przeciwko złu, rozszerzamy granice światła i zmniejszamy pole walki z ciemnością.

– To piękny mistycyzm... to...

– Proszę, niech pan temu nie nadaje żadnej nazwy. – Dorotea błagalnie wyciągnęła ręce. – Powie pan, że to perskie albo coś innego z geografii. A to jest moje życie. Wynałazałam to i nie mogę się z tym rozstać. Odkąd byłam małą dziewczynką, zawsze wyszukiwałam sobie własną religię.

Zwykłam tyle się modlić. Teraz nie modłę się niemal wcale. Staram się nie mieć pragnień, które dotyczyłyby wyłącznie mojej osoby, gdyż mogłoby się okazać, że nie są dobre dla innych, a ja i tak mam zbyt wiele. Powiedziałam to panu tylko dlatego, żeby mógł pan dokładnie wiedzieć, jak upływają mi dni w Lowick.

– Niech panią za to Róg błogosławi – gorąco powiedział Will i trochę się tym zdumiał. Spoglądali na siebie nawzajem jak dwoje czułych dzieci, które rozmawiają ze sobą w sekrecie o ptakach.

– A jaka jest pańska religia? To znaczy... nie to, co pan wie o religii, ale przekonanie, które panu najbardziej pomaga.

– Kochać to, co dobre i piękne, kiedy je widzę – odparł. – Ale ja mam buntownicze usposobienie: nie czuję się w obowiązku, tak jak pani, znosić to, czego nie lubię.

– Ale jeśli pan lubi to, co dobre, to wychodzi na jedno – uśmiechnęła się Dorotea.

– Ujęła to pani bardzo subtelnie.

– Mój mąż często mówi, że jestem nazbyt subtelna. Ale mnie się wcale tak nie wydaje – dodała żartobliwie. – Jakże długo nie ma stryjaszka! Muszę pójść go poszukać. Naprawdę trzeba już jechać do Freshitt. Celia na mnie czeka.

Will zaofiarował się, że pójdzie po pana Brooke, który nadszedł niebawem i oświadczył, że skorzysta z powozu i podjedzie z Doroteą do farmy Dagleyów, by porozmawiać o małym przestępcy, przyłapanym z zającem. Po drodze Dorotea podniosła znowu sprawę majątku. Pan Brooke jednak, nie dając się zaskoczyć, przejął prym w rozmowie.

– Chettam, proszę ja ciebie – mówił – wiele mi zarzuca, ale gdyby nie on, nie trzymałbym mojej zwierzyny pod ochroną, a nie może powiedzieć, że to jest wydatek w interesie dzierżawców. Nie całkiem to jest zgodne z moimi odczuciami... kłusownictwo, proszę ja ciebie, jak się nad tym

zastanowić... często myślałem, żeby się zająć tym zagadnieniem. Nie tak dawno przyprowadzono mi Flavella, kaznodzieję metodystycznego, który zatłukł zającą na drodze, kiedy oboje z żoną wyszli na przechadzkę. Okazał się bardzo zwinny i przyłożył mu w kark.

– To bardzo brutalne, stryjaszku.

– Powiem ci, moja droga, że jak na metody styczniego kaznodzieję wydało mi się to dość paskudne. „Niech jaśnie pan sam osądzi, co to za obłudnik”, powiedział Johnson. Niebem a prawdą Flavell w niczym nie przypomina mi „człowieka w najwyższym stylu”, jak ktoś określił kiedyś chrześcijanina... Young, chyba ten poeta Young... czytałaś Younga? No więc wystaw sobie, Flavell, w wytartych czarnych getrach, tłumaczy, że myślał, iż Pan zesłał jemu i jego żonie dobry obiad, więc miał prawo tego zającą zatłuc, chociaż wzywa niebo na świadka, że żaden z niego myśliwy, żaden tam Nemrod... powiadam ci, to było naprawdę zabawne. Fielding coś by z tego zrobił albo Scott, proszę ja ciebie. Scott mógłby to rozwinąć. Ale tak, po prawdzie, kiedy się o tym pomyśli, to jak tu żałować, że człowieczyna będzie mógł nad kawałkiem zającą odmówić modlitwę dziękczynną. Wszystko to, proszę ja ciebie, przesady, przesady, za którymi stoi prawo, sama wiesz, jak to jest, nie kijem go, to pałką. Tyle że nic nie przychodzi z takich rozważań, a prawo jest prawem. Powiedziałem Johnsonowi, żeby nic nie gadał, i zatuszowałem całą sprawę. Przypuszczam, że Chettam byłby bardziej surowy, mimo to dogaduje mi, jakbym był najbardziej bezlitosnym ziemianinem w hrabstwie. Ale już dojechalśmy do Dagleya.

Pan Brooke wysiadł przy bramie na farmę, a Dorotea pojechała dalej. Zdziwiający, o ile wszystko wydaje nam się brzydsze, jeśli choćby podejrzewamy, że nas za to winią. Nawet własna postać odbita w lustrze zdolna jest zmienić się w naszych oczach, gdy usłyszymy jakąś szczerą uwagę na temat jej mniej zachwycających szczegółów; z drugiej zaś strony,

zdumiewające, jak gładko akceptuje nasze sumienie fakt naruszania przez nas praw ludzi, którzy się nigdy nie skarżą ani nie mają nikogo, kto by się poskarżył w ich imieniu. Nigdy jeszcze zabudowania gospodarskie Dagleya nie wydały się panu Brooke tak ponure jak dzisiaj, kiedy piekło go wspomnienie docinków *Trąbki* i wtoru sir Jamesa.

Prawdą jest, że obserwator, znajdujący się pod łagodzącym wpływem sztuk pięknych, które sprawiają, że cudza nędza wydaje się malownicza, zachwyciłby się zagrodą zwaną Kresem Wolnego: był to stary dom o mansardowych okienkach w ciemnoczerwonym dachu, dwóch kominach zdławionych bluszczem, obszernym ganku, zapchanym wiązkami drewna rozpałkę, i połowie okien zasłoniętych szarymi, zżartymi przez korniki okiennicami, wokół których rosły dzikie i bujne krzewy jaśminu; zbutwiały ogrodowy mur, zza którego wyglądały malwy, stanowił wspaniałe studium o różnicowanej, stonowanej brawie; była też wiekowa koza (trzymana niewątpliwie z racji interesujących przesądów), leżąca przed otwartymi drzwiami dobudówki kuchennej na tyłach domu. Omszała strzecha obory, wyłamane szare wierzeje stodoły, ubodzy parobcy w wystrzępionych portkach kończący rozładowywanie w stodole fury zboża do wczesnej młocki, kilka mlecznych krów wiązanych właśnie do doju, za nimi widoczne w głębi pół obory ziejącej brunatną pustką: świnie i białe kaczki łąjące po nierównym, zapuszczonym podwórzu z wyrazem przygnębienia z powodu zbyt nędznego gatunku podawanych im pomyj – wszystko to pod łagodnym światłem nieba z marmurem wysokich chmur tworzyłoby taki obraz, przed jakim zatrzymujemy się zawsze, takie bowiem „czarujące płótno” porusza w nas inne struny wrażliwości niż świadomość gospodarczej recesji wsi, związanej z godnym ubolewania brakiem kapitału na rolnictwo, o czym gazety w owym czasie donosiły nieustannie. Te kłopotliwe skojarzenia stanęły jednak natychmiast przed oczyma pana Brooke, psując mu całą scenę. Sam pan Dagley stanowił

również barwną postać na tle krajobrazu – w rękach miał widły, a na głowie kapelusz dojarski, bardzo stary, bobrowy, z przodu nieco spłaszczony. Odziany był w najlepsze spodnie i kurtkę, a nie nosiłby ich w ten roboczy dzień, gdyby nie jeździł był na targ i nie wrócił nieco później niż zwykle, pozwoliwszy sobie na rzadką przyjemność, a mianowicie obiad w gospodzie Pod Niebieskim Bykiem. Jak to się stało, że uległ pokusie podobnej ekstrawagancji – o to pewnie będzie pytał samego siebie jutro rano; przed obiadem jednak pewne sprawy, takie jak sytuacja kraju, krótka przerwa w żniwach, zanim ścięto Far Dips, opowieści o nowym królu i niezliczone ogłoszenia na ścianach usprawiedliwiały, rzec można, odrobinę lekkomyślności. W Middlemarch za oczywistość przyjmowano maksymę, że dobre jadło wymaga dobrego napitku, a to ostatnie w interpretacji Dagleya oznaczało obfitość stołowego piwa, które następnie suto zapił rumem z wodą. Trunki te na tyle były uczciwe, że nie mogły wywołać fałszywej radości w biednym Dagleyu, dokonały jedynie tego, że jego niezadowolenie stało się mniej powściągliwe niż zazwyczaj. Uraczył się też ponad miarę mętną gadaniną o polityce, która jest niebezpiecznym środkiem podniecającym dla farmerskiego konserwatyzmu, zawartym w przekonaniu, że to, co jest, jest złe, a wszelka zmiana może być tylko na gorsze. Stał nieruchomo, trzymając widły, z twarzą poczerwieniałą i oczyma o zdecydowanie kłótlwym wyrazie, podczas gdy dziedzic zbliżał się swym spokojnym, człapiącym krokiem, z jedną ręką w kieszeni, wywijając cienką laseczką, trzymaną w drugiej ręce.

– Witajcie, mój dobry człowieku – zaczął, pamiętając, że ma przyjąć w sprawie chłopcza przyjazny ton.

– Patrzajcie, to ze mnie dobry człowiek? Dziękuję, jasnie panu, dziękuję – powiedział Dagley z głośną i opryskliwą ironią, na co Fag, owczarek, poruszył się w miejscu i nadstawił uszu, widząc jednak Mońka, który wszedł właśnie na podwórze po uprzedniej łazędzie za bramą, usiadł

z powrotem, przyjmując pozycję obserwatora. – Bardzo rad, że ze mnie dobry człowiek.

Pan Brooke przypomniał sobie, że to dzień targowy i że jego zacny dzierżawca zapewne gdzieś obiadował, nie widział jednak powodu, dla którego nie ma mówić dalej, ponieważ może to wszystko jeszcze powtórzyć pani Dagley na wszelki wypadek.

– Wasz chłopak, Jakub, zabił zająca, złapano go na gorącym uczynku. Kazałem Johnsonowi zamknąć go w pustej stajni, na kilka godzin, ma się rozumieć, tylko po to, żeby go trochę postraszyć. Ale za jakiś czas, przed zmrokiem, przyprowadzą go do domu, przypilnujcie go tylko i dajcie mu, ma się rozumieć, solidną reprimendę, dobrze?

– A właśnie, że nie dam! Niech zdechnę, jeśli wyłożę chłopakowi skórę, żeby jaśnie panu albo komu innemu zrobić przyjemność, choćby tu było i dwudziestu dziedziców, a niejeden, i to zły.

Słowa Dagleya rozległy się dostatecznie głośno, by wywabić żonę do drzwi kuchennych, jedyne go wejścia, jakiego tu używano, otwartego zawsze, chyba żeby padało, pan Brooke więc, mówiąc uspokajająco: „Dobrze już, dobrze, porozmawiam z waszą żoną”, odwrócił się w kierunku domu. Dagley jednak, odczuwając nieprzepartą chęć „powiedzenia, co myśli”, dziedzicowi, który się od niego odwraca, ruszył natychmiast za nim, a Fag włókł się markotnie przy piętach pana, unikając drobnych i zapewne przyjaznych awansów ze strony Mońka.

– Jak się macie – pan Brooke witał się spieszenie z gospodynią.

– Przyszedłem powiedzieć o waszym synu. Nie chcę, ma się rozumieć, żebyście go bili – tym razem starał się mówić bardzo jasno.

Zmordowana pani Dagley – chuda, spracowana kobiecina, pozbawiona w życiu jakiegokolwiek radości, choćby odświętnej sukni, którą mogłaby się cieszyć, szykując się do kościoła – była już po utarczce z mężem, gdy wrócił z miasta, i zgębiona, spodziewała się najgorszego. Mąż jednak

uprzedził jej odpowiedź:

– Nie dostanie kijów, czy pan chce, czy nie chce. – Dagley ciskał słowami, jakby pragnął, żeby uderzały mocno. – Nie ma pan po co przychodzić i gadać na tej farmie o kijach, jak pan nawet złamanego kija nie da na reperacje. Idź pan do Middlemarch i spytaj, co o panu gadają.

– Lepiej byś trzymał gębę zamkniętą i nie robił samemu sobie szkody! Jak chłop, co ma rodzinę na utrzymaniu, wyrzuca pieniądze na targu i wraca pijany do domu, to dosyć mu biedy na jeden dzień. Ale chciałabym wiedzieć, co mój chłopak nabroił, jaśnie panie.

– Nie twoja rzecz, co nabroił – upierał się Dagley, jeszcze bardziej zawzięcie. – Moja sprawa gadać, nie twoja. I będę gadał, wygarnę całą prawdę, obiad nie obiad! A to powiem: żyliśmy na tej ziemi, i mój ojciec, i przedtem dziadek, wsadzaliśmy w nią pieniądze, a teraz ja i moje dzieci moglibyśmy leżeć i gnić tu zamiast gnoju, bo nie mamy za co kupić nawozów, gdyby król się wreszcie do tego nie zabrał.

– Mój dobry człowieku, jesteście, ma się rozumieć, pijani – oświadczył pan Brooke konfidencjonalnie, ale niezbyt rozsądnie.

– Kiedy indziej pogadamy, kiedy indziej – dodał, odwracając się, by odejść.

Lecz Dagley natychmiast zagroził mu drogę. Fag za jego nogami zaczął powarkiwać cicho, w miarę jak głos pana przechodził w urągliwy wrzask. Monk zaś również podsunął się bliżej, bacząc na wszystko w godnym milczeniu. Obaj parobcy przy wozie przerwali robotę, by posłuchać, toteż przyjęcie biernej postawy wydawało się rozsądniejsze niż podejmowanie śmiesznej ucieczki przed wrzeszczącym farmerem.

– Takem pijany jak i jaśnie pan dobrodziej – upierał się Dagley. – Umiem w siebie wlać i wiem, co mówię. A mówię, że król robi z tym wszystkim porządek, tak powiadają ci, co się znają na rzeczy, bo przyjdzie reforma i takim dziedzicom, co dla swoich dzierżawców nie robili, co

trzeba, zaleje sadła za skórę, aż będą smyrgać. Są tacy w Middlemarch, co wiedzą o tej ryformie, i wiedzą, kto będzie smyrgał. Powiadali mi: „Wiemy, kto jest twój dziedzic”. A ja im na to: „Może wam co przyjdzie z tego wiedzenia, bo mnie nic z tego”. A oni powiadają: „Sknera jak mało kto”. A ja im na to: „Święta prawda”. A oni powiadają: „To jest ten od ryformy” – tak powiadają, niech tu trupem padnę. Więc ja teraz wiem, co to jest ta ryforma, co jaśnie pana i takich jak on pogoni, i to czymś, co nie pachnie, ino śmierdzi. I niech jaśnie pan robi teraz, co chce, bo ja się jaśnie pana nie boję. A mojego chłopaka niech jaśnie pan zostawi w spokoju i sam się pilnuje, żeby mu się ryforma nie dobrała do skóry. Tyle miałem do powiedzenia – zakończył pan Dagley, wbijając z całej siły widły w ziemię, co okazało się wysoce uciążliwe przy próbie wyciągnięcia ich z powrotem.

W tym momencie Monk zaczął głośno szczekać; była to odpowiednia chwila do ucieczki. Pan Brooke wymaszerował jak najspieszniej z podwórza, nie mogąc się nadziwić nowości sytuacji. Nigdy jeszcze nie naurągano mu na jego własnej ziemi; był dotychczas skłonny uważać, że jest powszechnie lubiany (wszyscy mamy taką skłonność, jeśli częściej myślimy, jacy to jesteśmy sympatyczni, niż o tym, czego ludzie mogą od nas chcieć). Kiedy przed dwunastu laty pokłócił się z Kalebem Garthem, sądził, że dzierżawcy będą radzi, iż dziedzic sam bierze wszystko w swoje ręce.

Czytelnicy, którzy śledzą tu jego przeżycia, dziwią się może niebywałej ignorancji pana Dagleya. W owych jednak czasach takiemu jak on farmerowi z dziada pradiada niezwykle łatwo było pozostawać półanalfabetą, choć w bliźniaczej parafii miał plebana, który był dżentelmenem z krwi i kości, a jeszcze bliżej – wikarego, który kazał bardziej uczenie niż pleban, dziedzica, który zajmował się wszystkim, zwłaszcza zaś sztukami pięknymi i postępowaniem społecznym, oraz w

odległości trzech mil zaledwie – wszystkie światła Middlemarch. Jeśli zaś idzie o łatwość, z jaką człowiek staje się nieukiem, wyobraźcie sobie pierwszego z brzegu waszego znajomego z intelektualnych kręgów Londynu i zastanówcie się, kim byłaby ta doskonale się prezentująca na proznej kolacji osoba, gdyby zdobywała żalosne umiejętności „sumowania” od urzędnika parafialnego w Tipton i potrafiła z najwyższą trudnością przeczytać rozdział z Biblii, ponieważ takie imiona jak Izajasz czy Apollo były nie do pokonania nawet po dwukrotnym prze literowaniu. Biedny Dagley czytał czasem, w niedzielę wieczorem, kilka wersetów i świat był dla niego równie ciemny, jak przedtem. Pewne rzeczy znał jednak gruntownie, a więc: kiepską gospodarkę oraz kłopoty z pogodą, inwentarzem i plonami na Skraju Wolnego, farmie nazwanej tak zapewne przez ironię, aby powiedzieć, że wolno człowiekowi stąd odejść, jeśli chce, ale że nie otwiera się przed nim na ziemi nic dalej.

ROZDZIAŁ XL

W laur mądrości się wzbogaca,
Kto się najwięcej stara,
Komu jest droga sama praca,
Nie rachunek lub wiara.
To oni, w małym doskonali,
Tworzą ład i kulturę,
To dzięki nim ogień się pali
I miasta rosną w górę.

Obserwując skutki działania, choćby baterii elektrycznej, musimy często zmieniać miejsce i przyglądać się jakiemuś zbiorowisku czy grupie z pewnej odległości od punktu, w którym rozpoczęła się interesująca nas akcja.

Grupa, ku której teraz zmierzam – ojciec, matka i pięcioro dzieci – siedziała przy stole śniadaniowym Kaleba Gartha w dużej bawialni, w której znajdowały się biurko i mapy. Mary była jeszcze w domu, czekając na jakąś propozycję pracy, a Christy, następny po niej, pobierał w Szkocji na tanim wikcie – tanią naukę, gdyż, ku rozczarowaniu ojca, ciągnęło go do ksiązek, a nie do uświęconego powołania zwanego „robotą”.

Przyszły listy – dziewięć kosztownych listów, za które zapłacono pocztylionowi trzy szylingi i dwa pency, i pan Garth, niepomny na herbatę i grzanki, czytał je, a następnie odkładał, otwarte, jeden na drugim, niekiedy potrząsając wolno głową, czasem ściągając usta w wewnętrznym monologu; pamiętał jednak o tym, by wyciąć ostrożnie wielką, czerwoną pieczęć, którą natychmiast porwał Letty, niczym chciwy terier.

Reszta rodziny rozmawiała swobodnie, nic bowiem nie mogło

wytrącić Kaleba ze skupienia prócz trzęsienia stołem, gdy pisał.

Dwa listy z dziewięciu adresowane były do Mary. Przeczytawszy je, oddała matce i siedziała, bawiąc się w roztargnieniu łyżeczką, lecz nagle ocknęła się i zabrała z powrotem do robótki, którą podczas śniadania trzymała na kolanach.

– Och, zostaw to szycie, Mary. – Ben pociągnął siostrę za rękę. – Ulep mi pawia z chleba! – ugniatł małą kulkę, która miała do tego posłużyć.

– Nic z tego, łobuzie – odpowiedziała dobrodusznie, kłując go leciutko igłą w rękę. – Spróbuj ulepić go sam: tyle razy przyglądałeś się, jak to robię. Muszę skończyć szycie. To dla Rozamundy Vincy: w przyszłym tygodniu wychodzi za mąż, a nie mogłaby wyjść bez tej chusteczki – zakończyła wesoło, rozbawiona tą ostatnią myślą.

– A to dlaczego, Mary? – Letty była poważnie zaciekawiona i przysunęła się do siostry tak blisko, że Mary przytknęła teraz groźną igłę do jej noska.

– Dlatego że to jedna z tuzina i bez niej byłoby tylko jedenaście – wyjaśniła z powagą i Letty odsunęła się, przekonana, że już wie.

– Czy podjęłaś decyzję, kochanie? – spytała pani Garth, odkładając listy.

– Pojadę do tej szkoły w Yorku – odparła Mary. – Mniej jestem niezdarzona jako nauczycielka szkolna niż guwernantka. Wolę uczyć w zespole. Bo przecież muszę uczyć: nie pozostaje mi nic innego.

– Nauczanie wydaje mi się najcudowniejszym zajęciem na świecie. – W głosie pani Garth brzmiał ton przygany. – Mogłabym zrozumieć twoje obiekcje, gdybyś nie miała dostatecznej wiedzy lub nie lubiła dzieci.

– Pewno nigdy nie zrozumiemy całkowicie, dlaczego ktoś nie lubi tego samego co my – odparła Mary trochę szorstko. – Nie lubię izby szkolnej: wolę świat na zewnątrz. To moja bardzo niefortunna wada.

– Strasznie musi być głupio siedzieć ciągle w szkole dla dziewczyn

– zauważył Alfred. – Gromada takich ciamajd, jak te panienki od pani Ballard, co to maszerują parami.

– I nie znają żadnych fajnych zabaw – przyłączył się do niego Jim.
– Nie potrafią rzucać do celu ani skakać. Wcale się nie dziwię, że Mary tego nie lubi.

– A czego to Mary nie lubi? – ojciec podniósł wzrok sponad okularów, zatrzymując się przed otwarciem następnego listu.

– Siedzieć w szkole z gromadą dziewczuch ciamajd – wyjaśnił Alfred.

– Czy to jest posada, o której słyszałaś, Mary? – spytał łagodnie ojciec, spoglądając na córkę.

– Tak, tatusiu, w szkole w Yorku. Postanowiłam ją wziąć. To najlepsza możliwość. Trzydzieści pięć funtów rocznie i dodatkowa opłata za uczenie najmłodszych brzdąkaczy gry na fortepianie.

– Biedne dziecko! Tak bym chciał, Susan, żeby mogła zostać z nami w domu! – Kaleb spojrział żałośnie na żonę.

– Mary nie byłaby szczęśliwa, gdyby nie spełniała swego obowiązku – oznajmiła apodyktycznie pani Garth, świadoma, że sama swój obowiązek spełnia.

– Ja to bym nie był szczęśliwy, gdybym musiał spełniać taki wstrętny obowiązek – stwierdził Alfred, na co Mary i ojciec roześmieli się cicho, pani Garth jednak powiedziała z powagą:

– Poszukaj odpowiedniejszego słowa niż „wstrętny” na wszystko, co ci się wydaje niemiłe, Alfredzie. A przypuśćmy, że Mary za te pieniądze, które zarobi, mogłaby opłacić twoją naukę u pana Hammera?

– Myślę, że to byłby okropny wstyd. Ale ona jest morową dziewczyną – powiedział Alfred, wstając z krzesła i odchylając głowę Mary, by ją pocałować.

Mary poczerwieniała i zaczęła się śmiać, nie mogła jednak ukryć wzbierających łez. Kaleb spoglądał na nich sponad okularów, z

mieszaniną zachwytu i smutku, a ostre łuki brwi opadły mu nieco, gdy zabrał się do otwierania następnego listu; nawet pani Garth pozwoliła, by niewłaściwe wyrażenie uszło bez napomnienia, a wargi jej wygięły się lekko w spokojnym zadowoleniu, choć Ben powtórzył ów mało elegancki zwrot, śpiewając: „morowa dziewczyna” w rytm galopu, który wybijał pięścią na ramieniu Mary.

Lecz wzrok pani Garth przeniósł się z kolei na męża, zagłębitego w czytaniu listu. Na twarzy jego odmalował się wyraz poważnego zdumienia, który ją nieco przestraszył, ale że wiedziała, iż nie lubi, by mu przerywano lekturę, siedziała bez słowa, patrząc tylko niespokojnie; wreszcie zobaczyła, że wstrząsa nim radosny, krótki śmiech, potem zaczyna czytać list od nowa. Po chwili, spoglądając na nią sponad okularów, spytał cicho:

– Co o tym myślisz, Susan?

Podeszła, stanęła za nim, położywszy mu rękę na ramieniu, i razem czytali. List był od sir Jamesa z propozycją, by pan Garth objął zarząd rodowych majątków Freshitt i innych, oraz informacją, że pan Brooke z Tipton prosił, by sir James upewnił się, czy pan Garth byłby skłonny przyjąć z powrotem w zarząd nieruchomości Tipton. Baronet dodawał w bardzo uprzejmych słowach, że szczególnie mu zależy na tym, by majątności Tipton i Freshitt znalazły się pod tym samym zarządem, ma też nadzieję, że zdoła wykazać, iż to podwójne włodarstwo będzie na warunkach kontentujących pana Gartha, którego chciałby widzieć u siebie we dworze o godzinie dwunastej następnego dnia.

– Ładnie pisze, prawda, Susan? – Kaleb podniósł oczy na żonę, która przesunęła rękę z mężowskiego ramienia do ucha, wsparłszy się podbródkiem o jego głowę. – Brooke nie chciał zwracać się do mnie osobiście, to jasne – ciągnął, śmiejąc się cicho.

– Oto dowód uznania dla waszego ojca. – Pani Garth przeciągnęła

spojrzeniem po pięciu parach utkwionych w rodzicach oczu. – Został poproszony o ponowne przyjęcie stanowiska, z którego zwolniono go przed laty. To dowodzi, że pracę swoją wykonywał tak dobrze, że odczuto jego brak.

– Jak Cincinnatus, hurra! – zakrzyknął Ben, bujając się na krześle jak na koniu, w miłym przeświadczeniu, że dyscyplina poszła w ką.

– Czy po tatka przyjadą? – wypytywała Letty, mając na myśli burmistrza i władze miejskie w paradnych strojach.

Pani Garth pogłaskała ją po głowie z uśmiechem, ale widząc, że mąż zgarnia listy i wkrótce znajdzie się poza jej zasięgiem, w owym sanktuarium określanym mianem „roboty”, ścisnęła go za ramię i powiedziała dobitnie:

– Pamiętaj, żebyś zażądał przyzwoitej płacy, Kaleb.

– Jasne – przytaknął Kaleb tonem tak oczywistym, jakby tylko pieniądze były mu w głowie. – Te dwie posiadłości przyniosą jedna z drugą czterysta do pięciuset funtów. – Nagle drgnął, jakby coś mu się przypomniało. – Mary, napisz do tej szkoły i podziękuj. Zostań w domu i pomagaj matce. Teraz, kiedy to sobie uprzytomniłem, cieszę się jak Punch^[78].

Trudno sobie wyobrazić zachowanie mniej przypominające triumfującego Puncta niż obejście Kaleba, lecz jego talenty nie polegały na umiejętności wynajdywania zręcznych sformułowań, choć bardzo starannie pisał swoje listy, a żonę uważał za najdoskonalsze źródło wiedzy o poprawnym języku.

Wśród dzieci podniosła się niemal wrzawa, a Mary błagalnym ruchem wyciągnęła do matki swój haft na batyście, prosząc, by odłożyła go w bezpieczne miejsce, gdyż chłopcy ciągnęli ją do tańca. Ze spokojnym zadowoleniem pani Garth zaczęła zbierać ze stołu filiżanki, podczas

[78] Punch – bohater angielskiego tradycyjnego widowiska kukielkowego.

gdy Kaleb odsunął krzesło, jakby zamierzał przejść do swojego biurka, lecz siedział dalej z listami w ręku i w zamyśleniu patrzył w podłogę, wyprostowując, w miarę swego bezgłośnego monologu, palec po palcu lewej ręki.

– Straszna szkoda, że Christy nie ma upodobania do mojej roboty, Susan – powiedział wreszcie. – Będzie mi z czasem potrzebna pomoc. A Alfred musi iść do szkoły mechanicznej, to postanowione. – Znów pogrążył się na chwilę w zamyśleniu i obliczaniu czegoś na palcach, po czym ciągnął: – Namówię Brooke’a, żeby spisał nowe umowy z dzierżawcami i ustalę płodozmian. Gotów jestem iść w zakład, że będziemy mogli zrobić pierwszorzędną cegłę z tej gliny, tam, w Kątach Botta, muszę tego przypilnować, bardzo to obniży koszty remontów. To kawał pięknej roboty, Susan. Człowiek bez rodziny chętnie by się jej podjął za darmo.

– Tylko pilnuj się, żebyś czasem tego nie zaproponował – podniosła ostrzegawczo palec jego żona.

– Dobrze, dobrze, ale dla człowieka, który poznał do gruntu, czym jest robota, to nie byle jakie szczęście dostać do ręki sposobność doprowadzenia jakiegoś skrawka kraju do należytego stanu i pokazania ludziom, co to znaczy dobrze gospodarować, jak wprowadzić w życie parę dobrych pomysłów i postawić parę solidnych budynków, żeby tym, co są teraz, i tym, co po nich przyjdą, lepiej się żyło. Więcej to dla mnie niż bogactwo. Nie ma, moim zdaniem, szczytniejszej pracy. – Tu Kaleb odłożył swoje listy, wsunął palce między guziki kamizelki i usiadł sztywno, lecz po chwili dodał, pochyliwszy lekko na bok głowę, głosem, w którym brzmiało pełne uwielbienia zdumienie: – To wielki dar boży, Susan.

– Tak, to prawda, Kaleb – przyznała żarliwie jego żona. – A dla twoich dzieci będzie błogosławieństwem to, że miały ojca, który dokonał

podobnego dzieła, ojca, którego dobre czyny zostaną, chociaż jego imię może pójść w zapomnienie. – Nie mogła już mówić mu więcej o pieniądzach.

Wieczorem, gdy Kaleb zmęczony całodzienną pracą siedział w milczeniu z notesem otwartym na kolanach, a pani Garth i Mary zajęte były szyciem, Letty zaś prowadziła w kąciку rozmowę szeptem ze swą lalką, nadszedł pastor Farebrother ścieżką przez sad, dzieląc ostre sierpniowe światła i cienie wraz z bujną trawą i gałęzmi jabłoni. Wiemy, że bardzo lubił Garthów, swoich parafian, i że uważał Mary za osobę, o której warto wspomnieć Lydgate'owi. Wykorzystywał bez ograniczeń duszpasterski przywilej lekceważenia różnic stanowych, przyjętych w Middlemarch, i zawsze powtarzał matce, że pani Garth jest większą damą niż którakolwiek z matron w mieście. A jednak, widzicie, spędzał wieczory u Vincych, gdzie matrona, choć dama mniejszego formatu, prezydowała w jasno oświetlonym salonie i przy stoliku do wista. W owych czasach o stosunkach między ludźmi nie decydował wyłącznie szacunek. Pastor jednak szczerze szanował Garthów, toteż jego wizyta nie wzbudziła ich zdziwienia. Mimo to tłumaczył się od progu ściskając kolejno ręce:

– Przeszedłem tu jako czyjś wysłannik, droga pani, mam coś do powiedzenia pani i jej mężowi w imieniu Freda Vincy. Chodzi o to, że ten biedak – ciągnął, siadając i obrzucając bystrym spojrzeniem słuchającą go trójkę – przypuścił mnie do konfidencji.

Serce Mary zaczęło uderzać szybko: zastanawiała się, czy była to pełna konfidencja.

– Nie widzieliśmy chłopca od miesiący – powiedział Kaleb. – Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje.

– Wyjeżdżał gdzieś z wizytą – wyjaśnił pastor – gdyż w domu zrobiło mu się trochę za gorąco, a Lydgate doradził jego matce, żeby biedak jeszcze nie podejmował nauki. Ale przyszedł do mnie wczoraj i zwierzył

się. Rad jestem, że to zrobił, bo znam go od czternastoletniego młodzika, a tak często bywam w ich domu, że te dzieci to dla mnie jak siostrzeńcy i siostrzenice. Trudno w jego przypadku dawać dobre rady. Tak czy inaczej, prosił mnie, żebym tu przyszedł i powiedział, że wyjeżdża i tak się gryzie tym długiem wobec was i niemożnością jego spłaty, że nie jest w stanie tu przyjść, choćby z pożegnaniem.

– Niech mu pan powie, że to nie ma najmniejszego znaczenia – oświadczył Kaleb, machając ręką. – Trochę nas przycisnęło, aleśmy sobie dali radę. A teraz będą bogaty jak Żyd.

– To znaczy – uśmiechnęła się pani Garth – że będziemy mieli dość, by przyzwoicie wychować chłopców i zatrzymać Mary w domu.

– Jakież to znaleźliście skarb? – spytał pastor.

– Mam zostać zarządcą dwóch majątności, Freshitt i Tipton, i jeszcze, być może, ładnego kawałka ziemi w Lowick, wszystko to majątki skoliigaconych rodzin, a propozycje pracy, jak się raz pojawią, to potem spływają jak woda. Bardzo jestem szczęśliwy, pastarze. – Kaleb odrzucił lekko głowę do tyłu i położył ręce na poręczach fotela – że znowu będę mógł zajmować się umowami dzierżawnymi i że mi się uda wprowadzić w życie trochę nowych pomysłów. Często mówiłem Susan, jak to człowieka gryzie, kiedy patrzy z siodła przez żywopłot i widzi, że coś jest nie tak jak trzeba, a nie może przyłożyć ręki do naprawy. W głowie mi się nie mieści, co robią ludzie, którzy się zajmują polityką: ja, jak widzę złą gospodarkę, choćby na kilkuset akrach, to tracę zmysły.

Tak długa samorzutna wypowiedź Kaleba była rzadkością, lecz szczęście podziałało na niego jak górskie powietrze; oczy mu błyszczały, a słowa padały bez wysiłku.

– Gratuluję panu z całego serca. To najlepsza wiadomość, jaką mogę zanieść Fredowi Vincy; z takim przejęciem opowiadał mi, jaką krzywdę panu wyrządził, sprawiając, że musiał pan oddać swoje pieniądze, z

których pana obrabował, jak mówił, a które były panu na coś potrzebne. Żeby też Fred nie był taki próżniak! Ten chłopak ma wiele zalet, a ojciec krótko go teraz trzyma.

– Dokąd wyjeżdża? – spytała pani Garth dość chłodno.

– Chce ponownie spróbować zdobyć stopień bakałarza i jedzie, by się uczyć przed rozpoczęciem semestru. Doradzałem mu to. Nie namawiam go, by wszedł na drogę kapłaństwa, wprost przeciwnie. Ale jeśli pojedzie, popracuje i zda, to będzie dowód, że ma i siły, i wolę; teraz całkiem stracił głowę, nie wie, co by innego mógł robić. Tymczasem więc postąpił zgodnie z wolą ojca, a ja obiecałem, że przez ten czas będę próbował pogodzić pana Vincy z myślą, iż jego syn obierze inną drogę życiową. Fred powiada szczerze, że się nie nadaje na duchownego, a ja zrobiłbym wszystko, by powstrzymać człowieka od fatalnego kroku, jakim jest niewłaściwy wybór zawodu. Przytaczał mi, panno Garth, pani słowa. Czy je pani pamięta? (Pastor Farebrother mawiał był do niej po imieniu, ale delikatność kazała mu okazywać jej większe poważanie teraz, gdy według określenia pani Vincy, zarabiała na swój chleb).

Mary zmieszana się nieco, ale chcąc potraktować sprawę lekko, odparła natychmiast:

– Tyle mówiłam Fredowi różnych zuchwalstw, znamy się przecież od dziecka.

– Według niego, powiedziała pani, że będzie jednym z tych zabawnych duchownych, którzy ośmieszają całe duchowieństwo. Doprawdy, uwaga tak cięta, że sam poczułem ukłucie.

– Odziedzyczyła po tobie język, Susan – roześmiał się Kaleb.

– Ale nie zuchwałość – śpiesznie zaprzeczyła Mary, obawiając się niezadowolenia matki. – To nieładnie ze strony Freda, że powtarza pastorowi moje lekkomyślne słowa.

– Niewątpliwie były to słowa nierozważne, moja droga – przyznała

pani Garth, dla której krytyczne wypowiedzi o dostojnikach stanowiły poważne wykroczenie. – Nie powinniśmy niżej cenić naszego pasterza dlatego, że w sąsiedniej parafii jest śmieszny wikary.

– Ale jednak jest coś w tym, co powiedziała. – Kaleb nie lubił, gdy nie doceniano bystrości jego córki. – W każdej dziedzinie zły robotnik sprawia, że mniej się ufa jego kolegom. Wszystko jest z wszystkim powiązane – dodał, spoglądając w podłogę i szurając w zakłopotaniu nogami w poczuciu, że ilość słów nie dorasta do ilości myśli.

– Niewątpliwie – przyznał pastor, rozbawiony. – Człowiek, godny lekceważenia, nastreja umysły bliźnich na tonację lekceważenia. Zgadzam się w zupełności z poglądem panny Mary na sprawę, bez względu na to, czy mnie to lekceważenie dotyka, czy nie. Jeśli jednak idzie o Freda Vincy, należy mu się pewne usprawiedliwienie: bardzo mu zaszkodziło bałamutne zachowanie starego Featherstone’a. Jest coś niemal diabolicznego w tym, że mu koniec końców nie zostawił ani pensa. Ale Fred pokazał klasę i w ogóle o tym nie mówi. Najbardziej przejmuję się tym, że obraził panią, pani Garth: sądzi, że już nigdy nie będzie pani miała o nim dobrego mniemania.

– Zawiodłam się na Fredzie – stwierdziła stanowczo pani Garth. – Ale gotowa jestem znów dobrze o nim myśleć, kiedy mi da powód do tego.

W tym momencie Mary wyszła z pokoju, zabierając ze sobą Letty.

– Trzeba przebaczać młodym, kiedy okazują skruchę – powiedział Kaleb, patrząc, jak Mary zamyka drzwi. – Prawdę pan mówi, pastorze, że w tym starym siedział diabeł. Teraz, kiedy Mary wyszła, muszę panu coś powiedzieć: nikt tego nie wie, tylko Susan i ja, a pan nie powtórzy nikomu. Ten stary łotr tej nocy, kiedy umierał, chciał, żeby Mary spaliła jeden z testamentów. Ona siedziała przy nim sama jedna, a on zaofiarował jej wszystkie pieniądze, jakie miał w skrzynce przy sobie, tylko żeby ten testament spaliła. Ale Mary, pan rozumie, nie mogła czegoś podobnego

zrobić, nie mogła tknąć tego żelaznego kufra i tak dalej. No, ale widzi pan, testament, który on chciał spalić, był tym ostatnim, i gdyby Mary posłuchała, Fred Vincy dostałby dziesięć tysięcy funtów. W ostatniej chwili stary jednak się ku niemu obrócił. To biednej Mary nie daje spokoju; nie mogła nic zrobić, miała prawo postąpić, jak postąpiła, ale jak powiada, czuje się tak, jakby zniszczyła cudzą własność, jakby coś potłukła mimo woli, broniąc, podług prawa, samej siebie. Trochę ją rozumiem i gdybym mógł to jakoś wynagrodzić biednemu chłopcu, zamiast żywić do niego urazę za szkodę, jaką nam wyrządził, byłbym bardzo rad. A co pan o tym myśli, pastarze? Susan się ze mną zgadza. Powiada... no, powiedz sama, Susan.

– Mary nie mogłaby postąpić inaczej, nawet gdyby wiedziała, jak to się dla Freda skończy – powiedziała pani Garth, przerywając szycie i spoglądając na gościa. – A ona tego nie wiedziała. Wydaje mi się, że strata, jaką ktoś ponosi wskutek tego, że postąpiliśmy słusznie, nie może obciążać naszego sumienia.

Pastor nie odpowiedział od razu, więc Kaleb ciągnął.

– Tu chodzi o czucie. Dziecko czuje w ten sposób, a ja z nią współczuję. Człowiek nie chce, żeby jego koń nastąpił na psa przy cofaniu, ale jeśli nastąpi, to człowiekowi przykro.

– Jestem pewien, że w tym wypadku małżonka zgodziłaby się z panem. – Pastor Farebrother z jakiejś przyczyny miał teraz większą ochotę na rozmyślanie niż gadanie. – Trudno powiedzieć, by to uczucie w stosunku do Freda było niewłaściwe czy też może nierozsądne, chociaż nikt nie miałby prawa go wymagać.

– No, dobrze – powiedział Kaleb. – To sekret, pastarze. Nie powie pan Fredowi, prawda?

– Z pewnością nie powiem. Ale zaniosę mu inną dobrą wiadomość: że może pan sobie pozwolić na stratę, jaką on spowodował.

Po niedługim czasie pastor Farebrother wyszedł, a zobaczywszy w sadzie Mary razem z Letty, podszedł do nich, by się pożegnać. Ładny tworzyły obrazek w świetle zachodu, wydobywającym jaskrawość jabłek z tła rzadkiego listowia starych gałęzi – Mary w lawendowego koloru bawełnianej sukience z czarnymi wstążkami trzymała koszyk, podczas gdy Letty, w podniszczonym nankinie, zbierała z ziemi spady. Jeśli chcielibyście wiedzieć coś bliższego o wyglądzie Mary, jest niemal pewne, że pilnie bacząc, zobaczycie jutro podobną twarz na zatłoczonej ulicy: nie pośród owych wyniosłych cór Syjonu, które kroczą z wyciągniętą szyją i lubieżnym spojrzeniem, mizdrząc się cały czas; nie, tym pozwólcie przejść: utkwijcie wzrok w drobnej, pulchnej, ciemnawej osóbcie o ruchach spokojnych, lecz zdecydowanych, która rozgląda się wokół, lecz nie przypuszcza, by ktokolwiek jej się przyglądał. Jeśli ma szeroką twarz i wysokie czoło, wyraźnie zdecydowane brwi i ciemne wijące się włosy, w spojrzeniu pewne rozbawienie, które usta zachowują w sekrecie, i pozostałe rysy zupełnie bez wyrazu – przyjmijcie tę zwykłą, lecz bynajmniej nie przykrą dla oka osóbkę za wizerunek Mary Garth. Jeśli sprowokujecie ją do uśmiechu, pokaże wam równe, śliczne ząbki: jeśli ją rozgniewacie – nie podniesie głosu, ale zapewne powie wam najbardziej cierpką uwagę, jaką usłyszeliście w życiu; jeśli wyrzadzicie jej przysługę, nigdy tego nie zapomni. Mary podziwiała tego niepozornego bystrookiego pastora w zniszczonym, lecz porządnie wyszczotkowanym ubraniu bardziej niż jakiegokolwiek znanego jej mężczyznę. Nigdy nie słyszała, by powiedział głupstwo, choć wiedziała, że czasem postępuje niemądrze, może jednak bardziej ją raziło mówienie głupstw niż jakiegokolwiek nierozsądne postęпки pastora Farebrothera. W każdym razie jest godne uwagi, że oczywiste niedoskonałości pastora Farebrothera jako duszpasterza nigdy nie budziły w niej takiej pogardy i niechęci, jakie z góry okazywała przepowiadającym niedostatkom Freda jako duszpasterza.

Przypuszczam, że takie niekonsekwentne sądy wydają nawet osoby bardziej od Mary Garth dojrzałe: bezstronność naszą zachowujemy dla abstrakcyjnych cnót i wad, z którymi nie było nam dane się zetknąć. Czy ktokolwiek zgadnie, którego z tych tak bardzo różnych mężczyzn darzyła Mary szczególną kobiecą tkliwością? Tego, któremu okazywała większą surowość, czy odwrotnie?

– Czy ma pani coś do przekazania swemu starymu towarzyszowi zabaw? – spytał pastor, wybierając pachnące jabłko z koszyka, który mu podsunęła, i chowając je do kieszeni. – Coś na osłodę tej surowej opinii? Idę właśnie, żeby się z nim zobaczyć.

– Nie. – Mary z uśmiechem potrząsnęła głową. – Gdybym miała powiedzieć, że nie będzie śmieszny jako duchowny, musiałabym powiedzieć, że będzie gorzej niż śmieszny. Ale rada słyszę, że jedzie pracować.

– Ja z kolei rad słyszę, że pani nie jedzie pracować. Moja matka byłaby z pewnością szczęśliwa, gdyby pani ją odwiedziła na plebanii. Wie pani, jak lubi rozmawiać z młodymi, a ma bardzo dużo do powiedzenia o dawnych czasach. Doprawdy, zrobi pani dobry uczynek.

– Z miłą chęcią – odparła. – Wszystko nagle wydaje mi się zbyt cudowne. Sądziłam, że zawsze będzie moim udziałem tęsknić za domem, a teraz, gdy zniknął powód do smutku, czuję jakby pustkę: pewno to wypełniało mi głowę zamiast rozsądku.

– Czy będę mogła iść z tobą, Mary? – szepnęła Letty, ogromnie kłopotliwe dziecko, słyszące wszystko. Lecz pastor uszczypnęła ją w brodę i ucałował w policzek, co wprawiło ją w radosne uniesienie i natychmiast opowiedziała o tym rodzicom.

Ktoś, kto przyglądałby się uważnie pastorowi, który wracał do Lowick, musiałby zauważyć, że dwa razy wzruszył ramionami. Wydaje mi się, że nieliczni Anglicy, którzy wykonują ten gest, nie należą nigdy

do tęgich – z obawy przed jakimś grubasem, który by zaprzeczył mojemu stwierdzeniu, powiem: niemal nigdy. Odznaczają się na ogół łagodnym usposobieniem i ogromną tolerancją dla drobnych wad swoich bliźnich (oraz własnych). Pastor toczył właśnie wewnętrzny dialog, w którym najpierw stwierdził, że pomiędzy Fredem i Mary Garth musi być coś więcej niż tylko serdeczność towarzyszy dziecięcych zabaw, po czym zadał samemu sobie pytanie, czy ta mała kobietka nie jest czasem o wiele za dobra dla takiego niedojrzałego młokosa. Na to z kolei odpowiedzią było pierwsze wzruszenie ramion. Potem roześmiał się z tego, że jest niemal prawdopodobne, iż czuje zazdrość, tak jakby był mężczyzną, który może się ożenić, w tej zaś kwestii nie ma wątpliwości: nie może. I wówczas nastąpiło drugie wzruszenie ramion.

Cóż mogli dwaj tak całkowicie różni mężczyźni widzieć w tej „ciemnej łacie”, jak samą siebie nazywała Mary? Nie pociągała ich na pewno pospolitość jej urody (niechaj wszystkie nieładne młode panny strzegą się jak mogą niebezpiecznych słów otuchy ze strony wszystkich dobrych ciotek, które im każą pokładać ufność w brzydocie). Istota ludzka w naszym sędziwym narodzie jest wspaniałą całością, powolnym rezultatem długiego działania zmiennych czynników; urok zaś jest wytworem dwóch takich całości: jednej kochającej i jednej kochanej.

Gdy państwo Garth siedzieli we dwoje, Kaleb zwrócił się do żony:

– Zgadnij, Susan, o czym myślę?

– O płodozmianie – żona uśmiechnęła się do niego sponad swojej robótki – albo kuchennych drzwiach na farmach Tipton.

– Nie – odparł poważnie Kaleb. – Myślę o tym, że mógłbym wyświadczyć wielką przysługę Fredowi Vincy. Christy wyjechał, Alfred też niedługo wyjedzie, a upłynie pięć lat, nim Jim będzie gotów zasmakować w robocie. Będę potrzebował pomocy, a Fred mógłby tu przyjść i uczyć się, na czym ta robota polega, i pracować pod moim

kierunkiem. Można by zrobić z niego pożytecznego człowieka, jeśli da pokój myślom o pastorowaniu. Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że nie ma takiej uczciwej możliwości, do której jego rodzina miałaby większe zastrzeżenia – powiedziała z przekonaniem pani Garth.

– A co mnie obchodzą ich zastrzeżenia – w głosie Kaleba brzmiała stanowczość, którą zwykł okazywać, gdy był o czymś przekonany. – Chłopak jest pełnoletni i musi zarobić na chleb. Ma dość rozumu w głowie i jest bystry: lubi ziemię i wierzę, że mógłby się nauczyć roboty, gdyby się przyłożył.

– Ale czyby się przyłożył? Rodzice chcieli z niego zrobić wytwornego paniczyka, a myślę, że i on sam chciał za takiego uchodzić. Oni wszyscy uważają nas za ludzi niższego stanu. I gdyby propozycja wyszła od ciebie, pewna jestem, że pani Vincy powiedziałyby, że chcemy Freda dla Mary.

– Życie byłoby brednią, gdyby się w nim kierować takimi niedorzecznościami – powiedział Kaleb z niesmakiem.

– Tak, ale odrobina dumy jest rzeczą właściwą, Kaleb.

– Nazwałbym to niewłaściwą dumą, pozwalając, by poglądy jakiegoś głupca powstrzymały cię od zrobienia dobrego uczynku. Żadnej roboty – ciągnął z przejęciem Kaleb, podkreślając wagę swoich słów siekącymi ruchami wyciągniętej ręki – nie można by należycie wykonać, gdyby się zwracało uwagę na to, co mówią głupcy. Musisz mieć w sobie, tutaj, przekonanie, że to, co chcesz zrobić, jest słuszne i nie możesz od tego odstąpić.

– Nie będę się opierała żadnym projektom, przy których będziesz obstawał. – Pani Garth była stanowczą kobietą, wiedziała jednak, że w pewnych sprawach jej łagodny mąż jest bardziej od niej stanowczy. – Ale wydaje się, że decyzja o powrocie Freda na uniwersytet już zapadła. Czy nie lepiej poczekać i zobaczyć, co będzie potem chciał robić? Niełatwo trzymać ludzi wbrew ich woli. A i ty przecież nie jesteś jeszcze

całkiem pewny ani własnej pozycji, ani czego będzie ci trzeba.

– Może i lepiej zaczekać jeszcze trochę. Ale nie ma wątpliwości, że będę miał pracy dla dwóch i więcej. Zawsze miałem ręce pełne drobnych robót i wciąż wpada coś nowego. No przecież wczoraj zaledwie... Prawda, jeszcze ci o tym nie mówiłem, dosyć to osobliwe, żeby dwaj ludzie zwracali się do mnie z dwóch stron o oszacowanie tego samego kawałka ziemi. Jak myślisz, kto to był? – Kaleb wziął szczyptę tabaki i trzymał ją między palcami, jakby to była część jego wypowiedzi. Bardzo lubił zażywać tabaki, jeśli sobie o niej przypominał, na ogół jednak zapominał, że może sobie pozwolić na tę przyjemność.

Pani Garth opuściła robótkę na kolana i słuchała z uwagą.

– Wyobraź sobie, ten Rigg czy Rigg Featherstone to jeden. Ale Bulstrode był pierwszy, więc będę robił taksację dla niego. Nie wiem jeszcze, czy idzie o zastaw hipoteczny czy o kupno.

– Czy możliwe, żeby ten człowiek chciał sprzedawać ziemię, którą przed chwilą odziedziczył? Dla której wziął nazwisko? – zdumiała się pani Garth.

– Licho wie – odparł Kaleb, który wiedzy o jakichś niecnych poczynaniach nigdy nie wiązał z potęgą wyższą niż lichy. – Ale Bulstrode od dawna wyglądał, żeby mu się jakiś ładny kawałek ziemi nawinął pod rękę; to wiem. A w tej części kraju to wcale niełatwe. – Kaleb starannie rozsypywał tabakę, zamiast jej zażyć, po czym dodał: – Dziwnymi drogami chodzą sprawy. Oto kawałek ziemi, który jak się wszyscy spodziewali, miał dostać Fred, a z którego, jak się okazało, stary nie zamierzał mu zostawić ani garści, tylko zapisał wszystko temu swojemu synowi z poślizgu, o którym nic nikomu nie mówił, i wyobrażał sobie, że on tu będzie tkwił i kłuł wszystkich oczy, i drażnił, tak jak on sam by ich drażnił, jeśliby żył jeszcze dłużej. Byłoby osobliwe, powiadam, gdyby mimo wszystko ziemia dostała się w ręce Bulstrode'a. Stary go

nienawidził i nigdy nie chciał mieć rachunku w jego banku.

– Jakież mógłby mieć powód ten nieszczęśnik, żeby nienawidzić człowieka, z którym nie miał nic wspólnego? – spytała pani Garth.

– Ba! Cóż przyjdzie z pytania takich jegomości o przyczynę! Dusza ludzka – ciągnął Kaleb głębokim tonem, potrząsając z powagą głową, jak zawsze, gdy wymawiał te słowa – dusza ludzka, kiedy już zgnije ze szczętem, zaczyna rodzić różnego rodzaju trujące muchomory i żadne oko nie dojrzy, skąd się wzięło ziarno pod taki siew.

Była to jedna z osobliwości Kaleba, że gdy miał trudność ze znalezieniem słów, aby wyrazić swe myśli, sięgał po strzępy frazesów, które mu się kojarzyły z jakimś punktem widzenia czy stanem umysłu, gdy zaś ogarnęła go groza – wpadał we frazeologię biblijną, chociaż nie potrafił wiernie przytaczać cytatów.

ROZDZIAŁ XLI

Co wprzódy źle było, to stało się gorzej,
Bo deszcz, oj! deszcz leje się co dzień[79].

William Shakespeare, *Wieczór Trzech Króli*,
akt V, sc. 1

Transakcje, o jakich wspominał Kaleb Garth, a jakie prowadzili pan Bulstrode i pan Joshua Rigg Featherstone w sprawie ziemi należącej do Stone Court, spowodowały wymianę kilku i listów między zainteresowanymi. Któż jest zdolny przewidzieć, jaki może być skutek pisania? Jeśli się zdarzy, że słowo zostanie wykute w kamieniu, to choćby leżało twarzą do ziemi przez stulecia na odludnym wybrzeżu lub też „spoczywało spokojnie pod bębniami i stopami kolejnych najeźdźców”^[80] – może na koniec wyjaśnić nam tajemnice dokonanych uzurpacji czy innych skandali, o których plotkowano przed wieloma długimi cesarstwami; świat nasz jest najwyraźniej wielką galerią szeptów. Podobne sytuacje w miniaturze zdarzają się niekiedy za naszego powszedniego życia. Tak jak kamień kopany przez wiele pokoleń głupców może, dzięki dziwnemu łańcuchowi drobnych następstw, ukazać się oczom uczonego, któremu udaje się wreszcie ustalić datę inwazji i złamać pieczęć religii, tak kawałek papieru i odrobina atramentu, służące za niewinne opakowanie lub przypadkową zatyczkę, mogą się kiedyś znaleźć przed oczyma kogoś, kto ma dostateczną wiedzę, by uczynić z tego początek katastrofy. Dla

[79] Przeł. Leon Ulrich.

[80] Zniekształcony cytat z *Um Burial* sir Thomasa Browne'a (1658).

Uriela^[81], obserwującego ze Słońca dzieje Ziemi, jeden traf będzie takim samym przypadkiem jak drugi.

Po tym nieco wzniosłym porównaniu z mniejszym zakłopotaniem zwracam uwagę na istnienie plejebuszy, których ingerencje, choćby się to nam nie podobało, mają w dużym stopniu wpływ na losy świata. Byłoby niewątpliwie korzystne, by liczba tych ludzi została zmniejszona, i może coś dałoby się zrobić w tym kierunku, gdybyśmy im lekkomyślnie nie stwarzali możliwości zaistnienia. W sensie towarzyskim Joshua Rigg uznany byłby wszędzie za osobę nie do przyjęcia. Lecz ludzie w rodzaju Piotra Featherstone, których nigdy nie proszono o pozostawienie potomka, to ostatni, którzy by chcieli czekać na taką prośbę wierszem czy prozą. W tym wypadku potomek nosił większe zewnętrzne podobieństwo do matki, u kobiet bowiem, zdaniem wielbicieli określonego gatunku, wdzięk może się doskonale łączyć z żabimi rysami, policzkami mocno kraszonymi rumieńcem i pulchną figurą. Rezultatem jest niekiedy samiec o żabiej twarzy, niepożądany wśród istot inteligentnych jakiegokolwiek rządu. Zwłaszcza kiedy zostanie niespodziewanie przywołany do obecności, by zniszczyć czyjeś oczekiwania – najgorsza z możliwych ról, w jakich ktoś towarzysko nie do przyjęcia – może się pojawić.

Wszystkie jednak plebejskie cechy pana Rigga Featherstone należały do rodzaju trzeźwych, abstynenckich. Od świtu do późnych godzin dnia był zawsze gładki, schludny i zimny jak żaba, którą przypominał, a stary Piotr chichotał był po cichu, ukontentowany potomkiem niemal bardziej wyrachowanym i bardziej beznamiętnym od niego. Dodam jeszcze, że pan Rigg Featherstone miał wypielęgnowane paznokcie i zamierzał poślubić młodą i wykształconą damę (dotychczas jeszcze nie wybrał jej ostatecznie) o odpowiednim wyglądzie zewnętrznym i koneksjach, na solidny,

[81] Uriel – jeden z siedmiu archaniołów, wymieniony w *Raju utraconym* Milтона jako księżę Słońca.

mieszczkański sposób, niekwestionowanych. Wynika więc z tego, że jego paznokcie i skromność są porównywalne z paznokciami i skromnością większości mężczyzn, choć jego ambicje ukształtowały warunki, w jakich żył jako kancelista i księgowy drobnych przedsiębiorstw handlowych w pewnym porcie morskim. Uważał wiejskich Featherstone'ów za ludzi prostych i śmiesznych, a oni z kolei uważali jego „wychowanie” w portowym mieście za dodatek do potworności, jaką był fakt, że ich brat Piotr, a co więcej, majątek Piotra, obciążony był takim, jak pan Rigg, balastem.

Nigdy jeszcze ogród i żwirowy podjazd, na które rozciągał się widok z dwóch okien bawialni z boazerią w Stone Court, nie były bardziej wypiełgnowane niż teraz, gdy pan Rigg Featherstone, splótszy ręce z tyłu, spoglądał na teren, którego był panem. Wątpliwe jednak, czy wyglądał przez okno, by kontemplować widok, czy też aby się odwrócić plecami do osoby, która stała na środku pokoju, rozstawwszy szeroko nogi, a ręce trzymając w kieszeniach spodni, osoby, stanowiącej pod każdym względem kontrast z gładkim, chłodnym Riggiem. Był to mężczyzna bliski sześćdziesiątki, czerwony jak burak i zarośnięty, z wyraźnymi śladami siwizny w krzaczastych bokobrodach, gęstymi, kędzierzawymi włosami, tęgawy, co uwydatniało brzydko szwy jego znoszonego ubrania, i z miną fanfaron, który starałby się zwrócić na siebie uwagę nawet na pokazie fajerwerków, przekonany, że jego uwagi na temat cudzych występów są bardziej od tych występów interesujące.

Nazywał się John Raffles i dodawał niekiedy dla żartu F.R.A.N.T. po swym podpisie, tłumacząc, że uczył był go niegdyś Leonard Lamb z Finsbury, który po swoim nazwisku pisał B.A.^[82], i że on, Raffles, był autorem dowcipu, który polegał na nazywaniu owego słynnego

[82] Bachelor of Arts – magister nauk humanistycznych.

pryncypała Ba-Lambem^[83]. Taki był wygląd zewnętrzny oraz gatunek umysłowy pana Rafflesa – jedno i drugie załatwywało stęchłym odorem izb w ówczesnych zajazdach dla obwoźnych handlarzy.

– Daj pokój, Josh – mówił właśnie dudniącym głosem. – Spójrz na to z tej strony: twoja biedna matka schodzi już na padół starości, a ciebie stać teraz na to, by okazać gest i zapewnić jej trochę wygód.

– Dopóki ty żyjesz, nie. Nie zazna wygody za twojego życia – odparł Rigg swoim wysokim, chłodnym głosem. – Cokolwiek jej dam, ty odbierzesz.

– Masz do mnie żal, Josh, dobrze wiem. Ale posłuchaj, pomówmy jak mężczyzna z mężczyzną, uczciwie, niewielki kapitalik pozwoliłby mi założyć sklepik pierwsza klasa. Handel tytoniem rozwija się coraz lepiej. Zrobiłbym samemu sobie krzywdę, gdybym się do tego nie przyłożył. Dla własnego interesu trzymałbym się roboty jak pchła psich kudłów. Nie ruszałbym się z miejsca. A nic nie sprawiłoby większej radości twojej matce. Ja już się wyszumiałem. Idzie mi pięćdziesiąty rok, chcę wreszcie osiąść na dobre w jakimś ciepłym kącie. A jakbym się raz zabrał do handlu tytoniem, wniósłbym w ten interes rozum i doświadczenie, jakich ze świecą szukać. Nie chcę ci się ciągle naprzykrzać z przyjazdami, tylko uporządkować ostatecznie sprawy jak należy. Zastanówmy się nad tym, Josh, jak mężczyzna z mężczyzną, i żeby twojej biednej matce żyło się trochę lepiej, póki jest na tym świecie. Słowo daję, że zawsze miałem słabość do tej mojej starej.

– Skończyłeś? – spytał Rigg, nie odwracając oczu od okna.

– Tak, *ja* skończyłem. – Raffles ujął brzeg kapelusza stojącego przed nim na stole i pchnął go gestem oratora.

– Więc mnie posłuchaj. Im więcej o czymś mówisz, tym mniej ci wierzę. Im bardziej czegoś ode mnie chcesz, tym większy powód, żebym

[83] Gra słów: *lamb* – po angielsku znaczy jagnię; *baa-lamb* – jagniątko.

tego nigdy nie zrobił. Czy myślisz, że zamierzam zapomnieć, jakieś mnie kopał, kiedy byłem mały, i jak wyjadałeś zawsze mnie i matce wszystko, co mieliśmy najlepszego? Chciałbym zobaczyć, jak cię publicznie batożę. Myślisz, że zapomnę, jak wracałeś, żeby wynieść z domu i sprzedać, co się tylko dało, i odchodziłeś, zostawiając nas w biedzie, bez pomocy? Moja matka była głupia, że cię chciała; nie miała prawa dawać mi ojczyzna i została za to ukarana. Będzie dostawała cotygodniowe wsparcie i nic więcej, a i to wstrzymam, jeśli ośmielisz się jeszcze raz wejść na ten teren albo znowu przyjeżdżać za mną w te okolice. Za następnym razem, kiedy pojawisz się tu w tej bramie, poszczuję cię psami i wybatożę.

Wypowiadając ostatnie słowa, Rigg obrócił się i spojrział na Rafflesa wypukłymi, lodowatymi oczyma. Kontrast był równie uderzający jak zapewne przed osiemnastu laty, kiedy to Rigg był antypatycznym chłopcem, któremu ma się ochotę dać kopniaka, Raffles zaś tęgawym adoniszem z traktierni i barów. Ale przewaga była teraz po stronie Rigga i ktoś, kto by się przysłuchiwał tej rozmowie, mógłby sądzić, że Raffles wycofa się jak zbity pies. Nic podobnego. Zrobił grymas, który zwykł był czynić, gdy przegrywał, potem zaczął się śmiać i wyciągnął z kieszeni butelkę po brandy.

– No już dobrze, Josh – powiedział przypochlebny tonem. – Wlej mi tu łyk brandy i daj suwerena na powrotną drogę, to sobie pójdę. Pójdę prosto jak strzełił, słowo daję.

– Pamiętaj – Rigg wyciągnął pęk kluczy z kieszeni – że jeśli cię jeszcze raz zobaczę, nie odezwę się do ciebie. Nie przyznam się do znajomości z tobą, tak jak bym się nie przyznał do znajomości z przydrożną wroną, a jeśli ty spróbujesz mnie zaczepić, nic ci z tego nie przyjdzie, usłyszysz tylko, czym jesteś: złośliwym, bezczelnym, brutalnym łotrem.

– Jaka szkoda, Josh – Raffles udawał, że drapie się w głowę i marszczy brwi, jakby był zakłopotany. – Bardzo jestem do ciebie przywiązany, na

honor, bardzo. Nic mi nie sprawia większej przyjemności jak zatrucie ci życia. Taki jesteś podobny do matki. I muszę się tego wyrzec! Ale brandy z suwerenem, i kwita!

Wyciągnął ku niemu flaszkę szybkim ruchem, a Rigg podszedł z kluczami do pięknego, starego sekretarzyka dębowego. Ale Raffles, wyciągając flaszkę, zauważył, że siedzi ona niebezpiecznie luźno w skórzanym futerale, a dostrzegłszy jakiś złożony papier, który spadł na ruszt kominka, podniósł go i wsunął między skórę i szkło, by zabezpieczyć cenną zawartość.

Tymczasem Rigg wrócił z butelką brandy, napełnił flaszkę i podał Rafflesowi suwerena, nie patrząc na gościa ani nie mówiąc słowa. Zamknął sekretarzyk na klucz, podszedł do okna i wyglądał przez nie równie obojętnie, jak to czynił przed rozmową, podczas gdy Raffles pociągnął łyżeczkę, zakręcił flaszkę i wsunął prowokacyjnie wolnym ruchem do bocznej kieszeni, strojąc miny za plecami pasierba.

– Zegnaj, Josh, chyba na zawsze – odwrócił do niego głowę, otwierając drzwi.

Rigg widział, jak opuszcza farmę i wychodzi na drogę. Szarość dnia przetopiała się w drobny, siąpiący deszcz, który odświeżał żywopłoty i trawiaste obrzeża bocznych dróg i pośpieszał parobków, ładujących ostatnie kopy pszenicy. Raffles, maszerujący nierównym krokiem miejskiego obiboka zmuszonego do długiej, wiejskiej wędrówki, wydawał się tak nie na miejscu wśród tego deszczowego, sielskiego spokoju i pracy, jak pawian zbiegły z menażerii. Ale nikt nie wytrzeszczał na niego oczu prócz cielaków odstawionych od matek i w nikim jego wygląd nie budził niechęci z wyjątkiem małych szczurów wodnych, kryjących się w trawy na jego widok.

Poszczęściło mu się, gdy doszedł do gościńca, gdyż zrównał się z nim dyliżans, który go zabrał aż do Brassing; stamtąd zaś ruszył nowo otwartą

linią kolei żelaznej, tłumacząc towarzyszom podróży, że to linia bardzo już sprawna, bo załatwiła Huskissona^[84]. Raffles w większości sytuacji starał się wywołać wrażenie, że był kształcony w jakiejś akademii, i gdyby chciał, mógłby się wszędzie dobrze zaprezentować; uważał też, że ma prawo każdego wyśmiewać i nękać, przekonany, że bardzo tym ubawi resztę towarzystwa.

Grał teraz tę rolę z taką werwą, jakby jego wyprawa zakończyła się pełnym sukcesem, sięgając często po flaszkę. Papierem, którym ją zaklinował, był list z podpisem: „Nicholas Bulstrode”, ale należy wątpić, by Raffles mógł teraz wyjąć ów klin z miejsca, w którym był tak bardzo potrzebny.

[84] Pierwsza śmiertelna ofiara wypadku kolejowego (podczas otwarcia linii Manchester-Liverpool w 1830 r.).

ROZDZIAŁ XLII

Jak bym mógł, zda się, człowiekiem tym gardzić,
Gdyby nie moja miłość chrześcijańska! [85]

William Shakespeare, *Sławna historia życia*

Henryka VIII, akt III, sc. 2

Na jedną z zawodowych wizyt doktor Lydgate, zaraz po podróży poślubnej, pojechał do dworu Lowick, dokąd wezwano go listownie, prosząc o wyznaczenie pory przybycia.

Pan Casaubon nigdy nie zadał doktorowi pytania o naturę swej dolegliwości i nawet przed Dorotą nie zdradzał niepokoju o to, w jakim stopniu choroba może skrócić jego pracę czy życie. W tej sprawie, jak i we wszystkich innych, nie chciał niczyjej litości i jeśli gorzkie mu było podejrzenie, iż ktoś lituje się nad nim, ponieważ przypuszcza lub wie o czymś, czego on nie wie, to myślał, by mógł wywołać jawne współczucie, przyznając się do niepokoju czy przygnębienia – byłyby nie do zniesienia. Każdy człowiek dumny zna takie stany, a przezwyciężyć je może chyba tylko poczucie wspólnoty na tyle głębokiej, by wszelkie próby izolacji wydawały się wobec niej marne i małoduszne, a nie wzniosłe.

Pan Casaubon rozmyślał teraz o czymś, co sprawiało, że pytanie o życie i zdrowie wsączało się w jego milczenie w sposób bardziej dokuczliwy i natrętny niż jesienna niedojrzałość dotychczasowej twórczości. Prawda, że tę twórczość można uznać za jego główną ambicję, istnieje jednak pewien rodzaj pisarstwa, którego najdalej idącym skutkiem jest pełne podejrzliwości wyczulenie, jakie powstaje w świadomości autora – [85] Przeł. Leon Ulrich.

poznaje się rzekę po kilku smugach na wieloletnim osadzie grząskiego błota. Tak się rzecz miała z pracą umysłową pana Casaubona. Najbardziej charakterystycznym jej skutkiem nie był *Klucz do wszystkich mitologii*, lecz obsesyjne przekonanie, że inni nie przyznali mu miejsca, na które w sposób oczywisty zasłużył – nieustanne podejrzliwe przypuszczenie, że cudze poglądy o nim nie są pochlebne – żalostny brak żarliwości w staraniach, by coś osiągnąć, i żarliwy opór przed przyznaniem się do tego, że nie osiągnął nic.

Tak więc ambicje intelektualne, które w przekonaniu otoczenia pochłaniały go i wyjaławiały, nie chroniły go przed bólem, a już najmniej przed bólem zadawanym przez Doroteę. Ostatnio zaś zaczął wyobrażać sobie różne przyszłe ewentualności jeszcze trudniejsze do zniesienia niż wszystko, o czym dotąd rozmyślał.

Wobec pewnych faktów był bezradny: wobec istnienia Willa Ladislawa, jego prowokacyjnego przebywania w sąsiedztwie Lowick, nonszalanckiego stosunku do człowieka posiadającego autentyczną, udokumentowaną wiedzę; wobec natury Dorotei, przyjmującej co chwila nową formę żarliwej aktywności; wobec jej uległego milczenia, pod którym kryje się jakaś fanatyczna motywacja, o jakiej złość bierze myśleć; wobec pewnych pomysłów i pewnych sympatii, jakie zawładnęły jej wyobraźnią w związku ze sprawami, o których on w żaden sposób nie może z nią dyskutować. Trudno przeczyć, że Dorotea jest najbardziej cnotliwą i pełną wdzięku młodą damą, jaką mógł pojąć za żonę, ale ta młoda dama okazała się czymś bardziej kłopotliwym, niż potrafił przewidzieć. Pielęgnowała go, czytała mu, uprzedzała jego życzenia i troszczyła się o jego uczucia, lecz do duszy jej męża wkradło się przekonanie, że ona go sądzi i że jej małżeńskie oddanie jest jak pokuta za bezbożne myśli – że towarzyszy temu umiejętność dokonywania porównań, przez co on sam i jego czyny widziane są jasno jako część ogólnej całości. Niezadowolenie pana

Casaubona niby lotna substancja przesączało się przez wszystkie czułe świadectwa jej uczucia i wiązało z tym światem, który go lekceważył, a który ona mu tylko przybliżyła.

Biedny pan Casaubon! O tyle trudniej było mu znieść to nieszczęście, że wydawało się jakąś zdradą: młode stworzenie, które wielbiło go z ufnością doskonałą, zamieniło się rychłe w krytyczną żonę, wczesne zaś przypadki jej dezaprobaty czy gniewu pozostawiły piętno, którego ani późniejsza czułość, ani uległość nie mogły usunąć. Podejrzliwość kazała mu widzieć w obecnym milczeniu Dorotei stłumiony bunt: w każdej jej nieoczekiwanej uwadze – świadomą deklarację wyższości. W jej łagodnych odpowiedziach dosłuchiwał się irytującej ostrożności, kiedy zaś mu przytakiwała, dopatrywał się w tym usiłowania, by mu okazać wyrozumiałość. Upór, z jakim starał się ukryć swój wewnętrzny dramat, sprawiał, że tym żywiej go odczuwał, zawsze bowiem słyszymy wyraźniej to, co pragnęlibyśmy zataić przed innymi.

Wcale się nie dziwię, że udręka pana Casaubona spowodowała takie skutki, wprost przeciwnie, uważam je za naturalne. Czy małe źdźbło, umieszczone tuż przed naszymi oczyma, nie przesłoni nam wspaniałości świata, pozostawiając tylko szczelinę, przez którą widzimy owo źdźbło właśnie? Nie znam równie kłopotliwego źdźbła jak własna osoba. A gdyby pan Casaubon zdecydował się ujawnić swoje rozczarowanie, podejrzenie, że nie jest już bezkrytycznie uwielbiany przez żonę – któż mógłby powiedzieć, że nie ma ono podstaw? Wręcz przeciwnie, można by dodać jeszcze jeden silny argument – którego on nie wziął w sposób otwarty pod uwagę – ten mianowicie, że jego osoba nie jest godna bezkrytycznego uwielbienia. Żywił jednak to podejrzenie, a również i inne, do których się nie przyznawał, i jak każdy człowiek wyobrażał sobie, jakim ukojeniem byłaby dla niego towarzysząca życia, która by tego wszystkiego nigdy nie odkryła.

To chorobliwe przewrażliwienie w jego stosunkach z Dorotką powstało jeszcze przed przyjazdem Willa Ladislawa do Lowick, a wszystko, co nastąpiło potem, sprawiło, że zdolności pana Casaubona do formowania podejrzeń nabrały burzliwej dynamiki. Do wszystkich znanych sobie faktów dodawał wyimaginowane, zarówno obecne, jak i przyszłe, które wydawały mu się bardziej od prawdziwych realne, ponieważ wywoływały silniejszą niechęć, mocniejszą gorycz. Podejrzenia i zazdrość co do intencji Willa Ladislawa, podejrzenia i zazdrość o wrażenie, jakie ten młody człowiek wywarł na Dorotei, robiły swoją krecią robotę. Byłoby niesprawiedliwe przypuszczać, że pozwolił sobie tłumaczyć zachowanie żony fałszywie i prostacko: przed podobną pomyłką ratował go własny sposób myślenia i sposób bycia, jak również wrodzone dostojeństwo natury Dorotei. Zazdrosny był o jej zdanie, o wpływ, jaki można zdobyć na jej żarliwy umysł i podejmowane sądy, i o skutki tego na przyszłość. Jeśli zaś chodzi o Willa, to choć pan Casaubon od ostatniego wyzywającego listu nic więcej nie mógł mu formalnie zarzucić, uważał, że ma podstawy sądzić, iż ten młody człowiek zdolny jest wymyślić wszystko, czym mógłby zafascynować naturę buntowniczą, niekarną i impulsywną. Przekonany był, że to Dorotea stała się przyczyną powrotu Willa z Rzymu i jego decyzji osiedlenia się w tej okolicy; był też dostatecznie przenikliwy, by przypuszczać, że Dorotea, w jakiś niewinny sposób, zachęciła go do tego. Wydawało się jasne, że gotowa jest przywiązać się do Willa i ulegać jego wpływom: z każdego ich *tête-à-tête* wynosiła jakieś nowe, kłopotliwe pomysły, a ostatnie ich spotkanie, o jakim pan Casaubon wiedział (Dorotea, po powrocie z Freshitt, po raz pierwszy zamilczała o swym spotkaniu z Willem), doprowadziło do sceny, która wywołała jego największy w życiu wybuch gniewu przeciwko tym dwojgu. Dorotea, wyjawiając w nocy swoje projekty majątkowe, sprawiła tyle tylko, że w głowie jej męża zaroilo się od najgorszych przeczuć.

A teraz jeszcze to ostatnie załamanie zdrowia, czego był tak smutnie świadom. To prawda, że czuł się już o wiele lepiej, odzyskał dawne siły do pracy; choroba mogła być po prostu zmęczeniem, niewykluczone, że ma przed sobą dwadzieścia lat sukcesów, które usprawiedliwią trzydzieści lat przygotowań. Tym słodsza była taka perspektywa, że miała w sobie smak zemsty za pochopne szyderstwa panów Carp i Spółka, kiedy bowiem pan Casaubon chodził ze swym kagankiem między grobowcami przeszłości, te współczesne postacie stały pomiędzy nim a mdłym światłem i przerwały mu pracowite poszukiwania. Dowieść Carpowi, że się myli, sprawić, by musiał zjeść własne słowa i dostać silnej niestrawności – oto miły sercu przykład pisarskiego triumfu; od kontemplowania takiej wizji nie mogłaby nikogo powstrzymać ani nadzieja na długowieczne życie na ziemi, ani na całą wieczność w niebie. A ponieważ perspektywa własnego bezkresnego szczęścia nie mogła zrównoważyć goryczy rozbudzonej zazdrości ani chęci odwetu, trudno się dziwić, iż wizja doczesnego szczęścia innych osób, kiedy to on sam będzie już przebywał w przybytku wiecznej chwały, nie mogła mu być osłodą. Gdyby okazało się prawdą, iż drąży go jakaś choroba, przed pewnymi ludźmi mogłyby się otwierać widoki na większe szczęście, gdy jego już nie stanie; pan Casaubon zaś z taką mocą sprzeciwiał się ewentualności, by jedną z tych osób był Will Ladislaw, że można by przypuścić, iż irytacja będzie stanowiła nieodzowną część składową jego bezcielesnej egzystencji.

Bardzo to zwięzły, a więc i niepełny sposób przedstawienia sprawy. Umysł ludzki działa na wielu poziomach, a jak wiemy, pan Casaubon był człowiekiem zasad i szczyił się tym, że spełnia nakazy honoru, co skłaniało go do szukania innych motywów postępowania niż zazdrość i mściwość. Przedstawiał więc sprawę następująco:

„Poślubiając Doroteę Brooke, miałem obowiązek zapewnić jej pomyślność na wypadek mojej śmierci. Pomyślności nie może jednak

zapewnić posiadanie dużego, niezależnego majątku; wprost przeciwnie, mogą powstać sytuacje, w których wystawiona byłaby na większe niebezpieczeństwo. Małżonka moja może stać się łatwym łupem każdego mężczyzny, który by wiedział, jak zręcznie wykorzystać jej żarliwe serce lub donkiszoterski zapał: a taki mężczyzna z takimi właśnie intencjami przebywa tuż obok; mężczyzna, który nie ma żadnych zasad, a jedynie przelotne kaprysy, i który żywi do mnie osobistą niechęć – jestem tego pewny – niechęć, która się bierze z poczucia własnej niewdzięczności, a której daję wyraz w nieustannych kpinach, o czym jestem przekonany, jak bym je słyszał. Nawet jeśli będę żył dłużej, towarzyszyć mi będzie niepokój o to, co on chce osiągnąć, próbując pośrednio na nią wpłynąć. Zdobył sobie przychyłność Dorotei, zafascynował ją; w sposób oczywisty starał się wywołać w niej wrażenie, że ma prawo do czegoś więcej niż to, co ode mnie otrzymał. Jeśli umrę – a ona na to właśnie czeka – nakłoni ją do wyjścia za niego za mąż. Byłoby to nieszczęście dla niej, a zwycięstwo dla niego. Ona nie będzie tego uważała za nieszczęście, bo on jest zdolny wmówić jej wszystko; skłonna jest do nieumiarkowanych uczuć i w głębi duszy ma do mnie pretensję, że nie odpowiadam jej tym samym; jego los pochłaniają teraz całkowicie. A on chce dokonać łatwego podboju i zająć w gnieździe moje miejsce. Na to nie pozwolę! Takie małżeństwo byłoby zgubą dla Dorotei. Czy on kiedykolwiek trwał w jakimś postanowieniu z innych przyczyn niż z przekory? Jeśli idzie o wiedzę, zawsze starał się być efektowny małym kosztem. Jeśli idzie o religię, mógłby wtórować fantastycznym pomysłom Dorotei, jak długo by mu to odpowiadało. Kiedy to dyletantyzm naukowy wolny był od rozwiążności? Nie mam najmniejszego zaufania do jego zasad moralnych, mam natomiast obowiązek nie pozwolić, by doprowadził swoje zamierzenia do skutku”.

Intercyza, jaką pan Casaubon spisał przed ślubem, pozwalała mu na poczynienie daleko idących kroków, kiedy się jednak nad nimi

zastanawiał, myśli jego zaczęły krążyć wokół kwestii, jakie są jego szanse na dalsze życie, i wreszcie chęć otrzymania ścisłej odpowiedzi przeważała dumną powściągliwość i skłoniła do zapytania doktora Lydgate'a o naturę ostatniej choroby.

Pan Casaubon powiedział Dorotei, że wezwał Lydgate'a, który przyjedzie o wpół do czwartej, a w odpowiedzi na jej niespokojne pytanie, czy czuje się gorzej, odparł: „Nie, chciałbym tylko usłyszeć jego zdanie w sprawie pewnych zwykłych objawów. Nie potrzebujesz do niego wychodzić, moja droga, wydam polecenie, by go przysłano do mnie, do alei cisowej, gdzie, jak co dzień, będę zażywał spaceru”.

Wchodząc w aleję cisową, doktor zobaczył idącego powoli pana Casaubona z rękami, jak zwykle, założonymi z tyłu i pochyloną głową. Było piękne popołudnie: liście wyniosłych lip opadały cicho na ciemne krzewy iglaste, a światła i cienie spały blisko siebie, bok w bok; nie słychać było żadnego dźwięku prócz krakania gawronów, które dla zwykłego ucha jest jak kołysanka lub ta ostatnia uroczysta – kołysanka pogrzebowa. Lydgate, świadom młodości i energii własnego ciała, poczuł przyływ współczucia, gdy człowiek, którego zaczął doganiać, obrócił się i zaczął iść ku niemu, ukazując wyraźniej niż dotychczas ślady przedwczesnego starzenia – typowe dla uczonego pochylenie ramion, wychudłe członki, melancholijne bruzdy wokół ust. „Biedaczysko – pomyślał. – Niektórzy mężczyźni w jego wieku są jak lwy, trudno określić ich lata, widać tylko, że są dojrzałi”.

– Witam pana – pan Casaubon mówił swym niezmiennie uprzejmym tonem. – Jestem panu bardzo zobowiązany za punktualność. Jeśli pan pozwoli, będziemy prowadzili naszą rozmowę, przechadzając się tam i z powrotem.

– Mam nadzieję, że nie wezwał mnie pan z powodu nawrotu przykrych symptomów – przerwał milczenie Lydgate.

– Nie to było bezpośrednią przyczyną, panie doktorze. Aby wyjaśnić, dlaczego tu pana poprosiłem, muszę powiedzieć – co w innej sytuacji byłoby całkowicie zbędne – że wartość mojego życia, pod innymi względami mało znaczącego, zasadza się na tym, iż nie ukończyłem dzieła, które tworzyłem przez wszystkie moje najlepsze lata. Krótko mówiąc, od długiego czasu pracuję nad czymś, co pragnąłbym pozostawić, choćby w takim stanie, by mogło zostać oddane do druku przez... innych. Gdybym otrzymał zapewnienie, że w najlepszym wypadku mogę się tyle właśnie spodziewać, to zapewnienie takie mogłoby z wielkim pożytkiem wytyczyć granice mojej pracy, stając się dla mnie wskazówką przy podejmowaniu zarówno pozytywnych, jak negatywnych ustaleń co do moich spraw.

W tym miejscu pan Casaubon przerwał, wyciągnął jedną rękę z za pleców i wsunął między guziki jednorzędowego surduta. Dla człowieka o dużym doświadczeniu w sprawach ludzkich, trudno by było o coś ciekawszego niż wewnętrzny konflikt, kryjący się pod tym formalnym, wyważonym przemówieniem wypowiedzianym zwykłym monotonnym głosem wspartym ruchami głowy. Czy wiele jest sytuacji tak tragicznie wzniosłych jak opór przeciwko konieczności, by zrezygnować z dzieła, w którym zawiera się znaczenie całego życia? Znaczenie, które ma zniknąć jak woda, co przyplywa i odpływa, hen, gdzie nikt jej nie potrzebuje? Ale w panu Casaubonie nie było nic, co mogłoby się wydać wzniosłe, i Lydgate, który żywił pogardę dla bezużytecznych dociekań naukowych, czuł, że z jego współczuciem miesza się trochę rozbawienia. Zbyt mało był w tej chwili obyty z nieszczęściem, by mógł zrozumieć patos istnienia, w którym nic nie dorasta do poziomu tragedii z wyjątkiem egoizmu osoby cierpiącej.

– Ma pan na myśli ewentualne trudności spowodowane niedostatkiem zdrowia? – spytał, chcąc pomóc panu Casaubonowi w wypowiedzeniu myśli, która jakby się zawahała.

– Tak. Nie mówił mi pan, że objawy, które, muszę przyznać, obserwował pan starannie i uważnie, świadczą o śmiertelnej chorobie. Jeśliby tak jednak było, pragnąłbym znać prawdę bez osłonek i zwracam się do pana o dokładne przedstawienie rozpoznania. Proszę o to jak o przyjacielską przysługę. Jeśli może mi pan powiedzieć, że mojemu życiu nie zagraża nic innego, jak zwykłe przypadki, będę się cieszył z powodów, które wymieniłem. Jeśli nie, znajomość prawdziwego stanu rzeczy będzie dla mnie jeszcze ważniejsza.

– Wobec tego nie mogę się dłużej wahać – powiedział Lydgate – wprawdzie jednak muszę z całą mocą podkreślić, że moje rozpoznanie jest w dwójnasób niepewne; nie tylko z powodu mojej omyłności, ale i dlatego, że w chorobach serca naprawdę niełatwo jest przewidywać. Tak czy inaczej – trudno byłoby zwiększyć związaną z nimi niepewność życia.

Pan Casaubon drgnął niewyraźnie, ale skłonił głowę.

– Sądzę, że cierpi pan wskutek tak zwanego tłuszczowego zwyrodnienia serca, choroby wykrytej i opisanej przez Laënneca, człowieka, który dał nam stetoskop nie tak dawno temu. Trzeba jeszcze wielu doświadczeń i dłuższych obserwacji, aby poznać istotę tej choroby, po tym jednak, co usłyszałem od pana, uważam za swój obowiązek powiedzieć, że śmierć wskutek niej często bywa nagła. Jednocześnie zaś nie można przewidzieć takiego skutku. W stanie, w jakim się pan obecnie znajduje, może pan żyć całkiem dobrze jeszcze przez piętnaście lat, a nawet dłużej. Nie mogę dodać nic więcej do tych informacji prócz szczegółów anatomicznych czy medycznych, które w żadnym stopniu nie zmienią prognoz lekarskich.

Instynkt podszeptał Lydgate'owi, że mówienie wprost, bez ostentacyjnej ostrożności, zostanie przyjęte przez pana Casaubona za wyraz szacunku.

– Dziękuję panu – powiedział pan Casaubon po chwili milczenia. – Chciałbym zadać panu jeszcze jedno pytanie: czy poinformował pan moją

zonę o tym, czego dowiedziałem się przed chwilą?

– Częściowo, to znaczy, co do możliwych skutków. – Lydgate chciał dalej tłumaczyć, dlaczego powiedział to Dorotei, lecz pan Casaubon, niewątpliwie pragnąc zakończyć rozmowę, machnął lekko ręką i powtórzył:

– Dziękuję panu. – Po czym przeszedł do uwag na temat niezwykłego piękną dnia.

Lydgate opuścił go wkrótce, przekonany, że pacjent pragnie być sam, i czarna postać z rękami założonymi do tyłu i pochyloną głową przechadzała się dalej aleją, gdzie ciemne cisy były jej milczącymi towarzyszami w smutku, a drobny cień ptaka czy liścia, przecinającego wysepki słońca, przemykał się cichutko, jakby w obliczu nieszczęścia. Oto człowiek, który po raz pierwszy zajrzał śmierci w oczy i który przeżywa rzadki moment doświadczenia, jakim jest odczucie prawdziwości banału, tak różnej od znajomości owego banału, jak wizja wody płynącej po ziemi różna jest od halucynacyjnego wyobrażenia wody nieosiągalnej spieczonym ustom. Kiedy banalne stwierdzenie: „Wszyscy musimy umrzeć”, przemienia się nagle w ostrą świadomość, że: „Ja muszę umrzeć, i to wkrótce” – śmierć dopada nas, a jej palce są okrutne. Później może nas wziąć w ramiona, jak to robiła matka, i ostatnia chwila naszego mglistego, ziemskiego postrzegania może stać się podobna do pierwszej. Pan Casaubon czuł się teraz tak, jakby się znalazł nagle na ciemnym brzegu i słyszał plusk zbliżających się wioseł; nie widząc jeszcze kształtów, oczekiwał wezwania. W takiej chwili umysł nie wyzbywa się swoich długoletnich uprzedzeń, lecz przenosi je w wyobraźni dalej, na drugą stronę śmierci, oglądając się za siebie, albo z boskim spokojem, jaki daje czynienie dobra, albo z małostkowym niepokojem zadufania. Jałcie były uprzedzenia pana Casaubona – to pokażą jego czyny. Uważał się, z pewnymi uczonymi zastrzeżeniami, za wierzącego chrześcijanina, zarówno jeśli idzie o oceny

teraźniejszości, jak nadzieje na przyszłość. Lecz to, czego spełnienia pragniemy, choćby było dla nas odległą nadzieją – jest jednak naszym dzisiejszym pragnieniem; przysze majątności, dla których ludzie trudzą się na ulicach miast, istnieją już teraz w ich wyobraźni i sercu. A obecnym pragnieniem pana Casaubona nie była niebiańska wspólnota i światłość wyzuta z doczesności; żarliwe pragnienia biedaka trzymały się ziemi nisko jak mgła, zalegając w bardzo ciemnych zakątkach.

Dorotea wiedziała, kiedy Lydgate odjechał, i wyszła do ogrodu pchnięta impulsem, by iść natychmiast do męża. Zawahała się jednak; powstrzymała ją obawa, że może go urazić, nie chciała mu się narzucać; jej serdeczność, ustawicznie odpychana, co pamiętała tak dobrze, przeradzała się w lęk, tak jak tłumiona energia przeradza się w drżenie. Spacerowała więc powoli wokół najbliższej kępy drzew, aż wreszcie zobaczyła idącego męża. Ruszyła ku niemu; mógł był w niej zobaczyć niebiańskiego anioła nadchodzącego z obietnicą, że krótkie godziny, jakie jeszcze pozostają, będą wypełnione wierną miłością, która tym mocniej przywiera do bólu, im lepiej go rozumie. Spojrzenie, jakim spotkał jej wzrok, było tak zimne, że poczuła, jak jej załęknięcie rośnie; odwróciła się jednak i wsunęła mu dłoń pod ramię.

Pan Casaubon dalej trzymał ręce na plecach tak, że jej giętka dłoń z trudem przywierała do jego sztywnego ramienia.

We wrażeniu, jakie zrobiła na Dorotei ta surowa obojętność, było coś straszliwego. To mocne słowo, ale nie za mocne: w takich właśnie postępkach, uważanych za zgoła nic, giną bezpowrotnie ziarna radości, aż wreszcie kobieta i mężczyzna spoglądają, pobladli, na spustoszenie, jakiego dokonało ich własne marnotrawstwo, i powiadają: nie przynosi ziemia słodkiego plonu, określając swój upór mianem wiedzy. Możecie zapytać, czemu pan Casaubon, w imię swojej męskości, miałby się zachowywać w ten sposób. Zważcie, że był to człowiek, który nie znosił

litości; czy widzieliście kiedy, jakie skutki rodzi w takim człowieku podejrzenie, że to, co dla niego jest smutkiem, może być powodem zadowolenia – teraz albo w przyszłości – kogoś, kto już obecnie uchybia mu swoją litością? Poza tym niewiele wiedział o uczuciach Dorotei i nie przyszło mu do głowy, że w takiej chwili jak obecna mogą być pod względem siły porównywalne z jego wrażliwością na krytykę Carpa.

Dorotea nie cofnęła ręki, lecz nie odważyła się odezwać ani słowem. Pan Casaubon nie powiedział: „Chcę być sam”, lecz w milczeniu skierował kroki ku domowi, a kiedy weszli do środka przez oszklone drzwi od wschodniej strony, Dorotea wysunęła rękę i zatrzymała się, wycierając nogi, by dać mężowi całkowitą swobodę. Wszedł do biblioteki i zamknął się, by zostać sam na sam ze swym smutkiem.

Poszła na górę do buduaru. Otwarte okno wykuszu wpuszczało do pokoju pogodny blask południa z alei, gdzie wysokie cisy rzucały długie cienie. Ale nic z tego nie docierało do Dorotei. Rzuciła się na krzesło, nie zwracając uwagi na oślepiające promienie słońca: jeśli sprawiają jej przykrość, to skąd można wiedzieć, że nie są częścią jej wewnętrznego cierpienia?

Ogarnął ją buntowniczy gniew, najsilniejsza reakcja ze wszystkich, jakie przeżywała od zamążpójścia. Zamiast łez zaczęły padać słowa:

– Co ja zrobiłam... kim ja jestem... żeby mnie tak traktował! Nigdy nie wie, o czym myślę... nic go to nie obchodzi. Jaki jest pożytek ze wszystkiego, co robię? Pewnie żałuje, że się był ze mną ożenił.

Zaczęła słyszeć własne słowa, i to kazało jej zamilknąć. Jak człowiek znużony, który zgubił drogę, siedziała, ogarniając spojrzeniem wszystkie ścieżki swoich młodzieńczych nadziei, których już nigdy nie odnajdzie. I równie jasno zobaczyła w tym smutnym świetle samotność swoją i męża, a i to, że rozeszli się tak daleko, iż musi go teraz na nowo poddawać ocenie. Gdyby ją ku sobie przyciągnął, nigdy by go nie osądzała, nigdy

nie zadałaby pytania „czy warto dla niego żyć?”, ale akceptowałaby go po prostu jako część swojego życia. A teraz mówiła z goryczą: „To jego wina, nie moja”. W zamęcie, jaki się podniósł w jej umyśle, litość poniosła klęskę. Czy to jej wina, że uwierzyła w niego? Że uwierzyła w jego wartość? A czymże on jest w gruncie rzeczy? Była teraz zdolna go sądzić, ona, która służyła mu z drżeniem i czekała na każde jego skinienie, która zamknęła w więzieniu najlepszą część swojej duszy i odwiedzała ją tylko ukradkiem, aby sprawiać mu przyjemność swą udawaną niepozornością. W takim kryzysie niektóre kobiety zaczynają nienawidzić.

Słońce stało już nisko, kiedy Dorotea doszła do wniosku, że nie zejdzie na dół, tylko pošle mężowi wiadomość, że źle się czuje i woli zostać u siebie. Nigdy jeszcze nie dopuściła świadomie do tego, by uraza tak mocno nią zawładnęła, lecz teraz uznała, że gdyby zobaczyła męża, musiałaby mu powiedzieć, co naprawdę czuje, lepiej więc poczekać, aż będzie to mogła zrobić bez przeszkód. Zapewne zdziwi go to i zaboli. To dobrze, że go zdziwi i zaboli. Gniew jej odpowiadał, jak gniew zwykły powiadać, że Bóg jest po jej stronie, że całe niebiosy, choćby były pełne patrzących na nich duchów, muszą być po jej stronie. Chciała już zadzwonić, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Pan Casaubon prosił powiedzieć, że zje kolację w bibliotece. Pragnie sam spędzić ten wieczór, gdyż ma dużo pracy.

– Wobec tego nie będę jadła kolacji, Tantripp.

– Och, proszę pani, proszę pozwolić, żebym pani przyniosła coś do zjedzenia.

– Nie, źle się czuję. Przygotuj mi wszystko w garderobie i, proszę, nie przychodź więcej.

Dorotea siedziała niemal bez ruchu, zmagając się ze sobą, a wieczór powoli przetapiał się w noc. Lecz w tych zmaganiach zachodziła zmiana, jak to bywa, kiedy się zaczyna od chęci zadania ciosu, a kończy na walce

z tą chęcią. Energia, która może zrodzić zbrodnię, nie jest większa od tej, która jest potrzebna do pogodzenia się z losem i ustępstwa, kiedy już dojdzie do głosu wrodzona szlachetność duszy. Myśl, z jaką Dorotea wyszła na spotkanie męża, przekonanie, że pytał o to, czy jego praca może zostać przerwana, i że odpowiedź mogła zmrozić mu serce – musiała po niedługim czasie wywołać jego obraz, który stanął, mroczny, w jego zastępstwie, i patrzył na jej gniew z żalonym wyrzutem. Trzeba było całej litanii smutków, jakie sobie wyobraziła, i cichych próśb, by mogła się okazać pociechą w tych smutkach – by wreszcie postanowiła się poddać. Kiedy w domu zaległa już cisza i wiadomo było, że zbliża się pora, gdy pan Casaubon udaje się na spoczynek, otworzyła spokojnie drzwi i stanęła na zewnątrz, czekając, aż wejdzie na górę ze światłem w rękę. Jeśliby zaraz nie nadszedł, gotowa była zejść na dół i narazić się na nową przykrość. Już nigdy nie będzie się spodziewała niczego innego. Usłyszała jednak, jak otwierają się drzwi biblioteki i światło powoli posuwa się w górę po schodach, choć nie słychać było odgłosu kroków na dywanie. Kiedy mąż stanął przed nią, zobaczyła na jego twarzy jeszcze większe niż poprzednio zmęczenie. Na jej widok drgnął lekko, a ona spojrzała nań błagalnie, bez słowa.

– Doroteo – odezwał się z łagodnym zdziwieniem. – Czekaaś na mnie?

– Tak. Nie chciałam ci przeszkadzać.

– Chodź, moja droga, chodź. Jesteś młoda i nie powinnaś marnować życia na czuwaniu.

Kiedy w uszach Dorotei zabrzmiała cicha, łagodna melancholia tych słów, poczuła coś niby wdzięczność, która rodzi się w nas, gdyśmy się w ostatniej chwili powstrzymali od zranienia istoty kalekiej. Wsunęła rękę w dłoń męża i razem ruszyli szerokim korytarzem.

TOM II

KSIĘGA PIĄTA
MARTWA RĘKA

ROZDZIAŁ XLIII

Cenna jest ta figurka, dawno temu
Z miłością wyrzeźbiona w kości słońca.
Szlachetna linia, wolna od nowinek,
Kobiecość wieczną szczodrze wyobraża.
Ta majolika to też rzecz kosztowna,
Jej wzór misterny lorda zadowoli;
Spójrz tylko na ten uśmiech doskonały –
Chociaż to zwykły fajans, ów ornament
Ozdobą będzie najbogatszych stołów.

Dorotea rzadko wyjeżdżała z domu bez męża, od czasu do czasu jednak wybierała się sama do Middlemarch czy to na drobne zakupy, czy w sprawach dobroczynnych, tak jak każda dama żyjąca i mieszkająca w promieniu trzech mil od miasta. Przy jednej z takich okazji – a było to w dwa dni po scenie w alei cisowej – postanowiła zobaczyć się z Lydgate'em i dowiedzieć się, jeśli to możliwe, czy pan Casaubon istotnie zauważył u siebie jakieś nowe niepokojące objawy, które przed nią ukrywa, i czy zażądał powiedzenia mu wszystkiego o swojej chorobie. Czuła się niemal jak winowajca, wypytyjąc kogoś trzeciego o sprawy swego męża, lecz lęk przed niewiedzą, obawa, że nie znając prawdy, może się zachować niesprawiedliwie lub zbyt surowo, przeważała nad skrupułami. Była pewna, że jej mąż przeszedł jakiś wewnętrzny kryzys; już następnego dnia wprowadził nowy sposób systematyzowania notatek i – co było nowością – włączył żonę do swojej pracy. Biedna Dorotea gromadziła zapasy cierpliwości.

Było około czwartej, kiedy zajechała przed dom Lydgate'a na

Lowick Gate, żałując, gdy naszły ją wątpliwości, czy go zastanie – że nie uprzedziła go wcześniej o swoim przyjeździe. Doktora istotnie nie było w domu.

– A czy jest pani Lydgate? – spytała Dorotea. Nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała Rozamundę, ale przypomniała sobie właśnie o ślubie. Tak, pani Lydgate jest w domu.

– Chciałabym z nią porozmawiać, jeśli wolno. Proszę zapytać, czy może mnie przyjąć – panią Casaubon – na chwileczkę.

Gdy służąca odeszła, by przekazać wiadomość, Dorotea usłyszała dźwięki muzyki, dochodzące przez otwarte okno – kilka nut zaintonowanych męskim głosem, a po nich grzmiące rulady fortepianowe. Ale rulady urwały się gwałtownie i po chwili wróciła służąca, mówiąc, że pani Lydgate z przyjemnością przyjmie panią Casaubon.

Gdy otwarto drzwi i Dorotea weszła do salonu, można było zauważyć pewien kontrast, nierzadki na wsi w czasach, kiedy obyczaje różnych środowisk były mniej ujednolicone niż dzisiaj. Niechże ci, co wiedzą, opiszą nam dokładnie, jak odziana była Dorotea w ten pogodny dzień jesienny: cienka, biała wełna, miękka w dotyku i miękka dla oka, zawsze robiła wrażenie świeżo wypranej i przesyconej słodkim zapachem żywopłotów, zawsze uszyta na wzór pelisy ze swobodnie zwisającymi rękawami, wbrew modzie. Gdyby jednak Dorotea stanęła przed cichą widownią jako Imogena lub córka Katona, ten strój wydawałby się zupełnie odpowiedni; wdzięk i godność emanowały z jej członków i szyi, a szerokie rondo budki, na jakie wówczas skazane były kobiety, okalające gładko zaczesane włosy z rozdziałkiem pośrodku, i szczere oczy wydawały się bardziej osobliwym przybraniem głowy niż złoty talerz, który nazywamy aureolą. Żadna bohaterka dramatyczna nie byłaby oczekiwana przez tutejsze dwuosobowe audytorium z większym zainteresowaniem niż pani Casaubon. W oczach Rozamundy była ona jednym z bóstw tego

hrabstwa, nieutrzymujących kontaktu ze śmiertelnikami z Middlemarch, warto więc było przyjrzeć się uważnie każdemu szczegółowi jej wyglądu i zachowania; Rozamunda myślała też, nie bez satysfakcji, że pani Casaubon będzie miała sposobność przyjrzenia się jej. Cóż przyjdzie z doskonałości, jeśli się nie jest oglądaną przez najlepszych znawców? Ponieważ zaś Rozamunda usłyszała u sir Godwina Lydgate wiele pięknych komplementów pod swoim adresem, była spokojna o wrażenie, jakie robi na ludziach wysokiego stanu. Dorotea, ze zwykłą sobie prostą życzliwością, wyciągnęła rękę, patrząc z zachwytem na śliczną, młodą żonę doktora, zdawała sobie przy tym sprawę, że w pewnej odległości stoi jakiś mężczyzna – kątem oka widziała tylko postać w surducie. Pan ten był zbyt przejęty obecnością jednej z kobiet, by zastanawiać się nad kontrastem między nimi, kontrastem niewątpliwie uderzającym dla postronnego obserwatora. Obie panie były wysokie i oczy miały na tym samym poziomie; trzeba sobie jednak wyobrazić dziecięcą jasność włosów Rozamundy i cudowną koronę jej warkoczy, jasno błękitną suknię uszytą tak idealnie wedle ostatniej mody, że każda szwaczka musiałaby na jej widok poczuć skurcz w sercu, wielki haftowany kołnierz, którego cenę powinien sobie uzmysłować każdy obserwator, drobne dłonie należycie upięściowane i tę kontrolowaną nieśmiałość obejścia, która jest kosztowną namiastką prostoty.

– Dziękuję, że pozwoliła pani przeszkodzić sobie – zaczęła od razu Dorotea. – Bardzo bym chciała zobaczyć doktora Lydgate, zanim wyjadę z miasta, i liczyłam, że powie mi pani, gdzie bym go mogła zastać, albo nawet pozwoli zaczekać, jeśli ma wkrótce wrócić do domu.

– Jest w nowym szpitalu – odparła Rozamunda. – Nie wiem dokładnie, kiedy wróci. Ale mogę po niego posłać.

– Czy pozwoli pani, że pójdę go sprowadzić? – zapytał Will Ladislaw, występując ku niej. Wziął w rękę kapelusza, jeszcze nim Dorotea weszła.

Zarumieniała się, zaskoczona, ale wyciągnęła do niego rękę z uśmiechem szczerzego zadowolenia.

– Nie wiedziałam, że to pan. Nie spodziewałam się tu pana – powiedziała.

– Czy mogę pójść do szpitala i powiedzieć panu Lydgate’owi, że pani życzy sobie go widzieć? – spytał Will.

– Szybciej będzie posłać po niego powóz – odparła – jeśli będzie pan tak uprzejmy i wyda polecenie stangretowi.

Will już kierował się ku drzwiom, kiedy Dorotea, której nagle stanęły przed oczami liczne, powiązane ze sobą wspomnienia, obróciła się spieszenie.

– Pojadę sama, dziękuję panu. Chcę jak najszybciej wrócić do domu. Pojadę do szpitala i tam zobaczę się z panem doktorem. Proszę, niech mi pani wybaczy. Jestem pani bardzo zobowiązana.

Najwidoczniej przysła jej do głowy jakaś nagła myśl; wyszła z pokoju nie bardzo świadoma, co się wokół dzieje: tego, że Will otworzył przed nią drzwi i podał jej ramię, by ją zaprowadzić do powozu. Przyjęła ramię, ale nie odezwała się ani słowem. Will był poirytowany i czuł się niezręcznie; sam też nie znalazł nic godnego powiedzenia. Milcząc, pomógł jej wsiąść do powozu, pożegnali się i Dorotea odjechała.

Podczas pięciominutowej jazdy do szpitala miała czas na pewne refleksje, całkiem dla niej nowe. Decyzja, by jechać, i zakłopotanie przy wyjściu spowodowane było nagłą myślą, że gdyby pozwoliła sobie na dalsze kontakty z Willem, o których nie mogłaby powiedzieć mężowi, dopuściłaby się czegoś o posmaku oszukaństwa, a już i tak ów wyjazd na spotkanie z Lydgate’em musiał pozostawać tajemnicą. To wszystko było jasne, ale do wyjścia pchnęło ją jeszcze jakieś nieokreślone uczucie zaambarasowania. Teraz, gdy siedziała sama w powozie, usłyszała ponownie wewnętrznym uchem męski głos i akompaniament fortepianu

i stwierdziła, że przyjmuje z pewnym zdziwieniem to, iż Will Ladislaw spędza czas z panią Lydgate pod nieobecność jej męża. A potem, rzecz jasna, przypomniała sobie, że spędzał czas i z nią w podobnych okolicznościach, czemu więc miałyby w tym być coś nieestosownego? Ale Will był kuzynem pana Casaubona, kimś, komu miała obowiązek okazywać życzliwość. Jednak pewne oznaki, które zapewne powinna była zrozumieć, świadczyły o tym, iż panu Casaubonowi nie w smak były te kuzynowskie wizyty pod jego nieobecność. „Może myliłam się co do wielu rzeczy”, powiedziała sobie biedna Dorotea, podczas gdy łzy zaczęły jej spływać po twarzy i trzeba je było szybko osuszyć chusteczką. Czuła się zagubiona i nieszczęśliwa, a obraz Willa, tak dotąd czysty w jej oczach, uległ tajemniczej deformacji. Ale właśnie powóz stanął przed bramą szpitalną. Po chwili spacerowała z Lydgate'em wokół trawników, a myśli jej ponownie skupiły się na sprawie, która ją tu przywiodła.

Tymczasem Will Ladislaw był przygnębiony i dobrze wiedział, dlaczego. Rzadko miał sposobność spotkania Dorotei i oto po raz pierwszy nadarzyła się taka szansa, a on wypadł w tym spotkaniu niekorzystnie. I nie szło mu tylko o to, że jak to dotąd bywało, Dorotea nie była zaprzątnięta przede wszystkim nim, ale że zobaczyła go w okolicznościach, w których mogło się zdawać, że on nie jest przede wszystkim zaprzątnięty nią. Czuł, że zaczyna się wytwarzać między nimi nowy przedział, gdyż znalazł się w kręgu tutejszego mieszczaństwa, z którym ona nie ma nic wspólnego. Ale to nie jego wina: oczywiście przecież, że odkąd zamieszkał w miasteczku, musi zawierać jak najwięcej znajomości; jego obecne stanowisko wymaga, by znał tu wszystkich i wszystko. Lydgate to w Middlemarch znajomość najcenniejsza, w dodatku ma muzykalną żonę, której przyjemnie jest składać wizyty. Oto jak doszło do sytuacji, w której Diana zbyt niespodzianie zstąpiła ku swemu czciocielowi. Było to przygnębiające. Will zdawał sobie sprawę, że gdyby

nie Dorotea, nie siedziałyby w Middlemarch, a tymczasem pozycja, jaką tu zajął, grozi oddzieleniem go od niej barierami powszechnie przyjętych poglądów, które dla trwałości wzajemnego zainteresowania są bardziej niebezpieczne niż cała odległość między Rzymem a Anglią. Łatwo było stawić czoło uprzedzeniom związanym z urodzeniem i pozycją, jeśli były ubrane w formę apodyktycznego listu pana Casaubona, lecz uprzedzenia, podobnie jak ciała wonne, mają podwójną egzystencję: stałą i lotną – stałą jak piramidy i lotną jak dwudzieste echo ech lub wspomnienie hiacyntów, które kiedyś zapachniały w ciemnościach. Will zaś był ogromnie czuły na wszystko, co ulotne; ktoś mniej wrażliwy nie zorientowałby się tak jak on, że w świadomości Dorotei po raz pierwszy zrodziło się poczucie, iż pełna swoboda w ich stosunkach jest niewłaściwa, nie wyczułby też chłodu w ich milczeniu, gdy odprowadzał ją do powozu. Może Casaubon, powodowany nienawiścią i zazdrością, mówi jej, że on, Will, nie dorasta obecnie do jej pozycji towarzyskiej. Niech diabli porwą Casaubona!

Will wrócił do salonu, wziął kapelusz i z wyrazem poirytowania podszedł do pani Lydgate, która siedziała już przy swoim stolczku do robótek.

– To fatalne, jeśli się przerywa muzykę czy poezję – powiedział. – Czy mogę przyjść kiedy indziej, żeby dokończyć to wykonanie *Lungi dal caro bene*?

– Będę bardzo rada, jeśli się tego nauczę – powiedziała Rozamunda. – Ale przyzna pan przecież, że była to bardzo piękna przerwa. Wręcz zazdroszczę panu znajomości z panią Casaubon. Czy jest bardzo mądra? Wygląda na to.

– Doprawdy, nigdy się nad tym nie zastanawiałem – odparł nadąsany.

– Dokładnie taką samą odpowiedź dał mi Tertius, kiedy go zapytałam, czy ona ładna. O czymże wy, panowie, myślicie w obecności pani Casaubon?

– O niej samej – odparł Will nie bez chęci sprowokowania czarującej pani Lydgate. – Kiedy się widzi kobietę doskonałą, nie myśli się nigdy ojej atrybutach, jest się świadom jej obecności.

– Będę zazdrosna o Tertiusa, kiedy pojedzie do Lowick. – Rozamunda mówiła ze zwiewną lekkością, ukazując dołeczki w buzi. – Wróci i będzie mnie miał za nic zgoła.

– Jak dotąd nie widać, żeby taki był skutek tych wizyt. Pani Casaubon jest zbyt niepodobna do innych kobiet, by można je było z nią porównywać.

– Oddany z pana wielbiciel! Pewno widuje ją pan często?

– Nie – odparł Will niemal z gniewem. – Uwielbianie to bardziej sprawa teorii niż praktyki. Ale w tej chwili praktykuję je w nadmiarze, trzeba mi umykać.

– Proszę, niechże pan przyjdzie któregoś wieczoru; mój mąż rad będzie posłuchać muzyki, a ja zawsze bardziej się nią cieszę w jego obecności.

Kiedy Lydgate wrócił do domu, Rozamunda, stanąwszy przed nim, ujęła obiema rękami rogi jego kołnierza i powiedziała:

– Był tu pan Ladisław i śpiewał ze mną, kiedy weszła pani Casaubon. Sprawiał wrażenie poirytowanego. Czy sądzisz, iż było mu nie w smak, że go zobaczyła w naszym domu? Przecież twoja pozycja jest równa albo i lepsza niż jego, bez względu na jego pokrewieństwo z Casaubonami.

– Nie, nie, musiało to być coś innego, jeśli naprawdę był poirytowany. Ladisław jest trochę jak Cygan, lekce sobie waży pozycje i tytuły.

– Nie zawsze jest sympatyczny, chyba że muzykuje. Czy ty go lubisz?

– Tak, myślę, że to zacny chłop; zlepek różnaitości, ale sympatyczny.

– Czy wiesz? Myślę, że on adoruje panią Casaubon.

– Biedaczysko! – uśmiechnął się Lydgate, szczypiąc żonę w ucho.

Wydawało się Rozamundzie, że zaczyna się wiele dowiadywać o życiu, zwłaszcza gdy odkryła to, co w czasach panieńskich było dla niej niewyobrażalne, może tylko jako niejasna tragedia w staroświeckich

kostiumach – mianowicie, że kobiety nawet po ślubie mogą dokonywać podbojów i zdobywać mężczyzn. W owych czasach młode damy na wsi, nawet jeśli edukowane były u pani Lemon, mało znały literaturę francuską późniejszą niż Racine, a prasa nie nadawała bieżącym skandalom dużego rozgłosu, jak teraz. Próżność jednak, mając do dyspozycji cały umysł kobiety i wszystkie jej czas, potrafi w nieskończoność budować coś z niczego, zwłaszcza z wyobrażenia, że podbojów można dokonywać bez końca. Cóż za rozkosz zdobywać niewolników z wysokości małżeńskiego tronu, mając przy boku męża jako księcia małżonka – a właściwie jako poddanego – podczas gdy niewolnicy podnoszą w górę oczy, zawsze bez nadziei, utraciwszy sen, a jeśli i apetyt, to tym lepiej! Lecz jej romantyczne skłonności skupiały się teraz przede wszystkim na księciu małżonku i ten przypieczętowany podbój sprawiał jej dostateczną satysfakcję. Kiedy Lydgate powiedział „biedaczysko” – zapytała z żartobliwym zaciekawieniem:

– A to dlaczego?

– Cóż może zrobić człowiek, kiedy zaczyna adorować jedną z was, syren. Zanedbuje tylko pracę i zbiera rachunki.

– Ty na pewno nie zanedbujesz pracy. Zawsze jesteś w szpitalu albo odwiedzasz ubogich pacjentów, albo myślisz o jakichś lekarskich kłótniach, a potem w domu siedzisz bez przerwy nad swoim mikroskopem i probówkami. Przynaj, że wolisz je ode mnie.

– Czy nie masz dość ambicji, żeby pragnąć, aby twój mąż był czymś więcej niż tylko lekarzem w Middlemarch? – Lydgate wsparł ręce na ramionach żony i spoglądał na nią z czułą powagą. – Zmuszę cię, żebyś się nauczyła mojego ulubionego urywka wiersza dawnego poety:

Czy po to duma tak się istnieć stara, By popaść w zapomnienie?
Cóż dorówna Pisaniu godnie, by się pismo stało Godnym lektury i świat

zachwycalo?^[86]

To, czego pragnę, Rozo, to sprawić, by pismo warte było lektury, i spisać własnoręcznie moje osiągnięcia. Aby to zrobić, człowiek musi pracować, mój ptaszku.

– Oczywiście, że pragnę, żebyś dokonywał odkryć: nikt nie może bardziej pragnąć, żebyś doszedł do wysokich stanowisk w jakimś lepszym miejscu niż Middlemarch. Nie powiesz przecież, że cię kiedykolwiek powstrzymywałam od pracy. Ale nie możemy żyć jak pustelnicy. Nie jesteś mną rozczarowany, Tertius?

– Nie, kochana moja, nie. Jestem zupełnie i całkowicie oczarowany.

– Ale co chciała ci powiedzieć pani Casaubon?

– Chciała się tylko dowiedzieć o zdrowie swego męża. Ale myślę, że okaże wielką pomoc naszemu szpitalowi. Przypuszczam, że będziemy dostawać od niej dwieście funtów rocznie.

[86] Samuel Daniel, *Musophilus: Containing a general defence of learning*.

ROZDZIAŁ XLIV

Nie będę pełzył wzdłuż brzegu, lecz popłynę
Na pełne morze, jak mi gwiazdy wskażą.

Dorotea, spacerując z doktorem Lydgate wśród krzewów wawrzynu wokół szpitala, dowiedziała się, że w stanie fizycznym jej męża nie zaszła żadna zmiana, obudził się w nim tylko pewien niepokój, chęć poznania prawdy o chorobie. Przez chwilę milczała, zastanawiając się, czy powiedziała albo zrobiła coś, co wzbudziło ten niepokój. Lydgate nie chcąc, by umknęła mu sposobność zyskania wsparcia dla najważniejszej sprawy, zaczął z wahaniem:

– Nie wiem, czy kiedykolwiek zwrócono uwagę pani lub pani męża na potrzeby naszego nowego szpitala. Okoliczności sprawiają, że podjęcie tego tematu może się wydać egoizmem z mojej strony, ale nie jestem temu winny. Problem w tym, że inni lekarze wypowiedzieli szpitalowi wojnę. Jak mi wiadomo, interesuje się pani tymi sprawami w sposób ogólny, pamiętam, że kiedy miałem po raz pierwszy przyjemność poznać panią w Tipton Grange, jeszcze przed ślubem, pytała mnie pani, jaki wpływ na zdrowie ubogich mają ich nędzne warunki mieszkaniowe.

– Tak – rozjaśniła się Dorotea. – Będę bardzo wdzięczna, jeśli powie mi pan, co mogłabym zrobić, żeby to się choć trochę zmieniło. Wszystko, co tyczy takich spraw, umyka mi, odkąd wyszłam za mąż. Widzi pan – dodała po chwili wahania – mieszkańcy naszej wioski żyją w nie najgorszych warunkach, a ja byłam zbyt zaprzątnięta innymi problemami, by rozglądać się dalej. Ale tu, w takim miejscu jak Middlemarch, jest zapewne wiele do zrobienia.

– Tu jest wszystko do zrobienia – odparł Lydgate z nagłą energią. – A

ten szpital to naprawdę wielkie dokonanie, które zawdzięczamy wyłącznie staraniom pana Bulstrode i w dużej mierze jego pieniądзом. Ale takiego zamierzenia nie może zrealizować jeden człowiek. Spodziewał się, rzecz jasna, pomocy. A tymczasem pewne osoby w mieście, które chcą, by projekt spalił na panewce, wypowiedziały mu nędzną, małostkową wojnę.

– Jakaż może być tego przyczyna? – zapytała Dorotea z naiwnym zdumieniem.

– Przede wszystkim niepopularność pana Bulstrode, to pierwsze. Połowa miasta chętnie przyłożyłaby rękę do tego, by mu pokrzyżować plany. Na tym głupim świecie nikt nie przyzna, że coś należy zrobić, jeśli sam nie będzie tego robił. Nim tu przyjechałem, nie znałem pana Bulstrode. Patrząc na niego bezstronnie i widzę, że ma pewne pomysły, że dał początek pewnym przedsięwzięciom, które ja mogę wykorzystać dla dobrych celów publicznych. Gdyby pokaźna liczba lepiej wykształconych mężczyzn zabrała się do pracy z przekonaniem, że ich obserwacje mogą się przyczynić do reformy teorii i praktyki medycznej, w niedługim czasie zobaczylibyśmy zmiany na lepsze. Taki jest mój punkt widzenia. Uważam, że gdybym odmówił współpracy z panem Bulstrode, zrezygnowałbym z szansy uczynienia mojego zawodu bardziej użytecznym dla społeczeństwa.

– Całkowicie się z panem zgadzam. – w Dorotei natychmiast rozbudziła się fascynacja obrazem naszkicowanym przez Lydgate'a. – Ale jakie są zastrzeżenia przeciwko panu Bulstrode? Wiem, że mój stryjaszek jest z nim w dobrych stosunkach.

– Ludzie nie znoszą jego bogobojności – zaczął Lydgate i urwał.

– To jeszcze większy powód, by gardzić podobną opozycją – stwierdziła Dorotea, patrząc teraz na sprawy Middlemarch przez pryzmat wielkich prześladowań.

– Mówiąc całkiem uczciwie, mają przeciwko niemu również i inne zastrzeżenia: jest apodyktyczny i raczej nietowarzyski, związany

jest z handlem, skąd też płyną osobne zastrzeżenia, aleja się na tym nie znam. Cóż to ma jednak wspólnego z pytaniem, czy nie dobrze by było, żeby powstał tu szpital wspanialszy od wszystkich w hrabstwie? Ale bezpośrednim powodem powstania opozycji jest fakt, że Bulstrode oddał medyczne kierownictwo szpitala w moje ręce. Oczywiście, jestem z tego rad. Daje mi to sposobność wykonania dobrej roboty, a przy tym wiem, że muszę dowieść, iż wybór był słuszny. Jednak rezultat jest taki, że wszyscy przedstawiciele medycznej profesji w Middlemarch patrzą wilkiem na szpital i nie tylko odmawiają wszelkiej współpracy, ale starają się przedstawić całość w niekorzystnym świetle i utrudniać subskrypcję.

– Jakież to nędzne! – zawołała Dorotea z oburzeniem.

– Zapewne człowiek powinien przewidywać, że będzie musiał walczyć o to, co uważa za słuszne; w przeciwnym razie niewiele dokona. A ignorancja tutejszych mieszkańców jest zdumiewająca. Nie roszczę sobie pretensji do niczego więcej nad to, że wykorzystałem pewne sposobności – nie każdemu dane. Trudno jednak ukryć takie przewinienie, jakim jest młody wiek, fakt, że się jest nowo przybyłym oraz że się wie trochę więcej niż starsi mieszkańcy Middlemarch. Jeśli jednak wierzę, że mogę wprowadzić lepsze metody leczenia, jeśli wierzę, że potrafię dokonywać obserwacji i badań, które mogą przynieść trwałe korzyści w praktyce medycznej, to byłbym podłym oportunistą, gdybym pozwolił egoistycznym względom powstrzymać mnie od tego. A sprawa jest o tyle czysta, że nie wchodzi tu w grę żadne wynagrodzenie, które mogłoby stawiać mój upór w dwuznacznym świetle.

– Rada jestem, że usłyszałam to wszystko od pana – oświadczyła serdecznie Dorotea. – Jestem pewna, że będę mogła nieco pomóc. Mam trochę pieniędzy, z którymi nie wiem, co robić, i ta myśl często nie daje mi spokoju. Pewna jestem, że mogę sobie pozwolić na dwieście funtów rocznie na tak doniosły cel. Jaki pan szczęśliwy, mając pewność, że

zna sprawy, z których na pewno wyniknie wiele dobrego! Żebym to ja mogła się budzić co rano z takim przeświadczeniem! Tyle się podejmuje wysiłków, z których niemal nie widać pożytku.

W ostatnich słowach zadźwięczała nuta melancholii. Po chwili jednak Dorotea dodała pogodniej:

– Proszę, niech pan przyjedzie do Lowick i powie nam coś więcej. Przekażę wszystko mężowi. Teraz muszę spieszyc do domu.

Tego samego wieczoru przedstawiła panu Casaubonowi całą sprawę, dodając, że chciałyby dokonać subskrypcji na dwieście funtów rocznie; miała siedemset funtów rocznie zapisanych w umowie małżeńskiej jako równowartość jej osobistego majątku. Pan Casaubon nie oponował, napomknął tylko przy okazji, że suma może być nieproporcjonalnie duża w zestawieniu z innymi charytatywnymi celami. Kiedy jednak Dorotea, w swojej ignorancji, odrzuciła jego zastrzeżenie, przystał. Sam nie przywiązywał wagi do wydatków i nie okazywał skąpstwa. Jeśli kwestie pieniężne miały dla niego jakiegokolwiek znaczenie, to tylko w związku z inną namiętnością niż miłość dóbr materialnych.

Dorotea opowiedziała mężowi, że widziała się z Lydgate'em, i powtórzyła dosyć ogólnie rozmowę o szpitalu. Pan Casaubon nie zadawał dalszych pytań, był jednak pewny, że chciała się dowiedzieć, o czym rozmawiał z doktorem. „Wie, że ja wiem”, powiedział mu wciąż nieuciszony wewnętrzny głos, lecz ta większa teraz wiedza jeszcze bardziej utrudniała wzajemne zaufanie. Pan Casaubon nie ufał uczuciu Dorotei, a jakaż samotność jest bardziej samotna niż ta, która nie ufa?

ROZDZIAŁ XLV

Wiele tęgich głów upodobało sobie w wychwalaniu dni przodków, piętnując zepsucie czasów obecnych, czego wszelako uczynić udatnie nie umieją bez sięgania do satyry z lat minionych; potępiają tedy grzechy swojej epoki, korzystając z opisanego grzechów w czasach, których chwałę głoszą, co przecież dowodnie wskazuje, iż grzechy te są wspólne im obu. Nie byli zatem Horacy, Juwenal i Persjusz prorokami, aczkolwiek ich wersy zdają się niekiedy indykować naszą epokę.

Sir Thomas Browne, *Pseudodoxia Epidemica*

Ową opozycję przeciwko nowemu szpitalowi zakaźnemu, o której Lydgate mówił w skrócie Dorotei, można było, jak wszelkie inne opozycje, widzieć w rozmaitym świetle. Lydgate widział ją jako mieszaninę zawiści i tępym uprzedzeń. Pan Bulstrode widział w niej nie tylko zawiść lekarską, lecz zdecydowaną chęć udaremnienia jego planów, zrodzoną przede wszystkim z nienawiści do tej fundamentalnej religii, której starał się być czynnym przedstawicielem laickim – nienawiści znajdującej, rzecz jasna, inne niż religia preteksty, jakie łatwo wyszukać w gąszczu ludzkich poczynań. Można by to nazwać klerykalnym punktem widzenia. Opozycja jednak może przedstawiać długi łańcuch zarzutów, które nie muszą się koniecznie trzymać w granicach wiedzy, lecz ciągną się bez końca w bezkresnej przestrzeni ignorancji. W tym, co

opozycja w Middlemarch mówiła o nowym szpitalu i jego administracji, pobrzmiwały echa najrozmaitszych głosów, niebiosa bowiem sprawiły, że nie każdy człowiek jest oryginalnym twórcą, niemniej różnice, jakie się w tych opiniach rysowały, miały wyraźnie charakter różnic społecznych – od gładkiego umiarkowania doktora Minchina do kategorycznej pewności siebie pani Dollop, właścicielki gospody Pod Kuflem w Zaułku Rzeźnika.

Pani Dollop, która zwykle umacniała się w swych przekonaniach, głośno o nich zapewniając, nabierała pewności, że doktor Lydgate pragnie, by pacjenci w szpitalu umierali – niewykluczone nawet, że chce ich truć – po to, by mógł ich potem bez ceremonii krajać. Wszystkim przecież wiadomo, że chciał pokrajać panią Goby, osobę tak godną, że drugiej podobnej ze świecą szukać na Parley Street, osobę, która przed zamążpójściem miała pieniądze w depozycie. Kiepsko to świadczy o doktorze, bo jeśli jest dobrym doktorem, to powinien wiedzieć, co człowiekowi dolega, zanim umrze, a nie zaglądać mu do brzucha po śmierci. Jeśli to nie jest oczywista racja, to pani Dollop chciałyby wiedzieć, jaka racja jest oczywista. W jej audytorium jednak przeważało przekonanie, iż opinia pani Dollop jest niepodważalna, a gdyby została obalona, nie byłoby końca krajaniu nieboszczyków, jak to można stwierdzić w sprawie Burke'a i Hare'a^[87] z ich smołowymi plastrami – w Middlemarch ani takich spraw, ani szubienic nie potrzeba.

I niech nikt nie sądzi, iż poglądy spod „Kufła” w Zaułku Rzeźnika nie miały znaczenia dla przedstawicieli profesji medycznej; ta stara, autentyczna oberża, od początku zwana Pod Kuflem, dziś również U Dollopowej, była miejscem zgromadzeń znanego Towarzystwa Wzajemnej

[87] Burke i Hare – dwaj mordercy, którzy dostarczali zwłok na sekcje medyczne. Burke został powieszony w 1829 r., gdy Hare zgodził się zeznawać jako świadek koronny.

Pomocy^[88], gdzie kilka miesięcy temu poddano pod głosowanie wnioszek, by wieloletniego lekarza Towarzystwa, doktora Gambita, zastąpił „ten doktor Lydgate”, zdolny dokonywać zdumiewających uzdrowień i ratować ludzi, na których inni lekarze postawili krzyżyk. Wynik jednak został przesądzony na niekorzyść Lydgate’a dwoma głosami członków Towarzystwa, twierdzących – z osobistych przyczyn – iż umiejętność przywracania do życia ludzi, którzy na dobrą sprawę umarli, jest podejrzaną rekomendacją i może być sprzeczna z wyrokami Opatrzności. W ciągu roku jednak w opinii publicznej dokonana się zmiana, a jej świadectwem była jednomysłność, jaka zapanowała U Dollopowej.

Przed rokiem z dużym okładem, kiedy jeszcze umiejętności Lydgate’a nie były znane, mieszkańcy miasteczka mieli o nich, rzecz jasna, podzielone zdanie, zależnie od wycucia prawdopodobieństwa, mieszczącego się być może na dnie żołądka albo w szyszynce, nie zawsze prowadzącego do takich samych wniosków, posiadającego jednak wartość jako wskazówki przy całkowitym braku dowodów. Pacjenci chronicznie chorzy lub tacy, których życie wisiało na włosku, jak stary Featherstone, byli od razu gotowi wypróbować Lydgate’a; wielu nieskorych do płacenia rachunków swoich dotychczasowych lekarzy byłoby skłonnych otworzyć rachunek u nowego doktora, po którego będą bez skrępowania posyłać, jeśli tylko ich dzieci okażą humory – w takich sytuacjach tutejsi starzy praktycy często zaczęli zrędzić; wszyscy, którzy z takich powodów skłonni byli leczyć się u Lydgate’a, przewidywali, że okaże się zdolnym medykiem. Niektórzy uważali, że może bardziej niż inni pomóc „jak idzie o wątrobę”; tak czy inaczej nie zaszkodzi dostać od niego kilka buteleczek „specyfiku”, jeśli zaś będzie nieskuteczny, zawsze można wrócić do „pigulek czyszczących”, które trzymały człowieka przy życiu,

[88] Stowarzyszenie osób, które za płacone składki otrzymywały pomoc lekarza.

choć nie oczyściły go z zażółcenia. To wszystko jednak dotyczyło ludzi pośledniejszego stanu. Dobre, miejscowe rodziny nie były, rzecz jasna, skłonne zmieniać lekarza bez oczywistego powodu, żaden też z pacjentów doktora Peacocka nie uważał, iż ma obowiązek zaakceptować nowo przybyłego tylko dlatego, że jest jego następcą; na poparcie swego stanowiska powiadali, że „mało jest prawdopodobne, by dorównywał Peacockowi”.

Niedługo jednak po przybyciu Lydgate’a do Middlemarch zaczęły krążyć o nim pogłoski, które zrodziły bardziej określone oczekiwania i przekształciły różnice opinii w stronnicość; niektóre z tych pogłosek należały do rodzaju zadziwiających, o całkowicie ukrytym znaczeniu, jak liczba statystyczna nieodnosząca się do niczego, ale zakończona wykrzyknikiem. Stopy kubiczne tlenu połykane rocznie przez dorosłego człowieka – jakim dreszczem przejęłyby te słowa niektóre kręgi w Middlemarch. „Tlen! Nikt nie wie, co też to może być – jakże więc się dziwić, że cholera dotarła aż do Gdańska? A jednak są tacy, co powiadają, że kwarantanna niczemu nie zapobiega”.

Jedną z pierwszych wiadomości, które się szybko rozeszły, było to, że Lydgate nie sporządza leków. Było to wyzwanie rzucone zarówno lekarzom ogólnym, naruszające ich szczególny prestiż, jak i chirurgom-aptekarzom, do których sam się zaliczał; jeszcze niedawno mogliby liczyć na to, że prawo opowie się po ich stronie przeciwko człowiekowi, który nie nazywając się doktorem medycyny kształconym w Londynie, ośmiela się prosić o honorarium z wyłączeniem opłaty za leki. W dodatku Lydgate nie był na tyle doświadczony, by przewidzieć, że przyjęte przez niego reguły okażą się jeszcze większą zniewagą dla laików, gdy bowiem pan Mawmsey, poważny kupiec z Rynku Głównego, nawet nie jego pacjent, zagadnął go grzecznie w tej sprawie, doktor był tak nieroztropny, by krótko i dostępnie wyjawić powody, dla których tak postępuje, i uświadomić, że

jeśli lekarz bierze honorarium tylko wtedy, gdy wypisuje długie rachunki za wyciągi, pigułki i mikstury, to niszczy własną reputację i krzywdzi pacjentów.

– Tym sposobem przepracowany lekarz może stać się niemal takim samym szkodnikiem co znachor – zakończył dość bezmyślnie. – Chcąc zarobić na chleb, musi przyrządzać w nadmiarze leki dla poddanych króla jegomości, a to jest przestępstwo z rodzaju najcięższych – w poważny sposób narusza konstytucję.

Pan Mawmsey nie tylko nadzorował z ramienia parafii sprawę ubogich (rozmowa z Lydgate'em dotyczyła opieki nad biednymi spoza przytułku), ale również miał astmę i bardzo liczne potomstwo, tak więc zarówno z lekarskiego, jak i jego osobistego punktu widzenia był człowiekiem, z którym należało się liczyć. Doprawdy, stanowił niezwykle okaz sklepikarza: włosy zaczesywał w płomienną piramidę na głowie, a w kupieckiej uprzejmości, jaką okazywał, zawierał życzliwość i zachętę – jakąś żartobliwą przypochebność połączoną z rozważnym wysiłkiem, by nie ujawnić wszystkich swoich możliwości umysłowych. Właśnie ta jowialna żartobliwość zadawanych pytań podsunęła doktorowi ton odpowiedzi. Niech jednak ludzie mądrzy nie spieszą się z udzielaniem wyjaśnień: mnożą one przyczyny nieporozumień i wydłużają kolumny rachunków tak, że rachmistrz łatwo się myli.

Lydgate opatrzył ostatnie słowa uśmiechem, wkładając nogę w strzemień, a pan Mawmsey roześmiał się głośniejszym, niżby to zapewne uczynił, gdyby wiedział, co to są poddani króla jegomości, i powtarzał: do widzenia, panie doktorze, do widzenia, panie doktorze – z miną człowieka, który wszystko doskonale zrozumiał. W istocie jednak w poglądach jego powstało zamieszanie. Od lat płacił rachunki, na których widniały wszystkie pozycje, jedna po drugiej, tak że miał pewność, iż za każde pół korony i osiemnaście pensów otrzymywał coś wymiernego.

Płacił je z satysfakcją, uważając to za jeden z obowiązków ojca i męża, a rachunek dłuższy niż zwykle uważał za wyróżnienie godne wzmianki. Ponadto oprócz konkretnego pożytku, jakie przynosiły leki „dla chorego i rodziny”, otrzymywał dodatkową przyjemność dokonywania wnikliwego osądu ich doraźnej skuteczności, tak aby następnie przekazać informację panu Gambitowi, lekarzowi ogólnemu, stawianemu nieco poniżej panów Wrencha czy Tollera, a cenionemu szczególnie w roli akusзера; pan Mawmsey miał o nim niedobłą opinię pod każdym względem z wyjątkiem jego umiejętności doboru leków – jeśli o to idzie, mawiał, ściszywszy głos, Gambit bije wszystkich na głowę.

Oto przyczyna głębsza niż powierzchowne gadanie o nowo przybyłym, które wydawało się jeszcze bardziej błahe w saloniku nad sklepem, gdzie dochodziło uszu pani Mawmsey, kobiety przywykłej do okazywanego jej, jako płodnej matce, uznania i będącej na ogół pod opieką – częstszą czy rzadszą – doktora Gambita, a od czasu do czasu wzywającej, z powodu swoich ataków, doktora Minchina.

– Czy ten Lydgate chce przez to powiedzieć, że nie ma po co brać leków? – spytała pani Mawmsey, która cedziła nieco słowa. – Chciałabym, żeby mi wytłumaczył, jak mogłabym przetrzymać targi, gdybym miesiąc wcześniej nie zaczęła brać mikstury wzmacniającej? Pomyśl tylko, moja kochana, czego to ja nie muszę przyszykować dla stałych klientów – tu pani Mawmsey zwróciła się do siedzącej obok przyjaciółki od serca – duży pasztet cielęcy, faszerowaną wołowinę, rostbef, szynkę, ozór i tak dalej, i tak dalej. Ale najlepiej dodaje mi siły różowa mikstura, nie ta brązowa. Dziwię ci się, mężu, że przy twoim doświadczeniu miałeś cierpliwość tego słuchać, ja tam powiedziałabym mu od razu, że swoje wiem.

– Co też! – obruszył się pan Mawmsey. – Ani mi w głowie mówić mu, co myślę. Słuchaj, co powiadają inni, a rób, co ci własny rozum każe. Takie jest moje zdanie. Nie wiedział, z kim gada. Ludzie często udają, że

mówią mi coś ważnego, a równie dobrze mogliby mi powiedzieć: głupiś, panie Mawmsey. Ale ja się tylko uśmiecham. Każdy może mieć swojego bzika, co mnie do tego. Gdyby leki szkodziły choremu i jego rodzinie, już bym to dzisiaj wiedział.

Następnego dnia pan Gambit usłyszał, że Lydgate chodzi i rozpowiada, że nie ma po co brać leków.

– Naprawdę? – uniósł brwi w ostrożnym zdumieniu. (Był to tęgi, krzepki mężczyzna z wielkim pierścieniem na serdecznym palcu). – Jak wobec tego zamierza leczyć swoich pacjentów?

– To samo *ja* powiadam. – Pani Mawmsey zwykła przydawać wagę swoim wypowiedziom poprzez akcentowanie zaimków. – Czy *on* sobie wyobraża, że ludzie będą mu płacić tylko za to, że przyjdzie, posiedzi z nimi i pójdzie?

Pan Gambit często i długo przesiadywał u pani Mawmsey, opowiadając jej bardzo szczegółowo, jakie ma przyzwyczajenia, oraz o innych sprawach, wiedział jednak, rzecz oczywista, że jej ostatnia uwaga nie odnosiła się do niego, gdyż za wolny czas i osobiste wynurzenia nigdy nie wystawiał rachunków. Odparł więc żartobliwie:

– No cóż, Lydgate to przystojny młody człowiek.

– Ale ja bym się u takiego nie leczyła – stwierdziła pani Mawmsey. – Inni mogą sobie robić, co chcą.

Tak więc pan Gambit mógł wyjść od najważniejszego przedstawiciela branży kupieckiej bez obawy o konkurencję, ale i nie bez poczucia, że Lydgate to jeden z tych hipokrytów, którzy próbują zdyskredytować innych, reklamując własną uczciwość, i że może warto by było, by ktoś go zdemaskował. Pan Gambit jednak miał dostatecznie dużą praktykę, silnie przesiąkniętą zapachem handlu detalicznego, co pozwalało przypuszczać, że część honorarium brał w naturze, a część w gotówce, i nie uważał, by demaskowanie Lydgate'a warte było jego zachodów, chyba żeby

wiedział, jak to zrobić. Nie miał w istocie wielkich zasobów wiedzy i musiał ciężką pracą dochodzić do obecnej pozycji pomimo lekceważenia ze strony kolegów po fachu; ale fakt, że narząd do oddychania nazywał „pucem”, nie umniejszał jego talentów akusзера.

Inni lekarze jednak uważali się za bardziej uzdolnionych. Pan Toller miał największą praktykę w mieście i pochodził z rodziny od dawna tu osiadłej: byli Tollerowie prawnicy i Tollerowie innych zawodów, zawsze jednak lepszych niż handel detaliczny. Odmienne niż nasz wybuchowy przyjaciel, pan Wrench, potrafił ze stoickim spokojem reagować na to, co zapewne powinno go denerwować, był to bowiem dobrze wychowany człowiek, żartowniś z cicha pęk, który prowadził zasobny dom, bardzo lubił od czasu do czasu zapolować, był w dobrych stosunkach z panem Hawleyem i nieprzyjaznych z Bulstrode’em. Może się wydać dziwne, że przy tak dobrotliwym usposobieniu upodobał sobie drastyczne metody leczenia: puszczanie krwi, plastry grzejące i głodzenie chorych, stoicko lekceważąc przykład własnej osoby; ten brak logiki jednak wpływał pozytywnie na opinię, jaką miał u pacjentów, którzy stwierdzali często, że pan Toller jest powolny w obejściu, ale za to najszybszy w leczeniu – nikt, powiadali, nie odnosi się poważniej do swojego zawodu: często zwleka z przyjściem, ale jak już przyjdzie, to coś zrobi. Był bardzo lubiany w swoim gronie, a niedbale ironiczny ton sprawiał, że każda jego krytyczna o kimś uwaga liczyła się w dwójnasób.

Po pewnym czasie, rzecz jasna, miał już dość reagowania uśmiechem i zdawkowym „ach”, gdy mu mówiono, że następcą pana Peacocka nie ma zamiaru sporządzać leków, kiedy więc pewnego dnia pan Hackbutt wspomniał o tym podczas proszonej kolacji, pan Toller roześmiał się tylko i zauważył:

– Wobec tego Dibbitts wyprzeda swoje zleżałe leki. Bardzo lubię jego małe dzieci, cieszę się, że mu szczęście zaczęło sprzyjać.

– Rozumiem, co pan ma na myśli – odparł pan Hackbutt – i całkowicie podzielam pańskie zdanie. Skorzystam ze sposobności, by wypowiedzieć się w tej sprawie. Medyk powinien być odpowiedzialny za leki, jakie przyjmuje jego pacjent. W tym właśnie tkwi rozumowe uzasadnienie obowiązującego systemu honorariów, nie ma zaś nic bardziej kłopotliwego niż ostentacyjna reforma, która nie przynosi żadnej prawdziwej poprawy.

– Ostentacyjna, panie Hackbutt? – W głosie pana Tollera brzmiała ironia. – Ja tu ostentacji nie widzę. Jak może być ostentacyjne coś, w co nikt nie wierzy? Ta cała sprawa to nie żadna reforma: chodzi tylko o to, czy medyk ma zysk z leków od aptekarza, czy od pacjenta i czy powinna być dodatkowa opłata pod pozycją: usługi lekarskie.

– A jakże, jest to jedna z tych piekielnych nowych wersji starego oszustwa – stwierdził pan Hawley, przysuwając karafkę panu Wrenchowi.

Pan Wrench, na ogół wstrzeźliwy, na przyjęciach często pił wino obficie, wskutek czego jego drażliwość rosła.

– Oszustwo, panie Hawley – odparł – jest słowem, które łatwo rzucić. Ale to, przeciwko czemu ja występuję, to sposób, w jaki niektórzy medycy kalają własne gniazdo, podnosząc wołanie, które się rozchodzi na cały kraj, jakoby lekarz ogólny, sporządzający leki, nie mógł być dżentelmenem. Taki zarzut odrzucam z pogardą. Najbardziej, moim zdaniem, niedżentelmeńska sztuczka to wejść między ludzi własnego zawodu i wprowadzać innowacje, które uwłaczają ich uświęconemu tradycją postępowaniu. Takie jest moje zdanie i gotów jestem przy nim obstawać, przeciwko każdemu, kto mi zaprzeczy – w tym miejscu głos pana Wrencha zabrzmiał nadzwyczaj ostro.

– Nie mogę panu służyć, panie Wrench – pan Hawley wsunął ręce w kieszenie spodni.

– Drogi kolego – włączył się uspokajająco pan Toller, patrząc na pana

Wrencha – doktorom^[89] w tej sprawie mocniej nadepnięto na odciski niż nam. Jeśli mowa o godności, to jest problem dla Minchina i Sprague’a.

– Czy prawoznawstwo medyczne nie może zapobiegać takim wykroczeniom? – zapytał pan Hackbutt, oferując bezinteresownie swoje zdolności umysłowe. – Co mówi na to prawo, panie Hawley?

– Nic tu się nie da zrobić – odparł zapytany. – Sprawdzałem to dla Sprague’a. Można tylko sobie stłuc nos o werdykt jakiegoś głupiego sędziego.

– Po co tu komu prawo – wzruszył ramionami pan Toller. – Jeśli idzie o praktykę, ten eksperyment to bzdura. Żadnemu pacjentowi nie przypadnie do gustu, a już na pewno nie pacjentom Peacocka, którzy przywykli do środków przeczyszczających. Przysuńcie wino.

Przepowiednia pana Tollera sprawdziła się częściowo. Jeśli państwo Mawmsey, którzy nie mieli zamiaru zostać pacjentami Lydgate’a, zaniepokoił się jego rzekomymi wypowiedziami przeciwko stosowaniu leków, to można było przewidzieć, że ci, co się u niego leczą, będą z pewnym strachem oczekiwać, czy „skorzysta z wszelkich możliwych środków” w ich przypadku. Nawet miłośnicy we wszystkich swoich komentarzach zacny pan Powderell, który skłonny był jeszcze bardziej szanować Lydgate’a za to, co mu się wydawało rzetelnym poszukiwaniem lepszych środków leczenia, nawet on poczuł nękający przypływ wątpliwości, gdy żona dostała róży i nie mógł się powstrzymać, żeby nie wspomnieć Lydgate’owi, iż w podobnym przypadku doktor Peacock stosował był serię pigułek, które można określić w jeden tylko sposób, ten mianowicie, iż okazały się niezwykle skuteczne, gdyż postawiły panią Powderell na nogi, jeszcze przed świętym Michałem,

[89] Tytuł doktora w medycynie angielskiej przysługiwał internistom, wychowankom Oksfordu i Cambridge. Chirurg-aptekarz, jakim był Lydgate, nie miał akademickiego tytułu doktora.

z choroby, która zaczęła się w szczególnie upalny sierpień. Wreszcie, szarpany sprzecznymi uczuciami – nie chcąc urazić Lydgate’a i jednocześnie nie chcąc zaniedbać jakiegokolwiek „środku”, namówił po cichu żonę na zażycie pigułek przeczyszczających Widgeona, leku powszechnie cenionego w Middlemarch, który hamował każdą chorobę w zarodku, gdyż natychmiast zaczął działać na krew. O tym środku wspomagającym nie wolno było wspomnieć panu Lydgate’owi, a i sam pan Powderell niecałkowicie na nim polegał i miał tylko nadzieję, że będzie mu towarzyszyć błogosławieństwo.

Ale na tym niepewnym etapie wstępnym wspomogło Lydgate’a to, co my, śmiertelni, nazywamy pochopnie uśmiechem szczęścia. Przypuszczam, że nie ma lekarza, który osiedliwszy się na nowym miejscu, nie dokonałby jakiegoś cudownego uzdrowienia, takiego, które można by uznać za świadectwo życzliwości losu, zasługujące na takie samo zaufanie, jak świadectwo pisane czy drukowane. Najrozmaitsi chorzy, leczeni przez Lydgate’a, wracali do zdrowia, niektórzy nawet po bardzo ciężkiej chorobie; mówiono więc, że ten nowy doktor z jego nowymi metodami ma tę przynajmniej zaletę, że przywraca do zdrowia ludzi, którzy znajdowali się na progu śmierci. Opowiedane przy tych okazjach głupstwa szczególnie irytowały doktora, przynosiły mu bowiem prestiż, jakiego mógłby pragnąć człowiek niekompetentny i niesumienny; podejrzewał w dodatku, że niezyczliwi mu koledzy przypisują jemu samemu tę niewybredną reklamę. Lecz przekonanie, że walka z prostackimi i głupimi interpretacjami jest równie bezskuteczna jak ubijanie mgły, powstrzymało go od szczerych i otwartych wyjaśnień, los zaś postanowił tę interpretację wykorzystać.

Pani Larcher, przejęta życzliwą troską o swoją posługaczkę, u której wystąpiły pewne niepokojące objawy, poprosiła będącego u niej z wizytą doktora Minchina, by chorą na miejscu zbadał i dał jej skierowanie do

infirmierii. Po zbadaniu chorej doktor opisał przypadek jako guz i polecił oddawczynię niniejszego, Nancy Nash, jako pacjentkę dochodzącą. Nancy, w drodze do infirmerii, zaszła do domu i pozwoliła gorseciarzowi i jego żonie, u których mieszkała na stryżku, przeczytać certyfikat doktora Minchina. W ten sposób stała się przedmiotem pełnych współczucia rozmów w sąsiednich sklepach na Churchyard Lane jako osoba, u której wykryto guz, z początku określany jako twardy i wielkości kaczego jaja, a w kilka godzin później „wielkości pięści”. Większość słuchaczy była zgodnego zdania, że trzeba go będzie wyciąć, ktoś jednak słyszał o oleju, ktoś inny o naparze, które zażyte w odpowiedniej dawce do wewnątrz, zdolne były zmiękczyć i zlikwidować każdą grudę w ciele, przy czym olejek działał rozpuszczająco, a napar – żrąco.

Tymczasem los sprawił, że gdy Nancy przyszła do infirmerii, był to akurat dzień, w którym dyżurował tam Lydgate. Po zbadaniu i przepytaniu chorej doktor zwrócił się półgłosem do szpitalnego chirurga: „To nie jest guz, to skurcz”. Zapisał jej plaster rozgrzewający i jakąś miksturę z żelazem, kazał iść do domu i odpoczywać, dał jej też liścik do pani Larcher, która według chorej była jej najlepszą panią, zalecający dobre odżywianie Nancy.

Po pewnym czasie Nancy na swoim stryżku poczuła się o wiele, wiele gorzej, gdyż rzekomy guz, choć istotnie ustąpił, ale się również przemieścił w inną część ciała, powodując jeszcze większy ból. Żona gorseciarza poszła sprowadzić Lydgate'a, on zaś przez dwa tygodnie leczył Nancy w jej własnym domu, aż wreszcie, pod jego opieką, wyzdrowiała zupełnie i wróciła do pracy. Przypadek jej w dalszym ciągu uważany był za guz zarówno na Churchyard Lane, jak i na innych ulicach, nawet przez panią Larcher, kiedy bowiem wspomniała doktorowi Minchinowi o tym niezwykłym wyleczeniu, on, rzecz jasna, nie był skłonny się przyznać i powiedzieć: „To nie był guz, pomyliłem się, pisząc, że to guz” – tylko

powiedział: „Naprawdę? Ba, wiedziałem, że to przypadek dla chirurga, i to niegroźny”. Bardzo się jednak w duszy zirytował, kiedy zapytując w infirmerii o swą pacjentkę, usłyszał szczegółowo, co się stało, od szpitalnego chirurga, młokosa, który z przyjemnością, a bezkarnie mu dopiekl. Doktor Minchin powiedział potem prywatnie, iż jest rzeczą nieprzyzwoitą, by lekarz ogólny podważał diagnozę doktora medycyny w sposób tak jawny, potem zaś przytaknął, kiedy doktor Wrench się skarżył, że Lydgate w przykry sposób lekceważy etykietę. Lydgate nie zrobił z tej sprawy argumentu na swoją korzyść czy też (zwłaszcza!) na niekorzyść Minchina, często się bowiem zdarza, że lekarze o takich samych kwalifikacjach korygują nawzajem swoje pomyłki. Rozeszła się jednak wieść o tym niezwykłym przypadku guza, może raka, a może nie, ale właściwie czegoś jeszcze gorszego, obdarzonego bowiem zdolnością wędrowania, i wreszcie wiele uprzedzeń do Lydgate’a, wyrosłych z jego stosunku do leków, ustąpiło wobec świadectwa tak niebywałych umiejętności, jak przywrócenie Nancy Nash do zdrowia po długich mękach w agonii, do której przywiódł ją guz zarówno twardy, jak uporczywy, lecz zmuszony wreszcie do ustąpienia.

Jak mógł się Lydgate bronić? Przecież gdyby powiedział damie, wygłaszającej peany o jego umiejętnościach, że się z gruntu myli, a jej zachwyt jest nierozumny – to by ją obraził. A gdyby się wgłębił w istotę choroby, dodałby tylko do swoich przewinień naruszenie etyki zawodowej. Musiał więc z niechęcią przyjmować zapowiedzi sukcesów zawartych w chwalbie ludzi ciemnych, która zawsze mija się z rzetelną oceną wartości.

W przypadku znacznieszego pacjenta, pana Borthropa Trumbulla, Lydgate miał poczucie, że okazał się czymś więcej niż tylko przeciętnym lekarzem, chociaż i tutaj korzyść, jaką wyniósł, była dwuznaczna. Wymowny licytator dostał zapalenia płuc, a że się był uprzednio leczył

u doktora Peacocka, posłał po Lydgate'a i oznajmił mu, że chce zostać jego stałym pacjentem. Pan Trumbull był człowiekiem krzepkim i doskonale się nadawał na chorego, na którym można wypróbować metodę wyczekiwania, polegającą na czuwaniu i obserwowaniu rozwoju ciekawej choroby pozostawionej, jeśli to możliwe, samej sobie, tak by można było opisać jej kolejne stadia, zdobywając w ten sposób wiedzę na przyszłość. Ze sposobu, w jaki chory mówił o swoich dolegliwościach, wynikało, że chciałby się stać powiernikiem lekarza i być jego partnerem w leczeniu własnej choroby. Licytator dowiedział się, bez większego zdumienia, że jego organizm pozwala na to, by pozostawić go o własnych siłach (pod nieustanną, baczną obserwacją) i uzyskać w ten sposób piękny obraz choroby w jej kolejnych, wyraźnie zarysowanych stadiach; że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa obdarzony jest rzadką siłą umysłu, która pozwoli, by dobrowolnie poddał się próbie takiej racjonalnej metody postępowania, dzięki czemu nieomogła czynności jego płuc przyniesie ogólny pożytek społeczny.

Pan Trumbull przystał natychmiast i całkowicie zgodził się z poglądem, że dla postępu wiedzy medycznej jego choroba to niepospolita okazja.

– Proszę się nie obawiać, panie doktorze, nie mówi pan do kogoś, komu jest całkowicie obca *vis medicatrix* – oznajmił w swój zwykły, górnolotny sposób, co wskutek trudności, jakie miał z oddychaniem, sprawiało przejmujące wrażenie. I bez zmruczenia oka przeszedł chorobę, nie tykając leków, podtrzymywany na siłach obowiązkiem częstego sięgania po termometr – świadczącym o wadze jego temperatury – i poczuciem, że dostarcza materiału pod mikroskop, a także świadomością zdobywania wielu nowych słów, odpowiadających godności jego wydziałin. Lydgate bowiem był dostatecznie bystry, by prowadzić z nim rozmowy o technicznej stronie zagadnienia.

Łatwo więc sobie wyobrazić, że pan Trumbull podniósł się z łoża, pragnąc opowiadać o chorobie, w której okazał siłę zarówno umysłu, jak i organizmu: nie zwlekał też z przyznaniem sprawiedliwości lekarzowi, który potrafił poznać się na jakości swojego pacjenta. Licytator nie był sknerą i lubił oddać każdemu, co mu się należy, uważał bowiem, że stać go na to.

Przyswoił sobie określenie „metoda namysłu i czekania” i wymawiał je, jak również inne naukowe terminy, w sposób podniosły i uroczysty, zapewniając przy tym, że Lydgate „umie trochę więcej niż pozostali lekarze i jest o wiele bieglejszy w arkanach swego zawodu niż większość jego kolegów po fachu”.

Wszystko to się wydarzyło, jeszcze nim historia z chorobą Freda Vincy dała panu Wrenchowi bardziej konkretne powody do osobistej niechęci w stosunku do Lydgate’a. Nowo przybyły od początku stanowił zagrożenie jako konkurent w zawodzie, a obecnie stanowił groźbę jako krytyk, rzucający cień na swoich zapracowanych starszych kolegów, którzy mają co innego do roboty niż zajmowanie się niesprawdzonymi teoriami. W kilku dzielnicach jego praktyka się rozszerzyła, a odkąd tylko dowiedziano się o jego wysokich koneksjach rodzinnych, zapraszano go niemal wszędzie, tak że pozostali lekarze musieli go spotykać na kolacjach w najlepszych domach; rzadko zaś się zdarza, by z takich przymusowych spotkań z kimś, kogo się nie lubi, wyrosła wzajemna sympatia. W niczym chyba nie byli tak jednomyślni jak w opinii, że Lydgate to arogancki młokos, gotów dla zdobycia wysokiej pozycji okazywać Bulstrode’owi niewolniczą służalczość. Fakt, że pastor Farebrother, którego nazwisko było sztandarem anty-Bulstrode’owego stronnictwa, zawsze bronił Lydgate’a i przyjaźnił się z nim, tłumaczono jego niepojętą skłonnością do walki na dwa fronty.

Na takim podatnym gruncie doszło do wybuchu profesjonalnego

oburzenia, gdy ogłoszone zostały ustalone przez pana Bulstrode zasady kierowania nowym szpitalem, tym bardziej drażniące, że już nie było można sprzeciwić się jego woli i upodobaniom, gdyż wszyscy, z wyjątkiem lorda Medlicote, odmówili udziału w finansowaniu budowy, twierdząc, że wolą łożyć na starą infirmerię. Pan Bulstrode pokrywał wszystkie koszty i wcale teraz nie żałował, że kupuje sobie prawo do realizowania własnego wyobrażenia, czym jest postęp, bez tego, by różni uprzedzeni pomocnicy rzucali mu kłody pod nogi, musiał jednak wykładać duże sumy i budowa szła opieszale. Kaleb Garth podjął się jej, wkrótce zbankrutował i nim zaczęto prace wykończeniowe, zrzekł się prowadzenia całości; kiedy się mówiło o szpitalu, twierdził, że cokolwiek można powiedzieć o panu Bulstrode, pewne jest, iż zna się na dobrej, solidnej stolarce i murarce i ma pojęcie zarówno o kanalizacji, jak kominach. Istotnie, szpital stał się przedmiotem ogromnego zainteresowania bankiera, który w dalszym ciągu chętnie przekazywałby co roku na ten cel pokaźne sumy, by móc się obywać bez niczyjej rady i rządzić po dyktatorsku, gdyby nie inny bliski jego sercu cel, którego realizacja również wymagała pieniędzy: chciał kupić jakąś ziemię w okolicach Middlemarch; dlatego też pragnął zdobyć poważne subskrypcje na utrzymywanie szpitala. Tymczasem przygotował projekt jego organizacji. Miał to być szpital chorób zakaźnych wszelkiego rodzaju: Lydgate miał zostać jego kierownikiem medycznym; zakładano, iż zostawi mu się wolną rękę w przeprowadzaniu wszelkich badań w celach porównawczych, których wagę poznał na studiach, zwłaszcza paryskich, podczas gdy inni lekarze konsultanci będą mieli głos doradczy bez możliwości przeciwstawienia się ostatecznym decyzjom Lydgate'a; zarząd całości miał spoczywać wyłącznie w rękach pięciu dyrektorów, współdziałających z panem Bulstrode i posiadających ilość głosów w proporcji do swego wkładu finansowego; wszelkie wakanse w zarządzie uzupełniać miał tenże zarząd; nie dopuszczono do udziału w kierowaniu

szpitalem grona drobnych donatorów.

Natychmiast wszyscy lekarze z Middlemarch odmówili współpracy ze szpitalem zakaźnym jako konsultanci.

– Trudno – powiedział Lydgate do pana Bulstrode. – Mamy doskonałego stałego chirurga i aptekarza, człowieka z otwartą głową i zręcznymi rękami, mamy Webba z Crabsley, lekarza ogólnego nie gorszego niż każdy z nich. Będzie przyjeżdżał dwa razy w tygodniu, a w wypadku szczególnej jakiejś operacji Protheroe przyjedzie z Brassing. Ja muszę pracować o tyle więcej i koniec, już zrezygnowałem ze stanowiska w infirmerii. Cały projekt okaże się sukcesem, pomimo ich oporu, wówczas przyjdą z chęcią. Musi się tu wiele zmienić: wkrótce nadejdą reformy różnego rodzaju, wtedy młodzi będą tu chętnie przyjeżdżać na naukę. – Lydgate był pełen energii.

– Ja się nie cofnę, może pan być tego pewien – odparł Bulstrode. – Jak długo będę widział, że realizuje pan śmiało swoje szlachetne zamierzenia, będzie pan miał moje niezachwiane poparcie. Mam też pokorną ufność, że nie zostanie mi cofnięte błogosławieństwo, które dotychczas towarzyszyło mojej walce ze złem duchowym w tym mieście. Nie wątpię, że uda mi się znaleźć odpowiednich dyrektorów, którzy mnie wspomogą. Pan Brooke z Tipton dał mi już swoją zgodę i zobowiązał się do corocznych darowizn; nie wyszczególnił sumy, nie liczę na wysoką. Ale to będzie pożyteczny członek zarządu.

Pożyteczny członek zarządu znaczyło pewno tyle, że nie zacznie występować z własnymi propozycjami, a głosować będzie zawsze tak jak Bulstrode.

Teraz już niechęć lekarzy do Lydgate'a stała się niemal jawna. Ani doktor Sprague, ani doktor Minchin nie twierdzili, że nie podoba im się jego wiedza czy też chęć doskonalenia metod leczenia: nie, oni nie lubili jego arogancji, która była właściwie niezaprzeczalna. Dawali do

zrozumienia, że jest zuchwały, ma o sobie wygórowane mniemanie i foruje te szaleńcze nowości, bo chce robić szum wokół siebie, co jest istotą szarlatanerii.

Słowa „szarlatan” raz puszczonego w ruch, nie można już było cofnąć. W owym czasie całym światem wstrząsnęła wiadomość o niebywałych poczynaniach niejakiego pana St. John Longa^[90] „dżentelmena wysokiego rodu”, który twierdził, że wydobył ze skroni swego pacjenta płyn przypominający rtęć.

Pewnego dnia pan Toller zauważył z uśmiechem, rozmawiając z panią Taft, że „Bulstrode znalazł odpowiedniego człowieka w panu Lydgate; szarlatan religijny musi lubić szarlatanów wszelkiego autoramentu.

– Tak, tak, łatwo mi to zrozumieć – odparła pani Taft, zachowując pilnie w pamięci, że to było trzydzieści oczek. – Tylu tu się takich pokazuje. Pamiętam pana Cheshire z tymi jego drutami, który chciał prostować ludzi, chociaż Wszchemocny stworzył ich krzywych.

– Nie, nie – zaprzeczył pan Toller. – Cheshire to był porządny człowiek, bez zarzutu. Ale jest na przykład taki St. John Long, który zachwala leczenie nikomu nieznanymi sposobami, jegomość, który robi naokoło siebie dużo szumu, udając, że wie więcej niż inni; takiego właśnie nazywamy szarlatanem. Jakiś czas temu udawał, że stuka w ludzki mózg i wydobywa z niego rtęć.

– Wielkie nieba! Jak można tak strasznie igrać z ludzkim organizmem! – zawołała pani Taft.

Po tej rozmowie zaczęto tu i ówdzie opowiadać, że Lydgate dla własnych celów igra nawet z szacownymi organizmami i jest wysoce prawdopodobne, iż przez te jego szalone pomysły z eksperymentowaniem zacznie się z pacjentami szpitalnymi Sodoma i Gomora. Przede wszystkim

[90] St. John Long (1798-1834), szarlatan, skazany za zabójstwo po śmierci dwóch jego pacjentów.

można się spodziewać, jak twierdziła oberżystka spod „Kufla”, że będzie bez opamiętania krajał zwłoki. Lydgate bowiem po śmierci swej pacjentki, pani Goby, która zmarła zapewne na serce, ale symptomy choroby nie były jednoznaczne, ośmielił się zwrócić do rodziny o pozwolenie otworzenia ciała, co stanowiło obrażę, o jakiej głośno było hen, poza Parley Street, ulicą, przy której nieboszcza długo rezydowała, żyjąc na takiej stopie, że skojarzenie jej ciała z ofiarami Burke’a i Hare’a stanowiło ciężki despekt dla jej pamięci.

Na tym etapie znajdowały się sprawy, kiedy Lydgate przedstawił Dorotei problem szpitala. Jak widzieliśmy, bardzo dzielnie znosił wrogość i głupie insynuacje, świadom, że zawdzięcza je po części swoim niemałym sukcesom.

– Oni mnie nie odstraszą – zwierzał się pastorowi Farebrotherowi w jego pracowni. – Nadarzyła mi się tu sposobność realizacji celów, które mają dla mnie pierwszorzędą wagę. Jestem też zupełnie pewny, że zdobędziemy dość pieniędzy na potrzeby szpitala. Tymczasem będę się starał nie robić wokół siebie zamieszania; nic mnie już teraz nie ciągnie oprócz domu i pracy. I jestem coraz mocniej przekonany, że dowód na homogeniczne pochodzenie wszystkich tkanek okaże się możliwy. Raspail^[91] i inni są na tym samym tropie, a ja tracę czas!

– Nie mogę w tej sprawie prorokować – pastor Farebrother pykał w zamyśleniu fajkę, gdy Lydgate mówił – ale jeśli idzie o wrogość w mieście, przetrzyma ją pan, jeśli będzie postępował rozważnie.

– Jakże ja mam być rozważny? – spytał Lydgate. – Robię, co jest do zrobienia, i co zrobić muszę. Nic nie poradzę na ludzką głupotę i zawiść, podobnie jak Wesaliusz był wobec głupoty bezradny. Przecież nie mogę uzależniać mojego postępowania od niemądrych ludzkich wniosków, w dodatku nie do przewidzenia.

[91] François Vincent Raspail (1794-1878), francuski polityk i naturalista.

– Całkiem słusznie. Nie o to mi szło. Szło mi o dwie rzeczy. Pierwsza to: niech pan się trzyma jak najdalej od Bulstrode’a. Może pan, rzecz jasna, robić z jego pomocą własną dobrą robotę, ale niechże się pan z nim nie wiąże. To pewno brzmi jak moje bardzo osobiste przekonanie i przyznaję, że tak jest, w dużej mierze, ale osobiste przekonania nie zawsze są mylne, jeśli po odparowaniu zostaje z nich wrażenie, które tworzy sąd.

– Bulstrode jest dla mnie niczym – odparł lekko Lydgate – poza terenem publicznym. Jeśli idzie o bliskie z nim związki, to nie jest mi na tyle sympatyczny, bym ich pragnął. Ale co było to drugie? – pytał, głaszcząc kolano z miną wcale nieświadczącą o tym, że pragnie czyjejś rady.

– Po prostu to: niech pan uważa – *experto crede* – by sobie nie wiązać rąk problemami finansowymi. Wiem ze słów, które się kiedyś panu wymknęły, że nie podoba się panu, iż gram w karty o pieniądze. Ma pan całkowitą słuszność. Ale niech pan uważa, by nie znaleźć się w sytuacji, kiedy będzie panu brakować drobnych, a niezbędnych sum. Może mówię zbyt wiele, ale człowiek lubi się wywyższać we własnych oczach i wygłaszać kazania, stawiając własną osobę za zły przykład.

Lydgate przyjął serdecznie uwagi pastora, choć pewno nie ścierpiałby ich od kogoś innego. Musiał sobie przypomnieć, że ostatnio zaciągnął był trochę długów, ale wydawały się nieuniknione, teraz zaś nie pragnął niczego więcej, jak tylko utrzymać dom na zwykłej stopie. Meble, za które winien był pieniądze, nie będą wymagać odnawiania, tak jak przez dłuższy jeszcze czas zapas wina.

Wiele myśli krzepiło go w owym czasie – i słusznie. Mężczyzna świadom swego szlachetnego zapału w dążeniu do szlachetnych celów podtrzymywany jest na duchu – w obliczu małodusznej wrogości – pamięcią o tych wielkich twórcach, którzy musieli toczyć walki, nieraz odnosząc rany, i którzy teraz, jak święci patroni, mieszkają w jego

myślach, udzielając mu niewidzialnej pomocy. Tego samego wieczoru, po rozmowie z pastorem Farebrotherem, wyciągnął w domu długie nogi na sofie, głowę odrzucił do tyłu, ręce splótł na karku w swojej ulubionej zamyślanej pozycji, a Rozamunda siadła przy pianinie i grała melodię za melodią, z których jej mąż tyle tylko rozumiał, jak przystało na takiego jak on emocjonalnego słonia, że są zgodne z jego nastrojem, jak melodyjne poddmuchy wiatru od morza.

Było coś wspaniałego w wyglądzie Lydgate'a w tym akurat momencie – każdy, kto by na niego patrzył, miałby ochotę stawiać na jego zwycięstwo. W ciemnych oczach, w ustach i na czole malował się spokój, który daje pełnia skupionej myśli – umysł, który nie poszukuje, ale postrzega, i wzrok nasycony dalekim obrazem.

Po chwili Rozamunda wstała od pianina i usiadła na krześle tuż przy sofie, twarzą w twarz z mężem.

– Czy ci już wystarczy muzyki, mój panie? – spytała, składając ręce i robiąc potulną minkę.

– Tak, kochanie, jeśli się zmęczyłaś – odparł Lydgate łagodnie, zwracając ku niej spojrzenie, lecz nie zmieniając pozycji. Obecność Rozamundy w tej chwili stanowiła tyle, co łyżka wody przyniesiona do jeziora, a kobiecy instynkt młodej małżonki był wyczulony.

– Co cię tak zaprzęta? – spytała, pochylając się nad nim i zbliżając twarz do jego twarzy.

Wyciągnął ręce i położył je łagodnie na jej plecach.

– Myślę o pewnym wielkim człowieku, który miał mniej więcej tyle lat co ja, trzysta lat temu, i który już wtedy otworzył nową epokę w anatomii.

– Nie zgadnę – potrząsnęła głową Rozamunda. – Bawiliśmy się u pani Lemon w zgadywanie postaci historycznych, ale nie anatomów.

– Powiem ci. Nazywał się Wesaliusz. A poznał anatomię ludzką w

jedyny dostępny mu sposób: wykradał ciała z grobów i z miejsc egzekucji, nocami.

– Och! – Na ładnej buzi Rozamundy odmalował się wyraz obrzydzenia. – Jak to dobrze, że nie jesteś Wesaliuszem. Moim zdaniem mógłby znaleźć jakiś inny sposób, nie taki straszny.

– Nie, nie mógł. – Lydgate był zbyt poważny, by przejąć się jej odpowiedzią. – Mógł zdobyć kompletny szkielet tylko wtedy, kiedy zdołał wykraść bielejące kości przestępcy z szafotu, zakopać je i potem przenieść kawałek po kawałku w nocnych ciemnościach.

– Mam nadzieję, że to nie jest jeden z twoich wielkich bohaterów – w głosie Rozamundy było trochę żartobliwości, a trochę niepokoju – bo inaczej zaczniesz mi wstawać w nocy i chodzić na cmentarz świętego Piotra. Sam mi mówiłeś, jak ludzie się oburzali, gdy szło o panią Goby. Masz już dzisiaj nieprzyjaciół.

– Wesaliusz też ich miał, Rozo. Nic dziwnego, że ci nudni, starzy lekarze z Middlemarch są tacy zawistni, jeśli niektórzy z największych ówczesnych medyków zawzięcie oponowali przeciwko Wesaliuszowi, bo wierzyli w Galena, a on dowiódł, że Galen się mylił. Nazywali go kłamcą, potworem, trucicielem. Ale prawda o ludzkim ciele była po jego stronie i dlatego to on zwyciężył.

– I co się z nim później stało? – zapytała z pewnym zainteresowaniem Rozamunda.

– Och, musiał długo walczyć, do samego końca. Doprowadzili go w pewnym momencie do tego, że spalił dużą część swoich prac. Potem, kiedy płynął z Jerozolimy, by objąć znakomitą katedrę w Padwie, statek się rozbił. Umarł dość marnie.

Nastąpiła chwila milczenia, po której Rozamunda powiedziała:

– Wiesz, Tertius, czasem myślę, że wolałabym, żebyś nie był został lekarzem.

– Och nie, Rozo, nie mów tego! – Przyciągnął ją bliżej do siebie. – To tak, jakbyś mówiła, że wolałabyś wyjść za mąż za kogoś innego.

– Wcale nie. Jesteś tak mądry, że mógłbyś robić wszystko: mógłbyś być łatwo kimś innym. A wszyscy twoi kuzyni w Quillingham myślą, żeś wybierając taki zawód, zdeklasował się.

– Moi kuzyni z Quillingham mogą sobie iść do diabła – powiedział pogardliwie. – Cóż za bezczelność, żeby ci mówić coś podobnego!

– Mimo wszystko – ciągnęła Rozamunda – nie uważam, żeby to był *miły* zawód. – Wiemy, że potrafiła trwać przy swoim zdaniu ze spokojnym uporem.

– To najwspanialszy zawód na świecie, Rozamundo! – powiedział z powagą Lydgate. – A twierdzić, że mnie kochasz, nie kochając we mnie lekarza, to to samo, co twierdzić, że lubisz jeść brzoskwinie, ale nie lubisz jej smaku. Nigdy tak więcej nie mów, kochanie. To mnie boli.

– Dobrze, mój ty panie doktorze Poważnego Oblicza – Rozamunda ukazała swoje dołeczki. – W przyszłości będę opowiadać, że uwielbiam szkielety i złodziei trupów, i różne paskudztwa w probówkach, i kłótnie z wszystkimi, które doprowadzą do tego, że marnie skończysz.

– Nie będzie aż tak źle – odparł Lydgate, dając spokój wymówkom i pieszcząc ją z rezygnacją.

ROZDZIAŁ XLVI

Pues no podemos haber aquello que queremos,
queramos aquello que podremos[92].

Vak Gdy Lydgate, już po ślubie i objęciu kierownictwa nowego szpitala, walczył z Middlemarch o reformę medyczną – miasteczko zaczynało coraz wyraźniej zdawać sobie sprawę z toczącej się narodowej walki o inną reformę. W czasie debaty w Izbie Gmin nad posunięciem lorda Johna Russella^[93] w Middlemarch rosło ożywienie polityczne i stronnictwa określały się na nowo, co mogło zdecydowanie zmienić układ sił, gdyby doszło do nowych wyborów. Byli tacy, którzy je już przepowiadali, twierdząc, że w obecnym Parlamencie ustawa o reformie nigdy nie zostanie przeprowadzona. Na takim przekonaniu opierał się Will Ladislaw, gratulując panu Brooke, że powstrzymywał się dotychczas od próbowania swoich sił na platformie wyborczej.

– Wszystko będzie rosło i dojrzewało, jak w roku komety – tłumaczył Will. – Teraz, kiedy problem reformy już stanął, nastroje społeczne zaczną się podnosić do temperatury wrzenia. Zapewne wkrótce zostaną ogłoszone nowe wybory, a do tego czasu w Middlemarch zaczną się rodzić różne pomysły. Teraz trzeba się zabrać do pracy nad *Pionierem* i mityngami politycznymi.

– Bardzo słusznie; odmienimy z gruntu tutejszą opinię publiczną – powiedział pan Brooke. – Chciałbym tylko, rzecz jasna, zachować niezależność, jeśli idzie o reformę; nie chcę się posuwać za daleko. Chcę

[92] Gdy się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma (hiszp.).

[93] Mowa tu o przedstawionym w marcu 1831 r. projekcie reformy wyborczej. Parlament został rozwiązany w kwietniu 1831 r.

przyjąć linię Wilberforce'a i Romilly'ego, ma się rozumieć, i pracować nad wyzwoleniem Murzynów, prawem karnym i takimi tam. Ale, rzecz jasna, powinienem popierać Greya.

– Jeśli pan popiera istotę reformy, musi pan być gotów akceptować to, co sytuacja przyniesie – tłumaczył Will. – Jeśli każdy będzie ciągnął w swoją stronę, z całej sprawy zostaną tylko strzępy.

– Tak, zgadzam się z panem w zupełności, akceptuję ten punkt widzenia. Powinienem to przedstawiać w tym świetle. Powinienem popierać Greya, rzecz jasna. Ale nie chcę naruszać konstytucyjnej równowagi i nie sądzę, żeby Grey tego chciał.

– Ale tego chce kraj – powiedział Will. – Inaczej wszystkie unie polityczne^[94] i inne porozumienia, w których wiadomo, o co chodzi, nie miałyby znaczenia. Kraj chce, żeby w Izbie Gmin nie przeważali nominaci klasy ziemiańskiej, lecz przedstawiciele innych grup interesów. A walka o reformę bez tego, to jak proszenie o kawałeczek lawiny, która właśnie zaczyna schodzić.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze, tak to należy przedstawić. Proszę, niech pan to zapisze. Musimy zacząć gromadzić dokumenty o nastrojach w kraju, no i oczywiście o niszczeniu maszyn i powszechnej biedzie.

– Jeśli idzie o dokumenty, to wystarczy miejsca na dwucalowej kartce. Kilka rzędów liczb to dość, by z nich wyciągnąć wniosek o biedzie, a kilka następnych wykaże, w jakim tempie rośnie polityczna determinacja społeczna.

– Doskonale. Jeszcze to tylko trochę rozszerzyć. A zresztą, mam pomysł! Napisz to pan w *Pionierze*. Wstaw pan liczby i wyciągnij, ma się rozumieć, wniosek o biedzie; i wstaw pan inne liczby i wyciągnij wniosek,

[94] Unie polityczne – związki na rzecz reformy wyborczej, nie zawsze zgodne z wytycznymi partii politycznych, powstające od początku lat trzydziestych XIX wieku.

i tak dalej. Umie pan przedstawiać różne wnioski. Burke^[95], na przykład. Kiedy o nim myślę, zaraz bym chciał, żeby ktoś miał kieszonkowy okręg wyborczy i żeby go panu dał. Bo z wyboru to pan do Parlamentu nie wejdzie. A nam zawsze będą potrzebne talenty w Izbie. Choćbyśmy się nie wiem jak reformowali, talenty zawsze będą nam potrzebne. To o tej lawinie, co już schodzi, naprawdę trochę przypominało Burke'a. Bardzo mi takich rzeczy potrzeba, nie pomysłów, ma się rozumieć, ale sposobu ich przedstawienia.

– Kieszonkowe okręgi byłyby rzeczą znakomitą – powiedział Ladislaw – gdyby się znajdowały zawsze we właściwej kieszeni i gdyby zawsze był pod ręką jakiś Burke.

Pochlebne porównanie, choć wyszło z ust pana Brooke, nie sprawiło Willowi przykrości; naprawdę trudno wytrzymać, gdy człowiek wie, że umie się wypowiedzieć lepiej niż inni, a nikt tego nie zauważa; przy ogólnym niedostatku podziwu dla rzeczy podziwu godnych nawet przypadkowy ośli ryk pochwalny, jaki rozlegnie się we właściwym momencie, może dodać sił. Will uważał, że jego kunszt literacki przewyższa możliwości percepcji mieszkańców Middlemarch, a mimo to zaczynał prawdziwie lubić pracę, którą z początku podejmował, mówiąc sobie od niechcienia „czemu nie?”; analizował teraz sytuację polityczną z równie gorącym zainteresowaniem, z jakim analizował stopy wierszowe czy mediewistykę. To prawda, że gdyby nie pragnienie, by się znajdować tam, gdzie Dorotea, i może gdyby nie to, że nie bardzo wiedział, co mógłby robić innego, nie zastanawiałby się teraz nad potrzebami ludu angielskiego i nie krytykował posunięć angielskich mężów stanu; prawdopodobnie włóczyłby się po Włoszech, szkicując w wyobraźni projekty jakichś

[95] Edmund Burke (1729-1797) - członek stronnictwa wigów, słynny polityk, który wszedł do Parlamentu jako reprezentant kieszonkowego okręgu wyborczego.

dramatów, próbowałby prozy i dochodził do wniosku, że jest nudna, próbowałby poezji i dochodził do wniosku, że jest zbyt sztuczna, brał się za kopiowanie „kawałków” starych obrazów, porzucałby je, ponieważ okazałyby się „do niczego”, i stwierdzał, że jednak najważniejsza sprawa to własna kultura, w polityce zaś sympatyzowałby gorąco z wolnością i postępem w ogólności. Nasze poczucie obowiązku musi się czasem doczekać momentu, kiedy pojawi się jakaś określona „robota”, która zajmie miejsce amatorszczyzny i sprawi, że jakość naszych poczynań nie będzie dla nas sprawą obojętną.

Ladislaw zaakceptował już swoją robotę, chociaż nie było to owo wzniosłe a nieokreślone „coś”, o czym niegdyś śnił jako o jedynym celu godnym trwałych wysiłków. Łatwo się zapalał do spraw, mających bezpośredni związek z życiem i działaniem, a jego skłonna do buntu natura podsycala w nim płomień ducha obywatelskiego. Pomimo niechęci pana Casaubona i banicji z Lowick czuł się całkiem szczęśliwy: zdobywał w żywy sposób wiele nowych wiadomości, służących praktycznym celom, i sprawiał, że *Pionier* zyskiwał sławę sięgającą aż po Brassing (cóż, że to niedaleko, ale artykuły nie były gorsze od większości tych, które rozchodzą się na cztery strony świata).

Pan Brooke bywał niekiedy denerwujący, lecz Will mitygował zniecierpliwienie, dzieląc czas między wizyty w Tipton a ucieczkę do swego mieszkania w Middlemarch, co urozmaicało egzystencję.

„Kilka drobnych przesunięć – mówił sobie – i pan Brooke mógłby się znaleźć w rządzie, a ja zostałbym podsekretarzem stanu. Taka jest zwykła kolej rzeczy: drobne fale wywołują większe, wedle tego samego wzoru. Lepsze mi takie życie niż to, do jakiego chciałby mnie przysposobić pan Casaubon, gdzie wszystko wyznaczałyby jakieś precedensy, zbyt bezduszne, by mogły mi odpowiadać. Nie dbam o prestiż ani o wysokie apanaże”.

Istotnie, tak jak mówił Lydgate, było w nim coś z Cygana, smakującego poczucie, że nie przynależy do żadnej klasy; w swojej pozycji widział pewien romantyzm i był mile przeświadczony, że gdziekolwiek się zjawi – sprawia małą niespodziankę. Lecz to zadowolenie przygasło, kiedy Will uświadomił sobie podczas przypadkowego spotkania u Lydgate'ów, że między nim a Doroteą powstał jakiś dystans. Cały jego gniew obrócił się przeciwko panu Casaubonowi, który zapowiadał przecież, że jego kuzyn się zdeklasuje. „Nigdy nie należałem do żadnej klasy” – powiedziała, gdyby ta uwaga została rzucona w jego obecności, a gorąca krew uderzyłaby i odpłynęła falą pod jego cienką skórą. Ale lubić wyzwanie to jedno, a lubić jego skutki, to drugie.

A tymczasem opinia Middlemarch o nowym wydawcy *Pioniera* skłaniała się raczej ku poglądom pana Casaubona. Pokrewieństwo z człowiekiem z wysokich sfer, odmiennie niż u Lydgate'a, nie okazało się dla Willa dobrym wprowadzeniem; jeśli pogłoska mówiła, że młody Ladisław jest siostrzeńcem czy kuzynem pana Casaubona, mówiła również, iż „pan Casaubon nie chce z nim mieć nic wspólnego”.

– Brooke go wziął – powiadał pan Hawley – ponieważ nikomu przy zdrowych zmysłach nie przyszłoby to do głowy. Casaubon musiał mieć nie byle jakie powody, żeby się zniechęcić do młodego człowieka, na którego edukację łożył. To cały Brooke, od gęsi będzie owies kupował.

Pewne dziwactwa Willa, mniej czy bardziej poetyckie, zdawały się potwierdzać zapewnienia pana Kecka, wydawcy *Trąbki*, że Ladisław w rzeczywistości nie tylko jest polskim agentem, ale w ogóle brak mu piątej kleпки, co tłumaczy jego nadnaturalną łatwość i szybkość przemawiania, gdy się znajdzie na mównicy – co było prawdą: gdy tylko nadarzyła się sposobność, przemawiał z łatwością, która przynosiła ujmę wszystkim statecznym Anglikom. Wydawało się Keckowi odrażające, by jakiś młokos z głową w jasnych kędziorach wstawał i przez godzinę wypowiadał się

przeciwko instytucjom, „które istniały, kiedy on był w kołysce”. I we wstępnym artykule w *Trąbce* Keck scharakteryzował mowę Ladislawa na zebraniu w sprawie reformy jako „gwałtowność fiksata, nędzne starania, by pod blichtrem fajerwerków ukryć śmiałość nieodpowiedzialnych wypowiedzi i niedostatek wiedzy, najtańszego i najpłytszego rodzaju”.

– Ostry był ten wczorajszy artykuł, panie Keck – powiedział doktor Sprague, chcąc być ironiczny. – Ale co to jest fiksat?...

– Och, to jest termin z czasów rewolucji francuskiej – odparł pan Keck.

Ta niebezpieczna cecha Ladislawa dziwnie kontrastowała z innymi jego przyzwyczajeniami, które również zwracały uwagę. Ukazywał wielką sympatię, płynącą zarówno z upodobań malarskich, jak z dobroci serca, małym dzieciom – im mniejsze były na jako tako ruchliwych nóżkach, im śmieszniej odziane, tym bardziej lubił sprawiać im niespodzianki i przyjemności. Wiemy, że w Rzymie chętnie się włóczył wśród biedoty, a to upodobanie pozostało mu i w Middlemarch.

Zebrał skądś gromadkę zabawnych malców, chłopczków z gołymi głowinami, w wytartych spodenkach i przykrótkich koszulinach, oraz małych dziewczetek, które by na niego spojrzeć, musiały otrząsnąć włosy z oczu, a którym to dziewczuszkom towarzyszyli w roli opiekunów bracia w dojrzałym wieku lat siedmiu. Prowadzał tę gromadkę na cygańskie wędrówki do lasu Halsell w czasie, gdy dojrzewały orzechy, a kiedyś w chłodniejszej porze i w pogodny dzień zebrał z nimi chrust, rozpałił ognisko we wgłębieniu górskiego zbocza i zrobił im wielką ucztę z pierników, po czym urządził zaimprovizowane przedstawienie o Puchu i Judy, używając kukiełek, które zmajstrował w domu. Oto jedna jego osobliwość. Drugą był zwyczaj wyciągania się jak długi na dywaniku przed kominkiem w zaprzyjaźnionych domach i prowadzenia rozmów w tej pozycji; przypadkowo przybyli goście dopatrywali się w tej

nieobyczajności potwierdzenia pogłosek o niebezpiecznej domieszce w jego krwi oraz ogólnej rozwiąłości.

Artykuły i przemówienia Willa rekomendowały go, rzecz jasna, w rodzinach, które wskutek zaostrzenia się podziału stronnictw znalazły się po stronie reformy. Zaproszony został do państwa Bulstrode, tu jednak nie mógł się wyciągnąć na dywaniku, pani Bulstrode zaś odniosła wrażenie, że jego sposób wypowiedzania się o krajach katolickich, tak jakby zawarto już rozejm z antychrysem, jest przykładem typowego dla intelektualistów braku zdrowych zasad.

W domu pastora Farebrothera, który jak na ironię, znalazł się po tej samej co pan Bulstrode stronie podczas tego narodowego poruszenia, Will stał się ulubieńcem dam, zwłaszcza malutkiej panny Noble, którą – jeszcze jedna jego osobliwość – zwykł był eskortować, gdy tylko spotkał ją z koszyczkiem na ulicy: podawał jej na oczach całego miasta ramię i prosił, by pozwoliła mu sobie towarzyszyć, gdy rozdawała słodycze, które ściągnęła ukradkiem z własnej porcji słodkości.

Ale domem, który najczęściej odwiedzał i w którym wielokrotnie wylegiwał się przed kominkiem, był dom Lydgate'ów. Niemal żadne podobieństwa nie łączyły tych dwóch mężczyzn, a mimo to się zgodzali. Lydgate był człowiekiem obcesowym, lecz nieskorym do gniewu, niezwracającym zbyt wiele uwagi na fanaberie ludzi zdrowych, Ladislaw zaś nie marnował swojej drażliwości w stosunku do tych, którzy jej nie dostrzegali. Jeśli jednak idzie o Rozamundę – bywał kwaśny i kapryśny, a nawet niesympatyczny ku jej ogromnemu cichemu zaskoczeniu: mimo to powoli stawał się jej niezbędnym jako miły towarzysz w muzykowaniu, człowiek, który potrafi rozmawiać na wiele tematów i nie ma żadnych poważnych zajęć; właśnie te poważne zajęcia sprawiały, że mimo męzowskiej czułości i pobłażliwości często była nierada z jego zachowania i czuła coraz większą niechęć do zawodu lekarza.

Lydgate, który skłonny był wyrażać się sarkastycznie o przesądnej ludzkiej wierze w skuteczność „ustawy”, podczas gdy nikogo nie obchodzi niski stan patologii, często zasypywał Willa kłopotliwymi pytaniami. Pewnego marcowego wieczoru Rozamunda, ubrana w wiśniową suknię obszytą puchem łabędzim wokół szyi, siedziała przy stoliku z zastawą do herbaty; Lydgate, który przyszedł późno, zmęczony po pracy, siedział bokiem w fotelu przy kominku, jedną nogę przerzuciwszy przez oparcie; czoło miał nieco zafrasowane, gdy wędrował wzrokiem po kolumnach *Pioniera*, a Rozamunda, zauważywszy, że mąż jest rozdrażniony, starała się nie patrzeć w jego kierunku i wieszowała sobie w duchu, że sama nie ma tak zmiennego usposobienia. Will Ladisław leżał wyciągnięty na dywaniku, kontemplując bezmyślnie lambrekin i nucąc cichutko melodię „Gdym pierwszy raz zobaczył twoją twarz”, podczas gdy domowy spaniel, również wyciągnięty na podłodze, lecz pozbawiony możliwości wyboru, zerkał spomiędzy łap na uzurpatora dywanika z milczącym, lecz wyraźnym wyrzutem.

Kiedy Rozamunda podała mężowi filiżankę herbaty, ten rzucił gazetę i zwrócił się do Willa, który właśnie się podniósł i podeszedł do stolika:

– Nic nie przyjdzie z tego, że będzie pan reklamował Brooke’a jako ziemianina reformatora. *Trąbka* wytknie mu tylko jeszcze więcej dziur w tym, co mówi.

– Nic nie szkodzi: ci, co czytają *Pioniera*, nie czytają *Trąbki* – Will łykał herbatę i spacerował po pokoju. – Czy pan sądzi, że publiczność czyta po to, aby się nawrócić? Musielibyśmy spoić wszystkich jakąś uwarzoną przez czarownice konkocją z nienawiści – wtedy nikt by nie potrafił przewidzieć, po której stronie się opowie.

– Farebrother powiada, że nie wierzy, by wybrano Brooke’a, gdy przyjdzie co do czego: ci sami ludzie, którzy go zapewniają o swoim poparciu, wyciągną w odpowiedniej chwili innego kandydata z wora.

– Nic nie szkodzi spróbować. Dobrze mieć stałego mieszkańca jako posła.

– Czemu? – spytał Lydgate, który bardzo lubił wypowiadać to niewygodne słowo lakonicznym tonem.

– Lepiej reprezentuje miejscową głupotę – odparł Will, śmiejąc się i potrząsając kędzierzawą czupryną – i musi się tu, na miejscu, zachowywać przyzwoicie. Brooke nie jest złym człowiekiem, ale gdyby nie te parlamentarne pokusy, nigdy nie zrobiłby w swojej posiadłości tyle dobrego, ile zrobił.

– On się nie nadaje na działacza politycznego – stwierdził Lydgate wzgardliwym i zdecydowanym tonem. – Zawiedzie wszystkich, którzy będą na niego liczyli: widzę to już po szpitalu. Tyle że tam kieruje nim Bulstrode, który całość trzyma w garści.

– To zależy od tego, jak pan sobie wyobraża działacza politycznego – odparł Will. – Brooke całkowicie spełnia zapotrzebowanie; kiedy ludzie na coś się decydują, a właśnie teraz się decydują, to wcale nie potrzebują człowieka, tylko możliwości głosowania.

– Tak to jest z wami, publicystami politycznymi; zachwalacie jakiś lek, jakby to było panaceum, i zachwalacie ludzi, wywołujących tę akurat chorobę, która wymaga leczenia.

– A czemu by nie? Ludzie mogą być pomocni w zmieceniu własnej choroby z powierzchni tego świata, wcale o tym nie wiedząc – powiedział Will, który potrafił zawsze wytrząsnąć odpowiedź z rękawa, choć się nad nią uprzednio nie zastanawiał.

– To nie usprawiedliwia rozbudzania przesadnych i zabobonnych nadziei co do tego akurat leku, doprowadzania do tego, by ludzie go akceptowali, wybierając półgłówków do głosowania, niezdolnych do niczego innego. Występujecie przeciwko zgniliznie, a cóż jest większą zgnilizną niż wmawianie ludziom, że społeczeństwo można wyleczyć

jakimiś magicznymi sztuczkami?

– Wszystko to piękne, drogi panie, ale kuracja musi się od czegoś zacząć, a przecież wiadomo, że tysiączne przyczyny degradacji ludności naszego kraju, nie zostaną usunięte, jeśli nie rozpoczniemy od tej konkretnej reformy. Niech pan pomyśli o tym, co Stanley^[96] powiedział przed kilkoma dniami: że Izba dostatecznie już długo zajmowała się drobnymi problemami przekupstwa, sprawdzając, czy ten lub ów głosujący miał czy nie miał gwinei, podczas gdy powszechnie wiadomo, że fotele sprzedawane były hurtem. Czekać na mądrość i sumienie działaczy publicznych? Bzdura! Jedyne sumienie, któremu należy ufać, to ogromne poczucie krzywdy określonej klasy ludzi, a największa mądrość, z której może coś wyniknąć, to mądrość kompensacyjnych żądań. Moje pytanie brzmi: która ze stron jest pokrzywdzona? Popieram tego, co popiera żądania pokrzywdzonych, a nie cnotliwego poplecznika krzywdy.

– Takie ogólne gadanie, kiedy idzie o konkretny przypadek, to przesądzanie sprawy bez przeprowadzenia dowodu. Kiedy mówię, że przepisuję leczniczą dawkę, to nie wynika z tego, że przepisuję dawkę opium w konkretnym przypadku podagry.

– Ja nie przesądzam sprawy, o której mówimy, nie wiem, czy powinniśmy w nieskończoność szukać, póki nie znajdziemy nieskazitelnych ludzi do współpracy. Ale czy pan by tego chciał? Gdyby istniał jeden człowiek, zdolny przeforsować pańską reformę medyczną, i drugi, który by się jej przeciwstawiał, czy pan dociekałby, który ma lepsze intencje, albo nawet, który z nich ma lepiej w głowie?

– Och, to jasne – Lydgate zdał sobie sprawę, że został pobity własną bronią. – Gdyby się nie współpracowało z każdym, kto się nawinie pod rękę, wszystko musiałyby stanąć w martwym punkcie. Gdyby nawet

[96] Edward Stanley, hrabia Derby (1700-1869), sekretarz do spraw Irlandii, późniejszy premier.

najgorsza opinia, jaka krąży po mieście o panu Bulstrode okazała się prawdziwa, byłoby nie mniej prawdziwe, że ma na tyle rozumu i stanowczości, by zrobić to, co moim zdaniem powinno być zrobione w sprawach, które znam i które są dla mnie najważniejsze. Ale to jest jedyny teren, na którym idę z nim ręką w rękę – dodał Lydgate z pewną dumą, mając w pamięci uwagi pastora Farebrothera. – Poza tym jest dla mnie nikim; nie popierałbym go z jakichkolwiek względów osobistych, nie miałbym z tym nic wspólnego.

– Czy chce pan powiedzieć, że ja popieram Brooke’a z jakichś względów osobistych? – Will obrócił się gwałtownie, ukłuty do żywego. Po raz pierwszy poczuł się obrażony słowami Lydgate’a; a na pewno tym bardziej go zaboląły, że nie chciałby, aby ktokolwiek wnikał w powody jego zbliżenia z panem Brooke.

– Nic podobnego – odparł Lydgate. – Wyjaśniałem po prostu motywy swego postępowania. Chciałem powiedzieć, że dla osiągnięcia jakiegoś szczególnego celu człowiek może pracować z ludźmi, których intencje i postępowanie są dwuznaczne, jeśli jest całkiem pewny swojej osobistej niezależności oraz jeśli nie pracuje dla własnej korzyści: pozycji czy pieniędzy.

– Wobec tego czemu pan nie rozciąga swojej tolerancji na innych? – Will był wciąż jeszcze urażony. – Moja osobista niezależność jest dla mnie równie ważna, jak pańska dla pana. Ma pan nie większe podstawy do przypuszczania, że wiązę jakieś osobiste rachuby z panem Brooke, niż ja – że pan wiąże jakieś osobiste rachuby z Bulstrode’em. Motywy to sprawa honoru – nie można ich udowadniać. Ale jeśli idzie o pieniądze i pozycję – zakończył Will, podrzucając głową – sędzę, że jasno widać, iż nie kierują mną tego rodzaju względy.

– Pan mnie zupełnie opacznie zrozumiał – zdumiał się Lydgate. Był tak pochłonięty usprawiedliwianiem siebie, że nie widział, iż Ladislaw może

jego słowa odnieść do własnej osoby. – Przepraszam, żem pana niechcący zirytował. W gruncie rzeczy przypisałbym panu raczej romantyczne lekceważenie własnych, ziemskich interesów. W sprawach politycznych miałem na myśli jedynie intelektualną stronę problemu.

– Jacy obaj jesteście dziś niemili – skarżyła się Rozamunda. – Nie mogę pojąć, skąd jeszcze pieniądze w tej rozmowie. Polityka i medycyna są wystarczająco nieprzyjemne jako powody do kłótni. Potraficie się obaj kłócić o te dwie rzeczy z całym światem i ze sobą nawzajem.

Rozamunda wypowiedziała te słowa z miną łagodnie neutralną, po czym wstała, by zadzwonić, i podeszła do swojego stoliczka do robótek.

– Biedna Roza – Lydgate wyciągnął do niej rękę, gdy go mijała. – Cherubiny nie lubią dysput. Może zagrasz trochę? Poproś naszego gościa, niech z tobą zaśpiewa.

Po wyjściu Willa Rozamunda zwróciła się do męża:

– Co cię dzisiaj wyprowadziło z równowagi, Tertius?

– Mnie? To Ladislaw był zdenerwowany. On jest jak kawałek hubki.

– Ale przedtem. Coś cię wyprowadziło z równowagi, nim wróciłeś do domu. Byłeś zły. I dlatego zacząłeś tę dyskusję z panem Ladislawem. Sprawiasz mi ogromną przykrość, kiedy jesteś taki, Tertius.

– Naprawdę? To znaczy, że brutal ze mnie – Lydgate pieścił ją skruszony.

– Co cię zirytowało?

– Och, różne sprawy na mieście. Interesy.

W istocie był to list z żądaniem zapłacenia rachunku za meble. Ale Rozamunda spodziewała się dziecka i Lydgate chciał jej oszczędzić wszelkich niepokojów.

ROZDZIAŁ XLVII

Nie darmo kochasz bez wzajemności,
Wszak jest nagroda w samej miłości;
O zgodę nigdy miłość nie pyta,
Lecz jak przydrożny kwiatek rozkwita.

Rady nie słucha i rośnie rada,
Kędy wiatr wieje, kędy deszcz pada,
Wysoko rośnie, głęboko sięga,
Ziemi i nieba jest w niej potęga.

Była sobota, kiedy Will Ladislaw miał ową drobną utarczkę słowną z Lydgate'em. Skutek jej był taki, że kiedy wrócił do swoich pokoi, przesiedział pół nocy i poirytowany przemyślał znów to wszystko, co przemyślał był już dawniej o swoim zamieszkaniu w Middlemarch i wprężnięciu się w sprawy pana Brooke. Wątpliwości, jakie miał, nim jeszcze uczynił ten krok, zmieniły się potem w uczulenie na każdą uwagę kwestionującą zasadność jego decyzji; stąd wściekłość na Lydgate'a – wybuch, po którym wciąż nie mógł się uspokoić. Czyżby robił z siebie idiotę? I to wtedy, gdy bardziej niż kiedykolwiek był świadom tego, że nie jest idiotą? I w jakim celu?

No cóż, w żadnym określonym celu. Oczywiście, roily mu się jakieś nieokreślone nadzieje: każda ludzka istota żywiąca jakieś namiętności i snująca jakieś myśli zawsze ma umysł podporządkowany owym namiętnościom – w myślach jej powstają obrazy, które albo łagodzą namiętność nadzieją, albo żądł ją obawą. Ale to, co się z nami wszystkimi

dzieje, dzieje się w bardzo różny sposób, Will zaś nie należał do tych, których rozum „trzyma się bitego gościńca”: on miał swoje boczne ścieżki, gdzie wynajdywał sobie własne, drobne radości, takie, jakie dżentelmenowi galopującemu gościńcem wydawałyby się raczej idiotyczne. Przykładem może być to, że ze swojego uczucia dla Dorotei stworzył sobie rodzaj szczęścia. Może się wydać dziwne, jest jednak faktem, że pospolite, trywialne marzenie, o jakie podejrzewał go pan Casaubon, mianowicie, że Dorotea mogłaby zostać wdową, a zainteresowanie, jakie zaszczepił w jej umyśle, mogłoby w końcu sprawić, iż zgodziłaby się wyjść za niego za mąż – nigdy nie miało dla niego mocy przyciągania, nie było dlań ponętne. Nie żył wcale nadzieją takiego obrotu spraw ani nie oczekiwał go, jak to czynią wszyscy, co wyobrażając sobie owo „gdyby było inaczej”, widzą już niebo na ziemi. I nie idzie tylko o to, że nie dopuszczał myśli, którym można by zarzucić podłość, ani o to, że już i tak dolegała mu świadomość, iż musi się usprawiedliwiać z zarzutu niewdzięczności – wystarczało przekonanie o istnieniu wielu innych barier, oddzielających go od Dorotei, oprócz istnienia jej męża, by nie potrzebował zaprzętać sobie głowy spekulacjami co do losu pana Casaubona. A były też jeszcze inne powody. Jak wiemy, Will nie mógł ścierpieć myśli o najmniejszej skazie na swoim kryształ: spokój i swoboda, z jaką Dorotea patrzyła na niego i rozmawiała z nim, drażniły go i zarazem zachwycaly; tak cudownie było myśleć o niej takiej, jaka jest, że nie mógł pragnąć zmiany, która musiałaby ją też jakoś zmienić. Czyż nie stronimy od ulicznej wersji pięknej jakiejś melodii, czyż nie cierpiemy na wiadomość, że jakaś rzadkość, jakaś mała rzeźba lub może grawiura, którą rozkoszowaliśmy się w myślach, ciesząc się nawet trudnościami, jakie przyszło nam pokonać, by rzucić na nią okiem, w istocie wcale nie jest rzadkością i może stać się własnością byle kogo? To, co jest dla nas dobrem, zależy od jakości i rozmiaru naszych emocji, a dla Willa możliwość chowania w

sercu takich uczuć, jakie żywił dla Dorotei – istoty, która dbała nie o to, co nazywamy konkretami życia, lecz o jego subtelniejsze przejawy – miała taką wartość, jak odziedziczenie fortuny. To, co ludzie nazwaliby pewno daremnością jego uczuć, wzbogacało zachwytem jego myśli; świadom był jakiejś wielkoduszności, potwierdzenia własnym doświadczeniem, że istnieje ta wyższa, poetycka miłość, która oczarowała jego wyobraźnię. Dorotea, powiedział sobie, zawsze będzie królowała w je go duszy: żadna inna kobieta nie zajmie miejsca wyżej jej podnóżka; gdyby zaś potrafił wyrazić w nieśmiertelnych sylabach wrażenie, jakie na nim zrobiła, mógłby oświadczyć dumnie wzorem starego Draytona, że:

Odtąd królowe żyć mogłyby rade
Z jałmużny pochwał, które jej zbywają[97].

Niewiele jednak z tego wynikało. Ale cóż innego mógłby uczynić dla Dorotei? Jaką wartość miało dla niej jego oddanie? Nie sposób powiedzieć. Będzie pozostawał w pobliżu niej. Nie wierzył, by wśród jej bliskich była choćby jedna istota, do której zwracałaby się z taką samą prostą ufnością, jak do niego. Powiedziała raz, że chciałyby, żeby został. Więc zostanie, bez względu na to, co tam będą syczały te ogniste smoki wokół niej.

Tak się zawsze kończyły wahania Willa. Ale czuł opór i sprzeciw nawet wobec własnych postanowień. Często wpadał w irytację – jak to się stało tego wieczoru – gdy usłyszał od kogoś z zewnątrz, że jego publiczna działalność z panem Brooke jako szefem nie sprawia tak heroicznego wrażenia, jakby tego pragnął, a do tego dochodził zawsze dodatkowy powód zirytowania, ten mianowicie, że chociaż poświęca swoją godność dla Dorotei, nie ma prawie żadnych możliwości widywania jej. A [97] Michael Drayton, *How many paltry, foolish, painted things...*, z cyklu *Ideas Mirrour*.

wówczas, nie mogąc zaprzeczyć niemiłym faktom, zaprzeczał swoim najsilniejszym skłonnościom i mówił: jestem idiota.

Niemniej jednak, gdy ten wewnętrzny dialog doprowadził, jak zwykle, do Dorotei, skończyło się, jak zwykle, uświadomieniem sobie z całą siłą, ile by dał, by móc ją zobaczyć, gdy zaś uprzytomnił sobie nagle, że nazajutrz jest niedziela, postanowił pójść do kościoła w Lowick, by ją tam spotkać. Z tą myślą zasnął, lecz gdy się ubierał w racjonalnym świetle ranka, wystąpiły Opory:

– Będzie to faktyczne pogwałcenie wydanego przez pana Casaubona zakazu odwiedzania Lowick i Dorotea będzie temu nierada.

– Nonsens – argumentowała Skłonność. – Byłoby potworne, gdyby zabraniał mi pójścia do ładnego kościółka w wiosenny ranek. A Dorotea będzie rada.

– Pan Casaubon uzna za oczywiste, że przyszedłeś albo po to, by go zdenerwować, albo żeby zobaczyć Dorotę.

– To nieprawda, że idę, by go denerwować, a czemu nie miałbym iść, by zobaczyć Dorotę? Czy on ma mieć wszystko dla siebie i zawsze odczuwać satysfakcję? Niech zazna trochę bólu, tak jak inni. Zawsze lubiłem ten osobliwy kościółek i tych parafian, poza tym znam Tuckerów. Usiądę w ich ławce.

Uciszywszy Opory siłą nierozsądku, Will pomaszerował do Lowick jak do rajy, łąkami Halsell i skrajem lasu, gdzie słońce rzucało szerokie plamy poprzez gałęzie, całe w pąkach, wydobywając urodę mchów i porostów, i świeżych zielonych źdźbeł przebijających się z brunatności. Wydawało się, że wszystko wokół wie, iż to niedziela, i pochwała jego wyprawę do kościoła w Lowick. Willowi łatwo przychodziło poczucie szczęścia, gdy nic mu nie psuło humoru, i teraz nawet zaczął się trochę bawić myślą, że rozżołości pana Casaubona; twarz rozjaśnił mu wesoły uśmiech, miły dla oczu jak woda rozjaśniona słońcem – chociaż powód

nie był budujący. Większość z nas jednak skłonna jest przesądzać w duchu, że człowiek, który nam stoi na przeszkodzie, jest odpychający; nie mamy też nic przeciwko temu, by wzbudzić w nim odrobinę tej samej odrazy, jaką do niego czujemy. Will maszerował, trzymając pod pachą książeczkę, ręce wsunawszy w kieszenie; nie czytał, lecz podśpiewywał, wyobrażając sobie sceny, jakie się rozegrają w kościele i przy wyjściu. Próbował różnych melodii do słów, które sam ułożył, czasem korzystając z melodii już znanych, czasem improwizując. Słów tych nie można by nazwać hymnem, niewątpliwie jednak odpowiadały jego niedzielnym emocjom.

Dziw to, ach dziw, jak skromną strawą
Karmi się moje miłowanie!
Ni to snem lotnym, ni to jawą,
Cieniem, co zaraz być przestanie;

Echem szepczącym zza komina,
Piosenką, która we mnie dzwoni,
Myślą, że ktoś tam mnie wspomina,
Śladem jej twarzy w wodnej toni;

W porę rozwianą złą obawą,
Drżeniem, stłumionym niespodzianie –
Dziw to, ach dziw, jak skromną strawą
Karmi się moje miłowanie!

Niekiedy, gdy tak śpiewając zdejmował kapelusz i odrzucał do tyłu głowę, ukazując delikatne gardło, wyglądał jak uosobienie wiosny, której duch wypełniał powietrze – świetlista istota, pełna nieokreślonych

obietnic.

Dzwony były jeszcze, gdy doszedł do Lowick i zasiadł w ławce wikarego, zanim ktokolwiek pojawił się w kościele. Lecz gdy się wierni zebrali, on dalej siedział w ławce sam. Ławka wikarego znajdowała się naprzeciwko ławki plebana przy wejściu do malutkiego prezbiterium i Will miał czas przeżywać obawy, że Dorotea może się w ogóle nie zjawić; tymczasem rozglądał się po wiejskich twarzach parafian, z roku na rok tych samych, gromadzących się w tych bielonych ścianach i ciemnych starych ławach; zmiany, jakie w nich zachodziły, podobne były zmianom w gałęziach drzew, tu i ówdzie przetrzebionych przez czas, a gdzie indziej puszczających młode pędy. Żabia twarz pana Rigga była elementem obcym i nie na miejscu, lecz poza owym wyjątkiem w porządku rzeczy siedzieli tu ławka w ławkę Waule'owie i wiejska gałąź Powderellów: policzki brata Salomona miały tę samą co zawsze rumianą krągłość, a trzy pokolenia zacnych farmerów przyszły, odczuwając ten sam co zawsze respekt w stosunku do ludzi wyższego stanu, przy czym małe dzieci uważały zapewne pana Casaubona, który nosił czarną togę i brał najwyższe miejsce, za przywódcę wszystkich ważnych ludzi i najstraszliwszego, gdyby im się zdarzyło go obrazić. Nawet w roku 1831 Lowick było spokojne i tyle samo przejęte reformą, co uroczystym tonem niedzielnego kazania. Wierni zdążyli już dawniejszymi czasy przywyknąć do widoku Willa w kościele, toteż nikt nie zwracał na niego większej uwagi z wyjątkiem chóru, który spodziewał się, że Will zabłyśnie podczas śpiewów.

Wreszcie na tym osobliwym tle ukazała się Dorotea, przeszła przez krótką nawę w swoim białym bobrowym kapeluszu i szarym płaszczu – tym samym, który nosiła w Watykanie. Twarz jej od wejścia skierowana była ku prezbiterium, toteż dojrzała Willa, mimo krótkowzroczności, lecz nie zareagowała na jego widok, może tylko lekko zbladła, a mijając go,

skłoniła się poważnie. Ku swemu zdumieniu Will poczuł się nagle bardzo niezręcznie i odkłoniwszy się, nie śmiał podnieść na nią wzroku.

W dwie minuty później pan Casaubon wyszedł z zakrystii i wszedłszy do ławy, usiadł twarzą do Dorotei. Teraz Will zdrętwiał już całkowicie. Mógł patrzeć tylko na chór, znajdujący się na malutkiej galerii nad drzwiami do zakrystii. Dorotea jest może urażona, a on popełnił okropny błąd. Przestało go już bawić irytowanie pana Casaubona, który zapewne ma tę przewagę, że przygląda mu się i widzi, iż Will nie ośmiela się odwrócić głowy. Czemu sobie tego wcześniej nie spróbował wyobrazić?! – ale nie mógł przecież zgadnąć, że będzie siedział sam w tej czworokątnej ławie, niewspierany przez kogoś z Tuckerów, którzy najwidoczniej opuścili Lowick ze wszystkim, ponieważ na kazalnicy był inny pastor. Mimo to wymyślał sobie od głupców, gdyż nie przewidział, że nie będzie mógł patrzeć na Dorotę – więcej, że ona może uznać jego przyście z impertynencją. Ale nie było już wyjścia z tej klatki i Will wyszukiwał w książeczce do nabożeństwa właściwych odpowiedzi, niby nauczycielka w szkole, czując, że to poranne nabożeństwo nigdy jeszcze nie było tak nieskończenie długie, a on jest śmieszny, wściekły i nieszczęśliwy. Ot, co przychodzi mężczyźnie z uwielbiana widoku kobiety! Zakrystian zauważył ze zdziwieniem, że pan Ladislaw nie przyłączył się do wspólnie śpiewanej modlitwy za monarchę, i doszedł do wniosku, że pewno jest zaziębiony.

Pan Casaubon nie wygłaszał tego dnia kazania i w sytuacji Willa nie zaszła żadna zmiana, aż do błogosławieństwa, kiedy to wierni powstali. Było zwyczajem w Lowick, że „lepsi” wychodzili pierwsi. Z nagłym postanowieniem, by przerwać wiszące nad nim zaklęcie, Will spojrzął prosto w twarz pana Casaubona. Lecz wzrok tego ostatniego spoczywał na zamku drzwiczek kolatorskiej ławy, które otworzył przed Dorotą, po czym wyszedł za nią, nie podnosząc powiek. Will pochwyił jeszcze

wzrokiem Dorotę, gdy wychodziła z ławy – skłoniła się, tym razem jednak z wyrazem przejęcia, jakby powstrzymywała łzy. Will podążył za nimi, lecz oni skierowali się ku małej furtce, prowadzącej z cmentarza do dworskiego parku, nie obejrzawszy się ani razu.

Nie mógł iść za nimi, zawrócił więc, posmutniały, w południe, tą samą drogą, którą tak ufnie przemierzał rano. Wszystkie światła wydały mu się teraz zmienione – zarówno te w nim samym, jak i na zewnątrz.

ROZDZIAŁ XLVIII

Złote godziny szarość już powleka,
Na próżno przyszło zrywać się do biegu;
Widzę ich siwy włos, stargany wiatrem,
Każda twarz patrzy na mnie ze znużeniem,
Kręcąc się wolno, na wieki zamknięta
W zgiełku burzy.

Wychodząc z kościoła, Dorotea martwiła się przede wszystkim tym, że pan Casaubon wyraźnie nie chce rozmawiać z kuzynem i że obecność Willa w kościele jeszcze bardziej uwidoczniła rozdzźwięk między obu panami. Przyjście Willa na nabożeństwo wydało się jej całkowicie wybaczone, więcej, wydało się jej miłym gestem ku zgodzie, której ona sama tak bezustannie wyglądała. Pewno wyobrażał sobie, podobnie jak ona, że gdyby mogli się z panem Casaubonem spotkać na neutralnym gruncie, uścisnęliby sobie dłonie i nastąpiłby powrót dawnych przyjaznych stosunków. Teraz odeszła ją nadzieja. Will został ostatecznie skazany na wygnanie, gdyż zapewne jego kuzyn poczuł się znów urażony, że młody człowiek narzucił mu swoją obecność, której on sobie nie życzył.

Pan Casaubon źle się czuł tego ranka, miał jakieś trudności z oddychaniem i dlatego nie wygłosił kazania; nie dziwiła się więc, że milczał podczas obiadu, ani też temu, że nie zrobił żadnej aluzji do Willa Ladisława. Sama czuła, że nigdy już nie będzie mogła podjąć tego tematu. Zazwyczaj niedzielne godziny między obiadem a kolacją spędzali osobno; pan Casaubon w bibliotece, na ogół drzemiąc, a Dorotea w swoim buduarze, gdzie zwykle zajęta była ulubionymi książkami. Leżał ich niewielki stosek na stole pod oknem w wykuszu – najróżniejsze, od

Herodota, którego uczyła się czytać w obecności męża, do jej starego towarzysza, Pascala, oraz *Roku chrześcijańskiego* – Keble’a. Dzisiaj jednak otwierała jedną po drugiej i żadnej nie była w stanie czytać. Wszystkie wydawały się takie ponure: zapowiedzi przed narodzeniem Cyrusa – starożytności żydowskie – wielkie nieba! – pobożne epigramy – święta harmonia ulubionych hymnów – wszystko to było równie bezbarwne jak melodie wystukiwane na desce; nawet wiosenne kwiaty i trawa dygotały ciężko pod popołudniowymi chmurami, które kapryśnie zakryły słońce. Wydawało się, że nawet krzepiące ją myśli, jakie stały się już przyzwyczajeniem, zawierają w sobie znużenie przyszłych długich dni, jakie przyjdzie jej przeżywać, mając je za jedynych towarzyszy. Biedna Dorotea pragnęła innego, a może raczej pełniejszego partnerstwa, a to pragnienie rodziło się z nieustannego wysiłku, jakiego wymagało jej małżeńskie życie. Wciąż starała się być tym, czego życzył sobie jej mąż, nigdy nie mogła znaleźć spoczynku w jego radości z niej jako takiej. Rzeczy, które lubiła, których spontanicznie pragnęła, wydawały się zawsze usuwane z jej życia, jeśli bowiem mąż tylko na nie przystawał, a nie dzielił ich z nią, to równie dobrze mógł ich zabronić. Jeśli idzie o Willa Ladisława – różnili się od początku i na tym się skończyło, gdyż pan Casaubon stanowczo odrzucił jej pogląd co do praw młodego człowieka do rodzinnego majątku, a także jej pewność, że ma rację, a mąż się myli; była tu całkiem bezradna. Tego popołudnia poczucie bezradności było bardziej niż kiedykolwiek obezwładniające: marzyła o sprawach, które mogłyby być jej drogą i którym ona mogłaby być droga. Pragnęła pracy, która przynosiłaby konkretne dobro, jak słońce i deszcz, a teraz okazuje się, że ma się zamykać coraz szczelniej w grobowcu, w którym znajduje się machina do okropnej pracy produkująca coś, co nigdy nie ujrzy światła dziennego. Dzisiaj stała u wejścia do grobowca i widziała Willa Ladisława odchodzącego w daleki świat, pełnego ciepła, aktywności,

przyjaźni, Willa zwracającego ku niej twarz, gdy odchodził.

Na nic książki. Na nic rozmyślenia. Była niedziela – nie dostanie powozu, aby pojechać do Celi, która niedawno urodziła dziecko. Żadnej ucieczki od wewnętrznej pustki i niezadowolenia – musi znosić przynębenie, tak jak musiałaby znosić ból głowy.

Po kolacji, kiedy zwykle zaczynała głośne czytanie, pan Casaubon zaproponował, by poszli do biblioteki, gdzie jak powiedział, kazał zapalić na kominku i wnieść światła. Sprawiał wrażenie ożywionego i czymś zaabsorbowanego.

Dorotea zauważyła w bibliotece, że jej mąż uszeregował w nowy sposób swoje notesy na stole. Ujął teraz i włożył w jej ręce dobrze jej znany zeszyt, który zawierał spis treści wszystkich pozostałych.

– Wyświadcysz mi uprzejmość, moja droga – powiedział, siadając – jeśli zamiast dzisiejszej lektury odczytasz ten spis z ołówkiem w rękę i tam, gdzie powiem „zaznacz”, postawisz ołówkiem krzyżyk. To jest pierwszy krok w procesie selekcji, który dawno myślałem zrobić, a w miarę jak będziemy się posuwać, będę ci mógł wyjaśniać zasady, jakimi się kieruję, dokonując wyboru, dzięki czemu, ufam, będziesz ze zrozumieniem uczestniczyła w moim zamyśle.

Ta propozycja była jeszcze jednym znakiem, których od owej pamiętnej rozmowy z Lydgate'em było już wiele, że uprzednia niechęć pana Casaubona do przyzwolenia Dorotei na współpracę ustąpiła całkowicie, a w jej miejsce przyszło coś wręcz przeciwnego, mianowicie żądanie od żony wysiłku i zainteresowania.

Po dwugodzinnym czytaniu i zaznaczaniu powiedział:

– Zabierzemy ten notes na górę oraz ołówek, jeśli łaska, a w wypadku gdybyśmy czytali w nocy, będziemy kontynuować pracę. Mam nadzieję, że cię to nie męczy, Doroteo?

– Zawsze wolę czytać to, co tobie najbardziej odpowiada – odparła

Dorotea i powiedziała prawdę; obawiała się bowiem tego, by jej wysiłki, gdy czytała czy też robiła coś innego, nie pozostawiały go wciąż tak samo bezradnym.

Dowodem tego, jak silne wrażenie wywoływały w otoczeniu pewne właściwości Dorotei, był fakt, że jej mąż, przy całej swojej zazdrości i podejrzliwości, niezachwianie ufał w wierność jej obietnic i umiejętność poświęcenia się temu, co uznała za słuszne i dobre. Ostatnio zaczynała zdawać sobie sprawę, że te właściwości mają dla niego szczególną wartość i pragnął je sobie przyporządkować.

W nocy została poproszona o czytanie. Młodość i zmęczenie wprawiły Doroteę w szybki, mocny sen: obudziła ją jasność, która zrazu wydała się jej jak nagły widok zachodu po wejściu na stromy pagórek: otworzyła oczy i zobaczyła męża otulonego w ciepły szlafrok i siedzącego w fotelu przy kominku, na którym żarzyły się jeszcze węgle. Zapalił dwie świece; liczył, że Dorotea się zbudzi, nie chciał jednak gwałtownie przerywać jej snu.

– Źle się czujesz, Edwardzie? – spytała, wstając natychmiast.

– Odczuwałem pewne dolegliwości w pozycji leżącej. Posiedzę chwilę tutaj.

Dorzuciła drewno na palenisko, otuliła się i spytała:

– Czy chciałbyś, abym ci czytała?

– Byłbym ci za to bardzo wdzięczny, Doroteo – odparł z cieniem większej niż zwykle łagodności w uprzejmym tonie. – Sen mnie odszedł, myśl mam niezwykle jasną.

– Obawiam się, że to cię może zbyt pobudzić – oponowała Dorotea, pamiętając ostrzeżenia Lydgate'a.

– Nie, nie mam poczucia nadmiernego podniecenia. Myślenie przychodzi mi łatwo. – Dorotea nie śmiała się upierać i czytała godzinę lub dłużej wedle tego samego, co wieczorem, planu, szybciej jednak

przewracając stronicę. Umysł pana Casaubona był bardziej wyostrzony, zdawało się, że drobna słowna wskazówka wystarcza, by już wiedział, co będzie dalej mówił: „Dosyć, zaznacz to”, lub: „Przejdź do następnego punktu, opuszczam drugą dygresję o Krecie”. Dorotea ze zdumieniem pomyślała, że myśl jej męża lustruje teraz z szybkością ptaka przestrzenie, po których latami pełzała. Powiedział wreszcie:

– Zamknij już notes, moja droga. Podejmiemy pracę jutro. Zbyt długo z nią zwlekałem i chętnie widziałbym ją ukończoną. Rozumiesz jednak, że zasadą, jaka mi przyświeca przy dokonywaniu selekcji, jest, by dać stosowną, lecz i wyważoną ilustrację każdej z tez wyliczonych w moim wstępie, tak jak to zostało teraz zarysowane. Rozumiesz to dobrze, moja droga?

– Tak – odparła Dorotea nieco drżąco. Czują ucisk w sercu.

– A teraz – powiedział pan Casaubon – sadzę, że mogę nieco odpocząć.

– Położył się z powrotem i poprosił, by zgasiła świece.

Kiedy i ona się położyła i zapanowały ciemności rozjaśniane tylko nikłym żarem paleniska, odezwał się znowu:

– Nim zasną, chciałbym cię o coś poprosić, Doroteo.

– O co? – spytała, czując, że ogarniają przerażenie.

– Chcę, byś mi powiedziała, z całą rozwagą, czy w wypadku mojej śmierci będziesz w dalszym ciągu spełniać moje życzenia: czy będziesz unikała tego, co ja bym dezaprobował, a robiła to, czego bym pragnął.

Dorotea nie była zaskoczona: rozmaite drobne wydarzenia pozwalały jej przewidywać, że mąż ma wobec niej jakieś zamiary, które mogą się okazać nowym jarzmem. Nie odpowiedziała natychmiast.

– Odmawiasz? – spytał pan Casaubon ostrzejszym nieco tonem.

– Nie, jeszcze nie odmawiam – powiedziała wyraźnym głosem, czując, że jej potrzeba wolności domaga się swoich praw – ale to zbyt poważna sprawa. Myślę, że nie jest słuszne obiecywać coś, nie wiedząc,

do czego się zobowiązuję. I bez obiecywania uczyniłabym to, do czego skłaniałoby mnie serce.

– Ale powodowałabyś się własnym rozsądkiem: proszę cię, abyś była posłuszna mojemu. Odmawiasz.

– Nie, kochany, nie – mówiła błagalnie, czując miazdzący ciężar sprzeciwu wyrosłego z obaw. – Ale czy mogłabym poczekać i trochę nad tym pomyśleć? Z całej duszy pragnę uczynić to, co ci przyniesie zadowolenie, ale nie mogę tak nagle dawać przyrzeczenia, a tym bardziej przyrzeczenia, że zrobię coś, o czym nic nie wiem.

– Nie masz więc zaufania do natury moich pragnień?

– Pozwól, że odłożymy to do jutra – powiedziała błagalnie.

– Do jutra więc – odparł pan Casaubon.

Po chwili usłyszała, że śpi, lecz ją sen odszedł całkowicie. Przymuszała się do leżenia bez ruchu, by go przypadkiem nie obudzić, a tymczasem w jej duszy rozgrywał się konflikt, w którym wyobrażenia ustawiała swe siły najpierw po jednej, potem po drugiej stronie. Dorotea nie przypuszczała, by mąż jej pragnął zapewnić sobie prawo decydowania o jej przyszłych działaniach w związku z czymkolwiek innym niż jego pracą. Było dla niej zupełnie jasne, że będzie od niej oczekiwał, by poświęciła się porządkowaniu tych stert najróżnorodniej szych materiałów, stanowiących wątpliwą ilustrację jeszcze bardziej wątpliwych założeń. Biedne dziecko, straciła już wszelką wiarę w wartość tego *Klucza*, który stanowił ambicję i trud życia jej męża. Nie było nic nadzwyczajnego w tym, że mimo skromnego wykształcenia miała w tej sprawie trafniejszy sąd niż on, patrzyła bowiem z umiejętnością bezstronnego porównywania, wspieraną zdrowym rozsądkiem, na prawdopodobieństwa, na których on wznosił ryzykowną budowlę swego egoizmu. A teraz wyobrażała sobie dni, miesiące i lata, które będzie musiała spędzić na segregowaniu tego, co można by nazwać strzaskanymi mumiami i fragmentami tradycji,

będącej przecież mozaiką ułożoną z okruczeń ruin – segregowaniu, by dać pokarm teorii, która umarła zaraz po urodzeniu, jak mały elf. Niewątpliwie uporczywy błąd, uporczywie potwierdzany, zachowuje przy życiu embrion prawdy; chęć uzyskania złota jest jednocześnie stawianiem pytań o substancje – ciało chemii przygotowuje się na przyjęcie duszy i rodzi się Lavoisier^[98]. Lecz teoria pana Casaubona o elementach, które stanowią zarodek wszelkiej tradycji, nie miała szans, by przypadkowo okazać się odkryciem: szybowiała wśród wiotkich domysłów równie konkretnych, jak owe etymologie, które wydawały się przekonywające z powodu podobieństwa dźwięku, dopóki nie okazało się, że podobieństwo dźwięku dowodzi ich niepodobieństwa: była rodzajem interpretacji niepoddanej sprawdzianowi, jakim jest konieczność formowania myśli skryształizowanych jaśniej niż zawile pojęcia Goga i Magoga: można ją było snuć spokojnie jak pomysł nanizania gwiazd na nici.

Jakże często musiała Dorotea hamować zniecierpliwienie i znużenie tymi wątpliwej wartości zgadywankami, bo tym jej się wydawały, a nie uczestnictwem w wiedzy wyższego rodzaju, która przydaje wartości życiu.

Rozumiała teraz dobrze, jak to się stało, że mąż chwycił się jej jako zapewne jedynej pozostałej mu nadziei na to, iż jego trudy przyjmą kiedyś kształt, w jakim można by je przekazać światu. Z początku sprawiał wrażenie, że nawet jej nie chce bliżej wtajemniczać w to, co robi, lecz powoli straszliwa siła nieuchronności... wizja śmierci zbyt rychłej...

I tu litość Dorotei zawróciła od własnej przyszłości do przeszłości jej męża – więcej, do jego obecnych ciężkich zmagania z losem, który się z

[98] Antoine Laurent Lavoisier (1743-1794) – francuski chemik, twórca nowoczesnej chemii; prowadził badania nad spalaniem substancji. Sformułował twierdzenie, że „przyroda nie tworzy czegoś z niczego i materia nie może ginąć”.

tej przeszłości wywodził: samotny trud, ambicja ledwo zdolna chwytać dech, przygnieciona ciężarem zwątpienia w samego siebie, cel coraz dalszy, członki coraz bardziej ociężałe; i teraz, w końcu, miecz, który tak wyraźnie drży nad jego głową. A czyż nie pragnęła go poślubić właśnie dlatego, by mogła go wspomagać w pracy całego życia? Ale wyobrażała sobie, że to dzieło ma być czymś wielkim, czymś, czemu mogłaby wiernie służyć ze względu na jego wagę... Czy słuszne jest, nawet dla ukojenia smutku męża – czy byłoby możliwe, nawet gdyby to przyrzekła – pracować mozolnie i bezpożytecznie?

A przecież – czy mogłaby mu odmówić? Czy mogłaby powiedzieć: „Odmawiam zaspokojenia tego smutnego głodu?”. Byłoby to odmową uczynienia dla umarłego tego, co niemal na pewno uczyniłaby dla żywego. Gdyby żył, tak jak Lydgate powiadał, że mógłby żyć – jeszcze piętnaście lat lub dłużej, ona z pewnością spędziłaby życie, pomagając mu i będąc mu posłuszną.

Istniała jednak głęboka różnica pomiędzy poświęceniem dla osoby żywej a nieokreśloną obietnicą poświęcenia dla umarłego. Póki żył, nie mógł stawiać żądań, przeciwko którym nie mogłaby swobodnie protestować, a nawet którym nie mogłaby odmówić. Ale – przez głowę jej kilka razy przebiegła ta myśl, lecz nie chciała w nią uwierzyć – czy nie zechce żądać od niej czegoś więcej, niż ona sobie teraz wyobraża? – boć przecież prosił, by przyrzekła spełniać jego wolę, nie mówiąc dokładnie, jaka też ona jest? Nie – on ma w sercu miejsce tylko na swoją pracę; to jest cel, dla którego żona ma się stać przedłużeniem jego gasnącego życia.

A znowu, gdyby powiedziała: „Nie. Jeśli umrzesz, nie przyłożę ręki do twojej pracy”, byłoby tak, jakby miażdżyła to obolałe serce.

Cztery godziny leżała tak, walcząc ze sobą, aż wreszcie poczuła, że jest słaba, znużona, niezdolna do podjęcia jakiegokolwiek decyzji, i modliła się bezgłośnie. Bezradna jak dziecko, które zbyt długo szukało i szlochało,

zapadła w późny, poranny sen, a gdy się obudziła, pan Casaubon już był wstał. Pokojówka powiedziała, że odczytał modlitwy, zjadł śniadanie i jest w bibliotece.

– Nigdy nie widziałam pani takiej bladej – powiedziała Tantripp, zażywna niewiasta, która towarzyszyła obu siostram w Lozannie.

– A czy ja byłam kiedykolwiek rumiana? – uśmiechnęła się słabo Dorotea.

– Rumiana to nie, tylko z takim rumieńcem jak chińska róża. Ale czego się można spodziewać, jak pani ciągle tylko wdycha zapach tych skórzanych ksiąg! Niechże pani dzisiaj odpocznie trochę przed południem! Pójdę i powiem, że się pani źle czuje i nie może iść do tej dusznej biblioteki, proszę, niech mi pani pozwoli!

– Och nie, ja muszę się spieszyć – odparła Dorotea. – Mąż bardzo mnie potrzebuje.

Schodząc na dół, była przekonana, że przyrzeknie spełnić jego życzenie, ale że zrobi to później, nie teraz.

Gdy weszła do biblioteki, pan Casaubon odwrócił się od stołu, na którym kładł jakieś książki:

– Czekałem na twoje przyjście, moja droga. Miałem nadzieję, że zasiądę od razu rano do pracy, ale czuję się niedysponowany, zapewne wskutek nadmiernego podniecenia wczoraj. Idę teraz na małą przechadzkę wśród krzewów, gdyż aura jest łaskawsza.

– Cieszę się, że to słyszę – odparła Dorotea. – Obawiałam się wczoraj, że twój umysł był nadmiernie czynny.

– Rad byłbym uspokoić go w przedmiocie, o którym mówiłem ostatnio, Doroteo. Mam nadzieję, że możesz mi teraz dać odpowiedź.

– Czy mogę wyjść do ciebie do ogrodu za chwilę? – spytała, zdobywając w ten sposób odrobinę oddechu.

– Przez najbliższe pół godziny będę w alei cisowej – odparł pan

Casaubon i wyszedł.

Dorotea, czując ogromne znużenie, zadzwoniła i poprosiła Tantripp o przyniesienie ciepłego okrycia. Przez kilka minut siedziała bez ruchu, już nie przeżywając dalej konfliktu: wiedziała po prostu, że powie „tak”, na swoją własną zgubę. Była zbyt słaba, zbyt przerażona na myśl o zadaniu mężowi tak straszliwego ciosu, by uczynić cokolwiek innego niż ulec. Siedziała nieruchomo i biernie pozwalała Tantripp owinąć się szalem i włożyć kapelusz, co było u niej niezwykle, gdyż lubiła sama sobie usługiwać.

– Niechże panią Bóg błogosławi – powiedziała Tantripp w nieodpartym przyływie uczucia do tej pięknej, łagodnej istoty, dla której nie mogła uczynić nic więcej teraz, kiedy już zawiązała jej wstążki kapelusza.

Tego było za wiele dla napiętych do ostateczności nerwów; Dorotea wybuchnęła płaczem i szlochala na ramieniu pokojówki. Szybko się jednak opanowała, osuszyła oczy i wyszła przez oszklone drzwi na dwór, między krzewy.

– Chciałabym, żeby ze wszystkich ksiązek w tej bibliotece zbudowali „katakumby” dla waszego pana – powiedziała Tantripp do Pratta, kamerdynera, którego zastała w pokoju śniadaniowym. Była, jak wiemy, w Rzymie i oglądała starożytności; nigdy nie zgodziła się mówić o panu Casaubonie inaczej jak „wasz pan”, zwracając się do pozostałej służby.

Pratt roześmiał się. Bardzo lubił swojego pana, ale jeszcze bardziej lubił Tantripp.

Gdy Dorotea znalazła się na zwirowanych ścieżkach, zwolniła kroku w kępie najbliższych drzew, pełna wahań, jak niegdyś, ale dziś z innej przyczyny. Wówczas obawiała się, by jej staranie o współdział w życiu męża nie spotkało się z niechęcią; teraz bała się iść tam, gdzie jak wiedziała, będzie musiała przyrzec współdział, który budził w niej dreszcz przerażenia. Nie zmuszało jej do tego ani prawo, ani opinia

świata, tylko natura jej męża i jej nad nim zmiłowanie, tylko idea, a nie rzeczywiste jarzmo małżeńskie. Widziała całą sytuację bardzo jasno, a mimo to czuła się obezwładniona: nie mogła zadać ciosu porażonej duszy, która odwoływała się do jej duszy. Jeśli to słabość – Dorotea była słaba. Lecz pół godziny mijało, nie można dłużej zwlekać. Gdy weszła w aleję cisową, nie zobaczyła męża, lecz aleja była kręta. Dorotea szła więc dalej, spodziewając się ujrzeć jego postać otuloną niebieskim płaszczem, który, wraz z ciepłą aksamitną czapką, stanowił jego ubiór na chłodniejsze dni w ogrodzie. Przyszło jej do głowy, że może odpoczywa w altanie, ku której ścieżka odbiegała nieco w bok. Skręcając tam, zobaczyła go siedzącego na ławce przy kamiennym stole. Ręce trzymał na stole i skłaniał na nich czoło – niebieski płaszcz, zaciągnięty wyżej, zakrywał twarz z obu stron.

Ogromnie się zmęczył zeszłej nocy – powiedziała sobie w duchu, myśląc z początku, że zasnął i że altana jest miejscem zbyt wilgotnym na taki odpoczynek. Potem przypomniała sobie, że ostatnio, kiedy mu czytała, przyjmował taką pozycję, jako najbardziej mu dogodną, i że czasami mówił i słuchał z twarzą tak właśnie pochyloną, w dół. Weszła do altanki i powiedziała:

– Przyszłam, Edwardzie. Jestem gotowa.

Nie zareagował, pomyślała więc, że śpi mocno. Położyła mu rękę na ramieniu i powtórzyła: „Jestem gotowa!”. Dalej trwał w bezruchu, więc w nagłym przypływie lęku pochyliła się ku niemu, zdjęła jego atlasową czapkę i przysunęła policzek do jego głowy, krzycząc:

– Obudź się, kochany, obudź! Słuchaj mnie! Przyszłam dać ci odpowiedź!

Lecz Dorotea nigdy nie miała dać odpowiedzi.

Później, tego samego dnia, Lydgate siedział przy jej łóżku, a ona mówiła nieprzytomnie, rozmyślając na głos, przywołując na pamięć wszystko, co się działo w jej umyśle poprzedniej nocy. Poznawała doktora

i wymawiała jego nazwisko, ale jakby uważała za właściwe tłumaczyć mu wszystko i co chwila prosiła, by on z kolei wytłumaczył to jej mężowi.

– Niech pan powie, że zaraz do niego przyjdę: gotowa jestem przyrzec. Tylko tak strasznie trudno było przemyśleć to do końca – dlatego jestem chora. Ale nie ciężko. Zaraz będzie mi lepiej. Niech pan pójdzie i powie mu.

Lecz nic już nie miało zakłócić ciszy w uszach jej męża.

ROZDZIAŁ XLIX

Wielkie nam Dziedzic zadał strapienie,
I czarem trudno mu sprostać:
Nie sztuka w studnię rzucić kamienie,
Lecz jak je stamtąd wydostać?

– Na Boga, chciałbym, żebyśmy to mogli ukryć przed Doroteą! – wybuchnął sir James Chettam, marszcząc czoło z wyrazem ogromnego niesmaku wokół ust. Stał na dywaniku przed kominkiem w bibliotece Lowick Grange i rozmawiał z panem Brooke. Było to w dzień po pogrzebie pana Casaubona i Dorotea wciąż jeszcze przebywała w swoim pokoju.

– To byłoby, ma się rozumieć, trudne, jest przecież wykonawczynią testamentu i lubi się wgłębiać w takie sprawy: majątek, ziemia, te wszystkie rzeczy. Ma swoje różne, ma się rozumieć, pomysły. – Pan Brooke nerwowym ruchem wsadzał monokl i przesuwiał palcem po brzegach dokumentu, który trzymał w ręku. – I będzie chciała zajmować się tym czynnie, tego można być pewnym. Jako wykonawczynie testamentu będzie chciała działać. W zeszłym roku, w grudniu, skończyła dwadzieścia jeden lat. Nie mogę nic przed nią ukrywać.

Sir James przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w dywan, potem podniósł gwałtownie oczy i utkwił je w panu Brooke.

– Powiem panu, co możemy zrobić. Dopóki Dorotea nie wydobrzeje, trzeba ją będzie trzymać z dala od wszelkich spraw związanych z majątkiem, a jak tylko będzie się mogła ruszyć, musi przyjechać do nas. Nie może być dla niej nic lepszego nad pobyt z Celią i z małym. To jej pozwoli jakoś przeżyć te dni. A przez ten czas pan musi się pozbyć Ladisława; musi pan go wysłać z kraju. – Tu wyraz niesmaku powrócił na

twarz sir Jamesa z całą siłą.

Pan Brooke założył ręce do tyłu, podszedł do okna, wyprostował plecy i lekko wstrząsnął ramionami, nim odparł:

– Łatwo to powiedzieć, łatwo, ma się rozumieć, powiedzieć.

– Drogi panie – sir James powstrzymywał oburzenie w granicach dobrego wychowania. – To pan go tu sprowadził i pan go tu trzyma, to znaczy: zajęciem, które mu pan ofiarował.

– Tak, ale nie mogę go z punktu zwolnić, nie podając, ma się rozumieć, przyczyn. Ladislaw jest nieoceniony, nie mam dla niego słów. Uważam, że sprowadzając go tutaj, przysłużyłem się naszej części kraju – pan Brooke zakończył skinieniem głowy, odwracając się w tym celu od okna.

– Szkoda, że ta część kraju nie obyła się bez niego, tyle tylko mogę powiedzieć. W każdym razie jako szwagier Dorotei uważam, że mam prawo zaprotestować kategorycznie przeciwko temu, by pozostawał tutaj wskutek działań kogokolwiek z jej bliskich. Przyzna pan, mam nadzieję, że mam prawo mówić o tym, co dotyczy godności siostry mojej żony?

Sir James gorączkował się coraz bardziej.

– Oczywiście, drogi panie, oczywiście. Ale pan i ja mamy różne poglądy, różne...

– Mam nadzieję, że nie w sprawie postępku Casaubona – przerwał mu sir James. – Uważam, że skompromitował Dorotę, i to w sposób wyjątkowo nieszlachetny. Uważam, że trudno o bardziej podły, niegodny dżentelmena postępek: tego rodzaju kodycyl do testamentu, spisane przy ślubie, za wiedzą jej rodziny, która pokładała w nim zaufanie! Prawdziwa zniewaga dla Dorotei.

– No cóż, w rzeczy samej Casaubon żywił pewną urazę do Ladislawa. Ladislaw tłumaczył mi powody: niechęć do drogi, jaką obrał. Ladislaw nie miał zbyt wysokiego mniemania o pomysłach Casaubona, jak Toth i Dagon, coś w tym rodzaju, i wydaje mi się, że Casaubonowi nie podobało

się, iż Ladislaw objął samodzielne stanowisko. Czytałem listy, jakie wymienili. Biedny Casaubon, za bardzo się zakopał w tych książkach, nie wiedział, co się na świecie dzieje.

– Ladislaw może przedstawiać sprawę w tym świetle – powiedział sir James – ale ja sądzę, że Casaubon był o niego po prostu zazdrosny z powodu Dorotei, a teraz świat będzie przypuszczał, że ona dała mu po temu jakieś powody; cała sprawa jest tak odrażająca dlatego właśnie, że związał jej imię z tym młodym człowiekiem.

– Mój drogi panie, do niczego to nas, ma się rozumieć, nie doprowadzi – powiedział pan Brooke, siadając i ponownie wsadzając monokl. – Wszystko to są rezultaty dziwactwa Casaubona. Ten tu dokument, na przykład *Katalog synoptyczny*, i tak dalej, i tak dalej „dla użytku pani Casaubon”. Leżał zamknięty w szufladzie razem z testamentem. Pewno chodziło mu o to, żeby Dorotea opublikowała tę jego dysertację. I ona to zrobi, ma się rozumieć, była niesłychanie oddana tej jego pracy.

– Drogi panie – zniecierpliwił się sir James – to nie ma nic do rzeczy. Problem w tym, czy pan uważa, podobnie jak ja, że przyzwoitość nakazuje odesłanie stąd młodego Ladislawa?

– Cóż, nie, to znaczy, nie widzę konieczności pośpiechu. Może jakoś z wolna samo do tego przyjdzie. Jeśli idzie o plotki, to, ma się rozumieć, odesłanie go stąd nie zapobiegnie plotkom. Ludzie gadają, co chcą, a nie to, czego mogą dowieść czarno na białym. – Pan Brooke okazywał się biegły w prawdach korzystnych dla niego. – Mogę się pozbyć Ladislawa do pewnego stopnia, mogę mu odebrać *Pioniera* i tak dalej; ale przecież nie mogę go wysłać z kraju, jeśli on nie będzie miał na to ochoty, jeśli, ma się rozumieć, nie będzie miał na to ochoty.

Pan Brooke, który z takim spokojem obstawał przy swoim, jakby rozmowa dotyczyła zeszłorocznej pogody, i który na zakończenie pokiwał uprzejmie głową, przedstawiał doprawdy upór w irytującym wydaniu.

– Wielki Boże! – W głosie sir Jamesa brzmiała najwyższa pasja. – Znajdźmy mu jakieś stanowisko, niech nas to kosztuje! Gdyby mógł wyjechać w świecie jakiegoś gubernatora kolonialnego. Grampus mógłby go wziąć, mógłbym napisać z prośbą do Fulke’a.

– Ale Ladislawa nie można wysłać za ocean jak sztukę bydła, kochany panie! Ladislaw to człowiek z wyobraźnią. Jestem pewny, że gdyby jutro się ze mną rozstał, to tylko głośniej byłoby o nim w kraju. Z takim talentem przemawiania i pisania dokumentów programowych przewyższa chyba wszystkich jako agitator, jako agitator, powiadam.

– Agitator! – powtórzył sir James gorzko i z emfazą, przekonany, że odpowiednio wymówione sylaby tego słowa demaskują całą jego ohydę.

– Bądź pan rozsądny, Chettam. Sprawa Dorotei. Jak pan powiada, lepiej, żeby pojechała do Celii, kiedy to tylko będzie możliwe. Może pozostawać pod pańskim dachem, a tymczasem sprawy jakoś się spokojnie ułożą. Nie strzelajmy zbyt pochopnie z dział. Standish zastosuje się do naszych postanowień i nowiny zestarzeją się, nim ktokolwiek o nich usłyszy. Może się znaleźć dwadzieścia powodów, dla których Ladislaw wyjedzie, bez tego, żebym ja cokolwiek, ma się rozumieć, robił.

– Czy mam z tego wnosić, iż odmawia pan podjęcia jakichkolwiek działań? – zapytał sir James.

– Odmawiam? Nie, nic podobnego nie powiedziałem. Ale naprawdę nie widzę, co też mógłbym zrobić. Ladislaw to dżentelmen.

– Miło mi to słyszeć. – Sir James, w swojej irytacji, zapominał się trochę. – Jestem przekonany, że Casaubon nie.

– No cóż, byłoby gorzej, gdyby zrobił kodycył zabraniający jej powtórnego małżeństwa w ogóle, ma się rozumieć.

– Nie wiem. Byłoby to mniej niedelikatne.

– To jedna z fanaberii Casaubona. Ten atak pomieszał mu trochę w głowie. Przecież to wszystko niepotrzebne. Ona *nie chce* wychodzić za

Ladislawa.

– Ale ten kodycył jest tak sformułowany, że każdy uwierzy, iż chciała. Nie wierzę w to absolutnie, jeśli idzie o Dorotę – stwierdził sir James, potem zmarszczył brew – ale podejrzewam Ladislawa. Powiadam panu szczerze, że podejrzewam Ladislawa.

– Nie mógłbym na tej podstawie podjąć żadnych działań. Prawdę mówiąc, gdyby można było zapakować go i wysłać, wysłać na wyspę Norfolk, coś w tym rodzaju, to pozycja Dorotei w oczach tych, którzy by o wszystkim wiedzieli, byłaby jeszcze gorsza. Wyglądałoby na to, że jej nie ufamy, nie ufamy, ma się rozumieć.

Fakt, że pan Brooke wytoczył nieodparty argument, nie uspokoił bynajmniej sir Jamesa. Wyciągnął rękę po kapelusze, jakby dawał do zrozumienia, że nie ma zamiaru spierać się dłużej, i zakończył z pewnym uniesieniem.

– No cóż, mogę tylko tyle powiedzieć, że Dorotea została poświęcona już raz, ponieważ jej najbliżsi okazali zbytnią bez troskę. Zrobię, co tylko będę mógł, by jako jej brat osłonić ją tym razem.

Nie może pan zrobić nic lepszego, jak zabrać ją do Freshitt, kiedy tylko będzie się lepiej czuła. Całkowicie popieram ten projekt – mówił pan Brooke, bardzo rad, że zwyciężył w dyskusji. Byłoby mu ogromnie nie na rękę rozstawać się z Ladislawem akurat w chwili, kiedy Parlament może zostać rozwiązany lada dzień i trzeba będzie przekonywać wyborców, by opowiedzieli się za taką drogą, jaka przyniesie największy pożytek krajowi. Pan Brooke szczerze wierzył, że tym pożytkiem będzie jego powrót do Parlamentu: uczciwie ofiarowywał narodowi wszystkie siły swojego umysłu.

ROZDZIAŁ L

„Ten kaznodzieja mowę nam wygłosi”.
„Na mego ojca klnę się, niech nie prosi! –
powiada szyper. – Nie będzie tu gadał
Ni Ewangelii słów nam opowiadał.
Wszyscy wierzymy w Boga jedyne,
Lecz on by zasiał między nas co złego”.

Geoffrey Chaucer, *Prolog do opowieści
szypra*

Dorotea spędziła spokojnie niemal tydzień we Freshitt Hall, nim zaczęła zadawać niebezpieczne pytania. Siadywała każdego ranka z Celią w najładniejszej bawialni na piętrze wychodzącej na malutką oranżerię; Celia, cała w bieli i lawendzie niby bukiet mieszanych fiołków, obserwowała bacznie poczynania malca, które, z braku doświadczenia, uważała za tak niezrozumiałe, iż przerywała każdą rozmowę i zwracała się o wyjaśnienia do niani – wyroczni. Dorotea siedziała obok w żałobnej sukni, z wyrazem smutku na twarzy, wręcz prowokującym Celię, gdyż był, doprawdy, przesadny; przecież nie tylko nic nie dolegało niemowlęciu, ale też, w istocie, jeśli mąż był za życia taki nudny i kłopotliwy, a ponadto jeśli... no, nic! Sir James oczywiście wtajemniczył Celię w całą sprawę, podkreślając, jak ważne jest, by Dorotea nie dowiedziała się o niej wcześniej, niż to się okaże konieczne.

Ale pan Brooke miał słuszność, przewidując, że Dorotea nie będzie długo pozostawała beczynna, jeśli ma nałożone obowiązki; znała treść

testamentu męża spisane go przed ślubem i odkąd zrozumiała jasno swoją sytuację, rozmyślała w milczeniu, co też powinna zrobić jako właścicielka Lowick Manor, posiadająca patronat nad beneficjum kościelnym.

Pewnego przedpołudnia, gdy stryj, jak zwykle, przyjechał w odwiedziny, tym razem w ogromnym pośpiechu, który tłumaczył swoim przekonaniem, że Parlament zaraz zostanie rozwiązany, Dorotea zwróciła się do niego:

– Stryjaszku, jest rzeczą słuszną, abym się zastanowiła, kto powinien otrzymać beneficjum w Lowick. Kiedy pastor Tucker dostał prebendę, nie słyszałam, żeby mój mąż wspominał o kimkolwiek jako ewentualnym następcy. Sądzę, że powinnam teraz wziąć klucze, pojechać do Lowick i przejrzeć wszystkie dokumenty mojego męża. Może znalazłabym tam coś, co pozwoliłoby mi się zorientować w jego życzeniach.

– Nie śpiesz się, moja droga – odparł spokojnie pan Brooke. – Z czasem, jeśli zechcesz, będziesz mogła pojechać. Ale rzuciłem okiem na to, co było w biurkach i szufladach i nic tam nie znalazłem, nic, prócz tych uczonych spraw, ma się rozumieć, i oprócz testamentu. Wszystko można załatwić, powolutku. Jeśli idzie o prebendę, zwracano się już do mnie w tej sprawie, kandydatura, sądzę, całkiem dobra. Rekomendowano mi gorąco pastora Tyke. Już raz miałem coś wspólnego z wysuwaniem go na pewne stanowisko. Podobno to człowiek prawdziwie, jak apostoł, oddany głoszeniu wiary, coś, co ci będzie odpowiadało, moja kochana.

– Chciałabym więcej o nim wiedzieć, stryjku, i sama wyrobić sobie zdanie, jeśli mój mąż nie zostawił swoich życzeń. Może dokonał jakichś uzupełnień testamentu, może tam są jakieś polecenia dla mnie. – Dorotea wciąż wyobrażała sobie coś związanego z pracą pana Casaubona.

– Nic tam nie ma o prebendzie, kochanie, nic. – Pan Brooke wstał, by się pożegnać, i wyciągnął rękę do obu siostr. – Ani o jego pracy. I nic w testamencie.

Wargi Dorotei zadrżały.

– No, no, jeszcze nie powinnaś o tym wszystkim myśleć. Powolutku, powolutku, ma się rozumieć.

– Czuję się zupełnie zdrowa, stryjkę. Pragnę coś zrobić.

– Dobrze, dobrze, zobaczymy. Teraz muszę już uciekać, mam roboty co niemiara. Jest kryzys, kryzys polityczny, ma się rozumieć. No, masz tu Celię i jej malutkiego. Jesteś teraz cicią, ma się rozumieć, a ja jestem, na pewien sposób, dziadkiem – mówił pan Brooke z łagodnym pośpiechem, pragnąc uciec jak najszybciej i powiedzieć sir Jamesowi, że to nie będzie jego (pana Brooke) wina, jeśli Dorotea zacznie się domagać wglądu we wszystko.

Dorotea opadła na krzesło, gdy stryj wyszedł z pokoju, i w zamyśleniu spuściła wzrok na złożone ręce.

– Popatrz, Dodo, spójrz tylko na niego! Widziałaś kiedykolwiek coś podobnego? – rozległ się głos Celi w spokojnym staccato.

– Co, Kitty? – Dorotea podniosła na nią niezbyt przytomne oczy.

– Co? Ależ spójrz na jego górną wargę: zobacz, jak ją ściąga w dół, jakby chciał zrobić minkę. Czy to nie cudowne? Może on już coś tam po swojemu myśli? Żeby tu była niania! Popatrz, popatrz na niego!

Wielka łąka, która wzbierała już od jakiegoś czasu, spłynęła po policzku Dorotei, kiedy spojrzała i próbowała się uśmiechnąć.

– Nie bądź taka smutna, Dodo. Pocałuj małego. Nad czym ty tak dumasz? Przecież zrobiłaś wszystko, co można, i o wiele więcej. Powinnaś być teraz szczęśliwa!

– Zastanawiam się, czy sir James nie zawiózłby mnie do Lowick. Chcę wszystko przejrzeć, sprawdzić, czy nie znajdę jakichś słów dla mnie.

– Nie wolno ci jechać, dopóki doktor Lydgate nie powie, że możesz. A on tego jeszcze nie powiedział (o, jest niania, proszę zabrać małego i chodzić z nim tam i z powrotem po galerii). Poza tym, jak zwykle, masz w

głowie jakiś niedorzeczny pomysł, już to widzę i bardzo mnie to martwi.

– Dlaczego on jest niedorzeczny, Kitty? – spytała potulnie Dorotea.

Była teraz niemal gotowa uznać, że Celia jest od niej mądrzejsza, i naprawdę zastanawiała się z odrobiną lęku, co jest niedorzecznego w tym jej pomysśle. Celia poczuła, że ma przewagę i postanowiła ją wykorzystać. Nikt nie zna Dodo równie dobrze jak ona i nikt lepiej nie wie, jak z nią postępować. Po urodzeniu dziecka nabrała przekonania o swojej dojrzałości umysłowej i spokojnej mądrości. Wydawało się jej jasne, że tam, gdzie pojawi się niemowlę, wszystko jest tak, jak trzeba, i że błąd, ogólnie biorąc, polega na braku tego głównego elementu utrzymującego całość w równowadze.

– Doskonale wiem, co ty sobie myślisz, Dodo – powiedziała Celia. – Chcesz się koniecznie dowiedzieć, czy tam nie ma dla ciebie czegoś niemiłego do zrobienia, tylko dlatego że pan Casaubon sobie tego życzył. Jakby ci nie było dość niemiłych rzeczy, które musiałaś dotąd znosić. I on wcale na to nie zasługuje, jeszcze się tego dowiesz. Postąpił bardzo brzydko. James jest tak zły na niego, że trudno bardziej. A ja ci to lepiej powiem, żeby cię przygotować.

– Celio – zwróciła się do niej błagalnie Dorotea – nie dręcz mnie, proszę. Powiedz natychmiast, co masz na myśli. – Przez głowę jej przebiegło przypuszczenie, że może pan Casaubon wyzuł ją z majątku, co nie byłoby takim znowu nieszczęściem.

– Zrobił do testamentu kodycył, który powiada, że zostałaś pozbawiona całego majątku, jeśliś wyszła za mąż...

– To jest bez znaczenia – przerwała jej gwałtownie Dorotea.

– Ale gdybyś wyszła za mąż za pana Ladislawa, nie kogo innego – ciągnęła Celia z wytrwałym spokojem. – Oczywiście, że to jest w pewnym sensie bez znaczenia. Przecież ty nigdy nie wyszłaś za pana Ladislawa. Ale tym gorzej świadczy o panu Casaubonie.

Krew boleśnie uderzyła do twarzy i szyi Dorotei. Celia jednak dalej aplikowała to, co uważała za orzeźwiająca dozę faktów. To właśnie owe niedorzeczne pomysły wyrządziły zdrowiu Dodo tyle szkody. Ciągnęła więc swoim bezosobowym tonem, jakby mówiła o sukniach niemowlęcia.

– James tak powiada. Powiada, że to odrażające, niegodne dżentelmena. A nie było nigdy lepszego sędziego od Jamesa. To tak, jakby pan Casaubon chciał, żeby ludzie uwierzyli, że ty pragnęłabyś wyjść za mąż za pana Ladislawa, a to jest śmieszne. Ale James powiada, że to miało powstrzymać pana Ladislawa od chęci ożenienia się z tobą dla pieniędzy, tak jakby on kiedykolwiek myślał ci się oświadczać. Pastorowa Cadwallader uważa, że równie dobrze mogłabyś wyjść za Włocha z białymi myszkami. Ale muszę iść i spojrzeć na małego – dodała Celia, nie zmieniając tonu i zarzuciwszy lekki szal, podreptała do drugiego pokoju.

Dorotea, ponownie ogarnięta chłodem, rzuciła się bezradnie w fotel. To, czego obecnie doświadczała, mogłaby przyrównać do niejasnego, lęklivego poczucia, że jej życie przybiera nową postać, a ona sama ulega jakiemuś przepoczwarzeniu i że jej pamięć nie jest w stanie dostosować się do ruchów nowych członków. Wszystko zaczynało wyglądać inaczej: postępowanie męża, jej własne, zaprawione posłuszeństwem uczucie do niego, wszystkie niesnaski między nimi i – bardziej jeszcze – jej stosunek do Willa Ladislawa. Jej świat znalazł się w stanie konwulsyjnej przemiany; mogła sobie powiedzieć jasno tylko jedno – że musi poczekać jakiś czas i zacząć myśleć na nowo. Jedna zmiana napełniła ją przerażeniem, jakby popełniła grzech: gwałtowny przypływ wstępu do zmarłego męża, który żywił te ukryte myśli, wypaczając zapewne znaczenie wszystkich jej słów i czynów. Potem uświadomiła sobie jeszcze jedną zmianę, która również wprowadziła ją w drzenie: była to nagła, dziwna tęsknota serca za Willem Ladislawem. Nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że mogłaby w jakiejś sytuacji zostać jej wybranym, jakież więc wrażenie musiało w

niej wywołać nagłe odkrycie, że kto inny widział go w tej roli, że może on sam dopuszczał taką możliwość; i wreszcie wdzierające się gwałtownie poczucie, że okoliczności są niestosowne, a na pytania długo nie będzie odpowiedzi.

Wydawało jej się, że minęła dłuższa chwila – nie zdawała sobie sprawy, jak długa – nim usłyszała, jak Celia mówi: „Już dosyć, nianiu, będzie teraz spokojny na moich kolanach. Może niania iść i zjeść obiad, niech Garret czeka w sąsiednim pokoju”.

– Sądzę, Dodo – ciągnęła Celia, widząc jedynie, że Dorotea odchyliła się głęboko w fotelu, sprawiając wrażenie zubożonej – że pan Casaubon był złośliwy. Nigdy go nie lubiłam, tak samo jak i James. Miał okropnie złośliwe kąciki ust. A teraz, kiedy postąpił w ten sposób, myślę, że religia nie wymaga od ciebie, byś się przez niego smuciła. Jeśli został zabrany z tego świata, to łaska boska, i powinnaś być za to wdzięczna Opatrzności. My się nie będziemy smucić, prawda, synku? – zwróciła się w zaufaniu do tego nieświadomego centrum równowagi świata, który miał niezwykle piąstki, obie w komplecie, łącznie z paznokciami, i dosyć włosków – naprawdę – kiedy mu się zdjęło czepeczek, by wyglądać – właściwie jak kto? – krótko mówiąc, jak Budda w zachodnim wydaniu.

W tym kryzysowym momencie zaanonsowano przybycie Lydgate’a, który niemal od progu powiedział:

– Obawiam się, że czuje się pani gorzej niż poprzednio. Czy coś panią wzburzyło? Proszę pozwolić, że zbadam pani puls. – Ręka Dorotei była zimna jak marmur.

– Ona chce jechać do Lowick i przeglądać dokumenty – oznajmiła Celia. – Nie powinna, prawda?

Lydgate nie odpowiadał przez chwilę. Potem spojrział na Doroteę.

– Nie bardzo wiem. Moim zdaniem pani Casaubon powinna robić to, co jej przyniesie największy spokój umysłu. Ten spokój nie przychodzi

wtedy, kiedy się pacjentowi zabrania działać.

– Dziękuję – odparła Dorotea z wysiłkiem. – To mądre zalecenie. Jest tyle spraw, którymi powinnam się zająć. Czemu miałabym tu beczynnienie siedzieć? – Potem, starając się znaleźć temat niezwiązany z jej zdenerwowaniem, dodała nagle: – Pan zna wszystkich w Middlemarch, prawda? Będę pana prosiła, by mi pan wiele rzeczy powiedział. Mam teraz poważne sprawy do załatwienia. Jest prebenda, na którą muszę znaleźć duszpasterza. Pan zna pastora Tyke i wszystkich... – lecz wysiłek okazał się dla Dorotei zbyt wielki, załamała się i wybuchnęła szlochem.

Lydgate podał jej sole trzeźwiące.

– Niech pani Casaubon robi, na co ma ochotę – powiedział sir Jamesowi, z którym, na swoją prośbę, zobaczył się przed wyjściem. – Sądzę, że potrzebuje swobody bardziej niż jakichkolwiek innych wskazań.

Opieka lekarska, jaką otaczał Dorotę w okresie, gdy jej umysł był tak rozgorączkowany, pozwoliła mu wysnuć trafne wnioski co do tego, jakie musiała przechodzić ciężkie próby. Był pewny, że cierpiała wskutek ogromnego napięcia i narzuconej sobie samokontroli i że jest całkiem prawdopodobne, iż teraz uzna się za zakładniczkę innych zobowiązań niż te, od których została właśnie uwolniona.

Sir Jamesowi było o tyle łatwiej wykonać zalecenie lekarza, że dowiedział się od Celii, iż Dorotea już wie o sprawie testamentu. Nie było więc rady – nie było powodu, aby odwlekać załatwienie niezbędnych spraw. Następnego dnia zgodził się – od razu, gdy go poprosiła – zawieźć ją do Lowick.

– Nie pragnę wcale tam zostawać, przynajmniej nie teraz – tłumaczyła. – Nie zniosłabym tego. O wiele mi lepiej we Freshitt z Celią. Będę mogła z odległości skuteczniej przemyśleć to, co powinno być zrobione w Lowick. I chciałabym pobyć trochę w Tipton ze stryjaszkiem, wrócić na jakiś czas na stare ścieżki i do ludzi we wsi.

– Może lepiej jeszcze nie teraz. Twój stryj obraca się w towarzystwie politycznym i lepiej ci będzie trzymać się od tego z daleka – odparł sir James, który w tym momencie myślał o Tipton przede wszystkim jako o miejscu, gdzie często przebywa młody Ladisław. Ani słowo nie padło między sir Jamesem i Dorotką na temat niestosownego kodycyłu; w gruncie rzeczy obydwójce czuli, że trudno byłoby nawet o nim wspomnieć. Sir James był człowiekiem nieśmiałym i nawet w męskim gronie nie lubił mówić o przykrych sprawach, a jedyna rzecz, jaką Dorotka chciałaby powiedzieć, gdyby w ogóle doszło do takiej rozmowy, nie wchodziła w grę, gdyż uwidoczniłaby jeszcze wyraźniej niesprawiedliwość jej męża. A jednak chciała, by sir James dowiedział się o jej rozmowie z panem Casaubonem na temat moralnych praw Willa Ladysława do majątku; wówczas, sądziła, byłoby dla szwagra oczywiste, równie oczywiste, jak dla niej, że dziwne i niedelikatne zastrzeżenie jej męża wzięło się przede wszystkim z upartej odmowy uznania tych praw, a nie z osobistych uczuć, o których niełatwo jest mówić. Trzeba też przyznać, że Dorotka chciała, aby to było wiadome również ze względu na Willa, gdyż jej najbliżsi biorą go najwidoczniej wyłącznie za przedmiot miłosierdzia pana Casaubona. Czemu miałyby być porównywane do Włocha wożącego białe myszki? Te zacytowane jej przez Celię słowa pastrowej Cadwallader wydawały się prześmiewczą kpinką wypisaną w ciemnościach psotną ręką.

W Lowick Dorotka przeszukała biurko i szuflady – przeszukała wszystkie miejsca, gdzie jej mąż chował swoje papiery prywatne, nie znalazła jednak nic, co by było do niej adresowane z wyjątkiem owego *Katalogu synoptycznego*, który stanowił zapewne tylko początek licznych wskazówek, jakie pan Casaubon zamierzał jej zostawić. Przygotowując ten legat roboty dla Dorotki, pan Casaubon był, jak we wszystkim innym, powolny i niezdecydowany: robiąc plan przekazania jej pracy, jak również sam ją wykonując, miał przygniatającą świadomość, że

porusza się opornie w mglistej, lepkiej substancji: jego niewiarę w to, by Dorotea umiała uporządkować wszystko, co jej przygotował, umniejszała jedynie nieufność do jakiegokolwiek innego redaktora. Wreszcie jednak znalazł sobie gwaranta w naturze Dorotei: ona jest zdolna wykonać to, co postanowi. Wyobrażał sobie chętnie, jak się będzie trudzić w okowach obietnicy, wznosząc grobowiec z jego imieniem na płycie. (Co nie znaczy, by pan Casaubon nazywał przyszłe tomy swoim grobem, nie, on je nazywał *Kluczem do wszystkich mitologii*). Czas go jednak prześcignął i plan był spóźniony: pan Casaubon zdążył tylko poprosić o obietnicę, która miała sprawić, że będzie dalej trzymał życie Dorotei w zimnym uchwycie.

Lecz uchwyt zelżał, przestał istnieć. Gdyby związała się obietnicą, złożoną z głębi współczującego serca, byłaby zdolna podjąć trud, który jak jej podsuwał rozum, nie mógł przynieść żadnego pożytku prócz uświęcenia wierności, będącej pożytkiem największym. Lecz rozumem jej nie kierowało już teraz uległe oddanie, tylko budzące zawziętość odkrycie, że w jej niedawnym związku czaiła się odstręczająca podejrzliwość. Już nie stał przed nią żywy, cierpiący człowiek, budzący jej litość; pozostała tylko pamięć przykrej zależności od męża, który żywił myśli nędzniejsze, niż sądziła, i którego wygórowane żądania przesłoniły nawet pedantyczną dbałość o reputację i sprawiły, że zaprzedał dumę, wywołując oburzenie ludzi honoru. Jeśli zaś idzie o majątność, która była znakiem tych zerwanych więzów, chętnie by się od niej uwolniła i pozostała przy własnym majątku, odziedziczonym rodzinnym zapisem – gdyby nie obowiązki, łączące się z własnością, od których nie powinna się uchylać. W związku z majątkiem nasuwało się natrętnie wiele kłopotliwych pytań: czy nie miała słuszności, uważając, że połowa powinna się dostać Willowi Ladisławowi? Ale dziś jest już chyba niemożliwe dokonanie tego aktu sprawiedliwości. Pan Casaubon zastosował środki skuteczne i okrutne,

by to udaremnić: nawet czując w sercu oburzenie na zmarłego męża, nie mogła myśleć bez niechęci o jakimkolwiek postępku, który byłby triumfalnym obejściem jego decyzji.

Zebrała wszystkie dotyczące interesów dokumenty, jakie chciała jeszcze przejrzeć, i zamknęła z powrotem na klucz biurko i szuflady męża – gdzie nie było ani jednego osobistego słowa do niej, najmniejszego znaku, że w tych samotnych rozmyślaniach jego serce wybiegło do niej w odruchu skruchy czy chęci wyjaśnień – i wróciła do Freshitt ze świadomością, że wokół jego ostatniego surowego żądania i niesprawiedliwej próby zapewnienia sobie władzy zaległa nieprzerwana cisza.

Pragnęła obrócić teraz myśli ku najpilniejszym obowiązkom, a o jednym z nich ktoś zechciał jej przypomnieć. Lydgate chętnie złowił uchem wzmiankę o beneficjum i przy pierwszej nadarzającej się okazji podjął ten temat, widząc sposobność zadośćuczynienia za ów oddany niegdyś głos, który nie ze wszystkim pozostawił jego sumienie w spokoju.

– Zamiast opowiadać pani o pastarze Tyke – zaczął – chciałbym powiedzieć coś o innym człowieku, o pastarze Farebrotherze, wikarym kościoła Świętego Botolpha. Beneficjum jest niewielkie, pozwala na bardzo skromne utrzymanie jego i rodziny. Mieszka z nim matka, ciotka i siostra – wszystkie na jego utrzymaniu. Wydaje mi się, że dlatego się nie ożenił. Nigdy nie słyszałem lepszego kaznodziei, mówi tak zwyczajnie i swobodnie. Byłby właściwym kaznodzieją po starym Latimerze^[99], przy krzyżu Świętego Pawła. Mówi równie dobrze, na wszystkie tematy, oryginalnie, prosto, jasno. Uważam go za niezwyklego człowieka: powinien dojść do czegoś więcej, niż doszedł.

– Czemu nie doszedł? – spytała Dorotea, ciekawa teraz wszystkich, którzy nie osiągnęli tego, do czego dojść chcieli.

[99] Hugh Latimer, znany z prostych i dobrych kazań wygłaszanych przy krzyżu przed katedrą Świętego Pawła.

– To niełatwe pytanie – odparł. – Ja sam teraz widzę, jak ogromnie trudno jest wprowadzić w życie słuszne zamysły, tyle różnych sprężyn działa jednocześnie. Farebrother często napomyka, że obrał był niewłaściwy zawód; pragnąłby szerszych możliwości niż te, jakie są dostępne ubogiemu duchownemu, a wydaje mi się, że nie ma żadnych dodatkowych dochodów, które by mu to ułatwiły. Ogromnie lubi historię naturalną, ciekawia go zagadnienia naukowe i nie bardzo może pogodzić tych upodobań z takimi zarobkami, jakie ma obecnie. Nie jest w stanie nic odłożyć, ledwo wiąże koniec z końcem i to przywiodło go do gry w karty – w Middlemarch dużo się grywa w wista. On gra o pieniądze i często wygrywa. To, rzecz jasna, skazuje go na nieliczące z nim towarzystwo i sprawia, że niekiedy okazuje w pewnych rzeczach niedbałość; jednak, przy tym wszystkim, myślę, że jest jednym z najczystszych ludzi, jakich kiedykolwiek w życiu spotkałem. Nie ma w nim ani jadu, ani dwulicowości, cech, które często kryją się pod bardzo poprawnym wyglądem zewnętrznym.

– Zastanawiam się, czy sumienie nie dręczy go z powodu tego nałogu – rozmyślała na głos Dorotea. – Ciekawam, czy chciałby się go wyzbyć.

– Nie mam wątpliwości, że wyzbyłby się go, gdyby się znalazł w dostatku: rad byłby mieć czas na inne rzeczy.

– Stryj powiada, że pastora Tyke nazywają człowiekiem żarliwie apostołskim – mówiła w zamyśleniu Dorotea. Pragnęła, by możliwy był powrót do czasów prymitywnej gorliwości, a jednocześnie myślała o pastorze Farebrotherze, przejęta gorącym pragnieniem ratowania go przed tymi pieniędzmi z hazardu.

– Nie będę udawał, że Farebrother to żarliwy apostoł – stwierdził Lydgate. – Przyjęta przez niego postawa nie jest postawą apostoła: on jest po prostu pastorem pośród parafian, których życie musi poznawać i czynić lepszym. Dochodzę do wniosku, że praktycznie biorąc, to, co

się dzisiaj nazywa apostołstwem, to niechęć do wszystkiego, w czym pastor nie odgrywa głównej roli. Widzę taką postawę u pastora Tyke w szpitalu; jego doktryna w dużej części sprowadza się do tego, by dawać się ludziom mocno we znaki, i w ten przykry sposób przypominać im o jego istnieniu. Poza tym – żarliwy apostoł w Lowick! Powinien uważać jak święty Franciszek, że trzeba mówić kazania patkom.

– To prawda – przyznała Dorotea. – Trudno sobie wyobrazić, jakie pojęcia wynoszą nasi farmerzy i najmici z takich nauk. Przeglądałam tom kazań pastora Tyke: na nic się one nie zdadzą w Lowick. Mam na myśli, na przykład, ten o sprawiedliwości przypisanej i o prorocत्वach z Apokalipsy. Często myślę, w jak różny sposób można nauczać chrześcijaństwa, i kiedy znajduję taki, który skuteczniej sprawia, że staje się ono błogosławieństwem, uważam, że jest najrzetelniejszy, bo zawiera najwięcej dobra wszelkiego rodzaju i przyciąga najwięcej ludzi do udziału w nim. Niewątpliwie lepiej jest zbyt wiele wybaczać niż zbyt wiele potępiać. Ale chciałabym zobaczyć pastora Farebrothera i posłuchać jego kazania.

– Niechże pani to zrobi. Ufam, jaki będzie rezultat. To człowiek otoczony miłością, ale ma również wrogów: wszędzie są ludzie, którzy nie mogą wybaczyć zdolnemu człowiekowi, że się od nich różni. A ta sprawa z graniami o pieniądze to istotnie skaza. Pani, rzecz jasna, rzadko widuje mieszkańców Middlemarch, ale pan Ladislaw, który przecież nieustannie jest w kontakcie z panem Brooke, to wielki przyjaciel starszych pań z rodziny pastora Farebrothera i z pewnością chętnie będzie wyśpiewywał o nim hymny pochwalne. Jedną z tych starszych pań, panna Noble, ciotka pastora, to osobliwy obraz bezinteresownej dobroci i Ladislaw od czasu do czasu towarzyszy jej szarmancko na mieście. Spotkałem ich kiedyś w bocznej uliczce. Pani wie, jak Ladislaw wygląda: coś w rodzaju Dafnisa w surducie i kamizeli, a ta malutka stara panna sięga mu do ramienia,

wyglądali jak para z jakiejś romantycznej komedii. Ale najlepszym dla Farebrothera świadectwem będzie, jeśli się go zobaczy i usłyszy.

Na szczęście Dorotea znajdowała się w swojej prywatnej bawialni i niewinne wprowadzenie do rozmowy osoby Ladislawa nie zabolalo jej, tak jak by to się stało przy kimś trzecim. Lydgate zapomniał ze szczętem o uwadze Rozamundy, że Will chyba adoruje panią Casaubon – zawsze puszczał w niepamięć plotki tyżące osobistych spraw. W tym momencie chodziło mu tylko o to, by jak najlepiej zarekomendować rodzinę pastora Farebrothera; rozmyślnie też podkreślił to, co można by pastorowi zarzucić, chcąc uprzędzić zastrzeżenia. Podczas tygodni, które upłynęły od śmierci pana Casaubona, rzadko widywał Ladislawa i nie słyszał pogłosek, które by go ostrzegły, iż osoba zaufanego sekretarza pana Brooke to zakazany temat w rozmowie z panią Casaubon. Po wyjściu Lydgate'a ten obraz Ladislawa pozostał w jej myślach i walczył o lepsze z problemem beneficjum w Lowick. Co Will Ladislaw myśli o niej? Czy dowie się o tym, co sprawia, że policzki jej płoną jak jeszcze nigdy w życiu? I co będzie czuł, kiedy się dowie? Ale widziała najwyraźniej w świecie, jak się uśmiecha z góry do malutkiej starej panny. Włoch wożący białe myszki! Też! Wprost przeciwnie, to człowiek, który okazuje należną uwagę uczuciom innych ludzi i umie przyjąć ciężar ich myśli zamiast narzucać im własne z żelaznym uporem.

ROZDZIAŁ LI

Partia jest jak Natura; wskazuje Logika,
Że Zgodność obu ściśle z ich sensu wynika.
W obu jest Wielość w Jednym i w Wielości Jedno.
Lecz Każde nie jest Wszystkim – oto rzeczy sedno;

W obu Rodzaj przeróżne zawiera Gatunki,
Te poślednie, te lepsze, niczym winne trunki,
A Każdy dyferencję szczególną posiada.
Różni się Ten od Niego, a Ty od Sąsiada,
Choć głosujecie TAK obaj – a więc On i Ty,
Jak dwa i dwa jesteście, lub jak trzy i trzy.

Żadne plotki o testamencie pana Casaubona nie doszły jeszcze uszu Willa; rozwiązanie Parlamentu i nadchodzące wybory przesłaniały wszystko, jarmarki i targi wypełniał konkurujący zgiełk widowisk objazdowych, toteż odgłosy prywatnych wydarzeń nie przyciągały niczyjej uwagi. Nadchodziły słynne „wybory o suchym gardle”^[100], w których niska linia powodziowa alkoholu miała być miarą głębi uczuć społecznych. Will Ladislaw zaliczał się w tym czasie do ludzi najbardziej zajętych i choć wdowieństwo Dorotei bezustannie zaprzętało jego myśli, nie chciał, by ktokolwiek rozmawiał z nim na ten temat; kiedy więc Lydgate odszukał go, by mu powiedzieć, co się wydarzyło w związku z beneficjum Lowick, odparł z pewnym rozdrażnieniem:

– Czemu mnie pan o tym informuje? Nie widuję pani Casaubon i
[100] Kandydaci nie musieli „stawiać” wyborcom, ponieważ nie było większego zainteresowania wyborami.

mało jest prawdopodobne, bym ją spotkał, ponieważ ona jest we Freshitt. Nigdy tam nie bywam. To jest torysowski teren, na którym ja i *Pionier* jesteście równie mile widziani, co kłusownik i jego strzelba.

Rzecz w tym, że Will stał się teraz jeszcze bardziej przewrażliwiony, zauważył bowiem, że pan Brooke, zamiast jak dawniej zapraszać go do Tipton części, niż to było Willowi w smak, teraz robił, co mógł, by widzieć go tam jak najrzadziej. Było to wykrętne ustępstwo wobec gniewnych wyrzutów sir Jamesa, a Will, uczulony na najdrobniejszą aluzję w tej kwestii, uznał, że pragną go trzymać z dala od Tipton ze względu na Dorotę. A więc jej rodzina patrzy nań podejrzliwie? Zbędne obawy! Bardzo się mylą, jeśli sobie wyobrażają, że mógłby pojawić się jak niebieski ptak, bez pensa przy duszy, próbujący zdobyć względy bogatej kobiety.

Will nie zdawał sobie w pełni sprawy z przepaści, jaka go dzieli od Dorotei, dopóki nie stanął na skraju tej przepaści i nie zobaczył Dorotei na drugim brzegu. Zaczął się teraz zastanawiać, nie bez dojmującego gniewu, nad wyjazdem stąd; nie mógłby dzisiaj okazywać Dorotei zainteresowania, nie budząc jednocześnie nieprzyjemnych posądzeń – może nawet powstałyby one w jej umyśle, niewątpliwie zatruwanym przez bliskich.

„Jesteśmy rozdzieleni na wieki – powiedział do siebie Will. – Równie dobrze mógłbym się znajdować w Rzymie, nie byłaby dalej ode mnie”. Lecz to, co nazywamy rozpaczą, bywa jedynie bolesnym łaknieniem zgłodniałej nadziei. Istniało wiele powodów, dla których nie powinien wyjeżdżać, społecznych powodów, dla których nie powinien opuszczać swego posterunku i zostawiać pana Brooke na pastwę losu w momencie, kiedy potrzebował „treningu” przed wyborami, w momencie, kiedy trzeba było tak usilnie zabiegać o głosy, zarówno pośrednio, jak i bezpośrednio. Nie mogła się podobać Willowi myśl o porzuceniu swoich szachów w

środku rozgrywki; każdy kandydat prawicy, posiadający mózg i szpik kostny zmiękczone na tyle, na ile to do pogodzenia z postawą dżentelmena, mógł przeważać szalę. Trenowanie pana Brooke, pilnowanie, by trwał niewzruszenie przy zasadzie, że zobowiązuje się do głosowania za tą oto ustawą o reformie wyborczej, zamiast podkreślać ustawicznie swoją niezależność i zdolność powstrzymywania się w czas, nie było łatwym zadaniem. Przepowiednia pastora Farebrothera o czwartym kandydacie wyciągniętym z worka jeszcze się nie sprawdziła, gdyż ani Towarzystwo Kandydatury Parlamentarnej, ani żadna inna siła, pragnąca zdobyć większość dla sprawy reformy, nie widziała powodu, by komplikować sprawę w sytuacji, gdy jest drugi kandydat popierający reformę, taki jak pan Brooke, który będzie prowadził kampanię wyborczą na własny koszt. Rozgrzywka toczyła się więc wyłącznie między Pinkertonem, poprzednim posłem torysów, Bagsterem, nowym posłem wigów, wybranym w ostatnich wyborach, oraz panem Brooke, przyszłym posłem niezależnym, który miał przyjąć zobowiązanie tylko w tej jednej sprawie. Pan Hawley i jego stronnictwo skupią wszystkie siły na wprowadzeniu z powrotem Pinkertona do Parlamentu, a pan Brooke mógł zwyciężyć albo dzięki wyborcom, którzy głosując na jednego tylko kandydata zamiast na dozwolonych kilku, odsuną Bagstera, albo też dzięki przekształceniu głosów torysowskich w głosy proreformatorskie. To ostatnie wyjście byłoby, rzecz jasna, bardziej pożądane.

Owa możliwość konwersji głosów budziła niebezpieczne zamieszanie w umyśle pana Brooke: jego przekonanie, że ludzie chwiejni mogą być pozyskiwani chwiejnymi oświadczeniami, oraz skłonność chwytania się sprzecznych argumentów, w miarę jak przychodziły mu na pamięć, sprawiały Willowi wiele kłopotu.

– Powiadam panu, w tych sprawach trzeba być taktykiem – mówił pan Brooke. – Trzeba wychodzić ludziom naprzeciw, temperować swoje

wypowiedzi, mówić: „owszem, tak, coś w tym jest”, i tak dalej. Zgadzam się, że okazja jest szczególna: kraj, który wie, czego chce, unie polityczne i takie tam sprawy, ale my niekiedy dokonujemy zbyt ostrych cięć. Na przykład właściciele tych nieruchomości, które przynoszą dziesięć funtów rocznie^[101]. Dlaczego dziesięć? Trzeba gdzieś przeprowadzić granicę, rozumiem, ale dlaczego właśnie obstawać przy dziesięciu? To bardzo trudne pytanie, jeśli w nie głębiej wniknąć.

– Oczywiście – przytaknął niecierpliwie Will – ale jeśli chce pan czekać na logiczną ustawę, musi pan się pokazać jako rewolucjonista, a wówczas Middlemarch pana nie wybierze. Jeśli zaś idzie o lawirowanie, to nie jest czas na to.

Pan Brooke zawsze się w końcu zgadzał z poglądem Ladislawa, którego w dalszym ciągu uważał za kogoś w rodzaju Burke’a z zadatkiem na Shelleya, lecz po pewnym czasie wracała mu wiara w rozumność własnych metod i ponownie ulegał pokusie, by je ufnie stosować. Na obecnym etapie rozwoju spraw dobry nastrój go nie opuszczał i nawet pozwalał mu pogodzić się z poważnymi wydatkami; dotychczas bowiem jego umiejętności dowodzenia i przekonywania nie przeszły prób cięższych niż prezentowanie kolejnych mówców, gdy przewodniczył zebraniom, lub dyskutowanie z wyborcami z Middlemarch, z których to rozmów wracał zawsze przekonany, że jest urodzonym taktykiem, i żałował, iż wcześniej się nie był zabrał do spraw tego rodzaju. Miał jednak niejasną świadomość własnej przegranej z panem Mawmseyem, głównym reprezentantem tej wielkiej siły społecznej w Middlemarch, jaką jest handel detaliczny i – również – jednym z najbardziej niezdecydowanych wyborców okręgu. Pan Mawmsey bowiem ze swej strony chciał dostarczać te same ilości herbaty i cukru reformistom co antyreformistom,

[101] Reforma wyborcza dawała prawo głosu właścicielom nieruchomości, przynoszących nawet dziesięć funtów rocznego dochodu.

jak również być z jednymi i drugimi w bezstronnej zgodzie, i czuł, jak dawni mieszczanie, że konieczność wybierania posłów „wielkim jest miastu ciężarem”: gdyby bowiem nie było nawet niebezpieczeństwa w tym, że się przed wyborami podtrzymuje nadzieje obu stronnictw, przyjdzie wreszcie przykra konieczność sprawienia zawodu ludziom szacownym, których nazwiska widnieją w jego księgach. Zwykł był otrzymywać duże zamówienia od pana Brooke z Tipton, jednakowoż w komitecie Pinkertona było wielu, których poglądy miały pokaźny ciężar zakupionych towarów spożywczych. Pan Mawmsey uważał, iż pan Brooke „intelektem nie grzeszy”, dzięki czemu będzie bardziej skłonny wybaczyć kupcowi, który, pod naciskiem konieczności, oddał głos na przeciwnika; zaczął więc mu się zwierzać w kantorku za sklepem.

– Jeśli idzie o reformę, wielmożny panie, jak się na nią patrzy w świetle rodzinnym – mówił, pobrzękując drobnymi w kieszeni i uśmiechając się grzecznie – to czy ona utrzyma moją żonę i pozwoli jej wychować sześcioro dzieci, kiedy mnie zabraknie? Stawiam takie *fiksacyjne* pytanie, wiedząc, jaka musi być odpowiedź. Więc dobrze, wielmożny panie, ja pytam, co mam, jako ojciec i mąż, zrobić, kiedy przychodzi do mnie pewien dżentelmen i powiada: „Rób jak chcesz, Mawmsey, ale jeśli będziesz głosował przeciwko nam, zacznę kupować gdzie indziej: kiedy słodzę mój trunek, lubię mieć poczucie, że przysługuję się ojczyźnie, dając zarobić kupcowi o właściwych poglądach”. Te dokładnie słowa usłyszałem, wielmożny panie, z tego właśnie krzesła, na którym w tej chwili wielmożny pan siedzi. Oczywiście nie od wielce szanownego jaśnie pana.

– Doprawdy, cóż za, ma się rozumieć, małoduszność. Dopóki mój kucharz nie poskarży mi się na pański towar, panie Mawmsey – pocieszał kupca pan Brooke – dopóki się nie dowiem, że pan sprzedaje zły cukier, korzenie, tego rodzaju rzeczy, nigdy go nie pošlę pod inny adres.

– Wielmożny panie, uniżony pański sługa i wielce zobowiązany – podziękował pan Mawmsey, czując, że scena polityczna zaczyna się nieco rozjaśniać. – Byłoby przyjemnie głosować na dżentelmena, który przemawia w tak szlachetny sposób.

– Ale wie pan, panie Mawmsey, myślę, że uzna pan za rzecz słuszną przejście na naszą stronę. Reforma z czasem dotknie każdego, to jest krok, który się cieszy wielką popularnością, coś w rodzaju ABC, ma się rozumieć, coś, co musi przyjść najpierw, żeby potem mogła przyjść reszta. Całkiem się zgadzam, że powinien pan ją widzieć w świetle rodzinnym, ale weźmy pod uwagę ducha obywatelskiego. Jesteśmy wszyscy jedną wielką rodziną, ma się rozumieć, mamy jedną wspólną spiżarnię. Taka sprawa jak głosowanie, na przykład, przecież dzięki niemu ludzie na Przyłądku mogą zrobić pieniądze, nie wiadomo, co przyniesie oddany głos – zakończył pan Brooke z poczuciem, że się trochę pogubił, lecz mimo to rozmowa sprawia mu w dalszym ciągu przyjemność. Pan Mawmsey jednak odparł tonem zdecydowanego sprzeciwu:

– Bardzo przepraszam, wielmożny panie, ale mnie na to nie stać. Kiedy oddaję głos, muszę wiedzieć, co robię. Muszę pilnować, jaki będzie tego skutek w mojej kasie i księgach, za pozwoleniem wielmożnego pana. Co do cen, przynajmniej nikt ich nie może przewidzieć, nagle spadają, kiedy człowiek kupił rodzyнки, a to jest towar, który długo nie poleży. Ja sam się nie mogę połapać w tych wszystkich kombinacjach, a to jest przykre dla ambitnego człowieka. Ale jak mowa o jednej rodzinie, to przecież jest i wierzyciel, i dłużnik, i jeśli by to się miało wyreformować, to wołałbym głosować za tym, żeby wszystko zostało, jak jest. Niewielu ludzi potrzebuje tak mało zmian jak ja, mówiąc prywatnie, to znaczy, zmian dla siebie i rodziny. Nie jestem z tych, co nie mają nic do stracenia, to znaczy, pod względem ludzkiego szacunku w parafii i w interesach, a już żadną miarą pod względem szacunku i zamówień wielmożnego pana,

które mi wielmożny pan był łaskaw przyobiecać na przyszłość, wszystko jedno, na kogo będę głosował, byleby towar był jak się patrzy.

Po tej rozmowie pan Mawmsey poszedł na górę i chwalił się żonie, że zapędził w kozi róg pana Brooke z Tipton i że teraz już mu niestraszno iść do wyborów.

Pan Brooke zaś powstrzymał się w tym wypadku od wychwalania swej taktyki przed Ladislawem, który z kolei chętnie sobie wytłumaczył, że zabieganie o głosy dotyczy go jedynie w zakresie dostarczania argumentów i że on sam nie posługuje się żadnymi marnymi sztuczkami, tylko wiedzą. Pan Brooke, oczywista, miał swoich agentów, znających naturę wyborcy z Middlemarch i sposoby, za pomocą których można było pozyskać dla reformy jego ignorancję, a sposoby te były niezwykle podobne do tych, jakimi można go było pozyskać przeciwko reformie. Will zatykał sobie uszy. Zbytnią aktywność naszej wyobraźni wokół tego, jak funkcjonuje czy to Parlament, czy to nasz przewód pokarmowy, mogłaby zahamować nasze życie niemal całkowicie, łącznie zjedzeniem i odziewaniem. Na świecie pełno jest ludzi o brudnych rękach do załatwiania brudnych spraw, a Will obiecywał sobie uroczyście, iż jego udział w wyborach pana Brooke będzie nieskazitelnie uczciwy.

Lecz wydawało mu się ogromnie wątpliwe, czy w ten sposób uda mu się przyczynić do przecignięcia większości na właściwą stronę. Napisał wiele mów oraz konspektów mów, zaczął jednak rozumieć, że jeśli umysł pana Brooke zostanie obciążony koniecznością zapamiętania jakiegoś łańcucha myśli, to najpierw od niego odstąpi, potem zacznie go szukać i wreszcie, nieprędko, znajdzie. Zbieranie dokumentów – to jeden sposób służenia krajowi, lecz zapamiętywanie ich treści – to drugi. Nie! Jedyna recepta na to, by pan Brooke przywołał właściwy argument we właściwym momencie, to zapchanie mu głowy tymi argumentami tak, by nie mógł w niej nic więcej upchnąć. Trudność jednak polegała na tym, że nie dawało

się zmieścić nawet owych argumentów, tyle tam już było innych rzeczy. Sam pan Brooke zauważył, że jego idee są mu raczej przeszkodą podczas przemówień.

Dotychczasowa praca Ladislawa miała wkrótce zostać poddana próbie, gdyż w przeddzień nominacji pan Brooke miał przemówić do szacownych wyborców z Middlemarch z balkonu gospody Pod Białym Jeleniem, usytuowanego bardzo awantażownie w rogu rynku, a górującego nad jego dużą częścią oraz dwoma zbiegającymi się ulicami. Był piękny majowy poranek i wszystko się doskonale zapowiadało: istniała pewna nadzieja na porozumienie między komitetami Bagstera i Brooke'a, popierane powagą takich osobistości jak pan Bulstrode i pai? Standish, prawnik liberalny, oraz takich fabrykantów jak pan Plymdale i pan Vincy – co niemal równoważyło pana Hawleya i jego kompanów, zasiadających w komitecie Pinkertona Pod Zielonym Smokiem. Pan Brooke świadom był, że osłabił nieprzyjacielskie ryki *Trąbki*, przeprowadzając w ostatnim półroczu pewne reformy na terenie swojej posiadłości ziemskiej, toteż słysząc trochę wiwatów, gdy wjeżdżał do miasta, poczuł lekkość w sercu pod tabaczkową kamizelą. Ale tak często bywa w krytycznych momentach, że decydujące chwile wydają się błogo odległe aż do końca.

– Nieźle to wygląda, co? – mówił pan Brooke, gdy tłum się zbierał. – Tak czy inaczej będę miał dobre audytorium. To mi się, w rzeczy samej, podoba: publiczność złożona z własnych sąsiadów!

Tkacze i garbarze z Middlemarch, odmiennie niż pan Mawmsey, nigdy nie uważali pana Brooke za sąsiada i czuliby się tak samo z nim związani, gdyby go im przysłano pocztą z Londynu. Słuchali jednak, nie podnosząc zgiełku, mówców prezentujących kandydata, choć jeden z nich – polityczna osobistość z Brassing – ten, co przyjechał, by pouczyć miasto Middlemarch o jego obowiązkach – przemawiał tak wyczerpująco, że strach było myśleć, co jeszcze kandydat znajdzie po nim do powiedzenia.

Tymczasem tłum gęstniał, a w miarę jak przemówienie politycznej osobistości zbliżało się do końca, pan Brooke zaczął doświadczać nadzwyczajnej zmiany swoich wrażeń, mimo iż w dalszym ciągu trzymał w ręku monokl, przerzucał leżące przed nim papiery i wymieniał uwagi ze swym komitetem, jak człowiek, któremu jest obojętne, kiedy zostanie wezwany.

– Wypiję jeszcze jeden kieliszek sherry – zwrócił się ze swobodną miną do Willa, który stał już za nim i natychmiast mu podał ów rzekomo wzmacniający napój. Był to jednak błąd; pan Brooke bowiem nie zwykł pić alkoholu i drugi kieliszek sherry w niedługim czasie po pierwszym okazał się dla jego organizmu niespodzianką, powodującą raczej rozproszenie sił niż ich koncentrację. Należy mu doprawdy współczuć: tak wielu angielskich dżentelmenów ściąga nieszczęście na własną głowę, przemawiając wyłącznie z pobudek osobistych. A przecież pan Brooke pragnął służyć swemu krajowi, kandydując do Parlamentu, co, w gruncie rzeczy, można robić również z pobudek osobistych, gdy się jednak człowiek na to zdecyduje, to już koniecznie musi przemawiać.

Nie o początek przemówienia lękał się pan Brooke; początek na pewno pójdzie dobrze, będzie udany, prosty i zręczny jak kuplety z Pope'a. Zaokrętowanie będzie łatwe, lecz wizja otwartego morza, które przyjdzie potem, była przerażająca. „Pytania – pomyśleć tylko – pytania... – syknął demon, który właśnie mu się obudził w żołądku. – Ktoś może postawić pytanie o załączniki do ustawy”.

– Ladislaw! – ciągnął teraz na głos – proszę o notatkę na temat załączników do ustawy.

Gdy pan Brooke pojawił się na balkonie, wiwaty były na tyle donośne, by zrównoważyć wrzaski, ryki i kwiki oraz inne wyrazy sprzeciwu ze strony opozycji, które były tak umiarkowane, że pan Standish (niewątpliwie stary wróbel!) szepnął w ucho stojącego najbliżej: „Na

Boga, to groźnie wygląda. Hawley musi mieć jakiś bardzo chytry plan”! Lecz wiwaty budziły uniesienie, a żaden kandydat nie mógł wyglądać bardziej sympatycznie niż pan Brooke, z notatką w kieszonce na piersi, lewą ręką na poręczy balkonu, a prawą kręcącą monoklem. W jego wyglądzie uderzała tabaczkowa kamizela, krótko obcięte blond włosy i fizjonomia bez wyrazu. Zaczął dosyć rezolutnie:

– Panowie wyborcy z Middlemarch!

Był to początek tak właściwy, że krótka po nim przerwa wydawała się oczywista.

– Jestem niezmiernie rad, że się tu znalazłem. Nigdy w życiu nie byłem tak dumny i szczęśliwy, nigdy tak, ma się rozumieć, szczęśliwy.

Był to śmiały zwrot retoryczny, lecz nie ten, którego potrzebował, gdyż, na nieszczęście, gładki początek wysliznął mu się z pamięci; nawet dwuwiersze Pope’a mogą „gdzieś nam umykać, gdzieś się kryć”, gdy strach chwyta nas za gardło, a sherry snuje się jak dym pośród naszych idei. Ladislaw, który stał przy oknie za mówcą, pomyślał: „Wszystko przepadło! Jedyna nadzieja w tym, że nie zawsze najlepsze okazuje się najskuteczniejsze i może akurat tym razem plecenie bzdur przyniesie dobry skutek”. Tymczasem pan Brooke, zawieruszywszy gdzieś wszystkie wskazówki, szukał ratunku w opisywaniu swojej osoby i swoich kwalifikacji, czyli tematach odpowiednich i wdzięcznych dla każdego kandydata.

– Jestem waszym bliskim sąsiadem, moi zacni ludzie, znacie mnie od dawna z sądu. Zawsze dużo czasu poświęcałem sprawom publicznym, maszynom, na przykład, i niszczeniu maszyn, wielu z was interesuje się maszynami, właśnie tym się ostatnio zajmowałem. Nic z tego, ma się rozumieć, nie przyjdzie z niszczenia maszyn. Wszystko musi iść naprzód... kupiectwo, fabryki, handel, wymiana towarów... tego rodzaju rzeczy... od Adama Smitha, to wszystko musi iść naprzód, musimy się

rozglądać po całym świecie... „obserwacja z szerokim polem widzenia”... musimy wszędzie zaglądać „Od Chin do Peru”, jak to ktoś powiedział... Johnson, chyba Johnson, w *Wędrowcu*, ma się rozumieć. Ja tak właśnie, do pewnego stopnia, wędrowałem, nie aż do Peru, nie, ale nie zawsze siedziałem w domu. Rozumiałem, że to nie prowadzi do niczego. Byłem w portach Lewantu, dokąd idą niektóre wasze towary z Middlemarch, a potem byłem nad Bałtykiem. Bałtyk, wystawcie sobie...

Płynąc tak wśród wspomnień, pan Brooke mógł sobie łatwo dać radę i wrócić bez szczególnego trudu z najdalszych mórz; wróg jednak szykował już swoje diabelskie sztuczki. W jednej i tej samej chwili ponad głowami tłumu, niemal naprzeciwko pana Brooke, w odległości dziesięciu jardów od niego ukazała się jego podobizna: tabaczkowa kamizela, monokl, fizjonomia bez wyrazu – wszystko to namalowane na płótnie – a gdzieś, jakby z przestrzeni, dobiegło, niby kukanie kukulki, papuzie echo jego słów, donośne jak głos Puncha. Wszyscy zaczęli spoglądać ku górze, w otwarte okna domów, stojących po przeciwnej stronie zbiegających się ulic, lecz albo świeciły pustką, albo były wypełnione śmiejącymi się słuchaczami. Najniewinniejsze echo zawiera w sobie zawsze szelmowską drwinę, jeśli odbija słowa mówcy trwającego w dostojeństwie, to echo zaś nie było bynajmniej niewinne; nie odzywało się z precyzją naturalnego echa, złośliwie dobierało odbijane słowa. Kiedy rozległo się: „Bałtyk, wystawcie sobie”, śmiech, który przebiegał dotąd przez audytorium, gruchnął powszechnie; gdyby nie otrzeźwiająca myśl o partii i wielkiej sprawie publicznej, którą splot przyczyn kazał identyfikować z „Brookiem z Tipton” – śmiechem zaraziłyby się i komitet. Pan Bulstrode zapytał z naganą w głosie, co też robi ta nowa policja, trudno jednak złapać za kołnierz głos, atak zaś na wizerunek kandydata mógłby mieć podwójny efekt, gdyż Hawley zapewne chciał, aby portret został znieważony.

Pan Brooke znajdował się w sytuacji, w której niełatwo mu było zdać

sobie sprawę z czegokolwiek prócz tego, że idee tłumnie wymykają mu się z głowy: trochę nawet dzwoniło mu w uszach, toteż pozostawał jedyną osobą, która jeszcze nie słyszała wyraźnie echa i nie dojrzała wizerunku na płótnie. Mało jest rzeczy, które tak paraliżują nasze zdolności postrzegania jak niepewność, co mówić dalej. Pan Brooke słyszał śmiechy, ale przecie przewidywał był jakieś torysowskie próby wzniesienia brewerii, w tym momencie zaś podniecało go jeszcze łaskotliwe, elektryzujące poczucie, że zagubiony wstęp wraca, by go przywieść z powrotem znad Bałtyku.

– A to mi przypomina – ciągnął, wsuwając rękę do kieszeni ze swobodną miną – że gdybym szukał, ma się rozumieć, precedensu, ale sprawy słuszne nie wymagają precedensów, więc weźmy na przykład Chathama^[102]; nie mogę powiedzieć, że popierałbym Chathama albo Pitta, Pitta Młodsze^[103] – to nie był człowiek pomysłowy, a my potrzebujemy, ma się rozumieć, pomysłów.

– Do diabła z pomysłami! Chcemy ustawy! – rozległ się grubiański głos z tłumu na dole.

Natychmiast niewidzialny Punch, który dotychczas przedrzeźniał pana Brooke, powtórzył: „Do diabła z pomysłami! Chcemy ustawy!”. Rozległ się śmiech, głośniejszy niż poprzednio, a pan Brooke, który zamilkł, usłyszał wyraźnie po raz pierwszy drwiące echo. Ono jednak zdawało się wyśmiewać tego, który mu przerwał, a więc dodawało kurażu mówcy; pan Brooke odparł uprzejmie:

– Jest coś w tym, coście powiedzieli, mój dobry człowieku. No bo po co mielibyśmy się spotykać, jeśli nie po to, by mówić, co myślimy... wolność poglądów, wolność prasy, swoboda, tego rodzaju rzeczy.

[102] William Pitt, earl of Chatham, tzw. Pitt Starszy (1708-1778), polityk wigowski.

[103] William Pitt, tzw. Pitt Młodszy (1759-1806), dwukrotny premier Anglii.

Ustawa, ma się rozumieć, zaraz będzie pan miał ustawę. – Tu pan Brooke przerwał na chwilę, by włożyć monokl i wyjąć notatki z kieszonki na piersi, przekonany, że jako pragmatyk będzie teraz omawiał szczegóły. Niewidzialny Punch powtarzał:

– Będzie pan miał ustawę, panie Brooke, oraz rachunek za kampanię wyborczą i miejsce poza Parlamentem, na pięć tysięcy funtów siedem szylingów i cztery pence, płatny przy doręczeniu.

Wśród ryków śmiechu pan Brooke poczerwieniał, pozwolił, by monokl mu wypadł, a rozglądając się wokół w pomieszczeniu, dojrzał swój portret, który przysunął się bliżej. W następnej chwili portret został żałośnie obryzganym jajkami. Pan Brooke poczuł przypływ energii i podniósł głos:

– Błazeństwa, sztuczki, wyszydzanie dowodu prawdy... wszystko to bardzo piękne. – W tym momencie paskudne jajko rozbiło się na ramieniu pana Brooke, a echo powtarzało: „wszystko to bardzo piękne”, potem spadł grad jajek, na ogół celowanych w wizerunek, czasem jednak, jakby przypadkiem, trafiających w oryginał. Przez tłum przepychał się strumień nowych ludzi: gwizdy, wrzaski, ryki i piszczałki tworzyły tym większą wrzawę, że usiłowano je uciszyć krzykiem i szamotaniną. Żaden głos nie miałby dość silnych skrzydeł, by się unieść nad ten zgiełk, i pan Brooke, namaszczonej w wyjątkowo przykry sposób, podał tyły. Zawód wywołałby może mniejszą irytację, gdyby cała sprawa nie była tak dziecinnie zabawna. Poważna napaść – taka, którą reporter gazety mógłby opisać, zaręczając, że „atak wystawił na szwank żebra uczonego dżentelmena”, albo donosząc z należnym szacunkiem, iż „podeszwy kamaszy dżentelmena widoczne były ponad poręczą balkonu” – niosłaby może pewną pociechę.

Pan Brooke wszedł do pokoju komitetowego, mówiąc najbardziej beztroskim tonem, na jaki się mógł zdobyć:

– Trochę nie najlepiej mi poszło. Gdyby mi dano więcej czasu,

zdobyłbym uwagę słuchaczy. Przeszedłbym krok po kroku, ma się rozumieć, do ustawy – dodał, spoglądając na Willa. – Ale podczas nominacji wszystko pójdzie dobrze.

Nie uznano jednak jednogłośnie, że wszystko pójdzie gładko podczas nominacji; przeciwnie, komitet miał ponure miny, a polityczna osobistość z Brassing pisała coś pilnie, jakby knuła nowe jakieś fortele.

– To zrobił Bowyer – powiedział wymijająco pan Standish. – Jestem tak pewny, jakbym to wyczytał na afiszu. Niezwykle zdolny brzuchomówca i, na Boga, zrobił to wyjątkowo zręcznie! Hawley zapraszał go ostatnio na kolację. Bowyer to bardzo utalentowany jegomość.

– Ale jakoś nigdy mi pan o nim nie wspominał, boć przecież sam zaprosiłbym go na kolację – powiedział nieszczęsny pan Brooke, który wydał był niejedną kolację dla dobra kraju.

– Nie ma w Middlemarch nikczemniejszego jegomościa niż Bowyer – stwierdził z oburzeniem Ladislaw – ale wydaje się jakoś, że nikczemnicy zawsze decydują o zwycięstwie.

Will był wściekły i na siebie, i na swojego „pryncypała”; wrócił do domu i zamknął się, niemal gotów porzucić *Pioniera* razem z panem Brooke. Po cóż miałyby tu zostawać? Jeśliby ta przepaść między nim i Doroteą miała kiedykolwiek zostać zasypana, to stałoby się to tylko wtedy, gdyby wyjechał i znalazł sobie inne zajęcie zamiast tego tutaj, gdzie jest słusznie pogardzany jako totumfacki Brooke’a. Potem zaczął snuć młodzieńcze marzenia o cudach, jakich mógłby dokonać – w ciągu pięciu lat, na przykład: teraz, gdy życie publiczne rozciągnie się na większe obszary i stanie się sprawą ogólnonarodową, zarówno pisanie, jak wypowiedanie się na tematy polityczne pójdzie wysoko w cenę – mógłby więc tak się wybić, że Dorotea, gdyby ją poprosił o rękę, wcale by się do niego nie zniżała. Pięć lat – gdyby mógł tylko zdobyć pewność, że droższy jej jest niż inni; gdyby jej tylko mógł dać do zrozumienia, że

będzie trzymał się z dala, póki nie ponizając się, będzie jej mógł wyznać swą miłość – wówczas mógłby łatwo wyjechać i rozpocząć karierę, która w wieku dwudziestu pięciu lat wydawała się całkiem prawdopodobna wedle duchowego porządku rzeczy, zgodnie z którym talent przynosi sławę, a sława – wszystko pozostałe, a to pozostałe jest cudowne. Przecież umie przemawiać i umie pisać: potrafiłby, gdyby zechciał, opanować każdy przedmiot, a zawsze pragnął stać po stronie rozsądku i sprawiedliwości, którym poświęci cały swój zapał. Czemu by nie miał, pewnego dnia, zostać uniesiony na ramionach tłumu, czując, że dobrze zasłużył na takie wyróżnienie. Tak, nie ma co się zastanawiać, opuści Middlemarch, pojedzie do Londynu i przygotuje się do roli znakomitości, jadając kolacje w korporacji prawniczej^[104].

Ale nie natychmiast. Najpierw musi wymienić z Dorotą jakiś znak. Nie zazna spokoju, póki ona nie dowie się, dlaczego on by się z nią nie ożenił, nawet gdyby chciała zostać jego żoną. Musi więc pozostać jeszcze na swoim stanowisku i znosić jakiś czas pana Brooke.

Wkrótce jednak zaczął, nie bez racji, przypuszczać, że pan Brooke ubiegł go w pragnieniu zerwania łączącego ich stosunku. Delegacje z zewnątrz i głosy miejscowe wspólnym staraniem skłoniły naszego filantropa do poczynienia śmielszego niż zwykle kroku dla dobra ludzkości, a mianowicie do wycofania się na rzecz innego kandydata, któremu pozostawił do wykorzystania swoją machinę wyborczą. On sam uznał ten krok za śmiały, ale jak zauważył, nerwowe podniecenie silniej mu się odbiło na zdrowiu, niż to był uprzednio przewidywał.

– Odczuwam pewien niepokój w klatce piersiowej, nic dobrego nie wyniknie, jeśli człowiek przeciągnie strunę – tłumaczył Ladislawowi. –

[104] Studenci prawa mieli obowiązek jedzenia kolacji w jednej z czterech korporacji prawniczych w Londynie, przynajmniej trzy razy na kwartał, nim zostali przyjęci w poczet adwokatów.

Muszę spasować. Biedny Casaubon, to było, ma się rozumieć, ostrzeżenie. Poniosłem ciężkie wydatki, ale też przetarłem drogę. To dosyć prostacka robota, ta cała kampania wyborcza, co? Pewny jestem, że ma pan tego dość. Ale jednak przetarliśmy drogę *Pionierem*, pchnęliśmy sprawę na właściwy tor i tak dalej. Teraz może to prowadzić ktoś bardziej przeciętny niż pan, ktoś, ma się rozumieć, bardziej przeciętny.

– Czy pan życzy sobie, abym odszedł? – spytał Will, a krew szybko napłynęła mu do twarzy, gdy wstał od biurka i zrobił kilka kroków z rękami w kieszeniach. – Jestem gotów to zrobić, kiedy tylko pan zechce.

– Jeśli idzie o życzenie, drogi panie Ladislaw, mam najwyższe uznanie dla pańskiego, ma się rozumieć, talentu. Jeśli zaś idzie o *Pioniera*, naradzałem się trochę z ludźmi po naszej stronie. Oni są skłonni przejść pismo, zwrócić mi koszta do pewnego stopnia, poprowadzić je dalej, w rzeczy samej. I w tych warunkach pan zapewne chciałby odejść, znaleźć sobie wdzięczniejsze pole działania. Ci ludzie mogą nie mieć o panu tak wysokiego mniemania jak ja, który uważałem pana za *alter ego*, moją prawą rękę, chociaż zawsze chciałem, żeby pan robił w przyszłości coś innego. Myślę o wyjeździe do Francji. Ale napiszę panu wszelkie listy polecające, ma się rozumieć, do Althorpe’a^[105] i ludzi tego rodzaju. Znam Althorpe’a.

– Jestem panu niezmiernie zobowiązany – odparł dumnie Ladislaw. – Skoro rozstaje się pan z *Pionierem*, nie potrzebuję pana trudzić moimi sprawami. Być może przez jakiś czas jeszcze tu zabawię.

Po wyjściu pana Brooke Will powiedział do siebie: „Rodzina namawiała go, by się mnie pozbył, a dzisiaj moje odejście nie ma już dla niego znaczenia. Zostanę tak długo, jak mi się spodoba. Odjadę z własnej woli, nie dlatego, że się mnie boją”.

[105] John Charles Spencer, wicehrabia Althorpe (1782-1845), przywódca opozycji wigów przeciwko Wellingtonowi.

ROZDZIAŁ LII

...jego serca pogodnego chwała:
Najpokorniejsze brało na się powinności[106].

William Wordsworth, *Londyn 1802*

W ten czerwcowy wieczór, kiedy pastor Farebrother dowiedział się, że dostaje beneficjum w Lowick, zapanowała wielka radość w staroświeckim saloniku i wydawało się, że nawet portrety wielkich prawników patrzą przed siebie z pewną satysfakcją. Matka pastora, nie tknąwszy herbaty i grzanek, siedziała z wdzięczną dystynkcją, jak zwykle, i tylko rumieniec na policzkach i rozjarzone oczy świadczyły ojej uczuciach, przywracając na moment wzruszającą jedność tej starej kobiety z jej odległym, młodym wcieleniem.

– Największa radość, Camden, jest w tym – powiedziała z przekonaniem – że na to zasługujesz.

– Kiedy człowiek dostaje dobre stanowisko, mamó, połowa zasług musi przyjść później – odparł syn, przepelniony radością, której nie próbował ukrywać. Malujące się na jego twarzy zadowolenie miało czynny charakter, jakby energia w nim zawarta nie tylko jaśniała na zewnątrz, ale zapalała od środka aktywną pomysłowość; niemal widziało się i myśli, i szczęście w jego spojrzeniu.

– No, cioteczko – ciągnął, zacierając ręce i spoglądając na pannę Noble, która wydawała cichutkie dyskretne dźwięki, jak bóbr – będziesz miała teraz zawsze na stole cukierki, żebyś mogła je podkraść i rozdawać dzieciom, i dostaniesz wiele nowych pończoch, – abyś mogła z nich robić [106] Przeł. Zygmunt Kubiak.

prezenty, a swoje własne jeszcze skrzętniej niż dotąd cerować.

Panna Noble kiwała głową siostrzeńcowi ze stłumionym, nieco zalęknionym śmiechem, gdyż zdawała sobie sprawę, iż na mocy nowego przywileju wrzuciła już do koszyczka dodatkowy kawałek cukru.

– Jeśli zaś idzie o ciebie, Winny – ciągnął pastor – nie będę stawiał przeszkód twojemu małżeństwu z jakimś kawalerem z Lowick, na przykład panem Salomonem Featherstone, jeśli się tylko dowiem, że jesteś w nim zakochana.

Panna Winifreda, która wpatrywała się przez cały czas w brata i płakała rzewnie, gdyż tak właśnie zwykła wyrażać swoją radość, uśmiechnęła się przez łzy i powiedziała:

– Musisz mi dać przykład, Cam, musisz się teraz ożenić.

– Rad bym z całego serca. Ale która mnie zechce? Takiego starego, sfatygowanego jegomościa. – Pastor wstał i odsunąwszy krzesło, popatrzył po sobie. – Co mamusia powie?

– Jesteś przystojnym mężczyzną, Camden, choć nie masz tak pięknej męskiej figury jak twój ojciec – odparła starsza dama.

– Chciałabym, żebyś się ożenił z panną Garth – oświadczyła panna Winifreda. – Byłoby nam z nią wesoło w Lowick!

– Pięknie! Mówisz tak, jakby młode damy były do wyboru na pęczki, niby kurczaki na targu; wystarczy poprosić i każda mnie zaraz przyjmie. – Pastor wolał nie wymieniać nikogo z nazwiska.

– Nie chcemy każdej – odparła jego siostra. – Ale mamusia byłaby rada z panny Garth, prawda, mamusiu?

– Wybór mojego syna będzie moim wyborem – stwierdziła pani Farebrother z majestatyczną roztropnością – a żonę chętnie powitamy, Camden. Będziesz chciał grywać w wista w domu, kiedy się przeniesiemy do Lowick, a Henrietta Noble nigdy nie grała dobrze w wista (pani Farebrother zawsze mówiła o swojej małej siostrze, wymieniając ją z

tego wspaniałego imienia i nazwiska).

– Obejdę się teraz bez wista, mam.

– A czemu to, Camden? Za moich czasów uważano wista za bardzo odpowiednią rozrywkę dobrego duszpasterza. – Pani Farebrother, nieświadoma prawdziwego znaczenia, jakie wist miał dla jej syna, wypowiedziała te słowa dość ostro, jakby oponowała przeciwko niebezpiecznej nowej doktrynie.

– Będę zbyt zajęty, by grać w wista; dwie parafie to niemało – odparł pastor, który wolał nie dyskutować zalet owej gry.

Powiedział już był Dorotei:

– Nie sędzę, bym miał obowiązek zrzekać się parafii Świętego Botolpha. Jeśli oddam komuś większość pieniędzy, opowiem się dostatecznie jasno przeciwko pluralizmowi^[107], który chcą zmienić. Mądrzej jest nie oddawać władzy, lecz dobrze ją spożytkować.

– Myślałam o tym – odparła Dorotea. – Sędzę, że jeśliby sprawa dotyczyła nas samych, łatwiej byłoby oddać i władzę, i pieniądze, niż je zachować. Wydaje się bardzo niesłuszne, żebym to ja dysponowała tym patronatem, a jednak czułam, że nie powinnam pozwolić, by mnie ktoś zastąpił.

– A ja mam obowiązek postępować tak, by pani nie żałowała swojej władzy – powiedział pastor.

Należał do tych ludzi, których sumienie staje się bardziej wrażliwe, gdy jarzmo życia mniej ich uwiera. Nie dał w związku z tą sprawą pokazu skruchy, ale w sercu wstydził się trochę za pewne zaniedbania w swojej dotychczasowej pracy, jakich nie można by zarzucić duchownym, którzy beneficjów nie otrzymali.

– Często sobie mówiłem, że chciałbym być kimś innym, a nie pastorem – powiedział do Lydgate’a – ale może lepiej zrobię, starając

[107] Pluralizm – posiadanie kilku beneficjów przez jednego duchownego.

się być najlepszym duszpasterzem, na jakiego mnie stać. To jest, jak pan widzi, punkt widzenia człowieka z dobrą prebendą, któremu odjęto wiele kłopotów – zakończył ze śmiechem.

Pastorowi wydawało się wówczas, że obowiązki, które mu przypadały w udziale, będą łatwe. Lecz obowiązek zwykł robić nam niespodzianki – niby otyły przyjaciel, którego życzliwie zapraszamy do nas na wizytę, a on zaraz w furtce łamie nogę.

W niecały tydzień później obowiązek pojawił się w pracowni pastora w postaci Freda Vincy, który właśnie powrócił z uniwersytetu ze stopniem bakałarza.

– Wstyd mi, że pana kłopotczę – mówił Fred z ujmującym wyrazem jasnej, otwartej twarzy – ale jest pan jedynym przyjacielem, do którego mogę się zwrócić o radę. Zwierzyłem się panu już kiedyś, dawniej, a pan był tak dobry, że nie mogłem się oprzeć, by nie przyjść i tym razem.

– Siadaj, Fred. Gotów jestem wysłuchać wszystkiego i zrobić, co będę mógł – odparł pastor, który szykując się do przeprowadzki, pakował jakieś drobiazgi i nie przerywał zajęcia.

– Chciałem panu powiedzieć... – tu Fred zawahał się chwilę, a potem ciągnął zdecydowanie. – Mógłbym teraz zostać pastorem i prawdę mówiąc, nie widzę, co bym też innego miał robić. Nie podoba mi się ta perspektywa, ale wiem, że odrzucając ją, sprawiłbym ojcu wielką przykrość, tyle wydał pieniędzy, by mnie wykształcić na duchownego. – Tu Fred znowu przerwał na chwilę, a potem powtórzył: – Nie widzę, co też bym innego miał robić.

– Rozmawiałem z twoim ojcem na ten temat, Fred, ale niewiele wskórałem. Powiedział, że teraz już za późno. Ale przeszedłeś już jeden most: jakie widzisz dalsze trudności?

– Tylko to, że ja tego nie lubię. Nie lubię teologii i kazań, i konieczności zachowywania powagi. Lubię jeździć konno na przełaj i

robić to, co robią inni mężczyźni. To nie znaczy, że chciałbym być pod jakimkolwiek względem złym człowiekiem, ale nie mam upodobania do tego wszystkiego, czego ludzie oczekują od duchownych. A jednak, cóż innego mi pozostaje? Ojciec nie może sobie pozwolić na wycofanie dla mnie kapitału, żebym mógł się zająć gospodarką na roli. I nie ma dla mnie miejsca w swoim przedsiębiorstwie. I oczywiście nie mogę się zabrać do studiowania medycyny czy prawa teraz, kiedy ojciec chce, żebym już zaczął zarabiać. Dobrze komu mówić, że nie powinienem zostać duchownym, ale ci, co tak mówią, mogliby równie dobrze kazać mi wracać do jaskini.

W głosie Freda zabrzmiał ton utyskującego wyrzutu i pastor pewno by się roześmiał, gdyby nie był zbyt pochłonięty odgadywaniem tego, czego mu Fred jeszcze nie powiedział.

– Czy masz jakieś kłopoty z doktrynami, z Artykułami Wiary – zapytał, starając się wymyślić pytanie, które byłoby Fredowi pomocne.

– Nie, nie mam żadnych argumentów, by powątpiewać w Artykuły Wiary, a ludzie o wiele lepsi i mądrzejsi ode mnie aprobują je bez zastrzeżeń. Myślę, że byłoby śmieszne z mojej strony powoływać się na tego rodzaju skrupuły, jakbym był sędzią – odparł z prostotą Fred.

– Przypuszczam, że zastanawiałeś się nad tym, czy mógłbyś być przyzwoitym, parafialnym duszpasterzem, nie będąc żadnym teologiem?

– Oczywiście, jeśli będę musiał zostać duchownym, postaram się dobrze wypełniać swoje obowiązki, czyje lubię, czy nie. Sądzi pan, że ktoś mógłby mieć mi to za złe?

– Że w takich okolicznościach zostajesz pastorem? To jest sprawa twojego sumienia, Fred. Czy obliczyłeś koszt i przewidziałeś, czego pozycja duszpasterza będzie od ciebie wymagać? Mogę ci tylko powiedzieć o sobie, że zawsze byłem nie dość obowiązkowy, a sumienie mi to wytykało.

– Ale jest jeszcze jedna trudność – ciągnął Fred, czerwieniejąc. – Nie powiedziałem tego panu poprzednim razem, choć zapewne mówiłem rzeczy, z których mógł pan to wywnioskować. Jest pewna osoba, do której jestem bardzo przywiązany: kochałem ją od małego dziecka.

– Zapewne panna Garth – podsunął pastor, przyglądając się bardzo dokładnie jakimś etykietkom.

– Tak. Gotów byłbym wszystko zrobić, gdyby tylko ona mnie zechciała. I wiem, że mógłbym wtedy zostać porządnym człowiekiem.

– A sądzisz, że ona jest ci wzajemna?

– Ona tego nigdy nie powiedziała: już dawno kazała mi obiecać, że nie będę z nią więcej rozmawiał na ten temat. I jest zdecydowanie przeciwna temu, bym został pastorem; wiem dobrze. Ale ja się jej nie wyrzeknę. Sądzę, że jest mi przychylna. Widziałem wczoraj wieczorem panią Garth i dowiedziałem się od niej, że Mary jest na plebanii w Lowick u panny Farebrother.

– Tak, pomaga zaniej siostrze. Czy chcesz tam pójść?

– Nie, ja chcę pana poprosić o wielką przysługę. Wstyd mi, że pana trudzę, ale może Mary zechce powiedzieć, co o tym myśli, jeśli pan ją spyta, to znaczy o to, czy mam zostać pastorem.

– To dosyć delikatne zadanie mój chłopcze. Muszę założyć, że żywisz do niej poważne uczucie, a podjęcie się tej sprawy, jak mnie o to prosisz, wymagałoby zapytania Mary, czy ona to uczucie odwzajemnia.

– Właśnie chciałbym, żeby to panu powiedziała – oznajmił Fred otwarcie. – Póki nie znam jej uczuć, nie wiem, co mam robić.

– Chcesz powiedzieć, że uzależniasz od tego decyzję co do kariery kościelnej?

– Jeśli Mary powie, że mnie nie chce, to mogę równie dobrze zmarnować życie w taki sposób czy inny.

– Ależ to nonsens, Fred. Ludzie potrafią przeżyć kres swojej miłości,

ale nie mogą przeżyć konsekwencji braku rozważli.

– Ale nie takiej miłości jak moja. Ja nie pamiętam czasu, żebym nie kochał Mary. Gdybym się miał jej wyrzec, to byłoby tak, jakbym musiał zacząć żyć na drewnianych nogach.

– Czy nie urażę jej, wtrącając się w te sprawy?

– Jestem przekonany, że nie. Ona nikogo nie szanuje tak bardzo jak pana i nie zbędzie pana drwiną jak mnie. Nie mogłem tego powiedzieć nikomu innemu ani poprosić o rozmowę z Mary. Nie ma nikogo, kto byłby nam obojgu tak życzliwy jak pan. – Fred przerwał na chwilę, a potem dodał, jakby się żalił: – Musi przecież uznać, że pracowałem, żeby zdać egzamin. Powinna uwierzyć, że dla niej stać mnie na wysiłek.

Nastąpiła chwila milczenia, nim pastor Farebrother odłożył swoją robotę i wyciągając do Freda rękę, powiedział:

– Dobrze, chłopcze. Zrobię to, o co prosisz.

Tego samego dnia pastor Farebrother wyruszył na plebanie w Lowick na koniu, który był jego nowym nabytkiem. „Nie ma co, stare ze mnie próchno – myślał. – Młodzi spychają mnie na bok”.

Zastał Mary w ogrodzie ścinając różę i rozsypując płatki na kawałku płótna. Słońce stało już nisko, a wysokie drzewa słały cienie na trawiaste dróżki, po których Mary poruszała się bez kapelusza czy parasolki. Nie zauważyła nadchodzącego po trawie pastora i właśnie pochyliła się, by napomnieć małego biało-czarnego teriera, który uparcie wlaził na płótno i wachał rozsypywane przez nią płatki. Ujęła jego przednie łapy w jedną rękę i groziła mu palcem drugiej, a pies marszczył czoło z zakłopotaną miną.

– Latku, Latku, wstyd mi za ciebie – mówiła Mary poważnym kontraltem. – To nie przystoi rozsądnemu psu; ktoś mógłby pomyśleć, że z ciebie niemądry młody człowiek.

– Bardzo jest pani niemiłosierna dla młodych ludzi, panno Garth –

powiedział pastor, stając o dwa jardy za nią.

Mary poderwała się, zarumieniona.

– Zawsze się opląca przemawiać temu psu do rozsądku – odparła ze śmiechem.

– Ale nie młodemu człowiekowi?

– Och, niektórym tak, gdyż z niektórych wyrastają wspaniali ludzie.

– Rad jestem, że dopuszcza pani możliwość istnienia takich wyjątków, gdyż właśnie chciałem obudzić pani zainteresowanie pewnym młodym człowiekiem.

– Ale nie niemądrym, mam nadzieję – powiedziała Mary wracając do obrywania płatków róż, a serce zaczęło jej bić niespokojnie.

– Nie, chociaż mądrość nie jest jego mocną stroną, raczej serdeczność i szczerłość. Ale mądrość bardziej się opiera na tych dwóch cechach, niż to sobie ludzie wyobrażają. Sądzę, że po tych określeniach odgadła już pani, jakiego to młodego człowieka mam na myśli.

– Tak, chyba tak – odparła odważnie Mary, przy czym twarz jej spoważniała i ręce zrobiły się zimne. – Pewnie chodzi o Freda Vincy.

– No właśnie, prosił mnie, abym zasięgnął pani rady w sprawie ewentualnego podjęcia przez niego pracy duszpasterskiej. Mam nadzieję, że nie uzna pani, iż pozwalam sobie na zbyt wiele, przystając na jego prośbę.

– Wprost przeciwnie, panie pastorze. – Mary dała pokój różom i spłotła ręce, nie podnosząc jednak wzroku. – Zawsze poczytuję sobie za zaszczyt, jeśli chce mi pan coś powiedzieć.

– Nim jednak zacznę o tym mówić, niech pani pozwoli, że wspomnę o sprawie, w którą wtajemniczył mnie ojciec pani akurat tego wieczoru, kiedy przybyłem z poprzednią misją tycząca Freda, zaraz po jego wyjeździe na uniwersytet. Pan Garth powiedział mi, co się stało owej nocy, kiedy umierał Featherstone, jak to odmówiła mu pani spalenia testamentu.

Ojciec mówił, że został pani pewien niepokój w sercu, gdyż niechcący pozbawiła pani Freda jego dziesięciu tysięcy funtów. Zapamiętałem to sobie i dowiedziałem się czegoś, co przyniesie pani ulgę, co pozwoli pani zrozumieć, że nie musi pani składać w związku z tym wydarzeniem ofiary pokutnej.

Pastor przerwał na chwilę i spojrzał na Mary. Chciał dać Fredowi wszystkie szanse, ale uważał, iż należy sprawić, by Mary wyzbyła się pewnego fałszywego przeświadczenia, pod którego wpływem kobieta potrafi niekiedy skrzywdzić mężczyznę, wychodząc za niego za mąż dla pokuty. Policzki Mary pokrył lekki rumieniec; siedziała w milczeniu.

– Chodzi mi o to, że pani czyn niczego w gruncie rzeczy nie przesądził, jeśli idzie o los Freda. Dowiedziałem się, że ten pierwszy testament nie byłby ważny z prawnego punktu widzenia po spaleniu drugiego; jeśliby został zakwestionowany, obalono by go z pewnością, a może pani być pewna, że zostałby zakwestionowany. Tak więc, jeśli o to idzie, może pani nie mieć najmniejszych wyrzutów.

– Dziękuję panu, panie pastorze – odparła poważnie Mary. – Dziękuję, że pomyślał pan o tym, co czuję.

– A teraz mogę mówić dalej. Fred, jak pani wie, zdobył stopień bakałarza. Doszedł własną pracą do tego punktu i teraz powstaje pytanie, co ma robić dalej. Pytanie jest tak trudne, że skłonny jest podporządkować się życzeniom ojca i obrać drogę kościelną, choć pani wie lepiej niż ja, że uprzednio był temu zdecydowanie przeciwny. Przepytałem go trochę w tej materii i muszę powiedzieć, że nie widzę jakichś nieprzewyciężonych trudności, dla których, w obecnym stanie rzeczy, nie mógłby zostać duchownym. Powiada, że byłby zdolny przymusić się do tego, by jak najlepiej wypełniać swoje obowiązki, pod jednym warunkiem. Gdyby ten warunek został spełniony, uczyniłbym, co w mojej mocy, by Fredowi pomóc. Po jakimś czasie, oczywiście, nie od razu, mógłby pracować ze mną

jako wikary, a miałyby tak dużo pracy, że jego wynagrodzenie wynosiłoby niemal tyle samo co moje obecne. Ale, powtarzam, jest warunek, bez którego spełnienia to wszystko nie może się stać. Otworzył przede mną serce i prosił, bym się za nim wstawił. Ten warunek zależy wyłącznie od pani uczuć.

Mary sprawiała wrażenie tak wzruszonej, że po chwili powiedział:

– Przejdźmy się kawałek. – Kiedy zaś szli, dodał: – Mówiąc zupełnie jasno, Fred nie zdecyduje się na żadną drogę, która zmniejszyłaby jego szanse zdobycia pani ręki: mając jednak nadzieję na pani zgodę, będzie wyęźtał wszystkie siły i pracował w sposób, jaki pani uzna za właściwy.

– Nie mogę obiecać, że zostanę kiedykolwiek jego żoną, pastorze, ale z pewnością nią nie zostanę, jeśli on będzie duchownym. To, co pan robi, jest wielkoduszne i zacne: ani przez chwilę nie myślę korygować pańskich sądów. Chodzi tylko o to, że mam swój dziewczynski, żartobliwy sposób patrzenia na wszystko. – W zachowaniu Mary pojawiła się znów figlarna iskierka, która tylko przydała uroku jej skromności.

– Prosił, bym mu dokładnie powtórzył wszystko, co pani myśli.

– Nie potrafiłabym kochać człowieka, który jest śmieszny – odparła Mary, nie chcąc wgłębiać się bardziej w całą sprawę. – Fred ma dość rozsądku i wiedzy, by jeśli zechce, zostać człowiekiem szanowanym w jakimś przyzwoitym świeckim zawodzie, ale nie mogę go sobie wyobrazić, jak wygłasza kazania, napomina wiernych, rozdaje błogosławieństwa i modli się przy łożu chorych, bez poczucia, że oglądam karykaturę. Jeśliby został duchownym, to tylko dla towarzyskiej pozycji, a myślę, że nie ma rzeczy zasługującej na większą pogardę niż towarzyska pozycja głupca. Tak właśnie myślałam o pastorze Crowse, z tą jego pustą twarzą, eleganckim parasolem i afektowanymi przemówieniami. Jakie prawo mają tacy ludzie do reprezentowania chrześcijaństwa? Jakby to była instytucja, która ma dawać głupcom dobrą pozycję w towarzystwie;

jakby... – tu Mary się pohamowała. Poniosło ją, jakby mówiła do Freda, a nie pastora Farebrothera.

– Młode damy są surowe: nie doświadczają, tak jak mężczyźni, ciężaru pracy, choć jeśli o to idzie, powinienem uznać panią za wyjątek. Ale pani nie stawia Freda Vincy tak nisko?

– O nie! Fred ma dużo rozsądku, ale jak sądzę, nie wykazałby go jako duchowny. Byłby po prostu ucieleśnieniem zawodowej pozy.

– A więc odpowiedź jest jednoznaczna. Jako duchowny nie mógłby mieć nadziei?

Mary potrząsnęła głową.

– Gdyby jednak pokonał trudności i zaczął zdobywać chleb w inny sposób, czy pozwoliłaby mu pani żywić się nadzieją? Czy mógłby liczyć na to, że zdobędzie rękę pani?

– Sądzę, że Fred nie powinien prosić, by mu powtarzano to, co już raz ode mnie usłyszał – odpowiedziała Mary z lekką urazą w głosie. – Chodzi mi o to, że nie powinien stawiać takich pytań, póki naprawdę nie zrobi czegoś godnego szacunku, zamiast opowiadać tylko, że jest do tego zdolny.

Przez minutę lub dłużej pastor Farebrother milczał, a potem, gdy zawrócili i przystanęli w cieniu klonu przy końcu ścieżki w trawie, powiedział:

– Rozumiem, że opiera się pani próbom nakłaniania jej do składania deklaracji, lecz albo uczucie, jakie pani ma dla Freda Vincy, wyklucza możliwość jakiegokolwiek innego uczucia, albo nie; albo Fred może liczyć na to, że nie wyjdzie pani za mąż, póki on nie zasłuży na pani rękę, albo, bez względu na to, co robi, może zaznać zawodu. Wybacz mi, Mary, przecież uczyłem cię katechizmu jako małą Mary, ale jeżeli stan uczuć kobiety przesądza o szczęściu jakiegoś człowieka... może nie tylko jednego, byłoby chyba szlachetniej z jej strony, gdyby była całkiem

szczerza i otwarta.

Teraz Mary milczała, zdumiona nie tyle zachowaniem pastora, lecz jego tonem, w którym brzmiały poważne, powściągane emocje. Kiedy przez jej głowę przebiegła osobliwa myśl, że te słowa dotyczą jego samego, odrzuciła ją, przejęta wstydem, że w ogóle przyszła jej do głowy. Nigdy nie przypuszczała, by mógł ją kochać jakiś mężczyzna prócz Freda, który poślubił ją kółkiem od parasola, kiedy nosiła pończoszki i malutkie pantofelki z paseczkami, a już najmniej, że mógłby na nią zwrócić uwagę pastor Farebrother, najmądrzejszy mężczyzna w jej niewielkim świecie.

Zdążyła tylko pomyśleć, że to wszystko jest niejasne, może złudne; jedna rzecz jednak była jasna i zdecydowana – jej odpowiedź.

– Jeśli pan to uważa za mój obowiązek, pastorze, to powiem, że mam dla Freda uczucie zbyt silne, bym mogła się go wyrzec dla jakiegokolwiek innego mężczyzny. Nie zaznałabym szczęścia, gdybym przypuszczała, że on jest nieszczęśliwy, gdyż mnie utracił. To tkwi we mnie tak głęboko, moja wdzięczność dla niego za to, że zawsze najbardziej mnie kochał, że tak się przejmował, kiedy się skaleczyłam, jeszcze kiedy byliśmy bardzo mali. Nie mogę sobie wyobrazić, by mogło przyjść jakieś nowe uczucie, które umniejszyłoby tamto. Pragnę nade wszystko ujrzeć go godnym ludzkiego szacunku. Proszę jednak, niech pan mu powie, że póki to się nie stanie, nie przyrzeknę mu swojej ręki: przyniosłabym wstyd i ból moim rodzicom. Jest wolny, może sobie wybrać kogoś innego.

– Wobec tego wypełniłem rzetelnie moje zadanie – powiedział pastor, wyciągając rękę do Mary – i zaraz wracam do Middlemarch. Jeśli Fred ma takie widoki, to znajdziemy dla niego odpowiednie miejsce i mam nadzieję, że dożyję chwili, kiedy zwiążę wasze ręce. Niech cię Bóg błogosławi.

– Och, proszę, niech pan zostanie i wypije z nami herbatę – zawołała Mary. Oczywiście napełniły się łzami, gdyż coś nieokreślonego w zachowaniu

pastora, jakby po męsku opanowywał ból, sprawiło jej nagle ogromną przykrość, taką, jaką odczuła kiedyś, gdy zobaczyła, że ojcu trzęsą się ręce w trudnym momencie.

– Nie, moja droga, muszę wracać.

Po chwili pastor był znów na koniu, wykonawszy wielkodusznie obowiązek trudniejszy niż wyrzeczenie się wista, a nawet niż pisanie medytacji pokutnych.

ROZDZIAŁ LIII

Tylko lichy pośpiech każe uznać za nieszczerłość to, co człowiek obcy nazwie nielogicznością, stawiając martwy mechanizm różnorakich przypuszczeń w miejsce niezliczonych żywych i ukrytych ssawek, które sprawiają, że przekonania i działania stają się wzajemnym dla siebie wsparciem.

Pan Bulstrode w nadziei, że będzie miał swoją majątność na terenie parafii Lowick, pragnął, rzecz jasna, by duszpasterzem został tam ktoś, kogo by w pełni aprobował; przejął więc jako karę i napomnienie zarówno za własne niedociągnięcia, jak i całego narodu fakt, iż akurat w tym czasie, kiedy wszedł w posiadanie aktów prawnych, które czyniły go właścicielem Stone Court, pastor Farebrother „złożył wyznanie”^[108] w malutkim, dziwacznym kościółku i wygłosił pierwsze kazanie do wiernych, miejscowych farmerów, robotników rolnych i rzemieślników. Nie znaczy to, by pan Bulstrode zamierzał uczęszczać do kościoła w Lowick lub też rezydować w Stone Court przez dłuższy czas w najbliższej przyszłości: kupił doskonałą farmę i piękne zabudowania, chcąc mieć ustronie, którego obszar będzie mógł stopniowo powiększać, a dom – upiększać, dopóki nie spodoba się Najwyższemu, by Stone Court stało się rezydencją, w której osiadzie, wycofując się częściowo z trudów prowadzenia interesów, i w sposób bardziej okazały zaczęnie przydawać wagi prawdom biblijnym jako właściciel majątności ziemskiej, której powierzchnię Opatrzność może powiększać, zsyłając nieprzewidziane

[108] Tzn. deklarację Trzydziestu Dziewięciu Artykułów Wiary, stanowiących fundament wyznania anglikańskiego.

okazje kupna. Zdawałoby się, że otrzymał po temu bardzo wyraźny znak w postaci zaskakującej łatwości nabycia Stone Court, kiedy wszyscy przypuszczali, że pan Rigg Featherstone będzie się trzymał farmy jak ogrodu rajskiego. Tak też sądził biedny stary Piotr, kiedy wyobrażał sobie, że wyglądając spod zielonej darni, zobaczy w niczym nieprzesłoniętej perspektywie swego dziedzica o żabiej twarzy, cieszącego się pięknym starym domostwem ku wiecznemu zdumieniu i zawadowi pozostałych żyjących.

Niewiele jednak wiemy o tym, jak wygląda raj w oczach naszych bliźnich! Wyobrażamy go sobie zgodnie z naszymi pragnieniami, a nasi bliźni nie zawsze są na tyle otwarci, by nam o swoich pragnieniach choćby napomknąć. Zimny i rozsądny Joshua Rigg nie dopuścił do tego, by jego rodzic zrozumiał, iż Stone Court nie przedstawia dla niego najwyższego dobra, choć niewątpliwie pragnął je dostać na własność. Lecz tak jak Warren Hastings^[109] patrzył na złoto i myślał o kupieniu Daylesford, tak Joshua Rigg patrzył na Stone Court i myślał o kupowaniu złota. Miał bardzo jasne i określone pojęcie o tym, co jest dla niego najwyższym dobrem, gdyż odziedziczona, niepohamowana chciwość przyjęła u niego przypadkowo osobliwą formę: najwyższym dobrem było dla niego posiadanie kantoru wymiany pieniędzy. Odkąd zaczął pracować, na początku jako chłopiec na posyłki w porcie morskim, zaglądał w okna takich kantorów, podobnie jak inni chłopcy zaglądają do okien cukiernika: zafascynowanie przerodziło się z czasem w szczególną, głęboką pasję; miał zamiar, kiedy dojdzie do majątku, zrobić wiele rzeczy, między innymi ożenić się z panną z dobrego domu, ale to wszystko były radości dodatkowe, bez których mogła się obejść jego wyobraźnia. Jedyna radość, jakiej pragnęła jego dusza, to posiadanie na uczęszczanym moło kantoru

[109] Warren Hastings (1732-1818) – agent Kompanii Wschodnioindyjskiej, który za zdobyty majątek odkupił dobra rodowe w hrabstwie Worcester.

wymiany walut, z mnóstwem wewnętrznych zamków, do których będzie dzierżył klucze, by z twarzą majestatycznie chłodną obracać pieniędzmi oddanymi mu do pomnożenia z całego świata, podczas gdy bezradna chciwość będzie spoglądać zazdrośnie z przeciwnej strony żelaznej kraty. Siła tej pasji wyzwoliła w nim energię, która umożliwiła mu zdobycie wiedzy niezbędnej do jej zaspokojenia. I kiedy inni sądzili, że osiadł na stałe w Stone Court, Joshua myślał, że niedaleka już chwila, kiedy osiadzie na Molo Północnym w kantorze wyposażonym w najlepsze sejfy i zamki.

Dość tego. Sprzedaż ziemi przez Joshuę Rigga interesuje nas z punktu widzenia pana Bulstrode'a, ten zaś przyjmował ów fakt jako pokrzepiające zrządzenie losu, zawierające, być może, aprobatę celu, do jakiego od pewnego czasu zmierzał, nie otrzymawszy dotąd żadnego znaku z zewnątrz; tak to sobie tłumaczył, bez zbytniego jednak przekonania, i składał dziękczynienia dość powściągliwie. Jego wątpliwości nie wynikały z faktu, iż kupno Stone Court mogło mieć związek z losem Joshuy Rigga, ów los bowiem leżał w nieoznaczonych na mapie rejonach, które nie są objęte rządami Opatrzności – chyba że w jakiejś niedoskonałej, kolonialnej formie. Wątpliwości brały się z przypuszczenia, że owo zrządzenie losu może być jednocześnie karą dla niego, tak jak niewątpliwie karą było nadanie beneficjum pastorowi Farebrotherowi.

Pan Bulstrode nie mówił tego wszystkiego komuś, kogo chciał oszukać; on mówił to sobie – był to jego szczerzy, własny sposób tłumaczenia sobie zdarzeń, taki sam, jak każdy wasz sposób, jeśli się różni od sposobu pana Bulstrode. Egoizm bowiem, który przenika do naszych teorii, nie wpływa na ich szczerłość – wręcz odwrotnie: im bardziej go zaspokajamy, tym mocniej w owe teorie wierzymy.

Tak czy inaczej, bez względu na to, czy to była aprobata, czy kara, w niecałe piętnaście miesięcy po śmierci Piotra Featherstone pan Bulstrode

został właścicielem Stone Court – i „co by Piotr na to powiedział, gdyby był wart o tym wiedzieć” – było teraz niewyczerpanym tematem rozmów niosących osłode zawiadzionym krewnym. Drogi zmarły brat pobity został własną bronią i Salomon rozkoszował się, kontemplując fakt, że chytrność Piotra została przechytrzona przez chytrność wyższego rzędu, zgodnie z powszechnym porządkiem rzeczy. Pani Waule odniosła melancholijny triumf, otrzymawszy dowód, że istotnie nie opłaca się produkować fałszywych Featherstone’ów i wydiedziczać prawdziwych, siostra Marta zaś, która otrzymała wiadomość w Chalky Flats, powiedziała: „No proszę, widać Wszzechmocny nie był tak bardzo rad z tych domów starców”.

Kochająca pani Bulstrode ogromnie cieszyła się myślą, że zakup Stone Court wyjdzie jej mężowi na zdrowie. Jeździł tam niemal codziennie, by oglądać z rządcą farmę, a wieczory były cudowne w tym cichym zakątku, gdzie postawione niedawno stogi siana mieszały wonie z zapachami niesionymi ze starego, pięknego ogrodu. Pewnego wieczoru, kiedy słońce stało jeszcze nad horyzontem i zapalało złote lampy wśród gałęzi wielkich orzechów, pan Bulstrode, siedząc na koniu przed główną bramą, czekał na Kaleba Gartha, z którym się tu był spotkał, by usłyszeć jego zdanie w sprawie odprowadzania ścieków ze stajni, a który teraz udzielał jeszcze rządcy jakichś wskazówek na podwórzu.

Pan Bulstrode zdawał sobie sprawę, że znajduje się w dobrej duchowej kondycji i jest bardziej niż zwykle pogodny, a to dzięki zażywanemu właśnie niewinnemu wypoczynkowi. Miał doktrynalne przekonanie, że nie zasługuje na nagrodę, lecz takie przekonanie można żywić bezboleśnie tylko wówczas, jeśli w pamięci nie zalega konkretny powód zasługiwania na karę i nie budzi swym kształtem piekącego wstydu czy wyrzutów sumienia. A nawet więcej – można ją żywić z pełnym zadowoleniem, jeśli wielkość naszych grzechów jest tylko miarą wielkości przebaczenia i ostatecznym dowodem, że jesteśmy szczególnym narzędziem realizacji

bożych zamierzeń. Pamięć podlega nastrojom w równym stopniu jak temperament i zmienia swoje dekoracje jak diorama. W tym momencie pan Bulstrode miał wrażenie, że słoneczne światło jest tym samym światłem, jakie mu przyświecało dawniej, w owe wieczory, kiedy był bardzo młodym człowiekiem i zwykł był przemierzać długie szlaki, i kazać aż za Highbury. I chętnie wygłaszałby teraz taką egzortę. Tekst miał jeszcze w głowie, jak również umiejętność ich komentowania. Tę krótką zadumę przerwał Kaleb Garth, który wrócił, wszedł na konia i już potrząsał wodzami, by ruszyć, kiedy nagle wykrzyknął:

– A niech mnie! Cóż to za jegomość, cały na czarno, zmierza do nas drogą! Przypomina mi takich, co się kręcą po wyścigach!

Pan Bulstrode odwrócił konia i spojrzał na drogę, lecz nie odpowiedział. Nadchodzącym był znany nam już powierzchownie pan Raffles, w którego wyglądzie nie zaszła inna zmiana prócz tego, że odziany był w czerń i miał żałobną wstążkę u kapelusza. Znajdował się teraz o trzy jardy od jeźdźców, którzy mogli dostrzec błysk rozpoznania na jego twarzy, gdy wywinął laską, wpatrując się w pana Bulstrode, i wykrzyknął:

– Na Boga! Nick! To ty! Nie mogę się mylić, chociaż te dwadzieścia pięć lat zrobiły z nas obu stare straszyska na wróble. Jakże się miewasz?! Nie spodziewałeś się zobaczyć mnie tutaj, co? Dajże mi łapę, niech ją uścisnę.

Powiedzieć, że zachowanie pana Rafflesa cechowało pewne podniecenie, to tak jak powiedzieć, że był wieczór. Kaleb Garth zobaczył, że pan Bulstrode przez chwilę waha się i zмага ze sobą, lecz wreszcie wyciąga chłodno rękę do przybyłego, mówiąc:

– Nie spodziewałem się zobaczyć pana w tym odludnym, wiejskim zakątku.

– To jest dom mojego pasierba. – Raffles przyjął chępliwą postawę. – Odwiedzałem go już tutaj uprzednio. I nie zaskoczył mnie

twój widok, mój stary, ponieważ zabrałem stąd przypadkiem pewien list – powiedziałbyś, że to zrządzenie Opatrzności. Bardzo szczęśliwie się składa, że cię spotkałem, nie zaley mi bowiem na zobaczeniu się z moim pasierbem: nie okazuje mi serca, a jego matka, biedaczka, umarła. Prawdę powiedziawszy, przyjechałem tu dlatego, że jestem do ciebie przywiązany, Nick, przyjechałem zdobyć twój adres, gdyż – spójrz tylko! – Raffles wyciągnął z kieszeni zmięty papier.

Niemal każdy człowiek, oprócz Kaleba Gartha, miałby wielką ochotę zwlec trochę, by usłyszeć ile się da o człowieku, którego znajomość z panem Bulstrode sugerowała, iż bankier miał w życiu okresy tak odbiegające od tego, co wiedziano o nim w Middlemarch, że musiały budzić ciekawość swoją tajemniczością. Kaleb był szczególnym człowiekiem, niemal całkowicie pozbawionym pewnych ludzkich skłonności, na ogół bardzo silnych; jedną z nich jest ciekawość cudzych, osobistych spraw. Zwłaszcza zaś takich, które by mogły kogoś zdyskredytować. Wolał nic nie wiedzieć; jeśli już musiał powiedzieć komuś, kto był od niego zależny, że jego przewinienie wyszło na jaw, bardziej był tym zaambarasowany niż winowajca. Teraz dał koniowi ostrogę, mówiąc: „Dobranoc, panie Bulstrode, spieszno mi do domu”, i ruszył kłusem.

– Nie podałeś pełnego adresu na tym liście – ciągnął Raffles. – To nie w stylu człowieka od wielkich interesów, jakim kiedyś byłeś. „Krzewina” – to mogło być wszędzie; mieszkasz tu gdzieś niedaleko? Zarzuciłeś ze wszystkim swoje londyńskie interesy? Może się z ciebie zrobił ziemianin całą gębą, może masz jakąś wiejską rezydencję, do której mnie zaprosisz. Boże, ile to już lat! Starsza pani pewno dawno umarła, przeszła do chwały niebieskiej, nie cierpiąc nad tym, że jej córka klepie biedę. Ale, na Boga, jakiś ty ziemiście bladey, Nick. Ruszaj, jeśli jedziesz do domu, będę ci towarzyszył przy koniu.

Istotnie, zwykła bladeść pana Bulstrode przybrała teraz niemal

śmiertelny odcień. Pięć minut temu to samo wieczorne słońce zalewało przestrzeń jego życia, rzucając promienie wstecz aż do pamiętanego ranka; grzech wydawał się problemem doktrynalnym i problemem wewnętrznej skruchy, upokorzenie – praktyką w ukryciu, znaczenie własnych czynów – sprawą osobistego poglądu, któremu kształt nadawały wyłącznie kontakty duchowe i wyobrażenia o boskich zamysłach. A teraz, jakby wywołany ohydny jakimiś czarami, stoi przed nim ten hałaśliwy jegomość z czerwoną gębą, niezdolnie konkretna, wcielona przeszłość, jakiej nie widział w swoich wyobrażeniach kary. Pan Bulstrode myślał intensywnie – nie był człowiekiem, który by pochopnie działał czy mówił.

– Wracalem do domu – powiedział – moge jednak zwlec jeszcze troche. A pan, jezli chce, moze zastac tutaj.

– Dziękuję – odparł Raffles z grymasem. – Już teraz nie zależy mi na widzeniu się z moim pasierbem. Wolałbym pojechać z tobą do domu.

– Pański pasierb, jeśli ma pan na myśli pana Rigga-Featherstone’a, już tu nie mieszka. Ja teraz jestem tu panem.

Raffles otworzył szeroko oczy i gwizdnął ze zdumienia.

– Wobec tego nie protestuję. Dość się już wypacerowałem, idąc tu od gościńca. Nigdy nie był ze mnie ani dobry piechur, ani jeździec. Najbardziej mi odpowiada zręczny powozik i ostra kobyła. Zawsze byłem trochę za ciężki na siodło. Jaka to musi być dla ciebie miła niespodzianka, że mnie widzisz, mój stary – ciągnął, gdy zawrócili ku domowi. – Nie mówisz tego, ale ty nigdy nie umiałeś się cieszyć ze swojego szczęścia, zawsze myślałeś, jak by też je przerobić na coś więcej, taki miałeś talent do mnożenia darów losu.

Pan Raffles wyraźnie cieszył się swoim dowcipem i maszerował zamaszycie, z chełpliwą miną, przekraczając tym miarę rozważnej cierpliwości swego towarzysza.

– Jeśli dobrze pamiętam – zauważył pan Bulstrode z chłodnym

gniewem – nasza znajomość sprzed laty nie była tak zażyła, jak to pan obecnie suponuje, panie Raffles. Jeśli pragnie pan ode mnie jakichś grzeczności, będę do nich bardziej skłonny, jeśli zechce pan unikać tego poufalego tonu, który nie cechował naszych dawniejszych stosunków i którego przeszło dwudziestoletnia w nich przerwa z pewnością nie usprawiedliwia.

– Nie lubisz, jak cię nazywać Nick? Ależ zawsze cię tak nazywałem w sercu, a co z oczu, to nie z serca. Na Boga, moje uczucia do ciebie dojrzały jak dobry, stary koniak. Mam nadzieję, że masz łyżeczek w domu. Josh ostatnim razem napełnił mi podróżną flaszkę po brzegi.

Pan Bulstrode nie zrozumiał jeszcze, że nawet pragnienie koniaku nie było w panu Rafflesie silniejsze od pragnienia sprawiania bankierowi udręki i że najmniejsza oznaka zirytowania była mu tylko świeżą podniętą. Stało się wreszcie jasne, że dalsze sprzeciwy nie przyniosą skutku, i kiedy pan Bulstrode wydawał gospodyni dyspozycje co do przyjęcia gościa, zdążył się już opanować.

Było mu pewną pociechą, że owa gospodyni usługiwała poprzednio Riggowi i mogła sobie teraz wyobrażać, iż pan Bulstrode przyjmuje Rafflesa po prostu jako przyjaciela jej poprzedniego pana. Kiedy w saloniku z boazerią postawiono przed gościem jadło i napitek i w pokoju nie było już żadnego świadka, pan Bulstrode zwrócił się do Rafflesa.

– Pańskie zwyczaje i moje różnią się tak bardzo, że trudno by nam było cieszyć się wzajemnie swoim towarzystwem. Najrozumniejszym dla nas obu rozwiązaniem jest rozstać się jak najszybciej. Powiada pan, że chciał się ze mną widzieć, z czego wnoszę, że uważał pan, iż ma ze mną jakiś interes do załatwienia. Ze względu na te okoliczności zapraszam pana, by został tu na noc, a ja przyjadę jutro wczesnym rankiem przed śniadaniem, ściśle mówiąc, kiedy to gotów będę wysłuchać tego, co ma mi pan do powiedzenia.

– Zgadzam się całkowicie. To wygodne miejsce, nieco nudne na dłuższy pobyt, ale jakoś wytrzymam, mając zaciąg butelczynę i nadzieję zobaczenia cię rano. Jesteś o wiele miłszym gospodarzem niż mój pasierb, ale Josh miał do mnie trochę urazy o to, że się ożeniłem z jego matką, a z tobą łączyła mnie zawsze sama serdeczność.

Pan Bulstrode miał nadzieję, że ta szczególna mieszanina jowialności i szyderstwa w zachowaniu Rafflesa to tylko skutek napitku, postanowił więc nie marnować słów i zaczekać, aż gość będzie trzeźwy. Jadąc do domu, miał jednak przerażająco jasną wizję trudności, jakie napotka, szukając rozwiązania, które zawierałoby gwarancję, że ten człowiek będzie je respektował. Oczywiście, że spróbuje pozbyć się Johna Rafflesa, choć przecież nie jest możliwe, by jego pojawienie się nie było częścią boskich zamysłów. Zły duch mógł go zesłać jako groźną zapowiedź obalenia pana Bulstrode, który jest narzędziem dobra; lecz ta groźba musiała mieć przyzwolenie Opatrzności i stanowiła karę innego rodzaju. Była to dla pana Bulstrode godzina udręki, całkowicie różna od owych godzin, kiedy to prowadził ze sobą, w bezpiecznym odosobnieniu, walkę, która zakończyła się wnioskiem, że jego ukryte występki zostały wybaczone, a usługi – przyjęte. A czyż owych występków, nawet gdy je popełniał, nie usprawiedliwiała choć w części szczerść jego pragnienia, by poświęcić siebie i wszystko, co posiadał, dla wspomagania niebieskich zamysłów? I czyżby miał się stać jedynie kamieniem obrazy i skałą zgorzienia^[110]? Któż bowiem pojmie dzieło, jakiego dokonał w duszy? I któż, jeśli znajdzie się przyczyna do okrycia go niesławą, nie rzuci całego jego życia i prawd, jakie głosił, na jeden wielki stos obmowy?

Pan Bulstrode przez całe życie zwykł w najszybszych rozważaniach ubierać swe egoistyczne lęki w szaty doktrynalnych odniesień do nadprzyrodzonych celów. Nawet jednak gdy rozmawiamy i rozmyślamy

[110] Słowa św. Pawła z Listu do Rzymian, 9, 33.

o orbicie ziemskiej i systemie słonecznym, to, co czujemy i do czego dostosowujemy nasze kroki, to stały grunt pod nogami i wpływający dzień. A teraz w nasuwającym się automatycznie szeregu teoretycznych frazesów kryła się wyraźnie i głęboko, jak dreszcze i ból nadchodzącej choroby, kiedy mówimy o abstrakcyjnym cierpieniu, zapowiedź hańby w oczach współmieszkańców i własnej żony. Ból bowiem, tak samo jak miara publicznej hańby, zależy od postawy, jaką się dotąd przyjmowało. Dla ludzi, którym wystarczy, że nie są przestępcami, hańbą jest dopiero ława oskarżonych. Ale pan Bulstrode chciał być wielkim Chrześcijaninem.

Nie minęło w pół do ósmej rano, gdy przyjechał ponownie do Stone Court. Nigdy jeszcze ten stary dom nie wyglądał tak cudownie jak w tej chwili: kwitły właśnie ogromne białe lilie, nasturcje o ślicznych listeczkach posrebrzonych rosą biegły ponad niskim kamiennym murem i nawet rozlegające się dźwięki miały w sobie wewnętrzny spokój. Wszystko to jednak było zeszepecone w oczach właściciela, kiedy szedł po żwirze przed domem, a potem czekał na zejście pana Rafflesa, z którym skazany był śniadać.

Wkrótce w saloniku wyłożonym boazerią siedzieli obaj nad herbatą i grzankami, bo Raffles nie chciał nic więcej jeść o tak wczesnej porze. Różnica między nim z wieczora a nim z rana nie była tak wielka, jak to sobie jego towarzysz wyobrażał: upodobanie do dręczenia swego gospodarza może nawet wzrosło, gdyż opuściło go wczorajsze podniecenie. W porannym świetle jego sposób bycia wydawał się jeszcze bardziej odpychający.

– Ponieważ mam niewiele czasu, panie Raffles – zaczął bankier, zdolny ledwie przełknąć łyk herbaty i przełamać grzankę, którą zostawił na talerzu – będę zobowiązany, jeśli poda pan od razu przyczynę, dla której chciał się pan ze mną zobaczyć. Przypuszczam, że ma pan gdzieś dom i rad by tam wrócić.

– Czyż człowiek, który ma serce, nie pragnie się zobaczyć ze starym przyjacielem, Nick? Muszę cię nazywać Nick, zawsze mówiliśmy o tobie „młody Nick”, kiedy dowiedzieliśmy się, że chcesz się żenić ze starą wdową. Niektórzy powiadali, że nosisz rodzinne podobieństwo do Starego Nicka^[111], ale to już wina twojej matki, że ci dała na imię Nicholas. Nie ucieszyłeś się na mój widok. Oczekiwałem zaproszenia na wspólny pobyt w jakimś ładnym miejscu. Moje własne ognisko domowe rozpadło się po śmierci mojej żony. Nie jestem szczególnie przywiązany do żadnego miejsca: równie dobrze mogę osiąść w tych stronach, jak i gdzie indziej.

– Czy mogę spytać, czemu wrócił pan z Ameryki? Sądziłem, że owo wyrażane niegdyś silne pragnienie, by tam jechać, kiedy otrzymał pan odpowiednią sumę, było równoznaczne z zobowiązaniem, że zostanie tam pan na zawsze.

– Nigdy nie słyszałem, żeby chęć wyjazdu dokądś była równoznaczna z chęcią pozostania na zawsze. Ale siedziałem w Ameryce dziesięć lat; dłużej nie miałem ochoty. I nie mam zamiaru tam wracać, Nick. – Tu pan Raffles spojrzął na pana Bulstrode i mrugnął.

– Czy chce pan założyć jakiś interes? Czym się pan trudni?

– Dziękuję, trudnię się sprawianiem sobie przyjemności. Nie dbam już o pracę. Gdybym się jął jakiegoś zajęcia, to może trochę bym podróżował z wyrobami tabacznymi albo czymś podobnym, co pozwoliłoby mi przestawać w miłej kompanii. Ale nie bez tego, by mieć w zapleczu niezależność. Tego właśnie mi trzeba. Nie jestem tak silny jak niegdyś, Nick, chociaż bardziej rumiany od ciebie. Chcę mieć niezależność.

– Może mógłby ją pan zdobyć, gdyby się pan zobowiązał trzymać z daleka – powiedział cicho pan Bulstrode ze zbytnią może skwapliwością w głosie.

– Zrobię to, co mi będzie bardziej dogadzało – odparł chłodno Raffles.

[111] Old Nick – po ang. diabeł.

– Nie widzę powodu, dlaczego nie miałbym zawrzeć paru znajomości w tej okolicy. Moje towarzystwo nie przyniesie nikomu wstydu. Zostawiłem na rogatce sakwojaż, gdy wysiadałem. Zmiana bielizny, kompletna, na honor, nie tylko gorsy i mankiety. A w tym ubraniu żałobnym, ze strzemiączkami u spodni *et caetera*, będę ci ozdobą w tutejszym towarzystwie.

Pan Raffles odsunął krzesło i spoglądał w dół na swoje ubranie, a zwłaszcza na strzemiączka u spodni. Główną jego intencją było dokuczenie Bulstrode’owi, lecz naprawdę uważał, iż jego powierzchowność sprawia dobre wrażenie i że nie tylko jest przystojny i dowcipny, lecz również żałobnie odziany, co świadczy o dobrych koneksjach.

– Jeśli pan liczy w jakiejś mierze na mnie, panie Raffles – powiedział pan Bulstrode po chwili – musi pan być gotów spełnić moje życzenia.

– Ach, to oczywiście – odparł Raffles z udaną serdecznością. – Czyż kiedyś było inaczej? Boże, czego ty ode mnie nie żądałeś i jak niewiele dostałem. Często myślałem później, że lepiej bym zrobił, gdybym się przyznał tej starej kobiecie, że odnalazłem jej córkę i wnuka; bardziej by mi to odpowiadało uczuciowo: mam takie miękkie serce. Ale sądzę, że już zdążyłeś pogrzebać starszą panią, jej teraz wszystko jedno. I zbiłeś majątek na tym intratnym przedsięwzięciu, które tak Opatrzność pobłogosławiła! Stałeś się wielkim panem, kupujesz ziemię, ziemianin całą gębą! W dalszym ciągu dysydem, co? Ciągłe taki pobożny? Czy może przeszedłeś do Kościoła państwowego, bo to w lepszym stylu?

Tym razem powolne mrugnięcie i lekko wysunięty język pana Rafflesa były gorsze niż senny koszmar, świadczyły bowiem niezbitcie, że to nie senny koszmar, lecz jawne nieszczęście. Pan Bulstrode poczuł, że wstrząsają nim mdłości, i milczał; zastanawiał się intensywnie, czy nie powinien dać sobie z tym człowiekiem spokój, niech robi, co chce, a potem po prostu postawić mu zarzut oszczerstwa. Szybko pokaże się na tyle podły, że ludzie nie dadzą mu wiary. „Ale nie wtedy, kiedy powie jakąś

ohydną prawdę o *tobie*” – odpowiedziała roztropna świadomość. I dalej: nie ma nic złego w trzymaniu Rafflesa na odległość, natomiast byłoby coś złego w oczywistym kłamstwie, jakim jest zaprzeczanie prawdziwym stwierdzeniom. Jedna sprawa to widzieć grzechy przeszłości odpuszczone, a nawet tłumaczyć się z problematycznej aprobaty nagannych obyczajów – a inna, to rozmyślnie akceptować konieczność kłamania.

Ponieważ Bulstrode milczał, Raffles ciągnął, chcąc wykorzystać chwilę:

– Mnie się tak nie poszczęściło jak tobie. Nic mi nie szło w Nowym Jorku; ci Jankesi to bezczelne typy i człowiek z usposobieniem dżentelmena jest z góry przegrany. Ożeniłem się po powrocie... miła kobietka z branży tytoniowej... bardzo mnie kochała, ale handelek był ograniczony, jak to się mówi. Urządził ją w tym interesie przyjaciel, wiele lat temu, ale była pewna zawada, mianowicie syn. Josh i ja nie mogliśmy się jakoś dogadać. Tak czy owak, korzystałem z sytuacji, ile się dało, i zawsze piłem w dobrym towarzystwie. Nic mi nie można zarzucić, szczerzy i otwarty ze mnie człowiek. Nie miej mi za złe, że cię dotąd nie szukałem. Mam pewną dolegliwość, która mi czasem każe zwolnić kroku. Myślałem, że w dalszym ciągu modlisz się i handlujesz w Londynie, niestety, tam cię nie znalazłem. Ale, jak widzisz, zostałem ci jednak zesłany, Nick, może po to, żeby na nas obu spłynęło błogosławieństwo?

Raffles zakończył tonem ironicznie obłudnym; trudno by znaleźć człowieka tak pewnego swojej intelektualnej wyższości nad religijną hipokryzją. A jeśli można nazwać intelektem chytryść, opierającą swoje rachuby na najniższych ludzkich instynktach, to Raffles nie był go pozbawiony, gdyż w tych szyderczych, chępliwych zwierzeniach krył się szereg wyraźnie dobranych komunikatów, jakby robił kolejne ruchy na szachownicy. Tymczasem pan Bulstrode postanowił sam zrobić ruch i odezwał się, zebrawszy siły.

– Postąpiłby pan rozsądniej, panie Raffles, uświadamiając sobie, że człowiek może się przeliczyć, usiłując zdobyć niezасłużone korzyści. Chociaż nie mam żadnych zobowiązań wobec pana, gotów jestem zapewnić panu regularną gratyfikację, płaconą kwartalnie, jak długo będzie pan dotrzymywał słowa i trzymał się stąd z daleka. W pańskich rękach jest wybór. Jeśli będzie pan obstawał przy tym, by pozostać tutaj, choćby na krótko, nic pan ode mnie nie wyciągnie. Nie będę pana znał.

– Ha, ha, ha! – Raffles udał wybuch śmiechu. – To mi przypomina pewnego zabawnego złodziejaskza, który nie chciał znać konstabla.

– Pańskie aluzje nie robią na mnie wrażenia – powiedział Bulstrode, rozwścieczony do ostateczności. – Ani pan, ani nikt inny nie może mnie oskarżyć o złamanie prawa.

– Nie rozumiesz się na dowcipach, mój pocziwczu! Miałem na myśli tylko to, że ja nigdy nie wyprę się znajomości z tobą. Ale do rzeczy. Nie odpowiadają mi kwartalne wypłaty. Lubię niezależność.

Tu Raffles wstał i przeszedł się zamasyżycie kilka razy tam i z powrotem po pokoju, w pozie mistrzowskiej zadumy. Wreszcie stanął przed Bulstrode'em.

– Powiem ci coś. Daj mi dwie setki. No, no, to skromne wymagania, i pojedę, na honor, zabiorę sakwojaż i odjadę. Ale nie będę się wyrzekał swobody za brudną rentę. Będę przyjeżdżał i odjeżdżał, kiedy mi się spodoba. Może przyjdzie mi ochota trzymać się z daleka i korespondować z przyjacielem, a może nie. Masz pieniądze przy sobie?

– Nie, mam tylko jedną setkę – powiedział Bulstrode, czując, że perspektywa natychmiastowego pozbycia się natręta niesie ulgę zbyt wielką, by się jej wyrzec dla przyszłej niepewności. – Przyślę panu drugą, jeśli da mi pan swój adres.

– Nie. Zaczekam, aż ją przywieziesz. Pójdę się przejść, przegryzę coś, a ty do tego czasu wrócisz.

Wątle ciało pana Bulstrode, udręczone emocjami trwającymi od poprzedniego wieczoru, dało mu odczuć, w upokorzeniu, że jest we władzy tego hałaśliwego, prymitywnego człowieka. Skwapliwie skorzystał więc z możliwości chwilowego złapania oddechu, nie oglądając się na cenę. Wstał już, by zrobić to, czego chciał Raffles, gdy ten podniósł palec, jakby mu się coś nagle przypomniało.

– Nie mówiłem ci, że próbowałem później jeszcze raz szukać Sary; sumienie mnie trochę gryzło... taka ładna, młoda kobietka, ale nie trafiłem na jej ślad, znalazłem tylko nazwisko jej męża i zanotowałem sobie. Niech to licha, gdzieś zapodziałem notes.

Ale gdybym je usłyszał, toby mi się przypomniało. Głowę mam jeszcze w porządku, tylko mi nazwiska umykają. Czasami jest tak pusta jak formularz podatkowy, nim go zapełnią nazwiska. Gdybym jednak coś o niej usłyszał albo o jej rodzinie, to się dowiesz, Nick. Na pewno chciałbyś jej pomóc, jako swojej pasierbicy.

– Niewątpliwie – odparł pan Bulstrode ze zwykłym, spokojnym spojrzeniem jasnoszarych oczu – chociaż może to umniejszyć moje możliwości wsparcia pana.

Gdy wychodził z pokoju, Raffles łypnął powoli za jego plecami, potem zawrócił do okna i patrzył, jak bankier odjeżdża, właściwie na jego rozkaz. Wargi najpierw wywinęły mu się w uśmiechu, potem otwały w krótkim, triumfalnym chichocie.

– Co to było za nazwisko, u diabła? – zapytał po chwili, niemal na głos, drapiąc się w głowę i marszcząc czoło. W istocie rzeczy nie myślał ani dbał o to zapomniane nazwisko, póki mu go nie zabrakło, gdy chciał zirytować Bulstrode'a. – Zaczynało się na „l”; niemal całe składało się z „l”, tak mi się zdaje – ciągnął w poczuciu, że już, już, a sobie przypomni nazwisko. Ale „już” nie nastąpiło i wkrótce zmęczył się tą umysłową gonitwą, niewielu bowiem ludzi tak szybko jak on

zniechęcało się do jakiegokolwiek zajęcia czy też miało większą potrzebę ciągłego wynajdywania sobie słuchaczy. Wolał więc spędzić czas na miłej rozmowie z rządcą i gospodynią, od których dowiedział się tyle, ile chciał, o pozycji pana Bulstrode w Middlemarch.

Mimo to pozostał mu jeszcze nudny okres czekania, który uprzyjemnił sobie, zjadając chleb z serem i popijając piwem, a kiedy siedział samotnie nad tymi wiktuałami w bawialni wyłożonej boazerią, trzepnął się nagle po kolanie i zawołał: „Ladislaw”. Czynność pamięci, którą próbował uruchomić, a potem zaniechał, zdesperowany, nagle się dokonała bez świadomego wysiłku – dość powszednie doświadczenie, miłe, jak dobre kichnięcie, nawet jeśli nazwisko, które przyszło na pamięć, nie ma znaczenia. Raffles natychmiast wyjął notes i zapisał je, nie dlatego, iż przypuszczał, że je wykorzysta, ale pragnął je mieć pod ręką, na wszelki wypadek. Nie zamierzał mówić o tym Bulstrode’owi; z mówienia nie ma korzyści, a dla ludzi takich jak Raffles tylko sekret niósł w sobie zapowiedź przyszłego zysku.

Był zadowolony z obecnego zwycięstwa. Tego samego dnia o trzeciej podjął na rogatec swój sakwojaż i wsiadł do dyliżansu, uwalniając wzrok pana Bulstrode od ohydnej czarnej plamy na Stone Court, lecz nie uwalniając go od lęku, że ta czarna plama może się stać nieodłączną częścią widoku jego kominka.

KSIĘGA SZÓSTA
WDOWA I MAŁŻONKA

ROZDZIAŁ LIV

Negli occhi porta la mia donna Amore;
Per che si fa gentil ciò ch'ella mira:
Ov' ella passa, ogni uom ver lei si gira,
E cui saluta fa tremar lo cora.
Sicchè, bassando il viso, tutto smore,
Ed'ogni suo difetto allor sospira:
Fuggon dinanzi a lei Superbia ed Ira:
Aiutatemi, donné, a farle onore.
Ogni dolcezza, ogni pensiero umile
Nasce nel core a chi parlar la sente;
Ond' è beato chi prima la vide.
Quel ch'ella par quand' un poco sorride,
Non si può dicer, nè tener a mente,
Si è nuovo miracolo gentile.

Dante Alighieri, *La vita nuova*.

Pani, co miłość w swych oczach piastuje,
Spojrzeniem wznosi, uzacnia, nawraca;
Gdzie przejdzie, każdy na nią oczy zwraca,
A pozdrowiony, bicie serca czuje,
Pochyla głowę i myślą się truje,
jak mała jego zasługa i praca;
Gniew zawstydzony od niej się odwracaj
Każda z dam ze mną niech ją uszanuje.

Od słodkich, myśli urasta pociecha,
Słyszac wyrazów jej wdzięk osobliwy,
Więc kto ją słyszy, czuje, że szczęśliwy;
A wyraz twarzy, kiedy się uśmiecha,
Nie znajdzie w mowie ni w pamięci echa,
Tak w nim szczególne uroki i dziwy.^[112]

Dante Alighieri, *Nowe życie*.

W ten cudowny ranek, kiedy stogi siana w Stone Court napełniały powietrze wonią bez żadnych uprzedzeń, jakby pan Raffles był gościem godnym najwspanialszych kadzideł, Dorotea wróciła na stałe do dworu Lowick. Po trzech miesiącach pobyt we Freshitt stał się dla niej nieco nużący; nie bardzo już mogła znieść wielogodzinne siedzenia, niby model do obrazu świętej Katarzyny, i wpatrywania się z uniesieniem w dziecko Celi, a rzecz jasna, nie do pomyślenia było, aby bezdzietna ciotka bez przerwy obecna przy tym niezwykłym niemowlęciu nie zwracała na nie uwagi. Dorotea chętnie niosłaby to dziecko w ramionach, choćby i miłą, gdyby tego było trzeba, i tym bardziej by je kochała, lecz ciotce, która w małym siostrzeńcu nie widzi Buddy i która umie go tylko podziwiać, zachowanie małego może się wreszcie wydać dość jednostajne, a radość z obserwowania go – ograniczona.

Do Celi jednak podobne myśli nie miały przystępu; sądziła, że bezdzietne wdowieństwo Dorotei zbiegło się doskonale z narodzinami małego Artura (mały otrzymał imię po panu Brooke).

– Dodo jest po prostu istotą, której nie zależy na posiadaniu czegokolwiek, dzieci czy czego innego – mówiła Celia do męża. – A gdyby miała dziecko, nie mogłoby być takie rozkoszne jak nasz Artur.

[112] Przeł. Gustaw Ehrenberg.

Prawda, James?

– Gdyby było podobne do Casaubona, na pewno nie – odparł sir James, świadom, że jest to odpowiedź nieco wykrętna i że na temat doskonałości swego pierworodnego ma opinię ściśle osobistą.

– Pewno, że nie! Możesz sobie wyobrazić? Doprawdy, to była łaska Opatrzności – mówiła Celia. – Moim zdaniem bardzo się dobrze złożyło, że Dodo została wdową. Może kochać nasze dziecko zupełnie jak swoje i mieć tyle różnych pomysłów, ile dusza zapagnie.

– Szkoda, że się nie urodziła królową – powiedział wierny sir James.

– Ale czym my bylibyśmy wtedy? Musielibyśmy być czymś innym. – Celia nie lubiła wzlotów wyobraźni wymagających tak dużego wysiłku. – Wolę ją taką, jaka jest.

Kiedy więc usłyszała, że Dorotea przygotowuje się do ostatecznego powrotu do Lowick, uniosła brwi z wyrazem zawodu i na swój spokojny, zrównoważony sposób przypuściła uszczypliwy atak:

– A cóż ty będziesz robiła w Lowick, Dodo? Przecież sama mówiłaś, że tam nie ma nic do zrobienia. Wszyscy są tacy czyści i żyją w dostatku, aż cię bierze melancholia. A tu taka byłaś szczęśliwa, chodząc z panem Garthem po całym Tipton i zaglądając w najbardziej zaniedbane podwórza. Teraz, kiedy stryjasek wyjechał, moglibyście z panem Garthem urządzić wszystko po swojemu, a pewna jestem, że James też zrobi, co mu tylko powiesz.

– Będę tu często przyjeżdżała, a wtedy tym lepiej będę mogła dostrzec, jak mały rośnie – odparła Dorotea.

– Ale nie będziesz go widziała w kąpieli – żaliła się Celia – a przecie to najmiłszy moment dnia. – Niemal się dąsała; doprawdy, Dodo chyba nie ma serca, żeby wyjeżdżać stąd, chociaż może być przy dziecku.

– Kitty, kochana, przyjadę i zostanę na noc tylko po to – mówiła Dorotea. – Teraz chciałabym być sama i we własnym domu. Pragnę lepiej

poznać rodzinę Farebrotherów i porozmawiać z pastorem o tym, co trzeba zrobić w Middlemarch.

Wrodzona siła woli przestała się przekształcać w dobrowolną uległość. Dorotea chciała być w Lowick i po prostu postanowiła jechać, nie uważając, by miała obowiązek się z tego tłumaczyć. A jednak wszyscy wokół mieli jej to za złe. Sir James był mocno urażony i zaproponował, by wszyscy wspólnie wyemigrowali do Cheltenham na kilka miesięcy, zabierając świętą arkę, czyli inaczej mówiąc, kołyskę; w tej sytuacji, doprawdy, gdyby i ten pomysł został odrzucony, trudno byłoby człowiekowi wymyślić coś jeszcze.

Wdowa lady Chettam, która właśnie wróciła z wizyty u córki w Londynie, uważała za stosowne, by przynajmniej napisać do pani Vigo, prosząc ją o przyjęcie stanowiska damy do towarzystwa pani Casaubon: nie do pomyślenia, by Dorotea, taka młoda wdowa, mieszkała samotnie w Lowick. Pani Vigo była lektorką i sekretarką osobistości z rodziny królewskiej i nawet Dorotea nie mogłaby mieć zastrzeżeń do jej wiedzy i zapatrywań.

Pani Cadwallader powiedziała na osobności:

– Niewątpliwie zwariujesz tam, sama, w tym domu, moja droga. Zaczнеш miewać przywidzenia. Każdy z nas musi się trochę wysilić, by zachować zdrowe zmysły i nazywać wszystko tak samo jak inni. Co prawda, dla młodszych synów i kobiet bez majątku wariatwo to rodzaj ubezpieczenia, ktoś musi się wtedy nimi zająć. Ale tobie nie wolno się doprowadzić do takiego stanu. Domyślam się, że trochę się tu nudzisz z naszą zacną wdową, ale pomyśl tylko, jak nudna dla innych możesz się stać sama, jeśli będziesz wciąż grała rolę tragicznej królowej i reagowała na wszystko tak wzniosłe. Jak będziesz siedziała samotnie w tej bibliotece w Lowick, zaczniesz sobie wyobrazać, że możesz decydować o jutrzejszej pogodzie; musisz mieć koło siebie parę osób, które, jeśli im to powiesz,

nie uwierzą. To dobre lekarstwo, z gatunku redukujących.

– Ja nigdy nie nazywałam wszystkiego tak samo jak inni – stwierdziła zdecydowanie Dorotea.

– Przypuszczam jednak, że już zrozumiałaś swój błąd – odparła pastorowa – a to świadczy, że jesteś przy zdrowych zmysłach.

Dorotea wyczuła docinek, który jej jednak nie zabolął.

– Nie – powiedziała. – W dalszym ciągu uważam, że większość ludzi na tym świecie myli się co do wielu spraw. Na pewno człowiek może tak sądzić, będąc przy zdrowych zmysłach, boć przecież większość ludzi musiała nieraz zmieniać zdanie.

Pani Cadwallader nie przeciągała już tej rozmowy, ale później powiedziała do męża:

– Byłoby dla niej z pożytkiem, gdyby wyszła za męża, zaraz jak się skończy żałoba. Żeby tylko się dało wprowadzić ją we właściwe towarzystwo. Oczywiście, Chettamowie nie będą tego chcieli. Aleja widzę wyraźnie, że mąż to najlepszy sposób na utrzymanie jej w ryzach. Gdybyśmy nie byli tacy biedni, zaprosiłabym lorda Tritona. Zostanie kiedyś markizem, a trudno zaprzeczyć, że byłaby z niej świetna markiza: wygląda w tej żałobie ładniej niż kiedykolwiek.

– Eleonoro, kochanie, daj pokój tej biednej kobiecie. Takie manipulacje do niczego nie prowadzą.

– Nie prowadzą? A skąd się biorą małżeństwa, jeśli nie z tego, że się mężczyźni styka z kobietami. To wstyd, że jej stryjasek uciekł i zamknął Tipton. Powinno się teraz tłumnie spraszać do Tipton i Freshitt dobre partie. Lord Triton jest jak najbardziej odpowiedni; w głowie ma pełno pomysłów, jak uszczęśliwiać ludzkość, trochę, co prawda, głupawych. W sam raz to, co by się spodobało pani Casaubon.

– Niech pani Casaubon sama dokonuje wyboru, Eleonoro.

– Takie właśnie głupstwa wygłaszają mądrzy mężczyźni. Jakże ona

ma wybierać, jak nie ma z czego? Wybór, jakiego dokonuje kobieta, to na ogół jedyny mężczyzna, jaki się jej nadarzy. Zapamiętaj moje słowa, Humphrey. Jeśli jej rodzina nie zadba o to jak należy, będzie jeszcze większa awantura niż ta z Casaubonem.

– Na litość boską, nie tykaj tego tematu, Eleonoro. To dla sir Jamesa bardzo przykra sprawa. Byłby głęboko dotknięty, gdybyś ją niepotrzebnie przy nim podejmowała.

– Ja jej nigdy nie podejmowałam – pastorka rozłożyła ręce. – Celia sama powiedziała mi o testamencie, od razu, bez żadnych pytań z mojej strony.

– Tak, ale oni chcą, żeby sprawa ucichła, a jak rozumiem, ten młody człowiek opuszcza nasze strony.

Pani Cadwallader nie odpowiedziała, pokiwała tylko mężowi znacząco, a w jej ciemnych oczach krył się sarkastyczny wyraz.

Mimo wyrzutów i perswazji Dorotea trwała nieustępliwie w swoim postanowieniu. Tak więc pod koniec czerwca otworzono wszystkie okiennice we dworze Lowick i rano zajął spokojnie do biblioteki, oświetlając szeregi notesów, tak jak oświetla monotonne pustkowie, na którym leżą ogromne głazy, nieme pomniki zapomnianej wiary; wieczór zaś, napełniony zapachem róż, wsunął się cicho do niebiesko-zielonego buduaru, gdzie Dorotea lubiła najczęściej przesiadywać. Najpierw zajął do każdego pokoju, rozpamiętując osiemnaście miesięcy swojego małżeństwa i snując myśli tak, jakby prowadziła rozmowę, którą może słyszeć jej mąż. Potem usiadła na dłużej w bibliotece i spoczęła dopiero wtedy, gdy ułożyła starannie wszystkie notesy tak, jakby on sobie tego, jej zdaniem, życzył, w logicznym porządku. Współczucie, które w jej pożyciu z panem Casaubonem było powstrzymującym, wymuszającym czynnikiem, wciąż przywierało do jego wizerunku, nawet gdy w myślach wyrzucała z oburzeniem niesprawiedliwość. Jeden jej drobny

postępek można z uśmiechem uznać za przesądny. Starannie zamknęła w kopercie i zapieczętowała „Synoptyczne zestawienie na użytek pani Casaubon”, napisawszy wprzód wewnątrz koperty: „Nie mogłabym z tego skorzystać. Czy nie rozumiesz teraz, że nie mogłabym podporządkować ci mojej duszy, pracując beznadziejnie nad czymś, w co nie wierzę? – Dorotea”.

Potem schowała kopertę we własnym biurku.

Ta cicha rozmowa była chyba tym bardziej poważna, że pod wszystkim i we wszystkim kryła się głęboka tęsknota, i to ona w istocie kazała Dorotei powrócić do Lowick. Była to tęsknota za spotkaniem z Willem Ladisławem. Nie wiedziała, co dobrego mogłoby z tego spotkania wyniknąć; była bezradna, ręce miała związane i nie mogła mu wynagrodzić doznanej krzywdy. Ale jej dusza pragnęła jego widoku. Jakżeby mogło być inaczej? Gdyby królowna w okresie, gdy była zaklęta, widywała w stadzie czworonożnych stworzeń jedno, przychodzące do niej raz po raz z ludzkim wyrazem w oczach, w którym zawierałoby się skierowane do niej błaganie – o czym rozmyślałaby potem w podróżach, czego by szukała w mijanych stadach? Niewątpliwie wzroku, który ją odnalazł i który ona zaraz by rozpoznała. Życie nie byłoby niczym lepszym niż błyskotki w wieczornym świetle czy śmiecie za dnia, gdyby nasze dusze nie doznawały tknięcia czegoś, co mieściłoby w sobie tęsknotę i stałość uczuć. Prawdą jest, że Dorotea pragnęła poznać bliżej Farebrotherów, a szczególnie porozmawiać z nowym plebanem, ale również jest prawdą, że pamiętając o tym, co jej mówił Lydgate o Willu Ladisławie i malutkiej panie Noble, liczyła na przyjazd Willa do Lowick z wizytą do rodziny pastora. Już w pierwszą niedzielę, jeszcze zanim weszła do kościoła, zobaczyła go, tak jak go widziała za ostatnią swoją tu bytnością, samotnego, w ławce wikariusza; kiedy jednak weszła do kościoła, postać zniknęła.

W dni powszednie, odwiedzając panie na plebanii, próżno czekała na

jakieś przypadkowe słowo o Willu; miała wrażenie, że pani Farebrother mówi o wszystkich w sąsiedztwie – z wyjątkiem jego jednego.

– Może niektórzy ze słuchaczy pastora z Middlemarch ściągną tu czasem za nim, by go posłuchać, nie sądzi pani? – spytała, czując do siebie lekką pogardę za sekretną intencję tego pytania.

– Jeśli są rozumni, to przyjdą – odparła stara dama. – Widzę, że należycie pani ocenia kazania mojego syna. Jego dziad z mojej strony był wybitnym duchownym, lecz ojciec jego zajmował się prawem, człowiek mimo to wzorowy i uczciwy, z której to przyczyny nigdyśmy się nie wzbogacili. Powiadają, że Fortuna to kobieta i że jest kapryśna. Czasami jednak jest dobrą kobietą i daje tym, którzy na to zasługują, jak to się stało w przypadku łaskawej pani, która dała beneficjum mojemu synowi.

Pani Farebrother zabrała się znów do szydełkowania, z wyrazem godnej satysfakcji po tej udanej drobnej próbie krasomówczej, lecz Dorotea nie to chciała usłyszeć. Biedaczka! Nie wiedziała nawet, czy Will jest jeszcze w Middlemarch, a nie śmiała nikogo pytać, z wyjątkiem doktora Lydgate. Ale teraz nie było okazji, by go spotkać, chyba żeby wezwała go lub sama pojechała do niego. Może Will Ladislaw, usłyszawszy o tym dziwnym, tyjącym jego osoby zakazie, jaki wydał pan Casaubon, uznał, iż słuszniej będzie, jeśli się już więcej nie zobaczą, i może to źle, że ona życzy sobie spotkania, przeciwko któremu inni znajdują wiele poważnych argumentów. Te rozsądne rozważania miały jednak zawsze ten sam finał – „chcę tego spotkania” – równie naturalny jak westchnienie po wstrzymywaniu oddechu. I do spotkania doszło, ale w sposób formalny i całkiem przez nią nieprzewidziany.

Pewnego ranka, około jedenastej, Dorotea siedziała w swoim buduarze nad mapą gruntów, należących do dworu, i innymi papierami, pragnąc się dokładnie zaznajomić ze stanem swoich interesów i wysokością dochodów. Nie wgłębiła się jeszcze w dokumenty, siedziała z rękami

złożonymi na kolanach, spoglądając przed siebie wzdłuż alei wiązków na pola w oddali. W słońcu nie drżał nawet listek, znana sceneria nie ulegała zmianie i zdawało się, że symbolizuje perspektywę, jaka otwiera się przed nią, łatwą i pustą – pustą, jeśli jej energia nie potrafi znaleźć celu dla jakichś żarliwych wysiłków. Wdowi czepek ze sztywnym denkiem tworzył w owych czasach owalne obramowanie twarzy, a suknia była wynikiem starań, by zużyć jak najwięcej krey: lecz ten ciężki, uroczysty strój sprawiał, że jej buzia, która odzyskała kwitnący wygląd, wydawała się jeszcze młodsza, ze słodkim, pytającym, szczerym wejrzaniem.

Z zamyślenia wyrwała ją Tantripp, która przyszła powiedzieć, że na dole czeka pan Ladisław i prosi o pozwolenie zobaczenia pani, jeśli pora nie jest zbyt wczesna.

– Przyjmę go – odparta Dorotea, wstając natychmiast. – Proszę go wprowadzić do salonu.

Salon wydał się jej najbardziej neutralnym pokojem w domu – najmniej związanym z przejściami jej małżeńskiego pożycia: adamaszkowe obicia harmonizowały z barwą stolarki – białym i złotym; prócz tego dwa wysokie lustra i stoły, na których nic nie stało – krótko mówiąc, był to pokój, gdzie można było siedzieć równie dobrze w tym, jak innym miejscu. Znajdował się pod buduarem i również miał wykusz z oknem, wyglądającym na aleję wiązków. Kiedy jednak Pratt wprowadził Willa do pokoju, okno było otwarte, a skrzydlaty gość, który bzykając polatywał to tu, to tam, to wewnątrz, to na zewnątrz, nie bacząc na meble, sprawiał, że pokój nie wydawał się tak bardzo formalny i niezamieszany.

– Radzi widzimy znowu jaśnie pana – powiedział Pratt, zwlekając, by poprawić story.

– Przyszedłem się tylko pożegnać, Pratt – odparł Will, który pragnął, aby nawet służący wiedział, że jest zbyt dumny, by się kręcić koło pani Casaubon teraz, gdy została bogatą wdową.

– Przykro mi to słyszeć, jaśnie panie – powiedział Pratt, wychodząc. Oczywiście, jako służący, którego się o niczym nie informowało, wiedział to, o czym Ladislaw dotąd nie wiedział, i wyciągnął własne wnioski, w gruncie rzeczy nieróżne od poglądów jego narzeczonej, Tantripp, która mówiła:

– Twój pan był zazdrosny jak sam diabeł, a nie miał powodu. Moja pani patrzy wyżej niż pan Ladislaw; kto jak kto, ale ja ją znam. Pokojówka pani Cadwallader powiada, że przyjeżdża jeden lord, który się z moją panią ożeni, jak tylko żałoba się skończy.

Will nie czekał długo na Doroteę, spacerując po pokoju tam i z powrotem z kapeluszem w ręku. Ich spotkanie było zupełnie inne niż tamto w Rzymie, kiedy to Will był speszony, a Dorotea spokojna. Tym razem Will był smutny, lecz zdecydowany, ona zaś do tego stopnia poruszona, że nie potrafiła tego ukryć. Gdy stanęła pod drzwiami, wydała jej się, że to upragnione spotkanie okaże się dla niej zbyt trudne, a kiedy Will do niej podszedł, poczuła niemile, że na jej policzki występuje rumieniec, który rzadko tam gościł. Oboje nie wiedzieli, dlaczego tak się dzieje, ale oboje milczeli. Podała mu rękę na krótką chwilę, a potem przeszli przez pokój, by usiąść przy oknie – ona na jednej kozetce, a on naprzeciwko – na drugiej. Will czuł się ogromnie nieswojo: wydało mu się niepodobne do Dorotei, żeby sam fakt, iż została wdową, spowodował taką zmianę w jej sposobie zachowania wobec niego, nie wiedział zaś o niczym, co mogłoby odmienić ich dotychczasowe stosunki – chyba, jak mu natychmiast podszeptała wyobraźnia, że rodzina próbuje zatruć jej umysł podejrzeniami.

– Mam nadzieję, że to nie jest nadużycie pani uprzejmości – powiedział.
– Nie mogłem znieść myśli, iż opuszczam te okolice i zaczynam nowe życie bez pożegnania się z panią.

– Nadużycie? Skądże znowu! Uważałabym to za dowód nieżyczliwości,

gdyby pan nie chciał się ze mną zobaczyć – odparła Dorotea, w której przyzwyczajenie do całkowitej szczerości przewyciężyło niepewność i niepokój. – Czy pan rychło wyjeżdża?

– Sądzę, że już niebawem. Zamierzam jechać do Londynu i studiować prawo, ponieważ jak powiadają, ta wiedza jest fundamentem wszelkiej działalności publicznej. Uważam, że w najbliższym czasie będzie dużo do zrobienia w polityce i zamierzam poprobać swoich sił na tym polu. Innym mężczyznom udawało się dojść do zaszczytnych pozycji bez wsparcia rodziny i pieniędzy.

– Dzięki czemu owa pozycja będzie jeszcze bardziej zaszczytna – zapewniła go Dorotea z zapałem. – Poza tym pan ma tyle uzdolnień! Słyszałam od stryja, że pan wspaniale przemawia publicznie, tak że wszyscy żałują, kiedy pan kończy i że każdą sprawę potrafi pan przedstawić jasno. Takam rada! Kiedy byliśmy w Rzymie, sądziłam, że pan dba jedynie o poezję i sztukę, o to, co zdobi życie nam, którzy jesteśmy zamożni. Ale teraz widzę, że dba pan i o resztę świata.

Kiedy to mówiła, opadło z niej całe dotychczasowe zaambarasowanie i znowu stała się sobą. Spoglądała prosto na Willa, oczami, w których była zachwycona ufność.

– Więc aprobeje pani to, że wyjadę na długie lata i nie wrócę, dopóki nie zdobędę znaczenia w świecie? – zapytał Will, starając się pogodzić największą dumę z ogromnym wysiłkiem, by wydobyć z Dorotei dowód uczucia.

Nie zdawała sobie sprawy, ile czasu upłynęło, nim odpowiedziała. Odwróciła głowę i spoglądała przez okno na krzewy róż, które jakby zawierały w sobie wiosny tych wszystkich lat, kiedy Willa nie będzie. Nie było to rozsądne z jej strony. Ale nie przyszło jej do głowy, by zastanawiać się nad swoim zachowaniem – myślała tylko o konieczności pogodzenia się ze smutną koniecznością, która rozdzieli ją z Willem.

Jego pierwsze słowa, kiedy mówił o swoich zamierzeniach, wydały się jej całkiem jasne: przypuszczała, że dowiedział się o tym, jak w związku z jego osobą postąpił ostatecznie pan Casaubon, i to wywołało w nim taki sam szok jak w niej. Nigdy nie czuł do niej nic prócz przyjaźni – w głowie mu nie powstało nic, co mogłoby usprawiedliwić posunięcie, które było, jej zdaniem, gniewną reakcją jej męża na ich uczucia. Ową przyjaźń dla niej żywi do dziś. Coś, jak wewnętrzny, niemy szloch podniosło się w piersi Dorotei, lecz powiedziała czystym głosem, z lekkim tylko drzeniem przy ostatnich słowach, powodowanym może ich delikatną giętkością.

– Tak, musi być rzeczą słuszną, by postąpił pan tak właśnie. Będę ogromnie szczęśliwa, kiedy usłyszę, że doceniono pana wartość. Ale musi pan być cierpliwy. To może trwać długo.

Will nigdy nie zrozumiał, co go powstrzymało, by nie runąć jej do stóp, gdy to „może trwać długo” padło z lekkim drzeniem. Mówił później, że ową siłą hamującą był pewno ten okropny kolor i krój jej żalobnej sukni. Siedział więc spokojnie i powiedział tylko:

– Nie będę miał wiadomości od pani. A pani o mnie ze szczętem zapomni.

– Nie – odparła Dorotea. – Nigdy pana nie zapomnę. Nigdy nie zapomniałam nikogo, kogo znałam. W moim życiu nie było dotąd tłoczno i nie zapowiada się, żeby miało być inaczej. Mam w Lowick ogromnie dużo miejsca na wspomnienia, nie uważa pan? – uśmiechnęła się.

– Wielki Boże! – wybuchnął gwałtownie Will, wstając, z kapeluszem w rękę, i podchodząc do marmurowego stołu; tam obrócił się nagle i oparł plecami o stół. Rumieniec oblał mu twarz i szyję, wydawał się niemal zagniewany. Miał wrażenie, że są dwiema istotami, które powoli obracają się w marmur w swojej obecności, choć ich serca znają prawdę, a oczy tęsknią do siebie. Lecz cóż można było na to poradzić? Nie dopuścił do tego, by spotkanie, na które przyszedł, podjąwszy gorzką decyzję,

zakończyło się wyznaniem, które mogłoby być rozumiane jako prośba o jej fortunę. I prawdę powiedziawszy, bał się reakcji Dorotei na takie wyznanie.

Spoglądała na niego z tej odległości, nieco zaniepokojona, sądząc, że jej słowa go uraziły. Ale przez cały czas trawiła ją myśl, że on na pewno nie ma pieniędzy, a ona nie jest w stanie mu pomóc. Gdyby stryj był w domu, można by coś z jego pomocą załatwić. Ta absorbująca myśl o trudnościach, jakie ma Will z braku pieniędzy, podczas gdy ona posiada to, co powinno być jego udziałem, sprawiła, że gdy w dalszym ciągu milczał i odwracał wzrok, powiedziała:

– Czy nie chciałby pan zabrać tej miniaturowej, która wisi na górze. Mam na myśli tę piękną miniaturową pańską babki. Sądzę, że nie powinnam jej zatrzymywać, jeśli pan chciał ją mieć. Tak uderzająco przypomina pana.

– Jest pani bardzo dobra – odparł z pewną irytacją. – Nie, nie zależy mi na niej. Posiadanie własnej podobizny nie przynosi pociechy. Byłoby większą pociechą, gdyby inni pragnęli ją mieć.

– Sądziłam, że chciałby pan zachować ją w pamięci... sądziłam... – Dorotea urwała nagle, gdyż wyobraźnia ostrzegła ją, że powinna trzymać się z dala od dziejów ciotki Julii – ...że będzie pan chciał mieć tę miniaturową jako rodzinną pamiątkę.

– Czemu akurat ją, kiedy nie mam żadnych innych? Mężczyzna, którego cały majątek mieści się w sakwojazu, musi chować swoje pamiątki w głowie.

Will mówił dość niezbornie: dawał po prostu upust swemu rozdrażnieniu; doprawdy, to już przesada otrzymywać w takim momencie propozycję portretu babki.

Doroteę jednak ubodły te słowa. Podniosła się i powiedziała z odrobiną gniewu i wyniosłości.

– Nie posiadając nic, jest pan o wiele szczęśliwszy z nas dwojga.

Will aż drgnął. Bez względu na znaczenie słów był to ton odprawy. Wyprostował się i postąpił kilka kroków ku niej. Oczy ich się spotkały, lecz z dziwną pytającą powagą. Coś narzucało obojgu rezerwę, a każde musiało zgadywać, o co chodzi temu drugiemu. Will nigdy nie myślał, że ma jakiegokolwiek dziedziczne prawa do majątku, jaki posiadała Dorotea, i musiałyby wysłuchać całej opowieści, by zrozumieć jej obecne uczucia.

– Dotychczas nie uważałem nigdy braku majątku za nieszczęście – odparł. – Ale bieda może być równie dotkliwa jak trąd, oddziela nas od tego, co dla nas najdroższe.

Te słowa przejęły Doroteę do głębi serca. Złagodniała, mówiąc tonem smutnego pobratymstwa.

– Cierpienie przychodzi różnymi drogami. Dwa lata temu nie miałam o tym pojęcia, to znaczy o tym, jak niespodzianie spada na człowieka zmartwienie i wiąże ręce, i każe milczeć, choć się pragnie mówić. Dawniej trochę gardziłam kobietami za to, że nie potrafią same nadawać kształtu swojemu życiu i zająć się czymś użytecznym. Byłam bardzo szczęśliwa, gdy mogłam robić to, co chciałam, ale teraz niemal zrezygnowałam ze wszystkiego – zakończyła, uśmiechając się żartobliwie.

– Ja nie zrezygnowałam z robienia tego, co chcę, ale rzadko mi się to udaje – odparł Will. Stał o dwa jardy od niej, a w głowie miał pełno sprzecznych pragnień i postanowień. Pragnął niezbitego dowodu, że Dorotea go kocha, a jednocześnie bał się sytuacji, w jakiej ten dowód mógłby go postawić. – To, czego człowiek pragnie najbardziej, może być obwarowane zastrzeżeniami nie do przyjęcia.

W tym momencie wszedł Pratt i oznajmił:

– Sir James Chettam jest w bibliotece, jaśnie pani.

– Niech Pratt poprosi sir Jamesa tutaj – odparła natychmiast Dorotea. Ten sam elektryczny wstrząs przeniknął i ją, i Willa. Każde z nich poczuło

dumny odruch oporu; nie patrzyli na siebie, oczekując wejścia sir Jamesa.

Uścisnął rękę Dorotei, po czym skinął lekko głową Willowi, na co ten odpowiedział identycznym ukłonem i podszedł do pani domu.

– Muszę pożegnać panią, i to zapewne na dłużej.

Dorotea podała mu rękę i pożegnała go serdecznie. Świadomość, że sir James okazuje lekceważenie Willowi i jest dla niego niegrzeczny, kazała jej zachować się jeszcze godniej i z większym zdecydowaniem: w jej obejściu nie było cienia zakłopotania. A kiedy Will wyszedł z pokoju, spojrzała na sir Jamesa z takim spokojem, pytając: „Jak się ma Celia?”, że musiał się zachować, jakby go nic nie zirytowało. A cóż by mu przyszło z tego, że postąpiłby inaczej? Łączenie, choćby w myśli, Dorotei z Ladisławem jako kandydatem na męża napawało sir Jamesa taką odrazą, że nie chciałby okazywać niezadowolenia, które by taką przykrą możliwością dopuszczało. Gdyby go kto spytał o powód tej odrazy, nie sądzę, by z początku powiedział coś więcej czy bardziej precyzyjnie niż: „*ten* Ladisław”!, choć zapewne po namyśle stwierdziłby, iż sam kodycył pana Casaubona, zabraniający Dorotei, pod karą, małżeństwa z Willem, wystarcza, by wszystkie ich kontakty uznać za niestosowne. Jego awersja była tym silniejsza, że nie miał wpływu na sytuację.

Lecz sir James nie zdawał sobie sprawy ze swojej potęgi. Jego wejście w tym momencie unaocznilo Willowi główny powód, który z jego dumy czynił instrument nakazujący mu trzymać się z dala od Dorotei.

ROZDZIAŁ LV

Ona ma wady? Obyś ty je miała;
To wonny osad najlepszego wina,
Albo ów ogień, co wszystko odradza,
I mroczną, gęstą substancję zamienia
W trakt kryształowy, wiodący ku słońcu.

Jeśli uważać młodość za czas nadziei, to chyba tylko w tym znaczeniu, że dorośli pokładają nadzieję w młodych, żaden bowiem wiek nie jest tak jak młodość skłonny sądzić, że wszelkie uczucia, rozstania i decyzje są ostateczne. Każdy kryzys wydaje się absolutnym końcem po prostu dlatego, że jest czymś nowym. Dowiadujemy się, że najstarsi mieszkańcy Peru nie przestają odczuwać trzęsienia ziemi, zapewne dlatego, że po każdym wstrząsie sięgają wzrokiem dalej, przypuszczając, że mają przed sobą wiele następnych.

Dla Dorotei, która znajdowała się jeszcze w tym okresie młodości, kiedy to oczy osłonięte długimi rzęsami pozostają po ulewie łez czyste i bez śladu zmęczenia, niby świeżo rozwinięty kwiat passiflory – to rozstanie z Willem wydawało się kresem ich znajomości. Oddalał się na dystans nieokreślonej ilości lat, a jeśli kiedykolwiek wróci, będzie innym człowiekiem. Prawdziwy stan jego umysłu, dumne postanowienie, że z góry zada kłam podejrzeniom, by mógł odegrać rolę niebieskiego ptaka, który kręci się wokół bogatej kobiety – to nie powstało jej nawet w głowie; tłumaczyła sobie jego zachowanie kodycylem pana Casaubona, który podobnie jak jej, wydał się Willowi prymitywnym, okrutnym zakazem wszelkiej przyjaźni między nimi. Młodzieńcza radość wspólnej rozmowy o rzeczach, które nikogo oprócz nich nie interesowały – wszystko to

się skończyło, przeszło do skarbca minionego czasu. Właśnie dlatego pozwalała sobie rozmyślać o tym bez ograniczeń. Owa nieczęsto przeżywana radość była teraz martwa i w cichej, mrocznej przestrzeni Dorotea mogła dać upust żalowi, którego rozmiar zadziwił ją samą. Po raz pierwszy zdjęła ze ściany miniaturę i trzymała ją przed oczyma, pragnąc przetopić twarz kobiety, osądzonej tak surowo, w podobiznę wnuka, bronionego teraz jej własnym sercem i rozumem. Czy ktoś, kto zaznał radości, jaką niesie czułość kobieca, może mieć za złe, że wkładała mały owalny portrecik we wgłębienie dłoni, robiąc mu tam posłanie, że przytulała do niego policzek, jakby to mogło pocieszyć istotę niesprawiedliwie potępioną? Nie wiedziała jeszcze wtedy, że to Miłość zajrzała do niej na chwilę, jak we śnie tuż przed obudzeniem, ze smugą brzasku na skrzydłach – że to z Miłością rozstawała się we łzach, gdy nieskazitelny porządek wspaniałego poranka wypłaskał nieuchronnie jej obraz. Czuła tylko, że spotkało ją coś nieodwracalnego i niedobrego, a myśląc o przyszłości, tym skwapliwiej podjęła decyzję. Żarliwe dusze, gotowe same kształtować swoją przyszłość, zdolne są do wielkich poświęceń, aby zrealizować swoją wizję.

Pewnego dnia, gdy pojechała do Freshitt, by spełnić daną Celi obietnicę, że zostanie na noc i będzie asystować przy kąpeli dziecka, na kolację przyszła pani Cadwallader, jako że pastor wyprawił się gdzieś na ryby. Był ciepły wieczór i nawet w tym cudownym salonie, gdzie za otwartymi oknami piękne, stare trawniki opadały łagodnym skłonem ku porosłej liliami sadzawce i gęstym żywopłotom – nawet tu było tak gorąco, że Celia, w białej muslinowej sukni, z głową w krótkich lokach, pomyślała z przykrością, jak musi czuć się Dodo w tej czarnej sukni i opiętym czepeczku. Stało się to jednak dopiero, kiedy miała wolną głowę po zakończeniu wszystkich niezbędnych czynności przy małym. Usiadła i wachlowała się jakiś czas, aż wreszcie powiedziała swoim spokojnym,

gardłowym głosem:

– Dodo, kochanie, zrzuć już ten czepek. Jestem pewna, że źle się w nim czujesz.

– Tak do niego przywykłam, jest dla mnie czymś w rodzaju skorupy – odparła Dorotea z uśmiechem. – Bez niego czuję się jakby obnażona i wystawiona na pokaz.

– Muszę cię zobaczyć z gołą głową, wszystkim nam robi się jeszcze goręcej od patrzenia na ciebie. – Celia odrzuciła wachlarz i podeszła do Dorotei. Ładny to był obrazek, gdy mała dama w białych muślinach rozwiązywała wdowi czepek swej majestatycznej siostry i rzucała go na krzesło. Właśnie w momencie, gdy oswobodzone zostały zwoje ciemnych warkoczy, do pokoju wszedł sir James. Spojrzał na uwolnioną głowę i powiedział: – Aaa – tonem zadowolenia.

– To moje dzieło, James – pochwaliła się Celia. – Dodo nie powinna niewolniczo nosić tej żałoby, nie powinna przy najbliższych wkładać tego czepka.

– Moja droga – pouczyła ją lady Chettam. – Wdowa musi nosić żałobę przynajmniej rok.

– Chyba że wyjdzie za mąż powtórnie przed upływem roku – wtrąciła pani Cadwallader, która lubiła szokować swą zacną przyjaciółkę. Sir James pochylał się rozdrażniony i zaczął się bawić z maltańczykiem Celi.

– To, mam nadzieję, zdarza się bardzo rzadko. – Ton lady Chettam wyraźnie ostrzegał przed podobną niestosownością. – Żadna z naszych znajomych nie postąpiła tak niewłaściwie, z wyjątkiem pani Beever, czym sprawiła ogromną przykrość lordowi Grinsellowi. Jej pierwszy mąż był nie do przyjęcia, co budzi tym większe zdumienie. I została za to ciężko ukarana. Powiadają, że kapitan Beever włóczył ją za włosy po podłodze i groził nabitym pistoletem.

– No cóż, jeśli wyszła za nieodpowiedniego mężczyznę... –

Pastorowa była dzisiaj wyraźnie w figlarnym nastroju. – Małżeństwo, czy to pierwsze, czy drugie, zawsze jest wtedy nieudane. Pierwszeństwo to słaba rekomendacja dla mężczyzny, w braku innej. Wolałabym mieć dobrego drugiego męża niż miernego pierwszego.

– Moja kochana, wyraźnie panią ten zręczny języczek ponosi – obruszyła się lady Chettam. – Jestem pewna, że byłaby pani ostatnią kobietą, która by przedwcześnie wyszła ponownie za mąż, gdyby Pan zabrał do siebie naszego kochanego pastora.

– Och, ja niczego nie obiecuję; mogłaby to być ekonomiczna konieczność. O ile mi wiadomo, prawo nie wzbrania powtórnego zamążpójścia, inaczej moglibyśmy równie dobrze wyznawać hinduizm jak chrześcijaństwo. Jeśli kobieta przyjmuje oświadczyzny nieodpowiedniego mężczyzny, to, rzecz jasna, musi ponosić konsekwencje, a taka, która to robi dwa razy, zasługuje na swój los. Jeśli jednak może poślubić dobrą krew, urodę i odwagę, to im szybciej, tym lepiej.

– Sądzę, że temat naszej konwersacji jest bardzo niewłaściwie wybrany – powiedział sir James z wyrazem niesmaku. – Może byśmy go zmienili?

– Nie z mojego powodu, proszę. – Dorotea postanowiła skorzystać z okazji i odciąć się od tych niejasnych aluzji do wspaniałych partii. – Jeśli mówisz to ze względu na mnie, mogę cię zapewnić, że żaden temat nie może mi być bardziej obojętny i odległy jak powtarne zamążpójście. Równie dobrze możecie mówić o kobietach, które polują na lisa: czy to godne podziwu, czy nie, ja nie pójdę w ich ślady. Proszę, pozwól pastorowej żartować na ten temat tak samo, jak na każdy inny.

– Ależ łaskawa pani – przemówiła najdostojniejszym tonem lady Chettam – nie sądzi pani, tuszę, iż wspominając panią Beever, czyniłam jakąś aluzję do pani. Po prostu ten przypadek przyszedł mi do głowy. Była to pasierbica lorda Grinsella, który ożenił się po raz drugi z panią Teveroy.

Nie mogła to być aluzja do pani, w najmniejszej mierze.

– Och – roześmiała się Celia – nikt tego tematu nie wywoływał. On sam wyskoczył z czepka Dodo. Pani pastorowa powiedziała tylko to, co jest absolutnie prawdziwe. Kobieta nie może wyjść za mąż we wdowim czepczku, James.

– Cicho – ofuknęła ją pastorowa. – Ja już nie będę nikogo gorszyć. Nie będę się nawet powoływać na Dydonę czy Zenobię. Tylko o czymże będziemy rozmawiać? Ja, z mojej strony, sprzeciwiam się dyskusji o Naturze Ludzkiej, gdyż taka jest natura pastorskich żon.

Później, gdy pastorowa już wyszła, Celia zwróciła się na osobności do Dorotei:

– Naprawdę, Dodo, dzięki temu, że zdjęłaś czepczek, znowu stałaś się taka jak niegdyś, i to nie tylko pod jednym względem.

Zareagowałaś tak samo jak dawniej, kiedy powiedziano coś, co ci się nie spodobało. Ale nie bardzo mogłam zrozumieć, czy to do Jamesa miałaś pretensję, czy do pani Cadwallader.

– Ani do jednego, ani do drugiego. James odezwał się, chcąc mi oszczędzić przykrości, ale mylił się, przypuszczając, że słowa pani Cadwallader mnie uraziły. Byłoby mi przykro tylko wtedy, gdyby istniało prawo zmuszające mnie do przyjęcia owej dobrej krwi i urody rekomendowanej przez nią czy kogokolwiek innego.

– Ale wiesz, Dodo, gdybyś kiedykolwiek wychodziła za mąż, to byłoby lepiej, żeby to była i dobra krew, i uroda – powiedziała Celia, mając na myśli fakt, iż pan Casaubon nie był zbyt szczerze nimi obdarzony i że lepiej uprzedzić Dodo, póki czas.

– Nie martw się, Kitty; mam całkiem inne projekty, jeśli idzie o moje życie. Nigdy więcej nie wyjdę za mąż. – Dorotea dotknęła policzka siostry, patrząc na nią z pobłażliwą czułością. Celia karmiła niemowlę, a Dorotea przysła jej powiedzieć dobranoc.

– Naprawdę? Nigdy? Za nikogo w świecie? Nawet gdyby był wprost cudowny?

Dorotea wolno potrząsnęła głową.

– Za nikogo w świecie. Mam wspaniały plan. Chciałabym wziąć duży kawał ziemi, zdrenować go i zbudować małą kolonię, gdzie wszyscy by pracowali i każda praca byłaby wzorowo wykonywana. Znałabym wszystkich ludzi, którzy by tam mieszkali, i byłabym z nimi w przyjaźni. Zamierzam odbyć wiele narad z panem Garthem; on wie niemal wszystko to, co chcę wiedzieć.

– Jeśli masz plan, Dodo, to będziesz szczęśliwa. Może i mały Artur, jak dorośnie, będzie lubił robić plany, a wtedy mógłby ci pomóc.

Tego samego wieczoru powiedziała sir Jamesowi, że Dorotea naprawdę jest zupełnie zdecydowana nie wychodzić powtórnie za mąż i ma zamiar zająć się, jak dawniej, „najróżniejszymi projektami”. Sir James nie skomentował tej wiadomości. W głębi duszy uważał ponowne małżeństwo kobiety za coś odrażającego i gdyby Dorotea przyjęła najlepszą nawet partię, miałyby to za niemal profanację. Zdawał sobie sprawę, że świat uznałby taki pogląd za absurdalny, zwłaszcza gdyby dotyczył dwudziestoletniej kobiety, gdyż w praktyce ów „świat” uważał następne małżeństwo młodej wdowy za rzecz pewną i rychłą, i znaczącym uśmiechem kwitował wiadomość, że wdowa tak właśnie postąpiła. Jeśli jednak Dorotea postanowiła poślubić swoją samotność, sir James uważał, że takie rozwiązanie jest dla niej bardzo właściwe.

ROZDZIAŁ LVI

Szczęśliwy człowiek, który od kołyski
Świadom, przed nikim karku nie ugina,
Któremu służbą – myśli szczerą błyski,
A prawda szczerą to zbroja jedyna!
Więzy zrzuciwszy, nie boi się straty,
Jest panem siebie, choć ziemią nie włada,
Za nic ma złoto, wolnością bogaty,
A nic nie mając, wszystko wszak posiada.

Sir Henry Wotton, *The Character of a Happy*

Life

Zaufanie, jakiego nabrała Dorotea do wiedzy Kaleba Gartha, usłyszawszy, że wyraził się pochlebnie o jej chatach, rosło bardzo szybko podczas jej pobytu we Freshitt. Sir James namówił ją, by objeżdżała obie majątności razem z nim i Kalebem, ten zaś rzetelnie odwzajemniał admirację młodej damy, a żonie powiedział, że pani Casaubon ma głowę do roboty jak rzadko która kobieta. Należy pamiętać, że pod słowem „roboty” Kaleb nigdy nie rozumiał pieniędzy, lecz pilną i dobrą pracę.

– Jak rzadko która – powtórzył Kaleb. – Powiedziała coś, o czym ja sam myślałem, jak byłem młodym chłopakiem. „Panie Garth – mówiła – chciałabym, jeśli dożyję starości, mieć poczucie, że duży obszar ziemi stał się dzięki mnie użyteczniejszy i że zbudowałam wiele porządných chat, bo to jest zdrowa praca, a po skończeniu przynosi ludziom pożytek”. To jej własne słowa, tak ona patrzy na te sprawy.

– Po kobiecemu, mam nadzieję. – Pani Garth podejrzewała nieco, że pani Casaubon może nie wyznawać tak podstawowej zasady jak subordynacja.

– Och, nawet sobie nie wyobrażasz. – Kaleb potrząsał głową. – Słuchałabyś jej z przyjemnością, Susan. Mówi tak prosto, a jej – głos jest jak muzyka. Naprawdę, przywodzi mi na pamięć urywki z Mesjasza: „I natychmiast objawiło się mnóstwo zastępów niebieskich, chwalcąc Boga i powiadając...”. Jej głos ma taki ton, który przynosi uszom radość.

Kaleb bardzo lubił muzykę i kiedy mógł sobie na to pozwolić, jeździł posłuchać wykonywanego w okolicy oratorium, a wracał zawsze przejęty głęboką czcią dla tej potężnej budowli tonów, która sprawiała, że siadywał w zamyśleniu i wpatrywał się w podłogę, chowając w wyciągniętych rękach wiele niedających się wypowiedzieć słów.

Oczywiste więc było, że przy tak dobrym wzajemnym zrozumieniu Dorotea poprosi pana Gartha, by podjął się prowadzenia wszystkich spraw związanych z trzema farmami i licznymi dzierżawami należącymi do majątności Lowick; szybko sprawdzały się jego przewidywania, będzie miał dość pracy dla dwóch. Jak powiadała: „robota rodzi robotę”. A ta mnożyła się w owym czasie robota przyjęła, jako jedną z form, budowę linii kolejowej. Projektowana linia miała przebiegać przez parafię Lowick, gdzie bydlę dotychczas paszło się w spokoju niemąconym niczym, co by budziło zdumienie. Tak się więc złożyło, że pierwsze trudności systemu kolejnictwa splotły się ze sprawami Kaleba Gartha i zadecydowały o biegu niniejszej historii w zakresie, w jakim dotyczyła ona dwojga drogich mu osób.

Budowa pociągu podwodnego napotkałaby z pewnością wielkie trudności, jednak dno morskie nie jest własnością licznych właścicieli ziemskich, którzy roszczą sobie prawo do odszkodowania nie tylko na podstawie oceny rzeczowej, lecz i sentymentalnej. W okolicach

Middlemarch kolej żelazna była równie pasjonującym tematem rozmów jak reforma wyborcza albo zagrażające widmo cholery – osobami zaś o najbardziej zdecydowanych poglądach były kobiety oraz właściciele ziemscy. Kobiety, i te stare, i te młode, uważały podróżowanie koleją żelazną za rzecz zarówno wulgarną, jak niebezpieczną, a głównym ich argumentem było przekonanie, że nic nigdy nie zmusi ich do wejścia do wagonu kolejowego; właściciele ziemscy zaś, różniąc się argumentacją, tak jak Salomon Featherstone różnił się od lorda Medlicote, uważali zgodnie, że jeśli się sprzedaje ziemię – czy to wrogowi ludzkości, czy kompanii, która jest do zakupu zmuszona – należy wymusić od tych piekielnych faktorów najwyższą cenę za zgodę na krzywdzenie owej ludzkości.

Ludzie wolniej myślący, tacy jak pan Salomon i pani Waule, z których każde miało kawał ziemi, bardzo długo dochodzili do tego wniosku, gdyż ich tok rozumowania hamowany był przez żywe wyobrażenia, co to będzie, jak się podzieli Wielkie Pastwisko na dwa, wyjdą z tego trójkątne wygony do niczego niepodobne, podczas gdy przyobiecane wiadukty i grube pieniądze są i dalekie, i wątpliwe.

– Wszystkie zacielone krowy zaczną porzucać – mówiła pani Waule do brata tonem głębokiej melancholii – jeśli kolej pójdzie przez Niskie Pole, a nie dziwiłabym się, gdyby i z kłaczami był kłopot. To wstyd, żeby wdowie przekopywali pole i żeby się prawo za nią nie ujęło. A kto im zabroni szatkować ziemię jak kapustę, jak już raz zaczną? Wszyscy dobrze wiedzą, że *ja* walczyć nie umiem.

– Najlepiej będzie nie gadać, tylko kogoś nasłać, żeby ich dobrze pogonił, jak tu przyjadą węszyć i mierzyć – powiedział Salomon. – Słyszałem, że ludzie tak zrobili koło Brassing. Jakby dojsć prawdy, toby się okazało, że oni tylko udają i wcale nie muszą iść tędy. Niech sobie dzielą ziemię w innej parafii. I nie wierzę, że zapłacą odszkodowanie, jak

gromada łobuzów wejdzie na pole i wydepcze zboże. Gdzie kompania kolejowa ma kieszeń?

– Brat Piotr, niech mu Bóg wybaczy, pieniądze dostał z kompanii – przypomniała pani Waule – ale to było za mangan, nie za żadną kolej, która człowieka rozerwie na sztuki i rozwłóczy po polach.

– Jedno trzeba powiedzieć, Jane – zakończył pan Salomon, ścisząc ostrożnie głos. – Im więcej kołków wsadzimy im w szprychy, tym więcej nam zapłacą, żebyśmy im pozwolili robić tę kolej, jeśli już ją muszą zrobić.

Rozumowanie pana Salomona nie było chyba tak słuszne, jak sobie wyobrażał; chytrość jego bowiem miała taki sam wpływ na bieg linii kolejowej, co chytrość dyplomaty ma na ogólne ochłodzenie czy oziębienie systemu słonecznego. Zabrał się jednak do działań zgodnych z owym rozumowaniem w sposób niezmiernie dyplomatyczny, mianowicie wzniecał podejrzliwość. Należąca do niego ziemia znajdowała się w Lowick, w części położonej najdalej od wsi; mieszkali tam najemni robotnicy w chatach rozrzuconych osobno lub też skupionych w małą gromadkę, tworzącą sioło, zwane Frickiem, gdzie młyn wodny i kilka kamieniołomów stanowiło malutki ośrodek mizernego przemysłu opartego na sile mięśni.

Opinia publiczna mieszkańców Fricka, w braku jakiegokolwiek pojęcia, czym są linie kolejowe, była im przeciwna. Umysły ludzkie bowiem w tym porośłym trawą zakątku nie miały przysłowiowej skłonności do zachwywania się czymś nieznanym, przypuszczając, że prędzej przyniesie to biedakom szkodę niż pożytek – i że podejrzliwość jest jedyną roztropną w tej sytuacji postawą. Nawet pogłoski o reformie nie wzbudziły we Fricku nadziei na powszechną szczęśliwość, gdyż nie zawierały żadnej konkretnej obietnicy, takiej na przykład jak darmowa karma dla świni Hirama Forda albo przyrzeczenia szynkarza z oberży

Pod Wagą i Szalami, że będzie darmo warzył piwo, albo propozycji od trzech sąsiednich farmerów, że podniosą w zimie dniówkę. Bez takiego konkretnego dobra, zawartego w obietnicy, reforma była tyle samo warta, co przechwałki wędrownego kramarza, budzące wątpliwości w każdym rozsądnym człowieku. Mieszkańcy Fricka nie byli niedożywieni i mieli mniejszą skłonność do fanatyzmu niż do silnych, krzepkich podejrzeń: mniej byli skorzy wierzyć, że niebo szczególnie się o nich troszczy, bardziej zaś, że niebo gotowe jest ich oszukiwać – co wynikało z obserwacji pogody.

Tak więc umysłowość ludzi z Fricka akuratnie odpowiadała potrzebom pana Salomona, jego wyobrażenia bowiem były podobnego rodzaju, tyle że miał ich więcej, a podejrzliwość wobec wszystkiego na ziemi i niebie znajdowała u niego więcej pożywienia i swobody. Salomon był w owym czasie dróżnikiem i często przejeżdżał na swej ospałej kobyle przez Frick, patrzył, jak robotnicy wydobywają kamień i zatrzymywał się z tajemniczym rozmysłem, który mógł prowadzić do mylnych przypuszczeń, że ma jakiś inny powód, by tak stać, niż po prostu brak powodu, by ruszyć. Przez dłuższą chwilę przyglądał się wykonywanej robocie, potem podnosił nieco wzrok i spoglądał ku horyzontowi, wreszcie potrzasał wodzami, dotykał konia batem i powoli ruszał. Godzinna wskazówka zegarka była szybka w porównaniu z panem Salomonem, który miał miłe poczucie, że stać go na to, aby się wolno ruszać. Zwykł był zatrzymywać się na ostrożną, nieco przewrotną pogawędkę z każdym spotkanym po drodze wyrobnikiem, czy to kopiącym rowy, czy strzygącym żywopłoty, i szczególnie chętnie słuchał wiadomości, nawet takich, które już słyszał był uprzednio, czując swoją przewagę nad rozmówcami, polegającą na tym, że im nie dowierzał. Lecz pewnego dnia wdał się w rozmowę z Hiramem Fordem, woźnicą, któremu sam dostarczył informacji. Chciał się dowiedzieć, czy Hiram widział kręcących się tu ludzi z tyczkami i

różnymi instrumentami: mówią o sobie, że są z kompanii kolei żelaznej, ale naprawdę to nie wiadomo, co oni za jedni i jakie mają zamiary. Nie ukrywają w każdym razie tego, że chcą poszatkować na kawałki całą parafię Lowick.

– No to by się nie można było ruszyć z miejsca na miejsce – zauważył Hiram, mając na myśli swój furgon i konie.

– Właśnie – przytaknął Salomon. – Szatkować taką dobrą ziemię jak ta, w tej parafii! Niech sobie idą do Tipton, powiadam. Ale nie wiadomo, co tam się kryje w tej sprawie. Oni gadają, że chodzi o podróżowanie, ale na mój rozum to będzie tylko ze szkodą dla ziemi i dla biednych ludzi.

– Pewnikiem to ci z Londynu – oświadczył Hiram, który miał mgliste wyobrażenie, że Londyn to siedlisko wrogów całego kraju.

– Pewno, pewno. A powiadali mi, że gdzieś, w jednym miejscu koło Brassing, jak ludzie zobaczyli tych włóczykiów, to skoczyli na nich, połamali im te judasze, co je ze sobą noszą, i przepędzili na cztery wiatry, tak że ani im było w głowie wracać.

– Ale musiała być zabawa – ucieszył się Hiram, któremu życie ogromnie skąpiło rozrywek.

– Ja bym się w to nie wtrącał – ciągnął Salomon – ale niektórzy ludzie powiadają, że ten kraj ma już swoje dobre dni za sobą, a znakiem tego są ci właśnie, co po nim biegają i depczą wszystko na prawo i lewo, i chcą go krajać na pociągi, i przewóz hurtowy ma połączyć drobne przewozy, i nie będzie ani jednej pary koni na tej ziemi, i już nikt nie strzeli z bata.

– Już ja im zdążę strzelić, nim do tego dojdzie – obiecał Hiram, a pan Salomon strzepnął wodze i ruszył.

Chwastom nie trzeba uprawy. O tym, jak koleje doprowadzą okolice do ruiny, dyskutowano nie tylko Pod Wagą i Szalami, ale na łące, gdzie gromada parobków miała okazję do rozmów, jakie rzadko się słyszy przez okrągły rok.

Pewnego ranka, wkrótce po owej rozmowie pastora Farebrothera z Mary Garth, która wyznała mu swoje uczucie do Freda Vincy, Kaleb Garth przyjechał na farmę Yoddrella, leżącą nieopodal Fricka, by wykonać pewną robotę; miał wymierzyć i wycenić położony na uboczu kawałek gruntu, należący do majątności Lowick. Kaleb spodziewał się, że sprzeda go z korzyścią dla Dorotei (trzeba tu wyznać, że był stronniczy i starał się uzyskać jak najlepsze warunki od kompanii kolejowej). Zostawił giga na farmie i ruszył wraz z pomocnikiem, niosącym łańcuch mierniczy, na teren, który mieli obmierzać. Po drodze spotkał grupkę pracowników kompanii, którzy nastawiali poziomicę. Chwilę z nimi rozmawiał, po czym odszedł, rzucając uwagę, że na pewno dogonią go wkrótce tam, gdzie będzie robił pomiar. Był to jeden z tych szarych poranków po lekkim deszczu, kiedy około południa, gdy chmury się rozchylają, robi się cudownie, a ziemia na ścieżkach i wzdłuż żywopłotów zaczyna słodko pachnieć.

Ten zapach wydawałby się słodszy jadącemu konno po polnych dróżkach Fredowi Vincy, gdyby głowy nie zaprzętał mu dylemat, co też powinien począć, mając z jednej strony ojca, który oczekuje od niego, by jak najszybciej został pastorem, a z drugiej strony Mary, grożącą, że go nie zechce, jeśli pastorem zostanie, no i świat pracy, który nie zgłaszał najmniejszego zapotrzebowania na młodego człowieka bez kapitału i bez fachu. Było Fredowi, który miał dobre serce, o tyle ciężiej, że ojciec, rad, iż syn przestał się buntować, okazywał mu serdeczność i wysłał go na tę przejażdżkę, by obejrzał jakieś charty. Nawet gdyby się na coś zdecydował, pozostawałby problem powiadomienia o tym ojca. Trzeba jednak przyznać, że owo „zdecydowanie się na coś” było zadaniem trudniejszym: jakież bowiem istnieje na tej ziemi świecki zawód dla młodego człowieka (któremu rodzina nie jest w stanie załatwić stanowiska), zawód, który byłby jednocześnie elegancki i lukratywny, i który można by wykonywać, nie mając określonej wiedzy?

W takim nastroju jeździł Fred po drózkach Fricka, ściągał konia i zastanawiał się, ogarniając wzrokiem ponad żywopłotami jedno pole za drugim, czyby nie zaryzykować i nie pojechać naokoło przez plebanię w Lowick, aby zobaczyć Mary. Nagle uwagę jego przyciągnęła jakaś wrzawa. Na krańcu pola, po lewej ręce, zobaczył sześciu czy siedmiu ludzi w roboczych bluzach i z widłami w rękach, zbliżających się wojowniczo ku czterem pracownikom kompanii, którzy obrócili się ku nim, podczas gdy Kaleb Garth z pomocnikiem śpieszyli na pomoc zagrożonym. Fred zmitrzążył chwilę, szukając bramy, i nim zdążył, już gromada parobków – mieli przewracać siano, lecz praca jakoś nie paliła im się w rękach po południowym piwie – gonila z uniesionymi widłami pracowników kompanii, podczas gdy pomocnik Kaleba, siedemnastoletni chłopak, który na rozkaz szefa chwycił poziomiec, leżał bezradnie, powalony na ziemię. Pracownicy kompanii okazali się lepszymi biegaczami i Fred zabezpieczył ich odwrót, atakując znieścaka ścigających parobków od przodu i mieszając ich szyki. „Co robicie, głupcy! – wrzeszczał, galopując zakosami między rozbitą gromadką i siekąc pejczem na lewo i prawo. – Na wszystkich złożę oskarżenie, pod przysięgą! Przewróciliście tego chłopca i zabiliście, widziałem na własne oczy! Wszyscy, jak jeden, pójdziecie wisieć na najbliższej sesji sądowej. Chcecie, to macie!” – Fred śmiał się potem z całej duszy, wspominając, co wówczas wygadywał.

Wypędził parobków przez bramę na ich własne pole, po czym wstrzymał konia, a Hiram Ford, stwierdziwszy, że znalazł się w odległości, w której może bezpiecznie ryzykować, odwrócił się i rzucił mu wyzwanie, nie wiedząc nawet, że jest ono homeryckie.

– Ty tchórze, ty! Złaz z tego konia i przyjdź tutaj, to ci pokażę! Spróbuj no przyjść bez konia i bata, to cię tak zleję, że ci się odechce.

– Zaczekaj chwilę, zaraz przyjdę i dam nauczkę każdemu z was po kolei – odparł Fred, który ufał w swe bokserskie umiejętności ćwiczone

na ukochanych braciach. Przede wszystkim jednak chciał wracać do Kaleba i leżącego chłopca.

Ten ostatni miał tylko naciągniętą kostkę i bardzo cierpiał, lecz poza tym żadnych innych obrażeń. Fred wsadził go więc na konia i kazał jechać na farmę, gdzie się nim zajmą.

– Niech zaprowadzą konia do stajni i powiedzą geometrom, że mogą przyjść po swoje manatki – powiedział Fred. – Pole jest czyste.

– Nic z tego nie będzie, połamali im narzędzia. Muszą na dziś przerwać pracę, zresztą, może to i lepiej – powiedział Kaleb. – Masz, weź je i trzymaj przed sobą na koniu, Tom. Zobaczą cię, jak nadjeżdżasz, i zawrócą.

– Tak się cieszę, proszę pana, że znalazłem się tu we właściwym momencie – zwrócił się Fred do Kaleba, gdy Tom odjechał. – Nie wiadomo, co by się mogło stać, gdyby kawaleria nie pojawiła się w czas.

– Tak, tak, dobrze się złożyło – Kaleb mówił jakby w roztargnieniu, spoglądając ku miejscu, gdzie pracował, gdy mu przerwano. – Niech to licho; ot, co przychodzi z tego, że ludzie są głupi. Jestem o dzień spóźniony z pracą. Nie dam sobie rady z łańcuchem mierniczym bez pomocy. – Ruszył z wyrazem zniecierpliwienia, jakby zapomniał o obecności Freda, lecz nagle obrócił się i spytał szybko: – Co masz dzisiaj do roboty, chłopcze?

– Nic, proszę pana. Pomogę panu z przyjemnością, pozwoli pan? – Fred miał wrażenie, że pomagając ojcu, będzie zabiegał o córkę.

– Nie szkoda ci będzie, że się narobisz i spocisz?

– To żadna szkoda. Tylko chciałbym najpierw odbyć jedną rundę z tym niedźwiedziowatym jegomościem, który się odwrócił, żeby mnie wyzwąć. Dam mu dobrą nauzkę. To nie potrwa i pięciu minut.

– Co za bzdury! – W głosie Kaleba zabrzmiał stanowczy ton. – Pójdę i sam porozmawiam z tymi ludźmi. To wszystko z niewiedzy. Ktoś

naopowiadał im kłamstw. Biedni głupcy nie mają o niczym pojęcia.

– Wobec tego pójdę z panem.

– Nie, zostań, gdzie jesteś. Nie potrzebna mi twoja młoda krew. Sam sobie dam radę.

Kaleb był potężnie zbudowanym mężczyzną i nie bał się niczego, chyba że czyjejs krzywdy lub konieczności przemawiania. Uznał jednak, że w tej chwili ma obowiązek pójść i spróbować przemówić. Była w jego postępowaniu uderzająca sprzeczność, która brała się z tego, że sam był ciężko pracującym człowiekiem – mianowicie, miał wobec robotników surowe wymagania, a jednocześnie, w praktyce, bardzo im pobrażał. Uważał, że dobra, całodzienna praca, w dodatku wykonywana rzetelnie, jest częścią ich pomyślności, tak jak jest istotą jego własnego szczęścia, a jednocześnie poczuwał się silnie do braterstwa z nimi. Zbliżał się teraz do parobków, którzy nie zabrali się z powrotem do przewracania siana, lecz stanęli w typowej wiejskiej grupce, którą tworzy się w ten sposób, że każdy ustawia się ramieniem do drugiego w odległości dwóch czy trzech jardów. Spoglądali spode łba na Kaleba, który szedł szybko, jedną rękę trzymając w kieszeni, a drugą wsunawszy między guziki kamizelki, i stanął wreszcie wśród nich z twarzą jak zawsze łagodną.

– No, chłopcy, co to było? – zaczął jak zwykle krótkimi zwrotami, które jemu samemu wydawały się ciężkie od treści, gdyż podkładał pod nie liczne myśli, niby gęste korzenie rośliny, ledwie wychylającej się nad wodę. – Jak to się stało, żeście się tak pomylili? Ktoś musiał naopowiadać wam kłamstw! Myśleliście, że ci ludzie chcieli wyrządzić jakąś szkodę?

– Aaaha – brzmiała odpowiedź, rzucona kolejno w odstępach proporcjonalnych do stopnia niezdecydowania.

– Bzdury! Nic podobnego. Oni tylko sprawdzają, którądy puścić kolej. Moi drodzy, kolei nie wstrzymacie: ona tędy pójdzie, czy wam się to podoba, czy nie. A jeśli zaczniecie z nią walczyć, napytacie sobie biedy.

Ci ludzie mają prawne pozwolenie wejścia tutaj, na ten teren. Właściciel nie ma nic do gadania i jeśli zaczniecie się w to wtrącać, będziecie mieli do czynienia z policją i sędzią Blakesleyem z kajdankami, i z więzieniem w Middlemarch. Jużście na to zarobili, jeśli ktoś na was doniesie.

Tu Kaleb przerwał, a zapewne najwspanialszy mówca nie wybrałby lepiej na tę okazję ani momentu przerwy, ani sposobu obrazowania.

– Ale przecież wy nie chcieliście zrobić nic złego. Kto wam powiedział, że kolej to rzecz zła. To nieprawda. Może narobić trochę kłopotów tu czy tam, temu i owemu, tak samo jak słońce na niebie. Ale kolej to dobra rzecz.

– Tak, dobra dla bogatych, żeby na tym robili pieniądze – powiedział stary Timothy Cooper, który został i przewracał swoje siano, kiedy inni ruszyli na niedawny wypad. – Niejedno się wydarzyło od moich młodych lat: była wojna i pokój, i budowa kanałów, i stary król Jerzy i Regent, i nowy król Jerzy, i jeszcze jeden nowy, co mu dali nowe imię^[113], i zawsze dla biedaka było to samo. Co dobrego przyniosły mu kanały? Nie dały mu ani mięsa, ani bekonu, ani zarobku, żeby mógł coś odłożyć, chyba że oszczędził na własnym żołądku. Od mojej młodości czasy się tylko pogorszyły dla biednych. Tak samo będzie z koleją. Zostawią biednych jeszcze dalej w tyle. Ale ci, co się w to wtrącają, to głupcy, i tak właśnie powiadałem tym chłopcom. To jest świat wielkich ludzi, ta kolej. Ale pan jest za wielkimi ludźmi, panie Garth.

Timothy był żyłastym starym wyrobnikiem rolnym, z gatunku, który jeszcze pokutował w owych czasach: oszczędności trzymał w pończosze, mieszkał w samotnej chacie, nie ulegał argumentom żadnego mówcy i tak mało miał w sobie ducha feudalizmu i jakiegokolwiek wiary, jakby Wiek

[113] Jerzy III uznany został w 1811 r. za umyślowo chorego, jego syn został Regentem. Po śmierci Jerzego III Regent przyjął imię Jerzego IV. W 1830 r. wstąpił na tron Wilhelm IV.

Rozumu i Prawa Człowieka nie były mu całkowicie obce. Kaleb znalazł się w kłopotcie, znanym każdemu, kto próbował w owych mrocznych czasach, bez pomocy cudów, przekonywać wieśniaków, będących w posiadaniu niezaprzeczalnej prawdy, którą poznali dzięki trudnemu procesowi odczuwania jej na własnej skórze i potrafili nią trzasnąć, jak pałą olbrzyma, w różne zręcznie przykrojone argumenty o korzyściach społecznych, jakich sami nie doświadczyli. Kaleb, nawet gdyby chciał posłużyć się jakimś banałem, nie znalazł go pod ręką, a zwykł był stawiać czoło wszystkim trudnościom w jeden tylko sposób – wykonując robotę uczciwie. Odparł więc:

– Jeśli źle o mnie myślisz, Tim, to trudno; w tej chwili to nie jest ważne. Biedni mogą mieć ciężką sytuację, i tak jest naprawdę, ale nie chciałbym, żeby ci chłopcy zrobili coś, co im jeszcze tę sytuację pogorszy. Woły mogą ciągnąć ciężki wóz, ale cóż im pomoże zwalenie go do przydrożnego rowu, jeśli to jest, po części, ich własna pasza.

– Myśmy tylko chcieli trochę się zabawić – powiedział Hiram, który zaczynał rozumieć grożące mu konsekwencje. – I nic więcej.

– Obiecujcie więc, że nie będziecie więcej bruździć, a ja przypilnuję, żeby nikt was nie oskarżył.

– Ja tam nie bruździłem i ja obiecywać nie będę – oświadczył Tim.

– Nie, nie ty, ale reszta. Dalej, mam tyle samo pracy, co każdy z was, i tak samo mi się spieszy. Obiecujcie, że i bez konstabla będzie tu spokój.

– Dobra, nie staniemy im na zawadzie, dla mnie mogą tam sobie robić, co chcą!

Otrzymawszy takie obietnice, Kaleb pospieszył do Freda, który przyszedł tu za nim i stał na straży przy bramie. Zabrali się do roboty, a Fred pomagał ochoczo. Był w coraz lepszym humorze i nawet gdy się pośliznął i upadł na mokrą ziemię pod żywopłotem, śmiał się serdecznie, choć uwaliał sobie wspaniale skrojone letnie spodnie. Czy tak go

uskrzydlił udany początek, czy może satysfakcja, że pomaga ojcu Mary? Coś więcej. Wypadki tego ranka pomogły jego sfrustrowanej wyobraźni stworzyć obraz zajęcia, które byłoby bardzo pociągające pod wieloma względami. Nie jestem też pewien, czy w duszy pana Gartha nie obudziła się też dawna chętką na to akurat rozwiązanie, które przyszło Fredowi do głowy. Skuteczny bowiem przypadek jest tylko językiem ognia w pobliżu nafty i pakuł i zawsze wydawało się później Fredowi, że to kolej okazała się tym niezbędnym zapłonem. Pracowali jednak dalej w milczeniu, przerywanym tylko wtedy, gdy praca wymagała słów. Wreszcie, gdy już skończyli i szli z powrotem, pan Garth powiedział:

– Młodemu niepotrzebne dyplomy do tej pracy, prawda?

– Żałuję, że się do niej nie zabrałem wcześniej, nim mi do głowy przyszło kończyć studia – odparł Fred. Przez chwilę milczał, potem dodał z pewnym wahaniem. – Czy pan sądzi, że już za stary na wyuczenie się pańskiego zawodu?

– Na mój zawód dużo się składa, chłopcze – powiedział pan Garth z uśmiechem. – Większość tego, co umiem, przyszło z doświadczenia, tego się nie można wyuczyć, tak jak się uczy z książki. Ale jesteś jeszcze dość młody, żeby zacząć od początku. – Ostatnie zdanie Kaleb wypowiedział ze zdecydowaniem, lecz przerwał niepewny. Miał ostatnio wrażenie, iż Fred podjął decyzję, że zostanie pastorem.

– Czy pan sądzi, że gdybym spróbował, mógłbym w nim do czegoś dojść? – spytał Fred żywiej.

– To zależy – Kaleb obrócił nieco głowę w bok i zniżył głos z miną człowieka, który czuje, że musi powiedzieć coś, co jest sprawą głębokiej, religijnej wiary. – Musisz mieć pewność co do dwóch rzeczy: musisz kochać swoją pracę, a nie ciągle patrzeć, kiedy się skończy i zacznie się zabawa. A drugie, to nie możesz się wstydić swojej pracy i uważać, że bardziej honorowo byłoby robić coś innego. Musisz być z niej dumny

i z tego, że się uczysz wykonywać ją rzetelnie, a nie powtarzać ciągle: „Trzeba mi tego, trzeba mi owego, jakbym to miał, to mógłbym coś zrobić”. Nie dałbym dwóch pensów za człowieka, choćby nie wiem kim był – usta Kaleba skrzywiły się gorzko i strzelił palcami – premierem czy dekarzem, który by nie robił rzetelnie tego, czego się podjął.

– Gdybym został duchownym, nie mógłbym nigdy mieć takiego przekonania – powiedział Fred, chcąc zrobić dalszy krok w rozmowie.

– Wobec tego wyzbądź się tej myśli, chłopcze – stwierdził krótko Kaleb – bo inaczej nie zaznasz spokoju. A jeśli go *zaznasz*, to znaczy, że marny z ciebie człowiek.

– Mary myśli o tym prawie tak samo. – Tu Fred poczerwieniał. – Sądzę, proszę pana, że powinien pan wiedzieć, co ja czuję do Mary. Zawsze ją kochałem nade wszystko i nigdy nie będę kochał nikogo, tak jak kocham Mary. Mam nadzieję, że pan się za to nie gniewa.

Wyraz twarzy Kaleba Gartha wyraźnie zmiękł podczas przemowy Freda. Uroczyście i powoli pokręcił głową.

– Sprawa wygląda o wiele poważniej, Fred, jeśli chcesz wziąć odpowiedzialność za szczęście Mary.

– Wiem, proszę pana – odparł żywo Fred. – Zrobiłbym dla niej *wszystko*. Ona powiada, że jeśli zostanę duchownym, to nie będzie mnie chciała, a ja byłbym najniezszczęśliwszym człowiekiem na świecie, gdybym stracił nadzieję na Mary. Doprawdy, jeśli mógłbym zdobyć jakiś inny fach, nauczyć się jakiejś roboty, cokolwiek, do czego się w ogóle nadaję, pracowałbym ciężko, aby zasłużyć na dobrą opinię u pana. Bardzo bym chciał pracować na powietrzu, na wsi. Nauczyłem się już wiele o ziemi i bydło. Wie pan zapewne, że przypuszczałem, chociaż pewno uzna pan, że byłem nierozsądny, przypuszczałem, że będę miał własną ziemię. Jestem pewny, że wiedza tego rodzaju przyjdzie mi z łatwością, zwłaszcza jeśli by to pan mną w jakiś sposób kierował.

– Powoli, chłopcze – Kaleb miał przed oczyma obraz Susan. – Czy mówiłeś o tym wszystkim ojcu?

– Jeszcze nie, ale muszę mu powiedzieć. Chciałbym tylko najpierw sam podjąć decyzję, co będę robił, jeśli zrezygnuję ze święceń. Bardzo mi przykro, że go zawiodę, ale powinno się pozwolić człowiekowi samemu decydować o sobie, kiedy ma dwadzieścia cztery lata. Skąd mogłem wiedzieć jako piętnastoletni chłopak, co będzie dzisiaj dla mnie odpowiednie? Moja edukacja była pomyłką.

– Posłuchaj jednak, Fred. Czy jesteś pewny, że Mary cię kocha albo że będzie chciała wyjść za ciebie?

– Poprosiłem pastora Farebrothera, żeby z nią porozmawiał, ponieważ ona zabroniła mi o tym mówić. Co innego mogłem zrobić? – tłumaczył Fred. – Pastor powiada, że mam wszelkie powody do nadziei, jeśli potrafię sobie znaleźć godne szacunku zajęcie, to znaczy, poza Kościołem. Pewno pan uważa, że nie mam do tego prawa, że pana kłopotczę i naprzykrzam się, myśląc o Mary, nim jeszcze zdążyłem cokolwiek zrobić we własnych sprawach. To jasne, że nie mam najmniejszego prawa, w gruncie rzeczy mam tylko dług, którego nigdy nie spłacę, nawet kiedy będę go w stanie zwrócić w formie pieniędzy.

– Owszem, chłopcze, masz prawo – powiedział Kaleb z ogromnym przekonaniem. – Młodzi zawsze mają prawo prosić starych, by im podali rękę. Byłem kiedyś młody i musiałem się obejść bez specjalnej pomocy, a bardzo by mi się przydała, choćby tylko jako świadectwo solidarności. Ale muszę się zastanowić. Przyjdź do mnie jutro do kantoru, o dziewiątej. Do kantoru, pamiętaj!

Pan Garth nie podjąłby żadnego ważnego kroku bez zapytania Susan o zdanie, trzeba jednak wyznać, że nim się znalazł w domu, już podjął decyzję. Był najbardziej ustępliwym człowiekiem na świecie w wielu sprawach, w których inni mężczyźni bywają zdecydowani lub uparci.

Nigdy nie wiedział, jakie wybrać mięso, a gdyby Susan stwierdziła, że powinni mieszkać w czteroizbowej chacie ze względu na oszczędność, powiedziałyby: dobrze, nie wnikając w szczegóły. Lecz Kaleb był władcą absolutnym tam, gdzie w grę wchodziły jego uczucia i zdecydowane przekonania i choć był łagodny i nieśmiały, wszyscy wiedzieli, że w tych wyjątkowych wypadkach, kiedy sam podejmował decyzję, była to decyzja ostateczna. W gruncie rzeczy, tak się składało, że owe ostateczne decyzje dotyczyły tylko cudzych spraw. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach decydowała pani Garth, ale przy setnym zdawała sobie sprawę, że ma przed sobą szczególnie trudne zadanie – musi postąpić zgodnie ze swoją podstawową zasadą kobiecej subordynacji.

– Jest tak, jak przypuszczałem, Susan – tłumaczył Kaleb, kiedy wieczorem siedzieli we dwoje. Opowiedział jej już o przygodzie, która sprawiła, że Fred pomagał mu w pracy. Nie mówił jednak jeszcze o dalszych tego skutkach. – Dzieci się kochają, to znaczy Fred i Mary.

Pani Garth położyła robótkę na kolanach i wbiła przenikliwy wzrok w męża.

– Kiedy skończyliśmy pracę, Fred wyznał mi wszystko. Nie może ścierpieć myśli, że ma zostać pastorem, a Mary powiada, że go nie zechce, jeśli on pastorem zostanie, chłopak chciałby więc pracować u mnie i przysposobić się do zawodu. A ja postanowiłem go przyjąć i zrobić z niego mężczyznę.

– Kaleb! – niski kontralt pani Garth wymownie wyrażał pełne zdumienia zrezygnowanie.

– To piękne zadanie – Kaleb oparł się głęboko w fotelu, objąwszy silnie dłońmi poręczę. – Będę miał z nim kłopot, ale myślę, że dam radę. Chłopak kocha naszą Mary, a prawdziwa miłość do zacnej kobiety to wielka rzecz, Susan. Okrzesła już wielu nieokrzesanych młokosów.

– Czy Mary rozmawiała z tobą na ten temat? – spytała pani Garth,

trochę urażona w głębi duszy, że nie powiadomiono jej o wszystkim.

– Ani słowem. Raz zapytałem ją o Freda, trochę ją jakby przestrzegłem. Zapewniała mnie, że nigdy nie wyjdzie za mąż za pobłażającego sobie próżniaka. Od tego czasu cisza. Ale okazuje się, że Fred poprosił pastora Farebrothera, żeby z nią porozmawiał, bo ona sama zabroniła mu gadać, i pastor stwierdził, że Mary kocha Freda, ale nie chce, żeby został duchownym. Fred myśli tylko o Mary, to widzę, i dlatego mam o nim dobre zdanie, i zawsze go lubiliśmy, Susan.

– Myślę, że to będzie ze szkodą dla Mary – powiedziała pani Garth.

– Jak to: szkodą?

– Ponieważ, Kaleb, ona mogłaby wyjść za mężczyznę, który wart jest dwudziestu Fredów Vincy!

– Co? – zdumiał się Kaleb.

– Jestem głęboko przekonana, że pastor Farebrother ma ku niej skłonność i chciał się jej oświadczyć, ale rzecz jasna, teraz, kiedy Fred zrobił go swoim posłem, to już ta lepsza możliwość przepadła. – Pani Garth wypowiadała się z bolesną precyzją. Była zirytowana i zawiedziona, ale też nie zwykła używać zbędnych słów.

Kaleb milczał przez dłuższą chwilę, pełen sprzecznych uczuć. Utkwił wzrok w podłogę, poruszał głową i dłońmi, wspomagając jakąś przeprowadzaną w duchu argumentację. Wreszcie powiedział:

– Byłbym z tego dumny i szczęśliwy, Susan, i powinienem być rad ze względu na ciebie. Zawsze czułem, że zasługujesz na coś więcej niż to życie, jakie masz. Ale wzięłaś mnie, chociaż byłem prostym człowiekiem.

– Wzięłam najlepszego i najmądrzejszego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkałam – oświadczyła pani Garth pewna, że nigdy nie pokochałaby mężczyzny, który by do takiej oceny nie dorastał.

– Może jednak inni uważali, że mogłabyś wziąć lepszego. Ale mnie byłoby wtedy o tyle ciężiej. I dlatego właśnie Fred jest mi bliski. To

chłopak z gruntu dobry i dostatecznie rozumny, żeby się stał użyteczny, jeśli się go odpowiednio poprowadzi; kocha i szanuje moją córkę ponad wszystko na świecie, a ona dała mu coś w rodzaju obietnicy, wedle tego, co się od niego dowiedziałem. Dusza tego chłopaka jest w moich rękach i z pomocą boską zrobię dla niego wszystko, co tylko będę mógł. To mój obowiązek, Susan.

Pani Garth nie była skłonna do płaczu, ale nim mąż skończył, wielka łza stoczyła się jej po policzku. Wycisnęły ją różnorakie emocje, było w nich wiele uczucia i trochę niepokoju. Szybko ją otarła, mówiąc:

– Niewielu ludzi, Kaleb, uważałoby, tak jak ty, za swój obowiązek dodawać to do wszystkich swoich kłopotów.

– Nie ma znaczenia, co inni uważają. Mam w sobie dostatecznie jasne przekonanie i za nim pójdę, a spodziewam się, że i ty, Susan, będziesz mi całym sercem towarzyszyć, byśmy mogli we wszystkim jak najlepiej pomóc Mary, biedaczce.

Odchyliwszy się w fotelu, patrzył niespokojnie i prosząco na żonę. Ona wstała i ucałowawszy go, powiedziała:

– Niech cię Bóg błogosławi, Kaleb. Nasze dzieci mają dobrego ojca.

Wyszła jednak, żeby się serdecznie wypłakać i powetować sobie, że pohamowała słowa. Była przekonana, że postępowanie jej męża zostanie opacznie zrozumiane, a do Freda miała stosunek racjonalny i wyzbyty nadziei. Co się w ostateczności okaże bardziej dalekowzroczne – jej rozsądek czy żarliwa wielkoduszność Kaleba?

Kiedy następnego ranka Fred przyszedł do kantorku, czekała go próba, na którą nie był przygotowany.

– Posłuchaj, Fred – mówił Kaleb – będziesz miał trochę papierowej roboty. Zawsze sporą część pisaniny robiłem sam, ale nie daję już rady bez pomocy, a ponieważ chcę, żebyś rozumiał rachunki i wbił sobie ceny w głowę, postanowiłem się obejść bez drugiego kancelisty. Musisz się

więc wziąć do roboty. Jak z twoim pisaniem i arytmetyką?

Fred poczuł dziwne poruszenie w sercu: nie myślał w ogóle o pracy biurowej, był jednak zdeterminowany i nie miał zamiaru się wycofywać.

– Nie boję się arytmetyki, proszę pana, zawsze mi przychodziła łatwo. A moje pismo chyba pan zna?

– Zobaczymy – powiedział Kaleb. Wziął pióro, obejrzał je dokładnie i podał, umaczawszy wprzód, Fredowi, razem z arkuszem papieru zwiniętym w rulon. – Przepisz mi jedną lub dwie linie z tej taksacji razem z liczbami na końcu.

W owych czasach istniała opinia, że dżentelmen nie może bez uszczerbku dla swojej godności pisać czytelnie albo też w sposób, który by w najmniejszej mierze przypominał rękę kancelisty. Fred napisał linijki, o które proszono, pismem tak dżentelmeńskim, że nie powstydziliby się go żaden ówczesny wicehrabia czy biskup: wszystkie samogłoski były jednakowe, a spółgłoski różniły się tylko nóżką w dół lub w górę, kreski były szeroko rozmazane, a litery gardziły równością linii – krótko mówiąc, był to manuskrypt niezwykle czcigodny, łatwy do zrozumienia, jeśli się uprzednio wiedziało, co piszący chciał powiedzieć.

Na twarzy przyglądającego się temu Kaleba malowało się rosnące przygnębienie, a kiedy Fred wręczył mu swoje dzieło, wydał z siebie coś niby warknięcie i trzepnął z pasją papier wierzchem dłoni. Na widok złej roboty ulatniała się cała jego łagodność.

– Do diabła – prychnął gniewnie. – Pomyśleć, że w tym kraj wykształcenie człowieka kosztuje setki funtów, a taki z tego pożytek! – Po czym, poprawiając okulary na nosie i spoglądając na nieszczęsnego skrybę, dodał z jeszcze większym przejęciem. – Na litość boską, Fred, jak ja mogę przystać na coś podobnego?!

– Cóż mam robić, proszę pana? – mówił Fred całkiem teraz bez humoru, nie tylko dlatego że tak oceniono jego pismo, ale że zobaczył w

perspektywie ewentualność, iż zostanie zaliczony w poczet kancelistów.

– Robić? Musisz się nauczyć porządnie formować litery i pisać na linii. Co przyjdzie z pisania, jeśli nikt nie może tego zrozumieć?

– pytał gwałtownie Kaleb, przejęty do głębi złą jakością roboty. – Czy nie dość jest pracy na świecie, żebyś musiał jeszcze rozsyłać po kraju zagadki? Ale tak się wychowuje ludzi. Musiałbym tracić nie wiem ile czasu na listy, jakie czasem dostają, gdyby Susan mi ich nie odcyfrowywała. To wstyd! – Tu Kaleb odrzucił papier.

Obcy, który by zajrzał w tym momencie do kantoru, mógłby spytać, jakież to dramat rozgrywa się między oburzonym przedsiębiorcą a przystojnym, eleganckim młodzieńcem, na którego jasnej cerze pojawiły się plamy, gdy zagryzał wargi ze wstydu. Wiele myśli dręczyło Freda. Pan Garth był tak miły i tak zachęcający na początku rozmowy, że wdzięczność i nadzieja Freda urosły do niebywałych rozmiarów, toteż ich upadek był odpowiednio ciężki. Nie myślał był o pracy przy biurku – w gruncie rzeczy, jak większość młodych dżentelmenów, myślał o pracy wolnej od przykrości. Nie wiem, jakie mogłyby być konsekwencje tego wszystkiego, gdyby sobie uprzednio nie przyrzekł, że pójdzie do Lowick, zobaczy Mary i powie, że został przyjęty przez jej ojca do pracy. Nie chciał w tym względzie przeżyć zawodu.

– Bardzo mi przykro – zdołał jedynie wykrztusić. Lecz pan Garth już zmiękł.

– Trzeba robić, co się da, Fred – podjął spokojnym już tonem. – Każdy człowiek może się nauczyć pisania. Ja się nauczyłem sam. Nie oszczędzaj sił, siedź w nocy, jeśli ci dnia nie starczy. Postaraj się o cierpliwość, chłopcze. Callum będzie jeszcze jakiś czas prowadził księgi, a ty weźmiesz się do nauki. Teraz muszę już iść. – Tu Kaleb wstał. – Trzeba, żebyś powiedział ojcu o naszej ugodzie. Jak się już nauczysz pisać i oszczędzisz mi na płacy Calluma, będę mógł ci dać osiemdziesiąt

funtów za pierwszy rok, a potem więcej.

Reakcja każdego z rodziców na nieuniknione wyznanie Freda zaskoczyła go tak, że na długo ją zapamiętał. Poszedł prosto do kantoru ojca w magazynach, słusznie uważając, że okaże największy szacunek, jeśli mu zakomunikuje przykrą wiadomość w sposób najbardziej poważny i formalny. Ponadto jeśli rozmowa odbędzie się w najważniejszych godzinach, czyli tych, które spędza w swoim własnym biurze w magazynie, decyzja, jaką usłyszy, wyda mu się z pewnością ostateczna.

Fred przystąpił z punktu do rzeczy, opowiedział pokrótce, co zrobił i co postanowił zrobić, wyrażając na koniec żal, że sprawił zawód ojcu, a winą obarczając siebie i swoje słabości. Żal był szczery i natchnął Freda do prostych, mocnych słów.

Pan Vincy słuchał z głębokim zdumieniem, bez jednego choćby okrzyku, bez słowa, co przy jego niecierpliwym usposobieniu świadczyło o niezwykłym przejęciu. Handel nie usposobił go dziś dobrze i gdy słuchał, gorzkie skrzywienie warg jeszcze się pogłębiło. Fred skończył i nastąpiła chwila milczenia, trwająca niemal minutę, podczas której pan Vincy schował książkę do biurka i stanowczym ruchem przekręcił klucz. Potem obrzucił syna długim, poważnym spojrzeniem i powiedział:

– Więc podjąłeś decyzję, mój panie?

– Tak, ojcze.

– Dobrze. Trzymaj się jej. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Odrzuciłeś swoje wykształcenie i zszedłeś szczebel niżej, choć dałem ci możliwość pójścia szczebel wyżej, i tyle.

– Przykro mi, że się różnimy, ojcze. Sądzę, że wykonując pracę, której się podjąłem, mogę być takim samym dżentelmenem jak wówczas, gdybym został wikarym. Ala jestem ojcu wdzięczny za to, że chciał zrobić dla mnie wszystko, co tylko można.

– Bardzo dobrze. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Umywam od

ciebie ręce. Mam tylko nadzieję, że kiedy będziesz miał własnego syna, on ci lepiej odpłaci za twoje starania.

Ogromnie to zabolalo Freda. Ojciec wykorzystał tę nieuczciwą przewagę, jaką ma każdy w podniosłej sytuacji, kiedy to widzi własną przeszłość wyłącznie jako część owej podniosłości. W istocie zaś w pragnieniach pana Vincy, jakie wiązał był z synem, mieściło się wiele dumy, nierozwagi i egoistycznej bezmyślności. Mimo to zawiedziony ojciec miał potężną broń w ręku i Fred czuł się jak wyklęty i skazany na banicję.

– Mam nadzieję, że ojciec nie będzie przeciwny temu, bym pozostawał w domu – spytał, wstając, by odejść. – Otrzymam wystarczającą gażę, bym mógł płacić za utrzymanie, i oczywista, chciałbym płacić.

– Niech diabli wezmą utrzymanie. – Odrazą na myśl, że przy jego stole mogłoby zabraknąć wikt dla Freda, przywróciła panu Vincy przytomność. – Jasne, że matka będzie chciała, żebyś został. Ale nie będę trzymał dla ciebie konia, ma się rozumieć, i sam będziesz płacił za swojego krawca. Obejdiesz się mniejszą ilością ubrań, kiedy będziesz musiał sam za nie płacić.

Fred zwlekał: coś jeszcze zostało do powiedzenia. Wreszcie przyszło:

– Mam nadzieję, że ojciec poda mi rękę i przebaczy za strapienie, jakie mu sprawilem.

Pan Vincy, obrzuciwszy szybkim spojrzeniem syna, który podszedł do niego, podał mu rękę, mówiąc spiesźnie:

– Tak, tak, nie będziemy już o tym więcej gadać.

Matce musiał o wiele więcej mówić i tłumaczyć, pozostała jednak niepokieszona, gdyż miała przed oczyma to, co jej mężowi na pewno nie przyszło do głowy: pewność, że Fred ożeni się teraz z Mary Garth, a ona, pani Vincy, będzie miała zatrute życie ciągłymi najściami Garthów i ich sposobem bycia, jej ukochany chłopiec zaś, ze swoją śliczną buzią

i szykownym wyglądem „jak żaden inny w Middlemarch”, z pewnością upodobni się do tej rodziny przeciętną powierzchownością i niedbalstwem stroju. Wydawało się jej, że Garthowie zawiązali konspirację, aby zdobyć upragnionego Freda, nie ośmielała się jednak rozwijać tej myśli, ponieważ nawet najmniejsza o tym wzmianka sprawiała, że Fred „rzucił się na nią”, jak jeszcze nigdy dotąd. Miała zbyt słodkie usposobienie, by okazywać gniew, lecz czuła, że jej szczęściu zadany został cios; przez kilka następujących dni samo spojrzenie na Freda doprowadzało ją do cichego płaczu, jakby się z jej synem wiązała straszna jakaś przepowiednia. Być może wolniej przyszło jej wracać do zwykłej pogody, gdyż Fred przestrzegł ją przed powtórным podejmowaniem bolesnego problemu z ojcem, który przyjął jego decyzję i przebaczył mu. Gdyby mąż okazał gwałtowność wobec Freda, miałyby powód do bronienia swego pieścioszka. Pod koniec czwartego dnia mąż zwrócił się do niej:

– No, Lucy, kochanie, nie bądźże taka przygnębiona. Zawsze psuć chłopaka, trzeba, żebyś go dalej psuła.

– Nic jeszcze tak mnie boleśnie nie dotknęło, mój drogi. – Białe gardło i podbródek pani Vincy zaczęły znowu drżeć. – Chyba tylko jego choroba.

– Eee, daj temu pokój. Człowiek musi być przygotowany na kłopoty z dziećmi. Nie pogarszaj sprawy, każąc mi patrzeć na twoją smutną buzię.

– Już nie będę. – Pani Vincy, w odpowiedzi na mężowskie wezwanie, otrząsnęła się kilka razy jak ptaszek, który układa swoje nastroszone piórka.

– Nic nie przyjdzie z martwienia się o jedno – powiedział pan Vincy, pragnąc połączyć rodzinną pogodę z odrobiną utyskiwań. – Jest jeszcze Rozamunda, nie tylko Fred.

– Tak, tak, biedactwo. Jakże ja jej współczułam, taki miała zawód z dzieckiem; ale jakoś już przyszła do siebie.

– Dziecko! Co też mówisz! Widzę, że Lydgate rujnuje swoją praktykę,

a również z tego, co słyszę, wpada w długi. Rozamunda przyjdzie do mnie, i to niedługo, i będzie mi się skarżyć! Ale nie dostaną ode mnie ani pensa, tyle wiem. Niech mu jego rodzina pomaga. Nigdy nie miałem serca do tego małżeństwa. Ale co przyjdzie z gadania. Zadzwoń po cytryny i nie pokazuj zmartwionej buzi, Lucy. Jutro zabiorę cię z Luizą do Riverston.

ROZDZIAŁ LVII

Liczyli sobie ledwie osiem wiosen,
Lecz dziełem swoim ożywił ich serca,
Podobne pędem młodych brzóz i sosen,
Gdy pierwszy, ciepły powiew je przewierca.
O Evan Dhu ów człowiek snuł ballady, o
Branwardinie i o Vich Ian Vorze,
I świat malutki dziecięcej gromady
Wielkim uczynił jak góry i morze,
I tak rozległym jak ufność i wiara
W Waltera Scotta, który z oddalenia
Uczył, czym bywa miłość i ofiara,
I słał tajemne chwile zachwycenia.

Musieli w końcu rozstać się z księgami,
Lecz swą legendę co dzień piszą sami.

Fred Vincy, chcąc spędzić wieczór na plebanii w Lowick, wymaszerował z domu o godzinie piątej (zaczął pojmować, że na tym świecie nawet mody człowiek z fantazją musi czasem chodzić piechotą, a to z braku konia, który by go nosił) – i po drodze zaszedł do pani Garth, aby zdobyć jej zapewnienie, że chętnie przystaje na ich nowe relacje.

Znalazł rodzinne grono, łącznie z kotami i psami, pod wielką jabłonią w sadzie. Dzień ten był wielkim świętem dla pani Garth, gdy jej najstarszy syn, Christy, szczególnie radość i duma matki, zjechał do domu na krótkie wakacje. Christy, który nade wszystko pragnął zostać wychowawcą, poznać

wszystkie literatury i stać się nowym Porsonem^[114], sam w sobie stanowił oskarżenie biednego Freda i coś w rodzaju wzorowej lekcji, dawanej mu przez oświeconą panią Garth. Młody człowiek o kwadratowym czole – szerokie w barach męskie wydanie swojej matki – sięgał Fredowi do ramienia, wskutek czego fakt, że uznawano jego wyższość, był jeszcze bardziej dolegliwy. Zachowywał się zawsze z największą prostotą i tyle samo myślał o niechęci Freda do zdobywania wiedzy, co o pragnieniu żyrafy, by jej dorównał wzrostem. Leżał teraz na ziemi, przy krześle matki, nakrywszy płasko oczy słomkowym kapeluszem, podczas gdy z drugiej strony krzesła Jim czytał na głos książkę tego uwielbianego pisarza, który w życie wielu młodych ludzi wniósł najwięcej szczęścia. Książką był *Ivanhoe*, a Jim doszedł właśnie do wielkiej sceny łuczniczej podczas turnieju, wciąż jednak przeszkadzał mu Ben. Chłopiec przyniósł swój stary łuk i strzały i zachowywał się, zdaniem Letty, nieznośnie, żądając od wszystkich, by patrzyli, jak wciąż pudłuje, na co nikt nie miał ochoty z wyjątkiem Łatka, kundla o niezwykle żywym umyśle, niezbyt jednak głębokim, podczas gdy posiwiwały nowofundlandczyk, wylegujący się w słońcu, przyglądał się wszystkiemu z tępą obojętnością sędziwego wieku. Letty, której usta i fartuszek świadczyły niezbitnie o jej udziale w zrywaniu wiśni, stojących teraz stosem koralu na stole wśród przyborów do herbaty, siedziała na trawie i słuchała z szeroko otwartymi oczami.

Kiedy pojawił się Fred, zmienił się ośrodek zainteresowania. Gdy zaś, zasiadłszy na stołku ogrodowym, powiedział, że wybiera się na plebanię w Lowick, Ben, który odrzucił łuk i chwycił dla odmiany na ręce podrosłego opornego kotka, przelazł przez wyciągnięte nogi Freda, wołając: „Weź mnie ze sobą!”.

– Och, i mnie też – przyłączyła się Letty.

– Nie nadążysz za mną i za Fredem – oponował Ben.

[114] Richard Porson (1759-1809) – filolog klasyczny.

– A właśnie że nadążę. Mamo, niech mama powie, proszę, że mam iść – molestowała matkę Letty, której życie było ogromnie burzliwe, gdyż musiała stawiać opór lekceważeniu, jakiego ciągle doznawała, będąc dziewczynką.

– Ja zostaję z Christym – oświadczył Jim, jakby chciał powiedzieć, że jest mądrzejszy od tych głuptasów, podczas gdy Letty, przyłożywszy rączkę do czoła, stała, spoglądając w zazdrosnym niezdecydowaniu to na jednego, to na drugiego.

– Chodźmy wszyscy odwiedzić Mary – zaproponował Christy, rozkładając ramiona.

– Nie, kochanku, nie możemy iść na plebanię taką gromadą. I twoje stare ubranie z Glasgow nie bardzo się nadaje na wizytę. Poza tym przecież ojciec przyjdzie do domu. Niech Fred idzie sam. Może zawiadomić Mary o twoim przyjeździe, a ona jutro wróci do domu.

Christy popatrzał na swoje przetarte na kolanach porcięta i przeniósł wzrok na piękne, białe spodnie Freda. Niewątpliwie, dzieło Fredowego krawca świadczyło o wyższości angielskiego uniwersytetu, nadto ten młody człowiek umiał wyglądać wdzięcznie, nawet gdy był zgrzany i odgarniał chusteczką włosy z czoła.

– Biegnijcie, dzieci – zwróciła się do nich pani Garth. – Za gorącą dziś, żeby robić taki tłok wokół gościa. Zaprowadźcie brata do królików.

Najstarszy zrozumiał i odprowadził natychmiast gromadkę. Fred czuł, że pani Garth chce mu dać sposobność powiedzenia tego, z czym przyszedł, ale zdobył się tylko na uwagę:

– Jakaż musi być pani rada, mając Christy’ego w domu.

– Tak, przyjechał wcześniej, niż się spodziewałam. Wysiadł o dziewiątej z dyliżansu, tuż po wyjściu ojca z domu. Czekam z utęsknieniem na powrót Kaleba, żeby usłyszał, jakie wspaniałe postępy robi nasz syn. Zapłacił czesne za ostatni rok studiów, zarabiając korepetycjami, a

jednocześnie przykłada się ze wszystkich sił do nauki. Mam nadzieję, że otrzyma niedługo pracę jako prywatny wychowawca i wyjedzie za granicę.

– To wspomniały chłopak – stwierdził Fred, dla którego te radosne prawdy miały posmak medykamentu – i nikomu nie przysparza kłopotów. – A po krótkiej przerwie dodał: – Pani, jak się obawiam, będzie sądzić, że sprawię duży kłopot panu Garthowi.

– Kaleb lubi brać na siebie kłopoty: należy do ludzi, którzy zawsze robią więcej, niżby się ktoś ośmielił ich o to prosić – odparła pani Garth. Robiła na drutach i mogła albo patrzeć na Freda, albo nie, zależnie od woli, co jest zawsze dogodnie, gdy ktoś chce naszpikować swoje wypowiedzi zbawiennymi treściami; chociaż bowiem pani Garth zamierzała zachować należytą rezerwę, pragnęła jednocześnie powiedzieć coś, co by wyszło Fredowi na zdrowie.

– Wiem, że uważa pani, i nie bez przyczyny, że mało co wart – powiedział Fred, nieco poruszony, gdyż zauważył coś jakby skłonność do dawania mu pouczeń. – Tak się stało, że zachowałem się najgorzej wobec ludzi, od których chciałym najwięcej otrzymać. Ale jeśli tacy dwaj ludzie jak pan Garth i pastor Farebrother nie stracili co do mnie nadziei, nie widzę, czemu sam miałbym ją stracić. – Fred pomyślał, że dobrze będzie podsunąć pani Garth te dwa męskie przykłady.

– Niewątpliwie – odparła z naciskiem. – Młody człowiek, dla którego poświęcili się tacy dwaj mężczyźni, starsi od niego, postąpiłby doprawdy karygodnie, gdyby nie wyszedł na ludzi i sprawił, że ich poświęcenie poszło na marne.

Fred trochę się zdziwił tą mocną wypowiedzią i rzekł tylko:

– Mam nadzieję, że tak się nie stanie, proszę pani, gdyż zostałem ośmielony do tego, by wierzyć, że mogę zdobyć rękę Mary. Czy pan Garth mówił pani o tym? Zapewne nie było to dla pani zaskoczeniem –

zakończył niewinnie, mając na myśli jedynie to, że jego własną miłość do Mary mogli dostrzec.

– Czy nie było dla mnie zaskoczeniem to, że Mary dała ci nadzieję?
– Pani Garth uznała, że byłoby dobrze, gdyby Fred wbił sobie w głowę, iż wbrew przypuszczeniom rodziny Vincych, rodzice Mary wcale sobie tego mariażu nie życzyli. – Owszem, przyznaję, że było dla mnie dużym zaskoczeniem.

– Nigdy mi takiej nadziei nie dała, ani jednym słowem, kiedy z nią sam rozmawiałem. – Fred energicznie bronił Mary. – Ale gdy poprosiłem pastora Farebrothera, by zapytał w moim imieniu, pozwoliła mi powtórzyć, że mogę żywić nadzieję.

Chęć dawania pouczeń, która zaczęła wzbierać w jego rozmówczyni, nie wyładowała się jeszcze do końca. Sytuacja była zbyt prowokująca, nawet przy samokontroli pani Garth: ten hoży młodzian ma zaznać powodzenia za cenę zawodu kogoś mądrzejszego i bardziej godnego współczucia – żyć na cudzy koszt, nawet o tym nie wiedząc – a w tym samym czasie jego rodzina będzie sądzić, że to Garthowie tak o niego zabiegali dla swojej córki; gniew tym silniej w niej wzbierał, że stłumiła go uprzednio w obecności męża. Powiedziała więc teraz stanowczo i zdecydowanie:

– Popełniłeś ogromny błąd, Fred, prosząc pastora Farebrothera, by mówił w twoim imieniu.

– Naprawdę? – Fred gwałtownie poczerwieniał. Był zaniepokojony, ale nie umiał zgadnąć, o co idzie pani Garth, dodał więc tonem wyjaśnienia:
– Pastor Farebrother okazywał nam zawsze życzliwość i wiedziałem, że Mary z powagą go wysłucha; podjął się tej misji bez niechęci.

– Tak, młodzi ludzie są na ogół ślepi na wszystko, prócz własnych pragnień, i rzadko potrafią sobie wyobrazić, ile te ich pragnienia kosztują innych – stwierdziła pani Garth. Nie zamierzała wyjść poza tę zbawienną,

ogólnikową tezę, a swój gniew wyładowała, rozwijając niepotrzebnie robótkę i spoglądając na nią ze zmarszczonym dostojnie czołem.

– Nie mogę pojąć, dlaczego miałoby to sprawić jakąś przykrość pastorowi Farebrotherowi – upierał się Fred, czując jednak, że w jego głowie zaczynają powstawać zdumiewające wyobrażenia.

– Właśnie: nie potrafisz pojąć – odparła pani Garth, ucinając zdanie najwymowniej jak mogła.

Przez chwilę Fred spoglądał na horyzont, przestraszony i skonsternowany, wreszcie obrócił się gwałtownie i zapytał niemal ostro:

– Czy pani chce powiedzieć, że pastor Farebrother kocha się w Mary?

– A jeśliby tak było, Fred, jesteś ostatnią osobą, która powinna się temu dziwić – odparła pani Garth, odkładając na bok robótkę i krzyżując ramiona. Tylko w rzadkich chwilach emocji pozwalała sobie na wypuszczenie robótki z rąk. W gruncie rzeczy była rada, że dała Fredowi nauczkę, lecz czuła jednocześnie, że się trochę zagalopowała. Fred wziął kapelusz i łaskę i wstał szybko.

– Wobec tego uważa pani, że stoję na jego drodze i również na drodze Mary? – zapytał tonem, który niejako wymagał odpowiedzi.

Przez chwilę pani Garth nie mogła wymówić słowa. Sama postawiła się w nieprzyjemnej sytuacji: doprowadziła do tego, że pytano ją o zdanie, które – dobrze o tym wiedziała – powinna z ważnych przyczyn zachować dla siebie. Ponadto było jej szczególnie przykro, że przebrała miarę w słowach. A w dodatku Fred okazywał zaskakujące zdenerwowanie.

– Pan Garth sprawiał wrażenie, że jest rad, iż Mary mogłaby obdarzyć mnie uczuciem. Nie mógł nic wiedzieć o tamtej sprawie – dodał.

Pani Garth poczuła mocne ukłucie na wzmiankę o mężu: niełatwo było znieść myśl, że Kaleb może uznać, iż postąpiła niewłaściwie. Odparła, nie chcąc dopuścić do niezamierzonych konsekwencji:

– Mówiłam tylko na podstawie własnych obserwacji. Nie wiadomo

mi, aby Mary czegokolwiek się w tej sprawie domyślała.

Wahała się, czy go poprosić, by zachował w sekrecie to, co się jej niepotrzebnie wymknęło – nie zwykła tak się upokarzać, lecz właśnie gdy się wahała, pod jabłonią, gdzie stały przybory do herbaty, zdarzył się pierwszy z szeregu gwałtownych, nieprzewidzianych wypadków. Ben, który pędził przez trawę z Latkiem przy nodze, zobaczywszy, że kotek ciągnie robótkę za coraz to dłuższą nić włóczki, krzyknął i klasnął w ręce: Łatek zaszczekał, przerażony kot skoczył na stół i rozlał mleko, potem zeskoczył, za nim posypały się wiśnie, a Ben, chwyciwszy zrobioną w połowie skarpetkę, wsadził ją kotu na łeb, co stało się nowym powodem szaleństwa, nadbiegająca Letty zaczęła krzyczeć, by matka ukróciła to okrucieństwo – jednym słowem, była to jedna z tych historii niezwykle bogatych w wydarzenia, które można opowiadać bez końca. Pani Garth musiała w to wkroczyć, nadbiegła reszta rodzeństwa i tak się skończyło sam na sam z Fredem. Pożegnał się więc jak najszybciej, a pani Garth zdołała tylko zrobić pewne odstępstwo od surowego dotychczas obejścia, mówiąc, „idź z Bogiem”, gdy ścisnęła mu rękę.

Była niemile świadoma, że omal nie postąpiła tak, jak „kobieta szalona”^[115] – najpierw się wygadała, by potem prosić o zachowanie sekretu. Ale nie poprosiła o zachowanie sekretu, a nie chcąc usłyszeć potępienia z ust Kaleba, postanowiła potępić się sama i wyznaczyć mu wszystko jeszcze tego samego wieczoru. Zdumiewające, jakim straszliwym sędzią wydawał się jej ten łagodny Kaleb, kiedy tylko znalazł się w tej roli. Postanowiła wykazać mu jednak, że jej rewelacje mogą wyjść Fredowi na dobre.

Niewątpliwie wywarły na nim mocne wrażenie i miał tego świadomość, maszerując do Lowick. Nic jeszcze nie wstrząsnęło jego beztroskiej, ufnej natury tak silnie jak owo przypuszczenie, że gdyby

[115] Księga Hioba, 2, 10.

nie stał na drodze Mary, ona mogłaby zrobić bardzo dobrą partię. Zły był też, że się okazał, jak to określił, głupim prostakiem i prosił pastora Farebrothera o pośrednictwo. Nie leży w naturze kochanka – a z pewnością i nie leżało w naturze Freda – by taki świeży niepokój o uczucie Mary nie przesłonił wszystkiego innego. Mimo zaufania do wielkoduszności pastora Farebrothera, pomimo to, co mu Mary powiedziała, Fred nie mógł się oprzeć przekonaniu, że ma rywala: stanął wobec czegoś nowego, z czym się nie mógł pogodzić; nie był w najmniejszej mierze gotów wyrzec się Mary dla jej dobra, raczej był gotów walczyć o nią z każdym mężczyzną. Walka z pastorem Farebrotherem jednak musiałyby być z rodzaju metaforycznych i dla Freda o wiele trudniejsza niż walka fizyczna. Niewątpliwie przeżywał doświadczenie niemal równie bolesne, jak rozczarowanie w związku z testamentem wuja. Żelazo nie przeszło jego duszy, zaczął sobie jednak wyobrażać, jak wygląda takie ostrze. Nie przyszło Fredowi do głowy, że pani Garth może się mylić co do uczuć pastora Farebrothera, podejrzewał jednak, że może się mylić co do Mary. Mary przebywała ostatnio na plebanii i matka nie mogła wiedzieć, co tam powstało w jej głowie.

Nie przybyło mu pewności siebie, gdy znalazł ją pogodną, siedzącą z trzema paniami w salonie. Prowadziły ożywioną rozmowę na jakiś temat, który wraz z jego wejściem został zarzucony. Mary przepisywała etykiety ze stosu płytkich szufladek sekretarzyka drobniotkim pismem, w którym celowała. Pastor był poza domem, w wiosce, a trzy panie nie wiedziały nic o szczególnych stosunkach łączących Freda i Mary: niemożliwe, by któraś zaproponowała, by się przeszli po ogrodzie, i Fred przewidywał, że odejdzie stąd, nie zamieniwszy z Mary ani słowa na osobności. Powiedział jej najpierw o przyjeździe Christy'ego, a później o tym, że podjął pracę u jej ojca; pociechą dlań było, gdy zauważył, że ta ostatnia wiadomość bardzo ją poruszyła. Powiedziała śpiesznie: „Tak się cieszę”,

a potem pochyliła się nad pisaniem, by ukryć twarz przed wszystkimi. Był to jednak temat, nad którym pani Farebrother nie mogła przejść do porządku dziennego.

– Nie chce pani chyba powiedzieć, droga panno Garth, że cieszy panią, iż młody człowiek rezygnuje z pracy duszpasterskiej, do której został przygotowany i wykształcony, chce pani tylko powiedzieć, że cieszy się, iż będzie pod kierunkiem tak wspaniałego człowieka jak ojciec pani.

– Nie, proszę pani, przyznam, że cieszy mnie i jedno, i drugie – odparła Mary, zręcznie pozbywając się jednej buntowniczej łzy. – Mam okropnie świecką umysłowość. Nigdy nie lubiłam duchownych z wyjątkiem wikarego z Wakefield i pastora Farebrothera.

– Ale czemuż to? – spojrzała na nią ze zdumieniem pani Farebrother, zawieszając w powietrzu wielkie drewniane druty, na których robiła robótkę. – Pani opinie są zawsze dobrze uzasadnione, ale ta mnie zdumiewa. Oczywiście, wykluczam tu duchownych, którzy głoszą nową doktrynę. Ale czemu miałyby pani nie lubić duchownych?

– Ojej! – twarz Mary rozjaśniła się rozbawieniem, kiedy się zastanawiała: – Nie podobają mi się ich kołnierzyki.

– Wobec tego nie podoba się pani również kołnierzyk Camdena – zaniepokoiła się panna Winifreda.

– Owszem, podoba mi się. Nie lubię kołnierzyków innych duchownych, ponieważ to oni je noszą.

– Jakież to zagadkowe. – Panna Noble miała wrażenie, że jej intelekt okazuje pewne niedostatki.

– Moja droga pani, przecież to są żarty! Musiałyby pani mieć poważniejsze powody, by lekceważyć tak szacowną klasę ludzi – oznajmiła majestatycznie pani Farebrother.

– Panna Garth ma tak surowe wymagania co do ludzi, że trudno je zaspokoić – wtrącił Fred.

– No cóż, rada jestem, że robi przynajmniej wyjątek dla mojego syna
– powiedziała starsza pani.

Urażony ton głosu Freda zdziwił Mary, lecz właśnie przyszedł pastor i musiał wysłuchać wiadomości o podjęciu pracy u pana Gartha. Kwitując ją, stwierdził ze spokojnym zadowoleniem: „*To jest właściwe*”, a potem pochylił się, by obejrzeć etykiety Mary i pochwalić jej pismo. Fred poczuł okropną zazdrość. Był, rzecz jasna, rad, że pastor jest tak godnym człowiekiem, wolałby jednak, żeby był paskudny i gruby, jak niektórzy czterdziestoletni mężczyźni. Jasne, czym to się skończy, gdyż Mary wyraźnie stawia pastora ponad wszystkich innych, a te kobiety tutaj najwidoczniej popierają jego sprawę. Był już pewny, że nie nadarzy mu się okazja porozmawiania z Mary, kiedy pastor powiedział:

– Fred, pomóż mi odnieść te szuflady do mojego gabinetu, nie widziałeś jeszcze, jak pięknie go urządziłem. Niechże pani z nami pójdzie, panno Garth, chciałbym pani pokazać ogromnego pająka, którego znalazłem dziś rano.

Mary w lot zrozumiała intencję pastora. Od owego pamiętnego wieczoru okazywał jej niezmiennie zawsze tę samą duszpasterską życzliwość i jej chwilowe wątpliwości i pytania zostały uspione. Przywykła myśleć dosyć trzeźwo o tym, co prawdopodobne, i jeśli jakieś przypuszczenie pochlebiało jej próżności, dopatrywała się w nim ostrzeżenia przed śmiesznością i natychmiast je odsuwała; od najwcześniejszych lat czyniła to niejednokrotnie. Stało się tak, jak przewidywała: pastor najpierw poprosił Freda, by podziwiał wyposażenie gabinetu, a ją, by podziwiała pająka, następnie zaś powiedział:

– Zaczekajcie tu chwilę, pójde poszukać pewnego sztychu, który mi Fred powiesi, jest na to dostatecznie wysoki. Za kilka minut wrócę – co powiedziałwszy, wyszedł. A mimo to pierwsze słowa Freda do Mary brzmiały:

– Cokolwiek bym zrobił, Mary, i tak nic z tego nie będzie. Z pewnością wyjdiesz w końcu za pastora Farebrothera. – W głosie jego pobrzmiwał ton gniewu.

– O czym ty mówisz, Fred! – zawołała z oburzeniem Mary, rumieniąc się mocno, niezdolna ze zdumienia dać zwykłej, ciętej odpowiedzi.

– Nie wierzę, że tego jasno nie widzisz, ty, która zawsze wszystko zauważasz.

– Widzę tylko, że bardzo brzydko się zachowujesz, Fred, mówiąc w ten sposób o pastorzce, który tak się za tobą wstawiał. Skąd ci taki pomysł przyszedł do głowy?

Pomimo zdenerwowania Fred okazał się całkiem sprytny. Jeśli Mary naprawdę niczego nie podejrzewa, nie ma sensu powtarzać jej tego, co powiedziała pani Garth.

– Przecież to jest logiczne – odparł. – Kiedy masz ustawicznie przed oczami człowieka, który bije mnie na głowę pod każdym względem i którego cenisz najwyżej, nie mogę mieć żadnych szans.

– Jesteś niewdzięczny, Fred! – powiedziała Mary. – Żałuję, że powiedziałam pastrowi, że cię lubię.

– Nie jestem niewdzięczny. Byłbym najszcześniejszym człowiekiem na świecie, gdyby nie to. Powiedziałem wszystko twojemu ojcu, okazał mi wielką życzliwość. Potraktował mnie jak syna. Zabrałbym się z ochotą do pracy, do pisania, do wszystkiego, gdyby nie to.

– Gdyby nie to? Gdyby nie co? – pytała Mary, wyobrażając sobie, że ktoś musiał zrobić lub powiedzieć coś niesłychanego.

– Gdyby nie ta okropna pewność, że pastor mnie wykosi!

Rozbawienie uśmierzyło gniew Mary.

– Fred – powiedziała, obracając wzrok, by spojrzeć mu w oczy, które odwrócił od niej posępnie – jesteś cudownie śmieszny. Gdybyś nie był takim uroczym głuptasem, cóż by to była za okazja, żeby zagrać wstrętą

kokietkę i udawać, że ktoś jeszcze, oprócz ciebie, zaleca się do mnie.

– Czy naprawdę wolisz mnie od wszystkich na świecie? – spytał Fred, zwracając na nią pełne uczucia spojrzenie i usiłując wziąć ją za rękę.

– W tej chwili w ogóle cię nie lubię – odparła, cofając się i chowając ręce z tyłu. – Powiedziałam tylko, że żaden śmiertelnik prócz ciebie nigdy się o mnie nie starał. Co nie znaczy, że jakiś bardzo mądry człowiek kiedyś tego nie zrobi – dodała wesoło.

– Chciałbym, żebyś mi powiedziała, że nigdy w życiu nie byłabyś zdolna nawet o nim pomyśleć – upierał się Fred.

– Nie waż się wspominać mi o tym więcej, Fred. – Mary znów spoważniała. – Nie wiem, czy to dowód twojej głupoty, czy niewdzięczności, że nie widzisz, iż pastor zostawił nas tu razem właśnie po to, byśmy mogli swobodnie porozmawiać. Bardzo jestem zawiedziona, że nie dostrzegasz, jaki jest delikatny.

Nie było czasu na dalszą rozmowę, gdyż pastor wrócił ze sztychem i Fred musiał iść do salonu, chowając w sercu straszną obawę, choć słowa i zachowanie Mary niosły raczej pocieszenie. W sumie skutek tej rozmowy był bardziej przykry dla Mary: musiała teraz zwrócić uwagę w innym kierunku i dostrzec możliwość wyciągnięcia innych wniosków. Zaczęło jej się zdawać, że okazała lekceważenie pastorowi Farebrotherowi, a takie poczucie, w stosunku do człowieka powszechnie szanowanego, może zagrażać stałości uczuć kobiety, która potrafi być wdzięczna. Z ulgą myślała, że ma powód, by następnego dnia wrócić do domu, naprawdę bowiem chciała, by nie było wątpliwości, że nikogo nie kocha tak jak Freda. Kiedy przez wiele lat gromadzi się w nas jakiś czuły afekt, myśl, że można by go wymienić na coś innego, niejako zuboża nasze życie. I stawiamy wtedy straż przy naszym uczuciu i naszej stałości, taką jak przy skarbach.

„Fred stracił wszystkie swoje nadzieje, tej stracić nie może” –

powiedziała do siebie z uśmiechem, który wywinął jej wargi. Trudno było powstrzymać ulotne wyobrażenia innego rodzaju – o nowych godnościach, o ludzkim uznaniu, jakiego by zaznała – a jakiego często było jej brak. Ale w tym wszystkim nie było Freda – Fred porzucony, smutny, bo jej przy nim nie ma – taki obraz nigdy nie mógłby rozmyślnie przyciągnąć jej myśli.

ROZDZIAŁ LVIII

Twoich oczu nienawiść zamącić nie zdoła,
Po nich nie poznam zatem wewnętrznej odmiany;
U innych w ust grymasie lub zmarszczeniu czoła
Fałsz serca jak na dłoni widać wypisany,
Lecz twoją twarz niebios a w dekrecie stworzenia
Uczyliły siedzibą miłości; zwodniczy
Wygląd twój plany mózgu lub serca zachcenia
Przełoży na tę samą wciąż mowę słodczy[116].

William Shakespeare, *Sonet 93*

Kiedy pan Vincy mówił o swoich przecuciach co do Rozamundy, jej samej nawet w głowie nie powstało, że będzie musiała kiedyś zwrócić się do ojca z prośbą, którą przewidywał. Nie zaznała jeszcze najmniejszych niepokojów o pieniądze, chociaż prowadziła życie wystawne i urozmaicone. Urodziła dziecko przedwcześnie i trzeba było głęboko schować wszystkie haftowane kaftaniki i czepeczki. Nieszczęście to uważano wyłącznie za skutek uporu, z jakim postanowiła odbyć pewnego dnia konną przejażdżkę, wbrew zakazowi męża; nie należy jednak przypuszczać, by w związku z tym wpadła w złość czy też powiedziała niegrzecznie mężowi, że i tak będzie robiła to, co chce.

Owa szczególna ochota na konną przejażdżkę zrodziła się w związku z wizytą trzeciego syna baroneta, niejakiego kapitana Lydgate, którego, przykro mi powiedzieć, nie cierpiał nasz Tertius, o tym samym nazwisku, uważając kuzyna za nudnego fircyka, co to „nosi idiotyczny przedziałek [116] Przeł. Stanisław Barańczak.

od czoła do karku” (moda, jakiej Tertius się nie poddał) i okazuje bezpodstawne przekonanie, że potrafi powiedzieć coś właściwego na każdy temat. Lydgate przeklinał w duchu własne szaleństwo, które sprowadziło nań tę wizytę, a mianowicie zgodę na odwiedzenie stryja podczas podróży poślubnej; powiedział to Rozamundzie na osobności, wywołując tym samym jej niechęć. Dla Rozamundy bowiem ta wizyta była źródłem nieznaney dotychczas, lecz wdzięcznie skrywanej szczęśliwości. Miała tak intensywną świadomość tego, że w jej domu przebywa kuzyn, który jest synem baroneta, że wyobrażała sobie, iż przeświadczenie o wadze tej obecności przeniknęło do umysłów wszystkich wokół; kiedy zaś przedstawiała kapitana Lydgate swoim gościom, była spokojnie pewna, że myśl o jego pozycji przesyca wszystkich niby woń. Ta satysfakcja wystarczyła na pewien czas, by rozproszyć pewne rozczarowanie kondycją, jaką przyniosło małżeństwo z lekarzem, nawet dobrze urodzonym; uważała teraz, że jej związek w sposób widoczny, jak również idealny, unosi ją ponad poziom Middlemarch, przyszłość zaś skrzy się od listów i wizyt do i z Quillingham, niosąc w konsekwencji Tertiusowi nieokreślone awanse. Tym bardziej że, zapewne wskutek sugestii kapitana, przyjechała do nich jego zamężna siostra, pani Mengan, ze służącą i zatrzymała się na dwie noce w drodze z Londynu. Było więc jasne, że opłacają się Rozamundzie ćwiczenia fortepianowe i staranny dobór koronek.

Jeśli zaś idzie o samego kapitana Lydgate, to jego niskie czoło, orli, skrzywiony na bok nos i ciężka wymowa byłyby dezawantażem u każdego młodego człowieka, któremu wojskowa postawa i wąsy nie nadawałyby tego, co niektóre zaślepione blond główki nazywały z zachwytem „stylem”. Cechowały go również owe arystokratyczne maniery, których istotą jest całkowita nieznajomość banalnych kłopotów, jakimi zaprzatają sobie głowę zacni mieszczanie; nadto był wielkim

znawcą kobiecej urody. Rozamunda rozkoszowała się jego admiracją bardziej jeszcze niż w Quillingham, jemu zaś łatwo przychodziło flirtować z nią kilka godzin dziennie. Ta wizyta była, wszystko razem wzięwszy, jedną z przyjemniejszych rozrywek, jakie miał, zwłaszcza odkąd zaczął przypuszczać, że ten jego dziwaczny kuzyn, Tertius, chciałby się go już pozbyć, choć Lydgate (mówiąc w przenośni) wołałby umrzeć niż okazać się niegościnnie, tłumił więc swą niechęć i tylko udawał, że nie słyszy, co ten szarmancki oficer mówi, pozostawiając trud odpowiedzi Rozamundzie. Nie należał bowiem do zazdrosnych mężów i wołał zostawiać pustogłowego młodzieńca sam na sam z żoną niż dotrzymywać mu towarzystwa.

– Chciałabym, żebyś przy obiedzie częściej zwracał się do kapitana – poprosiła męża Rozamunda pewnego wieczoru, kiedy ich znakomity gość pojechał do Loamford w odwiedzinach do stacjonującej tam oficerskiej braci. – Doprawdy, masz czasem tak roztargnioną minę, jakbyś patrzył poprzez jego głowę na coś, co jest poza nią, zamiast patrzeć na niego.

– Rozo, kochanie, nie oczekujesz chyba, że będę się ugadywał z takim zarozumiałym osłem jak on – odparł szorstko Lydgate. – Gdyby sobie rozbił głowę, popatrzyłbym na nią z zainteresowaniem, ale nie wcześniej.

– Nie potrafię pojąć, czemu się tak wzgardliwie wyrażasz o swoim kuzynie. – Palce Rozamundy poruszały się przy robótce, gdy to mówiła z łagodną powagą, w której brzmiał lekki ton potępienia.

– Zapytaj Ladislawa, czy nie uważa twojego kapitana za największego nudziarza, jakiego spotkał w życiu. Od jego przyjazdu Ladisław niemal zapomniał o naszym domu.

Rozamunda pomyślała, że wie dobrze, dlaczego pan Ladisław nie lubi kapitana: jest zazdrosny i bardzo jej się podobało, że jest zazdrosny.

– Trudno przewidzieć, co się spodoba ekscentrykowi – odparła – lecz moim zdaniem kapitan Lydgate jest dżentelmenem w każdym calu i

sądzę, że nie powinieneś, przez szacunek dla sir Godwina, okazywać mu lekceważenia.

– Nie powinienem, kochanie, ale przecież wydawaliśmy dla niego obiady. Poza tym przyjeżdża i wyjeżdża, kiedy mu przyjdzie ochota. Ja mu nie jestem potrzebny.

– A jednak mógłbyś mu okazywać więcej uwagi, kiedy się znajduje w pokoju. Może on nie jest feniksem mądrości w twoim rozumieniu; ma inny zawód, więc byłoby lepiej, abyś poruszał czasem tematy, które jego interesują. Moim zdaniem rozmawia się z nim bardzo przyjemnie. I nie można powiedzieć, że jest człowiekiem bez zasad.

– Faktem jest, że pragnęłabyś, Rozo, abym był bardziej do niego podobny – powiedział Lydgate zrezygnowanym szeptem, z uśmiechem, w którym chyba nie było czułości, a na pewno nie było wesela. Rozamunda milczała i nie uśmiechnęła się w odpowiedzi, lecz wdzięczne krągłości jej buzi sprawiały i bez uśmiechu łagodne wrażenie.

Te słowa Lydgate'a były jak smutne kamienie milowe, znaczące, jak daleko odszedł od dawnego świata marzeń, gdzie Rozamunda Vincy wydawała się kobietą idealną, która będzie odnosiła się z czcią do rozumu swego męża, niby cudownie ułożona syrena, taka, co to czesząc się, spogląda w lustro i śpiewa swą pieśń w tym jedynie celu, by dać odpocznienie jego wielbionemu umysłowi. Zaczął dostrzegać różnicę pomiędzy tą wymagowaną adoracją a podziwem dla zdolności mężczyzny, stanowiących o jego prestiżu, jak order w klapie lub tytuł baroneta przed nazwiskiem.

Można by przypuścić, że również Rozamunda przeszła jakąś drogę od czasu, kiedy to banały, wypowiedane przez pana Neda Plymdale, wydawały się jej ogromnie nużące: dla większości śmiertelników jednak istnieje głupota nie do wytrzymania i głupota całkowicie do przyjęcia – inaczej bowiem, co by się stało z więzami towarzyskimi? Głupota

kapitana Lydgate była lekko wyperfumowana, nosiła się ze „stylem”, mówiła z dobrym akcentem i była blisko spokrewniona z sir Godwinem. Rozamundzie wydała się całkiem miła; przejęła wiele jej wyrażeń.

Tak więc ponieważ, jak wiemy, Rozamunda uwielbiała jeździć konno, uległa – z wielu przyczyn – pokusie wybrania się na przejażdżkę, kiedy kapitan Lydgate, który umieścił Pod Zielonym Smokiem swego służącego z dwoma końmi, poprosił ją, by z nim pojechała na siwku; ręczył za jego łagodność, wierzchowiec bowiem był ujeżdżany pod damskie siodło – w istocie kapitan kupił go dla swojej siostry i zabierał do Quillingham. Za pierwszym razem Rozamunda pojechała, nie uprzedzając o tym męża, i wróciła przed jego powrotem. Przejazdka była bardzo udana, a ona poczuła się po niej o tyle lepiej, że powiedziała o wszystkim mężowi w pełnym przekonaniu, iż wyrazi zgodę na jej następne wprawy.

Lydgate, wprost przeciwnie, był nie tylko urażony – był wprost osłupiały, dowiedziawszy się, że zaryzykowała jazdę na nieznanym koniu, nie pytając męża o zgodę. Po pierwszych, niemal wściekłych, okrzykach zdumienia, które przygotowały Rozamundę na to, co się jeszcze szykuje, zamilkł na chwilę.

– Szczęśliwie wróciłaś cała i zdrowa – powiedział wreszcie stanowczym głosem. – Ale nie pojedziesz więcej, Rozo, to oczywiste. Nawet gdyby to był najspokojniejszy, najbardziej ci znany koń na świecie, zawsze będzie istniała możliwość wypadku. I wiesz bardzo dobrze, że chciałem, abys przestała z tego powodu jeździć na dereszku.

– Ale i w domu może się zdarzyć wypadek, mój drogi.

– Kochanie, nie mów niedorzeczności – powiedział prosząco. – Doprawdy, to ja jestem osobą, która musi za ciebie decydować. Sądzę, że wystarczy, jeśli ci powiadam, że masz więcej nie jeździć.

Rozamunda czesała włosy przed kolacją, a odbicie jej głowy w lustrze było wciąż tak samo urocze, jedyną może zmianą było lekkie odchylenie

długiej szyi. Lydgate, który dotąd krążył z rękami w kieszeniach, zatrzymał się przy niej, jakby oczekiwał jakiegoś potwierdzenia.

– Czy mógłbyś upiąć mi warkocze, kochanie? – Rozamunda opuściła ręce z lekkim westchnieniem, by mąż poczuł wstyd, że stoi tak nad nią jak jakiś brutal. Lydgate często upinał jej włosy; jego ręce o długich, kształtnych palcach były niezwykle zręczne. Podniósł więc miękkie festony warkoczy i przypiął je wysokim grzebieniem (do czego to przychodzi mężczyźnie!) – i cóż mógł zrobić innego niż ucałować wspaniały kark, który ukazał się z wszystkimi delikatnymi wgłębieniami? Ale gdy robimy coś, cośmy już uprzednio robili, bywa często, że robimy to jakoś inaczej. Lydgate był wciąż gniewny i nie zapomniał, o co mu chodziło.

– Powiem kapitanowi, że musiał mieć źle w głowie, proponując ci swojogo konia – powiedział na odchodnym.

– Proszę, żebyś tego nie robił, Tertius. – W spojrzeniu Rozamundy było coś bardziej wymownego niż zazwyczaj w jej głosie.

– Wyglądałoby to na traktowanie mnie, jakbym była dzieckiem. Obiecuj, że pozostawisz mnie całą sprawę.

W jej zastrzeżeniu była jakaś racja. Lydgate powiedział „dobrze”, z cierpkim posłuszeństwem, i dyskusja skończyła się tym, że on złożył Rozamundzie obietnicę, podczas gdy ona nie obiecała mu niczego.

W gruncie rzeczy postanowiła nic mu nie obiecywać. Był w niej ten zwycięski upór, który nigdy nie marnuje energii na zapalczywy sprzeciw. Słuszne było dla niej to, na co miała ochotę, i cały swój spryt skupiała na znalezieniu sposobów, by to osiągnąć. Miała zamiar jeździć dalej na siwku i pojechała za następną sposobnością pod nieobecność męża, sądząc, że się o tym nie dowie, chyba że wtedy, gdy już będzie za późno, by to miało dla niej jakieś znaczenie. Pokusa niewątpliwie była wielka: Rozamunda ogromnie lubiła jazdę konną, a satysfakcja przejażdżki na pięknym koniu z kapitanem Lydgate, synem sir Godwina, na drugim pięknym koniu przy

jej boku – i spotkania w tej pozycji wszystkich, z wyjątkiem męża – była czymś tak cudownym jak jej marzenia przed ślubem: ponadto zacieśniała przecież stosunki z rodziną z Quillingham, co było niewątpliwie rzeczą rozsądną.

Lecz łagodny siwek, nieprzygotowany na łoskot padającego drzewa, które ścinano na skraju lasu Halsell, przestraszył się, spłoszył i jeszcze bardziej przestraszył Rozamundę, co w ostateczności doprowadziło do poronienia. Lydgate nie mógł okazać jej gniewu, był jednak dość nieuprzejmy w stosunku do kapitana, którego wizyta, oczywiście, szybko dobiegła końca.

We wszystkich późniejszych rozmowach na ten temat Rozamunda wyrażała łagodne przekonanie, że ów spacer nie miał żadnego znaczenia i że gdyby pozostała w domu, wystąpiłyby te same objawy i wszystko skończyłoby się tak samo, ponieważ ona już przedtem odczuwała coś bardzo podobnego.

Lydgate mógł tylko powtarzać: „Moje biedne, biedne kochanie”, lecz w duszy zdumiewał się straszliwą nieustępliwością tej łagodnej istoty. Wzbierało w nim poczucie własnej bezsilności wobec Rozamundy. Wyobrażał był sobie, że jego o tyle wyższa wiedza i wielki format umysłowy staną się dla niej świątynią, do której będzie przychodziła po radę w każdej sytuacji – tymczasem ona ignorowała je w każdej praktycznej kwestii. Sądził był, że inteligencja Rozamundy jest z gatunku chłonnych, tak właściwych kobiecie. Teraz zaczynał poznawać, czym jest ta inteligencja, w jakim zamknęła się kształcie – jak w gęstej sieci, osobnej i niezależnej. Nikt nie potrafił szybciej od Rozamundy dostrzec łańcucha zależności prowadzących do realizacji jej upodobań i celów: odnotowała wyższość Lydgate’a nad towarzystwem Middlemarch i umiała, idąc tym tropem, dojrzeć w wyobraźni jeszcze ciekawsze zdobycze towarzyskie, kiedy młody lekarz, dzięki swym talentom, zajdzie jeszcze wyżej. Dla niej

jednak zawodowe i naukowe ambicje Lydgate'a miały taki sam związek z owymi wymarzonymi zdobyczami, jaki mogłyby mieć, gdyby się okazały szczęśliwym odkryciem jakiegoś cuchnącego oleju. I poza tym olejem, z którym nie miała nic wspólnego, ufała, rzecz jasna, bardziej własnemu zdaniu niż jego. W niezliczonej ilości drobnych spraw, podobnie jak w tej ostatniej, poważnej sprawie przejażdżki konnej, Lydgate stwierdzał ze zdumieniem, że uczucie nie uczyniło jej uległą. Co do istnienia tego uczucia nie miał wątpliwości, nie sądził też, że zrobił coś, by je utracić. Jeśli o niego idzie, powtarzał sobie, że kochają równie czule jak dawniej i jest w stanie pogodzić się z jej ustawicznym sprzeciwem, ale... no cóż! Lydgate był bardzo skłopotany i świadom, że w jego życiu powstały nowe okoliczności, równie dla niego niezdrowe, jak błotnista zatoka dla istoty, która przywykła oddychać, kąpać się i ściągać świetlistą zdobycz w najczystszych wodach.

Po niedługim czasie Rozamunda wyglądała jeszcze bardziej niż zwykle uroczo przy swoim stoliczku do robótek, jeździła faetonikiem ojca i przypuszczała, że na pewno zaproszą ją do Quillingham. Wiedziała, że jest o wiele piękniejszym ornamentem salonu niż którakolwiek córka w tej rodzinie, lecz myśląc, że panowie są tego świadomi, nie zadała sobie pewno pytania, czy damy równie chętnie zechcą widzieć w swoim gronie osobę bardziej od nich urodziwą.

Gdy niepokój o nią minął, Lydgate znów popadł w swój „ponury nastrój”, jak to nazywała w duchu Rozamunda, określając tym fakt, że był całkowicie zaprzątnięty czymś poza nią, miał zafrasowane czoło i okazywał niechęć do wszystkich zwykłych spraw, jakby zaprawione były domieszką gorzkich ziół, co, istotnie, wskazywało jak barometr miarę jego utrapienia. Te ostatnie stany ducha miały, wśród wszystkich innych przyczyn, jedną, którą wspaniałomyślnie, lecz niepotrzebnie skrywał przed Rozamundą, nie chcąc, by zaciążyła na jej zdrowiu czy nastroju.

Obydwoje nie znali nawzajem biegu swoich myśli, co zdarza się aż nazbyt często nawet u ludzi, którzy bezustannie o sobie myślą. Wydawało się doktorowi, że upływa miesiąc za miesiącem, a on poświęca większość swoich najlepszych chęci i możliwości na czułość dla żony: znosi bez zniecierpliwienia jej drobne pretensje i mieszanie się do nie swoich spraw, a nade wszystko znosi, nie okazując goryczy, coraz mniej przesłoniętą złudzeniami świadomość obojętnej, tępej bezmyślności, z jaką jej umysł reaguje na jego żarliwe pragnienie, by zarówno w pracy zawodowej, jak badaniach naukowych stawiać sobie bardziej teoretyczne cele, pragnienie, które jak sobie wyobrażał, idealna żona winna czcić jako rzecz wzniosłą, nie bardzo wiedząc, dlaczego. Lecz w tej jego cierpliwej ustępliwości kryło się również niezadowolenie z samego siebie, które – musimy to przyznać, jeśli potrafimy być bezstronni – stanowi w kłopotach czy to męża, czy żony źródło największej goryczy. Pozostaje zawsze prawdą, że gdybyśmy sami byli więksi, nasze przeciwności byłyby słabsze. Lydgate zdawał sobie sprawę, że jego ustępstwa wobec Rozamundy to często coś więcej niż potknięcia wynikające ze słabnącego zdecydowania, pełnącego paraliżu, zdolnego obezwładnić zapał, który koliduje z prozaiczną stroną naszego życia. A zapał Lydgate'a znajdował się pod nieustannym ciśnieniem nie tyle zwykłego ciężaru smutku, ile dojmującej obecności drobnej, upokarzającej troski z rodzaju tych, które rzucają cień ironii na wszystkie szlachetniejsze wysiłki.

Była to troska, z której wyjawieniem powstrzymywał się dotąd wobec Rozamundy; stwierdzał też ze zdziwieniem, że owa troska nigdy nie zaświtała jej w głowie, choć, doprawdy, trudno było o coś mniej tajemniczego. Wniosek nasuwał się sam, oczywisty dla postronnych obserwatorów, mianowicie, że Lydgate popadał w dług; nie udawało mu się zapomnieć na dłużej o tym, że z każdym dniem pogrąża się głębiej w bagnie, które kusi ludzi piękną okrywą kwiatów i zieleni.

Zdumiewające, jak szybko człowiek pograża się w nim po szyję – znajduje się w sytuacji, w której, wbrew samemu sobie, zmuszony jest myśleć przede wszystkim o tym, jak się wydobyć, choć przecież roił w duszy plany na miarę wszechświata.

Półtora roku temu Lydgate był biedny, lecz nie zaznał nigdy przykrego braku drobnych sum i czuł gorącą pogardę dla każdego, kto się choć odrobinę poniżył, by je zdobyć. Teraz doświadczał czegoś gorszego niż zwykły brak: spadał na niego grad trywialnych, odrażających utrapień człowieka, co kupił i używał bardzo wielu rzeczy, bez których można by się obejść, a za które nie jest w stanie zapłacić, choć żądania zapłaty stają się coraz bardziej natarcywe.

Jak do tego doszło, łatwo sobie wyobrazić bez długich obliczeń czy znajomości cen. Kiedy mężczyzna, który zakłada dom i przygotowuje się do małżeństwa, stwierdza, że meble i inne podstawowe wydatki wynoszą o czterysta do pięciuset funtów więcej niż kapitał, jakim rozporządza, kiedy pod koniec roku okazuje się, że jego wydatki domowe, konie i tak dalej dochodzą niemal do tysiąca funtów, podczas gdy dochody z praktyki – która, zgodnie ze starymi księgami warta była osiemset funtów rocznie – opadły jak staw w lecie i sięgają zaledwie pięciuset, głównie niezapłaconych i tylko zaksięgowanych, prosty wniosek jest taki – czy mu to w smak, czy nie w smak – że wpadł w długi. Były to czasy nie takiej drożyzny jak dzisiaj i, porównawczo, na prowincji żyło się skromniej, jednak łatwość, z jaką przyszło lekarzowi, który niedawno kupił praktykę, który sądził, że musi trzymać parę koni, na którego stole niczego nie mogło brakować i który płacił ubezpieczenie na życie i wysoki czynsz za dzierżawę domu z ogrodem – łatwość, z jaką przyszło mu stwierdzić, że jego wydatki dwukrotnie przewyższają dochody, może sobie wyobrazić każdy, kto podobnych szczegółów nie lekceważył. Rozamunda była od dziecka przyzwyczajona do rozrzutnego gospodarowania i uważała, że

dobrze prowadzenie domu polega po prostu na zamawianiu wszystkiego w najlepszym gatunku – nic innego „nie jest odpowiednie”; Lydgate zaś uważał, że „jeśli już coś się robi, trzeba to robić jak należy” – i nie wiedział, jak by można żyć inaczej. Gdyby mu z góry przedstawiono poszczególne pozycje wydatków domowych, powiedziała by zapewne, że „w sumie to nie wypadnie wiele”, a gdyby ktoś zaproponował oszczędność na jakimś artykule – na przykład zastąpienie drogiej ryby tanią – uważałby go zapewne za dusigrosza i sknerę. Rozamunda lubiła, nawet bez takich okazji, jakie stwarzała wizyta kapitana Lydgate – wydawać przyjęcia, a choć goście często nużyli jej męża, nie zgłaszał sprzeciwu.

Życie towarzyskie wydawało się niezbędnym składnikiem zawodowej roztropności, a gości należało podejmować na odpowiedniej stopie. To prawda, że Lydgate nieustannie odwiedzał domy ubogich i dostosowywał przepisywaną dietę do ich skromnych możliwości, ale – mój ty Boże! – czy to z czasem nie przestaje być niezwykle, czy nie przyjmujemy za rzecz normalną, że koleje losów różnych ludzi biegną równolegle i nigdy nie porównujemy jednych z drugimi? Wydatek – podobnie jak brzydota czy błędy – staje się zupełną nowością, kiedy łączymy go z własną osobą i oceniamy zgodnie z różnicą, jaka, naszym zdaniem, zachodzi w sposób oczywisty pomiędzy nami a resztą ludzi. Lydgate uważał, że ubiór jest dlań rzeczą obojętną i gardził mężczyznami, którzy myślą o wrażeńiu, jakie zrobi ich strój; wydawało mu się po prostu oczywiste, że ma wiele nowych rzeczy, które przecież zamawia się na tuziny. Należy pamiętać, że nigdy jeszcze nie stanął przed barierą, jaką jest palący dług, i żył wedle przyzwyczajajęń, a nie narzucanych sobie reguł. Lecz teraz taką barierę zobaczył.

Tym bardziej irytującą, że była nowością. Czuł zdumienie, wstręt, że coś tak obcego jego zamierzeniom, coś tak obcego wszystkiemu, czym pragnął się zajmować, czyhało nań podstępnie i pochwyciło znienacka.

Problemem był nie tylko konkretny dług, lecz i świadomość, że w obecnej sytuacji będzie musiał rosnać. Dwaj kupcy z Brassing, którzy wystawili mu jeszcze przed ślubem rachunki za meble, niespłacone z powodu nieprzewidzianych wydatków bieżących, przysyłałi mu raz po raz przykre listy, natrętnie narzucające się jego uwadze. Nikogo nie mogłyby bardziej drażnić niż Lydgate'a z jego usposobieniem, z jego wielką dumą, niechęcią do proszenia kogokolwiek o cokolwiek lub zaciągania zobowiązań. Nie zniżyłby się nawet do snucia domysłów co do intencji pana Vincy w sprawach pieniężnych i tylko w ostateczności mógłby się zwrócić do teścia, nawet gdyby się nie dowiedział, po ślubie, różnymi pośrednimi drogami, że interesy pana Vincy wcale nie są kwitnące i że oczekiwanie od niego wsparcia byłoby źle widziane. Są ludzie, którzy łatwo uwierzą w gotowość przyjaciół do przyjścia im z pomocą; nigdy jeszcze na dotychczasowych etapach życia nie przyszło Lydgate'owi do głowy, że mógłby jej potrzebować. Nigdy nie myślał, czym byłoby dla niego zaciągnięcie pożyczki – teraz jednak, gdy ta myśl przyszła mu do głowy, czuł, że wolałby znieść każdy inny dopust. Tymczasem nie miał pieniędzy ani widoków na pieniądze: praktyka jego nie stawała się bardziej dochodowa.

Nic więc dziwnego, że Lydgate nie mógł ukryć wszystkich oznak tego, co go gnębiło od kilku ostatnich miesięcy, i teraz, kiedy Rozamunda była znów w doskonałym zdrowiu, zamyślał zwierzyć się jej ze swoich kłopotów. Zapoznanie się z rachunkami dostawców zmusiło go do dokonywania porównań: patrząc na sprawy z nowego punktu widzenia, zaczął rozważać, co jest niezbędne, a bez czego można by było się obejść, zaczął też rozumieć, że trzeba zmienić pewne domowe zwyczaje. A przecież nie można dokonać takich zmian bez współdziałania Rozamundy. Okazja, by ujawnić przed żoną niemiłe fakty, sama się narzuciła.

Jako że nie miał pieniędzy, spróbował się dyskretnie dowiedzieć, jakiej

gwarancji może udzielić człowiek mający jego pozycję i zaproponował jedyne poważne i realne zabezpieczenie mniej natarczywemu wierzycielowi, którym był złotnik i jubiler; ten zgodził się również przejąć na siebie dług wobec tapicera, za procent na określony czas. Owym niezbędnym zabezpieczeniem była umowa sprzedaży na meble doktora, która mogłaby stanowić czasową gwarancję, że wierzycielowi nie przypadnie dług, wynoszący blisko czterysta funtów. Złotnik, pan Dover, gotów był jeszcze zmniejszyć tę sumę, przyjmując z powrotem część sreber stołowych oraz wszelkie inne przedmioty, które były niemal jak nowe.

Pod określeniem „wszelkie inne przedmioty” dawał delikatnie do zrozumienia biżuterię, szczególnie zaś piękny komplet fioletowych ametystów za trzydzieści funtów, które Lydgate kupił w prezencie ślubnym.

Mogą być różne zdania co do tego, czy postąpił rozsądnie, kupując taki prezent: niektórzy mogą uważać, że było to urocze świadectwo uczuć, jakiego należało się spodziewać po człowieku takim jak Lydgate, a przykre konsekwencje całej sprawy są skutkiem ciasnej małostkowości ówczesnego prowincjonalnego życia, które nie pozwalało na najmniejszy komfort człowiekowi uprawiającemu wolny zawód, a posiadającemu majątek nieproporcjonalny do swoich upodobań, jak również śmiesznych fanaberii Lydgate’a, który nie chciał prosić przyjaciół o pieniądze.

Nie wydawało mu się to jednak sprawą najmniejszej wagi w ów piękny ranek, kiedy to jechał, by ostatecznie zamówić srebro stołowe; wobec wyłożonej u jubilera innej, bardzo kosztownej biżuterii oraz jako dodatek do zamówienia, które nie zostało jeszcze dokładnie obliczone, trzydzieści funtów za ozdobę tak świetnie pasującą do ramion i szyi Rozamundy nie wydawało się, doprawdy, zbyt dużą sumą, zwłaszcza kiedy rachunek nie był płacony gotówką, której by nie wystarczyło. Teraz

jednak, w krytycznej chwili, myśli Lydgate'a z konieczności zaczęły krążyć wokół możliwości, by ametysty znów zajęły miejsce wśród asortymentu towarów pana Dovera, choć za nic w świecie nie chciałby sam podsunąć tego rozwiązania Rozamundzie. Kiedy okoliczności zmusiły go do poznania konsekwencji, o których nie miał dotąd zwyczaju myśleć, zaczął szykować się do poczynienia odpowiednich kroków z pewną dozą zdyscyplinowania, podobną do tej (ale nie taką samą), z jaką zabierał się do jakiegoś eksperymentu. Umacniał się w poczuciu konieczności tego zdyscyplinowania, wracając z Brassing, i rozmyślał, jak przedstawić sprawę Rozamundzie.

Byłwieczór, kiedy wrócił do domu. Tęsilny, dwudziestodwuletni, niezwykle utalentowany mężczyzna czuł się głęboko nieszczęśliwy. Nie powtarzał sobie gniewnie, że popełnił ogromny błąd, ale ten błąd w nim rósł niby rozpoznana chroniczna choroba, nasączając swoją niespokojną natarczywością każdy widok i osłabiając każdą myśl. Kiedy doktor przechodził korytarzem do salonu, słyszał pianino i śpiew. Oczywiście, był Ladisław. Upłynęło już kilka tygodni, odkąd pożegnał się z Dorotą, lecz wciąż pozostawał na dawnym miejscu w Middlemarch. Lydgate nie miał, ogólnie biorąc, żadnych zastrzeżeń do wizyt Ladysława, ale w tym momencie drażniło go, że przy jego kominku siedzi ktoś obcy. Gdy otworzył drzwi, dwoje śpiewaków dalej wznosiło głosy ku tonice, podniósłszy, co prawda, wzrok ku niemu, nie uważając jednak jego wejścia za przeszkodę. Człowiek tak obolały od ciężaru troski, jak biedny Lydgate, nie znajduje ukojenia w widoku dwojga ludzi, wywodzących trele w chwili, gdy on przychodzi do domu z poczuciem, że przykry dzień ma jeszcze następne przykrości w zanadru. Twarz jego, bledsza niż zazwyczaj, nachmurzyła się, gdy przechodził przez pokój i siadał ciężko w fotelu.

Śpiewający uznali, iż usprawiedliwia ich fakt, że mają tylko trzy takty

do końca, po czym się odwrócili.

– Jak się pan ma – Ladisław podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

Lydgate uściśnął mu dłoń, lecz nie uznał za stosowne odpowiedzieć.

– Jadłeś obiad, Tertius? Spodziewałam się ciebie o wiele wcześniej.

– Rozamunda widziała już, że mąż wrócił „w strasznym humorze”.
Mówiąc, usiadła na swoim zwykłym miejscu.

– Jadłem. Chciałbym się napić herbaty, jeśli można – odparł krótko
Lydgate, wciąż nachmurzony, patrząc uporczywie na swoje wyciągnięte
nogi.

Willowi nie trzeba było więcej.

– Muszę iść – powiedział, sięgając po kapelusz.

– Za chwilę będzie herbata – powiedziała Rozamunda. – Proszę, niech
pan nie wychodzi.

– Ale pan Lydgate ma wszystkiego dość – odparł Will, który miał
dla gospodarza więcej wyrozumiałości niż żona i nie czuł się obrażony
jego zachowaniem, łatwo sobie wyobrażając, że coś go poza domem
zdenerwowało.

– Tym bardziej powinien pan zostać – ciągnęła żartobliwie Rozamunda
swoim najswobodniejszym tonem. – Nie odezwie się do mnie przez cały
wieczór.

– Owszem, Rozamundo – powiedział Lydgate swym silnym
barytonem. – Mam z tobą do pomówienia o ważnych sprawach.

Trudno o wstęp do poważnej rozmowy bardziej odmienny od tego,
co Lydgate sobie wyobrażał, lecz obojętne zachowanie Rozamundy było
zbyt prowokujące.

– Proszę, widzi pani?! Idę na spotkanie w sprawie Instytutu
Mechaników. Do widzenia – i Ladisław wyszedł spieszenie z pokoju.

Rozamunda, nie patrząc na męża, wstała po chwili i zasiadła przy
tacy z zastawą do herbaty. Pomyślała, że nigdy jeszcze nie widziała go

takiego nieprzyjemnego. Lydgate skierował na nią swoje ciemne oczy i przyglądał się, jak delikatnie manewruje przy zastawie swymi szczupło zakończonymi palcami, spoglądając na przedmioty, stojące tuż przed nią, bez najmniejszego drgnienia na gładkiej twarzy, a mimo to wyrażając całą postawą niewysłowiony protest przeciwko wszystkim ludziom o niemiłym obejściu. Na chwilę przestał myśleć o swojej bólączce, zastanawiając się nagle nad tą, objawiającą się w postaci sylfidy, nową formą nieczułości kobiecej, którą brał ongiś za wyraz chętej, inteligentnej wrażliwości. Patrząc na Rozamundę, wrócił myślami do Laury i zadał sobie w duchu pytanie: „Czy ona by mnie zabiła, gdybym ją znudził? – a potem: – Tak to bywa z wszystkimi kobietami”. Lecz ta umiejętność generalizowania, która daje człowiekowi wyższość nad niemym zwierzęciem w popełnianiu błędów, znalazła natychmiast zaprzeczenie we wspomnieniu zdumiewającego wrażenia, jakie na nim wywarło zachowanie innej kobiety – przypomniał mu się wyraz twarzy Dorotei i emocjonalna tonacja jej głosu, gdy mówiła o mężu, kiedy zaczął go leczyć – jej namiętna prośba, by powiedział jej, co może przynieść największą pociechę mężczyźnie, dla którego, jak się wydawało, musiała stłumić w sobie wszystko, z wyjątkiem natężonej woli, by okazywać mu wierność i współczucie. Te przywołane z pamięci wrażenia przesunęły się w myślach Lydgate’a jedno po drugim, szybko, jak we śnie, podczas gdy parzyła się herbata. Pod koniec tego snu na jawie miał oczy zamknięte i słyszał głos Dorotei mówiącej: „Niech mi pan poradzi, pomyśli, co mogę zrobić, on przez całe życie pracował, widząc przed sobą jakąś perspektywę. Nic innego nie ma dla niego znaczenia – i dla mnie też...”.

Ten głos kobiety o niezwykłej duszy nie opuszczał go, tak jak porywające idee zmarłego, lecz przecież koronowanego geniusza^[117] (czyż nie istnieje geniusz szlachetnych uczuć, który również króluje nad
[117] Byron, *Manfred*, akt III, sc. IV, w. 40-41.

duchem ludzkim i wyprowadzanymi przez niego wnioskami?) – jego ton był jak muzyka, od której się oddalał, zapadał – istotnie zapadł w chwilową drzemkę, kiedy Rozamunda odezwała się srebrzyście nijakim głosem: „Proszę, to twoja herbata, Tertius”, i postawiła filiżankę na malutkim stoliku obok męża, po czym, nie spojrzawszy na niego, wróciła na swoje miejsce. Lydgate zbyt pochopnie przypisywał jej niewrażliwość: na swój sposób była bardzo wrażliwa, a jej wrażenia były trwałe. Obecnie odczuwała obrazę i odrazę. Ale przecież Rozamunda nie potrafiła zrobić chmurnej miny i nigdy nie podniosła głosu: uważała, że jest osobą, która nie daje podstaw do jakichkolwiek zarzutów.

Lydgate i Rozamunda nigdy chyba nie czuli się tak sobie dalecy; doktor miał jednak poważne powody, by nie zwlekać z powiedzeniem tego, co miał powiedzieć, zwłaszcza że już właściwie zaczął swoim szorstkim oświadczeniem; w gruncie rzeczy gniewne pragnienie, by obudzić w niej trochę zainteresowania jego sprawami, które popchnęło go do przedwczesnej wypowiedzi, przemieszane było z bólem na myśl o cierpieniu, jakie jej zada. Zaczekał jednak, póki nie uprzątnięto tacy i nie zapalono świec, kiedy już mógł liczyć na wieczorny spokój: ta przerwa dała czas, by odrzucona czułość wróciła w dawne koleiny. Zaczął serdecznie:

– Rozo, kochanie, odłóż robótkę, chodź tu i siądź przy mnie – powiedział łagodnie, odsuwając stoliczek i wyciągając rękę, by przysunąć jej krzesło do swojego.

Rozamunda posłuchała. Gdy podchodziła do niego w draperii przezroczystego muślinu delikatnej barwy, jej postać smukła, lecz o zaokrąglonych kształtach, sprawiała niezwykle wdzięczne wrażenie, a kiedy usiadła przy nim i położyła dłoń na poręczy fotela męża, spoglądając wreszcie na niego i spotykając jego wzrok, jej delikatna szyja, policzki i czysto wycięte wargi wydawały się nieskazitelnie piękne tym pięknem,

które porusza nas wiosną i w dzieciństwie, i we wszystkich momentach słodkich i świeżych.

To piękno poruszyło teraz Lydgate'a, a jego dawna do niej miłość przemieszała się ze wspomnieniami, które się podniosły w tych chwilach ciężkich trosk. Położył delikatnie swą pełną rękę na jej dłoni, mówiąc:

– Kochanie – tym tęsknym tonem, jaki temu słowu nadaje uczucie. A i Rozamunda była jeszcze w mocy tej samej przeszłości i jej mąż był po trosze tym samym doktorem Lydgate, którego uznanie wzniecało zachwyty. Odsunęła mu delikatnie włosy z czoła, drugą dłoń położyła na jego ręce i miała poczucie, że mu udziela przebaczenia.

– Muszę ci powiedzieć coś, co cię zaboli, Rozo. Są jednak rzeczy, o których mąż i żona muszą myśleć wspólnie. Sądzę, że już się domyślasz, iż brak mi pieniędzy.

Lydgate przerwał, lecz Rozamunda odwróciła głowę i patrzyła na wazę na kominku.

– Nie byłem w stanie zapłacić za wszystkie rzeczy, które trzeba było nabyć przed ślubem, potem zaś przyszły nowe wydatki. W rezultacie mam duży dług w Brassing, trzysta osiemdziesiąt funtów, i w tej sprawie dostaję od dłuższego czasu ponaglenia; w gruncie rzeczy z każdym dniem pograżam się w większych długach, bo nikt nie płaci mi szybciej dlatego tylko, że ktoś inny żąda ode mnie pieniędzy. Staralem się ukrywać to przed tobą, dopóki źle się czułaś, ale teraz musimy o tym wspólnie pomyśleć i musisz mi pomóc.

– Cóż ja mogę zrobić, Tertius? – spytała Rozamunda, zwracając znów wzrok na męża.

Ta krótka wypowiedź, składająca się z kilku słów, podobnie jak w tylu innych językach, jest zdolna dzięki użytej tonacji wyrazić każdy stan umysłu – od bezradnego zdezorientowania do wyczerpującego przeanalizowanego zrozumienia, od pełnej poświęcenia solidarności

do neutralnej rezerwy. Nijaka wypowiedź Rozamundy miała w sobie tyle neutralności, ile tylko można było pomieścić. Słowa jej padły jak śmiertelny chłód na rozbudzoną czułość Lydgate'a. Nie zareagował gniewnym oburzeniem – zbyt mocno odczuł smutek upadającego serca. Kiedy znowu zaczął mówić, robił to już raczej jak ktoś, kto z konieczności spełnia zadanie.

– Jest rzeczą niezbędną, abyś o tym wiedziała, ponieważ jestem zmuszony dać wierzycielom na pewien czas zabezpieczenie; przyjdzie tu człowiek, który sporządzi inwentarz naszego umeblowania.

Rozamunda zaczerwieniła się mocno.

– Czy zwróciłeś się do taty o pieniądze? – powiedziała, gdy tylko mogła dobrać głosu.

– Nie.

– Wobec tego ja muszę go poprosić – stwierdziła, uwalniając ręce z jego dłoni, po czym wstała i stanęła o dwa kroki od niego.

– Nie, Rozo. – W głosie Lydgate'a brzmiała stanowczość. – Za późno na to. Inwentaryzacja zacznie się jutro. Pamiętaj, że to jest tylko zabezpieczenie: nic się w domu nie zmieni, to sprawa przejściowa. Stanowczo żądam, żeby twój ojciec o tym nie wiedział, póki sam nie zechcę go powiadomić – dodał jeszcze bardziej apodyktycznie i stanowczo.

Z pewnością nie było to uprzejme, lecz Rozamunda obudziła w nim ponownie złe przeczucia; przecież umiał sobie wyobrazić, do czego okaże się zdolna w swoim spokojnym, upartym nieposłuszeństwie. Ta nieuprzejmość wydała jej się niewybaczalna: nie była skora do łez i nie lubiła płakać, w tym momencie jednak podbródek i wargi zaczęły jej drżeć i łzy wezbrały w oczach. Lydgate, który znajdował się pod podwójnym naciskiem zewnętrznych trudności materialnych i własnego dumnego oporu wobec upokarzających go konsekwencji, nie był w stanie wyobrazić sobie w pełni, czym było to nagłe nieszczęście dla młodej

istoty, której dotąd pobożano we wszystkim i która marzyła jedynie, by jej dalej pobożano, tyle że bardziej zgodnie z jej gustem. Ale on przecież ze wszystkich sił starał się ją oszczędzić, toteż te łyży zapiekły go do żywego. Przez chwilę nie był zdolny dobyć głosu, lecz Rozamunda nie zaczęła szlochać: postarała się opanować i otarła oczy, w dalszym ciągu patrząc przed siebie na kominek.

– Staraj się nie martwić, kochanie. – Lydgate zwrócił ku niej wzrok. To, że odsunęła się od niego właśnie w momencie, gdy było jej źle, utrudniało mu zadanie, ale przecież musiał mówić dalej. – Zbierzemy siły i zrobimy to, co konieczne. To ja zawiniłem, powinienem był wiedzieć, że nie stać mnie na życie na tym poziomie. Ale napotkałem wiele trudności w mojej praktyce lekarskiej, która teraz istotnie ogromnie się zmniejszyła. Być może to się da naprawić, tymczasem jednak musimy zacisnąć pasa – musimy zmienić nasze standardy życiowe. Wytrzymamy to. Kiedy dam to zabezpieczenie, będę miał czas, by się rozejrzeć, a ty jesteś taka rozsądna, że jeśli zechcesz oszczędnie gospodarować, to i mnie nauczysz zapobiegliwości. Zachowywałem się jak nierozważny osioł, nie myśląc o równowadze naszego budżetu, ale chodź, kochanie, siądź tutaj i przebac mi.

Lydgate pochylał głowę pod jarzmem jak stworzenie, które posiada papury, lecz posiada też rozum, tak często skazujący nas na łagodność. Kiedy wypowiedział błagalnym tonem ostatnie słowa, Rozamunda wróciła na stojące obok niego krzesło. Jego samooskarżenie obudziło w niej pewną nadzieję, że mąż przychyli się do jej zdania, powiedziała więc:

– Czemu nie odłożyć tej inwentaryzacji? Możesz odesłać jutro tych ludzi, gdy przyjdą.

– Nie odeślę ich. – Apodyktyczność zaczęła znowu brać w nim górę. Cóż przyjdzie z tłumaczenia?

– Gdybyśmy wyjechali z Middlemarch, zrobiono by, oczywiście,

wyprzedaż, która również załatwiłaby sprawę.

– Ale nie wyjedziemy z Middlemarch.

– Jestem przekonana, Tertius, że tak byłoby o wiele lepiej. Czemu nie przenieść się do Londynu? Albo gdzieś w okolice Durham, gdzie twoja rodzina jest znana?

– Nie możemy nigdzie jechać bez pieniędzy, Rozamundo.

– Twoi bliscy nie dopuściliby, żebyś był bez pieniędzy. I na pewno można by to wytłumaczyć tym wstrętnym kupcom, a oni zaczekaliby, gdybyś tylko przedstawił im to w odpowiedni sposób.

– To nie ma sensu, Rozamundo – powiedział gniewnie. – Musisz się nauczyć przyjmować moje sądy w sprawach, których nie rozumiesz. Podjąłem niezbędne postanowienia i nie ma od nich odwrotu. Jeśli idzie o bliskich, nie spodziewam się od nich niczego i o nic nie będę prosił.

Rozamunda siedziała bez ruchu. Myślała sobie, że gdyby wiedziała, jak Lydgate będzie postępował, nie wyszłaby za niego za mąż.

– Nie ma czasu na zbędne słowa, kochanie. – Lydgate starał się być znów łagodny. – Są pewne szczegóły, które chcę z tobą omówić. Dover powiada, że przyjmie z powrotem sporą część srebra stołowego i wszelką biżuterię, jaką zechcemy zwrócić. Doprawdy, zachowuje się bardzo przyzwoicie.

– Czy mamy się obywać bez łyżek i widelców? – spytała Rozamunda, której wargi wydawały się coraz cieńsze, w miarę jak cienki stawał się jej głos. Postanowiła nie opierać się dłużej ani nie doradzać niczego.

– Och nie, kochanie – odparł. – Ale popatrz tutaj – ciągnął, wyjmując z kieszeni i rozkładając kartkę papieru. – To jest rachunek Dovera. Spójrz, zaznaczyłem tu pewne przedmioty, które jeśli zwrócimy, zmniejszą sumę o trzydzieści funtów i więcej. Nie zaznaczyłem niczego z biżuterii. – Ten punkt tyżący biżuterii sprawiał doktorowi szczególną przykrość, lecz poważne racje przeważały nad uczuciami. Nie mógł zaproponować

Rozamundzie, by zwróciła jakiś jego konkretny prezent, lecz powiedział sobie, że ma obowiązek przedstawić jej propozycję Dovera, a może obudzi się w niej coś, co sprawę ułatwi.

– Nie ma sensu, bym patrzyła – odpowiedziała spokojnie. – Oddasz, co zechcesz. – Nie spojrziała nawet na papier, a Lydgate, zaczerwieniony po uszy, złożył kartkę i upuścił na kolana. Tymczasem Rozamunda wyszła wolnym krokiem z pokoju, pozostawiając męża bezradnego i zdumionego. Czy ona nie ma zamiaru wrócić? Nie poczuwałaby się do większej z nim wspólnoty, gdyby byli zwierzętami różnych gatunków mających sprzeczne interesy. Odrzucił głowę i wsunął ręce głęboko w kieszenie, jakby z uczuciem mściwości. Pozostaje jeszcze nauka – są jeszcze dobre cele, dla których można pracować. Musi zakasać rękawy – tym bardziej że traci inne radości.

Lecz drzwi się otwarły i Rozamunda wróciła. Niosła skórzany futerał z ametystami i mały, ozdobny koszyczek zawierający inne pudełka; złożyła to wszystko na krześle, na którym uprzednio siedziała, i powiedziała tonem doskonale poprawnym:

– To jest cała biżuteria, jaką od ciebie dostałam. Możesz oddać z niej, co ci się podoba, jak również ze srebra stołowego. Nie oczekujesz, rzecz jasna, że jutro pozostanę w domu. Pójdę do rodziców.

Dla wielu kobiet spojrzenie, jakie jej rzucił Lydgate, byłoby straszniejsze niż wyraz gniewu; była w nim rozpacзлиwa akceptacja dystansu, jaki położyła między nimi.

– A kiedy wrócisz? – zapytał z ostrą goryczą w głosie.

– Och, wieczorem. Oczywiście, nie wspomnę mamie o tej sprawie. – Rozamunda, przekonana, że żadna kobieta nie mogłaby się zachować tak nienagannie jak ona w tej chwili, zasiadła za swoim stoliczkiem do robótek. Przez kilka minut Lydgate trwał w zamyśleniu, a rezultat był taki, że powiedział z odrobiną dawnego ciepła w głosie:

– Teraz, kiedy jesteśmy związani, Rozo, nie powinnaś mnie zostawiać samego z pierwszym kłopotem, jaki na nas spadł.

– Oczywiście, że nie zostawię – odparła. – Zrobię wszystko, co do mnie należy.

– Nie jest słuszne, aby wprowadzić w to służbę, ani żebym to ja ze służbą rozmawiał. I będę musiał wyjść. Nie wiem, jak wcześniej. Rozumiem, że się wzbranasz przed upokorzeniem, jakie niosą te finansowe sprawy. Ale, Rozamundo, kochanie, jeśli idzie o dumę, którą odczuwam tak samo jak ty, to chyba lepiej, byśmy się zajęli wszystkim sami i by służba wiedziała jak najmniej; ponieważ zaś jesteś moją żoną, nie można zapobiec temu, byś dzieliła mój wstyd... gdyby to był wstyd.

Rozamunda nie odpowiedziała od razu, wreszcie jednak przystała:

– Dobrze, zostanę w domu.

– Nie tknę tej biżuterii, Rozo. Zabierz ją z powrotem. Ale spiszę listę sreber, które można zwrócić – zapakować od razu i odesłać.

– Tego nie ukryjemy przed służbą. – W głosie Rozamundy brzmiała odrobina sarkazmu.

– No cóż, musimy stawić czoło pewnym rzeczom nieprzyjemnym, ale koniecznym. Gdzie też się podział atrament? – mówił Lydgate, wstając i rzucając rachunek na większy stół, przy którym miał zamiar pisać.

Rozamunda sięgnęła po kałamarz, a postawiwszy go na stole, chciała się odwrócić, kiedy Lydgate, który był obok, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Chodźże, kochanie, spróbujmy z tego jakoś wybrnąć. Mam nadzieję, że będziemy musieli być skąpi i przezorni tylko przez jakiś czas. Pocałuj mnie.

Jego wrodzone wewnętrzne ciepło wymagało długiego gaszenia, a nie uchybia to męskości małżonka, że boleśnie odczuwa fakt, iż niedoświadczona dziewczyna znalazła się w kłopotach, bo wyszła za

niego za mąż. Przyjęła pocałunek i oddała go lekko; w ten sposób na jakiś czas powróciły pozory zgody. Lecz Lydgate nie mógł nic poradzić na to, że myślał z niepokojem o nieuchronnych przyszłych dyskusjach na temat wydatków i konieczności całkowitej zmiany ich sposobu życia.

ROZDZIAŁ LIX

Dusza – mówili dawniej – ma kształt ludzki,
Bardziej subtelny wszakże niż cielesny,
Więc wedle woli w powietrzu wędruje.
Lecz patrzcie! Przy jej twarzy cherubina
Przejrzysta, blada forma się unosi
I czule szepcze do muszli jej ucha.

Często bywa, że wiadomości są roznoszone równie bezwiednie i skutecznie jak pyłek kwiatowy niesiony przez pszczoły (które nie mają pojęcia, jak są upudrowane), gdy brzęcząc, szukają swego ulubionego nektaru. To piękne porównanie dotyczy Freda Vincy, który owego wieczora na plebanii w Lowick słyszał żywą dyskusję prowadzoną przez panie w związku z wiadomością, jaką przyniosła ich stara służąca od Tantripp, o tym mianowicie, że pan Casaubon, na krótko przed śmiercią, dodał do testamentu dziwny kodycył, w którym mowa jest o panu Ladisławie. Panna Winifreda usłyszała ze zdumieniem, że brat już o tym wie, i stwierdziła, że Camden jest niebывały, jeśli idzie o to, że coś wie, a nie mówi, na co Mary Garth zauważyła, że pewno kodycył jakoś się przemieszał ze zwyczajami pajaków, czego panna Winifreda w ogóle nie chciała słuchać. Pani Farebrother uznała, że zapewne te wiadomości mają coś wspólnego z faktem, iż tylko raz widziały pana Ladisława w Lowick, a panna Noble wydawała ciche, współczujące miauknięcia.

O Ladisławie i Casaubonach Fred niewiele wiedział i mało go oni obchodzili, toteż nie wracał myślami do tej rozmowy aż do chwili, kiedy zaszedłszy pewnego dnia, na prośbę matki, z jakąś wiadomością do Rozamundy, zobaczył wychodzącego Ladisława. Fred i Rozamunda

mieli sobie niewiele do powiedzenia, odkąd małżeństwo uwolniło ją od zderzeń z braterską dokuczliwością, zwłaszcza zaś ostatnio, kiedy zrobił głupi w jej pojęciu, a nawet naganny krok, jakim była rezygnacja z kariery kościelnej i jęcie się takiej pracy, jaką wykonywał pan Garth. Z takich to przyczyn Fred wołał mówić o sprawach, które uważał za obojętne i „à propos tego młodego Ladislawa” wspominał o tym, co usłyszał był na plebanii w Lowick.

Lydgate zaś, podobnie jak pastor Farebrother, wiedział o wiele więcej, niż mówił, i kiedy raz zaczął się zastanawiać nad związkim, jaki łączył Dorotę i Willa, doszedł do wniosków, które prześcignęły rzeczywistość. Wyobraził sobie, że oboje żywią do siebie gorące uczucie, co było sprawą zbyt poważną, by strzepić język na ten temat. Przypomniawszy sobie poirytowanie Willa na samą wzmiankę o pani Casaubon i tym bardziej był ostrożny. W sumie, zarówno przypuszczenia, jak i fakty, które znał, usposobiły go do Willa jeszcze bardziej życzliwie i tolerancyjnie, i pozwoliły rozumieć niezdecydowanie co do wyjazdu z Middlemarch. To, że nie miał najmniejszej ochoty do rozmowy na ten temat z Rozamundą, jest najlepszym dowodem, że ich myśli biegły osobnym torem. Co więcej, nie ufał jej dyskrecji, gdy w grę wchodziła osoba Willa. Miał, jak się okazało, rację, choć nie przewidział sposobu, w jaki jej umysł doprowadzi do podjęcia rozmowy na ten temat.

Kiedy powtórzyła mężowi rewelacje Freda, doktor ją ostrzegł:

– Uważaj, Rozo, żebyś najmniejszym słówkiem nie zdradziła się z tym przed Ladislawem. Mógłby na to zareagować bardzo gwałtownie, jak na zniewagę. To istotnie bardzo przykra sprawa.

Rozamunda odwróciła głowę i przygłaskała włosy niczym uosobienie łagodnej obojętności. Lecz za następną wizytą Willa, kiedy doktora nie było w domu, zaczęła mu wymawiać figlarnie, że miał jechać do Londynu, a nie pojechał.

– Wiem, wszystko wiem. Ćwierka mi o tym jeden ptaszek – mówiła, strojąc wdzięczne minki nad robótką trzymaną wysoko w pracowitych paluszkach. – Istnieje tu w okolicy bardzo potężny magnes.

– Oczywiście. Nikt nie wie o tym lepiej niż pani – odparł Will ze zdawkową galanterią, w duchu jednak gotowy do gniewu.

– Cóż za uroczy romans! Pan Casaubon, przepełniony zazdrością, wiedząc, kogo pani Casaubon najbardziej będzie pragnęła poślubić i który to dżentelmen ponad wszystko pragnie ją poślubić, układa plan, by temu zapobiec: będzie musiała wyrzec się majątku, jeśli zechce wyjść za owego dżentelmena, no... i potem... potem... och, jestem pewna, że zakończenie będzie niesłychanie romantyczne!

– Wielki Boże! O czymże pani mówi? – Will poczerwieniał po uszy, a twarz odmieniła mu się, jakby doznał gwałtownego wstrząsu. – Proszę nie żartować, proszę mi powiedzieć, co to znaczy.

– Czy naprawdę pan nie wie? – W głosie Rozamundy nie było już żartobliwego tonu. Teraz pragnęła już tylko powiedzieć mu wszystko, by wywołać reakcję.

– Nie – odparł niecierpliwie.

– Nie wie pan, że pan Casaubon zastrzegł w testamencie, że gdyby wdowa po nim wyszła za pana, straciłaby cały majątek?

– Skąd pani wie, że to prawda? – pytał natarczywie.

– Fred, mój brat, słyszał o tym u pastora Farebrothera.

Will poderwał się z krzesła i sięgnął po kapelusz.

– Nie wątpię, że będzie wolała pana niż majątek – ciągnęła Rozamunda, spoglądając na niego z odległości.

– Proszę, niech pani więcej o tym nie mówi – ochryply szept Willa różnił się ogromnie od jego zwykłego pogodnego tonu. – To zniewaga i obraza i dla niej, i dla mnie. – Usiadł bezmyślnie, patrząc przed siebie i nic nie widząc.

– A teraz gniewa się pan *na mnie*. To już przesada mieć *do mnie* urazę. Powinien mi pan być wdzięczny za to, że powiedziałam.

– Jestem wdzięczny – odparł krótko, jak ktoś, kto odpowiada na pytanie we śnie, jakby to mówiła inna zamieszkująca w nim istota.

– Spodziewam się, że usłyszę o ślubie – żartowała Rozamunda.

– Nigdy! Nigdy nie usłyszysz pani o ślubie!

Poderwał się, wypowiedziawszy gwałtownie te słowa, wyciągnął do Rozamundy rękę, wciąż jak somnambulik, i wyszedł.

Po jego wyjściu Rozamunda wstała z krzesła i przeszedłszy na drugi kraniec pokoju, oparła się o szyfonierę i wyglądała ze znudzeniem przez okno. Ogarnęło ją zniechęcenie i owo szczególne rozżalenie, które w umyśle kobiecym zawsze przeradza się w pospolitą zazdrość, niemającą żadnych konkretnych podstaw, wyrastającą jedynie z nieokreślonych wymagań egoizmu, a mimo to zdolną pobudzić do słów i czynów. „Doprawdy, nie ma nic, na czym by człowiekowi bardzo zależało” – powiedziała sobie w duchu biedna Rozamunda, myśląc o rodzinie w Quillingham, która do niej nie pisze, i o tym, że gdy Tertius wróci do domu, będzie jej pewno wyrzucał zbędne wydatki. Była mu już sekretnie nieposłuszna, gdyż zwróciła się do ojca z prośbą o pomoc, lecz on uciął sprawę, mówiąc stanowczo: „Myślę, że mnie samemu bardziej może być pomoc potrzebna”.

ROZDZIAŁ LX

Dobre frazesy są niewątpliwie i były zawsze rzeczą
arcychwalebną[118].

William Shakespeare, *Król Henryk IV*, cz. 2,
akt III, sc. 2

W kilka dni później – a był to już koniec sierpnia – miało miejsce wydarzenie, które wywołało trochę podniecenia w mieście: otóż mieszkańcy Middlemarch otrzymali okazję kupna, pod wysokim patronatem pana Borthropa Trumbulla, mebli, książek i obrazów – jak głosiły prospekty – w najlepszym pod każdym względem gatunku, będących własnością wielmożnego pana Edwina Larchera. Nie była to jedna z tych wyprzedaży, które świadczyły o upadku handlu; wprost przeciwnie, była ona wynikiem ogromnego sukcesu, jaki pan Larcher odnosił w interesach, sukcesu, który umożliwił mu zakupienie rezydencji koło Riverston, umeblowanej już przez słynnego lekarza uzdrowiskowego i wyposażonej w jadalni w tak ogromne ramy wypełnione malowidłami ludzkich ciał, że pani Larcher czuła się nieswojo, póki nie uspokojo ją, że są to postacie biblijne. Stąd owa niebywała okazja dla nabywców, wyraźnie podkreślona w prospektach pana Trumbulla, który dzięki znajomości historii sztuki mógł stwierdzić, że w umeblowaniu hallu, wystawionym na sprzedaż bez ceny wywoławczej, znajduje się rzeźba współczesnego Gibbonsowi^[119] artysty.

[118] Przeł. Leon Ulrich.

[119] Grinling Gibbons (1648-1721), drzeworytnik królewski na dworze Karola II.

W owych czasach w Middlemarch wielka wyprzedaż stanowiła coś w rodzaju festynu. Rozstawiony stół pełen był wyborych zimnych zakąsek, jak na najlepszej stypie, można się też było hojnie raczyć rozweselającymi napitkami, i w rezultacie hojnie i wesoło przystąpić do licytacji najmniej atrakcyjnych przedmiotów. Wyprzedaż u pana Larchera była o tyle nęcąca przy pięknej pogodzie, że dom leżał na krańcach miasta, miał ogród i stajnie, a znajdował się przy malowniczym wyjeździe z Middlemarch, zwanym Drogą Londyńską, prowadzącą również do Nowego Szpitala oraz do leżącej na uboczu rezydencji pana Bulstrode, zwanej Krzewiną. Krótko mówiąc – aukcja była nie gorsza niż jarmark i ściągnęła ludzi wszystkich klas, którzy dysponowali czasem: dla tych, co ryzykowali wejście licytacyjne jedynie po to, by podbić cenę, równała się niemal obstawianiu koni na wyścigach. Drugiego dnia, na kiedy wyznaczona była licytacja najlepszych mebli, przyszli „wszyscy”; nawet pastor Thesiger, rektor kościoła Świętego Piotra, zajrzał na chwilę, zamierzając nabyć rzeźbiony stół, i otarł się o pana Bambridge i pana Horrocka. Damy z Middlemarch, usadowione na krzesłach, tworzyły wianuszek wokół okrągłego stołu w jadalni, za którym to stołem zasiadał pan Trumbull, z pulpitem i młotkiem, w głębi pokoju zaś szeregi męskich na ogół twarzy często się zmieniały, gdyż ciągle ktoś przychodził lub wychodził, zarówno przez drzwi, jak wielkie okno francuskie prowadzące na trawnik.

„Wszyscy” – ale nie pan Bulstrode, któremu zdrowie nie pozwalało przebywać w tłumie i przeciągach. Jego żona jednak gorąco pragnęła kupić pewne malowidło – *Wieczerę w Emaus* – przypisywaną w katalogu Guidowi^[120], toteż ostatniego dnia przed licytacją bankier zająchał do biura *Pioniera* – był teraz jednym z właścicieli pisma – i poprosił pana Ladislawa, by wyświadczył mu wielką przysługę i zechciał łaskawie wykorzystać swą ogromną wiedzę o malarstwie dla pani Bulstrode i ocenić

[120] Zapewne chodziło tu o Guido Reni (1575-1642).

wartość tego konkretnie obrazu, „o ile – dodał niezmiernie uprzejmy bankier – obecność na licytacji nie przeszkodzi mu w przygotowaniach do wyjazdu, który, jak wiem, ma nastąpić w najbliższym czasie”.

To zastrzeżenie zabrzmiałoby pewno ironicznie w uszach Willa, gdyby zdolny był przejąć się nim w obecnym nastroju. Uwaga odnosiła się do zawartego przed wieloma tygodniami porozumienia między właścicielami gazety a Willem, na którego mocy miał możliwość w każdej chwili, kiedy tylko zechce – jako że pragnie ostatecznie opuścić Middlemarch – przekazać pismo swemu zastępcy, już przysposobionemu do tej pracy. Lecz nieokreślone, wykreowane przez ambicję plany okazują się słabsze w zestawieniu z łatwością robienia tego, do czego się przywykło lub też co sprawia urzekającą przyjemność; wszyscy wiemy, jak trudno jest wprowadzić w czyn jakieś postanowienie, jeśli się w duszy pragnie, by okazało się ono zbędne. Nawet największe niedowiarki w takim stanie umysłu potrafią oczekiwać w duchu na cud, choć jest wręcz niewyobrażalne, by nasze życzenie mogło się spełnić – cuda jednak bywają! Will nie przyznawał się przed samym sobą do tej słabości – ale zwlekał. Cóż mu przyjdzie z wyjazdu do Londynu o tej porze roku? Kolegów z Rugby, którzy by go pamiętali, teraz tam nie ma, jeżeli zaś idzie o publicystykę polityczną, to chętnie przez kilka tygodni jeszcze popracuje dla *Pioniera*. W chwili jednak, gdy pan Bulstrode wygłaszał swoją prośbę, Will odczuwał silniejszą niż dotąd wolę, by wyjechać, i równie silną – by nie wyjeżdżać, dopóki nie spotka się jeszcze raz z Dorotą. Odparł więc, że z pewnych przyczyn musi odwlec nieco swój wyjazd i z przyjemnością pójdzie na licytację.

Will był w wyzywającym nastroju – jak cień kłuła go myśl, że ci, co nań patrzą, wiedzą pewno o fakcie równającym się oskarżeniu, iż jest człowiekiem, którego podłe zamiary trzeba było udaremnić, zabezpieczając odpowiednio majątek. Jak większość ludzi, którzy podkreślają swój nieco

lekceważący stosunek do konwencjonalnych różnic towarzyskich, gotów był natychmiast skoczyć do oczu każdemu, kto by zasugerował, że ma w tym powód osobisty – coś we krwi czy sposobie bycia, czy charakterze, co osłania maską poglądu. Kiedy odnosił takie irytujące wrażenie, chodził całymi dniami z wyzywającą miną, a twarz mieniła mu się pod cienką skórą, jakby czekał tylko na coś, na co mógłby się rzucić.

Taki właśnie wyraz jego twarzy zwracał uwagę na obecnej aukcji, a ci, co widywali go tylko w sytuacjach, kiedy okazywał zachowaniem łagodne dziwactwo czy też radosne rozbawienie – musieli być zaskoczeni kontrastem. Will rad był, że nadarza mu się sposobność ukazania się publicznie przed hordami tubylczych Tollerów, Hackbuttów i innych, którzy patrzyli nań z góry jak na niebieskiego ptaka, a byli kompletnymi ignorantami, jeśli idzie o Dantego, którzy sztydził z jego polskiej krwi, a sami należeli do rasy gwałtownie potrzebującej domieszki. Stał na widocznym miejscu blisko licytatora, wetknawszy wskazujące palce w kieszenie, głowę odrzuciwszy do tyłu, nieskory do gadania z kimkolwiek, chociaż pan Trumbull, który w tym momencie doznawał najwyższych wzmotów swego znakomitego umysłu, powitał go serdecznie jako „konesura”.

Nie ma wątpliwości, że spośród wszystkich ludzi, których zawód wymaga okazania krasomówczych talentów, największym szczęśliwcem jest wzięty licytator prowincjonalny, żywo reagujący na własne dowcipy i świadomy swej encyklopedycznej wiedzy. Niektórzy skwaśniali ponuracy mogliby mieć zastrzeżenia, gdyby kazano im nieustannie zachwalać każdy przedmiot, od drewnianych pieszków do butów po „Berghemy”^[121], pan Borthrop Trumbull jednak miał w żyłach dobroćliwy płyn: był urodzonym entuzjastą i chętnie wzięby pod młotek cały wszechświat w przekonaniu, że z jego rekomendacji osiągnąby wyższą cenę.

[121] Nicholas Berghem (1620-1683) – holenderski malarz krajobrazów.

Tymczasem jednak wystarczał mu komplet mebli salonowych pani Larcher. W momencie, kiedy przyszedł Will Ladislaw, entuzjazm licytatora wywołała nagle druga krata kominkowa, pominięta jakoby przez nieuwagę, gdy była jej kolej: pan Trumbull okazywał swój zachwyt wedle słusznej zasady, że najwięcej chwały należy się tym przedmiotom, które jej najbardziej potrzebują. Była to ażurowa krata z polerowanej stali, zakończona licznymi detalami w kształcie lancetów z ostrym brzegiem.

– A teraz, szanowne panie – mówił – zwracam się do was. Oto krata kominkowa, która na każdej innej licytacji nie zostałaby zapewne wystawiona bez pewnych zastrzeżeń, gdyż rzec można, że względu na jakość stali oraz osobliwość wzoru, należy do przedmiotów – tu pan Trumbull zniżył nieco głos, nadając mu ton nosowy i palcem lewej ręki strzepując ubranie – nieznajdujących uznania wśród osób o pospolitych gustach. Pozwólcie więc, że was poinformuję, iż z upływem czasu ten właśnie styl wykonania krat będzie jedynym w modzie... pół korony, powiedział pan? Dziękuję, pół korony za tę niepospolitą kratę. Otrzymałem pewne informacje, że w wyższych sferach niezmiernie jest poszukiwany styl antyczny. Trzy szylingi... trzy i pół... podnieś ją dobrze w górę, Józefie. Spójrzcie, moje panie, na czystość tego rysunku. Nie mam osobiście wątpliwości, że krata została wykonana w ubiegłym wieku. Cztery szylingi, panie Mawmsey?, cztery szylingi.

– Ja bym tam czegoś takiego nie trzymała w moim salonie – oświadczyła głośno pani Mawmsey, ostrzegając w ten sposób pochopnego małżonka. – Bardzo się dziwię pani Larcher. Przecie każde niewinne dziecko, gdyby się na tę kratę przewróciło, przecięłoby sobie głowę na pół. Kant ma ostry jak nóż.

– Święta prawda – przytaknął szybko licytator. – Cóż to za niesłychana wygoda mieć kratę kominkową, której można użyć do cięcia, jeśli trzeba przeciąć sznurowadło czy sznurek, a nie ma się noża pod ręką! Iluż to

wisielców pozostało w pozycji wiszącej, bo nie było pod ręką noża, aby ich odciąć! Panowie, oto krata, która, jeśli będziecie mieli nieszczęście się powiesić, odetnie was natychmiast, ze zdumiewającą szybkością. Cztery i pół szylinga, pięć, pięć i pół... krata niezwykle odpowiednia do gościnnej sypialni wyposażonej w łożo z baldachimem i gościa trochę niezrównoważonego umysłowo... sześć szylingów. Dziękuję, panie Clintup. Za sześć szylingów, po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci. – W tym momencie spojrzenie licytatora, wypatrujące dotąd z nadludzką uwagą wszelkich zgłoszeń licytujących, opadło na leżący przed nim papier, a głos przeszedł w ton obojętnego komunikatu. – Kupił pan Clintup. Dalej, Józefie.

– Warto było zapłacić sześć szylingów za kratę, o której zawsze można opowiedzieć ten dowcip. – Pan Clintup zaśmiał się do sąsiada cicho i jakby wyjaśniająco. Był to nieśmiały, choć znakomity hodowca sadzonek drzew i obawiał się, że zebrani mogą uznać jego wejście do tej licytacji za głupotę.

Tymczasem Józef wniósł tacę z drobnymi przedmiotami.

– Na tej oto tacy, moje panie – mówił pan Trumbull, ujmując jeden z leżących na niej przedmiotów – znajdują się rzeczy bardzo wyszukane – garść drobiazgów na stół w salonie, a drobiazgi to suma wszystkiego, co ludzkie, nie ma nic ważniejszego od drobiazgów (tak jest, panie Ladisław, oczywiście, ale po kolei). Puść tę tacę w krąg, Józefie, te klejnociki trzeba oglądać z bliska, moje panie. To, co trzymam w ręku, to niezwykle wymyślny mechanizm, powiedziałbym, coś w rodzaj praktycznego rebusa. Jak państwo widzicie, wygląda on jak eleganckie puzderko w kształcie serca, portable, do kieszeni; a teraz, proszę, przemienia się w przepiękny kwiat o podwójnych płatkach, ozdobę na stół, teraz zaś... – tu pan Trumbull pozwolił, by kwiat rozpadł się gwałtownie w sznurki sercowatych listków – oto księga zagadek! Jest ich aż pięćset,

wydrukowanych piękną czerwoną czcionką. Panowie, gdybym nie był tak uczciwym człowiekiem, jak jestem, pragnąłbym, byście w tym przypadku niezbyt wysoko licytowali, bardzo mi się to kupno marzy. Cóż lepiej potrafi wywoływać niewinną wesołość, a nawet wręcz cnotliwą wesołość, jak nie dobra zagadka? Zapobiega grubiańskiemu słownictwu i pozwala mężczyźnie włączyć się do towarzystwa dystyngowanych pań. Sam ów pomysłowy drobiazg, nawet bez tego eleganckiego pudełka domino, pudełka do kart i tak dalej, powinien zagwarantować wysoką cenę całości. Noszony w kieszeni może sprawić, że jego właściciel będzie mile widziany w każdym towarzystwie. Cztery szylingi, powiada pan?, cztery szylingi za tę niezwykłą kolekcję zagadek oraz przedmiotów towarzyszących. Proszę, oto przykład: „Co w marynarce przyciąga największą uwagę dam? Odpowiedź: flota”. Słyszycie państwo? – marynarka – flota. Oto rozrywka, która wyostrza intelekt, jest ostra jak nóż, jest w niej, jak to się mówi, satyra, jest dowcip, a nie ma nieprzyzwoitości. Cztery i pół szylinga... pięć szylingów.

Licytacja toczyła się dalej, zagrzewając uczestników do walki. Do licytacji wszedł pan Bowyer, co było ogromnie irytujące. Bowyer nie mógł sobie pozwolić na dokonanie zakupu, chodziło mu tylko o to, by nikomu nie pozwolić zabłysnąć. Nawet pan Horrock dał się porwać temu nurtowi, lecz fakt podjęcia przez niego decyzji niemal nic nie zmienił w obojętnym wyrazie jego twarzy, toteż pan Trumbull mógłby nie zauważyć jego wejścia do licytacji, gdyby nie życzliwe okrzyki pana Bambridge, który zaklinał się, że nie wie, na co Horrockowi te cholerne rupiecie, może dobre dla jakiego sklepikarzyny, znajdującego się w tym stadium zatracenia, na jakie handlarz koni skazywał serdecznie większość istot na tej ziemi. Całość poszła wreszcie za gwineę w ręce pana Spilkina, tutejszego młodego Slendera^[122], który szastał swoim kieszonkowym i nie

[122] Postać z *Wesołych kumoszek z Windsoru* Szekspira.

miął pamięci do zagadek.

– Dosyć już tego, panie Trumbull, wystawia pan tylko jakieś tam faramuszkę – zamruczał pan Toller, podchodząc do licytatora. – Chcę zobaczyć, jak pójdą sztychy, a muszę zaraz wychodzić.

– W tej chwili, szanowny panie. Był to jedynie akt dobrej woli, jakiemu niechybnie przykłaśnie szlachetne serce łaskawego pana. Józefie! Sztychy! Szybko! Pozycja 235. Teraz, panowie, tych z was, którzy są konesurami, czeka prawdziwa uczta. Oto grawiura przedstawiająca księcia Wellingtona w otoczeniu swego sztabu na polu Waterloo, a bez względu na ostatnie wypadki, które, można by rzec, spowiły chmurą naszego wielkiego Bohatera^[123], ośmielę się powiedzieć, ponieważ w moim zawodzie człowiek nie może pozwolić, by targały nim polityczne wiatry, otóż ośmielę się powiedzieć, iż piękniejszego tematu, z gatunku współczesnych, należącego do naszych czasów i epoki rozum ludzki nie jest zdolny sobie wyobrazić – może anielski, tak, może anielski – ale nie ludzki, panowie, nie ludzki.

– Kto to malował? – spytał pan Powderell, pod silnym wrażeniem.

– Ta rzecz świadczy sama za siebie, panie Powderell, malarz jest nieznanym – odparł pan Trumbull z pewną sapką przy ostatnich słowach, po czym wyduł wargi i rozejrzał się wokół.

– Daję funta – oznajmił pan Powderell tonem wyrażającym zdecydowane uczucie, jak człowiek gotów się rzucić na przeważające siły wroga. Czy to ze wzruszenia, czy współczucia – nikt nie podbił tej ceny.

Następnie przysła kolej na dwa holenderskie sztychy, na które pan Toller miał ochotę, a kupiwszy je, wyszedł. Najpoważniejsi obywatele miasteczka zakupili to, po co specjalnie przyszli – inne sztychy, a po nich

[123] Wellington jako premier wsparł dysydentów w 1828 r., a następnie w 1829 r. wypowiedział się za przywróceniem katolikom prawa do zasiadania w Parlamencie.

kilka obrazów – i tak wśród audytorium zaczął się pewien ruch: ci, którzy dokonali zakupu, szli do domu, inni przychodzili czy to z miasta, czy też wracali po krótkiej wizycie pod markizą rozpiętą na trawniku, gdzie podawano napoje. Tę właśnie markizę pragnął zakupić pan Bambridge i zaglądał pod nią często, jakby chciał posmakować przyszłej własności. Gdy ostatnio stamtąd wracał, zauważono, że prowadzi jakiegoś nowego kompana, człowieka, którego ani pan Trumbull, ani nikt z obecnych nie znał, a który, sądząc z wyglądu, mógł być jego krewnym, podobnie jak on skłonny do „ulegania słabościom”. Była to postać zwracająca uwagę – ogromne bokobrody, buńczuczna mina, zawadiacki krok – lecz czarny, mocno przetarty surdut nasuwał przykry wniosek, że ich właściciel nie jest w stanie pozwolić sobie na uleganie słabościom w tym stopniu, w jakim by miał ochotę.

– Kogoś tam wynalazł, Bam? – pan Horrock spytał handlarza na boku.

– Sam go spytaj – odparł pan Bambridge. – Powiada, że zaszedł tu prosto z gościńca.

Pan Horrock przyglądał się przybyszowi, który opierał się jedną ręką na lasce, a w drugiej trzymał wykałaczkę i dłubał nią w zębach, rozglądając się przy tym wokół ze zniecierpliwieniem spowodowanym zapewne koniecznością milczenia, jaką narzucały okoliczności.

Wystawiono wreszcie *Wieczerzę w Emaus*, co Will przyjął z ogromną ulgą; tak go już to wszystko zmęczyło, że stanął nieco z tyłu i wsparł się ramieniem o ścianę tuż za licytатorem. Teraz wysunął się znów ku przodowi i w tym momencie zauważył owego osobliwego przybysza, który, ku jego zdumieniu, wyraźnie mu się przypatrywał. Lecz pan Trumbull od razu zwrócił się do Willa.

– Tak, panie Ladislaw, oczywiście, jako konesur interesuje się pan tym obrazem. To doprawdy przyjemność – tu w głosie licytatora zaczął wzbierać entuzjazm – móc przedstawić podobny obraz towarzystwu

złożonemu z pań i panów, obraz wart absolutnie każdą sumę dla człowieka, którego majątek dorównywałby gustom. Jest to obraz ze szkoły włoskiej, dzieło słynnego Guydo, największego malarza na świecie, pierwszego spośród Starych Mistrzów, jak się ich nazywa, i słusznie, moim zdaniem, ponieważ okazali się zdolni do kilku rzeczy nieosiągalnych dla większości z nas i weszli w posiadanie tajemnic, dziś niedostępnych dla przeważającej części ludzkości. Pozwólcie, panowie, że powiem, iż oglądałem wiele obrazów Starych Mistrzów, ale nie każdy mu dorówna. Niektóre są zbyt ciemne, jak na nasze upodobania, i o tematach nieodpowiednich do rodzinnego domu. Lecz tu oto mamy Guydo – sama rama warta jest wiele funtów – którego z dumą powiesiłaby u siebie każda dama. Rzecz odpowiednia również do tak zwanego refektarza w instytucji charytatywnej, gdyby który z panów z Zarządu pragnął okazać swą szczodropliwość. Obrócić nieco? Oczywiście... Józefie, proszę obrócić nieco obraz ku panu Ladislawowi, pan Ladislaw, bywały za granicą, zna się, jak państwo widzicie, na wartości takich dzieł.

Wszystkie oczy zwróciły się na chwilę ku Willowi, który chłodno powiedział:

– Pięć funtów. – Licytator zaprotestował gwałtownie.

– Co też znowu, szanowny panie, przecież sama rama jest tyle warta! Panie i panowie! Abyśmy nie przynieśli wstydu naszemu miastu! Gdyby się tak dowiedziano w przyszłości, że mieliśmy tu, w tym mieście, wśród nas taki klejnot sztuki i nikt w Middlemarch się na nim nie poznał! Pięć gwinei... pięć i siedem i pół szylinga... pięć i dziesięć szylingów. Spokojnie, szanowne panie, spokojnie! To skarb, a „ileż to skarbów”, jak powiada poeta, poszło za cenę nominalną tylko dlatego, że publiczność nie wiedziała, co czyni, dlatego że wystawiono je w kołach, które... chciałem powiedzieć: miały pospolite gusta... ależ nie: sześć funtów... sześć gwinei... pierwszorzędnny Guydo, który ma iść za sześć gwinei, to

obraza uczuć religijnych, szanowne panie! To obraza nas wszystkich, jako chrześcijan, panowie, gdyby taki temat poszedł za tak niską cenę! Sześć funtów i dziesięć szylingów... siedem funtów.

Licytacja szła raźnie i Will nie ustępował, pamiętając, że pan Bulstrode bardzo pragnął kupić ten obraz, i sądząc, że może dociągnąć do dwunastu funtów. Ale kupił go za dziesięć gwinei, po czym przepchnął się do francuskiego okna i wyszedł na zewnątrz. Przyszła mu ochota zająć pod markizę i napić się wody, gdyż był zgrzany i spragniony, a pod markizą było pusto. Poprosił obsługującą gości kobietę o szklankę zimnej wody, nim jednak po nią ruszyła, zauważył z irytacją, że wchodzi ów rumiany nieznajomy, który tak mu się przypatrywał. W tym momencie Willowi przyszło do głowy, że może to jeden z tych chępliwych trutni, polityków z bożej łaski, którzy już nieraz go zaczepiali, podając się za znajomych, bo słyszeli, jak przemawiał na temat reformy, a liczyli, że zarobią szylinga na nowinkach. W tym świetle osoba przybysza, spoconego bardzo widocznie w ten letni dzień, wydawała mu się jeszcze bardziej odrażająca, i Will, który przysiadł na poręczy ogrodowego fotela, ostentacyjnie odwrócił od niego wzrok. To jednak było bez znaczenia dla naszego znajomego, pana Rafflesa, który zawsze, jeśli mu to tylko odpowiadało, narzucał się ludziom, niemającym na jego towarzystwo ochoty. Postąpił kilka kroków, a stanąwszy tuż przed Willem, odezwał się znienacka tubalnym głosem:

– Przepraszam, panie Ladislaw, czy pańska matka nie nazywała się Sara Dunkirk?

Will porwał się na nogi, a cofnąwszy się o krok, odparł dość ostro, zmarszczywszy brwi:

– Tak. A co panu do tego?

Brało się z natury Willa, że pierwszą jego gniewną reakcją była odpowiedź na pytanie, dopiero potem sprzeciw. Gdyby powiedział najpierw: „Co panu do tego”, mógłby sprawiać wrażenie, że się uchyla

od odpowiedzi, jakby przejmował się tym, co kto wie o jego pochodzeniu.

Raffles ze swej strony nie okazywał podobnej ochoty do zwady, jaką wyrażała groźna postawa Willa. Ten szczupły młody człowiek o rumieńcach jak panna wyglądał niczym tygrys sprężony do skoku. W takich okolicznościach upodobanie pana Rafflesa do nękania rozmówcy słabło.

– Bez obrazy, szanowny panie, bez obrazy! Pamiętam tylko pańską matkę, znałem ją, gdy była panną. Ale wygląd ma pan po ojcu! Miałem przyjemność znać również i ojca pana. Rodzice żyją?

– Nie – zagrzmał Will, wciąż w tej samej postawie.

– Rad byłbym przysłużyć się w czymś panu, szczerze mówię, że byłbym rad. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy. – Tu Raffles uchylił kapelusza, odwrócił się z fantazją na jednej nodze i odszedł. Will spoglądał za nim przez chwilę i widział, że obcy nie wraca do sali licytacyjnej, lecz kieruje się w stronę drogi. Przebiegło mu błyskawicą przez głowę, że głupio zrobił, nie pozwalając temu człowiekowi się wygadać – ale nie; wszystko razem biorąc, wolał się obyć bez wiedzy z takiego źródła.

Lecz tego samego dnia wieczorem Raffles dogonił go na ulicy; czy to zapomniał o poprzednim szorstkim przyjęciu, czy też chciał wziąć za nie odwet, okazując pobłażliwą poufałość – pozdrowił Willa jowialnie i zaczął iść przy jego boku, zaczynając od uwagi o tym, jakie to miłe miasto i okolica. Z początku Will przypuszczał, że ten człowiek pił, i właśnie zastanawiał się, jak się od niego odczepić, gdy Raffles powiedział:

– Bywałem za granicą, szanowny panie, zwiedziłem kawałek świata, i nawet mówiłem trochę po francusku. Pańskiego ojca widziałem w Boulogne. Jest pan jak skóra z niego zdarta, niech mnie! Ten sam nos, usta, oczy, włosy odczesane z czoła, o, tak – trochę w cudzoziemskim stylu, tu na wyspie to się nieczęsto spotyka. Ale pański ojciec, kiedy go widziałem, bardzo chorował. Panie wielki! Ręce całkiem przezroczyste.

Był pan wtedy małym chłopaczkiem. Czy ojciec wyzdrowiał?

– Nie – odparł krótko Will.

– Ach! No tak. Często myślałem, co też się stało z pańską matką. Uciekła od swoich, kiedy była młodą dziewczyną. Harda panna i, niech mnie kule biją, jaka ładna! Ja wiedziałem, dlaczego uciekła. – Pan Raffles mrugał znacząco, spoglądając z ukosa na Willa.

– Nie wie pan nic, co by jej mogło przynieść ujmę. – Will obrócił się ku niemu dość gwałtownie. Ale pan Raffles nie był wrażliwy na różnice tonu.

– Nie, nic podobnego – potrząsnął zdecydowanie głową. – Była właśnie zbyt honorowa, żeby mogła lubić swoją rodzinę, w tym całą sprawa! – Tu Raffles znów mrugnął znacząco. – Panie wielki, wszystko o nich wiedziałem, robili trochę w złodziejskim fachu, ale szacownym, można by powiedzieć: paserstwo w dużym stylu. Nie jakaś tam dziura za rogiem, ale pierwsza klasa. Szykowny sklep, wielkie zyski, żadnych wpadek. Ale, Panie wielki! Sara nie chciała mieć z tym nic wspólnego. To była młoda dama z fantazją! Z doskonałej szkoły z internatem, godna zostać żoną lorda. Ale Archie Duncan rzucił jej to wszystko w twarz, przez mściwość, bo nie chciała go znać. No i wtedy uciekła od tego wszystkiego. Wysłali mnie za nią, elegancko, a jakże, dobrze płacili. Z początku nie przejmowali się specjalnie jej ucieczką. Pobożni ludzie, mój panie, bardzo pobożni, a ona poszła na scenę! Syn jeszcze wtedy żył i córka nie była w cenie. O, proszę, jesteśmy koło Niebiańskiego Byka. Co pan na to, panie Ladislaw? Wstąpimy na kieliszek?

– Nie, muszę się pożegnać – odparł Will, skręcając w ciemną uliczkę, która prowadziła do Lowick Gate, i niemal rzucając się do biegu, by jak najszybciej znaleźć się z dala od Rafflesa.

Przez dłuższy czas Will maszerował drogą na Lowick, oddalając się od miasta, rad, kiedy nastąpiła wygwieżdżona ciemność. Czuł się tak, jakby go

wśród wrzasków pogardy obrzucono błotem. Było coś, co potwierdzało słowa tego człowieka. Matka nigdy nie chciała mu powiedzieć, dlaczego uciekła z domu, od swojej rodziny.

No więc dobrze, założywszy, że prawda o tej rodzinie jest najohydniejsza, czemu by on, Will, miał być przez to gorszy? Jego matka wolała stawić czoło biedzie, byle tylko nie mieć z tym nic wspólnego. Ale gdyby rodzina Dorotei знаła tę historię – gdyby ją znali Chettamowie – mogliby pięknie ubarwić swoje podejrzenia, mieliby wreszcie podstawę, by sądzić, że nie jest godzien zbliżyć się do niej. Ale niech sobie myślą, co chcą, zobaczą, że się mylą. Zobaczą, że krew, która płynie w jego żyłach, jest wolna od podłości, tak samo jak ich własna.

ROZDZIAŁ LXI

Rzeczy wzajemnie sprzeczne – odparł Imlac – nie mogą obie być słuszne, lecz w odniesieniu do człowieka mogą obie być prawdziwe.

Samuel Johnson, *The History of Rasselas, Prince of Abyssinia.*

Tego samego dnia, wieczorem, kiedy pan Bulstrode wrócił z Brassing, z podróży w interesach, jego małżonka wyszła mu na spotkanie do hallu i zaciągnęła do gabinetu.

– Nicholas – zaczęła, utkwivszy w nim z niepokojem szczere oczy. – Był tu pewien niemiły człowiek i pytał o ciebie... bardzo się zdenerwowałam.

– Co to był za człowiek, kochanie? – pytał pan Bulstrode, straszliwie pewny odpowiedzi.

– Taki czerwony na twarzy, z wielkimi bokobrodami, ogromnie zuchwały w obejściu. Oświadczył, że jest twoim starym przyjacielem i że będzie ci przykro, że cię nie zastał. Chciał tu na ciebie czekać, ale mu powiedziała, że może do ciebie przyjść jutro, do banku. Doprawdy, był ogromnie zuchwały. Gapił się na mnie, powiedział, że jego przyjaciel, Nick, ma szczęście do żon. Przypuszczam, że nie poszedłby sobie, gdyby Blutcher nie zerwał się przypadkiem z łańcucha i nie nadbiegł ścieżką, bo byłam w ogrodzie, więc powiedziałam: „Niech pan lepiej stąd idzie, pies jest bardzo zły, a ja mogę go nie utrzymać”. Czy ty naprawdę coś wiesz o takim człowieku?

– Wydaje mi się, że wiem, kto to taki – odparł pan Bulstrode swym przytłumionym głosem. – Nieszczęsny rozwiążył nikczemnik, któremu zbyt wiele okazałem pomocy w dawnych czasach. Przypuszczam jednak, że nie będzie cię więcej nachodził. Przyjdzie pewno do mnie do banku prosić, niewątpliwie, o pieniądze.

Nie poruszano już więcej tego tematu, aż do chwili, kiedy następnego dnia pan Bulstrode po powrocie z miasta przebierał się do kolacji. Zona, nie wiedząc, czy mąż wrócił, zajrzała do jego garderoby i zobaczyła, że siedzi bez surduta i halsztuka, wsparty łokciem o komodę, patrząc tępych wzrokiem w ziemię. Poderwał się nerwowo i podniósł głowę, gdy weszła.

– Wyglądasz bardzo źle, mój drogi. Czy coś się stało?

– Ogromnie boli mnie głowa. – Pan Bulstrode tak często niedomagał, że żona zawsze była gotowa uwierzyć, iż jest to powód jego przygnębienia.

– Usiądź, natrę ci skronie octem.

Fizycznie pan Bulstrode nie potrzebował octu, moralnie jednak ta serdeczna dbałość była mu kojąca. Choć zawsze uprzejmy, zwykł był podobne usługi kwitować z męzowskim chłodem, przyjmując je za wypełniany przez żonę obowiązek. Tym razem jednak, kiedy się nad nim pochylała, powiedział: „Jesteś bardzo dobra, Harriet”, tonem, w którym dosłyszała coś nowego: nie bardzo umiała określić, na czym polegała ta nowość, lecz jej kobiecy niepokój przerodził się w nagłe przypuszczenie, że szykuje się jakaś choroba.

– Miałaś jakąś przykrość? – spytała. – Czy ten człowiek był u ciebie w banku?

– Tak, wszystko, jak przypuszczałem. To człowiek, któremu kiedyś mogło się lepiej powieść, ale popadł w pijaństwo i rozpustę.

– Czy wyjechał na dobre? – zapytała niespokojnie, z pewnych jednak przyczyn powstrzymała się od następnych słów: „Przykro było słuchać, jak mówi, że jest twoim przyjacielem”.

Wolała w tym momencie nie mówić nic, co mogłoby świadczyć o przekonaniu, jakie żywiła, że dawniejsze znajomości męża nie dorównywały jej własnym. Nie znaczy to, by wiele o nich wiedziała. To, że był z początku urzędnikiem w banku, a potem miał udział w czymś, co nazywał przedsięwzięciem handlowym i zrobił pieniądze przed ukończeniem trzydziestu trzech lat, że ożenił się z o wiele starszą od siebie wdową – dysydentką, posiadającą również pod innymi względami te wszystkie cechy negatywne, jakie zwykle dostrzega w żonie pierwszej obiektywne oko żony drugiej – to było niemal wszystko, o co przyszła ją ochota zapytać, oprócz jeszcze tych przypadkowych, drobnych informacji zawartych w opowieściach pana Bulstrode o jego wczesnych zainteresowaniach religijnych, o upodobaniach do kaznodziejstwa i współpracy z misjonarskimi i charytatywnymi przedsięwzięciami. Widziała w nim wspaniałego człowieka, którego pobożność miała wagę szczególną, gdyż żywił ją człowiek świecki, którego wpływ skierował jej umysł ku sprawom poważnym i którego udział w dobrach doczesnych przyczynił się do podniesienia jej własnej pozycji. Myślała jednak również często z satysfakcją, że panu Bulstrode poszczęściło się pod każdym względem, gdy zdobył rękę Harriet Vincy, której rodzina cieszyła się niezaprzeczną pozycją w światłach miasta Middlemarch – światłach niewątpliwie lepszych od tych, co świecą na londyńskich ulicach czy w kaplicach dysydentów. Prowincjusz niechętny reformacji nie ufał Londynowi i choć prawdziwa religia zbawiała wszędzie, zacna pani Bulstrode była przekonana, że zostać zbawioną w Kościele anglikańskim, to rzecz godna większego szacunku. Tak bardzo pragnęła ukryć przed innymi fakt, iż jej mąż był kiedyś londyńskim dysydentem, że nawet w rozmowie z nim wolała o tym nie wspominać. Bankier zdawał sobie z tego sprawę – prawdę mówiąc, pod pewnymi względami obawiał się tej swojej prostolinijnej żony, której konwencjonalna pobożność i wrodzone

przywiązanie do rzeczy ziemskich były równie szczere, która niczego nie musiała się wstydzić i którą poślubił powodowany prawdziwą skłonnością, wciąż niewygasłą. Jego obawy należały do tych, jakie żywi człowiek, pragnący zachować swą niekwestionowaną wyższość: utrata szacunku i uznania w oczach żony czy kogokolwiek innego – z wyjątkiem tych, co go nienawidzą, gdyż są wrogami prawdy – byłyby dla niego jak początek umierania. Kiedy żona spytała: „Czy wyjechał na dobre?”, „Och, mam nadzieję, że tak” – odparł, starając się zawrzeć w głosie jak najwięcej chłodnej obojętności.

W gruncie rzeczy jednak pan Bulstrode daleki był od spokojnej ufności. Raffles podczas rozmowy w banku dowiedział, że upodobanie do zadawania udręki jest w nim równie silne, jak wszelka inna pożyteczność. Powiedział otwarcie, że zboczył z drogi, by zajechać do Middlemarch, ot, tylko po to, by się rozejrzeć i sprawdzić, czy odpowiadałaby mu okolica, aby się tu osiedlić na stałe. Miał, jak się okazało, trochę więcej długów, niż przypuszczał, ale dwieście funtów jeszcze niecałkiem się rozeszło i okrągłe dwadzieścia pięć funtów wystarczy, aby teraz wyjechał. Przede wszystkim jednak pragnął zobaczyć swego przyjaciela, Nicka, i jego rodzinę i usłyszeć, jak się powodzi człowiekowi, do którego jest tak bardzo przywiązany. Z czasem, być może, przyjedzie tu na dłużej. Tym razem Raffles nie zgodził się, „by go odprowadzano” – jak to określił – odmówił wyjazdu z Middlemarch na oczach bankiera. Wsiądzie do dyliżansu następnego dnia – jeśli przyjdzie mu na to ochota.

Bulstrode poczuł się bezradny. Wszelkie prośby i groźby były bezcelowe: nie mógł liczyć ani na skuteczne zastraszenie Rafflesa, ani na żadne jego obietnice. Przeciwnie, czuł w sercu lodowatą pewność, że Raffles – jeśli Opatrzność nie ześle na niego śmierci – wróci niezadługo do Middlemarch. I ta pewność była przerażająca.

I nie szło o to, by zagrażał mu wyrok sądu czy też nędzą; groziło mu

tylko to, że zobaczy, jak przed sąd bliźnich, przed zrozpaczone oczy jego żony wyciągnięte zostaną pewne fakty z jego dawnego życia, czyniąc zeń przedmiot pogardy, i staną się pohańbieniem religii, z którą się tak ściśle związał. Paniczny strach przed osądem zaostreza pamięć; rzuca nieuniknione światło na tę od dawna niewspominaną przeszłość, którą na ogół przywołuje się tylko w ogólnikach. Nawet życie, którego nie pamięta, stanowi całość – od zarania do słońca – związaną pasmem zależności, lecz rzetelna pamięć wymusza na człowieku przyznanie się do swej niegodnej przeszłości. Gdy wspomnienia zaczynają dolegać jak otwarta na nowo rana, przeszłość człowieka przestaje być tylko martwą historią, przebrzmiałym wstępem, do teraźniejszości, odpokutowanym błędem, otrząśniętym z życia: staje się w dalszym ciągu rozedrganą cząstką jego samego, wywołując dreszcze, gorzki i zasłużony, piekący wstyd.

W to drugie życie bankiera powróciła teraz jego przeszłość, tyle że jej radości jakby utraciły swą moc. W dzień i w nocy, z przerwą jedynie na krótki sen, splatając wspomnienia i strach w jakąś fantastyczną teraźniejszość, czuł, jak sceny z dawniejszego życia stają pomiędzy nim i wszystkim innym równie wyraźne, jak przed człowiekiem, który wyglądając przez okno z oświetlonego pokoju, widzi na zewnątrz zamiast traw i drzew – przedmioty, do których jest zwrócony plecami. Kolejne wypadki na zewnątrz i wewnątrz są dostrzegalne jednocześnie i choć można rozpatrywać każdy z osobna, ten drugi przez cały czas pozostaje w świadomości patrzącego.

Ponownie widział siebie jako młodego urzędnika bankowego o miłej powierzchowności, posiadającego zdolność do rachunków i dar wymowy oraz upodobania do teologicznych definicji: był wybitnym, choć młodym członkiem dysydenckiego Kościoła kalwińskiego na Highbury, ponieważ doznał w sposób niezbitą pewności grzechu i jego odpuszczenia. Znów słyszał, jak mówią doń „bracie Bulstrode” na zebraniach modlitewnych,

jak przemawia na zgromadzeniach religijnych, wygłasza kazania w domach prywatnych. Znowu wydawało mu się, że myśli o kapłaństwie jako o ewentualnym powołaniu i skłania się ku działalności misyjnej. To był najszcześniejszy okres jego życia, w którym pragnąłby się teraz obudzić, by stwierdzić, że reszta to tylko sen. Grono ludzi, spośród których wybijał się brat Bulstrode, było niewielkie, lecz bardzo mu bliskie, co zwiększało jego ukontentowanie; władzę miał bardzo ograniczoną, tym silniej jednak odczuwał jej znaczenie. Łatwo mu przychodziło wierzyć, iż działa w nim szczególna łaska, oraz w znaki świadczące, że Bóg wyznaczył go na swoje specjalne narzędzie.

A potem przyszedł moment odmiany: towarzyszyło mu poczucie awansu, kiedy on, sierota, mający za całe wykształcenie dobroczynną szkołę kupiecką, został zaproszony do pięknego domu, należącego do pana Dunkirka, najbogatszego członka kongregacji. Szybko się tam zadomowił, szanowany za swą pobożność przez panią domu, wyróżniany dla swych zdolności przez gospodarza, którego bogactwo miało źródło w kwitnącym przedsięwzięciu handlowym w City i na West Endzie. To skierowało jego ambicje na nowy tor, zobaczył, że można „służyć za narzędzie” łączące wybitne talenty religijne z dobrze prosperującym interesem.

Z czasem przyszły wyraźne znaki z zewnątrz: zaufany wspólnik, podległy pryncypałowi, umarł, a na miejsce po nim, które trzeba było szybko zapełnić, nikt nie wydawał się panu Dunkirkowi bardziej odpowiedni niż jego młody przyjaciel, Bulstrode, jeśli zechce zostać zaufanym księgowym. Propozycja została przyjęta. Owo przedsięwzięcie handlowe było lombardem na ogromną skalę, zarówno pod względem rozmiarów, jak i dochodów. Wkrótce po zapoznaniu się z nim Bulstrode zdał sobie sprawę, że owe niebywałe dochody mają źródło w fakcie swobodnego przyjmowania wszelkich przynoszonych przedmiotów bez

szczegółowego wnikania w ich pochodzenie. Lombard miał jednak filię na West Endzie i nie było w nim nic czy to tandetnego, czy obscurnego, co mogłoby budzić myśli o podejrzanym interesach.

Pamiętał te pierwsze chwile, kiedy przeszły go dreszcze obrzydzenia. Były to chwile przeżywane w samotności, wypełnione argumentacją, która niekiedy przyjmowała formę modlitwy. Przedsiębiorstwo zostało założone dawno, miało stare korzenie: czyż nie jedną jest rzeczą otworzyć nowy szynk, a drugą – przyjąć spółnictwo w starym? Zarabianie na duszach potępionych – gdzie można nakreślić linię, od której się to zaczyna w interesach między ludźmi? A czy nie kryje się w tym czasem boska strategia zbawiania swoich wybranych? Ty wiesz – mówił wówczas młody Bulstrode, a stary Bulstrode powtarzał teraz: – Ty wiesz, jak obca jest temu moja dusza, wiesz, że widzę w nich tylko narzędzia, aby za ich pomocą uprawiać Twój ogród, wydzierany tu i ówdzie pustyni.

Nie brakowało metafor ani precedensów: nie brakowało szczególnych doświadczeń duchowych, które w końcu sprawiły, że zachowanie tego stanowiska wydawało się żądaną od niego usługą: widoki na bogactwo otworzyły się same i dreszcze obrzydzenia młodego Bulstrode'a pozostały jego sprawą prywatną. Pan Dunkirk nie podejrzewał go w ogóle o jakieś dreszcze: nigdy mu do głowy nie przyszło, że handel może mieć coś wspólnego z porządkiem zbawienia. I prawdą jest, że Bulstrode czuł, że prowadzi dwa oddzielne życia: jego działalność religijna nie była sprzeczna z jego interesami, odkąd sobie wytłumaczył, że tej sprzeczności nie czuje.

Rozpamiętując teraz ową przeszłość, Bulstrode wytaczał te same argumenty – upływające lata utkały już z nich splątany gąszcz niby zbitą masę pajęczyn, otulinę izolującą wrażliwość moralną; więcej, w miarę jak wiek sprawiał, że jego egoizm stawał się bardziej drapieżny, a mniej zdolny do smakowania radości, duszę jego przenikało coraz mocniejsze

przeświadczenie, że wszystko to zrobił dla dobra bożego, nie mając wcale na względzie własnego pożytku. A jednak gdyby mógł powrócić do tego odległego punktu swojej młodszej biedy – cóż, wtedy wybrałby życie misjonarza.

Lecz zdarzenia, w których łańcuch się włączył, miały dalszy ciąg. Do pięknego domu na Highbury zawiąły troski. Przed laty uciekła z domu jedyna córka, która zbuntowała się przeciwko rodzicom i poszła na scenę; potem umarł jedyny syn, a wkrótce po nim zmarł również i pan Dunkirk. Wdowa, prosta, pobożna kobieta, pozostawiona z wielkim majątkiem, pochodzącym ze znakomicie prosperującego przedsiębiorstwa, którego natury nigdy dokładnie nie znała – ufała Bulstrode'owi i admirowała go naiwnie, tak jak kobiety adorują często kapłana lub samorodnego kaznodzieję. Było więc naturalne, że po pewnym czasie zaczęła myśleć o małżeństwie. Ale pani Dunkirk miała wyrzuty sumienia i tęskniła za córką, którą już dawno uznano za straconą, zarówno dla rodziców, jak Pana Boga. Wiadomo było, że wyszła za mąż, ale znikła im całkowicie z oczu. Matka, która postradała syna, zaczęła wyobrażać sobie, że ma wnuka, i tym bardziej pragnęła znaleźć córkę. Gdyby córkę odszukano, otworzyłby się upust pieniędzy – być może dużych – dla zapewnienia bytu kilkorgu wnukom. Trzeba poczynić starania, by ją odnaleźć, zanim pani Dunkirk wyjdzie ponownie za mąż. Bulstrode podzielał to zdanie. Kiedy jednak anons w prasie i inne poszukiwania zawiodły, matka doszła do wniosku, że córki się nie odnajdzie, i przystała na małżeństwo, nie robiąc żadnych zastrzeżeń co do swego majątku.

Córka została odnaleziona, ale wiedział o tym, oprócz Bulstrode'a, tylko jeden człowiek, któremu zapłacono, by wyjechał i milczał.

Tak wyglądały nagie fakty, które Bulstrode zmuszony był teraz widzieć w ostrych zarysach, w jakich uczynki prezentują się patrzącym z zewnątrz. Ale zarówno w owych dawnych czasach, jak i teraz, w pięknych

wspomnieniach, uczynki dzieliły się na drobne sekwencje, z których każda, kolejno, znajdowała usprawiedliwienie dzięki rozumowaniu udowadniającemu niejako jej słusność. Bulstrode uważał, że jego dotychczasową drogę sankcjonowały szczególne znaki, które wskazywały mu, w jaki sposób, jako narzędzie Opatrzności, może uczynić najlepszy użytek z tego wielkiego majątku, tak aby nie posłużył zepsuciu. Spotkał przecież na swojej drodze śmierć i inne niezwykle zrządenia, takie jak niewieście zaufanie, i mógłby użyć słów Cromwella: „Czyż to nazywasz nagimi faktami? A niechże Pan zlituje się nad tobą!”. Wydarzenia, biorąc porównawczo, były drobne, lecz zawierały najistotniejszy warunek – to znaczy, były korzystne dla jego celów. Łatwo mu przychodziło decydować, co jest winien innym, po zadaniu pytania, jakie są intencje Pana wobec niego samego, Jego narzędzia. Czyż byłoby korzystne dla Pana, gdyby okazała część tej fortuny przekazana została młodej kobiecie i jej mężowi, ludziom oddanym płochym zajęciom, zdolnym lekkomyślnie roztrwonić majątek – ludziom, którzy najwidoczniej nie znajdują się na drodze wytyczonej znakami Opatrzności. Bulstrode nigdy nie powiedział sobie z góry: „Córka się nie znajdzie”, lecz kiedy przyszła ta chwila, zachował wiadomość w tajemnicy, a później pocieszał matkę przypuszczeniem, że zapewne nieszczęsnej młodej kobiety nie ma wśród żyjących.

Były momenty, kiedy czuł, że postępuje w sposób nieprawy. Jakże miał jednak zawrócić? Prowadził ze sobą wewnętrzne dysputy, powtarzał, że jest niczym, chwycił się myśli o odkupieniu i dalej kroczył ową drogą narzędzia Opatrzności. W pięć lat później śmierć znów poszerzyła jego drogę, zabierając mu żonę. Stopniowo wycofywał swój kapitał, nie czynił jednak poświęceń niezbędnych, aby położyć kres całemu przedsięwzięciu, które egzystowało jeszcze przez trzynaście lat, aż wreszcie upadło. Przez ten czas Nicholas Bulstrode dyskretnie obracał swymi stoma tysiącami

funtów i przekształcał się w prowincjonalną solidną osobistość – w bankiera, członka Kościoła anglikańskiego, społecznego dobroczyńcę; a także cichego wspólnika w różnych przedsięwzięciach handlowych, gdzie koncentrował się przede wszystkim na oszczędzaniu surowców, jak w przypadku barwników, które zniszczyły jedwab pana Vincy. I teraz, gdy od trzydziestu niemal lat, nieprzerwanie, uważany był za człowieka godnego szacunku – kiedy wszystko, co ten okres poprzedzało, leżało dawno zmartwiałe w jego umyśle – nagle ta przeszłość powstała i oładnęła jego myśli, w straszliwej erupcji nowej świadomości, obezwładniając kruche jestestwo.

Tymczasem jednak podczas rozmowy z Rafflesem dowiedział się czegoś bardzo ważnego, co zaczęło go nurtować wśród splątanych obaw i pragnień. Tu, myślał, otwiera się możliwość duchowego, a może i materialnego ocalenia.

Ocalenie duchowe było jego autentyczną potrzebą. Istnieją prymitywni hipokryci, którzy świadomie udają wiarę i wzruszenie, aby oszukać świat, lecz Bulstrode do nich nie należał. Był po prostu człowiekiem, którego pragnienia silniejsze były od teoretycznych przekonań i który potrafił sobie stopniowo wytłumaczyć, że zaspokajanie własnych pragnień jest w zgodzie z owymi przekonaniem. Jeśli to jest hipokryzja, to taki proces zachodzi od czasu do czasu w każdym z nas, bez względu na religię, jaką wyznajemy, i bez względu na to, czy wierzymy w przyszłą doskonałość ludzkiej rasy, czy też w najbliższą datę końca świata; czy uważamy ziemię za gniazdo zgnilizny moralnej, gdzie znajduje się garstka zbawionych, wśród nich – my, czy też żywimy płomienną wiarę w ogólnoludzką solidarność.

Podstawą wszelkich decyzji w jego postępowaniu była przez całe życie, jak zapewniał sam siebie, służba sprawie religii: to była intencja, którą tak gorąco podkreślał w swoich modlitwach. Kto wykorzysta

pozycję i pieniądze lepiej, niż on to zamierza zrobić? Kto go przewyższa w zaparciu się samego siebie i w uwielbieniu Sprawy Bożej? A dla Bulstrode'a Sprawa Boża i prawość własnego postępowania to były dwie różne rzeczy: Sprawa Boża domagała się dyskryminowania nieprzyjaciół Pana, których należało jedynie wykorzystywać, używając ich za narzędzia, i których nie należało – jeśli się da – dopuszczać do pieniędzy, a co za tym idzie – do wpływów. A zyskowne inwestycje w handlu, gdzie potęga księcia ciemności ujawnia się w najzręczniejszych fortelach, zyskiwały usankcjonowanie dzięki właściwemu spożytkowaniu zysków, znajdujących się w rękach sługi bożego.

To dwulicowe rozumowanie nie jest, w istocie, większą osobliwością wśród ewangelickich dysydentów niż stosowanie wzniosłych słów do niskich celów wśród Anglików. Nie ma takiej powszechnej doktryny, która nie potrafiłaby stoczyć naszej moralności, jeśliby jej nie chroniło głęboko zakorzenione poczucie solidarności z naszymi bliźnimi.

Lecz człowiek, który wierzy w coś więcej niż tylko we własną chciwość, musi mieć czy to sumienie, czy jakiś miernik, do którego się lepiej czy gorzej stosuje. Takim przyjętym przez Bulstrode'a miernikiem była jego przydatność dla Sprawy Bożej: „Prochem jestem i człowiekiem grzesznym – naczyniem, które użytek uświęci – ale czyń ze mnie użytek!” – oto forma, w którą oblekał swą żądzę pozycji i dominowania. A teraz nadeszła chwila, kiedy wydawało się, że owej formie grozi zniszczenie i nieuchronne odrzucenie.

I co go czeka, jeśli postęпки, z którymi się pogodził, gdy czyniły go silniejszym narzędziem chwały bożej, okażą się wymówką dla szyderycy i pomrokiem owej chwały? Gdyby taki był wyrok Opatrzności, to zostanie wypędzony ze świątyni jak człowiek, który przyniósł nieczystą ofiarę.

Długo już wyrażał swoją skruchę. Teraz jednak skrucza miała gorzki smak, a groźna Opatrzność popychała go ku takiej pokucie, która nie była

wyłącznie transakcją doktrynalną. Boski trybunał przybrał wobec niego inną postać: samobiczowanie już nie wystarcza, teraz pora wystąpić z zadośćuczynieniem. Doprawdy, Bulstrode pragnął dać swemu Bogu wszelkie możliwe zadośćuczynienie. Dojmujący lęk opanował tę wątłą postać, a niebezpieczeństwo palącej hańby wywoływało w nim nową wewnętrzną potrzebę. Dniem i nocą, gdy zmartwychwstała, zagrażająca mu przeszłość budziła w nim sumienie, wyteęzał umysł, szukając, jak by też odzyskać spokój i wiarę w samego siebie – dzięki jakiej ofierze mógłby pozostać latoroślą Pana. W tych momentach strachu wierzył, że gdyby samorzutnie uczynił coś dobrego, Bóg uratowałby go od skutków popełnionych nieprawości. Religia bowiem może zmieniać tylko wtedy, gdy zmienia się wypełniające ją uczucia, a religia wypełniona osobistym lękiem pozostaje niemal na poziomie barbarzyństwa.

Widział na własne oczy, jak Raffles wsiada do dylizansu jadącego do Brassing, i to przyniosło mu chwilową ulgę; usunęło poczucie bezpośredniego zagrożenia, ale nie położyło kresu konfliktowi wewnętrznemu ani potrzebie zapewnienia sobie obrony. Wreszcie podjął trudną decyzję i napisał list do Willa Ladislawa, prosząc go, by przyszedł tego wieczoru do Krzewiny na prywatną rozmowę o godzinie dziewiątej. Will nie zdziwił się specjalnie tą prośbą, łączył ją z jakimiś nowymi pomysłami związanymi z *Pionierem*, kiedy jednak wprowadzono go do gabinetu pana Bulstrode, uderzył go zbolwały, wymęczony wyraz twarzy bankiera; już chciał zapytać: „Czy pan nie chory?”, powściągnął jednak ten odruch i zagadnął tylko o panią Bulstrode i czy jest zadowolona z obrazu, jaki dla niej kupił.

– Dziękuję, jest bardzo rada; wyszła z córkami na dzisiejszy wieczór. Poprosiłem pana o przyjście, mam bowiem panu do zakomunikowania coś, co jest natury ściśle osobistej, rzekłbym: święcie poufnej. Zapewne nic nie było dalsze pańskim myśłem niż fakt, że istnieją ważne więzy

łączące w przeszłości pańskie dzieje z moimi.

Will miał wrażenie, że przeszedł go wstrząs elektryczny. Był ostatnio szczególnie wrażliwy i z trudem powściągał emocje związane z problemem więzów z przeszłości, a w tej chwili wcale nie miał dobrych przeczuć. Wszystko sprawiało wrażenie sennych falowań, jakby działania rozpoczęte przez tego hałaśliwego, opasłego nieznanego zostały teraz podjęte przez to bladookie wcielenie szacowności, tego człowieka o chorowitym wyglądzie, którego stłumiony głos i gładka układność wywoływały w tym momencie taki sam odruch wstrętu, jak jego oglądane niedawno przeciwieństwo. Will odparł, mieniąc się wyraźnie na twarzy:

– Istotnie.

– Ma pan przed sobą człowieka ciężko doświadczonego. Gdyby nie nakaz sumienia i świadomość, że stoję przed sądem Tego, który nie tak widzi, jak widzi człowiek^[124], nic nie zmusiłoby mnie do złożenia wyznania, będącego powodem, dla którego tu pana zaprosiłem. Wedle ludzkich praw nie może pan rościć do mnie żadnych pretensji.

Will bardziej był speszony niż zdumiony. Pan Bulstrode przerwał i wsparłszy głowę na dłoni, spoglądał w podłogę. Po chwili jednak wbił pytający wzrok w gościa i ciągnął:

– Powiedziano mi, że pańska matka nazywała się Sara Dunkirk, że uciekła z domu i została aktorką. Również, że ojciec pański był w pewnym okresie ogromnie wycieńczony chorobą. Chciałbym spytać, czy potwierdza pan te fakty?

– Tak, wszystkie są prawdziwe. – Willa uderzyła kolejność, w jakiej bankier postawił pytania; można było sądzić, że powinny raczej poprzedzić rzucone na wstępie wzmianki. Tego wieczoru jednak kolejność wyznaczały emocje pana Bulstrode: bankier nie miał wątpliwości, że oto nadchodzi sposobność zadośćuczynienia, i czuł przemożną chęć okazania

[124] „Nie tak bowiem człowiek widzi, jak widzi Bóg” – Samuel I, 16, 7.

skruchy, która pomniejszałaby karę.

– Czy ma pan szczegółowe wiadomości o rodzinie swojej matki? – ciągnął.

– Nie. Nie lubiła o tym mówić. Była wielkoduszną, szlachetną kobietą – odparł Will nieomal z gniewem.

– Nie chcę nic przeciwko niej powiedzieć. Czy wspominała panu kiedykolwiek o swojej matce?

– Powiadała mi, że przypuszcza, iż matka nie znała powodów, dla których ona uciekła z domu. Mówiła ze współczuciem: biedna mama!

– Ta matka została moją żoną – oświadczył Bulstrode i po krótkiej chwili milczenia dodał: – Ma pan podstawy do roszczeń w stosunku do mnie, nie tyle prawnych, ile uznawanych przez moje sumienie. Wzbogaciłem się dzięki temu małżeństwu, a nie stałoby się to zapewne, przynajmniej nie w takim stopniu, gdyby babka pańska zdołała odnaleźć swoją córkę. Ta córka, jak domniemywam, już nie żyje.

– Nie żyje. – Will poczuł tak gwałtowny przyływ odrazy i podejrzliwości, że sam nie wiedząc, co czyni, wstał i podniósł kapelusz z podłogi. Wewnętrzny impuls popychał go do odrzucenia tego ujawnionego związku.

– Proszę, niech pan usiądzie. – W głosie pana Bulstrode zabrzmiał niepokój. – Jest pan niewątpliwie zaskoczony tym nagłym odkryciem. Proszę jednak, by okazał pan cierpliwość człowiekowi, którego przygniata teraz ciężkie duchowe strapienie.

Will usiadł ponownie, czując pewne współczucie, przemieszane z odrobiną pogardy, na widok starego człowieka, który się dobrowolnie poniża.

– Pragnieniem moim, panie Ladislaw, jest powetować straty, jakie poniosła pańska matka. Wiem, że nie posiada pan żadnych zasobów materialnych, i chcę pana zaopatrzyć należycie z tego źródła, które

zapewne należałoby dziś do pana, gdyby babka pańska miała pewność, iż jej córka żyje, i zdołała ją odnaleźć.

Pan Bulstrode umilkł. Uważał, że daje swemu rozmówcy wyjątkowe świadectwo prawości swego sumienia, przed Panem Bogiem zaś czyni akt pokuty. Nie miał żadnego klucza, pozwalającego poznać umysł Willa, któremu dotąd nie dawała spokoju niedwuznaczna wzmianka Rafflesa i który miał wrodzoną łatwość kojarzenia faktów, tym większą teraz, że spodziewał się rewelacji. A rewelacje te chętnie odesłałby jakimś zakłębieniem w ciemność. Przez kilka chwil milczał; kiedy zaś pan Bulstrode – który pod koniec swego przemówienia wbił wzrok w ziemię – wreszcie podniósł oczy i spojrzał badawczo na rozmówcę, ten patrząc mu prosto w twarz, powiedział:

– Sądzę, że wiedział pan o istnieniu mojej matki i o tym, gdzie można ją znaleźć.

Bulstrode skurczył się – twarz i ręce zaczęły mu wyraźnie drżeć. Był całkowicie nieprzygotowany na to, by jego propozycja spotkała się z podobną odpowiedzią, czy też, by musiał ujawnić więcej, niż uprzednio uznał za niezbędne. W tym momencie jednak nie odważył się kłamać i nagle poczuł się bardzo niepewny tego gruntu, po którym dotąd stąpał z niejaką ufnością.

– Nie będę przeczył, iż pański domysł jest słuszny – odpowiedział z drżeniem w głosie. – I pragnę zadośćuczynić panu jako temu, który pozostał z rodziny, a który przeze mnie cierpiał wyrzeczenia. Tuszę, iż rozumie pan, jaka jest moja intencja, która ma swe źródło w nakazach wyższego rzędu niż ludzkie i która, jak powiedziałem, nie wynika z prawnych zobowiązań. Gotów jestem umniejszyć własny majątek i pogorszyć widoki mojej rodziny, zobowiązując się do wypłacania panu pięciuset funtów rocznie za mego życia i do pozostawienia panu po mojej śmierci odpowiadającego temu proporcjonalnie kapitału. Ba, gotów jestem

uczynić i więcej, jeśli byłoby to absolutnie konieczne dla zrealizowania jakiegoś chwalebego pańskiego zamierzenia. – Pan Bulstrode przeszedł do szczegółów w nadziei, że zrobią odpowiednie wrażenie na Willu i przetopią wszystkie jego uczucia w pełną wdzięczności akceptację.

Lecz Will wyglądał jak człowiek nieustępliwy, gdy tak siedział, odąwszy wargi i palce wsunąwszy w kieszenie surduta. Nie wydawało się, by słowa Bulstrode’a zrobiły na nim najmniejsze wrażenie. Powiedział twardo:

– Zanim odpowiem na pańską propozycję, muszę poprosić, by wyjaśnił mi pan kilka kwestii. Czy miał pan związki z przedsiębiorstwem, które przyniosło ową fortunę, o jakiej pan mówi?

Bulstrode pomyślał: „Raffles mu to powiedział”. Jakże mógł uchylić się od odpowiedzi, jeśli sam zaczął rozmowę, która wywołała pytanie.

– Tak – odparł.

– I czy to przedsiębiorstwo było, czy też nie było, czymś do gruntu nikczemnym, gorzej, czymś, co gdyby jego natura została ujawniona, nakazywałoby uważać wszystkich z nim związanych za złodziei i przestępców?

W głosie Willa brzmiała przejmująca gorycz; wewnętrzny impuls kazał mu postawić pytanie bez owijania w bawełnę.

Bulstrode poczerwieniał od niepohamowanego gniewu. Przygotowany był na scenę własnowolnego upokorzenia, lecz jego wyniosła duma i zwyczaj mówienia nad innymi przemogły skruczę, a nawet i lęk, kiedy ten młody człowiek, którego chciał obdarzyć korzyściami, zwrócił się przeciw niemu, przyjmując rolę sędziego.

– Przedsiębiorstwo istniało jeszcze, nim je poznałem, mój panie; nie jest też pańską sprawą prowadzić tego rodzaju dochodzenia – odparł krótko wyzywającym tonem, nie podnosząc jednak głosu.

– Owszem, jest moją sprawą – Will wstał i wziął kapelusz w rękę.

– Jest przede wszystkim moją sprawą zadawanie takich pytań, jeśli mam podjąć decyzję, czy chcę mieć z panem coś wspólnego i przyjąć pańskie pieniądze. Dla mnie ważny jest mój nieskalany honor. Ważne jest dla mnie, aby na moim pochodzeniu i koneksjach nie było najmniejszej plamy. Stwierdzam teraz, że jest taka plama, i nic nie można na to poradzić. Moja matka była tego świadoma i starała się mieć z tym jak najmniej wspólnego, tak samo uczynię i ja. Zachowa pan swoje niecznie zdobyte pieniądze. Gdybym miał własny majątek, chętnie zapłaciłbym każdemu, kto mógłby dowieść, że to, co pan powiedział, nie jest prawdą. Mogę panu podziękować tylko za jedno, za to, że zachował pan te pieniądze do chwili, kiedy je mogłem odrzucić. To, czy człowiek jest dżentelmenem, powinno zależeć od niego samego. Zegnam pana.

Bulstrode chciał coś powiedzieć, ale Will zdecydowanie i szybko wyszedł z pokoju, a w następnej chwili zatrzasnęły się za nim frontowe drzwi. Zbyt gwałtowny owładnął go gniew przeciwko tej odziedziczonej plamie, siłą narzucanej jego świadomości, by zastanowić się w tym momencie nad tym, czy nie okazał się zbyt surowy wobec Bulstrode'a, czy nie był zbyt arogancki i bezlitosny wobec sześćdziesięcioletniego człowieka, który bezskutecznie po latach próbował dokonać zadośćuczynienia.

Nikt, kto by tego wszystkiego słuchał, nie byłby zdolny zrozumieć gwałtowności, z jaką Will odrzucił propozycję, czy gorczy brzmiącej w jego słowach. Nikt inny oprócz niego samego nie wiedział, że wszystko, co łączyło się z jego poczuciem własnej godności, miało dlań bezpośredni związek z Dorotą oraz z tym, jak go potraktował pan Casaubon. I do wszystkich przyczyn, które gwałtownie kazały mu odrzucić propozycję pana Bulstrode, dołączała się świadomość, że nigdy nie mógłby przyznać się Dorotei do ich przyjęcia.

Jeśli zaś idzie o pana Bulstrode – po wyjściu Willa przeżył szok i

płakał jak niewiasta. Po raz pierwszy spotkał się z jawną pogardą ze strony kogoś, kto stał wyżej niż Raffles; ta pogarda, przenikająca jak jad całe jestestwo, nie pozostawiała miejsca na żadną pociechę. Lecz i uldze, jaką niosły łzy, trzeba było położyć kres.

Do domu wróciły panny Bulstrode z mamą – wysłuchały właśnie kazania pewnego misjonarza ze Wschodu i ogromnie żałowały, że tatko sam nie słyszał tych wszystkich interesujących opowieści, które starały się teraz mu powtórzyć.

Zapewne wśród skrytych jego myśli największą pociechę niosła ta, że mało jest prawdopodobne, by Will Ladislaw ujawnił to, co się wydarzyło tego wieczoru.

ROZDZIAŁ LXII

Był sobie raz szlachcic z rodu ubogiego, Co ukochał
córkę króla węgierskiego.

Stara romanca

Will Ladislaw miał teraz głowę zaprzątą tylko tym, by zobaczyć jeszcze raz Dorotę, a potem wyjechać z Middlemarch. Następnego ranka po owej wstrząsającej scenie z panem Bulstrode napisał do Dorotei liścik, zawiadamiając ją, że z różnych przyczyn musiał pozostawać w tej okolicy dłużej, niż zamierzał, i prosi, by mu pozwoliła na odwiedziny w Lowick o godzinie, jaką wyznaczy, możliwie w najbliższym czasie, gdyż spieszo mu jechać, a nie chce tego robić, dopóki ona go nie przyjmie. Zostawił list w redakcji, kazać gońcowi zanieść go do Lowick Manor i zaczekać na odpowiedź.

Świadom był, że niezręcznie jest drugi raz prosić o ostatnie pożegnanie. Poprzednie odbyło się w obecności sir Jamesa i nawet kamerdyner usłyszał, że jest ostateczne. Nie bez uszczerbku dla męskiej godności jest wracać tam, gdzie człowieka nie czekają: pierwsze pożegnanie ma w sobie pewien patos, lecz powtórne ma posmak komedii, a przecież niewykluczone, że w okolicy krążą różne szydercze komentarze na temat jego zwlekania z wyjazdem. Wszystko razem wzięwszy, bardziej mu odpowiadało prosić wprost o widzenie z Dorotą niż stosować jakieś wybiegi, które nadałyby przypadkowy charakter ich spotkaniu; chciał, by wiedziała, że bardzo mu na tym zależy. Kiedy się poprzednio z nią zęgnął, nie znał pewnych faktów, które nadały nowy aspekt ich stosunkom i sprawiały, że ich

rozstanie będzie nieodwołalne, w co wówczas nie całkiem wierzył. Nic nie wiedział o osobistym majątku Dorotei i nie zwykł wiele rozmyślać na takie tematy, toteż uznał za pewnik, iż testament pana Casaubona stanowi, że Dorotea, wychodząc za niego, Willa, musiałyby przystać na zupełne ubóstwo. Z tym nie mógł się zgodzić w najgłębszych tajnikach duszy, nawet gdyby ona zdecydowała się dla niego na życie tak krańcowo odmienne. No i w dodatku teraz ten nowy, piekący ból, te rewelacje o rodzinie matki, które jeśli dostaną się do publicznej wiadomości, będą dodatkowym powodem lekceważenia go przez rodzinę Dorotei i przekonania, że nie jest jej godny. Cicha nadzieja, że po jakimś czasie będzie mógł wrócić w poczuciu, że przynajmniej swą wartością osobistą zrównoważy jej bogactwo, wydawała się teraz kontynuacją jakiegoś snu. Nowa sytuacja musi niewątpliwie usprawiedliwić w oczach Dorotei jego prośbę o ponowne spotkanie.

Lecz tego ranka Dorotei nie było w domu, nie dostała więc liściku Willa. Otrzymałszy wiadomość od stryja, że zamierza wrócić za tydzień, pojechała najpierw do Freshitt, by się podzielić nowiną, a następnie zamierzała jechać do Tipton, by tam wydać zarządzenia, jakie zlecił jej stryjaszek, uważając, że „takie drobne zajęcia umysłu dobrze zrobią wdowie”.

Gdyby Will Ladislaw usłyszał choć część tego, co mówiono we Freshitt tego ranka, znalazłby potwierdzenie swoich przypuszczeń, że pewni ludzie gotowi są szydzić z faktu, iż tak długo zwleka z wyjazdem. W istocie sir James, choć bardzo się uspokoił co do Dorotei, czuwał jednak nad poruszeniami Willa i polecił panu Standishowi, dopuszczając go tym samym do konfidencji, zbierać informacje o nim. Fakt, że Will pozostawał w Middlemarch dwa miesiące po zapowiedzeniu, że zaraz wyjeżdża, zaostriżył podejrzliwość sir Jamesa, a w każdym razie usprawiedliwiał niechęć do tego „młodzieńca”, będącego w jego

oczach płochym lekkoduchem, gotowym okazać taki brak rozwagi, jaki jest do przewidzenia u człowieka, którego pozycji nie cementują powiązania rodzinne czy też określony zawód. Sir James usłyszał jednak właśnie od Standisha coś, co nie tylko usprawiedliwiało owe dotyczące Willa przypuszczenie, ale mogło całkowicie usunąć grożące Dorotei niebezpieczeństwo.

Niezwykłe okoliczności potrafią czasem czynić z nas coś całkiem do nas niepodobnego: są sytuacje, w których osoba najbardziej majestatyczna musi kichnąć, a na naszych emocjach może coś zagrać w równie niedorzeczny sposób. Zaczyna sir James był tego przedpołudnia niepodobny do siebie: nerwowo pragnął powiedzieć coś Dorotei na temat, którego na ogół unikał, jakby była to sprawa wstydliva dla obojga. Nie mógł skorzystać z pośrednictwa Celi, ponieważ nie chciał, by się dowiadywała tego rodzaju plotek, o jakie szło. Przed niespodzianym przyjazdem Dorotei próbował sobie wyobrazić, jak też, przy swojej nieśmiałości i nieskorym języku, uda mu się kiedykolwiek przekazać jej tę wiadomość. Nieoczekiwany widok Dorotei sprawił, iż biedny sir James stracił resztki nadziei, że będzie zdolny do powiedzenia jej czegoś nieprzyjemnego. Rozpacz jednak podsunęła mu wyjście: wysłał chłopaka na oklep konno przez park z nabazgranym ołówkiem liścikiem do pastorowej Cadwallader, która znała już ową plotkę i nie będzie się wstydziła powtórzyć jej, kiedy tylko ktoś o to poprosi.

Zatrzymano Dorotę pod zręcznym pretekstem, że pan Garth, którego pragnęła zobaczyć, oczekiwany jest w ciągu najbliższej godziny we dworze, i kiedy jeszcze rozmawiała z Kalebem na ścieżce w parku, sir James, który wypatrywał pastorowej, zobaczył, jak nadchodzi, i pospieszył ku niej, by przekazać niezbędne wskazówki.

– Dość! Rozumiem – oświadczyła. – Pan będzie niewinny. Ja już mam tak złą opinię, że nic nie może jej zaszkodzić.

– Nie chcę powiedzieć, bym przywiązywał do tego wagę. – Sir James wcale nie był zadowolony, że pastorowa pojmuje zbyt wiele. – Jest tylko pożądaną, by Dorotea rozumiała, iż są powody, dla których nie powinna go więcej przyjmować, a ja, doprawdy, nie mogę jej tego powiedzieć. Z pani ust padnie to swobodnie.

Istotnie, padło swobodnie. Kiedy Dorotea rozstała się z Kalebem i zbliżyła się do nich, okazało się, że pastorowa zaszła tu, idąc przez park przypadkowo, ot tak, by pogadać z Celią o niemowlęciu jak doświadczona matrona. Więc pan Brooke wraca? Cudownie – wraca, miejmy nadzieję, wyleczony z parlamentarnej gorączki i pionierstwa. À propos *Pioniera* – ktoś przepowiadał, że zacznie wkrótce przypominać zdychającego delfina i mienić się kolorami tęczy, z braku pomysłu na ratunek, gdyż protegowany pana Brooke, ten młody Ladisław, wyjechał czy wyjeżdża. Czy sir James słyszał o tym?

Cała trójka szła powoli żwirowaną ścieżką, a sir James, zbaczając nieco, by ściąć pejczem zielsko, powiedział, że coś o tym słyszał.

– Wszystko nieprawda – oznajmiła pastorowa. – Najwyraźniej ani nie wyjechał, ani nie ma takiego zamiaru; *Pionier* zachował swoją barwę, pan Orlando Ladisław szykuje żaloszny, wigowski skandal, gruchając bezustannie z młodą żoną doktora Lydgate, która jak mi powiadają, jest po prostu prześliczna. Podobno każdy, kto wchodzi do tego domu, znajduje owego młodego człowieka leżącego na dywaniku przed kominkiem lub wywodzącego trele przy pianinie. Ale mieszkańcy przemysłowych miasteczek zawsze są nieobyczajni.

– Zaczęła pani od stwierdzenia, że jedna pogłoska okazała się fałszywa, sądzę, że ta druga również nie jest prawdą – powiedziała Dorotea z gwałtownym oburzeniem. – Pewna jestem, że to jakieś nieporozumienie. Nie chcę słuchać złośliwych uwag o panu Ladisławie, zbyt dużo już wycierpiał niesprawiedliwości!

Gdy coś silnie poruszyło Doroteę, nie dbała, co inni pomyślą o jej reakcji, a nawet gdyby zdolna była się zastanowić, uważałaby za małoduszność pominięcie milczeniem niesprawiedliwych słów o Willu z obawy, że mogłaby zostać źle zrozumiana. Na jej twarzy wystąpiły rumieńce, a wargi drżały.

Spojrzawszy na nią, sir James pożałował swego podstępu, pastorowa jednak, zdolna sprostać każdej sytuacji, rozłożyła otwarte dłonie i powiedziała:

– Daj Boże, moja droga, mam na myśli: daj Boże, aby wszystkie niedobre pogłoski o ludziach były nieprawdziwe. Ale jaka szkoda, że ten młody Lydgate ożenił się z jakąś panną z Middlemarch. Zważywszy, że nie jest synem byle kogo, mógłby poślubić kobietę z dobrą krwią w żyłach, niezbyt młodą, która by się pogodziła z tym jego zawodem. Na przykład Clara Harfager, która ma posag, a której rodzina nie wie, co z nią zrobić. Moglibyśmy ją wówczas mieć tu, wśród nas. Ale cóż, nic nie przyjdzie z tego, że się ma rozum za kogoś. Gdzie jest Celia? Chodźmy do domu.

– Ja jadę zaraz do Tipton – powiedziała Dorotea nieco wyniośle. – Do widzenia.

Sir James, odprowadzając ją do powozu, nie powiedział słowa. Był bardzo niezadowolony ze skutków swego spisku, który już go kosztował trochę skrytego upokorzenia.

Dorotea jechała wśród żywopłotów osypanych jagodami, pośród skoszonych pól, nie widząc i nie słysząc nic wokół. Nie zdawała sobie sprawy z łez, które wezbrały w jej oczach i spłynęły po policzkach. Świat stawał się okropny, nienawistny, nie było w nim miejsca na jej ufność. „To nieprawda, nieprawda” – powtarzał w niej głos, którego słuchała, lecz jednocześnie wracało natrętnie wspomnienie, zawsze połączone z niejasnym zakłopotaniem – wspomnienie tego dnia, kiedy to zastała Willa

Ladislawa u pani Lydgate i słyszała jego głos przy akompaniamencie pianina.

„Powiedział, że nigdy nie uczyniłby czegoś, czego bym nie pochwalała. Szkoda, że mu nie powiedziałam, iż tego nie pochwalam – mówiła sobie w duchu biedna Dorotea, przerzucając się od gniewu na Willa do namiętnej jego obrony. – Oni wszyscy starają się oczernić go w moich oczach, ale nie dbam o ból, jeśli on jest bez winy. Zawsze wierzyłam w jego prawość”. Takie były jej ostatnie myśli, zanim zdała sobie sprawę, że powóz wjeżdża pod sklepieniem bramy przy dozorcówce na teren parku, i szybko przycisnęła chusteczkę do oczu, kierując myśli ku sprawom, które miała załatwić. Stangret poprosił, by dała mu pół godzinki, gdyż musi wyprzęgnąć konie, jako że coś jest nie w porządku z jedną podkową, a Dorotea, mając przed sobą chwilę odpoczynku, zdjęła rękawiczki i kapelusz i wspierając się o statuę w hallu, rozmawiała z gospodynią. Wreszcie powiedziała:

– Zostanę tu jeszcze chwilę. Pójdę do biblioteki i spiszę dla pani polecenia stryjaszka z jego listu, jeśli zechce pani otworzyć mi żaluzje.

– Są otwarte, proszę pani – odparła pani Kell, idąc za Doroteą, która już ruszyła w stronę biblioteki. – Jest tam pan Ladislaw, który czegoś szuka.

(Will przyszedł po tekę ze swoimi szkicami, o których zapomniał był, kiedy pakował swe ruchomości, a których nie chciał zostawiać).

Wydało się Dorotei, że serce jej się zatrzymuje, jakby otrzymało cios, lecz nie stanęła: w istocie świadomość, że Will tu jest, sprawiła jej w tym momencie ogromne zadowolenie jak widok drogocennego przedmiotu, który nam zaginął. Podeszedszy do drzwi, zwróciła się do pani Kell:

– Proszę wejść pierwsza i uprzedzić pana, że idę.

Will odnalazł swoją tekę i położył na stole stojącym na krańcu pokoju, chcąc przejrzeć szkice i sprawić sobie przyjemność spojrzeniem na owo

pamiętne dzieło sztuki, którego związek z naturą okazał się zbyt tajemniczy dla Dorotei. Wciąż się jeszcze do niego uśmiechał, potrząsając szkicami, by wyrównać ich brzegi, a jednocześnie myślał, że może zastanie list od Dorotei po powrocie do Middlemarch, kiedy pani Kell, stając tuż obok, powiedziała:

– Idzie tu pani Casaubon, proszę pana.

Will obrócił się gwałtownie, a w następnej chwili ukazała się Dorotea; przywitali się, gdy pani Kell zamykała drzwi: oboje patrzyli na siebie i coś, co było nie do wypowiedzenia, przesłoniło im poczucie rzeczywistości. Milczeli nie dlatego, że byli zmieszani, oboje bowiem czuli, że rozstanie jest bliskie, a w smutnym rozstaniu nie ma miejsca na zakłopotanie.

Ruszyła bezwiednie ku fotelikowi stryja za biurkiem, a Will, odsunąwszy go dla niej, przeszedł kilka kroków i stanął naprzeciwko.

– Proszę, niech pan usiądzie. – Dorotea skrzyżowała ręce na kolanach. – Rada jestem, że pana tu zastała. – Will pomyślał, że jej twarz wygląda zupełnie tak samo jak wówczas, kiedy po raz pierwszy ścisnęli sobie dłonie w Rzymie, gdyż spięty z kapeluszem wdowi czepek pozostał w hallu, a na policzkach znać było ślady świeżych łez. Domieszka gniewu, jaka kryła się w zdenerwowaniu Dorotei, pierzchała na widok Willa: zawsze, kiedy tak stali twarzą w twarz, ogarniało ich poczucie ufności i radosnej swobody, które rodzą się ze wzajemnego zrozumienia – jakże by więc cudze słowa mogły temu nagle stanąć na przeszkodzie? Niechże muzyka, która bierze naszą ziemską powłokę we władanie i wypełnia powietrze, zabrzmi znów – cóż z tego, że się przedtem słyszało krytyczne o niej zdanie?

– Wysłałem dzisiaj list do Lowick Manor, prosząc o pozwolenie odwiedzenia pani – zaczął Will i usiadł naprzeciw niej. – Wyjeżdżam zaraz, a nie mogłem tego zrobić, nie pomówiwszy wpieryz z panią.

– Sądziłam, żeśmy się rozstali, kiedy był pan w Lowick przed wieloma

tygodniami. Wówczas pan mówił, że opuszcza Middlemarch. – Głos Dorotei drżał lekko.

– Tak, ale nie wiedziałem wtedy o rzeczach, które dzisiaj są mi wiadome, rzeczach, które zmieniły moje nastawienie do przyszłości. Kiedy wówczas z panią rozmawiałem, marzyłem, że będę mógł kiedyś powrócić. Teraz, sądzę, że to się nigdy nie stanie.

– Pragnie pan, żebym się dowiedziała dlaczego? – spytała nieśmiało.

– Tak – odparł gwałtownie Will, odrzucając w tył głowę i z wyrazem poirytowania odwracając wzrok od Dorotei. – Oczywiście, że muszę tego pragnąć. Zostałem karygodnie znieważony w pani oczach i w oczach innych. Przypisano mi cechy nikczemne. Chcę, aby pani wiedziała, że w żadnych okolicznościach nie poniżyłbym się do... w żadnych okolicznościach nie dałbym nikomu możliwości powiedzenia, że szukałem pieniędzy pod pretekstem, że szukam czegoś innego. Zbędna była ta asekuracja przede mną, bogactwo jest wystarczającą asekuracją.

Mówiąc ostatnie słowa, wstał i ruszył – nie bardzo wiedząc dokąd, okazało się jednak, że do znajdującego się najbliżej okna w wykuszu, które tak samo jak teraz stało otwarte rok temu o tej samej porze, kiedy rozmawiali tu oboje z Dorotą. Całym sercem wybiegała ku niemu, dzielając jego oburzenie; pragnęła go tylko zapewnić, że nigdy nie wyrządziła mu niesprawiedliwości – a tu on odwraca się od niej, jakby i ona również była częścią tego wrogięgo świata.

– Byłoby nieładnie, gdyby pan przypuszczał, że mu kiedykolwiek przypisywałam nikczemność – zaczęła. A potem, starając się go ze swoją zwykłą żarliwością przekonać, podniosła się i stanęła przed nim na swoim starym miejscu w wykuszu, mówiąc: – Czy pan sądzi, że mu kiedykolwiek nie dałam wiary?

Will, ujrzawszy ją przed sobą, drgnął i cofnął się, unikając jej spojrzenia. Ten odruch, w połączeniu z tonem gniewu, jaki poprzednio brzmiał w jego

głosie, sprawił Dorotei przykrość. Chciała mu właśnie powiedzieć, że dla niej to równie ciężkie, jak dla niego, i że jest bezradna, ale różne osobliwe szczegóły w ich wzajemnych stosunkach, o których ani jedno, ani drugie nie mogło jasno mówić, kazały jej zawsze się obawiać, że powie zbyt wiele. W tej chwili nie sądziła, by Will, bez względu na sytuację, chciał się z nią ożenić, i lękała się słów, które mogłyby sugerować nawet cień takiego przekonania. Powiedziała więc tylko poważnie, nawiązując do jego ostatniej wypowiedzi:

– Jestem pewna, że nigdy nie była potrzebna żadna asekuracja przed panem.

Will milczał. Miotany gwałtownymi uczuciami, miał wrażenie, że jej słowa są okrutnie obojętne, i stał tak, błądy i nieszczęsny, po swoim ostatnim wybuchu. Podszedł do stołu i zawiązał tekę, a Dorotea przyglądała mu się z pewnej odległości. Marnowali te ostatnie wspólne chwile na żalosne milczenie.

Cóż miał jej powiedzieć, kiedy jego myśli zajmowała uporczywa i przede wszystkim namiętna miłość do niej, miłość, o której zabronił sobie mówić. Cóż miała powiedzieć ona – jeśli nie mogła mu w niczym pomóc, jeśli zmuszona była zachować pieniądze, które winny należeć do niego? Jeśli dzisiaj nie reagował jak dawniej na okazywane mu przez nią pełne zaufanie i sympatię?

Lecz Will zostawił wreszcie teki i wrócił do okna.

– Muszę iść – powiedział z tym szczególnym wyrazem oczu, który towarzyszy niekiedy gorzkim uczuciom, jakby zmęczyły się i wypaliły, patrząc z bliska na światło.

– Co będzie pan dalej robił w życiu? – zapytała nieśmiało. – Czy zamiary pana są takie same jak wówczas, kiedyśmy się żegnali?

– Tak – odparł tonem, który jakby odsuwał ten temat jako mało interesujący. – Przyjmę pierwszą ofiarowaną mi pracę. Sądzę, że człowiek

może przyzwyczaić się do obywania bez szczęścia.

– Och, jakie smutne słowa! – zawołała Dorotea głosem niebezpiecznie bliskim szloch. Potem dodała, próbując się uśmiechnąć: – Doszliśmy kiedyś do zgodnego wniosku, że upodabnia nas skłonność do przesadnych wypowiedzi.

– Nie mówiłem przesadnie – Will odchylił się i wsparł o występ ściany. – Przez pewne rzeczy człowiek może przejść w życiu tylko raz i kiedyś, któregoś dnia, musi sobie zdać sprawę, że to, co najlepsze, jest już za nim. Takie przeżycie stało się moim udziałem, gdy jestem jeszcze bardzo młody, i tyle. To, co jest mi droższe niż wszystko, o co kiedykolwiek mógłbym zabiegać, jest mi zakazane, nie dlatego tylko, że jest dla mnie nieosiągalne, ale zakazane, nawet gdyby było osiągalne; zabrania mi tego duma i honor – wszystko, za co mam do siebie szacunek. Będę, rzecz jasna, żył jak człowiek, który zobaczył w transie niebo.

Will przerwał, uważając za niemożliwe, by Dorotea nie zrozumiała jego słów. Sądził nawet, że mówiąc do niej w ten sposób, postępując sprzecznie ze swymi uprzednimi postanowieniami, ale przecież trudno uważać, że ktoś zabiega o względy kobiety, mówiąc jej, że nigdy o te względy zabiegać nie będzie. Trzeba by to uznać za upiorny rodzaj zabiegania.

Lecz myśli Dorotei cofnęły się nagle ku przeszłości, wywołując obraz zupełnie inny. Przez chwilę zatętniło w jej sercu przypuszczenie, że to ona może być tym, co dla Willa najdroższe, jednak zaraz przyszła wątpliwość: wspomnienie tej odrobiny wspólnych przeżyć skurczyło się i zbladło wobec wyobrażenia, o ile pełniejszy mógłby być kontakt Willa z kimś innym, z kim nieustannie obcuje. Wszystko to, co powiedział, mogło się odnosić do innej osoby, to zaś, co zaistniało między nim a nią, całkowicie mieściło się w pojęciu zwykłej przyjaźni, której w okrutny sposób położył kres krzywdzący uczynek jej męża. Dorotea stała w milczeniu,

spuściwszy ociężałe powieki, a nachodzące ją wyobrażenia utwierdzały w niej okropną pewność, że Willowi chodziło o panią Lydgate. Czemu jednak okropną? Pragnął ją zapewnić, że w tej sprawie jego postępowanie jest ponad wszelkie podejrzenia.

Willa nie dziwiło jej milczenie. Gdy na nią patrzył, w głowie również kłębiły mu się jakieś szalone myśli, że musi się stać coś, co zapobiegnie ich rozstaniu – jakiś cud, ale na pewno nie będzie to rozmyślnie wypowiedziane przez jedno z nich słowo. Ale przecież – czy ona kocha go choć trochę? Nie potrafił udawać przed sobą, że wołałby, aby jej to cierpienie nie dotyczyło. Nie mógł zaprzeczyć, że u źródła wszystkich jego słów leży skryte pragnienie, by go zapewniła o swojej miłości.

Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, jak długo tak stali. Dorotea podniosła właśnie wzrok i miała coś powiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich jej służący.

– Konie gotowe, jaśnie pani, ruszymy, kiedy tylko pani każe.

– Niebawem – odparła. Potem, zwracając się do Willa, dodała:

– Muszę jeszcze spisać rozporządzenia dla gospodyni.

– Na mnie już pora – odezwał się Will, gdy drzwi zamknęły się za służącym, i podszedł do niej. – Pojutrze opuszczę Middlemarch.

– Postąpił pan pod każdym względem właściwie – powiedziała cicho Dorotea, czując w sercu ucisk, który sprawiał, że trudno jej było mówić.

Wyciągnęła do niego rękę, którą ujął na chwilę w milczeniu, jej słowa bowiem wydały mu się okrutnie zimne i niepodobne do niej. Wzrok ich się spotkał, lecz w jego oczach był zawód, a w jej – tylko smutek. Odwrócił się i wziął tekę pod pachę.

– Nigdy nie byłam wobec pana niesprawiedliwa. Proszę, niech pan o mnie pamięta – powiedziała, tłumiąc wzbierający szloch.

– Czemu pani to mówi? – spytał Will z rozdrażnieniem. – Jakby mi nie groziło to, że zapomnę o wszystkim innym.

Doprawdy, w tym momencie czuł przyływ gniewu na nią i to kazało mu bezzwłocznie wyjść. Wszystko wydało się Dorotei niemal jednoczesne – ostatnie jego słowa – ukłon na odległość, gdy doszedł do drzwi – świadomość, że już go nie ma. Dorotea opadła na krzesło i przez chwilę siedziała jak posąg, poddając się fali napływających wyobrażeń i emocji. Najpierw przyszła radość – choć tuż za nią stawał już groźny szereg – radość z przeświadczenia, że to ją naprawdę kocha Will i jej się wyrzeka, że naprawdę nie istnieje żadna inna miłość, bardziej naganna i bardziej godna potępienia, której zabraniał mu honor. Zostali rozdzieleni, tak czy inaczej, ale – Dorotea wciągnęła głęboko powietrze i czuła, jak wracają jej siły – myśleć może o nim bez przeszkód. W tym punkcie rozstanie było łatwe do zniesienia: nowe dla niej poczucie, że kocha i jest kochana, odpędziło smutek. Twardy, lodowaty ucisk stopniał, a świadomość uzyskała przestrzeń do życia: powróciła przeszłość z obszerniejszym teraz komentarzem. Nieodwołalne rozstanie nie umniejszało radości, może ją w tym momencie dopełniało – gdyż nie do pomyślenia były odtąd czyjekolwiek zarzuty czy zdziwione, pogardliwe spojrzenia. Postąpił tak, by dać odprawę wszelkim zarzutom, a zdumienie odziać w szacunek.

Każdy, kto by się jej przyglądał, musiałby dostrzec, że krzepi ją jakaś myśl. Kiedy działa w nas radośnie i swobodnie twórcza siła, traktujemy drobne prośby o naszą uwagę jak szczeliny, przez które prześwieca słońce, i Dorotea bez trudu spisała polecenia dla gospodyni. Rozmawiała z nią przed wyjazdem pogodnie, a gdy usiadła w powozie, oczy jej błyszczały, a policzki płonęły pod melancholijnym czepeczkiem. Odrzuciła gęsty welon i patrząc przed siebie, zastanawiała się, jaką drogą poszedł Will. Odczuwała w sposób naturalny dumę z jego niewinności i nad wszystkimi uczuciami brała górę myśl: miałam słuszność, żem go broniła.

Stangret zwykł był prowadzić swoje siwki wyciągniętym klusem, gdyż pan Casaubon zawsze źle się czuł i niecierpliwił, będąc z dala

od biurka, toteż chciał, by każda podróż jak najszybciej się skończyła; Dorotea jechała więc szybko. Podróż była przyjemna, gdyż nocny deszcz zmył kurz, a wysoko w górze, z dala od kłębiących się szarych chmur, rozpościerało się błękitne niebo. Pod tymi niebiosami ziemia wydawała się całkiem miłym miejscem i Dorotea zapragnęła dogonić Willa i zobaczyć go raz jeszcze.

Zobaczyła go za zakrętem drogi; siedł z teką pod pachą. W następnej chwili mijala go: uchylił kapelusza, a ona uczuła ból w sercu, że oto siedzi tutaj, niemal w uniesieniu, a on zostaje w tyle. Nie potrafiła odwrócić za nim głowy. Wydawało się, że jakiś gąszcz obojętnych przedmiotów wepchnął ich na rozstajne drogi i powiększa dzielącą ich odległość, sprawiając, że nie ma po co się oglądać. Tak samo nie mogła uczynić znaku, który by mówił: „Czy musimy się rozstawać?”, jak nie mogła zatrzymać powozu i zaczekać na Willa. Ile to argumentów podnosiło się przeciwko każdej, choćby najdrobniejszej myśli o takiej przyszłości, która mogłaby zmienić dzisiejszą decyzję.

– Szkoda, że nie wiedziałam przedtem... szkoda, że on nie wiedział... moglibyśmy być wówczas całkiem szczęśliwi, myśląc o sobie, choć jesteśmy rozdzieleni na zawsze. I gdybym choć mogła dać mu pieniądze i sprawić, żeby mu było trochę lżej – takie tęskne myśli opadały ją najbardziej uporczywie. Choć jednak miała w sobie tyle siły i niezależności, opinia świata mocno ważyła na jej zdaniu, gdyż mimo obrazu Willa, potrzebującego pomocy i traktowanego przez ten świat krzywdząco, sądziła w dalszym ciągu, iż nie przystoją jej żadne bliższe z nim kontakty, gdyż tak uważali wszyscy z jej otoczenia. W pełni podzielała przekonanie, że impulsy, które pchnęły Willa do takiego postępowania, są nakazem moralnym. Jakże mógłby marzyć, by ona kiedykolwiek zlekceważyła przeszkodę, jaką postawił między nimi jej mąż? Jakże ona mogłaby sobie kiedykolwiek wyobrazić, że ją zlekceważy?

Pewność Willa, któremu ginął z oczu malejący powóz, miała w sobie o wiele więcej goryczy. Wystarczyły drobiazgi, by wprowadzić go w nastrój przewrażliwienia: widok mijającej go w powozie Dorotei, podczas gdy on wlecze się jak nieszczęśnik, szukając sobie miejsca w świecie, który – jak sądził w obecnym nastroju – ma mu niewiele do ofiarowania, sprawiał, że w swej decyzji widział konieczność, co odbierało mu poczucie satysfakcji z dokonanego wyboru. Nie miał przecież pewności, że Dorotea go kocha: czy jakkolwiek mężczyzna będzie w takiej sytuacji udawał, że jest rad, iż całe cierpienie jemu tylko przypadło w udziale?

Ten wieczór spędził Will u Lydgate'ów. A następnego wieczoru wyjechał.

KSIEGA SIÓDMA
DWA POKUSZENIA

ROZDZIAŁ LXIII

Mały człek widzi wielkość w małych rzeczach.

Oliver Goldsmith, *The Traveller*

– Często pan ostatnio widuje swojego naukowego feniksa, Lydgate’a? – spytał pan Toller sąsiada po prawej ręce, pastora Farebrothera, podczas przyjęcia, jakie urządził u siebie na Boże Narodzenie. – Z przykrością muszę powiedzieć, że niezbyt często – odparł zapytany, który przywykł odpierać kpiny pana Tollera z jego wiary w nowe światło w medycynie. – Ja mieszkam na uboczu, a on jest zbyt zajęty.

– Naprawdę? Rad jestem to słyszeć. – W słowach doktora Minchina gadka uprzejmość mieszała się ze zdziwieniem.

– Ogromnie dużo czasu poświęca nowemu szpitalowi. – Pastor Farebrother miał swoje powody, by kontynuować temat. – Słyszę o tym od mojej sąsiadki, pani Casaubon, która tam często bywa. Powiada, że Lydgate jest wprost niezmordowany i robi wspaniałą instytucję z przedsięwzięcia Bulstrode’a. Przygotowuje nowy oddział na wypadek, gdyby nawiedziła nas cholera.

– I szykuje teorie leczenia, które zapewne będzie eksperymentował na pacjentach – podsunął pan Toller.

– Niechże pan będzie bezstronny, panie Toller – obruszył się pastor. – Ma pan dosyć rozsądku, by wiedzieć, ile dobrego wnosi świeży, śmiały umysł do medycyny, i zresztą do wszystkich innych dziedzin. Jeśli zaś mowa o cholercze, to wydaje mi się, że nikt z panów nie jest zbyt pewny, co z tym fantem zrobić. Człowiek, który za daleko zaszedł nową ścieżką,

wyrządza na ogół większą krzywdę sobie niż innym.

– Nie wątpię, że pan i pan Wrench powinniście być mu wdzięczni – zwrócił się do Tollera doktor Minchin – bo przysłał wam śmietankę pacjentów Peacocka.

– Lydgate żyje na szerokiej stopie jak na młodego, początkującego lekarza – zauważył pan Henry Toller, piwowar. – Przypuszczam, że pomaga mu ta jego rodzina z Północy.

– Mam nadzieję – przytaknął pan Chichely – inaczej nie powinien był się żenić z tą miłą panną, którą tak bardzo lubiliśmy. Do diaska, zawsze ma się pretensje do człowieka, co sprząta innym sprzed nosa najładniejszą pannę w okolicy.

– To prawda. I w dodatku najlepszą – zgodził się pan Standish.

– O ile mi wiadomo, mój przyjaciel Vincy nie był szczególnie zachwycony tym mariażem – mówił pan Chichely. – On im tam wiele nie da. Jaka się okazała rodzina z tamtej strony, nie wiem. – Pan Chichely wypowiadał się ze znaczącą powściągliwością.

– Och, nie sądzę, żeby Lydgate szukał kiedykolwiek praktyki dla zarobku. – W głosie pana Tollera pobrzmiwał lekki sarkazm i na tym skończyła się rozmowa na temat Lydgate’a.

Nie był to pierwszy wypadek, kiedy do uszu pastora Farebrothera doszły wzmianki o wydatkach Lydgate’a, wyraźnie przekraczających jego dochody, uważał jednak za wcale prawdopodobne, że doktor ma jakieś zasoby i widoki, które tłumaczą poważne nakłady, jakie poczynił, żeniąc się, i które zapobiegną konsekwencjom kurczącej się praktyki. Pewnego wieczoru podjął trud pójścia do Middlemarch specjalnie po to, by pogadać z doktorem jak za dawnych czasów; stwierdził, że jest napięty i podniecony, nie tak, jak bywało dawniej, kiedy to zwykł swobodnie milczeć lub przerywał znieścacka milczenie, jeśli miał coś do powiedzenia. Tym razem, gdy siedzieli w pracowni, Lydgate mówił

nieustannie, wysuwając argumenty za i przeciw prawdziwości pewnych poglądów w biologii, nie miał jednak do powiedzenia ani wykazania nic konkretnego, żadnej obserwacji, jakie na drodze systematycznych, cierpliwych poszukiwań stanowią kamienie milowe, których sam od siebie żądał, powiadając: „We wszystkich badaniach musi być skurcz i rozkurcz”, oraz: „Umysł ludzki musi się bezustannie rozszerzać i kurczyć pomiędzy horyzontem człowieka i horyzontem obiektu mikroskopu”. Wydawało się, że gada tak bez przerwy, nie chcąc dopuścić do poruszenia jakichkolwiek tematów osobistych; po niedługim czasie przeszli do salonu, gdzie Lydgate, poprosiwszy Rozamundę, by zagrała, opadł w milczeniu na krzesło z dziwnym światłem w oczach. „Niewykłuczone, że bierze opiaty – przebiegło przez myśl pastora. – Może ma *tic-douloureux* albo jakieś medyczne kłopoty”.

Nie przyszło mu do głowy, iż małżeństwo Lydgate’a nie jest usłane różami: sądził, jak pozostali, że Rozamunda to miła, uległa istota, choć jego zdaniem mało interesująca – zbytnio mu przypominała model z prospektu szkoły dobrych manier, a jego matka nie mogła jej wybaczyć, że nigdy nie zauważała obecności Henrietty Noble w pokoju. „Tak czy inaczej, Lydgate się w niej zakochał – mówił sobie pastor – musi więc być w jego guście”.

Pastor Farebrother zdawał sobie sprawę, że doktor jest człowiekiem dumnym, lecz sam nie mając podobnej natury i może zbyt mało dbając o osobistą godność, prócz tej, która wynika ze świadomości, że się nie jest człowiekiem podłym czy głupim – nie mógł zrozumieć, dlaczego Lydgate unika jak ognia powiedzenia jednego słowa na temat swoich osobistych spraw.

Wkrótce zaś po owej rozmowie u pana Tollera pastor dowiedział się czegoś, co kazało mu tym pilniej wyglądać okazji, która by mu pozwoliła dać doktorowi do zrozumienia, że jeśli chce otworzyć się i pogadać o

swoich kłopotach, ktoś przyjazny chętnie nastawi ucha.

Sposobność nadarzyła się u państwa Vincy podczas noworocznego przyjęcia, na które pastor otrzymał zaproszenie nie do odrzucenia, argumentowano bowiem, że w pierwszy Nowy Rok swoich duszpasterskich sukcesów, kiedy to jest nie tylko wikarym, lecz także i plebanem, nie może zapominać o starych przyjaciółach. Była to ciepła, miła uroczystość: obecne były wszystkie panie z rodziny pastora, również dzieci państwa Vincy siedziały przy stole, a Fred wytłumaczył matce, że jeśli nie zaprosi Mary Garth, Farebrotherowie uznają to za osobisty afront, gdyż Mary jest im bardzo bliska. Mary przyszła i Fred wpadł w wyborny humor, choć była to radość w kratkę – cieszył się, że matka widzi, w jak wielkiej Mary jest estymie u najważniejszych zaproszonych osobistości, a jednocześnie poczuł zazdrość, gdy usiadł przy niej pastor Farebrother. Fred był o wiele bardziej pewny swoich zalet w czasach, gdy jeszcze nie zaczął się obawiać, że pastor go „wykosi”, a ta straszna obawa nadal go dręczyła. Pani Vincy, matrona w szczycie dojrzalego rozkwitu, spoglądała na drobną postać Mary, na jej gęste, kręcone włosy i płeć bez lilii i róż i starała się – bezskutecznie – wmówić w siebie, że będzie jej zależało na tym, by Mary dobrze wyglądała w sukni ślubnej, czy też, że będzie rada z wnuków, przypominających Garthów. Mimo to przyjęcie było wesołe, a Mary rozmawiała ze szczególnym ożywieniem – rada, że względu na Freda, że jego bliscy okazują jej większą życzliwość, a również całkiem skora do pokazania im, jak wysoko ją cenią inni, w których muszą uznać godnych sędziów.

Pastor Farebrother zauważył, że Lydgate sprawia wrażenie apatycznego i że pan Vincy rzadko się odzywa do zięcia. Rozamunda była doskonale urocza i spokojna i tylko wnikliwa obserwacja, do jakiej nic pastora nie pobudziło, pozwoliłaby stwierdzić całkowity brak zainteresowania obecnością męża, zainteresowania, jakie kochająca żona niechybnie

zdradza, nawet jeśli etykieta każe jej trzymać się z dala od niego. Gdy Lydgate zabierał głos w rozmowie, nie odwracała ku niemu wzroku, niby rzeźba Psyche wymodelowana tak, by spoglądać w innym kierunku: a kiedy go wywołano i wrócił po godzinie czy dwóch do pokoju, wydawało się, że tego nie zauważyła, choć półtora roku temu ten fakt znaczący dla niej tyle, co cyfra przed zerami. W rzeczywistości jednak była bardzo świadoma jego głosu i poruszeń, a jej wdzięczna, łagodna poza oderwania od rzeczywistości była wystudiowaną negacją, którą wyrażała swój wewnętrzny protest przeciwko mężowi, nie uchybiając dobremu wychowaniu. Kiedy panie przeszły do salonu, po wywołaniu Lydgate'a przy deserze, pani Farebrother, znalazłszy się blisko Rozamundy, zauważyła:

– Musi się pani bardzo często wyrzekać towarzystwa swojego męża.

– Tak, życie lekarza wymaga wielu poświęceń, zwłaszcza kiedy tak jest oddany swemu zawodowi jak mój małżonek – odparła stojąc i zakończywszy tę krótką poprawną wypowiedź, odeszła spokojnie dalej.

– Strasznie się nudzi bez towarzystwa – skarżyła się pani Vincy, która siedziała obok starszej damy. – Takem właśnie myślała, jak się do niej przeniosłam, kiedy była chora. Widzi pani, nasz dom to pogodny dom. Ja sama mam pogodne usposobienie, a mój małżonek lubi, jak się ciągle coś dzieje. Rozamunda do tego przywykła. Co to za porównanie z mężem, który wychodzi o najróżniejszych godzinach i nigdy nie wiadomo, o której wróci, i taki przy tym zamknięty w sobie i dumny, jak mi się zdaje. – W tym miejscu niedyskretna pani Vincy zniżyła nieco głos. – Ale Rozamunda miała zawsze anielskie usposobienie: bracia bardzo często sprawiali jej przykrość, a ona nigdy się nie gniewała. Od dziecka była zawsze taka dobra, taka dobra i cerę miała jak mało kto! Ale wszystkie moje dzieci mają dobre usposobienia, Bogu niech będą dzięki.

Łatwo w to było uwierzyć każdemu, kto patrzył, jak pani Vincy

odrzuca szerokie wstążki czepeczka i uśmiecha się do swoich trzech małych córeczek w wieku od siedmiu do jedenastu lat. Lecz musiała tym uśmiechniętym spojrzeniem objąć również Mary Garth, którą owe trzy dziewczynki zapędziły do kącika, by im opowiadała bajki, Mary kończyła właśnie cudowną opowieść o Rumpelstilzchenie, którą umiała na pamięć, gdyż Letty nieznużenie opowiadała ją nieoświeconym dorosłym, trzymając w ręku ulubiony czerwony tom. Luiza, pieszczoszka swojej mamy, podbiegła do niej z oczyma rozszerzonymi prawdziwym podnieceniem, wołając:

– Och, mamó, mamó, ten mały człowieczek tak mocno tupnął w podłogę, że nie mógł z niej wyciągnąć nogi!

– Mój ty aniołku! – powiedziała mama. – Opowiesz mi to wszystko jutro. Idź teraz i słuchaj – po czym, gdy odprowadziła wzrokiem Luizę do owego fascynującego kącika, pomyślała, że jeśli Fred zechce, żeby ponownie zaprosiła Mary, nie będzie się opierała, bo dzieci tyle mają z tego przyjemności.

Lecz po chwili kącik ożywił się jeszcze bardziej, gdyż znalazł się w nim pastor Farebrother, który usiadł obok Luizy i wziął ją na kolana; wówczas dziewczynki zażądały, by posłuchał opowieści o Rumpelstilzchenie i by Mary opowiedziała ją jeszcze raz od początku. On tego również zażądał i Mary, nie robiąc żadnych ceregieli, zaczęła opowieść na swój wdzięczny sposób, tymi samymi słowami, co poprzednio. Fred, który usadowił się nieopodal, mógłby odczuwać tylko triumfalną radość z talentów Mary, gdyby nie to, że pastor spoglądał na nią z nieukrywanym zachwytem, okazując jednocześnie udratyzowane zainteresowanie opowieścią, by sprawić dzieciom przyjemność.

– Już nie będzie cię nigdy ciekawił mój jednooki olbrzym Loo – stwierdził na koniec Fred.

– Oczywiście, że będzie. Opowiedz teraz o nim – poprosiła Luiza.

– Och, ja zostałem wyeliminowany z gry. Poproś pastora Farebrothera.

– Tak – przyłączyła się Mary. – Poproś pastora, żeby ci opowiedział o tych mrówkach, którym olbrzym, imieniem Tom, zburzył dom i myślał, że one nic sobie z tego nie robią, bo nie słyszał, jak płaczą, i nie widział, jak wycierają oczy chusteczkami.

– Proszę! – Luiza podniosła wzrok na pastora.

– Nic z tego, jestem poważny stary pastor. Kiedy próbuję wyciągnąć opowiadanie z mojego worka, wychodzi mi kazanie. Czy chcesz posłuchać kazania? – zapytał, nasadzając na nos okulary krótkowidza i wydymając wargi.

– Proszę – powtórzyła Luiza niepewnym głosem.

– No więc pomyślmy. Kazanie przeciwko ciastkom: o tym, że ciastka to rzecz zła, zwłaszcza jeśli są słodkie i mają śliwkę w środku.

Luiza potraktowała to poważnie, zsunęła się z kolan pastora i powędrowała do Freda.

– Aha, widzę, że nie należy prawić kazań w Nowy Rok – pastor podniósł się i odszedł. Zrozumiał ostatnio, że Fred zrobił się o niego zazdrosny, a również i to, że on sam wcale nie przestał stawiać Mary na pierwszym miejscu spośród wszystkich kobiet na świecie.

– Cóż to za urocza kobieta ta panna Garth – zauważyła pani Farebrother, która obserwowała poruszenia syna.

– Tak – przyznała pani Vincy, zmuszona do odpowiedzi, gdyż rozmówczyni zwróciła się do niej wyczekująco. – Szkoda tylko, że nie jest ładniejsza.

– Z tym się zgodzić nie mogę – odparła stanowczo pani Farebrother. – Bardzo lubię jej buzię. Nie trzeba żądać urody, jeśli dobry Bóg uznał za wystarczające stworzyć doskonałą młodą kobietę bez tej właściwości. Ja stawiam na pierwszym miejscu dobre maniery, a panna Garth zawsze i wszędzie będzie wiedziała, jak się zachować.

Starsza dama mówiła dosyć ostro, sądziła bowiem, że Mary zostanie w przyszłości jej synową; a że stosunek Mary do Freda zawierał tę niedogodność, iż nie można go było ujawniać, trzy panie na plebanii w Lowick wciąż miały nadzieję, że Camden wybierze pannę Garth na żonę.

Weszli nowi goście i salon wypełniła muzyka i zabawy, podczas gdy w cichym pokoju, po przeciwnej stronie hallu, rozstawiono stoliki do wista. Pastor zagrał roberka, by sprawić przyjemność matce, która uważała, że grając od czasu do czasu w wista opowiada się przeciw plotkarstwu i nowinkarstwu, wskutek czego nawet jej błąd w grze nosi znamię dostojęstwa. Wreszcie jednak oddał swoje miejsce panu Chichely i wyszedł z pokoju. Gdy przechodził przez hall, Lydgate wracał właśnie i zdejmował okrycie.

– Jest pan człowiekiem, którego szukam – powiedział pastor i obaj, zamiast wejść do salonu, stanęli w hallu przed kominkiem, do którego przy mroźnej pogodzie nasypano obficie węgla. – Jak pan widzi, mogę bez trudu wstać od stolika karcianego – ciągnął, uśmiechając się do doktora – teraz, kiedy już nie gram dla pieniędzy. Zawdzięczam to panu, jak twierdzi pani Casaubon.

– Jakim sposobem? – spytał chłodno Lydgate.

– Och, chciałby pan to zataić: uważam to za małoduszną powściągliwość. Powinien pan pozwolić, by człowiek się cieszył, że zrobił mu pan przysługę. Nie podzielam niechęci, z jaką niektórzy myślą o swoich zobowiązaniach. W gruncie rzeczy wolę czuć się zobowiązany wobec wszystkich za to, że się przyzwicie w stosunku do mnie zachowują.

– Nie wiem, co pan ma na myśli – odparł doktor – chyba to tylko, że raz rozmawiałem o panu z panią Casaubon. Nie sądziłem jednak, że nie dochowa sekretu i powie o tym – Lydgate wsparł się o gzyms kominka, twarz miał w dalszym ciągu pochmurną.

– To Brooke się wygadał, kilka dni temu zaledwie. Złożył mi

komplement, powiadając, iż rad jest, że dostał prebendę, chociaż pan pokrzyżował jego zamiary, wychwalając mnie pod niebiosa jak Ken i Tillotson^[125], ma się rozumieć, w związku z czym pani Casaubon nie chciała słyszeć o nikim innym.

– Och, Brooke to gaduła i głupiec – stwierdził z pogardą Lydgate.

– No cóż, wobec tego rad jestem z jego gadulstwa. Nie rozumiem, czemu pan nie chciał, abym się dowiedział, że stara mi się pan pomóc, drogi panie? A pomógł pan, i to jeszcze jak. Bardzo trudno dobrze o sobie myśleć, znając zależność własnych dobrych poczynań od braku kłopotów finansowych. Człowiek, który nie potrzebuje diabelskich usług, nie ulega pokusie odmawiania *Ojczy nasz* w odwrotnym porządku, by zadowolić diabła. Teraz już nie muszę być zależny od łutu szczęścia.

– Nie sądzę, żeby można było zdobyć pieniądze bez łutu szczęścia – powiedział Lydgate. – Jeśli człowiek zarabia na życie pracą zawodową, może zdobyć pieniądze tylko dzięki przypadkowi.

Zdawało się pastorowi, że te słowa, tak uderzająco odmienne od wszystkiego, co Lydgate zwykł był dawniej mówić, to tylko zwykła przekora, częsty rezultat złego nastroju człowieka będącego w kłopotach. Odparł więc tonem dobrodusznego potakiwania:

– Tak, trzeba mieć ogromną cierpliwość do tego świata. Ale łatwiej jest człowiekowi czekać cierpliwie, jeśli ma przyjaciół, którzy mu są oddani i nie pragną nic ponad to, by go wesprzeć w miarę swych możliwości.

– O, tak – zauważył niedbałym tonem Lydgate, zmieniając pozycję i patrząc na zegarek. – Ludzie robią ze swoich kłopotów o wiele większy problem, niż to potrzebne.

Rozumiał doskonale, że pastor ofiarowuje mu swoją pomoc, i nie mógł tego znieść. Dziwnie zostaliśmy uformowani my, śmiertelnicy; Lydgate długo się cieszył świadomością, że wyświadczył skrycie przysługę

[125] Słynni siedemnastowieczni teologowie anglikańscy.

pastorowi, ale na myśl, że ten zauważył, iż on w zamian potrzebuje pomocy, natychmiast się cofnął i zamknął w sobie jak ślimak. Poza tym – cóż mogłoby nastąpić po przyjęciu tej oferty? Gdyby „wspomniął o swoich trudnościach”, znaczyłoby, że potrzebuje czegoś konkretnie. W tym momencie samobójstwo wydawało mu się łatwiejsze.

Pastor Farebrother był człowiekiem zbyt przenikliwym, by nie zrozumieć znaczenia tej odpowiedzi; nadto w tonie i sposobie zachowania doktora było coś ciężkiego, masywnego, jak jego fizyczna budowa, co – jeśli z punktu odrzucił wyciągniętą rękę – wykluczało jakiegokolwiek dalsze próby przekonywania.

- Która u pana godzina? – spytał pastor, skrywając urażone uczucia.
- Po jedenastej – odparł Lydgate. I weszli do salonu.

ROZDZIAŁ LXIV

Dżentelmen pierwszy:

Tam gdzie jest siła, tam wina spoczywa.

Dżentelmen drugi:

Nie, siła to rzecz względna.

Nie powstrzymasz Zarazy, twierdze budując
graniczne,

Nie złowisz karpia na zręczny argument,

Gdyż siła to dwa w jednym; nic nie znaczy

Przyczyna, która skutku nie sprowadza.

Gdy coś jest czynne, coś bierne być musi,

A rozkaz nie istnieje bez posłuchu.

Nawet gdyby Lydgate był skłonny mówić otwarcie o swoich sprawach, wiedział, że nie leży w możliwościach pastora Farebrothera udzielenie mu pomocy, jakiej pilnie potrzebował. W sytuacji, w której przychodziły właśnie roczne rachunki od kupców, kiedy zagrażał mu Dover, mający prawo do mebli, a jedyne wpływy, na jakie mógł liczyć, stanowiły drobne, kapiące należności od pacjentów, których łatwo było zrazić – pokaźne honoraria bowiem z Freshitt Hall i Lowick Manor zostały natychmiast wchłonięte – z obecnych kłopotów mogło go uratować co najmniej tysiąc funtów, z czego zostałoby mu trochę na to, co, używając ulubionych w takiej sytuacji słów niosących otuchę, „pozwoliliby mu się rozzejrzeć”.

Rzecz jasna, wesołe święta Bożego Narodzenia pociągnęły za sobą szczęśliwy Nowy Rok, termin, w którym współobywatele oczekują zapłaty za swoją pracę i towary, jakie z uśmiechem dostarczali swoim bliźnim; wzmogło to tak dalece ciśnienie przyziemnych trosk na

Lydgate'a, że nie był w stanie myśleć spokojnie o czymkolwiek innym, nawet ciekawym i zwyczajnym. Nie był człowiekiem zręcznym: żywość umysłu, żarliwa dobroć serca, a również siła i zdrowie nie pozwoliłyby mu nigdy, w znośnych warunkach, zniżyć się do okazywania małości, nieopanowanej drażliwości, czyniącej z człowieka zręde. Lecz teraz zżerała go owa najgorsza irytacja, która wynika nie tylko ze zmartwienia, ale z innej świadomości, leżącej popod zmartwieniami, świadomości marnowanej energii i upokarzających kłopotów, będących zaprzeczeniem wszystkich jego dawnych planów i celów. „To jest przedmiot moich dzisiejszych myśli; a tamto mogłoby być przedmiotem moich myśli”, rozlegał się nieustannie gorzki wewnętrzny szept, sprawiając, że każda trudność jątrzyła go w dwójnasób.

Pewni panowie odegrali niesłychaną rolę w literaturze, stwierdzając, że są głęboko rozczarowani światem, będącym nudną pułapką, w którą wpadły przypadkiem ich wspaniałe dusze; trzeba jednak przyznać, że pewną pociechę dawało im poczucie własnej wspaniałości w zestawieniu z miernotą owego świata. Rozczarowanie Lydgate'a było o wiele bardziej dolegliwe; wynikało ze świadomości, że oto, na wyciągnięcie ręki, leży możliwość wspaniałego zaistnienia zarówno w myśli, jak efektywnej działalności, gdy tymczasem on zostaje wciśnięty w ciasny korytarz egoistycznych lęków i prymitywnych pragnień, by wydarzyło się coś, co te lęki uśmierzy. Zapewne jego kłopoty wydadzą się rozpaczliwie zgrzebne, niegodne uwagi ludzi wzniosłych, którzy nie wiedzą, co to długi, chyba że na wielką skalę. Tak, były niewątpliwie zgrzebne i ludzie – a jest ich większość – którzy nie są wzniosli, mogą być od nich wolni tylko wówczas, gdy są wolni od pożądania pieniędzy wraz z wszystkim, co się z tym łączy: nikczemną nadzieją i pokusą, czekaniem na czyjaś śmierć, przymawianiem się o wsparcie, usiłowaniem, by modą końskich handlarzy zły towar sprzedać jako dobry, zabieganiem o stanowisko, które

powinno przypaść komuś innemu, i wreszcie koniecznością wyglądanania łutu szczęścia w postaci wielkiej jakiejś katastrofy.

Właśnie dlatego, że Lydgate odrzucał myśl o tak upokarzającym jarmie, popadał w przykry, zgorzkniały nastrój, co oddalało go coraz bardziej od Rozamundy. Po pierwszej rozmowie, kiedy powiedział jej o zastawie mebli, wielokrotnie starał się zdobyć jej zrozumienie i współdziałanie w zmniejszeniu wydatków, a wraz z groźbą nadchodzących świąt Bożego Narodzenia stawiał jej coraz bardziej konkretne propozycje. „Damy sobie radę z jedną służącą i możemy wydawać bardzo niewiele na życie – mówił – a mnie wystarczy jeden koń”. Jak widać, Lydgate zaczął się zastanawiać, w sposób bardziej rzeczowy, nad kosztami utrzymania, a wszelka duma, jaką wiązał z zachowaniem pozorów, była niczym w porównaniu z dumą, która kazała mu ze wstrętem myśleć o ujawnieniu swego zadłużenia czy o zwróceniu się do kogoś o finansową pomoc.

– Oczywiście, możesz zwolnić, jeśli chcesz, dwoje pozostałych służących – odparła – ale sądzę, że to będzie z wielką szkodą dla twojej pozycji, jeśli zaczniemy biednie żyć. Będziesz musiał się liczyć ze zmniejszeniem praktyki.

– Moja droga Rozamundo, to nie jest sprawa wyboru. Zaczęliśmy na zbyt wysokiej stopie. Peacock, jak wiesz, mieszkał w o wiele mniejszym domu niż nasz. To moja wina: powinienem był być rozsądniejszy i wart jestem batów – gdyby był ktoś, kto miałby mi prawo je dać – za to, że doprowadziłem cię do konieczności życia skromniej, niż przywykłaś. Ale pobraliśmy się z miłości, jak sądzę. I dzięki temu jakoś damy sobie radę, póki sprawy nie ulegną poprawie. Chodźże tu, kochanie, odłóż tę robotkę i chodź do mnie.

W istocie czuł w tej chwili w stosunku do niej posępny chłód, ale bał się przyszłości bez uczucia i postanowił opierać się grożącemu im rozbiciu. Rozamunda posłuchała i usiadła mu posłusznie na kolanach,

w głębi duszy jednak zachowywała ogromną rezerwę. Rozumiała, biedactwo, tylko to, że świat nie jest uporządkowany wedle jej gustu i że Lydgate jest częścią tego świata. Ale on objął ją w pół jedną ręką, a drugą położył łagodnie na jej dłoniach – ten dość szorstki mężczyzna okazywał wielką delikatność wobec kobiet, jakby w jego wyobraźni zawsze tkwiła świadomość słabości ich ciał i kruchości ich zdrowia, zarówno fizycznego, jak psychicznego. Zaczął mówić przekonywającym tonem:

– Teraz, kiedy się trochę wszystkiemu przyjrzałem, Rozo, widzę, jakie mnóstwo pieniędzy przepływa nam przez palce w gospodarstwie. Służba jest zapewne niedbała, no i często przyjmujemy. Ale musi być wielu ludzi równych nam pozycją, którzy dają sobie radę, żyjąc o wiele skromniej: zadowolają się, jak sądzę, rzeczami w gorszym gatunku i nie pozwalają sobie na najmniejsze marnotrawstwo. Nie trzeba wiele wydawać, żeby mieć pacjentów, gdyż Wrench żyje na bardzo niskiej stopie, a przecież ma ogromną praktykę.

– Och, jeśli myślisz o prowadzeniu życia takiego jak państwo Wrench!
– Rozamunda odwróciła nieco głowę. – Sama słyszałam, jak mówiłeś z odrazą o ich sposobie życia.

– Tak, okazują zły smak we wszystkim. Oszczędzanie jest ohydne w ich wydaniu. Ale my tego robić nie musimy. Chciałem tylko powiedzieć, że unikają wydatków, chociaż Wrench ma ogromną praktykę.

– Czemu ty nie miałbyś mieć dobrej praktyki? Doktor Peacock ją miał. Powinieneś bardziej uważać i nie zrażać do siebie ludzi i powinieneś posyłać im lekarstwa, tak jak to robią inni. Przecież wiem, żeś dobrze zaczął i zyskałeś kilka dobrych domów. Nic nie przyjdzie z tego, że się jest dziwakiem: powinieneś liczyć się z tym, co się ludziom podoba – mówiła Rozamunda stanowczym, pouczającym tonem. •

Gniew wzbierał w doktorze; gotów był na pobłażliwość wobec kobiecej słabości, lecz nie wobec kobiecego dyktanda. Duchowa płycizna

wodnej nimfy może sprawiać czarujące wrażenie, jak długo owa nimfa nie zacznie pouczać. Opanował się jednak i powiedział tylko z odrobiną kategorię stanowczości:

– O tym, co mam robić w moim zawodzie, będę sam decydował, Rozo. To nie jest nasz wspólny problem. Wystarczy, żebyś wiedziała, iż twój dochód będzie prawdopodobnie bardzo niewielki, ledwo czterysta funtów, a może i mniej przez dłuższy okres, i że musimy dostosować nasze życie do tego faktu.

Przez chwilę Rozamunda milczała, patrząc przed siebie, wreszcie odezwała się:

– Wuj Bulstrode powinien wyznaczyć ci pensję za czas, jaki poświęcasz szpitalowi: nie jest słuszne, byś pracował za darmo.

– Uzgodniliśmy od początku, że moja praca będzie honorowa. To również nie powinno być tematem naszej rozmowy. Powiedziałem już, co uważam za jedyną możliwość – mówił niecierpliwie. Potem, opanowując się, ciągnął spokojniej: – Wydaje mi się, że widzę pewne rozwiązanie, które może nas w dużej mierze uwolnić od obecnych kłopotów. Słyszałem, że młody Ned Plymdale ma się żenić z panną Zofią Toller. Są bogaci, a w Middlemarch nieczęsto jest do wynajęcia dobry dom. Jestem przekonany, że chętnie wzięliby od nas ten dom z większością mebli i dobrze zapłacili za podnajęcie. Mogę zlecić Trumbullowi, żeby o tym porozmawiał z Plymdale ‘em.

Rozamunda zsunęła się z kolan męża i przeszła powoli do przeciwległego kąta pokoju: kiedy się odwróciła, idąc z powrotem, widać było, że do jej oczu napływają łzy, że przygryza dolną wargę i zaciska dłonie, by nie wybuchnąć płaczem. Lydgate czuł się fatalnie, trząsł się z gniewu, a jednocześnie wiedział, że nie byłoby rzeczą męską okazać gniew w tym właśnie momencie.

– Strasznie mi przykro, Rozo, wiem, że to boli.

– Myślałam, że przynajmniej, kiedy już przeżyłam odesłanie sreber i zniosłam tego człowieka, co spisał nasze meble, myślałam, że to już wystarczy.

– Tłumaczyłem ci to wówczas, kochanie. To było tylko zabezpieczenie, a za tym zabezpieczeniem stoi dług. I ten dług trzeba spłacić w ciągu kilku najbliższych miesięcy, inaczej sprzedadzą nasze meble. Gdyby młody Plymdale wziął nasz dom i większość mebli, moglibyśmy spłacić ten dług, a również kilka innych, i pozbylibyśmy się domu zbyt dla nas kosztownego. Możemy wziąć mniejszy. Wiem, że Trumbull ma bardzo porządną dom do wynajęcia za trzydzieści funtów rocznie, a ten kosztuje dziewięćdziesiąt.

Lydgate wypowiadał te słowa krótko, jakby stukał młotkiem. W ten sposób staramy się zwykle zmusić chwiejny umysł do akceptowania nieuniknionych faktów. Po policzkach Rozamundy spływały cicho łzy; przycisnęła do nich chusteczkę i stała tak, patrząc na wielką wazę na gzymsie kominka. Nigdy jeszcze w życiu nie zaznała takiej goryczy. Odezwała się wreszcie, niespiesznie i z wyszukany naciskiem:

– Nigdy bym nie uwierzyła, że spodoba ci się postąpić w taki sposób.

– Spodoba mi się?! – wybuchnął Lydgate, podrywając się z krzesła i wsuwając ręce w kieszenie, by wielkimi krokami odejść od kominka. – A co to ma wspólnego z podobaniem! Oczywiście, że mi się nie podoba, ale to jedyne wyjście, jakie mam. – Obrócił się na pięcie i stanął twarzą do niej.

– Sądziłabym, że jest jeszcze wiele innych sposobów. Sprzedajmy wszystko i wyjedźmy stąd.

– I co mielibyśmy robić? Co za pożytek z tego, że rzucę pracę, którą mam w Middlemarch, i pojadę tam, gdzie jej nie mam? Wszędzie bylibyśmy tak samo bez pieniędzy jak tutaj. – Lydgate mówił z coraz większym gniewem.

– Gdybyśmy się znaleźli w takiej sytuacji, byłaby to włącznie twoja wina, Tertius. – Rozamunda odwróciła się do niego i mówiła z najgłębszym przekonaniem. – Nie zachowujesz się właściwie w stosunku do swojej rodziny. Obraziłeś kapitana Lydgate. Sir Godwin był dla mnie bardzo miły, kiedy składaliśmy wizytę w Quellingham, i jestem pewna, że gdybyś mu okazywał należny szacunek i powiedział, jak wygląda twoja sytuacja, zrobiłby dla ciebie wszystko. Ale ty wolisz oddać nasz dom i umeblowanie panu Nedowi Plymdale.

W oczach Lydgate’a błysnęło coś niby wściekłość, gdy mówił z nowym przyływem gniewu:

– No więc dobrze, jeśli chcesz, proszę! Wolę! Przyznaję, że wolę to niż robić z siebie idiotę, żebrząc tam, gdzie nic to nie da. Zrozum, że to właśnie wolę!

Ostatnie zdanie wypowiedziane było tonem, który mógł się równać zaciśnięciu silnej ręki na delikatnym ramieniu Rozamundy. Ale determinacja Lydgate’a nie była ani odrobinę większa od determinacji jego żony. Rozamunda natychmiast bez słowa opuściła pokój, postanawiając w duszy, że nie pozwoli, by doszło do tego, co jej mąż zamierza zrobić.

Wyszedł z domu, lecz gdy oprzytomniał nieco, zrozumiał, że jedynym rezultatem tej polemiki był powstały w nim strach na myśl o podejmowaniu w przyszłości rozmów z Rozamundą, które mogłyby go znów sprowokować do gwałtownych słów. Jakby ukazała się rysa na delikatnym kryształce, a on bał się wykonać ruch, który mógłby doprowadzić do ostatecznego pęknięcia. Jeśli przestaną się kochać, małżeństwo jego będzie tylko gorzką drwiną. Już dawno zdał sobie sprawę z tego, co było jej główną wadą: brak wrażliwości, który okazywała, lekceważąc zarówno jego wyraźne życzenia, jak i wytyczone życiowe cele. Przeżył pierwsze wielkie rozczarowanie: musi zrezygnować z czułego oddania i uległego uwielbienia żony idealnej, musi podjąć egzystencję na niższym

poziomie wymagań, tak jak to czynią ludzie, którzy utracili członki. Ale prawdziwa żona miała nie tylko swoje prawa, ona miała wciąż jego serce we władzy, a on pragnął, gorąco pragnął, by ta władza nie osłabła. Łatwiej znieść w małżeństwie pewność, że „ona nigdy nie będzie mnie bardzo kochała”, niż obawę, że „ja jej już nigdy nie będę kochał”. Dlatego też zaraz po tym wybuchu starał się ją w duchu usprawiedliwić i zrzucić winę na ciężkie okoliczności, za które on w części ponosi odpowiedzialność. Tego wieczoru obsypując ją pieszczotami, próbował zaleczyć ranę zadaną przed południem, a Rozamunda nie była z natury obraźliwa ani skłonna do dąsów. Chętnie przyjmowała świadectwa męzowskiego uczucia i nie okazywała gniewu. Lecz to wcale nie znaczyło, że go kocha.

Lydgate nie miał ochoty powracać do projektu rozstania się z domem: podjął już był decyzję, ale chciał mówić o niej jak najmniej. Rozamunda jednak sama poruszyła ten temat przy śniadaniu.

– Rozmawiałeś już z Trumbullem? – spytała łagodnie.

– Nie, ale zajdę do niego po drodze dziś rano. Nie wolno tracić czasu.

– Przyjął pytanie Rozamundy jako znak, że już przestała się wewnętrznie buntować, i ucałował pieszczotliwie jej głowę, wstając do wyjścia.

Gdy przyszła godzina odpowiednia na złożenie wizyty, Rozamunda poszła do matki pana Neda Plymdale i zaczęła rozmowę na temat zbliżającego się ślubu, składając wdzięcznie gratulacje pani domu. Macierzyńskie uczucia pani Plymdale kazały jej wyciągnąć z tego wniosek, że Rozamunda zaczęła wreszcie rozumieć, jakie szaleństwo popełniła; zdawała sobie sprawę, że dziś wszystko przemawia na korzyść jej syna, lecz będąc złą kobietą, zachowała się po ludzku.

– Tak, muszę powiedzieć, że Ned jest bardzo szczęśliwy. A Zofia Toller to uosobienie tego, co chciałabym widzieć w synowej. Jej ojciec, oczywista, jest w stanie przyzwoicie ją wyposażyć, można się przecież tego spodziewać, jak ktoś ma taki browar. A nie moglibyśmy pragnąć

lepszych koneksji. Nie to jednak najważniejsze. To miła dziewczyna, żadnych fochów, żadnych pretensji, chociaż równa najpierwszym. Nie mam na myśli utytułowanej arystokracji. Nie widzę nic dobrego w ludziach, którzy starają się wyjść poza własną sferę. Uważam, że Zofia równa jest najlepszym w tym mieście i to wystarczy.

– Zawsze uważałam, że jest bardzo miła – stwierdziła Rozamunda.

– To, że Ned wiąże się z najlepszą rodziną, jest, moim zdaniem, nagrodą dla niego, bo nigdy głowy nie zadzierał – ciągnęła pani Plymdale, której wrodzoną ostrość łagodziło przekonanie, że prezentuje właściwe poglądy. – Tacy wymagający ludzie jak Tollerowie mogli mieć zastrzeżenia, bo nie wszystkich znajomych mamy tych samych. Wiadomo przecież, że jestem blisko z twoją ciotką, panią Bulstrode, od młodych lat, a mój małżonek zawsze brał stronę pana Bulstrode. Ja osobiście gustuję w poważnych poglądach. A mimo to państwo Tollerowie przyjęli Neda z otwartymi ramionami.

– Nie wątpię, że to zacy młody człowiek i ma bardzo dobre zasady – powiedziała Rozamunda z lekkim odcieniem protekcjonalności w odwet za zbawienne napomnienia swojej rozmówczynie.

– Och, no cóż, nie ma szyku kapitana wojska ani też nie nosi się tak, jakby nikt nie mógł mu dorównać, ani też nie potrafi zręcznie gadać czy tańczyć, ani nie ma talentów intelektualnych. Ale Bogu dziękuję, że nie ma. To złe przygotowanie i do tego życia, i do przyszłego.

– Och, niewątpliwie. Pozory tak mają mało wspólnego ze szczęściem – oświadczyła Rozamunda. – Wszystko wskazuje na to, że będą żyli szczęśliwie. Na jaki decydują się dom?

– Och, jeśli o to idzie, muszą zadowolić się tym, co jest do wzięcia. Oglądali dom przy placu Świętego Piotra, w sąsiedztwie pana Hackbutta: to jego własność, robi tam bardzo przyzwoity remont. Nie przypuszczam, żeby mogli słyszeć o czymś lepszym. Myślę nawet, że Ned dzisiaj

podejmie decyzję.

– To na pewno ładny dom. Lubię plac Świętego Piotra.

– Blisko kościoła i w dobrym sąsiedztwie. Tyle że okna wąskie i tyle tych schodów. Nie słyszałaś czasem o jakimś innym do wzięcia? – Pani Plymdale utkwiała w Rozamundzie czarne, okrągłe oczy ożywione nagłą myślą.

– Och, nie, tak niewiele wiem o podobnych sprawach.

Szykując się na wizytę, Rozamunda nie przewidywała ani tego pytania, ani odpowiedzi; miała tylko zamiar zebrać informacje, które pomogłyby jej uniknąć rozstania z własnym domem w okolicznościach bardzo dla niej przykrych. Jeśli zaś idzie o fałszywość jej odpowiedzi, nie zastanawiała się nad nią więcej niż nad fałszywością stwierdzenia, że pozory mają niewiele wspólnego ze szczęściem. Była przekonana, że cel, jaki jej przyświeca, jest godny pochwały: to zamiary jej męża są niewybacalne, ona zaś ma w głowie plan, który po zrealizowaniu będzie dowodem, jak wielkim błędem doktora byłoby obniżenie poziomu życia.

W drodze powrotnej zaszła do biura pana Borthropa Trumbulla. Pierwszy raz zamierzała jąc się interesów, ale uważała, że potrafi temu sprostać. Świadomość, że może zostać zmuszona do czegoś, czego nie chce z całej duszy, obracała jej spokojną nieustępliwość w czynną pomysłowość. Oto przypadek, kiedy nie wystarczy samo nieposłuszeństwo i pogodny, łagodny upór; tu trzeba działać zgodnie z własnym przekonaniem, a powiedziała sobie, że jej przekonanie jest słuszne, „bo doprawdy, gdyby nie było słuszne, nie pragnęłaby zgodnie z nim postępować”.

Pan Trumbull siedział właśnie w pokoiku w głębi biura i przyjął Rozamundę w najwykwintniejszy sposób, nie tylko dlatego, że ulegał jej urokowi, ale i dlatego, że zadrgały dobre struny w jego duszy, gdyż wiedział już o kłopotach Lydgate’a, a ta niezwykle piękna kobieta – ta

młoda dama o najwyższych urokach osobistych – doświadczy zapewne wielu przykrości, znajdzie się w sytuacji, na którą nie będzie mogła mieć wpływu. Poprosił, by zrobiła mu zaszczyt i zajęła miejsce, i stał przed nią, otrzepując poły surduta i zachowując się z nadskakującą uprzejmością, płynącą przede wszystkim z życzliwości. Rozamunda spytała najpierw, czy jej mąż był tu przed południem i rozmawiał na temat wyzbycia się domu.

– Istotnie był, łaskawa pani, istotnie był. – Zaczny licytator starał się nadać kojący ton powtarzanym słowom. – Miałem właśnie wykonać jego dyspozycję dziś po południu, jeśli to będzie możliwe. Życzy sobie, abym z tym nie zwlekał.

– Przyszłam prosić, by pan nic więcej nie robił w tej sprawie i również aby zachował pan w dyskrekcji to, co mu zostało powiedziane. Czy zrobi mi pan tę uprzejmość?

– Oczywiście, łaskawa pani, oczywiście. Dyskrekcja to dla mnie rzecz święta, zarówno w interesach, jak wszystkich innych sprawach. Czy mam uważać, iż zlecenie zostaje wycofane? – Pan Trumbull poprawiał długie końce swego niebieskiego fularu obydwoma rękami i patrzył z uszanowaniem na Rozamundę.

– Tak, bardzo proszę. Dowiedziałam się, że pan Ned Plymdale wziął już dom, ten na placu Świętego Piotra, koło pana Hackbutta. Mój małżonek byłby bardzo nierad, że jego dyspozycje wykonano niepotrzebnie. Poza tym zaszły inne okoliczności, które sprawiły, że sprawa jest nieaktualna.

– Doskonale, łaskawa pani, doskonale, jestem na usługi łaskawej pani, zawsze kiedy zajdzie potrzeba – mówił pan Trumbull ucieszony myślą, że otworzyło się przed jego klientami jakieś nowe źródło finansowe. – Proszę na mnie polegać, łaskawa pani. Sprawa zostaje zamknięta.

Tego wieczoru Lydgate był w trochę lepszym nastroju, widząc Rozamundę bardziej ożywioną niż ostatnio, a nawet usiłującą bez

proszenia zrobić coś, co mu sprawi przyjemność. Pomyślał: „Jeśli będzie szczęśliwa, a ja się jakoś z tym wszystkim uporam, jakie to ma znaczenie? To tylko wąskie bagno, które musimy przebrnąć podczas długiej drogi. Żebym tylko nie musiał zaprzętać sobie tym głowy”.

Czuł się tak podniesiony na duchu, że zaczął szukać notatek z eksperymentów, które dawno temu chciał przejrzeć, lecz je zarzucił przytłoczony rozpaczą, jaka się rodzi z drobnych trosk. Ogarnęło go, jak dawniej, to cudowne uczucie całkowitego pochłonięcia tokiem rozumowania wybiegającego daleko w przód, podczas gdy Rozamunda grała jakąś cichą melodię, równie mu pomocną w myślach, jak plusk wiosła wieczorem na jeziorze. Było dość późno: odsunął książki i wpatrywał się w ogień z rękami założonymi pod głowę, zapominając o wszystkim oprócz projektu nowego weryfikującego eksperymentu, kiedy Rozamunda, która odeszła od pianina i usiadła, opierając się głęboko w krzesło, powiedziała:

– Pan Ned Plymdale wynajął już dom.

Zaskoczony i rozdrażniony, podniósł na chwilę wzrok w milczeniu jak człowiek rozbudzony ze snu. Potem, zirytowany przykrą wiadomością, spytał:

– Skąd wiesz?

– Odwiedziłam dziś przed południem panią Plymdale i ona mi powiedziała, że wynajął dom na placu Świętego Piotra, koło pana Hackbutta.

Lydgate milczał. Wysunął dłonie spod głowy i przycisnął do włosów, które jak zwykle, spadały mu gęstwą na czoło, łokcie zaś wsparł na kolanach. Czuł gorzki zawód, jakby otworzył drzwi dusznego pokoju i zobaczył za nimi ścianę, czuł jednak również, że Rozamunda cieszy się z jego zawodu. Wolał na nią nie patrzeć ani nie odzywać się, póki nie minie pierwszy przypływ gniewu. Przecież, mówił sobie z goryczą, na

czym kobiecie może bardziej zależeć niż na domu i meblach? Mąż bez mebli to niedorzeczność. Kiedy podniósł wzrok i odsunął na bok włosy, miał w ciemnych oczach pusty wyraz człowieka, który nie spodziewa się współczucia; zauważył chłodno:

– Może się znajdzie ktoś inny. Powiedziałem Trumbullowi, żeby się rozglądał, jeśli mu się nie uda z Plymdale'em.

Nie odezwała się ani słowem. Liczyła, że los zdarzy, iż jej mąż nie spotka się z licytатorem, póki nie stanie się coś, co usprawiedliwi jej dzisiejszą ingerencję; tak czy inaczej odsunęła wydarzenie, którego się obawiała. Po chwili zagadnęła:

– Ile pieniędzy chcą ci nieprzyjemni ludzie?

– Jacy nieprzyjemni ludzie?

– Ci, którzy zrobili spis... i tamci inni. Ile pieniędzy wystarczyłoby im, żeby cię więcej nie dręczyli?

Lydgate przyglądał jej się chwilę, jakby szukał objawów choroby, potem odparł:

– Cóż, gdybym dostał sześćset funtów od Plymdale'a za meble i jako odstępnę, dałbym sobie radę. Mógłbym spłacić Dovera i dać pozostałym dostatecznie dużą zaliczkę, żeby zaczekali cierpliwie na resztę, kiedy zmniejszy wydatki.

– Ale ile byś potrzebował, gdybyśmy zostali w tym domu?

– Więcej, niż mógłbym gdziekolwiek znaleźć – odparł z drażniącym sarkazmem. Gniewało go, gdy widział, że myśli Rozamundy błędą wokół nierealnych pragnień, zamiast zakrzętnąć się wokół możliwych działań.

– Czemu nie chcesz wymienić sumy? – Rozamunda dawała łagodnie do zrozumienia, że nie odpowiadają jej męzowskie manieri.

– No cóż – mówił Lydgate tonem zgadywania – myślę, że potrzebowałbym co najmniej tysiąca funtów, aby mieć spokój. Ale – dodał zgryźliwie – muszę myśleć, co zrobię bez tego tysiąca, a nie z nim.

Rozamunda nie odezwała się więcej.

Następnego dnia jednak wykonała swój plan i napisała do sir Godwina Lydgate. Po wizycie kapitana otrzymała list od niego jak też od pani Mengan, jego zamężnej siostry, z kondolencjami z powodu straty dziecka i nieokreślonymi wyrazami nadziei, że ujrzą ją kiedyś ponownie w Quillingham. Lydgate powiedział jej, że tego rodzaju uprzejmości są bez znaczenia, ona jednak była w duszy przekonana, że przyczyną niechęci rodziny jest jego chłodne i pogardliwe zachowanie, i odpisała na list najwdzięczniej, jak potrafiła, z nadzieją, że w ślad za tym przyjdzie zaproszenie. Ale nastąpiła kompletna cisza. Kapitan najwidoczniej nie lubił pisać, a jego siostry, jak przypuszczała Rozamunda, mogły wyjechać za granicę. Ale teraz, o tej porze roku, cała rodzina zapewne jest w domu, zresztą tak czy inaczej sir Godwin, który wziął ją pod brodę i powiedział, że jest podobna do znanej piękności, pani Croly, której oddał serce w 1790 roku, wzruszy się jej prośbą i ze względu na nią z całą przyjemnością uczyni to, co powinien uczynić dla swojego bratanka. Nie miała żadnych wątpliwości, co ów starszy pan powinien uczynić, by nie dopuścić do strapienia, jakie mogłoby się stać jej udziałem. Napisała więc list najrozumniejszy jak można – list, który dla sir Godwina winien być niezbitym świadectwem jej rozsądku – dowodząc, jak bardzo byłoby pożądane, aby Tertius przeniósł się z takiego jak Middlemarch miasteczka do miejsca bardziej odpowiadającego jego talentom, gdyż przykry charakter tutejszych mieszkańców okazał się przeszkodą w osiągnięciu przez niego zawodowego sukcesu, co, w konsekwencji, spowodowało na niego kłopoty finansowe, od których mogłoby go całkowicie uwolnić tysiąc funtów. Nie napisała, że Tertius nie wie o tym liście, miała bowiem mgliste przekonanie, że jego ewentualna aprobata tego listu zawierałaby również i to, co napisała, załączając wyrazy jego szacunku dla stryja Godwina, który z całej rodziny był mu zawsze najlepszym przyjacielem.

Takie oto były zdolności taktyczne biednej Rozamundy, które zaprzęgała obecnie do interesów.

Działo się to jeszcze przed noworocznym przyjęciem, a odpowiedź od sir Godwina wciąż nie nadchodziła. Tego dnia rano Lydgate miał się dowiedzieć, że jego żona odwołała dyspozycje, jakie wydał był Borthropowi Trumbullowi. Uważając za niezbędne, by powoli godziła się z myślą o opuszczeniu domu na Lowick Gate, przemógł własną niechęć do rozmowy na ten temat i przy śniadaniu powiedział:

– Spróbuję zająć do Trumbulla dziś przed południem, powiem, żeby dał anons o domu w *Pionierze i Trąbce*. Na anons może się zgłosić ktoś, kto dotychczas nie myślał o zmianie domu. W takich miastach, na prowincji, wielu ludzi, którym powiększyła się rodzina, pozostaje w swoich domach, mimo iż są za małe, ponieważ nie wiedzą, że nadarza się okazja do wynajęcia większego. A zdaje mi się, że Trumbull zupełnie nie wykazuje inicjatywy.

Rozamunda zrozumiała, że nadeszła nieunikniona chwila.

– Wydałam Trumbullowi dyspozycję, by zaniechał szukania najemcy – oznajmiła z wystudiowanym spokojem, przyjmując w ten sposób pozycję obronną.

Lydgate wpatrywał się w nią z niemym zdumieniem. Za ledwie pół godziny temu upinał jej warkocze i przemawiał zdrobniałym językiem czułości, czego Rozamunda nie odwzajemniała, lecz co przyjmowała, jakby była wdzięcznym wizerunkiem, który od czasu do czasu ukazuje swemu czcicielowi cudowne dołączki. Przy takich wrażeniach, jeszcze żywych, szok, jakiego doznał, nie mógł się od razu przerodzić w gniew – był kłębowiskiem bólu. Doktor odłożył widelec i nóż, którym coś krajał, a rzuciwszy się głęboko w krzesło, zapytał wreszcie z zimną ironią w głosie:

– Czy mogę spytać, czemu to zrobiłaś?

– Kiedy się dowiedziałam, że Plymdale’owie wynajęli już dom, zaszłam do Trumbulla i powiedziałam, żeby im nie mówił o naszym; jednocześnie prosiłam, żeby już nic nie robił w tej sprawie. Wiedziałam, że będzie dla ciebie z ogromną szkodą, jeśli ludzie się dowiedzą, że chcesz się rozstać z domem i umeblowaniem, więc miałam do tego pomysłu ogromne zastrzeżenia. Sądzę, że to dostateczny powód.

– i nie miało znaczenia, że podałem ci naglące powody innego rodzaju? Nie miało znaczenia, że doszedłem do innych wniosków i wydałem odpowiednie rozporządzenia? – spytał zjadliwie Lydgate, a na jego czole i w oczach zbierała się burza.

Skutek czyjegokolwiek gniewu na Rozamundę był zawsze taki sam: z chłodną dezaprobatą zamykała się w sobie, przyjmując postawę spokojnej poprawności, przekonana, że bez względu na to, do czego ktoś jest zdolny, ona nigdy się nie zachowa niewłaściwie.

– Sądzę – odparła – że miałam pewne prawo wypowiedzieć się w sprawie, która w równej mierze dotyczy mnie, jak i ciebie.

– Oczywiście, miałeś prawo się wypowiadać, ale przy mnie. Nie miałeś prawa odwoływać po kryjomu wydanych przeze mnie dyspozycji i traktować mnie jak głupca. – Lydgate mówił tym samym, co poprzednio tonem. Po chwili dodał szyderczo: – Czy w końcu zrozumiesz, jakie będą tego konsekwencje? Czy dotrze do ciebie, jeśli ci jeszcze raz powiem, dlaczego musimy rozstać się z tym domem?

– Jest zupełnie zbędne, byś mi to powtarzał. – Głos Rozamundy kapął i padał jak krople zimnej wody. – Pamiętam, co powiedziałaś. Mówiłeś równie gwałtownie jak teraz. To jednak nie zmienia mojego zdania, że powinieneś się jąć wszystkich innych środków, zamiast czynić kroki tak bardzo dla mnie bolesne. Jeśli zaś idzie o danie anonsu o domu, myślę, że byłoby to dla ciebie poniżające.

– Przypuśćmy jednak, że zlekceważę twoje zdanie, tak samo jak ty

zlekceważyłaś moje.

– Możesz to, rzecz jasna, uczynić. Sądzę jednak, że powinieneś mi być powiedzieć przed ślubem, że będziesz wolał postawić mnie w najgorszej sytuacji niż ustąpić.

Lydgate nie odpowiedział, szarpnął tylko głową i z rozpaczy zacisnął usta. Rozamunda, widząc, że na nią nie patrzy, wstała i postawiła przed nim filiżankę kawy, lecz on tego nie zauważył i dalej prowadził dramatyczny monolog wewnętrzny, od czasu do czasu poruszając się w krześle, wspierając rękę na stole, pocierając dłonią włosy. Rozdzierały go sprzeczne uczucia i myśli, nie pozwalając, czy to na uzewnętrznienie gniewu, czy też trwanie po prostu w nieugiętym postanowieniu. Rozamunda skorzystała z tego milczenia.

– Kiedyśmy się pobierali, wszyscy sądzili, że masz doskonałą pozycję. Nie wyobrażałam sobie, żebyś mógł kiedykolwiek pragnąć sprzedawać meble i prznosić się do domu na Bride Street, gdzie pokoje są jak klatki. Jeśli mamy żyć na takiej stopie, wyjedźmy lepiej z Middlemarch.

– Byłby to bardzo silny argument – powiedział z pewną ironią Lydgate. Bładość wokół jego warg wciąż nie ustępowała, gdy patrzył na filiżankę kawy, której nie pił. – Byłby to bardzo silny argument, gdybym przypadkiem nie znajdował się w długach.

– Wiele osób również bywa w długach, ale jeśli to szacowni ludzie, inni im ufają. Słyszałam przecież, jak tatko mówił, że Torbitowie są w długach, a dają sobie radę całkiem nieźle. Pochopne działania nie przyniosą wiele – ciągnęła jak osoba dobrotliwa i rozumna.

Lydgate siedział, sparaliżowany sprzecznymi impulsami: widząc, że żadne jego argumenty nie mogą trafić Rozamundzie do przekonania, pragnął rozwalić, stłuc jakiś przedmiot, na którym to wreszcie zrobi jakieś wrażenie, albo powiedzieć jej brutalnie, że on tu jest panem, a ona musi go słuchać. Nie tylko jednak bał się skutków, jakie na ich wspólnym

pożyciu zostawią takie ostateczne metody – zaczynał się coraz bardziej lękać spokojnego, nieuchwytnego uporu Rozamundy, który nie pozwalał, by dojdzie swoich racji siłą mogło zakończyć sprawę; dotknęła też najwrażliwszego punktu jego uczuć, dając do zrozumienia, że wychodząc za niego, była zwiedziona fałszywą wizją szczęścia. A co do stwierdzenia, że jest tu panem – przecież to nieprawda. Postanowienie, do którego się przymusił, wsparty poczuciem logiki i szlachetnej dumy, teraz, po zetknięciu się z jej twardym oporem, zaczynało słabnąć. Przełknął pół filiżanki kawy i wstał od stołu.

– Czy mogę prosić przynajmniej, abyś jeszcze w tej chwili nie chodził do Trumbulla, póki nie zobaczymy, czy nie ma innego wyjścia – powiedziała. Choć nie czuła żadnych obaw, sądziła, że bezpieczniej będzie nie zdradzać się z faktem, iż pisała do sir Godwina. – Obiecuj, że nie pójdziesz do niego jeszcze przez kilka tygodni, a przynajmniej bez powiadomienia mnie o tym.

Lydgate zaśmiał się krótko.

– Sądzę, że to ja powinienem uzyskać od ciebie obietnicę, że nie zrobisz nic za moimi plecami – odparł, obrzucając ją ostrym spojrzeniem i kierując się do drzwi.

– Pamiętaj, że dziś jemy kolację u tatka – przypomniała mu, pragnąc, by się odwrócił i okazał, że ustępuje całkowicie. Ale on przytaknął tylko niecierpliwie i wyszedł. Jakie to z jego strony wstrętne, myślała, że nie tylko musiał jej przedstawić te okropne pomysły, ale jeszcze się złości. A kiedy poprosiła go o drobną rzecz, o to, by się wstrzymał z powtórny pójściem do Trumbulla, zachował się wobec niej okrutnie, wcale nie obiecując, że tego nie robi. Miała wewnętrzne przekonanie, że w każdym wypadku ona działa w dobrej wierze, najmniejszy zaś zgrzyt czy gniewne słowo ze strony Lydgate'a notowała jako dodatkową pozycję w rejestrze uraz. Biedna Rozamunda, od miesiący już łączyła z osobą

męża poczucie zawodu, a straszliwie nieelastyczna zależność małżeńska utraciła czar wspaniałego, kuszącego snu. Lydgate uwolnił ją od wszelkich dokuczliwości ojcowskiego domu, ale nie dał jej tego, czego pragnęła i na co liczyła. Ten Lydgate, w którym się kochała, był dla niej uosobieniem jakichś nieokreślonych możliwości, jednakże większość z nich przestała istnieć, a ich miejsce zajęły codzienne szczegóły, które trzeba przeżywać powoli, z godziny na godzinę, zamiast przefruwać nad nimi, dokonując szybkiej selekcji tego, co się wydaje przyjemne. Zawodowe nawyki Lydgate'a, jego domowe zaabsorbowanie tematami naukowymi, które brała za niemal chorobliwe, upiorne upodobania, jego osobliwe poglądy, które nigdy się nie ujawniły w rozmowach prowadzonych w okresie zalotów, wszystkie te nieustannie pustoszące ich związek czynniki – a nie biorąc nawet pod uwagę faktu, że pokazał się miastu niekorzystnie, ani szoku, jakim była niespodziewana wiadomość o długu wobec Dovera – wystarczyłyby, żeby zaczął ją nudzić. Był ktoś, czyja obecność, od samych początków jej małżeństwa do wyjazdu cztery miesiące temu, wprawiała ją w miłe podniecenie, ale i to minęło; Rozamunda nie przyznałaby się nawet przed sobą, jak bardzo próżnia, która wskutek tego powstała, przyczyniła się do tego poczucia nudy, i wydawało się jej (być może słusznie), że zaproszenie do Quallingham czy też jakaś otwierająca się przed jej mężem perspektywa zamieszkania gdzie indziej niż w Middlemarch – może w Londynie czy gdzieś, gdzie nie dosięgną ich przykrości – zadowoliliłyby ją w pełni i uczyniły obojętną na brak Willa Ladislawa, do którego czuła nieco pretensji za jego zachwyty nad panią Casaubon.

Taki był stan stosunków między doktorem a jego żoną w ów Nowy Rok, kiedy razem byli na kolacji u jej ojca. Ona spoglądała łagodnie i obojętnie na męża, pamiętając o jego wybuchu przy śniadaniu, on zaś nosił o wiele głębsze ślady wewnętrznej walki, w której poranna scena była tylko jedną z wielu kolejnych sekwencji. Jego gorączkowe staranie, gdy

rozmawiał z pastorem Farebrotherem, jego staranie, by cynicznie udawać, że uważa, iż wszelkie sposoby zdobywania pieniędzy, w gruncie rzeczy, niczym się nie różnią i że przypadek rządzi na tak wielkich obszarach, iż jakikolwiek wybór można uważać tylko za złudzenie głupca – był jedynie wyrazem wewnętrznych wahań, odrętwiałą reakcją na bodźce, budzące dawniej jego radość.

Cóż miał robić? Widział jeszcze ostrzej niż Rozamunda całą beznadziejność rozwiązania, jakim byłoby przeniesienie jej do małego domu na Bride Street, gdzie miałyby kilka mebli wokół siebie, a w sobie, wewnątrz, niezadowolenie. Życie w niedostatku i życie z Rozamundą to dwie wizje, które wydawały się jeszcze bardziej nie do pogodzenia, odkąd stanęła przed nimi realna groźba owego niedostatku. Kiedy aktem woli zmuszał je do połączenia się w jedno, nawet wtedy nie widział możliwości rozpoczęcia niezbędnych przygotowań, prowadzących do takiej zmiany. I chociaż nie złożył żonie obietnicy, o którą prosiła, nie poszedł po raz wtóry do Trumbulla. Zaczął nawet przemyśliwać nad szybkim wyjazdem na północ, by zobaczyć się z sir Godwinem. Sądził był niegdyś, że nie ma takiej siły, która by go zmusiła do zwrócenia się do stryja z prośbą o pieniądze, nie wiedział jednak wówczas, jaką siłą jest konieczność. Nie liczył na to, by mógł cokolwiek załatwić listownie. Tylko w osobistej rozmowie, choćby nie wiadomo jak dla niego przykrej, mógł wszystko dokładnie wyłożyć i sprawdzić, ile są warte związki rodzinne. Kiedy jednak zaczął sobie tłumaczyć, że będzie to krok najłatwiejszy – natychmiast przyszedł gniew: on, który dawno temu postanowił, że zawsze będzie daleki od wszelkich nikczemnych kalkulacji, od interesownych niepokojów o życzliwość i kiesę ludzi, z którymi nie łączy go – z czego jest dumny – wspólnota celów, zniża się nie tylko do ich poziomu, lecz do poziomu człowieka, który wisi u ich kłamki.

ROZDZIAŁ LXV

Bo ktoś z nas dwojga musi się naginać,
A gdy od żony mąż jest rozsądniejszy,
Także w cierpieniu winien być mocniejszy[126].

Geoffrey Chaucer, *Prolog do opowieści żony*
z *Bath*

Słonność natury ludzkiej do opieszałości w korespondencji jest większa nawet od przyspieszenia, jakie cechuje dzisiaj powszechny bieg rzeczy; cóż więc dziwnego, że w 1832 roku stary sir Godwin Lydgate ociągał się z napisaniem listu, który był ważny dla innych, a nie dla niego? Niemal trzy tygodnie minęły od Nowego Roku, a Rozamunda, oczekując odpowiedzi na swój ujmujący liścik, codziennie przeżywała zawód. Lydgate, nie wiedząc nic o jej oczekiwaniach, widział tylko przychodzące rachunki i czuł, że zbliża się chwila, kiedy Dover skorzysta ze swej przewagi nad innymi wierzycielami. Nie powiedział Rozamundzie, że zastanawia się nad wjazdem do Quallingham: nie chciał do ostatniej chwili przyznawać się do czegoś, co ona uzna za ustępstwo wobec jej życzeń, które z oburzeniem odrzucił; jednak prawdę mówiąc, miał zamiar niebawem wyruszyć. Przejechanie części drogi koleją umożliwi mu odbycie podróży tam i z powrotem w cztery dni.

Ale pewnego ranka, po wyjściu doktora, przyszedł adresowany do niego list, który jak stwierdziła Rozamunda, pochodził od sir Godwina. Była pełna najlepszych przeczuć. Może jest tam do niej osobny liścik, ale jasne, że w sprawie pomocy finansowej czy innej stryj adresuje list [126] Przeł. Helena Pręczkowska.

do bratanka i ten fakt, a nawet i to, że piszą cy tak długo zwlekał, zdawał się świadczyć, że odpowiedź jest pozytywna. Była tymi myślami tak podniecona, że nie mogła zająć się niczym bardziej skomplikowanym jak proste szycie w ciepłym kątku jadalni, położywszy przed sobą na stole ów niezwyklej wagi list. Około dwunastej usłyszała kroki męża w przedpokoju – pobiegła, by mu otworzyć drzwi, i powiedziała najłżejszym tonem:

– Wejdz tutaj, Tertius, jest list do ciebie.

– Tak? – nie zdejmując kapelusza, objął ją i obrócił ramieniem, po czym skierował się do miejsca, w którym leżał list. – Od stryja Godwina! – wykrzyknął, gdy ona usiadła i przyglądała się, jak mąż łamie pieczęć. Oczekiwała, że okaże zdziwienie.

Gdy przebiegł szybkim wzrokiem krótki tekst, zobaczyła, że jego twarz, zwykle barwy jasnej kawy, staje się trupio blada. Nozdrza i wargi mu drżały, gdy rzucił list na stół przed nią, mówiąc:

– Nie sposób będzie żyć z tobą, jeśli zawsze będziesz działała za moimi plecami, wbrew mojej woli i skrycie!

Powstrzymał się od dalszych słów i odwrócił od niej, potem zakręcił się na pięcie, zaczął chodzić, usiadł, znowu wstał, niecierpliwie zaciskając ręce na jakichś twardych przedmiotach w kieszeniach. Bał się, że powie coś okrutnego, czego nie da się już odwołać.

Rozamunda, czytając, również mieniła się na twarzy. List brzmiał następująco:

*Kochany Tertusie, Jeśli chcesz mnie o coś prosić, to nie
kaj tego robić swojej żonie. Nie spodziewałem się po Tobie
takich mętnych, pokrętnych sztuczek. Nigdy nie prowadziłem
z kobietami korespondencji w interesach. Jeśli idzie o
wspomożenie Cię tysiącem funtów czy choćby połową tej sumy*

– nie jest to w mojej mocy. Rodzina wyciska ze mnie ostatniego pensa. Jak się ma dwóch młodszych synów i trzy córki, to o wolnej gotówce nie ma co marzyć. Wygląda na to, żeś szybko przepuścił, coś miał, i narobiłeś sobie kłopotów tam, gdzie jesteś – im szybciej stamtąd wyjedziesz, tym lepiej. Nie mam jednak żadnych kontaktów z ludźmi Twojego zawodu i nie mogę Ci w tym pomóc. Zrobiłem, co mogłem, jako Twój prawny opiekun, i ustąpiłem Ci, kiedy uparłeś się przy medycynie. Mogłeś pójść do wojska albo zostać duchownym. Wystarczyłoby Ci na to Twoich pieniędzy, a miałbyś przed sobą o wiele pewniejszą drabinę. Stryj Charles ma Ci za złe, żeś nie poszedł w jego ślady, ale ja Ci tego nie wymawiam. Zawsze Ci dobrze życzyłem, ale teraz możesz liczyć wyłącznie na siebie.

Twój oddany Ci stryj Godwin Lydgate

Rozamunda skończyła czytać list i siedziała bez ruchu, ręce złożonywszy na kolanach; nie pozwalała sobie na okazanie głębokiego zawodu – okopywała się tylko w spokojnej bierności przeciwko gniewowi męża. Lydgate przystanął na chwilę, spojrzął na nią ponownie i spytał ostro i surowo:

– Czy to wystarczy, żeby cię przekonać, ile szkody możesz wyrządzić, mieszając się sekretnie do moich spraw? Czy masz dosyć rozsądku, by teraz pojąć, że jesteś niezdolna do podejmowania za mnie decyzji i działań? Że nie możesz wtrącać się ze swoją ignorancją do spraw, w których ja muszę decydować?!

Były to ostre słowa, ale nie pierwszy raz obróciła wniwecz jego projekty. Nie podniosła na niego wzroku ani nie odpowiedziała.

– Byłem niemal gotów jechać do Quellingham. Kosztowałoby mnie to

wiele upokorzeń, ale mogłoby przynieść jakiś pożytek. Tylko jaki pożytek z tego, że coś wymyślę? Wciąż mi się skrycie przeciwstawiasz. Zwodzisz mnie, udając fałszywie zgodę, a potem padam pastwą twoich intryg. Jeśli zamierzasz sprzeciwiać się każdemu mojemu życzeniu, powiedz to otwarcie, protestuj! Będę wtedy przynajmniej wiedział, na czym stoję.

Straszny to moment w życiu młodych ludzi, kiedy ciepło miłosnych więzów zamienia się w tak silną gorycz. Mimo opanowania Rozamundy łaza ukazała się w jej oku i spłynęła cicho na wargi. Wciąż nie odzywała się ani słowem, ale tym milczeniem pokrywała silną reakcję: odczuwała tak głęboką odrazę do męża, że pragnęła, aby go była nigdy w życiu nie spotkała. Nieuprzejmość i całkowity brak uczuć, jakie okazał jej sir Godwin, stawiał go na równej płaszczyźnie z Doverem i innymi wierzycielami – owymi niemiłymi ludźmi, co tylko myślą o własnym interesie i za nic sobie mają, że robią jej tak wielką przykrość. Nawet jej ojciec był niedobry – mógłby im przecież pomóc. W gruncie rzeczy w świecie Rozamundy jedna tylko osoba pozostawała bez winy: wdzięczna istota o blond warkoczach, ze złożonymi, drobnymi rączkami, która nigdy nie wyraziła się niewłaściwie i zawsze robiła to, co słuszne, a słuszne było, rzecz jasna, to, co jej odpowiadało najbardziej.

Lydgate zamilkł i spojrzawszy na żonę, poczuł przypływ tej odejmującej zmysły bezradności, jaka ogarnia ludzi zapalczywych, gdy ich porywczność natyka się na postawę niewinnego milczenia i łagodnego poczucia krzywdy, będącą niemym wyrzutem i budzącą nawet w najśluszniejszym gniewie wątpliwość co do jego słuszności. Musiał odzyskać przekonanie o swojej racji, miarkując nieco słowa.

– Czy nie rozumiesz, Rozamundo – zaczął, starając się mówić poważnie, lecz bez goryczy – że nie może być nic gorszego od braku zaufania i szczerości między nami? Zdarza się po raz nie wiem który, że wyrażam moje zdecydowane życzenie, ty zdajesz się z nim zgadzać,

a następnie sprzeciwiasz się mu sekretnie. W ten sposób nigdy nie będę wiedział, na co mogę liczyć. Gdybyś przyznała mi rację, moglibyśmy jeszcze mieć nadzieję. Czyżbym był jakimś nierozsądnym, gwałtownym brutalem? Czemu nie jesteś ze mną szczerą?

Wciąż milczenie.

– Czy możesz choćby przyznać, że popełniłaś błąd, i obiecać, iż w przyszłości nie będziesz działać bez mojej wiedzy? – napierał Lydgate, lecz w jego tonie zabrzmiało teraz coś, jakby prośba, co Rozamunda natychmiast podchwyciła. Zaczęła chłodno:

– Nie jestem w stanie składać obietnic czy przyznawać się do winy w odpowiedzi na takie słowa, jakich w stosunku do mnie użyłeś. Nie przywykłam do tego rodzaju języka. Mówiłeś, że się wtrącam po kryjomu i jestem ignoranką, która się miesza, i że fałszywie udaję zgodę. Nigdy się tak nie wyrażałam w stosunku do ciebie i sądzę, że powinieneś mnie przeprosić. Mówiłeś, że jest niemożliwe żyć ze mną. Nie umiłaś mi, doprawdy, życia ostatnio. Sądzę, że można się było spodziewać, iż będę się starała uniknąć zgryzot, jakie spowodziło na mnie nasze małżeństwo. – Następna łza spłynęła, gdy Rozamunda skończyła mówić, lecz wysuszyła ją równie spokojnie jak pierwszą.

Lydgate opadł na krzesło – był w szachu. Przecież w jej głowie nie ma miejsca na wymówkę. Położył kapelusz, przerzucił ramię przez oparcie krzesła i chwilę patrzył w ziemię bez słów. Rozamunda miała nad nim podwójną przewagę – była niewrażliwa na słuszność zawartą w jego wyrzutach i wrażliwa na niezaprzeczalne trudności, jakie pojawiły się teraz w jej małżeńskim życiu. Choć w sprawie domu okazała dwulicowość większą, niż to mu było wiadome, gdyż w rzeczywistości sprawiła, że Plymdale'owie nie otrzymali informacji od Trumbulla, nie miała poczucia, iż jej postępek można słusznie nazwać oszustwem. Nie jesteśmy zobowiązani do ścisłego klasyfikowania naszych czynów tak,

jak to robimy w przypadku artykułów spożywczych czy odzieżowych. Rozamunda uważała, że została skrzywdzona i że jej mąż musi się do tego przyznać.

Jeśli zaś idzie o niego, trzymała go, niby w kleszczach, konieczność dostosowania się do jej natury, nieustępliwej w sposób proporcjonalny do posiadanych braków. Ogarniało go przerażające przecucie nieodwracalnej utraty jej miłości i pustki ich życia, jaka po tym nastąpi. Cechująca go bogata uczuciowość sprawiła, że ów strach mieszał się już z pierwszym gwałtownym wybuchem gniewu. Doprawdy, byłoby zwykłą przechwałką powiedzieć, że jest jej panem.

„Nie umiłaś mi, doprawdy, życia ostatnio”... „zgryzoty, jakie sprowadziło na mnie nasze małżeństwo” – słowa te bodły jego wyobraźnię jak ból rozpierający sny. Czyżby miał nie tylko odstąpić od swoich najwspanialszych postanowień, ale i ugrzęznąć w ohydnej niewoli nienawiści domowej?

– Rozamundo – zwrócił na nią smutne spojrzenie – powinnaś zważyć, że człowiek, który to powiedział, jest zawiedziony i został sprowokowany. Ty i ja nie możemy mieć sprzecznych interesów. Nie mogę oddzielić mojego szczęścia od twojego. Jeśli się na ciebie gniewam, to dlatego, że sprawiasz wrażenie ślepej na to, jak bardzo nas dzieli wszelka skrytość. Jakże mógłbym chcieć, czy to słowem, czy czynem utrudniać ci cokolwiek. Kiedy cię ranię, ranię część mojego życia. Nigdy nie gniewałbym się na ciebie, gdybyś była wobec mnie zupełnie szczerą.

– Chciałam cię tylko powstrzymać od niepotrzebnego wpędzenia nas to nieszczęście. – Łzy popłynęły teraz znowu, gdy rozrzewniła się, bo i on złagodniał. – To straszne ściągnąć na siebie taki wstyd na oczach wszystkich znajomych i żyć tak biednie. Żałuję, że nie umarłam razem z dzieckiem!

Mówiła i płakała w ten łagodny sposób, który słowom i łzom daje

wszechpotężną władzę nad człowiekiem o gorącym sercu. Lydgate przysunął do niej krzesło i czułą, silną dłoń przycisnął do policzka jej kruchą główkę. Pieścił ją w milczeniu. Cóż bowiem miał mówić? Nie mógł jej obiecywać, że osłoni ją przed nieszczęściem, którego się bała, a któremu nie był w stanie zapobiec. Kiedy ją opuszczał, by ponownie wyjść z domu, mówił sobie, że dla niej to wszystko jest dziesięć razy trudniejsze, on bowiem ma życie poza domem, jego aktywność jest nieustannie potrzebna innym. Pragnął znaleźć usprawiedliwienie dla wszystkiego w Rozamundzie – ale było też nieuchronne, że w tym nastroju wybaczenia musiał myśleć o niej jak o jakimś zwierzątku należącym do innego, słabszego gatunku. A przecież to ona go ujarzmiła.

ROZDZIAŁ LXVI

Inną jest rzeczą pokus być przedmiotem,
A inną rzeczą pokusom tym ulec[127].

William Shakespeare, *Miarka za miarkę*, akt

II, sc. 1

Lydgate nie bez przyczyny uważał, że praktyka lekarska jest mu wielką pomocą w walce z osobistymi troskami. Nie pozostawało mu już energii na samorzutne badania czy spekulacje myślowe, lecz gdy z zewnątrz, z łóżka chorego odwoływano się do jego wiedzy i współczucia, otrzymywał dodatkowy bodziec, który zmuszał go do wyjścia ze skorupy. Nie było to tylko owo błogosławione jarzmo rutyny, pozwalające niemądrym ludziom żyć godnie, a ludziom nieszczęśliwym – spokojnie; było to nieustanne żądanie świeżego wysiłku myśli i skupienia uwagi na potrzebach i nieszczęściu innego człowieka. Niejeden z nas, obejrzawszy się za siebie, powiedziałby, że najlepszym człowiekiem, jakiego spotkał w życiu, był jakiś lekarz lub może ów chirurg, którego niezwykła delikatność oraz spostrzegawczość, podbudowana głęboką wiedzą, okazały się dla nas w potrzebie większym dobrodziejstwem niż dzieło cudotwórcy. Ta błogosławiona łaska nie opuszczała Lydgate'a podczas jego pracy w szpitalu i w domach prywatnych, wspierając go lepiej niż jakiegokolwiek opiaty i pozwalając zachować spokój mimo trudności i poczucia umysłowego karlenia.

Podejrzenia pastora Farebrothera co do opiaty były jednak słuszne. Kiedy Lydgate po raz pierwszy poczuł gorzki ciężar grożących mu [127] Przeł. Leon Ulrich.

kłopotów i kiedy po raz pierwszy stwierdził, że jeśli nie chce, by jego małżeństwo stało się ujarzmioną samotnością, to musi podejmować nieustanny wysiłek, by kochać, nie dbając zbytnio o to, czy jest kochany – spróbował kilkakrotnie zażyć opium. Nie miał jednak wrodzonego, naturalnego pociągu do szukania chwilowych ucieczek od prześladujących go nieszczęść. Był człowiekiem silnym, potrafił wypić dużo wina, lecz było mu ono obojętne, a kiedy mężczyźni wokół niego pili alkohol, on brał słodzoną wodę, pełen pogardliwego współczucia nawet dla tego najwcześniejszego stadium podniecenia trunkiem. To samo odnosiło się do hazardu. W Paryżu często stykał się z hazardem i patrzył nań jak na jakąś chorobę. Wygrana nie nęciła go bardziej niż trunek. Powiadał sobie, że jedyna wygrana, na jakiej mu zależy, musi być rezultatem świadomego działania, będącego trudnym, wymagającym połączeniem wielu elementów, prowadzącym do chwalebego rezultatu. Potęgi, o jakiej marzył, nie mogły obrazować spocone palce, zaciskające się na stosach monet, ani pół dziki, pół obłąkany wyraz triumfu w oczach człowieka, który zgarnia w dłonie stawki dwudziestu zdesperowanych kompanów.

Podobnie jednak jak spróbował opium, tak teraz zaczął kierować myśli ku hazardowi – myśli nie tyle spragnione związane go z nim podniecenia, lecz wyglądające pożądanym okiem łatwego sposobu zdobycia pieniędzy bez konieczności proszenia i bez odpowiedzialności. Gdyby przebywał w tym czasie w Londynie czy Paryżu, możliwe, że podobne myśli zaprowadziłyby go, przy sposobnej okazji, do domu gry, już nie po to, by przyglądać się grającym, lecz by patrzeć na grę z podobną pożądanością. Nad wstrętem przeważałaby ogromna potrzeba wygrania, gdyby los okazał się dlań łaskawy. Bardzo silnym dowodem na to, co mogłoby się stać, gdyby istniała jeszcze jakaś możliwość uprawiania hazardu, był pewien incydent, jaki się wydarzył wkrótce po upadku owych luźnych projektów uzyskania pomocy od stryja.

Sala bilardowa gospody Pod Zielonym Smokiem była miejscem spotkań pewnego rodzaju mężczyzn, których większość, jak nasz znajomy, pan Bambridge, miała opinię hulaków. To tu właśnie biedny Fred Vincy zaciągnął część pamiętnego długu, kiedy to, straciwszy pieniądze na zakładach, musiał się zapożyczyć u swego wesołego kompana. Wiadomo było w Middlemarch, że tracono tu i wygrywano duże pieniądze, czego skutkiem była reputacja Zielonego Smoka jako miejsca rozpusty, ogromnie dla niektórych nęcąca. Stali bywalcy, jak świeżo wtajemniczeni wolnomularze, woleliby zapewne, by kryło się tam coś bardziej niesamowitego, co byłoby ich wyłączną tajemnicą, nie stanowili jednak zamkniętej społeczności i do sali bilardowej zaglądało od czasu do czasu wielu godnych szacunku seniorów i juniorów, ciekawych, co się tam dzieje. Lydgate, który miał predyspozycje do bilardu i bardzo go lubił, wziął kilka razy udział w grze zaraz po przyjeździe do Middlemarch, później jednak nie starczało mu już na to czasu, nie ciągnęło go też do tamtejszego towarzystwa. Pewnego jednak wieczoru tak się zdarzyło, że zaszedł tam, szukając pana Bambridge. Handlarz koni podjął się znalezienia kupca na ostatniego dobrego wierzchowca Lydgate'a, którego doktor postanowił zastąpić tanią szkapą w nadziei, że obniżając w ten sposób poziom życia, zdobędzie ze dwadzieścia funtów; najdrobniejsza suma miała teraz dla niego znaczenie, mogła bowiem karmić cierpliwość dostawców. Zajrzy, przejeżdżając, do sali bilardowej, to mu oszczędzi czasu.

Pana Bambridge jeszcze nie było, ale wkrótce zapewne się zjawi, oświadczył jego przyjaciel, pan Horrock, Lydgate został więc i zaczął dla zabicia czasu grać w bilard. Owego wieczoru cechowało go ogromne ożywienie i to szczególne światło w oczach, które zauważył u niego pastor Farebrother. Wszyscy zwrócili uwagę na rzadki fakt jego tu obecności: na sali zebrało się spore towarzystwo z Middlemarch, a wielu patrzących,

podobnie jak i grających, w podnieceniu robiło zakłady. Lydgate grał dobrze i czuł się pewnie; stawiano na niego coraz częściej, a on, tknięty nagłą myślą o ewentualnej wygranej, która mogłaby podwoić sumę, jaką zaoszczędzi na koniu, zaczął sam obstawiać własne pchnięcia i wygrywać raz po raz. Kiedy przyszedł pan Bambridge, doktor nawet go nie zauważył. Nie tylko podniecała go własna gra, ale też widział już w wyobraźni, jak jedzie jutro do Brassing, gdzie można grać o większe pieniądze i gdzie, przy łucie szczęścia, może uda mu się jednym pociągnięciem zerwać diabłu przynętę z haczyka i uwolnić się od codziennych nagabywań.

Wciąż jeszcze wygrywał, kiedy do sali weszło dwóch nowych gości. Jednym był młody Hawley, który właśnie wrócił ze studiów prawniczych w Londynie, drugim zaś Fred Vincy, który kilka ostatnich wieczorów spędził w swojej starej jaskini. Młody Hawley, uważany za doskonałego gracza, ujął kij bilardowy świeżą, chłodną ręką. Fred Vincy jednak, zaskoczony widokiem Lydgate'a i zdumiony podnieceniem, z jakim robił zakłady, odsunął się i trzymał z dala od kręgu otaczającego stół bilardowy.

Fred ostatnio wynagradzał sobie wytrwałość odrobiną swobody. Od pół roku pracował gorliwie pod kierunkiem pana Gartha i brał udział w każdej robocie w terenie, a wskutek zapamiętałych ćwiczeń niemal zlikwidował mankamenty swego pisma, choć owe ćwiczenia nie były może tak bardzo przykre, gdyż odbywały się wieczorami u pana Gartha pod okiem Mary. Lecz ona od dwóch tygodni bawiła na plebanii w Lowick, u pań, podczas gdy pastor był w Middlemarch, gdzie wprowadzał w życie jakieś parafialne projekty. Fred, nie mając nic lepszego do roboty, poszedł Pod Zielonego Smoka, trochę, żeby zagrać w bilard, a trochę, by zaznać dawnego smaku rozmów o koniach, polowaniu i wszystkim w ogóle, prowadzonych językiem, który nie może być uważany za ściśle poprawny. Ani razu nie polował w tym sezonie, nie miał własnego konia pod wierzch, a z miejsca na miejsce przenosił się na ogół w gigu razem

z panem Garthem albo na statecznym koniku pożyczanym mu przez pryncypała. Zaczął sobie myśleć, że jako pastor nie byłby trzymany tak krótko. „Powiem ci coś, panno Mary, łatwiej się nauczyć pisania kazań niż dokonywania pomiarów i kreślenia planów – powiedział, by doceniła, co on musi dla niej wycierpieć. – A jeśli idzie o Herkulesa i Tezeusza, to oni są niczym wobec mnie. Mogli sobie jeździć na łowy i nigdy nie musieli się uczyć księgowego pisma”. Teraz zaś, kiedy Mary na krótki czas zabrakło, Fred, jak każdy silny pies, który nie może wysunąć łba z obroży, dokonywał krótkich wypadów na długość naciągniętego łańcucha, nie mając oczywiście zamiaru uciekać ani szybko, ani daleko. Dlaczego nie miałby zagrać w bilard? Postanowił jednak nie robić zakładów. Jeśli idzie o pieniądze, właśnie podjął bohaterską decyzję, że oszczędzi niemal całe osiemdziesiąt funtów, jakie mu zaproponował pan Garth, i zwróci je; mogłoby mu to przyjść bez trudu, gdyby zrezygnował ze zbędnych wydatków, miał bowiem spory zapas ubrań, a utrzymanie nic go nie kosztowało. W ten sposób mógłby w ciągu jednego roku spłacić większą część owych dziewięćdziesięciu funtów, jakich pozbawił panią Garth, i to w momencie, kiedy bardziej potrzebowała pieniędzy niż dziś. Trzeba jednak powiedzieć, że tego wieczoru, który był jego piątym kolejnym wieczorem w sali bilardowej, Fred miał nie w kieszeni, ale w wyobraźni dziesięć funtów, które postanowił zatrzymać z półrocznej wypłaty (zamierzając zrobić sobie najpierw, kiedy Mary wróci do domu, przyjemność zwrócenia trzydziestu pani Garth), a więc miał w wyobraźni owe dziesięć funtów jako fundusz, którego pewną część mógłby zaryzykować, gdyby się nadarzyła okazja na dobry zakład. Dlaczego? No cóż, kiedy tu fruwały suwereny, może udałoby się złapać kilka? Nigdy już nie posunie się za daleko na tej drodze, ale człowiek, szczególnie zaś hulaka, lubi sobie dowieść, ile mógłby zrobić złego, gdyby chciał, i jeśli nie doprowadza się własnowolnie do choroby czy nędzy, czy

też nie pozwala sobie gadać najbardziej rozwiązanym językiem, jaki się mieści w ograniczonych ludzkich możliwościach – to nie dlatego, że jest zakochanym idiotą. Fred nie szukał konwencjonalnych argumentów, które w sposób sztuczny i niecisły tłumaczą podniecające nawroty starych obyczajów i kaprysy młodej krwi, on tego wieczoru miał prorocze przekonanie, że jeśli zacznie grać w bilard, to powinien również obstawiać pchnięcia – że powinien zrobić sobie przyjemność i napić się ponczu, i przygotować się, ogólnie biorąc, na to, że jutro rano będzie „kiepsko się czuć”. Od takich nieokreślonych poruszeń zaczyna się często działanie.

Lecz w najśmielszych przewidywaniach nie mógł sobie wyobrazić, że zobaczy tu szwagra – a nie całkiem zmienił swoją o nim opinię jako o zarozumiałym głędzie – który w podnieceniu robi zakłady i wygląda tak jak on, Fred, mógłby wyglądać. Ten widok był dla niego prawdziwym szokiem, jakiego nie potrafił sobie wytłumaczyć niejasną wiedzą o tym, że Lydgate jest w długach i że ojciec odmówił mu pomocy. Nagle odeszła go ochota wejścia do gry. Dokonała się dziwna zmiana postaw; jasna twarz i niebieskie oczy Freda, wesołe zwykle i beztroskie, gotowe dostrzec wszystko, co niesło zapowiedź zabawy, stały się bezwiednie poważne, nieco speszone, jakby zobaczył coś wstydlivego; Lydgate zaś, który zazwyczaj sprawiał wrażenie opanowania i siły, a również kryjącej się za skupioną uwagą skłonności do zamyślenia – działał, patrzył i mówił z tą zmniejszoną świadomością, jaka towarzyszy podnieceniu, a przywodzi na myśl zwierzę o rozwścieczonych oczach i wysuniętych pazurach.

Lydgate, który obstawiał własne pchnięcia, wygrał szesnaście funtów, lecz z przybyciem młodego Hawleya sytuacja się odwróciła. Nowy gracz zrobił kilka świetnych pchnięć i zaczął je obstawiać przeciwko Lydgate'owi. Teraz zmienił się rodzaj napięcia doktora, który od zwykłej pewności co do własnych ruchów przeszedł do udowadniania komuś innemu, że nie należy ich lekceważyć. To udowadnianie było bardziej

podniecające niż owa pewność, ale mniej skuteczne. Dalej obstawiał własne pchnięcia, ale zaczął co chwila przegrywać. Mimo to nie ustępował; wąska i urwista szczelina gry wchłonęła jego myśli do tego stopnia, że można by go wziąć za najbardziej prymitywnego spośród zebranych na sali wartogłowów. Fred, zobaczywszy, że Lydgate raz po raz przegrywa, znalazł się w zupełnie nowej dla niego sytuacji – zaczął mianowicie wytyżać głowę, jak by tu, nie urażając szwagra, przyciągnąć jego uwagę i podsunąć mu jakiś pretekst do wyjścia z sali. Widział, że i inni dostrzegli, iż Lydgate jest dziwnie do siebie niepodobny, i przyszło mu do głowy, że gdyby tylko dotknął jego łokcia i odwołał na chwilę na bok, może by go wyrwał z tego stanu. Nie potrafił wymyślić nic mądrzejszego niż śmiało, ale mało wiarygodne stwierdzenie, że chciałby odwiedzić siostrę i nie wie, czy ją zastanie wieczorem w domu. Już zbierał się w rozpacz do wykonania tego nie najlepszego pomysłu, kiedy podszedł do niego kelner, powiadając, że na dole czeka pastor Farebrother, który chciałby z nim mówić.

W zaskoczeniu Freda była odrobina zaambarasowania, ale odparł kelnerowi, że zaraz zejdzie i pchnięty impulsem podszedł do Lydgate'a.

– Czy mogę cię prosić na słowo? – spytał, odciągając go na bok.

– Farebrother przysłał mi właśnie wiadomość, że chce się ze mną zobaczyć. Jest na dole. Sądziłem, że trzeba ci o tym powiedzieć, może chcesz z nim mówić?

Fred chwycił się tego pretekstu, nie mógł bowiem powiedzieć: „Przegrywasz z kretesem i wszyscy się na ciebie gapią, lepiej stąd wyjdź!”. Natchnienie jednak nie mogłoby mu bardziej pomóc. Lydgate nie zdawał sobie sprawy, że Fred jest na sali, i jego nagłe pojawienie się z wiadomością o przyjsciu pastora podziałało jak kubeł zimnej wody.

– Nie, nie – wymamrotał. – Nie mam mu nic do powiedzenia. Ale gra się skończyła... muszę iść... przyszedłem tu tylko, żeby się spotkać z

Bambridge'em.

– Bambridge jest o tam, ale właśnie robi awanturę. Nie sądzę, żeby się nadawał do rozmowy o interesach. Zejdź ze mną do pastora. Przypuszczam, że chce mi nagadać, a ty mnie osłonisz. – Fred okazał nawet pewien spryt.

Lydgate poczuł wstyd, lecz duma nie pozwalała mu tego okazać i odmówić spotkania z pastorem, zszedł więc na dół. Tam tylko uścisnęli sobie ręce, wymienili uwagi, że zimno, kiedy zaś całą trójką znaleźli się na ulicy, pastor wyraźnie dał do zrozumienia, że chce pożegnać się z lekarzem. Jego celem była najwidoczniej rozmowa z Fredem w cztery oczy, bo powiedział z życzliwością w głosie:

– Przerwałem ci, młody człowieku, gdyż mam z tobą do załatwienia pewną niecierpiącą zwłoki sprawę. Odprowadź mnie do kościoła Świętego Botolpha, dobrze?

Noc była piękna, niebo usiane gwiazdami, a pastor zaproponował, by poszli do starego kościoła okrężną drogą, przez gościniec londyński.

– Sądziłem – powiedział – że Lydgate nigdy nie bywa Pod Zielonym Smokiem.

– Ja też tak myślałem – przyznał Fred. – Powiedział, że przyszedł zobaczyć się z Bambridge'em.

– A więc grał?

Fred nie zamierzał tego mówić, ale zapytany, musiał odpowiedzieć.

– Tak, grał. Wydaje mi się jednak, że to czysty przypadek. Nigdy go tu przedtem nie widziałem.

– A więc bywałeś tu często ostatnimi czasy?

– Och, pięć czy sześć razy.

– Myślałem, że masz powód, by zarzucić zwyczaj odwiedzania tej gospody.

– Tak. Pan o tym wie. – Fred nie miał ochoty słuchać podobnych

kazań. – Powiedziałem panu wszystko.

– Sądzę, że to mnie upoważnia do obecnej rozmowy. Przyjmujemy obaj, nieprawdaż, że jesteśmy na stopie szczerej przyjaźni: ja wysłuchiwałem ciebie, a ty z kolei życzliwie wysłuchasz mnie. Czy mogę teraz pomówić trochę o sobie?

– Mam wobec pana ogromne zobowiązania, pastorze – odparł Fred, pełen niedobrych przeczuc.

– Nie będę próbował przeczyć, że masz wobec mnie pewne zobowiązania. Muszę ci jednak wyznać, Fred, że miałem pokusę, by się wyrzec tych zobowiązań i milczeć. Kiedy usłyszałem od kogoś, że „młody Vincy znowu bywa co wieczór przy stole bilardowym, jak dawniej, i niedługo da się go utrzymać w karbach”, kusiło mnie, by uczynić coś odwrotnego niż to, co robię w tej chwili, nabrać wody w usta i czekać, aż ponownie spadniesz na łeb z tej drabiny, postawisz pieniądze pierwszy raz, a później...

– Nie robiłem żadnych zakładów – wtrącił spiesźnie Fred.

– Rad jestem, że to słyszę. Ale, jak powiadam, miałem ochotę patrzeć i przyglądać się, jak wchodzisz na niewłaściwą drogę, wyczerpujesz cierpliwość Gartha i tracisz największą szansę swojego życia, szansę, którą próbowałeś wykorzystać, podejmując trudny dla siebie wysiłek. Domyślasz się chyba, jakie to uczucie obudziło we mnie taką pokusę. Pewny jestem, że je znasz. Pewny jestem, że wiesz, iż zaspokojenie twoich uczuć stoi moim na drodze.

Nastąpiło milczenie. Wydawało się, że pastor chce, aby ta świadomość dobrze zapadła w umysł słuchacza; wzruszenie, brzmiące wyraźnie w jego dźwięcznym głosie, nadawało dostojeństwa słowom. Nic jednak nie mogło stłumić przerażenia Freda.

– Nie można ode mnie oczekiwać, bym się jej wyrzekł – odparł po chwili wahania: nie był to moment na udawanie wielkoduszności.

– Oczywiście, że nie, jak długo ona odwzajemnia twoje uczucia. Ale tego rodzaju sytuacje, nawet najdłużej trwające, zawsze mogą ulec zmianie. Łatwo mogę sobie wyobrazić, że rozluźniasz swoim postępowaniem jej emocjonalną więź z tobą. Należy przecież pamiętać, że to, co ją z tobą łączy, jest tylko warunkowe, i że wówczas inny mężczyzna, który pochlebia sobie, że jest przez nią poważany, może zdobyć w jej uczuciach i szacunku to stałe miejsce, które ty lekkomyślnie utraciłeś. Łatwo mogę sobie taki obrót spraw wyobrazić – powtórzył pastor z naciskiem.

– Wartość życzliwego zrozumienia, które jest na podporządkowaniu, może się okazać większa niż najdłuższa znajomość.

Wydawało się Fredowi, że gdyby pastor Farebrother miał dziób i szpony zamiast tego giętkiego języka, atak nie byłby okrutniejszy. Przenikała go straszliwa pewność, że za tymi wszystkimi hipotetycznymi stwierdzeniami kryje się wiedza o istotnej zmianie uczuć Mary.

– Wiem, oczywista, że łatwo mogę pójść w odstawkę – mówił przygnębiony. – Jeśliby zaczęła porównywać... – tu przerwał, nie chcąc zdradzać się z tym, co czuje, potem zaś ciągnął, pomagając sobie szczyptą goryczy. – Ale sądziłem, że pan jest mi życzliwy.

– Jestem. Dlatego właśnie z tobą rozmawiam. Miałem jednak wielką ochotę nie rozmawiać. Mówiłem do siebie: „Jeśli istnieje prawdopodobieństwo, że ten młodzik sam się skrzywdzi, czemu miałbyś się w to wtrącać? Czy nie jesteś wart tyle samo co on i czy te szesnaście lat więcej, które przeżyłeś, nie zaspokajając swoich pragnień, nie dają większego prawa do satysfakcji tobie, a nie jemu? Jeśli jest szansa, że zejdziesz na psy, to niech schodzi, może i tak nie mógłbyś temu zapobiec, a więc wykorzystaj ją”.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której Freda przejął dojmujący chłód. Co się teraz stanie? Bał się, że usłyszy, iż coś już powiedziano Mary. Wydawało mu się, że słucha groźby raczej niż ostrzeżenia. Kiedy

pastor zaczął mówić znowu, w barwie jego głosu zaszła zmiana, jakby krzepiące przejście do tonacji dur.

– Ale kiedyś miałem lepsze intencje i postanowiłem do nich wrócić. Doszedłem do wniosku, Fred, że najprościej zapewnię sobie bezpieczeństwo, mówiąc ci o wszystkim, co przeżywam.

A teraz czy rozumiesz? Chcę, żebyś jej dał szczęście w życiu, jej i sobie, a jeśli jest szansa, że moje słowa zdołają zapobiec groźbie, jaka nad tym szczęściem wisi, to cóż – wypowiedziałem te słowa.

Mówiąc to, pastor zniżył głos. Zamilkł. Stali na splachetku ziemi w rozwidleniu dróg, z których jedna prowadziła do kościoła Świętego Botolpha, i wyciągnął rękę, jakby chciał dać do zrozumienia, że rozmowa skończona. Fred odczuwał nieznane dotąd wzruszenie. Ktoś obdarzony wielką wrażliwością powiedział, że kontemplacja pięknego dzieła wywołuje odradzający dreszcz, który przeszywa człowieka i sprawia, że jest gotów rozpocząć nowe życie. Coś takiego doświadczał w tej chwili Fred Vincy.

– Postaram się być wart... – przerwał, nim zdążył powiedzieć: pana tak samo jak jej. Tymczasem pastor odczuł potrzebę dodania jeszcze czegoś.

– Nie wyobrażaj sobie, bym sądził, że jej uczucie do ciebie zaczęło wygasać, Fred. Miej pokój w sercu i ufaj, że jeśli będziesz postępował należycie, cała reszta będzie też jak należy.

– Nigdy tego panu nie zapomnę – powiedział Fred. – Nie umiem znaleźć słów, które znaczyłyby tyle, co trzeba. Postaram się tylko, żeby pańska dobroć nie poszła na marne.

– To wystarczy. Do widzenia, i niech cię Bóg ma w swojej opiece.

Tak się rozstali. Ale obaj długo jeszcze przechadzali się w świetle gwiazd. Rozmyślenia Freda można by zsumować następująco: „Na pewno małżeństwo z pastorem Farebrotherem byłoby dla niej czymś

wspaniałym, ale jeśli ona kocha mnie, a ja będę dobrym mężem?”.

Rozważania pastora Farebrothera można by zamknąć w jednym krótkim wzruszeniu ramionami i jednym krótkim stwierdzeniu: „I pomyśleć, jaką rolę jedna mała kobieta może odegrać w życiu mężczyzny, jeśli wyrzeczenie się jej może przypominać bohaterstwo, a zdobywanie może się okazać samodyscypliną”.

ROZDZIAŁ LXVII

W duszy rozgrywa się wojna domowa;
Stanowczy Zamysł strącon został z tronu
Przez Potrzeb hordę; wielki wezyr Duma
Rolę posłańca pokornie wypełnia,
Ze swadą głosząc zręczną apologię
Zgłodniach rebeliantów.

Szczęśliwie się dla Lydgate'a złożyło, że przegrał w sali bilardowej i nie wyniósł stamtąd apetytu na ponowne próbowanie szczęścia. Przeciwnie, czuł do siebie tylko wstręt, kiedy następnego dnia musiał zapłacić cztery czy pięć funtów ponad to, co wygrał, i kiedy cały czas towarzyszyła mu szczególnie przykra myśl, że zrobił z siebie głupca, wchodząc w konfidencję ze stałymi bywalcami Zielonego Smoka i zachowując się podobnie jak oni. Filozof, który zniżył się do praktykowania hazardu, nie różni się, w podobnych okolicznościach, od filistyna^[128]: różnica okaże się dopiero w ich późniejszych reakcjach, a Lydgate'owi został w ustach bardzo przykry smak. Rozsądek powiadał mu, że cała sprawa, przy niewielkiej odmianie scenerii, mogła się skończyć kompletną ruiną, gdyby przypadkiem zaszedł do prawdziwego domu gry, gdzie szanse chwytą się obydwoma rękami, a nie ujmuje w dwa palce. Choć jednak rozum zdusił w nim pragnienie hazardu, pozostało poczucie, że gdyby był pewny, iż szczęście pozwoli mu zdobyć potrzebną sumę – wolałby znowu grać niż uciekać się do innego wyjścia, które teraz narzucało się już jako konieczność.

[128] W tym wypadku zapewne słowo to ma znaczenie, w jakim używał je Carlyle: człowiek nieokrzesany i tępy.

Tym wyjściem było zwrócenie się do pana Bulstrode. Tyle razy Lydgate chełpił się przed sobą i innymi, że jest od Bulstrode'a całkowicie niezależny, że akceptował jego projekty tylko dlatego, iż pozwalały mu realizować własne wyobrażenia o pracy zawodowej i korzyści publicznej – tak nieustannie w ich wzajemnym obcowaniu karmił swoją dumę przekonaniem, że wykorzystuje dla społecznego dobra tego obnoszącego swą wyższość bankiera, którego poglądy uważał za niegodne uwagi, a którego motywy wydawały mu się często niedorzeczną mieszaniną wzajemnie wykluczających się wyobrażeń – że stworzył sobie silną przeszkodę ideową, utrudniającą zwrócenie się doń z jakąś poważniejszą osobistą prośbą.

W początku marca jednak sprawy doktora doszły do punktu, w którym mężczyźni zaczynają mówić, iż przysięgali, nie wiedząc, co czynią, i dostrzegać, że postępek, który wydawał się im niemożliwy, staje się w sposób oczywisty możliwy. Ów obmierzły list zastawny, który posiadał Dover, miał zostać lada chwila zrealizowany, zalegające długi pochłaniały natychmiast wszystkie dochody z praktyki, nadto istniała groźba, że jeśli najgorsze stanie się wiadome – kupcy wstrzymają codzienne dostawy na kredyt; to wszystko i, co najważniejsze, strasząca go nieustannie wizja beznadziejnego rozżalania Rozamundy sprawiała, że Lydgate zaczął rozumieć, iż musi się ugiąć i poprosić kogoś o pomoc. Z początku zastanawiał się, czy nie napisać do pana Vincy, kiedy jednak spytał o to Rozamundę, okazało się, że jak podejrzewał, zwracała się już dwukrotnie do ojca, ostatnio po owym rozczarowaniu sir Godwinem, lecz tata powiedział, że Lydgate musi sam sobie radzić. „Tata mówi, że te kilka kolejnych złych lat doprowadziły go do tego, że coraz bardziej opiera handel na pożyczonym kapitale, i musiał się sam wyrzec wielu przyjemności. Nie jest w stanie zaoszczędzić nawet stu funtów z kosztów utrzymania własnej rodziny. Powiedział, niech Lydgate zwróci się do

Bulstrode'a, zawsze byli w dobrej komitywie”.

W istocie, Lydgate sam doszedł do wniosku, że jeśli wszystko musi się skończyć zaciągnięciem nowej pożyczki, to jego stosunki z Bulstrode'em bardziej niż z kimkolwiek innym uprawniają go do zwrócenia się z prośbą, która będzie nosiła nie tylko osobisty charakter. Bulstrode pośrednio przyczynił się do upadku jego praktyki, poza tym był ogromnie ukontentowany faktem, że znalazł w nim, lekarzu, sojusznika wspierającego projekty co do szpitala – któż zaś, kto się zgodził jak Lydgate, na tego rodzaju zależność, nie chciałby wierzyć, że ma pewne prawa, które zmniejszają upokorzenie związane z prośbą o pożyczkę? Co prawda, zainteresowanie Bulstrode'a szpitalem osłabło ostatnio, ale bankier zaczął niedomagać na zdrowiu i wykazywał oznaki poważnej niedyspozycji nerwowej. Pod innymi względami nie wydawał się zmieniony, zawsze był ogromnie uprzejmy, jednakże Lydgate wiedział, że od początku odnosił się chłodno do jego małżeństwa i wszystkiego, co się z tym wiązało. Dotychczas jednak doktor wołał ten chłód niż ciepło zażyłości. Odwlekał ciągle sprawę, gdyż nawet jego nawyk szybkiego wprowadzania zamierzeń w czyn osłabł, strawiony niechęcią do wszelkich zamierzeń i wszelkich czynów. Widywał pana Bulstrode często, ale nie próbował wykorzystać dla siebie żadnej z nadarzających się okazji. Raz myślał: „Napiszę list, lepsze to niż jakieś okrężne gadanie”. A już w następnej chwili: „Nie, w bezpośredniej rozmowie zdążę się wycofać, nim on w jakikolwiek sposób okaże nieprzychylność”.

Dni jednak mijały, a doktor ani nie napisał listu, ani nie poprosił o rozmowę. Myśląc z niechęcią o upokorzeniu, jakie będzie musiał przeżyć, stając się petentem Bulstrode'a, zaczął oswajać wyobraźnię z innym rozwiązaniem, jeszcze bardziej do dawnego doktora Lydgate niepodobnym. Zaczął się z własnej woli zastanawiać, czy nie udałoby się wprowadzić w życie dziecinnego pomysłu Rozamundy, który go tak

często wprawiał w gniew, mianowicie, żeby wyjechali z Middlemarch, nie zastanawiając się co dalej. Powstawało pytanie: „Czy ktokolwiek kupi dziś ode mnie praktykę za tyle, ile jest warta?”. Wypzedaż mogłaby wówczas poprzedzić wyjazd jako zwykła konieczność.

Przeciwno takiemu rozwiązaniu, które jednak uważał za karygodne porzucenie obecnej pracy, naganną rezygnację z konkretnego i być może w przyszłości powiększającego się terenu pożytecznej działalności – po to, by zaczynać od nowa, bez określonego celu – przeciwko temu przemawiała trudność wyszukania nabywcy, który jeśliby się w ogóle znalazł, mógłby się znaleźć za późno. A potem? Rozamunda w jakimś ubogim mieszkaniu, choćby nawet w największym mieście czy najodleglejszym miasteczku, nie będzie prowadziła życia, które mogłoby ją uwolnić od smutku, a jego od wyrzutów, że ją do tego doprowadził. Kiedy bowiem człowiek przegrywa z losem i spada na dno, może tam przebywać bardzo długo, choćby był utalentowany zawodowo. W klimacie brytyjskim nie ma sprzeczności między wiedzą naukową i pokojami do wynajęcia; sprzeczność istnieje głównie między ambicjami naukowymi i żoną, która sobie nie życzy tego rodzaju adresu.

Gdy tak się wahał, okoliczności zdecydowały za niego. Pan Bulstrode przysłał mu kartkę z prośbą, by przyszedł do niego do banku. Ostatnio bankier zaczął wykazywać pewną skłonność do hipochondrii; skarżył się na bezsenność, która w istocie była tylko nieco silniejszym objawem jego chronicznej niestrawności, i uważał, że to świadectwo grożącej mu choroby umysłowej. Chciał porady Lydgate'a zaraz, tego ranka, choć nie miał mu do powiedzenia nic ponad to, co już był mówił. Słuchał łapczywie słów doktora, który starał się rozproszyć jego lęki, choć te słowa były również powtórzeniem poprzednich. W momencie, w którym dawał Bulstrode'owi krzepiącą lekarską poradę, zwrócenie się do bankiera z osobistą prośbą o pomoc wydało się Lydgate'owi łatwiejsze, niż to sobie

uprzednio wyobrażał. Mówił z przekonaniem, że byłoby dobrze, gdyby pan Bulstrode nieco mniej zajmował się interesami.

– Wiadomo, że każdy wysiłek umysłowy, nawet najmniejszy, wywołuje reakcję w delikatnym organizmie – tłumaczył swemu pacjentowi, gdy konsultacja była już na etapie, w którym przechodzi się od uwag szczegółowych do ogólnych. – Wiemy to, gdyż znamy głębokie ślady, jakie niepokój pozostawia na jakiś czas nawet na ludziach młodych i pełnych tężyzny. Ja jestem z natury bardzo silny, a mimo to całkowicie ostatnio wytrącony z równowagi wskutek spiętrzenia kłopotów.

– Sądzę, że organizm, tak bardzo nadwątlony jak mój obecnie, może być szczególnie podatny na cholere, gdyby nawiedziła nasze okolice. A jako że pokazała się blisko Londynu, winniśmy oblegać teraz tron Miłosiernego, błagając, by nas chronił. – Pan Bulstrode nie chciał ignorować aluzji zawartej w słowach doktora, lecz naprawdę pochłonięty był obawą o własną osobę.

– Zrobił pan, co do niego należy, jeśli idzie o wprowadzenie właściwych, praktycznych środków ostrożności w naszym mieście, i to jest najlepszy sposób proszenia o ochronę – powiedział Lydgate, którego przejęła niesmakiem kulawa metafora i brak logiki w religijności bankiera, a równie głuchota na cudze problemy. Myśli doktora jednak ruszyły dawno już przygotowanym torem, ku szukaniu pomocy, i nie zdążyły się zatrzymać. Dodał: – Miasto zrobiło, co trzeba, jeśli idzie o czystość i wynajdywanie rozwiązań sanitarnych, sądzą też, że gdyby przyszła cholera, to nawet nasi wrogowie musieliby przyznać, iż przygotowanie szpitala leży w interesie nas wszystkich.

– To prawda – przytaknął Bulstrode z pewnym chłodem. – Jeśli zaś idzie o to, co pan powiedział, doktorze, w przedmiocie zmniejszenia mojego wysiłku umysłowego, od pewnego już czasu zastanawiałem się nad rozwiązaniem, mającym to na względzie, rozwiązaniem bardzo

daleko idącym. Rozważam ewentualność czasowej przynajmniej rezygnacji z prowadzenia wielu przedsięwzięć, zarówno handlowych, jak dobroczynnych. Myślę również o zmianie miejsca zamieszkania na jakiś czas: być może zamknę lub wynajmę Krzewinę i wezmę jakiś dom bliżej morza, w miejscu, rzecz jasna, rekomendowanym ze względu na zalety zdrowotne. Czy zalecałby pan taki krok?

– O, tak – Lydgate rozsiadł się wygodnie na krześle, źle ukrywając zniecierpliwienie przed wyblakłymi, poważnymi oczyma bankiera, zaabsorbowanego wyłącznie sobą.

– Od pewnego już czasu czuję, że powinienem pomówić o tym z panem w związku z naszym szpitalem – ciągnął Bulstrode. – W okolicznościach, o jakich wspomniałem, będę, rzecz jasna, musiał wycofać się z osobistego udziału w zarządzaniu, a byłoby sprzeczne z moim pojęciem o odpowiedzialności, gdybym przekazywał poważne środki instytucji, nad którą nie mogę czuwać i którą nie mogę w jakimś stopniu kierować. Tak więc w wypadku, gdybym podjął ostateczną decyzję wyjazdu z Middlemarch, uznałbym za właściwe wycofać wszelką pomoc dla nowego szpitala oprócz tej, która pozostanie w postaci moich kapitałnych wkładów w koszty budowy oraz innych poważnych sum, jakie przekazałem na jego sprawne funkcjonowanie.

Bulstrode urwał, jak to miał w zwyczaju, a Lydgate pomyślał: „On chyba stracił ostatnio dużo pieniędzy”. Było to najbardziej wiarygodne wyjaśnienie tego przemówienia, które w zaskakujący sposób podważało nadzieje doktora.

– Obawiam się – odpowiedział – że będzie to dla szpitala niepowetowana strata.

– Będzie – przytaknął Bulstrode tym samym poważnym, metalicznym głosem – jeśli się nie dokona pewnych zmian w dotychczasowych planach. Jedyną osobą, na którą można liczyć jako na kogoś, kto zechce

podnieść wysokość swego wkładu, to pani Casaubon. Przeprowadziłem z nią rozmowę na ten temat i wykazałem, jak to zamierzam obecnie wykazać panu, że byłoby rzeczą pożądaną uzyskać bardziej powszechne poparcie dla nowego szpitala, a to na skutek pewnej zmiany układu organizacyjnego.

Znowu przerwał, lecz Lydgate milczał.

– Zmiana, o jakiej myślę, to połączenie go z infirmerią, tak aby uważano nowy szpital za swoisty dodatek do dawnej placówki, będący pod tym samym zarządem. Byłoby również konieczne, aby rada lekarska obu instytucji została połączona. W ten sposób usunęłoby się wszystkie trudności związane z utrzymaniem naszego nowego ośrodka na należytych poziomach, a podział filantropijnych kół miasta przestałby istnieć.

Pan Bulstrode spuścił wzrok z twarzy Lydgate'a na guziki jego surduta i zamilkł znowu.

– Jest to niewątpliwie dobry pomysł, jeśli idzie o rozwiązania finansowe – odparł Lydgate nie bez cienia ironii w głosie. – Trudno się jednak spodziewać, bym się nim cieszył, ponieważ jednym z pierwszych skutków będzie to, że inni lekarze zaczną utrudniać stosowanie moich metod lub wręcz położą im kres z tej tylko przyczyny, że są moje.

– Jak pan wie, doktorze, osobiście wysoko cenię możliwość aplikowania nowych, niezależnych metod leczenia, jakie pan tak umiejętnie wprowadził: przyznaję, iż z woli Najwyższego nosiłem głęboko w sercu nasz pierwotny plan. Kiedy jednak znaki Opatrzności żądają ode mnie wyrzeczenia – wyrzekam się.

Bulstrode okazywał w rozmowach swój dosyć irytujący dar. Jego kulawe metafory i nielogiczna motywacja, budzące w słuchaczach pogardę, były zgodne ze sposobem, w jaki prezentował fakty, wskutek czego trudno było doktorowi okazać swoje oburzenie i zawód. Po chwili zastanowienia spytał tylko:

– Co powiedziała pani Casaubon?

– To jest następna sprawa, jaką chciałem panu zakomunikować. – Pan Bulstrode przygotował bardzo starannie swoje ministerialne wystąpienie. – Pani Casaubon jest, jak panu wiadomo, kobietą ogromnie szczodrej natury i, na szczęście, posiadaczką nie tyle, sądzą, wielkiej fortuny, co pewnych funduszy, bez jakich łatwo może się obyć. Poinformowała mnie, że choć przeznaczyła sporą ich część na inny cel, pragnie się zastanowić, czy nie mogłaby mnie całkowicie zastąpić w zakresie, w jakim dotyczy to szpitala. Pragnie jednak mieć dość czasu, aby jej myśli na ten temat mogły dojrzeć, a ja powiadomiłem ją, że nie musi się spieszyć, gdyż w gruncie rzeczy sam nie podjąłem jeszcze ostatecznych decyzji.

Lydgate mało nie powiedział: „Gdyby pani Casaubon zajęła pańskie miejsce, byłby to zysk, a nie strata”. Jednak ciężar, jaki mu leżał na duszy, nie pozwalał na tak pogodną szczerość.

– Sądzę więc – powiedział – że mogę poruszyć ten temat w rozmowie z panią Casaubon?

– Właśnie. Tego ona wyraźnie sobie życzy. Powiada, że jej decyzja będzie w dużej mierze zależała od tego, co pan jej powie. Ale nie w tej chwili. Teraz, jak sądzą, wyrusza w drogę. Mam tutaj jej list – ciągnął pan Bulstrode, wyjmując go i czytając głośno: „Jestem w obecnej chwili zajęta czym innym. Wyjeżdżam z sir Jamesem i lady Chettam do hrabstwa York, a decyzje, jakie podejmę co do pewnych gruntów, które mam tam obejrzyć, mogą rzutować na moje możliwości wspomagania szpitala”. Tak więc nie ma powodu do pośpiechu w tej materii, pragnąłem jednak uprzedzić pana, co się ewentualnie może zdarzyć.

Pan Bulstrode wsunął list do bocznej kieszeni i zmienił pozycję, jakby sprawa, o którą mu chodziło, została skończona. Nowe nadzieje związane ze szpitalem szybciej uzmysłowiły doktorowi, co mu owe nadzieje zaturuwa; rozumiał, że jeśli w ogóle ma zabiegać o pomoc, musi to zrobić

teraz, i to energicznie.

– Jestem panu wysoce zobowiązany za uprzedzenie mnie o wszystkim – zaczął stanowczym głosem, dalej jednak mówił nieco urywając, jakby wbrew chęci. – Największą wagę ma dla mnie mój zawód, a szpital utożsamiałem z możliwością najlepszego spożytkowania obecnie moich umiejętności. Ale najlepsze ich spożytkowanie nie zawsze jest równoznaczne z sukcesem finansowym. Wszystko, co złożyło się na niepopularność szpitala, oraz jeszcze inne przyczyny – sądzę, że wiążą się one z moją pasją zawodową – sprawiło, że stałem się niepopularny jako praktykujący lekarz. Mam na ogół pacjentów, którzy nie mogą płacić. Odpowiadaliby mi bardzo, gdybym sam z kolei nie musiał płacić innym. – Tu Lydgate przerwał na chwilę, lecz Bulstrode skinął tylko głową, wpatrując się w niego nieruchomo. Doktor mówił więc dalej, potykając się, jakby połykał wstrętną obelgę.

– Wpadłem w kłopoty finansowe, z których nie widzę wyjścia, chyba że ktoś, kto wierzy we mnie i moją przyszłość, pożyczy mi pewną sumę bez zabezpieczenia. Z majątku, który ze sobą przywiozłem, niewiele mi zostało. Nie mam żadnych widoków na pieniądze od rodziny. Moje wydatki wskutek małżeństwa wzrosły o wiele bardziej, niż przewidywałem. Rezultat w tej chwili jest taki, że potrzebuję tysiąca funtów, by się wypłacić. To znaczy, by się uwolnić od ryzyka, iż wszystko, co mam, zostanie sprzedane na spłatę największego długu, jak również innych długów, oraz mieć jeszcze trochę na dokładanie przez jakiś czas do moich skromnych zarobków. Stwierdziłem, że nie jest możliwe, by mój teść mógł nam tę sumę pożyczyć. Dlatego właśnie mówię o mojej sytuacji jedynemu prócz niego człowiekowi, dla którego moja pomyślność czy ruina mogłaby mieć osobiste znaczenie.

Lydgate nienawidził dźwięku własnych słów. Powiedział jednak wszystko i to z niedwuznaczną otwartością. Pan Bulstrode odparł

niespiesznie, ale również bez wahania.

– Jestem zmartwiony, choć przyznam, niezaskoczony tą informacją. Jeśli o mnie idzie, ubolewałem nad faktem, iż związał się pan z rodziną mego szwagra, która zawsze miała skłonność do rozrzutności i która obecnie ma już wobec mnie poważne długi za pomoc umożliwiającą jej utrzymywanie się na obecnym poziomie. Moja rada, panie doktorze, niech pan, zamiast brać na siebie następne zobowiązania i przedłużać niepewne wysiłki, niech pan po prostu ogłosi bankructwo.

– To nie poprawi moich widoków – powiedział z goryczą Lydgate, wstając – nawet gdyby samo w sobie było przyjemniejszym wyjściem.

– To zawsze ciężkie doświadczenie – przytaknął pan Bulstrode. – Lecz doświadczenia, drogi panie, są nam przeznaczone na tej ziemi i stanowią niezbędny czynnik korygujący. Zalecam, by pan się zastanowił nad udzieloną przeze mnie radą.

Dziękuję – odparł Lydgate, nie bardzo wiedząc, co mówi. – Zbyt wiele zabrałem panu czasu. Zegnam.

ROZDZIAŁ LXVIII

W jaki się kostium przyodzieje Cnota,
Skoro Występek taki sam posiada,
Skoro Nikczemność, Chciwość i Sromota
Równie chwalebne cele dziś przedkłada?
Nad światem zdarzeń one wszak panują,
Gdzie naszych czynów sfera się obraca,
I nad wątpliwość wszelką wykazują,
Że oręż prosty najlepiej popłaca.
Ale stateczne, światłe Doświadczenie,
Co ludzkie sprawy na wylot przenika,
Czemuż roztropne odwraca spojrzenie
I stąpa, biorąc Fałsz na przewodnika?

Samuel Daniel, *Musophilus: Containing a
general defence of learning*

Zmiana planów i przesunięcie zainteresowań pana Bulstrode, które ujawnił czy zdradził w rozmowie z Lydgate'em, były skutkiem ciężkich przeżyć, jakich doświadczył po owej wyprzedazy u pana Larchera, kiedy to Raffles poznał Willa Ladislawa i kiedy, następnie, bankier bezskutecznie usiłował dokonać aktu restytucji, który skłoniłby Boską Opatrzność do zaniechania kary.

Przekonanie pana Bulstrode, że Raffles wróci do Middlemarch, chyba żeby umarł, okazało się trafne. W wigilię Bożego Narodzenia zjawił się w Krzewinie. Bulstrode był w domu, zdołał więc, przyjąwszy

go, nie dopuścić do kontaktów gościa z resztą rodziny, nie zdołał jednak całkowicie ukryć kompromitujących okoliczności tej wizyty i uchronić żony od niepokoju. Raffles okazał się tym razem jeszcze trudniejszy do poskromienia; bezustanne podniecenie – rosnący objaw pijackiego nałogu – pozwalało mu natychmiast puszcząć w niepamięć to, co się do niego mówiło. Uparł się, by pozostać w domu bankiera, a ten, wybierając mniejsze zło, uznał, że tak będzie lepiej niż wyprawiać go do miasta. Trzymał go wieczorem we własnym pokoju i posłał do łóżka, a Raffles przez cały czas cieszył się, że sprawia kłopot temu przyzwoitemu i zamożnemu współgrzesznikowi, tłumacząc żartobliwie, że rad jest z uciechy, jaką musi przeżywać jego przyjaciel, dając gościnę człowiekowi, który mu się przysłużył, ale jest o tyle biedniejszy. Pod tymi hałaśliwymi żartami kryło się chytre wyrachowanie, zimna chęć wydobycia z bankiera większej tym razem zapłaty za uwolnienie od tortur nowego rodzaju. Jego chytrość przebrała jednak miarę.

Bulstrode, istotnie, był bardziej udręczony, niż to sobie gruboskórny Raffles mógł wyobrazić. Zonie wyjaśnił, że po prostu opiekuje się tym nieszczęśnikiem, ofiarą występku, człowiekiem, który inaczej mógłby zrobić sobie krzywdę; dał jej do zrozumienia, nie kłamiąc wprost, że zobowiązują go do tej opieki więzy rodzinne i że Raffles wykazuje oznaki obłądu, należy więc zachować ostrożność. Sam, osobiście, wywiezie jutro rano tego nieszczęśnika. Sądził, że przekazuje w ten sposób zonie ostrzegawcze informacje dla córek i służby, które wystarczą jako wyjaśnienie, dlaczego nie pozwala, by ktokolwiek inny poza nim wchodził do pokoju, nawet z jedzeniem i piciem. Siedział jednak sparaliżowany obawą, że ktoś usłyszy, jak Raffles głośno i wyraźnie odwołuje się do minionych zdarzeń, że żona ulegnie pokusie i będzie podsłuchiwać pod drzwiami. Jakże miałyby jej w tym przeszkodzić, zdradzić swój strach, otwierając drzwi, by jej za nimi szukać? Postępowała zawsze uczciwie i

otwarcie i było mało prawdopodobne, by ją się tak niskich sposobów, aby zdobyć niemiłą wiedzę; strach jednak był silniejszy niż rachunek prawdopodobieństwa.

W ten właśnie sposób Raffles przebrał miarę w dręczeniu bankiera i wywołał skutek odwrotny do zamierzonego. Starając się pokazać, jak trudno dać sobie z nim radę, doprowadził swego gospodarza do przekonania, że jedynym ratunkiem jest stanowczy opór. Bulstrode, zaprowadziwszy Rafflesa do łóżka, rozkazał służbie, by o wpół do ósmej następnego ranka zajechał pod drzwi zamknięty powóz. O szóstej był już dawno na nogach; przez pewien czas modlił się, wywodząc, że jeśli posługiwał się fałszem i mówił coś, co nie było prawdą przed Bogiem, to po to, by nie dopuścić do najgorszego zła. Bulstrode bowiem wzdragał się przed jawnym kłamstwem z intensywnością, która była niewspółmierna do ilości jego niejawnych występków. Lecz wiele z tych występków przypominało nieznaczące ruchy mięśni, nieodnotowane w świadomości, a prowadzące do celu, na którym skupiliśmy nasze myśli i chęci. I potrafimy sobie żywo przetłumaczyć, że tylko to, czego jesteśmy żywo świadomi, może być dostrzegane przez Wszzechwiedzącego.

Bulstrode zaniósł świecę do wezłowania łóżka, gdzie leżał Raffles pogrążony najwyraźniej w przykrym śnie. Bankier stał w milczeniu, licząc, że światło przebudzi śpiącego łagodnie i powoli, gdyż bał się, że wyrwany gwałtownie ze snu może narobić hałasu. Przez kilka minut, a może i dłużej, patrzył na śpiącego, który sapał i drżał, a wreszcie z długim, zduszonym jękiem podniósł wzrok i rozejrzał się lękliwie wokół, trzęsąc się i dysząc. Nie robił jednak więcej hałasu i bankier, odstawivszy świecę, czekał, aż oprzytomnieje.

W kwadrans później powiedział tonem tak zimnym i stanowczym, jakiego nigdy dotąd nie używał:

– Przyszedłem do pana tak wcześnie, ponieważ wydałem dyspozycję,

by powóz zajechał o wpół do ósmej. Zamierzam odprowadzić pana aż do Ilsley, skąd może pan pojechać dalej, czy to pociągiem, czy dyliżansem.

Raffles chciał odpowiedzieć, lecz bankier uprzedził go rozkazującym głosem:

– Proszę milczeć i słuchać, co mam do powiedzenia. Dam panu teraz pieniądze i będę panu dawał od czasu do czasu rozsądne sumy, jeśli poprosi pan o nie listownie; jeśli jednak zechce pan przyjechać tutaj raz jeszcze, jeśli wróci pan do Middlemarch, jeśli spróbuje pan wyrażać się o mnie w sposób obraźliwy, będzie się pan musiał obywać bez mojej pomocy i pożywiać takimi owocami, jakie zrodzi pańska złośliwość. Nikt panu nie zapłaci za skalanie mojego nazwiska: wiem, co mi może pan uczynić w najgorszym przypadku, i stawię temu czoło, jeśli ośmieli się pan jeszcze raz narzucić mi się ze swoją obecnością. Teraz proszę wstać i robić, co kazałem, bez wrzawy, bo poślę po policję, by usunęła pana z mojej posiadłości – wtedy będzie pan mógł opowiadać swoje historie we wszystkich karczmach w mieście, ale nie będzie miał ode mnie ani pensa na zapłacenie rachunku.

Bulstrode rzadko mówił z taką determinacją; przez dłuższą część nocy obmyślał to przemówienie i zastanawiał się, jakie może odnieść skutki, a choć nie wierzył, by mogło go na zawsze uwolnić od wizyt Rafflesa, doszedł do wniosku, że nic lepszego nie przyjdzie mu do głowy. W rezultacie udało mu się tego ranka nakłonić wynędzniałego nieszczęśnika do posłuszeństwa; zatruty umysł ugiął się w tym momencie wobec silnej i zdecydowanej postawy bankiera. Raffles pozwolił zaprowadzić się spokojnie do powozu, zanim rodzina pana Bulstrode zeszła na śniadanie. Służba sądziła, że to jakiś ubogi krewny, i nie dziwiła się, że człowiek tak surowy jak ich pan, który wysoko nosi głowę, wstydzi się takiego kuzyna i chce się go pozbyć. Pierwszy dzień Bożego Narodzenia zaczął się ponuro dziesięćmiłową jazdą w odrażającym towarzystwie, lecz pod

koniec drogi Raffles odzyskał humor i rozstał się z bankierem całkiem rad, nie bez przyczyny, gdyż otrzymał sto funtów. Różne motywy pchnęły bankiera do tej hojności, lecz nie wnikał w nie zbyt. Kiedy przyglądał się Rafflesowi, pogrążonemu w niespokojnym śnie, musiał przecież zauważyć, że od czasu, gdy mu dał dwieście funtów, ruina fizyczna tego człowieka postąpiła o wiele dalej.

Nie zapomniał raz jeszcze powtórzyć ostro, że nie pozwoli się dłużej wykorzystywać, i starał się uprzytomnić Rafflesowi, że sam udowodnił, iż ryzyko przekupywania go jest takie samo jak ryzyko odmówienia mu w sposób kategoryczny. Kiedy jednak pozbył się wstrętnego towarzystwa i wrócił do swego spokojnego domu, nie miał w duszy przekonania, że zyskał coś więcej niż odroczenie. Jakby śnił okropny sen i nie mógł otrząsnąć się z jego widziadeł ani wywołanych przez nie obrzydłych wrażeń – jakby całe jego pogodne otoczenie poznaczone było śliskimi śladami groźnego gada.

Któż wie, jaka część jego najgłębszego życia wewnętrznego składa się z tego, co inni o nim myślą, dopóki substancji ludzkiej opinii nie zagrazi ruina?

Bankier był świadomy, że w umyśle żony zrodziły się niedobre przecucia, a to dlatego, że pilnie unikała wszelkich wzmianek o wydarzeniach minionej nocy. Przywykł do codziennego smakowania poczucia władzy i daniny wysokiego respektu, toteż przekonanie, że ktoś obserwuje go i taksuje, podejrzewając o skrywanie jakiejś kompromitującej tajemnicy, sprawiało, że głos mu drżał, gdy mówił ku zbudowaniu innych. Dla ludzi o takim jak Bulstrode niepewnym usposobieniu przewidywać to gorzej niż wiedzieć; wyobraźnia nieustannie podsyciała udrękę, jaką cierpiał z powodu grożącej mu hańby. Grożącej, tak, jeśli bowiem opór, jaki postawił Rafflesowi, nie powstrzyma go z dala od Middlemarch – a choć modlił się o to, nie bardzo w to wierzył – hańba będzie nieunikniona.

Próżno sobie tłumaczył, że jeśli Opatrzność na to przyzwoli, będzie to dopust boży, kara, przygotowanie; wzbraniał się przed wizją wstydu; uważał, że lepiej się stanie dla chwały bożej, jeśli uniknie pohańbienia. Dęczoney tymi niepokojami zaczął wreszcie robić przygotowania do wyjazdu z Middlemarch. Jeśli nieszczęsna prawda musi ujrzyć światło dzienne, to lepiej, żeby się znalazł w bezpieczniejszej odległości od pogardy starych sąsiadów; na nowym miejscu, tam gdzie jego osoba nie będzie wzbudzała tak szerokiego zainteresowania, a dęcyciel, jeśli będzie go ściagał, okaże się mniej groźny. Definitywny wyjazd z Middlemarch byłby, jak wiedział, ogromnie przykry dla jego żony, on sam, z innych przyczyn, też wolałby zostać tu, gdzie zapuścił korzenie. Dlatego też z początku podejmował przygotowania jakby warunkowo, starając się zostawić sobie na wszystkich frontach możliwość powrotu po krótkiej nieobecności, gdyby szczęśliwa interwencja Opatrzności rozproszyła jego lęki. Przygotowywał się do przekazania komuś zarządu banku i do wycofania się z czynnego nadzoru innych miejscowych przedsięwzięć handlowych pod pretekstem złego stanu zdrowia, nie wykluczając jednak podjęcia owych obowiązków w przyszłości. To rozwiązanie mogłoby pociągnąć wzrost rozchodów i zmniejszenie dochodów i tak już uszczuplonych wskutek recesji w handlu; w tej sytuacji wydatki na szpital wydawały się jedyną pozycją, którą można by poważnie ograniczyć.

Takie to wydarzenia doprowadziły do rozmowy bankiera z Lydgate'em. W tym czasie przygotowania Bulstrode'a nie wychodziły na ogół poza etap, w którym mógłby je odwołać, gdyby się okazały zbędne. Wciąż zwlekał ze zrobieniem ostatniego kroku; jak człowiek, którego okręt może lada chwila zatonać lub którego konie poniosły i powóz może się lada chwila roztrzaskać – tak i on, mimo strachu, wciąż miał wrażenie, że wydarzy się coś, co zapobiegnie najgorszemu, i że nie powinien pochopnie niszczyć sobie życia, zmieniając w późnych latach

miejsce zamieszkania – zwłaszcza że trudno by mu było wytłumaczyć przekonywająco żonie pomysł wyprowadzenia się z jedyne miasta, w którym chciała żyć.

Wśród spraw, co do których musiał podjąć decyzję, mieściło się zarządzanie farmą w Stone Court pod jego nieobecność: w tej materii, jak również we wszystkich innych, dotyczących domów czy gruntów, jakie posiadał w mieście i poza jego granicami, zasięgnął porady Kaleba Gartha. Jak każdy, kto prowadzi tego rodzaju interesy, pragnął znaleźć rządcę, który bardziej by dbał o pożytek swego chlebobdawcy niż własny. W wypadku Stone Court Bulstrode pragnął zachować własność inwentarza i zawrzeć z kimś umowę, która pozwoliłaby mu, gdyby zechciał, wrócić do ulubionej rozrywki, jaką było prowadzenie farmy. Kaleb doradził mu więc, by nie zawierał majątkości rządcy, ale wydzierżawiał na terminy roczne ziemię, inwentarz i osprzęt i brał odpowiedni procent od dochodu.

– Czy mogę liczyć, iż znajdzie mi pan dzierżawcę na takich warunkach? – spytał Bulstrode. – I czy mógłby mi pan wymienić roczną sumę, za jaką podjąłby się pan zająć tymi wszystkimi sprawami, które tu omawialiśmy?

– Zastanowię się nad tym – odparł Kaleb szczerze jak zawsze. – Zastanowię się, czy będę mógł sobie z tym poradzić.

Gdyby nie wzgląd na przyszłość Freda Vincy pan Garth nie byłby zapewne rad z dodatkowej pracy, której jego żona zaczynała się obawiać, w miarę jak przybywało mu lat. Kiedy jednak opuszczał Stone Court, przyszedł mu do głowy bardzo nęcący pomysł w związku z projektem puszczenia farmy w dzierżawę. A gdyby Bulstrode pozwolił umieścić tam Freda Vincy pod warunkiem, że on sam, Kaleb Garth, będzie odpowiadał za gospodarkę? Byłaby to świetna szkoła dla Freda: mógłby mieć z tego skromny dochód, a zostałoby mu jeszcze trochę czasu na zdobywanie wiadomości, gdyby brał udział jako pomocnik w innych pracach. Zwierzył się z tego pomysłu żonie z tak jawną uciechą, że nie mogła się zdobyć na

studzenie jego radości utyskiwaniem, iż nie liczy się z siłami.

– Chłopak zacznie skakać ze szczęścia – mówił z rozpromienioną miną, siadając ciężko na krześle – kiedy będę mógł mu powiedzieć, że sprawa załatwiona. Pomyśl tylko, Susan! Przecież wszystkie swoje myśli wiązał z tą farmą, nim stary Featherstone umarł. I doprawdy, trudno o piękniejszy obrót spraw, gdyby jednak mógł poprowadzić tę farmę jak dobry, pracowity gospodarz, gdyby zasmakował w tej robocie. Bo jest bardzo prawdopodobne, że Bulstrode mógłby dzierżawę przedłużyć i stopniowo odprzedawać mu inwentarz. On jeszcze się nie zdecydował, to widzę, czy się stąd przeniesie gdzieś na stałe, czy nie. Nigdy w życiu nie cieszyłem się tak żadnym pomysłem! A potem, z czasem, dzieci mogłyby się pobrać, Susan.

– Żebyś tylko nie pisał o tym projekcie Fredowi, póki nie będziesz miał zgody Bulstrode’a – przestrzegała go łagodnie pani Garth. – A jeśli idzie o ślub, to my, starzy, w żadnym wypadku nie powinniśmy go przyspieszać.

– Och, nie jestem tego taki pewny – odparł Kaleb, przekrzywiając na bok głowę. – Małżeństwo to dla człowieka wędzidło. Fredowi mniej by było trzeba mojej twardej ręki. Ale nie powiem słowa, póki nie będę wiedział, po jakim chodzę gruncie. Porozmawiam jeszcze raz z Bulstrode’em.

Skorzystał więc z najbliższej nadarzającej się okazji. Nic nie mogło być dalsze bankierowi niż gorące zainteresowanie sprawami swego siostrzeńca Freda Vincy, pragnął jednak zapewnić sobie usługi pana Gartha w swoich różnorodnych przedsięwzięciach, na których na pewno by stracił, gdyby się znalazły pod mniej sumiennym nadzorem. Z tej przyczyny nie wysunął zastrzeżeń wobec propozycji pana Gartha: był też i drugi powód, dla którego chętnie przystał na projekt, przynoszący korzyść rodzinie Vincy. Otóż pani Bulstrode, usłyszawszy o długach Lydgate’a,

zapytała z niepokojem, czy mąż nie mógłby czegoś zrobić dla biednej Rozamundy, i z przykrością się dowiedziała, że trudno byłoby zaradzić kłopotom doktora i że najmądrzej będzie „pozostawić sprawy własnemu bogowi”. Pani Bulstrode powiedziała wówczas po raz pierwszy:

– Wydaje mi się, że zawsze byłeś nieco surowy wobec mojej rodziny. A ja przynajmniej nie mam powodu wypierać się kogokolwiek z moich krewnych. Być może, przywiązują zbyt wielką wagę do świata doczesnego, ale nikt nie może powiedzieć, że nie są ludźmi szanowanymi.

– Droga moja Harriet – odparł pan Bulstrode, stropiony spojrzeniem żony, której oczy zaczęły się napełniać łzami. – Twój brat otrzymał ode mnie poważne środki finansowe. Nie można ode mnie oczekiwać, bym opiekował się również jego zamężnymi dziećmi.

Tak było w istocie, toteż wyrzuty pani Bulstrode przybrały teraz formę współczucia dla biednej Rozamundy, której kosztowna edukacja przyniosła takie owoce, jakich się ciotka spodziewała.

Pamiętając jednak o tej rozmowie, pan Bulstrode myślał, że gdy będzie musiał porozmawiać otwarcie z żoną o planach wyjazdu z Middlemarch, powie jej z przyjemnością, iż zrobił umowę, która może przynieść wiele korzyści jej bratankowi Fredowi Vincy. Tymczasem wspomniawszy tylko, że myśli o zamknięciu Krzewiny na kilka miesięcy i wynajęciu domu na południowym wybrzeżu.

Tak to pan Garth otrzymał zapewnienie, którego pragnął, a mianowicie, że w wypadku wyjazdu pana Bulstrode z Middlemarch na czas nieokreślony, Fred Vincy będzie mógł wziąć w dzierżawę Stone Court na ustalonych warunkach.

Kaleb tak się cieszył nadzieją na „dobry obrót”, jaki teraz wezmą sprawy, że gdyby go nie powstrzymały czułe napomnienia żony, zdradziłby się ze wszystkim przed Mary, chcąc, „by dziecko trochę się pocieszyło”. Zmitygował się jednak i jeździł w ścisłej tajemnicy przed Fredem do

Stone Court, aby zdobyć lepszy wgląd w stan ziemi i inwentarza i zrobić wstępne szacunki. Zapewne zabrał się do tego z większym pośpiechem, niżby tego wymagał ewentualny bieg wypadków, ożywiała go jednak ojcowska radość, gdy mógł myśleć o tym okruchu hipotetycznego szczęścia, który ukrywa w zanadrzu, niby prezent urodzinowy dla Freda i Mary.

– Ale jeśli cały ten pomysł okaże się domkiem z kart? – pytała pani Garth.

– No to co? – odparł Kaleb. – Nie runie przecież na niczyją głowę.

ROZDZIAŁ LXIX

Słyszałeś słowo przeciw bliźniemu swemu?

Niech zaraz umrze w tobie[129].

Pismo Święte, Ks. Eklezjastyka 19,10

Okolo godziny trzeciej tego dnia, w którym pan Bulstrode przyjął był doktora Lydgate, bankier wciąż jeszcze siedział w swoim gabinecie, kiedy wszedł kancelista i powiedział, że podprowadzono konia, a również, że pan Garth czeka i chce mówić z panem dyrektorem.

– Proszę, oczywiście – powiedział Bulstrode i Kaleb wszedł. – Niech pan siada – ciągnął bankier najuprzejmiejszym tonem. – Rad jestem, że mnie pan jeszcze zastał. Wiem, że pański czas jest bardzo cenny.

– Och – odparł łagodnie Kaleb, skłaniając powoli głowę na bok, a usiadłszy, położył kapelusz na podłodze. Patrzył w ziemię, pochylony do przodu, długie palce opuścił swobodnie między kolanami, każdy zaś palec kolejno podnosił się w górę, jakby podzielał w ten sposób myśli skryte pod szerokim czołem Kaleba.

Bankier, jak wszyscy, którzy znali pana Gartha, przywykł do powolności, z jaką ten zaczynał rozmowę w każdej ważnej dla niego sprawie. Sądził, że Kaleb będzie go znów namawiać do wykupienia kilku domów w Blindman's Court po to, aby je zburzyć i poświęcić owe nieruchomości – co się znakomicie opłaci – na rzecz zwiększenia przestrzeni i słońca w tym miejscu. Kaleb okazywał się niekiedy dość kłopotliwy dla swoich pracodawców, składając im podobne propozycje,

[129] Przeł. ks. Jakub Wujek SJ. Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1962.

lecz na ogół znajdował w bankierze sojusznika dla projektów różnych zmian na lepsze i pozostawał z nim w dobrych stosunkach. Kiedy się jednak odezwał, głos jego był stłumiony:

– Przyjeżdżam ze Stone Court, proszę pana.

– Nic pan niedobrego nie znalazł, jak tu sę. Byłem tam osobiście wczoraj. Abel dobrze sobie radzi z jagniętami.

– No cóż, znalazłem. – Kaleb podniósł z powagą wzrok. – Jest coś niedobrego: nieznajomy, który, jak mi się zdaje, ciężko zaniemógł. Potrzebuje doktora, a ja przyjechałem, żeby panu o tym powiedzieć. Nazywa się Raffles.

Zobaczył, że dźwięk tego nazwiska wywołał w bankierze wstrząs. Bulstrode sądził, że jego lęk tak czujnie trzyma straż, iż nie da się zaskoczyć. Mylił się jednak.

– Nieszczęśnik – powiedział tonem współczucia, choć wargi mu lekko drżały. – Czy wie pan, jak się tam znalazł?

– Sam go tam zawiozłem – odparł Kaleb spokojnie. – Zabrałem do mojego gigu. Wsiadł z dyliżansu i uszedł kawałek piechotą, za ten zakręt od rogatki, gdzie go minąłem. Pamiętał, że mnie kiedyś widział z panem w Stone Court, i poprosił, żeby go podwieźć. Widać było, że jest chory: wydało mi się rzeczą właściwą zabrać go pod dach. A teraz sądzę, że powinien pan bezzwłocznie sprowadzić mu lekarza. – Kaleb podniósł kapelusz z podłogi i skończywszy mówić, wstał z krzesła.

– Oczywiście. – Umysł pana Bulstrode działał w tej chwili bardzo szybko. – Może pan sam zrobi mi uprzejmość i zajedzie po drodze po doktora Lydgate'a – albo zaraz – on o tej porze może być w szpitalu. Zaraz posłę po niego, konno, posłańca z liścikiem, a potem sam pojedę do Stone Court.

Bulstrode szybko napisał karteczkę i wyszedł, aby wydać dyspozycje służącemu. Gdy wrócił, Kaleb stał, jak poprzednio, z kapeluszem w jednej

ręce, drugą wspierając o oparcie krzesła. Najważniejszą myślą bankiera było: „Czy Raffles mówił z nim tylko o swojej chorobie? Garth musi się dziwić tak jak i przedtem, że ten podejrzany osobnik utrzymuje, iż jest moim przyjacielem – ale na pewno nic nie wie. I jest mi życzliwy, mogę mu być użyteczny”.

– Jestem panu wysoce zobowiązany, panie Garth – powiedział swoim zwykłym, uprzejmym tonem. – Mój służący wróci za kilka minut, a wówczas sam pojedę i sprawdzę, co można zrobić dla tego nieszczęśnika. Czy ma pan mi coś jeszcze do powiedzenia? Jeśli tak, proszę usiąść.

– Dziękuję – Kaleb nieznacznym ruchem ręki odmówił zaproszeniu. – Chciałem powiedzieć, że muszę prosić, by oddał pan swoje sprawy w inne ręce niż moje. Jestem panu zobowiązany za okazaną mi życzliwość w sprawie Stone Court i w innych sprawach. Muszę z nich jednak zrezygnować.

Ostra myśl, że Kaleb już wie, przeszła duszę bankiera jak nóż.

– To nagła decyzja. – W pierwszej chwili tyle tylko potrafił powiedzieć.

– Tak – przyznał Kaleb. – Ale ostateczna. Muszę zrezygnować z tej pracy.

Mówił ze zdecydowaniem, lecz bardzo łagodnie, a mimo to widział, że Bulstrode niemal drży – twarz miał jak pergamin, a oczy uciekały przed utkwionym w nim spojrzeniem. Kaleb czuł do niego litość, ale dla wyjaśnienia swojej decyzji nie próbowałby żadnych wykrętów, nawet gdyby się na coś zdały.

– Przypuszczam, że podjął pan to postanowienie wskutek jakichś oszczerstw rzuconych na mnie przez tego nieszczęśnika. – Bulstrode pragnął teraz dowiedzieć się jak najwięcej.

– To prawda. Nie przeczę, że działałam pod wpływem tego, co od niego usłyszałem.

– Jest pan człowiekiem sumienia, panie Garth, człowiekiem, tuszę,

który zna swoją odpowiedzialność przed Bogiem. Nie chciałby pan chyba wyrządzić mi krzywdy, dając pochopnie wiarę oszczerstwom. – Bulstrode szukał argumentów, które mogłyby trafić do umysłu jego rozmówcy. – To nie najlepszy powód do zrywania związku, który, mogę to chyba powiedzieć, był wzajemnie korzystny.

– Nie skrzywdziłbym nikogo z własnej woli – powiedział Kaleb – nawet gdybym sądził, że Pan Bóg przymknie na to oczy. Wiem, że trzeba mieć życzliwość dla swego bliźniego. Ale, widzi pan, jestem zmuszony wierzyć, że ten Raffles powiedział mi prawdę. I nie będę szczęśliwy, pracując z panem i biorąc od pana pieniądze. To by mi dolegało. Muszę pana prosić, by znalazł sobie innego plenipotentę.

– Dobrze, panie Garth. Mam jednak prawo dowiedzieć się, co złego pan usłyszał. Muszę wiedzieć, jakiego plugawego gadulstwa padłem ofiarą. – W głosie bankiera zaczęła pobrzmiwać nuta gniewu, który mieszał się teraz z upokorzeniem przed tym spokojnym człowiekiem, co odrzuca jego dobrodziejstwa.

– Nie trzeba – machnął ręką Kaleb. Pochylił głowę i mówił wciąż tym samym tonem, w którym kryła się miłosierna chęć oszczędzenia tego nieszczęsnego człowieka. – To, co on mi powiedział, nigdy nie wyjdzie z moich ust, chyba że mnie do tego przymusi coś, czego jeszcze nie wiem. Jeśli czynił pan zło dla zysku, jeśli pan oszustwem sprawił, że ktoś nie dostał tego, co mu się z prawa należało, bo chciał pan więcej zachować dla siebie, to pewno pan tego żałuje i pragnąłby pan zawrócić, i nie może; trudno z tym żyć. – Kaleb przerwał na chwilę i potrząsnął głową. – Nie moja to rzecz przykładać rękę do tego, żeby było panu jeszcze ciężiej.

– Ale to właśnie pan czyni, sprawia, że mi ciężiej. – W wołaniu Bulstrode’a brzmiała teraz szczerza prośba. – Odwracając się ode mnie, sprawia pan, że mi ciężiej.

– Jestem zmuszony to zrobić – powiedział jeszcze łagodniej Kaleb,

podnosząc rękę. – Bardzo mi przykro. Ja tam pana nie osądzam, nie powiadam: on jest grzeszny, a ja cnotliwy, Boże broń! Nie wszystko mi wiadome. Człowiek może czynić zło, a jego wola może wyjść z tego czysta; choć nie jest już zdolny oczyścić swojego życia. To ciężka kara. Jeśli tak ma się rzecz z panem, to mi pana żal. Ale czuję tu, w środku, że nie mogę z panem pracować. Tylko tyle, proszę pana. Wszystko inne jest pogrzebane, przynajmniej, jeśli o mnie idzie. Do widzenia panu.

– Chwileczkę, panie Garth – powstrzymał go śpiesznie bankier. – Czy mogę ufać pana uroczystemu zapewnieniu, że nie powtórzy pan żadnej kobiecie ani mężczyźnie tego, co nawet gdyby miało w sobie ziarno prawdy, jest jednak tylko złośliwą obmową?

W Kalebie wzbrał gniew.

– Dlaczego miałbym powiedzieć, co powiedziałem, jeślibym tego poważnie nie myślał? – spytał z oburzeniem. – Ja się pana nie lękam. Nigdy nie będzie mnie kusić, żeby rozpowiadać takie historie.

– Przepraszam pana, jestem wzburzony, stałem się ofiarą tego zdeprawowanego człowieka.

– Hola! A nie należałoby się zastanowić, czy nie zdeprawował go pan bardziej, korzystając z jego nikczemności?

– Krzywdzi mnie pan, panie Garth, dając zbyt pochopnie wiarę jego słowom. – Świadomość, że nie mógłby kategorycznie zaprzeczyć temu, co Raffles być może powiedział, dręczyła bankiera jak zmora i z ulgą przyjmował fakt, iż Kaleb nie naciska i nie żąda takiego zaprzeczenia.

– Nie. – Kaleb podniósł z dezaprobatą rękę. – Gotów jestem uwierzyć w lepszą możliwość, jak będzie na nią dowód. Nie odbieram panu szans. A jeśli idzie o gadanie, to uważam za karygodne wyciąganie czyichś grzechów na światło dzienne, chyba że się w ten sposób uratuje kogoś niewinnego. Tak ja sobie myślę, proszę pana, a jak coś mówię, to nie potrzebuję na to przysięgać. Do widzenia panu.

W kilka godzin później, po powrocie do domu, Kaleb powiedział mimochodem żonie, że miał drobne nieporozumienie z bankierem i wskutek tego zrezygnował z pomysłu wzięcia Stone Court i również z jakiegokolwiek z nim współpracy na przyszłość.

– Pewno miał ochotę zbytnio się we wszystko wtrącać, prawda? – Pani Garth wyobrażała sobie, że Kaleba urażono w najczulsze miejsce, mianowicie nie pozwolono mu robić tego, co uważał za najwłaściwsze, jeśli idzie o materiały i sposób wykonania roboty.

– Yhm – mruknął Kaleb i machnął poważnie ręką, pochylając głowę. I pani Garth wiedziała, że to znaczy, iż nie chce więcej mówić na ten temat.

Jeśli zaś idzie o bankiera, ten dosiadł niemal natychmiast konia i ruszył do Stone Court, pragnąc koniecznie dojechać tam przed Lydgate'em.

W głowie kłębiły mu się wyobrażenia i domysły, będące wyrazem jego nadziei i obaw, tak jak słyszane przez nas tony są wyrazem wstrząsających nasze ciało wibracji. Do głębokiego upokorzenia, które piekło go do żywego, gdy stwierdził, że Kaleb dowiedział się o jego przeszłości i zrezygnował ze współpracy – dołączyła się teraz, niemal przywracając poczucie bezpieczeństwa, uspokajająca świadomość, że to z Garthem, a nie kim innym rozmawiał Raffles. Wydało mu się to rodzajem zapowiedzi, że Opatrzność zamierza uchronić go od najgorszych konsekwencji – otwierało bowiem drogę nadziei, że wszystko zostanie zachowane w sekrecie. To, że Raffles uległ chorobie, że zawieszony został nie gdzie indziej, ale właśnie do Stone Court – stwarzało możliwości, na myśl o których serce bankiera zaczęło bić szybciej. I jeśli tak się potoczą wypadki, że zostanie uwolniony od grożącej hańby – że będzie mógł swobodnie oddychać – poświęci swoje życie Najwyższemu jeszcze pełniej niż dotąd. Zrobił w myślach ten ślub, jakby mógł w taki sposób przyspieszyć upragniony skutek – starał się wierzyć w moc swego pobożnego postanowienia, moc wywołania śmierci. Wiedział,

że powinien był mówić: „Bądź wola Twoja”, i powtórzył to wiele razy. Lecz jego najgłębszym życzeniem pozostawało, by wolą Pana Boga była śmierć tego znieawidzonego człowieka.

Kiedy jednak przyjechał do Stone Court, przeżył szok na widok zmiany, jaka zaszła w Rafflesie. Gdyby nie bladość i wyczerpanie, mogłoby się zdawać, że zmiana dokonała się tylko w umyśle nieszczęśnika. Zamiast dręczącej hałaśliwości, chory okazywał nieokreślony, wielki strach: starał się uśmierzyć gniew bankiera za to, że przepuścił wszystkie pieniądze – ale został obrabowany – połowę mu zabrano. Przyjechał tu tylko dlatego, że się rozchorował, a ktoś go ściga, ktoś za nim goni: nic nikomu nie powiedział, trzymał język za zębami. Bulstrode nie zrozumiał znaczenia tych objawów i fałszywie je tłumacząc, próbował wykorzystać tę zmianę w psychice Rafflesa i strasząc, wymusić z niego prawdę; zarzucił mu kłamstwo – powiada, iż nic nikomu nie mówił, a przecież przed chwilą wyjawiał wszystko człowiekowi, który wziął go do swojego gigu i przywiózł tutaj, do Stone Court. Raffles zaklinał się na wszystkie świętości, że to nieprawda; w istocie ogniwa jego świadomości zostały rozerwane i owe szczegółowe zwierzenia, jakie zrobił Kalebowi w panicznym strachu, pod wpływem jakichś urojeń, zapadły z powrotem w nieświadomość.

Bankier przeżył ponowny zawód, widząc, że nie może panować nad tym, co się dzieje w umyśle Rafflesa, i nie może ufać ani jednemu jego słowu w sprawie, na której najbardziej mu zależało, a mianowicie, czy nieszczęśnik zachował milczenie wobec wszystkich w okolicy z wyjątkiem Kaleba, czy nie. Gospodyni powiedziała bankierowi, nie okazując żadnego zakłopotania, że odkąd pan Garth wyjechał, Raffles poprosił ją o piwo i od tej chwili nie odezwał się ani razu; wyraźnie źle się czuł. Można było wnosić, że w tym wypadku nie ujawnił tajemnicy. Pani Abel, podobnie jak służba w Krzewinie, przypuszczała, że ten osobliwy jegomość należy do gatunku kłopotliwych krewniaków, będących zmorą

ludzi bogatych; z początku sądziła, że jest spokrewniony z panem Riggiem; tam, gdzie ktoś dostaje spadek, zawsze pojawiają się takie bzyzące końskie muchy. Trudniej było zrozumieć, jak to możliwe, by był jednocześnie krewniakiem pana Bulstrode, ale tu pani Abel zgadzała się ze swoim mężem, że „nigdy nic nie wiadomo”, w którym to stwierdzeniu znajdowała wystarczający pokarm dla umysłu i potrząsała nad tym głową bez dalszych myślowych spekulacji.

Po niecałej godzinie przyjechał Lydgate. Bulstrode przyjął go poza bawialnią, w której przebywał Raffles.

– Wezwałem tu pana – zaczął Bulstrode – do nieszczęsnego człowieka, który kiedyś, przed wielu laty, był moim pracownikiem. Pojechał później do Ameryki, skąd powrócił, jak się obawiam, do życia próżniaczego i rozwiązłego. Będąc bez środków do życia, ma prawo do mojej pomocy. Miał on jakieś dalekie powiązania z Riggiem, poprzednim właścicielem farmy, i w ten sposób znalazł tu drogę. Wydaje mi się, że jest ciężko chory; niewątpliwie ma zaburzenia umysłu. Czuję się w obowiązku uczynić dla tego człowieka, co tylko możliwe.

Lydgate miał świeżo w pamięci swoją ostatnią rozmowę z bankierem i nieskłonny był zamienić z nim jednego zbędnego słowa, pokwitował więc tę wypowiedź jedynie lekkim skinieniem głowy. Nim jednak wszedł do pokoju chorego, spytał automatycznie:

– Jak on się nazywa? – gdyż znajomość nazwisk była wymogiem wykształcenia lekarskiego, tak samo jak czynnego polityka.

– Raffles, John Raffles – odparł Bulstrode z nadzieją, że bez względu na to, co się stanie z Rafflesem, Lydgate nie będzie miał z nim więcej do czynienia.

Po dokładnym zbadaniu chorego i namyśle doktor kazał położyć go do łóżka, gdzie powinien leżeć w spokoju i ciszy, a potem przeszedł z Bulstrode'em do innego pokoju.

– Obawiam się, że to bardzo ciężki przypadek – powiedział bankier, nim jeszcze lekarz zaczął mówić.

– I tak, i nie – odparł z wahaniem Lydgate. – Trudno przewidzieć, jakie mogą być skutki długotrwałych komplikacji, ale ten człowiek ma silną konstytucję, i to jest rzecz pierwsza. Nie przypuszczam, aby ten atak miał się skończyć zejściem, choć, rzecz jasna, organizm jest w stanie, w którym trudno coś przewidzieć. Chory wymaga dobrej, troskliwej pielęgnacji.

– Pozostanę tu osobiście – oznajmił Bulstrode. – Pani Abel i jej mąż nie mają doświadczenia. Mogę bez trudu zostać na noc, jeśli zrobi mi pan uprzejmość i zawiezie wiadomość mojej żonie.

– Sądzę, że to zbędne – powiedział lekarz. – Wygląda na posłusznego i wystarczająco przestraszonego. Być może stanie się później trudniejszy do okiełznania. Ale jest tu przecież jakiś mężczyzna, prawda?

– Nieraz już spędzałem tu kilka nocy, szukając odosobnienia – powiedział obojętnie Bulstrode. – Jestem skłonny uczynić to teraz. Pani Abel i jej mąż zastąpią mnie, jeśli to się okaże konieczne.

– Doskonale. Wobec tego mogę przekazać moje zalecenia tylko panu – powiedział doktor, niezdziwiony tą drobną osobliwością bankiera.

– Sądzi pan więc, że jest nadzieja dla tego człowieka? – spytał Bulstrode, kiedy Lydgate skończył wydawać dyspozycje.

– Jeśli nie nastąpią komplikacje, jakich w tej chwili jeszcze nie stwierdzam, to tak. Może mu się pogorszyć, ale nie zdziwiłbym się, gdyby poprawiło mu się za kilka dni, jeśli moje zalecenia będą wykonywane. Konieczna jest stanowczość. Proszę pamiętać, jeśli będzie prosił o jakikolwiek alkohol, nie wolno mu go podać. Moim zdaniem ludzie w jego stanie częściej giną wskutek leczenia niż choroby. Ale, oczywista, mogą się pojawić nowe symptomy. Przyjadę tu ponownie jutro rano.

Lydgate zaczekał, aż pan Bulstrode napisze karteczkę do żony, po

czym wyjechał, nie snując żadnych domysłów co do historii Rafflesa, natomiast odświeżając w pamięci dyskusję, jaka ostatnio rozgorzała w związku z opublikowaniem wyników cennych doświadczeń medycznych doktora Ware w Ameryce w zakresie właściwego leczenia przypadków zatrucia alkoholowego, takich jak ten. Będąc za granicą, Lydgate bardzo interesował się tym problemem. Był przeświadczony, że obowiązująca praktyka, która zaleca stałe i duże dawki opium oraz zezwala na picie alkoholu, jest niewłaściwa i wielokrotnie działał zgodnie ze swoim przekonaniem, co przynosiło dobre rezultaty.

„Ten jegomość jest chory – myślał – ale zachował jeszcze nie najgorszą odporność. Pewno to przedmiot miłosierdzia Bulstrode’a. Dziwne, jakie pokłady twardości i wrażliwości mogą leżeć w człowieku obok siebie. Jeśli idzie o stosunek do ludzi, Bulstrode wydawał mi się najbardziej niesympatycznym człowiekiem na świecie, a przecież bierze na siebie tyle kłopotów i wydaje ogromne pieniądze na cele charytatywne. Pewno ma jakiś test pozwalający mu sprawdzić, na kim Niebiosom zależy – tak czy inaczej stwierdził, że nie zależy im na mnie”.

Ta strużka goryczy wypłynęła z obfitego źródła i rozlewała się w jego myślach coraz większym strumieniem, w miarę jak zbliżał się do Lowick Gate. Od pierwszej rozmowy z Bulstrode’em, odbytej rano, nie był jeszcze w domu, gdyż posłaniec bankiera znalazł go w szpitalu: po raz pierwszy wracał pod swój dach, nie widząc nawet gdzieś daleko, na horyzoncie, jakiegś szansy, jakiegś nadziei na zdobycie pieniędzy potrzebnych, aby go uchronić przed utratą wszystkiego, co czyniło jego małżeńskie życie znośnym – wszystkiego, co ratowałyby jego i Rozamundę od całkowitej izolacji, w której niechybnie musieliby się przekonać, jak niewielką pociechę stanowią dla siebie nawzajem. Łatwiej byłoby mu się obyć bez uczucia Rozamundy niż zobaczyć, że jego własne uczucie nie może jej zrównoważyć braku innych rzeczy. Dość już cierpiała

jego duma od upokorzeń przeszłych i przyszłych, lecz uważał to za nic zgoła w porównaniu z ostrym, górującym nad wszystkim bólem – bólem przewidywania, że Rozamunda będzie w nim przede wszystkim widziała sprawcę jej rozczarowania i nieszczęścia. Nigdy nie lubił maskowania biedy i nigdy tego nie widział w perspektywie własnego życia, ale teraz zaczął sobie wyobrażać, jak dwie osoby, które by się kochały i dzieliły bogactwo wspólnych myśli – jak takie osoby mogłyby się śmiać z prostych mebli czy też kalkulowania, na ile to jaj i masła mogą sobie pozwolić. Lecz tak poetyczna wizja wydawała mu się równie daleka jak lekkomyślność złotego wieku: w głowie biednej Rozamundy nie było dosyć miejsca na to, by luksus mógł się tam wydawać mały. Zsiadł z konia ogromnie przygnębiony i wszedł do domu, nie spodziewając się, że go tam cokolwiek rozweseli, chyba obiad; doszedł też do wniosku, że rozsądniej będzie powiedzieć Rozamundzie, nim wieczór upłynie, iż zwrócił się do Bulstrode'a, ale bez skutku. Lepiej nie tracić czasu i przygotować ją na najgorsze.

Lecz obiad musiał długo czekać, nim doktor zdołał go zjeść. Po wejściu bowiem stwierdził, że plenipotent Doversa wprowadził już sekwestratora do domu; na pytanie, gdzie jest żona, usłyszał, że w sypialni. Poszedł na górę i znalazł ją wyciągniętą na łóżku, bladą i oniemiałą, nie odpowiadającą nawet drgnieniem twarzy na jego słowa czy spojrzenia. Usiadł przy łóżku i pochylając się nad nią, zawołał niemal, jakby się modlił:

– Wybacz mi tę niedolę, biedactwo! Tylko żebyśmy się kochali!

Patrzała na niego w milczeniu, wciąż z głęboką rozpaczą w twarzy, lecz po chwili łzy zaczęły napływać do niebieskich oczu, a wargi drzeć. Ten silny mężczyzna musiał tego dnia znieść zbyt wiele. Zwiesił głowę przy jej twarzy i zaszlochał.

Nie powstrzymywał jej od pójścia do ojca następnego dnia rano – zdawało się, że teraz powinien jej pozwalać na wszystko, co chciała. Po

półgodzinie wróciła i powiedziała, że mama i tata pragną, by przeniosła się do nich na jakiś czas, póki się sytuacja nie zmieni. Papa powiada, że nic nie może zrobić, jeśli idzie o dług – jeśli by go spłacił, znajdzie się pół tuzina innych. Lepiej niech wraca do rodziców, dopóki Lydgate nie przygotuje dla niej wygodnego domu.

– Czy masz coś przeciwko temu, Tertius?

– Rób, co chcesz – odparł. – Ale sprawy nie osiągnęły jeszcze momentu krytycznego. Nie ma pośpiechu.

– Pojechałabym nie wcześniej niż jutro. Muszę spakować rzeczy.

– Och, poczekałabym trochę dłużej niż do jutra, nie wiadomo, co się jeszcze może stać – mówił Lydgate z gorzką ironią. – Może skręć kark, co bardzo ułatwiłoby ci życie.

Było nieszczęściem Lydgate’a, a i Rozamundy, że okazywaną jej tkliwość, która brała się zarówno z jego uczucia, jak i mocnego postanowienia, wyrosłego z rozsądku przerywały nieuchronnie wybuchy gniewu czy to pełne ironii, czy napomnień. Ona uważała, że są całkowicie nieusprawiedliwione, a niechęć wywołana ich surowością groziła tym, że jego czułość mogłaby się w przyszłości okazać nie do zaakceptowania.

– Widzę, że nie życzysz sobie, abym się przeniosła – powiedziała z oziębłą łagodnością. – Czemu tego nie powiesz bez takiej furii? Zostanę w domu, póki nie poprosisz mnie, bym postąpiła inaczej.

Lydgate nie powiedział słowa, wyszedł tylko na swój obchód. Czuł się rozbity i zraniony, a pod oczami miał granatowe cienie, których Rozamunda nigdy dotąd nie widziała. Nie mogła na niego patrzeć – nie mogła tego wytrzymać. Sposób, w jaki Tertius przyjmował te wszystkie wypadki, sprawiał, że dla niej były one o wiele trudniejsze do zniesienia.

ROZDZIAŁ LXX

Z uczynków naszych dawnych rachunek zdać pora,
Bo dzisiaj tym jesteśmy, czym byliśmy wczoraj.

Po wyjeździe doktora ze Stone Court Bulstrode natychmiast zaczął przeszukiwać kieszenie chorego, przekonany, że musiałyby się tam znajdować jakieś ślady w postaci rachunków hotelowych z miejscowości, w których Raffles się zatrzymywał, gdyby jego opowiadanie, że przyjechał tu prosto z Liverpoolu, chory i bez pieniędzy, okazało się kłamstwem. W portfelu pełno było rozmaitych rachunków z różnych miejscowości, żaden jednak nie był datowany po Bożym Narodzeniu, z wyjątkiem jednego, z bieżącego dnia. Był on zwinięty razem z ulotką o targu końskim i wepchnięty do tylnej kieszeni, a opiewał kosztą trzydniowego pobytu w gospodzie w Bilkley, gdzie odbywał się targ – mieście odległym o co najmniej czterdzieści mil od Middlemarch. Kwota była pokaźna, ponieważ zaś Raffles nie miał ze sobą żadnych bagaży, można było przypuścić, że zostawił swój sakwojaż jako zapłatę, chcąc zachować gotówkę na opłacenie podróży, sakiewkę bowiem miał pustą, a w kieszeni tylko trochę drobnych.

Wynikało z tego, że Raffles istotnie od pamiętnej wizyty na Boże Narodzenie trzymał się z dala od Middlemarch, Bulstrode poczuł się więc bezpieczny. Przecież Raffles ze swymi dręczycielskimi i samochwalczymi upodobaniami nie miałby żadnej satysfakcji z opowiadania gdzieś, daleko, ludziom, którzy Bulstrode'a nie znali, o dawnych skandalach dotyczących bankiera z Middlemarch. A nawet gdyby gadał – jaka by z tego przyszła szkoda? Teraz trzeba go pilnować, dopóki może grozić niebezpieczeństwo tego majaczenia niepozabawionego logiki, tego

niewytłumaczonego impulsu czynienia zwierzeń, który się w nim obudził przy Kalebie Garth. Bankier bał się, że podobny impuls każe mu gadać na widok doktora Lydgate. Czuwał więc przy nim przez całą noc, a gospodyni kazał się położyć, ale nie zdejmować odzieży, żeby była gotowa na każde wezwanie; tłumaczył to swoją bezsennością i chęcią wypełniania poleceń lekarza. Wypełniał je sumiennie, choć Raffles nieustannie prosił o brandy i twierdził, że się gdzieś zapada – że ziemia się pod nim zapada. Był niespokojny, nie mógł zasnąć, ale wciąż jeszcze załęczony i posłuszny. Przyniesiono mu przepisane przez lekarza jedzenie, ale odmówił, żądał czegoś innego, lecz nie dostał, wówczas całe jego przerażenie skupiło się na bankierze: błagał, by zaniechał gniewu, by się nie mścił, głodząc go na śmierć, i klął się na wszystkie świętości, że nie powiedział przeciwko niemu ani słowa żadnemu śmiertelnikowi. Bulstrode nie chciał, żeby Lydgate usłyszał choćby i to, ale rano wystąpiły bardziej niepokojące objawy, w majaczeniach zaszła nagła odmiana i w porannym brzasku Raffles zaczął nagle tłumaczyć wyimaginowanemu doktorowi, że Bulstrode chce go zamorzyć głodem, mszcząc się za to, że wszystko wygadał, a to przecież nieprawda.

Wrodzona skłonność do dominacji i siła woli były bardzo pomocne bankierowi. Ciężka i napięta sytuacja okazała się dla tego człowieka o nadwątłych nerwach i kruchej budowie właściwym bodźcem i mimo że wyglądał jak żywy trup, który porusza się bez ciepła w żyłach i zachowuje władzę dzięki zimnej bezwrażliwości, myślał intensywnie przez całą tę ciężką noc i ranek o tym, czego musi się wystrzegać i jak może zapewnić sobie bezpieczeństwo. Choć jednak wznosił żarliwe modły, choć powtarzał sobie w duchu, że jest przekonany o wewnętrznym upadku tego człowieka jak również o tym, że sam ma obowiązek raczej ponieść karę wyznaczoną przez Opatrzność niż źle życzyć bliźniemu – poprzez wszystkie wysiłki, by utożsamić słowa z trwałym stanem

umysłu, przenikały, rysując się z upartą wyrazistością, obrazy wydarzeń, których pragnął. A w pochodzie tych pragnień szło ich usprawiedliwienie. Przecież trudno, by nie wyglądał śmierci Rafflesa i nie widział w niej swojego wyzwolenia. Czymże byłoby odejście tego nikczemnika? Nie okazywał żalu za grzechy, ale czy pospoliccy przestępcy go okazują? – a przecież prawo decyduje o ich losie. Jeśli Opatrzność w tym wypadku wyda wyrok śmierci, to przecież nie może być grzechem myślenie o tej śmierci jako o pożądanym rozwiązaniu – jeśli tylko nie przyłoży ręki do jej przyspieszenia – jeśli skrupulatnie wykona to, co zaordynował lekarz. A nawet i tutaj może zająć pomyłka – ludzkie diagnozy bywają zawodne: Lydgate powiedział, że chorzy giną niekiedy wskutek leczenia – czemu nie wskutek jego leczenia? Jeśli jednak idzie o problem dobra i zła – najważniejsze są intencje.

I Bulstrode postanowił oddzielić swoje intencje od pragnień. Zapowiedział sobie w duchu, że będzie się stosował do zaleceń lekarza. Czemu miałyby się wdawać w rozważania o zasadności tych zaleceń? To tylko pospolita sztuczka, jaką płatają pragnienia, które karmią się wszelkimi napotkanymi wątpliwościami, znajdując sobie pokazną przestrzeń w każdej niepewności rezultatów, w każdych ciemnościach, gdzie, zdawałoby się, prawo jest nieobecne. Ale stosował się do zaleceń.

Jego niepokój obracał się nieustannie wokół osoby doktora, a pamięci tego, co zaszło między nimi poprzedniego ranka, towarzyszyły teraz uczucia całkowicie podczas tamtej sceny nieobecne. Mało go wówczas obchodziło, jak bardzo zabolą Lydgate'a projekty zmian dotyczących szpitala albo jak usposobi doktora do niego to, co uważał za zrozumiałą odmowę bardzo wygórowanej prośbie. Przypomniawszy sobie teraz tę scenę i pomyślał, że chyba zraził do siebie Lydgate'a, postanowił więc zjednać go sobie, a raczej sprawić, by się poczuł wobec niego zobowiązany. Żałował, że nie poświęcił był od razu pieniędzy, choćby to było nierozsądne. Sądził, że

Lydgate, otrzymawszy od niego tak wielką pomoc, broniłby go w duszy, gdyby majaczenia Rafflesa wzbudziły w nim jakieś podejrzenia, czy nawet gdyby się z nich czegoś dowiedział. Lecz był to żal poniewczasie.

Dziwny, żaloszny konflikt rozgrywał się w duszy tego nieszczęsnego człowieka, który przez lata marzył o tym, by być lepszym, niż był, który wziął swe samolubne namiętności w karby i odział je w surowe szaty tak, by się z nimi przechadzać jak w pobożnym chórze – póki nie podniósł się wśród nich lęk i nie mogły już dłużej wznosić pieni, wzywały tylko razem z nim ratunku.

Lydgate przyjechał dopiero około południa; zamierzał być wcześniej, ale zatrzymano go, powiedział, a Bulstrode zauważył, że wygląda jak człowiek dotknięty ciężką zgryzotą. Doktor zajął się jednak natychmiast chorym i wypytywał szczegółowo o wszystko, co się dotychczas działo. Stan chorego pogorszył się, Raffles prawie nie jadł, nie zasnął ani na chwilę i niespokojnie majaczył, wciąż jednak nie był gwałtowny. Nie spełniły się też obawy bankiera – chory niemal nie zauważał obecności lekarza i w dalszym ciągu coś gadał i mruczał niezbornie.

– Jak go pan znajduje? – spytał Bulstrode, gdy wyszli z pokoju.

– Wygląda gorzej.

– Ma pan mniejsze nadzieje?

– Nie, wciąż jeszcze sędzę, że uda się go z tego wyciągnąć. Czy zamierza pan nadal tu z nim być? – Lydgate rzucił na bankiera nagle, pytające spojrzenie, które go zaniepokoiło, choć w rzeczywistości nie wynikało z żadnych podejrzeń.

– Tak, tak sędzę. – Bulstrode opanował się i mówił z namysłem: – Moja żona została poinformowana o przyczynach, dla których tu przebywam. Pani Abel i jej mąż nie są na tyle doświadczeni, by ich zostawić samych, poza tym tego rodzaju odpowiedzialność nie leży w zakresie ich usług dla mnie. Ma pan zapewne jakieś nowe zalecenia.

Nowe zalecenia Lydgate'a polegały na tym, by podawać choremu bardzo umiarkowane dawki opium, gdyby bezsenność trwała jeszcze kilka godzin dłużej. Był na tyle przezorny, że przywiózł je ze sobą w kieszeni i wydał bankierowi szczegółowe informacje co do dawkowania oraz momentu, kiedy należy lek odstawić. Podkreślił ryzyko związane z nieprzerwanym aplikowaniem opium i powtórzył raz jeszcze, że pod żadnym pozorem nie wolno podawać choremu alkoholu.

– Z tego, co w tym przypadku widzę – mówił – narkotyzm to jedyna rzecz, jakiej bym się bardzo obawiał. Może to przetrzymać, nawet jeśli nie będzie wiele jadł. Ma jeszcze sporo siły.

– Pan źle wygląda, doktorze, to rzecz niezwykła, chyba nie widziałem pana w takim stanie, odkąd pana znam. – Bulstrode okazywał troskę tak niepodobną do wczorajszej obojętności, jak dzisiejsze lekceważenie własnego zmęczenia niepodobne było do zwykłego dlań egocentrycznego niepokoju. – Przypuszczam, że gnębi pana jakaś zgryzota.

– Owszem – odparł szorstko Lydgate, biorąc kapelusz i szykując się do wyjścia.

– Czy zaszło coś nowego? Proszę, niechże pan usiądzie.

– Dziękuję, nie – odparł doktor nieco wyniośle. – Wspomniałem panu wczoraj, w jakim stanie są moje interesy. Trudno coś dodać prócz tego, że od tego czasu doszło do sekwestracji w moim domu. W jednym krótkim zdaniu można zawrzeć dużo trosk. Żegnaj pana.

– Chwileczkę, panie doktorze. Przemyślałem sprawę ponownie. Wczoraj zaskoczył mnie pan i potraktowałem ją powierzchownie. Zona moja niepokoi się o bratanicę, a ja osobiście bolałbym nad podobną zmianą w pańskiej sytuacji. Wiele ciąży na mnie zobowiązań, lecz rozważywszy powtórnie rzecz całą, uznałem za właściwe, bym to ja raczej zrobił pewne poświęcenie, niż zostawił pana bez pomocy. Mówił pan, zdaje się, że tysiąc funtów wystarczyłoby całkowicie, by oswobodzić pana z kłopotów

i umożliwić odzyskanie równowagi.

– Tak – odparł Lydgate, a wzbierająca w nim fala radości przytłumiła wszystkie inne uczucia. – Mógłbym wtedy spłacić wszystkie długi i zostaloby mi jeszcze trochę w rękę. Zacząłbym wprowadzać oszczędności w naszych wydatkach domowych. I z czasem, powoli, moja praktyka mogłaby się poprawić.

– Jeśli zaczeka pan chwilę, wypiszę panu czek na tę sumę. Zdaję sobie sprawę, że w takich wypadkach pomoc, jeśli ma być skuteczna, musi być gruntowna.

Gdy Bulstrode pisał, Lydgate odwrócił się do okna i myślał o swoim domu, myślał o własnym życiu, które miało tak dobry początek – uratowanym od katastrofy – o dobrych zamierzeniach, które nie spełzną na niczym.

– Może mi pan dać na to odręczne pokwitowanie, doktorze – powiedział bankier, podchodząc do niego z czekiem. – I mam nadzieję, że z czasem warunki pozwolą panu stopniowo dług spłacać. A tymczasem przyjemnością będzie dla mnie myśl, że wybawiłem pana z kłopotu.

– Jestem panu głęboko zobowiązany – powiedział Lydgate. – Przywrócił mi pan możliwość pracy z pewnym poczuciem szczęścia i świadomością, że mogę jeszcze być użyteczny.

To, że Bulstrode zrewidował swoją odmowną decyzję, wydało się doktorowi zupełnie naturalne; było zgodne z ową szczodłą stroną natury bankiera. Kiedy jednak Lydgate puścił swoją szkapinę krótkim galopem, by szybciej wrócić do Rozamundy z dobrą wiadomością i podjąwszy gotówkę w banku, zapłacić plenipotentowi Dovera, przeleciała mu przez głowę – jak ciemnoskrzydły, złowróżbny cień przecinający pole jego widzenia – przykra myśl o tym, jak wielka zmiana dokonała się w nim samym w ciągu tych kilku miesięcy, jeśli może nie posiadać się z radości, zaciągnąwszy ogromne zobowiązanie osobiste – jeśli może się tak bardzo

cieszyć, ponieważ dostał pieniądze od Bulstrode'a.

Bankier, chociaż miał poczucie, że zrobił coś, by pozbyć się jednego powodu niepokoju, odczuł niewielką ulgę. Nie zastanawiał się, jak daleko sięgają chorobliwe przyczyny, które mu kazały zapewnić sobie Lydgate'ową życzliwość, ale owe przyczyny istniały w dalszym ciągu, równie aktywne, jak drażniący składnik we krwi. Człowiek składa śluby, a mimo to nie chce wyrzec się środków, które mogłyby sprawić, że owe śluby złamie. Czy to znaczy, że wyraźnie zamierza je złamać? Nic podobnego, tyle że pragnienia, które prowadzą do ich złamania, już się w nim lęgną, już przebijają drogę do jego wyobraźni i rozluźniają mu mięśnie za każdym razem, gdy sobie po raz kolejny powtarza, dla jakich przyczyn owe śluby złożył. Powracający szybko do zdrowia Raffles, ponownie gotów robić użytek z tego, co było mu wiadome – jakże Bulstrode mógł tego pragnąć? Martwy Raffles – oto obraz niosący wyzwolenie i o takie właśnie wyzwolenie bankier modlił się – choć nie wprost – błagając, by jeśli to możliwe, mógł spędzić resztę swoich dni tu, na ziemi, wolny od groźby hańby, która zniszczyłaby go całkowicie jako narzędzie w służbie Pana. Opinia Lydgate'a nie wskazywała na to, by modlitwa bankiera miała zostać wysłuchana, i w miarę upływu godzin Bulstrode czuł wzbierający w nim gniew na upór, z jakim trzymał się życia ten człowiek, którego rad by widzieć pogrążającego się w milczeniu śmierci: władcza wola wysyłała mordercze impulsy przeciwko temu prostackiemu istnieniu, wobec którego jednak sama wola była bezsilna. Powiedział sobie w duchu, że jest już zbyt zmęczony: nie będzie siedział w nocy przy chorym, zostawi go pod opieką pani Abel, która jeśli będzie trzeba, wezwie męża.

Raffles zapadał tylko, od czasu do czasu, w krótki, niespokojny sen, z którego budził się, znów podniecony, wołając wciąż, że tonie, toteż o szóstej bankier zaczął mu podawać opium, zgodnie z zaleceniem

Lydgate'a. Po mniej więcej półgodzinie zawołał panią Abel i powiedział, że nie jest w stanie dłużej czuwać przy chorym. Musi teraz powierzyć go jej opiece; powtórzył wskazówki doktora co do ilości opium w każdej podawanej dawce. Dotychczas gospodyni nie знаła zaleceń lekarza, przyrządzała tylko i przynosiła to, co zadysponował Bulstrode, i robiła to, co nakazał. Teraz zaczęła więc pytać, co jeszcze ma robić oprócz podawania choremu opium.

– Tymczasem nic, można mu tylko zaproponować supę lub wodę sodową: może pani przyjść do mnie po dalsze wskazówki. Nie będę tu już do rana przychodził, chyba żeby nastąpiła jakaś istotna zmiana. Jeśli zajdzie potrzeba, proszę poprosić męża o pomoc. Muszę dziś położyć się wcześniej.

– Święta prawda, należy się to panu – przytaknęła pani Abel. – Powinien pan się tylko pokrzepić czymś mocniejszym niż to, co pan tu przełknął.

Bulstrode wyszedł, nie obawiając się wynurzeń Rafflesa, gdyż jego majaczenia przemieniły się teraz w niezrozumiały bełkot, niezdolny wzbudzić w nikim określonych podejrzeń. Zresztą, tak czy inaczej, trzeba podjąć ryzyko. Poszedł najpierw do bawialni i zastanawiał się, czy nie kazać, by osiodłano mu konia, i nie wrócić przy księżycu do domu, machnąwszy ręką na wszystkie ziemskie konsekwencje. Potem żałował, że nie poprosił był Lydgate'a o wieczorną wizytę. Może wydałby inne orzeczenie, może by uznał, że chory znajduje się w stanie rokującym mniejsze nadzieje? Czy posłać po doktora? Gdyby Rafflesowi naprawdę się pogarszało, gdyby powoli umierał, bankier czuł, że mógłby się położyć do łóżka i spokojnie zasnąć, przejęty wdzięcznością dla Opatrzności. Ale czy choremu się pogarsza? Lydgate mógłby przyjechać i powiedzieć tylko, że wszystko idzie zgodnie z jego przewidywaniami i że chory po pewnym czasie zapadnie w spokojny sen i wyzdrowieje. Po cóż więc mu

doktor? Na myśl o takim rezultacie wizyty Bulstrode czuł strach. Żadne wyobrażenie, żadne orzeczenia lekarskie nie mogły uczynić go ślepych na jedyną możliwość, tę mianowicie, że Raffles, przywrócony do zdrowia, będzie taki jak dawniej, pełen świeżej siły dręczycielskiej, że zmusi go do wywiezienia stąd żony, aby całe lata spędzała z dala od bliskich i rodzinnego miasta, żywiąc w sercu podejrzenia, które ich rozdzielą.

Siedział tak przez półtorej godziny, mając za całe światło ogień na kominku, rozdzierany wątpliwościami, kiedy nagła myśl kazała mu wstać i zapalić sypialnianą świecę, którą tu przyniósł. Tą myślą było, że nie powiedział pani Abel, kiedy ma przerwać podawanie opium.

Ujął lichter w rękę, ale przez długą chwilę nie ruszał się z miejsca. Mogła już mu dać więcej, niż Lydgate przepisał. Ale przecież to zrozumiałe, że w takim zmęczeniu, jakie odczuwa, zapomniał o niektórych lekarskich zaleceniach. Poszedł na górę z lichterem w dłoni, wciąż niezdecydowany, czy iść wprost do swojej sypialni, czy też zajść do pokoju chorego i naprawić przeoczenie. Zatrzymał się na korytarzu z twarzą zwróconą ku pokojowi Rafflesa, słyszał, jak chory mruczy coś i jęczy. A więc nie śpi. Kto wie, czy nie będzie lepiej postąpić wbrew zaleceniom lekarza niż je wykonywać, jeśli chory nie może zasnąć?

Wszedł do swojej sypialni. Nim jeszcze zdążył się rozebrać, zastukała pani Abel: uchylił drzwi, tak by słyszeć jej szept.

– Przepraszam bardzo, jasnie panie, ale czy nie powinnam dostać dla tego biedaka trochę brandy czy czegoś takiego? Jemu się zdaje, że tonie, i nic innego nie przełknie, a nawet jakby przełknął, to cóż to za pokrzepienie? Tylko to opium..., a on powtarza i powtarza, że tonie, zapada się w ziemię.

Ku jej zaskoczeniu, bankier nie odpowiadał. W duszy jego toczyła się walka.

– Myślę, że zemrze z braku czegoś na wzmocnienie, jeśli tak dalej

pójdzie. Kiedy pielęgnowałam mojego biednego pana Robissona, musiałam mu bez przerwy podawać brandy i portwajn, i to zawsze w dużych kieliszkach – dodała pani Abel z odcieniem wyrzutu w głosie.

Lecz i tym razem pan Bulstrode nie odpowiedział natychmiast, ciągnęła więc:

– Nie czas oszczędzać, jak człowiek stoi na progu śmierci i pan by tego na pewno nie chciał. Tak myślę, bo inaczej dałabym mu rumu z tej butelki, co ją trzymamy u siebie. Ale pan, co tak przy nim siedział i czuwał, i robił wszystko, co tylko mógł...

W tym momencie padł klucz przez szparę w drzwiach i pan Bulstrode powiedział ochryplym głosem:

– Tu jest klucz do piwnicy. Znajdzie tam pani brandy do woli.

Wczesnym rankiem następnego dnia – około szóstej – pan Bulstrode wstał i spędził dłuższy czas na modlitwie. Czy ktokolwiek sądzi, że prywatna modlitwa musi być koniecznie szczerą? Musi koniecznie sięgać korzeni postępowania? Prywatna modlitwa to bezgłośna mowa, a mowa wyraża nas samych; ktoś zaś jest zdolny przedstawić siebie takim, jakim jest naprawdę, choćby tylko we własnych myślach? Bulstrode nie wyjaśnił jeszcze samemu sobie tych niejasnych podszeptów, jakie słyszał ostatniej doby.

Nasłuchiwał na korytarzu: z pokoju dochodziło chrapanie. Potem wyszedł do ogrodu i patrzył na ranny szron na trawie i świeże wiosenne liście. Kiedy wrócił do domu, aż drgnął na widok pani Abel.

– Jakże tam pani pacjent? Śpi, jak tuszę? – spytał z udaną pogodą w głosie.

– Zmorzyło go ze szczętem, proszę pana. Powoli zasypiał, to się zaczęło między trzecią a czwartą. Może by pan zajrzał do niego? Myślałam, że nic się nie stanie, jak go zostawię. Mąż poszedł w pole, a mała pilnuje garnków.

Bulstrode wszedł na górę. Jeden rzut oka powiedział mu, że sen Rafflesa nie jest z tych, co przynoszą nowe siły, lecz sprowadzają chorego coraz głębiej i głębiej w otchłań śmierci.

Rozejrzył się po pokoju i zobaczył butelkę z resztką brandy i niemal pustą fiolkę opium. Schował fiolkę, zaniósł na dół brandy i zamknął ponownie w piwnicy.

Przy śniadaniu zastanawiał się, czy jechać zaraz do Middlemarch, czy czekać na przyjazd Lydgate'a. Postanowił zaczekać i kazał pani Abel zająć się własną robotą – sam będzie czuwał w sypialni.

Kiedy tak siedział i patrzył, jak wróg jego spokoju zapada na zawsze w ciszę, czuł takie odprężenie, jakiego nie zaznał od miesięcy. Sumienie kołło mu osłaniające skrzydło tajemnicy, które wydało mu się w tym momencie jakimś aniołem, zesłanym, by nieść pocieszenie. Wyciągnął z kieszeni notes i zaczął przeglądać różne zapiski, związane z projektowanymi i częściowo wykonanymi przygotowaniem do wyjazdu z Middlemarch; zastanawiał się, które z nich powinien odwołać, a które nie, teraz, kiedy już wie, że jego nieobecność nie potrwa długo.

Wycofanie się na jakiś okres z dyrekcji stwarzałoby okazję dokonania pewnych pożądaných oszczędności; miał też w dalszym ciągu nadzieję, że pani Casaubon weźmie na siebie pokaźną część wydatków związanych ze szpitalem. Tak mijał czas, aż wreszcie zmiana, jaka zaszła w chrapliwym oddechu, stała się na tyle wyraźna, by skierować jego uwagę wyłącznie na łóżko i zmusić do myślenia o tym odchodzącym życiu, które niegdyś sobie podporządkował, o człowieku, w którym odkrył niegdyś z satysfakcją wystarczającą dozę podłości, aby zdolny był zrobić to, co zrobił. Ta ówczesna satysfakcja doprowadziła do dzisiejszego zadowolenia z tego, że owo życie dobiega końca.

Któż mógłby powiedzieć, że śmierć Rafflesa została przyspieszona? Któż wiedział, co mogłoby go uratować?

Lydgate przyjechał o wpół do jedenastej, akurat w czas, by być świadkiem ostatecznego zatrzymania się oddechu. Kiedy lekarz wszedł do pokoju, Bulstrode zauważył zmianę na jego twarzy, wyrażającą nie tyle zaskoczenie, ile zrozumienie faktu, że jego osąd był mylny. Przez pewien czas stał w milczeniu przy łóżku, z oczyma utkwionymi w umierającym, z tym znieruchomieniem twarzy, które świadczyło, że debatuje ze sobą w milczeniu.

– Kiedy zaczęła się ta zmiana? – zwrócił oczy na bankiera.

– Nie czuwałem przy nim ostatniej nocy – odparł. – Byłem przemęczony i zostawiłem go na opiece pani Abel. Powiedziała, że zapadł w sen między trzecią a czwartą. Kiedy tu przyszedłem przed ósmą, znajdował się już niemal w takim stanie.

Lydgate nie zadawał więcej pytań, patrzył tylko w milczeniu i wreszcie powiedział:

– To już koniec.

Tego ranka doktor przejęty był poczuciem swobody i odzyskanej nadziei. Zabrał się do pracy z dawnym animuszem i czuł w sobie dość sił, by znieść wszystkie niedostatki swego małżeńskiego życia. I był świadom, że Bulstrode jest jego dobroczyńcą. Ale ten przypadek wzbudził w nim niepokój. Nie spodziewał się takiego zakończenia. Nie bardzo jednak wiedział, jakby tu pytać Bulstrode'a tak, by mu się to nie wydało obraźliwe, jeśli zaś idzie o przesłuchanie gospodyni – no cóż, przecież ten człowiek nie żyje. Jakiż może przynieść pożytek z sugerowania, że zabiła go czyjaś niewiedza czy nieroztropność? Zresztą, przecież on sam mógł się pomylić.

Wracali z bankierem razem do Middlemarch, rozmawiając o wielu sprawach – głównie o cholercie, szansach, jakie ma ustawa o reformie w Izbie Lordów i zdecydowanej postawie związków politycznych. Nic nie mówiono o Rafflesie, Bulstrode wspominał tylko, że trzeba go

będzie pochować na cmentarzu w Lowick, bo ten biedak nie ma żadnych krewnych, z wyjątkiem Rigga, który, jak twierdził, nie był dlań życzliwy.

Lydgate, po powrocie do domu, miał wizytę pastora Farebrothera. Ten nie był poprzedniego dnia w Middlemarch, lecz wiadomości o sekwestracji, jaka się odbywa w domu doktora, dotarły wieczorem do Lowick, a przyniósł je pan Spicer, szewc i pisarz parafialny w jednej osobie, który dowiedział się o wszystkim od swego brata, szacownego instalatora dzwonek na Lowick Gate. Od owego wieczoru, kiedy to Lydgate zszedł na dół z sali bilardowej razem z Fredem Vincy, pastor myślał o nim ze smutkiem. Rozegranie Pod Zielonym Smokiem jednej czy kilku partyjek dla nikogo nie miałyoby znaczenia. W wypadku Lydgate'a jednak świadczyło, że staje się niepodobny do siebie. Zaczynał robić rzeczy, do których dawniej żywił wręcz przesadną pogardę. Choć przyczyną tego mogło być w jakiejś mierze rozczarowanie małżeństwem, o czym świergotały wróble na dachach, pastor czuł, że głównym powodem są długi, o których coraz głośniejsze mówiono, i zaczął się obawiać, że wyobrażenia, iż Lydgate ma jakieś zasoby czy też rodzinę, która by go wspierała, są złudne. Odprawa, z jaką się spotkał, gdy po raz pierwszy próbował stać się powiernikiem lekarza, zniechęciła go do następnych prób, ale wiadomość o przeprowadzanej w domu egzekucji kazała pastorowi przełamać niechęć.

Lydgate właśnie pożegnał ubożego chorego, którym się pilnie zajmował, i wyszedł do pastora z wyciągniętą na powitanie ręką i taką pogodą w twarzy, że gość się zdumiał. Czyżby i tym razem miał z dumą odrzucić współczucie i pomoc? Wszystko jedno – i współczucie, i pomoc należy okazać.

– Jak się pan ma, doktorze? Przeszedłem pana odwiedzić, bo usłyszałem coś, co mnie bardzo zaniepokoiło – zaczął pastor tonem dobrego brata, tyle że bez wyrzutu w głosie. Siedzieli już obydwaj.

Lydgate odparł natychmiast:

– Wiem chyba, o co panu chodzi. Słyszał pan, pastarze, że sekwestrator robi u mnie zajęcie?

– Tak, czy to prawda?

– To była prawda – odparł Lydgate swobodnym tonem, jakby rozmowa na ten temat nie sprawiała mu już przykrości. – Ale niebezpieczeństwo minęło; dług został spłacony. Wyszedłem z kłopotów: będę wolny i, mam nadzieję, zacznę od nowa, tyle że w rozsądniejszy sposób.

– Jakże jestem rad, że to słyszę – powiedział pastor przyspieszonym szeptem, jak człowiek, któremu spadł ciężar z serca. – Wolę to – ciągnął, zasiadając głębiej w fotelu – ód wszystkich wiadomości z *Times'a*. Przyznaję, że przyszedłem tutaj z ciężkim sercem.

– Dziękuję za te odwiedziny – ciepło powiedział doktor. – Tym bardziej mogę się cieszyć pańską życzliwością, że jestem szczęśliwszy. Byłem zdruzgotany, nie ma co mówić. Przypuszczam, że od czasu do czasu jeszcze odezwą mi się moje siniaki – dodał, uśmiechając się trochę smutnie – ale w tej chwili czuję tylko, że śruba została odkręcona.

Pastor milczał chwilę, a potem odezwał się z powagą:

– Drogi panie doktorze, chciałbym pana o coś spytać. Proszę mi wybaczyć śmiałość.

– Nie sędzę, aby pańskie pytanie mogło mnie obrazić.

– A więc, to konieczne, abym mógł spać ze spokojem w sercu – czy pan... czy pan... dla spłacenia długów nie zaciągnął innego długu, który może być dla pana w przyszłości gorszą udręką?

– Nie – odparł Lydgate, czerwieniąc się lekko. – Nie ma powodu, dlaczego miałbym panu nie powiedzieć... jeśli tak wyglądają fakty... że osobą, wobec której stałem się dłużnikiem, jest Bulstrode. Dał mi szczerą ręką pożyczkę, tysiąc funtów, i może zaczekać na spłatę.

– Nie ma co mówić, to wielkoduszny gest. – Pastor zmusił się do

słów uznania dla człowieka, którego nie lubił. Wrodzona delikatność nie pozwoliła mu nawet w myślach przypomnieć swoich dawanych niegdyś doktorowi rad, by unikał wszelkich prywatnych związków z bankierem. Dodał natychmiast: – A Bulstrode, oczywista, musi się poczuwać do zainteresowania pańską sytuacją, przecież współpraca z nim musiała wpłynąć ujemnie, a nie dodatnio na pańskie zarobki. Rad jestem, że zachował się jak należało.

Lydgate słuchał tych znacznych komentarzy z pewnym skrępowaniem. Zdawały się silniej uwypuklać przykre przypuszczenie, które zrodziło się w jego myślach zaledwie przed kilkoma godzinami, że powody tej nagłej filantropii bankiera, która przyszła tak szybko po okazaniu mu zimnej obojętności, mogły być po prostu samolubne. Pozostawił więc owe zacne domysły bez komentarza. Nie opowiedział historii swojej pożyczki, ale lepiej ją sobie teraz uświadomił, podobnie jak fakt, pominięty delikatnie przez pastora, że więzy osobistego długu wobec bankiera są tym, czego niegdyś najmocniej pragnął unikać.

Zamiast więc odpowiadać, zaczął mówić o oszczędnościach, jakie planuje robić, i o tym, że zaczął patrzeć na własne życie z nowego punktu widzenia.

– Otworzę gabinet zabiegowy – mówił. – Sądzę, że w tej materii popełniłem błąd. I jeśli Rozamunda nie będzie miała nic przeciwko temu, wezmę praktykanta. Nie lubię tych rzeczy, ale jeśli człowiek rzetelnie je wykonuje, nie są niczym poniżającym. Otrzymałem na początek dobre cięgi; teraz drobne otarcia wydadzą mi się niczym.

Biedny Lydgate! Owo „jeśli Rozamunda nie będzie miała nic przeciwko temu”, które mu się wymknęło niechcący, jako składowa część własnych myśli, świadczyły o jarzmie, jakiemu się poddał. Lecz nadzieje pastora Farebrothera biegnęły tym samym nurtem, co nadzieje doktora, a że nie wiedział o swoim gospodarzu nic, co mogłoby wzbudzić niedobre

przezucia – pożegnał go serdecznymi gratulacjami.

ROZDZIAŁ LXXI

Pompej: ...na stołeczku w izbie Winogradu, w której, jak wiadomo, najwięcej sobie upodobałeś? Czy to prawda?

Pianka: Prawda, bo to ciepła izba i doskonała na zimę.

Pompej: Dobrze więc; spodziewam się, że to mi są prawdy[130].

William Shakespeare, *Miarka za miarkę*, akt

II, sc. 1

Piątego dnia po śmierci Rafflesa pan Bambridge stał, rozparty, pod szerokim sklepieniem bramy wjazdowej na podwórze Zielonego Smoka. Nie miał skłonności samotniczych i kontemplacyjnych, po prostu wyszedł akurat z domu, a jest rzeczą wiadomą, że człowiek stojący swobodnie w bramie wjazdowej wczesnym popołudniem musi zwabić towarzystwo, jak gołąb, który znalazł coś godnego dziobania. W tym przypadku trudno byłoby znaleźć pokarm w postaci materialnej, lecz oko rozsądku dostrzegало możliwość duchowego pokarmu w postaci plotki. Pierwszym, który okazał zdolność wewnętrznego widzenia, był pan Hopkins, potulny właściciel sklepu bławatnego z naprzeciwka, żądny odrobiny męskiej rozmowy, gdyż jego klientelę stanowiły niemal wyłącznie kobiety. Pan Bambridge nie okazał się w stosunku do niego rozmowny, uważając, oczywista, że Hopkins rad jest mówić z nim, ale on nie będzie marnował słów na Hopkinsa. Wkrótce jednak zebrała się gromadka godniej szych słuchaczy, składająca się czy to z przechodniów, [130] Przeł. Leon Ulrich.

czy takich, co wyskoczyli właśnie, by zobaczyć, czy coś się nie dzieje Pod Zielonym Smokiem; a pan Bambridge uznał, że opłaca mu się rzucić kilka sensacyjnych uwag na temat wspaniałych ogierów, jakie oglądał, i zakupów, jakich dokonał podczas podróży na północ, skąd właśnie wrócił. Zebrani panowie zostali zapewnieni, że gdyby mogli mu pokazać szkapę lepszą od pewnej klaczy wysokiej krwi, gniadej, czterolatki prawie, którą można obejrzeć w Doncaster, jeśli zechcą tam pojechać i rzucić okiem – to niech jego, pana Bambridge, kule biją. Również pewna para karoszy, którą właśnie chce ułożyć do breka, przywołała mu żywo na pamięć parę, którą sprzedał Faulknerowi w dziewiętnastym roku za sto gwinei i którą Faulkner w dwa miesiące później odsprzedał za sto sześćdziesiąt – każdy handlarz końmi, który potrafiłby dowieść, że to nieprawda, otrzymywał przywilej wyzywania pana Bambridge od najgorszych, póki mu w gardle nie zaschnie.

Właśnie gdy doszło do tego ożywionego punktu rozmowy, pojawił się pan Frank Hawley. Nie był to człowiek, który by wystawiał swoją godność na szwank, przesiadując pod Zielonym Smokiem, ale tak się zdarzyło, że przechodził właśnie High Street, a zobaczywszy po przeciwnej stronie Bambridge’a, zrobił kilka długich kroków, by go zapytać, czy znalazł mu tego dobrego konia, którego się był podjął wyszukać do gigu. Na to pan Bambridge poprosił pana Hawleya, żeby poczekał, póki nie obejrzy pewnego siwka, wybranego w Bilkley: jeśli to nie jest w sam raz koń, jakiego sobie pan Hawley życzył, to on, pan Bambridge, nie zna się na koniach, co jest największym nieprawdopodobieństwem, jakie sobie można wyobrazić. Pan Hawley, stojąc plecami do ulicy, ustalał termin obejrzenia i wypróbowania siwka, kiedy mimo nich przejechał jakiś jeździec.

– Bulstrode – powiedziało z cicha kilka głosów jednocześnie, a kupiec bławatny poprzedził to pełnym szacunku „pan”. Nikt jednak, rzucając to

nazwisko, nie wymawiał go innym tonem, niż gdyby mówił: „dyliżans do Riwerston” na widok nadjeżdżającego z oddali pojazdu. Pan Hawley omiół niedbałym spojrzeniem plecy Bulstrode’a, lecz Bambridge, podążając wzrokiem w tym samym kierunku, zrobił sarkastyczny grymas.

– Do diaska! Byłbym zapomniiał – tu zniżył nieco głos. – Zdobyłem w Bilkley coś jeszcze, nie tylko konia do pańskiego gigu. Zdobyłem piękną historię o tym bankierze. Jeśli który z panów szuka interesujących wiadomości, może je otrzymać gratis. Gdyby każdy dostał to, na co zasłużył, Bulstrode mógłby teraz odmawiać pacierze w Botany Bay.

– A cóż to takiego? – pan Hawley wepchnął ręce w kieszenie i przesunął się nieco głębiej pod sklepioną bramę. Gdyby się okazało, że Bulstrode to szubrawiec, pan Hawley okazałby się prorokiem.

– Usłyszałem to od jegomościa, który był starym kompanem Bulstrode’a. Zaraz powiem, kiedy go pierwszy raz zobaczył – Bambridge kiwnął gwałtownie wskazującym palcem. – To było na licytacji u Larchera, ale jeszcze wtedy go nie znał, prześliznął mi się między palcami. Polował na Bulstrode’a, jak dwa razy dwa cztery. Chwalił się, że może z niego wyciągnąć każdą ilość gotówki, zna wszystkie jego sekrety. Gadał tam, w Bilkley, jak najęty, i pił na umór. Nie myślę, żeby chciał zostawać świadkiem koronnym, co to, to nie, ale to jeden z tych, co plotą, byle pleść, aż się w końcu tak zapędzą, że zaczną zachwalać łogawego konia. Człowiek powinien znać miarę i wiedzieć, kiedy przestać – stwierdził pan Bambridge z pewnym niesmakiem, rad, że jego własna chełpliwość jest świadectwem dobrej znajomości wymagań rynku.

– Jak się ten jegomość nazywa? Gdzie go można znaleźć? – wypytywał Hawley.

– Jeśli idzie o to, gdzie go znaleźć, to zostawiłem go Pod Głową Saracena, a nazywa się Raffles.

– Raffles! – wykrzyknął pan Hopkins. – Wczoraj obsługiwałem jego

pochówek. Pogrzebano go w Lowick. Pan Bulstrode szedł za trumną. Bardzo przyzwoity pogrzeb.

Wśród słuchaczy nastąpiło silne poruszenie. Bambridge wydał okrzyk, w którym „piekło i szatani” było najłagodniejszym wyrażeniem, pan Hawley zaś zmarszczył czoło i wysunąwszy głowę, zawołał:

– Co? Gdzie ten człowiek umarł?

– W Stone Court – odparł kupiec bławatny. – Gospodyni mówiła, że to był krewny jej pana. Przyszedł tam chory, w piątek.

– Ale też! Przecież we środę z nim popijałem! – wtrącił się pan Bambridge.

– Czy udzielał mu pomocy jakiś lekarz?

– Tak, doktor Lydgate. Pan Bulstrode siedział jedną noc przy chorym. Umarł trzeciego ranka.

– Mów pan dalej, panie Bambridge – nalegał pan Hawley. – Co ten jegomość wie o panu Bulstrode?

Gromadka tymczasem się powiększyła, gdyż obecność pisarza miejskiego stanowiła gwarancję, że dzieje się tam coś, czego warto posłuchać, i pan Bambridge głosił swoją opowieść w przytomności siedmiu osób. Mówił na ogół to, co już wiemy, łącznie z informacją o Willu Ladislawie, z dodatkiem pewnych lokalnych okoliczności i smaczków. Opowiadał to, czego ujawnienia lękał się bankier – co, jak mu się zdawało, pogrzebał razem z ciałem Rafflesa – co było jego upiorem z przeszłości, od którego, jak ufał, przejeżdżając koło bramy wjazdowej Zielonego Smoka, uchroniła go Opatrzność. Tak, Opatrzność. Nie przyznał się dotąd przed samym sobą, że zrobił cokolwiek, co się do tego końca przyczyniło, lecz przyjął ten koniec jako dar. Nie można byłoby dowieść, że zrobił coś, co przyspieszyło odejście duszy tego człowieka.

Lecz pogłoska o bankierze rozeszła się po Middlemarch niby dym pożaru. Pan Hawley, w trop za otrzymaną informacją, wysłał do Stone

Court zaufanego kancelistę, który miał niby to rozpytywać o siano, a naprawdę wywiedzieć się od pani Abel wszystkiego, co się da, o Rafflesie i jego chorobie. W ten sposób pan Hawley dowiedział się, że to Kaleb Garth swoim gigiem przywiózł do Stone Court tego człowieka, w związku z czym przy najbliższej okazji zaszedł do kantorku Kaleba, pytając, czy podjąłby się pewnego arbitrażu, gdyby ten okazał się konieczny, a potem zagadnął mimochodem o Rafflesa. Kalebowi nie wymknęło się ani jedno słowo, które byłoby ze szkodą dla bankiera, nie ukrywał jednak, że przestał dla niego w ostatnim tygodniu pracować. Pan Hawley wyciągnął z tego własny wniosek. Przekonany, że Raffles wygadał się Garthowi, a Garth wskutek tego wymówił usługi panu Bulstrode – podał w kilka godzin później taką wersję panu Tollerowi, która zaczęła krążyć po mieście, aż wreszcie zatraciła charakter wniosku i została uznana za informację pochodzącą wprost od Gartha; toteż nawet sumienny historyk mógłby dojść do przekonania, iż to właśnie Kaleb ujawnił przestępstwa bankiera.

Pan Hawley bardzo szybko stwierdził, że zarówno rewelacje Rafflesa, jak i okoliczności jego śmierci nie dają żadnych prawnych podstaw do oskarżeń. Pojechał osobiście do parafii Lowick, by zajrzeć do księgi i omówić całą sprawę z pastorem Farebrotherem, który był nie mniej niż prawnik zaskoczony ohydny sekretem wiążącym się z osobą bankiera, a wydobytym na światło dzienne, choć poczucie sprawiedliwości nie pozwoliło, by powodowany antypatią formułował wnioski. Podczas tej rozmowy przyszła pastorowi myśl o jeszcze jednym wątku w tej sprawie – zapowiedź tego, o czym wkrótce miało mówić całe Middlemarch, dodawszy nieuchronnie „dwa do dwóch”. Wraz z poznaniem przyczyn, dla których bankier obawiał się Rafflesa, powstawało pytanie, czy ta obawa nie miała przypadkiem czegoś wspólnego ze szczodrobliwością, jaką Bulstrode okazał swemu lekarzowi – i choć pan Farebrother odrzucał

przyzupuszczenie, by była ona świadomie przyjętą łapówką, przewidywał, że powstały splot wypadków może mieć fatalny wpływ na reputację Lydgate'a. Zauważył, że pan Hawley nic jeszcze nie wie o tym, iż doktor wydobyl się z długów, i sam ostrożnie unikał podejmowania tego tematu.

– No, cóż – wciągnął głęboki oddech, chcąc zamknąć niekończącą się dyskusję o tym, co by tam mogło być, choć niczego nie można było prawnie udowodnić – to dziwna historia. Tak więc nasz szpakami karmiony Ladislaw ma osobliwą genealogię! Pełna temperamentu młoda dama i umuzykalniony polski patriota wydawałoby się, że to akurat w sam raz, jak na niego, ale nigdy bym nie przypuszczał, że dochodzi do tego szczep żydowskiego lichwiarza. Cóż, nigdy z góry nie wiadomo, jaka w końcu powstanie mieszanka. Pewien rodzaj mętów jest pomocny przy klarowaniu płynu.

– Tego właśnie można się było spodziewać – stwierdził pan Hawley, dosiadając konia. – Jakaś przeklęta obca krew, żydowska, korsykańska czy cygańska.

– Wiem, że to jedna z pańskich czarnych owiec, Hawley. Ale w istocie to bezinteresowny, otwarty młody człowiek – odparł pastor z uśmiechem.

– Dobrze już, dobrze, to jest to pańskie wigowskie odchylenie – zakończył pan Hawley, który zwykł był powiadać usprawiedliwiająco, że Farebrother to taki piekielnie miły i zacny jegomość, iż można by go przez pomyłkę wziąć za torysa.

Pan Hawley jechał do domu, nie myśląc o pomocy lekarskiej, jaką Lydgate udzielił Rafflesowi, inaczej niż jako o dowodzie świadczącym na korzyść Bulstrode'a. Lecz wiadomość o tym, że Lydgate zdołał nie tylko powstrzymać nagle egzekucję w swoim domu, lecz i spłacić wszystkie długi, jakie miał w Middlemarch, rozeszła się szybko, obrastając w domysły i komentarze, które dodawały jej mocy i rozpędu – i wkrótce dotarła do uszu innych, oprócz Hawleya, osób, tym zaś nie trzeba

było wiele czasu, by dostrzec szczególny związek pomiędzy nagłym przyływem gotówki u doktora a pragnieniem Bulstrode'a, by ukryć Rafflesowy skandal. Nawet gdyby nie było dowodu wprost, iż pieniądze pochodziły od Bulstrode'a, wszyscy by to niechybnie odgadli, gdyż już dawno krążyły po mieście wiadomości, że ani teść Lydgate'a, ani jego własna rodzina nie przyjdą mu z pomocą, bezpośredni zaś dowód dostarczony został nie tylko przez kancelistę z banku, lecz i Bogu ducha winną samą panią Bulstrode, która wspomniała o pożyczce pani Plymdale, która z kolei wspomniała o pożyczce swojej synowej z domu Toller, a ta wspomniała o tym wszystkim naokoło. Uznano, iż sprawa jest tak wielkiej wagi publicznej, że należy urządzać kolacje, by ją wykarmić; wydawano więc i przyjmowano wiele zaproszeń z powodu skandalu związanego z bankierem i Lydgate'em; matrony, wdowy i samotne damy zabierały swoje robótki i wychodziły na herbatkę o wiele częściej niż dotychczas, a życie towarzyskie w gospodach, od Zielonego Smoka po szynk pani Dollop, nabrało pikanterii, jakiej nie zdołał mu nadać problem, czy Izba Lordów odrzuci projekt ustawy o reformie.

Niemal nikt bowiem nie wątpił, że na dnie hojności Bulstrode'a wobec Lydgate'a kryje się taki czy inny haniebny powód. Pan Hawley zaprosił z początku wyborowe grono, w którym było dwóch doktorów oraz lekarze ogólni: pan Toller i pan Wrench, po to, jak zapowiedział, by przedyskutować bez świadków prawdopodobieństwo choroby Rafflesa, i wyliczył im wszystkie uzyskane od pani Abel, szczegółowe informacje związane z certyfikatem Lydgate'a, że śmierć nastąpiła wskutek *delirium tremens*, zgromadzeni konsyliarze, którzy trwali niezachwianie przy dawnych metodach leczenia tej choroby, oświadczyli, że nie widzą w przedstawionych informacjach nic, co mogłoby stanowić rzeczowe podstawy do podejrzeń. Ale pozostawały moralne podstawy do podejrzeń: bardzo istotne powody, jakie wyraźnie miał Bulstrode,

aby pragnąć usunięcia Rafflesa, oraz fakt, że pomógł Lydgate'owi w momencie krytycznym, a przecież musiał od dawna wiedzieć, że mu taka pomoc jest potrzebna; do tego trzeba dodać skłonność do dawania wiary, że Bulstrode zdolny jest do bezceństwa, oraz brak skłonności do niedawania wiary, iż Lydgate mógłby łatwo zostać przekupiony, jak każdy inny fanfaron, kiedy mu zabraknie gotówki. Nawet jeśli dostał te pieniądze tylko po to, by trzymał język za zębami w sprawie skandalu związanego z dawniejszym życiem Bulstrode'a – to i tak ten fakt rzucał odrażające światło na Lydgate'a, z którego od dawna sztychono, uważając, że przyjmuje służalczą postawę wobec bankiera, chcąc się wynieść nad innych i dyskredytować starszych członków swojej profesji. Tak więc, mimo braku rzeczowego dowodu winy w związku ze śmiercią w Stone Court, wyborowe grono u pana Hawleya rozeszło się w poczuciu, że cała sprawa „wygląda paskudnie”.

To mgliste przeświadczenie o nieokreślonej winie, które wystarczało, by nawet starzy, szacowni przedstawiciele wolnych zawodów potrząsali głowami i rzucali złośliwe insynuacje, miało dla ogółu taką wyższość, jaką ma tajemnica nad faktem. Każdy wolał domniemywać, jak tam było, niż po prostu wiedzieć, jak było: domniemanie bowiem stało się wkrótce bardziej wiarygodne niż wiedza i łatwiej dopuszczało sprzeczności. Nawet konkretny skandal, tyżący wcześniejszego życia Bulstrode'a, wtapiał się w wyobraźni wielu w bryłę jakiejś tajemnicy, podobnie jak o wiele żywszy kruszec wytapiał się podczas rozmów, przybierając najbardziej fantastyczne kształty.

Taki właśnie sposób myślenia spotykał się na ogół z aprobatą pani Dollop, ognistej szynkarki spod „Kufła” w Zaułku Rzeźniczym, która często musiała stawiać opór płytkiemu pragmatyzmowi klientów skłonnych sądzić, że wiadomości, jakie przywieźli z szerokiego świata, mają tę samą wagę, co te, które „postały” w jej głowie. Jak to się stało, że

„postały” – tego nie wiedziała, ale ot, są, mają wypisane przed oczami, jak węglem w kominie – „jakoby Bulstrode powiedział, że ma w środku wszystko czarne, a gdyby jego włosy na głowie znały myśli, jakie ma w sercu, toby je sobie wyrwał z korzeniami”.

– To dziwne – zamyślił się pan Limp, skłonny do refleksji szewc o słabym wzroku i piskliwym głosie. – Przecież czytał w *Trqbce*, że to właśnie, słowo w słowo, powiedział księżę Wellington, kiedy zmienił skórę i zaczął się wysługiwać papistom.

– Całkiem możliwe – przytaknęła pani Dollop. – Jeśli to powiedział jeden łobuz, to mógł powiedzieć i drugi. Ale taki z niego obłudnik i przemądrzalec, że żaden pastor w całym kraju nie był dla niego dość dobry, dlatego wziął sobie Rogatego na doradcę, a ten go przechytrzył.

– Tak, tak, takiego współnika nie da się wyrzucić z kraju – skomentował sprawę pan Crabbe, szklarz, który zbierał liczne wiadomości, ale poruszał się wśród nich dość niepewnie. – Z tego, co ludzie gadają, to mi się widzi, że Bulstrode już dawno chciał uciekać, bo się bał, że się wszystko wyda.

– Tak czy inaczej go stąd wygonią – oświadczył pan Dill, golarz, który właśnie wpadł na chwilkę. – Goliłem Fletchera, kancelistę Hawleya, bo skałeczył się w palec, i on powiada, że wszyscy są zgodni co do tego, żeby się pozbyć Bulstrode’a. Pastor Thesiger też się przeciwko niemu obrócił i nie chce go mieć w parafii. I niektórzy panowie z miasta powiadają, że równie dobrze mogliby sięść do stołu z galernikiem. „A ja to bym wcześniej z nim nie siadał – powiada Fletcher – bo co może bardziej zaszkodzić na żołądek niż jegomość, co przychodzi i psuje wszystkim apetyt tą swoją pobożnością i daje poznać, że Dziesięć Przykazań to mu nie dosyć, a przez cały czas jest gorszy od takich, co ich zakuli w kajdany”. Tak mówił sam Fletcher.

– Ale nie będzie z pożytkiem dla miasta, jak z niego wyjdą pieniądze Bulstrode’a – zauważył dyszkantem pan Limp.

– Tak, lepsi od niego ludzie gorzej wydawali pieniądze – stwierdził mocnym głosem farbiarz, którego czerwone dłonie całkiem nie pasowały do pocziwej twarzy.

– Ale z tego, co rozumiem, to on nie zachowa swoich pieniędzy – mówił szklarz. – Czy nie powiadali, że jest ktoś, kto go może ze wszystkiego obedrzeć? Na mój rozum, jak pójdą do sądu, to mogą mu zabrać ostatniego pensa.

– Nic podobnego – zaprzeczył golarz, który uważał się za coś lepszego niż klienci spod „Kufla”, niemniej jednak ich lubił. – Fletcher powiada, że nic podobnego. Powiada, że choćby nie wiem ile razy dowodzili, czym dzieckiem jest ten młody Ladislaw, to wyjdzie na to samo, co gdyby dowiedli, że ja pochodzę z Rojstów – nie dostanie ani pensa.

– Patrzcie no ludzie – oburzyła się pani Dollop. – Dziękuję Panu, że zabrał do siebie moje dzieci, jeśli prawo może tylko tyle pomóc sierotom. To z tego wychodzi, że nieważne, kto jest twój ojciec czy twoja matka. Ale też, żeby słuchać, co mówi jeden adwokat, a nie spytać o zdanie drugiego, to się panu dziwię, panie Dill! Człowiek taki inteligentny jak pan! Przecie wiadomo, że zawsze muszą być dwie strony, jak nie więcej, inaczej kto by chodził do sądu, może mi kto powie?! Co to za gadanie, że przy tych wszystkich sędziach i adwokatach, jakich mamy, nic nie może przyjsć z tego, że się udowodni, czym się jest dzieckiem? Fletcher może mówić, co mu się podoba, ale co mi tam Fletcher! Też!

Pan Dill udał przypochlebnie, że śmieje się ze słów pani Dollop jako kobiety, która może z powodzeniem stawić czoło każdemu prawnikowi: skłonny był wiele przełknąć od szynkarki, u której miał mocno obciążony kredyt.

– Jeśliby doszło do sądu i jeśli to, co ludzie gadają, to prawda, wtedy trzeba by się upomnieć o coś więcej niż pieniądze – powiedział szklarz. – Jest jeszcze ten biedak, co umarł i go pogrzebali, a z tego, co mogę

wyrozumieć, większy był kiedyś z niego pan niż Bulstrode.

– Głowę bym dała, że większy – przytaknęła pani Dollop – i z tego, co słyszę, o wiele przystojniejszy. Tak jak powiedziałam, kiedy tu przyszedł pan Baldwin, poborca podatków; stanął o, tu, gdzie pan siedzi, i powiada: „Wszystkie pieniądze, co je Bulstrode przywiózł tu, do tego miasta, zdobył złodziejstwem i oszustwem”. A ja mu na to: „Panie Baldwin, to dla mnie nie nowina: krew mi się w żyłach ścięła, kiedy na niego popatrzyłam, jak przyszedł tu, na Rzeźniczy Zaulek, i chciał kupić mój dach nad głową: nie darmo ktoś ma twarz tego koloru, co faska do ciasta, i patrzy na człowieka, jakby go chciał prześwidrować aż do pacierza”. Tak wtedy powiedziałam i pan Baldwin może to poświadczyć.

– A i to, że słusznie jejmość mówiła – wtrącił pan Crabbe – bo z tego, co mogę wyrozumieć, ten, jak go tam nazywają, Raffles, to był krzepki kawał chłopca, i pierwszy do wypitki, a teraz gryzie ziemię na cmentarzu w Lowick; ale wedle mojego rozumu są tacy, co wiedzą więcej, niż powinni, jak on się na ten cmentarz dostał.

– Co też pan wygaduje! – W głosie pani Dollop brzmiał odcień wzgardy dla oczywistej ślepoty pana Crabbe’a. – Jak człowieka zwabiają gdzieś na odludzie, a ten, co go stać na opłacanie szpitala i pielęgniarek dla prawie całej okolicy, powiada, że będzie go pielęgnował dzień i noc i nikt się tam nie zbliża, jeno doktor, co to wiadomo, że paskudnik i biedny jak mysz kościelna, a potem ma gotówki w bród i może spłacić pana Bylesa, rzeźnika, który mu cały rok, od zeszłego świętego Michała, borguje najlepsze zadnie mięso, to niech mi nikt nie opowiada, że może coś się tam działo albo może dwa i dwa to cztery, ale nie na pewno. Ja tam nie chcę przypuszczania, mrugania ani żadnego mówienia „może”.

Pani Dollop rozejrzała się w krąg z miną szynkarki zwykłej wieść prym wśród klienteli. Rozległ się chór aprobaty ze strony odważniej szych, a pan Limp, pociągnawszy łyceczek, złożył płasko dłonie i ścisnął mocno

między kolanami, kontemplując je kaprawym okiem, jakby zjadliwa moc wypowiedzi pani Dollop całkiem go wysuszyła i zważyła mu rozum tak, że tylko następna dawka płynu mogłaby go przywrócić do życia.

– A czemu nie wykopią nieboszczyka i nie wezwą koronera? – spytał farbiarz. – Przecież tyle razy się to robiło. Jesliby coś tam było nie w porządku, toby się dowiedzieli.

– Nic by z tego nie wyszło, panie Jonas – stwierdziła z przekonaniem szynkarka. – Wiem, co to za jedni, ci doktorzy. Za chytry, żeby im czego dowieść. A ten doktor Lydgate, co to chce każdego krajać, nim jeszcze ostatni dech wyda, przecie to jasne jak słońce, jaki chciał mieć pożytek z zagładania porządnym ludziom do środka. On już się zna na takich lekach, co to ani ich zobaczyć, ani wywachać czy przed połknięciem, czy potem. Wiadomo! Na własne oczy widziałam krople, co je zapisał doktor Gambit, ten lekarz naszego kółka; ma bardzo dobrą markę i więcej przyjął na ten świat żywych dzieci niż jaki inny w całym Middlemarch, więc powiadam, widziałam na własne oczy krople, co jak już były w kieliszku, to nic nie było znać, a przecie następnego dnia czuło się skutek. Więc niech każdy sam osądzi! Ja tam swoje wiem. Powiadam tylko: łaska pańska, że nie najęli tego doktora Lydgate do naszego kółka. Niejedna matka mogłaby tego żałować.

Informacje będące tematem owej rozmowy Pod Kuflem dyskutowane były wszędzie, na wszystkich szczeblach drabiny społecznej w miasteczku, dotarły i do plebanii Lowick, od jednej strony miasta, i do Tipton Grange – od strony przeciwnej, doszły też w całości do uszu rodziny Vincych, roztrząsane były wśród żalonych westchnień nad „biedną Harriet” przez wszystkie przyjaciółki pani Bulstrode – nim jeszcze Lydgate zorientował się, dlaczego ludzie tak dziwnie na niego patrzą i nim w samym bankierze zrodziło się podejrzenie, że jego tajemnica została ujawniona. Nie przywykł do szczególnie kordialnych stosunków z bliźnimi i dlatego nie

odczuwał braku oznak życzliwości z ich strony, ponadto wyjeżdżał był za najrozmaitszymi interesami, ponieważ zdecydował już, że nie potrzebuje opuszczać Middlemarch i, co za tym idzie, może podejmować decyzje w sprawach, które dotychczas pozostawiał w zawieszeniu.

– Pojedziemy w podróż do Cheltenham w ciągu miesiąca lub dwóch – powiedział żonie. – Można z tego miasta wynieść ogromne pożytki duchowe, nadto znane jest z doskonałego powietrza i wody. Sześć tygodni tam spędzonych bardzo nas pokrzepi.

Naprawdę wierzył w owe duchowe pożytki i pragnął, aby jego życie było odtąd jeszcze gruntowniej uduchowione z powodu ostatnich grzechów, które zresztą uważał za hipotetyczne i hipotetycznie modlił się o ich wybaczenie: „jeśli w tej sprawie zgrzeszył”.

Jeśli idzie o szpital – unikał jakichkolwiek dalszych rozmów na ten temat z Lydgate’em, bojąc się zbyt szybko zdradzać ze zmianą planów zaraz po śmierci Rafflesa. Sądził w głębi duszy, że doktor podejrzewa, iż rozmyślnie nie wykonano jego zaleceń, a jeśli tak, to musi też podejrzewać, że były jakieś tego przyczyny. Lecz żadne wzmianki o historii Rafflesa nie doszły uszu Lydgate’a, a Bulstrode pilnował się, by nie uczynić czegoś, co mogłoby wesprzeć nieokreślone domysły. Lydgate zawsze opowiadał się przeciwko dogmatycznym twierdzeniom, że jakaś metoda leczenia może albo leczyć, albo zabić, nie miał więc powodu mówić, a miał wszelkie powody, by milczeć. Bulstrode uważał więc, że Opatrzność uczyniła go bezpiecznym. Tylko raz drgnął, napotkawszy przypadkowo Kaleba Gartha, ten jednak uchylił przed nim kapelusza z łagodną powagą.

A tymczasem narastał silny opór przeciwko bankierowi wśród głównych osobistości miasta.

W Ratuszu miało się odbyć zebranie na temat zagadnień sanitarnych, które stały się ważne i naglące, gdyż w mieście pojawił się przypadek cholery. Po podjętej pośpiesznie uchwale Parlamentu, pozwalającej

wymierzać podatki na utrzymanie czystości, powołano w Middlemarch komisję, która miała nadzorować wszelkie działania w tym zakresie i zarówno wigowie, jak torysi wspólnie zabrali się do porządków i przygotowań. Powstało ostatnio pytanie, czy kawałek ziemi za miastem, na którym zamierzano grzebać umarłych, ma być zakupiony z podatków czy też należy ogłosić prywatną subskrypcję. Zebranie miało być otwarte i spodziewano się, że przyjdą niemal wszyscy znaczniejsi obywatele miasta.

Pan Bulstrode był członkiem komisji i tuż przed dwunastą wyruszył z banku z zamiarem poparcia projektu subskrypcji. Ostatnio, nie mając jeszcze skryształizowanych planów, trzymał się nieco na uboczu, lecz teraz postanowił zająć z powrotem swoją dawną pozycję czynnego i wpływowego obywatela miasta, w którym miał zamiar dokonać swoich dni. Wśród wielu osób, zmierzających w tym samym kierunku, spostrzegł Lydgate'a, przyłączył się więc do niego i tak, omawiając temat spotkania, weszli razem na salę.

Zdawało się, że wszyscy znaczniejsi obywatele przyszli już przed nimi. Pozostały jeszcze wolne miejsca u szczytu wielkiego centralnego stołu, tam też się skierowali. Pastor Farebrother siedział naprzeciwko, niedaleko pana Hawleya: obecni byli wszyscy lekarze. Pastor Thesiger przydykował, a pan Brooke z Tipton zajmował miejsce po jego prawej ręce.

Lydgate zauważył szczególną wymianę spojrzeń, gdy siadał razem z bankierem.

Zebranie otworzył przewodniczący, podkreślając zalety kupna, drogą subskrypcji, kawałka ziemi dostatecznie-dużego, by z czasem mógł służyć jako cmentarz miejski. Wówczas podniósł się pan Bulstrode i swym dość cienkim, lecz przytłumionym i pewnym głosem, do którego rajcy miejscy przywykli podczas tego rodzaju zebrań, poprosił o pozwolenie przedstawienia swojego poglądu w tej materii.

Lydgate zauważył ponownie ową dziwną wymianę spojrzeń, zanim pan Hawley wstał i powiedział głosem silnym i dźwięcznym:

– Panie przewodniczący, proszę, aby nim ktokolwiek przedstawi swoje zdanie w tej sprawie, pozwolono mi na wypowiedź w pewnej kwestii publicznej, którą nie tylko ja, ale wielu tu obecnych uważa za nadrzędną.

Wypowiedzi pana Hawleya, nawet kiedy powstrzymywał się w miejscu publicznym od używania „okropnych wyrażań”, sprawiała wielkie wrażenie, gdyż były rzeczowe i zwarte. Pastor Thesiger przystał na jego prośbę, pan Bulstrode usiadł, a pan Hawley ciągnął:

– Panie przewodniczący, to, co powiem, powiem nie tylko we własnym imieniu: przemawiam na wspólną i formalną prośbę nie mniej niż ośmiu moich współobywateli, siedzących pośród nas. Jest naszym zgodnym zdaniem, że należy wezwać pana Bulstrode i w tej chwili właśnie go wzywam – do złożenia rezygnacji z wszelkich publicznych stanowisk, jakie zajmuje nie tylko jako podatnik, ale jako dżentelmen pośród dżentelmenów. Są pewne praktyki i są pewne czyny, których wskutek różnych okoliczności prawo nie może ukarać, choćby były gorsze od wielu przestępstw podlegających karze. Jeśli ludzie uczciwi i dżentelmeni nie chcą przebywać w towarzystwie tych, co podobne czyny popełnili, muszą się bronić w sposób dla nich dostępny, i to właśnie zarówno ja, jak i moi przyjaciele, których w tej sprawie mogę nazwać klientami, postanowiliśmy uczynić. Nie powiadam, że pan Bulstrode winien jest czynów haniebnych, lecz wzywam go, by albo publicznie zadał kłam i zaprzeczył uwłaczającym zarzutom, jakie wysunął przeciwko niemu człowiek, który już nie żyje, a który zmarł w jego własnym domu, zarzutom sugerującym, że przez wiele lat zajmował się niecznymi machinacjami i że zdobył majątek w sposób nieuczciwy – albo żeby wycofał się ze stanowisk, które mogłyby mu być przyznane tylko jako

dżentelmenowi pośród dżentelmenów.

Wszystkie oczy na sali zwrócone były teraz na pana Bulstrode, który od chwili, kiedy jego nazwisko padło po raz pierwszy, przechodził kryzys emocjonalny, jakiego jego kruche ciało niemal nie było zdolne wytrzymać. Lydgate, sam w szoku wywołanym straszliwą konkretyzacją nieokreślonych przeczuć, zdał sobie jednak sprawę, spojrzawszy na ściągniętą bólem siną twarz Bulstrode'a, że pierwszy odruch wstrętu i wrogości ustępuje przed instynktem lekarza, który myśli przede wszystkim o niesieniu ratunku czy ulgi cierpiącemu.

Jak błyskawica przeniknęła bankiera myśl, że życie jego jest, mimo wszystko, przegrane, że został okryty hańbą i musi drzeć przed wzrokiem ludzi, wobec których przyjmował zawsze moralizatorską postawę, że Bóg wyparł się go wobec świata i wystawił bez osłony na triumfalne szyderstwa tych, którzy radują się, znalazłszy usprawiedliwienie swojej nienawiści. Ogarnęło go poczucie całkowitej daremności owej gry z własnym sumieniem, jaką prowadził, mając w rękach życie współnika swoich przestępstw, gry, która teraz obraca się przeciwko niemu, grożąc uderzeniem jadowitego kła odkrytego kłamstwa – to wszystko przeniknęło go niby paroksyzm trwogi, która nie dobją, lecz pozostawia słuch, aby mógł przyjąć falę złorzeczeń. Nagła świadomość, że został zdemaskowany, która przyszła po zasmakowaniu bezpieczeństwa po raz drugi, nie osaczyła prostackiej natury kryminalisty, lecz wrażliwy system nerwowy człowieka, którego treścią istnienia była władza i okazywanie innym swojej wyższości, na co pozwalała mu jego sytuacja życiowa.

Ale w tej treści istnienia kryła się siła reakcji. Poprzez kruche ciało przebiegał nieustępliwy nerw ambitnej, samoobronnej woli, która zawsze wyłamała się niby płomień rozpraszający wszelkie doktrynalne obawy, i która nawet teraz, gdy siedział jak przedmiot współczucia dla miłośniych, zaczynała się ożywiać i rozpalać pod śmiertelną bladeścią.

Nim padły ostatnie słowa z ust Hawleya, Bulstrode czuł, że musi odpowiedzieć i że ta odpowiedź powinna być repliką. Nie śmiał podnieść się i powiedzieć: „Jestem niewinny, ta historia to kłamstwo” – a nawet gdyby śmiał, wydałoby mu się to teraz, kiedy miał tak ostrą świadomość demaskacji, równie daremne, jak naciąganie dla okrycia nagości jakiegoś zdartego łachmana, który rozedrze się za byle szarpnięciem.

Przez chwilę panowało zupełne milczenie, a oczy wszystkich na sali utkwione były w bankierze, podczas gdy on siedział bez ruchu, głęboko odchylony w krześle. Nie odważył się wstać, a kiedy zaczął mówić, przycisnął mocno obie dłonie do bocznych krawędzi siedzenia. Lecz głos miał całkiem donośny, choć bardziej niż zwykle ochryply, a słowa wymawiał wyraźnie, choć przerywał po każdym zdaniu, jakby nie mógł złapać tchu. Zaczął mówić, zwracając się najpierw do pastora Thesigera, a potem spoglądając na pana Hawleya.

– Składam wobec pana, jako chrześcijańskiego duszpasterza, protest za aprobowanie poczynąń podyktowanych w stosunku do mnie jadem nienawiści. Ci, którzy są mi nieprzychylni, chętnie uwierzą w każdą potwarz rzuconą na mnie przez rozwiązły język. Sumienia ich okazują się bardzo dla mnie surowe. Jeśli oszczerca, którego mam paść ofiarą, oskarża mnie o występki – głos bankiera wzniosł się, przyjmując ostrzejszy ton, niemal krzyk – to któż tu będzie moim oskarżycielem? Nie ci, którzy prowadzą życie pogańskie, a nawet gorszące; nie ci, którzy sami używają podłych metod do osiągnięcia swych celów, których zawodem jest mędrkowanie, którzy cały swój dochód wydają na uciechę zmysłów, podczas gdy ja przeznaczam moje fundusze na najlepsze cele z myślą o życiu doczesnym i przyszłym.

Po słowie „mędrkowanie” zaczęła się podnosić wrzawa – pomruki i syknięcia – a czterech panów porwało się na nogi – byli to pan Hawley, pan Toller, pan Chichely i pan Hackbutt, lecz pan Hawley wybuchnął od

razu, zmuszając pozostałych do milczenia.

– Jeśli ma pan mnie na myśli, to wzywam pana i każdego, kto zechce, do skontrolowania mojego zawodowego życia. Jeśli zaś idzie o chrześcijaństwo czy pogaństwo, to ja nie uznaję takiego obłudnego, czczego chrześcijaństwa jak pańskie; jeśli zaś idzie o to, na co wydaję zarobione pieniądze, to nie mam zwyczaju utrzymywać złodziei i ograbiać potomstwa z należnego im dziedzictwa po to, by wspierać religię i robić z siebie świętobliwego ponuraka. Nie udaję, że mam subtelne sumienie, nie znalazłem jeszcze odpowiednio subtelnych standardów, wedle których należałoby zmierzyć pańskie postęпки. I ponownie wzywam pana, aby oczyścił się, w sposób zadowalający, z wysuniętych wobec niego uwłaczających zarzutów lub też by zrezygnował ze stanowisk, na których my przynajmniej nie chcemy go widzieć jako kolegi. Powtarzam, mój panie, odmawiamy współpracy z człowiekiem, którego imię nie zostało oczyszczone z hańbiących podejrzeń, jakie mają źródło nie tylko w pogłoskach, ale i niedawnych pańskich działaniach.

– Zapozwoleniem, panie Hawley – zwrócił się do niego przewodniczący i Hawley, zdyszany z gniewu, skłonił się z pewnym zniecierpliwieniem i usiadł, wsunąwszy ręce głęboko w kieszenie.

– Panie Bulstrode, sądzę, że nie jest właściwe przedłużać obecną dyskusję – zwrócił się pastor Thesiger do bladego, drżącego mężczyzny. – Podzielaam wyrażone przez pana Hawleya powszechne uczucia tak dalece, że uważam za rzecz należną pańskiej chrześcijańskiej wierze, by się pan oczyścił, jeśli to możliwe, z nieszczęsnych kalumnii. Ja ze swej strony rad będę dać panu wszelką po temu sposobność oraz wysłuchać pana. Muszę jednak powiedzieć, że obecna pańska postawa jest sprzeczna z tymi zasadami, z jakimi pan starał się utożsamiać, a których poważanie jest moim obowiązkiem. Zalecam panu obecnie, jako pański duszpasterz oraz człowiek, który ma nadzieję, iż przywrócone zostanie panu dobre imię,

aby opuścił pan salę, nie utrudniając dłużej omawiania naszych spraw.

Po chwili wahania Bulstrode podniósł kapelusz z podłogi i powoli wstał, ale zachwiał się i chwycił za róg stołu. Lydgate był pewny, że bankier nie ma siły, by wyjść bez czyjegoś wsparcia. Cóż miał zrobić? Przecież nie mógł patrzeć, jak obok niego człowiek upada bez pomocy. Wstał, podał ramię bankierowi i wyprowadził go z sali. Lecz ten czyn, który mógłby być uznany za wyraz szlachetnego poczucia obowiązku i czystego miłosierdzia, był mu w tym momencie niewysłowienie gorzki. Jakby kładł podpis pod związkiem z bankierem, którego pełne znaczenie dopiero teraz zrozumiał – znaczenie, jakie musieli mu przypisywać wszyscy patrzący z zewnątrz. Był teraz przekonany, że człowiek, który wspiera się drżący na jego ramieniu, dał mu tysiąc funtów, by go przekupić, i że dokonano – w złych intencjach – jakichś zmian w sposobie podawania leków, jakie zaordynował choremu. Wnioski same się narzucały: w mieście wiedziano o pożyczce, wierzono, iż było to przekupstwo, i wierzono, że przyjął je świadomie.

Szamocząc się w kleszczach tego strasznego odkrycia, nieszczęsny Lydgate uznał za swój moralny obowiązek odprowadzić Bulstrode'a do banku, posłać po jego powóz i odwieźć do domu.

Tymczasem zgromadzeni na sali uwinęli się szybko z problemem, dla którego zwołano zebranie, i rozbili na grupki dyskutujące żywo o owej sprawie bankiera – i Lydgate'a.

Pan Brooke, do którego dotychczas dochodziły tylko strzępy wiadomości o całej sprawie i który niepokoił się, że „zaszedł trochę za daleko”, popierając Bulstrode'a, teraz otrzymał pełne informacje i z życzliwym smutkiem mówił pastelowi Farebrotherowi, w jakim to „paskudnym świetle” znalazł się Lydgate. Pastor miał zamiar wracać piechotą do Lowick.

– Wsiadaj pan, pastorze, do mojego powozu – zaprosił go pan Brooke.

– Jadę okrężną drogą, chcę odwiedzić panią Casaubon. Miała wrócić z Yorkshire wczoraj wieczorem. Będzie mnie chciała, oczywiście, zobaczyć.

Pojechali więc razem: pan Brooke gawędził, pełen dobrodusznej nadziei, że w postępowaniu Lydgate’a nie było w gruncie rzeczy nic nagannego – to młody człowiek, który w sposób widoczny wyrasta ponad przeciętną, dostrzegł to od razu, kiedy doktor przywiózł mu list od swego stryja, sir Godwina. Pastor mówił niewiele. Był głęboko zatroskany: znając dobrze ludzkie słabości, nie był pewny, czy Lydgate nie załamał się pod upokarzającym ciężarem potrzeb.

Gdy powóz zajechał pod bramę posiadłości, Dorotea, która była na dworze, wyszła ich powitać.

– Witaj, moja droga – zaczął pan Brooke. – Wracamy właśnie z zebrania w sprawach sanitarnych, w sprawach, oczywiście, sanitarnych.

– Czy był na nim pan Lydgate? – zagadnęła Dorotea. Sprawiała wrażenie zdrowej i ożywionej, gdy tak stała z gołą głową w lśnieniach kwietniowego słońca. – Chciałabym go zobaczyć i odbyć z nim wielką naradę w sprawie szpitala. Zobowiązałam się wobec pana Bulstrode, że to zrobię.

– Och, moja kochana – westchnął pan Brooke – doszły nas niedobre wiadomości, niedobre, w samej rzeczy, wiadomości.

Szli przez ogród ku furtce, prowadzącej na cmentarz przy kościele, gdyż pastor pragnął wrócić do domu, i Dorotea usłyszała całą smutną historię.

Słuchała z głębokim zainteresowaniem i prosiła, by jej jeszcze raz powtórzono wszystkie dotyczące Lydgate’a fakty i wrażenia. Po zastanowieniu się przez krótką chwilę zwróciła się przy furtce do pastora Farebrothera i powiedziała energicznie:

Chyba nie wierzy pan, pastorze, by pan Lydgate był winien jakiejś podłości? Ja w to nie wierzę. Dojdźmy prawdy i oczyścmy go z podejrzeń.

KSIĘGA ÓSMA
ZACHÓD I WSCHÓD
SŁOŃCA

ROZDZIAŁ LXXII

Zdwojonym lustrem zda się dusza pełna,
Co nieskończony ciąg rzeczy przed sobą
W swej głębi wciąż powiela.

Dorotea, której impulsywna wielkoduszność nakazywała pospieszyć natychmiast z pomocą doktorowi – musiała się niestety zmitygować, kiedy przyszło jej rozważyć okoliczności wydarzenia w świetle doświadczeń pastora.

– To niezwykle delikatna sprawa – tłumaczył. – Jak moglibyśmy zacząć ją badać? Albo publicznie, prosząc, by to zrobił sędzia czy koroner, albo prywatnie, wypytując Lydgate’a. Jeśli idzie o to pierwsze: nie ma konkretnych podstaw do zarzutów, inaczej Hawley już by je postawił, jeśli zaś idzie o rozmowę z Lydgate’em, muszę przyznać, że ja bym się jej bał. Uznałby to pewno za śmiertelną zniewagę. Niejeden raz miałem możliwość się przekonać, jak trudno z nim rozmawiać o sprawach osobistych. Poza tym powinno się najpierw wiedzieć, jak naprawdę postąpił, by mieć pewność, że nasze poczynania mogą przynieść dobry skutek.

– Jestem przekonana, że jego postępowanie było bez zarzutu: wierzę, że ludzie niemal zawsze są lepsi, niż to sobie inni wyobrażają – powiedziała Dorotea. Najistotniejsze przeżycia ostatnich dwóch lat nastawiły ją wrogo wobec nieżyczliwych ludzkich wyobrażeń o bliźnich i po raz pierwszy poczuła pewne rozczarowanie postawą pastora Farebrothera. Nie lubiła ostrożnego wyważania możliwych konsekwencji, pragnęła żarliwej wiary w sprawiedliwość i miłosierdzie, które odniosłyby zwycięstwo dzięki swej emocjonalnej sile. W dwa dni później pastor był u niej na kolacji wraz z panem Brooke i Chettamami, a kiedy podano deser i służba wyszła

z pokoju, pan Brooke zaś kiwał się, podrzemując, podjęła temat z nową werwą.

– Doktor Lydgate na pewno zrozumie, że jeśli jego przyjaciele dowiedzieli się o rzucanych na niego kalumniach, w pierwszym odruchu zechcą oczyścić go z podejrzeń. Po cóż żyjemy, jak nie po to, by sobie nawzajem pomagać w kłopotach. Nie mogę być obojętna wobec trosk człowieka, który wspierał mnie radą w moich troskach i leczył, gdy byłam chora.

Ton i sposób bycia Dorotei były nie mniej rezolutne niż przed trzema laty, kiedy to przydowała przy stole stryjaszka, a doświadczenia, jakie od tego czasu stały się jej udziałem, dawały jej większe prawo do wypowiedziania stanowczych opinii. Sir James Chettam jednak nie był już nieśmiałym i potakującym wielbicielem: stał się troskliwym szwagrem, pełnym oddania i uwielbienia dla siostry żony, lecz nieustannie lękającym się, by nie wbiła sobie do głowy jakichś nowych pomysłów, równie fatalnych, jak małżeństwo z Casaubonem. Uśmiechał się o wiele rzadziej, a gdy mówił „oczywista”, był to częściej wstęp do wyrażenia odmiennego zdania, nie tak, jak bywało w owych uległych kawalerskich czasach, i Dorotea, ku własnemu zdumieniu, stwierdziła, że musi się mobilizować, by nie czuć przed nim obawy – tym bardziej że był naprawdę jej najlepszym przyjacielem. W tym wypadku również miał odmiennie zdanie.

– Ależ Doroteo – mówił tonem napomnienia. – Każdy odpowiada za swoje życie, ty nie możesz podejmować się tego za kogoś. Lydgate musi wiedzieć, w każdym razie niedługo będzie wiedział, w jakiej się znajduje sytuacji. Jeśli jest w stanie oczyścić się z tych podejrzeń, to się oczyści. Musi sam działać.

– Myślę, że jego przyjaciele powinni zaczekać na jakąś sposobność – dodał pastor. – Jest możliwe... Widziałem zawsze w samym sobie tyle słabości, że mogę sobie wyobrazić nawet człowieka honorowego, takiego,

za jakiego zawsze uważałem Lydgate'a, ulegającego podobnej pokusie i przyjmującego pieniądze, które mu ktoś, bardziej czy mniej otwarcie, proponuje w zamian za milczenie o kompromitujących wydarzeniach z dawnej przeszłości. Mogę to sobie wyobrazić, powiadam, jeśli był w ciężkiej sytuacji, jeśli był udręczony tak, jak niewątpliwie Lydgate był udręczony. Nie uwierzę w nic gorszego o nim, chyba że mi przedstawią przekonujące dowody. Ale śladem niektórych błędów idzie straszna Nemesis, gdyż zawsze jest możliwe, że ci, co tego chcą, uznają błędy za zbrodnię: nie ma żadnego dowodu świadczącego za tym człowiekiem oprócz jego sumienia i jego zapewnień.

– Och, jakie to okrutne! – Dorotea ścisnęła dłonie. – A czy nie chciałby pan, pastorze, być jedynym człowiekiem, ufającym w jego niewinność, choćby cały świat w nią nie wierzył? A poza tym jest jeszcze reputacja, która może o nim świadczyć.

– Ależ droga pani – pastor uśmiechnął się łagodnie, widząc jej żarliwość. – Reputacja nie jest wykuta z marmuru, to nie jest rzecz trwała i niezmienna. To coś żywego, niestałego, podlegającego chorobie, tak jak nasze ciało.

– Więc można ją uratować i wyleczyć – odparła. – Nie bałabym się poprosić doktora Lydgate, żeby mi powiedział prawdę po to, bym mogła mu pomóc. Czemu miałabym się tego obawiać? Teraz, kiedy wiem, że nie zakupię ziemi, mogłabym postąpić tak, jak proponował pan Bulstrode: zająć jego miejsce w subsydiowaniu szpitala, prawda, James? I muszę się naradzić z doktorem Lydgate, by dobrze zrozumieć, jakie przyjdą korzyści z zachowania dotychczasowych założeń. To będzie najlepsza okazja, by go poprosić o okazanie zaufania, a on będzie mógł powiedzieć mi wszystko, co pomoże wyjaśnić okoliczności całej sprawy. Wtedy wspólnie wesprzemy go i pomożemy wydobyć się z kłopotów. Ludzie gloryfikują odwagę wszelkiego rodzaju z wyjątkiem tej, jaką mogliby

okazać w obronie najbliższego sąsiada. – Oczy Dorotei nabrały wilgotnej świątliwości, a zmiana tonu jej głosu zbudziła stryjaszka, który zaczął się przysłuchiwać.

– To prawda, że kobieta może zaryzykować próbę okazania współczucia, która na pewno nie powiodłaby się mężczyźnie – powiedział pastor, którego Dorotea niemal przekonała swoją żarliwością.

– Kobieta powinna okazywać rozagę i słuchać rad osób, które lepiej od niej znają świat – powiedział sir James, marszcząc po swojemu brwi. – Bez względu na to, co w ostateczności zrobisz, Doroteo, powinnaś obecnie trzymać się od tej sprawy z daleka i nie wtrącać się w aferę Bulstrode’a. Nie wiemy, co tam się jeszcze może pokazać. Zapewne zgadza się pan ze mną, pastorate? – zakończył, spoglądając na duchownego.

– Sądzę, że lepiej będzie zaczekać – przytaknęła.

– Tak, tak, moja droga – powiedział pan Brooke, nie bardzo wiedząc, do jakiego punktu doszła rozmowa, ale wnosząc do niej swój udział, właściwy na każdą okazję. – Bardzo łatwo, oczywista, zejść trochę za daleko. Nie możesz dopuścić, żeby cię twoje pomysły poniosły. A jeśli idzie o pośpiech z wydawaniem pieniędzy na rozmaite projekty, nic z tego, oczywista, nie przychodzi. Garth wyżyłował mnie do cna tymi reperacjami, drenowaniem i tak dalej; jestem zupełnie bez pieniędzy, muszę przyhamować. A pan, Chettam, wydaje fortunę na tę dębową drągowinę, którą grodzi swoje grunty.

Dorotea ustąpiła niechętnie wobec ich dezaprobaty i wyszła z siostrą do biblioteki, którą zwykła używać jako salonu.

– Dodo, słuchaj, co mówi James, bo inaczej znowu wpakujesz się w tarapaty. Zawsze w nie wpadała i nie ominą cię w przyszłości, jeśli będziesz robić, co ci się podoba. Moim zdaniem to prawdziwa łaska, że masz teraz Jamesa, żeby myślał za ciebie. On ci pozwala robić różne plany, tylko stara się nie dopuścić, żeby cię ktoś oszukał. I na tym polega zaleta

posiadania szwagra, a nie męża. Mąż nie pozwoliłby ci robić planów.

– Jakbym potrzebowała męża! – fuknęła Dorotea. – Ja tylko nie chcę, żeby moje uczucia były ciągle powściągane. – Pani Casaubon była do tego stopnia nieopanowana, że wybuchnęła gniewnymi łzami.

– Ależ Dodo – głos Celi brzmiał jeszcze bardziej niż zwykle gardłowo. – Doprawdy, same w tobie sprzeczności: raz tak, raz inaczej. Byłaś uległa wobec pana Casaubona, że aż wstyd: pewno zgodziłabyś się nigdy mnie nie odwiedzać, gdyby cię o to poprosił.

– Oczywiście, że mu ulegałam, bo to należało do moich obowiązków – odparła Dorotea, spoglądając na siostrę przez łzy.

– Więc dlaczego nie uważasz, że jest twoim obowiązkiem ulegać nieco życzeniom Jamesa – ciągnęła Celia w poczuciu siły swoich argumentów. – Przecież on chce tylko twojego dobra. No i, rzecz jasna, mężczyźni wiedzą wszystko lepiej, z wyjątkiem tego, co kobiety wiedzą lepiej.

Dorotea roześmiała się i zapomniała o łzach.

– Chodzi mi o dzieci i takie rzeczy – tłumaczyła Celia. – Nie ustąpiłabym Jamesowi, gdybym wiedziała, że nie ma racji, tak jak ty ustępowałeś panu Casaubonowi.

ROZDZIAŁ LXXIII

O, żałuj tego, który brzemień dźwiga;
Ten los wędrowny i nas może spotkać.

Lydgate uspokoił panią Bulstrode, mówiąc, że jej mąż trochę zasnął podczas zebrania, ale wkrótce powinno mu się poprawić, i że odwiedzi go nazajutrz, jeśli nie zostanie wcześniej wezwany – a następnie poszedł wprost do domu, wsiadł na konia i pojechał trzy mile za miasto, aby znaleźć się z dala od wszystkich i wszystkiego.

Czuł, że staje się gwałtowny i bezrozumny, jak człowiek oszalały od bólu uządleń; gotów był przeklinać dzień, w którym przyjechał do Middlemarch. Miał wrażenie, że wszystko, co go tutaj spotykało, było tylko wstępem do tej straszliwej katastrofy, która żywione przezeń szczytne ambicje okryła brudem i która musi sprawić, że nawet prostak będzie uważał jego reputację za doszczętnie zrujnowaną. Trudno, by mężczyzna w takich chwilach nie stał się małoduszny. Lydgate widział siebie jako człowieka cierpiącego, a innych – jako tych, którzy nań to cierpienie ściągnęli. Wszystko przecież miało się potoczyć inaczej, tymczasem tamci wdarli się w jego życie i pokrzyżowali mu plany. Małżeństwo okazało się w całym tego słowa znaczeniu klęską; bał się wracać do Rozamundy, nim samotnie nie pofolguje wściekłości, by widok żony nie wzbudził w nim gniewu i nie sprawił, że zachowa się w sposób niedopuszczalny. Bywają sytuacje w życiu większości mężczyzn, kiedy to ich najwspanialsze cechy służą tylko temu, by rzucić ostrzegawczy cień na wszystko, co się kłębi w ich wyobraźni; dobroć Lydgate'a wyrażała się w tym momencie jedynie w lęku, by nie zawinąć przeciwko jej prawom, a nie w tym, by tę dobroć okazać. Był bowiem bardzo nieszczęśliwy. Tylko ci,

co zaznali wyższości życia intelektualnego – życia, zawierającego ziarno szlachetnej myśli i dążeń – tylko ci mogą zrozumieć rozpacz człowieka, który z tej spokojnej działalności zostaje nagle wtrącony w pochłaniającą go i rujnąjącą duchowo walkę z przyziemnymi strapieniami.

Jak ma żyć, nie dowiódłszy swojej niewinności, pośród ludzi, którzy go podejrzewają o podłość? Czy mógłby wyjechać cichcem z Middlemarch, jakby chciał umknąć przed słusznym potępieniem? Ale też – jak ma się bronić?

Ta scena bowiem podczas zebrania, której był przed chwilą świadkiem, choć nie mówiono w niej o szczegółach, wystarczyła, by uświadomił sobie jasno własną sytuację. Bulstrode obawiał się kompromitujących rewelacji ze strony Rafflesa. Lydgate teraz był w stanie złożyć całość ze wszystkich prawdopodobieństw. „Bał się, że Raffles wygada się przy mnie i chciał mnie wobec siebie zobligować, dlatego tak nagle przeszedł od sknerstwa do hojności. I nie wykluczam jakichś manipulacji przy chorym – mógł postąpić niezgodnie z moimi zaleceniami. Obawiam się, że tak było. Ale czy to prawda, czy nie – i tak wszyscy wierzą, że on jakimś sposobem otruł tego człowieka i że ja przymknąłem oczy na zbrodnię, jeśli nawet w niej nie pomogłem. A jednak – a jednak on może być niewinny: przecież jest równie możliwe, że ta zmiana w stosunku do mnie była szczerą, że, jak sam powiedział, działał po namyśle. To, co uważamy za «równie możliwe», okazuje się niekiedy prawdziwe, a to, w co łatwiej przychodzi nam uwierzyć, jest rażąco fałszywe. Być może w ostatnich chwilach Bulstrode postępował wobec tego człowieka uczciwie, mimo iż ja podejrzewam, że było odwrotnie”.

Sytuacja, w jakiej się znalazł, miała w sobie paraliżujące okrucieństwo. Nawet gdyby odrzucił wszystkie względy oprócz chęci udowodnienia swojej niewinności, gdyby uznał, że ludzkie chłodne spojrzenia, wzruszenia ramion czy unikanie go są równoznaczne z oskarżeniem

i gdyby publicznie przedstawił znane mu fakty – kogóż by przekonał? Odegrałby głupca, proponując własne świadectwo dla własnej obrony i zapewniając: „Nie wziąłem tych pieniędzy jako łapówki”. Okoliczności zawsze będą przemawiać silniej niż jego słowa. A poza tym jego wystąpienie i dokładna relacja z wszystkiego, co go dotyczy, zawierałyby z konieczności stwierdzenia dotyczące bankiera, które wzmocniłyby podejrzenia co do niego. Musiałby powiedzieć, że nie wiedział o istnieniu Rafflesa, kiedy po raz pierwszy zwrócił się do Bulstrode’a, mówiąc, iż gwałtownie potrzebuje pieniędzy, i że później przyjął pożyczkę w dobrej wierze jako rezultat owej prośby, gdyż nie wiedział, iż w chwili wezwania go do chorego zaistniały nowe powody, by Bulstrode mu tej pożyczki udzielił. A przecież podejrzenia co do motywów bankiera mogą być niesłuszne.

Ale pozostawało jeszcze pytanie, czy postępowaliby dokładnie tak samo, gdyby nie wziął był pieniędzy? Jeśli po przyjeździe znalazł Rafflesa żywego, w stanie, w którym można byłoby jeszcze coś zrobić, i jeśli odniósłby wrażenie, że nie wykonano jego zaleceń, na pewno wejrzałby rzetelnie w sprawę, a gdyby się jego podejrzenia potwierdziły – zrezygnowałby z opieki nad chorym, mimo iż zaciągnął był właśnie ogromne zobowiązanie. Ale gdyby nie dostał pożyczki – gdyby Bulstrode nie cofnął swojej chłodnej rady ogłoszenia bankructwa – czy wówczas on, Lydgate, również nie przeprowadziłby żadnych dochodzeń, znalazłszy pacjenta bez życia? Czy obawa przed urażeniem bankiera, czy też problematyczność sposobu leczenia i argument, że jego metoda byłaby przez większość przedstawicieli jego zawodu uznana za niewłaściwą – miałyby dla niego taką samą moc i takie samo znaczenie?

To był przykry punkt w rozważaniach doktora, kiedy tak roztrząsał kolejne fakty i odpierał kolejne zarzuty. Gdyby nie czuł żadnej zależności, uważałby za sprawę najważniejszą sposób leczenia chorego

i wyraźną zasadę, że lekarz musi albo sam zrobić, albo dopilnować, by zostało zrobione to, co jest jego zdaniem najistotniejsze dla dobra powierzonego mu życia. A tymczasem zadowolił się przekonaniem, że nieposłuszeństwo wobec jego zaleceń, jakkolwiek była tego przyczyna, nie może być poczytane za przestępstwo, że według powszechnej opinii lekarskiej ściśle podporządkowanie się jego zaleceniom mogłoby równie dobrze doprowadzić do śmierci pacjenta i że to wszystko jest po prostu sprawą etykiety. A przecie nieraz, kiedy był wolny, potępiał przekształcanie wątpliwości patologicznych w wątpliwości moralne i mawiał: „Najzwyczajniejszy eksperyment w leczeniu chorego może być mimo wszystko zgodny z sumieniem lekarza, moją sprawą jest troszczyć się o życie i dla jego dobra robić, co w mojej mocy. Wiedza jest bardziej zgodna z sumieniem niż dogmat. Dogmat daje przywilej popełniania omyłki, ale już samo tchnienie wiedzy jest walką z błędem i bodźcem dla sumienia”. Niestety! Naukowe sumienie weszło w ponizające towarzystwo zobowiązań pieniężnych i samolubnych względów.

„Czy jest w całym Middlemarch drugi lekarz, który stawiałby sobie takie pytania jak ja? – mówił sobie nieszczęsny Lydgate w nowym odruchu buntu przeciwko udręce, jaka stała się jego udziałem. – A przecież wszyscy będą uważali, że należy trzymać się ode mnie z daleka, jakbym był trędowaty. Moja praktyka i moja reputacja są zrujnowane – to jasne jak na dłoni. Nawet gdyby mnie oczyściło jakieś niezbite świadectwo, to nie miałyby żadnego znaczenia dla tutejszych cnotliwców. Tak czy inaczej – uznano, że jestem splamiony, więc ich zdaniem powinienem spaść w cenie”.

Miał już aż nadto dowodów, które go dotychczas dziwiły, że właśnie gdy spłacał wszystkie swoje długi i stawał z optymizmem na nogi – ludzie zaczęli go unikać lub też rzucali nań dziwne spojrzenia, a w dwóch wypadkach dowiedział się, że jego pacjenci zwrócili się do innego lekarza.

Powody były teraz aż nadto oczywiste. Zaczynał się powszechny bojkot.

Cóż dziwnego, że w doktorze obdarzonym tak energicznym usposobieniem obudził się zajadły opór wobec tego beznadziejnego splotu fałszywych wyobrażeń. Chmura, jaka pojawiała się na jego szerokim czole, nie była przypadkowa czy bez znaczenia. Już kiedy wjeżdżał do miasta po wypadzie, jaki zrobił w pierwszych godzinach swojej udręki, podejmował decyzję, że pozostanie w Middlemarch, choćby go miało spotkać wszystko, co najgorsze. Nie będzie uciekał przed kalumniami, jakby przyznawał, że są słuszne. Będzie im stawiał czoło z całą siłą i żadnym postępkim nie okaże lęku. Wielkoduszność jak również wyzywająca zuchwałość jego natury sprawiły, że postanowił nie cofać się przed jawnym okazaniem, iż ma zobowiązanie wobec Bulstrode'a. To prawda, że związek z tym człowiekiem okazał się dla niego zgubny – to prawda, że gdyby miał w tej chwili w rękach ów tysiąc funtów i wszystkie długi niespłacone – zwróciłby pożyczkę bankierowi i wołał żebrać niż ratować się pieniędzmi, które można by uznać za łapówkę (pamiętajcie bowiem, że był to jeden z najdumniejszych ludzi, jacy chodzą po tej ziemi), lecz mimo to nie będzie się odwracał plecami do tego zdruzgotanego człowieka, którego pomoc przyjął, nie będzie robił żalosnych wysiłków, by się uniewinnić, zniesławiając kogoś innego. „Będę robił to, co uważam za słuszne, i nie będę się przed nikim tłumaczył. Spróbują wziąć mnie głodem, ale...” – postanawiał twardo, lecz właśnie podjeżdżał ku domowi i myśl o Rozamundzie znowu znalazła się na pierwszym planie, skąd usunęły ją rozpaczliwe zmagania zranionego honoru i dumy.

Jak Rozamunda zareaguje na to wszystko? Oto jeszcze jedne kajdany, jakie musi dźwigać. Biedny doktor, nie był w odpowiednim nastroju, by znosić jej milczącą dominację. Nie czuł najmniejszej ochoty, by zwierzyć jej się z troski, która wkrótce stanie się troską ich obydwójga. Wołał czekać, aż żona dowie się o wszystkim przypadkowo, co niewątpliwie

wkrótce się stanie.

ROZDZIAŁ LXXIV

Zmiłuj się nad nami i niech się oboje współ
zestarzejemy[131].

Pismo Święte, Ks. Tobiasza 8,10

W Middlemarch żona nie mogła długo pozostawać w niewiedzy, że o jej mężu źle się mówi na mieście. Żadna z serdecznych przyjaciółek nie posunęłaby się w swojej przyjaźni do tego, by jasno i otwarcie powiedzieć biedaczce o jakimś przykrym fakcie, znanym lub tylko domniemywanym, tyczącym jej męża; kiedy jednak beczynne dotąd myśli kobiety znajdują nagle pożywienie w czymś bardzo niekorzystnym dla bliźnich, do głosu dochodzą różnorakie moralne impulsy. Jednym z nich jest szczerłość. We frazeologii Middlemarch być szczerym znaczyło skorzystać z najbliższej okazji, by powiedzieć przyjacielom, że nie mamy najlepszego mniemania o ich zdolnościach, postępowaniu czy pozycji; zdrowa szczerłość zaś nigdy nie czekała, by ktoś ją pytał o zdanie. A poza tym – poza tym było jeszcze umiłowanie prawdy, pojemne pojęcie, które w opisywanym teraz przypadku oznaczało żywy sprzeciw wobec tego, że żona wygląda na szczęśliwszą, niżby to wynikało z reputacji jej męża, albo że okazuje zbyt duże ukontentowanie swym losem; powinna, biedactwo, słyszeć rozmaite, rzucane mimochodem uwagi, że gdyby знаła prawdę, to mniej byłaby rada ze swego kapelusza i zakąsek podanych na proszonej kolacji. A najsilniejsza z wszystkiego była chęć zbudowania moralnego przyjaciółki, czasem mówiło się nawet o duszy, która – co bardzo prawdopodobne – może odnieść korzyści z uwag raczej ponurych, opatrzonych zamyślnym [131] Przeł. ks. Jakub Wujek SJ.

spojrzeniem utkwionym w jakiś mebel, a wypowiedzianych w sposób, który pozwalał zrozumieć, że mówiąca przemilcza pewne sprawy, gdyż nie chce ranić uczuć słuchaczki. Wszystko razem wzięwszy, można by powiedzieć, że do dzieła ruszyło żarliwe miłosierdzie, każąc osobom cnotliwym wziąć się za unieszczęśliwianie bliźniego dla jego własnego dobra.

Nie było chyba w Middlemarch matron, których małżeńskie dramaty zdolne byłyby – choć każdy na inny sposób – wywołać więcej takiej aktywności moralnej niż Rozamunda i jej ciotka, pani Bulstrode. Ta ostatnia nie była przedmiotem niczyjej niechęci – nigdy świadomie nie skrzywdziła nikogo, mężczyźni uważali ją zawsze za przystojną, zrównoważoną kobietę i do wszystkich świadectw hipokryzji bankiera dołączali to, że wybrał był sobie dorodną pannę Vincy, a nie jakąś upiornie bladą, melancholijną osobę, która poświadczalaby niską cenę, w jakiej miał ziemskie rozkosze. Kiedy wybuchnął skandal wokół jej męża, mówili o niej: „Biedaczka! To kobieta rzadkiej przyzwoitości! Z pewnością nigdy go nie podejrzewała o nic złego!”. Panie blisko z nią zaprzyjaźnione często rozmawiały o „tej biednej Harriet”, wyobrażając sobie, jak bardzo będzie cierpiała, kiedy się o wszystkim dowie, i zgadywały, ile już z tego wie. Nie było w stosunku do niej niechęci, raczej czynna życzliwość nakazująca ustalić, co też w tych okolicznościach powinna czuć i robić dla własnego dobra; kierowało to wyobraźnię ku jej osobie i dziejom od czasów, kiedy jeszcze nazywała się Harriet Vincy. Mówiąc o pani Bulstrode i jej pozycji, nie sposób było pominąć Rozamundę, której widoki na przyszłość zwarzyło to samo nieszczęście, co jej ciotki. Rozamunda była surowiej krytykowana i otrzymywała mniej współczucia, chociaż i ona również, jako gałąź dobrej, starej rodziny Vincy, znanej od niepamiętnych czasów w Middlemarch, uznana została za ofiarę małżeństwa z intruzem. Członkowie rodziny Vincy mieli swoje słabości, ale były one widoczne

jak na dłoni: niemożliwe, by cokolwiek złego o nich „wyszło na jaw”. Pani Bulstrode w niczym nie przypominała swojego męża; wady Harriet były jej samorodnymi wadami.

– Zawsze lubiła się pokazać – mówiła pani Hackbutt, parząc herbatę dla niewielkiego grona pań – chociaż zwykła stawiać swoją religię na pierwszym miejscu, żeby zadowolić męża; próbowała się wywyższać nad całe Middlemarch, opowiadając, że przyjmuje duchownych i Bóg wie kogo z Riverston i nie wiadomo skąd jeszcze.

– Trudno mieć jej to za złe – oświadczyła pani Sprague. – Niewiele osób z najlepszego towarzystwa w mieście chciało utrzymywać stosunki z Bulstrode’em, a przecież musiała mieć kogoś, kto by usiadł za jej stołem.

– Pastor Thesiger zawsze go popierał – przypomniała pani Hackbutt.
– Pewno teraz tego żałuje.

– Ale nigdy nie miał do niego serca, przecież wiadomo – zauważyła pani Toller. – Pastor Thesiger nie lubi skrajności. On jest wierny wszystkiemu, co głosi Ewangelia. Tylko tacy duchowni jak pastor Tyke, co chcą, żeby używać dysydenckich śpiewników i praktykować religię dla prostaków, mogli gustować w panu Bulstrode.

– Słyszałam, że pastor Tyke jest ogromnie zgnębiony tym, co się stało – powiedziała pani Hackbutt. – No i nie bez powodu. Powiadają, że pan Bulstrode tak jakby utrzymywał całą rodzinę Tyke.

– To straszna kompromitacja jego doktryn – napomknęła pani Sprague, starsza osoba o staroświeckich poglądach. – Jeszcze długo w Middlemarch ludzie nie będą się przyznawać, że im się metodyzm podoba.

– Myślę, że nie powinniśmy przypisywać czyichś złych postępków religii, jaką ten ktoś wyznaje – powiedziała pani Plymdale, dama o ostrych, ptasich rysach, która dotychczas siedziała i słuchała.

– Och, jak mogłyśmy się tak zapomnieć – zmartwiła się pani Sprague.
– Nie powinnyśmy były o tym mówić przy tobie.

– Ja tam nie jestem stronnicza, nie mam po temu powodów. – Twarz pani Plymdale pokrył rumieniec. – To prawda, że mój małżonek był zawsze w dobrych stosunkach z panem Bulstrode, a z Harriet Vincy przyjaźniłam się na długo przed zamążpójściem. Ale ja zawsze miałam własne zdanie i mówiłam jej, biedaczce, jak nie miała racji. A jeśli idzie o religię, to powiem, że gdyby pan Bulstrode nie wyznawał żadnej religii, toby też mógł zrobić to, co zrobił, a może i więcej. Tej pobożności było trochę za wiele – lubię umiarkowanie. Ale co prawda, to prawda. Przesłupcy, którzy stają przed sądem, nie są, jak myślę, przesadnie pobożni.

– No, no – pani Hackbutt zrećcznie zmieniała temat – ja powiem tylko, że moim zdaniem powinna zażądać separacji.

– A ja tak nie powiem – oświadczyła pani Sprague. – Wzięła go na dobre i na złe.

– Ale „złe” nie może znaczyć, że twój mąż zasługuje na Newgate – upierała się pani Hackbutt. – Wyobraź sobie życie z takim człowiekiem! Bałabym się, że mnie otruje.

– Moim zdaniem, gdyby dobre żony otaczały takich mężczyzn opieką i troską, byłaby to zachęta do zbrodni – powiedziała pani Tomowa Toller.

– Ach, jaka z tej Harriet dobra żona! – westchnęła pani Plymdale. – Uważa go za najlepszego z mężczyzn. Co prawda, nigdy jej niczego nie odmówił.

– No cóż, zobaczymy, co ona, biedactwo, pocnie – powiedziała pani Hackbutt. – Przypuszczam, że o niczym jeszcze nie wie. Mam w Bogu nadzieję, że jej nie spotkam, bo bałabym się śmiertelnie, żeby nie powiedzieć jej czego o mężu. Myślicie, moje panie, że doszły ją jakieś słuchy?

– Bardzo wątpię – odparła pani Tomowa Toller. – Słyszeliśmy, że *on* jest chory i od czwartkowego zebrania nie wyszedł z domu, ale ona była z córeczkami wczoraj w kościele, miały nowe toskańskie kapelusze. Jej był

z piórem. Nie zauważyłam, żeby religia miała wpływ na jej ubiór.

– Zawsze nosi bardzo proste fasony – zaprotestowała pani Plymdale, nieco dotknięta. – A jeśli idzie o to pióro, wiem, że je dała do farbowania na bladą lawendę, żeby pasowało. Muszę przyznać Harriet, że zawsze się stara postępować jak należy.

– A jeśli idzie o to, co się stało, to długo się nie da przed nią ukrywać – powiedziała pani Hackbutt. – Vincy’owie wiedzą, bo pan Vincy był na zebraniu. To dla niego straszny cios. Idzie przecież i o jego córkę, nie tylko o siostrę.

– Tak, to prawda – przytaknęła pani Sprague. – Nikt nie myśli, że doktor Lydgate będzie mógł chodzić po Middlemarch z podniesioną głową, wszystko jak najgorzej wygląda, jeszcze ten tysiąc funtów, które wziął akurat, kiedy tamten nieszczęśnik umarł... Dreszcze człowieka przechodzą, doprawdy.

– Duma prowadzi do upadku – zauważyła pani Hackbutt.

– Nie żałuję Rozamundy z domu Vincy tak bardzo jak jej ciotki – powiedziała pani Plymdale. – Należała się jej nauczka.

– Przypuszczam, że Bulstrode’owie wyjadą i zamieszkają gdzieś za granicą – mówiła pani Sprague. – Tak się na ogół robi, jak przychodzi hańba na rodzinę.

– To straszny cios dla Harriet – stwierdziła pani Plymdale. – Będzie zdruzgotana. Współczuję jej z całego serca. I przy wszystkich jej wadach mało jest lepszych kobiet na świecie. Od małej dziewczynki była taka schludna, zawsze dobra i szczerza jak słońce. Można by w każdej chwili zajrzeć do jej szuflad, zawsze porządek. I tak wychowała Kate i Ellen. Można sobie wyobrazić, jak jej będzie ciężko iść między obcych.

– Mój mąż powiada, że to właśnie doradzałby Lydgate’om – powiedziała pani Sprague. – Mówi, że Lydgate powinien być zostać u Francuzów.

– Jej na pewno bardzo by to odpowiadało – zauważyła pani Plymdale.
– Ona ma w sobie taką właśnie niefrasobliwość. Ale to odziedziczyła po matce, na pewno nie po ciotce Bulstrode, która zawsze dawała jej dobre rady, i z tego, co wiem, wołałaby, żeby wyszła za kogoś innego.

Pani Plymdale znajdowała się w sytuacji, która sprawiała jej pewne kłopoty emocjonalne, a na którą składała się nie tylko zażyła przyjaźń z panią Bulstrode, ale również więzy wspólnych zyskowych interesów łączących wielką farbiarnię Plymdale’a z panem Bulstrode, to zaś kazało jej pragnąć, by prawda o nim okazała się najbardziej miłosierna, a jednocześnie – lękać, by nie pomyślano, że chce umniejszyć jego winę. W dodatku, dzięki niedawnemu związkowi rodziny Plymdale z domem Tollerów, nawiązała stosunki z najlepszym towarzystwem, co zadowalałoby ją pod każdym względem, gdyby nie miała inklinacji ku tym poważnym poglądom, które uważała za najlepsze w innym sensie. Sumienie małej, sprytniej kobietki było w nie lada kłopotcie, próbując zestroić ze sobą te sprzeczne „najlepsze”, jak też pogodzić przyjemności z przykrościami, jakie były skutkiem ostatnich wydarzeń; mogły one przecież nie tylko upokorzyć tych, co na to zasłużyli, ale również zadać ciężki cios jej starej przyjaciółce, której wady wołałaby oglądać na tle dostatku.

Kroki nadchodzącego nieszczęścia nie przyniosły wstrząsów biednej pani Bulstrode, ożywiły tylko ów nieokreślony niepokój, który jej nie opuszczał od ostatniej wizyty Rafflea w Krzewinie. To, że ten okropny człowiek przyszedł, chory, do Stone Court i że jej mąż zdecydował się pozostać przy nim i czuwać – tłumaczyła faktem, że bankier niegdyś zatrudnił go i wspierał, co stworzyło więź zobowiązującą do okazania mu pomocy w chorobie i upadku; później nabrała niewinnej otuchy, słysząc bardziej optymistyczne wypowiedzi męża o własnym zdrowiu i o tym, że będzie zdolny dalej prowadzić interesy. Ten spokój prysnął, kiedy Lydgate

przywiózł bankiera z zebrania, chorego – odtąd, mimo pocieszających zapewnień, jakie słyszała przez kilka następnych dni, płakała po kryjomu, pewna, że jej mąż ma nie tylko fizyczne dolegliwości, ale że coś go trapi. Nie pozwalał, by mu czytała, a nawet by siedziała przy nim, i okazywał nerwową pobudliwość na dźwięki i ruchy: mimo to przypuszczała, że zamykając się w swoim pokoju, chce się zajmować dokumentami. Była pewna, że coś się stało. Może stracił jakieś wielkie pieniądze i ukrywa to przed nią? Nie śmiała go pytać, lecz po pięciu dniach, które spędziła w domu, robiąc wyjątek jedynie na pójście do kościoła, zwróciła się do Lydgate'a:

– Panie doktorze, proszę, niech pan będzie ze mną szczery: chcę znać prawdę. Czy coś się stało memu mężowi?

– Drobnym wstrząsem nerwowym – odparł wymijająco Lydgate. Uważał, że nie do niego należy wyjawienie jej smutnej prawdy.

– Ale co było jego przyczyną? – Pani Bulstrode spoglądała wielkimi, ciemnymi oczyma prosto na swego rozmówcę.

– W atmosferze sal publicznych jest zawsze coś trującego – odparł Lydgate. – Ludzie silni mogą to znieść, ale reakcja jest proporcjonalna do wytrzymałości ich organizmów. Bardzo często nie można wyjaśnić, dlaczego atak przyszedł w danym momencie, a raczej – dlaczego siły ustąpiły w tej, a nie innej chwili.

Ta odpowiedź nie zadowoliła pani Bulstrode. W dalszym ciągu była przekonana, że jej mężowi przydarzyło się jakieś nieszczęście, które przed nią skrywają: natura jej buntowała się przeciwko tego rodzaju sekretności. Poprosiła córki, by posiedziały z ojcem, a sama pojechała złożyć kilka wizyt, sądząc, że jeśli wiadomo, iż w interesach jej męża dzieje się coś złego, na pewno zobaczy lub usłyszy o tym na mieście.

Pojechała do pani Thesiger, ale jej nie zastała, wobec tego zajechała do pani Hackbutt, po przeciwnej stronie cmentarza. Pani Hackbutt

zobaczyła ją z okna na piętrze, a przypomniawszy sobie wcześniejszy lęk przed spotkaniem z panią Bulstrode, uznała się niemal za zobowiązaną, by, konsekwentnie, powiedzieć przez służącą, że nie ma jej w domu; nagle poczuła jednak zupełnie z tym sprzeczną, a silną chęć odbycia podniecającej rozmowy i postanowiła, że najmniejszą wzmianką nie zdradzi tego, co zaprzęta jej myśli.

Tak więc pani Bulstrode została wprowadzona do salonu, a pani Hackbutt wyszła do niej, mocniej zaciskając wargi i częściej pocierając dłonie, niż to zwykle robiła; miało to zapobiec nadmiernej wymowności. Zdecydowała, że nie zapyta o zdrowie pana Bulstrode.

– Przez prawie tydzień nigdzie nie bywałam, tyle że poszłam do kościoła – powiedziała pani Bulstrode po kilku wstępnych uwagach. – Mąż tak się rozchorował po tym czwartkowym zebraniu, że nie chciałam wychodzić z domu.

Pani Hackbutt potarła wierzch jednej dłoni o drugą, przyciskaną do piersi, i błędniała wzrokiem po wzorku na dywanie.

– Czy pan Hackbutt był na zebraniu? – pytała uparcie pani Bulstrode.

– Tak, był. – Pani Hackbutt nie zmieniła pozycji. – Ziemia ma być zakupiona, o ile wiem, drogą subskrypcji.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie więcej przypadków cholery i więcej takich pochówków – mówiła pani Bulstrode. – To straszny dopust boży. Zawsze uważałam Middlemarch za bardzo zdrowe miejsce. Pewno dlatego, że tu mieszkam od dzieciństwa, ale nie znam miasta, w którym chętniej bym żyła, zwłaszcza lubię tę naszą część, na skraju.

– Doprawdy, byłabym bardzo rada, gdyby zawsze mieszkała pani w Middlemarch – zapewniła ją pani Hackbutt z lekkim westchnieniem. – Ale cóż, musimy się uczyć uległości wobec losu, gdziekolwiek nas rzuci. Jestem jednak pewna, że zawsze tu będą ludzie, którzy pani dobrze życzą.

Pani Hackbutt okropnie chciała powiedzieć: „Jeśli chce pani mojej

rady, niech się pani rozstanie ze swoim mężem”, ale wydało jej się oczywiste, że ta biedaczka nic nie wie o piorunie, który w nią zaraz strzeli, więc należało tylko przygotować ją trochę. Pani Bulstrode poczuła nagle chłód i przeszły ją dreszcze: wyraźnie za słowami pani Hackbutt kryło się coś niezwykłego. Choć wyruszyła, pragnąc się wszystkiego dowiedzieć, teraz stwierdziła nagle, że nie jest w stanie realizować swoich śmiałych zamierzeń, i pytaniem o młode pokolenie Hackbuttów zmieniła temat rozmowy, by się wkrótce pożegnać, mówiąc, że jedzie w odwiedzinę do pani Plymdale. Po drodze próbowała sobie wyobrazić, że, być może, podczas owego zebrania rozgorzał jakiś szczególnie gorący spór między jej mężem a gronem jego częstych przeciwników – być może pan Hackbutt był jednym z nich. To by wszystko wyjaśniało.

Kiedy jednak zaczęła rozmowę z panią Plymdale, owe pocieszające wytłumaczenia okazały się nie do utrzymania. „Selina” przyjęła ją z wzruszającą czułością, zdradzając skłonność do wygłaszania budujących odpowiedzi na najpospolitsze pytania, co trudno byłoby odnieść do zwykłej kłótni, której najpoważniejszym skutkiem jest niedyspozycja bankiera. Pani Bulstrode myślała uprzednio, że prędzej zapyta panią Plymdale niż kogokolwiek innego, lecz ku własnemu zdumieniu stwierdziła, że stara przyjaciółka nie zawsze jest osobą, której najłatwiej się zwierzyć: przeszkodą była pamięć stosunków łączących je w innych okolicznościach, niechęć budziła myśl, że współczucie oraz informacje otrzyma od osoby, która od lat uznawała jej wyższość. Pewne słowa bowiem, odnoszące się do czegoś tajemniczego, jakie pani Plymdale rzuciła, powiadając, że jest zdecydowana nie odwracać się od przyjaciół, pozwoliły pani Bulstrode zrozumieć, iż to, co się wydarzyło, musiało być jakimś nieszczęściem, toteż zamiast ze zwykłą sobie bezpośredniością zapytać wprost: „O czym to mówisz?”, stwierdziła, że bardzo jej spieszą wyjść, nim usłyszy coś konkretniejszego. Zaczęła ją ogarniać przejmująca

pewność, że owo nieszczęście to coś więcej niż strata pieniędzy, gdyż uderzyło ją, że zarówno Selina teraz, jak pani Hackbutt dopiero co nie zareagowały na jej słowa o mężu, tak jak nie zareagowałyby na widok czyjejś szpetoty.

Pożegnała się z nerwowym pośpiechem i kazała stangretowi jechać do magazynów pana Vincy. Podczas tej krótkiej jazdy poczucie ogarniającego ją mroku wznieciło w niej taki lęk, że kiedy wchodziła do kantoru, w którym jej brat siedział za biurkiem, kolana się pod nią uginały, a twarz, zwykle rumiana, pokryta była śmiertelną bladością. Jej widok wywołał podobną reakcję – pan Vincy porwał się z krzesła na powitanie siostry, ujął ją za rękę i powiedział z nieroztropną impulsywnością:

– Niech cię Bóg wspomóże, Harriet! Wiesz już wszystko!

Ten moment był chyba najgorszy z tego, co przyszło później. Zawierał w sobie skoncentrowane przeżycie, które w wielkich kryzysach emocjonalnych ujawnia wrodzone skłonności człowieka i zapowiada ostatni akt, kończący zmagania. Gdyby nie pamiętała Rafflesa, mogłaby wciąż wyobrażać sobie tylko ruinę finansową, lecz wyraz twarzy i słowa brata wywołały nagle wizję jakiejś winy bankiera i pod naporem przerażenia zobaczyła obraz swego męża wystawionego na hańbę, a potem, po chwili piekącego wstydu, kiedy czuła na sobie wszystkie oczy świata – znalazła się nagle, jednym wielkim wysiłkiem serca, przy jego boku, jako żalobna, lecz niema towarzyszka jego wstydu i osamotnienia. To wszystko dokonało się w niej w jednej chwili, kiedy opadając na krzesło, wzniosła oczy ku stojącemu obok bratu.

– Ja nic nie wiem, Walter. Co się stało? – spytała słabym głosem.

Powiedział jej wszystko, w sposób bardzo naturalny, w powolnych fragmentach, dając jej do zrozumienia, że oskarżenia idą o wiele dalej niż jakiegokolwiek dowody, zwłaszcza jeśli idzie o śmierć Rafflesa.

– Ludzie będą gadać – mówił. – Nawet gdyby sąd uniewinnił

człowieka, będą gadać i kiwać głowami, i mrugać. Tak to już jest na tym świecie, że człowiek równie dobrze może być winny, jak niewinny. Ale to jest straszny cios, który zniszczy i Bulstrode'a, i Lydgate'a. Nie będę udawał, że wiem, jaka jest prawda. Chciałbym tylko, żebyśmy nigdy nie słyszeli ani nazwiska Bulstrode, ani Lydgate. Lepiej, żebyś się nazywała Vincy do końca życia, i Rozamunda też.

Pani Bulstrode nie odpowiadała.

– Ale musisz jakoś dać sobie z tym radę, Harriet. Ludzie nie mają do *ciebie* pretensji. A ja będę stał przy tobie, wszystko jedno, co postanowisz – oświadczył jej brat z niewyszukaną dobroduszną serdecznością.

– Podaj mi ramię i zaprowadź do powozu – poprosiła pani Bulstrode.
– Czuję się bardzo słaba.

Po powrocie do domu powiedziała córce:

– Źle się czuję, moja kochana, muszę się położyć. Zajmij się ojcem. Zostawcie mnie w spokoju. Nie będę jadła obiadu.

Zamknęła się na klucz. Potrzebowała czasu, by przywyknąć do tej kalekiej świadomości, do swego biednego, podciętego życia, nim zdoła pewnym krokiem pójść na wyznaczone jej miejsce. Na reputację męża padło nowe, przenikliwe światło, a ona nie mogła sądzić go łagodnie: pamięć owych dwudziestu lat, podczas których obdarzała go zaufaniem i czcią dlatego, że się maskował, powróciła teraz, niosąc szczegóły, które sprawiały, że wszystko wydawało się ohydny oszustwem. Poślubił ją, ukrywając swoją złą przeszłość, a jej nie wystarczało teraz wiary, by utrzymywać, że nie jest winny tego najgorszego, które mu przypisywano. Jej otwarta, uczciwa natura sprawiała, że udział w zasłużonej hańbie był jej szczególnie gorzki.

Lecz w tej kobiecie, miernie wykształconej, kobiecie, której sposób mówienia i zachowania stanowił osobliwy melanż, mieszkał duch lojalności. Przez niemal połowę życia dzieliła dobrobyt męża i zaznawała

jego niezmiennej miłości, i teraz, kiedy spadła na niego kara, nie była zdolna go opuścić, w jakimkolwiek znaczeniu tego słowa. Można kogoś opuścić, zasiadając z nim w dalszym ciągu przy tym samym stole i spoczywając na tym samym posłaniu, jeszcze doszczętniej niszcząc opuszczoną osobę swoją zobojetniałą bliskością. Przekręcając klucz w drzwiach, wiedziała, że dopiero wtedy je otworzy, gdy będzie gotowa zejść na dół do swego nieszczęsnego męża, by podzielić jego smutek, a o winie powiedzieć: będę ją oplakiwać, nie czyniąc ci wyrzutów. Potrzebowała jednak czasu na zebranie sił, potrzebowała czasu, by pożegnać, w płaczu, całą radość i dumę swojego życia. Kiedy zdecydowała się zejść na dół, przygotowała się do tego, dokonując kilku drobnych czynności, które niewrażliwemu obserwatorowi mogłyby się wydać dziwactwem; dawała w ten sposób do zrozumienia widzialnym i niewidzialnym świadkom, że zaczyna oto nowe życie, w którym jej towarzyszką będzie pokora. Zdjęła wszystkie ozdoby, włożyła prostą, czarną suknię, a zamiast suto przybranego czepeca z wielkimi przypinanymi puklami, włożyła prosty czepeczek na gładko szesane do tyłu włosy, przybierając w ten sposób niespodzianie wyglądem wczesnej metodystki.

Bulstrode wiedział, że jego żona wyjeżdżała na miasto, a po powrocie oświadczyła, że źle się czuje, i czekał na nią zdenerwowany tak samo, jak ona. Od niedawna zaczął już sobie życzyć, by się dowiedziała całej prawdy od innych – taka możliwość wydawała mu się łatwiejsza do zniesienia niż własne wyznanie. Teraz jednak, kiedy – jak sądził – chwila prawdy nadeszła, oczekiwał rezultatu w udręce. Wymógł na córkach, by zostawiły go samego, i choć pozwolił, by przyniesiono mu coś do jedzenia, niczego nie tknął. Czuł, jak się powoli zapada w swoim nieszczęściu, pozbawiony współczucia. Być może nigdy już nie ujrzy serdecznego wyrazu na twarzy swojej żony. A gdy się zwracał ku Bogu, zdawało mu się, że jedyną stamtąd odpowiedzią jest ciężar kary.

Dopiero o ósmej wieczór otworzyły się drzwi i weszła jego żona. Nie śmiał podnieść na nią wzroku. Siedział ze spuszczoneymi oczyma, a ona, podchodząc, myślała, że wydaje się mniejszy, jakby wyschnięty i zwiędły. Przepęłnia ją wielka fala nieznanego dotąd współczucia i dawnej czułości, więc położywszy dłoń na jego dłoni, spoczywającej na oparciu fotela, powiedziała:

– Spójrz na mnie, Nicholas.

Drgnął i podniósł wzrok; przez chwilę spoglądał na nią niemal w zdumieniu: blada twarz, zmieniona, żałobna suknia, drżenie wokół ust – wszystko to mówiło: „Już wiem” – a jej ręce i wzrok spoczywały na nim łagodnie. Wybuchnął płaczem i tak szlochali razem, ona usiadłszy przy jego boku. Nie mogli jeszcze mówić ze sobą o wstydzie, jaki ona znosić będzie razem z nim, ani o postępkach, które ściągnęły na nich ten wstyd. Jego wyznanie odbyło się w milczeniu i jej obietnica wierności też została złożona w milczeniu. Choć była kobietą szczerą, lękała się jak ognia słów, które wyrażałyby to, co wiedzieli o sobie nawzajem. Niezdolna była spytać: „Ile z tego to tylko potwarz i fałszywe podejrzenia?”, a on nie powiedział jej: „Jestem niewinny”.

ROZDZIAŁ LXXV

Le sentiment de la fausseté des plaisirs présents, et
l'ignorance de la vanité des plaisirs absents, causent
l'inconstance[132].

Blaise Pascal, *Myśli*

Rozamundzie wróciło nieco pogody, gdy dom został uwolniony od groźnej postaci egzekutora i kiedy ci wszyscy okropni wierzyciele zostali spłaceni. Nie była jednak radosna – małżeństwo nie spełniło żadnych jej nadziei i uważała, że zostało ze szczętem zmarnowane. W tym krótkim okresie spokoju Lydgate był dla niej uważająco łagodny, pamiętając, że tak często wybuchał gniewem w chwilach zdenerwowania i że tyle musiała przecierpieć. Lecz i on również stracił coś z dawnego ducha i w dalszym ciągu uważał za niezbędne, by mówić o konieczności obniżenia ich poziomu życia jako o czymś oczywistym, starając się powoli pogodzić z tym żonę i opanowując gniew, gdy odpowiadała, że chciałaby, aby się przeniósł do Londynu. A jeśli tego nie mówiła, słuchała go sennie, zastanawiając się w duszy, czy istnieje coś, po co warto by jej było żyć. Twarde i pogardliwe słowa, jakie padły z ust rozgniewanego męża, zraniły głęboko jej próżność, którą niegdyś tak skutecznie zadawała, a to, co brała za jego przewrotny sposób patrzenia na wszystko, budziło w niej skrytą niechęć, przyjmowała więc jego czułość jako namiastkę szczęścia, którego jej nie dał. W stosunku do otoczenia byli teraz gorzej sytuowani, a

[132] Poczucie fałszu przyjemności obecnych, a nieświadomość czczości przyjemności nieobecnych są powodem niestałości. Przeł. Tadeusz Żeleński (Boy)

nie istniały już żadne perspektywy na Quallingham – nie było już w ogóle czego wyglądać z wyjątkiem listu od Willa Ladislawa, jaki przychodził od czasu do czasu. Czuli się dotknięta i zawiedziona jego decyzją wyjazdu z Middlemarch, gdyż wbrew temu, co wiedziała i czego się domyślała o jego uwielbieniu dla Dorotei, sądziła sekretnie w głębi duszy, że on albo już czuje, albo na pewno będzie w przyszłości czuł o wiele większe uwielbienie dla jej osoby. Rozamunda bowiem należała do tych kobiet, które są głęboko przekonane, iż każdy napotkany mężczyzna wybrałby ją właśnie, gdyby taki wybór nie był beznadziejny. Bardzo to piękne, jeśli idzie o panią Casaubon, ale przecież Will interesował się nią w czasach, gdy jeszcze nie znał jej, pani Lydgate. Traktowała sposób mówienia, jaki przyjął w ich rozmowach – mieszaninę żartobliwych docinków i hiperbolicznej galanterii – za maskowany wyraz głębszych uczuć; obecność jego budziła w niej miły dreszcz próżności i atmosferę romantycznego dramatu, jakiej nie wywoływała już obecność męża, pozbawionego owej magicznej właściwości. Wyobrażała sobie nawet – czegoż też nie potrafią sobie wyobrazać w tych sprawach mężczyźni i kobiety – że Will przesadza ze swoim uwielbieniem dla pani Casaubon, chcąc wzbudzić jej zazdrość. Byłby, sądziła, o wiele odpowiedniejszym dla niej mężem, niż się okazał Lydgate. Trudno o bardziej fałszywe wyobrażenie, gdyż jej rozczarowanie małżeństwem miało źródło w warunkach, jakie stawia instytucja małżeństwa – żądaniu samoograniczenia i tolerancji – nie zaś w charakterze jej męża. Łatwo jednak było stworzyć sobie wizję nierealnego „lepszego”, której sentymentalny urok rozwiewał nudę. Wymyśliła sobie mały romans, który miał urozmaicić bezbarwność jej życia: Will Ladislaw pozostanie na zawsze kawalerem i będzie mieszkał gdzieś w pobliżu, aby być na każde jej skinienie, żywiąc do niej wiadome obojgu, lecz nigdy nie wyjawione uczucie, które od czasu do czasu buchać będzie migotliwym płomieniem w jakże interesujących scenach. Wyjazd Willa przyniósł więc

stosowny do tych wyobrażeń zawód i żałośnie zwiększył zniechęcenie do Middlemarch; z początku jednak miała jeszcze w zapasie rozkoszny sen o stosunkach z rodziną z Quellingham, snuty równolegle. Potem pogłębiły się kłopoty jej małżeńskiego pożycia, a brak choćby najmniejszego urozmaicenia sprawiał, że coraz częściej rozpamiętywała z żalem ów nikły romans, którym się niegdyś karmiła. Mężczyźni i kobiety potrafią żałośnie mylić swoje objawy, biorąc mgliste, niesprecyzowane tęsknoty czasem za geniusz, czasem za wiarę, a najczęściej za wielką miłość. Will Ladislaw pisał gawędziarskie listy, trochę do niej, trochę do jej męża, ona zaś odpisywała; czuła, że ich rozstanie nie okaże się ostateczne; zmiana, o której marzyła najbardziej, to przeniesienie się Lydgate'a do Londynu, gdzie wszystko będzie takie miłe. Zabrała się więc do dzieła z cichą determinacją, mającą doprowadzić do celu, kiedy nagle pojawiła się cudowna zapowiedź, która wlała w nią nowego ducha.

Przyszła na krótko przed pamiętnym zebraniem w Ratuszu w postaci listu Willa Ladisława do Lydgate'a. Opisywał w nim przede wszystkim swoje nowe zainteresowanie projektami kolonizacji, ale też wspomniał mimochodem, że może się okazać konieczne, by odwiedził Middlemarch w ciągu kilku najbliższych tygodni – konieczność wielce miła, jak pisał, niby wakacje dla ucznia. Miał nadzieję, że pozostawiono mu dawne miejsce na dywaniku przed kominkiem i że czeka go wiele, wiele muzykowania. Nie był jednak pewny daty. Gdy Lydgate czytał Rozamundzie ten list, twarz jej przypominała kwiat, który powraca do życia – stawała się coraz ładniejsza, rozkwitała. Teraz już wszystko było do zniesienia: długi spłacone, pan Ladislaw przyjeżdża, a Lydgate da się namówić na wyjazd z Middlemarch i przeniesienie się do Londynu, który jest „taki różny od prowincjonalnego miasta”.

Był to jasny poranek. Wkrótce jednak zachmurzyło się niebo nad nieszczęsną Rozamundą. Ponury nastrój, w jaki ponownie zapadł jej

mąż, całkowicie się przed nią zamykając – gdyż bał się wystawiać swoje zranione uczucia na jej obojętność i niezrozumienie – znalazł wkrótce wyjaśnienia dziwne i przykre, obce jej dotychczasowym wyobrażeniom o tym, co może ją uszczęśliwić. W przyływie dobrego humoru, jaki jej ostatnio dopisywał, sądząc, że mąż jest tylko w gorszym niż zwykle nastroju i dlatego nie odpowiada na uwagi, i najwyraźniej stara się jak może schodzić jej z drogi – postanowiła, w kilka dni po zebraniu, bez porozumienia z doktorem, wysłać kilka zaproszeń na małe wieczorne przyjęcie, przekonana, że podejmuje bardzo rozważny krok, gdyż ludzie sprawiają wrażenie, jakby od nich stronili; należy koniecznie przywrócić dawny obyczaj podtrzymywania towarzyskich stosunków. Kiedy zaproszenia zostaną przyjęte, powie o tym mężowi i pouczy go, jak lekarz powinien dbać o dobre stosunki ze swoim otoczeniem – Rozamunda bowiem przyjmowała bardzo poważną postawę wobec cudzych obowiązków. Jednakże żadne zaproszenie nie zostało przyjęte, a ostatnia odpowiedź odmowna dostała się w ręce Lydgate’a.

– To bazgroły Chichely’ego. Cóż on ci takiego pisze? – W głosie Lydgate’a, gdy wręczał jej liścik, brzmiało zdziwienie. Musiała mu dać liścik do przeczytania, a on, spoglądając na nią, surowo spytał:

– Co też ci przyszło do głowy, Rozamundo, żeby wysłać zaproszenia bez mojej wiedzy?! Żądam, żebyś nikogo nie zapraszała do tego domu! Przepuszczam, że zapraszałaś i innych, a oni również odmówili.

Nie odpowiedziała.

– Czy mnie słyszysz?! – ryknął Lydgate.

– Tak, nie ma wątpliwości, że cię słyszę – odparła, odwracając głowę ruchem wdzięcznego ptaka o długiej szyi.

Lydgate podrzucił głowę zupełnie bez wdzięku i wyszedł, czując, że zaczyna być niebezpieczny. Rozamunda skwitowała to refleksją, że mąż staje się coraz bardziej nie do zniesienia, ale nie przyszło jej do głowy, by

się zastanowić, czy jest jakaś nowa przyczyna jego arbitralności. Niechęć Lydgate'a do mówienia jej o rzeczach, które jak z góry wiedział, nie budzą jej najmniejszego zainteresowania, stała się już jego bezmyślnym obyczajem, toteż Rozamunda nie wiedziała o niczym, co się wiązało z owym tysiącem funtów prócz tego, że pieniądze pożyczył im wujaszek Bulstrode. Okropne mężowskie humory i wyraźna niechęć ludzi do utrzymywania z nimi stosunków wiązały się w niezrozumiały dla niej sposób z momentem ulgi, jaką przyniosło uwolnienie się od finansowych kłopotów. Gdyby zaproszenie przyjęto, poszłaby zaprosić mamusię i resztę rodziny, z którą już od kilku dni nie miała kontaktu; postanowiła więc teraz włożyć kapelusz i pójść do rodziców, by się dowiedzieć, co u nich słychać. Zaczęło jej się wydawać, że powstała jakaś konspiracja, nakazująca separowanie się od niej z powodu Tertiusa, który wszystkich wokół obraża. Godzina była poobiednia i Rozamunda zastała rodziców siedzących samotnie w salonie. Powitali ją smutnymi spojrzeniami i słowami: „No, no, kochana!”, niczym więcej. Nigdy jeszcze nie widziała ojca tak przygnębitego, siadła więc przy nim i spytała:

– Czy coś się stało, tatku?

Nie odpowiedział, zamiast niego odezwała się matka:

– Boże święty, nic nie słyszałaś, kochanie? Niedużo wody upłynie, nim to dojdzie do twoich uszu.

– Czy to coś o Tertusie? – Rozamunda zbladła. Myśl o kłopotach natychmiast łączyła się z tym, czego nie potrafiła zrozumieć u własnego męża.

– Och, kochana moja, tak! Pomyśleć tylko, że musiałaś się pożenić z takim nieszczęściem. Dość było tych kłopotów z długami, ale z tym będzie jeszcze gorzej.

– Poczekaj, Lucy, poczekaj – przerwał jej mąż. – Czy nie słyszałaś nic o wujaszku Bulstrode, moja mała?

– Nie, tatku – odparło biedactwo, czując, że kroi się zmartwienie, jakiego nie zaznała nigdy w życiu, że jakaś niewidzialna siła chwytając w żelazne kleszcze i sprawia, iż dusza w niej mdleje.

Ojciec powiedział jej wszystko, kończąc słowami:

– Lepiej, moja kochana, żebyś to wiedziała. Sądzę, że Lydgate musi opuścić Middlemarch. Wszystko się złożyło przeciwko niemu. Myślę, że to nie jego wina. Ja mu tam nic nie zarzucam. – Dotychczas pan Vincy zawsze miał wiele do zarzucenia zięciowi.

Rozamunda przeżyła straszliwy wstrząs. Wydawało się jej, że nie można sobie wyobrazić losu tak okrutnego jak ten, który jej przypadł w udziale – wyjść za człowieka, który stał się przedmiotem hańbiących podejrzeń. W wielu wypadkach wstyd odczuwany jest nieuchronnie jako najgorszy składnik przestępstwa: trzeba by długich, wnikliwych rozważań, jakich Rozamunda nigdy w życiu nie podejmowała, by mogła zrozumieć, że byłoby wiele gorzej, gdyby istniała niezbita pewność, iż mąż jej istotnie popełnił przestępstwo. Lecz jej się wydawało, że okryta została hańbą. A przecież w naiwności duszy poślubiła tego człowieka, ufając, że on i jego rodzina będą dla niej powodem do dumy! Wobec rodziców zachowała się ze zwykłą sobie powściągliwością, mówiąc tylko, że gdyby mąż postąpił zgodnie z jej życzeniem, już dawno wyjechaliby z Middlemarch.

– Zniosła to, doprawdy, nadzwyczajnie – oświadczyła matka po wyjściu córki.

– I dzięki Bogu – przytaknął pan Vincy, ogromnie przygnębiony.

Rozamunda poszła jednak do domu z poczuciem uzasadnionej odrazy w stosunku do męża. Co on takiego zrobił? Jak się naprawdę zachował? Nie wiedziała. Czemu jej wszystkiego nie powiedział? Nie rozmawiał z nią na ten temat i, rzecz jasna, ona nie może zacząć z nim o tym mówić. Przyszło jej w pewnym momencie do głowy spytać ojca, czy nie pozwoliby jej wrócić do domu, lecz po namyśle taka wizja wydała się

jej zbyt ponura: kobieta zamężna wracająca do domu, by zamieszkać z rodzicami? Życie nie miałyby wówczas żadnego sensu – taka sytuacja byłaby nie do wyobrażenia.

W ciągu następnych dwóch dni Lydgate zauważył, że zaszła w Rozamundzie jakaś zmiana, i uznał, że musiała się wszystkiego dowiedzieć. Czy zacznie z nim rozmawiać, czy też będzie przeciągała w nieskończoność to milczenie, które jakby zakładało, że jest przekonana o jego winie? Musimy pamiętać, że znajdował się w chorobliwie ponurym nastroju, w którym niemal każdy kontakt sprawiał ból. Co prawda, w tym wypadku Rozamunda mogła mieć do męża takie same pretensje o rezerwę i brak zaufania, lecz on, przepełniony goryczą, szukał dla siebie usprawiedliwienia: czyż nie miał racji, obawiając się otworzyć przed nią i zwierzyć z wszystkiego, jeśli ona teraz, znając już prawdę, nie czuje potrzeby rozpoczęcia z nim rozmowy? Ale przekonanie, że nie ma racji, leżące w głębszych warstwach świadomości, budziło w nim niepokój; zalegające między nimi milczenie wydawało się nie do zniesienia. Byli przecież jak dwaj rozbitkowie, dryfujący na jakichś szczątkach okrętu i odwracający od siebie wzrok.

„Jestem idiota – myślał. – Przecież przestałem już czegokolwiek oczekiwać. Poślubiłem troskę, a nie oparcie”. Tego wieczora odezwał się:

– Rozamundo, czy usłyszałaś coś, co cię strapiło?

– Tak. – Odłożyła robótkę, nad którą pracowała półświadomie i ospale, jak nie ta sama.

– Co takiego usłyszałaś?

– Wszystko, jak przypuszczam. Tatuś mi powiedział.

– Ze ludzie uważają mnie za człowieka, który się zhańbił?

– Tak – odparła cicho, podejmując znowu szycie ruchem automatu.

Zaległo milczenie. Lydgate myślał: „Jeśli ma do mnie choć trochę zaufania, jeśli ma jakiegokolwiek pojęcie, kim jestem, powinna odezwać się

teraz i powiedzieć, że nie wierzy, bym się mógł okryć hańbą”.

Ale Rozamunda w dalszym ciągu poruszała ociężałe palcami. Uważała, że jeśli coś ma być powiedziane w tej sprawie, powinno wyjść od Tertiusa. Cóż ona wie? A jeśli on jest niewinny, to czemu nie stara się oczyścić z podejrzeń?

Jej milczenie było jak fala żółci wzmagająca gorycz, z jaką Lydgate powtarzał sobie, że nikt w niego nie wierzy. Nawet Farebrother nie okazał mu zaufania. Zaczął tę rozmowę, pragnąc, by rozproszyła chłód, jaki zaległ między nimi, lecz rozpacz i uraza kazały mu znowu zamilknąć. Nawet to nieszczęście, jak i poprzednie, uznała za dotyczące jej tylko. On był dla niej wciąż osobną istotą, robiącą to, czego nie pochwałała. Wstał z krzesła, poderwany gniewnym impulsem, i wsunąwszy ręce w kieszenie, zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Przez cały czas jednak wiedział w głębi duszy, że powinien opanować gniew i opowiedzieć jej wszystko, przekonać ją do faktów. Niemal już bowiem zaakceptował konieczność dostosowania się do jej natury i widział, że właśnie dlatego iż brak jej umiejętności zrozumienia drugiego człowieka – on musi być wobec niej bardziej wyrozumiały. Powrócił więc wkrótce do poprzedniego zamiaru, by otworzyć się przed nią: nie powinien stracić tej okazji. Jeśliby mógł doprowadzić do tego, by zdała sobie z całą powagą sprawę, że stają się ofiarą oszczerstwa, któremu trzeba stawić czoło, a nie uciekać przed nim, że całe to smartwienie wzięło się z jego rozpaczliwej potrzeby pieniędzy, byłby to moment, w którym mógłby ją w pełni przekonać, że powinni wspólnie podjąć postanowienie, by jak najmniej wydawać, i przetrwać zły okres, potem zaś utrzymywać się bez niczyjej pomocy. Musi jej powiedzieć o konkretnych krokach, jakie pragnie poczynić, i zdobyć jej życzliwe poparcie. Musi tego spróbować – właściwie cóż mu pozostaje innego?

Nie wiedział, jak długo chodził tak niespokojnie tam i z powrotem,

lecz Rozamundzie wydawało się, że długo, i pragnęła, aby usiadł. I w niej również zrodziła się myśl, że oto nadarza się sposobność nakłonienia Tertiusa, by zrobił to, co powinien zrobić. Bez względu na to, co jest prawdą w tym całym nieszczęściu, w niej dochodził do głosu jedynie lęk.

Lydgate usiadł, nie w swoim fotelu, lecz na krześle, bliżej Rozamundy, i pochylając się, spojrział z powagą na żonę, zamierzając podjąć ten przykry temat. Opanował się już i chciał zacząć nieco uroczyście, tak jak się mówi w momentach, które się nie powtórzą. Otworzył nawet usta, gdy Rozamunda, opuściwszy ręce, spojrzała na niego i powiedziała:

– Doprawdy, Tertius... – Tak?

– Doprawdy, teraz już musiałeś chyba porzucić myśl o pozostaniu w Middlemarch. Ja nie mogę tu dłużej żyć. Przenieśmy się do Londynu. Tatus i wszyscy inni powiadają, że lepiej, żebyś wyjechał. Jeśli muszę się godzić na nieszczęście, łatwiej mi je będzie znosić daleko stąd.

Te słowa zabrzmiały w uszach doktora jak straszliwy zgrzyt. Zamiast potoku krytycznych słów, na jakie się z trudem przygotowywał, tu oto stara śpiewka, której znów będzie słuchał bez końca. Nie mógł tego znieść. Twarz mu się natychmiast odmieniła, wstał i wyszedł z pokoju.

Może gdyby był na tyle silny, by wytrwać w postanowieniu, że będzie więcej dawał, ponieważ ona daje mniej, ten wieczór lepiej by się zakończył. Gdyby miał dosyć energii, aby pokonać tę przeszkodę, może pobudziłby wyobraźnię i wolę Rozamundy. Nigdy nie możemy być pewni, czy czyjaś natura, choćby nie wiadomo jak osobliwa i uparta, nie oprze się działaniu istoty potężniejszej od niej. Może być wzięta szturmem i, w jednej chwili nawrócona, stać się częścią ducha, który porwał ją swym własnym uniesieniem. Lecz biedny Lydgate rozdzierany był bólem i nie wystarczyło mu sił na podobny akt woli. Możliwość wzajemnego zrozumienia i wspólnych decyzji wydawała się równie odległą, jak dawniej, więcej, wydawała się zniweczona poczuciem bezskuteczności

starań. Żyli tak, z dnia na dzień, a ich myśli biegły osobnymi torami; Lydgate w rozpaczliwym nastroju wykonywał pracę, jaka mu jeszcze pozostała, Rozamunda zaś uważała, i to nie bez racji, że mąż zachowuje się wobec niej okrutnie. Nie było sensu odzywać się do Tertiusa, postanowiła jednak, że kiedy przyjedzie Will Ladislaw, powie mu wszystko. Mimo powściągliwej natury potrzebowała kogoś, kto zrozumiałby, jak bardzo została skrzywdzona.

ROZDZIAŁ LXXVI

O, Dobroć, Litość, Pokój, Miłość! – do nich
Modlą się wszyscy, kiedy ból ich łamie.
Wszyscy te cztery błogie uwielbiają
Moce pełnymi wdzięczności słowami

Albowiem Dobroć ma serce człowiecze
I Litość ludzkim wzrokiem na nas patrzy.
Miłość to ludzka forma boskiej siły,
Pokój w człowiecze jest odziany szaty[133].

*William Blake, Pieśni niewinności: Boski
wizerunek*

W kilka dni później Lydgate jechał konno do Lowick Manor, dokąd wezwała go Dorotea. Wezwanie nie było dlań niespodzianką, gdyż otrzymał był list od Bulstrode’a, w którym ten pisał, iż podjął rozpoczęte przygotowania do wyjazdu z Middlemarch i przypomina doktorowi uprzednie rozmowy w sprawie szpitala, których istotę podtrzymuje. Bankier uważał za swój obowiązek, przed podjęciem dalszych kroków, poruszyć powtórnie ten temat z panią Casaubon, która, jak się okazało, pragnie, tak jak poprzednio, omówić sprawę z Lydgate’em. „Poglądy pana w tej sprawie mogły ulec zmianie – pisał – ale wówczas byłoby również wskazane, by je pan jej przedstawił”.

Dorotea z żywym zainteresowaniem oczekiwała przyjazdu Lydgate’a.

Chociaż przez szacunek dla swoich męskich doradców powstrzymywała się od tego, co sir James określił mianem „wtrącania się w sprawę Bulstrode’a”, trudna sytuacja doktora ustawicznie zaprzętała jej myśli i kiedy Bulstrode ponownie zwrócił się do niej w kwestii szpitala, czuła, że nadarza się okazja, której nie pozwolono jej samej wywoływać. Przechadzając się w swoim bogatym domu pod gałęziami swoich własnych wielkich drzew, wybiegała myślą ku cudzym losom, lecz uczucia jej pozostawały wciąż na uwięzi. Myśl o będącej w zasięgu ręki możliwości zrobienia czegoś dobrego „niby namiętność nawiedzała ją”^[134], a ludzkie nieszczęście, które miała przed oczami wyraźnie jak malowane na płótnie, budziło w niej przemożne pragnienie niesienia pomocy i odbierało smak własnej wygodzie. Pokładała ufność nadzieję w tej rozmowie z Lydgate’em, nie zważając na to, co mówiono o jego powściągliwości w sprawach osobistych i nie zważając na to, że była bardzo młodą kobietą. Kiedy odczuwała potrzebę okazania swojej ludzkiej solidarności, nic nie wydawało się jej mniej istotne niż argument, że jest młoda i że jest kobietą.

Kiedy tak siedziała, czekając na niego w bibliotece, przesuwała w myślach te wszystkie minione wypadki, które utrwaliły osobę Lydgate’a w jej wspomnieniach, związanych z małżeństwem i nieodłącznymi z nim troskami – ale nie, w dwóch przypadkach obraz doktora wiązał się przykro z osobą jego żony i kogoś jeszcze. Ból Dorotei już minął, pozostały jednak żywe domysły, co też doktor sądzi o swoim małżeństwie, oraz wrażliwość na wszelkie wzmianki o pani Lydgate. Te myśli układały się w pewien dramatyczny scenariusz; oczy jej rozbłysły, a ciało przybrało wyczekującą postawę, choć wyglądała tylko z mrocznej biblioteki na trawnik i jasnozielone pąki, odcinające się od ciemnej zieleni iglastych drzew.

[134] Wordsworth, *Klasztor Tintern*, w. 77, przeł. Czesław Miłosz.

Gdy Lydgate wszedł, odczuła niemal wstrząs na widok zmiany, jaka dokonała się w jego twarzy, zmiany uderzającej dla kogoś, kto nie widział go od dwóch miesięcy. Nie była to zmiana spowodowana wyniszczeniem, ale wyraz, jaki ukazuje się wcześniej nawet na młodych twarzach, na których wciąż goszczą przygnębienie i gniew. Serdeczność, z jaką wyciągnęła do niego dłoń, zmiękczyła jego rysy, nadając twarzy tylko wyraz smutku.

– Od dawna pragnęłam zobaczyć pana, doktorze – zaczęła, gdy usiedli naprzeciw siebie – ale odkładałam nasze spotkanie, póki pan Bulstrode nie zwróci się do mnie w sprawie szpitala. Wiem, że pożytek z prowadzenia szpitala oddzielnie od starej infirmerii zależy od pana, a przynajmniej od osiągnięć, jakich mógłby pan oczekiwać, mając szpital pod swoim nadzorem.

– Chce pani podjąć decyzję, czy winna pani szczerze wesprzeć szpital – odparł Lydgate. – Nie mogę w swoim sumieniu zalecać, aby to pani uczyniła, uzależniając postanowienie od moich działań. Być może będę musiał wyjechać z miasta.

Mówił zwięźle, myśląc z rozpaczą, że mógłby zrobić coś, co będzie sprzeczne z pragnieniami Rozamundy.

– Ale nie dlatego, że nie ma nikogo, kto by w pana wierzył? – Słowa Dorotei płynęły z przepelnionego serca. – Wiem o tych nieszczęsnych, tyczących pana pomyłkach. Od pierwszej chwili wiedziałam, że to nieporozumienia. Pan nigdy nie zrobił nic podłego. Pan nie jest zdolny do haniebnego uczynku.

Była to pierwsza deklaracja wiary w niego, jaka doszła do jego uszu. Wciągnął głęboki oddech i powiedział:

– Dziękuję pani. – Nie był zdolny powiedzieć nic więcej: wydało mu się czymś nowym i bardzo dziwnym, że te kilka kobiecych słów może znaczyć tak wiele.

– Proszę, bardzo proszę, niech mi pan powie, jak to się wszystko stało – ciągnęła odważnie Dorotea. – Jestem pewna, że prawda poświadczy pańską niewinność.

Lydgate poderwał się z krzesła i podszedł do okna, zapominając, gdzie się znajduje. Tak często obracał w myślach możliwość wytłumaczenia wszystkiego, nie wymieniając obciążających okoliczności, które mogłyby rzucić niesłuszne podejrzenia na Bulstrode’a, i tak często cofał się przed tym, tak często powtarzał sobie, że jego zapewnienia nie zmienią ludzkich pośądzeń, że słowa Dorotei wydały mu się nakłanianiem do czegoś, co w chwilach trzeźwości uznał za niedorzeczne.

– Niechże pan powie, proszę – nalegała Dorotea z poważną prostotą – potem możemy się wspólnie zastanowić. To karygodne pozwolić, aby ludzie mieli o kimś fałszywe mniemanie, jeśli można by temu zaradzić.

Lydgate obrócił się, uświadamiając sobie, gdzie się znajduje, i zobaczył twarz Dorotei spoglądającą w górę, ku niemu, ze słodką, ufną powagą. Obecność istoty szlachetnej o wielkodusznych pragnieniach, żarliwie miłosiernej zmienia światło wokół nas: zaczynamy widzieć wszystko w głębszej, łagodniejszej perspektywie i zaczynamy ufać, że i nas można zobaczyć i osądzić jako ludzką osobę w jej pełnych wymiarach. Tak właśnie obecność Dorotei zaczęła działać na Lydgate’a, który od wielu dni widział siebie jak człowieka szarpanego i szamoczącego się w ciżbie. Usiadł znowu, czując, że odzyskuje dawną przytomność umysłu dzięki temu, iż ktoś mu okazał wiarę.

– Nie chciałbym – powiedział – sądzić surowo Bulstrode’a, który pożyzył mi pieniądze ogromnie potrzebne, choć dzisiaj wolałbym, żeby się to nigdy nie stało. Jest człowiekiem nieszczęśliwym i zaszczutym, a życie ledwo się w nim tli. Ale chętnie opowiem pani wszystko. Mówienie przyniesie mi ulgę, gdy poprzedziło je zaufanie i gdy nie można przypuszczać, że chcę kogoś przekonywać o swojej uczciwości. Wyczuje

pani, co się sprawiedliwie należy innym, tak jak wyczuła pani, co się należy mnie.

– Proszę, niech mi pan zawierzy. Nie powtórzę niczego bez pańskiego pozwolenia. Ale będę przynajmniej mogła powiedzieć, że wyjaśnił mi pan wszystkie okoliczności sprawy i że wiem, iż nie jest pan w najmniejszym stopniu winny. Da mi wiarę pastor Farebrother i mój stryjaszek, i sir James Chettam. Więcej, są przecież w Middlemarch ludzie, do których mogłabym pójść; choć mało mnie znają, uwierzą moim słowom. Będą przecież wiedzieli, że nie kieruje mną żaden inny wzgląd prócz poczucia sprawiedliwości i prawdy. Podjęłabym się wszelkich trudów, aby oczyścić pana z podejrzeń. Mam tak niewiele zajęć. Nic lepszego nie mogę zrobić na tym świecie.

Głos Dorotei, gdy rysowała naiwny obraz tego, czego zamierza dokonać, można by niemal wziąć za gwarancję, iż dokona tego naprawdę. Przejmująca delikatność jej kobiecego sposobu mówienia wydawała się stworzona do wystąpień przeciw pochopnym oskarżycielom. Lydgate wcale nie miał wrażenia, że jest to osoba naiwna – po raz pierwszy w życiu poddał się cudownemu poczuciu, że może polegać całkowicie, bez najmniejszych oporów dumy i rezerwy, na czyjejs wielkodusznej życzliwości. Powiedział Dorotei wszystko, od chwili, kiedy pod naciskiem przeżywanych trudności zwrócił się po raz pierwszy do Bulstrode'a; ze świadomością ulgi, jaką przynosiły wypowiedane słowa, zaczął powoli, coraz dokładniej, opisywać to, co się działo w jego umyśle: powiedział bardzo jasno, że leczenie, jakie przepisał pacjentowi, było sprzeczne z panującą praktyką, opisał swoje końcowe wątpliwości, swój pogląd na lekarską powinność, wreszcie niepokój sumienia, czy czasem przyjęte pieniądze nie miały wpływu na jego osobiste nastawienie i zachowanie jako lekarza, choć nie na sposób, w jaki wypełnił swój obowiązek.

– Dowiedziałem się – dodał – że Hawley wysłał kogoś, kto przepytał

gospodynię w Stone Court, a ona powiedziała, że dała choremu całą fiolkę opium, jaką przywiozłem, i dużą dawkę brandy. Ale to nie byłoby sprzeczne z metodą leczenia, stosowaną powszechnie, nawet przez najlepszych lekarzy. Podejrzenia przeciwko mnie nie mają żadnych podstaw: ugruntowane są na przekonaniu, że wziąłem pieniądze, że Bulstrode miał silne powody, aby pragnąć śmierci tego człowieka, i że dał mi te pieniądze, chcąc mnie przekupić, bym wspólnie z nim w taki czy inny sposób działał przeciwko zdrowiu pacjenta, a przynajmniej, że przyjąłem te pieniądze, aby trzymać język za zębami. To są podejrzenia, które najuporczywiej czepiają się człowieka, ponieważ wynikają z ludzkich przekonań i ponieważ nie można ich odeprzeć. Pozostaje pytanie, na które nie mam odpowiedzi: jak to się stało, że moje zalecenia nie zostały wykonane. Jest możliwe, że Bulstrode nie miał żadnych przestępczych zamiarów. Jest nawet możliwe, że nie miał nic wspólnego z działaniem sprzecznym z moimi dyspozycjami i tylko zapomniał o nich powiedzieć. Ale to wszystko nie ma żadnego związku z powszechnym przekonaniem. To jeden z tych przypadków, kiedy skazują człowieka na podstawie tego, co o nim myślą. Wszyscy wierzą, że popełnił w jakiś nieokreślony sposób przestępstwo, ponieważ miał po temu powody; a powszechna opinia o bankierze objęła i mnie, gdyż wziąłem od niego pieniądze. Zostałem dotknięty zarazą jak szerniały kłós zboża, rzecz się już stała i nie może się odstać.

– Och, jakie to straszne! – zawołała Dorotea. – Rozumiem, jak trudno się panu bronić. I że to wszystko musiało się stać, gdy pan chciał wznieść swoje życie ponad przeciętny poziom i szukać lepszych dróg... och, nie zgodzę się tego uznać za rzecz nieodwołalną. Wiem, czego pan chciał! Pamiętam, co mi pan mówił, kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy o szpitalu. Nie ma nieszczęścia, o którym bym więcej rozmyślała: kochać coś, co jest wielkie, starać się to osiągnąć – i przegrać.

– Tak – powiedział Lydgate, czując, że znalazł wreszcie możliwość wyrażenia istoty swego smutku. – Miałem pewne ambicje. Chciałem, aby wszystko w moim życiu potoczyło się inaczej. Sądziłem, że mam więcej siły i umiejętności. Ale największe przeszkody to te, których nie widzi nikt inny, tylko człowiek sam.

– A gdyby tak – mówiła w zamyśleniu Dorotea – a gdyby tak trwać przy pierwotnym zamiarze co do szpitala, gdyby pan tu został, choćby tylko z poparciem garstki przyjaciół, te niechętnie uczucia wobec pana wygasłyby powoli; nadarzałyby się różne okazje, kiedy to ludzie, stwierdziwszy czystość pańskich intencji, musieliby przyznać, iż ocenili pana niesprawiedliwie. Może pan jeszcze zdobyć wielką sławę, jak ów Louis i Laennec, o których mi pan mówił, i wszyscy będziemy z pana bardzo dumni – zakończyła z uśmiechem.

– To byłoby możliwe, gdybym miał dawną wiarę w siebie – odparł Lydgate ponuro. – Nic mi bardziej nie doskwiera, jak myśl o obróceniu się na pięcie i ucieczce przed tą potwarzą, nie dając jej odprawy. Nie mogę jednak prosić nikogo o zainwestowanie poważnych pieniędzy w projekt, który ma się na mnie opierać.

– Ja bym się tego podjęła – oświadczyła Dorotea z prostotą. – Niech pan tylko pomyśli. Nie bardzo potrafię sobie poradzić z moimi pieniędzmi, powiadają mi, że mam ich za mało na wielkie projekty, które najbardziej pragnęłabym zrealizować, a przecież mam ich za dużo. Nie wiem, co z nimi zrobić. Mam siedemset funtów rocznie własnego majątku, tysiąc dziewięćset rocznie, które zostawił mi mąż, i między trzema a czterema tysiącami gotówki w banku. Chciałam zaciągnąć pożyczkę i spłacać ją powoli z moich dochodów, zupełnie mi zbędnych, kupić ziemię i zbudować wioskę, która byłaby szkołą przedsiębiorczości, ale sir James i mój stryjaszek przekonali mnie, że to zbyt wielkie ryzyko. Rozumie pan, że największą radością dla mnie byłaby możliwość dobrego

spożytkowania moich pieniędzy; chciałabym, żeby dzięki nim ludziom mogło się żyć lepiej. Taka jestem tym skłopotana. Tym, że je mam, a wcale ich nie potrzebuję.

Przez mrok na twarzy doktora przebił się uśmiech. Słuchając słów Dorotei, nie można się było oprzeć jej dziecinnej, szczerzej powadze, tworzącej cudowną jedność z jej szybkim rozumieniem spraw doniosłych (bo o sprawach bardziej przyziemnych, tych, które odgrywają wielką rolę w świecie, miała biedna pani Casaubon bardzo mgliste, krótkowzroczne pojęcie, skromnie wspomagane wyobraźnią). Ten uśmiech zrozumiała jako aprobatę swego pomysłu.

– Widzi pan więc, że miał pan zbyt wiele skrupułów – powiedziała tonem perswazji. – Szpital to będzie jeden pożytek, a naprawienie pańskiego życia – drugi.

Uśmiech Lydgate’a zniknął.

– Ma pani dość pieniędzy i dobroci, aby to wszystko zrobić – powiedział – ale...

Zawahał się chwilę, spoglądając niepewnie w okno; Dorotea siedziała, czekając w milczeniu. Wreszcie obrócił się ku niej i powiedział impulsywnie.

– Właściwie czemu miałbym pani tego nie mówić? Wie pani, jakim zobowiązaniem jest małżeństwo. Zrozumie pani wszystko.

Dorotea poczuła, że serce jej zaczyna bić mocniej. Czyżby i ta niedola go nie ominęła? Bała się jednak odezwać choćby jednym słowem, a on ciągnął dalej:

– Nie mogę teraz zrobić czegokolwiek, podjąć jakichkolwiek kroków, nie biorąc pod uwagę szczęścia mojej żony. To, co pragnąłbym zrobić, gdybym był nieżonaty, stało się obecnie niemożliwe. Nie mogę patrzeć, jak jest nieszczęśliwa. Poślubiła mnie, nie wiedząc, na co się decyduje, i lepiej by było dla niej, gdyby tego nie uczyniła.

– Wiem, wiem, nie zadałby pan jej bólu, gdyby to nie było konieczne – mówiła Dorotea, mając świeżo w pamięci własne przeżycia.

– Zona moja jest zdecydowanie przeciwna naszemu pozostaniu w Middlemarch. Pragnie wyjechać. Smutki, jakich tu zaznała, wyniszczyły ją. – Lydgate urwał raptownie, jakby nie chciał powiedzieć za wiele.

– Ale jeśli dojrzy, ile dobra może wyniknąć z wytrwania tutaj...

– W głosie Dorotei brzmiała wymówka, spojrzała na doktora, jakby zapomniał o względach, które przed chwilą omawiali. Nie odpowiedział od razu.

– Nie dojrzy – odparł wreszcie krótko, myśląc najpierw, że to oświadczenie musi wystarczyć, bez komentarzy. – Ponadto ja naprawdę straciłem wszelką ochotę do dalszego życia w Middlemarch.

– Przerwał na chwilę, a potem, pchnięty impulsem, by głębiej spojrzała w trudności jego życia, dodał: – W istocie to strapienie spadło na nią bardzo raptownie. Nie byliśmy w stanie rozmawiać ze sobą na ten temat. Nie bardzo wiem, co ona o tym myśli: może się obawia, że istotnie uczyniłem coś podłego. To moja wina: powinienem był okazać większą otwartość. Ale bardzo cierpiałem.

– Czy mogę pójść i złożyć jej wizytę? – zapytała skwapliwie Dorotea. – Czy przyjmie wyrazy mojej życzliwości? Powiem jej, że nikt oprócz pana nie powinien wydawać sądów w tej sprawie. Powiem jej, że każdy uczciwy człowiek uzna pańską niewinność. To powinno jej dodać otuchy. Zapyta pan, czy mogę do niej przyjść, dobrze? Już się kiedyś poznałyśmy.

– Oczywiście, że może pani – Lydgate schwycił się z pewną nadzieją tej propozycji. – Będzie się czuła zaszczyczona, pokrzepiona, jak sądzę, mając dowód, że przynajmniej pani ma dla mnie nieco szacunku. Nie będę zapowiadał pani wizyty, niech w żadnej mierze nie przypuszcza, że jest to wynik mojej prośby. Wiem dobrze, że nie należy zostawiać innym tego, co jest moim obowiązkiem, ale...

Przerwał i nastąpiła chwila milczenia. Dorotea powstrzymała się od wypowiedzenia tego, o czym myślała – jak dobrze wie, że w rozmowie między mężem i żoną mogą istnieć niewidzialne przeszkody. W tym punkcie nawet współczucie mogło ranić. Powróciła więc do zewnętrznych aspektów sytuacji doktora, mówiąc pogodnie:

– A gdyby pani Lydgate wiedziała, że ma pan przyjaciół, którzy panu ufają i którzy pana wesprą, może byłaby rada, gdyby pan tutaj został, odzyskał stracone nadzieje i dokonał tego, czego niegdyś pragnął dokonać. I może wówczas doszedłby pan do wniosku, że byłoby słusznie przystać na moją propozycję i dalej prowadzić szpital. Na pewno doszedłby pan do takiego wniosku, gdyby pan wciąż wierzył, że szpital daje możliwość właściwego spożytkowania pańskiej wiedzy.

Lydgate milczał – widziała, że coś tam w duszy roztrząsa.

– Niechże pan nie podejmuje decyzji w tej chwili – zaproponowała łagodnie. – Wystarczy, bym za kilka dni wysłała odpowiedź panu Bulstrode.

Lydgate w dalszym ciągu milczał, wreszcie jednak zwrócił się do niej, mówiąc głosem zupełnie zdecydowanym.

– Nie, wolę, by mi nie zostawiano czasu na wahania. Nie jestem już pewny samego siebie, to znaczy tego, do czego byłbym zdolny teraz, w zmienionych warunkach mojego życia. Byłoby nieuczciwe, bym pozwolił komuś angażować się w poważne przedsięwzięcia, uzależnione ode mnie. Mogę być mimo wszystko zmuszony do wyjazdu: niewielką widzę możliwość innego rozwiązania. Wszystko jest zbyt problematyczne: nie mogę przystać na to, aby pani dobroć została przeze mnie zmarnotrawiona. Nie, niech nowy szpital zostanie połączony ze starą infirmerią i niech wszystko idzie takim trybem, jakim by szło, gdybym tu nigdy nie był przyjeżdżał. Prowadziłem bardzo cenne notatki, odkąd tu przyjechałem; wyślę je komuś, kto je wykorzysta – zakończył z goryczą. – Przez długi

czas nie będę mógł myśleć o niczym z wyjątkiem zarabiania pieniędzy.

– Bardzo mnie boli, gdy słyszę taką desperację w pana głosie. Byłoby szczęściem dla pańskich przyjaciół, którzy wierzą w pańską przyszłość, w możliwość pańskich wielkich dokonań, gdyby im pan pozwolił uchronić go przed rozpaczą. Niechże pan pomyśli, ile ja mam pieniędzy: przecież ujmowałby mi pan ciężaru, gdyby co roku wziął z tego trochę, póki nie uwolniłby się pan od tej wiążącej ręce konieczności zarobku! Czemu ludzie tak nie postępują? Tak trudno sprawić, by wszyscy mieli po równo. A tu właśnie nadarza się sposobność.

– Niechże panią Bóg błogosławi – powiedział Lydgate, wstając, jakby poderwany tym samym impulsem, który natchnął jego słowa energią, i kładąc rękę na oparciu wielkiego, skórzanego fotela, gdzie siedział przed chwilą. – To dobrze, że pani żywi podobne uczucia. Ale ja nie jestem człowiekiem, który mógłby sobie pozwolić na ich wykorzystanie. Nie daję na to dostatecznych gwarancji. Nie powinienem przynajmniej upadać tak nisko, by brać pieniądze za coś, czego nie osiągnąłem. Jest dla mnie zupełnie jasne, że nie pozostaje mi nic innego, jak opuścić Middlemarch, kiedy tylko będzie to możliwe. Nawet w najlepszym wypadku nie mógłbym tutaj zarabiać jeszcze przez długi czas, poza tym łatwiej jest robić niezbędne zmiany na nowym miejscu. Muszę postępować jak inni, myśleć o tym, co się podoba światu i przynieść pieniądze: poszukać jakiejś niewielkiej niszy w londyńskim tłumie i tam się zaszyć; osiąść w jakiejś miejscowości kuracyjnej albo w jakimś mieście na południu, gdzie jest tylu gnuśniejących Anglików, i dać się zareklamować. W tego rodzaju skorupę muszę wejść i starać się nie postradać duszy.

– Nie jest dowodem męstwa – powiedziała Dorotea – rezygnować z walki.

– Tak, ma pani rację – przyznał Lydgate. – Lecz gdy człowiek lęka się nadpełzającego paraliżu? – A potem, innym już tonem: – Ale pani

dodała mi odwagi swoim zaufaniem. Po tej rozmowie wszystko wydaje się łatwiejsze do zniesienia: a jeśli może mnie pani jeszcze oczyścić z podejrzeń w oczach kilku ludzi, zwłaszcza pastora Farebrothera, będę głęboko wdzięczny. Pragnąłbym tylko, aby nie wspominała pani o jednej rzeczy – o fakcie, iż postąpiono sprzecznie z moimi zaleceniami. To zostałoby natychmiast wypaczone. Mimo wszystko jedyne, co za mną świadczy, to dawna opinia, jaką mieli o mnie ludzie. Proszę powtarzać tylko to, co mnie dotyczy.

– Pastor Farebrother uwierzy, inni również – mówiła Dorotea. – To, co mam do powiedzenia o panu, sprawi, że wydałoby się głupotą przypuszczenie, iż można by pana przekupstwem nakłonić do nikczemności.

– Nie wiem – coś, jakby jęk, zabrzmiało w głosie doktora. – Nigdy mnie dotąd nie przekupiono. Ale jest cień sprzedajności w tym, co się niekiedy nazywa zdobywaniem powodzenia. Wyświadczy mi pani jeszcze jedną wielką łaskę i odwiedzi moją żonę?

– Tak, odwiedzę. Pamiętam, jaka jest ładna! – Każde wrażenie tyżące Rozamundy wryło się głęboko w pamięć Dorotei. – Mam nadzieję, że mnie polubi.

Jadąc do domu, Lydgate myślał: „To młode stworzenie ma serce tak wielkie, że wystarczyłoby dla Matki Boskiej. Przecież widać, że ani jej w głowie myśleć o własnej przyszłości i oddałaby połowę swojego dochodu, jakby nie potrzebowała dla siebie nic, prócz krzesła, na którym by mogła usiąść i spoglądać w dół tymi czystymi oczyma na nieszczęsnych modlących się do niej śmiertelników. Jest w niej coś, czego nigdy jeszcze nie widziałem w żadnej kobiecie: źródło zyczliwości dla ludzi. Mężczyzna może w niej znaleźć przyjaciela. Casaubon musiał w niej wywołać jakieś heroiczne urojenia. Ciekaw jestem, czy mogłaby żywić inne uczucie do mężczyzny? Do Ladislawa? Niewątpliwie było między

nimi coś szczególnego. I Casaubon musiał to wyczuwać. Cóż, jej miłość mogłaby być dla mężczyzny większą pomocą niż jej majątek”.

A tymczasem Dorotea natychmiast ułożyła plan uwolnienia Lydgate'a od zobowiązań wobec Bulstrode'a, które jak sądziła, stanowiły pewną, choć niewielką część gorzkiego ciężaru, jaki go przygniatał. Pod wrażeniem odbytej rozmowy usiadła natychmiast i napisała krótki list, dowodząc, że ma większe niż pan Bulstrode prawo do satysfakcji, jaką jest przekazanie panu Lydgate potrzebnych mu funduszy, że byłoby nieuprzejme z jego strony, gdyby nie zechciał pozwolić, by udzieliła mu pomocy w tej drobnej sprawie, w której cała korzyść przypada jej, posiadającej tak niewielki zakres możliwości pożytkowania nadmiaru pieniędzy. Może ją nazwać swoim wierzycielem albo jakkolwiek inaczej, byleby to oznaczało, że przyjął niniejszą prośbę. Załączyła czek na tysiąc funtów i postanowiła zabrać ze sobą list nazajutrz, kiedy pójdzie złożyć wizytę Rozamundzie.

ROZDZIAŁ LXXVII

Twój też upadek plamę tu zostawia,
Która wybije piętno podejrzenia
Na wszystkich ludzkich przymiotów dziedzicu[135].

William Shakespeare, *Życie Henryka V*, akt

II, sc. 2

Następnego dnia Lydgate musiał jechać do Brassing i powiedział żonie, że nie będzie go do wieczora. Rozamunda ostatnio nie wychodziła z domu i ogrodu, raz tylko poszła do kościoła i raz do ojca, którego spytała: „Jeśli Tertius wyjedzie, pomoże nam tatuś się przenieść, prawda, tatku? Sądzę, że będziemy mieli bardzo mało pieniędzy. Liczę, że ktoś okaże nam pomoc”. A pan Vincy powiedział: „Tak, dziecko, nie pożaluję wam setki czy dwóch. Wiem przecież, że to ważne”. Poza tymi wyjątkami siedziała w domu w ociężałym nastroju melancholii i niepewności, koncentrując wszystkie myśli na przyjeździe Willa Ladisława, jako na jedynym punkcie zainteresowania i nadziei, gdyż tylko z tym wiązała możliwość podjęcia nowych nacisków na męża, by wyjechał z Middlemarch i przeniósł się do Londynu, aż wreszcie uznała za pewnik, iż ten przyjazd będzie potężnym bodźcem do wyjazdu, tyle że nie wiedziała dlaczego. Ten sposób wiązania przyczyn i skutków jest zbyt powszechny, by można go uznać za szczególną fantazję Rozamundy, lecz rozerwanie takiego łańcucha konsekwencji przynosi największy wstrząs: jeśli bowiem człowiek rozumie, w jaki sposób może osiągnąć jakiś skutek, potrafi też przewidzieć możliwe przeszkody i niepowodzenia, jeśli jednak widzi tylko wybraną przyczynę, [135] Przeł. Leon Ulrich.

a tuż w ślad za nią wybrany skutek, nie pozostaje miejsca na wątpliwości, a umysł kieruje się niemal wyłącznie intuicją. Taki właśnie proces zachodził w umyśle biednej Rozamundy, gdy porządkowała wszystko wokół siebie z taką samą, jak zawsze, dokładnością, tyle że wolniej, albo zasiadała do pianina z zamiarem grania, który porzucała, lecz nadal zwlekała na stołeczku, trzymając w zawieszeniu białe palce na drewnianej pokrywie i spoglądając przed siebie z sennym znudzeniem. Ta melancholia była tak widoczna, że Lydgate zaczął się jej dziwnie lękać, niby nieustannego, milczącego wyrzutu, i ten silny mężczyzna przeczulony na wszystko, co tyczyło pięknej kruchej istoty, której życie w jakiś sposób okaleczył, unikał jej spojrzeń i niekiedy drgał cały, gdy się doń zbliżała, a strach przed nią i strach o nią ogarniał go jeszcze silniej, jeśli w miejsce obawy przyszedł na chwilę gniew.

Tego jednak ranka Rozamunda zeszła na dół ze swego pokoju, w którym przesiadywała niekiedy przez cały dzień, gdy męża nie było w domu – gotowa wyjść na miasto. Miała list do wysłania adresowany do pana Ladislawa, napisany z czarującą powściągliwością, a mający na celu przyspieszenie jego przyjazdu wzmianką o kłopotach. Pokojówka, jedyna teraz służąca, zobaczyła, jak schodzi po schodach w wyjściowej sukni, i pomyślała: „Mało kto tak pięknie wygląda w budce jak ona, biedactwo!”.

A tymczasem głowę Dorotei zaprzął projekt odwiedzenia Rozamundy oraz wiele innych myśli zarówno o przeszłości, jak i o ewentualnej przyszłości, jakie obudził pomysł tej wizyty. Aż do wczorajszego dnia, kiedy to Lydgate dał jej przelotnie do zrozumienia, że ma pewne kłopoty w małżeństwie, obraz jego żony wiązał się w jej oczach z osobą Willa Ladislawa. Nawet w najbardziej przykrych momentach – nawet kiedy wstrząsnęły nią przedstawione przez panią Cadwallader z przykrą sugestywnością plotki – jej troska i najsilniejsza wewnętrzna potrzeba szły w kierunku oczyszczenia Willa z wszelkich brudnych podejrzeń;

kiedy zaś podczas następnego z nim spotkania odczytała z początku jego słowa jako możliwą aluzję do uczucia dla pani Lydgate, uczucia, któremu postanowił nie pobłażać, wyobraziła sobie w szybkim, smutnym błysku usprawiedliwiający urok, kryjący się w ciągłych możliwościach kontaktu z tą piękną istotą, która niewątpliwie podzielała różne jego zamiłowania, na przykład jego zamiłowanie do muzyki. Potem jednak nastąpiło pożegnanie – kilka namiętnych słów, dających do zrozumienia, że to ona jest przedmiotem jego miłości, której musi się strzec, że to miłość do niej, i tylko do niej, postanowił zamknąć w sercu niewyjawioną i zabrać ze sobą na wygnanie. Od chwili owego pożegnania Dorotea wierzyła, że Will ją kocha, wierzyła z dumnym zachwytem w jego wrażliwe poczucie honoru i postanowienie, że nikt nie będzie miał powodu do stawiania mu słusznych zarzutów, toteż nie miała wątpliwości, jakie stosunki łączą go z panią Lydgate. Była przekonana, że nie ma na nich skazy.

Są takie istoty, których miłość jest dla nas jednocześnie chrztem i uświęceniem: położona w nas ufność nakazuje prawość i czystość, a nasze grzechy stają się największym świętokradztwem, obalającym niewidzialny ołtarz zaufania. „Jeśli ty nie jesteś dobry, nikt nie jest dobry” – te krótkie słowa mogą dla człowieka obdarzonego poczuciem odpowiedzialności zawierać straszliwe znaczenie, mogą nasycić skrucę intensywnością jadu. Taka właśnie była natura Dorotei: jej własne słabości, jakże płomienne, brały się z otwartych nurtów żarliwego usposobienia; była pełna współczucia dla oczywistych ludzkich pomyłek, nie miała jednak zasobu doświadczeń, pozwalających na subtelne interpretacje i podejrzwanie ukrytego zła. Lecz ta jej prostota, będąca wzorem dla innych, gdy obdarzała ich swoim ufnym o nich wyobrażeniem, była chyba największą kobiecą siłą Dorotei. Will Ladislaw uległ jej od pierwszej chwili. Czuł, kiedy się z nią rozstawał, że te krótkie słowa, w których pragnął jej przekazać swoje uczucia i świadomość dzielącej ich przepaści,

jaką stanowił jej majątek, tylko zyskają dzięki swojej zwiężłości, kiedy Dorotea będzie musiała je sobie wytłumaczyć: wydawało mu się, że znalazł w jej oczach najwyższe uznanie.

I tak w istocie było. Podczas miesięcy, jakie upłynęły od ich rozstania, Dorotea odczuwała błogi, smutny spokój, myśląc o ich wzajemnym związku, wewnątrznie spójnym i nieskazitelnym. Miała w sobie żywą moc sprzeciwu, kiedy ów sprzeciw skierowany był ku obronie czy to projektów, czy też ludzi, w których wierzyła, toteż krzywdy, jakie jej zdaniem wyrządził Willowi pan Casaubon, oraz okoliczności zewnętrzne, które dla innych były powodem do lekceważenia młodego człowieka, potęgowały tylko jej podziw dla niego i trwałość uczucia. A teraz, wraz z ujawnieniem sprawy pana Bulstrode'a, wyszła na światło dzienne jeszcze jedna okoliczność, mająca wpływ na pozycję towarzyską Willa; obudziło to ponownie wewnętrzny opór Dorotei wobec wszystkiego, co się o nim mówiło w tej części jej świata, jaką wytyczało ogrodzenie dworskiego parku.

„Młody Ladisław, wnuk Żyda – złodzieja i lichwiarza”, to było określenie, rzucane z przekąsem podczas rozmów o sprawie Bulstrode'a w Lowick, Tipton i Freshitt, które wydawało się bardziej odrażającą wywieszką na plecach nieszczęsnego Willa niż „Włoch z białymi myszkami”. Prawy sir James Chettam uważał, że ma słuszną satysfakcję, myśląc z pewnym upodobaniem o dodatkowej mili, jaka zwiększyła niebotyczną odległość dzielącą Ladisława od Dorotei, dzięki czemu może porzucić wszelki niepokój w tej sprawie jako zbyt absurdalny. I odczuwał zapewne odrobinę przyjemności, skierowując uwagę pana Brooke na ten paskudny szczegół genealogii młodego Ladisława, jak na nową świecę pozwalającą mu dojrzeć własne szaleństwo. Dorotea zauważyła złośliwość, z jaką często mówiono o tym, co tyczyło Willa w tej całej przykrej historii, ale nie odzywała się ani słowem, gdyż powstrzymywała

ją teraz, jak nigdy przedtem w rozmowach o Willu, świadomość głębszego ich związku, który musi na zawsze pozostać uświęconą tajemnicą. Ale to milczenie osłaniało jej emocjonalny opór i podsycalo płomień – i w ten sposób nieszczęście, jakie Willowi przypadło w udziale i jakie ludzie pragnęli przyczepić mu na plecach jako znak sromoty, wzmogło tylko żarliwość jej wiernych myśli.

Nie snuła marzeń o tym, by kiedykolwiek mógł ich połączyć bliższy związek, lecz nie przyjęła również postawy wyrzeczenia. Swoje stosunki z Willem widziała po prostu jako część niedoli związanych z jej małżeństwem i poczytywałyaby sobie za grzech utyskiwanie w duchu na niedostatek szczęścia; bardziej była skłonna myśleć, że otrzymała go w nadmiarze. Umiała się pogodzić z tym, że główne radości jej młodych lat muszą się zamknąć we wspomnieniach; myśl o małżeństwie przychodziła jedynie w formie odstręczającej propozycji od jakiegoś wielbiciela, zupełnie jej nieznanego, którego zalety, widziane oczyma rodziny, byłyby dla niej udręką. „Ktoś, kto potrafiłby w twoim imieniu zająć się twoim majątkiem” – takie atrakcyjne właściwości były, zdaniem stryjaska, najodpowiedniejsze. „Sama zajęłabym się moim majątkiem, gdybym wiedziała, co z nim zrobić” – odpowiadała Dorotea. Trwała w podjętym postanowieniu, że już nigdy nie wyjdzie ponownie za mąż, a w tej długiej dolinie życia, która wydawała się taka płaska i bez żadnych znaków drogowych, przewodnikami jej będą napotkani w drodze podróży.

Odkąd zaproponowała, że złoży wizytę pani Lydgate, jej codzienny stan uczuć wobec Willa nabrał na wyrazistości, tworząc pewnego rodzaju tło dla postaci Rozamundy, nie będące przeszkodą dla jej zainteresowania czy współczucia. Najwyraźniej powstała jakaś wewnętrzna obcość, jakaś przeszkoda uniemożliwiająca pełne zaufanie pomiędzy tą żoną i tym mężem, który mimo to uważał, że z jej szczęściem musi się liczyć przede wszystkim. Było to strapienie, w które nikt obcy nie powinien wglądać.

Ale Dorotea myślała z głębokim współczuciem o samotności, w jakiej znalazła się Rozamunda w wyniku otaczających jej męża podejrzeń: na pewno okazanie szacunku doktorowi i współczucia jego żonie będzie im pomocą.

„Porozmawiam z nią o jej mężu”, myślała Dorotea, jadąc powozem do miasta. Był jasny wiosenny ranek, a zapach wilgotnej ziemi, młode liście, ukazujące stulone jeszcze bogactwo zieleni z rozchylających się okryw, harmonizowały z pogodą, jaką odczuwała po długiej rozmowie z pastorem Farebrotherem, który z radością przyjął wyjaśnienia, świadczące o uczciwości postępowania Lydgate’a. „Zawiozę doktorowej dobre wiadomości, może będzie chciała pomówić ze mną, może będzie chciała się zbliżyć”.

Dorotea miała jeszcze coś do załatwienia na Lowick Gate, chodziło jej mianowicie o dzwonek szkolny o bardzo pięknym dźwięku; musiała wysiąść z powozu niedaleko domu Lydgate’ow, powiedziała więc stangretowi, by zaczekał na pakunki, a sama przeszła na drugą stronę ulicy. Drzwi wejściowe stały otworem, a służąca przyglądała się stojącemu nieopodal powozowi, kiedy stało się dla niej jasne, że „dama od tego powozu” kieruje się ku niej.

– Czy zastałam panią Lydgate w domu? – spytała Dorotea.

– Nie wiem, proszę jaśnie pani, zaraz sprawdzę, proszę łaskawie wejść – odparła Marta, nieco skonfundowana z powodu swego kuchennego fartucha, ale na tyle przytomna, by wiedzieć, że „pszę pani” nie byłoby zwrotem właściwym w stosunku do tej młodej, wyglądającej jak królowa wdowy, co ma powóz w parę koni. – Niech pani będzie łaskawa wejść, zaraz pójde i sprawdzę.

– Powiedz, że przyszła pani Casaubon – rzuciła Dorotea, gdy Marta ruszyła przodem, by sprawdzić, czy Rozamunda wróciła już z miasta.

Przeszły przez obszerniejszą część hallu i węższą, prowadzącą do

ogrodu. Drzwi do salonu nie były zamknięte i Marta pchnęła je, nie zaglądając do wnętrza, zaczekała, aż pani Casaubon wejdzie, po czym zawróciła, a drzwi otwarły się i zamknęły bezgłośnie wahnięciem.

Dorocea mniej ostro dostrzegła dzisiaj świat zewnętrzny, gdyż myśli jej wypełnione były obrazami tego, co było i co stać się miało. Znalazła się za drzwiami, nie zauważywszy nic szczególnego, natychmiast jednak usłyszała przemawiający cicho głos, na którego dźwięk ogarnęło ją nagle poczucie, że śni na jawie, a postąpiwszy nieświadomie kilka kroków przed wystający bok szafy bibliotecznej, zobaczyła w przerażającym świetle pewności wypełniającym wszystkie zarysy coś, co kazało jej znieruchomieć gwałtownie, odbierając opanowanie i mowę.

Zobaczyła siedzącego tyłem do niej, na sofie pod ścianą w jednej linii z drzwiami, przez które weszła, Willa Ladislawa; tuż przy nim, zwrócona ku niemu, z twarzą zaróżowioną i we łzach, co nadawało jej nowego uroku, siedziała Rozamunda z budką zsuniętą na plecy, podczas gdy pochylony ku niej Will trzymał jej uniesione dłonie w swoich rękach i mówił coś cicho i żarliwie.

Rozamunda, podniecona i przejęta, nie dostrzegła zbliżającej się w milczeniu postaci, lecz Dorocea, cofając się w pomieszczeniu po pierwszej trwającej niczym wieczność chwili, stwierdziła, że zamyka jej drogę jakiś sprzęt. Dopiero wtedy Rozamunda zdała sobie nagle sprawę z obecności gościa, spazmatycznym ruchem wyrwała obie ręce i wstała, spoglądając na przybyłą, unieruchomioną między meblami. Will poderwał się również i odwrócił, a napotykać oczy Dorotei, w których płonęły błyskawice, stanął skamieniały. Ale ona natychmiast przeniosła wzrok z niego na Rozamundę i powiedziała mocnym głosem:

– Proszę wybaczyć, służąca nie wiedziała, że pani się tu znajduje. Przyjechałam z ważnym listem dla doktora Lydgate, chciałam go oddać w pani ręce.

Położyła list na małym stoliczku, tym właśnie, który uniemożliwił jej odwrót, a potem, omiatając Willa i Rozamundę jednym wyniosłym spojrzaniem, skłoniła się i szybko wyszła z pokoju; w korytarzu spotkała zdumioną Martę, która powiedziała, że bardzo jej przykro, ale pani nie ma w domu, a potem wyprowadziła tę dziwną damę, myśląc sobie, że wielcy ludzie są chyba bardziej niecierpliwi niż inni.

Dorothea przeszła przez ulicę sprężystym krokiem i wkrótce siedziała w powozie.

– Jedź do Freshitt Hall – powiedziała stangretowi, a każdy, kto by ją w tej chwili zobaczył, mógłby pomyśleć, że choć jest bledsza niż zwykle, nigdy nie wyglądała na energiczniejszą i bardziej opanowaną. I tak się istotnie czuła. Jakby wypła ogromną dawkę pogardy, która wypełniła ją do tego stopnia, że nie było już miejsca na żadne inne emocje. Zobaczyła coś tak dalece uwłaczającego temu, w co wierzyła, że jej uczucia pierzchły w beładzie. Musi wyładować podniecenie w jakimś działaniu. Czuła w sobie siły, wystarczające, by mogła chodzić i pracować cały dzień bez jedzenia i picia. I robi to, co zaplanowała tego ranka, pojedzie do Freshitt i Tipton i powie sir Jamesowi i stryjaszkowi wszystko, co jej zdaniem powinni wiedzieć o doktorze Lydgate, którego małżeńska samotność w nieszczęściu, jakie go dotknęło, ukazała się jej w nowym świetle i nakazywała jeszcze większą gorliwość w jego obronie. Tak wszechogarniającej potęgi oburzenia nie wywołały w niej nigdy zgryzoty małżeńskiego pożycia, w których dominowały tłumione szybko ukłucia bólu: przyjęła to za oznakę nowej siły.

– Dodo, jakże ci dzisiaj błyszczą oczy – zauważyła Celia, kiedy sir James wyszedł z pokoju. – I nie widzisz nic, na co patrzysz, Artura ani nic. Zamierzasz zrobić coś niemiłego, już to wiem. Czy to wszystko ma związek z doktorem Lydgate, czy też jest coś jeszcze? – Celia przywykła patrzeć na siostrę wyczekująco.

– Tak, kochanie, wydarzyło się bardzo wiele – odparła Dodo mocnym głosem.

– Ciekawam, co – Celia miękkiem ruchem splótła ręce i oparła się na nich.

– Och, wszystkie kłopoty wszystkich ludzi na całej kuli ziemskiej – odparła Dorotea, podnosząc ręce i zakładając je z tyłu głowy.

– Och, Boże, Dodo i ty zamierzasz coś dla nich wymyślić! – zawołała Celia, zaniepokojona nieco tymi hamletycznymi majakami.

Ale wrócił sir James, gotów odwiedzić Dorotę do Tipton, zakończyła więc sprawę, tak jak należało, nie odstępując od powziętych zamiarów, póki nie wysiadła przed drzwiami swego domu.

ROZDZIAŁ LXXVIII

Gdybyż tak było wczoraj; ja w mogile,
Jej słodka wiara nade mną jak pomnik.

Rozamunda i Will znieruchomieli – oboje nie wiedzieli, jak długo to trwało – on wpatrywał się w miejsce, gdzie przed sekundą stała Dorotea, ona zaś spoglądała na niego z powątpiewaniem. Chwila dłużyła się w nieskończoność Rozamundzie, która w głębi duszy była nie tyle strapiona, ile rada z tego, co się wydarzyło. Płytkie natury marzą o swobodnym władaniu cudzymi emocjami, ufając bez zastrzeżeń, że ich tandetna magia zdolna jest odwrócić bieg potężnych strumieni, pewne, że wdzięcznymi gestami i uwagami mogą sprawić, że będzie istniało coś, co nie istnieje. Wiedziała, że Will otrzymał potężny cios, lecz nie przywykła wyobrażać sobie stanu czyjegoś umysłu inaczej niż jako materii, której kształt nadały jej własne pragnienia; wierzyła też w swoją umiejętność kojenia czy też ujarzmiania. Nawet Tertiusa, najbardziej upartego z wszystkich mężczyzn, potrafiła sobie na dłuższą metę podporządkować; mimo oczywistości faktów Rozamunda i dziś powiedziałaby to samo, co mówiła przed ślubem; że nigdy nie odstąpi od tego, co raz postanowiła.

Wysunęła rękę i położyła czubki palców na rękawie surduta Willa.

– Proszę mnie nie dotykać – powiedział głosem, który był jak smagnięcie bicia. Krew odpłynęła mu z twarzy i natychmiast napłynęła znowu, jakby całe jego ciało drżało od bólu żądła. Gwałtownym ruchem odsunął się w drugi kąt pokoju i stanął naprzeciwko niej; wsunąwszy w kieszenie czubki palców i odrzuciwszy do tyłu głowę, patrzył dziko nie na Rozamundę, ale w punkt o kilka stóp od niej.

Była bardzo urażona, ale okazała to w sposób, który tylko jej mąż

umiał odczytywać. Umilkła nagle i usiadła, rozwiązała wstążki zsuniętej z głowy budki i odłożyła ją na bok razem z szalem. Drobne, złożone na kolanach dłonie były bardzo zimne.

Will postąpiłby rozsądniej, biorąc od razu kapelusz i wychodząc, ale nic go do tego nie pchnęło, wręcz przeciwnie, odczuwał straszną chęć, by zostać i zmiażdżyć Rozamundę swą wściekłością. Wydawało się niemożliwe, by zniósł nieszczęście, jakie nań ściągnęła, nie wyładowując swojej furii, tak jak niemożliwe byłoby dla pantery znieść ranę zadaną oszczepem i nie rzucić się w odwecie z zębami. A przecież – jakże mógł powiedzieć kobiecie, że gotów jest ją przeklinać? Miotał się, powstrzymywany nakazem przyzwoitości, któremu musiał się podporządkować; w tym stanie zagrożonej równowagi tonacja głosu Rozamundy stała się czynnikiem decydującym. Odezwała się ze śpiewnym sarkazmem:

– Może pan pójść za nią i powiedzieć, że ją ode mnie woli.

– Iść za nią! – krzyknął głosem ostrym jak nóż. – Pani sądzi, że ona obejrzałaby się na mnie albo uznałaby teraz jakiegokolwiek moje słowa za coś więcej niż śmiecie? Wytłumaczyć! Jakże mężczyzna może coś wytłumaczyć kosztem innej kobiety?

– Niech jej pan powie, co pan chce. – W głosie Rozamundy słychać było lekkie drżenie.

– Pani sądzi, że wyglądałbym lepiej w jej oczach, gdybym panią poświęcił? To nie jest kobieta, której można by się przypochlebić, robiąc z siebie nikczemnika, która wierzyłaby, że jestem jej wierny, jeśli wobec pani mogłem być szubrawcem.

Zaczął chodzić niespokojnie, jak dzikie zwierzę, które widzi ofiarę, lecz nie może jej chwycić. Wreszcie znowu wybuchnął:

– Nie miałem dotychczas nadziei... niewiele... że przyszłość przyniesie coś lepszego. Ale jedno było dla mnie pewne, że ona mi ufa.

Bez względu na to, co ludzie robili czy mówili o mnie, ona mi ufała. To się skończyło. Nigdy już w życiu nie pomyśli o mnie inaczej jak o nędznym oszuście, który udaje tak wybrednego, że tylko pochlebstwem można go namówić na pobyt w raj, a w istocie sprzedaje się po cichu za byle co. Będzie uważała, że jestem dla niej wcieloną zniewagą, od pierwszej chwili, odkąd...

Przerwał, jakby stwierdził, że trzyma coś, czego nie może cisnąć i roztrzaskać. Znalazł inne ujście dla swej wściekłości, podejmując znowu słowa Rozamundy, jakby to były jakieś gady, które trzeba rozdeptać i wyrzucić.

– Wytłumaczyć! Powiedzieć człowiekowi, żeby tłumaczył, w jaki sposób znalazł się w piekle! Wytłumaczyć, że ją wolę! Ja nigdy jej nie *wolałem*, tak jak nigdy nie *wolałem* oddychać. Przy niej nie istnieje żadna inna kobieta! Wolałbym dotknąć jej, gdyby była martwa, niż żywą rękę jakiegokolwiek kobiety!

Pod gradem tych zatrutych strzał Rozamunda niemal traciła poczucie, kim jest, jakby budziła się do jakiejś nowej, przerażającej egzystencji. Nie odczuwała tej chłodnej, zdecydowanej odrazy ani milczącego poczucia słuszności własnej postawy, jakie w niej budził gromki gniew męża; nie była zdolna odczuwać nic oprócz oszałamiającej nowości bólu i nieznanych odruchów przerażenia, będących reakcją na smagnięcia, jakich nigdy w życiu nie zaznała. Czyjeś uczucia, wrogie jej uczuciom, wżerały się, wrażały w jej świadomość. Gdy Will przestał mówić, siedziała jak obraz mdlejącego nieszczęścia. Wargi miała blade, a w oczach przerażenie bez łez. Gdyby tym stojącym naprzeciw mężczyzną był Tertius, na pewno przejąłby się jej rozpaczliwym wyglądem i niechybnie usiadłby przy niej, by ją pocieszyć tą pociechą silnych ramion, którą tak często uważała za liche pokrzepienie.

Niechże będzie wybaczone Willowi, że nie okazał podobnego odruchu

litości. Nie czuł żadnych zobowiązań wobec tej kobiety, która zniszczyła największy skarb jego życia, i uważał się za niewinnego! Wiedział, że postępuje okrutnie, ale łagodność nie miała jeszcze do niego przystępu.

Kiedy skończył mówić, chodził dalej po pokoju jak nieprzytomny, a Rozamunda siedziała nieporuszona. Wreszcie Will ocknął się i wziął kapelusz, ale trwał chwilę w niezdecydowaniu. Powiedział jej rzeczy, po których trudno wypowiedzieć banalny zwrot grzecznościowy, a mimo to, kiedy stanął przed ewentualnością wyjścia bez słowa, powstrzymał się przed tym jak przed okrucieństwem: czuł się zaszachowany i obezwładniony w swoim gniewie. Podszedł do kominka, wsparł się ramieniem o gzyms i czekał w milczeniu, na co – nie wiedział. Wciąż jeszcze czuł w sobie mściwy ogień i nie był zdolny do cofnięcia słów, myślał jednak, że wróciwszy do tego kominka, przy którym zaznał tyle czulej przyjaźni, znalazł zasiadające przy nim nieszczęście – i uświadomił sobie nagle, jaka zgryzota zamieszkała w tym domu i poza nim. Coś, niby przecucie, zaczęło go powoli ścisnąć w kleszczach: myśl, że nad jego życiem mogłaby zapanować ta bezradna kobieta, która narzuciła mu się w posępnym smutku swego serca. Lecz odczuł ponury bunt przeciwko obrazowi, jaki zarysowała bystra spostrzegawczość, i kiedy spojrzął na zwarzoną twarz Rozamundy, wydało mu się, że jemu bardziej z nich dwojga należy się litość: ból bowiem musi przejść przez chwalebny żywot wspomnienia, zanim zdoła się obrócić we współczucie.

I tak trwali przez wiele minut, jedno naprzeciw drugiego, bardzo od siebie dalecy, w milczeniu; twarz Willa, opanowana niemą wściekłością, twarz Rozamundy – niemym cierpieniem. Biedactwo nie miało sił, by odpowiedzieć mu wybuchem pasji: straszliwa ruina złudzeń, ku którym wybiegały wszystkie jej nadzieje, była zbyt mocnym wstrząsem. Jej mały światek legł w gruzach, a ona zataczała się na nich jak samotna, ogłuszona istota.

Will chciał, żeby powiedziała coś, co rzuciłoby trochę łagodzącego cienia na jego okrutną wypowiedź, która jak gdyby trwała między nimi, szydząc z wszelkich prób nawiązania poprzedniego kontaktu. Ale Rozamunda nie powiedziała ani słowa, więc wreszcie, robiąc rozpaczliwy wysiłek, zapytał:

– Czy mam przyjść wieczorem i odwiedzić doktora?

– Jak pan chce – odparła niemal niedosłyszalnie.

Wówczas Will wyszedł z domu, a Marta nie wiedziała w ogóle, że przychodził.

Po jego wyjściu Rozamunda usiłowała podnieść się z krzesła, ale opadła na nie zemdlona. Gdy się ocknęła, czuła się zbyt słabo, by móc wstać i podejść do dzwonka, pozostawała więc bezradnie w tej pozycji, aż wreszcie służąca, zdumiona jej długą nieobecnością, pomyślała po raz pierwszy, by poszukać pani w pokojach na dole. Rozamunda powiedziała jej, że naszła ją nagła słabość i omdlenie i chce, by ją zaprowadzono na górę. Tam rzuciła się w sukni na łóżko i leżała w odrętwieniu, tak jak to zrobiła już raz w pamiętnym dniu rozpacz.

Lydgate wrócił do domu wcześniej, niż przewidywał, około wpół do szóstej, i zastał ją w takim stanie. Widok jej, chorej, odsunął na bok wszystkie inne myśli. Kiedy badał jej puls, Rozamunda wpatrywała się w niego tak uporczywie, jak nie robiła tego od dawna; sprawiała wrażenie, jakby odczuwała pewne zadowolenie, że jest przy niej. Natychmiast zauważył tę zmianę i usiadłszy obok, wsunął łagodnie ramię pod jej plecy, nachylił się i spytał: – Moje biedactwo? Czy przejęłaś się czymś? Wtuliwszy się w niego, zaczęła histerycznie płakać i szlochać i przez następną godzinę uspokajał ją tylko i czuwał nad nią. Pomyślał, że pewno odwiedziła ją Dorotea i że ta nerwowa reakcja, z którą wiąże się niewątpliwie jakaś zmiana stosunku do niego, wynika z podniecenia wywołanego tą wizytą.

ROZDZIAŁ LXXIX

Otóż we śnie zoczyłem, że ledwie gadać przestali,
dotarli do bagna, leżącego w samym środku równiny;
a że byli niebaczni, zaraz w nie wpadli. Bagno to
nosiło miano Przygnębienie.

John Bunyan, *Podróż pielgrzyma*

Gdy Rozamunda już się uspokoiła, Lydgate zostawił ją samą, licząc, że wkrótce zaśnie pod wpływem anodyny. Zszedł do salonu po odłożoną tam książkę, chcąc spędzić wieczór w swojej pracowni, i zobaczył leżącą na stoliku zaadresowany do niego list Dorotei. Nie odważył się pytać żony, czy była u niej pani Casaubon, ale upewnił się o tym, przeczytawszy list, w którym Dorotea pisała, że przyniesie go osobiście.

Nieco później przyszedł Will Ladislaw, a Lydgate powitał go ze zdziwieniem, świadczącym, że nic nie wiedział o poprzedniej wizycie, a Will nie mógł przecież spytać: „Czy żona nie mówiła panu, że tu już był przed południem?”

– Rozamunda, biedactwo, jest chora – dodał Lydgate, przywitawszy się z gościem.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Nie, lekki wstrząs nerwowy, skutek jakiejś ekscytacji. Była ostatnio przedenerwowana. Prawdę mówiąc, przyjacielu, nie mam szczęścia. Od pańskiego wyjazdu przeszliśmy przez kilka kręgów czyśćca, a ostatnio znalazłem się w najgorszych w życiu kłopotach. Musiał pan przed chwilą przyjechać, wygląda pan na wymęczonego, nie zdążył pan jeszcze nic

usłyszeć na mieście?

– Podróżowałem całą noc i stanąłem Pod Białym Jeleniem o ósmej rano. Zamknąłem się i odpoczywałem – mówiąc to, Will czuł się jak podlec, ale nie miał wyboru, musiał użyć wybiegu.

Usłyszał teraz od Lydgate’a relację o jego zmartwieniach, które Rozamunda przedstawiła mu uprzednio na swój sposób. Nie powiedziała mu, że z całą tą ujawnioną sprawą związane było jego nazwisko – bo to jej nie dotyczyło bezpośrednio i dopiero teraz Will dowiedział się o tym po raz pierwszy.

– Uważam, iż powinienem był powiedzieć panu, że jego nazwisko jest wymieniane w owych rewelacjach – mówił Lydgate, który lepiej od innych rozumiał, jak bardzo może to dotknąć Ladislawa. – Usłyszy pan o tym niechybnie natychmiast, gdy się tylko pokaże na mieście. Przypuszczam, że to prawda, iż Raffles rozmawiał z panem?

– Tak – odparł Will sardonicznie. – Mam nadzieję, że plotka nie uczyni mnie najbardziej podejrzaną postacią w całej tej aferze. Zapewne według ostatniej wersji okaże się, że knułem z Rafflesem morderstwo Bulstrode’a i właśnie dlatego uciekłem z Middlemarch.

A w duszy myślał: „Oto nowa nuta w dźwięku mojego nazwiska, na jaką można jej usłudźnie zwrócić uwagę, ale cóż to ma teraz za znaczenie?”.

Nie wspomniał jednak o propozycji, jaką mu zrobił Bulstrode. Will był bardzo otwarty i niefrasobliwy w swoich sprawach osobistych, ale jednym z najwspanialszych rysów, w jakie wyposażyła go natura, była subtelna wielkoduszność, która w tym wypadku nakazała mu powściągliwość. Nie chciał powiedzieć, że odrzucił ofiarowane mu przez bankiera pieniądze, w chwili gdy się dowiedział, że tragedią Lydgate’a było, iż takie pieniądze przyjął.

Lydgate również był powściągliwy w swoich wynurzeniach. Nie wspomniał o postawie Rozamundy wobec nieszczęścia, jakie na nich

spadło, a o Dorotei powiedział tylko: „Pani Casaubon była jedyną osobą, która zabrała głos i oświadczyła, że odrzuca wszelkie wobec mnie podejrzenia”. Gdy zauważył, że Will mieni się na twarzy, unikał dalszych wzmianek o Dorotei, czując, że zbyt mało wie o ich wzajemnych stosunkach, by się nie lękać, iż jego słowa mogą wywołać jakiś przykry rezonans. Przyszło mu też do głowy, że Dorotea może być prawdziwym powodem obecnego przyjazdu Willa do Middlemarch.

Ci dwaj mężczyźni mieli dla siebie nawzajem wiele współczucia, ale tylko Will odgadywał rozmiar klęski swego towarzysza. Kiedy Lydgate z rozpaczliwą rezygnacją mówił o zamiarze przeniesienia się do Londynu i ze słabym uśmiechem zauważył: „Będziemy tam znowu widywać pana, przyjacielu”, Willa ogarnął niewysłowiony smutek i nie odpowiedział. Przed południem Rozamunda błagała go, by nakłonił jej męża do tego kroku; widział w wyobraźni, jak w latarni magicznej, przyszłość, w której on sam zniża się do żalonych ustępstw wobec drobnych nacisków okoliczności, co o wiele częściej prowadzi do zguby niż jakaś pojedyncza poważna decyzja.

Znajdujemy się na bardzo niebezpiecznej krawędzi, kiedy patrzymy biernie na naszą przyszłość i widzimy nas samych, doprowadzanych z własnym tępym przyzwoleniem do karygodnych postępów i żalonych ich skutków. Nieszczęsny Lydgate, z rozdartą duszą, stał na takim właśnie skraju, a Will się do niego zbliżał. Tego wieczoru wydawało mu się, że pozwalając sobie na okrutny wybuch w stosunku do Rozamundy, zaciągnął wobec niej pewne zobowiązanie i bał się tego zobowiązania. Obawiał się ufnej życzliwości doktora, bał się własnego niesmaku do swego zmarnowanego życia, które może się przemienić w bezcelową, jałową egzystencję.

ROZDZIAŁ LXXX

Surowy prawodawco! Tyś odziany
W najdobrotliwszą przecież łaskę Boga,
Uśmiechu twego powab niespodziany
Twarz przeobraża, co zwykle tak sroga;
Przed Tobą wonny kwitnie kwiat za kwiatem,
Twych śladów ścieżki znacząc aromatem;
Ty Gwiazdy strzeżesz przed Zła zakusami,
I Niebo starożytne napędzasz siłami.

William Wordsworth, *Ode to Duty*

W czasie porannej rozmowy z pastorem Farebrotherem Dorotea obiecała, że po powrocie z Freshitt przyjdzie na kolację na plebanię. Częste wizyty, jakie ona i pastor z rodziną składali sobie nawzajem, pozwalały jej utrzymywać, że nie jest zupełnie sama we dworze, i wciąż opierać się surowym zaleceniom, by zaangażowała damę do towarzystwa. Po powrocie do domu przypomniała sobie o przyjętym zaproszeniu, z którego była teraz rada, a stwierdziwszy, że ma jeszcze godzinę do przebrania się na kolację, poszła prosto do szkoły i rozpoczęła konwersację z nauczycielem i nauczycielką na temat nowego dzwonka, z pilną uwagą przysłuchując się poruszonym przez nich, niekiedy kilkakrotnie, drobnym sprawom i nabierając emocjonalnego przeświadczenia, że w jej życiu dzieje się bardzo wiele. W drodze powrotnej zatrzymała się na chwilę rozmowy ze starym Bunneyem, który coś sadził w ogrodzie, i poprowadziła z tym wiejskim mędrcelem uczony dyskurs na temat tego, jakie zasiewy mogą

przynieść najlepszy dochód z pręta kwadratowego gruntu, poznając przy tym jego zdanie na temat gleby, jakie wyniósł z sześćdziesięcioletniej pracy na roli, a mianowicie, że kiedy ziemia jest w miarę nasiąknięta – to dobrze, ale jak przyjdzie deszcz, deszcz i deszcz, i zrobi się jedno wielkie grzęzawisko, to nie daj Boże...

Stwierdziwszy, że duch społeczny prowadzi ją do niepunktualności, przebrała się szybko i w rezultacie znalazła się na plebanii wcześniej, niż było konieczne. Ten dom nigdy nie wydawał się nudny. Pastor Farebrother, jak drugi White z Selborne^[136], miał zawsze coś do powiedzenia o swych niemych domownikach i protegowanych, których jak tłumaczył wiejskim chłopcom, nie wolno dręczyć; właśnie sprowadził do wsi parę pięknych kóz, które miały się stać ulubieńcami wszystkich mieszkańców i spacerować swobodnie niby święte zwierzęta. Wieczór upłynął pogodnie aż do herbaty. Dorotea mówiła więcej niż zwykle i rozprawiła z pastorem o tym, jakie to historie można przypisywać stworzeniom, które porozumiewają się w podstawowych sprawach za pomocą czułek i z tego, co wiemy, mogły już przeprowadzić u siebie reformę parlamentarną, kiedy nagle rozległy się jakieś ciche, nieartykułowane dźwięki, przyciągając uwagę wszystkich.

– Henrietto Noble – odezwała się pani Farebrother, widząc, że jej drobnitka siostra kręci się zaaferowana, patrząc pod nogi mebli – co się takiego stało?

– Zgubiłam moje szylkretowe pudełeczko na pastylki. Obawiam się, że kotek gdzieś je poturlał – mówiła malutka dama, w dalszym ciągu nieświadomie popiskując z cicha.

– Czy to bardzo cenne pudełeczko, ciociu? – zapytał pastor, wkładając okulary i spoglądając na dywan.

[136] Gilbert White (1720-1793), pastor i przyrodnik z Selborne w Hampshire, autor książki o przyrodzie tych okolic.

– Dał mi je pan Ladisław – odparła panna Noble. – To niemieckie pudełeczko, bardzo ładne, ale jak upadnie, to zawsze gdzieś się bardzo szybko potoczy.

– Och, jeśli to prezent od pana Ladysława – powiedział pastor tonem pełnego zrozumienia, po czym wstał i zaczął poszukiwania. Znalaziono wreszcie pudełeczko pod komodą, a panna Noble chwyciła je uszczęśliwiona, mówiąc:

– Ostatnim razem było pod kominkiem.

– To jest sercowa sprawa mojej ciotki – tłumaczył ze śmiechem pastor Dorotei, gdy usiedli ponownie.

– Jeśli Henrietta Noble przywiąże się do kogo – oznajmiła z emfazą jego matka – to jest jak pies. Brałaby jego buty zamiast poduszki i tym smaczniej by spała.

– Na butach pana Ladysława spałabym, to prawda – oznajmiła panna Noble.

Dorocea usiłowała odpowiedzieć na to uśmiechem. Ze zdumieniem i przykrością stwierdziła, że serce bije jej gwałtownie, wszelkie usiłowania, by odzyskać humor, są bezskuteczne. Przestraszona własną reakcją, w obawie, że ponownie się zdradzi ze zmianą, jaka zaszła w niej tak wyraźnie, wstała, mówiąc z nieukrywanym niepokojem:

– Muszę już iść. Przemęczyłam się dzisiaj.

Pastor, który był człowiekiem spostrzegawczym, podniósł się natychmiast.

– To prawda, musiały panią wyczerpać te rozmowy z doktorem Lydgate. Człowiek zawsze płaci za tego rodzaju wysiłki, kiedy już podniecenie minie.

Podał jej ramię i odprowadził do dworu, ale Dorocea nie próbowała już mówić, nawet gdy się z nią żegnał.

Doszła do kresu wytrzymałości i teraz poddała się, bezradna,

przyływowi bólu, od którego nie było ucieczki. W kilku cichych słowach odprawiła Tantripp, zamknęła drzwi na klucz, odwróciła się twarzą do pustego pokoju i ścisnąwszy mocno dłońmi głowę, jęknęła:

– Och, jakże go kochałam!

A potem przyszała godzina, kiedy cierpienie wstrząsało nią zbyt mocno, by zostawić siły na zebranie myśli. Zdolna była tylko wołać głośnym szeptem, wśród szlochów, za utraconą wiarą, którą zasiała i którą hodowała od małego ziarna, rzuconego w Rzymie – za swoją utraconą radością, jaką było obdarzanie niemyim uczuciem i zaufaniem kogoś, kto niedoceniany przez innych, w jej oczach zasługiwał na uznanie – za swoją utraconą kobiecą dumą, że króluje w jego pamięci – za mglistą, słodką perspektywą nadziei, że spotkają się gdzieś, na jakiejś ścieżce, z takim samym szacunkiem dla siebie, i uznają te minione lata za wczorajszy dzień.

Podczas tej godziny powtórzyło się to, co łaskawe oczy samotności oglądają od wieków, gdy ktoś boryka się z czymś w duszy – prosiła niewygody i zimno, i dolegliwe zmęczenie, by przyniosły jej ulgę od tej tajemniczej bezcielesnej potęgi cierpienia; leżała na gołej podłodze, pozwalając, by noc spowijała ją coraz większym chłodem. Ciałem tej wspaniałej kobiety wstrząsały łkania, jak ciałem zrozpaczonego dziecka.

Dwa obrazy – dwie żywe istoty rozdzierały jej serce na dwoje, niby serce matki, która widzi w wyobraźni swoje dziecko rozpołowione mieczem i przyciska do serca jedną krwawiącą połowę, podczas gdy wzrok jej podąża z rozpaczą za tą drugą połową unoszoną przez kłamczynię, która nigdy nie zaznała matczynego cierpienia.

Oto na odległość uśmiechu odpowiadającego na uśmiech, w wibrującej przestrzeni dwojga głosów, stał ktoś promienny, komu wierzyła – kto przyszedł jak duch poranka do ponurej krypty, gdzie siedziała jako oblubienica dogasającego ludzkiego istnienia; z pełną świadomością,

która się teraz dopiero w niej zbudziła, wyciągała ku niemu ramiona i płakała gorzko, że ten obraz ich bliskości jest pożegnaniem: odkryła bowiem przed sobą swoją miłość w wypowiedzianych bez wahania słowach rozpacz. A tam, osobny, a jednak wciąż z nią związany, poruszający się w ślad za nią, był ten Will Ladislaw, który uosabiał odmienioną, odartą z nadziei wiarę, złudzenie przyłapanie na gorącym uczynku – nie, to był żywy człowiek, lecz taki, do którego poprzez zaporę pogardy, oburzenia i zazdrosnej, zranionej dumy nie mógł się przebić żalosny jęk współczucia. Ogień gniewu Dorotei nieprędko wygasiał i buchał płomieniem w nawrotach pogardliwych zarzutów. Po co jak natręt wszedł w jej życie, które przecież i bez niego mogłoby być pełne. Po cóż ją obdarzał tymi swoimi tanimi względami i czczym słowem, ją, która nie miała mu w zamian nic tandetnego do zaferowania? Wiedział, że ją zwodzi – pragnął, w momencie ich pożegnania, sprawić, by uwierzyła, że daje jej pełną wartość swojego serca, a przecież wiedział, że połowa nie należy już do niego. Czemu nie został wśród tego pospólstwa, od którego nic nie chciała – modliła się tylko, by zasługiwało na mniejszą pogardę.

Wreszcie zabrakło jej sił nawet na te jęki i głośno szeptane wołania: przeszła do bezradnego łkania i wśród szlochów zapadła w sen.

W chłodnym brzasku poranka, kiedy wokół niej zalegał półmrok, obudziła się – nie ze zdumieniem, gdzie też jest ani co się stało, ale z jasnym poczuciem, że patrzy wprost w oczy smutku. Wstała, narzuciła na ramiona coś ciepłego i usiadła w wielkim fotelu, w którym niegdyś tak często czuwała. Była dostatecznie silna, by znieść taką ciężką noc bez fizycznych dolegliwości, tyle że czuła się zmęczona i trochę obolała, obudziła się jednak w innym stanie. Miała wrażenie, że w duszy jej skończył się ten straszny konflikt: nie walczyła już ze swym smutkiem, lecz potrafiła usiąść z nim jak z dozgonnym towarzyszem i uczynić z niego współnika swoich myśli. Teraz bowiem myśli napływały chmarą.

Nie leżało w naturze Dorotei zamykać się na dłużej w wąskiej celi swojej klęski, w otepionym nieszczęściem poczuciu, że cudzy los to – wobec jej losu – sprawa drugorzędna.

Zaczęła teraz, celowo, przeżywać od nowa wypadki wczorajszego przedpołudnia, zmuszając się do przemyślenia każdego szczegółu i zastanowienia się nad jego ewentualnym znaczeniem. Czy była sama na tej scenie? Czy to, co się stało, dotyczyło tylko jej? Zmusiła się do myślenia o minionym wydarzeniu jako o czymś, co było związane z życiem innej kobiety – kobiety, do której wyruszyła, chcąc wnieść pociechę i ład w jej okrytą chmurami młodość. W pierwszym wybuchu zazdrosnego oburzenia i wstrętu, kiedy opuszczała ten okropny pokój, wyrwała z serca całą litość, jękając do tej wizyty przywiodła. Objęła zarówno Willa, jak Rozamundę swoją płomienną pogardą i wydawało się jej, że Rozamunda na zawsze przestała dla niej istnieć. Lecz takie nieszlachetne impulsy, które sprawiają, że kobieta więcej okazuje okrucieństwa rywalce niż niewiernemu kochankowi, nie mogły długo zagrzewać miejsca w umyśle Dorotei i musiały pierzchnąć, gdy do głosu doszło dominujące poczucie sprawiedliwości, uciszając zamęt i ukazując właściwą miarę rzeczy. Powróciły teraz znowu z całą siłą wszystkie żywe myśli, jakimi ogarniała smutny los Lydgate'a i rozpamiętywała jego młody związek małżeński, który, podobnie jak jej własny, przechodził jakieś ukryte i jawne kryzysy; przypominały się te pełne życzliwości rozważania, tak jak przypomina się zdobyta na jakiś temat wiedza, nie pozwalając, byśmy posiadłszy ją, widzieli sprawy tak samo jak poprzednio. Powiedziała sobie, że jej nieodparty smutek zamiast powstrzymywać ją od działania, winien sprawić, że okaże się bardziej pomocną.

Jakież to nieszczęścia mogą się stać udziałem tych trojga ludzi, z którymi kontakt nałożył na nią zobowiązanie, jakby to byli suplikanci ze świętą gałązką. To nie wyobraźnia szukała dla niej tych, których miała

ratować: to oni zostali dla niej wybrani! Tęskniła do pełnego Dobra, aby mogło znaleźć w jej duszy tron i władać jej omylną wolą. „Cóż powinnam uczynić, jak powinnam postąpić dziś, teraz, dzisiejszego dnia, jeślibym zdołała zdusić własny ból i przymusić go do milczenia, a myśleć o tych trojgu?”.

Długi upłynął czas, nim postawiła sobie to pytanie; do sypialni wdzierało się już światło. Odsunęła zasłony i wyjrzała na odcinek gościńca leżący w zasięgu jej wzroku, na pola ciągnące się dalej, za bramą wjazdową. Drogą szedł mężczyzna z węzłkiem na plecach i kobieta z niemowlęciem na ręku: na polu widziała poruszające się sylwetki – może to pasterz ze swym psem. Daleko, na nieboskłonie, perliło się światło i Dorotę przejęło poczucie wielkości tego świata i mnogości ludzi budzących się do pracy i do trwania. Stanowiła część tego bezwiednie pulsującego życia i nie mogła ani patrzeć na nie ze swego luksusowego schronienia jako zwykły widz, ani zamykać oczu, oddając się samolubnym narzekaniom.

Nie wydawało się jeszcze całkiem jasne, co postanowi dzisiaj robić, ale coś, czego mogłaby dokonać, poruszało ją niby rosnący poszum, który wkrótce stanie się wyrazisty. Zdjęła suknie, wyglądające, jakby nabrały nieco owego znużenia wywołanego trudem czuwania, i zaczęła robić toaletę. Po chwili zadzwoniła na Tantripp, która przyszła w szlafroku.

– Cóż to takiego! Pani przez całą noc nie kładła się do łóżka?! – wybuchnęła pokojówka, spoglądając najpierw na łóżko, a potem na twarz Dorotei, która, mimo kąpieli, miała blade policzki i zaczerwienione powieki niby *mater dolorosa*. – Pani się zabije, zobaczy pani. Człowiek mógłby pomyśleć, że ma pani prawo dać sobie trochę odpoczynku.

– Nie bój się, Tantripp – uśmiechnęła się do niej Dorotea. – Spałam; nie jestem chora. Chętnie wypiję filiżankę kawy, i to jak najszybciej. I przynieś mi, proszę, moją nową suknię, i pewno będę chciała włożyć

dzisiaj nowy kapelusz.

– Leżą już, jedno i drugie, gotowe od miesiąca i dłużej, a ja Bogu będę dziękować, jak zobaczę na pani mniej krepy choćby za kilka funtów – mówiła, pochylając się, by rozpaścić ogień. – Żałobę nosić trzeba, zawsze to powtarzam: trzy zakładki u dołu spódnicy i proste rurkowanie przy kapeluszu, a wygląda pani jak anioł w prostym rurkowaniu, tak przystoi w drugim roku. Przynajmniej ja tak uważam – zakończyła Tantripp, spoglądając niespokojnie na ogień – i gdyby się ktoś chciał ze mną ożenić, pochlebając sobie, że ja bym nosiła po nim te straszne welony przez dwa lata, toby się przez swoją próżność oszukał i tyle.

– Wystarczy tego ognia, moja Tan – powiedziała Dorotea jak za dawnych lozańskich czasów, tylko bardzo cicho. – Przynieś mi kawy.

Zwinęła się w wielkim fotelu i oparła na nim głowę, nieruchomiejąc w zmęczeniu, a Tantripp wyszła, zastanawiając się nad tą dziwną przekorą swej młodej pani, która tego właśnie ranka, kiedy jej twarz bardziej niż kiedykolwiek wyglądała na wdowią, prosi o lżejszą żałobę, zdecydowanie przedtem odrzucaną. Tantripp nigdy nie znalazłaby klucza do tej tajemnicy. Dorotea chciała okazać, że grzebiąc swoją osobistą radość, nie zamierza rezygnować z czynnego życia, a tradycyjne przekonanie, że wszelki początek łączy się z nowym ubiorem, kazało jej szukać choćby takiego zewnętrznego wsparcia dla ostatecznej decyzji. Decyzja bowiem nie była łatwa.

A mimo to o jedenastej Dorotea szła do Middlemarch, postanowiwszy, że cicho i spokojnie podejmie jeszcze raz staranie, aby zobaczyć i uratować Rozamundę.

ROZDZIAŁ LXXXI

Du Erde warst auch diese Nacht beständig,
Und athmest neu erquickt zu meinen Füßen,
Beginnest schon mit Lust mich zu umgeben,
Du regst und rührst ein kräftiges Beschliessen
Zum höchsten Dasein immerfort zu streben.

Ty, ziemio, noc dzisiejszą też przetrwałaś
I orzeźwiona dyszysz u mych stóp,
Zaczynasz zrazu chęcią mnie napawać,
Poruszasz we mnie, budzisz słuszną myśl,
Bym wiecznie dążył, gdzie najwyższy Byt.[137]

Johann Wolfgang Goethe, *Faust*, cz. 2, w.

69-73

Gdy Dorotea stanęła ponownie w progu domu doktora, zwracając się do Marty, Lydgate był w pokoju tuż obok, przy otwartych drzwiach, i szykował się do wyjścia. Usłyszał głos i Dorotei i wyszedł do niej natychmiast. – Czy sądzi pan, że żona mogłaby mnie dzisiaj przyjąć? – zapytała, uznawszy, że lepiej będzie nie wspominać o poprzedniej wizycie.

– Nie mam wątpliwości, że panią przyjmie – odparł, tłumiąc myśl, że Dorotea jest równie zmieniona, jak Rozamunda – proszę łaskawie wejść i pozwolić mi, bym ją uprzedził o pani przyjściu. Wczoraj, po pani wizycie,

[137] Przeł. Bernard Antochewicz.

nieco zasłabła, ale dziś już lepiej się czuje i sędzę, że pokrzepi ją ponowna rozmowa z panią.

Było oczywiste, że tak jak się Dorotea spodziewała, doktor nic nie wie o okolicznościach jej wczorajszej bytności, a nawet sądzi, że powiedziała podczas niej to, co zamierzała. Dorotea miała przygotowany liścik do Rozamundy z prośbą o widzenie, który wręczyłaby służącej, gdyby Lydgate się nie pojawił; teraz zaczęła się obawiać o skutek, jaki przyniesie jego pośrednictwo.

Wprowadził ją do salonu, a tam zatrzymał się, wyciągnął z kieszeni list i podając jej, powiedział:

– Napisałem to wczoraj wieczór i chciałem zawieźć do Lowick po drodze. Kiedy człowiek jest wdzięczny za dobroć zbyt wielką na zwykłe podziękowania, słowa pisane wydają mu się mniej ubogie niż mówione, przynajmniej się nie *słyszy*, jak bardzo są niewspółmierne.

Twarz Dorotei pojaśniała.

– To ja powinnam dziękować za to, że pozwolił mi pan zająć to miejsce. Bo pan się zgodził, prawda? – zapytała, zwątpiwszy nagle.

– Tak, czek idzie dzisiaj w liście do Bulstrode’a.

Nie mówił już nic więcej, ale poszedł na górę do Rozamundy, która przed chwilą skończyła toaletę i siedziała ociężale, zastanawiając się, co by mogła teraz robić, gdyż nawyk zajmowania się jakimiś drobiazgami, nawet w dniach smutków, skłaniał ją do wyszukiwania sobie zajęcia, które wykonywała ospale lub porzucała z braku zainteresowania. Wyglądała źle, ale odzyskała już zwykły spokój i Lydgate bał się go zakłócić jakimikolwiek pytaniami. Powiedział jej był uprzednio o liście Dorotei, zawierającym czek, a potem dodał: „Przyjechał Ladisław, Rozo. Siedział ze mną wczoraj wieczorem; przypuszczam, że wieczorem też się pokaże. Wydał mi się przybity i zmęczony”. A Rozamunda nie odpowiedziała na to ani słowem.

Teraz, wszedłszy na górę, zwrócił się do niej łagodnym tonem:

– Rozo, kochanie, pani Casaubon przyszła cię ponownie odwiedzić; zechcesz ją przyjąć, prawda? – Nie zdziwiło go, że się zaczerwieniła i drgnęła, widział przecież, jak wielkim przeżyciem było dla niej wczorajsze spotkanie – dobroczynnym przeżyciem, sądził, gdyż sprawiło, że obróciła się ku niemu.

Rozamunda nie śmiała odpowiedzieć odmownie. Nie śmiała tonem głosu poruszyć wydarzeń wczorajszego dnia. Czemu pani Casaubon znowu przyszła? Odpowiedzią była pustka, którą Rozamunda wypełniła lękiem, gdyż miażdżące słowa Willa sprawiły, że każda myśl o Dorotei była świeżym bólem. Mimo to, teraz, w tym nowym stanie upokarzającej niepewności, nie ośmieliła się zrobić nic innego jak ustąpić. Nie powiedziała „tak”, ale wstała i pozwoliła, by mąż zarzucił jej lekki szal na ramiona, mówiąc: „Zaraz wychodzę”. Wtem jakaś myśl przebiegła jej przez głowę: „Powiedz Marcie – zwróciła się do męża – żeby nie wprowadzała nikogo do salonu”. I Lydgate zgodził się, sądząc, że to zupełnie zrozumiałe życzenie. Sprowadził ją na dół, do drzwi salonu, a potem wyszedł, myśląc w duchu, że żaden z niego mąż, jeśli zaufanie żony do niego zależy od wpływu innej kobiety.

Rozamunda, otulając się po drodze miękkim szalem, otulała wewnętrznie własnego ducha zimną rezerwą. Czy pani Casaubon przyszła powiedzieć jej coś o Willu? Jeśli tak, to pozwala sobie na zbyt wiele: przygotowała się więc na przyjmowanie jej słów z grzeczną obojętnością. Will tak bardzo zranił jej dumę, że nie będzie wobec niego i Dorotei poczuwać się do skruchy. Własna krzywda wydawała się jej o wiele większa. Dorotea była nie tylko tą, którą „wolał”, lecz miała potężną przewagę jako dobroczyńca Lydgate’a. W obolałym pomieszaniu wydawało się biednej Rozamundzie, że ta pani Casaubon – ta kobieta, która dominowała nad całym swym otoczeniem – przyszła tu pewno

w poczuciu swojej wyższości, powodowana urazą, która ją skłania do wykorzystania tej wyższości. I doprawdy, nie tylko Rozamunda, ale każdy, kto by znał jedynie zewnętrzny opis faktów, nie zaś powody, które pchnęły Dorotę do działania, musiałby się zastanowić, po co tu przyszła.

Niby własny czarujący duch, spowita cienkim, białym szalem, wiotka i wdzięczna o zaokrąglonych dziecinnie ustach i policzkach sugerujących nieodparcie łagodność i niewinność, Rozamunda stanęła o trzy kroki od gościa i skłoniła się. Lecz Dorotea, ściągawszy rękawiczki, pchnięta impulsem, któremu zawsze ulegała, kiedy pragnęła poczucia swobody, wyszła ku niej ze słodkim, choć smutnym spojrzeniem i wyciągnęła rękę. Rozamunda nie mogła uniknąć jej wzroku, nie mogła też nie wysunąć swej drobnej dłoni do Dorotei, która ujęła ją z macierzyńską łagodnością – i natychmiast w umyśle biedaczki podniosły się wątpliwości co do własnych przewidywań. Rozamunda potrafiła bystro ocenić cudzy wygląd – spostrzegła, że twarz pani Casaubon jest blada i zmieniona od wczoraj, lecz łagodna, i że jest w niej ta sama mocna delikatność co w dłoni. Lecz Dorotea przeliczyła się z własnymi siłami: jasność i intensywność jej myśli tego ranka były skutkiem ogromnego nerwowego napięcia, które sprawiało, że stała się niebezpiecznie wrażliwa i nieodporna, niby najwspanialszy kryształ wenecki. Spoglądając na Rozamundę, poczuła nagle, że wzbierają w niej uczucia uniemożliwiające wypowiedzenie choćby jednego słowa – wszystkie wysiłki skupiła na powstrzymaniu łez. Udało się i całe wrażenie przesunęło się tylko przez jej twarz niby duch szlochów – ale Rozamunda coraz wyraźniej czuła, że jej gość jest w zupełnie innym stanie, niż sobie wyobrażała.

Usiadły więc bez słowa wstępu na dwóch najbliższych krzesłach, które, tak się zdarzyło, stały obok siebie, choć Rozamunda, gdy witała przybyłą, zamierzała trzymać się od niej z daleka. Ale teraz przestała już myśleć, jak to się wszystko ułoży, zastanawiała się tylko, co będzie dalej.

Dorotea zwróciła się do niej bardzo prosto, nabierając pewności, w miarę jak mówiła.

– Przyszłam tu wczoraj w pewnej sprawie, której nie załatwiłam; dlatego tak szybko jestem z powrotem. Nie pomyśli pani, że się narzucam, kiedy powiem, że przyszła porozmawiać o niesprawiedliwości, jaką wyrządzono mężowi pani. Będzie pociechą dla pani – nieprawdą? – usłyszeć o nim wiele rzeczy, o jakich być może sam nie chce mówić, właśnie dlatego, że go usprawiedliwiają i przynoszą mu honor. Będzie pani miło usłyszeć, że pani mąż ma oddanych przyjaciół, którzy nie przestali ufać w prawość jego charakteru. Zgodzi się pani, bym o tym mówiła, nie uważając, że pozwalam sobie na zbyt wiele, prawda?

Serdeczny, błagalny ton, który jakby przepływał wielkoduszną lekkością ponad owymi faktami, które wypełniały myśli Rozamundy, stanowiąc przyczynę jej oporu i niechęci do tej kobiety, był tak kojący jak ciepły powiew nad jej malejącymi obawami. Oczywiście, że pani Casaubon ma owe fakty w pamięci, ale nie będzie mówiła o niczym, co ma z nimi związek. Ulga, jaka przyszła, była zbyt wielka, by Rozamunda mogła w tej chwili odczuć cokolwiek innego. Odpowiedziała wdzięcznie, z poczuciem, że kamień spadł jej z serca:

– Wiem, że pani okazała wiele dobroci. Chętnie posłucham wszystkiego, co zechce mi pani powiedzieć o Tertiusie.

– Przedwczoraj – mówiła Dorotea – kiedy poprosiłam go, aby przyjechał do Lowick i przedstawił mi swoje zdanie w sprawach dotyczących szpitala, opowiedział mi wszystko o tym, jak postąpił i co myśli o owym smutnym wydarzeniu, które sprawiło, że ludzie nie znający prawdy rzucili na niego podejrzenie. Powiedział mi to dlatego, że okazałam wielką śmiałość i poprosiłam go o to. Wierzyłam, że nigdy nie postąpiłby haniebnie, i nalegałam, aby mi wszystko opowiedział. Przyznał, że nie rozmawiał o tym z nikim, nawet z panią, ponieważ czuł

niechęć do zapewniania o swojej niewinności, jakby to mógł być dowód, zwłaszcza że mówi to tylu prawdziwych winowajców. W istocie nic nie wiedział o tym człowieku, Rafflesie, ani o tym, że wiązała się z nim jakaś zdrotna tajemnica; sądził, iż pan Bulstrode zaproponował mu pieniądze, ponieważ sumienie mu wyrzucało, że uprzednio ich odmówił. Całą troskę o chorego skupił na tym, by leczyć go w należyty sposób, i odczuł pewien niepokój, kiedy choroba nie zakończyła się tak, jak tego oczekiwał, ale uważał wówczas, a i dzisiaj uważa, że być może w tej sprawie nie było żadnej winy z niczyjej strony. Powiedziałaam to pastorowi Farebrotherowi i panu Brooke, i sir Jamesowi Chettamowi i oni wszyscy ufają słowom pani męża. To panią podniesie na duchu, prawda? To pani doda odwagi?

Ożywienie promieniejące z twarzy Dorotei rzucało blaski na pochylającą się ku niej twarz Rozamundy, która wobec tego bezinteresownego entuzjazmu czuła trwożne onieśmielenie jak wobec surowego zwierznika. Powiedziała, rumieniąc się z zakłopotaniem:

– Dziękuję, pani jest bardzo łaskawa.

– I wydaje mi się, że postąpił źle, nie wyjawiając pani tego wszystkiego. Ale pani mu przebaczy. To dlatego, że ponad wszystko inne ważne jest dla niego pani szczęście. Zdaje sobie sprawę, że jego życie jest splecione w jedno z pani życiem, i najbardziej go boli, że jego niepowodzenie musi dotyczyć panią. Był zdolny mówić mi to wszystko, ponieważ jestem osobą postronną. Wtedy zapytałam, czy mogę przyjść i złożyć pani wizytę, bo tak bardzo współczułam jego zgryzocie i pani zmartwieniu. Dlatego przyszedłam wczoraj i dlatego jestem tu dzisiaj. Tak trudno znieść niedolę, prawda? Jakże można żyć, wiedząc, że ktoś ma zmartwienia, straszne zmartwienia, i nie starać się przyjść z pomocą?

Porwana uczuciami, które wypowiadała, Dorotea zapomniała o wszystkim prócz tego, że mówi Rozamundzie z głębi serca o swoim własnym nieszczęściu. Wzruszenie coraz mocniej przenikało jej słowa,

aż wreszcie ton jej głosu stał się przejmujący do szpiku kości, niby cichy krzyk w ciemnościach istoty cierpiącej. Nieświadomie położyła dłoń na drobnej rączce, którą przed chwilą uścisnęła.

Ogarnięta obezwładniającym bólem, jakby sondowano jej ranę, Rozamunda wybuchnęła histerycznym płaczem, jak poprzedniego dnia, gdy przytuliła się rozpaczliwie do męża. Biedna Dorotea poczuła wzbierającą w niej ogromną falę powracającego smutku, gdyż przyszło jej do głowy, że Will Ladislaw może być przyczyną tego wewnętrznego rozdarcia. Zaczęła się obawiać, że sama nie zdoła zapanować nad sobą do końca tego spotkania i gdy jej ręka spoczywała w dalszym ciągu na kolanach Rozamundy, choć ta wysunęła swą dłoń, Dorotea walczyła z własnym szlochem. Starła się opanować, uzmysławiając sobie, że to może być zwrotny punkt w życiu trzech istot – nie w jej życiu, nie, nieodwracalne już się dokonało – ale w życiu tych trzech istot, które zetknęły się z jej życiem w dostojnym sąsiedztwie niebezpieczeństwa i niedoli. Ta krucha, płacząca obok istota... może jeszcze zdąży się ją uratować od nieszczęścia fałszywych, wykluczających się nawzajem związków; to jest osobliwa chwila, mogą się już nigdy nie spotkać przejęte tą wspólną świadomością wczorajszego dnia. Miała wrażenie, że to, co je w tej chwili łączy, jest na tyle szczególne, iż pozwoli jej wyrzucić wpływ na Rozamundę, choć nie wiedziała, że ta ostatnia dobrze się orientuje, jakiego rodzaju związek uczuciowy ma z tą sprawą jej rozmówczyni.

Nawet Dorotea nie mogła sobie wyobrazić, jaką niezwykłością jest to przesilenie dla Rozamundy: wciąż jeszcze była pod wpływem pierwszego, wielkiego wstrząsu, który obrócił w gruzy jej świat marzeń, gdzie tak była pewna siebie i tak krytyczna wobec innych – a teraz spotkała się z tą dziwną, nieoczekiwaną manifestacją uczuć kobiety, do której podchodziła z chłodną niechęcią i lękiem, przekonana o jej zazdrości i nienawiści. Wszystko to wywoływało w głowie Rozamundy ogromny zamęt i

biedaczka czuła, że błąka się po jakimś nieznanym świecie, który się właśnie przed nią rozwarł.

Gdy drgania w gardle Rozamundy zaczęły się uspokajać i usunęła chusteczkę, którą zakrywała sobie twarz, oczy jej bezradnie spotkały wzrok Dorotei jak dwa niebieskie kwiaty. I jak tu myśleć o zachowaniu pozorów po takim płaczu? A Dorotea wyglądała niemal równie dziecinnie z zaschniętymi śladami cichych łez. Dumna rezerwa między tymi dwiema kobietami została przełamana.

– Mówiliśmy o mężu pani – podjęła Dorotea nieco lękliwie. – Wydawało mi się kilka dni temu, że cierpienie bardzo się odbiło na jego wyglądzie. Nie widziałam go od kilku tygodni. Powiedział mi, że czuł się bardzo samotny w swoim ciężkim strapieniu, ale sądzę, że zniósłby je o wiele lepiej, gdyby był wobec pani całkiem otwarty.

– Tertius gniewa się i taki jest niecierpliwý, jeśli ja coś powiem. – Rozamunda wyobrażała sobie, że on skarżył się na nią przed Doroteą. – Nie powinien się dziwić, że nie chcę z nim rozmawiać o przykrych rzeczach.

– On siebie za to winił – odparła Dorotea. – O pani mówił tylko, że nie byłby szczęśliwy, robiąc coś, co unieszczęśliwiłoby panią, że małżeństwo to, rzecz oczywista, zobowiązanie, które musi mieć wpływ na każdy jego wybór; właśnie dlatego odmówił mojej propozycji, aby zachował swoje stanowisko w szpitalu, ponieważ to zmuszałoby go do pozostania w Middlemarch, a on nie chciałby się decydować na coś, co okazałoby się pani niemiłe. Był w stanie to wszystko mi powiedzieć, ponieważ wie, że miałam wiele ciężkich przeżyć w moim małżeństwie, odkąd choroba męża zniweczyła jego plany i pogrążyła w przygnębieniu: mąż pani zdawał sobie sprawę, że wiem, jakie to trudne żyć w ciągłym lęku, iż zranimy kogoś, z kim jesteśmy związani.

Dorotea przerwała na chwilę: zauważyła, że na twarzy Rozamundy

ukazuje się nikły wyraz zadowolenia. Ponieważ nie było odpowiedzi, ciągnęła z rosnącym drżeniem.

– Małżeństwo jest tak inne niż wszystko. W bliskości, jaką niesie, kryje się niemal coś strasznego. Nawet gdybyśmy kochali kogoś bardziej niż... tego, kogośmy poślubili, na nic by się to nie zdało – biedna Dorotea, drżąca z lęku, niezdarnie składała słowa – to znaczy, małżeństwo obiera taką miłość z mocy dawania czy brania uświęcającego poczucia szczęścia. Wiem, że może ona być bardzo droga... ale zadaje śmierć naszemu małżeństwu... a wówczas pozostaje ono z nami jak umarłe, a wszystko inne też jest zmarnotrawione. I wtedy nasz mąż... jeśli nas kochał i ufał nam, a myśmy mu nie dopomogli, lecz stali się przekleństwem jego życia...

Głos jej przechodził w coraz cichszy szept... Bała się pozwolić sobie na zbyt wiele, by nie wydała się jak cnota napominająca występki. Zbyttno była przejęta własnym niepokojem, by zdawać sobie sprawę, że i Rozamunda drży; przepełniona pragnieniem, by wyrazić współczujące braterstwo, a nie naganę, położyła ręce na dłoniach Rozamundy i ciągnęła gwałtownie i szybko:

– Wiem, wiem, że to uczucie może być ogromnie cenne... spadło na nas mimo woli... to takie trudne... rozstanie może się wydawać jak śmierć... i jesteśmy słabi, ja jestem słaba...

Fale własnego smutku, któremu się opierała, by uratować drugiego człowieka, zalewały teraz Doroteę z przemożną siłą. Urwała, przejęta, niezdolna do wypowiedzenia słowa, nie płacząc, lecz czując, jakby coś się w niej zacięło. Twarz jej powlekleła śmiertelna bladość, wargi drżały, przycisnęła bezradnie dłonie do leżących pod nimi rąk.

Rozamundę porwał strumień emocji silniejszej niż własna i poddała się temu nurtowi, w którym wszystko przybierało nowy, straszny, nieokreślony wyraz. Nie potrafiła znaleźć słów, lecz bezwiednie

przycisnęła wargi do czoła Dorotei, które było tuż-tuż i przez kilka chwil obie kobiety trwały tak w uścisku jak dwoje rozbitków.

– To, co pani myśli, to nieprawda – zaczęła półszepsem Rozamunda, prędko, póki te ramiona Dorotei będą ją obejmować, popychana tajemniczą potrzebą wyzwolenia się od czegoś dręczącego, co było niby poczucie winy za krwawy występki.

Odsunęły się i popatrzały na siebie.

– Kiedy pani tu przysła wczoraj, to nie było tak, jak się pani wydało – ciągnęła Rozamunda tym samym tonem.

Dorotea poruszyła się, zaintrygowana i zdumiona. Sądziła, że Rozamunda zacznie się usprawiedliwiać.

– Opowiadał mi, jak bardzo kocha inną, żebym uzmysłowiła sobie, iż nigdy nie mógłby mnie pokochać. – Rozamunda, w miarę słów, mówiła coraz szybciej i szybciej. – A teraz chyba mnie znienawidził za to, że pani opacznie wszystko rozumiała. Mówił, że to przeze mnie pani będzie o nim źle myślała, uważała go za człowieka fałszywego. Ale to nie będzie przeze mnie. Nigdy mnie ani trochę nie kochał, wiem o tym, zawsze miał mnie za nic. Powiedział wczoraj, że nie istnieje dla niego żadna kobieta na świecie oprócz pani. To, co się stało wczoraj, to wyłącznie moja wina. Mówił, że przez wzgląd na mnie nigdy już tego pani nie wyjaśni i że pani już nigdy nie będzie o nim dobrze myślała. Ale teraz wszystko pani powiedziałam i nie będzie już mógł nic mi wyrzucić.

Rozamunda otworzyła przed rozmówczynią duszę pod wpływem sił, których dotąd nie znała. Zaczęła swoją spowiedź poruszona do głębi wzruszeniem Dorotei, a w miarę jak mówiła, zaczęło jej się zdawać, że odpiera wyrzuty Willa, które wciąż pozostawały otwartą raną.

Zwrot uczuć Dorotei był zbyt silny, by można go nazwać radością. Był to jakiś zamęt, któremu ogromne napięcie nocne i poranne stawiało bolesny opór: jedyne, co do niej dotarło, to że dozna radości, gdy

odzyska możliwość odczuwania czegokolwiek. W tym momencie czuła przede wszystkim przyływ bezgranicznej życzliwości: mogła teraz bez przeszkód lubić Rozamundę, odpowiedziała więc z powagą na jej ostatnie słowa:

– Nie, teraz już nie będzie mógł pani nic wyrzucać.

Wrodzona skłonność do przeceniania cudzych zalet sprawiła, że serce jej wybiegło ku Rozamundzie, przepełnione ogromną wdzięcznością za wielkoduszny wysiłek, który uwolnił ją od cierpienia; nie pomyślała nawet, że ten wysiłek był rezultatem jej postępowania.

Po chwili milczenia zapytała:

– Nie żałuje pani, że przyszłam dzisiaj?

– Nie. Pani była dla mnie bardzo dobra – odparła Rozamunda. – Nie przypuszczałam, że pani będzie taka dobra. Byłam bardzo nieszczęśliwa. I dalej nie jestem szczęśliwa. Wszystko wydaje się takie smutne.

– Ale przyjdą lepsze dni. Pani mąż zostanie należycie doceniony. I oczekuje od pani pocieszenia. Kocha panią bardzo. Gdyby to pani utraciła, poniosłaby największą stratę, ale przecież nadal panią kocha.

Dorotea starała się odsunąć obezwładniającą myśl o uldze, jakiej sama doznała, pragnąc zdobyć jakieś świadectwo tego, że serce Rozamundy wybiega znów ku mężowi.

– Więc Tertius nie skarżył się na mnie? – pytała Rozamunda, świadoma teraz, że jej mąż mógł wszystko mówić pani Casaubon, gdyż ona tak bardzo różni się od innych kobiet. Może nawet w tym pytaniu zabrzmiał leciutki ton zazdrości. Uśmiech zaczął bawić na twarzy Dorotei, gdy odpowiedziała:

– Ależ skąd! Jak mogła pani pomyśleć coś podobnego! – W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Lydgate.

– Wróciłem w charakterze lekarza – oznajmił. – Po wyjściu nawiedzał mnie obraz dwóch bladych twarzy: pani Casaubon wyglądała, jakby

potrzebowała takiej samej pomocy jak ty, Rozo. Pomyślałem więc, że zaniedbałem swoje obowiązki, pozostawiając tu panie same, i po wizycie u Colemana wróciłem do domu. Zauważyłem, że przyszła pani piechotą, a niebo się chmurzy i możemy mieć deszcz. Czy mogę posłać kogoś, by sprowadził dla pani powóz?

– Och, jestem silna; spacer dobrze mi zrobi. – Dorotea podniosła się z ożywieniem malującym się na jej twarzy. – Długo rozmawialiśmy z pana żoną i czas już na mnie. Zawsze mi zarzucano, że jestem nieumiarkowana i że mówię za dużo.

Wyciągnęła rękę do Rozamundy i pożegnały się z powagą, bez żadnych pocałunków czy innych oznak wylewności: zbyt wiele łączyło je teraz prawdziwych uczuć, by dawać im sztuczny wyraz.

Kiedy Lydgate odprowadzał Dorotę do wyjścia, nie mówiła mu nic o Rozamundzie, ale o pastarze Farebrotherze i innych przyjaciotach, którzy z wiarą przyjęli jego relację.

Gdy wrócił do żony, ta rzuciła się właśnie na sofę ze zmęczeniem i rezygnacją.

– No cóż, Rozo – zaczął, stając nad nią i dotykając jej włosów – cóż myślisz o pani Casaubon, teraz, kiedy z nią tak długo rozmawiałeś?

– Myślę, że musi być lepsza niż wszyscy... I jest bardzo piękna. Jeśli będziesz tak często chodził do niej na rozmowy, to zrobisz się bardziej ze mnie niezadowolony.

Lydgate roześmiał się z owego „tak często”.

– Ale czy sprawiła, że ty jesteś mniej ze mnie niezadowolona?

Chyba tak. – Rozamunda podniosła ku niemu twarz. – Jakie ty masz zmęczone oczy, Tertius...^Å odgarnij włosy. – Podniósł posłusznie dużą białą dłoń i poczuł wdzięczność za tę drobną oznakę zainteresowania. Wracająca z poniewierki wyobrażenia biednej Rozamundy była ciężko doświadczona – i dostatecznie pokorna, by się wtulić w pogardzane

dawniej schronienie. A to schronienie dalej istniało. Lydgate ze smutnym zrezygnowaniem przyjął swój zubożony los. Wybrał tę kruchą istotę i wziął na swoje ramiona ciężar jej życia. Musi iść naprzód, jak się da, niosąc litośnie ten ciężar.

ROZDZIAŁ LXXXII

Przed nami smutki – szczęście pozostało w tyle[138].

William Shakespeare, *Sonet 50*

Wygnańcy, jak wiadomo, żywią się często nadziejami i rzadko Mjr pozostają na wygnaniu, jeśli nie są do tego zmuszeni. Decydując się na wygnanie z Middlemarch, Will Ladislaw nie stawiał i sobie żadnych warunków co do ewentualnego powrotu prócz tego, że zdecyduje o tym jego własna wola, która w żadnym wypadku nie była żelazną przeszkodą, ale stanem umysłu zdolnym złączyć się w menuecie z innymi stanami umysłu i stwierdzić w pewnym momencie, że się kłania, uśmiecha i z łaćwością uprzejmie ustępuje miejsca. W miarę upływu miesięcy coraz trudniej mu było wytłumaczyć sobie, dlaczego by nie miał wrócić do Middlemarch – choćby po to, by się dowiedzieć czegoś o Dorotei; jeśli zaś podczas takich przelotnych odwiedzin miałyby okazję ją spotkać dzięki zbiegowi okoliczności, to czemu miałyby się wstydzić niewinnej podróży, nieprzewidywanej uprzednio. Jeśli jest z nią nieodwołalnie rozdzielony, toć przecież może zajechać w sąsiedztwo; jeśli zaś idzie o podejrzliwą rodzinę, która jej pilnuje jak smok – zdanie tych osób coraz mniej się dla niego liczyło wraz ze zmianą klimatu i upływem czasu.

Zdarzyło się też, że całkiem niezależnie od Dorotei powstała przyczyna, dzięki której wyjazd do Middlemarch stał się czymś w rodzaju filantropijnego obowiązku. Will zajął się bezinteresownie pewnym projektem osadnictwa na Dalekim Zachodzie, opartym na zupełnie nowych założeniach, a że do realizacji tego szlachetnego celu [138] Przeł. Stanisław Barańczak.

potrzebne były pieniądze, zaczął debatować z samym sobą, czy nie byłoby rzeczą chwalebną, gdyby spożytkował na to ów dług Bulstrode'a wobec niego – gdyby nakłonił bankiera, by pieniądze, jakie mu był zaproponował, przeznaczył na realizację projektu, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie dziełem dobroczynnym. Problem wydawał się Willowi bardzo wątpliwy i zapewne niechęć do nawiązania kontaktów z bankierem kazałaby mu szybko go zarzucić, gdyby nie doszedł do wniosku, że jeśli odwiedzi Middlemarch, wyrobi sobie rozsądniejszy pogląd na sprawę.

Ten cel był powodem, dla którego Will podjął decyzję wyjazdu do Middlemarch. Postanowił dopuścić Lydgate'a do tajemnicy i przedyskutować z nim finansowy aspekt sprawy, miał też zamiar rozerwać się, spędzając kilka wieczorów na muzykowaniu i przekomarzaniu się ze śliczną Rozamundą, nie zaniedbując jednocześnie przyjaciół z plebanii w Lowick – a jeśli plebania leży tuż przy dworze, to już nie jego wina. Zaniedbywał był przed wyjazdem rodzinę pastora, uniemożliwiając stawianie zarzutów, że pośrednio szuka kontaktów z Doroteą; głód jednak potrafi nas obłąkawić, a Will był teraz ogromnie wygłodniały widoku pewnej postaci i dźwięku pewnego głosu. Nic tego nie mogło zastąpić – ani opera, ani rozmowy z zagorzałymi politykami, ani dobre przyjęcie (w ostatnich kręgach) jego pierwszych prób publicystycznych we wstępnych artykułach prasowych.

Tak więc przyjechał do Middlemarch, przypuszczając ufnie, że wszystko będzie wyglądało tak samo jak poprzednio w jego znajomym, małym świątku; obawiał się nawet, że nie czeka go tu żadna niespodzianka. Zastał jednak ten senny świątek niemal jak na wulkanie; nawet żarty i wszelka liryka prowadziły do wybuchu. Pierwszy dzień tej wizyty ustanowił najstraszliwszy okres w jego życiu. Następnego ranka był tak znękanym dręczącymi go w nocy koszmarnymi wyobrażeniami konsekwencji

dnia wczorajszego – tak bardzo się obawiał problemów, jakie przed nim stały – że kiedy podczas śniadania zobaczył nadjeżdżający dylizans do Riverston, spiesznie opuścił gospodę i wsiadł, aby choć w ciągu dnia nie mieć konieczności robienia czy mówienia czegoś w Middlemarch. Will Ladislaw znalazł się w impasie, w jakim ludzie znajdują się częściej, niż wyobrażają to sobie postronni obserwatorzy, kierując się płytką arbitralnością własnych sądów. Znalazł Lydgate’a, do którego czuł szczerzy szacunek, w sytuacji wymagającej okazania mu wielkiej i jawnej życzliwości, byłoby zaś lepiej, by unikał nie tylko zbliżenia, lecz nawet zwykłego kontaktu z doktorem, ponieważ taki kontakt z wiadomego powodu wydawał się niemożliwy. Dla człowieka o tak wrażliwym usposobieniu jak Will, w którego naturze nie było miejsca na obojętność, człowieka skłonnego do obracania wszystkiego, co mu się przydarzało, w płomienne, dramatyczne zwarcia – rewelacja Rozamundy, że w jakiś sposób uzależnia swoje szczęście od niego, stanowiła problem jeszcze bardziej nabrzmiały po gwałtownym wybuchu gniewu na biedaczkę. Zły był na siebie za to okrucieństwo, a jednocześnie bał się okazywania zbyt wielkiej ustepliwości: musi przecież znowu ją odwiedzić, nie można tak zniecka zrywać tej przyjaźni. Niedola Rozamundy była jedyną potęgą, której się lękał. A jednocześnie tyle mógł liczyć na radość w czekającym go w przyszłości życiu, co człowiek, któremu obcięto nogi, a on uczy się od nowa poruszać o kulach. W nocy zastanawiał się, czy nie powinien wsiąść do dylizansu nie do Riverston, ale do Londynu, zostawiając Lydgate’owi liścik z jakimś wykrętnym usprawiedliwieniem swojej ucieczki. Powstrzymywały go jednak od nagłego wyjazdu silne postronki: zwarzona radość rozmyślań o Dorotei, zniszczenie najistotniejszej nadziei, która żyła, mimo iż przyznawał, że musi jej zaniechać – to wszystko było zbyt świeżym nieszczęściem, by się z nim mógł pogodzić i natychmiast wyjechać daleko – a przecież i ten wyjazd byłby sam w sobie rozpaczliwy.

Dlatego więc nie poczynił żadnych zdecydowanych kroków, wsiadł tylko do dyliżansu do Riverston. Wrócił jeszcze za dnia, postanawiając, że wieczorem pójdzie do Lydgate'a. Rubikon, jak nam wiadomo, był na oko bardzo wątlym strumykiem; jego znaczenie polegało wyłącznie na pewnych niewidocznych dla oka okolicznościach. Will czuł się tak, jakby został zmuszony do przestąpienia tego małego, granicznego rowu, za którym widział nie tyle imperium, ile niechętną uległość.

Lecz dane nam jest czasami, nawet w codziennym życiu, być świadkiem zbawczego wpływu istoty szlachetnej, cudownej skuteczności ratunku, który może się okazać pełnym samozaparcia aktem ludzkiej solidarności. Gdyby Dorotea po nocnych mękach nie zdecydowała się pójść do Rozamundy – no, cóż – może stałaby się kobietą wyżej cenioną za roztropność, ale dla tych trojga zebranych w domu Lydgate'a przy kominku o wpół do ósmej tego wieczoru – nie byłoby to obojętne.

Rozamunda przygotowana była na odwiedziny Willa i przyjęła go ociężale i chłodno, co mąż przypisał jej wyczerpaniu nerwowemu, którego nie mógł w najśmielszych wyobrażeniach wiązać z osobą Willa. Kiedy zaś siedziała milcząca, pochylona nad robótką, usprawiedliwił ją prostodusznie, w pośredni sposób, prosząc, by się oparła na poduszkach i odpoczywała. Will czuł się okropnie, grając rolę przyjaciela, który przychodzi po raz pierwszy i wita się z panią domu, podczas gdy wszystkie myśli ma zaprzątnięte tym, jak ona się czuje po wczorajszej scenie, nieubłaganie przedstawiającej ich dwoje w przykrym obrazie podwójnego szaleństwa. Tak się składało, że Lydgate ani razu nie został wywołany z pokoju, lecz gdy Rozamunda nalewała herbatę, a Will podchodził, by wziąć filiżankę, położyła mu na spodeczku małej kawy złożony kawałek papieru. Dostrzegł go i schował natychmiast, ale wracając do gospody nie kwapił się do czytania. To, co mu Rozamunda napisała, może tylko jeszcze bardziej zepsuć wrażenia minionego wieczoru. Lecz wreszcie

rozłożył karteczkę i przeczytał przy świetle stojącej przy łóżku świecy. Były tam te tylko słowa wypisane eleganckim pismem: „Powiedziałam pani Casaubon. Już się nie myli co do pana. Powiedziałam jej, bo przyszła do mnie i była bardzo dobra. Teraz już nic mi pan nie może wyrzucać. Będę panu całkiem obojętna”.

Skutek, jaki wywołały te słowa, nie był wyłącznie radością. Will, obracając je w rozgorączkowanej wyobraźni, czuł, jak płoną mu policzki i uszy – co się wydarzyło między Rozamundą a Doroteą? – czy Dorotea nie czuła się jednak urażona w swej dumie tym, że trzeba jej było tłumaczyć jego zachowanie?

Jej stosunek do niego mógł przecież ulec zmianie, niepowetowanej zmianie, może powstała trwała skaza? Żywa wyobraźnia wprowadziła go w stan niepewności niewiele lepszej od niepewności człowieka, który uratowawszy się nocą z rozbitego okrętu, staje w ciemnościach na nieznaną ziemi. Do nieszczęsnego wczorajszego dnia – z wyjątkiem jednego irytującego incydentu, który miał miejsce dawno temu, również w tamtym pokoju i wśród tych samych osób – wszystkie ich wyobrażenia, wszystkie myśli o sobie nawzajem zamknięte były jakby w osobnym świecie, gdzie słońce oświetla smukłe białe lilie, gdzie nie czai się zło, gdzie nikt inny nie ma wstępu. Ale teraz – czy Dorotea zechce go ponownie przyjąć w owym świecie?

ROZDZIAŁ LXXXIII

Dzień dobry naszym budzącym się duszom,
Co spojrzeć jeszcze na siebie nie śmiały –
Gdyż ledwo spojrzą, wzrokiem ściany skruszą,
Ogromne Wszędzie czyniąc z izby małej[139].

John Donne, *Dzień dobry*

Dorothea przespała dwie noce zdrowym snem i drugiego ranka po wizycie u Rozamundy nie tylko nie była już ani trochę zmęczona, lecz przeciwnie, czuła w sobie nadmiar sił – to znaczy więcej, niż mogła skupić na jakimkolwiek zajęciu. Wczoraj zrobiła kilka dalekich spacerów poza parkiem i dwukrotnie zachodziła na plebanię, ale za nic w świecie nie przyznałaby się do tego, czemu tak bezpożytecznie spędza czas. Dzisiaj trochę się nawet na siebie gniewała za to dziecinne podniecenie. Dziś spędzi dzień zupełnie inaczej. Co też jest do zrobienia we wsi? Och, Boże – nic! Wszyscy są zdrowi i mają ciepły przyodziewek, nikomu świnia nie zdechła, a ponieważ jest sobota rano, wszyscy szorują podłogi i progi i nie ma po co iść do szkoły. Ale są różne problemy, co do których chciała wyrobić sobie zdanie, postanowiła więc uporać się z najpoważniejszym z nich. Usiadła w bibliotece przed niewielkim stosem wybranych książek z zakresu ekonomii politycznej i pokrewnych dziedzin, z których to dzieł pragnęła zaczerpnąć wiedzę o tym, jak najlepiej wydać pieniądze, nie krzywdząc bliźnich – lub też, co na jedno wychodzi – przynosząc im najwięcej korzyści. Oto ów najważniejszy problem, który gdyby się potrafiła weń wgłębić, niewątpliwie utrzymałby jej myśli w ryzach.

[139] Przeł. Stanisław Barańczak.

Niestety, myśli jej wymykały się problemowi przez calutką godzinę i w końcu zdała sobie sprawę, że czyta dwukrotnie każde zdanie, mając głęboką świadomość wielu rzeczy, ale nie tych, jakie są w tekście. To beznadziejne. Czy powinna kazać zaprzęgać i pojechać do Tipton? Nie, z jakiejś przyczyny wolała pozostać w Lowick. Ale trzeba przywołać te rozproszone myśli do porządku, samodyscyplina jest sztuką: chodziła więc w kółko po ciemnej bibliotece, zastanawiając się, jakim by tu sposobem przytrzymać i uspokoić rozbiegane myśli. Może najlepsze byłoby jakieś konkretne zadanie – takie, przy którym trzeba by zacisnąć zęby. Cóż to jej tak często wyrzucał pan Casaubon? Czy nie zaniedbywanie geografii Azji Mniejszej? Podeszła do szafy z mapami i rozwinęła jedną: dzisiejszego przedpołudnia upewni się wreszcie, że Paflagonia nie leży na wybrzeżu Lewantu i umiejscowi dokładnie na wybrzeżach Morza Czarnego swoją całkowitą niewiedzę o Chalibejczykach. Mapa to znakomity materiał do studiów, kiedy się ma ochotę myśleć o czymś innym, gdyż składa się z nazw, które, powtarzane, brzmią jak kuranty. Dorotea zabrała się twardo do pracy: pochyliwszy się nad mapą, odczytywała nazwy cicho, lecz wyraźnie, a głos jej niekiedy przechodził w kuranty. Wyglądała, mimo wszystkich swoich przeżyć, zabawnie dziewczęco – kiwała głową i zaznaczała palcem nazwy, wydymając nieco wargi, a od czasu do czasu przerywała, ujmowała twarz w obie dłonie i mówiła: Ojej, ojej!

Mogłoby się to kręcić w kółko jak karuzela, gdyby drzwi się w pewnej chwili nie otwarły i nie zaanonsowano panny Noble. Malutka dama, której kapelusik sięgał Dorotei ledwo do ramienia, została ciepło przywitana. Ściskając dłoń pani domu, wydawała wciąż owe dziwaczne pomruki, jakby miała do powiedzenia coś trudnego.

– Proszę, niech pani siada. – Dorotea podesunęła jej krzesło. – Czym mogę pani służyć? Będę rada, jeśli się do czegoś przydam.

– Nie zabawię długo – mówiła panna Noble, wkładając rękę do

koszyczka i szukając tam nerwowo jakiegoś przedmiotu, a następnie biorąc go do ręki. – Zostawiłam na cmentarzu kogoś ze znajomych. – Znowu zaczęła wydawać owe nieartykułowane dźwięki i mimowolnie wyciągnęła trzymany w ręku przedmiot. Było to szylkretowe pudełeczko na pastylki i Dorotea poczuła, że oblewa ją pąs.

– To pan Ladislaw – ciągnęła mała, bojaźliwa dama. – On się obawia, że panią uraził, i zwrócił się do mnie, bym poprosiła, żeby go pani przyjęła na chwilę.

Dorotea nie odpowiedziała od razu: przez głowę jej przebiegła myśl, że nie może go przyjąć tu, w tej bibliotece, gdzie, zdawałoby się, wciąż pozostawał w mocy zakaz jej męża. Spojrzała w okno. Może wyjść i zobaczyć się z nim w ogrodzie? Niebo było ciemne i drzewa zaczynały się kołysać, jakby nadchodziła burza. Poza tym przykra jej była myśl, by miała go spotykać na dworze.

– Niechże pani go przyjmie – prosiła z przejęciem panna Noble – inaczej będę musiała wrócić i powiedzieć mu „nie”, a to go zaboli.

– Tak, przyjmę go – powiedziała Dorotea. – Niech pani powie, że go proszę.

Cóż innego mogła zrobić? O niczym innym nie marzyła w tej chwili bardziej niż o tym, by go zobaczyć: możliwość ujrzenia go wsuwała się natrętnie między nią a wszystko inne – a jednak czuła jakieś tętniące podniecenie, jakby wewnętrzny sygnał ostrzegawczy, że ze względu na niego decyduje się na ryzykowne szaleństwo.

Kiedy malutka dama podreptała, by wypełnić swoją misję, Dorotea stanęła na środku biblioteki: splotła opuszczone ręce, nie czyniąc żadnych wysiłków, by przyjąć postawę godnej nieświadomości. Najmniej była w tej chwili świadoma swojego ciała: wyobrażała sobie, co Will może teraz myśleć, i pamiętała o niechęci, jaką inni żywią do niego. Jakżeby mógł jakikolwiek obowiązek nakazywać jej niezyczliwość w stosunku

do Willa. Od pierwszej chwili z jej miłością mieszał się sprzeciw wobec stawianych mu niesłusznie zarzutów, a teraz w sercu, odprężonym po przeżytej udręce, czuła ten sprzeciw jeszcze silniej. „Jeśli zbyt mocno go kocham, to dlatego, że tak niegodziwie z nim postąpiono” – mówił w jej duszy głos skierowany do wymagowanego audytorium w bibliotece, kiedy drzwi się otwały i Will stanął przed nią.

Nie poruszyła się, a on podchodził do niej bardziej niż kiedykolwiek niepewnie i nieśmiało. Niepewność napawała go lękiem, by jakieś jego słowo albo spojrzenie nie skazało go na ponowny chłód z jej strony. Dorotea zaś bała się własnego wzruszenia. Stała jak urzeczona, znieruchomiała, ze splecionymi dłońmi, tylko z oczu jej wyglądała uwięziona w nich głęboka, silna tęsknota. Widząc, że nie wyciąga doń, jak zwykle, ręki, Will zatrzymał się i powiedział zakłopotany:

– Bardzo jestem wdzięczny, że zgodziła się pani mnie przyjąć.

– Chciałam pana zobaczyć – odpowiedziała, nie znajdując innych słów. Nie przyszło jej do głowy, by usiąść, a Will wytłumaczył sobie niezbyt optymistycznie ten królewski sposób powitania, ale mówił dalej to, co postanowił powiedzieć.

– Obawiam się, że uzna pani, że postąpił niemądrze i może niewłaściwie, wracając tak szybko. Zostałem ukarany za moją niecierpliwość. Pani zna, wszyscy już znają, przykrą historię mojego pochodzenia. Ja dowiedziałem się o niej jeszcze przed wyjazdem i zamierzałem powiedzieć o tym pani, gdybyśmy się mieli kiedykolwiek spotkać.

W postawie Dorotei zaszła nieznaczną zmianą – dłonie jej się rozplotły, lecz natychmiast zacisnęły jedna na drugiej.

– Ta sprawa jest już dzisiaj tematem plotek – ciągnął Will. – Chciałem, aby pani wiedziała, iż coś, co ma z tym związek, a co wydarzyło się przed moim stąd wyjazdem, jest, częściowo, przyczyną mojego

powrotu. A przynajmniej uważałem, że może być usprawiedliwieniem tego powrotu. Chodziło mi mianowicie o to, aby skłonić Bulstrode'a do przeznaczenia pewnych sum na cel społeczny – pewnych sum, które chciał dać mnie. Może należałoby zapisać na jego dobro, że próbował prywatnie zrekompensować mi dawne krzywdy, proponował, że tytułem zadośćuczynienia będzie mi wypłacał sutą intratę. Ale pani pewno zna tę nieprzyjemną sprawę.

Will spojrzął niepewnie na Dorotę, ale w jego zachowaniu zaczęła się zaznaczać owa wyzywająca śmiałość, z jaką zawsze myślał o tym fragmencie swego losu. Dodał:

– Rozumie pani, że to wszystko jest dla mnie ogromnie przykre.

– Tak, tak, wiem – zapewniła go śpiesznie.

– Wolałem nie przyjmować pieniędzy z tego źródła. Byłem przekonany, że gdybym to zrobił, pani przestałaby o mnie dobrze myśleć. – Czemu miałyby się dziś powstrzymywać od mówienia jej takich rzeczy? Przecież ona wie, że przyznał się do miłości do niej. – Czuję to... – urwał jednak.

– Postąpił pan tak, jakbym się tego po panu spodziewała. – Twarz Dorotei promieniała, a głowa wyprostowała się jeszcze bardziej na swej pięknej łodydze.

– Nie wierzyłem, aby pani pozwoliła, by jakiegokolwiek okoliczności mego urodzenia zrodziły w niej uprzedzenie co do mojej osoby, choć pewny byłem, że inni je powezmą. – Will podrzucił głową, jak to zwykle czynił dawniej, i patrzył w jej oczy z poważną prośbą.

– Nowa niedola byłaby tylko nowym powodem, abym stała za panem – odparła Dorotea żarliwie. – Nic nie mogłoby mnie odmienić, chyba że... – serce jej wezbrało, trudno było mówić dalej; zrobiła wielki wysiłek, aby się opanować i skończyć cichym, drżącym głosem: – ...chyba żeby się pan okazał inny, nie tak dobry, jak wierzyłam.

– Pani niewątpliwie ma mnie za lepszego, niż jestem, pod każdym

względem, z wyjątkiem jednej rzeczy. – Wobec okazanych przez nią uczuć Will dał upust własnym. – Chodzi mi o moją uczciwość wobec pani. Kiedym sądził, że pani w nią zwątpiła, nie dbałem już o nic. Myślałem, że to mój koniec, że nie ma już o co się starać, pozostało tylko to, co trzeba wycierpieć.

– Ja już w pana nie wątpię. – Dorotea wyciągnęła rękę; jakiś nieokreślony lęk o niego wzbudził w niej uczucia, których wypowiedzieć było nie sposób.

Ujął jej dłoń i unióśł do warg z czymś, co było jak szloch. Ale stał tak, trzymając w drugiej ręce kapelusz i rękawiczki, niby rojalista z portretu. A jednak trudno było oddać tę dłoń i Dorotea, cofnąwszy ją z zakłopotaniem, odwróciła wzrok i odeszła kilka kroków.

– Niechże pan spojrzy, jak pociemniały chmury i jak wiatr miota drzewami – mówiła, podchodząc do okna, mgliście świadoma zarówno swoich słów, jak kroków.

Will poszedł za nią w niewielkim oddaleniu i wsparł się o skórzany fotel, na którym odważył się wreszcie położyć kapelusz i rękawiczki, uwalniając się od tego nieznośnego, formalnego skrępowania, jakiego po raz pierwszy przyszło mu zaznać w obecności Dorotei. Trzeba przyznać, że w momencie gdy opierał się o fotel, czuł się bardzo szczęśliwy. Nie obawiał się niczego, co mogłaby w tej chwili czuć.

Stali w milczeniu, nie patrząc na siebie, lecz na drzewa miotane wiatrem, ukazujące blade podbrzusza liści na tle czerniejącego nieba. Will nigdy jeszcze w życiu nie cieszył się tak bardzo nadchodzącą burzą: uwalniała go od konieczności odejścia. Wiatr toczył liście i drobne, połamane gałązki, a grzmoty przybliżały się coraz bardziej. Światło ciemniało, lecz nagle rozdarł je zygzak błyskawicy – oboje drgnęli, spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Dorotea zaczęła mówić, o czym myślała.

– Nie powinien był pan powiadać, że nie miałby już o co się starać. Jeśli tracimy nasze własne, najważniejsze dobro, pozostaje jeszcze dobro innych ludzi, a o nie warto się starać. Niektórzy mogą być szczęśliwi. Widziałam to chyba jaśniej niż zwykle, kiedy byłam najbardziej nieszczęśliwa. Nie mogę sobie teraz wyobrazić, jak zdołałabym znieść moją zgryzotę, gdyby nie przyszło na mnie to uczucie, przynosząc siłę.

– Pani nigdy nie czuła takiej rozpacz jak ja – mówił Will. – Rozpacz na myśl, że pani mną pogardza.

– Przeżywałam coś gorszego, gorzej było myśleć źle... – zaczęła impulsywnie, lecz urwała.

Will poczerwieniał. Miał poczucie, że cokolwiek ona mówi, wypowiedane jest w perspektywie nieuchronnie rozdziałającego ich losu. Przez chwilę milczał, a potem zaczął z pasją:

– Mamy tę przynajmniej pociechę, że możemy rozmawiać ze sobą bez osłonek. Ponieważ muszę odejść, ponieważ musimy być rozdzieleni na zawsze, może pani myśleć o mnie jak o kimś stojącym nad grobem.

Jeszcze gdy mówił te słowa, zajaśniała oślepiającym światłem błyskawica, ukazując ich sobie nawzajem – ten błysk był jak groza beznadziejnej miłości. Dorotea odskoczyła instynktownie od okna, a Will odsunął się za nią, chwytając gwałtownie jej dłoń; stali tak, trzymając się za ręce jak dwoje dzieci i patrząc na szalejący wicher, gdy nad ich głowami przetoczył się straszny grzmot i lunął deszcz. Wówczas odwrócili się do siebie, pamiętni ostatnich wypowiedzianych słów, ale nie rozłączyli rąk.

– Nie ma dla mnie nadziei – mówił Will. – Nawet gdyby kochała mnie pani tak, jak ja kocham panią, nawet gdybym był wszystkim dla pani, będę zapewne zawsze bardzo biedny: trzeźwo licząc, wystarczy mi tylko na wiązanie końca z końcem. Nie możemy nigdy należeć do siebie. Może to podłe z mojej strony, żem prosił panią o słowo. Chciałem odejść w milczeniu, ale nie byłem zdolny uczynić tego, co zamierzałem.

– Niechże się pan nie martwi. – Głos Dorotei był jasny i czuły. – Pragnęłabym razem z panem dzielić cały smutek naszego rozstania.

Wargi jej drżały, tak jak drżały jego usta. Nie wiadomo, które usta pierwsze pochyliły się ku drugim. – Pocałowali się nieśmiało i odsunęli od siebie.

Deszcz walił w szyby okienne, jakby wstąpił weń zły duch, a za nim szły kolejno ogromne uderzenia wichru; był to jeden z tych momentów, kiedy zarówno ludzie czymś zaprzątnięci, jak i beczcywni, nieruchomieją w poczuciu grozy.

Dorotea przysiadła na długiej, niskiej otomanie, stojącej pośrodku pokoju, złożyła ręce na kolanach, jedną na drugiej, i spoglądała na ponury świat na zewnątrz. Will stał chwilę, patrząc na nią, po czym usiadł obok i położył dłonie na jej dłoniach, które obróciły się ku górze, aby je mógł objąć uściskiem. Siedzieli tak, nie patrząc na siebie, aż wreszcie deszcz zaczął słabnąć i powoli się uciszać. Każde z nich myślało intensywnie, lecz ani jedno, ani drugie nie potrafiło zacząć mówić.

Lecz kiedy deszcz ucichł, Dorotea odwróciła głowę i spojrzała na Willa. Poderwał się i krzyknął porywczo, jakby groziła mu jakaś straszna tortura:

– To niemożliwe!

Podszedł do fotela i ponownie wsparł się na jego oparciu: walczył ze swoim gniewem, a ona spoglądała na niego smutno.

– To równie straszne jak morderstwo czy jakaś inna potworność, która rozdziela ludzi – wybuchnął znowu. – A nawet trudniejsze do zniesienia, żeby wskutek lichych, mało ważnych okoliczności nasze życie zostało okaleczone.

– Nie, niech pan tak nie myśli, pańskie życie nie musi być okaleczone – powiedziała łagodnie.

– Owszem, musi – odparł gniewnie. – To okrutne, że pani tak mówi,

jakby to miało być pocieszenie. Być może sięga pani wzrokiem ponad nieszczęście, jakie się w tym zawiera. Ja nie. To bez serca traktować moją miłość do pani jak jakąś błahostkę, mówić tak, stojąc wobec faktów. Nigdy się nie pobierzemy.

– Może... kiedyś – głos Dorotei drżał.

– Kiedy? – spytał z goryczą. – Cóż przyjdzie z liczenia na moje powodzenie? Można się tylko zastanawiać, czy dojdę kiedy do czegoś więcej niż utrzymanie się na przyzwoitym poziomie, chyba że zechcę się sprzedać jako czyjś pisarczyk i *porte-parole*. Widzę to jasno. Nie mógłbym złożyć propozycji małżeństwa żadnej kobiecie, nawet gdyby się nie musiała wyrzekać luksusów.

Nastąpiło milczenie. Serce Dorotei przepełniało coś, co pragnęła wypowiedzieć, a jednak słowa były zbyt trudne. Pochłaniało ją to ze szczerem – w tym momencie toczyła ze sobą niemą rozmowę. Bardzo jest przykro, kiedy nie można powiedzieć tego, co się chce powiedzieć. Will gniewnie patrzył przez okno. Gdyby spoglądał na nią, gdyby nie odszedł od jej boku, byłoby, myślała, łatwiej. Obrócił się wreszcie, wciąż oparty o fotel, i wyciągając automatycznie rękę po kapelusz, powiedział jakby z poirytowaniem: „Do widzenia”.

– Och, nie zniosę tego... serce mi pęknie. – Dorotea poderwała się z miejsca, a fala młodej namiętności zerwała wszystkie tamy, powstrzymujące dotąd słowa; ogromne łzy wezbrały natychmiast i zaczęły spływać. – Nie boję się biedy, nienawidzę mojego bogactwa!

W następnej chwili Will był przy niej, a jego ramiona wokół niej, ale odchyliła się i przytrzymała łagodnie jego głowę, by pozwolił jej mówić dalej, a jej wielkie, pełne łez oczy spoglądały na niego bardzo prosto, gdy tłumaczyła mu z dziecinnym łkaniem:

– Możemy żyć całkiem dobrze z mojego własnego majątku... to aż nazbyt wiele... siedemset funtów rocznie... ja tak mało potrzebuję...

żadnych nowych sukien... i nauczę się, co ile kosztuje.

ROZDZIAŁ LXXXIV

Choć młody i stary nie daje mi wiary
I głośno rozsądza o winie,
To oni najwięcej w swej podlej piosence
Zbrukali niewinne me imię[140].

Anonim, *The Not-browne Mayde*

Było to tuż po odrzuceniu przez Izbę Lordów projektu ustawy o reformie^[141], co tłumaczy, dlaczego pastor Cadwallader spacerował po trawniku nieopodal wielkiej cieplarni Freshitt Hall, i trzymając zwinięty *Times* w założonych z tyłu rękach, i rozmawiał ze stoickim spokojem rybaka z sir Jamesem Chettamem o perspektywach kraju. Pani pastorowa, wdowa lady Chettam oraz Celia to przysiadły na ogrodowych krzesłach, to znowu wstawały, by wyjść naprzeciw małego Artura, wożonego na rydwanie i, jak przystało na nieletniego Budę, osłoniętego świętą parasolką wykończoną wdzięcznymi jedwabnymi frędzlami.

Panie również rozmawiały o polityce, choć w sposób bardziej chaotyczny. Pastorowa miała wyrobione zdanie w sprawie projektowanych nadań tytułu para: słyszała od swojej kuzynki jako o rzeczy pewnej, że Truberry zmienił poglądy o sto osiemdziesiąt stopni, za namową swojej żony, która czuła już te nowe tytuły w powietrzu od chwili, kiedy stanął problem reformy, i sprzedabyła duszę za to, żeby brać pierwszeństwo przed swoją młodszą siostrą, która wyszła za mąż za baroneta. Lady

[140] Piosenka z XV w. opiewająca wierność niewieścią.

[141] Ustawa została odrzucona 7 maja 1832 r., a przyjęta ostatecznie 7 czerwca.

Chettam była zdania, iż tego rodzaju postępowanie jest godne potępienia, i przypomniała, że matka pani Truberry była z domu panną Walsingham z Melspring. Celia przyznała, że milej jest być „lady” niż „panią” i że Dodo nigdy nie przywiązywała wagi do prawa pierwszeństwa, byle tylko mogła robić, co się jej podoba. Pani Cadwallader utrzymywała, że marna to satysfakcja brać pierwszeństwo, kiedy wszyscy wokół wiedzą, iż nie masz w żyłach ani jednej kropli dobrej krwi, a znowu Celia, zatrzymując się, by spojrzeć na Artura, powiedziała:

– Byłoby jednak miło, gdyby był wicehrabią i gdyby się wyrzynał ząbek jego lordowskiej mości. Tak by było, gdyby James był lordem.

– Moja droga Celio – oznajmiła wdowa. – Tytuł Jamesa jest wart o wiele więcej niż jakiegokolwiek świeże tytuły lordowskie. Nigdy nie pragnęłam, by jego ojciec był kim innym niż sir Jamesem.

– Och, ja myślałam tylko o ząbku Artura – odparła pogodnie Celia. – Spójrzcie, idzie stryjaszek.

Podreptała na spotkanie stryja, podczas gdy pastor i sir James podeszli i przyłączyli do pań. Celia wsunęła rękę pod ramię stryjaszka, a on głaskał jej dłoń z dość melancholijnym: „No, cóż, moja droga”. Gdy podeszli bliżej, zauważyli, że pan Brooke jest czymś strapiony, ale sytuacja polityczna całkowicie to usprawiedliwiała, toteż kiedy ścisnął wszystkim rękę, mówiąc tylko: „No cóż, wszyscy tu, ma się rozumieć, jesteście”, pastor zauważył ze śmiechem:

– Niech pan nie bierze tak bardzo do serca tego, że odrzucono ustawę; ma pan po swojej stronie całą hołotę naszego kraju!

– Ustawę, co? – pan Brooke zachowywał się trochę nieprzytomnie. – Odrzucono, ma się rozumieć. Izba Lordów za wiele sobie pozwala. Muszą się zacząć miarkować. Przykre nowiny, ma się rozumieć. To znaczy, tu, w domu, przykre nowiny. Ale nie może mnie pan winić, Chettam.

– A cóż się stało? – spytał sir James. – Chyba nie zastrzelono jeszcze

jednego gajowego? Można by się tego spodziewać, kiedy wypuszcza się na wolność takiego łajdaka jak Trapping Bass.

– Gajowy? Nie. Wejźdźmy do środka, powiem wam wszystko, ma się rozumieć, w domu – mówił pan Brooke, kiwając na pastorstwo, by zaznaczyć, że dopuszcza ich do konfidencji. – A jeśli idzie o kłusowników, takich jak Trapping Bass, to powiem panu, Chettam – ciągnął, gdy wszyscy wchodzili – że gdyby pan był sędzią, to sam by pan stwierdził, że nie tak łatwo wydawać wyroki. Łatwo nakazywać surowość, kiedy ma o tym decydować ktoś inny. Człowiek ma miękkie serce. Nie jest jakimś Drakonem czy Jeffreyem, czy kimś takim tam.

Nerwy pana Brooke były najwyraźniej w stanie ogromnego wzburzenia. Kiedy miał powiedzieć coś przykrego, zwykł był podawać to wśród niezliczonych, luźnych szczegółów, traktując je widać jako domieszkę do lekarstwa, które dzięki temu wyda się mniej gorzkie. Dalej gawędził z sir Jamesem o kłusownikach, póki wszyscy nie usiedli, a pani Cadwallader, zniecierpliwiona tym gadaniem o wszystkim i o niczym, zwróciła się do niego:

– Umieram z ciekawości, jakie są te przykre nowiny. Gajowy nie został zastrzelony, tośmy ustalili. Cóż to więc takiego?

– No cóż, sprawa jest niezmiernie, ma się rozumieć, nieprzyjemna – odparł pan Brooke. – Rad jestem, że widzę tu panią i pastora. To sprawa rodzinna, ale pan, pastorze, pomoże nam ją znieść. Muszę ci ją przekazać, moja kochana. – Tu pan Brooke spojrzał na Celię. – Nie masz pojęcia, o co, ma się rozumieć, chodzi. I pana, Chettam, zirytuje to w najwyższym stopniu, ale, widzi pan, nie mógł pan temu zapobiec, i ja też nie mogłem. Jest coś szczególnego w wydarzeniach... one się toczą, ma się rozumieć, kołem.

– To musi mieć związek z Dodo – oświadczyła Celia, która przywykła myśleć o siostrze jako o niebezpiecznej części rodzinnej maszyny.

Usadowiła się przy kolanach męża na niskim stołeczku.

– Na litość boską, niechże pan powie, co to takiego! – wybuchnął sir James.

– No cóż, sam pan wie, że nic nie mogłem poradzić na testament Casaubona: to był taki testament, który tylko pogarsza sprawy.

– Oczywiście – przyznał spiesznie sir James. – Ale jakaż to sprawa się pogorszyła?

– Dorotea wychodzi ponownie za mąż, ma się rozumieć – odparł pan Brooke, kiwając głową Celi, która natychmiast podniosła na męża przerażony wzrok i położyła mu rękę na kolanie.

Sir James pobladł z gniewu, lecz milczał.

– Łaskawe nieba! – zakrzyknęła pastorowa. – Chyba nie za młodego Ladisława?!

Pan Brooke skinął głową, mówiąc:

– Właśnie za Ladisława – po czym zamilkł roztropnie.

– A widzisz, Humphrey. – Pastorowa wykonała ręką gest w kierunku męża. – Za następnym razem przyznasz, że potrafisz przewidywać; nie, wciąż będziesz mi zaprzeczał i pozostaniesz ślepy, jak zawsze. To ty przypuszczałeś, że ten młody człowiek wyjechał.

– Mógł wyjechać, a potem wrócić – zauważył spokojnie pastor.

– Kiedy pan się tego dowiedział? – Sir Jamesowi przykro było słuchać, jak inni mówią, sam jednak wymawiał słowa z trudem.

– Wczoraj – odparł potulnie pan Brooke. – Byłem w Lowick, Dorotea, ma się rozumieć, posłała po mnie. To wszystko stało się zupełnie nagle. Dwa dni temu żadne z nich nie miało o tym wyobrażenia, najmniejszego, ma się rozumieć, wyobrażenia. Jest w tej sytuacji coś szczególnego. Ale Dorotea wydaje się absolutnie zdecydowana. Sprzeciw na nic się nie zda. Ja wyłożyłem jej moje zdanie bardzo kategorycznie. Spełniłem swój obowiązek, mój drogi. Ale ona może postępować wedle swojej woli, ma

się rozumieć.

– Byłoby lepiej, gdybym go rok temu wyzwał i zastrzelił – powiedział sir James, nie dlatego że był krwiożerczy, ale że musiał powiedzieć coś mocnego.

– Doprawdy, James, postąpiłbyś bardzo brzydko – obruszyła się Celia.

– Bądź pan rozsądny, Chettam, i spójrz spokojniej na całą sprawę. – Pastorowi sprawiało przykrość, że gniew mógł do tego stopnia ować jego dobrodusznym przyjacielem.

– To nie takie łatwe dla kogoś, kto sobie choć trochę ceni godność... poczucie przyzwoitości... kiedy podobna historia wydarza się w jego własnej rodzinie – odparł sir James, wciąż wrzący oburzeniem. – To przecież zupełny skandal. Gdyby Ladisław miał odrobinę honoru, wyjechałby stąd natychmiast i nigdy się więcej nie pokazał. Ale nie jestem zdziwiony. W dzień po pogrzebie Casaubona mówiłem, co należy zrobić. Nikt mnie wtedy nie słuchał.

– Chciał pan rzeczy, ma się rozumieć, niemożliwej – tłumaczył pan Brooke. – Chciał pan, żeby go wysłać za morze. Powiedziałem, że Ladisław nie jest człowiekiem, z którym można robić, co by się chciało, to człowiek, który ma własne zdanie. To człowiek wybitny, zawsze powiadałem, że to człowiek wybitny.

– Tak – sir James nie mógł się powstrzymać od kwaśnej uwagi – szkoda, że nabrał pan o nim tak wysokiego mniemania. Temu zawdzięczamy, że ulokowano go w naszym sąsiedztwie. Temu zawdzięczamy, że kobieta taka jak Dorotea poniża się na naszych oczach, wychodząc za niego za mąż. – Sir James robił między tymi wypowiedziami krótkie przerwy, gdyż słowa nie przychodziły mu łatwo. – Człowiek tak napiętnowany testamentem jej męża, że przyzwoitość powinna jej zabronić widywania się z nim... człowiek, który uniemożliwia jej pozostawanie we własnej sferze... który wtrącają w biedę... jest na tyle podły, że przyjmuje

podobne poświęcenie... jego pozycja była zawsze nie do przyjęcia... ma złe pochodzenie... i, *sądzę*, jest pozbawionym zasad lekkoduchem. Takie jest moje zdanie – zakończył z emfazą sir James, siadając bokiem i zakładając nogę na nogę.

– Podkreślałem to wszystko – tłumaczył się pan Brooke – to znaczy biedę i to, że się pozbawia swojej pozycji. Powiedziałem: „Moja kochana, ty nie wiesz, co to znaczy żyć z siedmiuset funtów rocznie, nie mieć powozu i tego rodzaju rzeczy i wejść między ludzi, którzy nie wiedzą, kim jesteś”. Wyłożyłem jej swoje zdanie bardzo kategorycznie. Ale radzę panu porozmawiać samemu z Dorotką. Faktem jest, że ona nie lubi majątku Casaubona. Usłyszy pan, co ona, ma się rozumieć, powie.

– Nie, proszę mi wybaczyć, nie usłyszę – oświadczył sir James nieco chłodniej. – Nie zniósłbym ponownego z nią spotkania, to nazbyt przykre. Wręcz dla mnie bolesne, gdy taka kobieta jak Dorotea popełnia rzecz niewłaściwą.

– Niechże pan będzie sprawiedliwy, Chettam – powiedział spokojny, szerokousty pastor, który uważał, że to całe zamieszanie jest niepotrzebne. – Pani Casaubon być może postępuje nieroztropnie: odrzuca majątek dla mężczyzny, a my, mężczyźni, mamy tak marne mniemanie o sobie nawzajem, że kobiety, która czyni coś podobnego, nie potrafimy uznać za mądrą. Ale nie *sądzę*, by miał pan to określać mianem niewłaściwego postępku, w ścisłym znaczeniu tego słowa.

– Owszem, określam. Uważam, że Dorotea robi rzecz niewłaściwą, wychodząc za mąż za Ladislawa.

– Drogi panie, jesteśmy skłonni uznawać jakiś postępek za niewłaściwy, ponieważ jest nam niemiły – odparł cicho pastor. Jak wielu ludzi, którzy spokojnie podchodzą do życia, miał dar mówienia od czasu do czasu prostych prawd ludziom, którzy utrzymują, że ich gniew wynika ze szlachetnych pobudek. Sir James wyjął chusteczkę i zaczął gryźć jej

róg.

– Ale to okropne ze strony Dodo. – Celia próbowała usprawiedliwić męża. – Powiedziała, że *nigdy* nie wyjdzie ponownie za mąż, za nikogo.

– Sama osobiście również słyszałam, jak to mówiła – potwierdziła majestatycznie lady Chettam, niczym koronny świadek.

– Och, w takich przypadkach robi się ciche zastrzeżenia – oświadczyła pastorowa. – Jedyne, co mnie dziwi, to wasze zaskoczenie. Nie kiwnęliście palcem, żeby temu zapobiec. Gdybyście zaprosili na wieś lorda Tritona, żeby ją uwodził swoją filantropią, mógłby ją stąd porwać, nimby rok minął. To było jedyne zabezpieczenie. Pan Casaubon przygotował wszystko najpiękniej jak można. Pokazał się nieprzyjemnym – albo też spodobało się Panu Bogu takim go uczynić – a potem sprowokował ją, by mu się sprzeciwiła. W ten sposób każda miernota staje się kusząca, jeśli jej się nada tak wysoką cenę.

– Nie wiem, co pan rozumie pod słowem „niewłaściwy”, pastarze. – Sir James wciąż jeszcze odczuwał owo ukłucie, odwrócił się więc na krześle ku pastrowi. – To nie jest człowiek, którego możemy przyjąć do rodziny. Przynajmniej ja muszę mówić we własnym imieniu – ciągnął, pilnie unikając spojrzenia pana Brooke. – Przypuszczam, że inni znajdują zbyt wiele przyjemności w jego towarzystwie, by zważać na to, czy jest ono stosowne.

– No cóż – powiedział dobrodusznie pan Brooke, gładząc się po łydce – przecież nie mogę się odwrócić od Dorotei. Muszę pozostać dla niej ojcem, do pewnych granic. Powiedziałem: „Moja kochana, nie odmówię poprowadzenia cię do ołtarza”. Przedtem wypowiadałem się bardzo ostro. Ale mogę zmienić zasadę dziedziczenia, zlikwidować majorat, ma się rozumieć. To będzie kosztowało dużo pieniędzy i zachodu, ale mogę to zrobić.

Pan Brooke pokiwał sir Jamesowi głową, uważając, że okazuje

zarówno swoje zdecydowanie, jak też chęć odpokutowania za to, co uznawał w gniewie baroneta za słuszne. Wpadł na bardziej pomysłowy sposób obrony, niż sobie z tego zdawał sprawę. Wymienił wzgląd, którego sir James się wstydził. Materia jego uczuć wobec małżeństwa Dorotei z Ladisławem składała się po części ze zrozumiałego uprzedzenia, a nawet usprawiedliwionych wyobrażeń, a po części z zazdrosnej odrazy, niewiele mniejszej w wypadku Ladisława niż Casaubona. Był przekonany, że dla Dorotei jest to małżeństwo fatalne. Ale w całej tej sprawie krył się jeszcze jeden wzgląd, do którego ten zacny i dobry człowiek nie chciał się przyznać nawet przed samym sobą: trudno zaprzeczyć, że połączenie dwóch majątków – Tipton i Freshitt – położonych pięknie, o miedzę – było bardzo nęcącą perspektywą dla jego syna i dziedzica. Toteż kiedy pan Brooke, kiwając się, poruszył ten temat, sir James poczuł nagle zakłopotanie: coś stanęło mu w gardle i nawet poczerwieniał. W pierwszym przyływie gniewu znalazł więcej niż zwykle słów, lecz owa próba zjednania go skuteczniej zatkała mu usta niż zjadliwa uwaga pastora.

Celia zaś była rada, że może się wtrącić po tej rzuconej przez stryja uwadze o ślubie i zapytała, bez szczególnego zaciekawienia, jakby pytanie dotyczyło zaproszenia na kolację:

– Stryj aszek powiada, że Dodo zaraz wychodzi za mąż?

– Za trzy tygodnie, ma się rozumieć – odparł bezradnie pan Brooke.

– Nie mogę temu w żaden sposób zapobiec, pastorze – dodał, licząc na odrobinę wsparcia ze strony pana Cadwalladera, który powiedział:

– Nie podnosiłbym wokół tej sprawy hałasu. Jeśli ona chce być biedna, to jej rzecz. Nikt nie powiedziałby słowa, gdyby zdecydowała się na małżeństwo dla pieniędzy. Wielu duchownych na pręta endach ma mniejszy dochód, niż oni będą mieli. Weźcie Elinor – ciągnął prowokująco – cała jej rodzina była poruszona, gdy wychodziła za mnie:

miałem ledwie tysiąc funtów rocznie, byłem prostacki, nikt nie mógł się we mnie niczego dopatrzeć, nosiłem buty niemodnego fasonu, wszyscy mężczyźni zadawali sobie pytanie, jak też mogłem spodobać się kobiecie. Doprawdy, muszę brać stronę tego Ladislawa, chyba że dowiem się o nim czegoś gorszego.

– Humphrey, to jest sofistyka i dobrze o tym wiesz – stwierdziła pastorowa. – Wszystko jest dla ciebie jedno i to samo, ani ująć, ani dodać. Jakbyś się nie nazywał Cadwallader. Czy ktokolwiek sądzi, że wzięłabym sobie takiego potwora jak ty, gdyby się inaczej nazywał?

– No i duchowny – zauważyła z aprobatą lady Chettam. – Nie można powiedzieć, by Elinor wyszła ze swojej sfery. Trudno określić, kim jest pan Ladislaw, co, James?

Sir James chrząknął tylko, co było nieco mniej uprzejmym niż zwykle sposobem udzielenia odpowiedzi matce. Celia podniosła na niego oczy jak zamyślane kociątko.

– Trzeba przyznać, że jego krew to okropny melanz – mówiła pani Cadwallader. – Najpierw mątwiasty płyn Casaubonów, potem ten polski rebeliant, skrzypek czy nauczyciel tańca, czy coś tam... no i wreszcie stary lich...

– Co za bzdury, Elinor – pastor podniósł się z krzesła. – Czas już na nas.

– Mimo wszystko bardzo urodziwa latorośl – ciągnęła pastorowa, pragnąc się poprawić i wstała również. – Jest jak jeden z tych pięknych, starych portretów Crichleya, będących w cenie, nim przyszli nowomodni idioci.

– Pójdę z wami. – Pan Brooke poderwał się spieszenie. – Musicie wszyscy przyjechać jutro do mnie na kolację, ma się rozumieć, dobrze, Celio?

– Pojedziemy, James, prawda? – Celia ujęła męża za rękę.

– Oczywiście, jeśli chcesz. – Sir James poprawił kamizelkę, lecz nie był w stanie poprawić wyrazu swej twarzy i nadać jej pogodnego wyglądu. – To znaczy, jeśli tam nikogo nie spotkamy.

– Nie, nie – pan Brooke zrozumiał postawiony warunek. – Dorotea nie przyjedzie, jeśli wy nie złożycie jej wpiery wizyty.

Kiedy sir James pozostał sam na sam z żoną, ta zwróciła się do niego:

– Czy masz coś przeciwko temu, żebym dostała powóz na wyjazd do Lowick?

– Co? Teraz, zaraz? – spytał z pewnym zdumieniem.

– Tak, to bardzo ważne.

– Pamiętaj, Celio, że ja nie chcę jej widzieć.

– Nawet gdyby zrezygnowała z zamążpójścia?

– Cóż przyjdzie z takiego mówienia? Ale już idę do stajen. Powiem Briggsowi, żeby zajeżdżał.

Celia uważała, że wiele przyjdzie, jeśli nie z mówienia, to w każdym razie z wyjazdu do Lowick i próby wywarcia wpływu na Doroteę. W młodzińskich latach uważała, że potrafi wpłynąć na starszą siostrę rozsądnym dobranym słowem – otwierając malutkie okienko, by wpuścić dzienne światło własnego sposobu rozumowania pomiędzy dziwne, wielobarwne lampy, którymi przyświecała sobie zwykle Dorotea. No a teraz, jako matrona, Celia uważała się, oczywiście, za jeszcze lepszego doradcę bezdziejnej siostry. Czyż ktokolwiek rozumiałaby Dodo równie dobrze jak ona albo kochała ją równie czule?

Dorotea, zajęta w swoim buduarze, poczuła ciepłą radość na widok siostry przyjeżdżającej tak szybko po otrzymaniu wiadomości o jej małżeńskich planach. Wyobrażała sobie, z pewną nawet przesadą, oburzenie rodziny, i obawiała się, że nie dopuszczą do niej Celi.

– Och, Kitty, jakim rada, że cię widzę. – Dorotea, promieniejąc cała, położyła ręce na ramionach siostry. – Gotowa byłam myśleć, że już do

mnie nie przyjedziesz.

– Nie wzięłam ze sobą Artura, bo strasznie się śpieszyłam – tłumaczyła Celia, po czym usiadły na dwóch krzesłkach naprzeciwko siebie, stykając się kolanami.

– Dodo, to naprawdę bardzo brzydko z twojej strony – mówiła Celia swym łagodnym, gardłowym tonem, a wydawała się przy tym tak wdzięczna i wyzbyta wszelkich humorów jak tylko możliwe. – Tak nas wszystkich zawiodłaś. I nie mogę myśleć, że to się naprawdę stanie. Nie możesz wyjechać i żyć w taki sposób. A jeszcze te twoje projekty! Niepodobna, byś mogła teraz o nich myśleć. A James wzięby na siebie wszystkie kłopoty i mogłabyś całe życie robić, co ci się tylko spodoba.

– Wprost przeciwnie, kochanie – odparła Dorotea. – Nigdy nie mogłam robić tego, co mi się podobało. Jak dotąd nie wprowadziłam w życie żadnego mojego projektu.

– Bo zawsze chciałaś czegoś, co się do niczego nie nadawało. Ale znalazłyby się jakieś inne projekty. I jakże ty możesz wyjść za pana Ladislawa, którego nikt z nas nie uważał nigdy za odpowiednią partię dla ciebie? James jest naprawdę wstrząśnięty. A poza tym znowu chcesz być czymś innym, niż zawsze byłaś. Chciałaś pana Casaubona, bo on miał wielką duszę i był taki stary i posępny, i uczony; a teraz myślisz wyjść za pana Ladislawa, który nie ma majątku ani w ogóle nic. To pewno dlatego, że ty zawsze musisz wyszukiwać sobie trudności, takie czy inne.

Dorotea roześmiała się.

– To bardzo poważna sprawa, Dodo. – Głos Celi nabrał siły przekonywania. – Jakże ty będziesz żyła? I pojedziesz gdzieś, między dziwnych ludzi. I nigdy cię nie zobaczę, i mały Artur nic cię nie będzie obchodził, a myślałam, że zawsze będzie...

Łzy, rzadki tu gość, ukazały się teraz w oczach Celi, a kącki jej ust drżały.

– Celio, kochanie – odezwała się Dorotea z czułą powagą – jeśli nigdy więcej mnie nie zobaczysz, to nie będzie moja wina.

– Owszem, będzie – upierała się Celia, a jej drobna buzia wciąż drżała przejmująco. – Jakże ja mogłabym do ciebie jechać albo mieć cię u siebie, kiedy James nie może się z tym pogodzić, bo uważa to za niewłaściwe, myśli, że ty całkiem nie masz racji. Ale ty nigdy nie miałaś racji, tylko co ja poradzę, że cię kocham? I nikt nie może sobie wyobrazić, gdzie będziesz mieszkać, dokąd ty pójdziesz?

– Wyjeżdżam do Londynu – powiedziała Dorotea.

– Jak będziesz mogła mieszkać na ulicy? I taka będziesz biedna. Oddałabym ci połowę moich rzeczy, tylko jak to możliwe, skoro cię nigdy nie zobaczę?

– Niech cię Pan Bóg ma w opiece, Kitty – powiedziała Dorotea z łagodną serdecznością. – Miejmy nadzieję, że może James kiedyś mi wybaczy.

– Ale byłoby o tyle lepiej, gdybyś nie wychodziła za mąż – mówiła Celia, ocierając oczy i podejmując wątek – wtedy nie byłoby żadnych kłopotów. I nie chcesz postępować tak, jak to sobie inni wyobrażali. James zawsze powiadał, że powinnaś być królową, a to wcale nie wygląda po królewsku. Wiesz dobrze, jakie zawsze popełniałaś błędy, Dodo, a to jest kolejny błąd. Nikt nie uważa, żeby pan Ladisław był odpowiednim mężem dla ciebie. I *powiedziałaś*, że nigdy nie wyjdiesz ponownie za mąż.

– To prawda, że mogłabym być mądrzejszą osobą – przyznała Dorotea – i że mogłabym uczynić coś lepszego, gdybym była lepsza. Ale właśnie to, a nie co innego zamierzam zrobić. Przyrzekłam panu Ladisławowi, że wyjdę za niego, i wyjdę.

W tonie, jakim to powiedziała, zabrzmiała nuta, którą Celia zdążyła już dobrze poznać. Milczała przez chwilę, a potem, jakby rezygnując z wszelkiej walki, zapytała:

– Czy on cię bardzo kocha, Dodo?

– Mam nadzieję, że tak. Ja go bardzo kocham.

– To miło – przyznała Celia z zadowoleniem. – Tylko wolałabym, żebyś miała takiego męża jak James, mieszkającego bardzo blisko, żebym mogła cię odwiedzać.

Dorotea uśmiechnęła się, a Celia miała zamyśloną minę. Po chwili zaczęła:

– Nie mogę sobie wyobrazić, jak do tego doszło. – Miała wielką ochotę usłyszeć całą historię.

– Pewno, że nie możesz – Dorotea uszczypnęła siostrę w podbródek.

– Gdybyś wiedziała, jak do tego doszło, nie wydałoby ci się to takie cudowne.

– Nie możesz mi powiedzieć? – Celia założyła wygodnie ręce.

– Nie, kochanie. Musiałabyś odczuwać wszystko tak jak ja.

Tylko w ten sposób mogłabyś się tego dowiedzieć.

ROZDZIAŁ LXXXV

Wtedy sąd powstał z miejsc i wyszedł. Imiona ławników były następujące: pan Ślepy, pan Niewart, pan Zjadliwy, pan Swawolny, pan Rozpasany, pan Czupurny, Pan Zarozumiały, pan Wrogi, pan Kłamca, pan Okrutny, pan Wróg-Światła i pan Nieubłagany. Każdy z nich wydał od siebie osobiście wyrok, a potem jednogłównie postanowili orzec go przed sędzią jako winnego. Najpierw zabrał głos przewodniczący – pan Ślepy, który tak się wyraził: „Ja wyraźnie widzę, że ten człowiek jest heretykiem”. Potem pan Niewart oświadczył: „Precz z takim człowiekiem, niech nie chodzi więcej po ziemi!”. A pan Zjadliwy krzyknął: „Ach, ja nie cierpię nawet jego widoku!”. Potem zabrał głos pan Swawolny: „Nigdy go nie znosiłem”. „Ani ja – dodał pan Rozpasany – ponieważ zawsze potępiał mój sposób życia”. „Powiesić go, powiesić! – krzyczał pan Czupurny. „To wstrętny łachman” – powiedział pan Zarozumiały. „Moje serce podnosi się przeciwko niemu” – dodał pan Kłamca. „Powieszenie to dla niego zbyt łagodna kara!” – zaznaczył pan Okrutny. „Usuńmy go z drogi!” – oświadczył pan Wróg-Światła. Wreszcie pan Nieubłagany powiedział tak: „Gdyby mi nawet cały świat dawano, nie mógłbym się pojechać z tym człowiekiem. Oświadczyliśmy więc natychmiast, że winien jest kary

Kiedy nieśmiertelny Bunyan rysuje obraz oskarżycielskich namiętności, wydających wyrok skazujący, kto żałuje Wiernego? Mieć poczucie niewinności wobec domagającego się kary tłumu, mieć pewność, że to, o co zostaliśmy oskarżeni, jest tylko mieszkającym w nas dobrem – to rzadki i szczęśliwy los, na jaki nie zasłużyło sobie wielu ludzi wielkich. Żałosny natomiast jest los człowieka, który nie może się nazwać męczennikiem, nawet gdyby zdołał sobie wmówić, że ci, co go kamienują, to wcielenie ohydnych namiętności – człowieka, który wie, że go kamienują nie za głoszenie Prawdy, ale za to, że nie jest tym, za kogo się podawał.

Pod ciężarem takiej właśnie świadomości ugiął się Bulstrode, czyniąc przygotowania do wyjazdu z Middlemarch, by zakończyć złamane życie w smutnym azylu, jaki stanowi obojętność nowych twarzy. Sumienna, miłosierna stałość jego żony uwolniła go od jednego lęku, nie mogła jednak sprawić, by jej osoba przestała być trybunałem, przed którym bał się spowiedzi i pragnął obrońcy. Kręactwa, jakimi sam się karmił w związku ze śmiercią Rafflesa, mogły się ostać wobec koncepcji Wszzechwiedzącego, do którego się modlił, bankier jednak obawiał się wystawiać je na ludzki osąd, odbywając pełną spowiedź przed żoną: te czyny, które wybielił i rozcieńczył, uzasadniając je w duchu i tłumacząc przed sobą, te czyny, za które można by przecież łatwo uzyskać przebaczenie – jaką ona nadałaby im nazwę? Przecież nie zniósłby tego, by je choć milcząco nazwała „morderstwem”. Jej wątpliwości były jego osłoną. Siłę, która pozwalała mu patrzeć jej w oczy, czerpał z nadziei, że

ona nie czuje się jeszcze w prawie wydania na niego skazującego wyroku. Może kiedyś – na łożu śmierci – powie jej wszystko; w mrocznym cieniu owej chwili, trzymając w gęstniejącej ciemności jego rękę, może go wysłucha i nie cofnie swej dłoni przed jego dotknięciem. Może tak się stanie. Skrywanie jednak było jego zwyczajem przez całe życie, a impuls do odbycia spowiedzi słabnął wobec strachu przed jeszcze głębszym upokorzeniem.

Pełen był bojaźliwej troski o żonę, nie tylko dlatego, że lękał się jej ostrego osądu, ale i dlatego, że ogromnie go bolała jej rozpacz. Wysłała córki z domu do internatu na wybrzeżu, aby w miarę możliwości ukryć przed nimi strapienie, jakie przeżywał ojciec. Ich nieobecność uwolniła ją od nieznośnej konieczności tłumaczenia się ze swojego smutku, od ich przerażonego zdziwienia; mogła teraz bez skrępowania przeżywać swój ból, który bielił jej włosy i wlewał ociężałość w powieki.

– Powiedz mi, Harriet, wszystko, co chciałabyś, abym zrobił – zwrócił się do niej Bulstrode. – Chodzi mi o sposób zarządzania majątkiem. Jest moją intencją zachować ziemię, którą tu mam w okolicy, i pozostawić ją tobie, jako dobrą lokatę. Jeśli masz w tych sprawach jakieś życzenia, proszę, powiedz.

W kilka dni później, gdy wróciła z wizyty u braterstwa, zaczęła rozmawiać z mężem o sprawie, która ją od pewnego czasu zaprzętała.

– Powinna bym zrobić coś dla rodziny mojego brata, Nicholas, i sadzę, że jesteśmy zobowiązani zrekompensować jakoś to wszystko Rozamundzie i jej mężowi. Walter powiada, że doktor Lydgate musi opuścić Middlemarch, jego praktyka niemal nic nie przynosi i pozostało im bardzo niewiele na to, by się gdzieś urządzić. Wolałabym, żebyśmy się sami czegoś wyrzekli, a jakoś wynagrodzili straty rodzinie mojego biednego brata.

Pani Bulstrode nie chciała precyzować tego życzenia wyraźniej, niż

to sugerowały słowa: „byśmy jakoś wynagrodzili”, wiedząc, że mąż na pewno zrozumie, o co jej chodzi. Nie zdawała sobie sprawy, że zwinie się z bólu, słysząc jej propozycję – nie wiedziała, że jest nowy powód udręki. Przez chwilę wahał się, wreszcie powiedział:

– Nie mogę spełnić twego życzenia tak, jak to proponujesz, moja droga. Doktor Lydgate w istocie rzeczy odrzucił wszelką moją dalszą pomoc. Oddał tysiąc funtów, które mu pożyczyłem. Pani Casaubon wyłożyła na to pieniądze. Tu jest jego list.

List ostro dotknął panią Bulstrode. Wzmianka o pożyczce spłaconej przez panią Casaubon była jakby refleksem ogólnego przekonania, że jest oczywiste, iż wszyscy będą unikać kontaktów z jej mężem. Milczała przez chwilę, a łzy spływały jedna za drugą i broda jej się trzęsła, gdy je ocierała. Siedzący naprzeciwko mąż spoglądał z bólem na jej zniszczoną cierpieniem twarz, która jeszcze dwa miesiące temu była promienna i kwitnąca. Zestarzała się, by dopasować się smutnie do jego własnych, zniszczonych rysów. Starając się jakoś ją pocieszyć, zaczął:

– Mógłbym wyświadczyć przysługę rodzinie twojego brata w inny sposób, jeśli zechcesz wziąć w tym udział. Sądzę zresztą, że i ty miałabyś z tego pożytek: byłby to korzystny sposób zagospodarowania ziemi, którą przeznaczam dla ciebie.

Sprawiała wrażenie zainteresowanej.

– Garth zamierzał kiedyś podjąć się zarządzania Stone Court, chcąc umieścić tam twojego bratanka, Freda. Inwentarz miał pozostać na farmie, a oni mieli płacić pewien procent dochodu zamiast czynszu dzierżawnego. Byłby to bardzo dobry start dla tego młodego człowieka, jako dodatek do jego pracy u Gartha. Czy to by cię zadowoliło?

– Owszem, tak. – W głosie pani Bulstrode znów zabrzmiało nieco energii. – Biedny Walter taki jest załamany; pragnęłabym zrobić wszystko, co w mojej mocy, by pomóc mu jakoś, nim wyjadę. Zawsze byliśmy

kochającym się rodzeństwem.

– Musisz sama złożyć tę propozycję Garthowi, Harriet. – Panu Bulstrode przykre było to, co musiał powiedzieć, ale pragnął osiągnąć zamierzony cel nie tylko dlatego, by pocieszyć żonę. – Musisz mu wytłumaczyć, że ta ziemia jest w gruncie rzeczy twoją własnością i że nie potrzebuje załatwiać ze mną żadnych spraw. Wszystko można uzgodnić poprzez Standisha. Wspominam o tym, ponieważ Garth zrezygnował z pracy jako mój plenipotent. Mogę ci przekazać dokument, który on sam przygotował i w którym postawił warunki: możesz mu zaproponować przyjęcie tych warunków po raz wtóry. Sądzę, że jest całkiem prawdopodobne, iż on je przyjmie, jeśli złożysz mu tę propozycję jako ofertę leżącą w interesie twojego bratanka.

ROZDZIAŁ LXXXVI

Le coeur se sature d'amour comme d'un sel divin qui le conserve; de là incorruptible adhérence de ceux qui se sont aimés des l'aube de la vie, et de fraîcheur des vieilles amours prolongées. Il existe un embaument d'amour. C'est de Daphnis et Chlôe que sont faits Philémon et Baucis. Cette vieillesse-là, ressemblance du soiravec l'aurore[143].

Serce nasiąka miłością jak boską solą, która je zachowuje w świeżości; stąd tak nierozzerwalnie związani są ze sobą ci, co kochają się od zarania swego życia, stąd wieczna żywość uczuć długotrwałych. Miłość balsamuje. Filemon i Baucis powstałi z Dafnisi i Chloe. Taka też starość – łuna wieczoru, promienna jak jutrzienka.

Victor Hugo, Człowiek śmiechu

Pani Garth, usłyszawszy, że mąż wchodzi do przedpokoju w porze herbaty, otworzyła drzwi bawialni i spytała: – O, jesteś, Kaleb. Czy jadłeś obiad? (Posiłki pana Gartha podporządkowane były „robocie”). – Jeszcze jaki obiad! Zimna baranina i różne smakołyki. Gdzie Mary?

– Chyba w ogrodzie, z Letty.

– Freda jeszcze nie było?

– Nie. Już wychodzisz? Nawet nie napiłeś się herbaty? – Pani Garth zobaczyła, że jej roztargniony mąż wkłada kapelusz, który był przed chwilą zdjął.

– Nie, nie, idę tylko na chwilkę do Mary.

Znajdowała się w porośłym trawą zakątku ogrodu, gdzie między dwoma gruszami wisiała wysoko huśtawka. Mary miała na głowie czerwoną chusteczkę, której skraj wystawał nieco na czoło, by osłonić oczy przed poziomymi promieniami słońca; bujała śmiałymi pchnięciami Letty, która śmiała się i wrzeszczała wniebogłosey.

Na widok ojca Mary zostawiła huśtawkę i wyszła ku niemu, odsuwając z czoła czerwoną chusteczkę i uśmiechając się z daleka tym odruchowym uśmiechem serdecznego zadowolenia.

– Właśnie cię szukałem, Mary – powiedział ojciec. – Przejdźmy się trochę.

Mary wiedziała doskonale, że ojciec ma jej coś szczególnego do powiedzenia: brwi uniesione miał pod uroczystym kątem, a w głosie dźwięczała czuła powaga: znała te oznaki, odkąd była w wieku Letty. Wsunęła mu rękę pod ramię i ruszyli wzdłuż szeregu drzew orzechowych.

– Dużo jeszcze wody upłynie i czeka cię wiele smutnych chwil, nim będziesz mogła wyjść za mąż, Mary – zaczął ojciec, nie patrząc na córkę, ale na koniec kija, który trzymał w drugiej ręce.

– Nie będą takie smutne, tatku, zamierzam być wesółą – odparła ze śmiechem. – Byłam niezamężną i wesółą przez dwadzieścia cztery lata z okładem: przypuszczam, że nie będę musiała czekać drugie tyle. – Potem, po chwili milczenia, dodała poważniej, zwracając twarz ku twarzy ojca. – Jeśli tatko jest zadowolony z Freda...

Kaleb zasnurował usta i z mądrą miną odwrócił głowę.

– Ale, tatku, przecie go tatko chwalił w zesłą środę. Powiedział tatko, że ma doskonałe pojęcie o inwentarzu i dobre oko na wszystko.

– Tak mówiłem? – chytrze zapytał Kaleb.

– Tak, zapisałam to, i datę, i Anno Domini, i co trzeba – odparła Mary.
– Tatko lubi, jak wszystko jest porządnie odnotowane. No i zachowuje się wobec tatka naprawdę dobrze: okazuje głęboki szacunek; i nie można mieć lepszego usposobienia niż Fred.

– Oj, oj, chcesz mi wmówić pochlebstwami, że to jest doskonała partia.

– Nie, tatku. Nie kocham go dlatego, że jest doskonałą partią.

– Więc za co?

– Ojejku! Dlatego, że go zawsze kochałam. Nikogo nie mogłabym łącać z większą przyjemnością, a z tym się należy liczyć, myśląc o mężu.

– Więc jesteś całkiem zdecydowana, Mary? – Kaleb wrócił do początkowego tonu. – Nie przyszło na to miejsce żadne inne pragnienie od czasu, kiedy sprawy ułożyły się tak, jak dziś wyglądają? – (Wypowiadając to niejasne zdanie, Kaleb miał bardzo wiele na myśli). – Ponieważ lepiej późno niż wcale. Kobieta nie powinna stosować żadnego przymusu wobec własnego serca, nie przyniesie tym szczęścia mężczyźnie.

– Moje uczucia się nie zmieniły, tatku – oświadczyła spokojnie Mary. – Dochowam Fredowi wiary, jak długo on będzie mi wierny. Nie myślę, żeby którekolwiek z nas mogło żyć bez drugiego albo lubić kogoś więcej, choćby się nawet kogoś podziwiał. To by dla nas była zbyt wielka odmiana, jak widok zmienionych starych kątów czy przeinaczanie swojskich nazw. Musimy czekać na siebie jeszcze długi czas, ale Fred wie o tym.

Zamiast odpowiedzieć natychmiast, Kaleb stał i wwiercał kij w porośniętą trawą ścieżkę. Potem powiedział ze wzruszeniem w głosie:

– Przywiozłem nowiny. Co myślisz o tym, żeby Fred zamieszkał w Stone Court i gospodarował na farmie?

– Jakże by to mogło być, tatku? – spytała zdumiona.

– Zarządzałyby całością w imieniu swojej ciotki, pani Bulstrode. Biedaczka była u mnie, błagając i prosząc. Chce jakoś pomóc chłopcu, a to doprawdy mogłaby być dla niego nie lada gratka. Żyjąc oszczędnie, mógłby powoli wykupić inwentarz, a on ma smykałkę do gospodarowania na roli.

– Och, Fred byłby taki szczęśliwy! To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

– Ale pamiętaj – Kaleb ostrzegawczo pokręcił głową – że ja muszę to wziąć na własne barki, wziąć odpowiedzialność i doglądać wszystkiego, a to przysporzy zmartwień twojej matce, chociaż może się do tego nie przyzna. Fred musi się pilnować.

– Może tego zbyt wiele, tatku. – Radość Mary nagle przygasła. – Nie byłabym szczęśliwa, ściągając na ciebie nowe kłopoty.

– Ale też, moja kochana! Praca to dla mnie przyjemność, jeśli tylko nie trapi twojej matki. No, a gdybyście się z Fredem pobrali – tu głos Kaleba zadrżał ledwo słyszalnie – to zrobi się z niego człowiek stateczny i oszczędny, a ty masz rozsądek swojej matki, no i mój też, na kobiecą modłę. Ty go utrzymasz w ryzach. On tu niezadługo przyjdzie, więc chciałem, żebyś wcześniej wiedziała o wszystkim, bo pewno wolałabyś mu to sama powiedzieć. Potem mogę to z nim gruntownie omówić, wejść w szczegóły, jak by to miało wyglądać.

– Och, kochany, kochany tatku – zawołała Mary, obejmując ojca za szyję, podczas gdy on łagodnie pochylił głowę, z przyjemnością poddając się jej pieszczocie. – Ciekawam, czy jest druga dziewczyna, która uważa swojego ojca za najwspanialszego mężczyznę na świecie.

– Bzdury, moja mała. Będziesz uważała swojego męża za najlepszego.

– Niemożliwe – Mary powróciła do swego zwykłego tonu. – Mężowie należą do mężczyzn gorszego gatunku i należy ich krótko trzymać.

Kiedy wchodzili do domu razem z Letty, która dogoniła ich pędem,

Mary zobaczyła Freda przy furtce do sadu i wyszła mu naprzeciw.

– Cóż za piękne ubranie nosisz, ekstrawagancki młodzieńcze!
– zaczęła, gdy Fred stanął i uniósł przed nią kapelusz z żartobliwą uniżonością. – Nie uczysz się oszczędzać.

– O, przepraszam cię bardzo – zaproponował Fred. – Spójrz no na brzegi tych mankietów! Wyglądam przyzwoicie tylko dzięki rzetelnemu używaniu szczotki. Oszczędzam trzy garnitury: jeden na ślub.

– Ale będziesz w nim śmiesznie wyglądał! Jak ze staroświeckiej ilustracji w książce.

– O, nie. Jeszcze dwa lata będą modne.

– Dwa lata! Bądźże rozsądny, Fred. – Mary obróciła się, by ruszyć ku domowi. – Nie pozwalaj sobie na podsycanie miłych nadziei.

– A czemu nie? Człowiek lepiej się nimi karmi niż nieprzyjemnymi. Jeśli nie będziemy mogli się pobrać za dwa lata, to ta prawda będzie dostatecznie przykra, kiedy przyjdzie.

– Słyszałam kiedyś historię o pewnym młodym człowieku, który karmił się kuszącymi nadziejami, a one więcej mu przyniosły złego niż dobrego.

– Mary, jeśli masz mi do powiedzenia coś przykrego, to już mnie nie ma. Pójdę do domu, do pana Gartha. Nie mam humoru.

Ojciec jest taki zgnębiony, dom jest jak nie ten sam. Nie wytrzymam już następnych złych wiadomości.

– Czy uważałybyś, że to zła wiadomość, gdybyś usłyszała, że masz zamieszkać w Stone Court i prowadzić farmę, i postępować niezwykle roztropnie, i co rok tyle oszczędzić, żeby na koniec zostać właścicielem inwentarza i umeblowania, i stać się, jak powiada pan Borthrop Trumbull, wybitną osobistością rolniczą, dość, obawiam się, tęgawą, posługującą się mocno zwietrzałą greką i łaciną?

– To, co mówisz, to tylko niedorzeczne żarty, prawda Mary? – mimo

wszystko Fred jednak poczerwieniał.

– Powiedział mi to przed chwilą tatko jako coś, co może się stać, a tatko nigdy nie mówi niedorzeczności – odparła, spoglądając ku niemu, gdy tak szli, a on ścisnął jej rękę niemal do bólu, lecz Mary się nie gniewała.

– Och, stałbym się wtedy okropnie porządnym człowiekiem, Mary, i moglibyśmy natychmiast się pobrać.

– Nie tak prędko, mój panie. Skąd wiesz, że nie wolałabym jeszcze odłożyć ślubu na kilka lat? To by ci dało czas, żebyś zszedł na złą drogę, a wtedy, gdyby mi się ktoś bardziej spodobał, miałabym powód, by cię rzucić.

– Proszę cię, nie żartuj, Mary. – Fred mówił z głębokim przejęciem.
– Powiedz mi poważnie, że to prawda i że jesteś dzięki temu szczęśliwa, ponieważ mnie kochasz nade wszystko.

– To jest prawda, Fred, i jestem dzięki temu szczęśliwa, ponieważ cię kocham nade wszystko – powiedziała Mary tonem posłusznej recytacji.

Zwlekali jeszcze na schodkach ganku o stromym dachu, a Fred powiedział niemal szeptem:

– Kiedyśmy się zaręczyli kółkiem od parasola, to wtedy, Mary...

Duch radości zaczął wyraźniej śmiać się w oczach Mary, lecz ten nieznośny Ben podbiegł do drzwi ze szczekającym i płaczącym się pod nogami Latkiem przy piętach, a wpadając na nich, zawołał:

– Fred i Mary, przyjdziecie wreszcie, czy mam zjeść wasze ciasto?!

FINAŁ

Każdy kres to zarówno początek, jak i koniec. Któż może zostawić młode istoty po długim z nimi przebywaniu i nie być ciekawy, jak potoczyły się ich dalsze losy? Fragment życia bowiem, choćby i typowy, nie jest próbką równej przędzy – obietnice mogą nie zostać dotrzymane, po płomiennym początku ogień może przygasnąć, ukryte siły mogą znaleźć od dawna oczekiwaną sposobność; z dawnego błędu może się zrodzić szlachetna odnowa.

Małżeństwo, które jest kresem tyłu opowieści, jest również wielkim początkiem, takim jak było dla Adama i Ewy, którzy miesiąc miodowy spędzili w Raju, lecz pierwsze małżeństwo chowali wśród cierni i ostów głuszy. Jest również początkiem eposu domowego – stopniowego zdobywania lub niepowetowanej utraty owej pełnej jedności, która z nadchodzących lat czyni szczyt, a z jesieni – żniwa słodkich wspólnych wspomnień.

Niektórzy wyruszają, jak dawni krzyżowcy, ze wspaniałym ryszunkiem nadziei i entuzjazmu i padają po drodze z niedostatku cierpliwości dla siebie nawzajem i dla świata.

Wszyscy, którzy polubili Freda i Mary, usłyszą z przyjemnością, że tych dwoje nie uległo podobnym słabościom i osiągnęło trwałe wspólne szczęście. Fred pod wieloma względami zaskoczył swych sąsiadów. Stał się w swojej okolicy człowiekiem wcale wybitnym jako farmer, praktyk i teoretyk, i stworzył dzieło „O uprawie pasz zielonych oraz o ekonomii żywienia bydła”, które zdobyło mu najwyższe uznanie, wyrażane na zebraniach rolniczych. W Middlemarch uznanie było bardziej powściągliwe: większość tamtejszych mieszkańców uważała, iż za pisarstwo Freda chwała należy się jego żonie, nigdy bowiem się nie

spodziewano, że Fred Vincy będzie pisał o rzepie i burakach pastewnych.

Kiedy jednak Mary napisała dla synków książeczkę zatytułowaną *Opowieści o wielkich ludziach*, według Plutarcha, po czym książeczka została wydrukowana i wydana przez firmę Gripp i Sp., w Middlemarch, wszyscy gotowi byli uznać to za zasługę Freda, boć przecież wiadomo, że kształcił się na uniwersytecie, „gdzie się studiuje klasykę”, i mógł być zostać duchownym, gdyby chciał. Tak więc się okazało, że Middlemarch nigdy się nie da oszukać i że nie należy nikogo chwalić za napisanie książki, gdyż jest ona zawsze dziełem kogoś innego.

Ponadto Fred ustatkował się całkowicie. W kilka lat po ślubie przyznał się Mary, że swoje szczęście zawdzięcza w dużej mierze pastorowi Farebrotherowi, który w porę przykrócił mu cugle. Nie mogę powiedzieć, że już nigdy nie ulegał nadmiernemu optymizmowi: zbiory zbóż czy też zyski ze sprzedaży bydła były na ogół niższe, niż przewidywał, skłonny był też wierzyć, że kroi mu się doskonały interes na kupnie konia, który po dokonaniu transakcji okazywał się gorszy – co jednak, jak uważała Mary, było oczywiście winą konia, a nie osądu Freda. W dalszym ciągu był zamiłowanym jeźdźcem, ale rzadko pozwalał sobie na całodzienne polowanie, a kiedy już polował, znosił, co jest rzeczą szczególną, że wyśmiewano się z jego tchórzostwa podczas skoków, wydawało mu się bowiem, że widzi Mary i chłopców siedzących na wysokiej bramie zbitej z pięciu poprzecznych drągów, lub też, że między rowem a żywopłotem wychylają się ich kędzierzawe głowy.

Mieli trzech chłopców: Mary wcale nie żałowała, że sprowadza na świat tylko małych mężczyzn, a kiedy Fred powiedział, że chciałby mieć taką jak ona dziewczynkę, odparła ze śmiechem: „To byłby już zbyt wielki dopust dla twojej matki”. Pani Vincy u schyłku lat i przy zmniejszonej świetności prowadzonego gospodarstwa znajdowała pociechę w tym, że dwaj przynajmniej synkowie Freda to prawdziwi Vincy i „nie poszli

w Garthów”. Mary jednak w cichości ducha bardzo się cieszyła, że najmłodszy z trójki bardzo przypomina jej ojca, jakim musiał być, kiedy nosił kurteczkę z półokrągłymi połami i wykazywał się wspaniałą celnością podczas gry w marmurki czy też gdy rzucał kamieniem, by strącić dojrzałą gruszkę.

Ben i Letty Garth zostali wujkiem i ciocią, nim zdążyli się poczuć w pełni nastolatkami; zastanawiali się w głośnych rozmowach, co lepsze: siostrzenice czy siostrzeńcy, przy czym Ben utrzymywał, że dziewczynki, odwrotnie niż chłopcy, nie na wiele się nadają, z oczywistej przyczyny, boć przecież noszą spódnice, co stanowi jasny dowód, jak ograniczona jest dziewczynska użyteczność. Wtedy Letty, która często wytaczała książkowe argumenty, dowodziła, że Pan Bóg stworzył okrycia ze skóry zarówno dla Adama, jak i Ewy, a przypominała sobie również, że na Wschodzie mężczyźni też noszą spódnice. Tego jednak było za wiele dla Bena, któremu ostatni argument siostry przesłonił majestat poprzedniego, i chłopiec powiedział pogardliwie: „To całkiem sfiksowali”, i natychmiast odwołał się do matki, pytając, czy chłopcy nie są lepsi od dziewczynek. Pani Garth oświadczyła, że jedni i drudzy bywają równie niegrzeczni, ale że chłopcy są niewątpliwie silniejsi, potrafią szybciej biegać i lepiej trafiają do celu na większą odległość. Ben był całkiem usatysfakcjonowany tym orzeczeniem, nie przejmując się argumentem niegrzeczności, Letty jednak źle je przyjęła, gdyż poczucie wyższości miała silniejsze niż mięśnie.

Fred nigdy się nie wzbogacił – nawet jego optymizm nie pozwalał się tego spodziewać, lecz stopniowo zaoszczędził dość, by stać się właścicielem inwentarza i umeblowania Stone Court, a praca, jaką oddawał w jego ręce pan Garth, pozwoliła mu dostatnio przejść owe „złe czasy”, które zawsze farmerów nawiedzają. Mary, jako kobieta zamężna, zaczęła masywnością figury przypominać matkę, w odróżnieniu jednak od niej dawała chłopcom niewiele formalnych nauk, aż wreszcie pani

Garth zaczęła się obawiać, że malcy nigdy nie będą mieli dostatecznie ugruntowanych wiadomości z gramatyki i geografii. Mimo to okazali się całkiem nieźle przygotowani, kiedy poszli do szkoły: może dlatego, że nic nie sprawiało im większej przyjemności jak przebywanie z matką. Kiedy w zimowe wieczory Fred wracał konno do domu, miał przed oczyma miły obraz czekającego go jasnego ognia na kominku w bawialni i żał mu było innych mężczyzn, którzy nie mogą mieć Mary za żonę, zwłaszcza zaś pastora Farebrothera. „Był dziesięć razy więcej ciebie wart niż ja” – zdobywał się teraz na wielkoduszne oświadczenie, na co Mary odpowiadała: „Niewątpliwie, i właśnie dlatego mógł się beze mnie obyć. Ale ty – dreszcz mnie przechodzi na myśl, czym mógłbyś zostać: wikarym, używającym batystowych chusteczek do nosa i zadłużonym po uszy w okolicznych stajniach!”.

Gdyby się kto dopytywał, niewykluczone, że dowiedziałyby się, iż Mary i Fred do dzisiaj zamieszkują w Stone Court, że zielone pnącza w dalszym ciągu przerzucają łany kwiatów przez piękny kamienny mur na pole, gdzie drzewa orzechów włoskich stoją majestatycznym rzędem i że w słoneczne dni można zobaczyć dwoje kochanków, którzy zaręczyli się niegdyś kółkiem od parasola, jak z siwowłosą pogodą wyglądają przez otwarte okno, z którego w czasach starego Featherstone’a kazano Mary Garth często wyglądać, czy nie zajeżdża doktor Lydgate.

Włosy doktora Lydgate nigdy nie pobieleały. Umarł, gdy miał zaledwie pięćdziesiąt lat, i pozostawił żonę i dzieci dobrze zabezpieczone, gdyż asekurował się wysoko na życie. Wyrobił sobie znakomitą praktykę, zmienną, zależną od pory roku – albo przebywał w Londynie, albo w pewnej miejscowości uzdrowiskowej na kontynencie; napisał rozprawę o podagrze, chorobie, która kojarzy się z bogactwem. Na jego umiejętnościach polegało wielu zamożnych pacjentów, ale on zawsze uważał się za człowieka, który poniósł klęskę: nie dokonał tego, co niegdyś

chciał dokonać. Znajomi byli zdania, że ma czarującą, godną zazdrości żonę, a nie zaszło nic, co mogłoby zachwiać ich opinię. Rozamunda nigdy nie popełniła nowej kompromitującej nieostrożności. Po prostu była dalej łagodna w obejściu, niezmienna w sądach, skłonna pouczać męża i zdolna doprowadzać go swym kręactwem do rozpacz. Z upływem lat coraz mniej się jej opierał, z czego wyciągnęła wniosek, że nauczył się cenić jej zdanie; z drugiej jednak strony była głęboko przekonana o jego talentach, teraz kiedy miał dobre dochody i zamiast owej klątki na Bride Street, na którą się zanosilo, przygotował jej inną, z kwiatów i złoceni, stosowną dla rajskiego ptaka, jakiego przypominała. Krótko mówiąc, Lydgate był tym, co się określa mianem człowieka sukcesu. Umarł jednak przedwcześnie na dyfteryt, a Rozamunda wyszła później za męża za starszego i bogatego lekarza, który okazywał serdeczną troskliwość czwórce jej dzieci. Tworzyła z córeczkami wdzięczny obrazek, gdy jechała powozem, i często mawiała o swoim szczęściu jako o „nagrodzie” – nie mówiła jednak za co, zapewne uważała, że była to nagroda za cierpliwość, jaką okazywała Tertiusowi, którego usposobienie nie było bez skazy i który do końca umiał jej czasem rzucić jakieś gorzkie słowo, bardziej godne zapamiętania niż okazywana później skrucha. Nazwał ją kiedyś swoją rośliną bazylii, a kiedy poprosiła o wyjaśnienie, powiedział, że bazylia to roślina, która cudownie rozkwita na mózgu zamordowanego mężczyzny. Na takie dictum Rozamunda miała spokojną, lecz mocną odpowiedź. Czemu wobec tego ją wybrał? Szkoda, że nie wybrał sobie pani Ladisław, którą zawsze wynosił pod niebiosa i stawiał wyżej od niej. I tak kończyła się rozmowa z przewagą dla Rozamundy. Byłoby jednak niesprawiedliwe, gdyby nie podkreślić, że nigdy nie powiedziała o pani Ladisław złego słowa i zachowywała w wiernej pamięci wielkoduszność Dorotei, która przysłała jej z pomocą w najtrudniejszym momencie.

Dorotei zaś wcale nie zależało, by ją wynoszono ponad inne kobiety,

i zawsze uważała, że gdyby tylko była lepsza i mądrzejsza, mogłaby zrobić coś lepszego, niż zrobiła. Nigdy jednak nie żałowała, że wyrzekła się pozycji i majątku, aby poślubić Willa Ladislawa, gdyby zaś żałowała, byłoby to dla niego największym wstydem i bólem. Łączyła ich miłość silniejsza niż wszystko, co mogłoby ją skazić. Dorotea nie byłaby zdolna prowadzić egzystencji wyzbytej żywych emocji i obecne życie wypełniała również działalnością dobroczynną, której nie musiała sobie sama z trudem i wśród wątpliwości wyszukiwać i wyznaczać. Will stał się żarliwym działaczem publicznym, pracującym gorliwie w czasach, kiedy rozpoczynały się reformy, z młodzieńczą wiarą w ich rychłe dobre skutki, która dzisiaj tak bardzo przygasła, i został wreszcie wybrany na posła do Parlamentu przez okręg wyborczy, który wypłacał mu uposażenie^[144]. Ponieważ istniały niesprawiedliwości, nic nie mogło być miłsze Dorotei niż to, by jej mąż znajdował się w ogniu walki, a ona okazywała mu wszelką pomoc jako żona. Zdaniem wielu ludzi, którzy ją znali, szkoda było, by tak niezależna, niezwykła istota została wchłonięta w życie drugiego człowieka i była znana w niektórych kręgach jedynie jako żona i matka. Nikt jednak nie potrafił powiedzieć konkretnie, co innego leżało w jej możliwościach, co mogłaby w zamian robić – nikt, nawet sir James Chetam, który nie zdobył się na nic więcej prócz zdania negatywnego, mianowicie, iż nie powinna była wychodzić za Willa Ladislawa.

Ta opinia jednak nie okazała się powodem trwałego wyobcowania państwa Ladislawów z rodziny, a sposób, w jaki zjednoczyła się ona ponownie, jest charakterystyczny dla wszystkich zainteresowanych. Pan Brooke nie mógł sobie odmówić przyjemności korespondowania z Willem i Doroteą, a pewnego ranka pióro jego, opisawszy niezwykle potoczycie perspektywy reformy komunalnej, zapędziło się w zaproszenie adresatów

[144] Dopiero w 1911 r. posłowie angielscy zaczęli otrzymywać regularne uposażenie.

do Tipton Grange, to zaś, raz napisane, mogło być cofnięte jedynie kosztem poświęcenia całego cennego listu (czego nie sposób nawet sobie wyobrazić). Podczas miesięcy trwania tej korespondencji pan Brooke, w rozmowach z sir Jamesem, dawał do zrozumienia lub wspominał o swoim wciąż aktualnym zamiarze zlikwidowania majoratu na Tipton Grange i w dniu, kiedy jego pióro wydało owo śmiałe zaproszenie, wyruszył do Freshitt, zdecydowany oświadczyć, że silniej niż dotychczas odczuwa konieczność podjęcia tego energicznego kroku jako zabezpieczenia przed sytuacją, w której dziedzic rodu Brooke'ów miałby w żyłach domieszkę pospolitej krwi.

Tego ranka jednak wydarzyło się coś niebywałego we Freshitt Hall. Przyszedł do Celi list, który sprawił, że zaczęła, czytając go, zalewać się cichymi łzami, a kiedy sir James, nieprzywykły oglądać jej zapłakanej, spytał niespokojnie, co się stało, wybuchnęła takim lamentem, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie słyszał.

– Dorotea ma synka. A ty mi nie pozwoliłeś jechać, żeby ją odwiedzić. A ja wiem na pewno, że ona mnie potrzebuje. I nie będzie wiedziała, co się robi z dzieckiem, zrobi nie to, co trzeba. I myśleli, że ona umrze. To straszne! Gdybym to była ja i mały Artur, i nie pozwolono by Dodo przyjechać do mnie! Żebyś ty nie był taki niedobry, James!

– Wielkie nieba, Celio! – zakrzyknął sir James ogromnie przejęty. – Czego ty chcesz? Zrobię wszystko, czego sobie życzysz. Zabiorę cię jutro do Londynu, jeśli tego chcesz. – I Celia chciała.

Właśnie po tym przyszedł pan Brooke i spotkawszy baroneta na jego gruntach, zaczął z nim rozmowę, nie znając nowiny, której sir James z jakichś przyczyn nie miał ochoty natychmiast mu zakomunikować. Kiedy jednak sprawa majoratu została poruszona, powiedział:

– Drogi panie, nie mam prawa niczego panu dyktować, ale jeśli o mnie idzie, nic bym nie zmieniał. Pozostawiłbym wszystko, tak jak jest.

Pan Brooke był do tego stopnia zdumiony, że z początku nie poczuł nawet, jak bardzo mu ulżyła świadomość, iż nie oczekuje się od niego żadnych konkretnych działań.

Ponieważ serce Celi okazywało taką, a nie inną skłonność, było nieuniknione, że sir James zgodzi się na pojednanie z Dorotą i jej mężem. Kiedy kobiety się kochają, mężczyźni muszą się nauczyć tłumienia wzajemnej niechęci. Sir James nigdy nie polubił Ladislawa, a Will zawsze wolał przebywać z sir Jamesem w towarzystwie jeszcze innych osób: byli na stopie wzajemnej tolerancji, która przychodziła im bez trudu tylko w obecności Dorotei i Celi.

Stało się oczywiste, że państwo Ladislawowie będą składać co najmniej dwie wizyty rocznie w Grange, i powiększająca się z upływem czasu gromadka kuzynów z Freshitt Hall bawiła się z dwoma kuzynami odwiedzającymi Tipton tak wesoło, jakby krew owych kuzynów nie zawierała najmniejszej podejrzanego domieszki.

Pan Brooke dożył późnego wieku, a majątek jego odziedziczył syn Dorotei, który mógłby reprezentować Middlemarch, lecz uchylił się od tego, uważając, że ryzyko, iż jego poglądy nasiąkną stęchłą, będzie mniejsze, jeśli pozostanie na świeżym powietrzu.

Sir James nigdy nie przestał uważać drugiego małżeństwa Dorotei za niewłaściwy krok i tak już pozostało w tradycji Middlemarch, gdzie opowiadano młodszemu pokoleniu o niej jako o pięknej pannie, która wyszła za mąż za chorowitego duchownego, który mógłby być jej ojcem, a w niewiele ponad rok od jego śmierci wyrzekła się majątku męża, by posłubić jego kuzyna, który był na tyle młody, że mógłby być jego synem, i nie miał ani majątku, ani dobrego pochodzenia. Ci, którzy nie znali Dorotei, stwierdzali wówczas, że nie mogła być „miłą osobą”, inaczej nie wyszłaby ani za jednego, ani za drugiego.

Niewątpliwie te decydujące w jej życiu postępkę nie były idealnie

piękne. Były mieszaniną skutków młodzieńczych i szlachetnych pragnień, które szukały spełnienia w rzeczywistości bardzo niedoskonałej, w jakiej wielkie uczucia często okazują się błędem, a wielka wiara – złudzeniem. Żadne bowiem stworzenie nie ma tak silnej osobowości, by nie wpływały na nią, i to w dużym stopniu, warunki zewnętrzne. Dzisiejsza Teresa nie miałaby możliwości zreformowania życia zakonnego, podobnie jak dzisiejsza Antygona – spożytkowania swojej heroicznej pobożności na przeciwstawienie się wszystkim, aby pogrzebać brata: otoczenie, w jakim ich żarliwe czyny przybierały kształt, zniknęło na zawsze. Ale my, szarzy ludzie, codziennymi słowami i czynami przygotowujemy życie wielu Dorotei; niejedna z nich może być skazana na większe ofiary niż te, jakie przypadły w udziale Dorotei, której dzieje znamy.

Jej szlachetny duch w dalszym ciągu oddziaływał na otoczenie, choć nie wszyscy to dostrzegali. Jej natura, jak rzeka, której Cyrus odebrał siłę, rozdzieliła się na strumyki, nie posiadające znanych nazw na ziemi. Lecz fakt jej istnienia zaznaczył się na wszystkich wokół w sposób niepoliczony: rosnące bowiem dobro na tym świecie jest po części rezultatem zdarzeń zwykłych, nie historycznych, i to, że z tobą i ze mną nie jest tak źle, jakby mogło być, jest w połowie zasługą tych, którzy wiernie przeżyli swoje życie w cieniu i spoczywają w nieodwiedzanych grobach.